



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

SLAV
5193
77

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1828

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 270.



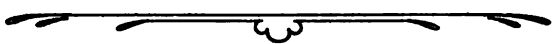
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1908. — Tom II.



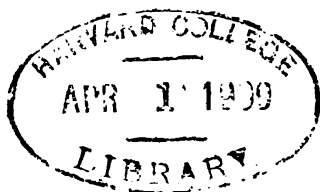
WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—
1908.

Slav 70.2

SLAV
5198
77



Minot fund

WYWŁASZCZENIE.

Wywłaszczenie stało się prawem. Mimo pozornych trudności, jakie projekt napotkał w izbach, wiadomość ta nie zadziwiła nadmiernie tych, którzy stosunki polsko-pruskie znają z bliska. Prawo wywłaszczenia jest logiczną, choć niemądrą konsekwencją całego systemu germanizacyjnego. Egoizm narodowy z jednej strony, a z drugiej urzędowy postulat etnograficznej jednolitości państwa musiały się w tym punkcie spotkać i wytworzyć ten produkt, na który własni rodzice ze zdziwieniem i niedowierzaniem spoglądają.

W obecnej chwili nie pora już zastanawiać się nad epizodami tej parlamentarnej farsy, która starała się nadać bezprawiu powagę ustawy. Dla większości narodu niemieckiego był to epizod tylko, o którym jutro pamiętać już nie będzie. Dla Polaków sytuacja jest w najwyższym stopniu dramatyczna, od nich samych jednak zależeć będzie w części, aby się nie stała tragiczną. Mimo pozorów bowiem, które wszystkie przeciw nam się sprysięgły, położenie Polaków nie jest bynajmniej jeszcze rozpaczliwym. Obecnie rząd uzyskał prawo wywłaszczenia siedemdziesięciu tysięcy hektarów (dziesięcin) ziemi. Księstwo Poznańskie ma mniej więcej 580,000 hektarów polskiej większej własności ziemskiej i blisko 800,000 hektarów polskiej mniejszej własności. Przyjmując za szczerze oświadczenia rządu, że będzie on tylko po większą własność sięgał, to miałby do dyspozycji jedną jej ósmą, a siedem ósmych, czyli 510,000 hektarów, pozostałyby nietknięte,

jak również cała mniejsza własność polska w Księstwie i wszelkie polskie posiadłości w Prusach Zachodnich na Warmii i Górnym Szlązku.

Zestawienie tych cyfr, jak również mowy ministrów, wskazują już teraz na taktykę, którą kolonizacya stosować zapewne będzie. Nietyle dbać ona będzie o bezpośrednie nabywanie ziemi drogą wywłaszczenia, ile o wywołanie depresyi moralnej i paniki w obozie polskim. Dążeniem rządu będzie niewątpliwie, by nad całym polskim społeczeństwem rządzić terrorem i groźbą. W naszej do pewnego stopnia mocy, by broń tę w rękę jego stępić. Natrafimy na groźby i na pokusy. Na groźby, w razie gdybyśmy nie zaniechali wszelkich objawów życia narodowego; na pokusy, przeciwstawiające nam doraźny zysk majątkowy w razie dobrowolnej sprzedaży—niepewności i przewlekłej procedurze wywłaszczenia.

Co do ulegania, lub nie, groźbom rządu w sprawach życia społecznego i politycznego, to pozostawić to trzeba przede wszystkim sumieniu i taktowi jednostek. Tak samo, jak lekkomyślna ostentacyjność i narażanie się byłoby grzesznem, tak znowu i uległość nie powinna iść za daleko. Stawiając się na stanowisku narodowym, trzeba liczyć się z faktem, że rząd całe udzielone mu prawo wywłaszczenia 70,000 hektarów niewątpliwie wyzyska. Ratując więc przez ustępstwa majątek swój od wywłaszczenia, zbyt ostrożny obywatel przesunąłby tylko straszące widmo na inne miejsce i dla narodu nicby jeszcze nie uratował, a przez zaniechanie społecznej pracy wyrządziłby ogółowi pozytywną szkodę. Zresztą i z tem liczyć się trzeba, że po pierwszych ustępstwach przysłyby wymagania dalsze, któreby były wprost nie do przyjęcia. Tak więc konflikt byłby chwilowo tylko zażegnany, lecz nie zasadniczo usunięty.

Co do pokus, o których wspomnieliśmy, to pierwszym obowiązkiem, by nikt się pod żadnym pozorem na dobrowolną sprzedaż nie godził. Rządowi oddałby przez to wybitną przysługę, rozszerzając granicę przysługujących mu praw, a sobie żadnej, nawet materyjalnej nie sprawiłby korzyści. Prawo wywłaszczenia, na którego wzór ułożono nową ustawę, datuje się z roku 1874,

jest więc dokładnie już znane i w teorii i w praktyce. Zapewnia ono właścicielowi *pełną* wartość wywłaszczonej nieruchomości, a obok tego istnieje mnóstwo praejudyciów z dawniejszych procesów, które stosowanie jej bliżej objaśniają. Ktoby więc sprzedał obecnie majątek swój z wolnej ręki rządowi lub jego agentom, zasługiwałby tak, jak dotychczas, na pogardę społeczeństwa, tem cięższą, im sytuacja jest poważniejszą. Jeżeli zatem Polacy okażą dość hartu, pozostanie rządowi tylko jawne wywłaszczenie do dyspozycji. Pomijamy tu wzgląd na odium, z którym rząd niebardzo liczyć się zdaje, i przechodzimy znowu do praktycznych konsekwencji.

Przedewszystkiem rząd będzie musiał bardzo wysokie ceny za ziemię płacić. Nie uwzględniamy tu nawet kwestyi, czy i o ile odszkodowane zostaną wartości idealne, jak np. społeczne i towarzyskie stanowisko, związane częściowo z posiadaniem starego majątku, albo poszkodowanie właściciela we własnej jego osobie przez wytrącenie go z naturalnego i najstosowniejszego warsztatu pracy. Ale nawet poza tem, biorąc cenę tylko rzeczową, będzie ona zapewne znaczną. Jeżeli się bowiem uwzględni, że dobra, które pozostały w rękach polskich, są przeważnie wyborowemi pod względem jakości i kultury, czego dowodem właśnie, że wszystkie przesilenia rolne zwycięsko przetrzymać zdołały; gdy dodamy do tego wzgląd na korzystną konjunkturę rolniczą, jaka od blisko 10-ciu lat w Prusach panuje; gdy zauważymy jeszcze, że majątek, nie będący na sprzedaż, z natury rzeczy większą przedstawia wartość od majątku, będącego w handlu, to się przekonamy, że ceny z lat ostatnich, które rząd już za nienormalnie wysokie uważał, mogą być przy wywłaszczeniu bardzo znacznie jeszcze przekroczone. Zwracamy uwagę na to nie ze względu na finanse państwa i trudności dla niego stąd wynikające, gdyż rząd lokuje fundusz kolonizacyjny niejako à fonds perdus bez nadziei, nietylko odzyskania kapitału, ale i racjonalnego oprocentowania; co dla nas ważniejsze jest, to wzgląd na nas samych. Polacy bowiem mogą tym sposobem uzyskać środki do nabywania nowej ziemi wzamian za wywłaszczoną. Czy więc ziemię będzie można z rąk niemieckich nabywać—oto pytanie, które się stawia. Zdaje nam się, że

tak.¹⁾ Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, jaki jest skład niemieckiej własności ziemskiej w Księstwie. Prócz kilkunastu większych ordynacji, nie będących z natury rzeczy do nabycia, oraz kilkudziesięciu latyfundiów wielkopańskich lub bankierskich, podlegających czujnemu oku i wpływowi rządu, reszta, to jest ogromna większość posiadłości niemieckich, jest niemal wyłącznie własnością spekulantów i dorobkiewiczów. Dla nich przywiązanie do tej obcej im ziemi nie istnieje prawie zupełnie, istnieje tylko interes dyferencyjny między ceną kupna i sprzedaży, spekulacja, jak każda inna. Ostatnie dziesięciolecie było świetną epoką dla tego rodzaju egzystencji. Licytacja pomiędzy kolonizacją a kupcami polskimi przedstawiała dla nich nadspodziewanie korzystne warunki. Obecnie przez prawo wywłaszczenia sytuacja zmieniła się na gorsze i temu też, zarówno, co najmniej, jak idealnym motywom, przypisać trzeba, że wśród właścicieli Niemców w Księstwie tak silna przeciw nowemu prawu powstała opozycja. Z chwilą więc kiedy komisya kolonizacyjna nie zechce już kupować majątków niemieckich, mając wśród polskich dowolny wybór, nie ulega kwestyi, że bardzo poważny ułamek tych kilkudziesięciu tysięcy hektarów, które dotychczas kolonizacja corocznie z rąk niemieckich nabywała, znajdzie się w wolnym handlu i będzie mógł być przez Polaków kupiony.²⁾ I twierdząc to, nie zapoznajemy bynajmniej ogromnej presyi, jaką władza państwowa przez względy i urzędy na prywatnych właścicieli wywierać potrafi. Według tego, czy trwóźliwość, czy chęć zysku przeważy, jedni w tę, drudzy w tamtą przechylą się stronę.

Ustrój duchowy Prusaków zasługiwałby na specjalne studjum. Żeby go zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić, że Prusacy byli do niedawna jeszcze najuboższym niemal narodem w Eu-

¹⁾ Prawny zakaz kupowania ziemi jest, zdaniem nawet sfer rządowych, niemożliwym do przeprowadzenia, gdyż stałby w sprzeczności z zasadniczym prawodawstwem rzeszy niemieckiej, któreby tylko parlament mógł zmienić, a to wydaje się być zupełnie wyłączone.

²⁾ Ostatnie sprawozdanie komisji kolonizacyjnej wykazuje, że w roku 1907 ofiarowano jej ze strony prawie wyłącznie niemieckiej 166,537 hektarów do kupienia i to 407 większych majątków i 885 gospodarstw chłopskich.

ropie, pracującym w niezmiernie ciężkich warunkach na ubogiej glebie, obciążonym dla utrzymania swęgo bytu państwowego nadmiarem ciężarów i podatków. Tylko skrzętność ogromna, pracowitość i oszczędność mogły mu istnienie zapewnić. Zalety te zostały nagrodzone wielkiem powodzeniem na wszystkich polach. Ze sfer najuboższych tego ubogiego narodu wyrosły dzisiejsze Prusy. Wyrósł potężny przemysł niemiecki, wyszły sfery naukowe i przeważna część armii urzędniczej. Stąd ten hart niezwykły, wola, wyteżona niezmordowanie ku uzyskaniu pieniędzy i stanowisk, ale obok tego zupełny zanik tych cnót zbytłownych, które tylko długotrwałe powodzenie i dobrobyt wytwarzają. Bezinteresowności i ofiarności dla publicznej sprawy równie trudno się tam doszukać, jak niezależności zdania i śmiałości wobec potężniejszych. Pod powłoką dzisiejszego milionera lub profesora tkwi rdzeń natury brandenburskiego chłopca. Powodzenie przyszło zbyt nagle i niezdolało przerobić wewnętrznego człowieka stosownie do zewnętrznych warunków. Dlatego też przypuszczać można, że Niemcy poznańscy, którzy są pod tym względem ze wszystkich Prusaków najbardziej chyba Prusakami, nie będą się kwapili nadmiernie do utrzymania się na forpocztach, które im już zyskowych nie będą przedstawiały widoków. Gdy do niedawna bowiem posłuszeństwo wobec rządu było tu w zupełnej harmonii z materyalnym interesem jednostki, to teraz dwa te motywy będą nieraz w jaskrawej z sobą sprzeczności i władza będzie musiała wszystkich sił używać, aby tę swoją armię ochotniczą od dezercyi powstrzymać.¹⁾

Lecz obok tego, stawia się pytanie drugie, jak się społeczeństwo polskie w tych nowych i tak niebywałych warunkach zachowa. Obecnie jeszcze, mimo naprężenia nerwowego, wśród które-

¹⁾ Nie zapoznajemy bynajmniej patryotyzmu pruskiego. Jest on jednak odmiennym od tego, co my zwykliśmy patryotyzmem nazywać. Zasadniczym jego rysem jest abdykacya indywidualności samodzielnej na rzecz państwa. Jest to niewątpliwie źródło wielkiej siły dla narodu, ale i słabości zarazem. Jednostka, wyrzekłszy się inicjatywy, widzi w państwie tylko źródło bezpośrednich korzyści. Do ofiar na dalszą metę nie czuje się ani powołaną ani skłonną.

go cały naród od miesięcy żyje, utrzymał się i w prasie i w prywatnych kołach dziwny spokój i zimna krew. Oby tak pozostało i w chwili, kiedy razy zaczęą padać. Zbrojnych odruchów obawiać się pono nie potrzeba, opinia publiczna nadto kategorycznie potępia je i za szalone uważa. Choćby więc tu i owdzie krewkość jednostki miała do burdy jakiej doprowadzić, to w żadnym razie społeczeństwa nie można za nie czynić odpowiedzialnym. Lecz co równie byłoby szkodliwym, to zniechęcenie i abdykacya, a w dalszym ciągu emigracya na obczyznę lub do innych dzielnic Polski. Nie ulega wątpliwości, że tu i owdzie do tego przyjdzie i przyjść musi. Są ludzie i rodziny, które pod grozą bardzo ciężkiej materyalnej i moralnej szkody, nie mogą pozostać czas dłuższy bez ścisłego zajęcia. O ile więc nie uda im się rychło nową jaką posiadłość nabyć, to będą zmuszeni do przesiedlenia się w inne strony. To samo tyczy się w pewnej mierze także prywatnych urzędników i oficjalistów, kupców, przemysłowców, lekarzy etc. Jeżeli jednak ogół społeczeństwa zrozumie swój własny, tak materyalny jak i moralny interes, i nieda się unieść nerwom, to liczba tych wyjątków nie powinna być wielką. Galicya ze swem przeludnieniem i wysokimi cenami ziemi, Królestwo z nieuspokojonemi jeszcze stosunkami i prawnymi utrudnieniami dla obcokrajowców, nie przedstawiają w obecnej chwili podatnego gruntu do imigracyi na większą skalę. W dodatku wada wielu Poznańczyków, polegająca na zbyt niem ekskluzywizmie prowincjonalnym, będzie u niejednego także silnym bodźcem do trzymania się stron rodzinnych.

Ale obok tego działać będą i czynniki wyższe. Poczucie solidarności społecznej, które w normalnych warunkach zwykło zanikać i ustępować miejsca klasowym antagonizmom, tutaj, pod niesłychanym uciskiem pruskim, skonsolidowało się niepomiernie. Każdy czuje, że jest członkiem całości, że jeden od drugiego zależy. Kupcy od właścicieli, właściciele od robotników, lud od księży i nawzajem. To też większość wywłaszczonych nie da zapewne za wygrane, choćby dlatego, by nie opuszczać w ostatecznej potrzebie tych, z którymi współpracowała lata lub lat dziesiątki. Lecz poza tem wszyskiem jest wzgląd jeszcze inny, nie

wszędzie może uświadomiony, ale wszędzie odczuty. Pojmują to wszyscy, że po naszej stronie jest nie tylko prawo, ale jest i rozum. *Vous vous fâchez donc vous avez tort*—mówi francuskie przysłowie i to jest charakterystyka obecnego postępowania rządu. Nacyonalizm, jako myśl polityczna, ma niewątpliwie swoją rację bytu, o ile opiera się na zrozumieniu zdrowych potrzeb narodu. Ale idee, które nie postępują, karłowacieją. To też Niemcy, którzy wielkość swą obecną zawdzięczają w części rozumnie postawionej zasadzie narodowości, są teraz epigonami tylko swoich przodków, bo nie umieją poza ich myśl polityczną wykroczyć i w logicznym jej rozwoju o szczybel choćby pójść wyżej. W coraz bardziej komplikujących się stosunkach międzynarodowych jednostronnie egoistyczny głos Niemiec coraz większą budzić musi nieufność. Dziś jeszcze siły opancerzonego państwa starczą może na stawienie czoła wszystkim przeciwnościom. Czy starczą jutro? Czyż rozumnie jest stwarzać sobie trudności dlatego, że się je zwalczyć potrafi? Cóżbyśmy powiedzieli o maszyniście, któryby uważał za zaletę swojej maszyny, że wielkie tarcie skutecznie pokonywa? Dobra maszyna nie powinna mieć niepotrzebnego tarcia, mądre państwo powinno mieć minimum zewnętrznych i wewnętrznych konfliktów. W przeciwnym razie wolna siła unieruchomiona jest w jałowej pracy. A czyż wciąż nowe problemy nie żądają załatwienia? któż może twierdzić, że ma sił dosyć, aby wszystkim podołać? Wczoraj jeszcze Niemcy walczyły o hegemonię na lądzie tylko, dziś już stają do współzawodnictwa na morzu; ekspansja handlowa wymaga coraz intensywniej interwencji państwa; kolonie wciągają je w nowy zupełnie zakres działania. Na wewnątrz znów przemysł, zatrudniający połowę ludności kraju, żąda coraz czujniejszego oka państwa, a socyalizm jest moralnym czynnikiem, którego żaden przezorny mąż stanu ani ignorować, ani lekceważyć nie może. Nowe potrzeby powinnyby wytworzyć nowe sposoby działania. Tu widzimy ekskluzywizm i bezwzględność jako jedyne panaceum, wszędzie i wobec wszystkich stosowane. Czyż nie znamiennem jest na naprężone stosunki Niemiec, że budżety, tak w Prusach jak w rzeszy niemieckiej, wykazują deficyty, liczące się już na setki milionów; że pożyczki

państwowe stoją na niebywale niskim kursie, a nowych źródeł dochodu trudno rządowi wynaleźć. Nie są to jeszcze objawy groźne, gdyż przeciwstawićby im można cały szereg czynników dodatnich, ale mimo to, sytuacja nie jest ani łatwą ani prostą. Zaostrzona kwestya polska w trzech prowincjach państwa nie przyczynia się też w niczem do pomyślnego stanu rzeczy. Czuje to wyraźnie większość narodu niemieckiego. Tylko powodzenie budzi entuzjazm, a tu powodzenie jest w porównaniu z wysiłkami tak nikłym, że nastrój ogółu jest raczej żałosny. Prócz sfer rządzących, prawie wszyscy potępili prawo wywłaszczenia. Gdyby nie niesłychana presya z góry, obydwie izby byłyby je odrzuciły, lub co najmniej zredukowały do bardzo skromnych rozmiarów. Serwilizm zrobił raz jeszcze swoje, ale nieukontentowanie i wśród Niemców rośnie. Czas jakiś rząd może przeciw opinii ogółu rządzić, jeżeli jednak wkrótce pokażnemi rezultatami poszczycić się nie zdoła, może i na tem, dotychczas najłatwiejszem, polu polityki antypolskiej, spotkać się z niezaufaniem i opozycją.¹⁾ Rząd pruski był przez całe pokolenia wprost idealnym rządem dla swych niemieckich poddanych, uczciwym, przezornym, ojcowskim. Teraz staje się kapryśnym, stronnickým i wstecznym. Są to grzechy, które na ustrojach państwowych mszczą się okrutnie. Dawno minęły czasy, kiedy Polacy ufali w interwencyę europejską. Ale w co ufać im wolno, to w logikę faktów. Nawet najpotężniejsze państwo nie może bezkarnie rządzić wbrew wszelkim zasadom rozumu i etyki. Nie traćmy nadziei, że i w organizmie pruskim pod siłą okoliczności rozum zwycięży nad namiętnościami.

*

*

*

¹⁾ Z powyższych powodów nie mówimy o możliwem rozszerzeniu w przyszłości ram terytoryalnych i finansowych wywłaszczenia. Zależać ono będzie od różnych czynników dziś nieobliczalnych jeszcze; to też realna myśl polityczna winna poprzestać na braniu w rachubę tego tylko, co nam jutro przyniesie, a kłopot o pojutrze pozostawić przyszłości do oceny i rozwagi.

Jak na obecną chwilę wywody te wydadzą się może niejednemu nadto optymistycznymi, mogą być wzięte za zapoznanie grozy sytuacji. Tak nie jest. Prawo samo przemawia za siebie, ohydy jego i niebezpieczeństw nie zapoznajemy bynajmniej. Żądło jego jest tem jadowitsze, że ma przede wszystkim zdemoralizować społeczeństwo polskie. Wywłaszczenie ma działać na najgorsze nasze instynkty, na bojaźliwość, chciwość lub brak wytrwałości. To są niebezpieczeństwa, których tać przed sobą nie należy. Ale dlatego właśnie, że godzą one w byt nasz narodowy za pośrednictwem nas samych, zrozumiemy, obok ich grozy, także i siłę, jaką przeciwstawić im możemy. Straty, które naród polski poniesie, będą niewątpliwie bardzo ciężkie i bolesne, ale od nas zależeć będzie, aby nie były niepowetowane. Położenie rządu jest może mniej silne, aniżeli on to na pozór okazuje, moralna wartość organizmu polskiego może niepoślednio zaważyć na szali.

Wielką siłą jednostek i narodów jest wyrzeczenie się osobistego szczęścia i podporządkowanie go pod ideę, pod służbę publiczną. Chwila jest tak ważna, że powinniśmy hart ku temu w sobie znaleźć. Przychodzą mimowoli na usta słowa, które poeta zwraca do tych, którzy odrodzić się mają:

Bądź arcydziełem nieugiętem woli,
Bądź cierpliwością—tą panią niedoli,
Co gmach z niczego buduje, powoli,
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki.

JAN ŻÓŁTOWSKI.

UWAGI

z powodu ustawy o wywłaszczeniu.

„Les morts vont vite.“ Przed kilku jeszcze laty niktby nie przypuszczał, aby w państwie bądź co bądź cywilizowanym, a przynajmniej szczącym się swą kulturą, zdobyć sobie mogła większość reprezentacyi narodu ustawa, wyganiająca przemocą obywateli z ziemi, zroszonej krwią i potem ich ojców, z tego jedynie powodu, że obywatele ci innym hołdują przekonaniom politycznym. Przed trzema jeszcze laty, oświadczył w pruskiej izbie poselskiej minister Rheinbaben wobec skarg, wytoczonych przez przedstawicieli ludności polskiej na działalność komisji kolonizacyjnej, że o niesprawiedliwości wtedy jedynie mogłaby być mowa, gdyby Polaków przemocą wywłaszczano z ich majątków. Ten sam Rheinbaben, który, jeśli nie mylą rozmaite oznaki, był ojcem duchowym potwornej tej ustawy i który też zarówno w izbie poselskiej, jak i w izbie wyższej, najenergiczniej z wszystkich przedstawicieli rządu pruskiego przemawiał w jej obronie i najwięcej się przyczynił do jej przyjęcia.

Swoją drogą sama myśl przymusowego wywłaszczenia Polaków nie datuje się od wczoraj. Od całego już szeregu lat należała ona do głównych postulatów hakatystycznego obozu i poruszano ją nieustannie zarówno w prasie, jak i na wszystkich zjazdach hakatystów. Sądzone jednak powszechnie, że konserwatywny skądinąd do przesady rząd pruski nie przyswoi sobie projektu, mniejsza z tem, że niesprawiedliwego, ale urągającego najelementarniejszym zasadom wszelkiej zachowawczej polityki.

Stało się inaczej. Okazało się i w tym wypadku, że jedynie pierwszy krok jest trudny. Krocząc po drodze prześladowania

i ucisku, rząd pruski nie cofnął się przed ostatnim tym czynem, który wywołał tak energiczne protesty najszlachetniejszych umysłów wszystkich narodów.

Dotychczasowa polityka antipolska okazała się błędną nie tylko z etycznego, ale i z państwowego punktu widzenia, zamiast zgubić żywioł polski, skazany na zagładę, przyczyniła się tylko do jego moralnego i materialnego wzmocnienia. Rozum zdawał się wskazywać, że należałoby nawrócić z błędnej drogi. Ale jak każda biurokracja, tak i biurokracja pruska niczego nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Jest przytem nieomylna. Zamiast więc przyznać się do omyłki i chwycić się innych metod, brnie dalej w swych błędach, nie cofając się przed najohydniejszymi nawet gwałtami.

Co zaś smutniejsze, to fakt, że w tej swojej polityce jątżenia i ucisku rząd liczyć może na bezwarunkowe poparcie znacznej większości ciała prawodawczego, przesiąkniętej duchem przesładowczego szowinizmu i egoizmu narodowego.

Ciała prawodawczego — bo reprezentacją narodu trudno nazwać sejm pruski, którego izba wyższa składa się w znacznej części z członków, mianowanych przez króla, a izba niższa wybierana jest na podstawie zacofanego, nawskroś kapitalistycznego systemu wyborczego, wyłączającego szerokie warstwy ludności z wszelkiego prawie wpływu politycznego.

Ale nawet w tej karykaturze reprezentacji narodu projekt wywłaszczenia obudził poważne bardzo wątpliwości. Zrozumieć to łatwo. Zachowawcy, rozporządzający w obu izbach sejmu pruskiego większością, obawiali się, z natury rzeczy, wytworzyć precedens, który w danym razie, przy zmienionych warunkach politycznych, dałby się zastosować przeciw nim samym. Dzisiaj, co prawda, władza państwowa w Prusach rozporządza jeszcze odpowiednią siłą, aby stłumić w zarodku wszelkie zamachy na nietykalność własności prywatnej niemieckiej; któż jednak ręczyć może za przyszłość? Zważyć zaś należy, że w pierwszej zaraz chwili po pojawieniu się projektu nowej ustawy antipolskiej nie tylko socjalistyczne, ale i wolnomysłne dzienniki wskazywać zaczęły na olbrzymie majątki śląskich, pomorskich i brandenburskich magnatów, jako na przedmiot nader podatny do wywłaszczenia.

Ostatecznie udało się jednak rządowi pruskiemu w krótkim względnie czasie uspokoić wszelkie obawy i skrupuły zachowawczego stronnictwa w izbie poselskiej. Trudniej było z izbą pa-nów, gdzie opozycja przeciw temu niesłychanemu projektowi za-

rysowała się tak silnie, iż przez czas jakiś zamierzonej ustawie zdawało się zagrażać poważne bardzo niebezpieczeństwo. Co zaś na szczególne zasługuje zaznaczenie, to fakt, że w szeregach opozycji stanęli najwybitniejsi przedstawiciele zachowawczej arystokracji rodowej ze szwagrem cesarza, księciem Güntherem szlezwicko-holsztyńskim, na czele, a zwycięstwo na stronę rządu przechylili burmistrzowie wielkich miast i profesorowie, czyli reprezentanci „liberalnego” światopoglądu. Jest to nowy i przekonujący dowód, jakie obecnie „liberalizm” niemiecki hoduje owoce.

Tak więc rząd pruski otrzymał nowy i straszliwszy od wszystkich dotychczasowych oręż w swej walce z żywiołem polskim, czyli, wyrażając się ściślej, w swej polityce, mającej na celu jak najspiesniejsze zgermanizowanie wschodnich kresów państwa. Oręż ten, czyli prawo wywłaszczania majątków polskich w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich, przedstawia się w głównych zarysach, jak następuje:

Fundusz, przyznany rządowi, podnosi się o 200 milionów marek, z czego 75 milionów ma być przeznaczonych na regulowanie gospodarstw włościańskich. Osiedlanie samodzielnych robotników niemieckich na znaczniejszych włościach rentowych i na większych majątkach ziemskich należy popierać za pomocą premij. Rząd otrzyma fundusz w kwocie 50-ciu milionów, aby nabywał większe majątki ziemskie i sprzedawał je następnie w całości, jako włości rentowe. Na takich włościach należy w jaknajwiększych rozmiarach osiedlać samodzielnych niemieckich robotników rolnych na osadach rentowych. Do komisji wykonawczej należeć ma dwóch członków, z których każdy ma być mianowany na podstawie obejmującej, co najmniej, trzy nazwiska listy, przedstawionej przez izby rolnicze: poznańską i zachodnio-pruską.

Celem zabezpieczenia zagrożonej niemczyzny, przyznane będzie państwu, dla zaokrąglenia i wzmocnienia istniejących już grup kolonij w poszczególnych powiatach W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich, prawo wywłaszczania takich gruntów, które są niezbędne do osiągnięcia tego celu.

Wywłaszczenie obejmuje także ruchomości. Na żądanie właściciela, mogą być wyłączone z wywłaszczenia ruchomości niekoniecznie potrzebne do gospodarstwa na wywłaszczonych gruntach, oraz stada zarodowe. Przy gruntach zamieszkałych komisja kolonizacyjna obowiązana jest przyznać dotychczasowemu właścicielowi termin do opuszczenia domu mieszkalnego, wynoszący co najmniej trzy miesiące.

Obszar, przeznaczony na wywłaszczenie, niema przekraczać 70,000 hektarów.

Do projektu ustawy, uchwalonego przez pruską izbę poselską, izba panów tę jedynie wprowadziła zmianę, że z wywłaszczenia mają być wyłączone cmentarze, kościoły, majątki kościelne oraz należące do stowarzyszeń religijnych i dobroczynnych.

*

*

*

Nasuwa się teraz pytanie, jakimi motywami kierował się rząd pruski, przedstawiając ciału prawodawczemu projekt tego potwornego prawa, które nie tylko okryło Prusę hańbą w oczach całego świata cywilizowanego, ale i wśród najdodatniejszych żywiołów społeczeństwa niemieckiego wywołało energiczne bardzo protesty. Odpowiedź jest dość trudna. Wprawdzie przedstawiciele rządu, broniąc projektu wywłaszczenia, powoływali się nieustannie na niebezpieczeństwo, zagrażające jakoby potędze i całości niemieckiego państwa ze strony tak zw. wielkopolskiej agitacji, do tego jednak stopnia nie są naiwne rządzące koła berlińskie, aby wierzyły na seryo w istnienie tego niebezpieczeństwa. Wiedzą one bardzo dobrze, że najradykałniejsze nawet żywioły ludności polskiej nie noszą się z tendencjami antypaństwowymi, nie myślą o oderwaniu W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich od państwa pruskiego. Nie myślą już z tej prostej przyczyny, że projekt taki pozbawiony jest wszelkich widoków urzeczywistnienia.

Gdyby zresztą wśród ludności polskiej nurtowały tego rodzaju prądy i knowano spiski przeciw bezpieczeństwu państwa, to nadzwyczaj czujna policja pruska dawno już byłaby wysledziła winnych i słyszanoby o procesach politycznych i surowych karach, wymierzonych przeciw zdrajcom kraju.

Na seryo brać też nie można obaw, ujawnionych również ze strony rządu pruskiego w toku obrad nad projektem prawa o wywłaszczeniu, że w razie możliwego zatargu ze wschodnim sąsiadem nieprzychylnie dla państwa usposobiona ludność na kresach stanowiłaby mogła poważne niebezpieczeństwo. Najpierw bowiem możliwość takiego zatargu jest bardzo niewielka. Przynajmniej ze strony Rosyi Prusom podług wszelkiego przewidywania bardzo jeszcze długo zagrażać nie będzie żadne niebezpieczeństwo. Wie-

rzyć dalej wypada, że w razie wojny nie tyle, jak słusznie zaznaczył w Izbie panów jeden z najwybitniejszych przeciwników wywłaszczenia, feldmarszałek hr. Hässler, chodzi o usposobienie ludności cywilnej, ile o liczbę bagnatów i przygotowanie wojenne armii. Wreszcie system, stosowany przez rząd pruski, pogarsza jedynie położenie, bo budzi coraz większą nienawiść wśród ludności, zamieszkującej kresy państwa.

Zdaniem naszym właściwych motywów szukać należy gdzieindziej. Otóż, jak wszędzie, tak i w Prusach społeczeństwo demokratyzuje się coraz bardziej, domaga się coraz głośniej większego niż dotychczas wpływu na kształtowanie swych losów i protestuje coraz energiczniej przeciw dotychczasowym reakcyjnym i policyjnym metodom rządzenia, których klasycznym krajem są i dzisiaj jeszcze Prusy. Na zewnątrz protest ten ujawnia się w coraz natarczywszem żądaniu zmiany obecnej zacofanej ustawy wyborczej, w żądaniu wprowadzenia i w wyborach pruskich powszechnego, tajnego, bezpośredniego i równego głosowania, obowiązującego w wyborach do parlamentu Rzeszy niemieckiej.

Zaostrzaniem więc antagonizmu narodowego, nieustannem wytykaniem „niebezpieczeństwa polskiego,” dowodzeniem, że „kwestya polska” stanowi w obecnej chwili najważniejsze zagadnienie niemieckiej polityki wewnętrznej berlińskie koła decydujące pragną odwrócić uwagę społeczeństwa niemieckiego od żądań wolnościowych.

Nie małą rolę grają także w całej tej sprawie potężne wpływy, jakimi cieszy się w pruskich kołach rządzących prześladowczy hakatyzm. Powiedział ktoś, że w dzisiejszych Prusach ten jedynie coś uzyskać może, kto głośno krzyczy. Nie ulega kwestyi, że hakatyści krzyczą najgłośniej: wznoszona przez nich straszliwa wrzawa rozbrzmiewa od Wisły do Renu, od Bałtyku do Sudetów i gór Olbrzymich.

Wreszcie, jeśli nie mylą rozmaite oznaki i dość różnorodne informacje, siłą popychającą, „die treibende Kraft,” w całej obecnej antypolskiej polityce rządu pruskiego, a w szczególności w sprawie wywłaszczenia, jest osobisty sentyment monarchy. Uprzytomnić zaś sobie należy, że Prusy są państwem na pozór tylko konstytucyjnym, a w gruncie rzeczy decyduje o wszystkim, rozstrzyga we wszystkich ważniejszych kwestiach wola panującego. *Sic volo, sic jubeo.*

*

*

*

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że prawo wywłaszczania jest najgroźniejszym ze wszystkich ciosów, jakie w ubiegłych dwóch lat dziesiątkach spadały ciągle prawie na głowy społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim. Błędem też byłoby fatalnym lekceważyć jego znaczenie i następstwa. Właściciel ziemski, skazany przez komisję kolonizacyjną na wywłaszczenie, odwołać się może do sądów, lecz jedynie co do wysokości wynagrodzenia. Opuścić jednak musi swój majątek w ciągu trzymiesięcznego terminu, czyli w największej liczbie wypadków, zanim proces zostanie we wszystkich instancjach rozstrzygnięty. Wyprocedować może mniej lub więcej znaczną sumę, samego jednak wywłaszczenia nie cofnie żadna instancja.

Ostatecznie jednak los wywłaszczonego właściciela ziemskiego nie będzie jeszcze najsmutniejszy. Poniesie on wyłącznie straty moralne o tyle, że opuścić będzie musiał dom swój rodzinny, ziemię często zroszoną krwią i potem swych ojców. Co się natomiast tyczy materialnego wynagrodzenia, to sądy pruskie, jak dotąd, przyznawały wywłaszczonym wysokie bardzo odszkodowanie i niema na razie najmniejszych danych do przypuszczenia, że w przyszłości zmienią swe postępowanie.

Nie ucierpią także wskutek wywłaszczenia, przynajmniej w pierwszych czasach, robotnicy rolni. Obecnie bowiem odczuwać się daje na wschodnich kresach pruskich tak dotkliwy brak rąk do pracy, że robotnicy z majątków wywłaszczonych znajdują niezwłocznie zatrudnienie w innych majątkach ziemskich.

Nadzwyczaj smutnie przedstawia się natomiast los urzędników gospodarczych i oficyalistów wiejskich najrozmaitszych kategorii, ekonomów, leśników, gorzelników i t. p. Ci z trudnością na miejscu znajdują zajęcie i, chcąc nie chcąc, szukać będą musieli zarobku w innych stronach świata.

Nie koniec jednak na tem. Następstwa wywłaszczenia odbijają się prędzej czy później na lekarzach, adwokatach, kupcach, przemysłowcach i rzemieślnikach, żyjących wyłącznie z polskiej klienteli, a w szczególności z polskich dworów okolicznych. Znikanie tych dworów, w miarę postępującego naprzód wywłaszczenia, ogłodzi z natury rzeczy miasta, a przynajmniej ludność ich polską.

Na to logiczne następstwo wywłaszczenia polskich majątków liczyli przedewszystkiem ojcowie tego projektu i tem się też tłumaczy, że, pod pozorem tłumienia niebezpiecznej jakoby dla państwa agitacji wielkopolskiej, ukuto oręż, który przedewszystkiem zwraca się przeciw warstwie ludności najspokojniejszej już z natury swego zawodu i najmniej skłonnej do wszelkiej akcji rewolucyjnej.

lucyjnej. Ale pośrednio, przez ogłodzenie miast, rząd pruski spodziewa się pozbyć niebezpiecznych agitatorów.

Oczywiście nadzieje te na dość kruchych spoczywają podstawach. Raczej przewidywać należy, że miasta zapełnią się wypartą ze wsi ludnością polską, zamienią się w siedliska proletariatu prawdziwie niebezpiecznego, bo przesiąkniętego nienawiścią ku swym prześladowcom i gnębicielom, gotowego na wszystko i skłonnego do wszelkiego rodzaju przewrotów.

Nie powiedzie się też, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, inna rachuba ojców duchowych tego potwornego prawa. Więcej, niż na samo wywłaszczenie, liczą oni na demoralizację, jaką w szeregach polskich wywoła wisząca jakby miecz Damoklesa nad głowami właścicieli ziemskich groźba wywłaszczenia. Groźba ta ma powstrzymać jakoby polskich obywateli nie tylko od wszelkiej agitacji politycznej i narodowej, ale nawet od wszelkiego udziału w pracy społecznej, rozwijającej się tak pomyślnie i przyczyniającej się przedewszystkiem do podnoszenia moralnego i materialnego posiewu ludności polskiej pod panowaniem pruskiem.

*

*

*

Zaprzeczyć się nie da, że w pierwszej chwili projekt wywłaszczenia wywołał pewien popłoch, a przynajmniej pewien niepokój w tutejszem społeczeństwie. Przyczyniła się do tego nie mała cała zgraja najrozmaitszego rodzaju agentów i pośredników, która, pragnąc wyzyskać na swoją korzyść nową sytuację, objeżdżała zaczęła dwory obywatelskie i chaty włościańskie i zachęcała właścicieli do dobrowolnej sprzedaży swej ojcowizny. Bezpośrednimi pomocnikami tej akcji, podjętej niewątpliwie, jeżeli nie z inicjatywy, to w każdym razie z wiedzą i wolą kół rządowych, byli niepoprawni plotkarze, których nie brak w żadnym społeczeństwie, zwłaszcza w chwilach powszechnego zdenerwowania i wzburzenia. Krążyć więc zaczęły najrozmaitsze potworne plotki, to o kilkudziesięciu obywatelach ziemskich, którzy jakoby dobrowolnie ofiarowali komisji kolonizacyjnej swoje majątki na sprzedaż, to znów o symulowanych transakcjach, dokonanych

rzekomo przez największych tutejszych właścicieli ziemskich, na rzecz angielskich, francuskich i belgijskich banków, a nawet z królem angielskim. Na razie pogłoski te znajdowały wiarę wśród bezkrytycznego tłumu, co oczywiście zwiększało popłoch.

W krótkim jednak czasie nastąpiło otrzeźwienie i dzisiaj, nie lekceważąc bynajmniej grożącego nam w następstwie wywłaszczenia niebezpieczeństwa, ze względnyim spokojem spoglądamy na położenie, szukamy najskuteczniejszych środków obrony zagrożonego bytu narodowego.

Spokój ten ujawnia się przedewszystkiem wśród obywatelstwa wiejskiego, czyli w tej warstwie, przeciw której zwraca się głównie ostrze nowego prawa.

W przypuszczeniu, że rząd pruski, używając ustawy uchwalonej, jako środka walki narodowej, wywłaszczać będzie najprzód tych obywateli, którzy w pracy politycznej i społecznej najczynniejszy biorą udział, nasuwało się tu i owdzie pytanie, czy nie należałoby powstrzymywać właścicieli ziemskich od czynnego udziału w życiu publicznem. Wobec bowiem konieczności utrzymania ziemi, tej najważniejszej podstawy samodzielnego bytu narodowego, schodzić winny na plan drugi wszelkie inne względy. Myśl ta nie zdobyła sobie jednak zbyt wielu zwolenników, nie zdobyła sobie ich zwłaszcza wśród warstwy ziemiańskiej.

Całkiem słusznie! Najpierw bowiem nikt nie wie dzisiaj jeszcze, jakimi motywami komisyja kolonizacyjna kierować się będzie przy wywłaszczaniu—narodowymi, lub geograficznymi? Czy więc wywłaszczać będzie przedewszystkiem obywateli, politycznie skompromitowanych, lub też nową swą działalność rozwinie w kierunku zaokraglania kolonij już posiadanych?

Dalej wstrzymywanie się jednej części obywatelstwa ziemskiego od życia publicznego, wystawiłoby na sztych część drugą, pracującą w dalszym ciągu na niwie narodowej i społecznej, i tem samem zwiększyłoby niebezpieczeństwo wtargnięcia demoralizacyi do naszych szeregów i osłabienia obrony naszej narodowej.

Zapewne, że nie należy oddawać się optymizmowi zbyt daleko posuniętemu. Zapewne, że znajdują się wśród naszego obywatelstwa wiejskiego jednostki, które, pod pozorem grożącego jakoby obowiązku utrzymania ziemi, wystrzegać się będą wszelkiej czynnej roli w życiu publicznem. Będą to jednak przeważnie ci tylko, którzy i dotąd nie spełniali zbyt sumiennie swych zadań obywatelskich. Ogół zaś i pod działaniem nowego prawa nie myśli zmieniać dotychczasowego swego postępowania, nie myśli w każdym razie o dezercyi z pod narodowego sztandaru. Nie wyła-

cza to, rzecz prosta, możliwości, a nawet prawdopodobieństwa, że agitacja hałaśliwa, obliczona wyłącznie na efekt zewnętrzny, a nie przynosząca samej sprawie żadnego pożytku, wśród ziemian naszych mniej jeszcze, niż dotąd, znajdzie zwolenników.

Większy niepokój, niż wśród ziemian, oceniających na ogół trafnie położenie, wywołał projekt wywłaszczenia wśród ludności włościańskiej, mniej krytycznej, poddającej się łatwiej wpływom postronnym i wierzącej chętniej w pogłoski, kolportowane w łatwo zrozumiałym celu przez rozmaite ciemne osobistości. Dzięki jednak wpływowi inteligencji, dzięki przedewszystkiem przestrogom, zamieszczanym w tak rozpowszechnionej u nas prasie ludowej, i wśród włościan naszych zapanował obecnie spokój i machinacye agentów, namawiających lud wiejski do dobrowolnej sprzedaży osad spotykają się z należytą odprawą.

Zresztą, wszelkie prawdopodobieństwo zdaje się przemawiać za tem, że rząd pruski, przynajmniej na razie, wywłaszczać nie będzie włościan. Wprawdzie nowa ustawa antipolska przewiduje kredyt w wysokości 75 milionów marek na regulowanie gospodarstw włościańskich, ale regulacya ta odbywać się niewątpliwie będzie w inny sposób, nie przez wywłaszczanie chłopów. Najpierw bowiem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w wielu wypadkach przymusowe wyganianie włościan z ojczystej ich zagrody nie obyłoby się bez krwawego starcia pomiędzy właścicielami, a rugującymi ich przedstawicielami władzy; a wywołania takich zająć, które naturalnie odbiłyby się odpowiedniem echem w całym świecie cywilizowanym, obawia się, bądź co bądź, rząd pruski. Dalej, wywłaszczenie włościan sprzeciwiałoby się zbyt jaskrawo całej dotychczasowej polityce ekonomicznej i społecznej rządu pruskiego, streszczającej się we wzmacnianiu drobnej własności ziemskiej. Wreszcie nabywanie za pomocą wywłaszczenia drobnych względnie kawałków ziemi połączone by było ze zbyt wielkimi zachodami i trudnościami. Prawdopodobnie więc włościanie tam jedynie padną ofiarą nowego prawa, gdzie osady ich okażą się niezbędne do zaokrąglenia urządzonych już przez komisję kolonij.

*

*

*

Podług przepisów konstytucyi pruskiej, prawo, uchwalone przez obie izby sejmu, zaczyna obowiązywać po dwóch tygodniach od podpisania go przez monarchę. Ponieważ prawo o wywłaszczeniu podpisane zostało przez króla d. 20 marca r. b., więc uzyskało ono moc obowiązującą w początkach kwietnia i niebawem też działać zacznie nowoczesna ta gilotyna, niebawem komisya kolonizacyjna, wyposażona w nowy ten oręż, rozpocznie swą działalność.

Zaznaczyliśmy już poprzednio, że nie wiadomo dotąd, jakimi motywami komisya kierować się będzie w swej działalności, politycznymi, lub geograficznymi. Skazani jesteśmy pod tym względem wyłącznie na przypuszczenia mniej lub więcej prawdopodobne. Jeśli więc wierzyć można oświadczeniu, złożonemu w izbie panów w toku obrad nad nową ustawą antypolską przez jednego z ministrów, rząd pruski wywłaszczać będzie, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie, majątki, które należą do właścicieli, przebywających stale za granicą. Jeśli chodzi o majątki, należące do tej kategorii, to takich majątków jest kilka w W. Ks. Poznańskiem (Kórnik hr. Jana Zamoyskiego z Zakopanego, Konarzewo hr. Dzieduszyckiego z Galicyi, Gołuchowo ks. Czartoryskiego z Galicyi i inne). Wszystkie prawie te majątki należą do największych, pod względem przestrzeni, tutejszych dóbr ziemskich. Kwestyą jest tylko, czy wywłaszczenie cudzoziemców nie wywoła reklamacyj i zawikłań dyplomatycznych i czy rząd pruski, zwłaszcza w obecnej chwili, gdy państwo niemieckie znajduje się w niezbyt korzystnej sytuacyi międzynarodowej, nazywanej optymistycznie „splendid isolation,” będzie się chciał narazić na takie reklamacye. Co się zaś tycze polskich właścicieli ziemskich, poddanych tutejszych, którzy stale, lub co najmniej większą część roku przebywają za granicą, to jest ich ogółem dwóch, a najwyżej trzech. Ci, podług powszechnego mniemania, padną pierwszą ofiarą nowego prawa.

Ale są to domysły tylko, które potwierdzi lub rozwinie najbliższa już przyszłość. Zbyt długo bowiem zwlekać nie będzie komisya kolonizacyjna z nową swą kampanią, groźniejszą od wszelkich dotychczasowych. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że komisya posiada już dokładny, opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan działania z listą polskich właścicieli ziemskich, skazanych na wywłaszczenie.

Swoją drogą wierzyć można zapewnieniom przedstawicieli rządu, danym zarówno w toku obrad nad projektem wywłaszczenia, jak i w rozmowach prywatnych, że rząd pruski postępować

będzie nadzwyczaj ogólnie i jedynie w razie koniecznej potrzeby uczyni użytek z przysługującego mu nowego prawa. Zważyć jednak należy, że i w tym wypadku jedynie pierwszy krok jest trudny. Skoro więc rozpocznie się wywłaszczenie, to postępować będzie naprzód w coraz szybszem tempie, aż dopokąd nie znajdzie naturalnej swej granicy w finansowej niemocy państwa.

Wprawdzie nowe prawo zastrzega, że obszar przeznaczony na wywłaszczenie nie ma przekraczać 70,000 hektarów (jest to mniej więcej 10 część polskiej własności ziemskiej w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich). Wprawdzie decydujące w pruskim ciełe prawodawczem stronnictwo zachowawcze oświadczyło przez usta swych mówców, że jest to ostatni środek, jaki przyznaje rządowi pruskiemu w jego walce z żywiołem polskim. Ale oświadczenia tego brać nie należy na seryo. Skoro wyczerpie się nowy fundusz, przyznany komisji kolonizacyjnej, skoro wywłaszczone będzie onych 70,000 hektarów, większość sejmu, z zachowawcami na czele, uchwali znów „z ciężkiem sercem,” nowe środki i nową przestrzeń ziemi polskiej, przeznaczonej na wywłaszczenie.

Nadzieje bowiem, wyrażone również przez przedstawicieli rządu, że rząd pruski wogóle uciekać się nie będzie potrzebował do wywłaszczenia, gdyż znaczna liczba polskich obywateli ziemskich, dobrowolnie ofiarowywać mu będzie swoje majątki—na dość kruchych spoczywają podstawach. Być może, że znajdą się tego rodzaju jednostki, pozbawione wszelkiego poczucia narodowego i lekceważące sobie głos opinii publicznej, piętnującej coraz energiczniej takich wyrzutków. Będą to jednak nieliczne wyjątki tylko; ogół zaś obywateli ziemskich wyczerpie wszelkie środki legalnej obrony, apelować będzie do wszystkich instancji sądowych, zanim podda się swojemu losowi, a w każdym razie dobrowolnie nie ustąpi ze swego majątku, nie zgodzi się na przyjęcie sumy, ofiarowanej przez komisję kolonizacyjną, lecz czekać będzie, aż go przemocą usuną z ojcowizny.

*

*

Odpowiedzieć wreszcie należy na pytanie, jak się ukształtują stosunki w ziemiach polskich w Prusach pod grozą nowego prawa? Przedewszystkiem więc srożąc się od całego już szeregu lat walka narodowościowa zaostrzy się do niemożliwości, a zaostrzenie to da się we znaki nie tylko ludności polskiej, ale i Niemcom, zamieszkującym wschodnie kresy pruskiego państwa. Przewidują to i obawiają się tego Niemcy tutejsi, o ile nie zaliczają się bezpośrednio lub pośrednio do panującej biurokracji, i tem się też tłómaczą liczne i energiczne protesty, przeciw projektowi wywłaszczenia, z jakimi wystąpili tutejsi niemieccy obywatele ziemscy i niemieccy kupcy i przemysłowcy. Co się zaś tycze tak zw. „wielkopolskiej agitacji“, która jakoby skłoniła przedewszystkiem rząd pruski do przeprowadzenia tego potwornego prawa, to agitacja ta, o ile ma istnieć w rzeczywistości, a nie jest fikcją, wykombinowaną w łatwo zrozumiałym celu przez hakatystów i biurokratów, nie tylko nie osłabnie, ale zwiększy się raczej. W każdym razie spokojniejsze i rozważniejsze żywioły tutejszego społeczeństwa, pragnące jakiegoś „modus vivendi“ z władzą państwową, w następstwie nowego tego i ohydneho gwałtu stracą resztę swojego wpływu, skazane będą na milczenie, a kierunek życiu naszemu publicznemu nadawać odtąd będzie skrajny i najskrajniejszy radykalizm narodowy. Nowe to, i haniebniejsze od wszystkich dotychczasowych, pogwałcenie praw naszych najświętszych, otworzyło wreszcie oczy i tym, zresztą coraz mniej liczny jednostkom naszego społeczeństwa, które łudziły się jeszcze jakimś nadziejami; przekonało ich, że polityka rządu pruskiego dąży konsekwentnie i nie przebijając w środkach do ostatecznego zgębienia nas, do wyrugowania „per fas“ i „nefas“ żywiołu polskiego z odwiecznych jego siedzib.

Czy dążenie to uwieńczy skutek przewidywany? Rzeczą jest ryzykowną wdawać się w prorocтва. W każdym razie nie należy lekceważyć nowego tego ciosu, który bez naszej winy spadł na naszą głowę. Nie ulega bowiem kwestyi, że z każdą piędzą wywłaszczonej ziemi naszej, ginie ważny bardzo postereunek naszej obrony narodowej. Z drugiej jednak strony nie trzeba popadać w krańcowość przeciwną, przeceniać niebezpieczeństwo i oddawać się rozpacz i zwątpieniu. Zresztą o wywłaszczeniu wszystkiej ziemi polskiej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich nie może być mowy. Stanie temu skutecznie na przeszkodzie brak odpowiednich środków finansowych, nie mówiąc już o tem, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa większość wywłaszczonych polskich właścicieli ziemskich zużyje niezwłocznie

pieniądze, otrzymane za swą ziemię, na zakup majątków ziemskich z rąk niemieckich.

Spółeczeństwo też tutejsze, nie lekceważąc bynajmniej niebezpieczeństwa grożącego mu w następstwie wywłaszczenia, ze spokojem i ufnością spogląda w przyszłość, przekonane, że po tylu ciosach szczęśliwie przetrwanych nie złamie go i nie zgębi ten cios nowy. Zahartowane w długiej i uciążliwej walce nie dopuści demoralizacyi do swoich szeregów. Przedewszystkiem więc nikt nie myśli o dezercyi, o ucieczce z pod narodowego sztandaru. Wywłaszczeni właściciele ziemscy, nie wyniosą się, jak sobie tego życzą i jak się tego spodziewają nasi wrogowie i gnębiciele, z otrzymanem za swą ziemię wynagrodzeniem, za granicę, lecz pozostaną na miejscu i wyposażeni w odpowiednie środki materyalne, czynną grać będą rolę w obronie narodowej. Tak więc rząd pruski samochoć wyhoduje przeciw sobie nowy zastęp gotowych na wszystko agitatorów. Rola zaś tych agitatorów będzie tem łatwiejsza, że znajdą oni posłuch tem bezwzględniejszy, iż wskutek straszliwej krzywdy, świeżo doznanej, uczucie głębokiej nienawiści ku krzywdzicielom, nurtuje cały naród, przenika wszystkie jego warstwy i stany.

KAPE.

LUNA.

XIX.

W przedpokoju lokaj wręczył Pawłowi, gdy ten wychodził od Kamienieckiego, kartkę Maryńci.

„Odwiedź koniecznie i co rychlej Hankę Skibowską—pisała ołówkiem na jakimś bilecie wizytowym—najlepiej dziś jeszcze, jeśli nie będzie zapóźno. Słyszałam, że tam jest źle, trzeba śpieszyć... obiecałeś... przypominam, proszę...”

To energiczne przypomnienie przyszło w porę. Powrót do domu, który stał się pustym, martwym i jakgdyby cudzym, gdzie widok zwłok byłego życia, które zmarło śmiercią nagłą i niespodziewaną, napełniał go trwogą, a z nużącej zadumy nad przyczyną zgonu i przyszłością nie wynikała nadzieja, nie nęcił Pawła, był więc rad skorzystać z pretekstu... Miał kawał drogi przed sobą. Hanka mieszkała w dzielnicy odległej i mało mu znanej, handlowo-żydowskiej, za ogrodem. Błądził trochę, potem z trudnością odszukał w ciemnościach numer czterdziesty ósmy, a na nieoświetlonych schodach właściwe drzwi. Nie chciano go także wpuścić. Ktoś nieuprzejmie zapytywał o nazwisko i cel przybycia—przez szparę nieufnie przyglądały mu się czyjeś podejrzliwe oczy.

— Jestem hrabia Paweł Naborowski — krzyknął zniecierpliwiony.

Tytuł poskutkował. Wszedł... Potem, gdy zastukał do mieszkania panny Skibowskiej, znowu upłynęło kilka długich chwil. Słychać było szept narady...

— Proszę—zabrzmiał niepewny głos. Ktoś z wewnątrz otworzył drzwi.

W zdumionym wzroku Hanki Paweł wyczytał, że ona go nie poznaje. Musiał przypomnieć się pamięci, potem prezentował się matce, potem usiadł—ostatecznie każda wizyta zaczyna się w ten sposób—i milczał zakłopotany. Nieświatowe czy niechętne panie nie umiały mu dopomódz. W tej chwili, gdzieś na korytarzu, zegar wydzwonił dziesiątą. Była tedy godzina najmniej odpowiednia do składania wizyt...

— Zaskoczyłem panie znienacka—rzekł.—Nie zorientowałem się, że jest tak późno...

Panie milczały w dalszym ciągu.

— Dowiedziałem się dopiero dziś, bardzo niedawno, że pani tu bawi i pilno mi było...

— Dziękuję panu...

— Maryńcia Kamieniecka, moja szwagierka, poleciła mi... pragnęłaby widzieć panią... Byłaby niezmiernie rada, gdyby pani zechciała chociażby jutro... — tłumaczył się Paweł, onieśmielony myślą, że przyszedł niepotrzebnie, że zjawienie się jego o godzinie tak bardzo niestosownej wygląda ekscentrycznie,—a on nie uznawał wogóle dziwactwa,—że jest źle przyjęty i źle widziany...

Hanka słuchała obojętnie. Imię młodzieńczej przyjaciółki, miłe i kochane niegdyś, nie obudziło echa i przesunęło się mimo uszu tak, jak przed wzrokiem przesuwa się nazwisko właściciela cukierni na pierwszym lepszym szyldzie... Maryńcia należała do przeszłości, z którą zerwała wszelki związek, która odsunęła się w dal prawie zaświatową i poprostu przestała istnieć...

Wbrew rzymskiej teorii: *in praeteritum non vivitur*, wbrew twierdzeniu poety Hanka przekonała się, że niedola zagarnia i obszar minionych lat, czyni tam spustoszenia, obala drogi pamięci przybytek dawnego szczęścia, jadem przeczenia wyżera gromadzone niegdyś w dobrych dniach doli cenne kruszce uczuć, przekonała się, że fałszywym wymysłem czułych autorów była opisywana w powieściach słodczy rozpamiętywania. W niej rdze cierpienia strawiły ogniwo po ogniwie z łańcucha wspomnień. I padły pod siekierą nieszczęścia wysokie drzewa, szumiące niegdyś nad dąbrową młodości i snuło się po spalonej pustce karczunku szyderstwo. Nie było do czego wracać spojrzeniem i myślą. Zapomniała, nie głową wprawdzie, bo zwoje mózgu, niby archiwum, przechowują akta wszystkich spraw, ale sercem, które wypłuło z siebie całą treść przeżytych na szlaku przeszłości zdarzeń. Na chłodnej tabula rasa znaczyła się tylko teraźniejszość, zawarta w suchej kronice beznadziejnych dni, w zwiezłych wyrazach bólu, które wyczerpały się rychło, a wówczas nuda pisała jednostajne kreski...

Porzuciwszy rozłogi świata zewnętrznego, życie zamknęło się w celkowym więzieniu duszy, oparło się na stanowiącej zawiązek filozoficznego myślenia prawdzie przeciwstawienia: ja—nie ja... pierwsze miało być realny, wcielony w mękę, drugie, owo nie ja, całokształt otaczających ją rzeczy i wydarzeń, ludzie, miasto, rodzina zlewały się w jakowąś niknącą co chwila z przed oczu i uwagi mgławicę... tworzyły nużący świadomość chaos zjawisk obojętnych, nieskończenie dalekich i nierzeczywistych...

Nie mogła tedy uciec się do skutecznie wypróbowanych środków, w których ludzie szukają zapomnienia, odurzenia, złudzeń, którymi, niby świecącą tkaniną, zasłaniają szpetną albo groźną, lichą albo jałową treść życia, i cierpienie jej polegało, gdy ból hańby i ból kochania wypaliły się w sercu, na owym wyłącznym, nieprzerwanym, przymusowym obcowaniu z duszą... A nieraz pragnęła wyrwać się z ciasnego więzienia... Ale wszystkie nici, wiążące w normalnych warunkach t. zw. normalnego człowieka ze światem, były stargane i wszystko, co niegdyś cieszyło jej wzrok, myśli i serce, znajdowało się poza nieprzebytą granicą w kategorii: *nie ja*, w odległych i mgłą zasnutych przestworach. I było błędne koło. Na wysokim szczelble poznania, na który dźwignęła ją męka, znalazła się w próżni i, zmierzwszy duszę, zatęskniła do życia obleczonego w kształt przemijający, którym gardziła jej wiedza... Niezmiernie nużącym było to rozdwojenie. Daremnie szukała „znaku na niebie czy na ziemi,” któryby położył kres rozterce i przerażającej, jakgdyby pośmiertnej samotności, przebywaniu w pustce duszy, i z jakowemś przeczuciem, w niejasnej nadziei oczekiwała rewolucji. Wydawało się jej czasami, że w godzinie, w której zabrzmi wielki dzwon dziejów i w gruzy zapadnie się stary świat, i dla niej nastanie poranek nowego dnia... Z uczuć, którymi dawniej żyło jej serce, nie zostało nic; natomiast wyrosła, niby grzyb na zbutwiałym pniu wywrotu, na pół świadoma nienawiść do starego świata, który napoił ją goryczą, do starych porządków i starej krzywdy... Przypominały się wygłaszane na posiedzeniach partii bojowe hasła, szumne przepowiednie, doniosłe obietnice, rozległe plany, uroczyste zapewnienia; przypominały się spory z Orkiszem, który „na dłoni” ukazywał przyszły ustrój powszechnej szczęśliwości, namiętne dytyramby Orkiszowej i gdy matka nie przestawała narzekać i niepokoić się, ona zżymała się na powolny bieg wypadków i potajemnie życzyła, żeby jak najrychlej nastąpiła noc zagłady... Radowały ją znoszone przez gospodynię groźne wieści, z uznaniem myślała o potędze ludzi, na których skinienie stanęły pociągi, fabryki, tramwaje, w których

ręku były życie i śmierć tego miasta; ze zjadliwą uciechą witała widmo głodu i rzezi... Rzyźniewskiemu, który onegdaj czy wczoraj, czy może bardzo dawno temu — nie liczyła czasu — roztoczył przed nią, mieniające skrzydła ideowe, odpowiedziała chłodnym śmiechem, a sama każdego wieczoru i rana czekała, iż może wreszcie dziś wpadnie do pokoju ktoś zdyszany z okrzykiem, że już się stało, że runęło (co? — nie wiedziała sama), że koniec jest...

To też, gdy niespodzianie, w chwili, gdy matka zabierała się do snu, Paweł zastukał do drzwi, przemknęła w niej dreszczem nadzieja, że to przychodzi zwiastun... Doznała zawodu na widok pospolitego gościa. Przywitała go z niechęcią, przypatrywała mu się z odległości zimno i bezbarwnie, jak Rzyźniewskiemu, jak lokatorowi w palcie koloru electric, którego spotykała na korytarzu. Nie obchodził jej zupełnie, mógł sobie odejść albo i zostać do rana. Ludzie są jak sprzęty w cudzem mieszkaniu, których się nie spostrzega, gdy stoją na zwykłych miejscach, potrzebne na to, żeby nie było przykrej pustki...

Paweł tymczasem opowiadał — zapewne w celu usprawiedliwienia swoich odwiedzin — o stryju Michale, który niezmiernie szanuje „całą rodzinę“ i wspólnej wycieczce do Jaworowa, która zostawiła niezatarte wrażenie, potem zawiązał uprzejmą rozmowę z matką, dopytującą się, jak zwykle, o pociągi. Niezbędna wymiana zdań o rewolucyi, strajku i wyczerpywaniu się zapasów, utyskiwanie matki, wynikające z okoliczności, iż topniały w jej kieszeni ostatnie ruble, z niepokoju o daleki dom... lekceważące wydęcie warg, wzgardliwy wyraz na twarzy możnego pana, który nie obawia się niczego, który rad jest z siebie i z życia...

— Proszę pana — zwróciła się nagle Hanka do Pawła — to przecież nie rewolucya... Ten wyraz na wszystkich ustach i dziwię się... Nie można wielkiego imienia używać do nazywania rzeczy, która niema najmniejszego podobieństwa. Czasy krwawe przyjdą...

Tkwiał w niej, gdy mówiła, niewyraźny zamiar, złośliwa chęć zgnębienia gościa, doczekania się na jego obliczu „bladego“ strachu.

— Czasy krwawe przyjdą, ale nie narodziły się jeszcze... Dopiero początek... Przerazenie padło już dziś na miasto, cóż będzie tedy, gdy wybuchnie na prawdę?... Mali ludzie nie dorosli do rozmiaru zdarzenia... i każdy tylko o katastrofie, o zamęcie, o ruinie ekonomicznej... Nikt niema odwagi zajrzeć w przyszłość a, kto wie, może właśnie ta przyszłość stanie się odrodzeniem dla tych, którzy cierpią... Rewolucya jest dziełem nieszczęśliwych i skrzywdzonych...

Paweł nie zaprzeczył. Stanęły mu w pamięci wieczory, które spędził razem z Hanką Skibowską na zgromadzeniach w dusznych i zadymionych pokojach, długie, przeciągające się do świtu, ogniste wieczory braterstwa i wiary, które kończył bojowy krzyk tryskającej z piersi sprzysiężonych pieśni — i nie zdziwiły go jej słowa. Te same myśli wypowiadał i on przed tygodniem, przed miesiącem...

— Mama tu ubolewa i pan—ciągnęła dalej Hanka—wszyscy z trwogi zamykają oczy i wszyscy kłamią w obłudnej dbałości o dobro kraju. Szczęście ojczyzny nie zależy od tego, kto będzie właścicielem fabryk i ordynacyj... Ojczyzna, to owo nieśmiertelne marzenie, wykołysane w sercach przez wieki niedoli, to ziemia obiecana sprawiedliwości, o której śnią dusze pokrzywdzonych... Całe pokolenia nędzarzy kładły się do mogiły w oczekiwaniu... Któżby z tych, co pracują i obciążeni są, zniósł nikczemne jarzmo życia, gdyby nie nadzieja, że bliskim jest dzień wybawienia, że ujrzy jeszcze znużonymi oczami... A teraz, gdy nastaje ten dzień, wy, którzy żadnego nie macie prawa, rozpoczynacie litanię skarg...—napadała z żarem.

— Pani została wierną idei—bezbarwnie zauważył Paweł.—Spotykaliśmy się z panią przed rokiem w partyi... pamiętam...

W tej chwili i jej przypomniało się posiedzenie, na którym wśród tłumu nieznajomych odnalazła Pawła. Napróżno tedy toczyła proces przeciw temu, który był towarzyszem broni.

— Nie wiem, czy to jest idea, panie—odparła cicho i zamyśliła się.

Spotykał mnie pan wśród nich, ale nie należałam wówczas... Nie czytałam nigdy programów i nie zawsze rozumiałam, o co im chodzi—mówiła wolno, jak człowiek, który przed samym sobą rozwija nową myśl.—Wydaje mi się, że błędzę, że i oni błędzą. Są tam nieszczerze słowa, sztuczne ozdoby, szyldy, etykiety, jest w samem założeniu fałsz...

— A widzisz!—nieśmiało, ale z zadowoleniem wstawiła matka.

— Nie pojmuję, nie uznaję partyjności wogóle, tembardziej tu... Nasuwało mi się nieraz, gdy przyglądałam się z ubocza, spostrzeżenie, że oni dbają więcej o zwycięstwo stronnictwa, niż o rdzeń celu, że podzieliwszy ludzkość na dwie części, pracują tylko dla tego odłamu, który zapisał się do stowarzyszenia... Miłosierdzie chrystyanizmu ogarniało wszystkich bez różnicy, chyba i dziś należałoby... Przypuśćmy, że zapanował głód w kraju i że właściciel jedyne go ocalałego spichlerza rozdaje zboże wyłącznie tym, którzy tę samą, co on, wyznają wiarę...—urwała na chwilę,

jakgdyby ze znużenia.—Głód jest odwieczny i chleba potrzeba... ze wszystkich stron wyciągają się ręce... ci głodni, oni napewno nie bładzą... Nasycenia domagają się biedne tłumy... Każde pokolenie stawia pytanie, każde spodziewa się... odpowiedzi nie było dotychczas i biada temu, ktoby tę odpowiedź dał — blado, bez przekonania kończyła.

Oddawna nie mówiła tak długo. Odczuła znużenie i obojętność... Ostatecznie, co mogło ją obchodzić zagadnienie, czy partya znajduje się na dobrej drodze, czy słuszną jest idea i właściwą taktyka.

— Więc pani przypuszcza, że odpowiedź wypadłaby przecząco—z zajęciem podchwycił Paweł.

— Nie wiem, panie...

Stłumiła poziewanie. Nuda zaglądała do duszy... Nieznośne jej oblicze tkwiło za oknem, przyklejone do szyby. Zaległo milczenie. Pani Skibowska spróbowała coś powiedzieć... Bezbarwne spostrzeżenie o socyalizmie przebrzmiało...

Paweł przyjrzał się Hance z uwagą. W twarzy, którą lubił, która pociągała go wdziękiem świeżości, zostały tylko te same oczy, ogromne, zadumane, chwilami wystraszone; dawniejszy niespodziany, trochę przekorny, niezmiernie charakterystyczny ruch głowy podczas rozmowy przypominał także cichą, pełną słodyczy i uroku dziewczynę minionych czasów — zresztą ze znużonego i zbolatego czoła, z cierpkich dziś a niegdyś cudnie po dziecinnemu skapryszonych ust, z przeraźliwego rysunku wychudzonych rąk, z całej złamanej i bezsilnej postaci spojrzenie czytało dzieje trwającej niedoli. Żałosne wrażenie potęgowała jeszcze niedbałość uczesania i ubioru: ten jakiś luźny, bez paska, niedokładnie zapięty stanik, poszarpane koronki u krótkich rękawów, spódnica dziwnego pod starość koloru, jakieś pantofle...

Podniosła na niego spokojny wzrok, nieskrępowana badaniem. Pozwala patrzeć...

— Pani nie odwiedzi Maryńci?—cicho zapytał.

— Nie... niech pan podziękuje...

W głosie był ów sztuczny ton, właściwy ludziom, którzy długo cierpieli w samotności i w milczeniu, którym pamięć bólu dławii gardziel... Paweł pomyślał, że poraby już wyjść, ale wazyło się w sercu, wahało się na ustach pewne słowo, trudne do wymówienia... To słowo było: pomoc... I bez objaśnień Maryńci od pierwszego spojrzenia odgadłby sam, że stan materyalny tych pań jest, co się zowie, opłakany... Mówiły o nim trwożne i stro-skane oczy matki i ściany pokoju, w którym od szeregu lat nędza

miała schronienie, i suchy chleb do herbaty, niesprzątniętej ze stołu, i miedziaki na talerzu, para wydeptanych do ostateczności kaloszków... Szczególnie wzruszył Pawła widok futra, które wisiało u drzwi, prawdziwie litewskiej „salopy“... Zalaatywał od niej zapach naftaliny, zapach owego kufra na dalekiej wsi, w którym spoczywała na samym dnie, otoczona szacunkiem, starannie przechowywana, jako skarb rodzinny, pamiątka wyprawy; w fałdach wytartego jedwabiu, w szerokim odkładanym kołnierzu kryła się opowieść o dawnych czasach i skarga, że przerwano czcigodnemu nieboszczykowi sen i skazano na wycieranie wagonów, że takich w takim otoczeniu chwil doczekać się wypadło... I przypominały się Pawłowi dzieciństwo, matka, zimowe niedziele, kościół, gdzie panie w podobnych „salopach“ zasiadały w kolatorskich ławach...

— Strajk kolejowy wybuchnął tak nagle—odezwał się i, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, liczył rozsypane na talerzu miedziaki— że wszyscy, a zwłaszcza przyjezdni... opowiadano mi o ludziach bardzo zamożnych, którzy literalnie bez grosza...

— Proszę pana, ani moja matka, ani ja nie potrzebujemy pożyczki—opryskliwie przerwała Hanka.

Na czołe jej wystąpiły pospolite zmarszczki złości. Gdy gość zaczął rozglądać się po pokoju i szperać w jej twarzy, przewidziała, że na tem się skończy wizyta, zrozumiała, że ten był cel niezwykłych odwiedzin i, bojąc się, żeby matka nie zmiękła i nie rozczulila się, pośpieszyła dać odprawę. Odezwały się w niej duma ojca i harda buta ubóstwa, które wzdryga się przed pańską łaską. Gryząc sobie wargi, tłumila wzburzenie i gorzkie słowa o tem, że lepiej umrzeć z głodu... że nie każdy... że nie miał prawa wciskać się do jej życia, szpiegować wścibskimi oczami, dotykać ran człowieka biednego... że nie zawsze jałmużna... że tylko litość brata a nie magnackie miłosierdzie... że może odejść sobie stąd i zapomnieć o jej istnieniu... To wszystko powiedziała gościowi gniewem i odrazą wzroku.

— Miedziaki na talerzu — dodała głośno — to cała nasza kasa... wszystko, co posiadamy... Czy tak, mam?... A jednak nie skorzystamy z pańskiej dobroci... Poczekamy... Rozstrzyga się los takich, jak my... albo śmierć, albo może...

Zaległa cisza. Paweł zwiesił głowę, zakłopotany, zawstydzony, odrobiną zły...

— Rewolucya zwycięży?—zaczepiła go naraz.

— Chyba tak...

— Rewolucya zwycięży! — powtórzyła ze szczególnym naciskiem. — Wierzę i spodziewam się... Gdy pan zastukał do drzwi,

myślałam, że już... Nie za sprawą partyi stanie się to, co ma być... Niepotrzebni są wodze, obejdzie się bez programów... To z piersi zdeptanej, to cierpienie podniosło bunt... I skończy się noc...

Zapłoneły jej oczy i zdawało się, że wyrazy płyną namiętą falą uniesienia.

— Chorowałam w tym pokoju, leżałam tygodnie, miesiące... Nie mając co robić, myślałam... Odsłoniły się przedemną dzieje... Z siebie samej przeniosłam wzrok na innych... ogarnęłam liczbę, wojska, całe zastępy... wsłuchiwałam się w płacz stuleci, w skargę wszystkich mogił na ziemi, pojęłam prawdę człowieka, straszliwą krzywdę, którą jest życie...

Zaśmiała się nagle krótko do siebie samej.

— Ja zawsze podawneinu poetycznie... Minęły czasy ciszy... gniewne są oczy, niedola groźnie potrząsa pięścią i staje do walki, nie z wami, którzy trwożycie się o własność, o przemysł i handel, o partye, o szyldy, bo wy—próchno, ale z przeznaczeniem... W rękę pokornych błysnął nóż... Pokazało się, że z kruchych postronków były pęta, że nie trudno je przeciąć, pokazało się, że brać trzeba... Rozwiała się bajka... Są bajki różnego rodzaju: naukowe, religijne, estetyczne, patryotyczne, społeczne... a wszystkie miały na celu usypianie... I naraz z duszy do duszy powędrowało hasło: żyjmy!...

Paweł przysłuchiwał się biernie i ze znudzeniem, nie mogąc nadążyć za niespodzianemi zwrotami jej mowy. Zresztą Hanka sama gubiła raz w raz wątek... Słowa sypały się z ust, jakgdyby cudze. W sercu wybuchały uczucia, świeciły przez mgnienie i gasły, niby zapaliki—następowała ciemność. Tak samo myśli... Przewodniej nici nie było... Twierdziła i w następnej chwili zaprzeczała, składała najszczerze, rzekłbyś, wyznanie, to znowu z akcentem zniechęcenia wypierała się... budowała i burzyła, gmachy słów rozpadały się... Każda godzina miała inne oblicze... Dusza była, jak scena, która codziennie należy do kogo innego, do tego, kto na niej gra, jak dom bez właściciela, res nullius... Prawdy wstępowały, gościły moment, odchodziły—i pustka trwała...

Ze sztucznym zapalem mówiła gościowi o rewolucyi i miała przed sobą jakiś cel, potem straciła ten cel z oczu... Urwała tak nagle, jak nagle wybuchła. Odwróciła strudzoną wysiłkiem twarz, by ukryć niepokój, patrzyła w ścianę, w to miejsce, które znieawidziła, w kwadrat nad łóżkiem, gdzie podczas choroby, wodząc palcem po obiciu, wypisała historję niedoli, odczytywała fragment dalekiej, zdawało się, przeszłości. Ptak bólu odleciał,

ale został w pokoju jego cień, zostały niewidzialne dla innych pamiętne wyrazy wyrzyte na ścianie... Odzywały się do niej głosem czasów minionych... Uprzytomniła sobie, jak wczoraj po wyjściu Rzyźniewskiego, że cierpienie umarło w niej, że rozpoczyna się nowy okres, a zarazem ukazało się błędne koło... Instynkt samozachowawczy spychał ją z przełęcz, ale kędyż miała zejść, gdy wokoło rozpostarła się nicość? Między światem „ja” i światem „nie ja” runął most połączenia, urwała się droga powrotu... tam, gdzie przebywała dotąd, nie mogła zostawać dłużej, bo była próżnia, dusza przesycona domagała się pokarmu, jakiegos chleba...

— Co to jest życie?—spytała cicho.

Paweł podniósł na nią zdziwiony wzrok. Spoglądały w niego jej oczy, niby dwa gorejące wyrazy męki.

— Spowiadałam się dawno... ostatni raz... przystępowałam do komunii bez wiary.

— Hanko!—jęknęła matka.

— Odeszłam od stołu pańskiego z uczuciem czczości... oczekiwanie cudu, nadzieja duszy, jakieś fizyczne łaknienie, żądza Boga—i nic... pustka, czczość, cikliwa próżnia... nabożne pochylenie głowy, skrzyżowane na piersi ręce... w głowie kilka spostrzeżeń pospolitych...

Nastąpiło milczenie.

— Tak samo z życiem — skończyła — przygotowujemy się, wkładamy świąteczne szaty, spodziewamy się i żaden Bóg nie przychodzi do nas... A gdyby nawet zstąpił... Pamiętam, w dzieciństwie pojąć nie mogłam, że ludzie wprost z kościoła w wielki czwartek wracali do obór, do kuchni, do sprzedaży wieprzów...

Zgubiła wątek i znowu urwała. Nużyło ją niesłychanie to ciągle wikłanie się i krzyżowanie, zachodzenie jednej na drugą myśli. Pragnęła choć raz dotrzeć do rdzenia.

— Przez całe stulecia pracowała, krzątała się, gospodarowała sobie na ziemi ludzkość i przechodziły wieki, jak dni powszednie... Naraz ktoś wysnuł trującą bajkę o życiu-bóstwie, o życiu-uczcie, o radosnem istnieniu i boskiej mocy człowieka... Rozpoczęło się oczekiwanie... sypano jakieś szczyty... tęsknota wybuchła płaczem...

Wiem ja o tem... doświadczyłam na sobie — wyznawała, jak gdyby z lekceważeniem—doszłam do przesyty... Są dwie drogi: zewnętrzna i wewnętrzna... Pierwszej nie znam, ale drugą przemierzyłam i przekonałam się, że krótką jest, że zatacza koło, z którego niema wyjścia, że tron, który ona obiega, że tron ten

ustawiono w centrum chyba tylko po to, ażeby wykazać całą nicłość rozpierającego się na nim monarchy...

Pan zna historję króla, który umarł z głodu dlatego, że każda rzecz w ręku jego przemieniała się w złoto... To samo dziś, zupełnie to samo... czegokolwiek dotkniemy, staje się próchnem, kawałkiem naszego ja... dusza pożera samą siebie i zamknięta w błędnem kole, wciąż powraca do tego miejsca, od którego rozpoczęła pozornie wędrówkę na wyżyny — tłómaczyła coraz bardziej niejasno.

Mówiła to szybko nawałem tryskających skądś, gotowych zdań, to znowu z wysileniem kleciła wyrazy, które umykały... Na czole znaczyły się praca i udręczenie. O słuchaczy, którzy nie rozumieli jej, nie mogli zrozumieć, nie dbała. Zdawało się jej, iż zbliża się do celu.

— Wczoraj chciałam odebrać sobie życie, życie, które nie jest ani uczcą, ani radosnem bóstwem, które może być cierpieniem, albo i hańbą... Nie przeraziłam się śmierci, ale było mi wstyd odchodzić, niby z magazynu, gdzie przerzucało się przez kilka godzin towar... ot, tak z pustemi rękami... wypada zostawić po sobie chociażby drobiazg... I zapytałam siebie...

Spojrzała ku matce, potem na Pawła.

— Mama twierdzi, że życie winno być miłością Boga i ludzi—tej miłości nie mam—że dobro, które czynimy, stanowi treść—co jest dobro? że obowiązek, praca i poświęcenie, dogmaty, zasady, słowem kajdany przepisów, więzienie w cudzem państwie... Przez szereg lat dążyłam, wznosiłam własny zamek, tworzyłam siebie, zdobywałam niepodległe królestwo, i właśnie żądają ode mnie, żebym wyrzekła się, poddała i poddała się, uznała klęskę i bezsilność... Bo prawda nie mieszka tam w głębi, ale zapisana jest w jakiejś książce na dwunastej stronicy, bo człowiek, urodzony w niewoli, skazany na niewiedzę, bo słuchać trzeba władzy narzuconej z zewnątrz... Przemyślałam to wszystko... Popadła w zadumę.

— Zrozumiałam—ciągnęła dalej spokojnie, prawie monotonicznie, jak gdyby bezstronnie zdawała sprawę z jakiegoś zdarzenia, które nie dotyczyło jej samej—że brak mi rzeczy najważniejszej, kamienia węgielnego, jakiejś podpory i osnowy, i zaczęłam szukać... znalazłam próżnię, znalazłam się w błędnem kole... stanęłam na szczęblu, z którego tylko nicość... Bóg doskonały mógłby wystawić świątynię pod własnem wezwaniem, żeby sobie samemu oddawać w niej cześć, ale my, ludzie?... Nie wiem już nic... Wpadam w sprzeczności... Zważyłam o czemś, w co niezachwianie

wierzy każdy człowiek... bez wiary zaś niema życia i to zapewne przyczyna...

Zwracam się tedy do pana — skończyła niespodzianie — niech mi pan wskaże drogę... Zapytuję pana... Nie chcę mądrego traktatu... Pan powie mi poprostu: zrób to albo tamto, idź tam...

W spojrzeniu Pawła odbił się niepokój... Przeniósł wzrok z jej twarzy, szukał ucieczki, liczył poraz drugi miedziaki na talerzu. Hanka dostrzegła tę trwogę oczu i myśli. Niedobry uśmiech wahał się na jej ustach.

— Więc pan... nie spodziewałam się... Gdy pan wszedł tutaj, pomyślałam sobie: ten człowiek nie wątpi nigdy... chodzi po świecie ze swoją prawdą i chętnie udziela zbłąkanym ludziom objaśnień... życie jego, niby mrowisko, a dnie, jak zadowolone z siebie mrówki... Otóż chciałam skorzystać ze sposobności... poprosiłam o pożyczkę... Pamiętam przed rokiem, spotkał mnie pan na ulicy i wykladał...

Urwała, zmiarkowawszy, iż ton szyderstwa staje się niesmacznym. Gość milczał pokornie i rozbrajał... Zgasła w niej dziwna radość, której doznała na widok jego zmieszania.

Była cisza. W pokoju zawisła ciężka chmura, i padał od niej mrok...

— Wydaje mi się, wydaje mi się—rzekła Hanka—że zbliża się zburzenie, że pora jest, że trzeba...

Zatrzymała się w pół myśli i nie chciała kończyć... Nikt nie zapytał, nikt nie zaprzeczył... Tamci milczeli ciągle... Pani Skibowska splótła ręce, jak do modlitwy, spuściła głowę... Wolno płynęły chwile... Hanka wstała, poszła ku oknu, przykleiła twarz do szyby... Nie wracała długo... A oni, matka i gość, siedzieli, nie mówiąc do siebie, jak gdyby w oczekiwaniu... I usłyszeli naraź płacz... Mimowoli oczy Pawła pobiegły w kierunku okna, uczynił jakiś bezradny ruch, niby chciał spieszyć z pomocą, spojrział ku pani Skibowskiej—i wyszedł na palcach, bez pożegnania, uciekł...

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

OSTATNIE DWUDZIESTOLECIE

ewolucyi społecznej w Anglii.

Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!

Z. Krasiński.

Stosunek jednostki do państwa, jako do zorganizowanej zbiorowości, wzajemny do siebie stosunek oddzielnych jednostek i grup, granice ich swobód, i zakres udziału państwa w kontrolowaniu powyższego stosunku i ograniczaniu indywidualnej swobody, dla celów dobra ogólnego — są to normy życia społecznego, zmienne i przekształcające się razem z rozwojem pojęć i powstawaniem nowych potrzeb samego życia. Jako dwie krańcowe doktryny stoją: z jednej strony — „anarchistyczny” indywidualizm, z idealną swobodą jednostki, nieograniczoną żadnymi zewnętrznymi czynnikami; z drugiej — socjalizm kolektywistyczny, ze ścisłą reglamentacją przez państwo działalności i życia jednostek, dążącą do zniewelowania wszelkich różnic, przyrodzonych i sztucznych. Pierwsza doktryna dla swego praktycznego zastosowania przypuszczać musi tak wysoki poziom moralności indywidualnej, o jakim jeszcze teraz marzyć nie możemy; druga wychodzi z założenia, którego nieomyślność wcale nie jest dowiedziona, że narzucone przez państwo prawa i przepisy, będące wytworem zbiorowego rozumu, potrafią z dobrym skutkiem zastąpić, wszędzie i zawsze, inne działające dotychczas czynniki życia społecznego, jak-to moralność osobista, inicjatywę prywatną, dobrowolną umowę i. t. p.

Będąc koncepcjami czysto abstrakcyjnymi, nieliczącymi się z warunkami miejsca i czasu, żadna ze wspomnianych doktryn nie może, sama jedna tylko, stanowić podstawy ustroju społecznego i regulować wewnętrznych stosunków. Dla możliwej pomyślności

jednostek, oraz złożonej z nich wspólnoty — państwa, koniecznem jest jednoczesne uwzględnienie obydwóch leżących w naturze ludzkiej pierwiastków: indywidualistycznego i kolektywistycznego; koniecznym warunkiem trwałości ustroju społecznego jest istnienie obok siebie pewnej swobody jednostki i pewnego przymusu państwa. Nadmierna w danej chwili przewaga jednego z wymienionych pierwiastków, pociąga za sobą dezorganizację społeczeństwa i jakkolwiek rozmaitemi drogami, prowadzi je do upadku.

Jednym z przykładów jest polskie społeczeństwo z czasów niepodległości politycznej. Wybijały indywidualizm, którego ostatnim wyrazem było „*liberum veto*,” a który znajdował przeciwwagę jedynie w *dobrej woli* obywateli, okazał się zbyt słabą spójnią społeczną: nastąpił zanik zdolności do myśli i akcji zbiorowej i państwo, jako takie, w podobnych warunkach istnieć nie mogło. Długoletniego doświadczenia z państwem o ustroju socjalistyczno-kolektywistycznym nie mamy, gdyż zaledwie teraz taka organizacja wytwarza się w Nowej Zelandyi; pomimo jednak krótkiego okresu, już obecnie niektóre jej braki dają się odczuwać.¹⁾ Natomiast mamy wiele przykładów państw politycznych, w których rząd, jako wyraziciel jednostronnie pojętej idei kolektywistycznej, rozciąga swą opiekę i kontrolę nad wszystkimi czynnościami jednostek i dąży do tego, aby samemu regulować, niemal w najdrobniejszych szczegółach, wewnętrzne stosunki. System taki, ścieśniając swobodę i krępując inicjatywę prywatną, daje również niepomysłne dla całego społeczeństwa rezultaty.

Szukanie należytej równowagi między ideą indywidualistyczną a ideą państwowości, w praktycznem ich stosowaniu, stanowi, można powiedzieć, treść wewnętrznej historii narodów; postęp zaś polega na przekształcaniu się form prawnych i życiowych, — wyrażających wzajemny stosunek obu pierwiastków, — odpowiednio do stopnia umysłowości i moralności danego społeczeństwa, w danej chwili. Jedne narody okupują postęp kosztem dotkliwych ofiar, zmiany form społecznych odbywają się u nich

¹⁾ Przywódca angielskiego socjalizmu Keir Hardie odbył w ciągu ostatniej zimy podróż po angielskich koloniach dla propagandy swych idei; obecnie, w celu powstrzymania emigracji z metropolii do kolonii, ogłosił w pismach list kierownika australijskich związków robotniczych, Ben Tillet'a, malujący w najczarniejszych kolorach miejscowe warunki: „płace robotnicze spadły do poziomu *norm głodowych*, odczuwa się brak pracy, a panujący system przymusu i głód łamią serca i życia; naród cały pogrążony w nędzy.” Wiadomym jest, także fakt, że kapitały prywatne wycofują się z Nowej Zelandyi, co przyczyniać się także musi do upadku przemysłu.

drogą rewolucyj i następującej po niej zawsze reakcji; drugie szczęśliwsze unikają w swem życiu bolesych wstrząśnień i rozwijają się drogą normalnej pokojowej ewolucyi.

Do tych ostatnich należy w Europie społeczeństwo angielskie; potężny, imponujący całemu światu rozrost swych sił: moralnych, intelektualnych i ekonomicznych, zawdzięcza ono taktyce ewolucyjnej, opracowanej w szczegółach, stosowanej umiejętnie i dającej się streścić w następujących wyrazach: najprzód ewolucya pojęć, potem ewolucya życia. Na czele ruchu ewolucyjnego stoją ludzie wiedzy i myśli, którzy, rozporządzając obfitym materiałem faktycznym i bezstronnym aparatem naukowym, usiłują wyjaśnić prawa rozwoju społeczeństw i w ramach tych praw, odnaleźć sposoby rozwiązania najbliższych, stojących na porządku dziennym, zagadnień. Wyniki myśli przodowników postępu pochwytyują ludzie życia praktycznego, członkowie stronnictw politycznych, i organizują gorliwą propagandę nowych pojęć w szerokich masach, za pomocą pism, konferencyj, klubów, meetingów i t. p.; ogłaszane są przytem programy nie ogólnikowo-teoretyczne, ale czysto rzeczowe, bezpośredni związek z życiem mające. Opinia publiczna, wytrwale oświecana i przygotowana, znajduje swój wyraz w wyborach do parlamentu, które są też w Anglii, więcej, niż w innych krajach, wskaźnikiem przeważających w społeczeństwie tendencyj i aspiracyj, a nie dziełem przypadku, lub agitacyi charakteru prywatnego. Działalność prawodawcza parlamentu jest ostatniem stadyum odbywającej się ewolucyi: sankcyonuje nieraz dokonane już przez samo życie zmiany i ustanawia prawne normy życia, odpowiadające zmodyfikowanym poprzednio pojęciom i czyniące zadość nowym potrzebom i dążnościom społeczeństwa.

1.

Spółeczeństwo angielskie, jak wiadomo, dzieli się na dwa główne, wielkie stronnictwa: konserwatywne — „torysów“ i liberalne — „whigów.“ Pierwsze jest przedstawicielem idei państwowej, dąży do wzmocnienia państwa na zewnątrz i rozszerzenia kompetencyi rządu w wewnętrznych stosunkach kraju; drugie reprezentuje ideę indywidualistyczną, swobód w szerokiem znaczeniu: swobodnej konkurencyi i dobrowolnej umowy w stosunkach wewnętrznych, wolnego handlu i pokoju — w stosunkach międzynarodowych. Historia Anglii jest obrazem kolejnej zmiany rzą-

dów to jednego, to drugiego stronnictwa; w chwilach komplikacji politycznych, kiedy potrzebną bywa manifestacya na zewnątrz silnego rządu, rozum narodu angielskiego powołuje do władzy stronnictwo torysów, posiadających tradycyę stanowczej i energicznej polityki zewnętrznej; przeciwnie, w okresach pokoju międzynarodowego, kiedy dla inicjatywy prywatnej otwiera się obszerne pole działalności w sferze stosunków ekonomicznych i społecznych—władza przechodzi zwykle do whigów, ludzi o szerokim poglądzie, których liberalizm, opierający się na podstawie nagromadzonej wiedzy i doświadczenia, był zawsze najlepszą rękojmią rozwoju twórczych sił tego narodu. W drugiej połowie XIX stulecia, obydwa stronnictwa wydały ze swych szeregów dwóch typowych przedstawicieli angielskiego konserwatyizmu i liberalizmu, którzy, zmieniając się kolejno na stanowisku prezesa gabinetu ministrów, w ciągu lat kilkudziesięciu dzierżyli w swych rękach ster polityki państwowej; byli to Beaconsfield i Gladstone. Pierwszy, z krwią semicką w żyłach, w głębi duszy niemal fanatyk, na zewnątrz zimny mówca parlamentarny, zawsze panujący nad uczuciem, poeta siły a jednocześnie rozważny, praktyczny polityk, marzył o wszechświatowem imperyum angielskiem, opartem na rzeczywistych zaletach rasy anglo-saksońskiej i budował trwałe jego podwaliny; drugi—humanista filozof z marzycielską duszą Celta, pełen do samego końca młodzieńczego zapału, mówca unoszący się, wierzył w ostateczny tryumf sprawiedliwości, dla jego urzeczywistnienia pracował, pragnąc, aby Anglia swym przykładem ludzkość całą do lepszej prowadziła przyszłości. Wielka szczerość wiary w swój ideał ożywiała każdego z nich, cechowała każdy ich czyn i podnosiła skuteczność ich pracy publicznej; na przestrzeni kilku dziesiątków lat wpływy tych dwóch mężów stanu na życie i politykę angielskie wzajemnie się uzupełniały i wytwarzały tę zadziwiającą w stosunkach angielskich równowagę między gorącym uczuciem, a zimnym rozsądkiem, między teoretyczną zasadą niekępowanej swobody indywidualnej, a realną ideą rządzącej państwowości, między abstrakcyjnym jeszcze wszechświatowym humanitaryzmem, a praktycznym, ściśle określonym, partytyzmem.

W okresie ostatnich dwudziestu lat: 1886 — 1906, z małą przerwą od r. 1902 do 1905, kierunek polityki angielskiej, wewnętrznej i zewnętrznej, spoczywał stale w rękach stronnictwa konserwatywnego. Wybory do parlamentu w r. 1886, 1895 i 1900 stale dawały znaczną większość konserwatywną—do 500 posłów na ogólną liczbę 670 deputowanych w Izbie gmin—w następstwie

czego teki ministeryalne przechodziły do torysów, na których czele stali, po Beaconsfieldzie, Salisbury, Balfour i Chamberlain. Wojna południowo-afrykańska wzmocniła ich stanowisko i zdawało się, że program konserwatywny odpowiada wymaganiom chwili i ogólnym aspiracyom angielskiego społeczeństwa. Tymczasem ostatnie wybory, w początku 1906 r., niespodziewanie dla wielu, okazały się przynębiającą porażką dotychczasowego stronnictwa rządowego, a świetnym tryumfem zreformowanego stronnictwa liberalnego. W skład nowego parlamentu weszło zaledwie 153 konserwatystów; stronnictwo liberalne zdobyło 375 mandatów, nacyonaliści-irlandczycy—83 i stronnictwo robotnicze—53; tworzą oni teraz większość parlamentarną, na której opiera się nowe ministerium liberalne, mając na czele długoletniego popularnego lidera stronnictwa liberalnego, Campbell-Bannermana, człowieka odznaczającego się lojalnością, charakteru i idealizmem, zaletami, które wzbudzają dla niego szacunek nawet w obozie przeciwników politycznych.¹⁾

Oczywiście, w nastroju społeczeństwa angielskiego i poglądach jego na obecne potrzeby nastąpiła poważna zmiana, której przekonywajacem wyrazem są ostatnie wybory. Złożyły się na nią: rezultaty praktycznej działalności stronnictwa konserwatywnego, zasadnicze zmodyfikowanie dawnego programu stronnictwa liberalnego i nakoniec wystąpienie na widownię życia politycznego nowego stronnictwa robotniczego, noszącego nazwę: „niezależnego stronnictwa pracy:“ *Independent Labour Party*. Wszystkie te trzy czynniki razem spowodowały ewolucję pojęć, jaką przebyło angielskie społeczeństwo w ciągu ostatnich 20 lat i która powinna znaleźć dla siebie realne formy życiowe w prawodawczej działalności obecnego parlamentu. Przypatrzmy się teraz z osobna każdemu ze wspomnianych czynników.

1) Szczegóły wyborów są następujące. W Anglii, jak wiadomo, nie ma powszechnego, równego głosowania; przy ogólnej liczbie ludności 45 milionów, z prawa wyboru do parlamentu korzysta przeszło 6 mil. osób (w Niemczech, przy powszechnem głosowaniu do parlamentu, na 61 mil. ludności jest 12½ mil. wyborców); przy ostatnich wyborach złożonych było 5,600,000 kartek wyborczych; z nich 2,800,000 na kandydatów liberalnych, 2,300,000—na konserwatywnych i 500,000 — na robotniczych; pomiędzy wyborcami okazało się 34,309 czyli 0,6% nieumiejących pisać.

Stronnictwo konserwatywne, wierne idei państwowości, za główne swe zadanie stawia: rozszerzenie interwencji państwa w sferze stosunków wewnętrznych i wzmocnienie stanowiska państwa w stosunkach międzynarodowych. Wypływa stąd z jednej strony program prawodawstwa socjalnego, ograniczającego swobodę dobrowolnej umowy i konkurencyi; z drugiej — program reform militarnych, a przede wszystkim wytworzenie ścisłej łączności metropolii angielskiej z koloniami drogą traktatów handlowych, ograniczających dotychczasową wolność handlu. Obietnicą reform socjalnych stronnictwo konserwatywne pociągnęło do siebie klasę robotniczą, a wizją wszechświatowej federacji anglosaksońskiej — szerokie masy, w których, obok realnych interesów chwili, żyje głębokie, sięgające w dalszą przyszłość, uczucie patriotyzmu. Tem się objaśniają zwycięstwa, odniesione przez stronnictwo konserwatywne przy wyborach do parlamentu w r. 1874, po dwudziestoletnich rządach gabinetu liberalnego, i następnie w latach 1886, 1895 i 1900. Sposób jednak wykonania programu, oraz rezultaty, osiągnięte przez rząd torysów, zawiodły pokładane w stronnictwie konserwatywnem nadzieje i przyczyniły się do jego upadku w r. 1906.

Rzeczywiście, z szeregu zapowiedzianych reform socjalnych, wykonanemi zostały bardzo nieliczne i niemające przytem doniosłego znaczenia. Najważniejszymi z nich są: w r. 1892 *Small Allowments Act* — prawo ułatwiające, ze znacznymi jednak ograniczeniami, powstawanie drobnej własności ziemskiej; prawa z r. 1893 i 1897 o cywilnej odpowiedzialności pracodawców za nieszczęśliwe wypadki z pracownikami;¹⁾ prawo z r. 1895, dopełnione w r. 1902, regulujące pracę kobiet i dzieci, oraz ustanawiające pewne ogólne przepisy higieny i bezpieczeństwa pracy w fabrykach. Po nowych wyborach w r. 1900, kiedy do parlamentu weszli w znacznej liczbie przedstawiciele kapitału i przemysłu (163 właścicieli ziemskich, 60 bankierów, 164 przemysłowców i kupców), zajął on, można powiedzieć, wręcz nieprzychylny względem klasy robotniczej stanowisko; rozpoczęła się wyraźna akcja przeciw Trade-Unionom. Organ stronnictwa konserwatywnego *Times*, w szeregu artykułów,

1) W Anglii prawo odpowiedzialności pracodawcy za nieszczęśliwe wypadki rozciąga się i na służbę domową; do nieszczęśliwych wypadków, dających prawo do odszkodowania, zaliczone są także niektóre choroby profesjonalne.

zatytułowanych „Kryzys angielskiego przemysłu,” w r. 1901—1902, zarzuca wprost związkom robotniczym, że członkowie ich trzymają się systematycznie przy pracy tak zwanej metody: „*ca’canny*,” t. j. opieszałości w robocie („obstrukcja” — według naszego, „sabotage” — według francuskiego wyrażenia), że są przeciwni rozwojowi mechanicznych urządzeń w fabrykach, opierają się stosowaniu płac akordowych i takim postępowaniem powodują napływ do kraju wyrobów niemieckiego przemysłu („*made in Germany*”). Na zasadzie wyroku najwyższej w Anglii instancji sądowej, osobnej komisji Izby lordów („*law lords*”), Trade-Uniony zostały kilkakrotnie skazane na wysokie kary za szkody wyrządzone przez strejki wybuchłe bez uprzedzenia; tak np. w r. 1901 Trade-Union pracowników kolejowych linii Tafftal, w okolicach Cardiffa, musiał wypłacić dyrekcji sumę 23,000 funt. szterl.¹⁾ W końcu, od r. 1903, doszło do tego, że parlament systematycznie odrzucał wszystkie projekty praw, wnoszone przez przedstawicieli stronnictwa robotniczego, jak to: projekt uregulowania prawodawstwa o związkach (odpowiedzialność związku za postęпки oddzielnych swych członków), projekt prawa o zakładaniu kolonij robotniczych, o reglamentacji długości dnia roboczego w kopalniach i t. p.

Reformy wewnętrzne, od których klasy niezamożne spodziewały się polepszenia warunków życia, znikają stopniowo z programu parlamentarnego, a miejsce ich zajmują albo projekty praw, korzystnych dla kapitalistów i przemysłowców, np. *Licensing Act* — prawo znoszące dawne ograniczenia w handlu spirytualiami, albo też kwestye, związane z polityką zewnętrzną. Stronnictwo torysów przestaje być „stronnictwem reform,” a przekształca się wyłącznie w stronnictwo „unionistyczne,” czyli imperyalistyczne. Minister kolonij, Chamberlain, człowiek posiadający, obok umysłu praktyczno-uitylitarnego, przysłowiową dumę angielską i fanatyczną wiarę w posłannictwo rasy anglo-saksońskiej, podejmuje spuściznę ekonomiczno-politycznych teoryj Beaconsfielda, nadaje im formę realnego programu i sam występuje w roli apostoła idei imperyalistycznej: „*missionary of Empire*,” jak sam się o sobie wyraża. Pierwszym krokiem do przyszłej unii politycznej całego świata anglo-saksońskiego ma być teraz unia celna, rodzaj nie-

¹⁾ Podobny wyrok, skazujący związek robotniczy na zapłatę szkód, wynikłych z ogłoszonego „bojkotu” wydał świeżo (w lutym 1908 r.) najwyższy trybunał w Stanach Zjednoczonych.

mieckiego Zollverein'a; potrzeba jej daje się już obecnie odczuwać. Przemysłowi angielskiemu coraz bardziej zagraża konkurencja z przemysłem Niemiec i Stanów Zjednoczonych, rozwijającym się pod opieką ceł ochronnych; eksport produktów angielskich, oprócz maszyn, węgla i koksu, w ostatnich latach stale się zmniejsza; co zaś do rolnictwa angielskiego, to jest ono w stanie wyraźnego upadku, wskutek wolnego, bez cła, dowozu do kraju produktów rolnych. Należy więc bronić przemysł angielski, stwarzając dla niego za pomocą traktatów handlowych i towarzyszących im ceł dyferencyalnych (różniczkowych) uprzywilejowane rynki zbytu w koloniach i jednocześnie podnieść rolnictwo angielskie, ustanawiając cła wwozowe na zboże i mięso, dowożone do metropolii z innych krajów, z wyjątkiem kolonii angielskich.

Propaganda unionistyczna prowadzoną była energicznie za pomocą pism, broszur, poważnych opracowań statystyczno-ekonomicznych, meetingów i osobistych konferencji Chamberlaina; początkowo obudziła ona entuzjazm, olśniewając wyobraźnię angielską widzeniem przyszłej potęgi wszechświatowej; Chamberlaina spotykano w rozmaitych miastach owacyjnie; na wezwanie jego do ofiar, jakie ponieść wypadnie dla urzeczywistnienia jedności świata anglo-saksońskiego, odpowiadano okrzykiem: „*Empire for ever*.” Pierwsze uniesienie patryotyczne jakby zagłuszyło na razie wrodzoną narodowi angielskiemu niechęć do wszelkich gwałtownych, zasadniczych zmian istniejącego systemu; potem jednak przyszła rozważa i zaczęto zastanawiać się nad realnymi następstwami „wielkiego projektu.” Podniesienie się kosztu życia w Anglii przez wprowadzenie ceł wwozowych na materiały spożywcze, oraz zwiększenie się wydatków wojennych na utrzymanie potęgi państwa, a więc i konieczność podniesienia stopy opodatkowania—przedstawiły się, jako fakty, nieulegające wątpliwości i bezpośrednio najdotkliwsze dla niezamożnej części narodu; tymczasem ogólne korzyści ekonomiczne, dla których ofiary powyższe miały być ponoszone, pozostają, jak w chwili obecnej, tak i na przyszłość, tylko mniej lub więcej prawdopodobnymi przypuszczeniami i nie mogą być za niezbite pewniki uważane.

Z powstałych w umysłach wątpliwości skorzystało stronnictwo liberalne i przedstawiło opinii publicznej swój program, który nie żądając od społeczeństwa nowych ofiar, podaje inne sposoby dla zapewnienia rozwoju przemysłu i podniesienia rolnictwa w Anglii. Wyniki wyborów do parlamentu z r. 1906 dowiodły, że imperyalistyczna propaganda, z projektem ograniczenia wolności handlu, nie pozyskała dla siebie większości narodu; wię-

kszość ta stanęła po stronie nowego programu stronnictwa liberalnego. ¹⁾

Gdy do stronnictwa konserwatywnego należą przeważnie w Anglii przedstawiciele arystokracji rodowej i pieniężnej, natomiast stronnictwo liberalne ma charakter demokratyczny i w skład

¹⁾ Ogólnem dziś zjawiskiem we wszystkich krajach Europy jest wzrastająca stale drożyzna przedmiotów pierwszej potrzeby, będąca następstwem polityki celnej, koniecznej ze względów finansowych; cła bowiem stanowią jedno z głównych źródeł dochodów każdego skarbu. Skutkiem drożyzny cierpią głównie niezamoże klasy narodu i np. w Niemczech dopominają się teraz energicznie zniesienia cel wwozowych na produkty spożywcze. Tymczasem, w Anglii, dzięki jej polityce celnej, t. j. dzięki dowozowi bez cła, ceny spożywczych materiałów nie ulegają stałejwyżce, jak to widać z następującej tablicy, w której, dla łatwości porównania, ceny z r. 1900, przyjęte są za 100:

	w r. 1885	w r. 1890	w r. 1895	w r. 1900	w r. 1903
Cena chleba	110	121	85	100	111
„ kartofli	146	125	146	100	109
„ mięsa wołowego . .	126	96	96	100	101
„ „ baraniego . .	126	115	96	100	106

Projektowane przez Chamberlaina cła wwozowe, podnosząc ceny chleba i mięsa, zwiększyłyby przypuszczalnie odpowiedni wydatek na *jednego* mieszkańca Anglii o 2 $\frac{1}{2}$ schel., t. j. mniej więcej o 1,20 rb. rocznie.

O rozmiarach handlu angielskiego dają pojęcie niżej przytoczone cyfry, wyrażające w niemieckich markach wartość wwozu i wywozu kilku ważniejszych państw w r. 1906.

	wartość wwozu	wartość wywozu
Stany Zjednoczone . . .	4.931 mil. mar.	7.215 mil. mar.
Niemcy	7.851 „ „	6.125 „ „
Francya	4.236 „ „	4.085 „ „
Rosya	1.257 „ „	2.262 „ „
Anglia	12.421 „ „	7.675 „ „

Za ostatni 1907 rok cyfry angielskiego handlu są wyższe, niż w r. poprzednim, a mianowicie:

Wwieziono do Anglii rozmaitych

towarów za sumę 645.904.175 funt. szterl., czyli 13.176 mil. mar.

Wywieziono z Anglii rozmaitych

towarów za sumę 426.204.597 „ „ „ 8.692 „ „

Z ogólnej aumy wwozu przypada: 45% na produkty spożywcze, 35% — na surowe materiały do fabrykacji (np. bawełna) i 20% na wyroby gotowe; co zaś do wywozu, to 12% stanowią materiały surowe, głównie węgiel i koks. a reszta, t. j. 88% — różne gotowe wyroby fabryk.

jego wchodzi, obok stosunkowo niewielkiej liczby lordów — potomków dawnych whigów — większość przedstawicieli swobodnych profesyj i cała masa drobnej burżuazji.¹⁾ Przewodnią ideą stronnictwa jest idea indywidualistyczna, z której logicznie wypływa ograniczenie kompetencji państwa do ściśle określonych funkcji, a natomiast rozszerzenie swobód indywidualnych i zakresu działania prywatnej inicjatywy, jako najsilniejszego czynnika postępu społecznego. Nie przyznając państwu prawa kontrolowania „dobrowolnej umowy,” *klasyczny* liberalizm pozostawia szerokie pole dla „wolnej konkurencji“ i „wolnej wymiany,” wierząc, że one same są w stanie skutecznie regulować wewnętrzne stosunki i doprowadzić do pożądanego dla ogólnego dobra harmonii prywatnych interesów. Doktrynerzy liberalizmu, jak np. Spencer, dochodzili do tego, że pauperyzm uważali za nieunikniony, a nawet do pewnego stopnia pożyteczny w życiu społecznym czynnik, który usuwa słabe pierwiastki (leniwych i nieprzezornych) i w ten sposób wzmacnia organizm narodowy. Do wyznawców „klasycznego“ liberalizmu należał także Cobden, człowiek czynu więcej niż naukowych teoryj, „apostoł taniego chleba i międzynarodowego pokoju“ — jak go w Anglii nazywają, którego wytrwałej propagandzie Anglia zawdzięcza zniesienie ceł zbożowych i wogóle wprowadzenie w życie zasady wolnego handlu.

Z biegiem czasu, pod wpływem z jednej strony humanitarno-filozoficznych poglądów takich myślicieli, jak Carlyle, Ruskin, z drugiej pod wpływem ogólnych ekonomicznych teoryj Stuarta Milla i Bentham'a, oraz szczegółowych statystyczno-ekonomicznych badań życia (np. prac C. Booth i Rowntree), początkowy liberalizm uległ znacznym modyfikacyom. Zachwiana została wiara w nieomylność zasady wolnej konkurencji, a nawet w nienaruszalność zasady prywatnej własności; w łonie stronnictwa wytworzyła się grupa o odcieniu radykalnym, która wkrótce zdobyła w niem przewagę. Zmieniły się teoretyczne podstawy liberalnego

¹⁾ Typowym przedstawicielem jednego, względnie nielicznego, odłamu angielskiej arystokracji jest Balfour, następca Salisburego na stanowisku prezesa ministrów. Spadkobierca umysłowej kultury, całego szeregu pokoleń, arystokrata myśli i estetyk, którego obchodzą żywo najwyższe zagadnienia religii i nauki, nie posiada on już zdrowej energii czynu, charakteryzującej ogół angielski, gdyż paraliżuje ją wyrafinowany Hamletowski sceptycyzm. Brakiem jasnego programu, oportunistem w polityce, wyniosłą obojętnością w traktowaniu spraw życiowych i ludzi, kompromituje swe stronnictwo, zraża opinię publiczną i przyczynia się do upadku gabinetu.

programu i stracił on swój ogólnikowy doktrynerski charakter; reformy socyalne zajęły w nim pierwsze przed reformami politycznymi miejsce i sam program stał się zbiorem praktycznych, utilitarnych projektów. Wydana w r. 1902 z przedmową Asquitha, obecnego ministra finansów, książka H. Samuela, p. t. „*Liberalism*,” będąca jakby manifestem wyborczym stronnictwa, daje dokładne pojęcie o ewolucyi, jaka się odbyła w ostatnich latach w „*National Liberal Federation*.” Zawiera ona nietylko odpowiedzi na realne zagadnienia chwili, ale jeszcze obraz ustroju społecznego, odpowiadającego ideałowi stronnictwa i wskazuje drogi wiodące do jego urzeczywistnienia. Dla charakterystyki głównych zasad nowego programu liberalnego, któryby można nazwać „liberalno-radykalnym,” przytaczam tu niektóre z wypowiedzianych w wspomnianym „manifestie” poglądów na kwestye społeczne.

Przedewszystkiem stronnictwo nie chce się uważać za przedstawiciela jednej tylko grupy lub klasy społecznej, ale za przedstawiciela wspólnych interesów całego narodu, gdyż „przyszły postęp powinien być postępem wszystkich.” W obecnej chwili warunki życia są takie, że swoboda indywidualna istnieje tylko w teorii, w rzeczywistości zaś, pomimo sankcyi prawnej, jest złudzeniem. Tak np. robotnik jest niewolnikiem swego otoczenia, złego mieszkania, długiego dnia pracy, a głównie braku wykształcenia i oświaty.

Tak zwana „wolność pracy,” prawo robotnika do jej zmieniania, do zawierania „dobrowolnej” umowy — są to teoretyczne przywileje, z których robotnik w rzeczywistości korzystać nie może, podobnie jak podróżny nie może opuścić pędzącego z nim pociągu, lub zmienić tegoż szybkości.

W imię więc samej swobody, interwencya państwa jest usprawiedliwioną, jeżeli ma na celu oswobodzenie jednostki od czynników, swobodę indywidualną krępujących. Interwencya ta jednak powinna się ograniczyć tylko do zaoszczędzenia jednostce nadzwyczajnego wysiłku, nadzwyczajnego zużycia energii przy pokonywaniu życiowych trudności, ale nie powinna przekształcić się w protegowanie niezaradności i nieprzezorności i osłabić zaufanie jednostki do własnych swych sił.

Dotychczasowa zasada życia ekonomicznego: „laissez faire, laissez passer” musi, ze względu na dobro ogólne, być zastąpiona przez odpowiednie prawodawstwo socyalne, dążące do wytworzenia możliwie jednakowych dla wszystkich warunków zewnętrznych rozwoju i życia, gdyż dopiero wtedy „wolna konkurencya” da zwycięstwo tym, którzy są rzeczywiście najlepszymi i najzdol-

niejszymi. Swoboda indywidualna może być tylko środkiem; celem zaś powinno być zapewnienie wszystkim możliwie najlepszego życia. Do takiego celu zmierzać winny usiłowania oddzielnych jednostek, a również działalność państwa, jako organizacyi, przeznaczonych do akcji zbiorowej; po okresie indywidualizmu anarchistycznego następuje era wolnych asocyacji pod kontrolą państwa: niemoc wysiłków indywidualnych zastąpi harmonia sił zgrupowanych.

Z przytoczonych ustępów widzimy, że program neo-liberałów otwiera sięgające daleko perspektywy reform socyalnych, mających głównie na celu warunki życia klas pracujących. To samo stronnictwo, które w 1874 r. wskutek upartej niechęci Gladstona do interwencji państwa w sprawie prawodawstwa o związkach i reglamentacyi pracy kobiet, straciło sympatyę robotników, a następnie władzę; które powtórzyło takąż omyłkę w r. 1886—podejmuje obecnie, wystawiony początkowo przez torysów, ale w ostatnim czasie przez nich porzucony, program reformatorski i zbliża się dla wspólnej pracy do parlamentarnego stronnictwa robotniczego. „Wielkiemu,“ ale zasłoniętemu mgłą niewyraźnej jeszcze przyszłości, projektowi koalicyi unionistycznej, który za pomocą celów ochronnych i traktatów handlowych chce zapewnić ogólną pomyślność i jednocześnie potęgę militarną, stronnictwo liberalne przeciwstawia realny, dążący do tegoż celu, ale wykonalny niezwłocznie program reform: agrarnej, oświaty ludowej, systemu opodatkowania i prawodawstwa robotniczego.

Będąc stanowczymi przeciwnikami nacyonalizacyi ziemi, neo-liberali uważają jednak za konieczne rozdrobnienie własności ziemskiej, obalenie monopolu landlordów i wytworzenie małych gospodarstw rolnych, czy to na prawach własności, czy też czynszu wieczystego, chociażby nawet drogą wywłaszczenia, do którego powinny mieć prawo Rady Okręgowe (*County Councils*), jak obecnie już z niego korzystają zarządy miejskie, na zasadzie *Small Holdings Act*. W ten sposób, bez celów wwozowych na zboże i mięso i bez podrożenia życia, rolnictwo krajowe może być podniesionem.¹⁾

¹⁾ *Small Holdings Act* daje zarządom miejskim prawo wywłaszczać, w niektórych wypadkach, na potrzeby miast, np. na budowę kolonij robotniczych, pewne kategorie gruntów, głównie leżące odłogi; nie podlegają wywłaszczeniu: parki, ogrody, uprawne grunta folwarczne i t. p. Pomimo zasadniczej różnicy, jaka istnieje między angielskim prawem, a pruskim projektem wywłaszczenia polskich właścicieli ziemskich przez komisję kolonizacyjną, co do przyczyny, sposobu stosowania i celu wywłaszczenia, ministrowie pruscy dla usprawiedliwienia rządowego projektu powoływali się na *Small Holdings Act*.

W oświacie ogólnej i wykształceniu fachowem neo-liberali widzą skuteczniejszy od traktatów handlowych środek dla rozwoju krajowego przemysłu. Różniąc się w poglądach z konserwatystami, uznają za celowe dążyć do zmniejszenia wydatków wojennych, aby zaoszczędzone sumy zużytkować na szerzenie oświaty i założenie brakujących w Anglii szkół profesjonalnych dla robotników; za pomocą odpowiednio uzdolnionych robotników, spodziewają się zwalczać z powodzeniem konkurencyję przemysłu niemieckiego i amerykańskiego.¹⁾

Ze względu również na dobro ogólne, program liberalny przewiduje potrzebę prawnego ograniczenia handlu spirytualiami, zniesienia ustanowionego przez konserwatywny parlament korzystnego dla handlujących prawa: „*Licensing Act*,” a natomiast rozszerzenia kompetencji Rad Okręgowych („*County Councils*”) w wydawaniu miejscowych przepisów w celu popierania wstrzemięźliwości. Według przedstawionego już parlamentowi przez ministra skarbu Asquitha projektu nowego prawa, w ciągu 14 lat będzie skasowanych w Anglii do 30.000 patentów na handel spirytualiami, czyli $\frac{1}{3}$ ogólnej ich liczby.²⁾

W kwestyi podatków, neo-liberali dążą wogóle do sprawiedliwszego ich podziału między rozmaitemi klasami, względnie do stopnia ich zamożności; tak np. dla zmniejszenia ciężaru podatku dochodowego (*Income Tax*), przypadającego na klasę stosunkowo uboższą, projektują podniesienie normy osobistego dochodu.

¹⁾ Według przedstawionego teraz parlamentowi przez liberalny gabinet budżetu na r. 1908/9 wydatki na armię lądową mają wynosić 27.459.000 funt. szterl., t. j. o 309.000 f. st. mniej, niż w roku poprzednim; wydatki na flotę wyniosą 32.319.000 f. st., czyli o 900.000 f. st. więcej, wskutek podrożenia materiałów (np. węgla) i podniesienia płac; w poprzednich latach wydatki na flotę były jeszcze wyższe.

²⁾ O ekonomicznem znaczeniu nowego prawa można sądzić z tego, że w Anglii w browary i gorzelnie włożonym jest kapitał do 300 mil. funt. szterl., a w przemyśle tym pracuje około $1\frac{1}{2}$ mil. ludzi; zainteresowani przemysłowcy postanowili w całym kraju prowadzić energiczną propagandę przeciw rządowemu projektowi i zebrali na ten cel sumę 100.000 funt. szterl. Dołącza się tu jeszcze do względów ogólnej wstrzemięźliwości, konkurencja między fabrykantami piwa i wódki, a fabrykantami kakao i czekolady, gdyż ci ostatni chcieliby swemi wyrobami zastąpić spożycie spirytualii. Oprócz prawa, ograniczającego handel spirytualiami zasługuje jeszcze na uwagę bill, wniesiony do parlamentu, zabraniający sprzedaży tytoniu dzieciom do lat 16, a tym ostatnim palenia tytoniu na ulicach i w miejscach publicznych.

rocznego, nie podlegającego opodatkowaniu, ze 160 funt. szt., jak to jest obecnie, do 300 funt. szerl.

W sprawie upaństwowienia rozmaitych gałęzi przemysłu (kolei, kopalni i t. p.), neo-liberali dalecy są od socjalistycznej doktryny, której słuszność nie jest według nich wcale dowiedziona, że państwo potrafi uczciwiej, lepiej i korzystniej dla społeczeństwa prowadzić przedsiębiorstwa przemysłowe, niż to czynią osoby prywatne. Podczas niedawnych rozpraw w Izbie gmin, z powodu wniosku o upaństwowieniu kolei w Anglii, na wzór, jak to już zrobiono w Prusach i Włoszech, minister handlu, Lloyd George odpowiedział, że jest to kwestya nie socyalnej reformy, ale czysto tylko ekonomiczna i zanim będzie powzięta jakakolwiek akcyja prawodawcza, musi być poprzednio jeszcze zebrany faktyczny materiał dla należytego wyjaśnienia zalet oraz wad, zarówno prywatnej, jak i rządowej gospodarki na kolejach.

W ogólnej kwestyi ordynacyi wyborczej, stronnictwo liberalne jest w zasadzie za stopniowem rozszerzeniem prawa wyborczego i nawet za udzieleniem go także kobietom; nie uważa jednak tej kwestyi za pilną. Ze swej strony angielskie „sufrażystki“ prowadzą teraz bardzo energiczną i głośną propagandę dla przyspieszenia decyzyi parlamentu, a wobec wypowiedzianych przez kilku ministrów (Asquitha i Haldana) nieprzychylnych zdań, upatrują w liberalnej Izbie gmin i w liberalnym gabinecie większego nieprzyjaciela swych dążeń, niż w izbie lordów.

Program prawodawstwa robotniczego jest bardzo obszerny; porusza wszystkie żywotne dla klasy robotniczej sprawy, jak to: ubezpieczenie na starość, długość dnia pracy, kwestyę tanich mieszkań i t. p. O szczegółach programu będzie mowa niżej; tu zaznaczyć tylko trzeba, że stronnictwo liberalne w silnym stopniu uwzględnia teraz potrzeby i aspiracye klasy robotniczej; w ostatnich czasach, w parlamencie, stronnictwo głosowało zawsze, jakkolwiek bez pomyślnego skutku ze względu na większość konserwatywną, za projektami praw, wnoszonymi przez „niezależne stronnictwo pracy.“ Porozumienie obu stronnictw jest widocznem i przyczyniło się niewątpliwie do zwycięstwa liberałów przy wyborach do parlamentu w r. 1906. Imponującą manifestacyą zawartego przymierza był zorganizowany przez liberałów w całej Anglii w r. 1904 uroczysty obchód setnej rocznicy urodzin Cobdena. Przy oddaniu hołdu pamięci człowieka, który chociaż był przeciwny interwencyi państwa do wewnętrznych stosunków życia przemysłowego, odczuwał jednak silnie potrzeby swego czasu i przyczynił się potężnie do podniesienia dobrobytu klas pracujących — spotkali się

z jednej strony członkowie rozmaitych stowarzyszeń liberalnych i klubów radykalnych, przedstawiciele inteligencji, burżuazyi i kupiectwa, z drugiej przedstawiciele związków robotniczych (*Trade Unions*) i stanu włościańskiego (*tenant farmers*).

II.

Najważniejszym, być może, czynnikiem ewolucyi społecznej w Anglii, w ostatnim dwudziestoleciu, jest coraz większy udział w życiu publicznem klasy robotniczej, reprezentowanej w parlamencie przez „niezależne stronnictwo pracy“ (*„Independent Labour Party“*); pod wpływem tego stronnictwa zmieniały się programy liberałów i konserwatystów; ono też wysunęło na pierwszy plan program reform socyalnych.

Obecne znaczenie *Labour Party* jest logicznem następstwem tej doskonałej organizacyi, do jakiej doszły angielskie związki robotnicze (*Trade-Uniony*) i tej rozumnej taktyki, jaką w swem postępowaniu przyjęły. Z jednej strony życie związkowe, ze swym kształcącym wpływem, z drugiej — nabyte przez szereg lat doświadczenie i umiejętność wyprowadzania z tegoż pożytecznych wniosków, sprawiły, że dziś klasa robotnicza w Anglii nie stanowi już „państwa w państwie,“ nie wyodrębnia się, jak to jest jeszcze w innych krajach, pod wpływem jednostronnych doktryn, od reszty społeczeństwa, mając jedynie klasowy interes na celu, ale w silnem poczuciu solidarności z innemi warstwami narodu, staje do wspólnej pracy nad stopniowem doskonaleniem społecznego ustroju. Dla robotnika angielskiego źródłem energii czynów nie jest już hasło nienawiści klasowej, obliczone na rozbudzenie drzemających w człowieku namiętności i instynktów drapieżnych; nie jest również dogmatem, obliczona na krótkowidztwo ograniczonego umysłu, rewolucyjna doktryna „akcyi bezpośredniej“ (*action directe*), czyli bezwzględnej walki klasowej, będącej jakoby jedynym skutecznym środkiem dla zdobycia lepszych warunków bytu klasy robotniczej. Miejsce dawnych „wierzeń“ i oderwanych formułek zajęło wysnute z samego życia przeświadczenie, że trwały postęp zdobywa się powoli, a kwestya robotnicza jest tylko jedną z wielu w całokształcie wewnętrznych stosunków społeczeństwa i od tegoż całokształtu zależną; koniecznym zaś warunkiem pomyślności klasy robotniczej jest wzmocnienie się jej własnych sił: moralnych, intelektualnych i materyalnych.

Zasady takie od pewnego czasu kierują działalnością angielskich Trade-Unionów i wpływ ich rozciąga się jeszcze na liczne szeregi robotników, oficjalnie do związków nie należących.

Historia ruchu robotniczego w Anglii, czyli historia rozwoju Trade-Unionów, zawiera dużo pożytecznych nauk i dla innych społeczeństw; trzeba tylko umieć z nich korzystać. Nie zawsze była ona pogodną, jak obecnie; miała także swoje okresy zamętu i zaślepienia, podobne do tego, jaki my obecnie przeżywamy, ale ostatecznie angielski organizm społeczny wyszedł z prób zwycięsko. ¹⁾

Początku Trade-Unionów szukać należy jeszcze w XVIII wieku; upadek średniowiecznych korporacji cechowych, które, chociaż kępowały do pewnego stopnia swobodę jednostki, rozciągały jednak nad nią skuteczną opiekę; powstanie, wskutek wprowadzenia maszyn, na miejscu dotychczasowych rzemiosł, *wielkiego* przemysłu, o charakterze kapitalistycznym, z teoretyczną zasadą „wolności pracy,” ale bez jakiegokolwiek opieki nad pracownikiem; — takie były przyczyny, które zmusiły robotników wszędzie, a najpierw w Anglii, do tworzenia stowarzyszeń zawodowych dla obrony swych interesów i zdobywania lepszych warunków pracy. Akt parlamentu angielskiego z r. 1825 przyznał robotnikom prawo łączenia się w związki dla celów ekonomicznych, sankcjonował istnienie powstałych już poprzednio stowarzyszeń i ułatwił tworzenie się ich na przyszłość.

Rzeczywiście pod wpływem nowego prawa, we wszystkich gałęziach przemysłu mnożą się związki pracowników i pracodawców, ale stają przeciw sobie, jako wyraźni wrogowie; jedna strona chce drugą pokonać, narzucić swą przewagę i zmusić do bezwzględnego posłuszeństwa; tak pojmuje każda swe zadanie i swój pożytek. W pierwszym tym okresie, który trwa niemal do siódmego dziesiątka lat przeszłego stulecia, walka toczy się na całej linii, wypadając najczęściej zwycięzko dla pracodawców, a kończąc się bolesną porażką robotników; środkami walki są lokauty,

¹⁾ Historia w ogólnych zarysach wszędzie się powtarza; można więc myśleć, że społeczeństwa, które pozostały w tyle za Anglią na drodze rozwoju przemysłowego (w tej liczbie — i nasze), będą w swym postępie przebywały te same fazy i przekształcenia stosunków wewnętrznych, jakie już Anglia przeżyła; chodzi tylko o to, aby mając już sobie jakby wskazaną drogę i kolejne na niej etapy, społeczeństwa te umiały korzystać z cudzego doświadczenia i okupywały swój postęp możliwie najmniejszą stratą własnych sił, możliwie najmniejszą sumą własnych cierpień i ofiar.

bojkoty i strejki; zdarzają się oddzielne akty teroru, oddzielne zbrodnie, nie przechodzą jednak w groźną epidemię. Od zapanowania anarchii bronią społeczeństwo angielskie: wielka żywotność narodu, opierająca się na moralności i rozwadze, zdrowa opinia publiczna, kierująca się nie chwilowem uniesieniem i przejściowemi sympatjami, ale stałą ideą prawa i sprawiedliwości i na koniec, w niektórych razach, energiczna interwencya rządu, dbającego prawdziwie o utrzymanie wewnętrznego pokoju.

Walka wycieńcza obie strony i nawet zwycięzcom nie daje owoców, któreby odpowiadały poniesionym stratom; powoli też następuje zasadnicza zmiana nastroju i poglądów. Przemysłowcy schodzą ze stanowiska absolutnych „*Herrn im Hause*“ — według uemieckiego wyrażenia — godzą się z myślą, że stosunek między kapitałem a pracą musi się stopniowo zmieniać i byłoby rzeczą daremną takiej ewolucyi się opierać; robotnicy przekonują się, że „akcya bezpośrednia“ nie doprowadza do pożądanego celu poprawy ich bytu; na koniec jedni i drudzy przychodzą do wniosku, że pomimo pozornej sprzeczności, wspólny interes łączy przemysłowca i robotnika przy warsztacie pracy, a wzajemne zaufanie i pokojowy stosunek są dla obu stron jednakowo pożądane. Pierwiastek „konstytucjonalizmu“ zdobywa sobie prawo obywatelstwa w życiu przemysłowem, w stosunku między kapitałem, a pracą.

Reforma pojęć, a za nią reforma realnych form życia postępuje pomyślnie; do wykonania jej bowiem biorą się w Anglii nie sentymentalni teoretycy, ale ludzie wiedzy i praktyki, których jednak praca fachowa nie pozbawiła ani umiejętności oryentowania się w sprawach społecznych, ani też zdolności odczuwania konieczności historycznych (np. Mundella, przemysłowiec i minister angielski). Jednocześnie życie związkowe wysuwa na kierowników klasy robotniczej, tak zwanych „sekreтары“ związkowych, nie ambitnych agitatorów, lub ograniczonych doktrynerów, ale ludzi rozważnych, obeznanych z warunkami przemysłu i techniki, i zarazem o szerszych poglądach na stosunki ekonomiczne, *men of large ideas*, jak to przyznają przemysłowcy angielscy. Ustawy Trade-Unionów są pod tym względem bardzo wymagające; od każdego robotnika, zanim będzie zapisany do liczby członków, żądają kilku lat praktyki w obranym zawodzie i jednego roku próbnej pracy; co zaś do kandydatów na „sekreтары“, to zanim ich wybór będzie zadecydowany przez powszechne głosowanie członków, muszą się oni poddać specjalnemu, trwającemu kilka dni, egzaminowi i w ten sposób złożyć dostateczne dowody, że nie tylko są dokładnie obeznani z techniką i rachunkowością da-

nej fabrykacyi, ale posiadają jeszcze odpowiednie wiadomości z zakresu stosunków ekonomicznych i prawodawstwa robotniczego, oraz zalety charakteru (spokój, rozagę, takt dyplomatyczny), potrzebne dla skutecznego reprezentowania interesów robotniczych i prowadzenia pokojowych z przemysłowcami pertraktacyj¹⁾.

Ruch pojednawczy w przemyśle wzmógł się szczególnie w okresie ostatnich 20-tu lat; ustawy większości Trade-Unionów zawierają teraz wyraźną wskazówkę, że jednym z zadań związku robotniczego jest utrzymanie dobrego stosunku między pracodawcami a pracownikami: *to promote reciprocal good feeling between employer and employed, to prevent, by just and equitable means, contests between employers and employed, to endeavour to settle disputes amicably without strikes* i t. d. We wszystkich ważniejszych gałęziach przemysłu, jak: górnictwo, hutnictwo, przędzalnictwo, budowa statków i maszyn, zostały zawarte między pracodawcami i robotnikami szczegółowe umowy, określające dokładnie wzajemne prawa i obowiązki i wskazujące drogi i sposoby do pokojowego załatwiania wynikających sporów. Umowy te są prawdziwemi „aktami konstytucyjnymi;“ o jednej z nich, noszącej nazwę *Brooklands Agreement* i zawartej w r. 1893 między dwoma wielkimi związkami przemysłowców i robotników w przemyśle bawełnianym (*Federation of Master Cotton Spinners Association* i *Amalgamated Association of the Cotton Operatives Trade-Unions*), Anglicy wyrażają się, że jest to „możliwie najlepszy traktat, jaki był kiedykolwiek zawarty między pracodawcami i pracownikami“ (*possibly the finest treaty ever concluded between employers and workpeople*). Ostatnim podobnym traktatem jest umowa, zawarta na sześć lat, w listopadzie 1907 r., między dziesięcioma dyrekcjami dróg żelaznych w Anglii i Trade-Unionami pracowników kolejowych, liczącymi około 200.000 członków; oprócz nich pracuje na kolejach angielskich jeszcze do 500.000 robotników i oficjalistów, do związków nie należących, ale umowa powyższa jest również dla nich obowiązującą.

Następstwem zawartych umów było powstanie w Anglii całej sieci instytucji pojednawczo-rozjemczych w przemyśle, które

1) Z pomiędzy tych „sekretarzy“ związkowych wybierani są głównie posłowie robotniczy do parlamentu; w obecnym parlamencie zasiada 12-tu sekretarzy Trade-Unionów górniczych (Abraham, Burt, Tenwick i in.), dwóch od Trade-Unionów hutniczych (Macpherson i Henderson), od związku cieśli, tkaczy bawełny, robotników warsztatowych, od Trade-Unionu robotników nie mających specjalności (*manoeuvres*) i t. d.

złożone są w równej liczbie z przedstawicieli pracodawców i robotników i mają za zadanie rozpatrywać i załatwiać wszelkie spory, indywidualnego oraz zbiorowego charakteru. Noszą one rozmaite nazwy: *Boards of Conciliation and Arbitration, Trade-Boards, Councils* i t. p., różnią się między sobą szczegółami swej organizacyi, ale zwykle przedstawiają kilka instancyj, przez które sprawa kolejno przechodzi. Kierując się zasadą życia angielskiego, że *Conciliation is much better, than arbitration, but arbitration is better, than open warfare* — porozumienie jest dużo lepsze od sądu rozjemczego, ale sąd rozjemczy jest lepszy niż otwarta wojna—institucye wspomniane usiłują przedewszystkiem doprowadzić strony do ustępstw i porozumienia; dopiero, jeżeli zgoda nie mogła być osiągnięta, wydają ostateczny wyrok sądu rozjemczego, dla obu stron obowiązujący. Do kompetencji tychże instytucyj należy jeszcze w pewnych gałęziach przemysłu, np. w górnictwie i hutnictwie, ustanawianie płac robotniczych na pewien z góry oznaczony okres czasu i modyfikowanie ich w razie potrzeby. Wydane przez parlament w roku 1896 prawo, noszące w skróceniu nazwę: *Conciliation Act*, uznało istnienie powstałych z inicjatywy prywatnej instytucyj pojednawczych, stworzyło podobne instytucye na pół urzędowe i rozszerzyło kompetencję rządowego Departamentu Handlu (*Board of Trade*), wkładając nań obowiązek pośredniczenia i współdziałania przemysłowcom i robotnikom w ich dążnościach do załatwiania sporów na drodze „przyjacielskiego“ porozumienia (*friendly negotiation*).

Wszystkie wyliczone instytucye zapewniają teraz przemysłowi angielskiemu pokojowy normalny rozwój; wstrząśnienia, wynikające z ostrych konfliktów między pracą a kapitałem, stają się tu coraz rzadszemi; strejki i lokauty, jeżeli jeszcze czasem wybuchają, nie trwają długo i nie mają charakteru burzącego żywiołu. Oczywiście, rezultat taki mógł być osiągnięty tylko dzięki rozwojowi związków robotniczych, które ujęły rzesze robotnicze w karby dyscypliny moralnej i zastąpiły abstrakcyjne teorie—realnym programem, a walkę chaotyczną—akcją pokojową, planową i świadomą swego celu. Liczba robotników, zapisanych do Trade-Unionów, stale w Anglii wzrasta; obecnie jest ich około dwóch milionów, na ogólną liczbę do 10-ciu milionów w całym kraju (w tem 150 tys. kobiet), czyli na pięciu robotników w Anglii jeden należy do związku (w Niemczech jeden na 10, we Francyi jeden na 20). Ogółem jest do 650 lokalnych Trade-Unionów; są one połączone w rozmaite federacye (*Amalgamated Associations*), które obejmują szersze koła danego przemysłu, czasem na obszarze całego kra-

ju i pozostawiając lokalnym związkom znaczną autonomię, nadają jednak ogólny kierunek ich działalności i wzajemnie między sobą się porozumiewają. W r. 1906 ze składek opłacanych przez członków związków, wpłynęło przeszło 27 mil. rb.; wydatki zaś na administrację, na wsparcia podczas choroby i bezroboci, oraz na emerytury i koszty pogrzebów, wyniosły do 23 mil. rb.; w kasach Trade-Unionów znajduje się kapitał przeszło 50 mil. rb. Wobec tych cyfr jest zrozumiałem, że Trade-Uniony przedstawiają teraz poważną siłę w wewnętrznym życiu Anglii; mając pod swemi bezpośrednimi rozkazami zorganizowaną i karną armię dwumilionową, oddziaływają jeszcze swą polityką na nastrój i postępowanie całej klasy robotniczej. Charakterystycznymi zaś rysami tej polityki, które odróżniają angielskie Trade-Uniony od związków robotniczych w innych krajach, są: w wewnętrznych w przemyśle stosunkach—dążność do pokojowego porozumiewania się z pracodawcami w celu uzyskania bezpośrednich korzystnych zmian w warunkach pracy; na zewnątrz—zaufanie do akcji parlamentarnej, która na drodze prawodawczej może przyczynić się do poprawy ogólnych warunków bytu robotnika.

Bezpośredni udział klasy robotniczej w życiu parlamentarnem Anglii datuje od r. 1868, kiedy została zmieniona zasadniczo dotychczasowa ordynacja wyborcza i większość robotników uzyskała prawo głosu przy wyborach do parlamentu. Z nowego prawa Trade-Uniony nie omieszczały skorzystać i przy pierwszych ogólnych wyborach w r. 1874 wystawiły 17-tu swych kandydatów, z których weszło do parlamentu dwóch; byli to pierwsi posłowie robotniczy, tak zwani *Labour Members*. W następnych latach liczba ich się zwiększała; w parlamencie z r. 1880 było ich 3-ch; w r. 1886—11-tu; w r. 1892—15-tu; w r. 1895—12-tu; w r. 1900—11-tu; w obecnym parlamencie z r. 1906 zasiada już 53-ch przedstawicieli robotników, z ogólnej liczby 85-ciu wystawionych przez związki robotnicze kandydatów. Charakterystyczną cechą angielskich stosunków jest, że wszyscy ci posłowie są to zawodowi robotnicy, prawdziwi *Self made men*, którzy przebyli sami ciężką szkołę życia robotniczego i są doskonale z jego warunkami obeznani. W Anglii klasa robotnicza nie potrzebowała nigdy dla reprezentacji swych interesów uciekać się do pomocy innych klas, jak to się dzieje we wszystkich krajach Europy; przeciwnie tylko w swoich szeregach szukała i znajdowała odpowiednich przedstawicieli, którzy, obok praktycznych wiadomości, posiadają i niezwykle takt polityczny i nieraz zadziwiające wprost talenty mówcy i działacza społecznego.

W początku reprezentacja robotnicza w parlamencie nie ma własnego programu; *Labour Members* należą do skrajnej grupy radykalnej i razem z nią głosują. O reformach socyalnych, w ścisłym znaczeniu wyrazu, mowy niema; główne miejsce zajmują ogólne reformy polityczne, mające na celu zniesienie przywilejów, organizację szkolnictwa, obniżenie podatków pośrednich (niestałych) i t. p. Robotnicy wierzą jeszcze w nieomylność ekonomicznego prawa „zaofiarowania i popytu,” jako jedyne go czynnika regulującego płacę na rynku pracy i dla obrony swych interesów wnoszą tylko projekty przepisów, ograniczających udział kobiet i dzieci w pracy fabrycznej, oraz praw, ułatwiających emigrację z Anglii. Kiedy w dziewiątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia Beaconsfield i Churchill wprowadzają jawnie do programu torysów reformy socyalne, a do programu rządowego obowiązek opiekuńczej interwencji państwa w sferze stosunków między pracą a kapitałem—robotnicy stają po ich stronie, opuszczają w r. 1886 stonniectwo radykalne, zapisują się gromadnie do klubów konserwatywnych, głosują na kandydatów konserwatywnych tam, gdzie nie mogą przeprowadzić swych własnych i w ten sposób przyczyniają się do zwycięstwa torystów przy wyborach w r. 1886 i następnie do utrzymania ich przy władzy w ciągu ostatnich lat dwudziestu.

Równolegle z udziałem w życiu parlamentarnem, wzrastał także udział klasy robotniczej w organizacjach miejscowego samorządu *County Councils* i *Town Councils*, szczególnie zaś w tych ostatnich. Pod wpływem uczestniczących w radach miejskich wybranych przedstawicieli robotniczych o odcieniu socyalistycznym, zarządy miast dążą do rozszerzenia zakresu gospodarki miejskiej: wodociągi, oświetlenie, tramwaje i inne gałęzie przemysłu (tak zwane *industries municipales*) przechodzą z rąk prywatnych przedsiębiorstw do administracji miejskiej. Miasta nabywają znaczne przestrzenie gruntów, zapewniające im dalszy rozwój, budują na nich kolonie robotnicze, zakładają rozmaite kosztowne instalacje ogólnego pożytku; budżety wydatków i dochodów miejskich ogromnie wzrastają; odbywa się wyraźna „socyalizacja municypalności,” która wielu w Anglii zatrważa ¹⁾. „Municypalizacja“

¹⁾ W r. 1883 zawiązała się w Anglii „Liga dla obrony wolności i własności;“ jednym z jej zadań jest walka z socyalizmem municypalnym; przed paru laty gazeta „*Times*“ zarządziła w tej sprawie ankietę i wydała w osobnym tomie zebrany materiał, wogóle niekorzystny dla obecnej gospodarki miejskiej w Anglii. W maju 1903 r. była złożona rządowi petycja, protestu-

przemysłu na potrzeby miast, kosztem prywatnych kapitalistycznych przedsiębiorstw, oraz interwencja państwa dla regulowania warunków pracy, stanowią dla Anglii dwa charakterystyczne realne objawy stosowania doktryny socjalistycznej.

Osiągnięte w parlamencie i w zarządach miejskich rezultaty utwierdziły w klasie robotniczej poczucie swych sił i obudziły potrzebę wytworzenia samodzielnego stronnictwa politycznego i sformułowania własnego programu. W r. 1892 powstaje organizacja *Independent Labour Party*, mająca na celu połączyć dla wspólnej akcji wszystkie związki robotnicze ¹⁾. Oprócz znacznej liczby Trade-Unionów, do składu jej weszły od początku: *Social Democratic Federation* — stowarzyszenie, założone w r. 1886 przez wyznawców teorii K. Marksa i *Fabian Society* — towarzystwo socjalno-radykalne dla badania kwestyj społecznych. Wpływ tych dwóch stowarzyszeń, oraz udział powstałych w r. 1889 Trade-Unionów niewykwalifikowanych robotników (*unskilled workmen, labourers*) nadają *Labour Party* pewne zabarwienie socjalistyczne, co zraża do niej i powstrzymuje od przystąpienia dawne „arystokratyczne“ Trade-Uniony; tak np. dotychczas nie należy do niej związek górników (*Miners Federation of Great Britain*), pierwszy z pomiędzy Trade-Unionów, pod względem liczby swych członków (do 400 tys.) i swych pieniężnych zasobów (do 12 mil. rb.). Pomimo to, *Labour Party* połączyła już w sobie do obecnej chwili więcej, niż połowę wszystkich zorganizowanych sił robotniczych; zwołuje corocznie kongresy, na których rozpatrywane są sprawy klasę robotniczą obchodzące, wyjaśniane zadania i cele stronnictwa i dyskutowane szczegółowo projekty najbliższych reform socjalnych; w ostatnim kongresie, który się odbył w końcu stycz-

jące przeciw rosnącej „municypalizacji,“ t. j. przeciw zagarnianiu przez zarządy miast rozmaitych gałęzi przemysłu ze szkodą dla prywatnych przedsiębiorstw. Rezultaty socjalistycznej gospodarki w wielu miastach włoskich i ostatnio w St.-Francisco okazały się bardzo ujemne; o miastach angielskich dotychczas zdania tego z całą stanowczością wypowiedzieć nie można.

¹⁾ Ta sama dążność do samodzielności politycznej przejawia się obecnie także w klasie robotniczej w Stanach Zjednoczonych; istniejąca tu „*Federation of Labour*“ — ogólna federacja związków robotniczych — zwołuje teraz kongres delegatów związków dla opracowania programu osobnego stronnictwa robotniczego, niezależnego od dwóch wielkich stronnictw amerykańskich: demokratycznego i republikańskiego, oraz od socjalistów; zamiarem federacji jest również, przy nadchodzących wyborach, wystawić własnego kandydata, prawdopodobnie swego przewodniczącego, Samuela Gompers, na stanowisko prezydenta Unii.

nia b. r. w Hull, wzięło udział przeszło 400-tu delegatów, reprezentujących 273 stowarzyszenia z 1.072.413 członkami. „Stronnictwo pracy“ posiada swój organ prasowy, tygodnik *The Labour Leader* i stały komitet wykonawczy, noszący nazwę: *Labour Representation Committee*; zadaniem jego jest prowadzić akcję wyborczą i kierować akcją parlamentarną.

Niedotrzymanie przez ministerium konserwatywne danych obietnic reform socjalnych, a z drugiej strony szerokie uwzględnienie tych ostatnich w nowym programie stronnictwa liberalnego, skłoniło *Labour Party* do zawarcia z liberałami przymierza; następstwem tegoż były: wybór w r. 1906 do parlamentu 53-ch posłów robotniczych i wstąpienie jednego z nich, Johna Burnsa, do gabinetu Campell-Bannermanna, w charakterze ministra do spraw miejscowego samorządu (*Local Government Board*).

Pomimo wszystkich, podejmowanych dotychczas, usiłowań, reprezentacja robotnicza w parlamencie nie jest jeszcze jednolita, lecz rozpada się na grupy, zgodne, prawda, między sobą co do treści najbliższych i najpilniejszych reform socjalnych, ale różniące się co do dalszych ogólnych celów, a nawet niekiedy i co do taktyki postępowania ¹⁾. Z liczby 53 *Labour Members*, zaledwie 29-ciu należy oficjalnie do „niezależnego stronnictwa pracy“ (*Independent Labour Party*) i w czerwonych krawatach zasiada w parlamencie na ławach opozycji; pozostali 24-ch tworzą oddzielną grupę *Liberal Labour Party*, nazywaną w skróceniu *Lib-Lab*, która wchodzi w skład liberalno-radykalnej większości ministerialnej. Są to przedstawiciele rozmaitych związków robotniczych, nie należących do *Labour Party* i w liczbie ich jest 12-tu przedstawicieli Trade-Unionów górniczych. Pomiedzy tymi weteranami ruchu Trade-Unionistycznego znajduje się także wyżej wspomniany John Burns, niegdyś czynny członek krańcowej *Social Democratic Federation*, założyciel socjalistycznych związków robotników, nie mających specyalności i organizator w 1889 r. olbrzymiego, czterotygodniowego strejku robotników w porcie londyńskim, a dziś przedstawiciel umiarkowanych tendencji i minister w gabinecie liberalnym ²⁾.

¹⁾ Od r. 1895 istnieje osobna komisya: *Advisory Board*, z przedstawicieli rozmaitych organizacyj robotniczych, mająca za zadanie utrzymanie jedności w działaniu wszystkich *Labour Members*, niezależnie od ich osobistych poglądów.

²⁾ Ze względu na to, że deputowani w Anglii dotychczas nie pobierają od rządu żadnego wynagrodzenia, związki robotnicze z własnych funduszków płacą swym posłom pensję 300 funt szterl. rocznie, taką, jaką bill wniesiony

Z pomiędzy 29-ciu deputowanych *Labour Party*, zaledwie kilku może być zaliczonych, pod względem pojęć, do stronnictwa socjalistycznego w znaczeniu przyjętem na stałym lądzie Europy; większość reprezentuje zmodyfikowany specjalny socjalizm angielski, który, będąc dalekim od wszelkiego doktrynerstwa i dogmatyczności, jest raczej połączeniem, na polu reform socjalnych, utylitaryzmu politycznego z idealizmem religijnym.¹⁾

„Stronnictwo Pracy“ broni się od nazwy stronnictwa socjalistycznego; długoletni przewodniczący grupy robotniczej w parlamencie i redaktor *Labour Leader*, Keir Hardie, który uważany jest zarazem za kierownika ruchu socjalistycznego w Anglii, na meetingu w Peckham, 13 lutego 1906 r. w ten sposób określił stanowisko deputowanych robotniczych: „Grupa nasza nie jest związana ze stronnictwem socjalistycznym, ani też przedstawiciele robotników w parlamencie nie są socyalistami. *Labour Party* jest tylko koalicją, uczciwą i lojalną, stronnictwa socjalistycznego i Trade-Unionów, dla obrony i popierania interesu klas pracujących.“ Jak wielu działaczy społecznych w Anglii, Keir Hardie jest z pochodzenia Szkotem; w dzieciństwie i w młodości pracował w kopalniach; od r. 1882 oddaje się wyłącznie pracy publicystycznej i parlamentarnej; jest on jakby uosobieniem siły religijnej, która ożywia socjalizm angielski; wyznaje zasady socjalizmu chrześcijańskiego i w swych częstych przemówieniach publicznych zaznacza zawsze zgodność ideałów socjalistycznych z nauką Chrystusa.

Zasłużonym sekretarzem *Labour Representation Committee* i energicznym rzecznikiem sprawy robotniczej w parlamencie, jest Ramsay Macdonald; syn ubogiej rodziny rybackiej z wybrzeży szkockich, pomimo ciężkich warunków życia, zdobył on stosunkowo wysoki stopień wykształcenia i wyrobił w sobie jasno określoną indywidualność, w której łączy się idealizm religijny z realizmem politycznym. Znajac instynktowną nieufność robotnika angielskiego do doktryn abstrakcyjnych i zarazem wrodzoną skłonność do

do parlamentu jeszcze w r. 1906 projektuje dla wszystkich deputowanych. Z innych krajów Europy nie pobierają jeszcze żadnego wynagrodzenia posłowie we Włoszech, Hiszpanii i Portugalii, korzystając jedynie z bezpłatnego przejazdu po kolejach; największe zaś otrzymują: we Francyi 15.000 franków i w Stanach Zjednoczonych 5.000 dol. rocznie.

¹⁾ Jednem z pism najwięcej poczytnych w sferze robotniczej w Anglii jest *The Christian Socialist*.

organizacyi i wypływającej ztąd dyscypliny, umie on za pomocą odpowiednio ułożonych statutów związków i stowarzyszeń wyzyskać dla wspólnej pracy i pogodzić z sobą nieprzejednany dogmatyzm niektórych działaczy społecznych i konserwatywną ostrożność Trade-Unionów. Swoje wyznanie wiary Macdonald wypowiada w następujący sposób (*Independent Review* — marzec 1906 r. i *Morning Post* — 22 stycz. 1906 r.): „socjalizm nie jest doktryną nieruchomą, nieomylnym dogmatem, ale może być tylko tendencją, ideą kierowniczą dla prawodawstwa i administracyi praktycznej. Obecny ustrój społeczny i podział bogactw pod wielu względami nie odpowiadają ani interesom ekonomicznym, ani sprawiedliwości: klasy społecznie bezużyteczne nie powinny istnieć kosztem klas użytecznych, ale te ostatnie, wszystkie, mają równe prawo do życia. Inicytywa prywatna i ogólna solidarność stanowią niezbędny czynnik rozwoju indywidualnego i społecznego. *Labour Party* nie jest stronnictwem rewolucyjnym, lecz chce być tylko bezpośrednią reprezentacją interesów klasy robotniczej; „stronnictwo pracy“ popełniłoby omyłkę, gdyby teraz dążyło do zdeorganizowania stronnictwa liberalnego, przestępstwo — gdyby nie ustępowało koniecznościom politycznym.“

Jedną z osobistości najwięcej popularnych w sferach robotniczych i jednym z najwięcej oklaskiwanych mówców w parlamencie jest Will Crooks, deputowany robotniczy Woolwicha, uczestnik wszystkich kongresów religijnych i gorący propagator Ewangelii. Na meetingu, zorganizowanym przez wyborców w początku 1906 r., w następujących słowach określił on zadanie *Labour Party*: „Wstąpienie do parlamentu znacznej liczby przedstawicieli robotniczych budzi pewne obawy; my jednak wcale nie myślimy o burzeniu państwa, zburzylibyśmy tylko chętnie niezdrowe, tchnące zarazą, dzielnice naszych miast (*slums*). My chcemy tylko budzić opinię publiczną, nie dopuścić, aby społeczeństwo zasnęło w spokoju; najbliższem zaś zadaniem *Labour Party*, które samo się jej narzuca, jest wychowanie narodu, oraz zreorganizowanie maszyny administracyjnej i parlamentarnej, aby nie była zmonopolizowana przez arystokrację.“

T. W. Jowett, utalentowany mówca meetingów i konferencyj robotniczych wyraźnie mówi (*Morning Post* — 5 lutego 1906 r.): „Nikt nie skłoni teraz *Labour Party* do wypowiedzenia się na korzyść socjalizmu; pozostawiamy to logice wypadków; obecnie chcemy tylko dojść do tego, aby robotnicy mieli własny pogląd na kwestyę robotniczą, a ich wybrani w parlamencie przeprowadzali pożyteczne dla klasy robotniczej reformy prawodawcze;“

wyliczane następnie przez Jowetta reformy zgadzają się z programem neo-liberalnym.

Jeden z najdalej posuniętych w stronę doktryny Marksa, deputat robotniczy Snowden, prezes *Labour Party*, jest w zasadzie zwolennikiem rozwoju socjalizmu municypalnego, nacyonalizacji ziemi i upaństwowienia rozmaitych gałęzi przemysłu i handlu (koleje, kopalnie, banki, asekuracje i t. d.), objaśnia jednak, (*Daily Mail* — 22 stycz. i *Jorkshire Post* — 26 stycz. 1906 r.); „że stronnictwo robotnicze w parlamencie, zachowując sympatyczą niezależność względem stronnictwa liberalnego, powinno na razie zadowolnić się, jeżeli wprowadzi parlament na drogę reform socjalnych i zaufać stopniowej ewolucyi, t. j. stałemu działaniu sił ekonomicznych i intelektualnych, które sprawiły już zjednoczenie klasy robotniczej, a w przyszłości połączą cały naród dla dokonania wielkiego dzieła społecznego.“

Przytoczyliśmy tu zdania wybitnych członków stronnictwa robotniczego w Anglii, albowiem dają one pojęcie o charakterze i taktyce *Labour Party*; co zaś do realnego programu reform socjalnych, wchodzących w zakres prawodawstwa robotniczego, to główne jego punkty są następujące ¹⁾.

Stanowisko Trade-Unionów, jako osób prawnych, nie jest do tychczas jeszcze pod wielu względami należycie określone: nie jasnym jest stosunek związku do swych członków i do osób trzecich (np. odpowiedzialność związku względem osób trzecich za postęпки oddzielnych członków). *Labour Party* dopomina się wyraźnego prawodawstwa o Trade-Unionach, jak również rozszerzenia swobody zawierania stowarzyszeń, prawa do bezrobocia z zachowaniem jednak warunków umowy, a *nie prawa do bezkarnego zrywania umów*, wolności agitacyi strejków i bojkotów i t. p.

¹⁾ Po ustąpieniu Kair Hardie, z powodu choroby, ze stanowiska prezesa parlamentarnej grupy robotniczej, miejsce jego zajął teraz Henderson, Szkot z pochodzenia, robotnik z przemysłu żelaznego; odznacza się on taktem dyplomatycznym i poczuciem sprawiedliwości, wskutek czego był kilkakrotnie wybierany na sędziego rozjemczego w zatargach między pracodawcami i robotnikami. Vice-prezesem jest Barnes, generalny sekretarz związku robotników warsztatowych (*Amalgamated Society of Engineers*); jego inteligencyi, oraz zdolnościom finansowym i organizacyjnym, związek zawdzięcza swój rozwój i liczy obecnie do 150 tys. członków, posiada kapitał przeszło 6 mil. rub. i wydaje poważne swe pismo specjalne. Sekretarzem grupy parlamentarnej jest wspomniany wyżej Macdonald. Pierwsi dwaj są wyraźnymi przedstawicielami umiarkowanej polityki Trade-Unionów.

Zabezpieczenie pracowników na starość, w okresie niezdolności do pracy dotychczas było pozostawione w Anglii wyłącznie Trade-Unionom, które jakkolwiek wydają na ten cel około miliona funt. szterl. rocznie, nie są jednak w możności zadość uczynić wszystkim potrzebom. Obecnie ogół angielski, nie tylko *Labour Party* i stronnictwo liberalne, ale także znaczna część konserwatystów, uznaje, że funkcya powyższa należy do obowiązków państwa. Odpowiedni projekt jest już przez gabinet opracowany i ma być wkrótce przedstawiony parlamentowi. Gdy np. w Niemczech i jak to teraz zamierzają we Francyi, fundusz emerytalny, niezależnie od kapitału zakładowego, dostarczonego przez skarb państwa, jest zasilany jeszcze przez stałe potrójne wkłady: pracodawców, pracowników i państwa — w Anglii samo tylko państwo ma przyjąć na siebie cały ciężar wypłacania emerytur, bez uprzedniego pobierania jakichkolwiek składek od przyszłych emerytów. Na wytworzenie kapitału emerytalnego mają być obracane nadwyżki budżetowe i na początek w r. 1908/9 ma być użyta suma 8 mil. funt. szterl. W ten sposób projekt angielski staje się już nie ubezpieczeniem w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, ale nowem prawem cywilnem każdego pracownika do pewnej renty państwowej po dojściu do pewnego wieku. Szczegóły projektu nie są jeszcze ustalone; chodzi głównie o określenie wieku, dającego prawo do emerytury (55 lat według *Labour Party*, 70 — według konserwatystów) i o zdecydowanie, czy wszyscy bez wyjątku pracownicy mają z emerytury korzystać, czy też tylko tacy, którzy jej rzeczywiście potrzebować będą. Wysokość emerytury ma być od 5 do 10 sch. tygodniowo (2½ do 5 rb.), a cały nowy wydatek skarbu, według przybliżonego obliczenia, wyniesie rocznie do 20 mil. funt. szterl.

Nie mniej ważną jest kwestya zabezpieczenia pracowników na czas przymusowego bezrobocia (*Chômage*), wskutek braku pracy. Kwestya ta zajmuje nietylko *Labour Party*, ale cały ogół angielski, gdyż liczba „bezrobotnych“ (*Sans-Travail*), t. j. ludzi, nie znajdujących dla siebie roboty, jest ciągle znaczna i wynosi 3 do 6% wszystkich, zapisanych do Trade-Unionów, robotników. Dotychczas z pomocą bezrobotnym przychodzą Trade-Uniony, które wydają na ten cel rocznie do 700.000 funt. szterl. i rozmaite instytucje humanitaro-społeczne, które w różnym stopniu wspierają rocznie około 700.000 potrzebujących. Według zdania stronnictw pracy i liberalnego, obecna pomoc jest niewystarczająca i potrzebna jest interwencya państwa: powinny być stworzone kasy ubezpieczeń i państwo powinno zająć się energiczniej, niż

dotychczas, losem bezrobotnych. Niewątpliwie zło powyższe istnieje w Anglii; jest ono następstwem nieuniknionych przesileni w rozmaitych gałęziach przemysłu, a także zwiększającej się stale emigracyi ludności robotniczej ze wsi do miast i przyływu do Anglii robotników cudzoziemców. Konserwatyści widzą ratunek w nałożeniu ceł ochronnych na wyroby przemysłu zagranicznego i w utrudnieniu wstępu do Anglii cudzoziemskim emigrantom; socjaliści zaś — w obaleniu obecnego ustroju kapitalistycznego. *Labour Party* i radykalny odłam stronnictwa liberalnego mają szerszy na tę kwestyę pogląd i w przedstawionym do parlamentu bill'u projektują szereg środków dla usunięcia zła. Bill ten różni trzy kategorie bezrobotnych; do pierwszej należą robotnicy wykwalifikowani, którzy chwilowo nie znajdują dla siebie zajęcia; dla nich wystarczy czasowa pomoc odpowiednich kas. Drugą, najliczniejszą kategorię stanowią robotnicy niewykwalifikowani, którzy tracą zajęcie na stałe, np. wskutek wprowadzenia maszyn i zastąpienia nimi pracy ludzkiej; dla pomocy takim bezrobotnym powinny być organizowane roboty państwowe, a przede wszystkim urządzane na gruntach, należących do korony i do kongregacyi duchownych, a nawet na prywatnych ziemiach lordów, małe gospodarstwa rolne, połączone z drobnym przemysłem; w ten sposób można będzie pewną część robotników odciągnąć od miast i wielkiego przemysłu. Nakoniec jest jeszcze trzecia kategoria robotników, którzy nie biorą się do pracy wskutek lenistwa i nałogów; do nich powinna być stosowana kara sześciomiesięcznej pracy przymusowej w koloniach poprawczych. Jak widzimy, bill łączy kwestyę bezrobotnych z reformą agrarną¹⁾ i następnie, jako jeden ze środków skutecznych w walce z klęską bezrobotnych zaleca jeszcze stopniowe upaństwowienie, czy też umiastowienie niektórych gałęzi przemysłu. Ponieważ w mowie

¹⁾ Pomimo przepowiedni Karola Marksa, że drobna własność ziemska zniknie zupełnie w Europie w ciągu 19-go wieku, w rzeczywistości nie tylko ona istnieć nie przestała, ale jeszcze rozszerza się kosztem własności wielkiej i prawodawstwa wszystkich krajów starają się współdziałać tej naturalnej ewolucyi stosunków. Zjawisko szczególnie widoczne jest we Francyi, gdzie jednocześnie powstała nowa szkoła socjalno-ekonomiczna: *Morcellisme*, która wyznaje zasadę, że przez wytworzenie się drobnej własności ziemskiej mogą być usunięte niesprawiedliwości dzisiejszego ustroju kapitalistycznego i może nastąpić odrodzenie społeczeństwa. Szczegóły tej doktryny wyłożone są w książce gorliwego jej propagatora G. Sabatier: „Le socialisme libéral ou morcellisme” (Paryż 1905 r.).

tronowej przy otwarciu obecnej sesji parlamentu nie było wzmianki o projekcie rządowym prawa o bezrobotnych, okoliczność ta wywołała protest ze strony *Labour Party* i odpowiednia, zaprojektowana przez nią w tym duchu, zmiana odpowiedzi parlamentu na mowę tronową, została odrzucona tylko większością 45 głosów; dowodzi to jasno, jakie znaczenie nadaje parlament powyższej kwestyi. Podczas rozpraw minister Burns, sam były robotnik, oświadczył, że gabinet opracowuje projekt prawa o organizacji pomocy bezrobotnym, jak również prawa o tanich mieszkaniach robotniczych; wyraził przytem nadzieję, że przez wprowadzenie emerytur dla starych robotników, instytucje miejscowego samorządu będą zwolnione od dotychczasowych wydatków na utrzymanie inwalidów i zaoszczędzone środki będą mogły użyć na rozszerzenie domów pracy (*workhouses*), w których bezrobotni znajdą dla siebie odpowiednie zajęcie ¹⁾.

W sprawie reglamentacji samej pracy w zakładach przemysłowych, interwencya państwa w Anglii przez długi czas ograniczała się tylko do wydawania ogólnych obowiązujących przepisów higieny i bezpieczeństwa robót, oraz do określania warunków, na jakich pewne gałęzie przemysłu korzystać mogą z pracy kobiet i niepełnoletnich. Pod tym ostatnim względem prawodawstwo angielskie jest nawet ściślejsze i rozciąga skuteczniejszą opiekę nad wspomnianymi dwoma kategorjami robotników, niż to dzieje się w innych krajach. Obecnie w Anglii kobiety i niepełnoletni do lat 18-tu nie mogą, z małymi wyjątkami, być zatrudniani w nocy i praca ich nie wynosi więcej, niż 55½ godzin tygodniowo, a dla dzieci od 12 do 14 lat nie więcej, niż 32½ godzin. Co się tyczy pracy pełnoletnich robotników, to normowanie jej zasadniczych warunków, jakimi są: wysokość płacy i długość dnia roboczego, pozostawione dotychczas było całkowicie dobrowolnej umowie stron, bez wszelkiego udziału i kontroli państwa. Głównie drogą pokojowego porozumienia się pracodawców i pracowników, a tylko w kilku pojedynczych wypadkach w następstwie strejków, długość dnia roboczego została stopniowo zredukowana do 9-iu godzin i obecnie w Anglii, w rozmaitych gałę-

¹⁾ Grupa bezrobotnych z Manchesteru zwróciła się do króla z prośbą o oddanie jej gruntów, należących do korony, dla założenia na nich kolonii rolniczych; wskutek nieotrzymania odpowiedzi, niektórzy z bezrobotnych postanowili teraz, powstrzymując się od wszelkich gwałtów, przebywać na placach publicznych i głodzeniem się zwrócić na siebie uwagę ogółu.

ziach przemysłu, robotnik pracuje od 48 do 54 godzin na tydzień; wysokość zaś płacy regulują albo oddzielne umowy, albo też zawierane między związkami pracodawców i pracowników „kontrakty zbiorowe,” za pomocą szczegółowych „taryf” i tak zwanych „skal ruchomych” (*sliding scales*), określających automatycznie płacę robotniczą w zależności od cen rynkowych wyrobu; jak taryfy, tak i skale uwzględniają minimum koniecznego dla pracownika zarobku, tak zwane *Standard of life*. Nie zadawalnając się osiągniętymi już rezultatami, stronnictwo pracy zamierza wprowadzić do stosunków w przemyśle nową w Anglii zasadę prawodawczej reglamentacji długości dnia roboczego; pierwszym krokiem na tej drodze jest opracowany przez gabinet, mianowicie przez Gladstona, ministra spraw wewnętrznych, projekt, zgodny z wnioskiem *Labour Party*, według którego długość dnia roboczego w kopalniach (obecnie 9 godzin) ma być na r. 1909 zredukowaną o $\frac{1}{2}$ godziny, a od r. 1910 stanowić będzie tylko 8 godzin ¹⁾. Projekt ma być wkrótce powtórnie przedstawiony parlamentowi; pierwszy raz był przedstawiony 1 sierpnia 1907 r.; wywołuje on gorącą wymianę zdań za i przeciw; wogóle sfery przemysłowe są mu przeciwnie, utrzymując, że przy podobnem ograniczeniu pracy w kopalniach, produkcja węgla w Anglii spadnie o 4%, a cena znacznie się podniesie, co wpłynie ujemnie na przemysł, handel i całe życie ekonomiczne. Dodać trzeba, że *Labour Party* nie jest bezwzględna, zwolenniczką socjalistycznej formułki „potrójnej ósemki” (8 godzin na pracę, 8—na sen i 8—na odpoczynek i rozrywkę) i nie dąży na razie do wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy we wszystkich gałęziach przemysłu.

Jeżeli robotnicy, pracujący w zakładach przemysłowych i zorganizowani w związki, mogą już teraz w Anglii oddziaływać, na drodze pokojowej, na modyfikowanie, w kierunku dla nich korzystnym, warunków pracy — to w gorszym daleko położeniu są dotychczas rzemieślnicy, którzy robotę dla rozmaitych zakładów wykonywają nie na miejscu w zakładzie, ale u siebie w domu. Konkurencja między samymi pracownikami na polu „pracy domowej” („*Heimarbeit*”—według niemieckiego wyrażenia) tak obniży-

¹⁾ Wprowadzenia 8-mio godzinnego dnia pracy w kopalniach dopominają się związki robotnicze górnicze także w innych krajach, np. w Niemczech i w Belgii. We Francji, na zasadzie przyjętego przez Izby prawa Boudennot, praca w kopalniach węgla, od 1 stycz. 1908, trwa już tylko 8 $\frac{1}{2}$ godzin dziennie, a od 1 stycz. 1910 ma być zredukowaną do 8-iu godzin.

ła zapłaty, które tu muszą być z natury rzeczy akordowemi, że sam ten system produkcji przemysłowej otrzymał w Anglii nazwę: „*Sweating-System*“ (w Niemczech — „*Schwitzsystem*“), t. j. systemu pot pracujących wyciskającego.¹⁾ Istniejące zło ma znaczenie jeszcze ogólnie społeczne, albowiem nie tylko wyzyskiwani są dorośli robotnicy i robotnice, ale nadto, dla powiększenia w rodzinie zarobku przy niskich płacach, obarczane są nieodpowiednią pracą także i dzieci, przez co naturalnie podkopuje się zdrowie przyszłych pokoleń. Przed kilku laty, dla zwalczania systemu zawiązała się w Anglii: „*Antisweating-League*,“ a w jesieni 1906 r. odbył się w Londynie kongres dla opracowania skutecznych środków walki: wzięli w nim udział: przedstawiciele rządu (między nimi minister skarbu Asquith), uczeni ekonomiści, wszyscy niemal *Labour Members* z parlamentu i na koniec 841 przedstawicieli Trade-Unionów metropolii i kolonij, reprezentujących ogółem 1.955.000 robotników. Kongres powziął rezolucję, że podobnie, jak to już jest w koloniach Australijskich, interwencja państwa w sferze stosunków „domowej pracy“ jest konieczną ze względu na ogólne dobro społeczne i rząd powinien, na drodze prawodawczej, zmienić i unormować dzisiejsze, szkodliwe w swych następstwach, warunki tej pracy, przyjmując za podstawę reglamentacji zasadę, że każdy pracownik ma prawo do pewnego niezbędnego dla życia *minimum* zarobku; jednocześnie kongres wyraził życzenie, że pożądanem jest dążyć do możliwego ograniczenia w przemyśle stosowania „domowej pracy.“ Zgodnie z powyższą rezolucją, obecnie (w marcu 1908 r.) został wniesiony do parlamentu przez „Stronnictwo pracy“ bill, proponujący utworzenie instytucji kolegialnych, tak zwanych „*Wages-Boards*,“ złożonych w równej liczbie z przedstawicieli odnośnych fabrykantów i robotników, któreby oznaczały *najniższe* płace akordowe za roboty, wykonywane przez rzemieślników w domu; na początek i w formie próby, „*Wages-Boards*“ mają być w Londynie zastosowane w krawiectwie i szyciu bielizny, jako w dwóch najwięcej rozpowszechnionych gałęziach „pracy domowej.“ Bill przy pierwszym czytaniu był przyjęty i oddany do komisji dla opracowania w szczegółach; zapewne stanie się prawem jeszcze podczas obecnej sesji parlamentu.

¹⁾ Znana jest wszystkim rzewna pieśń angielskiego poety Thomasa Hood'a „o koszuli“ z przed lat kilkadziesiąt, ilustrująca rozpaczliwe położenie pracownicy igły, która przy szyciu koszuli traci wzrok i zdrowie, a nie jest w stanie nawet zdobyć sobie najskromniejszych koniecznych środków do życia.

III.

Charakterystycznymi rysami rozwoju życia społecznego w Anglii w ciągu ostatnich 20-tu lat, są, jak widzieliśmy: ewolucya stronnictwa konserwatywnego w kierunku imperyalizmu, z ideałem utworzenia unii celnej i politycznej, któraby połączyła w jedną całość państwową Anglię i jej kolonie; ewolucya stronnictwa liberalnego w kierunku radykalnym, z programem daleko sięgających reform socyalnych, któreby się przyczyniły do poprawy warunków bytu klas pracujących i nakoniec zorganizowanie się klasy robotniczej w samodzielne stronnictwo o własnym swym programie, któreby samo było bezpośrednim przedstawicielem interesów i dążeń szerokich warstw narodu.

W chwili obecnej stronnictwo robotnicze stanowi już poważną siłę w parlamencie i życiu, z którą dwa dawne stronnictwa historyczne liczyć się muszą i która niemal decyduje o zwycięstwie jednego lub drugiego; aspiracye jednak nowego stronnictwa sięgają dalej: dąży ono wyraźnie do władzy politycznej; jedna teka ministeryalna, jak to jest teraz, wkrótce mu wystarczać nie będzie. Prezydent *Labour Party*, Snowden, uważa obecne stronnictwo robotnicze za zarodek przyszłego wielkiego „stronnictwa narodowego.“ Sekretarz stronnictwa, Macdonald, wypowiada podobne zdanie i zarazem wskazuje taktykę parlamentarnego postępowania; dając za przykład skromne bardzo rezultaty, osiągnięte przez nacyonalistyczne stronnictwo irlandzkie, nazywa on wprost śmieszna taką politykę, kiedy słabsze stronnictwo waha się między dwoma drugimi prawie równej siły i chce wytargować pożądanę dla siebie prawa przez rzucanie swych głosów to na jedną, to na drugą szalę. *Labour Party*, jeżeli ma się rozwinąć, powinna, zdaniem Macdonalda, trzymać się własnego programu i pamiętać, że są pewne chwile, w których trzeba stawiać ogólne zasady, odpowiadające aspiracyom i uniesieniom i są inne, kiedy należy już formułować ścisłe plany i projekty; jeżeli stronnictwo pracy z obydwóch momentów korzystać będzie, stworzy wtedy nową opinię publiczną i stanie się rzeczywistym przedstawicielem demokracji intelektualnej i moralnej ¹⁾.

¹⁾ Cytata powyższa, (jak również niektóre inne) wzięta jest z zajmującej książki I. Bardoux: „Essai d'une Psychologie de l'Angleterre Contemporaine“ (Paryż 1907 r.).

Ukształtowanie się dalsze wewnętrznych stosunków Anglii, charakter przyszłej większości parlamentarnej po nowych wyborach, a więc i charakter działalności rządu, zależą od stanowiska, jakie zajmie stronnictwo pracy względem doktryny sycyalistycznej, od tego, czy zwyciężą w klasie robotniczej konserwatywne tradycje Trade-Unionów, czy też przeważą rewolucyjno-kolektywistyczne teorie niewielkiej liczebnie grupy wyznawców nauki Karola Marksa. Prądy te nie przestają się ścierać w życiu organizacyj robotniczych, czego wyraźnym dowodem jest przebieg ostatniego dorocznego kongresu *Labour Party* w Hull.

Dnia 21 stycznia przez frakcję socjalno-demokratyczną kongresu postawiony był wniosek zmiany w ustawie „stronnictwa pracy“ w tym sensie, że „zadaniem *Labour Party* jest zapewnienie wszystkim pracownikom całkowitego wytworu ich pracy, co może być osiągnięte tylko przez obalenie obecnego ustroju kapitalistycznego i upaństwowienie zarówno wszelkiej własności prywatnej, jak i wszystkich środków produkcji.“ Propozycja podobna czyniona była na każdym kongresie, np. na poprzednim, w Belfast, w lutym 1907 r., lecz zawsze była odrzucana; to samo stało się i teraz: wniosek upadł większością 951 tys. głosów przeciw 91 tys. Tymczasem, zaraz dnia następnego, przyjęto większością 514 tys. przeciw 469 tys. ogólnikową, ale nie mniej zasadniczą rezolucję, że „*Labour Party* w obecnej chwili uznaje socjalizm za ostateczny cel swej organizacji.“ Wynik głosowania był powitany entuzjastycznie przez socjalno-demokratyczną grupę członków kongresu: zaintonowano chóralną pieśń „czerwonego sztandaru“ („*The red flag*“); a jednak nie można wątpić, że wynik ten będzie miał tylko ujemny wpływ na rozwój i znaczenie *Labour Party*. Pomimo zapewnień organu stronnictwa (*The Labour Leader*), że przyjęta przez kongres rezolucja ma charakter czysto platoniczny, dotyczy się celu, a nie programu, i nie pociąga za sobą żadnej zmiany ani w postępowaniu stronnictwa, ani w jego najbliższych zadaniach — opinia publiczna angielska została nią silnie zaniepokojona i rezolucja wywołała niezadowolenie w Trade-Unionach. Sekretarz ogólnego związku tkaczów i zarazem wice-przewodniczący *Labour Party*, Shackleton, człowiek, któremu wszyscy przyznają niezwykłą trzeźwość sądu, zaraz po przyjęciu rezolucji, zwrócił uwagę zebranych na szkodliwe jej następstwa: ogół w Anglii zrozumie ją nie jako oddalony cel, ale jako realny program; z drugiej zaś strony, rezolucja niweczy tę doskonałą zasadę, jaką dotychczas rządziło się „stronnictwo pracy“, nie narzucając socjalizmu nikomu, kto sam się do tego nie przygotował; obec-

nie zaś, jeżeli ma być być konsekwentną, *Labour Party* od każdego swego kandydata do parlamentu żądać będzie musiała wyznania wiary socjalistycznej.

Umysł narodu angielskiego, wychowany stuleciami kulturalnego życia w poszanowaniu prawa i tradycji, odstrasza abstrakcyjne teorie reformatorskie; zamiast oderwanych systemów i formułek, budujących plany dalekiej przyszłości, wymaga on realnych i niezwłocznie wykonalnych projektów środków praktycznych dla usunięcia istniejącego zła i poprawy wewnętrznych stosunków. Obudzony w 80-tych latach przez gorliwą propagandę wyznawców nauki Marksa (Hyndman, Aveling, Morris) oraz przez propagandę H. George ekonomicznej teorii nacyonalizacji ziemi, ruch socjalistyczny nie mógł rozwinąć się i wzmódz na gruncie angielskim; jeżeli bowiem myśl angielska, w swej dążności do konkretnych poglądów życiowych, wyzwoliła się, z biegiem czasu, z więzów klasycyzmu Manchesterskiej szkoły ekonomistów, tembardziej nie mogła pójść w niewolę komunistycznej doktryny Marksa, tak niezgodnej z charakterem narodu i duchem całej jego historii.

Prawowierny socjalizm, według formuły Marksa, ma zwolenników tylko w ciasnem kółku doktrynerów z *Social Democratic Federation* i w stosunkowo nielicznej młodszej generacji robotniczej, szczególnie zaś w Trade-Unionach niewykwalifikowanych robotników (*unskilled*).¹⁾ Ogół społeczeństwa: nietylko burżuazya, ale i klasa robotnicza w przeważającej swej masie, są wrogo dla socjalizmu usposobione; ustrój bowiem kolektywistyczny, zastępujący wolę i inicjatywę indywidualną despotycznymi rządami zbiorowości, przeczy wszystkim tradycjom i ideałom życia angielskiego. Praktyczny umysł angielski uznaje potrzebę ograniczenia prywatnej własności i swobody osobistej dla celów dobra ogólnego, ale nie może się zgodzić z zasadniczem zniesieniem tych dwóch podstaw życia społecznego; przyznaje również, że w niektórych pojedynczych wypadkach, prowadzenie pewnych gałęzi przemysłu przez zbiorowości (np. municypalitety), lub nawet przez państwo, może dać dobre rezultaty, ale widzi także nieuniknione wady podobnego systemu w porównaniu z przedsiębiorstwami prywatnymi (kosztowność administracji, łatwość na-

¹⁾ Dla szerzenia swej doktryny, *Social Democratic Federation* posiada swój własny organ: „*The Justice*”; ten sam charakter ma także pismo: „*The Clarion*,” wydawane przez gorącego marksistę, R. Blatchforda.

dużyć, nepotyzm i t. p.) i powstrzymuje się od powszechnego stosowania zasady kolektywizmu, od fantastycznych projektów upaństwowienia całego przemysłu. W kraju, gdzie pragnieniem każdego robotnika jest nabycie prywatnej własności nieruchomości, a ambycją — być gentleman'em, gdzie uczucie zazdrości i nienawiści klasowej już przebrzmiało, a obok panującego w masach głębokiego uczucia religijnego, utrzymała się praktyka pokojowego załatwiania zatargów między kapitałem i pracą — komunistyczny socjalizm, według koncepcji Marksa, przeobrażony dziś na stałym lądzie Europy w „syndykalizm“ rewolucyjny, nie może pozyskać dla siebie licznej armii wyznawców.

Pomimo to, widmo socjalizmu, jako żywiołu burzącego, mogącego paraliżować normalny postęp, stoi przed wyobraźnią społeczeństwa angielskiego; wspólna dla wszystkich jego warstw obawa przed wywrotowymi teoryami kolektywizmu jest wykorzystywana stale dla celów kampanij wyborczych. Pisma konserwatywne zarzucają stronnictwu liberalnemu jego powolność dla *Labour Party* i ostrzegają społeczeństwo przed niebezpieczeństwem koalicji liberalno-socjalistycznej. Agitacja dała już widoczne rezultaty; wybory do zarządów gminnych (municipalności) w końcu 1907 r. wypadły mniej pomyślnie dla „stronnictwa pracy,“ niż było dotychczas; przy czterech uzupełniających wyborach do parlamentu, w styczniu i lutym b. r., konserwatyści wszędzie odnieśli zwycięstwo, przeprowadzając swych kandydatów — zwolenników unionistycznej polityki Chamberlaina. Stronnictwo liberalne straciło taki okręg wyborczy (*Mid-Devonshire*), który od kilkunastu lat do niego należał; porażka była niespodziewana i wywarła nadzwyczajne wrażenie; doszło nawet do tak rzadkich w Anglii na ulicach krwawych rozruchów, podczas których jedna osoba była zabita ¹⁾. Nakoniec przywódca konserwatywnej mniejszości w parlamencie, Balfour, zwraca się do liberałów z propozycją zawarcia przymierza i stworzenia koalicji przeciw stronnictwu socjalistycznemu.

Możliwymi w Anglii są dalsze modyfikacje ogólnego nastroju, jak również zmiany stronnictw, stojących u steru władzy; ale jednakowo niemożliwe są i uparta, zaślepiona reakcja, i lekkomyślna rewolucja. Od tych krańców bronią społeczeństwo jego kultura, temperament narodowy i ten wyrobiony historycz-

¹⁾ Do porażki stronnictwa liberalnego przyczyniła się także w pewnym stopniu agitacja „suffrażystek,“ niechętnych dla obecnego gabinetu.

nein doświadczeniem utylitaryzm polityczny, który, będąc dalekim od wszelkiej wyłączości i doktrynerstwa, nie hołduje ani samym tylko dogmatom, ani też samemu tylko oportunizmowi, lecz umie połączyć teorię i praktykę w jedną harmonijną całość. Tylko wielki kryzys ekonomiczny, prowadząc cierpienia mas i budząc groźne namietności, mógłby wytrącić społeczeństwo angielskie z równowagi i zepchnąć je na manowce z dzisiejszej drogi normalnego postępu.

Francuzcy socyologowie najnowszej szkoły Le Play (H. de Tourville, E. Demolins, L. Poinard) w życiu współczesnem narodów Europy upatrują jawne oznaki upadku (*décadence*), pochodzącego z dezorganizacji społeczeństwa: ze zniszczenia dawnych naturalnych „wspólnot“ (*Communautés*), przede wszystkim rodziny, jako podstawowej komórki wszelkiego ustroju i nie wytworzenia się na ich miejscu nowych, racjonalnych, odpowiadających rzeczywistym potrzebom, form ludzkiego zgrupowania. Za jedną z przyczyn rozkładu uważają szybki rozwój wielkiego przemysłu o charakterze kapitalistycznym i na potwierdzenie słuszności takiego poglądu przytaczają przykład obecnej anarchii wewnętrznych stosunków w Rosyi. Wyjątek z ogólnego obrazu stanowią, według nich, społeczeństwa anglo-saksońskie, które potrafiły zorganizować się w oddzielne grupy żywotne, połączone węzłem wspólności interesu i posiadają teraz stosunkowo najmniejszą ilość żywiołów luźnych, pochopnych do akcji rewolucyjnej, a mało zdolnych do twórczej pracy ewolucyi. Objaśnienie tej wyższości rasy anglo-saksońskiej socyologowie francuzcy znajdują w panującym u niej systemie wychowania, które ma za zadanie nie tylko udzielać młodzieży pewną sumę potrzebnych w życiu wiadomości (*enseignement*), ale przede wszystkim jeszcze dąży do ukształtowania charakteru i woli jednostki (*éducation*). Wyrobiniony przez takie wychowanie typ ludzki, który Francuzi nazywają „*type particulier*“, posiada wysoce rozwiniętą indywidualność, silne poczucie odpowiedzialności i inicjatywy i jest w stanie rozwinać w życiu ogromną energię i działalność; tem się tłumaczą zadziwiające rezultaty, jakie narody anglo-saksońskie osiągnęły we wszystkich kierunkach życia społecznego.

Jeżeli jednak zastanowimy się głębiej nad źródłem, z którego płyną zdrowie i siła społeczeństw anglo-saksońskich, nad temi właściwościami charakteru narodowego, które zbudowały i doskonaliły system wychowania i lepsze, niż gdzieindziej, stosunki we-

wewnętrzne, przyjdziemy do wniosku, że źródłem tem jest szczerze i poważne, panujące nad całym życiem, uczucie religijne. Prawdą jest, że wierząca dusza „purytańska“ stworzyła dzisiejszą wielkość Anglii i Stanów Zjednoczonych; religia dla niej nie jest ani rytuałem form, ani metafizyką filozoficzną, ale „żywą wiarą,“ prawdziwą „magistra vitae.“ Z poczucia obowiązku względem Wyższej Istoty wypływa tu chrześcijańskie pojęcie obowiązków względem bliźniego; religia określa zasady indywidualnej i społecznej moralności i na tle religii odbywa się ewolucya społeczna. Wierzącym w Anglii jest każdy: prezes gabinetu ministrów, trybun ludowy-socyalista, przedstawiciel burżuazji i robotnik. Wielki Gladstone — „*Grand Old Man*“ pisze rozprawy teologiczne, Keir Hardie wygłasza biblijne kazania, górnik południowej Wallii, przy blasku nocnych pochodni, w przydrożnej kaplicy, śpiewa hymny pobożne i publicznie spowiada się z grzechów! Uczucie religijne wytwarza ten wewnętrzny spokój i tę wytrwałość woli, które światu w Anglikach imponują; z niego też płynie poważne zapatrywanie się na życie i obowiązki i Anglia nie zna prawie tak rozwielnionego w innych krajach typu życiowego komedyanta i parlamentarnego żonglera.

Od kilku lat Anglia przeżywa okres niezwykłego napięcia uczucia religijnego we wszystkich bez wyjątku warstwach społeczeństwa. Obok silnego ruchu katolickiego, państwowy kościół anglikański i rozmaite istniejące w Anglii kościoły protestanckie prowadzą, za pomocą kazań, konferencyj, pism, gorącą propagandę Ewangelii; zawiązują się stowarzyszenia i odbywają kongresy religijne, w których żywy udział biorą deputowani robotnicy. Entuzjazm religijny obejmuje szerokie masy ludności i oddziaływa korzystnie na stosunki życia codziennego. Tak np. w południowej Wallii, pośród ludności górniczej, zjawia się (w r. 1905) przejęty zapałem reformatora, kaznodzieja, syn miejscowego robotnika, Ewan Roberts; obchodzi on wsie i miasteczka, wzywając do poprawy życia, wyznania grzechów i słuchania natchnień Świętego Ducha; pod wpływem jego nauk zmniejsza się w okolicy pijaństwo, spada ogromnie występność, podnosi się wyraźnie moralność, zmniejsza liczba spraw sądowych, a związki robotnicze przestają nawet odbywać swe zebrania w lokalach, gdzie się sprzedaje spirytualia.¹⁾

¹⁾ Wspomnieć jeszcze tu trzeba o „armii zbawienia“ generała Bootha, która w Anglii rozszerza ciągle pole działania i utrzymuje w wielu miastach swe religijno-humanitarne instytucje.

W drugim państwie, utworzonem przez rasę anglo-saksońską, w Stanach Zjednoczonych, pomimo zmateryalizowania wyższych klas, uczucie religijne w szerokich masach narodu jest nie mniej silne i stanowi prawdziwą spójnię życia społecznego. Tocqueville w swem klasycznym dziele: „*Démocratie en Amérique*“ wypowiada następujące zdanie: „*La religion est beaucoup plus nécessaire dans la république, que dans la monarchie et dans les républiques démocratiques, que dans toutes les autres. Comment la société pourrait-elle manquer de périr, si tandis que le lien politique se relâche, le lien moral ne se resserrait pas?... Que faire d'un peuple maître de lui même, s'il n'est pas soumis à Dieu?*“ Wielką doniosłość wypowiedzianej przez Tocqueville'a prawdy rozumieją praktyczni yankees'i i rządzą się nią w swem życiu społecznem.¹⁾

*

*

*

Jakże odmiennym jest obraz naszego społeczeństwa w dobie dzisiejszej, jak dalecy jesteśmy od zdrowia duszy angielskiej! Na rozstrój naszej myśli, a następnie i samego życia, złożyły się różnorodne czynniki zewnętrzne, niezależne często od naszej woli, przeciw którym skrepowany organizm narodowy nie mógł w należytem stopniu reagować. Pod względem uczuć religijnych, znaczna część naszego społeczeństwa znajduje się jeszcze w okresie, który dla Zachodu prawie już minął, w okresie płytkiego ateizmu lub obojętności, połączonej z quasi-filozoficznym agnostycyzmem. U nas zachodni pozytywizm, który był tylko metodą naukową, zamienił się stopniowo w doktrynę materialistyczną, która w najgrubszej często formie, ogarnęła szerokie warstwy społeczeństwa; dezorganizujące, rozkładowe jej działanie spotęgował jeszcze idący ze Wschodu nihilizm—doktryna zwątpienia i rozpacz. Kiedy właśnie dla wytrwania w ciężkiej walce o byt i aby w niej nie

¹⁾ Przypomina się tu zdanie wypowiedziane przez wybitnego publicystę szwajcarskiego, *Talichet*, w jednym z miesięcznych sprawozdań politycznych w „*Bibliothèque Universelle et Revue Suisse*,“ że skutecznym środkiem dla wyratowania społeczeństwa rosyjskiego z obecnej anarchii byłoby sprowadzenie do Rosyi amerykańskich misjonarzy dla propagandy religijno-chrześcijańskiej.

upaść, trzeba było silnego uczucia religijnego, t. j. gorącej wiary w Ideał i w Sprawiedliwość, kierującą dziejami świata — słabym, a jest ich wielu, wydało się, że wiara ta jest przeszkodą dla osiągnięcia powodzenia życiowego, ciężarem tylko, który utrudnia wypłynięcie na powierzchnię fali życiowej. Porzucono więc wiarę, a z nią nienaruszalne zasady moralności, podstawy życia społecznego; miejsce ich zajął chwiejny oportunizm, celem życia stało się użycie. Nie chcę tem powiedzieć, że w podobny sposób postąpili wszyscy, bo gdyby tak było, społeczeństwo nasze, jako takie, przestałoby już istnieć; ale trzeba, niestety, przyznać, że dezertarów z pod chorągwi obowiązku, którego poczucie połączone jest z wiarą, było nie mało i odstępstwo ich przyczyniło się do zwiększenia zamętu naszego życia.

Tymczasem nie sama jedna spekulacja abstrakcyjna, ale nadto materyalne dowody z historyi świata przekonywują dobitnie, że tylko uczucie religijne, rozszerzając widnokrąg ludzkich myśli i aspiracyj po za granice zmysłów i namiętności, nie ciasny utilitaryzm chwili, zlewający się z materjalizmem — ale głębokie poczucie odwiecznej Prawdy, porywające dusze ku Ideałowi, stanowią *realną* siłę, która zdolna jest stworzyć trwałe dzieła i obronić ludzkie społeczeństwa od rozkładu i upadku. Doświadczenie dziejowe uczy, że uczucie religijne, skryształizowane w wierze, jest niezbędnym czynnikiem rzeczywistego, wszechstronnego postępu: sam jeden postęp nauki, jeżeli mu towarzyszy tylko sceptycyzm i agnostycyzm, nie zapewniają jeszcze ogólnej pomyślności. Rozumieją to dobrze Anglicy, a wiedząc zarazem, że z chorych jednostek nie może powstać zdrowe społeczeństwo, starają się za pomocą wychowania pielegnować indywidualne zdrowie duszy i rozwijać uczucie religijne, jako konieczny warunek tego zdrowia. Wiara formuje charakter człowieka, jest źródłem woli i czynów indywidualnych, z których składa się całokształt życia społecznego. Myśl tę wyraził nasz poeta-filozof w słowach:

„Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!”

Słowa wieszczka i realny przykład Anglii wskazują drogę dla wyjścia z chaosu i założenia trwałych podwalin postępu społecznego.

M. ŁEMPICKI.

SŁOWACKIEGO LATA OSTATNIE

1843 — 1849.

III.

Wizjonerstwo we śnie i na jawie. Walka z Krasieńskim.

Niewątpliwym chyba jest dziś fakt, że w literaturze od Jagiellonów do Sasów religia, za Stanisława Augusta i Księstwa Warszawskiego poglądy wieku Encyklopedystów, za Królestwa Kongresowego i na emigracyi filozofia idealistyczna i mistyczna nurtowały niejako na dnie twórczości, wywoływały najżywsze poruszenia w indywidualach i pokoleniach, stwarzały niezwykle zjawiska w zakresie inteligencyi, uczuciowości, wreszcie woli jednostek, które utrwały się raz w prozie, raz w poezyi, a zawsze potężnie i oryginalnie. Wielkość romantyzmu, to jego treść metafizyczna, to moc płomieni lirycznych, które przybierają formy obrazowe i rytmiczne, a zawierają wykłady i symbole nieznanego i niepojętego.

Odrywały się te płomienie niejako od tych, którzy je wydali, i oziębiały w kształty, które podziwiamy dziś, choć nie rozumiemy często ich treści i dziwimy się im, jakby były meteorami spadłymi z przestrzeni międzyświatowych. A przecież romantycy wyrażali tylko nastrój czasu, w swym smutku i nieokreśloności pragnień szukali tylko wszędzie zagadki bytu i przeznaczenia. Szukali rozwiązania zwłaszcza siebie samych, swych uczuć, swego życia indywidualnego, końca tego życia i tego, co jest poza końcem. Szukali przyczyny bytu wszystkiego co ich otaczało, pytając o odpowiedź nie tylko filozofów ale i własnych serc, zjawisk i zmian w własnej osobowości, które niejednokrotnie bywają i dziś zagadką. Niepokój metafizyczny przytłumiał w nich zdolność

czynu, objawiał się wszędzie, łamał formy, wiersz, język, wznosząc się w tęsknocie za nieskończonością tak daleko, że oczy przywiązane do rzeczy ziemskich śledzić ich mogą tylko z wysiłkiem i nie dosłedzą nawet. Dawna poezja żyła więcej zewnętrżnością, teraz żyło się wewnętrżnie i w sobie.

Z siebie czerpano pewność, wszystkie rozstrzygnięcia i wartości myślowe poczytywano za wynik wewnętrznej świadomości, niepoczytującej niczego za nierozwiązalne. Jakieś niepowstrzymane natężenie uczuciowości pchało romantyków do nieskończonych spekulacyj, które nie były w żadnym związku z rzeczywistością, nie opierały się na żadnych pewnikach naukowych, lecz stanowiły tylko rozwinięcie teoryj raz wprowadzonych do filozofii i wyzyskiwanych odtąd bez miary. Zinysły nie miały tu żadnego udziału; wewnętrzną sferę duszy uznano za źródło świadomości, szczyt wielkości, dzieje a nie system sił, których byt ziemski jest tylko chwilą między przedistnieniem, będącem emanacją bóstwa, a poistnieniem, będącem powrotem do bóstwa. Byt ziemski ducha dokonywa się miłością, duch stwarza wiedzę bytu i jedność miłości, prowadzi lud wybrany uduchowionych i cierpiących do królestwa Bożego.

Duch opanowuje wszystko, co jest myślą całego romantyzmu, bo jest jedynym realnym czynnikiem. In delikatniejszą jest powłoka materyalna, tem ściślejszy związek z bytem. Od zamierzchłych czasów ludzkości sen uważano za rodzaj przedstawiania ze światem zaziemskim, by przypomnieć podania indyjskie i biblijne. Wedle przodka mistyków, Platona, we śnie występuje wprawdzie zwierzęcość natury ludzkiej, ale można ją pokonać, gdy się wiedzie życie wstrzemięźliwe i uregulowane, życie wyzwolone od zmysłów, oddane rzeczom ducha i ćwiczeniom w rozmyślaniach zbawiennych. Wtedy duch tylko czuwa i jest bliżej prawdy niż kiedykolwiek ¹⁾, co powtarzał Plotyn i mistycy średniowieczni. A mistyków romantyzmu nie zadowalał również żaden dogmat określony, pytali się o religię przyszłą na jawie i we śnie. Nadzwyczajność obrazów, niejasność symboliki, to forma ich dociekań; treścią odczytywanie w sobie i w naturze przełomów, które poprzedzą powrót duchów na łono wszechboskości.

Poglądy te, rozwijane od starożytności, przedostawały się do Boehme, który uświadomił je sobie w stanie ekstazy ²⁾, na ja-

¹⁾ *L'état ou le république de Platon*, traduction de Grou revue et corrigée sur le texte grec d'Em. Bekker, Paris, 1840, str. 594.

²⁾ Dr. H. Höffding: *Dzieje filozofii nowożytnej*. T. I. Warszawa, 1907, str. 594.

wie i we śnie. Życie boskie, mówił on, gra w nas; wszystko jest boskiem, poruszenia wewnętrzne w nas są boskie, a więc i sen, w którym zdobywa się prawdę. Wedle Mickiewicza, który zapożyczał swe poglądy od Boehmego, człowiek styka się z wszystkimi żywiołami czynności boskiej, ducha stara się wydobyć z materii, która, jak w ogóle świat widzialny, jest wynikiem działania nienormalnego i buntu, wyszła z ciemności, które nie mają nic wspólnego z światłością boską. Bo tylko duchy buntu weszły w ciemności ¹⁾, gdy chciały zdobyć miłość przez siłę i starały się stworzyć same środek świata, czyli wszechboskość. O czemś podobnem opowiadał i Słowacki, gdy w swej modlitwie rozróżniał, jak zauważyłem, duchy świetlane i ciemne, gdy opowiadał, jak Boehme, o nieustannej walce ducha z materią, o swym charakterze boskim. Synem Boga, wedle Boehmego, jest bowiem człowiek, gdyż ma w sobie siły boskie, czerpie swe siły z Boga, panuje nad przyrodą materyjalną. Kto wpadł tedy w nieświadomość duchową, to jest pod wpływ materii, kto obudził się owinięty w ciało ziemskie, musi dążyć do boskiego środka, co Boehme rozwiązywał w sposób, odpowiadający dogmatom chrześcijańskim i tłómaczył tylko swobodnie.

W snach, mówił ulubiony mistyk romantyków, reminiscencye życia przedwiekowego rysują się wyraźnie; w snach, mówił za nim Mickiewicz, rozwija się życie nasze bez dwoistości, dusza wyprowadza z nicstwa światy nowe i objawia prawdy nieznane czuwającemu. We śnie, wedle romantyków, następuje jakby wewnętrzne przebudzenie, zwolnienie od zmysłowej świadomości, połączenie z nieświadomem, co odnosi się również do somnambulizmu. Nic tedy dziwnego, że w czasie największej wiary w sny mistyków romantycznych ²⁾, szukano w nich rozwiązania dręczących zagadnień, skoro Kant już wyrzekł, że spoczynek zmysłów budzi we śnie dusze. Wszystkie myśli przyjmowały tu formę obrazów, myśli wyływały niejako ze snów i były snami naprawdę. Duch nigdy nie błądzi, mówiono sobie z wiarą, choć zmysły są w nieporządku, duch rozwiązuje wszystko w duchu panteistycznym, który obowiązywał w epoce idealizmu filozoficznego, który pociągał swedenborgizującego Słowackiego już w Genewie, także i później. Objawiać stało się wtedy zwyczajem; kto dąży do prawdy, wedle Schellinga, ma ją. Filozof romantyków głosił, że w ludziach tkwi prawda; w magicznym kręgu ich świadomości spoczy-

¹⁾ *Rozprawa Mickiewicza o Jakóbie Boehmem*. Warszawa, 1898, str. 11 i 13.

²⁾ *Die Philosophie der Mystik*, str. 45.

wa rozwiązanie; w nieświadomem, w przeciwieństwie do świadomości zmysłowej, wytwarzaniu idei kryje się tajemnica, do której wstęp otwiera ciemna brama snu.

Nieświadoma transcendentalność polega na działaniu wiecznego rozumu, ten rozum objawia się w nieświadomości, co rozbiło granicę między rozumowaniem na jawie a wyobraźnią senną i snem. Tam piękność, gdzie świadomość nieznanego, gdzie duch oddziela się od materii, gdzie tajemnicę bytu swego i innych oświeca. Wiadomo, że próbował tę tajemnicę rozświecić w mistycznej modlitwie Słowacki, poetyzując pogląd schellingiański Mochnackiego, do którego dołączyli się jeszcze: Platon, Boehme, Lamarck. Duch pracował w nim odtąd niewzruszenie, by rozwijać wątek nawiązany i tworzyć spekulacje, które były niejako owocem tego stanu nieświadomego, wizją nieznanego, płodem snu wewnętrznego. Nic nie mogło zaciężyć teraz duchowi, który odsunął się całkowicie od zmysłowości, świat uważał za poemat, siebie i swoje myśli za rzeczywistość. Wyobraźnia, która nie osłabła w nim nigdy, a teraz tylko wchłaniała nowe pierwiastki, by stworzyć ostatni i największy poemat życia, czerpała w tych latach wizyj poetyckich i filozofowań twórczych, niejako pokarm w snach. Wizje poetyckie nie wcielały się, jak świadczył poemat o Zborowskim, w utwory skończone, filozofowanie nie oparło się na granitowym zrębie narodowych dziejów, które od młodości nęciły ten umysł, i wisiało niejako w powietrzu.

Wizjonerstwo dogadzało przecież jego dumie, sprawiało mu rozkosz estetyczną, która była głęboką i ogromną. Duch artysty nie zatrzymywał się przy żadnym systemie, czerpał ze wszystkich, wszystko piętnował indywidualnie. Czytając jego listy, zapiski, poezje, jest się zdumionym obfitością poglądów, szuka się z trudnością związku między nimi, co razem doprowadza do wniosku, że ma się do czynienia z pomysłami dyletanta, obdarzonego tylko geniuszem poetyckim. Naiwność tu nie razi, taka jest pierwotna i pełna siły; entuzjazm nie drażni, bo nie znać w nim nigdy znużenia i wysiłku. W jego wizjonerstwie nie ma tak częstą wtedy sztuczności; mglistość i chwiejność przeważają i wymagają dużego wysiłku, który rozplątywa zbyt zawikłane dla sceptyka nici. W dziedzinach, do których wzniósł się poeta, nie było miejsca na wyjaśnienia i uzupełnienia, wszystko tonęło niby w halucynacji mistycznej, nasiąkało jakimś fluidem świetlanym, jak obłoki w blaskach zachodu. Mistyczny i idealny pogląd na świat nie liczył się z prawdą dziejów, ustalał się silnie w duchu pełnym wewnętrznego spokoju, otrząsającym się z małych uczuć, czującym w sobie miłość odkrywającą wszystkie tajemnice.

„Tymczasem ja—pisał 16 kwietnia 1844 r.—prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec... czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku, jak lampa.“ Uważał się poeta za zdobywcę duchowego, czuł w sobie pewność, niby drugą wiosnę w duchu, pragnął tylko wyzuć się ze wszystkiego na ziemi, bo każdy winien jest smutku, który go uciska. Rozwidniał mu świat, więc radował się jako najwyższy duchem i jako prostak, gdyż czuł się pod ręką Boga. A choć zazdrościł swoim ukraińskich kwiatów, lasów dębowych, cichości stepu, w którym czuł niegdyś Boga, duszę nauczył pokoju i dawna tęsknota nie pochłaniała go teraz, gdyż czuł się uduchowionym i, jako taki, panem świata. Pobyt nad morzem zdawał się hartować strudzone wizjami i ekstazami ciało, które niegdyś w burzach młodości osłabił tak, że chciał przed laty zasnąć na obczyźnie snem anhelicznym. Teraz odradzał się, choć miewał też chwile osłabienia, po których marzył, by stać się pięknoscią i mocą ducha podobnym Chrystusowi.

I innych myślał uczynić silnymi tem, co im dawał; sam uczuwał ogniste powiewy niewidzialnego świata, dla których nie zważał na cielesne słabości, na powszednie przykrości. Z wizyj, które go wtedy nawiedzały, najwięcej wstrząsła nim ta, w której, jak opowiadał, oświeciły go ognie niebieskie i „bez najmniejszego krwi poruszenia, ani rozegrzenia, przerażony zostałem mocą Chrystusa, już na ten świat nadchodzącego, przymuszony wymówić słowa, których nigdy w życiu nie używałem. Szelestem ogni tych, wichrem niby Bożym zewsząd owiany i zagrożony, prawie umarły... a ze zniknięciem onych w jednym oka mgnienu powrócony zimnej rozwadze... i przytomności.“ Uważał tę wizję za wybicie się ducha, wszystko, co wypływało mu z pod pióra, za utwór nie zimnej myśli i utworzenia rozumowego, ale prawdy wewnętrznej. Wyobrażenia, uczuciowości znajdowały się w stanie rosnącego podniecenia, cały człowiek drżał niejako i w tym stanie dalekim od spokoju i panowania nad sobą rzucał na papier rzeczy mało rozważone ale mające czar bezpośredniości, wydające jakby woń uroczystą, uastroju wzniesionego i wyanielonego niezmiernie.

Sniła mu się jakaś wielka powieść, w której lud jego krwią błagał Boga o litość, i modlił się, by powieść do końca doprowadzić i nie zmącić żadną doczesną myślą. Chciał opisać prześwietałe żywoty bohaterów, którzy, jak święci dantejscy, zwracają w złotym słoneczniku twarze ku Bogu, chciał wywołać płaczący dziś kraj sarmackiej wolności. Takim bohaterem wydał mu się Za-

wisza, który dostał serdecznego śmiechu na widok krzyżów na płaszcach krzyżackich. Więc Jagiełło śle go na Turków, choć starosta sanocki chciałby go widzieć mężem synowicy Laury. Ale rycerza nawiedzają wizye, sny, żądza odsunięcia się od świata, jakby mistyka średniowiecznego; nie wie sam, co się z nim dzieje i walczy z sobą nieustannie:

Od jakiegoś czasu

Jestem przez ciemne duchy... za ramiona chwytany,
Oczy mam pełne ognia — a hełm pełen hałasu...
Szumi w nim burza jakaś — jak zhukane bałwany
Pchane wiatrami Boga — o brzeg czarny bijące;
Czasem w oczach ogromne krwawe miesiące
Płoną, a na miesiącach — krzyż czerwony zagore...

Nie wie, czym jest, łono mu się rozdziera i serce płonie, myślał w dzień i w nocy, jak poeta, pracuje tak, że tylko Turczyn Manduła może ukoić burze ducha muzyką.

Już w mistycznej modlitwie była wzmianka, że duchy ofiarowały się na śmierć, by przebudzić się w doskonalszej formie. Fakt ten wydał niezliczone potomstwo kształtów i cuda tworców. A więc i Zawisza mógł być zapewne także ofiarą, gdyż chór śpiewa, że niczem są prace doczesne, gdy

Ofiara jedna tylko wzlata nad kurhany
I lampą jest narodu — duch ofiarowany.

To zapewne idea tragedyi. A tymczasem Zawisza ma nieść chorągiew z krzyżem, gdy ruszą wojska cesarskie. Pierwej jednak stacza gdzieś w stepach boje z Tatarami, bo ranny staje znów na zamku sanockim, gdzie Laura opatruje jego ranę. Na wojnę zbiera się powoli, bo wątpi, czy warto gonić za sławą, bo sława nie warta tyle, co anielstwo, i

kto się w taką tęczę za młodu umota,
To go na niej fortuna, jak na pasku, wodzi...

A może wstrzymuje go miłość dla Laury, choć uczynił niegdyś ślub, że dbać będzie tylko o sławę mieczem zdobywaną, że nigdy o osobiste szczęście się nie upomni. Okazuje się, że o Laurę ubiega się też książę niemiecki w przebraniu żebraka, więc Zawisza boleje nad wszędzie przenikającą zdradą, drży o przyszłość zagrożonej ojczyzny,

Bo we mnie wszystkie są dla niej miłości,
Jak gwiazdy w taki uwiązane snopek,
Że razem król ja ojczyzny i chłopek.

Miłość za grzech uznał, złotem i wczasami pogardził, choć
żał mu było, jak poecie, cichego żywota, przykrzyła się anielska
dola, choć

śmiertelny

A tak przed śmiercią nie drżący
I tak gotów do ofiary,
I tak wszystko kochający
Bez wagi w sercu i miary...

Ma sny, przeczucia, widzenia; głosy powietrzne wieszczą
śmierć jego wojsku cesarskiemu, które osieroca prędko, skoro
Laura, przebrana za trynitarza, mówi, że on na wzgórzu

Samotny... w błękie słyszy
Każdej srebrnej gwiazdy ton,
Każdego świerszczka śpiewanie
Bo czujny...

I dramat urwał się, choć nie rozwinął żadnego momentu
szerzej, by przytoczyć walkę z sobą samym Zawiszy, lub rywali-
zującą o posiadanie serca bohatera Laury i kryjącej się pod imie-
niem Manduły Turczynki.

Temat był zaś niepospolity. Miał zapewne uwiecznić pa-
mięć czynów bohatera, miał odtworzyć dążności epoki, miał ideą
wstrząsnąć, jak mówi Mickiewicz, umysły opieszałe. Zaczynał
się od przedziwnego wstępu, w którym poeta chciał usłyszeć
wielkie serce w sobie bijące, być kaznodzieją mistycznym, opisać
przeświète żywoty duchów. I chóry, pełne powagi i siły, zapo-
wiadały rzecz niepoślednią, dzieje jednego z królewskich duchów,
o których mówił Mochnacki. Zawisza ma istotnie kształty wiel-
koluda, wyrósł nad miarę codzienną, jest jakby wcieleniem chrze-
ścijańskiego rycerza, którego wzór istniał u Calderona, który
wiarę, miłość, cześć, lojalność cenił nad wszystko. Ale on jest
i mistykiem, który ma związki z światem niewidzialnym, ofiaro-
wuje się na bój, jak jeden z duchów genezyjskich, stacza walkę
z ciemnymi duchami, którym do pomocy przybywa jeszcze świe-
tłana piękność Laury. Nie daje się jej uwieść, jak calderoński
Cypryan, marzący o posiadaniu Justyny; pozostaje czysty i wierny
obowiązkowi, choć tego poeta należycie nie pokazał, choć pocią-
gany niewątpliwie pomysłami spekulacyjnymi, nie osiągnął jedno-
ści, nie sprzągnął scen ściślej. Własne przejścia, osobiste marze-
nia o swej roli anielskiej, pojęcia mistyczne, skupiły się w posta-
ci, która rzuca tajemniczy cień na inne, wydaje się zagadkową

i niepokojącą, bo nie wie się, co Zawisza uczyni w końcu, co pocznie Laura.

Przepych wyrażenia, głęboki ton liryczny, olśniewają jednak, dramat jest istotnie jakby odbiciem zaświatowych sfer. Jego bohaterą oprowadza poeta po różnych stronach, jak niegdyś Beniowskiego, otacza jakimś nimbem nadziemskim w przekonaniu, że jest on aniołem Bożym, którego miłość, jak Słowackiego dla Brownej, uwieść mogła daleko, ale który, jak mówi chór,

Prędko wielkiego ducha wyrwywa z niewoli
Tak, że te więzy wszystkie rwie — choć serce boli.

Zawisza góruje swą wielkością nie tylko fizyczną, jest pierwszą próbą stworzenia bohatera na miarę późniejszych, jak Popiel, Mieczysław, Bolesław Śmiały, rodzajem ucieleśnienia idei narodowej w pewnym okresie dziejowym. On rwie się nad poziomy, chce być ofiarą, chce walczyć choćby z piorunami, jeżeli ludów nie stanie. Ale może legenda pociągnęła go za mało, może nęciły go więcej królewskie postaci dziejów, może odrywały go próby filozofowania lub zagadnienia chwili, z których powodu miał zetrzeć się z Krasieńskim. Rzucając bowiem pomysł godny jego poezji, pogłębił za mało obie postaci kobiece, porzucił myśl złożenia całości, której szczegóły przypominają najlepsze chwile jego calderonizmu. To fragmenty duszy raczej niż dzieła, duszy pod słuchującej wszędzie szmery życia boskiego i nie mogącej, jak dawniej, oddzielić się od swych bohaterów. Mistycyzm wzrastał w tej duszy żywiołowo, wprowadzał ją w stan takiego podniesienia, że osłabiał niejako zdolność nie twórczą, ale organizacyjną.

Z rozpalonej wizyami wyobraźni wybiegały płomienie, które nie układały się jednak w zarysy zgodne z wymaganiami sztuki. Wykończony dramat stanowiłby niewątpliwie jedno z największych arcydzieł; poeta był już jednak wtedy mistykiem pełnym, był przekonany, że otrzymuje objawienia, prawdy, które nie potrzebują stosować się do konwencji dramatycznych. I jak mistycy wogóle, sądził, że będąc osobiście wyanieleny, objawia te prawdy dla drugich, prowadzi ich w ten sposób na drogę podobnego wyanielenia. Nie można przypuścić nawet, gdy się zna ówczesne poglądy, by na chwilę chciał łudzić kogokolwiek. Jego chwile tworzenia musiały być jakby stanami półświadości, po których wracał, jak ekstacy, do stanu normalnego. W tych stanach ekstazy wyobraźnia działała bez żadnego hamulca, wyobraźnia przywiązywała się do jednej czynności, czyli objawiania prawd, które obchodziły ekstatyka niezmiernie. Zdawał się w tym

stanie oderwany od całego świata, otoczony swą wizją bytu, urzeczywistniający tę wizję nieustannie, co dawało mu rozkosz niesłychaną. Ale i cierpiał, jak ekstatycy, uważał się za ofiarę, której poddał się przez miłość. Jego filozofia uważała tę ofiarę, jako czynnik podnoszący ofiarującego, jako stygmat wyanielenia.

„Dziwny mój los — pisał 20 stycznia 1845 r. — że ja wonią dalekich serc żyć muszę, a tu samotny, zostawiony tak przez Boga wielkim wewnętrznym boleściom, bo ja nad światem cierpię, jak matka, i pokarmu mi wielkiego potrzeba, a czasem ludzie karmią tylko zdaleka kwiatkami rzucając.“ Przywiązywał się tedy do swej idei objawienia, do swej idei ofiary i cierpienia, która była dla niego rzeczywistością zupełną, dla której wzruszenie uczuciowe było tak silne, że drżał we wszystkich fibrach swego delikatnego i wrażliwego organizmu. Natężeniem półświadomej ekstazy tłómaczą się fragmenty, które rzucał na papier, tłómaczą się mglistości i niepewności fabuły, tłómaczy się gorący koloryt i drżąca a pełna podlotów i spadków nastrojowość. Poeta pragnął umieścić swe sny bądź co bądź na zrębie dziejów, które, dzięki obudzonemu badaniom nad przeszłością narodów słowiańskich, rozszerzały się niejako, zlewały z sobą poniekąd. Mickiewicz już mówił, że poeci słowiańscy spotykali się u tych samych źródeł natchnienia, składali jakby ogólny rapsod, gdy chodziło naprzykład o Ukrainę ¹⁾. Czemu Słowacki nie miałby wziąć tematu z dziejów ruskich? Wszak Wielki Nowogród miał formę republikańską, rządu, której on był zwolennikiem, miał ustrój demokratyczny, którego on był wieszczem w zakończeniu anhellicznej wizyi.

Uderzał jego wyobraźnię świat, który pokazał Karamzin, przez który chciał wykazać, jak mocą bezwzględnego jedynowładztwa powstał organizm najpotężniejszy ze słowiańskich. A jemu imponowała moc ciała i ducha, bohaterskość i nadzwyczajność postaci, które od Ruryka przesuwwały się przez wieki, by wyswobodzić państwo od jarzma tatarskiego i rozszerzyć je daleko za pierwotne granice. Karamzin dawno już nęcił jego wyobraźnię, skoro zachwyt dla niego wypowiadał jeszcze przed laty trzynastu, skoro ponowne nad nim studia utwierdziły w nim nie tylko zajęcie dla potężnych postaci wielkich kniaziów, które historyk umiał oblać światłem poezyi, by przypomnieć Andrzeja Bogolubskiego, Wsiewołoda III, Iwana Kalitę, Iwana III, ale i przedstawić w całej grozie i prawdzie Iwana Groźnego, Godunowa lub Szujskiego. Patryotyzm karamzinowy, mimo swego uwielbienia

¹⁾ *Literatura słowiańska*. T. II. Poznań, 1865, str. 6.

dla jedynowładztwa, miał żar i siłę, a mając za dewizę, że *gdzie nieś lubwi, nieś duszi*, pociągał niepospolicie wrażliwego poetę, w którym Mickiewicz budził nadto nadzieję, że zmieni się bieg dziejów Rosyi, że zbliża się palingeneza ogólnej historii, że Słowianie zabiorą głos w dziejach, bo nie nadużyli jeszcze słowa. Polska, wedle Mickiewicza, była uosobieniem idei przeciwnych rosyjskim, które zgmiotły przeciwniczkę, ale nie zgmiotły idei, mogącej się wcielić na nowo, bo jest ideą boską. I Mickiewicz wywołał entuzjazm dla Karamzina, który ma duszę i prawdę, bo uczuł bezpośredni wpływ Boga na sprawy ludzkie, choć nie uznawał moralności w polityce.

Filozofia rosyjska, wedle Mickiewicza, nie sformułowała żadnej idei, mesyanizm polski przyznaje Polsce posłannictwo, które ma wyobrażać jeden człowiek ¹⁾. Rosya ma jeszcze ton mongolski, Polska—chrześcijański i łagodny, a więc poeta słowem wznieś się ton wyżej od rosyjskiego, który jest mongolskim. Idee podobne zapadały w ducha poety, któremu już Mochnacki mówił, że człowiek przechodzi zwolna do refleksyi rzeczywistej i jasnej, do filozofowania i uznania siebie samego w jestestwie swoim, do rozszerzenia swej indywidualności, która niknie w ogóle, ale i ogół w sobie mieści. Wieki są jakby obszerne place, gdzie z zawiązków rozkwitają pewne idee, więc były idee w dziejach Rosyi, były w dziejach Polski, jak idea Bolesława Chrobrego, która sprzeciwiała się idei germańskiej. Związek między dawnymi a nowymi ideami zadzierzgać się musi, a więc i między słowiańskością dawną i dzisiejszą, co powtarzał sobie i Słowacki, gdy śladem Karamzina roztaczał wątek dziejów walk Mongołów z Rusią północną.

Strach pada tedy na lud nowogrodzki, bo Dymitr Michajłowicz Twerski przychodzi wyrzucić zemstę za sympatyę moskiewskie grodu. Tylko biskup ma moc wytrwania, bo nie oślepia go blask tarczy najezdźcy. On jest człowiekiem wolnym, sługą Bózym, który patrzy bez lęku na upadek grodu,

Gdzie wolność, matka rosyjskiego rodu,
Mieszka od wieków...

Bóg karze ją pożarami, zarazą, głodem, napadami książąt Tweru i Moskwy, w których przeszedł, jak trzeba się domyślać, duch mongolski zniszczenia i kary. Nie wiadano dawniej, skąd przychodzi azyjskie plemię, teraz wiadomo i położenie odczuwa

¹⁾ Tamże, str. 371.

się tem boleśniej, że na Rusi wre walka bratobójcza, walka o panowanie nad grodem, na który patrzą pożądliwie mocarze krwi ruskiej. I Dymitr ulega czarowi słów biskupa, choć przestał być człowiekiem wśród krwi zawieruchy. Wiek cały nieszczęść ojczy-
stych przemówił do niego, ale żal do grodu w nim huczy i zwraca się przeciw książętom moskiewskim, którzy w grodzie siedzą. Nie ustąpi, póki mu ich nie wydadzą, więc chór grozi mu, że duchy pomogą książęciu moskiewskiemu Jerzemu, bo Dymitr na wolnych ludzi rękę podniósł i wywołał interwencję hufca anielskiego.

Zjawia się chan Uzbek, depczący po głowach kniaziów, którego tron w płomieniach i krwi oceanie, a

Stopnie ma podobne trunom,
Nakrycie ognistym piorunom,
Zamknięty jak los... Ale kiedy się otworzy
I na nim siądę straszny, zielony — gniew Boży!

Uzbek jest posłańcem Boga, kapie się we krwi po szyję i

Na duchu królem ludów naznaczony,
W ciało odziany psie, takie jak oni...
Jam jest polano w Pana Boga dłoni,
Gniew jego czarny, duch jego czerwony,
Gdybym nie bożym był, czyżby Stworzyciel
Zniósł mnie...

Nie ma litości dla nikogo, natężony przeciwko sile duchów, ulega dopiero niewidzialnym siłom wewnętrznym, by zgnieść zachodnie ludy, gnijące w ciemności, by pokarać je za grzechy, by zrobić z świata cmentarz i wygubić życie do szczytu. I znów fragment filozofii dziejów poety, który stwarza postać chana jako wcielenie kary za zboczenie z drogi prawdziwej. Nie wyda się ona dziwna, gdy zważymy, że wyszła z głowy mistyka, że nęciła swą niezwykłością, że postać chana zwłaszcza wydawała się w niej opatrnościową, gdyż, jak mówił Mickiewicz, dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia. Tworzył się zarys na dramat ponury, ale skrzący się potokiem scen pełnych tragizmu, dramat istotnie wspaniały i pełen treści. Ale nastrój poety był zbyt nierówny, by pomysł mógł oblec kształty skończone. Chwiało się w jego duszy wszystko, czasem tracił nawet swą drogę, gdy marzył już o pociągnięciu tłumu za sobą.

A teraz miał koło siebie ledwo kilku mistyków, mniej daleko wyanielonych od niego. „Zlituj się ty nademną—pisał do ma-

tki w lutym 1845 r. — i bądź mi miłosną na wieki, bo nie wiem, do kogo się obrócić... Słudzy moi, którzy mię co dnia widzą, umiłowali mnie i ci jedni w pokorze swojej odkupują czasem winy całego świata, że mnie miłują. Oni wierzą, że ja mam moc nawet po śmierci wziąć je z sobą i chcą iść za mną i często proszą, abym pamiętał o nich, czy to do ciebie idąc, czy do Boga idąc, odejdę.“ Ale było to uczucie tylko chwilowe, gdyż czuł nieustanne ogniste powiewy z zaświata, wybijał się siłą nad słabość ciała, czuł się rządzony przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa i zatapiał w lekturze biblijnej, która jego stylowi nadawała charakter osobny. Nigdy nie wydawał się bardziej poetą, gdy zatapiał niejako w widzeniach, gdy wydobywał z siebie poezję wewnętrzną, osobistą, ekstatyczną, pełną żaru i podniesienia. I lektura jego tworców ówczesnych stwarza nieustannie nowe myśli, nie daje się wyczerpać od jednego razu.

Miewał już teraz widzenia na jawie, jak owo ognia ogromnego nad głową ¹⁾, do którego przywiązywał znaczenie symboliczne i doniosłe. W ten sposób, jak sądził, zbliżał się niejako do Boga, w ten sposób widział w stanie ekstazy, co chciał, tak wizja była silną, tak dawała mu wrażenia zupełne rzeczywistości. Przypominają się widzenia świętej Teresy, które stawia na właściwym gruncie współczesny filozof Dumas ²⁾. Widzenia te tłumaczą nam, że w takich warunkach nic nie ograniczy i nie zatrzyma w pocie autosugestyi, że uczuciowość jego będzie spadać od stanu najwyższego napięcia do osłabienia i odrętwienia. Wywoływały ten stan podrażnienia także okoliczności zewnętrzne, jak ówczesne wypadki we Francyi, działania emigracyjne, wreszcie słynna dążność towiańczyków do porozumienia z Rosyą, co spowodowało rodzaj protestu w formie listu do Mickiewicza. Wypadek ten oddzielał jeszcze bardziej poetę od dawnych przyjaciół, skazywał go na dalszą samotność i snucie samodzielne pomysłów wszelkiego rodzaju. Dziwna tragedia była bowiem udziałem człowieka, który marzył o zjednoczeniu wszystkich, a był bardziej osamotniony, niż ktokolwiek.

Duch zatrzęsł się w nim jednak na myśl, że towiańczycy wyczekiwali zbawienia od jedynowładcy. Wywołało to znowu

¹⁾ *Poezye, utwory dramatyczne i proza*. Wydanie Józefa H. Rychtera. Kraków, 1889. str. 307.

²⁾ *Revue des deux Mondes*, livraison du 1 Mars 1907, str. 219.

³⁾ *Pisma pośmiertne*. T. I, Lwów, 1866, str. 85 — 86.

wizję pełną grozy dantejskiej i wyraz oburzenia, zwłaszcza przeciw wodzowi gromadki, którym był dawny rywal w poezyi, a który teraz mierzył ojczyźnie

W serce, gdzie ona święty ogień trzyma,
Swemi sztyletowemi utkwiwszy oczyma,

co nie sprawiało mu jednak, jak sędzę, ukrytej radości, gdyż od osobistych niechęci wolny był teraz zupełnie. Wizjami żył przecież ciągle, stawały się one teraz silniejsze, niż dawniej. Raz uderzony był światłami niebieskimi tak silnie, że, jak pisał, chyba „po śmierci coś podobnego uczuję... bo w ciele więcej bym nie wytrzymał.“ Opisać tych wizyj dokładnie nie umiał, były one niejako niezależne od jego woli, która gięła się pod działaniem powiewów zaświatowych. Nie były one intelektualne; raczej coś nieokreślonego uderzało podrażnione zmysły, trwało krótko, wprowadzało przecież uczuciowość poety w taki stan nienormalny, że pozostawiało wstrząśnienie w całej istocie. Można sobie wyobrazić, jak ascetyczne i podkopujące fizyczne siły prowadził życie mistyk, skoro psychologia jego takie wykazywała objawy. Nie pytał nawet, czy to halucynacje, tłumaczył je sobie, jako przestawanie z Bogiem, co napełniało go szczęściem niewymownem. Były to wizje wzrokowe, a nie słuchowe przeważnie, bez szczególnego znaczenia symbolicznego, bez myśli, wyrażonej otwarcie. Byłyby na miejscu w murach klasztoru, który pociągał samotnika, nim zetknąwszy się z nim w czasie letnich wczasów, nie spostrzegł, że nie zamyka on ludzi istotnie uduchowionych i wyanielonych. Czynił, co mógł, żeby być czystym i nieskalanym, by napotkanych ludzi do swego widzenia rzeczy pociągnąć. Nawet rzeczy martwe gadały teraz do niego dziwnym językiem, wszystko, co pisał, uważał za poczęte w mocnym drgnięciu ducha, za normalne i nie podlegające żadnej wątpliwości.

Gardził ciałem, odpędzał złe przeczucia, żył cały życiem zaświatowem i zawieszonem nad przepaścią, bo ta przepaść, jak mówił, jest „prawdziwym, ruszającym się, idącym ciągle do celu światem, a ten świat jest to dywanik na wywrót widziany, gdzie wszystkie nitki wyłażą i giną bez celu i bez potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek.“ Nadzwyczajna wrażliwość, niezmierna żywość wspomnień, objawiały się w nim wtedy nieustannie, moralny stan dałby się tylko porównać ze stanami mistyków chrześcijańskich, podnoszących uszczęśliwiający wpływ wizyi, któ-

re uważają za rodzaj boskiego szczęścia na ziemi ¹⁾). Znaczyło to, że poeta był jakby podwojonym teraz, że żył tylko połową istoty w świecie widzialnym, że, im więcej zewnętrzny człowiek zamierał, tem silniejszy był wewnętrzny. Podzielał pewnie zapatrywanie Platona, że, jeżeli coś jasno pojąć chcemy, trzeba oczyma duszy patrzeć na rzeczy, że geniusz jest najwyższem ustopniowaniem refleksyi, że siły duchowe rozwiązują się z chwilą osłabienia ciała, że, jak mówi Kant, zdrowie nie dopuszcza poznania. Był już wtedy całkiem zmieniony, nawet zewnętrznie, rozgorączkowany, podniecający się nawet narkotycznymi środkami ²⁾). Wybuchał często płaczem, jak człowiek rozstrojony zupełnie nerwowo, co zdarzało się zapewne po wizjach, kiedy ziemską powłoka odyskiwała swe prawa. Składał się wtedy jakby z dwóch ludzi, z których jeden nie był zupełnie obojętny na sprawy świata, drugi, wywoływał magiczne siły duszy, o których naczytał się u mistyków.

W duchowym świecie, mówił Swedenborg, są aniołowie, w materyalnym, ludzie, więc wyanielony poeta żył głównie w pierwszym, gdy pisał, że

Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają,
Ja się budzę — i wzrok do gwiazd niosę;
Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają,
Ja ożywam, Pańską pijąc rosę.
Cherubiny wtenczas rzędem stoją
I puklerze z ognia — złotowłose
Przeciw duchom złym mają zwrócone. ³⁾

Przypominał wtedy człowieka Plotyna, który tylko nogami stoi w wodzie, czyli żyje w ciele, wyższa część istoty znajdowała się w świecie nadziemskim. Ale tej podwójnej istoty część materyalna cierpiała w tej pozycji bardzo, choć poeta starał się kryć może z dumy swój stan. Antagonizm obu części spowodował upadek tej, bez której duch istnieć, na ziemi przynajmniej, nie może. Jak Plotyn, wstydził się poeta niejako ciała, ukrywał jego choroby, żył jak somnambulik, cały w snach, widzeniach, przeczuciach, wolny metafizycznie i myślący często o śmierci fi-

¹⁾ *Revue de l'histoire des religions* publiée sous la direction de M. Jean Réville. Paris, 1907, T. XV, № 1, str. 44.

²⁾ *Genezis z Ducha. List do J. N. Rembowskiiego...* Wydanie dr. H. Biegeleisena. Warszawa, b. r. str. XXVII.

³⁾ Tamże, str. XXVIII.

zycznej, która rozwiąże obie części i wyzwoli ducha na byt przed-wiekowy. Tęsknił do nieśmiertelności, od której oddzielała go już wąła ściana, pysznił tą nieśmiertelnością, w którą wierzył niezachwianie. Dla romantyka była ona niejako kwestią bytu, podstawą wzlotu w transcendentalne regiony, do których już Kant stworzył drogę, gdy mówił, że człowiek należy do widzialnego i niewidzialnego świata. Tu konieczność, tam wolność, tu droga do transcendentalnego rzeczy porządku, tam ten porządek w istocie i prawdzie.

Na tę myśl niewymowna radość chwytiała to osamotnione serce, które wystarczało, jak dawniej, sobie, notując swój stan dokładnie:

*Gdybym się nie czuł nieśmiertelnym duchem,
Rozrzuciłbym świat grzechów mych wulkanem....
Ha! Gdybym nie czuł się natury panem
A czuł naturę na woli łańcuchem,
To bym się rzucił, jak lew, na to ścierwie
Ciał i gryzł żywcem, gryzł nawet trupa.
Ha! Moja biedna gliniana chałupa,
Gdziem żył, jak wilk, a światowe czerwie
Pozwalał, że mi toczyło powoli,
Póki nie doszło aż do serca rdzeni,
Teraz ta chata, jak pałac z płomieni,
Wachlarzem wolnych złocistych topoli
Od różanego księżycy zakryta
Niby dziewica...¹⁾*

Dawny indywidualista, którego odbicie Arab niszczył wszystko po drodze, objawił się tu potężnie, ale spętany swą doktryną, która jego temperament zamknęła we właściwe granice. Pijany duchem Bożym dawał swej filozofii charakter czysto świecki, przeciwstawiał ją urzędowej nauce wiary, by przypomnieć luźne docinki księżom i zakonom. Jego dumna i melancholijna natura oczyściła się, ale nie zatarła; w mistycyzmie przypominała najświeższych jego przedstawicieli, tyle było w nim stałości w poglądach, tyle pogardy dla materyalizmu, tyle świadomości ideowej, którą dzielił z romantykami. Nie wypada bowiem, jak się to dzieje dziś jeszcze, wyjaśniać jego stanu tylko rozbiciem nerwów, rozstrojem organizmu. To romantyk w pogoni za prawdą,

¹⁾ *Pamiętnik Juliusza Słowackiego*, wydanie dr. Biegeleisena, Warszawa, 1901, str. 135 — 136.

raz rozumujący w sposób mniej lub więcej oderwany, raz tworzący dramaty, które kryły najgłębsze myśli jego czasu.

Że zaś siła ducha, wedle romantyków, uwydatnia się najlepiej w poezyi, więc jego poezya ma być jutrzeńką, która każe mówić memnonowym posągom przyrody. Ma budzić śpiących, ma wpuszczać z genezyjskich otchłani wiatr orzeźwienia i młodości, ma objawiać, co o Boga myślą rozumie¹⁾. Przez podniesienie jednego ducha podniesie się całe stworzenie, w świętości ducha kryje się jego wyzwolenie i moc przyszła, w widzącej wierze i w uczuciu nieśmiertelności tkwi cała godność natury ludzkiej. Pogląd ten przewija się nieustannie w jego wyznaniach, stanowi całe piękno jego poezyi, jej największe piękno przedewszystkiem. W tym poglądzie skupił się jego estetyczny dognat, skupiła się jego etyka, jego filozofia, bez której niepodobna rozumieć jego poezyi. I dziwne melodye, nieznane rytmy, grały w jego duszy mrocznej i dumnej, która przypomina mocno Pascala. Z ciemnych nastrojów, z zmierzchu mistycznego, z snów i widzeń zdawał się utkanym być poemat, w którym ten umęczony i płomienny duch wypowiedział się z całą goryczą, z całą wiarą w postęp ku udoskonaleniu, z całą doktryną, której pierwiastki zaczerpnął z swej wiedzy mistyka. Z takim poematem wystąpił nie tylko na tle dziejów poezyi tego czasu, ale i narodu, bo czynem narodowym, czynem historycznym było to, co pisał

Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem.
Takim duchem i sztandarem,
Być na ziemi — jest być w niebie!

To nastrój jego w r. 1845.

Czynem historycznym był jego poemat, bo republikańizm i demokratyzm stanowiły hasła najliczniejszej partii francuskiej, bo antyklerykalizm należał do nich także, skoro kler uważano za sprzymierzeńca legitymistów. Chciano już nie reform, ale przemiany społecznej, którą przewidywano od lat szeregu²⁾. We

¹⁾ Tamże, str. 60.

²⁾ *Histoire générale du IV siècle à nos jours* publiée sous la direction de M. M. Lavissee et Rambaud. Paris, 1898, Tome X, p. 409.

Francyi, gdzie rozwój przemysłu dokonał się nader szybko, doniosłą stała się kwestya robotnicza; w Polsce, której swobodę myśli wyrażała emigracya, kwestya włościańska ¹⁾). Od czasów Leszczyńskiego zjawiała się ona w literaturze, było głównem zadaniem demokracji rozwiązać ją, zadaniem zwłaszcza tego licznego gminu szlacheckiego, który miał poczucie niezależności osobistej, poczucie obowiązku, ciężącego na nim wobec grożącego osłabienia narodu przez ograniczenie go na szlachtę, wobec tradycyi kościuszkowskiej, która ograniczyła pańszczyznę i wiodła, naturalnym rzeczy porządkiem, do jej zniesienia. Że zaś duszą narodu, jak mówił Mickiewicz, była jego emigracya, więc demokratyzm objawiał się w niej silniej, niż w kraju, zamykał w dążeniu zjednoczenia wszystkich w jedność bez podziałów i warstw. Poeci, jak Goszczyński, pracujący czas jakiś w Galicyi, Mickiewicz lub Słowacki, byli też synami owego gminu szlacheckiego, który robił powstania, zaludniał Syberję, uciekał za kresy kraju, by tam dalej snuć myśl wyzwolenia politycznego i społecznego.

To, co teraz się mówiło i pisało, było niejako odbłaskiem idei ogólnych. Ruch rozpływał się na razie po stronach poznańskich, przenikał do Galicyi i dalej, usiłując utrzymać związek z międzynarodowym ruchem wolnościowym i żywiąc nadzieję, że ogólna rewolucya zmieni też porządek rzeczy w Polsce. Na chorągwi rycerza w anhellicznej wizyi wypisano wyraz lud, co odpowiadało dążeniu partyi demokratycznej, że jedynym władcą jest lud, jedynym rządem ludu prawo, jedynym prawodawcą wola ludu. Czyniono szlachcie zarzut, że z jej winy przyszedł niepowodzenia powstania. Jeden z działaczy głosił nawet, że zwycięstwo przyniesie tylko ogólne powstanie. Obudzić lud, stało się dogmatem demokratycznego katechizmu, który głosił, że święte imię wolności obudzi zapał powszechny ²⁾). Nienawiść despotyzmu, który przedstawiały rządy monarchiczne, poczucie potrzeby rozszerzenia świadomości narodowej w ludzie, oto zasady, które nie oddziaczały wolności od równości, nie oddzielały powstania od rewolucyi społecznej, która będzie środkiem powstania ³⁾). Za leniwie szły dotąd reformy, walka bez krwi obejść się nie może, jeżeli

¹⁾ *Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim*. Cztery wykłady dr. Bolesława Limanowskiego. Kraków, 1906, str. 10 — 27.

²⁾ *Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego*, przez Filareta Prawdowskiego. Paryż, 1845, str. V.

³⁾ Tamże, str. 33.

szlachta nie powtórzy hasła wolności. Powinna ona lud umiłować, pogodzić się z rozdaniem ziemi, bo, kto chce celów, musi chcieć środków, musi stanąć na czele ruchu. Nie ma mowy o zemście ludowej, kara nastąpi tylko za niesposłuszeństwo. Wszystko z ludu wychodzi, lud jest źródłem potęgi, która wskrzesi Polskę ludową.

Ten sam katechizm głosił, że apostoł wiary ludowej winien budzić w narodzie poczucie własnej godności, potrzebę rewolucji społecznej, konieczność ofiary, którą podkreślał Słowacki jako prawo następnej twórczości, jedyną drogę do rozwidnień i oświeceń, środek do królestwa Bożego wiodący. Już dawniej zapowiadał w wersetach końcowych swej anhelicznej wizji, że lud wyrze zemstę na królach, teraz namiętności ówczesne porywały go z sobą tak, że utożsamiał się z nimi i odnosił do królów i arystokratów z niechęcią. Lud wypisany na chorągwi rycerza stawał się, jak w katechizmie demokracji wersalskiej, jego ideałem. On uczynił tylko z oschłego programu wizję poetycką, nappełnił surowe zarysy gorejącem światłem wyobraźni, przepoił chłodne linie gorącym powiewem uczucia. To uczucie lubiło się rozlewać, lubiło ogarniać szerokie warstwy narodu, gdyż całe dzieje były dla poety rodzajem wskrzeszenia, wydobywania z materii, podniesienia z stanu nieświadomości, co odnosiło się i do ludu, który rozwinie się tylko przez wolność i równość. Natchnął go już temi ideami niegdyś Lamennais, więc teraz, gdy dawny przyjaciel, którego zwykł był cenić ogromnie, który go rozumiał najlepiej, zerwał z nim niejako stosunki osobiste po owem fatalnem spotkaniu się na ulicy i przeciwstawił świętej figurze ludu bohaterskość szlachty, w której imieniu piętnował złe środki dla osiągnięcia wielkiego celu, zerwało się w nim natchnienie. Zerwało się i biegło szybko, raz rzucając ironią, raz przemawiając podniośle, raz rozlewając się w pogodę i rzewność, w czem pozytywnej doktryny nie było wcale, ale była tendencya demokratyczna i obrazowość, która zamykała w genialne formy tendencję.

Wyobraźnia była pryzmatem, przez który widział lud i sprawę ludową, uczucie dołączało się jeszcze, by stworzyć rzecz jedyną w naszej poezji, a drżącą życiem i wzruszeniem. Trzeba wcielić się w duszę jego pokolenia, by odczuć ten wiersz, który powstawał po świeżych bohaterstwach Zaliwskiego, Dziewickiego, Zawiszy, Wołłowicza, Konarskiego, trzeba upamiętnić sobie to pokolenie, które widziało przeszłość i przyszłość pod kątem poezji, trzeba uprzytomnić sobie idee, około których skupiano się, jak organizm koło duszy. W pragnieniu widzenia wielkich rze-

czy poeta powiększał wszystko, czego dotknął; powiększył i winę Krasińskiego, gdy wyrzucał mu, że jest niekonsekwentny, gdy pragnie znieść stan niewoli i woła o czyn, a boi się wystąpienia ludu. Psalmista chciał dać przewodnictwo szlachcie, gdy miną fale godzin, jego przeciwnik żądał widocznie powstania na bliższą metę i wyrzucał mu, że nie idzie z prądem czasu, że narzuca się swą osobą.

Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże...

Krasiński prowadzi, zdaniem poety demokracji, politykę kasty, lęka się mar, odsuwa od ludu, bo ma serce i rdzeń z próchna. Więc drwił z niego, gdy ironicznie nazywał go młodym, przemawiał z namiętnością bezprzykładną, gdy porównywał lud do ojca, którego nie wolno obrażać i groził zemstą duchów walczących z ludem, bo

Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucjonista,
Pod męką ciał—leżący duch!

To część polemiczna wiersza.

Stworzyć ją mógł tylko poeta, którego rzeczywistość porwała na chwilę, ale nie zatrzymała. Usiadłszy na chwilę na jej skale dał się porwać znów jakby zachwyceniu mistycznemu, uczuł się niby olśnionym swą wizją wewnętrzną. Bo mistyczną jest część, która następuje, miękka i podniosła w tonie, rozplywająca się w modlitwę o zwycięstwo ducha, o zdobycie nieśmiertelności, o połączenie w miłości, gdy Bóg nagnie na swój ton

Wszystkie wieku twego struny,
Złączy dźwięki i pioruny
Świat, co kocha i przeklina...

Mistyk zdradził się tedy w programie demokratycznym, w całej pełni, mistyk, który wieścił końcowe zwycięstwo ducha, zwycięstwo utożsamione ze sprawą ludową. Inpet polemiczny rozwinął się w połowie, by ustąpić miejsca widzeniu przyszłości, modlitwie o lepszą przyszłość w nagrodę za wytrwanie pod chłostą, za utrzymanie ducha, który walczy i nie podda się nigdy. Mistyk objawił się tu zupełnie, gdy mówił o swej głowie noszącej

gwiazdę myśli, o swej samotności, o swem paleniu się wewnętrznem. Mistyk widział też myśl Bożą urzeczywistnioną przez mongolskie plemię chana Uzbeka, co nie przeszkadzało mu nazwać psalmisty upiorem szlacheckim, wyrzucać mu brak ducha Bożego, grozić staniem w poprzek jego charonowej łodzi obrońcy szlachetczyzny.

Jest tedy dwoistość nastroju w wierszu, który wynikł z przeciwności w poglądach dwóch Wenedów na rozwiązanie kwestyi obchodzącej obu w równym stopniu. Nie miał słuszności Krasiński, gdy przypisywał całą wielkość zasługi szlachcie, która wzniosła się przecież kiedyś na ruinach pomyślności mieszczańskiej, wzrosła na gruncie znoju chłopskiego. Nie sięgał chyba w przeszłość, nie ogarniał genezy tej wielkości, dawał się olśnić jedynie blaskowi czynów wojennych, które były niewątpliwie jej zasługą, ale które nie wywalczyły wolności, bo nie miały podstawy wogóle narodu. Miał słuszność, gdy warstwie uświadomionej przyznawał prawo przewodniczenia, gdy jad nienawiści przypisywał oddziaływaniu stanu niewoli, gdy odpierał gwałt, którym miał pokierować wnet urzędnik austriacki, gdy przeciwstawiał cnotę budzeniu nienawiści społecznych. Miał słuszność Słowacki, gdy odrzucał apoteozę szlachty, na której ciążyło tyle win, choć nie miał słuszności, gdy sądził, że jedynym szlachcicem był Czartoryski. Wszakże emigracya, wyprawy partyzanckie, zastępy emisaryuszów idei demokratycznych składała głównie szlachta, nie wyjmując i autora katechizmu demokratycznego, który, jak wiadomo, był synem bohatera z pod Somosierry. Czemu tedy odmawiał szlachectwa reszcie?

Dość, że przepaść między Wenedami pogłębiła się, choć obaj mieli pewne, wspólne, filozoficzne poglądy, choć obaj pragnęli, każdy na inny sposób tego samego. Nie bez znaczenia było tu ich położenie społeczne, nie bez wpływu była sfera, w której żyli. Obaj żyli w istocie dość daleko od ziemi, na której toczyły się zażarte zapasy partyjne, i dlatego ich wystąpienie nie miało w sobie naprawdę cech ścisłego związku z rzeczywistością. Nie był to spór dwóch wodzów partyi, nie była to walka dwóch teoretyków systemu, nie było tu nawet przeciwności, które przedstawiali na przykład De Maistre i Lamennais. Była to walka romantyków, którzy szli za uczuciem wizjonerów, którzy szli za wizją, mistyków, których myśli spotykały się w tym samym locie ku uduchowieniu, w którym, jak mówi Krasiński,

Duchem zatlon, ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg,

w którym, jak mówi Słowacki,

Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, niby świat w człowieka
I staniam ludem świata!...

Z pod przyłbicy wyobrazicieli zwalczających się partyj wyglądały twarze mistyków, z których jeden marzył o uduchowieniu świata, drugi roił o wzniesieniu się duchem nad resztą materii. Byt odgadnąć i objawić, było celem ich poezji, filozofia treścią ich obecnego życia i myślenia. Oni chcieli swe myśli wyrazić lirycznie, chcieli je przetłómaczyć na wartości poetyckie, co stanowi czar ich tworzenia, atmosferę ich wierszy.

Filozofia człowieka jest miarą jego kultury, powtarzali sobie za Schellingiem, skoro jej święty ogień trzymały ich dłonie, skoro zabierali się do wypowiedzenia prawd politycznych stanowiących dziś jeszcze wytyczne stronnictw. Więc jeden głosił, że od mechanizmu sił natury, od kamieni idzie senny pierwiastek życia do szczytu stworzenia, do człowieka, który

ku niebu pnie już głowę
Do aniołów pieśnią wzdycha
Między gwiazdy eterowe!

Kto sennych wcześniej zbudzi, powtarzał ten sam mistyk Krasiński, przemieni ich w zwierzęta, gdy drugi głosił, że wszystko z ducha idzie i do Bożego stroju nagiąć się musi. Wyznawcy tych samych poglądów filozoficznych różnili się tylko sposobem, w jaki chcieli dojść do celu, siebie uważali za najwyższe potęgi natury, dzieje natury utożsamiali z własnymi i czytali w sobie samych. Chcieli dojść do Boskiego, Bezwzględnego, Nieskończoności, które jest w przestrzeni, swą walkę polityczną rozdymali do rozmiarów olbrzymich, a drugi wyznaczał nawet pierwszemu za plac spotkania powietrze, przestwory bytu, nieskończoność stworzenia. Filozofia ich odziewała się w szatę chrześcijańską, choć była syntezą systemów mistycznych, na których tle zarysował się ich program polityczny.

W jej magicznym kręgu, w kręgu Nieświadomego, było im tak dobrze, iż nie odczuwali zapewne, że stronnictwa chwytają tylko realną stronę programu, wyzyskują po ludzku słowa pełne ciemnej treści i znaczenia dalekiego od powszedniości. Otwarli ciemną bramę, którą weszły tłumy, mniemające, że koniec drogi jest bliski, gdy żywiołem ich poezji była nieskończoność. „Może ty nie wiesz — pisał poeta do matki 10 grudnia 1845 r. — że na

odmianę ludzi dany nam jeden tylko sposób, oto wzbudzenie w nas wiary, że ci ludzie są nieśmiertelnymi aniołami, a zbrudzili się jak dzieci, i przelanie tej wiary w nich samych... Wierz mi, że prawdziwe rozłączenie się ludzi jest tylko w duchu, gdy jeden naprzód idąc, mocuje się z czasem i łamie formy istniejące, a drugi zamiłowawszy rzeczy przeszłe, cielesne a tęsknotą wabiące po szatańsku, zostanie i da się pochwycić tym wirem ludzi, który ciągle wierzył, a nic z siebie nie wyrzuca nowego nad to, co było...“ Ten pierwszy, to on, który wiódł naród na nowe szlaki bytu, którego wiedza prowadziła z ciemności w blask przyszłego uduchowienia; ten drugi, to dawny przyjaciel, a dziś przeciwnik polityczny i miłośnik owych szczęsnotek, którymi gardził odrodzony Anhelli.

Wyleciał niby nad wszystko, cieszył się pełnością serca i ducha, doszedł do celów ostatecznych, gdy poznał, że człowiek jest stworzonym przed wiekami i potęgą jego poczyną się w poczuću nieśmiertelności. Miał teraz wizye nie tylko wzrokowe, ale i słuchowe, gdyż zdawało mu się, że słyszy głos matki, by brał kąpiele w Pornic. Rozmawiając z Bogiem w samotności wyobrażał sobie, że jest podobny do Mojżesza i utwierdzał w tem przekonaniu, gdy siedząc na skale nadbrzeżnej miał z jednej strony kawał smętnego miesiąca „jakby jeden ze świeczników zakonu, a z drugiej strony ciągle się błyskało, jakby na Synaju.“ Pracował nad sobą, by pomódz światu w jego pracy, gdy spotkał istotę z wielu względów podobną do niego.

Była nią wizyonerka, którą pochłaniały praktyki religijne, której ustrój nerwowy, rozbity męczeństwem stał się podstawą objawów, wchodzących w zakres psychologii mistyków. Niezwykłe podniesienie uczucia, spotęgowana nadczułość nerwów musiały uczynić z niej istotę, która stanowiła rodzaj cudu dla poety. Ujrzawszy ją, wpadł w nastrój uroczysty, uczuł, że ma przed sobą coś niezmiernie innego od tego, co go otaczało. Widział przed sobą egzaltację religijną, która wydała wielką i ponętą piękność duchową.¹⁾ W jej ciepłym powiewie ożywiło się i jego natchnienie, odsunęło na chwilę od spekulacji, w które pogrążał się ciągle. Męczeństwo Mieczysławskiej ukorzyło go niejako, szedł do męczennicy, by wziąć uświęcenie z ręki anioła, by klęknąć przed ideałem ofiary, którą była ona, a nie on oskarżający się o ucieczkę przed męką. I zatarł się niejako w opowiadaniu, które

¹⁾ *Historja zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*. Według źródeł rękopiśmiennych napisał ks. P. Smolikowski. T. III, Kraków 1895, str. 224—305.

płynie zwolna dając sceny ponure, bolesne, prawie naturalistyczne w swych efektach.

Drga w nich jakby echo cierpień męczennicy, odbłask jej prostoty, prawie chłopskiej i swobodnej. Nie mogły one dorównać tym, które słyszał kiedyś na pustyni, bo kreślił je bez pretensyi, rzucał mimochodem niejako, ręką jakby osłabioną, a przecież ujawniającą mistrzowsko skromność prostoty mniszki, której nie pochlebia wykrzyk poety nazywającego ją Mojżeszem, który ma prowadzić tułaczy. Mieczysławska ma czar męczenniczki, ale nie traci cech zwykłej kobiety, w której zrywa się gniew pod wrażeniem niezasłużonych katuszy, która myśli nawet o zemście, póki nie ochłoneła z pierwszego uczucia oburzenia.

Potem dopiero tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze,
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kułakami — tak jak zbroją złotą.

I zjawisko przeszło nie bez dużej pociechy moralnej dla samotnika, zadowolniło jego wysoko wzniesioną duszę, która spostrzegła pokrewną sobie istotę i wróciła ukojona i wzmocniona do swych rozmyślań.

Duch żył w nim silnie, choć ciałem wydawał się Mieczysławskiej bladym i nędznym. Duch ten pracował, myślał, gotował nowe spekulacje metafizyczne, widział już przed oczyma zarys poematu, który miał zawrzeć całą jego naukę, całą jego moc tworzenia. Pochłaniała go lektura filozofów, o których uwagi rzucał na karty pamiętnika, których myśli postanowił zamknąć w nowych próbach filozofowania, których poglądy składały się na ową wiedzę ciemną o bycie i uduchowieniu. Sam duch z siebie wszystkiego dowiedzieć się winien, powtarzał za Schellingiem, przez powrót w siebie powstaje świadomość bytu, z którego prawami jaźń poety związana jest nierozzerwalnie. Ta świadomość wypływa z nieświadomości, która rozwiązuje zniszczenie świadomości zmysłowej zasłaniającej widok na nieskończoność.

Gdy trudno będzie zdobyć prawdę, miłość zwycięży, a świat uwiązany do girlandy globów duchem się rozpromieni. Że zaś poeta zrzucił już głąz, który mu ducha obarczał, więc czuł się szczęśliwym i pełnym otuchy i braterstwa dla świata. Dla niego żył i oddychał, gdy pisał swe objawienia prawdy. Najwyższa, sakramentalna siła Chrystusa, głosił nieustannie, panuje nad wszystkimi, dziełem duchów będzie przywrócenie wiekuistego porządku na świecie. I zdało mu się wtedy, że jest jednym z tworzących

to dzieło i z królujących duchom niższym, że jego głos odzywa się jak grom, że jego myśl świeci jak błyskawica. Z chwilą porzucenia celów ziemskich, zyskał wiedzę ducha i zapragnął ją znów zamknąć w wersetach biblijnych, jak niegdyś, gdy odtwarzał Sybir polski i siebie jako zepsutego światem tak, że tęskniącego do śmierci. Teraz, mimo rozdziału z przyjacielem, był spokojny, bo oderwany od wszystkiego, bo kochający swe spekulacje, jak obraz, jak poezję.

W walce z Krasieńskim chciał tryumfu demokracji, w walce duchów wyższych z niższymi chciał tryumfu wyższych, czyli zwycięstwa ducha nad ciałem. A środkiem do osiągnięcia tego tryumfu była ofiara, czynnik niewątpliwie najdonioślejszy rozwoju i podniesienia ludzi na wyżyny doskonalszego bytu. Głęboka była myśl, cudowną poezya, która tę myśl kryła w sobie kunsztownie. Nie daje się ona określić, czaruje tylko uczuciowością, czaruje wyobraźnią niewyczerpanej bujności i różnorodności. Ta poezya wyraża to, co tkwiło na dnie całej mistyki ówczesnej, która wyniosła twórczość naszą na szczyty poetyckiego natchnienia, która dała jej horyzonty nieskończone i ten pęd w górę, który serce rozpala i myśli uskrzydla.

DR. T. GRABOWSKI.

SEJM W EMIGRACYI.

Uchwały Sejmu, powzięte 19 i 26 lutego 1831 r. w Warszawie, ogłaszające Sejm nieustającym i zabezpieczające we wszelkich okolicznościach jego istnienie, zdawały się obowiązywać reprezentantów do ukonstytuowania Sejmu, kiedy na Emigrację przybyli. Po raz pierwszy zebrali się w Paryżu na wezwanie Romana Sołtyka dn. 18/I 1832 r. w liczbie 19-stu.¹⁾ Z tego, co o zebraniu tym napisał Zwierkowski, wiemy, że rozstrząsano stanowisko Komitetu Narodowego Polskiego (Lelewela), założonego 8/XII 1831 r., jakie sobie Komitet obrał w sprawie narodowej, a do którego Sejm tylko zdawał się mieć prawo i które za siebie tylko należne uważali członkowie jego.²⁾ Spotykamy więc dwa różne poglądy. Członkowie Sejmu, nie należący do Komitetu, zarzucają mu, że bezprawnie działa politycznie, przyjąwszy zasadę przemawiania w imieniu narodu, gdyż to czynić tylko Sejm może i żądają od członków Sejmu, do Komitetu należących, aby zeń wystąpili. Ci zaś (Lelewel, W. Zwierkowski, R. Sołtyk, A. Przeciszewski, A. Hłusz-

¹⁾ Walenty Zwierkowski: *O Sejmie w Emigracji*. Dziennik Walentego Zwierkowskiego, zawierający rys czynności członków Sejmu rewolucyjnego w czasie swego tułactwa od 1831 r. do końca 1836 r. Poitiers, 1839.

²⁾ „Komitet Narodowy Polski ma czuwać nad interesem narodowym i nad losem wypartych z Ojczyzny Polaków; przemawiać w ich imieniu, znosić się z członkami władz narodowych, z komitetami dla sprawy polskiej związanymi tak swojego narodu, jako też i innych, nakoniec z ziomkami swoimi.” (Organizacja Komitetu Narodowego stałego, § 1). *Catoroczne trudy Komitetu Narodowego Polskiego*. Paryż, 1831—1833. Do 18/I 1832 r. Komitet Lelewela wydał dwie odezwy: „Do wojowników polskich” d. 25/XII 1831 r. i „Do Węgrów” 31/XII 1831 r.

niewicz, W. Pietkiewicz) odpowiadają, że Komitet ma prawo działać, skoro Sejm nie działa i odmawiają żądaniom kolegów. Obydwie strony godzą się jednak, że Sejm jest potrzebny, że trzeba zebrać jak najprędzej (przez wyżej wspomniane uchwały lutowe komplet najmniejszy obu Izb połączonych, pod przewodnictwem wybranego prezesa, był oznaczony na 33) i członkowie Komitetu oświadczają, że wszystkie czynności polityczne Komitetu, skoro Sejm się zbierze, ustaną i że oni w Sejmie zasiadać będą. Każdy z obecnych bierze na siebie obowiązek wzywania kolegów, o którychby pobycie wiedział, aby na Sejm do Paryża przybywali. Zebranie ich z powodu rozproszenia i z powodu braku pieniędzy na odbycie podróży, było trudne.¹⁾ Członkowie Sejmu emigranci przebywali głównie w Galicyi, w Dreźnie, kilku w Anglii (ks. A. Czar-toryski, J. U. Niemcewicz, Ludwik Pac), Jan Olrych Szaniecki przymusowo w Pomeranii, Teofil Morawski w W. Ks. Poznańskim, marszałek Władysław Ostrowski nie mógł oddalić się z Grazu, gdzie go zatrzymały władze austriackie i pozostawiły na wolności, wzięwszy odeń słowo honoru, że z Grazu oddalać się nie będzie—dla Sejmu był więc stracony.²⁾ O uchylenie potrzeb pieniężnych począł starać się A. Ostrowski, który przybył z Podgórzia pod Krakowem do Paryża w kwietniu 1832 r.³⁾ i on wraz ze Zwierkowskim najwięcej położył starań koło zebrania kompletu sejmowego. Ślad tych starań—korespondencya—pozwala nam poznawać poglądy na potrzebę zebrania Sejmu w Paryżu ważniejszych jego członków. Zbiorowy pogląd zwolenników sejmowania za granicą znajdujemy w *Odezwie do członków obu Izb* (28 VII 1832 r.), aby się w Paryżu zbrali.⁴⁾ Z 15-tu na odezwie podpisanych wymienię tutaj: A. Ostrowskiego, W. Zwierkowskiego, A. Jełowickiego, J. Lelewela, J. Ledóchowskiego i R. Sołtyka. Jako pierwsza potrzeba wymieniony jest w odezwie Manifest sejmowy,⁵⁾ potem

¹⁾ Zwierkowski pisze, że ubożsi, którzy nie mogli podróżować daleko, udali się do Drezn. Swirski do Ant. Ostrowskiego pisze z Drezn 5/V 1832 r., że ci, którzy gotowi są jechać na Sejm do Paryża, nie mają na drogę pieniędzy (Papiery sejmowe. Bibl. polska w Paryżu).

²⁾ List Wł. Ostrowskiego do kolegów sejmowych z dn. 25/X 1832 (Papiery sejmowe).

³⁾ Korespondencya o zwołanie Sejmu. List Ostrowskiego do Szanieckiego. *Polska* (pismo emigracyjne). Paryż, 1836.

⁴⁾ Papiery sejmowe.

⁵⁾ „Rok już przemija, jak naród polski, w Sejmie i wojsku zawarty, po morderczej walce uniósł ze swej ziemi Ojczyznę i honor, a jeszcze swojej wy-

upoważnienie kogoś do działań w imieniu narodu, na wypadek, gdyby wolnościowy ruch w Europie sprawę Polski w pożądanym położeniu postawił,¹⁾ ustanowienie organizacyi, któraby zajęła się ekonomicznymi potrzebami Emigracyi, zapobieżenie dzieleniu się Emigracyi na stronnictwa i szkodzeniu przez te stronnictwa, składające się z ludzi niedoświadczonych politycznie, sprawie narodowej.²⁾ Zdanie ks. Czartoryskiego o Sejmie po raz pierwszy spotkałem w liście Antoniego Ostrowskiego do Wołowskiego, pisanym z Londynu 6/VI 1832 r.³⁾ Z tego, że Ostrowski prosi Wołowskiego, aby list jego odczytał kolegom i zdaje się, że właściwie do nich, tylko pod adresem Wołowskiego, pisze i że list swój nazywa raportem, wnoszę, że Ostrowski pojechał do Londynu, porozumiewając się ze swymi kolegami, bawiącymi w Paryżu i równie, jak on, Sejmu pragnącymi, że wybada ks. A. Czartoryskiego. Nie tylko im chodziło o stosunek ks. Czartoryskiego do Sejmu, ale także chcieli znać jego poglądy na położenie Polski, wiedzieć, jaką przywiązuje wagę do swoich działań dyplomatycznych. Działania te niesłusznie dyplomatycznymi zwano, bo nie miały podstawy, jakiej każda dyplomacya potrzebuje i sam ks. Czartoryski za takie je nie uważał.⁴⁾ Chciał on poprostu korzystać ze swoich stosunków towarzyskich i przez nie czynić choć drobne usługi krajowi i emigrantom. Gdy mógł, poruszał i sprawy ważniejsze, bez wiary jednak, a jeśli wtedy opierał się na Kongresie wiedeńskim, to dlatego, aby mieć wspólną z ministrami podstawę rozu-

trwałości, swojej cnoty poważnie światu nie ogłosił, jeszcze mu życzeń swoich nie objawił, jeszcze mu o nowe uciski i gwałty skargi nie poniósł.“

¹⁾ „Nie wchodząc w naturę spodziewanych politycznych wypadków, dziś już o naszą niepodległość odzywające się głosy spodziewać się nam każą, że wkrótce, otwarcie czy tajemnie, w imieniu narodu działać lub kogoś do takiego działania upoważnić będzie potrzeba.“

²⁾ „Niemasz Sejmu, a natomiast prawi Polacy, samo dobro Ojczyzny mając na celu, inaczej wojskowi, inaczej posłowie, inaczej młodzież, z wewnętrznym przekonaniem radząc o sprawie naszej, na szwank ją wystawić mogą. Stąd powstały, ciągle trwają i coraz więcej zasmucającą postać przybierają będąc liczne stronnictwa, które się przed powagą Sejmu z rozkoszą ukorzą i na rozkaz Sejmu swoje chęci i swoje siły w jedno skojarzą ogniwo.“

³⁾ Papiery sejmowe.

⁴⁾ „Podług mnie, w teraźniejszych czasach, mandatem i upoważnieniem każdego z nas do działań indywidualnych, bo inne nie mogą mieć miejsca, jest polskie serce i dusza.“ (List ks. A. Czartoryskiego do A. Ostrowskiego. Paryż, 4/XII 1832. Papiery sejmowe. List ten jest też u Zwierkowskiego).

mowania.¹⁾ Jeśli wtedy myślał o jakiejś działalności politycznej, to tylko dlatego, aby pokierować Emigracją. Zastrzegam się, że sąd ten stosuję do ks. Czartoryskiego tylko w pierwszych latach Emigracji, gdyż późniejszych jego działań nie poddawałem jeszcze analizie. Również nie wierzył ks. Czartoryski, aby coś Polsce przyniósł ruch wolnościowy, na którym nadzieje pokładał Ostrowski²⁾ i można przypuszczać, że, określając swój stosunek do Sejmu, brał pod uwagę stosunek Ostrowskiego do ruchu wolnościowego, który był również w silniejszym lub słabszym stopniu stosunkiem chcących Sejmu reprezentantów. Odpowiedział Ostrowskiemu, że nie widzi teraz potrzeby sejmowania i że rząd francuski na zebranie Sejmu by nie zezwolił. Szersze określenie i uzasadnienie stosunku Czartoryskiego do Sejmu nastąpiło później. Pogląd Czartoryskiego stał się poglądem tych wszystkich reprezentantów, którzy zebrania Sejmu w owym czasie nie chcieli. Tak więc w samym początku przedstawiały się w samym Sejmie dwa różne poglądy na potrzebę zebrania się Sejmu. A jaka była opinia publiczna na Emigracji?

W *Pamiętniku Emigracji Polskiej* (wyd. M. Podczaszyński od 1/VII 1832 do 25/VII 1833 r.) nieprzyjaciół Sejmu za czasów powstania, Maurycy Mochnacki, wzywał (1/XI 1832 r.), aby Sejm się zebrał. „Nie masz dzisiaj Polski, tylko albo w tej zagranicznej rozsypce, albo w żalu domowym; i jedno i drugie bez Sejmu obejść się nie może. Niechaj się spełni miara naszego przeznaczenia! Bo ponieważ nakoniec Sejm wdał się w tę sprawę, powinien być

¹⁾ Tak się do Ostrowskiego odezwał Czartoryski w Londynie, gdy ten mu dowodził, że nie wolno w politycznych oświadczeniach opierać się tylko na traktacie wiedeńskim: „Niech każdy działa, jak rozumie najlepiej. Wolno mu. Ale mówić o całej Polsce Anglikom, to jak gdyby im kto o śnie jakowym bajął. Dodał- wysłuchają grzecznie, ścisną za rękę, dadzą dobry obiad, zaproszą do swej kompanii i na tem koniec.“ (Cytowany już list A Ostrowskiego do Wołowskiego).

²⁾ Kiedy Ostrowski mówił, że dzisiaj sprawa Polski czerpie nadzieję w sympatyach ludów, które wpływają na działania gabinetowe, rzekł Czartoryski: „A cóż Polsce i jej interesowi dawniej pomogła rzeczpospolita Francuska, co panowanie Konwencji Robespiera? Wszakże nawet owemu Sejmowi polskiemu we Francji lub Włoszech zebrać się nie pozwolono.“ „Zdaje się— pisze Ostrowski w cytowanym ciągle liście — że Książę przepowiada, że tenże sam los nas i teraz spotka i że ci sami, co teraz Polaków podniecają do wspólnego działania z ludami, skoro staną u szczytu władzy, cofną się i odnowi się dawna naszej Emigracji historia.“

wiernym jej szczytkom i jej przyszłości. Sejm również jest potrzebnym Emigracyi, jak był szkodliwy i niepotrzebny rewolucyi. Dzisiaj, kiedy żadnej fizycznej siły nie mamy, kiedy nie potrzeba kierować operacyami wojska narodowego, włączyć wewnętrzną i zewnętrzną politykę, kreować wodzów naczelnych, kiedy nie mamy ani urzędów do rozdawania, ani skarbów do szafowania, dzisiaj, kiedy już po raz drugi Polski żadną miarą zgubić nie można — dzisiaj, to Sejm, jak żołnierz na stanowisku, w przedniej straży całej ucywilizowanej Europy niech się znajduje. Zaciągnął ten obowiązek i święcie dopełnić go musi, bodaj nawet dlatego, że to stanowisko jest wzniosłe i historyczne.“

Pielgrzym Polski (wyd. Eustachy Januszkiewicz, wychodził od 4 XI 1832 do 1/IV 1833 r., a w zmienionym formacie do końca 1833 r.) podawał szczegółowe sprawozdania z posiedzeń familijnych ¹⁾ członków Sejmu, zebranie Sejmu uważał za obowiązek reprezentantów i pisał z uznaniem i sympatją o jego zwolennikach, a inne żywił uczucie dla jego przeciwników, choć je wyrażał umiarkowanie. ²⁾ Z prywatnych głosów przeciw Sejmowi spotkałem w *Pielgrzymie* ³⁾ nadesłany artykuł Ksawerego Orańskiego, który, ujmując rzecz ze swego stanowiska, bardzo dobrze i przekonująco wzywa reprezentantów, aby zrzekli się swoich praw, gdyż na drodze, przez rewolucję wskazanej, postępować Sejm nie może — i nad Sejmem daje wyższość Emigracyi. ⁴⁾

¹⁾ Tak nazywano zebrania członków Sejmu przed jego otworzeniem.

²⁾ „Członkowie Sejmu polskiego podzieleni być mogą na trzy klasy: jedni, którzy w kraju pozostali, a o nich sąd wyłącznie do historii należy; drudzy, którzy dzieląc tułactwo z innymi, przecież do Paryża nie śpieszą i naostatek ci, co pomni na święte obowiązki swoje, od dawna pracują już nad tem, aby reprezentacja narodu polskiego w obronie jego praw głos swój podniosła“ (20/XI 1832 r.); w tymże numerze: „Emigracya i Polska wyjaśni i oceni kto z reprezentantów rzeczywiście nie chciał i nie chce do składu Sejmu należeć; kto w tułactwie żadnych usług nie oddawał i nie oddaje, kto poświęca się ciągle dobru ogólnemu i był zawsze gotów zadość czynić obowiązkowi swoim.“

³⁾ Z 26/XII 1832 r.

⁴⁾ „Zostaje więc droga przez rewolucję wskazana, a na tej Sejm nasz i kroku zrobić nie może; sejmujący wystąpią do walki z protestacyą w rękę, ale protestacya pisana musi iść obok zbrojnej, inaczej będzie próżną, zużytą formą; wytrwałość bohaterów naszych w Prusiech i losy Emigracyi polskiej świadczą najwymowniej przeciw ukazom. Ale dają się słyszeć głosy: zmienia się stan rzeczy, otworzą się nowe nadzieje i któż wtenczas będzie reprezen-

Z głosów prywatnych znajdujemy bezimienną „Odezwę Polki do posłów, którzy nie chcą złożyć Sejmu na obcej ziemi.“¹⁾ Polka też uważa zebranie Sejmu za konieczność narodową i za obowiązek posłów.²⁾

25/I 1833 r. prezes komitetu Emigracji polskiej, J. Dwernicki, „z obowiązku włożonego nań przez tułaczów różnych Zakładów, a szczególnie przez żołnierzy i podoficerów z Bourges“ wzywa reprezentantów do rozpoczęcia działań sejmowych.

Zakłady nawoływały o zebranie się Sejmu. W 1833 r., kiedy komplet został zerwany przez 11 członków Sejmu, opinia Zakładów wyraziła się szerzej. W 1832 r. 17/XI spotykamy odezwę z Besançon do „Reprezentantów narodu polskiego,“ w której żądają Sejmu, wydania manifestu i zwołanie Sejmu uważają za obowiązek reprezentantów.³⁾

Adam Mickiewicz nie przemówił za Sejmem słowem drukowanym, ale jakie miał o Sejmie emigracyjnym wyobrażenie, co o nim mówił przyjaciółom swoim, wiemy z jego „Myśli moje o Sejmie polskim,“ które na początku 1833 r. odczytał ks. Adamowi Czartoryskiemu.⁴⁾ „Sejm polski nosi podwójny charakter—pisze Mickiewicz—naprzód władzy prawej narodu polskiego, powtóre władzy moralnej europejskiej i w dwojakim tym charakte-

tował Polskę? kto stanie przed majestatem ludów w obronie sprawy naszej? Sympatya tychże ludów, wielka przeszłość nasza i to przekonanie, że bez Polski nie masz stałego pokoju w Europie, przekonanie, które się stało niezachwianym dogmatem politycznym—oto są reprezentanci nasi! Obok tych reprezentantów, Sejm paryski wydałby się tak małym, że równie dla dobra narodu, jak dla sławy samychże sejmujących, życzyłoby należało, żeby i posłowie, i senatorowie nasi zrzekli się wszelkich czy to prawdziwych, czy urojonych praw do reprezentacji narodowej.“

¹⁾ *Pamiętnik Emigracji Polskiej* z dn. 24/VIII 1832 r.

²⁾ „Bądźmy narodem bez Ojczyzny, dopóki jej nie odzyskamy. Lecz pozbawieni reprezentacji, zostaniemy nędznymi tułaczami. Nie wyrzekajcie się przez serca wasze ułożonego i przyjętego prawa, tej najpiękniejszej rękojmi przyszłego istnienia; nie zdradzajcie zaufania i świętokradzkim morderstwem dobijając szarpaną Ojczyznę, nie pozbawiajcie jej jedyne go na teraz bytu — bytu moralnego.“

³⁾ „Co mówią o generale, nie pełniącym swych obowiązków, o żołnierzu, zbiegłym z pola bitwy? I was niema na przepisanem stanowisku. O jak nieskończenie większe będzie przewinienie wasze.“

⁴⁾ „Myśli moje o Sejmie polskim“ zostały u Bohdana Zaleskiego w rękopisie i ogłosił je dopiero Władysław Mickiewicz w tomie VI *Dziela A. Mickiewicza*, wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane. Paryż, 1880.

rze przemawiać powinien.“ Określiwszy krótko zadanie Sejmu, jako władzy narodowej, żądając, aby zorganizował Emigrację, ustanowił dla niej komitet, Mickiewicz zajmuje się głównie zadaniami Sejmu, jako władzy moralnej, europejskiej. „Niech ogłosi (Sejm), że biorąc Chrystyanizm za prawo, potępia wszystkie wojny o granice, o porty, o handle etc. jako bezbożne; że wszystkie ludy ma za dzieci jednej rodziny; że jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom ludów.“ „W takim działając duchu, nie protestacye pisać, bo protestacya jest wyrazem słabości, ale prawa stanowić powinna Izba nasza, przybierając ton śmiały i decydujący. Niech się zadziwiał rządy, jak niegdyś doktorowie nad Chrystusem, słysząc, iż uczy nie rozprawami, ale powagą, jako mający władzę. Nie należy uważać na śmiechy ministrów, na żarty nawet własnych rodaków, bo i z Rejtana żartowano, a potem imię jego stało się święte.“

Mickiewicz odnalazł harmonię między wielkiem nieszczęściem, wygnaniem, i tem upragnieniem, z jakim oczekiwała Sejmu cała niemal Emigracya, a powagą moralną i siłą ducha, jaką winien mieć Sejm. Sejm, nawet w tak ograniczonym komplecie, był jednak w oczach Emigracyi, jakby symbolem tej Polski, która była, która miała swe prawa, instytucye, lud, ziemię, Sejm, a z której tej chwili była tylko garstka wychodźców, bez żadnej więzi, bez pewności, że jutro na cztery wiatry rozsypani nie będą. Jako symbol Polski i jej idei—miał być Sejm w obliczu ludów symbolem walki o sprawiedliwość, o prawa ludu. Takim go pojął Mickiewicz.

„Kończę uwagę, iż przybranie takiej wielkiej roli uważam za jedynie godne i wielkich poświęceń się narodu, i dziwnej historii naszego tułactwa, i bezprzykładnego poświęcenia się członków Izby, którzy kraj, najatki i rodziny opuścili.“ Ten sam artyzm, który kazał nakreślić Mickiewiczowi właściwe proporcye pomiędzy postacią moralną polskich reprezentantów a ich postacią czynną, wstrząsa nim na myśl, że nowe prawa przed ich ustanowieniem przedostać się mogą na łany prasy, że nim reprezentanci powagę wielkich postanowień na siebie wezmą, robić z nich będą plotkę i sensację.

„Sejm te wyroki, w tajemnicy spisane, powinienby ogłosić po rozjechaniu się członków. Przed rozjechaniem się, niech wyznaczy komplet mniejszy i marszałka, który będzie miał prawo zwołać ten komplet, gdzie mu się podoba.“

Ks. A. Czartoryski był tej myśli przeciwny, Mochnacki również. Razem z Mickiewiczem, aby odczytać pomienione pismo, udali się do ks. Czartoryskiego trzej posłowie: Dr. Hłuszniewicz, Stanisław Worcell i Bohdan Zaleski.¹⁾

Od wojewody A. Ostrowskiego dowiadujemy się, że i La Fayette nakłaniał do zebrania Sejmu,²⁾ była tej myśli przychylna opinia radykalna francuska i angielska. Członkowie Sejmu mówią często o listach, jakie odbierają z kraju, z wezwaniem, aby się Sejm zebrał.

Ujmiemy rzecz całą w parę słów: w początkach Emigracyi opinia była za zebraniem się Sejmu i uważała je za obowiązek reprezentantów. Reprezentanci Sejmu pragnący uważali je również za swój obowiązek, a spełnienie go za sprawę tak doniosłą, że pisali o czci potomności dla tych, którzy w Sejm się zbiorą, a o potępieniu jej tych, którzy Sejmu nie chcą.³⁾

Rok 1832 upłynął na staraniach zebrania kompletu sejmowego w Paryżu. Wielu z posłów przybyło, niektórzy wyjechać musieli, ale możliwość szczęśliwego skutku usiłowań stawała się poważną. Familijne zebrania trwały ciągle, na nich zdawano sprawę z postępu sprawy sejmowej, wybrano komisję, która miała przygotować materyał dla Sejmu. 24/X utworzono Komisję złożoną z W. Zwierkowskiego, Nakwaskiego i Lelewela (po usunięciu się Lelewela miejsce jego zajął Aloizy Biernacki), której zadaniem miało być sprowadzenie do Paryża i złożenie w bezpiecznem miejscu papierów Sejmu rewolucyjnego.⁴⁾ Przeciwnicy Sejmu, otrzymawszy, jak i wszyscy inni członkowie, wezwanie, oświadczyli, że przybędą.

¹⁾ Przypisek Władysława Mickiewicza przy artykule „Myśli moje o Sejmie polskim.”

²⁾ Korespondencya o zwołanie Sejmu. List Ostrowskiego do Szanieckiego. *Polska* (pismo emigracyjne). Paryż, 1836.

³⁾ „Pomnijcie nakoniec na to, że ziomkowie nasi, że potomność złota kartę w dziejach przeznaczy tym tylko posłom, którzy w wygnaniu i tułactwie Ojczyźnie służyć nie przestali”—a na brulionie tej odezwy czytamy kilkakrotnie poprawiany, a wreszcie zupełnie przekreślony ustęp, będący poprzedniego zakończeniem: „a najczarniejszą dla tych zostawi, którzy się od swoich interesów na chwilę oderwać, albo swojego uprzedzenia wspólnej potrzebie poświęcić nie chcą.” Odezwa do członków obu Izb podpisana przez 15 reprezentantów w Paryżu 28 VII 1832 r. (Papiery sejmowe).

⁴⁾ Wywiózł papiery Sejmu z Warszawy razem z marszałkiem, Wł. Ostrowskim, dyrektor kancelaryi sejmowej, Wojciech Tur i Więckowski. Po

Tymczasem Emigracya, rozproszona po Zakładach, nie mogąc doczekać się zebrania Sejmu i niezadowolona z Komitetu Lelewela, postanowiła sama wybrać sobie władzę, któraby i o polityczne interesy zabiegała, nim Sejm się rozpocznie. Jako prezesa Komitetu upatrzono Dwernickiego, do składu powołano wraz z nim 15 członków, ludzi posiadających największą popularność i znaczenie: dygnitarzy, generałów i posłów, między tymi i Lelewela (wyboru nie przyjął). Z członków Sejmu do „Komitetu narodowego Emigracyi polskiej“ (Komitet Dwernickiego), ustanowionego dn. 22 X 1832 r., weszli: Teodor Morawski, J. Ledóchowski, F. Wołowski, A. Jełowicki, S. Worcell. To było pierwsze silne poruszenie Emigracyi, tworzącej nowe formy organizacyjne dla życia emigracyjnego, mającego własne cechy i właściwości.

rozstaniu się z marszałkiem, dwaj ostatni zawieźli je do Gettyngi. Z powodu nieostrożności Tura wiele osób dowiedziało się, że papiery sejmowe są w jego posiadaniu, policya zrobiła u niego rewizyę; tylko dzięki przychylności dyrektora policyi Gettyngi najważniejsze ocalały, a nawet zabrane protokoły zwrócił następnie i tylko prywatną korespondencyę zatrzymał. Tur wkrótce wyjechał do Anglii i nie wrócił, Więckowski więc został jedynym stróżem papierów. A miały one naówczas polityczne znaczenie — akt 25 stycznia był bardzo poszukiwany. Złożył je więc Więckowski w dwóch skrzyniach i umieścił razem ze znajomym sobie pastorem, któremu najwięcej ufał, za ołtarzem jednego z kościołów; o schowaniu wiedzieli tylko Więckowski i pastor i umówili się, że Więckowski miał na wypadek śmierci tajemnicę jednemu Polakowi pod przysięgą powierzyć, a pastor zobowiązał się nikomu ich nie wydawać, prócz marszałka Sejmu lub kogo przez Sejm umocowanego. Członek komisji wzmiankowanej, Zwierkowski, odwiedził Więckowskiego pod przybranem nazwiskiem w Fryburgu (w Bryzgowii), i ten po paru miesiącach oddał mu skrzynkę z ważniejszymi papierami—na drugą kazał czekać. Ale wkrótce umarł. Poseł Nakwaski, dowiedziawszy się, że przed śmiercią piełęgnowała go rodzina filozofa Trentowskiego, przypuścił, że Trentowski został wtajemniczony; ale dopiero po kilku latach i po przedstawieniu wszystkich uppełnomocnień została mu powierzona tajemnica a upoważnienie zabrania papierów dopiero w 1856 r., kiedy Hanower przystąpił do związku celnego i nie trzeba było obawiać rewizyi na granicy. W Genewie zdjęto pieczęcie, znaleziono wszystko w porządku. Dopiero w 1863 r. dostano skrzynię z ważniejszymi papierami, którą był dostał od Więckowskiego Zwierkowski i złożył był u Gustawa Potworowskiego. Odtąd do swej śmierci (1876) stróżem papierów był Nakwaski. Za zgodą żyjących jeszcze posłów i samego Nakwaskiego, złożono je (już po jego śmierci) w Bibliotece polskiej w Paryżu. *Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu*. Rok 1873—1878 (tom II). Poznań, 1878. (W życiorysie Nakwaskiego, str. 368.) Obecnie dyaryusz Sejmu wydaje drukiem Akademia Umiejętności w Krakowie.

3 stycznia 1833 r. zebrał się komplet. Było członków 34. Wyliczając, dla uproszczenia opowiadania, podzielmy ich od razu na opinie.

Nie uznający potrzeby Sejmu na teraz—mniejszość sejmowa: ks. Czartoryski, wojewoda Pac, Ludwik Plater, Swirski, Barzykowski, Kaszyc, G. Małachowski, B. Niemojewski, Morozewicz, Morawski, Biernacki. (Do przeciwników Sejmu należał także J. U. Niemcewicz, który na wezwanie z Londynu odpowiedział, że nie widzi potrzeby Sejmu i że przyjechać nie może).

Żądający Sejmu—większość sejmowa: Ostrowski Antoni, Karwowski, Zambrzycki, Zaleski, Plater Cezary, Plater Władysław, Przeciszewski, Trzeciński, Ledóchowski, Żarczyński, Zienkiewicz, Godebski, Hłuszniewicz, Worcell, Malinowski, Jełowicki, Kołysko, Tomaszewski, Lelewel, Pietkiewicz, Sołtyk, Zwierkowski i Wołowski.

Przed wnioskami, zmierzającymi do natychmiastowego uorganizowania Sejmu, mniejszość żądała dyskusji nad pytaniami: „Czy jesteśmy Sejmem i czy go potrzeba teraz.“ Większość oświadczyła, że gdzie jest 33-ch, tam jest Sejm: mniejszość—że zebranie to uważa za familijne i żądała wykazania powodów i potrzeby sejmowania. W odpowiedzi podano: 1) wydanie manifestu; 2) wybranie Komisji sejmowej dla działania i przemawiania w imieniu narodu, tudzież protestowania przeciw gwałtom; 3) wybranie lub przyczynienie się do wybrania władzy emigracyjnej, aby ta zajęła się losem wychodźców, tudzież zapobiegła niesnaskom i coraz bardziej szerzącemu się rozdwojeniu Emigracyi; 4) zadosyć uczynienie obowiązkom reprezentantów, wykonanie woli i żądania braci z kraju do nas o to wołających, tudzież życzenia Emigracyi; 5) zabezpieczenie kompletu. Z mniejszości odpowiedziano, że rząd francuski zabronić nam może sejmowania lub nas rozpędzi, radzono wstrzymać się do stanowczego momentu lub ważnych wypadków, że, będąc pod przemocą, nie możemy obradować wolno, a tu praw dla Polski stanowić nie wolno nam, bo bez wykonania by pozostały, że Emigracya cała jest najlepszym manifestem, bo żywą protestacją. Wtedy większość poparła sprawę swoją argumentem, że zebrani są kontynuacją Sejmu w Płocku zalimitowanego.¹⁾

Zebranie dla spóźnionej pory zostało odłożone. Dn. 5/I zebrał się ci wszyscy co poprzednio, prócz ks. Czartoryskiego. Było zatem 33-ch. Przyjęto pod obrady kwestyę: „Czy mamy

¹⁾ Całe to posiedzenie, według Zwierkowskiego.

natychmiast otworzyć obrady sejmowe i do wyboru prezesa przystąpić, czy pierwszej nie urzędownie, ale familijnie przedmioty do decydowania przygotować!“

W-da Ostrowski oświadczył, że kto jest zdania, „że mamy obrady sejmowe otworzyć i do wyboru prezesa przystąpić“ *da głos affirmative*. Kto jest zdania, „że pierwszej nieurzędownie, ale familijnie przedmioty do decydowania przygotować należy,“ *da głos negative*.

Żeby Sejm natychmiast otworzyć i do wyboru prezesa przystąpić—było głosów 19.

Żeby nie urzędownie, ale familijnie przedmioty do decydowania przygotować—było głosów 13.

Posel Plater Cezary nie głosował. „Wotowałbym affirmative, lecz widząc, że decyzję nie wszyscy uważają za obowiązującą—nie wotuję.“

Po obliczeniu głosów, prezydujący Ostrowski oświadczył: „iż sesja sejmowa wskutek absolutnej większości głosów otworną została.“¹⁾

Następną sesję naznaczono na dzień następny, celem obrania prezesa. Dn. 6 I na zebranie przybyła tylko większość, mniejszość zaś nadesłała deklarację, znaną w historii Sejmu emigracyjnego, jako Deklaracya albo Akt jedenastu.²⁾ Podpisani wszyscy wymienieni wyżej, jako mniejszość sejmowa. Do argumentów mniejszości, które już poznaliśmy, dodano, w odpowiedzi na otwarcie Sejmu przez Ostrowskiego, interpretację uchwał lutowych inną, niż interpretacya większości. 11-tu podpisanych oświadcza w tej mierze: „1) iż możność zebrania się zagranicą Sejmu uchwałami z 19 i 26 lutego 1831 r. dozwolona, nie stanowi bezwarunkowego obowiązku sejmowania, skoro się 33 członków obu Izb w jednym miejscu zbierze; 2) iż gdy Sejm przez władze, prawami postanowione, dotychczas zwołanym nie został,³⁾ uznanie przeto potrzeby zawiązania w Sejm, większością głosów chwilową i stosunkową

¹⁾ Zwierkowski: *Kilka słów o czynnościach Sejmu polskiego*. Paryż, 29/I 1833.

²⁾ Znajduje się w papierach sejmowych i u Zwierkowskiego.

³⁾ Dla zrozumienia tego ustępu przytaczam art. III Uchwały z 26/II 1831 r.: „W przypadku niemożności zwołania Izby lub potrzeby tajemnicy, czas i miejsce zebrania, w czasie opuszczenia Warszawy, oznaczony będzie przez Rząd, za porozumieniem się z naczelnym Wodzem, za pośrednictwem prezydującego w Senacie i marszałka lub prezydującego w obu Izbach, w listach zapieczętowanych.“

tylko do liczby obecnych w miejscu, a nie do ogółu reprezentantów za granicą będących, stanowione być nie może, lecz do tego koniecznie potrzebne jest zezwolenie dobrowolne przynajmniej 33-ch członków, najmniejszy komplet Sejmu stanowiących.“ Oświadczają w końcu, że tak rozporządzą swemi osobami, aby mogli przybyć na Sejm, jeśli potrzeba jego udowodnioną zostanie—teraz zaś na żadne posiedzenie nie przybędą.

Stanowisko 11-tu uzasadniał i bronił, z wprawą wytrawnego parlamentarzysty B. Niemojowski w *Pamiętniku Emigracyi*.¹⁾ Z większości sejmowej wypływały dwa akty: Akt 9-ciu i Akt 25-ciu.

Akt 25-ciu z 26/I 1833 r. jest oficjalnym aktem większości sejmowej. Oświadczają w nim, powołując się na protokoły od 3/I 1833 r., że, zgodnie z uchwałami lutowymi posiedzenia Sejmu, zostały otwarte, a przerwane jedynie dla braku kompletu, „z powodu zamieszczonego w dn. 6 b. m. przez 11 członków oświadczenia, że do teraźniejszego zebrania Sejmu, za przedwczesne je jeszcze uważając, nie przystępują.“ 25-ciu podpisanych oświadcza więc, że skoro tylko zbierze się 33-ch członków, którzy ich akt podpiszą (brakowało więc tylko 8-miu), oni w każde miejsce przybędą, aby obrady Sejmu, otwartego w dn. 5 I, rozpocząć. Na akcie tym podpisani wszyscy, których jako większość sejmową wymienilem,²⁾ pomnożeni podpisami Wieszczyckiego, Chełmickiego i Tymowskiego, których 3/I na zebraniu nie było.³⁾ Wybrano Deputację Centralną, mającą się zająć uzupełnieniem podpisów, złożoną z trzech członków (Plater Cezary, Worcell i Zaleski). Rozwiązała się w kwietniu, nic nie uczyniwszy, z powodu przeszkód natury materyalnej.⁴⁾

Akt 9-ciu z 26 I 1833 r. Podpisali go też ci, którzy są podpisani na Akcie 25-ciu (Worcell, Godebski, Zambrzycki, Kołysko, Zwierkowski, Karwowski, Przeciszewski, Wieszczycki, Sołtyk). Akt ten jest rodzajem manifestu, w którym w gorących słowach, raczej uczuciowo niż racjonalnie, przedstawiona jest konieczność Sejmu i usiłowania, które w tym celu podjęła większość, a które spełzły na niczem z powodu postępu 11-stu członków. Podpisani

¹⁾ „O Sejmie w Emigracyi.“ Numer pod nazwą „Władysław Łokietek“ z 25/III 1833 r.

²⁾ Prócz Zienkowicza, który umarł 17/I 1833 r.

³⁾ Wszystkie akcesy znajdują się w papierach sejmowych w Paryżu, są też przytoczone u Zwierkowskiego „O Sejmie w Emigracyi.“

⁴⁾ Sprawozdanie Deputacyi Centralnej z 3/IV 1833 r. (Papiery sejmowe).

oświadczają, że za świętą uznają powinność według zasad Sejmu postępować, „który acz zwołany podług form narzuconej konstytucyi, przez odrzucenie ogólnych zasad tejże konstytucyi charakter swój zmieszał, przez przybranie reprezentantów ze wschodnich województw misję swą rozszerzył, przez podniesienie dawnych praw narodowych, usunięcie nieodpowiedzialności monarchy i za-warowanie równości praw dla wszystkich mieszkańców działanie swoje w oczach narodu uprawnił, a tem samem egzystencję swoją z egzystencją dawnych Sejmów niepodległej Polski związał i zje-dnoczył i na cały czas ucisku i tułactwa narodowego trwałość swoją zabezpieczył. Uważają też podpisani za swój obowiązek, jako „stróże praw i własności narodowej,“ powołać do zdania spra-wy z czynności dyplomatycznych tych, którzy tytułem dawniej posiadanej władzy lub położonej w nich ufności w czasie ostatniej walki, do czynności tych może zobowiązani się sądzą, oraz do zda-nia rachunku tych, którym grosz publiczny powierzony został.¹⁾

¹⁾ Co do przeniewierzenia grosza publicznego przez członków Rządu pełno było plotek na Emigracyi. Byli, którzy oszczerstwa rozmyślnie sze-rzyli, byli, którzy je z dobrą wiarą powtarzali. Odrzucając wszelki sąd wewnętrzny, który mi wierzyć każe w czystość rąk członków Rządu rewolu-cyjnego, przytaczam rachunek ostatniego prezesa, B. Niemojowskiego, ogło-szony w Paryżu 5/XI 1833 r. w ulotnem piśmie *Kilka słów do spółrodaków z po-wodu fałszów przez J. B. Ostrowskiego w piśmie Nowa Polska zwanem ogłoszonych*. „Kasy skarbowe i bankowe, uwiecznione z Warszawy i pomnożone niektórymi wpływami w Wojew. Płockiem, obejmowały ogółem sumę 6,434,586 złotych.

W kasie Ministra wojny znajdowało się 671,000 „

Było przytem ogółem wpływu 7,105,586 złotych.

Z tych wydano od 8 do 24 września 1831 r. . . . 582,158 „

Zostawiłem gen. Rybińskiemu 6,523,428 złotych.

Wydatek 582,158 złotych udowodnić mogę autentycznymi rachunkami kasowy-mi, z których się wykazuje, iż więcej jak 400,000 zł. na wódkę i żywność dla wojska, reszta na żołąd dla załogi Modlina, na pożyczkę dla składu Sejmu, na administrację i bieżące wydatki użyta została. To, co znajdowało się w rę-kach Rybińskiego, musiały pochłonąć potrzeby, ale zarzucano, że członkowie Rządu „przepuścili“ 3,000,000 zł. i zabrali 600,000 zł. na koszt Rządu w Emi-gracyi; tymczasem ogół wszystkich wydatków wynosił 582,158 zł. Od Zwier-kowskiego wiemy, że pożyczka dla składu Sejmu wynosiła 120,000 zł. Człon-kowie Sejmu, nie chcąc pobierać żołądu od rządu fr., żyli z tych funduszy, które brali tytułem pożyczki. Już we Frankfurcie zrobił udział marszałek, resztę na żądanie odesłał do Paryża. Świadcetwa na to znajdują się w pa-pierach sejmowych. Członkowie Sejmu dopiero w kwietniu 1833 r. na etat weszli, kiedy fundusze sejmowe się wyczerpały.

Ponieważ już raz zdaliśmy sobie sprawę z opinii publicznej w stosunku do Sejmu w Emigracyi, nie trudno nam domyślić się, jaki obrót wzięła po zerwaniu kompletu sejmowego. Mamy adresy Polaków do Ostrowskiego Zakładów: Chateauroux (20/I 1833), z Besançon (22/I t. r.), Le Puy (19.I t. r.). We wszystkich adresach są słowa uznania dla większości Sejmu, a potępienia dla 11-stu.¹⁾

W postępku 11-stu upatrywano powrót do liberum veto. Krytykę przeniesiono już później na cały Sejm. Rozpoczęła się ona w 1838 r. Przeciw Sejmowi pisze Towarzystwo Demokratyczne i rozpatrując jego stanowisko w rewolucyi, do politycznej krytyki Mochnackiego dodaje społeczną. Zarzuca mu „system nie tykania dawnych, jakkolwiek niesprawiedliwych stosunków między obywatelami Polski, nie usunięcia nadużyć, zostawienia podziału na eksploatujących i eksploatowanych.“ *)

Słaba już była możność zebrania Sejmu. Członkowie Komitetu Lelewela z powodu odezwy, wydanej do Rosyan, musieli opuścić Paryż i Francję, został wydalony Worcell, wielu musiało wyjechać, bo na pobyt w Paryżu nie mieli pieniędzy.

W-da Ostrowski nie ustawał jednak w swoich usiłowaniach i od czasu do czasu ponawiały się zebrania. Ostatnie odbyło się 12 X 1835 r. Na niem też kończy się pierwszy okres historii Sejmu w Emigracyi. Pozostały w papierach projekty komisji, mającej przygotować materiały dla Sejmu. Są to dwa projekty

¹⁾ W papierach sejmowych i u Zwierkowskiego. „Z najmocniejszym żalem dowiadują się wychodźcy polscy w dep. de l'Indre, że reprezentacya narodowa, że Sejm, od tak dawna upragniony i oczekiwany, pomimo istniejącego w Paryżu kompletu, pomimo jego zebrania się i decyzji większości, będącej prawem dla mniejszości, ma być rozwiązany wskutek ustąpienia niektórych reprezentantów z grona sejmujących.“ „Cześć Wam, Ziomkowie, którzy bez przerwy służyć pragniecie najświętszej sprawie, wdzięczność nasza i naszych ujarzmionych braci błogosławić Was nie przestanie“ (Chateauroux). „Protestacya 11 członków z grona waszego uczyniona przerwała i przeszkodziła tak upragnionym od nas czynnościom waszym. Darujcie, dostojni mężowie, nie uczonym w prawie, ale ognistą ku Matce miłością pałającym dzieciom, że się wynurzając przed wami, przeklinamy i złorzeczymy tym formułom, które wam wydzierając możność ratowania konającej Ojczyzny, każą spoglądać z załamanemi rękami na jej udręczenie i tyranię“ (Besançon). „Z boleścią słyszeć musimy o trudnościach przez znaczną mniejszość reprezentantów czynionych w rozpoczęciu obrad sejmowych. Może przedstawienia, może prośby nasze skłonią ich umysły do poświęcenia się dla dobra Ojczyzny“ (Le Puy).

*) *Uwagi nad manifestem Sejmu polskiego, uchwalonym w dn. 20/XII 1830 r.*

ustanowienia władzy. *Projekt Rady Ogólnej Narodowej* streszcza się do wybrania przez Sejm 9-ciu członków, którzy mają czuwać nad losem wychodźstwa i nad sprawą narodową, w myśl manifestu sejmowego z dn. 20 XII 1830 r. *Projekt Rady Najwyższej*—jest to władza, która ma czuwać nad wychodźstwem, mieć kontrolę nad jego władzami szczegółowemi. W razie potrzeby staje się ona władzą rządową. Art. 8 brzmi: „W razie, gdy przyjdzie tułactwu zbrojnie i zwycięsko do Ojczyzny wstępować, a tamby żadnej narodowej nie zastało władzy, wtedy Rada Najwyższa spełniać będzie władzę Rządu Tymczasowego.“

Pozostał także projekt komisji deklaracji i uchwały sejmowej (23 wrzesień 1835 r.), zwany aktem 7-miu, tytuł go bowiem komisarzy z sekretarzem i z przewodniczącym obradom przedstawiło kolegom. Zwierkowski pisze, że miał to być manifest sejmowy. Treścią aktu tego jest protest przeciw postępowaniu rządu rosyjskiego w Polsce.

Na ostatniem zebraniu 12/X 1835 r. członkowie Sejmu, straciwszy nadzieję na drodze Sejmu służyć sprawie narodu, podawali różne projekty: Wojewoda Ostrowski Związku sejmowej większości, Sołtyk Związku sejmowego, Żarczyński Odezwy czyli Manifestacji, A. Jełowicki Odezwaniami się wyłącznego przez posłów. Ledóchowski radził zawiązanie Konfederacji, któraby wytknęła drogę i wiarę demokratyczną. Żadne jednak, co do tych projektów, porozumienie nie nastąpiło. Zwierkowski pisze, że nadzieja w najgorliwszych nawet stronnikach Sejmu, aby mógł się kiedy zebrać, zupełnie zniknęła.“

Gdy Olrych Szaniecki przybył na Emigrację, wpływał na zebranie Sejmu i ogłosił projekt do Uchwały sejmowej, według którego miał Sejm ogłosić uwłaszczenie włościan, zniesienie tytułów etc.¹⁾

W 1840 r. zbierali się członkowie Sejmu z powodu kwestyi wschodniej. 36-ciu chciało już Sejmu, a Sejm się nie zebrał. Pessimizm ogarnął nawet wojewodę A. Ostrowskiego, który może zupełnie trafnie w mowie na posiedzeniu 23/XII 1840 r. sprawę Sejmu oświecił:

„W dzień 10/XI r. b. (1840) z tymi, co zdala przybyli, jako też i z tymi, co pod Paryżem mieszkając, na każde zawołanie do kompletu stawić się przyrzekli, było nas w Paryżu 36; więcej zatem jak trzech nad wymagalny komplet... Powiedzmy sobie za-

¹⁾ *Polska*. Paryż, 1836 r.

tem niezaprzeczoną prawdę, iż tą razą nie żadna niemożność zebrania się fizycznie w komplet przeszkadzała, lecz stanowczej dobrej woli ukonstytuowania się nie było. Stąd wynikło owo oddanie się grobowej nieczynności i bezruchowi, do paraliżu lub przynajmniej do dziesięcioletniego koszmaru podobnemu, który to stan owe wielkie nic, *magnum nihil*, produkując, zastraszaającą, równie jak gorszącą, przedstawia próżnię! owe *vacuum, quem horret natura* i fizyczna, i polityczna. Z naszej nicości urok Sejmu i w kraju, i zagranicą umniejsza się; co mówię, zupełnie gaśnie. Sejm mandatu życia, owego pierwszego warunku, nie spełniający przez lat 10, słusznie daje powód do mniemania, iż na zawsze umarł.“¹⁾

Kiedy jedno po drugim przechodziły zdarzenia większej politycznej wagi, odnoszące się do sprawy polskiej, a Sejm nie stanął na stanowisku, na jakim pragnęła go widzieć w początkach Emigracya — odwrócono się od niego, przestano mu przyznawać prawo przemawiania w imieniu narodu. Tę opinię podzielali i rozkrzewiali nawet reprezentanci, ci sami, którzy dawniej najgorętszymi zwolennikami Sejmu w Emigracyi byli (Zwierkowski, Worcell, Ledóchowski, Karwowski). Od czasu do czasu zebrania się tych, to owych reprezentantów (1836 — 1848) nie można odnieść do historii Sejmu w Emigracyi, która to historia jest przedmiotem niniejszego artykułu — nie zastanawiam się więc nad niemi, nadmieniam tylko, że w 1841 r. zgromadzali się reprezentanci z powodu kwestyi wschodniej, a w 1847 r. sprawa skupienia władzy narodowej w osobie ks. Czartoryskiego znalazła zwolenników wśród części reprezentantów.²⁾

Po raz ostatni usiłował się zebrać Sejm w 1848 r.—roku powszechnej rewolucyi. Wezwał go ks. Adam Czartoryski. Zebrało się jednak tylko 18 członków, z których 16-stu zawiązało się w dn. 14 V 1848 r. w Grono sejmowe, nimby Sejm w komplecie się zebrał.³⁾ Byli to: ks. A. Czartoryski, Tadeusz Tyszkiewicz kasztelan, N. Olizar, Józef Potocki, Bohdan Zaleski, Barzykowski, A. Biernacki, Morozewicz, Morawski, Kaszyc, Kołysko, Niemcewicz, Wł. Plater, Przeciszewski, Swirski, Żarczyński.

Godebski nie podpisał aktu, oświadczając, że sprzeciwia się wszystkiemu, co miałoby co innego na celu, niż ukonstytuowanie

¹⁾ *Noworocznik Demokratyczny*, 1842 r.

²⁾ *Trzeci Maj* (pismo emigracyjne) 21/VI 1847, № 29. Heltman, *Emigracya polska*.

³⁾ Oryginał aktu w Bibliotece polskiej w Paryżu (Grono sejmowe, 1848 r.).

się Sejmu, Hłuszniewicz zaś wszelkie działania sejmowe za szkodliwe uważał, gdyż przewidywał z ich powodu protestacye i nieporozumienia, ale okazał gotowość do radzenia nad zjednoczeniem rozprzężonej Emigracyi.¹⁾

Zawiażujący się w 1848 r. w Grono sejmowe reprezentanci chcieli Sejm widzieć centralnem ogniskiem działań narodowych, reprezentacją Emigracyi i Polski pod rządem rosyjskim w tym ruchu wolnościowym, przez przybranie zaś do Sejmu reprezentantów z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego wyobrażać całą Polskę, dbać o jej interesy za granicą.²⁾ Ze swej strony zaś gotowi byli wysłać do tych ziem Polski członków sejmowego Grona.

W odezwie do rodaków (26.V) Grono sejmowe określa swój stosunek do kwestyi włościańskiej w Polsce i nie przesądzając instytucyi ani formy przyszłego rządu Polski, pisze, że przede wszystkim Sejm wymierzy sprawiedliwość ludowi. „Czem upadliśmy i za co w pokoleniach pokutujemy, to zniknąć ma raz na zawsze z oblicza całej Polski.“ Jest w tej odezwie powtórzona znana nam myśl Adama Mickiewicza w następujących słowach: „Sejm nosi na sobie podwójny charakter: naprzód władzy prawej narodu polskiego, powtóre władzy moralnej europejskiej, a tem samem stanąłby jako umocowany rzecznik w sprawie przed narodami i jako umocowany rozjemca w rozterkach domowych.“ Tak postawione zadania Sejmu, odrzucone wtedy, gdy Mickiewicz artykuł swój napisał, w 1833 r., teraz miały stać się osią działań w 1848 r. Ruch ludów w całej Europie podbudził snąć imaginacyę reprezentantów; kupienie się ruchu w reprezentacyach narodowych (Sejm frankfurcki), podało im myśl, że i Sejm polski miałby poważną rolę przed sobą.

Sejm jednak znowu się nie zebrał. Na wezwanie ks. Czartoryskiego odpowiedzieli odmownie, niektórzy nawet w słowach ostrych: Worcell, Lelewel, marszałek Wł. Ostrowski, Ledóchowski i Trziński.³⁾

¹⁾ Protokoły podpisywane przez ks. A. Czartoryskiego (Grono sejmowe, 1848 r.).

²⁾ „Chodzi o utworzenie jednego ogniska działania narodowego, w którymby się ześrodkowały wszystkie luźne prace i dążenia patriotów.“ (Odezwą Grona sejmowego polskiego do rodaków, Paryż, 26.V 1848 r.) „Obywatele na wpół oswobodzonych prowincyj zajęli się kierunkiem spraw narodowych w swoim zakresie, ale sprawa ujarzmionego kraju, sprawa ogólna niepodległości polskiej zostaje bez głośniejszej, legalnej, swobodnej na zewnątrz opieki.“

³⁾ Dwaj ostatni w liście wspólnie podpisanym z Frankfurtu 28/V piszą, że, będąc w Galicyi i Poznańskiem, wszędzie widzieli wstręt i oburzenie „na

Z gotowością przybycia oświadczyli się: Tymowski, Nakwański i Malinowski — reszta posłów odpowiedzi nie dała. W papierach Grona sejmowego dochował się protokół, podający odmowną odpowiedź W. Ks. Poznańskiego (19/VI 1848). „Nie dzielimy zdania, aby zwołanie Sejmu poza krajem zdołało zespolić różnorodne kraju i Emigracyi działania w jedność myśli i dążeń.“

Grono sejmowe, będąc ciałem tylko czasowem do zebrania się Sejmu właściwego — samo przez się nie mogło mieć znaczenia ani rozwinąć szerszej działalności. Chciał przez nie wpływać rząd republiki francuskiej na uśmierzanie manifestacyi ludu paryskiego i pod namową Ministra spraw zagranicznych Władysława Platera proponował odezwę do ludności paryskiej, aby wstrzymała się od manifestacyi na rzecz Polski, lecz projekt ten został przez Grono sejmowe odrzucony.¹⁾

Prócz Odezwy do rodaków napisało jeszcze Grono sejmowe Adres do Zgromadzenia prawodawczego (francuskiego), drukowany w *Recueil de traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne 1762—1862*. Adres do parlamentu niemieckiego we Frankfurcie (26/V), protestując przeciw przyłączeniu części Księstwa Poznańskiego do związku niemieckiego. Do przedstawienia tego adresu wybrano delegacyę złożoną z czterech członków Sejmu: Biernackiego, Morozewicza, Karola Niemcewicza i Władysława Platera. W *Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego* (Paryż, 1869) Kalikst Morozewicz umieścił artykuł (str. 193): *Sprawozdanie z czterodniowej dyskusyi nad sprawą polską w Parlamencie frankfurckim 1848 r. Ze wspomnień naocznego świadka*. Na str. 203 tegoż *Rocznika* przytoczony jest ów *Adres Zebrania członków Sejmu polskiego do Zgromadzenia narodowego we Frankfurcie*.

Na Kongres słowiański, zebrany w Pradze czeskiej, wysłało Grono sejmowe Bohdana Zaleskiego i Józefa Potockiego.

Ponieważ niektórzy członkowie Grona sejmowego wyjeżdżali z Francyi do kraju, wybrano delegacyę, która je miała stale reprezentować, złożoną z ks. Czartoryskiego, kasztelana Tyszkiewi-

samo wspomnienie tego spróchniałego ciała, w którym nie tylko, że antysocyalne i najszkodliwsze naszej sprawie zasady ciągle się objawiały, ale nawet w gronie jego uląkł się pomysł wyniesienia tronu polskiego na bruku paryskim i silnych popieraczy w gronie Sejmu znalazł.“ Ledóchowski odznaczał się zawsze porywcznością.

¹⁾ Protokół z posiedzenia 22/V. Projekt odezwy do ludu paryskiego przez Platera (Grono sejmowe).

wicza, Godebskiego i Żarczyńskiego (Czartoryski prosił, aby na wypadek jego wyjazdu wybrać zastępcę—wybrano Tyszkiewicza, prosząc jednocześnie, aby zaraz do prac delegacji przystąpił). Delegacja miała również zająć się zwołaniem Sejmu.

Ostatnie zebranie Grona sejmowego odbyło się w Bibliotece polskiej w Paryżu dn. 22/IX 1848 r. Zawieszono na niem obrady i postanowiono podać do wiadomości zdanie sprawy ze swoich usiłowań.¹⁾

Tak się przedstawia historia Sejmu w Emigracji, czerpana z cytowanych w tej pracy a najważniejszych dla tego przedmiotu źródeł.

*

*

*

Lista członków Sejmu, którzy po upadku powstania listopadowego na Emigrację wyszli²⁾:

Senat:

Wojewodowie: ks. Adam Czartoryski († 1861 r. w Montfermeuil koło Paryża); Maciej Wodziński († 1848 r. w Dreźnie); Ludwik Pac († 1835 r. w Smyrnie); Antoni hr. Ostrowski († 1845 r. w Madères koło Tours).

Kasztelanowie: Tadeusz Tyszkiewicz († 1852 w Paryżu); J. U. Niemcewicz († 1841 r. w Paryżu); Ludwik Plater († 1846 r. w W. Ks. Poznańskim); Narcyz Olizar († 1862 r. w Sadach pod Poznaniem).

¹⁾ Znajduje się w Bibliotece polskiej w Paryżu (Grono sejmowe).

²⁾ Przy układaniu tej listy najbardziej pomocną mi była „Lista członków Sejmu, którzy się na tułactwo poświęcili,” ogłoszona przez Aleksandra Jełowickiego w *Wiadomościach krajowych i emigracyjnych* (№ 11 z dn. 2/VI 1837 r.), oraz lista imienna członków Sejmu na Emigracji, ogłoszona w *Noworoczniku Demokratycznym* (Paryż, 1842). Druga jest dokładniejsza, ale pierwsza ma tę zaletę, że podaje kto skąd był posłem, co jest ważne ze względu na posłów nowych i podaje miejsce zamieszkania na Emigracji każdego posła. *Pielgrzym* 25/I 1833 r. podaje o 12-stu więcej reprezentantów, którzy wyszli na tułactwo. Wolałem jednak przyjąć listy późniejsze, kiedy już Emigracja była ustalona. Daty śmierci czerpałem z „Cmentarzyka Emigracyjnego” Bartkowskiego. Rkp. w Bibliotece polskiej w Paryżu. Podałem je dlatego, że Sejm na Emigracji odnawiać się nie mógł.

Izba poselska:

Posłowie: Jan Ledóchowski, poseł jędrzejewski († 1864 r. w Paryżu); Roman Sołtyk, koniecki († 1843 r. w St. Germain en Laye); Gustaw Małachowski, szydlowiecki († 1835 r. w Paryżu); Teofil Morawski, kaliski († 1854 r. w W. Ks. Poznańskim); Bonawentura Niemojowski, warstski († 1835 w Vanves pod Paryżem); Aloizy Biernacki, wieluński († 1854 w Paryżu); Kantorbery Tymowski, częstochowski († 1850 r.); Władysław hr. Ostrowski, piotrkowski, *marszałek* († 1869 r. w Krakowie); Kalikst Morozewicz, lubelski († 1872 r. w Paryżu); Józef Swirski, hrubieszowski († 1854 r. w Paryżu); Wincenty Chełmicki, przasnyski († 1846 r. w Chantilly Oise); Stanisław Barzykowski, ostrołęcki († 1872 r. w Paryżu); Adam Łuszczewski, sochaczewski; Rudolf Wieszczycki, gostyński (odebrał sobie życie 1839 r. w Weissenburgu w Alzacyi); Franciszek Trzcíński, orłowski († 1861 r. Fontainebleau); Joachim Lelewel, żelechowski († 1861 w Paryżu); Ksawery Godebski, łucki († 1867 r.); Stanisław Worcell, rowieński († 1857 r. w Londynie); Aleksander Jełowicki, hajsyński († 1877 r. w Rzymie); Amancyusz Żarczyński, winnicki († 1875 r. w Norymberdze); Henryk Nakwaski, bractawski († 1876 r. w Tours); Wincenty Tyszkiewicz, skwyrski; Herman Potocki, machnowiecki († 1866 r. w Paryżu); Józef Tomaszewski, lipowiecki († 1850 r. w Homburgu); Jakób Malinowski, radomyski; J. Bohdan Zaleski, taraszczański († 1886 r. pod Paryżem); Feliks Kiniewicz, mozyrski; Władysław Plater, wilejski († 1889 r. w Szwajcaryi); Waleryan Pietkiewicz, słucki († 1843 r. w Tours); Antoni Hłuszniewicz (dr. medycyny), borysowski († 1861 r.); Cezary Plater, wileński († 1869 r. w Górze w W. Ks. Poznańskim); Ludwik Zambrzycki, brasławski († 1834 w Paryżu); Józef Zienkiewicz, oszmiański († 1833 w Paryżu); Ludwik Pietkiewicz, wilkomierski; Adam Kołysko, upitski († 1870 r. w Paryżu); Antoni Przeciszewski, rosieński; Józef Kaszyc, nowogrodzki († 1868 w Nicei); Karol Niemcewicz, brzeski († 1867 r. w Paryżu); Eugeniusz Breza, słonimski († 1876 r. w W. Ks. Poznańskim); Józef Potocki, bielski († 1863 w Paryżu); Jan Karwowski, białostocki († 1870 w Paryżu).

Deputowani: Jan Olrych Szaniecki, dep. stopnicki († 1840 r. w Paryżu); Józef Ziemięcki, wieluński; Walenty Zwierkowski, warszawski († 1859 r. w Paryżu); Franciszek Wołowski, warszawski († 1844 r. w Paryżu); Teodor Morawski, kaliski († 1879 r. w Paryżu). *Ogółem 54-ch.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

Ruch literacki we Francyi.

Anatol France, — Piotr Loti, — Henryk Bordeaux, — Henryk de Régnier, —
Paweł Adam.

W każdej epoce i w literaturach wszystkich narodów trafiają się mniej lub więcej liczni autorzy, których twórczość, posiadająca albo charakter zupełnie odrębny, lub łącząca w sobie jednocześnie cechy nader różne, nie da się zaliczyć do żadnej z bliżej określonych kategorii. Okres współczesny w literaturze francuskiej jest pod tym względem wyjątkowo znamienitym.

Wśród powieściopisarzy francuskich doby obecnej, takie odrębne, a z powodu swych wyjątkowych zalet bardzo wybitne stanowisko, zajmuje *Anatol France*. Z wielu względów nazwałoby można tego autora moralistą, gdyby nie to, że idee, wyrażone w jego dziełach, są właściwie zaprzeczeniem wszelkiej moralności. W istocie rzeczy, Anatol France jest nader zręcznym, nader wyrafinowanym ironistą, jego pisma, to subtelne satyry, którym za podstawę służy absolutny sceptycyzm autora.

Ale sceptycyzm jego ma też właściwości zupełnie oryginalne, polega on bowiem nietyle na zaprzeczeniu, ile na skłonności do asymilowania sobie z równą łatwością wszelkich najsprzeczniejszych wierzeń bez przyznawania żadnemu jakiegokolwiek powagi.

Pojęty w ten sposób sceptycyzm Anatola France ma tę wyższość, iż jest wolnym od doktrynerstwa. Satyra jego nie jest zjadliwą—ironia, która się w niej kryje czasem dość głęboko, łączy się z sympatją, łagodzącą w formie przyjemnej i ujmującej to, co myśl zawierać może gryzącego. Nadto sceptycyzm ten nie wyłącza jedynego kultu, któremu p. France oddaje się z całym zapętem wyznawcy—kultu Piękna.

Wysoka kultura, niezwykajna erudycja, przy wrodzonej wrażliwości na to wszystko, co stanowi ozdobę życia, czyni go

przedewszystkiem estetą i artystą. Od dziecka oswojony z rzadkimi okazami starych, często artystycznie zdobnych książek, rycin, zabytków sztuki dawnej—ojciec jego był antykwarem—wychowany w pojęciach i formach religijnych przez matkę, która zabawiała go opowiadaniem z żywotów świętych i starych legend, Anatol France wcześniej nabrał zamiłowania do przeszłości chrześcijańskiej, którego ani późniejsze nauki klasyczne, ani brak wiary i sceptycyzm, jako ich wynik, wykorzeń nie mogły. Mistyczne wpływy pierwszych lat życia odbiły się bardzo silnie w twórcach umysłu dojrzałego.

To też do dzieł swoich czerpie on najchętniej natchnienie w tej właśnie przeszłości, w legendach, odnoszących się do pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których prawdziwa pobożność idzie w parze z zabobonną wiarą w cudowność, zrodzoną w bujnej wyobraźni umysłów pierwotnych. Poezya, zawarta w tych prostodusznych wierzeniach, opowieściach i tradycjach, ma dlań szczególnie urok.

Anatol France lubi posługiwać się ich formą archaiczną i umie do tego stopnia przejąć się ich duchem i wczuć w naiwne pojęcia czasów minionych, iż zdaje się sam je podzielać—zaledwie przebijająca się tu i owdzie ironia ujawnia czasem rzeczywistą umysłowość autora.

Przy umyśle ściśle analitycznym, France posiada uczuciowość nader wrażliwą, skłaniającą go do marzenia, która wypływa z jakiejś wrodzonej jego naturze prostoty, szczerości i świeżości uczuć. To połączenie wysokiej kultury z prostotą, sceptycyzmu ze skłonnością do naiwnych form wiary, sztuczności i sofistyki ze szczerością, wraz z żywym dowcipem, stylem lekkim, łatwym, wyjątkową wytwornością przypominającym pisarzy wieku XVIII-go,—stanowi oryginalność i urok jego twórczości.

Jako filozof, France jest przedewszystkiem uczniem Epikura. Zgłębiwszy wszystkie dostępne człowiekowi nauki, nie wyłączając teologii i pism ojców kościoła, doszedł on przy pomocy metody krytycznej do przekonania, że najgłębszą filozofią jest filozofia dusz prostych; ale, aby to pojąć w całej pełni, trzeba koniecznie tę prostotę utracić, bo prostota sama siebie znać nie może. Podobne, subtelne sofizmaty spotykają się u niego co chwila. W gruncie rzeczy Anatol France jest moralnym nihilistą. Zdaniem jego, moralności niema, są tylko pewne obowiązujące obyczaje, które, jak wskazuje historia ludzkości, różnią się bardzo, stosownie do ras i okolic, i ulegają nieustannym zmianom. Ileż to religij, ileż to wierzeń, z których każde uznawano w swoim

czasie za pewnik nieomylny, przewinęło się w ciągu wieków, by zginąć bez śladu!

W rzeczywistości nic nie jest samo w sobie dobrem lub złem, słusznem lub niesłusznem, przyjemnem lub nieprzyjemnem. Nie ma nawet zdrowia i choroby, są tylko różne stany naszych organów. Gdy powstajemy przeciw zepsuciu, zapominamy, że ono to właśnie powoduje potrzebę moralności, równie jak gwałt jest przyczyną istnienia prawa.

Nauka również w gruncie rzeczy nie istnieje, gdyż nie sięga poza fenomeny doświadczalne. Nawet matematyka, pomimo swej pozornej ścisłości, nie ma żadnej prawdziwej podstawy, gdyż czas, od którego zależą liczby i przestrzeń, która wyraża się w liniach, nie mają, poza obrębem naszych pojęć, nic rzeczywistego. Pewników żadnych nie ma, są tylko pozory, w których dostrzegamy jedynie odbicie własnego ducha. Metafizyka jest wymysłem ludzkiej wyobraźni. Zdaniem p. France, byt nie przedstawia żadnej zagadki.

Zdawałoby się, iż takie zapatrywania powinny logicznie prowadzić do pesymizmu, ale szczęśliwy temperament France'a broni go od takowego; jeśli niema nic do poznania, to i o cóż się troszczyć? Jeśli wszystko jest tylko ułudą, jeśli świat składa się z pozorów, wśród których ubiega życie ludzkie, to pozostaje tylko wybrać te, które nam życie uczynić mogą znośnem i przyjemnem. Co nas obchodzi dokąd prowadzą drogi życia? Stokroć ważniejszem jest wiedzieć, którędy one prowadzą.

By dowiedzieć się, która droga jest dobrą, France badał teologów, filozofów, uczonych, magów i t. p. i nie znalazłszy zadowalniającego objaśnienia, uznał za najlepszą tę, która jest najprzyjemniejszą.

Taka etyka byłaby nader pospolitą, gdyby nie to, że przy niezwykle wytwornym i delikatnym smaku Anatola France, przy jego estetyce subtelnej, nie uznającej żadnych praw, ani systemów, łączy się ona u tego pisarza z wyrafinowaniem poczuciem Piękna, podnosząc i uszlachetniając odbłaskiem ideału to, co taka pogańska koncepcja życia zawiera niskiego materializmu. Poezya i sztuka, oto ozdoba życia, w której France poszukuje wyższych rozkoszy. Stąd to pochodzi, że w twórcach umysłu ludzkiego daje on zawsze pierwszeństwo tym, w których przeważa uczucie i wyobraźnia i tem również tłumaczy się jego zamiłowanie do tych epok w rozwoju ludzkości (jak pierwsze wieki chrześcijaństwa lub średniowieczne Włochy), w których uczucie, nie zaś rozsądne, lecz zimne wyrachowanie, nadawało przedewszystkiem kie-

runek życiu narodów. Skądinąd umysł jego subtelny i skłonny do analizy, przejął się szybko sceptyczną trzeźwością filozofów XVIII wieku i wyraził się w twórczości pełnej przeciwieństw, ale nadzwyczaj oryginalnej i pociągającej zarówno dowcipem, jak i urokiem poezyi i artyzmu. Ale jeżeli ma on szczególną predykcję do tworów wyobraźni, to jemu samemu tej właśnie wyobraźni brakuje, co też jest powodem, iż powieści jego i opowiadania nie posiadają prawie żadnej fabuły i zasadzają się głównie na rozmowach i dyskusjach. Są one często dziwaczne, niespojone, bez akcji, czem szczególnie odznaczają się pierwsze jego utwory, jak „Jocaste“ i „Les Désirs de Jean Servien“, równie jak i „L'Orme du Mail“, „Le Mannequin d'Osier“, „Crainquebille, Putois, Riquet“ i t. p.

W innych znowu, pozbywszy się dziwactw, poszukuje Anatol France prostoty i naiwności, jak w „Livre de mon ami“, w którym opowiada wspomnienia własnej młodości, w powiastkach dzieciennych „Abeille“ i „Nos Enfants“, lub w historykach z pierwszych czasów chrześcijaństwa: „Thaïs“, „Les Noces Corinthiennes“, „Balthazar“, w „Etui de Nacre“, w których tę naiwność posuwa tak daleko, iż przechodzi ona w ironię.

Ironia, ukryta pod pozorami sztucznej naiwności w powyższych utworach, staje się już jawną w tych, które uważać można za jego największe arcydzieła, mianowicie w „Le Crime de Sylvestre Bonnard“, w „Rôtisserie de la Reine Pédauque“, w „Les Opinions de Mr. Jérôme Coignard“ i w „Monsieur Bergeret à Paris“, w których głównych postaciach: Sylwestrze Bonnard, księdzu Coignard i p. Bergeret poznać można samego autora. Przez ich to usta wypowiada France swoją filozofię, którą też we własnym imieniu wykłada w „Jardin d'Epicure.“

Ów Sylwester Bonnard, stary uczony, członek Instytutu, jest jego wiernym portretem. Uczoność nie zabiła w nim uczuciowości, nie przeszkadza mu oddawać się fantastycznym marzeniom, szczerzej wesołości, w której zawsze przebija szczypta ironii. Niemniej zdobyta nauka, zamiast uczynić go pysznym, przekonywa go o nicości człowieka i samej wiedzy. Gdy panna Préfère, zdumiona wielką ilością książek nagromadzonych w bibliotece Bonnarda, zapytuje go, czy to wszystko czytał, uczony odpowiada: „Niestety! I dla tego właśnie nic nie wiem.“

Jak France, Bonnard jest zamięłowanym archeologiem, kocha się w przeszłości, w naiwnych formach sztuki i poezyi, w których przechował się w całej czystości, w całej sile swego wyrazu duch dawno minionych, odległych pokoleń, które przemawiają do nas

za ich pośrednictwem, dając nam poczucie bytu ludzkości poza obrębem czasu.

W „Rôtisserie de la Reine Pédauque“ spotykamy się z nader ciekawą postacią księdza Hieronima Coignard, wyrażającego wśród zajęć fantastycznych poglądy France'a.

W traktyerni owej poznajemy zebrane tam osoby—jej gospodarza Leonarda Ménétier, który nie lubi wylewać za kołnierz, jego żonę Barbarę, syna ich Jakóba, zwanego Tournebroche dla funkcji, które pełni w ojcowskiej kuchni, kabalistę barona d'Astarac i wreszcie księdza Coignard, mędrca, nie gardzącego rozkoszami podniebienia. Ten ostatni, wraz ze swym uczniem Jakóbem Tournebroche, podejmuje się tłumaczenia dla barona d'Astarac dzieła Zozima Panopolitańskiego, w trakcie czego młody Jakób zakochuje się w Jaheli, siostrzenicy żydowskiego czarownika Mozaida, co nie przeszkadza mu odwiedzać Kasię koronczarkę (Catherine la dentellière), która, dzięki hojności bogatego finansisty p. de la Guérिताude, prowadzi życie zbyt kowne i nie odmawia swych wdzięków narwanemu awanturnikowi, kawalerowi d'Anquetil, aż do chwili, gdy pan de la Guérिताude zastaje go u niej w towarzystwie Jakóba i ks. Coignard, którzy uśmiercają go prawie, poczem chronią się czas jakiś przed sprawiedliwością u barona d'Astarac. Kawaler d'Anquetil uwodzi wśród tego piękną Jehelę i uchodzi wraz z nią, Jakóbem i ks. Coignard. Ten ostatni w ucieczce tej ginie z ręki Mozaida i umiera z chrześcijańską przykładnością.

Oto i cała treść tej fantastycznej bajki, która, równie jak i ciekawe zresztą opowieści barona d'Astarac na temat magii i kabalistyki, nie może dać pojęcia o wartości utworu, tej bowiem szukać należy w wybornej charakterystyce owego Hieronima Coignard, któremu, dla uzupełnienia jego poglądów i uplastycznienia ich przy pomocy kontrastu, nadał autor charakter kapłański. Ks. Coignard, doktor św. Teologii, uczony, który posiadał wszelkie gałęzie wiedzy, jest też filozofem niezwyklej miary, umiejącym połączyć i pogodzić najsprzeczniejsze zasady i idee, utworzyć sobie z takiego amalgamatu etykę własną i stosować ją w życiu z najwyższym spokojem, przekonaniem i zadowoleniem wewnętrznym. Jest on przytem najwierniejszym synem i sługą kościoła, przyjmującym bez zastrzeżeń dogmaty, których filozofia jego nie dotyka.

Doświadczony, gładki, wymowny, towarzyski, potrafi on wyrazić swe myśli w formie zarazem pociągającej i poważnej, łatwej i wzniosłej i umie, nawet w razach najtrudniejszych, znaleźć zawsze argument przekonujący, lub usprawiedliwiający. Wysoka kultura umysłowa, prawdziwe zamiłowanie nauki i sztuki nie prze-

szkadza mu wszakże w postępowaniu, które pospolicie zwie się niemoralnem. Przeciwnie, filozofia jego, zasadzająca się na pobłażliwości dla siebie i drugich, usprawiedliwia i tłómaczy jego uczynki. Jakoż tego uczonego i pokaźnego męża widzimy oddającym się hulankom, oszukującym przy grze w karty, kradnącym dyamenty barona d'Astarac, łakomym na wdzięki niewieście, winnym niemal zabójstwa na osobie pana de la Guérिताude i t. p. Przeciętny człowiek, któryby dopuścił się takich przestępstw, byłby poprostu łotrem. Inaczej rzecz się ma z ks. Coignard, i tu uwidocznia się wyższość jego filozofii—wszystkie te grzechy, dając mu sposobność do pokuty, a więc podniesienia duszy ku Bogu, przyczyniają się do pomnożenia jego pobożności. Zmysłowość jest właściwością ciała, która popycha nas do popełniania uczynków zdrożnych. Jeżeli wszakże przypisywać będziemy tym ostatnim zbyt wielką wagę, to tem samem staniemy się winni nadmiernego cenienia rzeczy cielesnych, gdy powinniśmy przede wszystkim zajmować się potrzebami duszy. Przykłady takiej pogardy dla ciała znajdujemy w żywotach świętych.

Marya Egipcyanka, napotkawszy w drodze do Ziemi Świętej głęboką rzekę, a nie mając czem zapłacić przewoźnika, wołała poświęcić swe dziewictwo, które oddała mu w miejsce należnej za przewóz nagrody, aniżeli nie dopełnić pielgrzymki. Taka pokora w lekceważeniu ciała, dla pozyskania korzyści duchowych, doprowadziła ją do świętości. Moralność w znaczeniu pospolitem niema w sobie nic stałego, jest zmienną i najczęściej bezzasadną. Człowiek myślący nie powinien cenić jej ponad jej wartość, lecz dbać bez względu na nią o zbawienie duszy. Powinno się dążyć nie do cnoty, lecz do świętości. Cnota powoduje pychę. Niemożna mieć pokory chrześcijańskiej bez pocucia swej nędzy, a to pocucie daje nam grzech. Najwięksi święci są to pokutnicy, a ponieważ wielkość żalu zależy od wielkości grzechu, przeto w największych grzesznikach znajduje się materyał na największych świętych. Zawiązek świętości zawiera się tedy w pożądliwości, niewstrzemiężliwości i wszelkiej nieczystości ciała i ducha. Trzeba tylko po nagromadzeniu tego surowego materyału obrobić go wedle sztuki teologicznej i ulepić zeń posąg pokuty.

„Les Opinions de M. Jérôme Coignard“ jest dalszym ciągiem wykładu filozofii tego męża już bez dodatku jakiegokolwiek fabuły. O ile w poprzednim utworze zasady jego opierały się na pobłażliwości dla usterek, wynikających z ustroju ludzkiego organizmu, o tyle w następnym za podstawę służy im pogarda dla rodzaju ludzkiego, wypływająca zresztą z tego samego źródła, co

i pobłażliwość, ale pogarda nie w znaczeniu zwykłym, lecz pozbawiona złości i namiętności, nienaruszająca bynajmniej wewnętrznej równowagi i niezmaconej pogody ks. Coignard. „Wzajemna pogarda—mówi on—to pokój na ziemi. Gdyby ludzie szczerze sobą wzajemnie pogardzali, przestaliby sobie szkodzić, żyliby spokojnie i przyjemnie. Wszystkie nieszczęścia społeczeństw cywilizowanych pochodzą stąd, iż obywatele zanadto się cenią i wznoszą honor, jakoby potwora, ponad nędzę ciała i ducha. Uczucie to czyni ich dumnymi i okrutnymi. Nienawidzę pychy, która chce, aby czcić siebie i drugih, jak gdyby w pokoleniu Adama mógłby być ktokolwiek godnym czci! Otóż to jest wstrętny rodzaj bałwochwalstwa! Aby więc zapewnić ludziom istnienie nieco szczęśliwsze, trzeba przywołać ich do pokory. Będą szczęśliwi, gdy, powróciwszy do odpowiadających ich stanowi uczuć, będą pogardzać jedni drugimi, nie czyniąc wyjątku dla siebie.“ Reszta wyrażonych tu myśli jest już prostą konsekwencją tej pogardy, wypływającej z przekonania o nicości i nikczemności natury ludzkiej. Tak więc nauki niema, bo bliższe badanie natury pomnaża tylko nasze złudzenia; pojęcia słuszności i niesłuszności są tylko sztucznymi sofizmatami—o wartości wszelkiej sprawy sądzić można tylko wedle jej powodzenia; prawa, które rządzą ludźmi, powstały z niewiadomości, przesądu, widoków osobistych lub fantazyi—stosowanie ich jest tylko uświęcaniem największych niegodziwości społecznych. Cała ta filozofia, jako oparta na zręcznych sofizmatach, prowadzi ostatecznie do sprzeczności i illogizmu, z pogody bowiem, spokoju i wewnętrznego zadowolenia, które w niej czerpie, ks. Coignard wpada w pesymizm, popychający do rozpacz i samobójstwa. Ks. Coignard sam przyznaje na końcu, iż gdyby nie wiara, która polega u niego na przekonaniu, że mądrość boska nie liczy się z drobiazgowymi przepisami wątpliwej moralności ludzkiej, rzuciłby się do wody, lub w objęcia Kaśki koronczarki, w których profani znaleźć mogą zapomnienie nędz żywota. Duchowy portret ks. Coignard ukazuje autor na tle wieku XVIII, czyni to jednak głównie dla tego, że ta epoka jawnego libertynizmu, przy zachowaniu form zewnętrznych dawnej obyczajności i jednoczesnym wysokim rozwoju kultury umysłowej, nadawała się szczególnie do uwydatnienia podobnych typów, zarazem oryginalnych i charakterystycznych. To nie przeszkadza, że ks. Coignard pod tą formą nieco archaiczną posiada wszelkie cechy współczesne. Do współczesności wreszcie już bezpośrednio zwraca się Anatol France w szeregu powieści zatytułowanych „Histoire contemporaine“—„L'Orme du Mail,“ „Le Mannequin d'osier,“ „L'An-

neau d'améthyste," „Mr. Bergeret à Paris," których bohater, ów pan Bergeret, wygłasza poglądy w stosunku do warunków dzisiejszych równe wartością poprzednim.

Wraz z tym ostatnim bohaterem swoim France, który się był zamknął dotąd wyłącznie w sferze idei czystej, w swem państwie książek, gdzie, współ z uczonym Sylwestrem Bonnard, pozostawał widzem komedii życia, opuścił nagle ustronie, aby wziąć udział w palących sprawach chwili, zmanifestował dość ostentacyjnie swe przekonania polityczne w przemówieniu nad grobem Zoli, autora „J'accuse," oraz w pismach z tego zakresu p. t. „Opinions sociales," w których okazał się w kwestyach społeczno-politycznych, wbrew dotychczasowemu duchowi bezstronności, zwolennikiem idei najbardziej zaawansowanych.

W następnej powieści swojej „Histoire Comique" zdaje się on jednak być nieco zniechęconym do tych zapasów współczesnych, które sprawiają mu wrażenie szarpania się waryatów, zaś w fantastycznym utworze p. t. „Sur la pierre blanche" przedstawia przyszłe społeczeństwo kolektywistyczne z równie satyryczną ironią, ale bez tej sympatii, jak i naiwne pokolenia dawnej przeszłości.

Jego powieść współczesną i światową „Le Lys rouge" zaliczyć należy do romansu psychologicznego, a zarazem artystycznego, gdyż rzeczy sztuki i estetyki zajmują w niej pierwszorzędne miejsce.

W swych pismach z zakresu krytyki literackiej p. t. „La vie littéraire" zainaugurował Anatol France t. zw. krytykę impresyonistyczną, subiektywną, którą przeciwstawił krytyce obiektywnej, czyli dogmatycznej, uprawianej z niejaką bezwzględnością przez Ferdynanda Brunetière'a. Wedle France'a, zadaniem krytyka jest wyłącznie notowanie wrażen własnych, doznawanych przy czytaniu utworów literackich, nie zaś sądzenie takowych w imię z góry ustanowionych prawideł i dogmatów, które, jako wymysł pedanterii, nie mają żadnej realnej podstawy. „Krytyka jest rodzajem romansu," orzekł France, i z tego punktu wychodząc, w taki też sposób w „La vie littéraire" traktował własne prace krytyczne.

Takie pojmowanie krytyki jest naturalnym wynikiem ogólnych zapatrywań France'a i ma za sobą pewne pozory słuszności, ale posunięte zbyt daleko, staje się fałszem, odbiera jej wszelką powagę, czyniąc ją zależną od fantazyi, kaprysu, humoru, lub chwilowego nastroju jej autora.

Ostatniem dziełem Anatola France jest obszerne studjum historyczne „Jeanne d'Arc,” którego tom pierwszy wyszedł już w roku bieżącym.

*

*

*

Niemniej, jak Anatol France, odrębne miejsce we współczesnej literaturze francuskiej zajmuje *Piotr Loti*.¹⁾ Wprawdzie za jego przykładem pewna liczba romansopisarzy zwróciła się po treść swych powieści do krain oddalonych, obyczajów różniących się bardzo od tych, do których przywykliśmy w Europie, do niezwykłych wrażeń dalekich podróży i t. p., i w ten sposób powstał rodzaj romansu, zwany *egzotycznym*, którego Loti jeśli ściśle biorąc nie jest twórcą, to jest w każdym razie niewątpliwie jego inspiratorem.

Egzotycznymi są też wszystkie słynne na cały świat dzieła Lotiego, nawet te, których akcja nie wybiega poza granice Francyi lub Europy. Ale egzotyzm jego nie polega, jak u innych, na opisie wydarzeń, obyczajów lub widoków z pod innych szerokości geograficznych, lecz na szczególnem, jemu tylko właściwem odczuwaniu wrażeń, doznawanych w ciągu nieustannych wędrówek, wśród których upływa życie tego poety-marynarza, oraz na sposobie wyrażenia takowych, zarówno prostym, jak i nieuchwytnym, niepodobnym prawie do określenia, a tembardziej do naśladowania. Egzotyzm Lotiego jest przede wszystkim egzotyżmem uczucia i w tem to właśnie leży jego oryginalność. Jego manierę nazwano dość trafnie impresyonizmem—w rzeczy samej, podobnie jak impresyoniści, Loti ogranicza się do notowania wrażeń i uczuć nieuchwytnych, chwilowych, znikomych; równie jak i oni, stara się je wyrazić w formie najprostszej, niedokończonej, by przez zbytnią ścisłość nie odebrać im charakteru świeżości i zmienności. Obrazy, które on rozstacza przed nami, przypominają delikatne harmonie sztuki japońskiej, ale są tak blade, iż stają się niekiedy niedostrzegalne. Naprawdę nie są to obrazy, lecz widziadła, mi-raże; Loti nie maluje ich, lecz podsuwa nam tylko nastroje, wy-

¹⁾ Julian Viaud.

wołane w jego wrażliwej duszy zarówno przez otaczającą naturę, jak i przez różne wydarzenia i okoliczności, często bardzo nieznaczne. W utworach Lotiego nie ma żadnej głębszej myśli, żadnej idei, nic, co by przemawiało do umysłu, do inteligencji czytelnika, zato przemawiają one wyłącznie bardzo silnie i prawie bezpośrednio do uczucia, na podobieństwo muzyki, przypominając swą nikłością senne majaczenia.

Utwory te nie są też prawdziwymi powieściami, nie ma w nich wogóle ani ścisłej budowy, ani logiki akcji, ani żadnej fabuły — składają się one raczej z szeregu obrazów, następujących po sobie bez ściślejszego związku prawie, jak we śnie. Mistrzostwo i artyzm Lotiego objawia się też głównie w umiejętności wyrażenia za pomocą języka zwyczajnego, zwrotów i słów prostych, niewyszukanych, tego, co się wogóle bliżej określić i wyrazić nie daje. Na oryginalność też się on bynajmniej nie sili — jestto zawsze niemal we wszystkich jego utworach powtarzający się romans, w którym zmieniają się tylko imiona egzotycznych kochanek, nieodmiennie jednakowych w swej prymitywnej prostocie istot urojonych i obdarzonych przez autora jego własną wyegzaltowaną uczuciowością.

Takie są te wszystkie Rarahn, Madame Chrysanthème, Faton-Gaye, Aziadée, Fatmy i t. p., różniące się prawie wyłącznie barwą cery, strojem i dekoracją otoczenia.

Służą one zresztą Lotiemu tylko za pretekst do wypowiedzenia tej własnej uczuciowości i udzielenia jej czytelnikowi w nieuchwytniej formie marzenia na jawie.

Loti powtarza się równie w treści i kompozycji swych utworów, jak i w uczuciach, które w nich odgrywają rolę przeważną, ale tym ostatnim potrafi on nadać akcenty nowe i tak chwytające, że urok ich nie przestaje oddziaływać na nas zawsze z tą samą siłą.

Podstawą uczuciowości Lotiego jest głęboka melancholia, beznadziejny smutek, wrodzony jego naturze pesymizm, wynikający nie z rozumowania, lecz z poczucia znikomości wszystkiego na świecie, śmierci, w której wszyscy żyjący znaleźć muszą ostateczny koniec, z osobistej obawy nieuniknionego niebytu. To poczucie śmierci jest w myśli jego nieustannie obecnem, wszystko mu ją przypomina: bezmiar morza, mglistość północy, jasne słońce wschodu, gwiazdzista noc na pustyni. Zatrzuwa mu ono najśrodsze chwile miłosnych uniesień, napenia go nieokreślonym niepokojem, którego nigdy pozbyć się nie może. Stąd to pochodzi jego przywiązanie z jednej strony do miejscowości i przedmio-

tów, których trwałość powierzchownego wyglądu, pozornie niezmienna, pozwala mu zapomnieć na chwilę o biegu czasu i zbliżającym się końcu; stąd, z drugiej—potrzeba ciągłej zmiany wrażeń, aby w ciągu krótkiej chwili życia doznać ich jaknajwięcej; stąd też jego kult wspomnień, nieustanna chęć odnowienia uczuć i wrażeń, dawniej doświadczanych, by w ten sposób przywołać do istnienia chwile minione, mieć chociaż złudzenie, że trwać one nie przestały, że czas, który dzieli je od teraźniejszości, nie upłynął, że on sam nie uległ zmianie. Śmierć bowiem nie oczekuje nas tylko na końcu istnienia, ale towarzyszy nam ciągle w życiowej pielgrzymce, z każdą chwilą, która upływa, zabiera nam ona część życia. Każdy wyjazd, każda rozłąka, zapomnienie wreszcie—to śmierć częściowa, która uprzedza ostateczny kres bytu. Loti wybiera zawsze swych bohaterów wśród istot jaknajmniej złożonych, których psychologia jest bardzo prostą, u których uczucia instynktowne lub impulsywne, niehamowane kulturą intelektualną, występują tem wyraźniej, objawiają się z tem większą siłą. Wszystkie jego kochanki z dalekich krain, których uosabiają wdzięki szczególnie, są to takie istoty prymitywne. Niemniej impulsywnym charakterem odznaczają się jego postacie europejskie, jak majtek Jan Berny w „Matelot“ i jego nieszczęśliwa matka, jak Ramuntocho, jak Gand i Sylwester w „Pêcheur d'Islande.“

W „Livre de la Pitié et de la Mort“ swą zdolność wyczuwania smutku i bólu stosuje Loti nawet do istot niższych, do zwierząt, których niedolę wyrazić umie z prawdziwie wzruszającym współczuciem („La Bête galeuse“, „Viande de boucherie“).

W „Pêcheur d'Islande“ i w „Matelot“, arcydziełach jego, których treść nadto jest znana, aby ją trzeba powtarzać, ten smutek bez ratunku, ten ból straszny, trapiący ludzkość, wyrażony środkami najprostszymi, staje się tak głębokim, iż sięga tragizmu.

W „Jerusalem“, Loti, dręczony nieopuszczającym go widmem śmierci, próbuje schronić się przed niem w religijnej wierze w życie pozagrobowe i, aby dawno utraconą tę wiarę odzyskać, udaje się do Grobu Chrystusowego. Ale wszystko, co tam widzi, razi go i odstręcza i gdy wreszcie oczekiwane na górze Oliwnej w naiwnej pretensjonalności objawienie go zawodzi, opuszcza Loti niedostępne dla jego duszy miejsca święte, nie uwolniwszy się od towarzyszącej mu zmory, by znowu (w „Les Désenchantées“) prowadzić dalej po świecie poetyczny swój niepokój.

Ostatnie jego dzieła — „Reflets sur la sombre route“, „Vers Ispahan“, „La troisième jeunesse de Madame Prune“, „L'Inde (sans les Anglais)“, „Les Derniers jours de Pékin“ i wymienione powy-

zej—„*Les Desenchantées*,” choć charakterem swoim zupełnie podobne do dawniejszych, są zawsze równie pociągające i nic z uroku tamtych nie utraciły.

Te nadzwyczajne hallucynacje Lotiego, których czar dziwny przenika do głębi swą bezgraniczną melancholią, są dziełami niepospolitego artyzmu, ale beznadziejny pesymizm, który wydziela się z każdego ich słowa, działać musi rozstrajająco, wywołuje nastrój przygnębiającego smutku i zniechęcenia i wreszcie męczy, jak sen ponętny, a jednocześnie przykry. Szczęściem utwory jego są krótkie, smutne wrażenie, które wywierają, na razie silne, przemija szybko, pozostawiając tylko wspomnienie delikatnego ich wdzięku.

Literatura egzotyczna ma, prócz Lotiego, dość licznych przedstawicieli, którzy pozatem nie mają z nim nic wspólnego. Wyjątek stanowi tu pani Myriam Harry, której „*Passage de Bedouins*,” „*Conquête de Jérusalem*” i „*Petites Epouses*” przypominają jego delikatną manierę.

*

*

*

Wśród młodego pokolenia powieściopisarzy współczesnych, kierunek tradycjonalistyczny znalazł poważnego przedstawiciela w *Henryku Bordeaux*. Zaczawszy od krytyki literackiej, w której starał się przede wszystkim odszukać i zrozumieć uczuciowość autora, jako duszę jego dzieła, sam wkrótce przerzucił się do działalności twórczej. Pojęcie powieści związał on ściśle z przekonaniem o posłannictwie społecznem sztuki i obowiązku pisarza, stąd też wszystkie utwory jego mają za zadanie przeprowadzenie pewnej tezy, którą jest zawsze potrzeba wzmocnienia podstaw moralnych społeczeństwa. W bohaterach swoich stara się on głównie odinalować ich życie wewnętrzne, przyczem subtelnością analizy psychicznej przypomina Bourgeta. Z drugiej strony, równie jak Bazin i Barrès, występuje Bordeaux przeciw dezercyi prowincyi na korzyść stolicy, żąda moralnej i politycznej decentralizacyi, która pozwoliłaby zachować i zużytkować na miejscu wszystkie siły prowincjonalne, z których najlepsze, przy obecnym ustroju, oderwane od pnia rodzimego, najczęściej ze stratą dla całego kraju, przepadają.

Życie prowincjonalne służy też Henrykowi Bordeaux za tło do jego powieści, których osnowy dostarcza mu przeważnie klasa średnia, jako moralnie najzdrowsza, wszelka bowiem zwyrodniałość, tak bardzo wogóle poszukiwana przez innych romansopisarzy, nie zajmuje go wcale. Naprzekór powszechnie przyjętemu zdaniu, że tylko życie występne lub lekkomyślne, ludzie źli i anormalni przedstawiać mogą interesujący temat powieści, postacie Henryka Bordeaux, to zwyczajni ludzie uczciwi, rządzący się prawami honoru i obowiązku, jakich, bądź co bądź, więcej się w życiu spotyka, niż to chce widzieć ogół autorów. Powieści jego nie mają też zbyt zawikłanej intrygi i akcji zewnętrznej, gdyż ogranicza się ona u niego do tych tylko objawów, które, będąc w ścisłym związku z komplikacyami życia wewnętrznego, przyczyniają się do ich wyjaśnienia. Pozatem w kwestyach polityczno-społecznych, które porusza, Bordeaux jest przeciwnikiem rewolucyi i wszelkich gwałtownych wywrotów, potępia zasadę powszechnego głosowania, która, dając przewagę liczbie nad wartością, ułatwia rękom szalonym i niegodnym pochwycenie steru spraw narodowych; podnosi znaczenie społeczne rodziny, która jest źródłem siły moralnej narodu, wyrazem solidarnego związku przeszłości z przyszłością i skarbcem, w którym przechowują się cnoty rasowe; ostrzega przeciw zamachom na jej całość, których dopuszczają się w ostatnich czasach systematycznie przez podkopywanie jej powagi zwyrodniałe i obłąkane umysły. W pierwszej powieści swej „Le Pays natal,” ukazuje Bordeaux zbawienny wpływ atmosfery rodzinnego kraju, która z człowieka, zmierzającego ku pochyłości w odmęcie paryskim, czyni jednostkę pożyteczną, powracając mu poczucie i zrozumienie obowiązku. W powieści „La Peur de vivre,” która jest dotąd najwięcej charakterystycznym jego dziełem, wypowiada walkę toczącej obecnie francuskie społeczeństwo chorobie, powstałej z ciasnego egoizmu, a objawiającej się przez „obawę życia,” t. j. unikanie za wszelką cenę wszystkiego, co w życiu przedstawia jakieś ryzyko, niebezpieczeństwo, co wymaga walki, odpowiedzialności, poświęcenia, byle tylko mieć spokój osobisty, choćby z ograniczeniem własnych dążeń, nadziei i ambicij, wyrzeczeniem się szerszych widoków. Taka choroba, to uwiad, wycieńczenie i zatrata sił życiowych, którą dotknięty naród, skazanym jest na zagładę. Ale taż sama choroba, pochodząca z tej samej moralnej ułomności—egoizmu, przybiera też charakter pozornie przeciwny, objawia się w działalności gorączkowej, w podwojeniu energii i wysiłku, lecz znowu cała ta działalność, to rozwinięcie energii jest w rezultacie tylko prózną stratą

sił ze szkodą dla społeczeństwa, bo celem tych wysiłków jest li tylko egoistyczne użycie osobiste, również za wszelką cenę i z uchyleniem się od obowiązków względem drugih. Kto zaś uchyla się od tych obowiązków, ten przez zerwanie solidarności społecznej, która spaja organizm narodowy, wprowadza doń rozstrój i rozprzężenie—pierwiastki anarchii, wiodącej go do zguby.

Życie złożone z trudów, pracy, walk, poświęceń i wyrzeczeń, nie dla celów osobistych, jest dopiero życiem dobrze wypełnionem i obowiązującym wszystkich. Oto idea przewodnia tej powieści. Idea ta, stara jak świat, będąca podstawą nie tylko moralności chrześcijańskiej, lecz wszelkiej kultury ludzkiej, która bez tej zasadniczej solidarności istniećby nie mogła, widoczna zresztą nawet u zwierząt w instynkcie stadnym, mogłaby łatwo wydać się komunałem w tezie romansu, gdyby nie to, iż tak ją zapoznano i w życiu i w literaturze, że zbudowano nawet sprzeciwiające się jej systemy filozoficzno-etyczne, które we Francyi znalazły, zwłaszcza w literaturze, entuzyastyczne przyjęcie. Henryk Bordeaux miał tedy zasadę przypomnieć współczesnym, iż są na błędnej drodze, jak to uczynił w przedmowie do „*La Peur de vivre*.”

Mieć wolę własną, umieć i chcieć życiu zajrzeć w oczy, jest niezbędnem nawet młodej panience. Alicya Dulaurens, która tej woli nie posiadała, jest nieszczęśliwą, gdyż, ulegając życzeniu matki, zamiast słuchać głosu serca, poszła za człowieka, którego nie kocha.

Z drugiej strony powieść ta przedstawia historię rodziny Guibert, której wszyscy członkowie rozumieją prawdziwe zadanie życia, są uzbrojeni w siłę woli i energię do walki z przeciwnościami, potrafią poświęcić interesa własne dla uratowania jednego z braci od ruiny, a nadewszystko ukazuje pięknie scharakteryzowany portret matki, umiejącej kochać swe dzieci bez egoizmu, poświęcającej się dla ich szczęścia, przynajmniej ze spokojnym i naturalnym heroizmem wszystkie ciosy, które ją dotykają.

Te same zasady i idee przyświecają też innym jego utworom—odnajdujemy je w „*La voie sans retour*,” w „*La petite Mademoiselle*,” w „*Les Roquevillard*,” w „*Les Yeux qui s'ouvrent*,” równie jak w nowelkach: „*L'amour en fuite*,” „*Une honnête femme*,” „*Le paon bleu*,” „*L'Ecran brisé*,” „*La Maison maudite*,” „*La jeune fille aux oiseaux*,” „*La Visionnaire*.” Jedna tylko powieść jego „*Le Lac Noir*” ma charakter nieco różny. Jestto historia nadzwyczajna, chociaż oparta na faktach rzeczywistych, procesu, przeprowadzonego w Sabaudyi, w pełni XIX-go wieku, którego głównym motywem są czary i praktyki demoniczne. Książka ta

zawiera ciekawe studjum w tym zakresie i daje bardzo interesujący obraz obyczajów ludności sabaudzkiej, a jednocześnie charakterystykę miejscowego sądownictwa.

W konkluzji dochodzi autor do wniosku, że kary tortur i śmierci, na które skazywano niegdyś oddających się czarom, co jest przyjętem obecnie uważać, jako barbarzyński przesąd, miały zasadę w tem, że owi czarownicy dopuszczali się wogóle potwornych zbrodni, do których czary były pretekstem i pokrywką.

Styl Henryka Bordeaux jest staranny, równy, potoczysty i harmonijny, z czego niektórzy czynią mu zarzut monotonii — język zawsze poprawny, aż do wytworności, nawet w opisach scen pospolitych.

Prócz wyżej wymienionych utworów, Henryk Bordeaux jest autorem powieści, osnutej na tle wieku XVIII-go, p. t. „Jeanne Michelin, chronique du XVIII-e siècle,” oraz prac z zakresu krytyki literackiej — „Villiers de L'Isle Adam,” „Ames modernes,” „Sentiments et idées de ce temps,” „Les Ecrivains et les moeurs,” „Vies intimes,” „Pèlerinages littéraires.”

*

*

*

Prawdziwem przeciwieństwem powyższego jest, jako powieściopisarz, *Henryk de Régnier*. Tezy, która u tamtego gra rolę pierwszorzędną, w powieściach Henryka de Régnier niema wcale — uprawia on sztukę dla niej samej, bezinteresownie, nie oddając jej na usługi żadnych tendencyj społecznych, moralnych czy humanitarnych, romans jego tedy, powstały z potrzeby tworzenia, z temperamentu autora, interesuje sam przez się, nie zaś dla kwestyj ogólnych lub jakichkolwiek ideałów, wychodzących poza jego ramy. Romans, jako twór wyobraźni człowieka, jest dziełem sztuki, wartość jego przeto znajdować się powinna w nim samym, a nie we względach obcych mu i postronnych. Henryk de Régnier jest przede wszystkim poetą, działalność swą literacką zaczął od poezyi, w której zakresie, jako jeden z promotorów symbolizmu i reformatorów prozody, a niemniej dzięki oryginalnemu talentowi swemu, zajął miejsce pierwszorzędne. Pierwszym utworem, które napisał prozą, nadał formę powiastek (contes), w których stylu sztucznym i skrępowanym znać, iż autor nie uwolnił

się jeszcze dostatecznie od wpływów mowy wiązanej. Te powiastki stanowią w rozwoju jego twórczości przejście od poezyi wierszowanej do romansu. Zamykają się one w seryach, zatytułowanych: „Contes à soi-même,” „Le Trèfle noir” i „La Canne de jaspe,” oraz „Le Trèfle blanc.” Akcyę swych powieści umieszcza p. de Régnier przeważnie w wieku XVIII, lubując się w jego swawolnej rozwiązłości, w smaku chorobliwie wytwornym. w bogactwie i przepychu dekoracyi. W stylu lekkim, łatwym, żartobliwym i wykwintnym tych powiastek, wzorowanym na pisarzach XVII i XVIII w., niema już tego przymusu pierwszej jego prozy.

W romansie „La Double Maîtresse,” od którego datuje się sława powieściopisarska Henryka de Régnier, główną ośnowę stanowi dziwna w pomyśle historia niejakiego p. Mikołaja de Galandat, wychowanego przez matkę w ścisłej nieznajomości porywów zmysłowych, wskutek czego zachował na całe życie w rzeczach miłości szczególną obawę i nieśmiałość, która nie pozwalała mu zadowolnić swych pożądliwości. Przyczyniło się do tego zwłaszcza wydarzenie, które go spotkało w pierwszej jego młodości — skuszony przez piękną kuzynkę swą Julię de Maussenil, trzymał ją już w objęciach, gdy niespodziane zjawienie się pani de Galandat i otrzymany od niej policzek rozdzielił ich gwałtownie i wstrząsnął do głębi jego systemem nerwowym. Gdy po latach znalazł się w Rzymie i ujrzał tam przypadkiem kobietę, której poza przypominała mu pamiętną scenę, uległ jej urokowi do tego stopnia, iż stał się niewolnikiem ładacznicy i doszedł do ostatnich granic upodlenia. To jest wątek główny tej powieści, zawierającej nadto wiele innych motywów, które z tamtym pozostają w mniej lub więcej luźnym związku, posiadającej muóstwo postaci ciekawie scharakteryzowanych, opisów, obrazów i epizodów, łączących w sobie wdzięk i artyzm z cynizmem i rozwiązłością.

„Le bon plaisir,” powieść na tle ostatnich lat panowania Ludwika XIV, jest napisaną w stylu pamiętników, nieposiada prawie żadnej intrygi, lecz składa się z szeregu anegdot i portretów epoki, którą odtwarza z wybornem odczuciem ducha i charakteru tych czasów. Jako zakończenie, umieścił autor przy tej powieści zręczną przeróbkę oryginalnego pamiętnika z owej epoki niejakiego pana de Collarceaux.

„Le Mariage de minuit” jest powieścią współczesną, ale w stylu i charakterze bardzo podobną do poprzednich, ma wszystkie ich zalety z dodatkiem uczuciowości głębszej, wielkiego pocucia poezyi, przepięknych obrazów Wenecyi, w której kocha się p. de

Régnier, rysów satyrycznych w charakterystyce licznych postaci, oraz szczegółów mocno realistycznych.

„Les Vacances d'un jeune homme sage,” to znowu historia współczesna młodzieńca, który, dzięki przystępnym wdziękom kuzynki, dwudziestoletniej wdowy, poznaje miłosne uniesienia. Rzecz ta przedstawia z prawdziwym i szczerem wdziękiem niezręczne jeszcze objawy pierwszych porywów temperamentu nowego, w których budząca się z niepowstrzymaną siłą zmysłowość idzie w parze ze świeżą w swej naiwności młodzieńczą uczuciowością.

Powieść „Le Passé vivant,” po „La Double maîtresse,” najwięcej charakteryzuje talent i indywidualność twórczą Henryka de Régnier w tym zakresie. Treść jej osnuł autor na tej myśli, że w potomkach odbijają się nietylko pewne rysy fizyczne lub duchowe przodków, ale niekiedy całkowita osobistość moralna i fizyczna jakiegoś przodka obiera sobie jednego z potomków, aby wcielić się na nowo w jego postać i uczynić z jego życia przedłużenie życia własnego. Bohater powieści „Le Passé vivant,” znalazłszy w archiwach rodzinnych korespondencję miłosną swego pradziada z panią sąsiedniego zamku, z którą śmierć na polu bitwy przeszkodziła mu się połączyć, dochodzi do przekonania, iż w nim to właśnie odżył ów pradziad. Odtąd żyje on życiem podwójnem i czuje, że tajemnicza siła uczuć i namiętności tamtego popycha go do wypełnienia jego niezaspokojonych pragnień przez połączenie się związkiem miłosnym z prawnuczką jego narzeczonej, którą uważa również za wcielenie jej prababki. To nie przychodzi mu z łatwością, pomimo wzajemnej i, jak chce autor, dziedzicznej ich skłonności—panienka idzie za mąż za innego i dopiero przy sposobności przypadkowej, którą spowodowała burza, gdy oboje schronili się w grocie parku, pragnienia przodków znajdują spełnienie w ich miłosnym uścisku. Ale po dopełnieniu przeznaczenia swego podwójnego życia dalsze istnienie wydaje się prawnukowi niepotrzebnem, podpala więc zamek rodowy i znika bez wieści, by odebrać sobie życie w miejscu, gdzie padł jego przodek.

Treść tego romansu, równie jak i poprzedniej powieści „La Double maîtresse,” jest wytworem nieco chorobliwej wyobraźni, ale wartość jej polega znowu głównie na tle artystycznym, na którym się rozwija i na opisach, oraz epizodach dodatkowych. Autor prowadzi tu znowu czytelnika do ulubionej przez się Wenecyi XVIII-go wieku, dając mu odczuć jej ducha szczególnego i pełną dziwnego uroku poezję i zmusza do podzielania własnych predylekcyj i entuzjazmów.

Dzieła Henryka de Régnier ze względu na swą formę niezmiernie wytworną, styl jasny, przezroczysty i, pomimo charakteru „rococo”—oryginalny, bo przetopiony w ogniu własnego temperamentu, stawiają tego autora, obok Anatola France, w rzędzie twórców odrodzenia klasycznego.

*

*

*

Jeśli o paru poprzednich pisarzach wypadło nam powiedzieć, że nie dają się zaliczyć ściśle do żadnego ze współczesnych kierunków literackich, ani rodzajów romansu, to zato znajdują się inni, których twórczość obejmuje jednocześnie wszystkie te kierunki i rodzaje.

Do takich należy *Paweł Adam*, powieściopisarz o talencie przechodzącym zwykłą miarę, płodności nadzwyczajnej, rzecz można — zbyt wielkiej, która dziełom jego, już nieco chaotycznym w swem założeniu, nadaje pewne cechy pośpiechu improwizacji. Te właściwości Pawła Adam, przy nader przenikliwym darze obserwacji, plastyce żywej jego postaci, oraz jego dążenie do scharakteryzowania społeczeństwa francuskiego pewnej epoki pozwoliły krytyce (Rémy de Gourmont) porównać go do Balzac'a.

Jak już zauważyliśmy, twórczość Pawła Adam odbija w sobie wszystkie prądy literackie ostatnich czasów — był on z kolei naturalistą, psychologiem, filozofem, mistykiem, symbolistą, socjologiem, a właściwie jest tem wszystkim naraz. Ta wszechstronność, równie jak i nadmierna płodność, nie wychodzi na korzyść dzieł jego, które, gdyby były więcej skoncentrowane, staranniej i spokojniej opracowane, zyskałyby tylko na wartości, jaką ma zresztą zapewne już talent prawdziwy i niepospolity, ale wybujały, niby dzika roślinność stepów; wyobrażenia niczem niehamowana, buchająca fantazją i siłą, pociągająca, a nawet porywająca czytelnika, lecz unosząca też samego autora, który, nie mogąc jej opanować, pędzi wraz z nią, jak wichur, traci niekiedy grunt pod nogami i gubi się w przestworzach. Styl jego, równie jak treść, improwizowany, zadziwia nowością i oryginalnością wyrażenia, ale odznacza się taką samą niejasnością, brakiem spójni, pośpiechem, sztuczną napuszystością, a nadto nie zawsze liczy się z wymaganiem składni (jak twierdzi p. Ernest-Charles).

Dziełem głównem Pawła Adam jest jego tetralogia—„La Force,” „L'Enfant d'Austerlitz,” „La Ruse” i „Le soleil de Juillet”—która zawiera epopeę społeczeństwa francuskiego od Rewolucyi do Monarchii Lipcowej i odtwarza w świetnych obrazach bijące tak przyspieszonym tętnem życie tego nadzwyczajnego okresu, pełnego zmian i niespodzianek, wśród których urobiła się umysłowość obecna francuskiego narodu.

Prócz tego dzieła o niezwykle szerokim widnokręgu, Paweł Adam jest autorem bardzo wielkiej liczby powieści. Szereg ich rozpoczyna „Chair molle.”

Pierwszy ten utwór, który w swoim czasie (w r. 1885) wywołał skandal, zwrócił nań uwagę ogółu już przez to samo, że autor powieści skazanym został na 15 dni aresztu i tysiąc franków kary. Niemniejszą sensacyę sprawiła fantastyczna jego powieść „Le thé chez Miranda.” Te dwie pierwsze powieści, wraz z kilkoma innemi następnemi, należą do kierunku naturalistycznego; dopiero z powieścią „Être,” osnutą na tle stosunków feodalnych wieku XIV, w której tajemniczy okultyzm średniowieczny odgrywa pierwszorzędną rolę, przerzuca się Adam do symbolizmu.

„Être,” „l'Essence de Soleil” i „En Décor” stanowi trylogię, zatytułowaną „Volontés merveilleuses.”

Późniejsze powieści Adama przedstawiają charakter najróżnorodniejszy — są więc wśród tych utworów satyry, idylle, epopee historyczne i socyologiczne, powieści autobiograficzne (jak „Images sentimentales”) i t. p. Jest prócz tego Adam autorem prac historycznych—„Histoire de Byzance” i „Histoire de la Papauté,” oraz utworów dramatycznych—„L'Automne” (wspólnie z Gabryelem Monrey), „Le Cuivre” (z Andrzejem Picard) i „Les Monettes”—tę ostatnią sztukę grano z wielkiem powodzeniem w Komedyi Francuskiej w r. 1906.

Paweł Adam w twórcach swej wyobraźni kieruje się koncepcją syntetyczną, charakteryzuje całe epoki, umie po mistrzowsku poruszać wielkie masy, wybornie odczuwa ducha i nastroje tłumów. W ideach jego znać wpływy Nietzschego i Nordauna—tendencye dość sprzeczne — z przewagą krańcowo indywidualistycznych, a nawet anarchistycznych.

ORWID.

Pod osłoną literatury.

I.

„Nigdy chyba mniej nie było w teatrze literatury, jak pod tym literackim kierunkiem.“ Tak się ktoś odezwał, charakteryzując ubiegły trzymiesięczny okres życia dramatu i komedyi na tutejszych scenach rządowych. Te słowa, wyrzeczone przez jednego z naszych wybitniejszych artystów dramatycznych, wyglądałyby na sarkazm, wyjaskrawiony jakąś złośliwą, odwetową tendencją, gdyby nie zawierały, niestety, całkowitej, może nawet zbyt powściągliwie sformułowanej, prawdy. Bo nie o samą literaturę tu chodzi, ale o całą zwierchniczą dyrektywę artystyczną, sprawowaną ze zdumiewającą nieudolnością, z niepojętym w prowadzeniu repertuaru brakiem krytycyzmu, z tępą dla wyższych zadań sztuki obojętnością; idzie, słowem, o to wszystko, co się w teatrze dzieje pod osłoną literatury, na jej wyraźną szkodę; co poprostu kompromituje samą ideę kierownictwa literackiego; co wreszcie spiętrzy niewątpliwie mnóstwo trudności na drodze najrzetelniejszych usiłowań przyszłych kierowników, jeżeli wogóle literat poważny zechciałby jeszcze kiedy stanąć u steru sceny dramatycznej warszawskiej.

Oczywiście, że gdy mowa o zdyskredytowaniu dyrektywy literackiej, trzeba jasno określić stosunek publiczności, krytyki i sfer urzędowych do takiego opłakanego wyniku. Publiczność, krytyka, może się czuć boleśnie upokorzona tem sponiewieraniem wobec kancelaryjnych rządów literackiego hasła; ale sfery oficjalne, rzucając nam nawet Molierowskie *tu l'as voulu George Dandin*, zapytując, nie bez ironii zapewne: „czegoż jeszcze chcecie, wszakże macie w teatrze literata, o którego dopominaliście się tak

gwałtownie—więcej prawdopodobnie myślą o utrzymanej szczęśliwie własnej placówce, aniżeli o zadawaniu zbyt dotkliwych ciosów ostrzem szyderstwa. Istotnie, biurokracja teatralna wytworzyła sobie obecnie dość wygodną pozycję: w rzekomej supremacyi literatury ma gotową wymówkę i pod jej egidą czuje się tak pewną siebie, jak na szerszej, politycznej arenie, pozostała wszechwładną przy urojonem współdziałaniu „sił społecznych.“ Że w danym wypadku rolę „posłusznej Dumy“ odgrywa literatura, to naturalnie smuci tych tylko, którzy w niej ratunek dla upadającego teatru polskiego upatrywali; „kancelarya“ jest z takiej sytuacji zadowolona i może nawet z pewnem zdziwieniem powtarza: „powiedźcież nareszcie, czego właściwie chcecie?“

Próbowano już w prasie odpowiedzieć na to pytanie: Adolf Nowaczyński postawił ideał „dramaturga,“ p. Wacław Grubiński wypowiedział, jak pojmuje doskonałego „reżysera.“ Pierwszy zakończył swój szkic słowami: „wszystko to już i w najbliższej przyszłości być może... jednakże ja to między bajki włożę;“ drugi nazwał postulaty swoje „pobożnemi życzeniami.“ I to jest, wobec rozpaczliwej sytuacji naszej sceny dramatycznej, słabą stroną obu, po akademicku ujętych odpowiedzi; to dostarcza łatwych argumentów zainteresowanym u nas w utrzymaniu obecnych stosunków teatralnych.

Kiedy Nowaczyński głosi, że „zwycięstwem kultury w teatrze, jest całkowite wyparcie z niego żywiołów, żądających i zaspokajających ludowy głód *circensów*, a uwzględnienie tylko pierwszego domagania się ludu, t. j. *panem*, w sensie chleba duchowego, niezbędnego w procesie przerobienia pstrego motłochu na myślącą publiczność“—trzeba mu obiema rękami przyklasnąć. Kiedy woła o „separację sztuki *pańskiej*, dojrzałej, z instynktów całego społeczeństwa płynącej, zatem narodowej, od sztuki cyrkowej, antyspołecznej kosmopolitycznej“—należy mu ze wszystkich sił wtorować. Kiedy w teatrze, „przekształconym na parlament posłów wszelkiego Piękną, na świątynię z ołtarzem, na którym Królowi-Duchowi niezwykłej niczem rasy składają się hołdy uroczyste, chce mieć Dramaturga, „symbolizującego *uobywatelnienie* teatru,“ i na to zaszczytne stanowisko powołuje „męża pochodzenia literackiego, uwierzytelnionego ambasadora literatury,“ który odda Warszawie prawdziwego Słowackiego, autentycznego Wyspiańskiego, wszystkich zaniedbanych dotąd poetów polskich i obcych, „a nawet sięgnie do starej Hiszpanii i do starej Anglii“—można tylko skwapliwie podążać za temi aspiracyami autora „Cara Dymitra.“ Kiedy wreszcie życzy dramatowi war-

szawskiemu, żeby takim Dramaturgiem był „człowiek zdrowy, jak rydz, hartowny, jak stal, chytry, jak lis, systematyczny, jak Franciszek Józef, oparty na współdziałaniu całej prasy, obywatel Europy, do Warszawy serdecznie przywiązany i w jej przyszłość kulturalną silnie wierzący“ — wypadnie z nim razem zawołać: „Królestwo za takiego!“ Gdy znów p. Wacław Grubiński, gubiąc chwilami w swoich wywodach subtelne z natury linie demarkacyjne między „dyrektorem“, „dramaturgiem“, a „reżyserem“, szuka w idealnym reżyserze „wizyonera“ i żąda od niego, aby umiał brać w siebie z treści dramatu „nie sytuacje i słowa — bo te są tylko środkami i narzędziami — lecz płynącą z niej muzykę uczuciowego nastroju, najgłębiej pojętą ocenę życia, jaka za sytuacjami i dyalogami tętni w danem dziele, niby krew w żyłach;“ gdy żąda od niego, by tę jedynie prawdziwą treść narzucił widzom mocą swej przyrodzonej zdolności nadawania wizjom plastyki scenicznej — można z usprawiedliwioną niecierpliwością wyglądać zjawienia się w naszych teatrach takiego reżysera. Ale kiedy zarówno Adolf Nowaczyński, jak p. Wacław Grubiński, sami akcentują nieziszczalność u nas swoich postulatów, to nie dziwny się obrońcom błogosławionego *status quo*, obrońcom z „biura“ i z za kulis, jeżeli wzruszając ramionami, z pobłażliwym przeświadczeniem o swej „zawodowej“ kompetencji, konkludują: „to wszystko ma, mniej więcej, takie samo znaczenie, jak znany paradoks Eleonory Duse, głoszącej, że dla ocalenia teatru, trzeba teatr zburzyć i wzdychać żeby wszyscy aktorzy poumierali na zarazę, bo zatrują atmosferę, uniemożliwiają Sztukę, grając, zamiast Dramatu, *sztuki* dla teatru;“ albo też zasługuje na takie potraktowanie, jak fantazmaty Gordona Graiga, który, rugując z teatru Słowo, szuka dla „sceny przyszłości“ namaszczonego przez Isadorę Duncan sprzymierzeńca... w tańcu, a tymczasem uprawia pantominę z... „drewnianemi lalkami.“

Otóż takiej broni nie trzeba dawać do ręki biurokracji administrującej, ani grającej; i dla tego należy jasno określić charakter tej. przewidywanej nieziszczalności, odgraniczywszy ściśle to, co jest w niej niemożnością, od tego, co jest niechęcią lub niezaradnością i, nie zapominając ani na chwilę o fatalnych warunkach, wśród których i teatr, razem z całym duchowem naszym bytowaniem, przeżywa także swoją tragedję, — zmierzyć przede wszystkim napięcie obu tych czynników rozkładowych. Znamy już wszyscy historję owej „niemożności“, przedstawioną na tem miejscu w najgłówniejszych i najcharakterystyczniejszych jej momentach; wiemy, jak w rezultacie uwięziła teatr w urzędniczej

ciemnicy, gdzie omdlewają bez powietrza i światła kwiaty wszelkich zapragnień i ideałów. Nie jest też dla nikogo tajemnicą, że około tych kwiatów nie umieją, czy nie chcą chodzić ci, którzy właśnie do pielęgnowania ich zostali powołani i którzy powinni uznawać za obywatelski wprost obowiązek czuwanie nad zwątląłymi i blizkimi zupełnego uwiadu roślinkami. Jestto zatem sytuacja, wymagająca pilniej może, ażebyśmy oświadczyli, „czego nie chcemy,“ aniżeli zajmowali się snuciem marzeń na temat, „czego chcemy.“

Miejmy więc odwagę, nie krępując się względami korporacyjnymi, powiedzieć, że nie chcemy kierownictwa literacko-artystycznego, wytwarzającego warunki, w których literatura służy za szyld do sklepiku, gdzie sprzedaje się wszelka tandeta; nie wahajmy się przypomnieć z naciskiem, komu należy, że ta literatura nie po to stanęła na scenie polskiej w roli odnowicielki, żeby dostojnością swoją pokrywać rządy zdecydowanego niedołęstwa i szkodliwych kompromisów. Powiedzmy otwarcie, że ta wielka Pani nie ma nic do czynienia w anarchicznych stosunkach, zatrutych podwójnym jadem biurokracyi i kabotyneryi, jeżeli jej nie dano władzy oczyszczenia stajni Augiasza i rozpalania na wyżynach sztuki uzdrawiających atmosferę ognisk artystycznych; że nie dla niej miejsce tam, gdzie przedstawienie jednoaktówki francuskiej poprzedzają blagierskie zapowiedzi dyplomatyczno-politycznych manifestacyj; gdzie do repertuaru oryginalnego wciska się niewiadomo jaką furtką krytyczną sztuka operująca kuglarstwami angielskiej pantominy akrobatycznej; gdzie zabiega się więcej o gromadzenie statystów i statystek, aniżeli o kompletowanie grającego zastępu; gdzie niepotrzebne zgoła nabytki deptać sobie będą po piętach w jednym i tym samym fachu ról męskich, gdy jednocześnie luki w personelu kobiecym wypełnia się występnymi niezdarnymi debutantkami; gdzie, słowem, nikt nie myśli o jutrze, a dniem dzisiejszym po dawnemu rządzi wszechwładnie oficjalny nakaz, lub, w najlepszym razie, traf ślepy. Nie cofnijmy się wreszcie przed powtórzeniem literatowi tego, co się nieraz na tem miejscu rzekło aktorom-kierownikom: że dość już długo w teatrze „niemożność“ służyła za wymówkę nieudolności lub ugodzie; że niema tak złej sytuacji, w którejby dyrektywa energiczna, sprężysta, oparta na gruntownej wiedzy i na charakterze, nie potrafiła znaleźć pola do twórczej inicjatywy; że w najgorszych warunkach, kierownik, traktujący swoje zadanie na serio, ceniący powagę swego stanowiska wyżej, nad tytułarny, zakulisowy dygnitaryat i przeświadczony o własnej, moralnej niezależności,

którą dostatecznie zabezpiecza każdochwilowa swoboda złożenia swoich obowiązków na czyjeś giętsze barki, że taki dyrektor zdoła zawsze tchnąć w repertuar jakieś młodsze życie, zgromadzić koło siebie wybitniejsze siły artystyczne i powiewem świeżego powietrza rozproszyć miazmaty rutyny, gnuśności i bezwładu. Powiedzmy to wszystko i dodajmy konkluzję, że nie chcemy patrzeć na spadanie do niższego jeszcze, niż dotychczasowy, poziomu, pierwszej niegdyś, sceny polskiej, która staje się w naszych oczach jakąś „szkółką aplikacyjną” dla wszelakiego grafomańsko-komedyanckiego amatorstwa. Jeżeli zaś „tego upadku nic już nie powstrzyma”—jak się podobno miał wyrazić obecny kierownik dramatu i komedyi — jeżeli stoimy istotnie w przededniu katastrofy, to niechże sterujący sceną — osobliwszy, zaprawdę, w swym sceptycyzmie przedstawiciel literatury — nie solidaryzuje jej z racji swego przedstawicielstwa z tymi, którzy katastrofę przez szereg lat przygotowywali, ani też z własną, niefortunną działalnością. Niech raczej rozważy, że gdy wobec postawionego przez panujące stosunki dylematu: *se soumettre ou se demettre*, na nic się nie zdało spełnienie pierwszej jego połowy, pozostaje tylko druga: — *se demettre*.

I to jest najprostsza, najnaturalniejsza odpowiedź nasza na rzucane nam przez „sfery” ironiczne pytanie: „czegoż nareszcie chcecie?”

II.

Przykład jest jednak zaraźliwy. Zdawałoby się, że trudno skromniejsze wyrazić życzenie, a przecież, żyjemy w czasach, kiedy i takie spokojne, umiarkowane, zrównoważone pragnienie, wypadnie także „między bajki włożyć.” Przestańmy więc na chwilę mówić o tem, czego nie chcemy, lub o tem, czego żądamy, a rozejrzyjmy się w tem, co jest, co nam się przedstawiło „pod osłoną literatury,” w ciągu ubiegłych trzech miesięcy. Przedewszystkiem zobaczmy, kto przez ten czas miał istotnie tytuł do przystrojenia się tą osłoną, wchodząc do repertuaru dramatu i komedyi.

Przeglądam ubogą nad wyraz treść tego repertuaru i w chwili, gdy to piszę, pod koniec marca, widzę, że z takim tytułem wystąpić może tylko... cudzoziemiec Oskar Wilde i to pod warunkiem, że patrząc na tę osłonę literatury, nie zatrzymamy oczów na starych, zmiętych, wyszarzanych, teatralnych draperyach Wi-

ktoryna Sardou, w które odział się „Idealny mąż“ (właściwiej było użyć w tłumaczeniu wyrazu „małżonek“), lecz śledzić będziemy rozciekawionym wzrokiem zmienność barw, migotliwość blasku rozsianych między banalnymi fałdami — paradoksów. Niestety, i tu nie obejdzie się bez zastrzeżeń i tu trzeba będzie przypomnieć, że nie wszystko złoto co się świeci, że opalizacja kolorów i mruganie iskier w tych klejnotach nihilistycznego dowcipu, jest często grą łudzącej imitacji, wydobytą ze świecideł wątpliwej wartości. Czasem ogień drogocennych brylantów, niekiedy błyski szychu i szkiełek.

I podobno inaczej być nie mogło.

Paradoks jest królestwem takich indywidualności jak Oskar Wilde, Bernard Shaw, którzy w nim jednak o tyle tylko królować mogą, o ile poczuja się w atmosferze anarchii duchowej i moralnej. Paradoks jest dla nich rewolucją prawdy, szukającej sobie nowych dróg i tkwi w nim też zawsze jakiś atom prawdy, oderwany ręką przewrotowca od ustalonych stosunków. W tem oderwaniu właśnie Wilde i Shaw czują się u siebie, a obu rosną skrzydła do swobodnego, niczem nie krępowanego lotu po szlakach, gdzie prawda, wyglądająca jak kłamstwo, a kłamstwo, podobne do prawdy, nęca ich swoją kameleonową postacią. Czytajmy „Dyalogi“ Wilde’a: jaka w nich strzelistość paradoksów, rozsypujących się w obłokach fajerwerkowemi bukietami różnobarwnych iskier, które spadając, przez jedno mgnienie oka oświetlają w osobliwszym kolorycie jakiś ciemny zaułek natury ludzkiej. Ile w nich prężności w górę ku wyżynom Piękna, w dół ku brzydocie Życia, ile rozpędu we wszystkie strony, gdzie żadna więź społeczna nie hamuje myśli, rozbujanej między wyzwoleniem i swawolą, ani uczucia, przerzucanego od sentymentu do chuci!

Tak — ale to są „Dyalogi o Sztuce;“ co innego, gdy chodzi o dyalogi „w sztuce,“ i to teatralnej. Bernard Shaw ma wtedy korzystniejszą pozycję: jest socyalnym demokratą; jego paradoksy, wybuchając z anarchiczną siłą w warowniach „istniejącego porządku,“ podniecają do obrony przeciwnika żywego; to co w ideowym boju mówią do siebie walczący, równą mu z obu stron wagę, a tryskają z tego starcia błyski komiczne, lub dramatyczne, które na deskach teatru nadają nawet wywróconym na nice wartościom społecznym, chwilowe pozory życia. Inaczej z Wilde’em. Jego arystokratyczny anarchizm dba przedewszystkiem o własny, wytworny gest; a rozmiłowany w Pięknie, które istnieje samo dla siebie, ignoruje wszystko, co mu się w uświęconych stosunkach ludzkich wydaje jednym, niewolniczym łańcuchem szkarady. Nie

raczy więc, rzucając paradoksy, wyzywać antagonisty; nie istnieje dla niego nawet protagonista; lubi mówić sam i nie słuchać tego, co mu ktoś odpowiadać będzie. Jest coś chamskiego w paradoksach Bernarda Shawa, który skwapliwie zstępuje w tłum i chętnie z *mobem* mieszczańskim bierze się za bary. Jest coś pańskiego w paradoksach Oskara Wilde, który ma wstręt arystokraty do wszystkiego, co mu w sferze myśli uprzytomnia „ulicę,” który więc z największą rozkoszą uprawia — monologi.

Otóż monologami na scenie, zwłaszcza dziś, nie daleko się zajdzie. Czuł to dobrze Wilde i ślady tej świadomości znać bardzo wyraźnie w jego dyalogach teatralnych. Nie brak w nich paradoksów, które jednak często sprawiają wrażenie robionych na efekt conceptów. Oczywiście, że kiedy wypadnie te paradoksy zaczepić nie o motywy artystyczne, nie o zagadnienia Sztuki, ale o wypadki codzienne, o sytuacje powszednie, bodaj z intencją stworzone, nie można lekceważyć ludzi, których się na nogi postawiło, trzeba namyśleć się nad tem, co ktoś inny ma powiedzieć, żeby wywołać paradoksalną odpowiedź. Ten namysł widoczny jest, często zbyt widoczny w dyalogach Wilde'a. Pękające w nich ognie sztuczne wyglądają niekiedy jakby zapalane... *pour épater le bourgeois*. Do takiego celu zdają się zmierzać widocznie z góry uplanowane momenty konwersacyjne, zwłaszcza w „Idealnym mężu.”

Trudno się temu dziwić, jeżeli się bierze w rachubę pasyę paradoksalną Wilde'a. W sytuacyjnej kanwie tej komedyi, mało jest miejsca na egzotyczne arabeski Sztuki; atmosfera salonu, ulubionej mównicy wyrafinowanego nihilisty, tak jest przesyciona zapowiedziami najpospolitszego dramatu, że gaśnie tam wszelka pirotechnika urzędowego w nim rezonera. W jakim kierunku puszczać ma race swej genialności wcielony w wicehrabiego Goringa Wilde, jeżeli złożył sobie dobrowolnie audytoryum z nieistniejących figur w rodzaju wicehrabiego de Nanjac, attaché ambasady francuskiej w Londynie, lady Markby, hrabiny Basildon, lub pani Marchmont? Mógłby wprawdzie mówić sam—co bardzo lubi, jak to już zaznaczyłem — ale ci państwo wolą zajmować się sprawami swoich bliźnich, aniżeli słuchać lorda Paradoxa. A poza nimi któż pozostaje wicehrabiemu Goringowi? Chyba własny jego ojciec, sir Coversham, wspaniały typ zakonserwowanego marmuta londyńskiej *gentry*. I oczywiście Wilde nie odmawia sobie uciechy uderzania w sofistyczne rozdźwięki, przy każdym spotkaniu syna z ojcem. Tylko błyskotliwość tych dyalogów nikogo nie oszuka: każdy zdaje sobie sprawę z ich techniki, obliczonej

na to, żeby ojciec dawał synowi tematy do paradoksów. Nie może niemi wojować Goring z przyjacielem swoim, sir Robertem Chilternem. Ten ma o czem innem do myślenia: wisi nad nim groźba katastrofy moralnej, uosobionej w intrygantce à la Dora, w pani Cheveley, posiadającej jego list własnoręczny, który stwierdza, że Chiltern, dzisiejszy podsekretarz stanu w ministerjum spraw wewnętrznych, sprzedał ongi, jako młodzieniec, za grube pieniądze tajemnicę urzędową i na takim fundamencie oparł dalszą swoją karierę. Na nic się też Goringowi nie przydadzą paradoksy wobec Mabel Chiltern, siostry „idealnego małżonka.“ Dzielną tą dziewczyną, patrząc na „genialność“ wice-hrabiego, pod kątem żywionej dlań miłości, nazywa go bez ceremonii „głupim Arturem,“ za niezdarne zwleknięcie z oświadczeniami, dowodzące, że zakochany w niej „król życia“ nie ma pojęcia o najciekawszym tego życia paradoksie — o duszy kobiety.

Jest jeszcze jedna w komedyi postać, interesująca nie tyle może sama przez się, ile ze względu na stosunek do niej autora, który zdaje się uczuwać wobec swej bohaterki potrzebę aż podwójnego wcielenia. To lady Chiltern. Kiedy z nią mówi „idealny“ małżonek i z goryczą wyrzucając jej bezwzględność sądu o grzechu jego młodości, woła: „o! gdyby kobiety nigdy nie stawiały mężczyzn na piedestale ideału; gdyby nie zginały przed nimi kolana po to, żeby później zrujnować całe ich życie;“ — a potem konkluduje: „bo nie doskonali ludzie, ale właśnie ludzie niedoskonali potrzebują miłości;“ gdy później wicehrabia Goring, ocaliwszy swych przyjaciół przy pomocy Scribe'go ze szpon szantażystki i przywróciwszy w małżeństwie harmonię, wygłasza pod adresem lady Chiltern aforyzm, że „nie na to są kobiety, by nas sądziły, lecz na to, by nam przebaczały, wtedy, gdy przebaczenia potrzebujemy,“ — odbieramy wrażenie, że to Wilde odzywa się przez usta obu swoich mówców, ów, Wilde, który przy boku kochającej i kochanej żony zaznał właśnie przez lat parę wszelakich przebaczeń, zanim w szynkowniach dokowych nad Tamizą puścił ostatecznie wodze swej „paradoksalnej erotyce.“ Drga w tych odezwaniach jakiś utajony liryzm i ten wydałby się może w komedyi najosobliwszym z paradoksów, gdyby nam liryki Wilde'a nie odślониły były dawniej w jego duszy mało znanego zakątka, skąd poezya zdolna jest po orgiach sadyzmu unieść się w zachwytach nad czystością Matki Boskiej.

Szkoda, że to wszystko zanikło na scenie warszawskiej, gdzie został wprawdzie Sardou, lecz Wilde'a niema ani śladu. Zanikło zaś nie tylko z powodu zbyt szerokich ram teatru Wielkiego, w któ-

re oprawiono salonową komedię na żądanie... Towarzystwa Do broczyńności (Filantropia posiada obecnie swoją giełdę, gdzie sprzedawać można *premiery*, a Dyrekcyja teatrów próbuje tam szczęścia—wszystko pod osłoną literatury), ale i dla tego, że gra zatarła cechy charakterystyczne świata, który wypadło jej przedstawić. Literacka szczerość tej charakterystyki, wartość paradoksów, na których się opiera, podlegać może krytyce; ale do artystów należy wydobyć na jaw owych znamiennych rysów, bez względu na wydany o nich sąd. Jak sobie z tem poczynają nasi artyści, nauczyło nas dawniej przedstawienie „Kobiety bez znaczenia;“ w podobny sposób załatwiono się z „Idealnym mężem:“ na pierwszy plan wyszła „sztuka“ mieszczańska; Sztuka z „Dialogów“ Wilde’a ulotniła się w zetknięciu z francuskim szablonem. Oczywiście, talenty pp. Frenkla, Śliwickiego, Nowickiego, pań Marczello, Siennickiej odezwały się tam własną nutą; wytworzonemu jednak z tych nut akordowi braknie zasadniczego, impertynencko wytwornego tonu, który stanowi wdzięk egzotyczny utworów teatralnych Oskara Wilde’a.

Ze śmiesznym hałasem zaprezentowano na scenie „Zasłone szczęścia“ Jerzego Clemenceau. Można by ze strony humorystycznej traktować te krążące wśród rozbawionej publiczności plotkarskie niedorzeczności o roli, jaką ma odegrać sceniczna bluetka francuskiego premiera w nowem ukształtowaniu się sojuszu między Francją i Rosją; o spodziewanym przyjeździe z Paryża na pierwsze przedstawienie prezesa ministrów; o zaakcentowaniu politycznego charakteru tego przedstawienia przez obecne na niem konsulaty zagraniczne — gdyby za to wszystko nie odpowiadała literatura, zmuszona udzielać swego „placet“ kierownictwu, które w ciągu całych tygodni puszczało w świat z za kulis taki „journal parlé.“ Bo „Zasłona“ nie jest istotnie bez literackiej wartości i tylko bezmyślna, ordynarna reklama mogła tę wartość obniżyć w oczach widzów, popchniętych nią do reagowania przeciw reporterskiej swawoli. Pomijam to, co autorowi mogła w chwili tworzenia podsunąć pod pióro polityka, poruszająca się z całą swobodą w chińskim przebraniu; nie zastanawiam się też nad tem, do jakiego stopnia dzisiejszy premier, siedząc na folelu ministeryalnym, poddałby cenzurze wczorajszego satyryka; ale chętnie zatrzymuję się na filozofii życiowej, uplastycznionej w akcji, z której wynika, że najszcześniejszym jest ten, komu jakaś przepaska na oczach zasłania widok szkarady życia, bo żyje wtedy w wytworzonym przez siebie we własnej duszy świecie, gdzie nie zachwieje jego wiary w panowanie wiecznej, słonecznej świa-

łości Piękna, Dobra i Prawdy. Przetłómaczone na język sceniczny, tak to mniej więcej wygląda. Niewidomy mandaryn Czang-I spokojnie znosi swoje przypadkowe kalectwo, dzięki wrodzonej pogodzie ducha, systematycznemu pielęgnowaniu poezyi, której wyrazem jest dzieło, dedykowane Synowi Słońca, dzięki wreszcie głębokiemu przekonaniu, że ma w pięknej Si-Czan wierną i kochającą towarzyszkę, w młodzieńtku Wen-Tsieu—godnego siebie potomka, a w mandarynach Tu-Fu i Li-Kiang—oddanych sobie przyjaciół. Iskierka nadziei, obudzonej przez pewnego cudzoziemca, że noc kiedyś pierzchnie pod działaniem kropel, które Czang-I wpuszcza w ociemniałe oczy, w tajemnicy przed swoim otoczeniem, przyczynia się też potrochu do podtrzymania w dostojnym ślepcu równowagi moralnej. I trzeba dopiero ziszczenia się oczekiwanego nieśmiało cudu, ażeby zachwiała się ta równowaga. Po przebudzeniu się ze snu, sprowadzonego libacyami w gronie rodziny i domowników, Czang-I, znalazłszy się sam, uderzony jest nagle złocistą zjawą dnia jasnego i widokiem wynurzonego z mroków świata. Upojony szczęściem nie chce wierzyć swoim oczom i przypuszcza raczej senne majaki; gdy odrazu pewność narzuca mu się z całą ohydą rzeczywistości. Przed uzdrowionym ze złudzeń wzrokiem filozofa i poety przesuwają się wszyscy ci, którzy, nie wiedząc o cudzie, trzymają się za ręce w zdradzieckiem, oszukańczem kole. Więc mąż patrzy na cudzołożne pieszczoty żony z kochankiem, którego w domu swoim przyjmował; więc ojciec widzi, jak kalectwo jego z małpią złośliwością przedrzeźnia własne dziecko; więc spostrzega, że stary, bliski sercu jego towarzysz, zeskałmotał mu poprostu na swoją korzyść autorstwo poświęconego cesarzowi poematu. Cierpi strasznie, ale nie zdradzi się przed nędznikami—tylko przypomni sobie słowa owego cudzoziemca, który, dając mu zbawcze krople, ostrzegał aby nie użył większej, nad przepisaną, dozy, pod groźbą oślepięcia na zawsze, bez ratunku. Tego mu właśnie teraz potrzeba. Wypali sobie oczy, przetrwa niewypowiedziane katusze, zniesie wszystko, byle tylko w zapadłej na martwe źrenice ciemności odzyskać błogosławioną „zasłonę szczęścia.“ I stało się. Recydywa kalectwa uspokaja kalekę odrazu; wszystko zaś trwało tak niedługo, że to, co przez chwilę widział, wydaje mu się złudzeniem, a rzeczywistością jest dlań to właśnie, co mu do duszy w dawnych kształtach powróciło. Nie wątpi o miłości żony, pewny jest przywiązania syna; wierzy w przyjaźń obu swoich druhów—jest pod tą „zasłoną“ znowu szczęśliwy.

Myśl nie nowa — o to spierać się niema powodu. Można ją było z równem powodzeniem ubrać we fraki, smokingi, tużurki i w suknie od Wortha — bez wątpienia. Ale i to także prawda, że ta jednoaktówka, w stosunku do bieżącej literatury dramatycznej we Francyi, sprawia wrażenie napotkanego niespodzianie, po przejściu szeregu mniej więcej banalnych salonów w równie konwencyonalnym, bezstylowym pałacu, tak zwanego „chińskiego pokoju.“ Jest się poniekąd zaskoczonym siurpryzą, co bynajmniej nie usposabia do zastanawiania się nad autentycznością „chińszczyzny,“ ani nad ścisłością stylu, a natomiast dostarcza pewnej umiarkowanej, spokojnej przyjemności przy oglądaniu znanych nawet rzeczy, które prezentują się w odmiennej, niezwyklej fizyonomii. Ten gatunek przyjemności podniosła niewątpliwie na warszawskiej scenie pomysłowo stylizowana na tle malowniczych dekoracyj gra panów Frenkla, Rolanda, Wilczyńskiego oraz panny Pichorówny.

Skoro już jednoaktówki rozstrzygać mają o literackim charakterze repertuaru, kleconego jak się uda „pod osłoną literatury,“ skończmy z temi fortelami twórczości dramatycznej. Trudno dziś, doprawdy, nazwać inaczej ten gatunek produkcji. Bywał już modnym za naszej pamięci i jest nim teraz na swój sposób, przystosowany do wymagań mody, zdążającej za hasłami chwili. Pamiętamy czasy, kiedy potrzeba było pewnego w pomysle wysiłku, pewnego skoncentrowania artyzmu, ażeby, ujawszy w jeden akt moment dramatyczny, lub komiczny, z całym jego faktycznem i psychologicznem skupieniem, zbliżyć się, o ile możności, do dzieła sztuki. Potem przyszła kolej na jednoaktówki „cykliczne,“ wypełniające wieczór cały kilku odsłonami o rozmaitej treści, z której jednak wydobywać się miała „wspólna idea przewodnia.“ Dla współczesnej doby i ta więz wydaje się krępującą: wystarczają jej szkice niezrealizowanych natchnień; kropki i kreski niedopowiedzianych myśli; embryony czegoś niedomówionego w znakach zapytania i wykrzyknikach; plamy barwne malowidła bez rysunku, kontury rzeźbiarskie, przywarte do głazu, bez plastyki; rozdźwięki bez rozwiązania i bez... muzyki. Rzućmy więc okiem na te jedno i wieloaktówki, które, bez względu na ilość odsłon, są tylko odmianami modnego typu.

Łączy je przedewszystkiem, zamiast idei, jedna wspólna cecha: źle zrealizowany pomysł literacki. I to odrazu cechuje wewnętrzną wartość utworu. Myśl filozoficzna, głęboko ujęta, wizya poetycka, w natchnieniu oddana, mają same w sobie tyle mocy twórczej, że nawet w niezdatnych kształtach trafiają przez oczy do umysłów i serc. Pomysł literacki, sztuczna zazwyczaj kombina-

cya, potrzebująca przy realizowaniu więcej może zręczności niż twórczości, rozbija się też łatwiej o techniczne wady, niż o ideowe szkopuły. Odbiera się wrażenie, że autor zepsuł coś, co mogło nieźle wyglądać; ale ani się żałuje zepsutego, ani się nie tęskni za naprawionem. Pozostaje tylko w myśli pytanie: czy nikt w teatrze nie umie rozeznaczyć rzeczy chybionych od udanych, a jeżeli rozeznawszy, produkuje chybione, to czy nie zdaje sobie z tego sprawy, że zamiast popierać własną literaturę, krzywdę jej w oczach nieufnej publiczności wyrządza? Bo przecież ani „sztuka groteskowa” p. Zygmunta Kaweckiego p. t. „Gość uparty,” ani fantazya jednoaktowa p. Artura Śliwińskiego p. t. „Sąd” nie rozproszą tej nieufności, której w ostatnich czasach nie brakowało, niestety, uzasadnionych motywów.

Oba utwory mają między sobą pewne myślowe pokrewieństwo i mogłyby nosić wspólny tytuł „Sumienie;” tylko, że p. Kaweckie, wzywając pomocy aż z „tamtego świata,” zdobywa się na karkołomny eksperyment przedstawienia „na tym świecie” najpospoliczszej farsy życiowej „pod kątem wieczności;” a p. Śliwiński, nawet w swoim teatralnym symbolizmie, trzyma się twardo gruntu doczesnego, jego burżujskiego sobkostwa i proletaryackich rewindykacyj; p. Kaweckie robi sobie zabawkę z filozofii; p. Śliwiński potrochu socjalizuje; tamtemu się zdaje, że napisał satyrę, ten może ma złudzenie, że robi propagandę; jeden i drugi operuje „sumieniem” — jednemu i drugiemu jednakowo się to nie powiodło. Gdyby p. Adam, wicedyrektor banku, któremu p. Kaweckie każe po śmierci wypraszać sobie z tamtej strony życia powrót na ziemię i być świadkiem, niewidzialnym dla swoich i *dla publiczności*, romansu żony z przyjacielem, zobojętnienia dzieci dla pamięci zmarłego ojca i marnotrawstwa zapracowanego przez nieboszczyka mienia; gdyby, mówię, ten zmarłychwstaniec w inny jakiś sposób manifestował się jako „sumienie” rodziny, aniżeli wybijaniem dziur w ścianie, rzucaniem książek na środek pokoju, wywracaniem wazonów z kwiatami; gdyby widzowie mogli go mieć przed oczyma, bodaj „w czapce niewidymce,” biorącego udział w akcji, tajemniczą mocą zaświata kierowanej — filozofia „sztuki groteskowej” nie byłaby zapewne głębsza, ale sytuacyjnie przynajmniej zapełniłaby się pustka tych trzech aktów z prologiem i epilogiem, których treści starczy obecnie na jeden akt zaledwie. A przede wszystkim satyra zdobyłaby sobie bogatszy, rozmaitszy materiał.

Podobne „gdyby” trudniej sformułować p. Arturowi Śliwińskiemu, chyba wypadłoby zredukować je do jednego: „gdyby pan Śliwiński napisał był dobrą jednoaktówkę.” Bo zresztą autor

„Sądu“ wiedział dobrze czego chciał i świadomie swoje chcenie wykonał; trzebaby więc dowodzić mu, że źle, że fałszywie chciał, że tendencja bardzo tania, bardzo powierzchowna, ułatwiła mu efekty bardzo niewyszukane. Istotnie, nie potrzeba zbyt liczyć się ani z artyzmem, ani nawet z psychologią, kiedy najbanalniejszy salon, wypełniony najpłytszą, najbezmądrzejszą zbieraniną nicości moralnych i umysłowych, rozbawionych grą towarzyską w „sąd“ nad własnymi ułomnościami, zestawia się rozmyślnie z biedakiem, przyłapanym w przedpokoju na kradzieży z głodu; z nędzarzem, onieśmielonym wytwornością apartamentów, blaskami i barwami strojów, wonią ciał kobiecych; z nieszczęśliwym, któremu tłumacza, że sądzić będzie jego winę, jego głód, ten wyperfumowany, wydekoltowany, wysmokingowany, flirtujący, a perorujący areopag. Oczywiście, że kontrast, w ten sposób z góry uplanowany, z intencją w tych kolorach przejawskrawiony, może zaskoczyć znienacka widza, którego wrażenia, przeżyte w ciągu lat ostatnich, uczyniły podatniejszym na podobne sugestye. Więc stropiony nie ma nawet czasu zastanowić się, jak to się stać mogło, żeby w zgromadzeniu, złożonem z kilkunastu osób, w gronie młodych mężczyzn i młodszych jeszcze kobiet, nie znalazł się nikt, ktoby bodaj jakimś odruchem zapragnął „łaknącego nakarmić.“ Nie ma czasu zadać sobie pytania, jakim sposobem gospodarz owego salonu, gdzie się to wszystko dzieje, artysta znakomity, mógł stworzyć w genialnej rzeźbie głęboko pojętą ideę „sumienia“ i domagać się jednocześnie oddania policji zgłodniałego przestępcy. Nie ma czasu rozejrzeć się w tych dowolnościach psychologicznych, gromadzonych świadomie, aby tylko ów zbiorowy, z jednej sztuki egoizm wyrósł na symbol „sytych,“ żeby nawet Sztuka stała się jego wyrazicielką w owym zimnem, marmurowem „sumieniu,“ uplastyczniającem filozofię estetycznego sybarytyzmu, dla którego dobro i zło jest tylko pięknem i brzydotą. Refleksya przyjdzie później; ale o nią widocznie nie troszczy się autor, dbający, jakby się zdawało, tylko o taką chwilę dezoryentacyi, kiedy można będzie wprowadzić tajemniczą postać „sumienia,“ przypominającą, odpowiednio do gatunku wywołanego nastroju, wygląd typowego, „przyzwyczajonego ubranego młodzieńca,“ który ma lada chwila zawołać: „ręce do góry!“ Otóż ten właśnie młodzieniec zostawia po sobie zgoła niespodziane wrażenie: psuje wszystko i otrzeźwia wszystkich. „Wizya,“ bardzo konkretna, bardzo masywna, rzuca cień na całą, nikłą robotę jednoaktówki, zasłoniwszy nawet szczegóły, świadczące o niewątpliwem uzdolnieniu literackiem autora.

Ocenę gry artystów w obu sztukach zamknąć można tylko w słowach żalu i ubolewania nad dołą p. Frenkla, któremu kierownictwo „artystyczno-literackie“ kazało w „Upartym gościu“ grać przez trzy akty... za kulisami, oraz nad losem pani Ludowej i p. Leszczyńskiego, zmuszonych w „Sądzie“ traktować na seryo salon, gdzie bukiet wykwintnego „towarzystwa“ ułożono ręką literacko-artystycznego kierownictwa z kwiatków „szkoły aplikacyjnej.“

„Trzy akty codziennego dramatu“ — tak określił p. A. Marek swój utwór p. t. „Królestwo krzywdy.“ Właściwie trzy jednoaktówki, z których dwie spoił autor luźnem, fantastycznym ogniem, trzecią zaś przyczepił mechanicznie na wątlej nici ogólnikowego tytułu, zbyt rozciągliwie przystosowanego, aby go uważać można było za skryształizowaną myśl całości. I tu pomysł jest więcej intencją, aniżeli realizacją, ale zrodził się przynajmniej w głowie i w sercu poety. Młody to i szukający dopiero dróg własnych poeta; dusza jego jest jeszcze zawieszoną w cudzych ogrodach arfą eolską, po której strunach przebierają nadlatujące zewsząd obce wiewy; muzyka jednak ma swój urok swoisty i zagra może kiedyś pieśń samoistną.

Gdyby nie te odzywające się w smutnym minorowym akordzie tony poezji, wypadłoby może potraktować dwa pierwsze akty „Królestwa krzywdy“, jak przedstawiony przed laty na naszej scenie koncept literacki p. t. „Jak było, a jak mogło być.“ Tam, od pewnego punktu powtarzających się początkowych scen, akcja rozszczepiała się na dwa, zgoła odmienne rozwiązania, odpowiadające realnemu jej, pesymistycznemu, to znów możliwemu, optymistycznemu przebiegowi; tu poeta, nie wierząc w możliwość bodaj potencjalnie dobrych w życiu zwrotów, pozwala krzywdzonym tylko we śnie cieszyć się słoneczną szczęścia pogodą. Sen zatem przeciwstawia się rzeczywistości, jako nieiziszczalny w „Królestwie krzywdy“ ideał; niestety jednak to właśnie przeciwstawienie jest skażoną reminiscencją, w której odgłosy Hauptmanna załamują się jakimś fałszywym echem. Kiedy córka stolarska, dręczona okrucieństwem macochy i przeniewierstwem kochanka, traci wśród sennych marzeń świadomość tego, co się stało, i tonie oczami duszy, wyzwolonej z jawy, w świecie złudy, mocą pragnienia stworzonym — mamy przed sobą dwa, kurtyną na chwilę oddzielone, obrazy, w których jednak realne i fikcyjne kształty niczem się od siebie nie różniąc, dają zamącone jakąś dwuznacznością wrażenia. Niema takich nieporozumień wobec „Hanusi“ Hauptmanna, mimo, a może dla tego właśnie, że wielki artysta stopił, zamiast kontrastować je ze

sobą, w jednej, przedziwnie poetycznej syntezie, motywy najtrywialniejszej „codziennosci“ i nadzmysłowe wizje mającego w malignie dziewczęcia. Jakiś fortel inscenizatorski mógłby zapewne osłabić pod względem teatralnym wadę takiej w utworze p. Marka dwuznaczności; nie zaradziłyby brakowi artyzmu w urzeczywistnieniu pomysłu, który zresztą nie musiał ideowo przedstawiać się autorowi z dostateczną plastyką, skoro mógł w trzecim akcie szukać sobie tak niewyraźnego dopełnienia. W jakim-że bowiem stosunku do tego, na co patrzyliśmy przez dwa akty, wyobraził sobie autor, akt trzeci, ów fragment dziejów dwojga kochanków, związanych niegdyś miłosnym grzechem i spotykających się po latach na cmentarzu klasztornym, ona w habicie zakonniczki, on z nieukojoną w sercu żalobą po stracie trojga dzieci? Dawny zdobywca serc niewieścich nie poznał mniszki, którą kwef osłania przed jego wzrokiem. Ale czyby ją poznał, gdyby nawet z odkrytem stanęła przed nim obliczem? Wszak gdy mówi do niego o synu, z grzechu zrodzonym, którego nie zna ojciec opłakiwanych „prawych“ dzieci, on sobie nic nie przypomina; a kiedy gotowa jest oddać mu tego syna, byle jej tylko zwrócił pukiel włosów, odcięty w ekstazie miłości, on takich włosów, wśród mnóstwa innych, nie rozróżni. Więc krzywdą, rozdzielającą znów tych ludzi na resztę życia, ma kojarzyć ich losy z dołą poniewieranej stolarczanki? Łącznik, zaiste, dość wygodny, bo można nim objąć świat cały, jako jedno wielkie królestwo gnębionych i gnębieli; i niema, doprawdy, powodów, ażeby liczba jednoaktówek, wysnuwanych z tego niewyczerpanego tematu, nie powiększała się do nieskończoności. Być może, iż p. Marek, kochający dziś może cierpienie więcej niż ludzi cierpiących—jak się w jego wieku kocha więcej miłość niż kobiety—stworzy kiedyś w tem „królestwie krzywdy“ dramat, drgający żywym, nie literackim bólem; dziś zaznaczmy tę trzyaktową obietnicę, nie pozbawioną młodzieńczego wdzięku, który podniosła artystyczna gra pań: Tekli Trapszo-Krywultowej i Barszczewskiej, panów: Rolanda i Brydzyńskiego.

Skąd się wzięli panowie G. A. de Caillavet i R. de Flers? Mało kto, nawet we Francyi, wie o nich coś więcej, prócz tego, że napisali komedię 4-aktową p. t. „Miłość czuwa.“ To nie wiele, ale nam to wystarcza. Przecież to z pośród naszej publiczności odezwał się ów głos zachwyty: „gdybyśmy mieli teatr francuski—byłby zawsze pełen.“ „Miłość czuwa“ jest sztuką francuską i ma u nas powodzenie.

Byłby to może argument przeciwko p. Dumont-Wilden, zastanawiającemu się w artykule *Le théâtre et l'influence française*

à l'étranger ¹⁾ nad chwianiem się wpływu teatru francuskiego zagranicą, gdyby sztuka p.p. Caillavet i Flers należała do jednego z dwóch typów, wyrażających, zdaniem p. Dumont-Wildena, dzień wczorajszy i dzień dzisiejszy francuskiej literatury dramatycznej i gdyby wartość jej mogła wydawać się symptomatem jakiegoś upadku lub jakiegoś zwrotu. Niema w niej przecież ani poddanego surowej krytyce, aktualnego panowania na scenie Natury i Życia, roszczących sobie prawo do kierowniczej siły-idei, ani tęsknoty za etyką i estetyką Corneilla i Moliera, za patosem heroizmu i za komizmem zdrowego sensu; niema śladu ani nowożytnego wszechwładztwa w negacyjnym teatrze rozpętanych instynktów, cofających społeczeństwa do barbarzyńskiego zarania bytu, ani reakcyi ku idealistycznemu, afirmacyjnemu teatrowi złotej doby XVII wieku. Sztuka p.p. Caillavet i Flers nic zgoła nie wyraża i zapewne dla tego podoba się publiczności warszawskiej.

Bo w stosunku do zagranicy my zawsze, jak wiadomo, spóźniać się musimy; i gdy gdzieindziej medytują nad tem, czy nie nadeszła dla teatru chwila decydującego zwrotu od zaprzecznych paradoksów ku idealnym twierdzeniom; od obniżania nędznym, przyziemnym strychnicem uczuć, namiętności, obowiązków, ku dźwiganiu ich na wyżyny wielkich etycznych i artystycznych zagadnień—my stoimy jeszcze na tym punkcie, gdzie nam przyjemność sprawia anegdota o p. de Juvigny, który, ożeniwszy się z panną Janiną, nie może wypłatać się z dawnego stosunku z panią Lucyną de Morfontaine i tylko „czuwającej miłości“ zawdzięcza, że żona nie potrafiła odplacić mu pięknem za nadobne. Mniejsza o Francuzów, troszczących się o to, jak oceniają w Europie literaturę francuską, patrząc na sztuki Abła Hermanta, Tristana Bernarda, Henryka Bernsteina, Alfreda Capusa; mniejsza o tych, co wyczekują na dramaturga, który byłby czemś więcej, niż pisarzem i poetą, któryby „tworzył wartości moralne;“ my mamy p.p. Caillavet i Flersa, którzy ładnie rozmawiają na scenie, gładko, ostrożnie ślizgają się po duszach ludzkich, żadnych niepotrzebnych niepokojów nie budzą i bardzo lubią duety miłosne, wygrywane na niskich i wysokich nutach. Jaki to ma związek z literaturą? Zapewne, że żaden; ale pod osłoną literatury „elegancko“ to wygląda, zwłaszcza przy gorliwej pomocy p.p. Śliwickiego, Wolskiego, Frenkla i Wojdałowicza, oraz pań: Lądowej, Federowiczowej, Tekli Trapszo i Pichorówny.

*

*

*

¹⁾ *Revue Bleue*, zeszyt 11 z Marca r. b.

Post-scriptum. W pierwszych dniach kwietnia, a więc w dobie, wkraczającej już w okres przyszłego przeglądu życia naszych teatrów, wystawiono „Siódme przykazanie“ Heijermansa. Podając to do wiadomości czytelników „Biblioteki,“ żałuję bardzo, że nie mogę do tej dodatkowej notatki zastosować tradycyjnego określenia *post-scriptum*, w którym, podobno, zapisują się zwykle najważniejsze sprawy. Niestety, do takich spraw w żaden sposób zaliczyć nie można wprowadzenia do repertuaru młodzieńczego utworu Heijermansa. Łatwo w nim wprawdzie znaleźć w zarodku wszystkie późniejsze sympaty i antypaty radykalizmu społecznego, całą zawziętą ideologię sekciarza socjalnego, ale w takich przecuciowych jeszcze, zamglonych, często wprost dziecinnych, a zgoła nie-artystycznych kształtach, że im nawet wyraźniejszego życia nie zdołał tchnąć wrodzony temperament sceniczny autora. Obszerniejszą ocenę tego melodramatu odkładamy do następnego sprawozdania; obecnie wypadnie tylko wciągnąć ryczałtowo do artystycznego bilansu z ubiegłych trzech miesięcy jeden więcej *minus* i jeden więcej *plus*. Minus pod adresem kierownictwa „literackiego,“ które nie chce, czy nie umie, liczyć się z wartością produkowanych przez siebie nabytków; plus — na rachunek artystów, którzy może potrafią uratować, jeżeli nie utwór Heijermansa, to... swego dyrektora. Śliczna, pełna prostoty, szczerości, gła p. Federowiczowej; młodzieńcza werwa w interpretacji p. Śliwickiego; powaga i dyskrecja, z jaką role swoje traktowali pani Barszczewska i pan Maryński; artystyczny realizm, zastosowany przez p. Rapackiego w plastyce przedstawianej postaci; wyborne dostrojenie się do form całości przez p.p. Rolanda, Wilczyńskiego, panie Żółkowską, Pichor i Bogusławską — wszystko to sprawi zapewne, że nikt nie pomyśli o pierwszym przykazaniu dyrektorskiego dekalogu: „nie będziesz wzywał imienia Literatury nadaremno.“

III.

Grano Heijermansa i w teatrze Małym. Nie potrzebuję dodawać, że to był Heijermans lepszy, przepuszczony przez sito krytyczne, które zdrowsze ziarno zabiera dla sceny M. Gawalewicz, a plewy zostawia zwykle scenom rządowym, nie przebredzającym, jak wiadomo, w strawie literackiej. Powiedzmy jednak odrazu, że „Ghetto“ nie jest utworem najlepszego Heijermansa; ale nie stawiamy z tego zarzutu dyrektorowi Teatru Małego; bo po przyjrzeniu się na

tej scenie prawie całemu Heijermansowi, trzeba sobie postawić pytanie, czy wogóle istnieje Heijermans „najlepszy?” Gdyby miała talentu pisarza dramatycznego miała być wielkość wybieranych tematów, niewątpliwie autor „Nadziei,” „Ora et labora” mógłby się chlęścić wielkim talentem. Wiemy jednak, że tak nie jest; wiemy, że nie o wielki lub mały temat chodzi, lecz o silne lub tylko poprawne zrealizowanie go na scenie. Otóż siła realizacyjnej nie jest dominującą cechą twórczości Heijermansa, może dla tego, że go poprzedzili zbyt potężni twórcy, których śladami nie łatwo dążyć. Zapewne, że obdarzyć Holandję „Tkaczami”... morskimi było zadaniem nęcącym; i gdyby się to nawet Heijermansowi udało urzeczywistnić, bodaj do pewnego stopnia, to znów stałoby się to dzięki oddziaływaniu na widza samego przedmiotu, zasugestyonowanego bezbrzeżną wielkością rozłogów oceanu. Alfred Kerr zalicza Heijermansa do ciągnących za epigonami „maruderów w małym formacie.” Usprawiedliwia poniekąd to epigramatyczne określenie repertuaru Heijermansa, z wyjątkiem może „Dnia zadusznego,” dramatu oryginalnego w pomyśle i z rzetelną siłą poprowadzonego. Heijermans lubi motywy ideowe, wśród których antagonizmy religijne zdają się szczególnie przypadać mu do gustu. Cóż kiedy w „Ghetto” jest znów maruderem między naśladowcami Gutzkowa! Gdybyż przynajmniej ten zmodernizowany „Uriel Acosta” żył naprawdę życiem współczesnem! Ale mamy przed sobą papierowego bohatera, który z całą swoją tęsknotą do „nieznanego boga” po to tylko postawiony jest w tragicznym zatargu starego pokolenia żydowskich zacofańców z młodą, wolnomyślną generacją, wyrrywającą się z trupiarni judaizmu, żeby ojcom swoim rzucić w twarz retoryczne oskarżenie: „jeżeli istnieje jeszcze przepaść między żydami, a resztą świata, to wasza wina. Ghetta materialne wszędzie już zburzono, ale istnieją moralne, przed wiekami dźwignięte i dotąd zawzięte przez was bronione. Dopóki stać będzie ten mur, wzniesiony rękami wyzyskiwaczy, szachrajów i fanatyków obskurantyzmu, będziecie więźniami w waszych własnych *ghettach*.” Przez usta żyda-bohatera mówi oczywiście żyd-autor i może ta rola posłusznego rzecznika osłabia niezawisłą żywotność samej postaci, której zresztą otoczenie, cała owa konserwatywna gromada budowniczych i stróżów moralnego *ghetta* uderza bardzo plastyczną charakterystyką.

Nie oddalając się od konfliktów religijnych, wspomnijmy o dramacie Buttiego „Lucyfer,” nie dla wyjątkowej jakiegś jego wartości, która naprawdę jest zaledwie średnią, ale z racji sporów

wśród publiczności, zainteresowanej znakiem zapytania, kończącym ideowy dramat. „Kto wie?” mówi w chwili ostatniego zapadnięcia zasłony uczony materyalista, po scenie bolesnej z własnym synem, który straciwszy ubóstwianą żonę i czując w krwawiącym sercu, we wstrząśniętym mózgu tragiczną wobec śmierci grozę nicości, wyrzuca ojcu, że tą nicością karmił przez całe życie jego uczucie, jego myśl, oszukując taką strawą przyrodzony w każdym człowieku głód ideału. Na niezgrabny sposób przeprowadzenia tej tezy w akcji; na szablonowe trochę zestawienie dwóch ojców, wychowawców seminaryum, z którego jeden wyszedł bez święceń kapłańskich z nietkniętą wiarą, drugi, mimo święceń, stał się świeckim ateuszem, a obaj w biegunowo krańcowych kierunkach wychowali swoje dzieci; na konwencyonalny nieco typ miłości, odnoszącej w młodych, sercach zwycięstwo nad przeciwieństwem światopoglądów; na pewną w ujęciu ideowego motywu naiwność, która przygotowanie katastrofy powierzyła nie psychologii dusz ludzkich, lecz ślepemu przypadkowi, chorobie śmiertelnej — na to wszystko mniej zwrócono uwagi, niż na te dwa nieszczęsne słowa, w bolesnej zadumie przez myślącego wyrzeczone człowieka. Nawet stereotypowy argument o „zainroczeniu najcięższych umysłów pod ciosami życia” skierowano nie tam, gdzieby po prostej linii tej logiki zmierzać był powinien, t. j. do zrozpaczonego młodzieńca, który nie waha się klęknąć przed księdzem i wołać: „ty mnie pociesz” — ale wytoczono go przeciw osiwiatalemu badaczowi za to, że ośmielił się, nie schodząc z gruntu filozoficznego agnostycyzmu dać wyraz swej pracy myślowej w niemniej filozoficznym wykrzykniku „kto wie?” *Inde irae*; ztąd ironia wiecowych myślicieli i zabawny gest wyższości, z jakim odwrócono się od sztuki Buttiego.

Możnaby dla wyczerpania ideowej treści repertuaru M. Gawalewicza wydobyć tezę z 4-aktowej sztuki H. Kisteameckersa i E. Delarda p. t. „Rywalka.” Mimo skandynawskie brzmienie nazwiska jednego z autorów, jestto utwór francuski, więc i teza musi być postawiona po francusku, na trójkątnym podłożu cudzołóstwa, którego dramat rozgrywa się w sferze, gdzie wartości moralne powinny jakoby ulegać przeszacowaniu. Mąż rzeźbiarz, kochanka skrzypaczka—to już wystarcza, żeby rozwiązać ręce artysty wobec żony, z innego pochodzącej świata, i uprawnici go do regulowania wskazówką własnego samolubstwa wagi, na której szalach złożył krzywdy obu kobiet. Tak mniema bohater—innego widocznie zdania jest autor, bo tę francuską „Giacconde” kończy próbą pojednania, podjętą przez otrzeźwionego z szału rzeźbiarza, i mo-

mentem jasnowidztwa jego małżonki, odgadującej z jednego gestu, z jednego wykrzykniku męża, że cała skrucha jego była aktem artysty, który po długim niewidzeniu żony, znalazł się odrazu pod wrażeniem piękna jej postaci, zjawionej na stopniach schodowych efektownej architektury, w romantycznej księżycowej poświacie. Ta jedna scena, pozostawiająca bez rozwiązania węzeł, którego i życie nie zwykło rozplątywać, okupuje do pewnego stopnia całą klejonkę zbanalizowanych w częstem użyciu motywów.

Złożywszy nieodzowną dań modzie jednoaktówek, pozwoliwszy p. Zygmuntowi Przybylskiemu wygrać „Na swojską nutę“ różne „sympatyczne“ melodie, a p. Władysławowi Zalewskiemu zaprezentować sztukę w jednym akcie („Tereska“), której wyróżnienie na konkursie lwowskim nie znalazło aprobaty w Warszawie, Dyrektor teatru Małego dał w swoim repertuarze miejsce przeróbce komedii Dörmana *Huzarenfieber*, dokonanej pod tytułem „Niuta“ przez rzeźbiarza Lewandowskiego z tak wyrazistą plastyką, że owa wiedeńska „gorączka“, zmieniwszy teren, nie obniżyła się w stopniu — owszem, spędzała do szczupłej salki Filharmonii tłumy, ciekawe odsłonięcia na scenie tajemnic domu schadzek i historii trzech córek, wychowanych tam przez uczynną dla wszystkich mamę. Komedję p. J. Nikorowicza „Cenzor moralności“ można zupełnie pominąć, jak ją zresztą pominęła i publiczność.

Twórczość Północy reprezentowali Gustaw Essmann z komedią swoją „Ojciec i syn“, przeciwstawiającą ze spokojnym, pogodnym humorem obłudnie lękliwą etykę starej Europy, szeroko pojętej moralności stosunków amerykańskich — i stary Suchowo-Kobylin z rozgłosnem „Małżeństwem Kreczyńskiego.“ Dla czego te trzyaktowe przygody oszusta, sprzedającego szpilkę z fałszywym brylantem, stały się „komedią klasyczną“, nieledwie na równi z „Revizorem“, nie wiem i nie myślę się nad tem zastanawiać. Ale na pewnym w niej szczególe warto się zatrzymać. Piszący te słowa widział „Małżeństwo“ w Moskwie, jest temu okragło lat pięćdziesiąt. Od tego czasu sporo wody upłynęło; ewolucya duszy rosyjskiej wprowadziła do specyficznje zaprzecznej literatury nowe dodatnie typy, niewiedzące co począć ze swoją affirmacją i usprawiedliwiające bolesną ironię nadanej im przez rosyjskich pisarzy nazwy „zbytecznych ludzi“, których tak głęboko i artystycznie wcielił S. Najdionow w swojej sztuce „№ 13.“ Na jednym tylko punkcie zatrzymała się owa ewolucya. Kiedy bohater „klasycznej“ komedii szuka pomysłu do szelmstwa, któreby go wyswobodziło z matni kręactw, bliskich już ujawnienia i wpada na „genialną“ kombinacyę z brylantową szpilką, aktor grający Kreczyn-

skawo, zamiast użytego przez autora wykrzyknika *eureka!*, rzucił wtedy ze sceny jedyne polskie słowo „znalazłem!“, za co wynagrodził go w widowni grzmot oklasków. Wzburzyło to wówczas do głębi duszy młodziutkiego studenta; dziś stary spektator tragikomedyi, wypełniającej dzieje owych pięćdziesięciu lat, rozejrzawszy się w tem, co życie zrobiło w Rosyi z tych dodatnich, a „zbytecznych“ ludzi i stwierdziwszy z filozoficznym spokojem że zarówno ten aktor, zatruwający jadem tendencji język Mickiewicza, jak ci oklaskujący go widzowie, wystąpili już przed pół wiekiem, jako duchowi ojcowie „istinnie russkich ludiej“—zamiast klasycznego *Quantum mutatus ab illo!* powtarza za Ben Akibą specjalnie dla nas pouczające: „wszystko to już było!“

Jak grano ten repertuar, na który złożyło się jednak w ciągu trzech miesięcy czternaście sztuk, podpisanych przez Polaków, Rosyan, Duńczyków, Holendrów i Włochów? W odpowiedzi na to pytanie sprawiedliwość dyktuje zawsze z uznaniem nazwiska p.p.: Staszковского, Weycherta, Bartoszewskiego, Kuncewicza, Noskowskiego i pań: Duninówny, Pawłowskiej, Suliny (występującej gościnnie), Dulebianki, Bartoszewskiej i Staszowskiej, ze zwykłym zastrzeżeniem pod adresem scen rządowych, na których artyzm wykonania ma stanowić o żywotności teatrów oficjalnych. Gdyby nawet tak zawsze było; gdyby gra aktorów ratowała tam stale ubóstwo repertuaru; gdyby nie zdarzały się wypadki, kiedy z całej postaci artysty tej miary, co Mieczysław Frenkiel, widzimy tylko jedną jego rękę z poza dekoracyi wysuniętą, to i tak oznaczałoby to zawsze wyłączne tryumfy sztuki aktorskiej „pod osłoną literatury.“

Otóż teatr Mały prowadzony jest „pod znakiem literatury,“ a to wielka, może kapitalna różnica!

*

*

*

O tej różnicy wypadałoby przypomnieć antrepryzie operowej, podjętej przez Filharmonię. „Pod osłoną literatury“ muzycznej uprawia się tam zwykłe wirtuozostwo zagranicznych śpiewaków, osłonę zaś stanowią, jak dotąd, dwie opery polskie, obliczone na wrażenia retrospektywne, ale wybrane bez myśli kierowniczej, oceniającej kolejność, stopień i wartość tych wrażeń. Jeżeli bo-

wiem przypomnienie „Jadwigi“ Kurpińskiego usprawiedliwione jest stylem opery, nadającym jej niewątpliwą indywidualność, to już trudniej zrozumieć wystawienie „Wandy“ Dopplera, zgoła pozbawionej stylu. Można zapewne z przyjemnością spotykać motywy ludowe, wplatane tu i owdzie nie bez zręczności do tej poprawnej partycyi; można nawet z zajęciem wysłuchać modlitwy *muezzina*, dość udatnie z chórem poprowadzonej w nastroju egzotycznym; można wreszcie zadowolnić się zgrabnemi efektami instrumentacyi i chwilowemi akcentami ekspresyi w partyach głosowych. Niepodobna jednak uwolnić się od ogólnego wrażenia, że się słucha tylko porządnej *Kapellmeistermusik*, w której kompozytor, panując technicznie nad wszystkimi w orkiestrze instrumentami, nad wszystkimi na scenie głosami, umie równie sprytnie grać na sympatyach słuchaczów i że stosunek „Wandy“ Dopplera do literatury muzycznej jest mniej więcej taki sam, jak stosunek pokrewnej treścią i wartością „Odsieczy Wiednia“ p. Rapackiego do literatury dramatycznej.

Będzie więc, jest nawet takie same tu i tam powodzenie, zwłaszcza, że je może utrwalić dobry zespół panów Grąbczewskiego, Malawskiego, Łowczyńskiego, Ostrowskiego, oraz młodziutkiej, ładnym głosem obdarzonej i zdolnej śpiewaczki, panny Maryi Mokrzyckiej. Ale czy zawsze wykonanie ma być momentem rozstrzygającym, czy o repertuarze stanowić mają z tej samej racyi Battistini, Bellincioni z nieuniknioną „Faworytą“ lub „Violettą?“ Czy retrospektywności włoskiej ma koniecznie odpowiadać retrospektywność polska i czy opery w rodzaju „Wandy“ mają nieodzownie służyć jako pozory literatury, kiedy się ma pod ręką taką prawdziwą literaturę jak „Stara Baśń“ Władysława Żeleńskiego?

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

FANTIN-LATOUR

malarz i litograf.

Gdyby się oceniało artystów według tego, czem być chcieli, a nie według tego, czem są w istocie—Henryk Fantin-Latour stałby za wyraz wszystkich prądów malarstwa dzisiejszego i wczorajszego. Osobowość jego służyłoby mogła za łącznik, a ześrodkowałaby i dążenia naturalistów, i manierę impresyonistyczną, i rodzący się po nich mistycyzm i symbolizm. Objąłby on cały cykl poszukiwań w sztuce nowoczesnej: od Courbet'a, Zoli, Manet'a — aż do Wagner'a, Mallarmé'go, Verlaine'a, a nawet do Puvis'a de Chavannes i Gustawa Moreau.

Już Fantin'a *Grupy portretowe i Hołdy* (pomówimy o nich później) wskazują, w jakie strony kierowały się jego chęci i gusta. Bo w owych *Hołdach* i *Apoteozach*, zarówno jak w *Zbiorowych Portretach*, prócz usiłowań otrzymania efektu na wzór Rembrandt'a, grupującego członków gildyj i korporacyj, jest jeszcze pewne wyznanie wiary, zaznaczenie przynależności swej i placówki obok tych, co do tej samej „gildyi“ i do tej samej się „korporacyi“ umysłowej wliczają.

Temperament wszakże, skłonność przyrodzona Fantin'a, przebijająca się w tych dziełach i w innych, broniły go od postronnych naleciałości, stały na straży jego osobistych cech i zalet, a utworzyły mu fizyonomię całkowicie samoistną, różną najzupełniej od tych wszystkich, przed którymi kłonił się jego umysł, do których ciągnęło uczucie.

Choć w gruncie z niewieloma z nich go coś łączy—*vaille que vaille* szuka on miejsca pośród rzeszy rozwichrzonych, krzykliwych, burzących wszystko naokół modernistów. Oni to za „repoussoir“ oraz za tło służą jego wyłaniającemu się z półcienia

poważnemu, skromnemu, zrównoważonemu i marzycielskiemu talentowi.

Będąc najistotniejszym realistą ze wszystkich malarzy okresu swego, Fantin-Latour mało ma punktów styecznych z realistami, którym zapęd po-romantyczny kazał widzieć i przedstawiać naturę w najbrutalniejszych jej przejawach, tudzież pewne tylko strony życia za obserwacyi godne uważać. A, nota bene, widzieli je oni i przedstawiali stronnie, w wynaturzeniu, podnosząc do potęgi, podkreślając z zamiłowaniem jedno, z umysłu drugie pomijając. I oni stylizowali, na podobieństwo klasyków, ale stylizowali na wspaniałe; bo gdy ci „poprawiali” naturę i układali wizję swą wedle umówionej piękna, tamci, zgodnie z upodobaniem, które ktoś „Freude zu stinken” nazwał — ku brzydocie uporczywie dążyli. Rozmach zaś i przesada iście romantyczna, okraszająca ich utwory, kłam zasadom i założeniom bezwzględnej prawdy zadają. Owi pseudo-realiści okazują się, wejrzawszy bacznie, zdławionymi romantykami poprostu.

Nie takiem jest naturalistyczne widzenie Fantin-Latour’a. Dla niego prąd ten nie istnieje, jako wymuszone tendencje koteryjne, nie jest modą przejściową, ale musem, wynikiem przymiotów i usposobienia;—potrafił on po mistrzowsku jedynie to przedstawiać, co według wyrażenia własnego „dobrze pozuje.”

Realizm na miarę Fantin’a—to nietylko ześrodkowana uwaga na objawy kipiącego wpodłe żywota, to także powrót do majstrów-malarzy, do genialnych rzemieślników przeszłości, to również zrzeczenie się tradycyji dwurodkowych, z drugiej ręki powziętych, to ukochanie, bez względu na epoki i szkoły i bez wyboru, wszystkich artystów—Hollandrów, Flamandczyków, Hiszpanów lub Weneccyan—wszystkich, którzy wielbili Życie.

Atoli podobnym realistą, pełnym smaku, kultury i artyzmu, Fantin jest i, pod groźbą zminięcia się ze sobą samym, pozostać musi; realistą, pojmującym, że obraz nie może być powtórzeniem i naśladowaniem natury, lecz odtworzeniem, przetransponowaniem odczutej wrażenia; że obdarzyć utwór swój należy prawdą i istniącą dzieła sztuki, a nie uczynić go odbitką niewolniczą, nieudolną zawsze i niepełną tej niedościgłej natury.

Rozumie Fantin-Latour, iż w dziedzinie sensacyji, jest to sensacją jedną z najmniej przyjemniejszych mieć przed oczyma owe, w powyższem trywialnem zrozumieniu poczęte, postaci i przedmioty, niby „wychodzące z płótna.”

Bo czyż Rembrandt samym jeno pozorem życia arcydzieła swe niezrównane zdobi? Pogłębia je potężny mistrz układem,

oświetleniem, daje im piękno i styl ogromny. Tak sobie poczynają i inni wielcy artyści.

A za długo przestawał Fantin-Latour i za ściśle z olbrzymami sztuki, żeby się nimi, w zrozumieniu jej, nie przejąć. Nie na próżno studyował zapamiętałe w Louvrze, poza mistrzem z Leydy, i Frans'a Hals'a, Ferdynanda Bol'a i Rubens'a, Murilla, Giorgione, Van Dyck'a i Poussin'a, Velasquez'a, Tycyana, Veroneza; z późniejszych zaś niedarmo był wielbicielem szczerym Ingres'a, Daumier'a, Eugeniusza Delacroix i — choć się to dziwnem wydać może—Girodet'a, dla którego zawsze i od lat dawnych zachował ukrytą skłonność, jaką żywimy zazwyczaj dla starych melodyj, w dziecinne dni zasłyszanych. Z jego to bowiem, Girodet'a, arcyklasycznych obrazów pierwsze swe kopie ¹⁾ rysunkowe pod kierownictwem ojca swego robił, a sławetne: „Atala au tombeau“, „Le Déluge“, „l'Endymion“ służyły mu za pierwsze artysty emocye.

Nieliczni są malarze, którzyby się tak wypowiedzieli w swem dziele oraz wykazali, co posiadała zasobnie ich dusza, a czego zgoła nie mieli, czem mogli, a czem nie mogli się stać, skąd wyszli i jakie było ich środowisko przyrodzone, a jaką atmosfera, sztucznie i *par force* przez nich wytworzona — jak Fantin-Latour.

Wszystkie jego utwory są jakby kartami wydartymi z pamiętnika. Tu znaczą się nieosiągnięte, nieudane zapędy przedstawienia rzeczy obcych indywidualności własnej, tam—silne i skończone płody, zgodne z osobistą strukturą psychiczną i zamarkowane właściwościami silnego talentu.

I jest Fantin o wiele późniejszym od wewnętrznej swej wartości wtedy, kiedy oddala się od drogi jedynej, jaką mu jego geniusz wytyka, a iść usiłuje w ślady tych twórców, którzy wszelkie wrażenia transponują naturalnie i bez wysiłku na wizye, „apercepują“ oderwane myśli obrazami; u których zapach ma swój kolor, smak swój ekwiwalent w formie, a dźwięki kształt przywołują przed oczy.

Zachodzi pytanie, skąd wywodzi się ta dwoistość w twórczości Fantin'a; czemu przypisać należy wahania tak pewnego i tyle świadomego umysłu; skąd owa sprzeczność wrodzonego naturalizmu jego, z sztucznym, nakazanym symbolizmem i Wagneryzmem wmówionym; skąd owo zamiłowanie anachroniczne do alegoryj z czasów Ludwika-Filipa, a skąd ten wodnisty mistycyzm.

¹⁾ Muzeum Luksemburskie posiada ciekawe album pierwszych rysunków F.-Latour'a.

Owóż wytłómaczenie znajdziemy w kilku szczegółach z życiorysu Fantin'a, umyślnie ku temu wybranych, gdzie wpływy otoczenia, popędy z pochodzenia i krwi płynące na jaw wychodzą. One to służyć będą za komentarz i w zestawieniu dadzą nam pełny obraz i podobiznę dokładną artysty, objaśnią dzieło jego, jego psychikę i dążenia.

Ignacy, Henryk, Jan, Teodor Fantin-Latour urodził się w roku 1836 w Grenobli z ojca Jana-Teodora (malarza także, lecz bez sławy ni blasku, choć nie bez zasług) i z Heleny Nedenow, córki przybranej hrabiny Zołow, z domu księżniczki Kurokin. Już z daty urodzenia, wliczającej się do okresu, w umysłowości i ruchu artystyczno-literackim „dix-huit-cent-trente“ zwanego, a znamionującego sentymentalizm wykrygowany w mieszaninie z ważnym i poważnym, zdrowym rozsądkiem; już ze skrzyżowania się dwu ras tyle różnych możnaby wnioski wyciągnąć i niejako horoskop wywróżyć.

Istotnie, urodzenie to odbija się i na postaci Fantin'a, i na jego fizyonomii duchowej. Od ojca ze starej, bardzo starej prowincjonalnej mieszczańskiej rodziny wziął on—spokój i pewien powab purytański, skrupulatność a uczciwość; po matce—kruszyne mistycyzmu słowiańskiego; jak zarówno „po mieczu“ — przysadkowatość i ciężkość statury; szerokolicność zaś, małe marzycielskie oczy, w których się rosyjskie wieczyste *vague à l'âme* odbijało, zadarty, szeroki nos, a pięknie sklezione czoło myśliciela — „po kądzieli.“

W rozwoju każdego twórcy elementy pochodzenia, środowiska i otoczenia zasadniczą rolę odgrywają. U Fantin'a aliści tylko dwa pierwsze ważkie i rzeczywiste mają znaczenie; a w nich ojcowska puścizna najsilniej i najgłębiej się znamionuje.

Volens nolens tworzy on w zbrataniu z tradycją rodzinną. Wciąż mu się marzą zakąty tych domostw prowincjonalnych, na głucho obcym i nowym zawiewom zamkniętych, o zapachu łagodnym lawendy, rumianku i mirtu, o czystości i ochędostwie metodycznem, gdzie życie równe, jednostajne szarem pasmem powszednich wypadków się dzierzga; kędy cnotliwe a oziębłe, cokolwiek w lata zasze dziewice, na mahoniowych fotelach, utrechttem ezerwonym krytych, czytają moralne powieści pani de Genlis, lub wyszywają różnokolorowymi jedwabiami i włóczkami na krosnach te arcydzieła, co to się później oprawia i z zasłużoną dumą sąsiadom przedstawia na podziw.

Ma malarstwo Fantin-Latour'a ten charakter, ma ten urok potulny a cichy zasuszonych bukietów o nikłym aromacie, wypeł-

złych szarf i szalów, pożółkłych listów, które nam po przodkach w dziedzictwie zostały.

Owe: *Liseuses, Brodeuses, Les deux soeurs, la Lecture* (jest pod tym tytułem wiele obrazów) świecą dyskretnie przygaszone radości spokojnych, beznamietnych „wnętrzy,” bladych istnień, co „historii nie mają.”

W łagodnej skali, w stłumionym i niskim rejestrze przedstawia nam Fantin sceny z bytu codziennego, zatrudnienia i rozrywki niewinne tych, którzy „sacra mediocritas” za ideał uważają.

Kłębki i motki barwnych włóczek, rzucone na gieri dony i krosienka w towarzystwie pasemek nici jedwabnych, lśniących żywszym połyskiem; manszetki i krezki białe, okalające delikatne karnacye bladoliczych panienek, odzianych w płaskie staniki o neutralnym kolorze, harmonizującym z nijaką szarością ścian; meble, o które się ongi ocierały kitajkowe suknie „couleur puce et prune” i prunelowe buciki naszych prababek; wydłużone palisandrowe fortepiany, szczerzące swe żółtkłe zęby w szerokim uśmiechu klawiatury; kanapy i krzesła twardo wysłane, zmuszające nieugiętymi oparciami i poręczami „prosto się trzymać” — wszystkie te postaci, przedmioty i rzeczy są składnikami sztuki Fantin-Latour’a, a tworzą jakby echa dalekie i w minorze do nas doszłe niedawnych, a tak dawnych epok.

Ale jakakolwiek byłaby skromność przedstawionych tematów, jakkolwiek sposób przedstawienia ich skromnym — w płótnach artysty, ukolorowanych najczęściej brunatną, czarną i szarą barwą i stanowiących, jak mówi Teofil Gautier „des symphonies en gris mineur” — niezaprzeczone spoczywa mistrzostwo. Jest to malarstwo solidne, stanowcze o prawdziwej i prostej roznowie.

Możnaby seryi tych obrazów dać Balzakowski tytuł: *Les scènes de la Vie de Province* i bodaj czy nie na równi ze „Scenami” onemi postawić.

Jak w owej seryi maluje się intensywnie a szczerze upodobania i wewnętrzny światek Fantin’a, tak w *Portretach* (pojedynczych) odzwierciadla się zewnętrzne jego życie: przyjaźnie, znajomości i związki, z Alfonsem Legros, z malarzem Ridley’em i grawerem Edwinem Edwards, z Vallon’em, Manet’em, z Whistler’em, z którym go łączyła aż do końca zażyłość serdeczna.

Dziwnym być musiał ten stosunek dwu tak zasadniczo odmiennych talentów i do tego stopnia rozmaitych natur. Doprawdy, już z racyi powierzchowności ich, nasuwa się na myśl inna legendowa para: Don-Kiszota z Sanszo-Pansą.

Whistler wysmukły, wyniosły, wytworny a wrzący, z pańska impertynencki i nawet kłótlivy nieco—Fantin przysadzisty, z gruba ociosany, flegmatyczny, ześrodkowany, oschły nieledwie i pozytywny. Pierwszy organizator féeryj, malarz obumierających jaśni, budzących się świtów, twórca harmonij subtelnych, portrecista Almanachu Gotajskiego—drugi o równej delikatności i o równem zaiste uzdolnieniu, apologeta parafiańszczyzny i mierności mieszczańskiej, laudator ogniska domowego i biernego, miałkiego szczęścia.

O innych Fantin-Latour'a sympatyach i umiłowaniach mówią nam jego grupy portretowe, jak to: *Un Atelier aux Batignolles*, *Un coin de table*, *Hommage à Delacroix*, gdzie gromadzi: Alfonsa Legros, Manet'a, Whistler'a, Cordier'a, Bracquemond'a, Baudelaire'a, Duranty'ego, Champfleury'ego, sam tamże się przedstawiając (w „Hołdzie“); Verlaine'a, A. Raimbaud'a, Leona Valade'a, Ernesta d'Hervilly'ego, Kamila Pelletan'a, Elzeara Bonnier, Emila Blémond, Jana Aicard (w „Brzegu Stołu“); Manet'a, Zacharyusza Astruc, Augusta Renoir'a, Emila Zolę, Leona Maître'a, Klaudiusza Monet'a, niemieckiego malarza Scholderer'a (w „Pracowni na Batignolach“); lub też w „Około Fortepianu“ (*Autour du Piano*), gdzie skupia ośm osób z owoczesnego otoczenia swego, z których, by uzupełnić liczbę wspomnianych wpływów, wymienię: kompozytora Chabrier'a i Wincentego d'Indy, jednego z szefów szkoły nowożytnej muzycznej Francyi. Każde zresztą prawie z nazwisk wyliczonych oznacza zamiary artystyczne nowe, lub nowy w sztuce kierunek.

Pozuje mistrz swe modele, jak przy pogawędce spokojnej, daje im układ o wartości statycznej raczej, niż dynamicznej: siedzą, albo stoją, ale nie są w ruchu. Przeciwnemi bowiem były talentowi Fantin-Latour'a ruchliwość i zmienność światła, żywłość gestów, gra w naprężeniu mięśni. Oko jego i poczucie ukształtowane jest w ten sposób, że tylko rzeczy *stałe* i nieodmienne, a z okolenia najbliższego czerpane, poddają się jego obserwacyi. Już pejzaż zbyt przemijającym i niepochwytnym w swych efektach się mu wydaje.

„...Penser au soleil—píše on do przyjaciela Edwards'a w odpowiedzi na radę poczęcia obrazu w plenerze — aux nuages, au temps qui change, tout cela est trop éphémère, ne permet pas la copie et voilà ce qui est plutôt de mon savoir...”

*

*

*

Jakże tu z takimi wartościami, z takim usposobieniem i ze skłonnością taką przystąpić do kompozycji fantastycznych, do transkrypcyj arcydzieł muzyki, do utrwalenia plastycznego najłotniejszych, najbardziej znikomych *zwidrisk: zwidrisk wywołanych dźwiękami*.

Znajdujemy je wszelako w twórczości Fantin'a.

Berlioz, Brahms, Weber, Schumann, Rossini, a nadewszystko Wagner, dali mu pochop do owych utworów, które złożyć się miały na rodzaj Dekameronu tęskliwego a namiętnego, łkającego bólem, rozrzuconego a tajemniczego, kędy cienie bohaterów Ariosta i Tassa, upiory i widma kosmogonii Północy i mytologii antycznej w swarach wieczystych, lub miłosnych zapasach, parte nieprzebraną Ananke, błądzą, cierpią, walczą i kochają.

Napróżno Fantin, dla przedstawienia tych pomysłów, wspomina dziwy kolorów Correggia, Giorgione i Watteau, napróżno przywołuje sine mgły poranków drżących Corot'a, daremnie wysiła mistrzowską swą technikę, upowietrznia przestrzenie, eteryzuje urojenia swoje. Daremnie!

Wszystko to, co wypowiedzieć usiłuje, należy „oczami duszy“ widzieć na jawie, lub w pół-śnie, mieć niebo i piekło, na przemian, pod czaszką i niebo a piekło mieć w piersi, znać zbliżka, przeżyć a przeczuć orkany i rozkosze miłości oraz czarne trwogi konania, posiadać tę rzadką właściwość, którąbym *zmysłem czwartego wymiaru* nazwał. Wysiłki ubogiej imaginacji na nic się zdać nie mogą.

Fantin-Latour poprzestać musi na tytule i stanowisku mistrza pozytywnego ideału, a jego przygodny i zgoła podstawiony, częściowo z matki-słowianki trafem i chyłkiem poczęty, częściowo przez otoczenie narzucony mistycyzm ostać się nie potrafi realnej jego naturze, materyalizmowi przyrodzonemu, z wiekowych atawizmów powziętym.

Czemuż wreszcie szukać w dziele mistrza tych objawów jego twórczości, które z nieporozumienia pochodzą, kiedy są tam utwory o wartości pierwszorzędnej, godne stanąć obok arcydzieł Chardin'a, tego wielkiego poety uczciwych, ucieśnych lubo poziomych kącików bytu, tego malarza Benedicite familijnych, dziejopisa skrzętnych i schludnych gosposi, w otoczeniu skromnego dobytku sprawiających służbę rodzinnego zacisza.

Czemuż wynosić, jak to czynią niektórzy krytycy sztuki ¹⁾ owe Walkyrye, postaci z „Rheingold'u,“ zjawy sag Skandynawii,

¹⁾ Pp. Bénédicte, Doucet, Hédiard.

co to ulatywać mają pod niebiosą i bujać, niby dymy ofiarne, a niedołącznie spadają ku ziemi, prawem ciężenia zmożone?

Czy nie stokroć piękniejszymi w ich szczerości i prawdzie są te skromne dziewczeczki, te cnotliwe panie i ci panowie pomiar-kowani i rozsądni z Fantin'a realistycznych obrazów?! Czy nie wyższymi, jako dzieła sztuki, od owych *Kobiet-Kwiatów* z Parsy-fala—te poprostu *kwiaty*, wychylające się ze dzbanuszków i kub-ków: róże i chryzantemy, dalie i piwonie, tulipany i mieczyki, hyacenty i astry, bzy i goździki, bezimienne, świeże jak maj polne zioła Normandyi, w bukiety, snopeczki, wiązanki skupione, lub samotnie wyprostowane na łożóżykach swych hardo, przenie-sione rzekłbyś z tchnieniem ich wonnem na płótno?

Czyliż nie mają inne *natures mortes* mistrza poezyi pokornej i przyjaznej rzeczy nam poufałych i blizkich, z którymi zajęcia i czynności nasze bratają nas codnia tak ściśle, iż wydają się te martwe przedmioty towarzyszami wiernymi i osobami nieomal drogiemi sercu?

Ciągną czy urokiem znanym i zażyłym owe napotykanne na obrazach Fantin'a kielichy i czarki, tygielki i imbryczki, karafinki i cukiernice, sztucce i łyżeczki—drobiazgi te o blasku miłym i łagodnym, gdzie w ściankach kryształów, na glazurze fajansów i por-celany, w zwierciadełkach srebrnych powierzchni odbiły się i pozo-stały na zawsze larów domowych niewidome duchy.

I o ileż więcej wyczuwasz wzruszenie artysty w tych skar-bach prawdziwości, jakimi są „martwe natury“ mistrza, o ile sam czujesz się bardziej przed nimi wzruszonym, niżli wobec mozolnie spłodzonych na cześć wielkich twórców Fantinowskich malowideł, w których wyobraźnia autora pobrała w niedobrene stadła tużur-kowych jegomości z jejmościami o goliznach mistycznymi gazami oblekłych.

Do takich koncepcyj należą *l'Anniversaire*—homagium dla Ber-lioz'a, *Hołd prawdzie* („Hommage à la Vérité“) i kilka innych hoł-dów, Wagner'owi, Schumann'owi, Stendhal'owi i Wiktorowi Hugo poświęconych.

Sztuka ta alegoryj i apoteoz przestarzała, a niesmaczna, zbli-żona wartością i znaczeniem do poezyi epitalamów i epitafów, znalazła w Fantin'ie ostatniego a gorącego zwolennika. Tem ci ona u niego niesmaczniejsza, że wprowadził on pierwiastek pro-zaiczności spencerków i spodni w one idealne utwory; jak zaró-wno wniósł ciężkość jakowąś germańską do fantazyj swych mu-zyczno-malarskich, którym tyle trudu i tyle czasu ofiarował. Na-liczyłem, iż Schumann służył mu za temat, w litograficznem i malar-

skiem dziele, dziesięć razy, Brahms — pięć, Berlioz — jedenaście, Wagner—dwadzieścia i trzy, a przeoczyć coś stanowczo musiałem.

Oto co sam Fantin-Latour mówi o swych „transkrypcyach muzycznych:“

„...Je n'ai pas osé m'inspirer de Beethoven. Je ne suis pas Wagnérien parce que ceux qui prennent cette étiquette sont souvent des ignares qui ne comprennent rien à la musique; puis j'aime aussi Rossini: j'ai peint son „Stabat.“ Ce que j'aime, ce sont des transcriptions. La musique m'a inspiré des visions, des images belles à peindre; je les ai peintes, et je ne suis pas musicien, je suis peintre...”

Racya! malarzem jest on ustawicznie, bo płótna jego, jako „robota malarska,“ są zawsze piękne i nader sprawne. Bryłowość i wibracje razem osiąga w nich mistrz za pomocą drobnych dotknięć pendzla; nakłada mocno, później skrobaczką zeskrobuje, w prążki niejako, wzdłuż płótna osiadłe grudki farby, pozostawiając wszakże—gdzie tego modelacja wymaga—wytworzoną impastami miąższość i szorstkość powierzchni, zahaczającą światło i blask. Przygotowany tak, chropowaty podkład przeciera na sucho lekkimi laserunkami, nie męczy malowidła i zachowuje mu przeto świeżość koloru i delikatność niezmierną. Walory i ustosunkowanie płaszczyzn znakomite, umiarkowanie w zestroju tonów, harmonijność i spokojny wdzięk, poważna słodycz cechują obrazy Fantin'a.

Podobną (w rezultatach oczywiście, a nie w procederze) jest technika jego litograficzna. Aby osiąść efekty wibracji, przenosi z gruboziarnistego papieru na kamień rysunki swe i nadaje tą drogą rycinom świetlistość i plamistość drgającą, równą olejnym utworom. Posługuje się tu także skrobaczką dla upowietrznienia cieni, dla złagodzenia przejść od niuansu do niuansu i otrzymuje obok ogólnego wrażenia barwności urozmaiconej i bogatej, czernie o głębi złudnej, srebrne szarości, przejrzyste i subtelne nad wyraz.

*

*

*

Co uderza niezwłocznie, gdy się na całokształt działalności Fantin-Latour'a patrzy i co jest zaiste rzadkiem w historii malarstwa społecznego—to dojrzałość jego wczesna i wczesne opanowanie środków sztuki malarskiej.

Takim, jakim w podeszłe lata znaliśmy go i widzieli w archaicznej pracowni na rue des Beaux-Arts, posiwiiałym, z zielonym à la Chardin daszkiem nad oczami, zmęczonemi półwiekową pracą, malującym wciąż z zamyłowaniem i werwą—takim psychicznie i artystycznie był ongi pono, kiedy jako długo- i rudowłosy młodzieniaszek kopiował w Louvrze i tamże przy stalugach z flegmą i spokojem „patris familias“ niewinne dusery przyszłej swej żonie, p. Wiktoryi Dubourg (też malarce) prawił.

Od zaczątkowych prac, aż po prace ostatniej doby, talent Fantin'a wypowiada się z jednakowem zrównoważeniem. A z zarańia już jest młodzieńczy artysta w posiadaniu zalet, które go nie opuszczają nigdy: swoistej, wysmienitej techniki, pewności oka i ręki, tudzież stylu, powagi a świadomości celów i środków kunsztu.

Obrazy, które posyła po raz pierwszy do „Salonu“ (w r. 1859), mógłby bez ujmy dla sławy swojej podcyfrować datą o lat dwadzieścia późniejszą. Są one prawdziwie na poziomie najbardziej umiętynnych dzieł, z rąk jego wyszłych po długich czasach i trudach.

Sprzyjają, co prawda, rozwinięciu Fantin-Latour'a okoliczności. Jakem już poprzednio wspomniał, był on synem malarza, który widząc od dzieciństwa przejawiające się zdolności synowskie, od dzieciństwa też je karności i metodzie poddał i zaoszczędził przez to pierwotnym usiłowaniom kiełkującego artysty szukania omackiem kierunku.

Dla tego też, jak równie dzięki następnyim studjom usilnym i obcowaniu z arcydziełami w muzeach, szczególnie zaś dzięki wskazówkom znakomitego metra i pedagoga sztuki — Lecoq'a de Boisbaudran, pouczającego w akademii malarskiej, „la petite Ecole“ zwanej—Henryk Fantin-Latour opasnował tak rychło i tak doskonale arkany zawodu swego.

W zgodzie pozostawała z usposobieniem i z atmosferą dotychczasową młodego malarza ta „Petite Ecole“, kryjąca się na ustronnej uliczce lewego brzegu Sekwany—w powinowactwie, ciągłości i nieprzerwanem następstwie pozostawały jej ideały przewodnie.

Lecoq de Boisbaudran — le père Lecoq, jak go poufale przezywali uczniowie—prowadził poszukiwania elewów swych ku naturze i ku starym mistrzom, t. j. do dwu źródeł racjonalnych i nieodzownych wychowania i kultury artystycznej, i pod godłem a za

pomocą tych zasad ukształtował kilka pokoleń wytwornych, dzielnych a nawet wielkich artystów.

Stąd, z tej uczelni, z pod jego — Lecoq'a zwierzchnictwa wychodzą: Alfons Legros, Cazin, trzej Régamey'owie, Ribot, Jerzy Bellenger, którzy pierwsze *coenaculum* Fantin-Latour'a stanowią.

Z nich kilku, i Fantin na czele, zostają odrzuceni w r. 1859. Malarz Bonvin o dziesiątek lat starszy od plejady tej młodzi, daje im przytułek, urządza im „Salon“ w pracowni swej „flamandzkiej“ (mieni ją „atelier flamand“ niewiedząc czemu) na ludnej i brudnej a sędziwej ulicy Ś-go Jakóba. Tam wystawia Ribot parę drobnych obrazków, tam Alfons Legros zawiesza swoje malowidło „Le Portrait du père de Legros,“ tam znajduje pierwszych swych wielbicieli „Le Piano“ Whistler'a — tam wreszcie trzy dzieła Fantin'a poprzednim płótnom towarzyszą: *Portrait de ma soeur lisant*, *Mon portrait en bras de chemise* (dziś własność muzeum w Grenobli) i *Les deux soeurs, l'une faisant de la tapisserie, l'autre lisant*.

Bonvin sprowadza do atelier, zamienionego czasowo na *refugium peccatorum*, przyjaciół swych wszystkich, zwołuje „ban et arrière-ban“ znajomych i do oceny im przedstawia prace młodej braci.

Między wieloma zaszedł też Gustaw Courbet, wielki rewolucjonista, a większy jeszcze hałaburda, rozmamany, chętny, hałaśliwy, ograniczony jak chochół, nierówny, ale tak bogato i potężnie obdarzony od natury, tak żywiołowo i z bożej łaski malarz. Wpadł z nieodstępną lulką w pyzatej, siwiejącej, szorstką brodą obrosłej gębie — i, choć gwiazda jego miała się wówczas ku schyłkowi, podbił on natychmiast umysły i serca nowobranców.

Ich płocze bunt i zapędy nowatorskie zgromadziły się wnet koło czerwonego sztandaru mistrza-komunarda. I odtąd, jak mówi p. Léonce Bénéditte „Courbet nie wcielał już samopas Realizmu. Ufundował on od dnia tego szkołę, miał uczniów i stał się głową realistów...“

Do falangi tej należeli zrazu Bracquemond i Manet, Legros i Whistler, Carolus Duran, Ribot i Vollon, James Tissot i Klau-dyusz Monet.

Jak czas później pokazał, niedługo szli oni pod jednym sztandarem społem; skoro tylko zaznaczyły się temperamenty, objawiły różnice talentu i wizyj, każdy swoją poszedł drogą, a wielu z nich ją innym wskazało.

Coś wszakże Fantin'owi pozostało z Courbetowskiego pojęcia. I on przedstawia Życie nowoczesne, a z najbliższego sąsiedztwa czerpie sceny swe, typy i rzeczy. Ale że jego „sąsiedztwo,” jego „dział” są odmienne, niż mistrza z Ornans—nie tegie chłopskie figury, nie zdrowe, o piersiach jak melony a o pośladkach niby kłacze pociągowe, dziewczki z Franche-Comté na wzór jego maluje, jeno pajęczyną zlekka omotane cnoty i zastygły powab partykularza, i z niego skrę piękna krzesze.

Ten dar przejęcia i pochwycenia zapoznanego uroku względów, widoków i form mieszczańskich stanowi główną zasługę Fantin'a i wyznacza mu miejsce wybitne w francuskim malarstwie teraźniejszym, a zaszczytne i trwałe w malarstwie wszystkich krajów i epok. Zdaje on sobie sprawę z tego, gdy do Edwina Edwards'a pisze:

„...Il me semble que l'on peut se considérer comme ayant fait un grand progrès quand l'on voit, que c'est tout près de soi, que c'est beau...”

*

*

*

W konkluzji raz jeszcze powtórzyć muszę, iż wówczas, kiedy *Henryk Fantin-Latour* nie wychodzi ze swojego koła, ogranicza wizję swą do właściwych mu horyzontów, a nie szuka wzlotów niedościgłych, kiedy widzi i pojmuję, że piękno jest wszędzie, że wszystko, co nas otacza, byleby przesiane przez poczucie rzetelnego artysty, przybiera piętno godności, urody i stylu—wtedy jest prawdziwym mistrzem i postacią piękną i prawą, którą rozważyć należy pilnie i zgłębić, a w pamięci z szacunkiem zachować. Zaś dzieła jego, w tej myśli poczęte, jako skończony wyraz dążeń, osiągnięty rezultat koncepcyj, postawić obok tych utworów, co nam za naukę, podniecie i za rozkosz oczu służą.

JAN TOPASS.

PIŚMIENNICTWO.

Moja wojaczka, 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień Jerzego Ręczyńskiego, ułożył Władysław Chodźkiewicz. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1908.

Pokaźny zbiór pamiątek z 1831 r. stale się powiększa; niemal corocznie przybywają nowe przyczynki do dziejów powstania listopadowego w postaci mniej lub więcej wartościowych wspomnień, notatek i relacyj świadków i uczestników ruchu. „Moja wojaczka“ Ręczyńskiego (na tytule książki mylnie wydrukowano nazwisko autora „Reczyński,“ zamiast „Ręczyński“) nie rzuca wprawdzie nowego światła na wypadki 1831 r., jednakże szczerem, bezpretensjonalnem stanowiskiem opowiadacza i barwnym niekiedy opisem niektórych, nawet pomniejszych wydarzeń, korzystnie wyróżnia się z powodzi przeróżnych „Wspomnień“ z owej epoki.

Jerzy Ręczyński urodził się w Ludwinowie, w Augustowskiem, w r. 1805 (na tytule, jako datę urodzenia R., podano r. 1803); w domu Ręczyńskich ściśle przechowywano tradycje rodzinne, wśród których jaśniała zwłaszcza piękna postać generała Gałęckiego, dzielnego uczestnika wyprawy wiedeńskiej z 1683 roku, a krewnego naszego pamiętnikarza. Przeniknięty niemal od pacholeństwa gorącym pragnieniem służenia krajowi, młody Jerzy całem sercem rwał się do wojaczki; opuściwszy przeto służbę biurową w Komisji przychodów i skarbu, gdzie wszedł po ukończeniu „pensyi“ w Lublinie, wstępuje w 1825 r. do szeregów armii narodowej, do słynnego 4-go pułku piechoty liniowej. Twarda służba żołnierska pod W. Ks. Konstantym bynajmniej nie zniechęca młodego ochotnika, sumiennie spełnia on obowiązki służbowe, wrychle też awansuje na podoficera. W tej randze zastaje

go noc listopadowa. Dnia 29 listopada Ręczyński był na warcie tuż przy pałacu Belwederskim, na roгатce tejże nazwy; widział pierwsze zamieszanie nielicznych wojsk rosyjskich po napadzie podchorążych na pałac; przepuszczał przez roгатkę, nie wiedząc jeszcze dokładnie o zajściach w Belwederze, pierwszych wysłańców W. Księcia, adjutantów Gressera i Bezobrazowa, podążających do koszar wołyńskich, do Góry i Kozienic, z wieścią o wybuchu rewolucyi. W dalszym ciągu swego pamiętnika opowiada Ręczyński o przebiegu pierwszych dni insurekcji, dorzuca kilka szczegółów o głośnej kawiarni Honoratki w Warszawie, wreszcie przechodzi do zwięzłego opisu starć z nieprzyjacielem pod Dobrem, Wawrem, Grochowem. W tej ostatniej bitwie Ręczyński w szeregach 4-go pułku piechoty chlubnie się odznaczył przy obronie Olszyny, za co też otrzymał krzyż *Virtuti militari* wraz z awansem na podporucznika. Pod Wielkim Dembem Ręczyński w śmiałym i energicznym natarciu zdobywa nieprzyjacielskie armaty; następnie bierze udział w bitwach pod Iganiami, Ostrołęką, i in., nigdy jednak, co za zasługę pamiętnikarza poczytać należy, nie wysuwa swojej osoby, nie przecenia ani swych zdolności, ani zasług; „byłem tylko pierwszym żołnierzem w szeregu” — mówi o sobie. Opowiadanie kończy Ręczyński opisem wyprawy partyzanckiej w Kaliskie, której był dowódcą. Po kapitulacyi stolicy stoczył Ręczyński jeszcze kilka drobniejszych potyczek, wreszcie, dn. 14 października, jako jeden z ostatnich, przekroczył granicę Polski pod Bobsem i wszedł do Galicyi.

Niewątpliwą zaletą omawianej książki jest bezpretensjonalność autora, unikanie wszelkich wycieczek osobistych, złośliwych krytyk i zarzutów, tak często w pamiętnikach spotykanych. Ręczyński swoją „wojaczkę” uważał za prosty obowiązek, którego spełnienie nie poczytywał sobie za bohaterstwo.

Błędów faktycznych niewiele. Za przykładem wielu pisarzy, Paskiewicz mylnie nazywany jest stale „Paszkiewiczem.” Jeden z przywódców rozruchów ulicznych w Warszawie dn. 15 sierpnia 1831 r., ks. K. Pułaski, mylnie nazwany „Połowskim” (str. 56); Dwernicki, jak wiadomo, przeszedł do Galicyi, nie do Prus (str. 126). Winą wydawcy jest błędna korekta cytat w języku rosyjskim, oraz zachowanie rażących dziś form: „do Kłodawej,” ku „Częstochowej,” zamiast: „do Kłodawy,” „ku Częstochowie.”

O losach Ręczyńskiego po r. 1831 ani on sam w pamiętniku, ani wydawca, nie podają żadnych prawie szczegółów. Skądinąd wiadomo, że Ręczyński po dłuższej tułaczce emigracyjnej i ponownej „wojaczce” w szeregach angielskich, w czasie kampanii

krymskiej 1853 --6 r., osiadł na stałe w Londonderry, w Irlandyi, gdzie niebawem został profesorem fortyfikacyi, inżynierem i języków nowożytnych w tamtejszem Foyle-College. Odtąd też poświęcił się piśmiennictwu, ogłaszał poezye w języku polskim, pod nazwą „rymoworów,” równie jak i tytuł nieudolne, tłumaczył je następnie na język angielski i wydawał pod nazwiskiem „Pana Jerzego z Ludwinowa;” napisał obszernie, z górą dwieście stron obejmujące, „Pożegnanie braci tułaczy, udających się na Wschód, do nowych zastępów dywizyi polskiej, kozaków sułtańskich,” które dedykował Sadykowi-Paszy; wreszcie opracował i starannie wydał monografię z dziedziny archeologii o głośnych pseudo-autentycznych starożytnościach moabickich (po angielsku, wyd. w Londynie 1875 r. z wizerunkiem autora). Oprócz prac Ręczyńskiego, wymienionych w Bibliografii Estreichera, znamy jeszcze poemat prozą i wierszem, osnuty na wspomnieniach autora z czasów kampanii krymskiej, p. t. „The Valley of Death or the famous charge of the British light cavalry, october 25, 1854—at the battle of Balaklava. Extracted from the original poem written in the polish language, by Pan Jerzy z Ludwinowa, as a narrative by an eye-witness Translated into english verse, and prose, by captain Ręczyński. Londonderry, 1856.“

Ręczyński był członkiem polskich towarzystw historycznych w Londynie, Paryżu i Dijon; data jego śmierci nie jest nam wiadoma.

H. MOŚCICKI.

WALTER RALEIGH. *Shakespeare. English Men of Letters.* London. Macmillan 1907. Str. 227.

W kwietniu ubiegłego roku ukazało się niewielkie dziełko profesora oxfordzkiego uniwersytetu, Waltera Raleigh'a, o Szekspirze. Krytyka i społeczeństwo angielskie przyjęło je z zapalem, a miarą tego uznania jest fakt, że przedrukowano nową książkę w następnym już miesiącu dwukrotnie. I rzeczywiście, w bogatej literaturze szekspirowskiej należy ta niewielka monografia, raczej szkic monograficzny, do najlepszych rzeczy, jest jedną z najszybszej pomyślanych i, co bardzo ważne przy tak opracowanym temacie, jedną z najoryginalniejszych.

Pod jednym może względem jest między czytelnikiem a autorem nieporozumienie. „Krytycy z czasów romantyzmu — mówi Raleigh na jednej z pierwszych stron — nie umieli wyjść

obronną ręką z tego trudnego położenia, iż właściwie do poznania Szekspira nie mamy żadnych źródeł; zajmowali się więc tylko gorliwie jego postaciami, podnosząc od czasu do czasu hymn na cześć twórcy. Przecież Szekspir był i człowiekiem i pisarzem; nie mógł się wymknąć przed nami; kiedy pisał, to na papier przenosił samego siebie, odkrywał własną duszę.“ W tych słowach jest zawarty i cały punkt wyjścia książki Raleigh'a i cała jego metoda. Z ironicznym uśmiechem traktuje on ów zarzut „popularny, a nawet przez uczonych do pewnego stopnia podtrzymywany,“ że Szekspira, ukrytego za obiektywizmem własnych sztuk, jako człowieka, odszukać nie można.

Przecież mimo tego ironicznego uśmiechu, który ma nas z góry źle uprzedzić do wszelkich będących w obiegu sądów, czytelnikowi staje ciągle w myśli pytanie, po czyjej stronie właściwie jest prawda: czy owego uwielbiającego szekspirowski obiektywizm tłumy, czy też po stronie autora? Bo po przeczytaniu dziełka czuje się pewien zawód; może być, że spodziewaliśmy się za dużo; ale chyba mieliśmy prawo wymagać od autora, który obiecywał nam poznanie szekspirowskiej duszy, podania więcej szczegółów w tym kierunku, niż to tylko, że w Szekspirze widzimy podziw dla czynu (podniesiony już w znakomitej pracy prof. Dowdena), że etyka jego dosięgła najwyższych szczytów i zaprzeczyła możliwości jakiegokolwiek winy w człowieku, że wreszcie w młodości miał kult dla szczęścia. To nieco za mało i nieco za ogólnikowo, jak na całokształt charakteru, zwłaszcza, że Raleigh podkreśla jego indywidualność. Tak więc, mimo zapewnień, wciąż jeszcze musimy się skarżyć, że Szekspir wymknął się przed naszą ciekawością.

Ale tu nieporozumienie się kończy. O ile Raleigh nie zdołał dać nam duchowego portretu człowieka, o tyle, pod względem analizy artystycznej twórczości pisarza, przewyższył może dotychczasowe prace. Metodę ma jasną i prostą: zestawia z jednej strony szekspirowskie dzieła, z drugiej — współczesne poecie życie. Zna też on to ostatnie znakomicie i umie odnaleźć wybornie ścisły związek między niem a sztuką Szekspira; w dzieła zaś poety wczytał się tak dokładnie i głęboko, że przyswoił je sobie prawie na pamięć, że nic mu nie przeszkadza przerzucać się od jednej do drugiej osoby, sytuacji, wreszcie cytaty w tej ogromnej masie arcydzieł. Wniknąwszy tak w swój ukochany przedmiot, Raleigh ma prawo spoglądać z góry z pobłażliwą ironią na entuzjastyczne zapędy krytyki, szczególnie niemieckiej. Bo też czego nie napisano o Szekspirze, czego się w nim nie dopatrzone, czego

i jakich dzieł nie usiłowano mu przypisać! Raleigh, gdzie może, stara się zadać swem lekkim szyderstwem śmiertelny cios podobnym, niepowołanym zachwytem. Naprzykład w sprawie wpływu „Essay’ów“ Montaigne’a, w sprawie, która znalazła echo i w naszej hamletowskiej literaturze, Raleigh stanowczo i dowcipnie zbija teorię zależności Szekspira od myśli francuskiego sceptyka, wykazując, że jedno jedyne bezpośrednie zapożyczenie jest parodią odpowiedniego oryginalnego ustępu; inne zaś podobne montaigne’owskim teoriom myśli wygłasza Szekspir już w najwcześniejszych komedjach: „Poskromieniu Złościcy“ i „Straconych zachodach miłości,“ gdzie o wpływie mowy być nie może—podobieństwo owo wynikło jedynie z pokrewieństwa duchowego obu pisarzy.

Najdotkliwiej może smaga Brandes’a, który w ogromnem, bardzo płytkiem, złożonem z oklepanych dat i frazesów dziele, podnosił nadzwyczajną znajomość historii naturalnej u poety. Raleigh przytacza na to przykłady: gołębie karmią swoje młode, śledzie są większe od sardynek, kukułka składa jaja w obce gniazda, czajka lata tuż przy ziemi, skowronek przypomina trznadla i dwa czy trzy inne, również powszechnie znane rysy z życia zwierząt, gdy tymczasem ustęp o ulu pszczelnym w *Henryku V* jest tylko poezją, zupełnie niezgodną z prawdą; słowik i kukułka Szekspira są stworzeniami zupełnie nieznanymi nauce, wytworami różnych, wiekami nagromadzonych tradycji.

Tę zależność od warunków współczesnych, z których jednym było owo nieograniczone panowanie tradycji w nauce, umie Raleigh doskonale przedstawić. W kronikach, zapiskach, pamiętnikach wyszukuje ustępy niemal analogiczne do szekspirowskich sytuacji, powiedzeń, nawet typów. Nawet dla tej postaci, która zdawała się być bezprzykładną w życiu i sztuce, dla Falstaffa, znajduje Raleigh bardzo blizkie pierwowzory. Rzeczywiście, czytając ten rozdział książki („Stratford i Londyn“), czujemy się widzami przy warsztacie, na którym życie przekształca się pod genialnymi rękami w pyszne dzieła sztuki, by dla zmęczonych bezpośrednio jego poznawaniem pozostać wieczną radością w sztuce. W innym rozdziale („Teatr“) poznajemy bliżej narzędzie, jakie Szekspir ma pod ręką. Obok znanych już wpływów ówczesnego urzędnika sceny na twórczość poety podnosi Raleigh kilka ciekawych względów, na które Szekspir musiał dla panującej mody zwracać uwagę. Tak np. wprowadzenie kłownów. Zestawiając ich zjawienie się w sztukach i to, co mówi o nich Hamlet do aktorów, dochodzi Raleigh do przekonania, że poeta patrzył nie-

chętnie na rozrywanie tragicznej jedności przez ukazywanie się kłownów, i że tylko czasami „robił cnotę z konieczności“ i w „Jak się wam podoba,“ w „Wieczorze Trzech Króli,“ czy w „Królu Li-rze“ umiał nadać tej nieodwołalnej modzie przepych i powagę, choć i w wielu dowcipach królewskiego błazna dopatruje się Ra-leigh niejako odczepnego dla gustu teatralnej publiczności. Inny z takich względów mody wywołał całą seryę sztuk historycznych, za którymi przepadano wówczas, lub szereg drastycznych scen, jak wyłupienie oczu Gloucesterowi, scen, których pożąдали konie-cznie słuchacze i widzowie marlowe'owskich dramatów czy „Hi-szpańskiej tragedyi“ Kyd'a.

Do mody tej zastosowywał się Szekspir nieświadomie. Ra-leigh sądzi, że Szekspir nie wytworzył sobie żadnych teoryj o twór-czości dramatycznej—rzeczywiście w sztukach Szekspira nie znaj-dujemy nigdzie wzmianki w tym kierunku, ale to jeszcze nie jest dowodem stwierdzającym ów sąd, który musi się wobec tego wydać subiektywnym. Wogóle przy wymienionej wyżej metodzie trudno się uchronić od subiektywizmu, który doprowadza czasem autora do paradoksalnych twierdzeń, jak np. że „ze zniknięciem chłopców-aktorów (grających role żeńskie) skończył poetyczny dramat w An-glii i nie powstał już na drugi żywot,“ gdyż „poezyi jak religii nadużywają, czyniąc ją areną popisu własnego talentu i namiętno-ści, ci, którzy są jej sługami.“ Sąd ten wydaje się zanadto wywo-łany chęcią łatwego a efektownego wyminięcia kwestyi: w jaki sposób mógł Szekspir tworzyć przepyszne postaci kobiece, wobec onego nieuniknionego warunku swojej sceny,—iżby mogła wytłó-maczyć Raleigh'a nawet jego miłość do Szekspira, która czuje się urażoną, gdy aktor chce choć trochę uwagi zwrócić na siebie.

Podobnie subiektywną jest hipoteza, że „Tyton Ateńczyk“ i „Troilus i Kressyda“ są niejako szkicami do „Lira“ i „Romea i Julii.“ Szekspir podjął te tematy, lecz nie mógł ich dość arty-stycznie opracować, odłożył więc je na bok. Ale rozbudzona w pe-wnym kierunku fantazyja snuła dalej swoją przędzę, coraz z boga-tszym haftem i głębszymi kolorami i wytworem tej roboty jest zakłęcie w dramat największego ludzkiego bólu i największej ludz-kiej miłości. Po latach, gdy trzeba było na gwałt dostarczyć sztuki do teatru (a w owych czasach nowości utrzymywały się na scenie krótko, wskutek małej liczby widzów) przypomniał so-bie Szekspir fragmenty z lat młodzieńczych i dokończył sam, czy też dał je komuś do dokończenia. Hipoteza, jakkolwiek nie po-parta żadnym dowodem, bardzo bystra i mająca niemal naukową, niezbita wartość — w każdym razie w porównaniu do ostatniej,

wyżej wymienionej, o tyle więcej ma wagi, że nie można tu autora posądzać o chęć wywołania efektu.

Najciekawszym niezaprzeczeniem rozdziałem jest równocześnie najdłuższy: „Ludzie i rzeczy“ („Story and Character“). Jest to szereg uwag, tak głębokich i doskonałych, że możnaby je właściwie wszystkie przepisać. Raleigh opuszcza to stanowisko krytyka, zapomina o tem, że ma mówić o artyzmie Szekspira, iż tylko poprostu jako czytelnik wypowiada całą masę niemal aforyzmów, jednych trafniejszych od drugich, jak np. że Szekspir nie ma dwóch odmiennych stylów dla dwóch odrębnych rodzajów: komedy i tragedji lub że wprowadzenie Ozryka w V akcie *Hamleta* jest znakomitem uzmysłowieniem życia codziennego, które otacza zawsze i wszędzie największe czyny i myśli, nie zwracając na nie żadnej uwagi. Czasami te raleigh'owskie aforyzmy są ujęciem w słowa tego, co każdy z nas czuje, czytając lub widząc Szekspira na scenie—a co wydawało się wszystkim tak proste, iż nikt tego nie starał się zapisać. Raleigh notuje te spostrzeżenia skrzętnie i sprawia nam niesłychaną przyjemność, formułując jasno nasze nieujęte wrażenia. Jednym np. z takich miejsc jest zanotowanie mistrzowskiego zwrotu Falstaffa, po okazaniu mu publicznie królewskiej niełaski, zanotowanie w całym szeregu cytat, mających wykazać, że często powiedzenia Szekspira są jak wypadki w życiu — spodziewamy się czegoś, wyobrażamy sobie bardzo wiele, życie jednak przynosi zawsze coś innego, coś, co wydaje się nam potem, że musiało przyjść koniecznie. Czyż to nie znakomita uwaga? A jest ich tyle i wszystkie są tak sobie równe, że niewiadomo, którą najprędzej wybrać i uznać za najbystrzejszą.

Nieco szerzej rozwodzi się Raleigh nad kwestyą „poetycznej moralności.“ Uważa on ją za sztuczny wytwór bojaźni ludzkiej. „Zawalenie się mostu z powodu złej konstrukcyi, nie wzbudza nigdy owego panicznego strachu, jaki wywołuje trzęsienie ziemi.“ W poezyi uciekamy się do moralności, bo moralność jest w naszych rękach. Tymczasem u Szekspira nie można się uczyć moralności, chyba przypadkiem czasem, bo w nim są właśnie owe „trzęsienia ziemi.“ U niego tylko Jago i Edmund z „Lira“ wierzą w możność panowania nad własnem przeznaczeniem; wszyscy inni, wszyscy najwięksi, ulegają mu bezradnie. Fatum włada niepodzielnie w tragedjach Szekspira, włada i w komedjach, gdzie zjawia się pod weselszą formą Fortuny. Stąd też i szekspirowska etyka sięga nawet dalej, niż znane: „tout comprendre c'est tout pardonner,“ gdyż nie przypuszcza nawet przebaczenia, nie uzna-

jąc winy, która leży nie w człowieku, lecz po za nim. I Raleigh z ogromną werwą i swobodą roztrząsa, jako przykład tej etyki, „Miarę za miarę,” komedię, która jest najcięższym kamieniem obrazy dla moralistów, i wykazuje, że ten cały czarny świat jest tylko „słabym światem, pełnym próżności i głupstw, zwracającym uwagę na zwyczaje, zamiłowanym w rozkoszy, próżniaczym i bardzo, bardzo ludzkim. Nikt nie potrzebuje go daleko szukać.” Szekspir nie potępia tu nikogo; owszem, na czystą Izabelę patrzy nieco z ironią i mówi przez usta księcia: „ty nie jesteś sobą, bo żyjesz z tysięcy ziarn, które powstają z prochu.” Wszyscy jesteśmy zarazem dobrzy i źli—i wszystko, co się dzieje, niewiele jest zależne od naszego osobistego charakteru.

Książki Raleigh'a nie można streścić na kilku stronach. Mimo bardzo pięknego stylu, poetycznych, a przecież świetnie objaśniających rzecz porównań, niema tam prawie zupełnie frazesów. Każde zdanie zawiera jakieś wyborne spostrzeżenie, jakąś głęboką uwagę. Przytem Raleigh dotyka niemal wszystkich spornych kwestyj szekspirowskich, zaczawszy od jego politycznych przekonań, a skończywszy na wieczyście roztrząsanym problemie „Hamleta.” A wszystkie rozwiązuje, o ile można prosto, opierając się prawie wyłącznie na samych dziełach i prawach czy sekretach artystycznego tworzenia, które zna bardzo dobrze (świadczy o tem przepyszny ustęp o postaci Bernardyna z „Miarki za miarę”). Często zadowoli się tylko skonstatowaniem faktu (np. w „Kupcu weneckim”), a na hałas podniesiony, że to nie wytłumaczenie, zastawia się *życiem*. Przed tem wszelkie protesty muszą ucieknąć. A trzeba też dodać, że może nikt tak, jak Raleigh, nie umiał podpatrzeć tej tajemnicy szekspirowskiego geniuszu, którą znali wprawdzie poprzedni krytycy, lecz w mniejszym znacznie stopniu, tajemnicy chwytania życia w jego najgłębszej istocie i najróżnorodniejszych objawach, i zaklinania go w słowa. Nikt dotąd nie potrafił tego tak dobrze, bo nikt nie zajął tego stanowiska wobec Szekspira, co Raleigh. Można by powiedzieć utartym frazesem, że patrzy na niego „trzeźwo” lub że go „zniza” zwłaszcza w porównaniu do tych sądów, które zamieniały go niemal w mitycznego półboga. Dla Raleigha jest Szekspir zawsze aktorem z XVI wieku. Ten pogląd pozwala mu użyć doskonałego technicznie pryzmatu, przez który przepuszczany słoneczny promień szekspirowskiej sztuki, rozszczepia się bardzo jasno i wyraźnie na wszystkie swe składowe części. Mimo to wprowadza nas ta tęcza w jeszcze większy zachwyt grą swoich barw, jeszcze więcej

każe nam podziwiać genialność twórcy, który umiał stopić wszystkie te barwy w jedno, zawsze i wszędzie, nieprzewyższonym blaskiem świecące słońce.

ANDRZEJ TRETIAK.

Car Dymitr Joannowicz. Kronika dramatyczna A. Nowaczyńskiego. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Historia, mimo zmundnych i dokładnych poszukiwań, niema do dziś dnia dość ścisłej odpowiedzi na pytanie, kim był właściwie Dymitr, zasiadający na tronie moskiewskim w pierwszych latach 17-go wieku, w chwili, kiedy Rosya ówczesna przeżywała ciekawy kryzys polityczny po śmierci Iwana Groźnego. Czy był to istotnie zbieg klasztorny, Hryszka Otrepiej, jak mówi legenda rosyjska, czy syn naturalny Stefana Batorego, forytowany na tron carski przez Polskę, czy może prawdziwy ocaleniec Uhlicki, podstępem wyrwany z rąk siepaczy i uwięziony tym szlakiem, którym tak często uciekała z pod berła Joannowego brać moskiewska, szukająca schronienia pod prawami Rzeczypospolitej? Nie wiemy. To pewna jednak, że dla Rzeczypospolitej nie były obojętne wypadki, rozgrywające się wówczas w Moskwie i że kimkolwiek byłby ów pretendent do „barm Monomacha,“ polityka polska musiała go popierać, oczywiście w ten sposób przezorny i delikatny, w jaki tego rodzaju sprawa mogła być popierana przez rząd państwa kulturalnego, stojącego jeszcze u szczytu swojej potęgi mocarstwowej.

Zastanawiać się jednak nad tem głębiej, badać, szukać po źródłach i oświadczać się za tym lub innym poglądem historycznym, nie byłoby rzeczą na miejscu dla dramatopisarza. To też Nowaczyński nie uczynił tego. Nie zajął on wobec Dymitra stanowiska, któreby go obowiązywało wyraźnie do jakiejś prawdy historycznej, do podkreślenia i zamarkowania tych momentów politycznych, jakie w tej całej aferze niewątpliwie tkwiły i nie drugorzędnie wpłynęły na jej epilog. Autor *Dymitryady*, przeciwnie, starał się oprzeć raczej na tradycji historycznej, niż na historii w ścisłym rozumieniu tego wyrazu. Nie znaczy to przecież, aby zaniechał poczynienia odpowiednich studyów i przygotowań naukowych. Te studia i przygotowania musiały być nawet bardzo rozległe. Świadczy o tem zarówno wybornie podmalowane tło

epoki, jak rysunek figur, wysuniętych na czoło, jak wreszcie misterne a wielce trafne ukazanie w perspektywie dziejowej tej walki dwóch światów, jaka toczyła się poza obrębem akcji dramatu i niezależnie zupełnie od osoby Dymitra. Wyczucie tego momentu, który w rozwoju dwóch kultur odegrał rolę bardzo ważną, przeciwstawiając Wschód Zachodowi i wyłaniając z siebie problemat dotąd nierozwiązany, było niewątpliwie bodźcem, który zmusił Nowaczyńskiego do zajęcia się Samozwańcem. Skądinąd bowiem jest to postać mało interesująca, zwłaszcza dla dramatopisarza. Niema w niej nic bohaterskiego, nic tragicznego, nic w wielkim stylu. Bohater to do tragikomedii raczej, niż do dramatu historycznego. Niema w nim żadnej idei, bo ta idea stoi poza nim, a on nie może być nawet godnym jej wykładnikiem, niema w nim walki, zmagania się z „furią pani fortuny,” niema żadnego ukochania wielkiego, żadnego porywu namiętnego, nic z tego, co tworzy prawdziwy dramat duszy ludzkiej. Widział to autor dokładnie i dlatego nie nazwał dzieła swojego dramatem, lecz dał mu skromny nagłówek „kroniki dramatycznej.”

I taką „kroniką” jest *Dymitryas* od początku do końca, we wszystkich swoich sześciu obrazach, pełnych nerwu dramatycznego, ale nie składających się na dramat, któryby głęboko nami zatařał i skłonił do przechylenia się wyraźnego, czy to na stronę bohatera, czy na stronę bojarów, broniących przeciw niemu „starych porządków.”

Dymitr Nowaczyńskiego przechodzi rozmaite koleje i z rozmaitych stron oglądamy jego oblicze. Zawsze jednak jest *tym samym* Dymitrem, jakiego zobaczyliśmy na początku. Autor robi wszelkie przypuszczenia co do przeszłości młodego cara, uznaje wszelkie możliwości, ale ani jednej nie podkreśla tak, żeby z tego podkreślenia można było wnosić, że jego osobiste przekonanie jest właśnie takie, że uznaje on samozwańczość czy też prawowitość syna Joannowego.

Chwilami zdaje się, że już jest zdecydowany—oto daje autokracie moskiewskiemu gest carski, jakby kazał w nim domyślać się potomka groźnego „krwio pijcy,” jednocześnie jednak podsuwa czytelnikowi przypuszczenie, że ten gest monarszy może pochodzić zupełnie skądinąd, a w chwilę potem, jakby utwierdzał nas w przekonaniu, że i legenda o zbiegłym słuźce klasztornym nie jest tak dalece pozbawiona podstaw. I to jest właśnie Dymitr prawdziwy, złożony z tych wszystkich pierwiastków, jakie w nim widzi tradycja.

Autor narysował go odrazu, narysował wprawną i pewną ręką już w pierwszej odsłonie, w chwili, kiedy deputacya moskiewska składa mu hommagium poddańcze, niosąc na złotych misach chleb, sól i insygnia carskie. Ten rysunek zasadniczy został później wycieniowany i w ostatnim obrazie nie brak mu już żadnego sztychu. Jesteśmy najzupełniej przygotowani do tego, aby usłyszeć jego rozpacz i słabości pełen okrzyk: „To już mój koniec idzie!” i zobaczyć go wyskakującego przez okno w stroju polskim, w którym przed chwilą miał iść na biesiadę „katolicką” do gospody pana Sklińskiego...

Widzimy w tym ostatnim momencie człowieka bez charakteru — jak widzieliśmy przez cały ciąg poprzednich 5-ciu obrazów ten charakter łamiący się, chwiejny, niezdecydowany, pozbawiony bussoli, ten umysł słaby, nie ogarniający położenia, nie umiejący wzbąć się na jego wysokość, podatny wszelkim wpływom, to serce popędliwe a miękkie, żadne raczej uciech zmysłowych, niż górniejszych wzruszeń.

Tak wyglądał „mąż,” który z woli losów miękką, niezdarną ręką próbował dokonać tego, co w znacznie mniejszym zakresie, w 100 lat po nim, uczynił „żelazną rękawicą” Piotr Wielki. Próba ta dotyczyła zreformowania Moskwy, państwa tonącego podówczas w zupełnem barbarzyństwie.

Dymitr, zasiadając na tronie moskiewskim, nie zasiadał samotny. Wraz z nim do zatęchłej atmosfery Kremlinu wdzierają się struga innego powietrza. Wiódł on z sobą nie tylko garść towarzyszy pancernych i petyhorców bitnych, niósł także cywilizację i kulturę narodu, wśród którego wyrósł, gdzie poznał wolność i nauczył się ją cenić. Kultura polska szła w tym czasie ku Wschodowi zwycięsko, szła własnym swoim rozpędem, własną swoją siłą przez Ruś kijowską i przez Litwę. Nie trzeba jej było popychać. Wszystko, co w Moskwie garnęło się ku światłu, a umiało czytać, czerpało ze źródeł polskich. Ale „chęcią gosudarską” Dymitra, i to chęcią doraźną, było przeobrazić Moskwę gwałtownie.

— Wszystkim wam — mówi on na pierwszym zaraz posłuchaniu do bojarów — *mus* będzie nauczyć się polską mową mówić — i to w sześć miesięcy. A po łacinniku w jeden rok...

A kiedy bojary biją mu głowami w niewolniczej pokorze, oburza się nim duch człowieka, który patrzył na zgoła inne wobec Majestatu zachowanie się szlachty polskiej i nauczył się cenić godność ludzką.

— Tak i wstawajcie! — woła do nich w oburzeniu. — Taka salutacya łbami, te pokładziny na ziemi, jako i wiele innych rab-skich obyczajów musi szczerznąć *po jednym ukazie*...

I ukazy zostały wydane, zwołana Duma Soymowa, rozpoczęto reformy, a obyczaje nie zczeszły.

Rozpoczęła się walka i zmaganie „prawdziwie rosyjskich ludzi“ z nowym duchem, żłobiącym sobie koryto wśród społeczeństwa.

Nie znalazł Dymitr sojuszników i pomocników w „dziele preobrażenia Gosudarstwa i ufundowania oświecenia i gramotności w przesławnym i silnym, ale czornym i dzikim narodzie.“

To, co było „czorne i dzikie,“ okazało się silniejsze od młodego cywilizatora, który zapewne stawał się sobą dopiero w objęciach płomiennych Kseni Godunówny, zdobytej w końcowej scenie obrazu I-go.

(Nawiasem mówiąc, ta scena należy do najlepszych w całej Dymitryadzie.)

Przeciw Dymitrowi sprzymierza się z bojarami prawosławie, reprezentowane przez mnicha Pafnucego, który zaznacza mocno, wyraźnie i śmiało, że „ruski naród prawowierny wierzy w Boga Jedyne go greczyńskiego zakonu, wierzy w swego Samodzierżcę, w nijakie toli *swabody polskie* nie wierzy i obyczajów swoich na katolickie pomieniać nie chce i nie pomieni“ (obraz II).

Kość rzucona. Odtąd już walka staje się zupełnie wyraźną i w tej walce tkwi też cały pierwiastek dramatyczny dzieła, napisanego z rozmachem i prawdziwą siłą twórczą. Tragikomiczne sceny Dymitryady ustępują na bok. Do walki natomiast stają idee i czytelnik wyczuwa, jak się one przewalają i mocują za sceną, na którą tylko od czasu do czasu przedostają się błyskawice, zwiastujące o nadciągającej burzy.

Zbiera się ta burza stopniowo, powoli. Chmury ciągną, zasępiają niebo, kłębią się na niem i przewracają.

Dymitr tego nie widzi. Dostrzega je pierwszy swoim przenikliwym rozumem jezuita, urodzonego polityka, pater Andrzej (obraz III) i wskazuje na „koła sedycyjne“ i „bunt“ gotujący się. Car jednak z lekkim sercem słucha przestrogi i woli łowy w towarzystwie szlachty polskiej, niż poważną deliberację nad zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Tymczasem z Kremlinu płynie na Moskwę wieść o ruskim „caru, który ku cerkwiom nie chodzi, poświętych ikonów nie poczyta, który z Jezuitami-heretikami długie rozmowy sobie wszczyną, raki i szpika kości żre, i kuropatki, i cielęciny także

jeszcze Noemu zakazaną.“ Wieść ta przygotowuje grunt do zamachu. Łączą się bojary, obrońce prawosławia i obyczaj u rosyjskiego, groźny pomruk zaczyna także wydawać tłuszcza, ciemna, bydlęca czerń moskiewska.

W obrazie IV widzimy już zupełnie gotowe sprzysiężenie. Spiskowcy znajdują sprzymierzeńców w Kseni, która odtrącona przez Dymitra z chwilą, gdy przybyła na Moskwę Maryna Mniszchówna, szuka teraz zemsty i w Piotruszce-Piotrowskim, zbiegłym słudze Wiśniowieckich, obecnie pokojowcu carskim.

W scenie, w której odbywa się tajemna narada, carzyk jest swobodnego ducha, a w nowym jego dworcu aż huczy od zabaw. Zjechała gwarna czereda z wojewodzianką sandomierską i weselu niema końca. Uczta idzie za ucztą, pienią się kielichy, brzmi śpiew, kaskadami płyną rytmy „bobkowych skrobirymów.“ Piękna Maryna carica bawi się, a przy niej lekkiego ducha Dymitr, ochotny do kielicha i tańca, zbywa wszelkiej troski. Obija się natomiast ta troska o uszy „pana teścia“ Mniszcha i dociera do ochryźliwego łworu caricy, Martyna Stadnickiego.

Nastrój biesiadny macić poczynają złowróżbne zgrzyty.

— Takie to już przestare bojare przywyczki: albo gosudarem matać, by biedny naród mocniej cisnął, albo i zdradę przeciw niemu obmyślać od wieków — mówi Bassmanow, wierny i oddany carowi wojewoda rotny (Obraz V).

I tym razem jednak przestrogi nie działają, a intryga idzie naprzód i dojrzewa. Podczas gdy w dworcu nadobne bojarynie i córki bojarskie uczą się „obyczaj u“ od układowych kawalerów i puszczają się z nimi w pias krakowski, lub oglądają po raz pierwszy „maszkary“, sprowadzone z Polaszczy na zapusty — mężowie ich i ojcowie plotą dalej mozolnie swoją sieć, która omotuje nieprzezornego Dymitra ze stron wszystkich.

Jest on łatwowierny do tego stopnia, że daje się ować nadąć wpływom spiskowców, działających na niego umiejętnie przy pomocy starego, a pełnego obaw Mniszcha i za jego to podszeptem usuwa Bassmanowa i wydaje ukaz o wypuszczeniu z „domu rozbojnego“ zbrodniarzy, złodziei i wszelkiej hołoty występnej (Obraz VI).

Ta chwila jest decydującą... Przygotowania nie zawiodły. Spełniło się wszystko. Zgromadzono cały zasób prochu i trzeba było tylko iskry, ażeby węń padła i spowodowała wybuch.

I iskra ta, podłożona przebiegłą ręką, pada i następuje wybuch — straszna, krwawa eksplozja barbarzyństwa.

Ginie Dymitr. Jednocześnie w Moskwie odbywa się pogrom szlachty polskiej. „Pobielają ściany gościnnych gospód od wapna mózgowego rozbitych głów. Przeciw wszystkim nadspodziewany mord się dzieje, wiele przeznacnym, z rodowitych domów towarzyszą, nie licząc czeladzi a różnej kondycji osób... Niewinna krew ludzi Sarmackich wybranego towarzystwa okrutnie jest wylana, która o pomstę do nieba woła! I to żal nad żalmi, że od takiej szarańczy nieludzkiej zabijani owi! bestyalskim zwyczajem rozkrzyżowani! do ścian poprzybijani! obuchami w czaszki bici! Męża pięknego do pięciu setek, pozwał się Boże“ (*Epilogus*).

Autor podkreślił tu bardzo dyskretnie „*pierwszy* pogrom Polaków przez braci Słowian na Krimlu.“

Na tym akcencie kończy się „Kronika dramatyczna,“ ustępując miejsca temu, co już nie dramatem, ale stało się tragedią przez morze krwi wylanej, przez drogę krzyżową tylu pokoleń, przez Gehennę cierpienia.

Niewątpliwie, zgodnie z wolą twórczą autora, idea tego dramatu dziejowego góruje nad całą Dymitryadą i przytłacza ją swoim ogromem. Rozsadza ona szczupłe ramy „Kroniki dramatycznej“ i ukazuje czytelnikowi gigantyczny obraz walki dwóch kultur, walki, nie mieszczącej się ani w historii Dymitra, ani w jego śmierci.

— My o tego monarchy zabicie żadnej kontrowersyi z wami nie wiem! Moskwiczyn on był, to i wy go sobie, Moskwi-cze, podstępnieście zabili, aleć, coprawda, po starodawnym obyczaju rosyjskich ludzi... — mówi w Epilogu Martyn Stadnicki do zgromadzonych bojarów i mówi, jakby chciał podkreślić, że ten „starodawny obyczaj“ ostał się na placu i że osoba Dymitra była niczem wobec tego, co się tu działo...

I rzeczywiście usuwa się ona na plan drugi, gdy obok niej staje Historia.

W podmalowaniu tła tej drugiej bohaterki swojej „Kroniki“ okazał się Nowaczyński artystą. Przeniósł się on z łatwością w czasy odległe i był zupełnie „swoim“ człowiekiem wśród ludzi, których wyprowadzał na scenę.

Nie dzie mi o Polaków. Tych, jako Polak, ma on we krwi i może, jako artysta polski, intuicyjnie widzieć ich nawskroś. Zastanawia jednak ta łatwość, z jaką poeta (nb. urodzony i wychowany w Krakowie) potrafił wdążyć się w głębokie pokłady duszy rosyjskiej i wyłowić stamtąd nie to, co było przemijającą cechą tego lub innego bojarzyna, ale co stanowiło i do dziś dnia

stanowi *duszę rasy*, duszę zbiorowości rosyjskiej, tak odmiennej od zbiorowości naszej. Wyprowadził on na scenę kilkanaście postaci, każdej dał pewną indywidualność psychiczną, a jednocześnie wszystkie spiał w jedną całość, tworząc z nich jedną bryłę *ducha rosyjskiego*, bytującego w odmiennych kształtach, ale jednakiego treścią.

Słowo specjalne należy się jeszcze językowi *Dymitryady*. Jest to język stylizowany w najdrobniejszych szczegółach. Praca, jaką zadał sobie p. Nowaczyński, zanim doszedł do tego, że *takim* językiem mógł posługiwać się swobodnie, musiała być wielka. Pracę tę jednak, podjętą z rzadką sumiennością i miłośnictwem, sownie okupują rezultaty, bezwarunkowo godne bliższej uwagi. Kto wie, czy taki właśnie język nie byłby się wytworzył rzeczywiście, gdyby owa „Komedia Plautowa,” zagrana przez Dymitra na Kremlu moskiewskim, była czemś więcej, niż „komedia.”

Z. D.

Kronika miesięczna.

Zamordowanie Andrzeja hr. Potockiego.—Zakaz językowy w Prusach.—Koloni-
zacja niemiecka w Król. Polskiem.—Sprawa Uniwersytetu warszawskiego.—In-
stytut bibliograficzny.—Urzędowe szkolnictwo początkowe w r. 1903/4.

Dzień 12 kwietnia r. b. krwawemi zgłoskami zapisał się w dziejach Galicyi. Namiestnik tej dzielnicy, Andrzej hr. Potocki, padł ofiarą bezecnego mordu. Skrytobójcza ręka Rusina Siczyńskiego położyła kres życiu najwyższego dostojnika państwowego w kraju, gdzie terror polityczny dotychczas nie był znany.

Odpowiedzialność za tę niesłychaną zbrodnię spada na partję ukraińców. Od chwili swego powstania partya ta postawiła sobie za cel zaognienie stosunków polsko-ruskich, rozpalenie najniższych namiętności, rozbudzenie w ludzie ruskim nienawiści ku wszystkiemu, co polskie. I cel ten w pewnej przynajmniej mierze został osiągnięty. To, czego nie mogła dokonać polityka Metternichowska, czego niezdolne były wywołać krwawe rozruchy 1846 r. — dokonywa się obecnie w naszych oczach pod wpływem agitacyi, szerzonej przez nierozumne i szalone jednostki z obozu ukraińskiego. Rozłam i nienawiść zjawiają się tam, gdzie była zgoda.

Od lat już kilku jesteśmy świadkami złowróżbnych wypadków w Galicyi. Nie miejsce tu na ich omawianie szersze, na przedstawienie całej kwestyi ruskiej, która staje się coraz bardziej niepokojącą i coraz pilniejszą zwraca na siebie uwagę całego społeczeństwa polskiego, nie tylko za pośrednictwem faktów tak jaskrawych, jak niedawne zajścia w uniwersytecie lwowskim, zakończone procesem Krata i jego współników, lub słynna przygoda z pulpitem w parlamencie wiedeńskim, ale przez całokształt

stosunków, jakie zaczynają panować w dziedzinie życia polsko-ruskiego i ukazują nam jego fizyognomię z codziennej, powszedniej strony.

Z obozu ukraińców, piastujących w duszach bardzo wyraźnie sformułowanie ideału Chmielniczyzny, padały w ostatnich czasach niejednokrotnie hasła nawskroś hajdamackie. To, co mówiono po wsiach chłopom ruskim, werbowanym do organizowanych przez osławionego d-ra Tryłowskiego „Siczy“ ukraińskich, przypominało w niejednym wypadku krwawe hramoty Gonty i Żeleźniaka, a nawet dzikie wezwanie Szeli, podniesionego przez najmłodsze pokolenie Rusinów do rzędu „bohaterów narodowych.“

Jednocześnie rej wiodący politycy tego obozu, wygłosiwszy hasło „za San,“ poczęli stawiać coraz dalej idące żądania w kierunku nadania Galicyi Wschodniej wyłącznie ruskiego charakteru. Na tle tych żądań, które nie mogły być uwzględnione ani przez społeczeństwo polskie bez naruszenia jego naturalnych i odwiecznych, historycznych praw, ani przez władze centralne w Wiedniu, mimo chętnie uprawianej zasady: *divide et impera*, stojące przeciw na gruncie konstytucyi, warującej równouprawnienie obydwu narodowościom—powstały zatargi, przybierające coraz ostrzejszą formę.

Zatargi te były jednym z powodów ustąpienia poprzedniego namiestnika Galicyi, Leona hr. Pinińskiego.

Jego następca, Andrzej hr. Potocki, powołany przed laty 5-iu na to trudne i odpowiedzialne stanowisko, złożył na niem dowód nie tylko wielkich uzdolnień, ale nadto rzadkiego taktu w postępowaniu. Zdawało się też powszechnie, że jemu właśnie sądzone było zapobiedz dalszemu jątrzeniu się bolesnej rany, otwartej na organizmie życia zbiorowego Galicyi, że on, nie kto inny, będzie tym przezornym i mądrym politykiem i rządcą, który pogodzi strony powaśnione i zapewni krajowi spokój.

Daleki od wszelkiej stronności, Andrzej hr. Potocki uwzględnił wszystkie słuszne żądania Rusinów, niejednokrotnie nawet wbrew opinii polskiej, czynił im znaczne ustępstwa i konsekwentnie dążył do zgodnego załatwienia wszelkich sporów. Oczywiście jednak nie mógł uczynić jednego. Nie mógł, będąc namiestnikiem cesarza austriackiego w Galicyi, powołanym do strzeżenia prawa i legalności, rozwiązać Rusinom całkowicie rąk do działania i tolerować wszystkich wybryków partyi ukraińskiej. Jako przedstawiciel rządu musiał się liczyć z interesami państwa, zaś jako Polak, musiał mieć także na widoku społeczeństwo polskie, na którego szkodę ukraińcy działali jawnie i skrycie, przy pomocy go-

dziwych i niegodziwych środków, czyniąc fałszywe alarmy, uciekając się do pomocy życzliwej wszystkiemu co przeciwpolskie prasy niemieckiej i podnosząc na jej łamach krzyk przeciw rzekomemu uciskowi polskiemu.

W tych dziedzinach namiestnik, odpowiedzialny za ład i porządek w kraju, nie mógł folgować ukraińcom — i tego mu nie przebaczone, zwłaszcza, że był Polakiem.

Zbrodnia ohydna i potworna dokonana została przez jednostkę, przez zaślepieńca i fanatyka, którego ręką kierowała nienawiść. Współwinnym jednak jest tu cały ruch ukraiński, który wytworzył wśród młodzieży ruskiej taką atmosferę moralną, że mógł się w niej wychować i dojrzeć nietylko podstępnie mordujący bezbronnego obywatela i dostojnika Mirosław Siczyński, ale cały zastęp jednomyślnych z nim „działaczy,” którzy przez urządzenie zabójcy owacyi ulicznej, przez jawne głosy uznania dla zbrodni, przez nadsyłanie do Lwowa takich depesz, jak znana depesza posła Budzynowskiego („Vivat sequens!“), złożyli dowód zupełnego zdziczenia i zwyrodnienia.

Ponury ten fakt otwiera oczy zarówno społeczeństwu polskiemu, jak i rządowi austriackiemu na to, czem właściwie są ukraińcy i do jakiego znieprawienia umysłów i rozkiełznania namiętności prowadzi rozpoczęta przez nich przy zupełnej tolerancyi ze strony polskiej, a przy niejednokrotnem wyraźnem popieraniu ze strony rządu, agitacya nacyonalistyczna na rzecz zrozumiałego już dziś dla wszystkich, odartego z wszelkich obston i niedomówień, hasła ukraińskiego „za San.“

W imię tego hasła popłynęła krew Andrzeja hr. Potockiego, namiestnika Galicyi, wiernego sługi cesarza austriackiego, jak to sam przed śmiercią wypowiedział, ale też i wiernego syna ziemi polskiej — i ta ziemia polska, jak szeroka i długa, wie o tem i pochyla się w ciężkim i gorzkim smutku nad mogiłą przedwczesnie zgasłego męża i obywatela, strzegącego jej praw niezaprzeczalnych.

Zmarły Andrzej hr. Potocki urodził się w r. 1861. Kształcił się w gimnazyum ś-tej Anny w Krakowie i w uniwersytecie Jagiellońskim, który ukończył w r. 1884 ze stopniem naukowym doktora obojga praw.

Wkrótce potem wstąpił do służby dyplomatycznej i mianowany został *attaché* przy ambasadzie austriacko-węgierskiej w Madrycie. Rychło jednak opuścił to stanowisko, a pojawiając się za żonę Annę hr. Tyszkiewiczównę oddał się całkowicie życiu rodzinnemu i pracy, związanej z administracją rozległych dóbr rodzinnych

w Galicyi (Krzeszowice), w Król. Polskiem (Klucz Międzyrzecki) i na Podolu.

W r. 1891 wybrany został z kuryi wielkiej własności na posła do parlamentu wiedeńskiego, następnie na posła do Sejmu krajowego, a w r. 1901—na członka Izby Panów.

We wrześniu 1900 roku zajął wybitne stanowisko marszałka Sejmu Galicyjskiego, a w czerwcu 1903 roku reskrytem cesarskim mianowany został namiestnikiem królestw Galicyi i Lodomerji.

*

*

*

W kilka tygodni po przyjęciu ustawy o wyłączeniu, parlament Rzeszy niemieckiej przyjął ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach wraz z zakazem językowym.

Słynny § 7 staje się więc „prawem“ obowiązującym.

Jest to nowy gwałt, dokonany na ludności polskiej, która odtąd w stowarzyszeniach i na zgromadzeniach publicznych nie będzie mogła posługiwać się swoim językiem ojczystym.

Nazajutrz po tej historycznej uchwale, wieczorem dn. 5 kwietnia, odbyło się w Berlinie *ostatnie* zgromadzenie publiczne polskie, poświęcone omówieniu spraw, związanych z potwornym zamachem państwa na przyrodzone dobro narodu, na jego język.

Na zgromadzeniu tem wygłosił między innemi piękną, podniosłą i krzepiącą mowę, poseł Józef Kościelski

Zaznaczywszy na wstępie, że oto w tej sali „po raz ostatni na przeciąg lat długich rozbrzmiewa nasz wspaniały, nasz piękny i ukochany język polski“ mówca podkreślił silnie potrzebę samobrony narodowej.

„Dawniej—mówił—podbijano narody ogniem i mieczem; dziś chcą *zatruc ducha narodu*. Ale bystrego potoku, spadającego z gór, zatruc nie można i niech każdy z nas będzie kroplą tego potoku, który truciznę z łatwością odrzuci. Nie powinniśmy się oddawać rozpacz, ani wychodzić z równowagi. Musimy wiedzieć, czem byliśmy, jesteśmy, być mamy i będziemy. Musimy znać przeszłość,

kochać teraźniejszość, aby wiedzieć, jaka będzie przyszłość. Prusy opierają się na bagnietach, my kierujemy się sprawiedliwością. Upaść nie możemy, bo w obronie naszej posługujemy się prawami istniejącymi, gdy nasi przeciwnicy, nie mając dosyć praw istniejących, muszą nowe kuć prawa, aby nas gnębić, gdyż temi, które mają, zgnać nas nie potrafią. Ważne jest dla nas poczucie własnej siły. Świadomość tej siły mieć musimy, a gdzie jej niema, trzeba ją budzić. Nie chodzi o to, aby oklaskiwać frazes „nie damy się,” lecz o to, aby się rzeczywiście *nie dać*. Trzeba zatem wzmacniać siły, wspierać się wzajemnie i wzmacniać poczucie braterstwa, które wyrobiły w nas ostatnie prześladowania. One wyrobiły w nas poczucie łączności. Przesiąkliśmy ideą, że nie może u nas być warstw, bo wszyscy jesteśmy w niewoli. Takimi się czuć musimy, a wtenczas zarobimy na to, aby być wolnymi. Takiego zwartego narodu żadna siła nie złamie. Bądźmy owym Jurandem z „Krzyżaków” Sienkiewicza, który, choć mu język wyrwano, oczy wyłupiono i rękę ucięto, nie zaparł się ani swej miłości, ani nienawiści. Przecież każde zwierzę ma swój dźwięk, a człowiek, stworzony na podobieństwo boskie, mieć go niema? Trzeba nam szukać innych dróg, aby ten brak zastąpić czynem. Organizujmy się, zajmujmy się więcej tymi, którzy wychowują dzieci nasze, strzeżmy dzieci, aby dusze ich były nieskażone, bo na nich przyszłość nasza polega. Czynów nam trzeba! Wczoraj popełniono czyn zły, wstrętny. Odpowiedzmy na niego też czynem, ale dobrym, szlachetnym. Chcą nam dać Boga innego, w mundurze. My szukajmy Boga naszego w naszych ideach, w uszlachetnianiu całej ludzkości.“

Poprzestajemy na przytoczeniu tego urywka z mowy Kościelskiego, jako najbardziej charakterystycznego i górującego nad wszystkim, co było mówione na wiecu berlińskim.

Słowa powyższe są wobec całego świata dokumentem spokoju i powagi, z jaką naród polski umie patrzeć w oblicze klęsk. Nie złamię go też te klęski, bo potrafi on znaleźć w sobie dość mocy na ich odparcie, dość hartu na ich przetrwanie.

Rodacy nasi w Poznańskim w długim okresie walki, zdobyli już tę równowagę ducha, która wobec każdego nowego zamachu broni ich przed rozpaczą, a każe się skupiać i łączyć w karne szeregi do cichej, wytrwałej pracy. Ta praca jest jedyną rękojmnią naszej przyszłości narodowej w dzielnicy, wystawionej na ciągły napór imperyalizmu i szowinizmu pruskiego. O nią rozbijają się wszelkie usiłowania, jak o skałę granitową, której nie ukąsi wściekle miotająca się fala nienawiści i barbarzyństwa. I ta fala, bi-

jąca dziś o nasze brzegi, odejdzie kiedyś od nich i wróci tam, skąd przyszła.

Zrozumieli to uczestnicy wiecu berlińskiego i zamiast bezsilnych złorzeczeń, zamiast słów rozpacz i przygnębienia, złożyli na ostatniem polskiem zebraniu, w stolicy pruskiej, uroczysty ślub, że „w obronie swego języka walczyć będą do upadłego, że krzewić go będą wśród młodego pokolenia i publicznie go wyznawać, że z domu polskiego uczynią twierdzę, dla niemczyzny niezdobyta i że narzuconą sobie walkę prowadzić będą z podniesieniem czołem, ufni w zwycięstwo swojej świętej sprawy.“

Tak oto stanęliśmy wobec nowego momentu w dziejach naszej dzielnicy poznańskiej. Dwa prawa wyjątkowe, ukute przeciw nam z niesłychaną zaciekłością, weszły w życie, stały się faktami dokonanymi. Wszelkie złudzenia, jakie można było mieć jeszcze do niedawna, rozwiały się doszczętnie. Prawo zostało brutalnie zdeptane przez siłę i ta siła staje się znów na długi okres czasu czynnikiem decydującym w stosunkach rządu pruskiego do Polaków. Wiemy już, że tryumfujący imperyalizm pruski nie cofnie się przed niczem, ale wiemy jednocześnie, że przyszłość przygotowuje krótką i zwięzłą odpowiedź rządowi pruskiemu, odpowiedź streszczającą się w dwóch słowach: „Byli i będą.“

Jak nasi przodkowie byli Polakami, tak samo i wnukowie naszych wnuków będą nimi, mimo wszystkie prawa wyjątkowe, mimo wszystkie gwałty i zamachy na naszą narodowość, na ziemię naszą, na ojczysty nasz język.

*

*

*

Nie jest dla nikogo nowiną, że polityka niemiecka nie ogranicza się bynajmniej terenem ziem, podległych berłu pruskiemu, że *Drang nach Osten* zatacza bardzo szerokie kręgi i że plany kolonizacyjne pruskie przekroczyły już oddawna linię kordonu, wykreśloną na kongresie wiedeńskim.

Zbyt mało jednak na ten fakt zwraca się u nas uwagi, a publicystyka polska, nie rozporządzając odpowiednimi danymi, nie może oświetlić tej sprawy gruntownie i przedstawić w cyfrach stanu tej cichej, mrówczej, misternie posuwanej naprzód koloni-

zacyi, będącej pokojowym podbojem kraju, dokonywanym pod osłoną praw zaprzyjaźnionego mocarstwa.

Od czasu do czasu tylko ktoś przemówi głośniejszemu w tym przedmiocie i podkreśli śmielej niebezpieczeństwo, o którego istnieniu wiemy, na które jednak nie patrzymy dotąd właściwie, zbyt może bagatelizując sobie jego doniosłość.

Świeżo rzucił na tą sprawę nieco nowego światła p. St. Gr. w *Tygodniku ilustrowanym*. Artykuł jego przebrzmiał bez echa. Prasa nie zajęła się nim żywiej, nie starała się zbadać rzeczy dokładniej. A jednak artykuł ten zasługuje bezwarunkowo na bliższą uwagę.

„W ostatnich paru latach — pisze p. Gr. — odbywa się u nas *dobrowolna*, a nawet chętna, bo dobrze płatna sprzedaż dóbr polskich coraz gęściej kraj nasz oblegającym Niemcom-kolonistom. Jesteśmy świadkami formalnego najazdu ekonomicznego Niemców na własność ziemską w kraju naszym. Są już powiaty np. rypiński w gub. płockiej, który *niebawem przedstawiać zacznie niebezpieczeństwo dla żywiołu polskiego*, gdyż za lat parę będziemy go może nazywali nie polskim, ale *niemieckim*.“

Ten stan rzeczy zaczyna już niepokoić włościan. Drobnym gospodarz z Białynina, w pow. rawskim, skarży się w *Gaz. świątecznej* (№ 4), że „tak się to niemieckie plemię pomiędzy nas wciska, jakby jaka przednia straż, aż trwoga ogarnia. Tak np. w rawskim powstały liczne osady owych kolonistów-Niemców, a w Nowych Jankowicach, w pow. brzezińskim, jeszcze w r. 1905 mieszkali sami Polacy, a *teraz są niemal sami Niemcy*.“

Jednocześnie w *Mazurze* płockim (№ 5) włościanin Koląbryna pisze, że „bardzo często w okolicach Płocka Polak swoją ziemię sprzedaje Niemcowi, bo mu znacznie drożej zapłaci. Niedawno pod Rypinem cały folwark Kłośno został rozsprzedany tylko Niemcom. Teraz podobno ma być rozsprzedany folwark Zasady, przestrzeni 25 włók.“

W № 9 tegoż organu inny włościanin z pod Rypina pisze z oburzeniem: „Niemcy wykupują u nas ziemię, parcelują folwarki, bo mają swoją organizację i jednoczą się do kupna. My, Polacy, tego nie robimy, a Towarzystwa: „Polska Macierz Małorolnych,“ założonego w tym celu, nie organizujemy po powiatach i wsiach. Zaprawdę—inteligencja i panowie ze wsi wielki grzech przed narodem mają, że takiej dobrej sprawy nie popierają, a toż to teraz najpierwsza sprawa w Polsce to ta, aby nas, chłopów polskich, łączyć do kupna ziemi, a nie dać jej Niemcom.“

Do tych głosów przedstawicieli ludu, dołączyć należy głos p. P. K., który w niedawno zamkniętej *Gazecie Codziennej* pisał z ubolewaniem, że „w przeciągu ostatnich lat 10-ciu Niemcy wykupili w jednym tylko powiecie chełmskim niemniej jak 15,000 morgów ziemi. Obecnie, wiem dokładnie—pisze ów korespondent—że właściciele Polacy kilku średnich folwarków, ogółem jednak przeszło 4,000 morgów, poszukują nabywców i wszędzie już Niemcy zjeżdżają.“

Tak oto alarmująco brzmią ostrzeżenia, jakie w ostatnich czasach zjawiały się w prasie.

A my? Czytamy je równie obojętnie, jak czytamy dziś wszystkie wiadomości bieżące. W rozmowie prywatnej czasem ten i ów, lepiej obeznany z kwestyą, jako posiadający pewien zasób obserwacyj, zdobytych na miejscu, w tych powiatach, które najbardziej zostały już „skolonizowane“, dorzuci do tego jakiś ciekawy szczegół, podkreśli np. wytrwałe posuwanie się niemieckich osad w górę Wisły, opowie coś o łańcuchu tych osad, rozciągniętym już pomiędzy Nieszawą a Płockiem, Płockiem a Wyszogrodem, Wyszogrodem a Czerwińskiem, scharakteryzuje wreszcie życie na tych koloniach, któremu przyglądał się z bliska i zaznaczy ze zdziwieniem, że spotykał kolonistów, od lat kilkudziesięciu zamieszkałych w kraju, a nie umiejących jeszcze ani słowa po polsku, że gdzieś, koło Gostynina np. mieszkają Niemcy, którzy w drugim i trzecim pokoleniu nie nauczyli się jeszcze języka polskiego, a mówią tylko po niemiecku.

Na tem jednak koniec. Przyjmujemy te szczegóły do wiadomości i wyrażamy swoje zdziwienie, że tak jest. Wydaje nam się to mało prawdopodobnem, trudnem do uwierzenia. A przecież poza tem wszystkim kryją się jeszcze prawdy, o których nic zgoła nie wiemy.

W kraju naszym nie od dziś powstaje sprawa doniosła i brzemenna w następstwa, a prawie zupełnie nam obca.

Nikt dotąd nie zajął się nią poważnie, nie zbadał jej wszechstronnie nie poświęcił czasu i pracy na to, aby wyjść z ogólników, a dotrzeć do istotnego stanu rzeczy i zobrazować go, jak należy.

Nie posiadamy ani danych statystycznych, mówiących jasno i wyraźnie o tem, jaka i gdzie ilość ziemi znajduje się w rękach niemieckich, nie mamy jeszcze dotąd mapy, któraby nam zobrazowała sieć kolonizacji niemieckiej i pokazała jej planowość, nie zapragnęliśmy przyjrzeć się z bliska życiu mieszkających na naszej ziemi przybyszów obcych.

Dziennikarze i publicyści nasi podróżują po krajach obcych, przyglądają się życiu—i jest to rzecz z ich strony słuszną i pożyteczną. Dlaczego jednak żadnemu z nich nie przyjdzie myśl zrobienia wycieczki w głąb kraju, objechania wszystkich kolonij niemieckich i syntetycznego przedstawienia swoich wrażeń ku pouczeniu i oświeceniu w tym kierunku społeczeństwa?

Dziennikarze i publicyści nie mają na to środków — brzmi zwykle odpowiedź.

Dobrze. Niech więc dadzą inicjatywę i niech o te środki odwołają się do społecznych instytucyj.

Sądźmy, że takie np. Towarzystwo krajoznawcze mogłoby śmiało ująć tę sprawę w swoje ręce i że gdyby wystąpiło z projektem wielkiej ankiety, poświęconej zbadaniu istotnego stanu kolonizacyi niemieckiej w Król. Polskiem, jej rozgałęzienia i widoków na najbliższą przyszłość—to znalazłoby z pewnością poparcie u wszystkich, rozumiejących powagę i potrzebę tego przedsięwzięcia.

A bynajmniej nie stoi to w sprzeczności z zadaniami i celami tego Towarzystwa—bo „poznawanie kraju,” to nie znaczy tylko poznawanie pięknych jego krajobrazów i zabytków, jakie pozostawiła po sobie przeszłość, to znaczy także poznanie i zrozumienie wszystkich jego potrzeb teraźniejszych, jego niedomagań i braków.

Tych właśnie niedomagań, potrzeb i braków nigdy prawie nie znamy dokładnie. Mówimy o nich zwykle gołostownie i dlatego nie radzimy im skutecznie.

I w danym wypadku jest to samo. O niebezpieczeństwie kolonizacyi niemieckiej możemy rozprawiać gorąco i namiętnie, możemy nawet wykrzykiwać o niej na rynkach, dopóki jednak nie zdobędziemy się na uczynienie wszystkiego, co jest niezbędne dla poznania wszystkich właściwości tego niebezpieczeństwa i jego prawdziwych rozmiarów, dopóty z pewnością nic nie uczynimy w kierunku przeciwdziałania tej fali, która na nas idzie od granic pruskich, dopóty będziemy sobie bagatelizowali wszelkie ostrzeżenia i wszelkie, najgłośniejsze nawet brzmiące, dzwony alarmowe.

P. St. Gr. w swoim artykule, który cytowaliśmy powyżej, mniema, że „nadewszystko należy najgoręcej potępiać i piętnować publicznie tych, którzy odważają się dobra polskie sprzedawać Niemcom.”

Otóż w tej mierze jesteśmy nieco innego zdania. Droga prowadzi nie tędy i najsurowsze piętnowanie nie da wyników pozytywnych i nie zażegna sprawy, dopóki nie będziemy jej mieli

przed sobą zupełnie jasnej, wydobytej na światło z tych obsłone mglistych, jakie ją dzisiaj otaczają, dopóki nie będziemy znali wszystkich szczegółów, dotyczących tej akcji, kierowanej snąć zupełnie rozumną i świadomą swych celów ręką, skoro nawet mało oświecony włościanin polski zwrócił uwagę na to, iż Niemcy „idą naprzód, bo mają swoją organizację i jednoczą się do kupna.“

Otóż tej organizacji, tego jednoczenia się i nam przede wszystkim potrzeba.

Z tego względu nieskończenie praktyczniejsze znaczenie posiada drugi wniosek p. Gr., żądający uporządkowania akcji parcelacyjnej u nas i oddawania w ręce chłopów polskich tej ziemi, która drogą kolonizacji przejśćby miała w ręce niemieckie.

Sprawy parcelacyjne pozostawiają u nas jeszcze dużo do życzenia. Dziedzina tych stosunków, posiadających niezwykle znaczenie w okresie, który rolnictwo nasze przeżywa, domaga się pilnej i bacznej uwagi.

Kryzys, jaki dotyka coraz częściej i coraz nieuchronniej średnią własność ziemską, pozostawiając w perspektywie na obszarze całego Królestwa jedynie miejsce dla wielkich latyfundiów i dla drobnej własności włościańskiej, wysunął już oddawna sprawę parcelacji na porządek dzienny. Warunki jednak, w jakich kraj nasz pozostawał do r. 1905, zupełnie nie pozwalały na postawienie tej sprawy na właściwym gruncie. Potem zaś przyszły chwile, w których zdawały się decydować sprawy bardziej zasadnicze i donioślejsze. Wobec nadziei na autonomię kraju lub przynajmniej na szeroki jego samorząd, nie zajmowano się zagadnieniami, które z wielką łatwością zostałyby rozwiązane w ramach nowego życia. Niestety—nowe życie nie przyszło. Wiele złudzeń pierzchno i twarda rzeczywistość znów nam zagłąda w oczy.

Licząc się z nią, nie powinniśmy jednak odkładać na jutro pracy, od której zależy przyszłość naszej ziemi.

Idea Banku parcelacyjnego, założonego na szerokich podstawach, jest od dawna ideą dojrzałą w naszym społeczeństwie i trzeba jak najrychlej przekonać się o tem, czy nie da się ona urzeczywistnić w warunkach obecnych.

Byłby to istotnie ogromny krok naprzód w kierunku przeciwdziałania kolonizacji pruskiej.

*

*

*

Sprawa uniwersytetu warszawskiego od czasu do czasu omawiana bywa na łamach pism rosyjskich. Niewiele jednak z artykułów, które w tym przedmiocie zostały napisane, zasługuje na bliższą uwagę, gdyż autorowie ich, albo nie traktują rzeczy przedmiotowo, jak profesorowie Kułakowski i Filewicz, albo nie posiadają wogóle dostatecznych o całej sprawie informacji, zaczerpniętych choćby z głośnej książki p. Dubrowskiego, oświeclającej „naukę urzędową w Warszawie.“ Wyjątek w tej mierze stanowią artykuły prof. Pogodina, oparte na dokładnej znajomości stosunków i nacechowane szczerem dążeniem do rozwiązania palącej kwestyi przyszłości uniwersytetu warszawskiego. Oczywiście, nie ze wszystkimi poglądami prof. Pogodina można się godzić bez zastrzeżeń, ale wysłuchać i rozważyć je warto, niewątpliwie bowiem są one dla nas interesujące.

Przyszłość uniwersytetu warszawskiego—pisał niedawno prof. Pogodin w dzienniku *Riecz*—rysuje się wciąż bardzo niewyraźnie. Ministerjum, jak się zdaje, zamierza otworzyć, albo raczej uczynić próbę otwarcia go na jesieni. Nie należy jednak zapominać, że cały szereg katedr mamy nieobsadzonych: tak na wydziale historyczno-filologicznym są niezajęte katedry historii rosyjskiej, historii powszechnej, literatury powszechnej, filologii greckiej, filologii rzymskiej i t. d.; na wydziale prawnym pozostało zaledwie jakich trzech lub czterech profesorów; na matematycznym niema już ani jednego matematyka. Gdyby więc wypadło jutro otworzyć uniwersytet, okazałoby się to rzeczą niemożliwą ze względu na brak profesorów na wielu najważniejszych katedrach. Ponadto pomoce naukowe w uniwersytecie są w wielkiem zaniedbaniu i od kilku lat sprowadzana jest bardzo nieznaczna ilość książek i pism do biblioteki. Na drukowanie prac profesorskich ministerjum pieniędzy nie daje i tem się tłómaczy częściowo skąpa ilość tych prac. Tak np. rektor uniwersytetu, Karskij, znany badacz narzecza białoruskiego, niema możności wydrukowania drugiego tomu swej cennej pracy o języku i wymowie Białorusinów. Same nawet „Warszawskija Uniwersitetskija Izwiestija,“ za które wzamian otrzymywano wiele prac naukowych, nie wychodzą obecnie z powodu cofnięcia zapomogi ze strony ministerjum. Tak więc *pogrom* sił i pomocy naukowych — oto sytuacja, w jakiej znajduje się teraz uniwersytet warszawski, na którego popieranie okazały się niezbędne wielkie środki. Czy istnieje jednak pewność, że te wydatki będą owocne, że uniwersytet na jesieni istotnie zacznie funkcjonować?

Zadając sobie to pytanie, prof. Pogodin sądzi, że ministerium nie może mieć co do tego żadnej pewności i tak pogląd swój motywuje:

Wiele razy miałem sposobność—pisze—rozmawiać z młodzieżą polską o uniwersytecie i odniosłem wrażenie, że ona i teraz do uniwersytetu nie pójdzie, choć rozumie całą okropność swego położenia. Stronnictwo demokratyczno-narodowe przyznaje uniwersytetowi rosyjskiemu prawo istnienia w Warszawie dla Rosyan, ale stanowczo odrzuca możliwość wstąpienia do niego młodzieży polskiej. A przecież to stronnictwo jest wciąż jeszcze kierownikiem opinii publicznej w Polsce. Nie mam prawa ogłaszania swych rozmów w tej kwestyi z przedstawicielami rozmaitych partyj. Powiem tylko, że społeczeństwo polskie z męką rozmyśla o rozstrzygnięciu tej kwestyi i obecnie nie może jeszcze powiedzieć, czy uda się stopniowo wprowadzić uniwersytet na pewne tory i czy otwarcie jego nie będzie powodem nowych zaburzeń i niepokojów. W każdym razie bez porozumienia się z Kołem Polskiem w Izbie państwowej ministerium nie powinno by przedsiębrać żadnego stanowczego kroku. Można jednak twierdzić na pewno, że w razie pewnych ustępstw ze strony rządu otwarcie to byłoby możliwe. Należałoby mianowicie dopuścić uczniów polskich szkół prywatnych do uniwersytetu pod warunkiem złożenia egzaminów w obecności delegatów okręgu naukowego; dalej mianować profesorów na wakujące katedry bez różnicy narodowości, pozwolić na docentury prywatne, utworzyć katedry historii, literatury, języka i prawa polskiego. W takich warunkach—kończy profesor—jestem przekonany, że ułożyłby się zupełnie prawidłowy *modus vivendi*.

Czy ułożyłby się istotnie—tego powiedzieć nie możemy, gdyż nie posiadamy zgola żadnych jeszcze danych, potrzebnych do zdobycia tego *przekonania*, jakie profesor Pogodin już posiada. Być może jednak, że „ułożyłby się,” gdyby ministerium oświaty zechciało poważnie zastanowić się nad tą kwestyą i zamiast traktować z delegatami miasta Saratowa o przenosinach uniwersytetu, który, jak to stwierdza autor cytowanego artykułu, jest obecnie zupełną ruiną, bo nieposiada ani profesorów, ani pomocy naukowych — zwróciło się raczej naprawdę do Koła Polskiego w Izbie i wspólnie z niem starało się sprawę wprowadzić na takie tory, na jakich jedynie mogłaby ona być rozstrzygnięta.

Prawdą jest, że społeczeństwo polskie „z męką rozmyśla nad rozwiązaniem tej kwestyi,” ale męki tej bynajmniej nie zmniejszy projektowane przez ministerium na jesień r. b. „próbne” otwar-

cie uniwersytetu rosyjskiego i kwestya pozostanie kwestyą. Ministerium wie o tem dobrze, trudno więc zrozumieć zasadę, dla której chce samo siebie wprowadzać w błąd i myśli o zarządzeniach, które ani na jotę sprawy tak ważnej naprzód nie posuną.

*

*

*

Olbrzymie dzieło jednego człowieka—*Bibliografia polska Estreichera* obejmuje druki polskie od czasów najdawniejszych i obejmuje, jeżeli zostanie doprowadzona do końca, wszystko, co wiek XIX dał nauce i literaturze naszej. Tu jednak jest punkt graniczny. Dalej zamierzenia sędziwego profesora-bibliografa nie sięgają. Czas jednak biegnie szybko naprzód i oto nie obejrzeliśmy się nawet, jak zbiegło nam 7 lat nowego wieku. W ciągu tych lat przybyło nam wiele materyału, nad którym przyszłość musiałaby się mozolić, podobnie, jak się mozolił Estreicher, gdyby nie inicjatywa Towarzystwa Biblioteki Publicznej. Inicjatywa ta dotyczy stworzenia Instytutu bibliograficznego, który zamierza wprowadzić pracę Estreichera w nowe stulecie.

Instytut ten już się zawiązał i już zgromadził całkowity niemal materyał z r. 1901, przygotowując powoli lata następne.

Bibliografia będzie wydawana pięcioleciaми. Tom pierwszy projektowanego wydawnictwa obejmie lata 1901—1905, tom drugi 1906—1910 i t. d.

W każdym tomie materyał bibliograficzny będzie zestawiony w dwa spisy: 1-o w porządku alfabetycznym nazwisk autorów i 2-o według działów naukowych, zgodnie z przyjętym już dziś powszechnie systemem dziesiętnym, który posiada tę wyższość nad wszelkimi innymi systemami bibliograficznymi, że pozwala każdemu odrazu i z łatwością oryentować się w tem, co i w jakiej dziedzinie było w danym okresie czasu drukowane.

Przedsięwzięcie to zakrojone szeroko. Mówić o pożytku jego nie potrzeba. Każdy, kto ma jakąkolwiek styczność z tą czy inną gałęzią nauki, kto nie poprzestaje wyłącznie na czytaniu gazet i najświeższych „nowości“ księgarskich — wie doskonale, jak ogromne usługi oddaje bibliografia i jak niepodobna się obejść bez niej przy najmniejszej nawet pracy, wykraczającej poza dzień dzisiejszy. Stąd jest nadzieja, że Instytut bibliograficzny znajdzie poparcie ze strony wszystkich, pracujących naukowo, że pisarze

polscy będą mu z własnej inicjatywy nadsyłali druki, których niema w obiegu księgarskim, jak odbitki z czasopism lub edycje, wydawane tylko dla szczupłego grona przyjaciół i jednomyślnych.

Obok jednak tego poparcia moralnego, na które Instytut może liczyć bezwarunkowo, praca rozpoczęta potrzebuje jeszcze poparcia materalnego, sumienne bowiem i dokładne prowadzenie wydawnictwa pociągnie za sobą niemałe koszty.

Nauka i literatura polska, jak wiadomo, są bardzo ubogie. Przedstawiciele jednej i drugiej pracują u nas w warunkach, w jakich może gdzieindziej ludzie wprost nie potrafiliby pracować. Życie ich jest najczęściej służbą bardzo ciężką, połączoną z ofiarami, nieraz z zupełnem samowyrzeczeniem się. Od nich więc nie można spodziewać się napływu środków pieniężnych.

Środki te powinny płynąć skądinąd. Inteligentny ogół polski, dla którego nie są obojętne sprawy kultury wogóle, powinien odczuć, że zamierzone wydawnictwo będzie miało znaczenie szersze, że da ono świadectwo naszej kulturze nie tylko wobec nas samych, ale także i wobec obcych, będzie bowiem łącznikiem pomiędzy naukowym i literackim światem polskim, a takimiż światami narodów innych.

Jesteśmy w położeniu wyjątkowem i to położenie specjalnemi obarcza nas obowiązками.

W innych krajach instytuty bibliograficzne pozostają bądź pod opieką państwa, jako zupełnie samodzielne ciała, bądź pod opieką instytucyj naukowych, którym środków dostarcza państwo. Nasz Instytut bibliograficzny jest skromnem przedsięwzięciem prywatnem, powołanem do bytu przez dobrą wolę i energię nie licznego grona osób, zgrupowanych dokoła Tow. bibl. publicznej, Towarzystwa, które dopiero z biegiem lat może zdoła się rozwinąć, wzmocnić i zdobyć sobie środki. Dziś całkowicie opiera się ono na ofiarności publicznej i jedynie ta ofiarność może mu zapewnić istnienie.

Od tej ofiarności zależy także i prowadzenie wydawnictwa bibliografii. Na zyski liczyć tu nie można. Przeciwnie, należy przewidywać trudności i niedobory. Jeżeli jednak tych trudności nie usuniemy zawczasu, tych niedoborów nie będziemy się starali pokrywać—wydawnictwo będzie posuwało się bardzo powoli, będzie ulegało długim przerwom, może nawet przestanie istnieć.

*

*

*

Gdy poruszymy jakąkolwiek kwestyę, dotyczącą naszego życia zbiorowego, czy to w dziedzinie społecznej, czy ekonomicznej, uderza nas przede wszystkim brak dokładnych danych statystycznych. Wydawnictwa warszawskiego komitetu statystycznego, prowadzone niegdyś pod redakcją słynnego prof. Simoneńki, a obecnie pod kierunkiem kryminologa, prof. Jessipowa, zupełnie nie zaspokajają naszych potrzeb, a wartość ich naukowa nie zawsze wzbudza dostateczne zaufanie. Bierzemy też je do ręki raczej z konieczności, a już zupełnie bez tej wiary, iż znajdziemy tam cyfry, bezstronnie oświetlające te lub inne zjawiska naszego życia. Stąd każdą pracę statystyczną choćby na tych samych opartą źródłach, ale podjętą niezależnie od usiłowań biura, witamy, jako dążenie do bezstronności, prawdy i rzeczywistości.

Dążeniem do tej rzeczywistości, do prawdy, do bezstronnego światła odznacza się świeżo właśnie ogłoszona praca p. Henryka Radziszewskiego, poświęcona zobrazowaniu stanu urzędowego szkolnictwa początkowego w Królestwie Polskiem w roku 1903/4.

Pozwalamy sobie zaczerpnąć z tej pracy garść cyfr, które lepiej, niż jakiekolwiek inne argumenty, uzasadniają to wszystko, co w ostatnich latach było u nas mówione o szkolnictwie początkowym i o niezbędnych reformach.

Przedewszystkiem dowiadujemy się z pracy p. Radziszewskiego, że Król. Polske miało w r. 1903 zaledwie 3,929 szkół początkowych, pozostających w zawiadywaniu ministerjum oświaty, a mianowicie w gub. warszawskiej 936, w piotrkowskiej 686, w lubelskiej 419, w kaliskiej 369, w kieleckiej 350, w siedleckiej 311, w płockiej 259, w radomskiej 227, w suwalskiej 195 i w łomżyńskiej 167.

Liczba tych szkół w poszczególnych guberniach zupełnie nie odpowiadała gęstości ich zaludnienia, bo obliczenia szczegółowe wykazują, że 1 szkoła ludowa przypada w gub. radomskiej na 3,976 mieszkańców, w łomżyńskiej na 3,884, w suwalskiej na 3,208, w lubelskiej na 3,149, w siedleckiej na 2,819, w kaliskiej na 2,618, w kieleckiej na 2,560, w piotrkowskiej na 2,345, w płockiej na 2,341, w warszawskiej na 2,320.

Średnio 1 szkoła ludowa ministerjum oświaty przypada w Królestwie na 2,573 mieszkańców.

Liczba tych szkół również nie odpowiada ani ilości dzieci w wieku szkolnym, ani obszarowi poszczególnych gubernij.

I tak w gub. warszawskiej 1 szkoła przypada na 349 dzieci w wieku szkolnym i na 16.1 wiorsty kwadratowej, wobec czego

korzysta z niej zaledwie 20.6% ogólnej liczby dzieci w wieku szkolnym.

W gub. piotrkowskiej 1 szkoła przypada na 370 dzieci i na 15.6 wiorsty kwadr., wskutek czego korzystać z niej może jedynie 25.3% ogółu dzieci w wieku szkolnym.

W gub. kieleckiej 1 szkoła przypada na 432 dzieci w wieku szkolnym i 25.3 w. kw., korzysta zaś z niej 16.4% ogółu dzieci w wieku szkolnym.

W gub. płockiej 1 szkoła przypada na 387 dzieci w wieku szkolnym i 31.9 w. kw., przyczem korzysta z niej tylko 15.9% ogółu dzieci.

W gub. kaliskiej 1 szkoła przypada na 427 dzieci i 35 w. kw., korzysta zaś z niej 15.8% dzieci w wieku szkolnym.

W gub. lubelskiej 1 szkoła przypada na 502 dzieci i 35.2 w. kw., a korzysta z niej tylko 15.2% dzieci.

W gub. siedleckiej 1 szkoła przypada na 441 dzieci w wieku szkolnym i 40.4 w. kw., korzysta zaś z niej 13.2% ogółu dzieci.

W gub. radomskiej 1 szkoła przypada na 698 dzieci w wieku szkolnym i 40.4 w. kw., korzysta zaś z niej 12.8 dziatwy w wieku szkolnym.

W gub. suwalskiej 1 szkoła przypada na 521 dzieci i 55.4 w. kw. korzysta zaś z niej 9.9 ogółu dzieci w wieku szkolnym.

W gub. łomżyńskiej 1 szkoła przypada na 606 dzieci i 55.5 w. kw., zaś korzysta z niej tylko 11.5% ogółu dzieci w wieku szkolnym.

Oto są cyfry, z których bije coś przerażająco smutnego. Dość pomyśleć, że istnieje w Europie środkowej kraj, w którym jedna szkoła przypada na 55 wiorst kwadratowych obszaru, że ta szkoła przeznaczona jest przez ministerium oświaty dla 606 dzieci, z których znaczna część mieszka w odległości 2—7 mil od budynku szkolnego, że do tej szkoły uczęszczać może w takich warunkach zaledwie 11.5% dzieci w wieku szkolnym, pozostałe zaś 89.5% normalnie obchodzić się powinno bez nauki—dość pomyśleć, że taki kraj istnieje i że to my właśnie jesteśmy tym nieszczęśliwym krajem, któremu w dodatku odjęto teraz możność walki z ciemnotą, rozwiązując Macierz, jako instytucję „szkodliwą.“

Idźmy jednak dalej.

Frekwencja uczniów w szkołach początkowych była według danych, zebranych przez p. Radziszewskiego, w r. 1903/4 następująca:

Ogółem do szkół tych uczęszczało 292,910 dzieci, w tem chłopców 194,082, dziewcząt 98,828.

W gub. piotrkowskiej	uczyło się	65,823	dzieci
" warszawskiej	"	65,480	"
" lubelskiej	"	34,838	"
" kieleckiej	"	24,833	"
" kaliskiej	"	24,229	"
" radomskiej	"	21,746	"
" siedleckiej	"	18,292	"
" płockiej	"	16,407	"
" łomżyńskiej	"	11,680	"
" suwalskiej	"	10,073	"

Na jedną szkołę średnio przypadało 72 uczniów. Ze szkół korzystało zaledwie 16.1% ogółu chłopców w wieku szkolnym i 8.5% ogółu dziewcząt.

Na utrzymanie szkół początkowych wydano w jednym roku 2,197, 320 rb., to znaczy, że na 1 ucznia przypada 7 rb. 50 kop., na jednego mieszkańca 20,7 kop., na jedno zaś dziecko w wieku szkolnym 1 rb. 29 kop.

Ogólną sumę wydatków na szkolnictwo rb. 2,197,320 rb. pokryto w sposób następujący:

Ze skarbu wpłynęło 499,112 rb. Gminy wiejskie wpłaciły 688,789 rb., magistraty 781,876 rb. Z ofiar wpłynęło 60,865 rb., z wpisów 182,534 rb., z różnych źródeł 39,644 rb. Skarb zatem na jednego uczniałożył zaledwie 1 rb. 70 kop. rocznie, co daje na jednego mieszkańca 4,7 kop. Z podatków zatem, jakie Królestwo Polskie płaci skarbowi, skarb rocznie na oświatę przeznacza zaledwie po 4,7 kop. od osoby.

Gminy natomiast na 1 ucznia łożą średnio 2 rb. 38 kop., co jednego mieszkańca gmin obciąża wydatkiem 6 kop. Magistraty zaś łożą średnio na 1 ucznia 2 rb. 49 kop., co na 1 mieszkańca miast wynosi 6,4 kop., a na jedno dziecko w wieku szkolnym 48 kop.

Tak mówią cyfry, zaczerpnięte przez p. Radziszewskiego z wydawnictw ministerjalnych, urzędowych.

Do jakich usposabiają one wniosków, jakie budzą refleksye?

Oto widać z nich jasno, jak na dłoni, że tak postawiona sprawa oświaty jest raczej krzewieniem ciemnoty, że iść po tej drodze dalej niepodobna, że nadszedł czas, w którym nie powierzchowne, ale głębokie reformy w dziedzinie szkolnictwa początkowego są niezbędne.

Sprawie tej, jako najważniejszej dla kraju i jego kultury, poświęcaliśmy już na tem miejscu niejednokrotnie bliższą uwagę. Obecnie zatrzymaliśmy się na niej ponownie z powodu niedawnej debaty oświatowej w Izbie petersburskiej, w przekonaniu, że przytoczone powyżej cyfry ilustrują najlepiej ten rozdzwięk, jaki istnieje pomiędzy istotnymi potrzebami kraju, a tem, co Izba dla Królestwa Polskiego i jego sprawy szkolnej zamierza uczynić przy światłej pomocy takich postów, jak osławiony dr. von Aurep.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Jan Tadeusz ks. Lubomirski.

Dn. 7 kwietnia r. b. zmarł w Warszawie jeden z najwybitniejszych obywateli, jakich wydała Polska doby ostatniej — arystokrata z urodzenia, działacz społeczny z temperamentu i upodobań, pisarz z powołania, człowiek zasłużony niemal na wszystkich polach pracy publicznej, myśliciel, przejęty na wskroś głęboką troską o teraźniejszość i przyszłość narodu i kraju, wytrwały lekarz naszych niedomagań, cichy entuzyasta, do którego serca miało przystęp wszystko, co dobre, szlachetne i czyste, miłujący swoje społeczeństwo i przez nie miłowany i czciany otoczony filantrop — ks. Jan Tadeusz Lubomirski.

Urodzony w r. 1826, jako syn ks. Eugeniusza i Maryi z hr. Czackich, córki Tadeusza, znakomitego krzewiciela pracy i oświaty narodowej, książę Jan Tadeusz kształcił się w Petersburgu.

W Warszawie rozpoczął działalność szerszą od prac, drukowanych na łamach naszej *Biblioteki*. Tu ukazały się pierwsze jego studia z zakresu badań nad przeszłością społeczną i ekonomiczną Polski. W pracach tych ujawniła się głęboka wiedza autora i dokładna znajomość stosunków włościańskich, agrarnych, skarbowych i handlowych tak w Polsce przedrozbiorowej, jako też i w smutnej dobie dzisiejszej.

Jednocześnie brał ks. Lubomirski czynny udział w redagowaniu *Encyklopedyi rolniczej*, starając się wspólnie z naczelnym jej redaktorem ś. p. prof. Stanisławem Przyszańskim o postawienie tego wydawnictwa na możliwie wysokim poziomie.

W r. 1862 książę zajął z wyboru stanowisko członka Rady wychowania publicznego. Szczególną uwagę jego już wówczas

zajmowała sprawa rozwoju rzemiosł, jakoż próbował się zająć pracą organizacyjną w tej dziedzinie. Wybuch powstania nie pozwolił mu jednak rozwinąć w tym kierunku szerszej działalności, zwłaszcza, że niedługo potem fala wypadków oderwała go na czas dłuższy od kraju.

Po powrocie z wygnania stanął na dawnych zagonach pracy i tu dopiero w całym blasku zajaśniał, jako działacz i obywatel. W najniepomyślniejszych warunkach, w dobie apatii i odrętwienia, pełen był hartu i nadziei, nie wahał się imać najdrobniejszych prac, wierząc w ich pożytek i potrzebę dla rozbitego społeczeństwa.

Jako długoletniego prezesa Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności znała go Warszawa dobrze. Z jego to inicjatywy powstał cały szereg ochron, utworzyły się czytelnie bezpłatne, ukazały się podręczniki tanie w zakresie rozmaitych gałęzi rzemiosł, zawiązały się pierwsze spółki rzemieślnicze.

Ks. J. T. Lubomirski należał też do założycieli Muzeum przemysłu i rolnictwa i Tow. kredytowego miasta Warszawy, na którego czele stał przez czas długi, jako prezes Rady nadzorczej.

Wszystko, do czego rękę przyłożył, rosło i rozwijało się jego inicjatywą, jego rozumem przewidywaniem i wolą obywatelską, która pragnęła budować i tworzyć w imię i dla dobra ogólnego.

Szeregiem lat takiej pracy zdobył sobie zmarły rzadką w naszych stosunkach popularność i rzadkiem cieszył się uznaniem. To też kiedy przed kilku laty, już jako mąż sędziwy i pełen zasług, obchodził skromnie i cicho jubileusz swej pracy obywatelskiej, pochylili się przed nim zgodnie wszystkie głowy, czcąc w nim człowieka i obywatela na miarę niezwykłą.

Gdzieindziej, na szerszej arenie życia publicznego, ks. Jan Tadeusz Lubomirski odegrałby niewątpliwie rolę nieskończenie większą, był bowiem stworzony na wybitnego męża stanu. W warunkach nieszczęśliwych kraju, którego był wiernym i oddanym synem, nie spotkały go żadne zaszczyty, oprócz uznania współobywateli. To uznanie jednak zmarły cenił sobie najwyżej i gdy podczas obchodu jubileuszowego doręczono mu medal pamiątkowy, wybitny na jego cześć—przyjął go z głębokim wzruszeniem, podobnie, jak dyplom członka, nadesłany mu przez krakowską akademię nauk, jako zasłużonemu autorowi „Jurysdykcji patrymonialnej w Polsce,” „Ludności rolniczej w Polsce,” „Kodeksu dyplomatycznego księstwa Mazowieckiego” i wielu innych cennych rozpraw historycznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych.

Aby ująć i ocenić całą działalność zmarłego pisarza i działacza, należałoby poświęcić jego osobie oddzielne studium, w którym na tle epoki wystąpiłaby dopiero w świetle właściwym piękna postać tego starca o nazwisku arystokratycznym a nawskroś demokratycznych dążeniach, ożywiających jego umysł i karmiących serce wielką ideą odrodzenia narodu.

W dziele tego odrodzenia ks. Lubomirski był niezwykle pożytecznym pracownikiem i niewątpliwie przyszłość złoży kiedyś pamięci jego hołd za to i rzuci niejeden kwiat wdzięczności na jego mogiłę.

Tymczasem—żegnamy go szczerym żalem, który w poczuciu straty, jaką poniosło społeczeństwo polskie, wypełnia serca wszystkich, niezależnie od obozów i stronnictw, do których należą.

Cześć jego życiu, jego pracom wytrwałym, jego ukochaniom głębokim i szlachetnym!

Ś. p. Ludwik Górski.

Ziemiaństwu polskiemu ubył wybitny, niestrudzony, pełen zasługi obywatelskiej przewodnik. Umarł Ludwik Górski, długoletni prezes Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wytrwały obrońca jego spraw i interesów, czujny, mimo sędziwego wieku, strażnik tej najpoważniejszej w kraju naszym instytucji finansowej.

Urodzony w r. 1818 w Końskich, w województwie sandomierskim, z ojca Franciszka, podpułkownika wojsk polskich i Teodozyi z Krępskich, syn żołnierskiej rodziny, pierwsze pobierał nauki w słynnym podówczas korpusie kadetów w Kaliszu. Świadczy to, że rodzice przeznaczili go z góry do służby wojskowej. Inaczej jednak chciały losy.

Po wybuchu i upadku powstania listopadowego zmieniły się do gruntu stosunki, panujące w Królestwie Polskiem. Korpus kaliski został zamknięty. Młody kadet znalazł się wówczas w kolegium pijarskiem na Żoliborzu w Warszawie. I to jednak kolegium rząd zamknął. Przeniesiony do gimnazjum gubernialnego, szkołę tę Górski ukończył chlubnie, w chwili jednak, gdy rozglądał się za wyborem wyższego zakładu naukowego, gdzie mógłby

dalej zdolności swoje rozwijać i wiedzę, do której miał zamiłowanie, pomnażać—zaskoczyła go śmierć ojca.

Jako dwudziestoletni młodzieniec z konieczności musiał więc objąć ster interesów rodzinnych i troszczyć się o wychowanie młodszego od siebie rodzeństwa. Była to jego wyższa szkoła, szkoła życia; która nauczyła go wcześniej oryentować się w zawitych sprawach ekonomicznych i agrarnych i dała mu te podstawy praktyczne, które następnie ułatwiły mu zdobycie rozległej wiedzy teoretycznej w zakresie gospodarstwa krajowego.

Podróże i studia naukowe, prowadzone na własną rękę, postawiły przed umysłem młodego rolnika cały szereg zagadnień pierwszorzędnej doniosłości. Zagadnienia te starał się rozwiązać zgodnie z duchem czasu i poświęcił im niejedną chwilę skupionych i głębokich rozważań.

Objąwszy w r. 1844, po zaślubieniu Pauliny hr. Krasieńskiej, zarząd dóbr sterdyńskich, Górski postanowił swoje plany, naówczas bardzo jeszcze nowe i mało mające zwolenników wśród szerszych kół ziemiaństwa krajowego, powoli urzeczywistniać.

W tym celu podjął cały szereg reform, które w krótkim czasie odbiły się niezmiernie korzystnie na gospodarstwie sterdyńskim. Jedną z najważniejszych w tym kierunku reform było przejście z ustroju pańszczyźnianego na system oparty na robociźnie płatnej i oddzielenie gruntów włościańskich od dworskich.

Jak ta reforma była przeprowadzona i czyje interesy miała na względzie—o tem świadczy najwymowniej znany powszechnie fakt, że kiedy po r. 1864 Komisya włościańska zaproponowała gospodarzom sterdyńskim powrót do dawnych gruntów, gromada jednomyślnie skorzystała z tego nie chciała.

Jednocześnie wprowadził Górski u siebie wszystkie możliwe wówczas do wykonania melioracje, a więc osuszanie gruntów, kopanie kanałów, jak kilkunastowiorstowy kanał do Buga, budowanie domów dla służby folwarcznej i t. d.

Takie były początki działalności obywatelskiej zmarłego prezesa. Nic dziwnego, że zjednały mu one stopniowo rozgłos i uznanie, zwłaszcza, że reformator miał się także często pióra i poglądy swoje wykladał jasno w „Rocznikach gospodarstwa krajowego.“

W r. 1856 Górski, wspólnie z obywatelem tej miary co Andrzej hr. Zamoyski, bierze czynny udział w pracach nad założeniem Towarzystwa rolniczego i jest w znacznej części autorem ustawy tego Towarzystwa.

Po klęsce powstania nie opadają mu ręce, ale mają się nowej pracy. Powołany w r. 1864 przez swoich współpowietników na

radcę Tow. kredytowego ziemskiego, pracuje niezmordowanie w tej instytucji przez lat 42, najpierw, jako radca, następnie od r. 1890 do 1906, jako prezes Komitetu.

Instytucja ta zawdzięcza mu wiele i z jej dziejami nazwisko Górskiego zespolone jest tak ściśle, że tam właściwie należy szukać materiałów do jego życiorysu, jako obywatela.

W tym okresie rozszerzyła się też znacznie i pogłębiła praca publicystyczno-naukowa Ludwika Górskiego.

Z pod pióra jego wyszedł długi szereg prac, poświęconych rozmaitym zagadnieniom życia polskiego. Prace te były drukowane bądź w naszej *Bibliotece*, bądź w *Kronice rodzinnej*, w *Niwie* i w *Słowie*. Niektóre z nich wyszły wreszcie oddzielnie. Do najciekawszych i najważniejszych należą: „Rzut oka na stan teraźniejszy i przyszły gorzelni w Polsce pod względem ich wpływu na rolnictwo,“ „Co nazywamy okupem pańszczyzny,“ „O ekonomicznych zasadach dzierżawy dóbr ziemskich,“ „O stowarzyszeniach ubezpieczeniowych,“ „O konserwatorstwie w Polsce,“ „Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Król. Polskiem,“ „Andrzej Zamoyski,“ „O towarzystwach wzajemnej pomocy,“ „O serwitutach,“ „O ochronkach wiejskich.“ Wreszcie dwie prace, drukowane w *Niwie*, które w swoim czasie były przedmiotem szerokiego zajęcia i dyskusji: „Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich w Król. Polskiem“ i „Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby drobnej własności ziemskiej.“

Wszystkie te prace znamionował sąd poważny, trzeźwy, oparty nie tylko na przesłankach teoretycznych, ale i na głębokiej miłości kraju i odczuciu jego najistotniejszych potrzeb.

Z przekonania konserwatysta, nie był jednak Górski człowiekiem ciasnym. Ogarniał całość interesów kraju i był wytrwałym i pełnym nadziei rzecznikiem jego ekonomicznego i kulturalnego odrodzenia.

Działalność jego była tak wielostronna i szeroka, że niepodobna na tem miejscu ująć jej ani zobrazować. Można tylko podkreślić, że była ona bezwzględnie pożyteczna i pozostawiła po sobie trwałe ślady.

Wzorowy gospodarz na własnym zagonie, niezrównany administrator własnego majątku, zawsze gotów na wezwanie tam, gdzie go powoływał obowiązek, chętny do służenia innym, ofiarny a nawet szczodry na cele dobra ogólnego, filantrop, czuły na niedolę bliźnich—pozostawia po sobie Górski pamięć jasną człowieka o niepospolitych zaletach umysłu, serca i charakteru.

I był on niewątpliwie człowiekiem niepospolitym.

Umarł dn. 11 kwietnia r. b. w 90-tym roku życia, w którym było mało pociech i radości, wiele pracy i miłości.

Oczy jego patrzyły w dzieciństwie na stosunki, których już dziś nikt nie pamięta, męskie jego lata zbiegły się z latami najcięższych klęsk dla kraju, a łagodna i cicha starość oglądała złudną jutrznię nowych dni, z wiarą poglądając w przyszłość narodu.

Ufny w jego siły, w jego zdolność do dźwigania się z upadku, ś. p. Ludwik Górski był przykładem pracy, która tworzy, buduje i umacnia fundamenty. Cześć mu i wdzięczność za to.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE W WARSZAWIE. W dniu 2 kwietnia r. b. w lokalu Towarzystwa Naukowego warszawskiego, odbyło się trzecie posiedzenie naukowe wydziału III przyrodniczo-matematycznego, na którym wysłuchano następujących komunikatów:

1-o p. J. J. Boguskiego: (w imieniu swoim i p. W. Kreczyńskiego): „O wpływie reakcy i jej prędkości w układach niejednorodnych“ (miedź i azotan srebrowy).

2-o p. L. Silbersteina: „Drgania elektromagnetyczne przewodnika kulistego.“

3-o p. J. Tura: „Nowa serya doświadczeń nad działaniem teratogenetycznem promieni radu.“

Oraz 4-o p. St. Miklaszewskiego: „Badania nad „bielicami“ powiatu Konstantynowskiego.“

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Na ostatniem posiedzeniu Komisji do badania historii sztuki w Polsce przewodniczący, Prof. Dr. M. Sokołowski, poświęcił gorące wspomnienie zmarłemu d. 28 listopada ś. p. Stanisławowi Wyspiańskiemu, który przez szereg lat był członkiem Komisji i żywo interesował się jej pracami.

Prof. Dr. M. Sokołowski przedstawił fotografię ołtarza w Bodzentynie, nadesłaną przez p. St. Zaborowskiego. Jest to śliczny ołtarz rzeźbiony z drzewa niewątpliwie przez tych samych włoskich artystów, którzy dekorowali „perłę renesansu“, kaplicę Zygmuntowską na Wawelu. W ołtarzu tym powtarzają się te same motywy i ornamenty, które zdobią wspomnianą kaplicę a wykonane są z tą samą precyzją i starannością. Następnie Prof. Dr. M. Sokołowski przedstawił i objaśnił odlew gipsowy plakiety Caraglia, będącej własnością muzeum berlińskiego. P. Franciszek Klein mówił o barokowych ko-

ściołach Warszawy. Szesnaście pomników architektury składa się na grupę barokowych kościołów Warszawy. Rozpada się ona na dwie mniejsze. Pierwszą tworzą budowle podłużne, w których można rozróżnić trzy typy. Jeden przedstawia nam typ budowli jednonawowej, z kaplicami po bokach, najwyraźniej występujący w kościele Wizytek a mający bardzo wiele podobieństwa z planem rzymskiego kościoła Santi Apostoli. Do tego typu należy kościół św. Marcina (Augustyanów), św. Ducha (Paulinów) i dwa pomniejsze Reformatów i Kapucynów. Drugi typ przedstawia nam w zasadzie budowlę jednonawową, która niema kaplic we właściwym tego słowa znaczeniu t. j. przestrzeni, tworzącej dla siebie zamkniętą całość, ale tylko płytkie arkadowe wgłębienia dla pomieszczenia bocznych ołtarzy. Tutaj należy kościół Bernardynów i Karmelitanek na Lesznie a także do pewnego stopnia Pijarów. Plan tego typu budowli ma wiele pokrewieństwa z planem kościoła rzymskiego S Domenico e Sisto, zbudowanego w 1630 r. W trzecim typie kościołów warszawskich widzimy zastosowany plan słynnego kościoła Il Gesu. Głównym reprezentantem tego typu jest kościół św. Józefa (Karmelitów), zbudowany w 1643 r. przez Bellotti'ego. Nie może on jednak równać się pod względem wartości artystycznej z rzymskim pierwowzorem. Pierwszą odmianę tego typu znajdujemy w kościele św. Franciszka i św. Krzyża, które mimoto—tu należą.

Drugą grupę barokowych kościołów Warszawy tworzą budowle centralne. Składa się ona z trzech niewielkich kościołów, które jednak ze względu na ich wartość artystyczną powinny zająć pierwszorzędne miejsce w historii baroka. Grupa ta rozpada się na dwa typy. Do pierwszego należy kościół Sakramentek i kościół w Czerniakowie. Podstawą planu jest krzyż równoramienny. Pierwszeństwo należy przyznać kościołowi P. P. Sakramentek. Tak w koncepcji planu, jak i w jego wykonaniu jest on tworem pełnym wykwintu i elegancji, jaką wniosła do Polski fundatorka, królowa Marysieńka. Pierwowzorów tych kościołów należy szukać znowu w Rzymie, mianowicie w kaplicach papieskich przy kościele S. M. Maggiore. Są to kaplice papieża Sykstusa i Pawła V. Drugi typ budowli centralnych streszcza się w kościele Kamedułów na Bielanach, pod Warszawą. Kościół ten jest przykładem baroka niemieckiego a w szczególności wiedeńskiego. Pierwowzorem jego są wiedeńskie kościoły św. Piotra i św. Karola Boromeusza.

Sekretarz Komisyi, p. Julian Pagaczewski, streścił komunikat p. Michała Witanowskiego o obrazie Borzymowskiego. Obraz ten, przedstawiający Zwiastowanie, znajduje się w Kozłowie pod Małogoszczą. Jest to predella malowana na drzewie lipowym. Referent udowadnia, że obraz ten — podpisany przez autora, powstał jeszcze w ostatnich latach XVI w. Ciekawy to przyczynek do działalności Borzymowskiego, którą dotychczas znaliśmy tylko ze źródeł archiwalnych.

Następnie p. Julian Pagaczewski podał wiadomość zaczerpniętą z archiwum kościelnickiego a dotyczącą działalności Baltazara Fontany w Polsce. Dotychczas sądzono, że Fontana przybył do Krakowa poraz pierwszy dopiero w 1695 r., t. j. w roku, w którym zaczęto dekorować stiukami kościół św. Anny—tymczasem umowa między Fontaną a Barbarą z Moskorzewa Morsztynową, starościna Kowską, w sprawie przyozdobienia stiukami kaplicy Morsztynów

w Wieliczce, dowodzi, że B. Fontana już w 1693 r. bawił przez jakiś czas w naszym kraju. Wreszcie p. Julian Pagaczewski przedstawił fotografię obrazu bł. Kadłubka, który znajduje się w kaplicy przy kościele św. Wojciecha w Krakowie. Referent na podstawie analizy porównawczej przypisał ten obraz, w którym widoczny jest wpływ Carla Maratty — Szymonowi Czechowiczowi (1689—1775).

— BIBLIOTEKA ORDYNACYI HR. KRASIŃSKICH. Miesiąc ostatni zaznaczył się obfitym napływem książek i rękopisów do biblioteki Ord. Krasińskich. Na pierwszym miejscu wymienić należy piękny dar, jaki otrzymała biblioteka od wykonawców ostatniej woli ś. p. Józefa Drege'a, znanego w naszym świecie naukowym bibliografa i wybitnego znawcy historii ogrodnictwa w Polsce. Biblioteka jego, jedyna w swoim rodzaju, dosięgła bardzo znacznych rozmiarów, i zawierała pierwszorzędną rzadkości druki, ryciny i rękopisy z zakresu nauk przyrodniczych i ogrodnictwa. Dział bibliograficzny również bogato był reprezentowany. Główny zrąb tej biblioteki, mianowicie wszystkie rękopisy i dzieła odnoszące się do ogrodnictwa, oraz materiały do bibliografii ogrodniczej polskiej skrzętnie zbierane przez szereg lat przez ś. p. Drege'a, ofiarowane zostały bibliotece Krasińskich. Sumaryczny spis tych zbiorów, złożony zarządowi biblioteki przez ofiarodawców, wykazuje z górą 4,300 pozycyj, a są tam między innymi prawdziwie białe kruki, jak dzieła: Syreniusza, Macieja z Urzędowa i t. p. Na razie cała ta biblioteka umieszczona jest w pakach. Nieodzwone dla pomieszczenia jej szafy już są w robocie i jest nadzieja, że jeszcze przed feryami letnimi cała biblioteka ustawioną będzie na półki, i wtedy będzie można przystąpić do ścisłego zinwentarowania kolekcyj. Zbiór ś. p. Drege'a pomieszczony będzie oddzielnie; podobnie więc jak biblioteka Józefa Wolffa i Władysława Górskiego, stanowić będzie trwałą pamiątkę pracy naukowej ś. p. Drege'a, którego przedwczesna śmierć nie dała mu możliwości dokończenia całego szeregu rozpoczętych prac bibliograficznych i ogrodniczych.

Pożądanemby było, aby niektóre rozproszone po świecie dzieła, należące niegdyś do biblioteki ś. p. Drege'a do tegoż zbioru kiedyś weszły, celem odtworzenia całości biblioteki tak skrzętnie i z takim zaparciem się zbieranej przez ś. p. Drege'a przez całe życie, pełne trudu i poświęceń w tym kierunku.

Oprócz powyższej biblioteki zbiory Ord. Krasińskich wzbogacone zostały licznymi nabytkami; z tych zacytujemy:

1) Rękopis historyka *Mikołaja Malinowskiego*—(4-o, kart 63) zawierający część jego pamiętników, pisanych po łacinie z czasów pobytu w Petersburgu w 1827 i częstych wówczas stosunków jego z Mickiewiczem. Pamiętnik ten, zawierający przeważnie szczegóły życia prywatnego Malinowskiego, Mickiewicza, Orłowskiego—ma także wartość literacką, pomieszcza bowiem cenne wiadomości o improwizacjach Mickiewicza, o cenzurowaniu „Walenroda“ i wogóle zawiera cały szereg drobnych szczegółów, które mogą być przydatne dla naszych historyków literatury.

2) *Siedm dyplomatów odnoszących się do Jędrzejowa* (w Kaliskiem), sławne go ze swego opactwa Cysterskiego, w którym życia dokonał mistrz Wincenty Kadłubek. Są to mianowicie:

- a) 1273 r. 9 kal. Maii. Dyplom biskupa krakowskiego Pawła, poświęcający przywilej Bolesława Wstydlwego i Kunegundy, nadający prawo Magdeburskie dla Jędrzejowa w r. 1271.
- b) 1425 r. 18 sierpnia (Sabb. infra octavas Assumpt. B. M. V.) Władysława Jag., potwierdzenie przywileju Bolesława Wstydlwego z 1271 (z oryginału).
- c) 1440 r. 2 marca (fria 4-o post Ducam Oculi). Władysława III potwierdzenie przywileju Kazimierza Wielkiego z 1336 roku dla opactwa Jędrzejowskiego (przedrukowany w kodeksie Małopolskim str. 245 z późniejszego kopiaryusza Jędrzejowskiego).
- d) 1533 r. Zygmunta I potwierdzenie przywileju Władysława Łokietka z 1308 r. (die 4-o kal. Junii, a nie 6-o jak w kodeksie Małopol. str. 168 — 169) i przywileju tegoż z 1318 (kod. Małopol. str. 185—186), oraz nadania Bolesława Wstydlwego z 1271.
- e) 1635 2/III Władysława IV ustanowienie jarmarków w Jędrzejowie.
- f) 1735 26/V Augusta II potwierdzenie przywileju Stefana Batorego z r. 1581, w którym są ingrosowane przywileje dla Jędrzejowa: Zygmunta I z r. 1510 i Zygmunta Augusta z 1553.
- g) 1778 25/VIII Stanisława Augusta potwierdzenie powyższego przywileju Augusta III i włączonych do niego przywilei Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego.

Dyplomaty te nie były dotąd znane wydawcom naszych kodeksów, w oryginałach, znano je tylko z późniejszych i niedokładnych odpisów. Pierwszy wymieniony tu dyplom został przedrukowany przez Fr. Piekosińskiego w kodeksie Małopolskim (str. 101—102), ale z późniejszego kopiaryusza Jędrzejowskiego. Włączone do tego dyplomu nadanie Bolesława Wstydlwego z 1271 r. przedrukowane było przez Helcla w jego rozprawce o klasztorze Jędrzejowskim (Rocznik Tow. Nauk. Krak. T. I, zes. I, str. 160—166), ale z transumptu 1533 r., wpisanego do Metryki koronnej i nie pozbawionego błędów kopisty. Różnice jakie zachodzą pomiędzy nabytym teraz oryginałem z 1273 są niewielkie, ale godne uwagi przy sporządzeniu regestów lub nowego wydania kodeksu.

Drugi dyplom nie przynosi nic nowego, jest tylko powtórzeniem powyższego nadania Bolesława Wstydlwego o tyle dla nas ważnem, że da możność uzupełnienia braków w oryginale z 1273 r., nie najlepiej zachowanym.

Trzeci dyplom jest ważny z tego względu, że zawiera odpis przywileju Kazimierza Wielkiego z 1336 dla opactwa Jędrzejowskiego dawniejszy, niż ten, z którego korzystano dotąd.

Wszystkie te trzy dyplomy oraz wszystkie inne nadania dla miasta Jędrzejowa uchodziły za zaginione. Z przywileju Zygmunta I z r. 1510, wpisanego do dyplomu Augusta III (ob. wyżej) dowiadujemy się, że w tym roku (1510) mieszczaństwo Jędrzejowskie uprosiło króla o wydanie im nowego przywileju na prawo Magdeburskie, dowodząc, że wszystkie dawniejsze nadania zostały spalone w ostatnim pożarze, jakiemu uległo miasto. Wskutek

tej prośby wysłani byli komisarze dla zbadania sprawy na miejsce i dopiero po ich orzeczeniu Zygmunt I nowe przywileje miastu nadał. W 1533 r. zjawiają się znowu zagubione nadania, które potwierdza Zygmunt I osobnym przywilejem. Dokument ten (z r. 1533) zawiera odpisy przywilejów Łokietka z 1308 i 1318 roku, znowu znacznie dawniejsze niż dotąd znane.

3) *Przywilej* pergaminowy z pieczęcią *Zygmunta Augusta z 1553* dla miasta Secymina, potwierdzający nadanie Zygmunta I z 1519 roku.

4) *Dwa rękopisy XV w.* a) Kodeks z pierwszej połowy XV w., in 4-to kart 123, oprawny w deski, cały pisany jedną ręką XV w. z wyjątkiem ostatnich dwu kart, gdzie są dopiski późniejsze (z pocz. XVI w. treści teologicz.). Brak zapewne początkowej karty z tytułem rękopisu; na pierwszej, dochowanej w rękopisie, jest część końcowa przywileju biskupa poznańskiego, Stanisława Ciołka (zm. 1438 r.), którym to przywilejem biskup poleca całej swojej diecezji, a w szczególności duchowieństwu, trzy traktaty, napisane przez *Mikołaja z Błonia*, magistra i kapelana swego. (... Praesentem tractatum de administrandis rite ecclesiasticis sacramentis, celebrandisque missarum solennis et se censuris Ecclesiasticis canonice observandis per venerabilem virum Magistrum Nicolaum de Blo-e decretorum doctorem Capellanum nostrum devotum fideliter collectum...) W końcu rzeczzonego przywileju, biskup poznański rozkazuje duchowieństwu, aby się stosowało do zawartych w tych traktatach prawideł pod rygorem kar synodalnych (poenam synodalem irremissibiliter persolvendam...). Cały rękopis dzieli się na trzy części: w pierwszej znajdujemy traktat „de Sacramentis“ k. 1-sza do k. 64, w drugiej traktat „de celebratione missae“ k. 64 do k. 93, w trzeciej traktat „de Censuris ecclesiasticis“ k. 93 do k. 122.

Dzieło to, będące jedną z ważniejszych prac Mikołaja z Błonia, wydaniem było wielokrotnie. Znane są wydania XV wieku, z lat: 1487, 1488, 1490, 1492, 1494, 1499. Oryginał rękopisu miał się znajdować w bibliotece Dominikanów krakowskich jeszcze w końcu XVIII w. (Wiszniewski V, 72). Być może, że egzemplarz, nabyty obecnie do bibl. Krasieńskich, jest tym samym, bo znajdujemy na nim dopisek XVI w.: „Pro Couventu Kracoviensi,“ a papier i pismo rękopisu każą go odnieść do pierwszej połowy XV w.

b) Rękopis z połowy XV w. in 4-o kart 275, oprawny w skórę gładką z okuciami XV wieku. Na okładce ręką XV w. Libellus valde pulcher Andree de Przandeczyne... perutilis.“ ręką XVI w. „Mathias Skrzyn 7 go qui soleo alienorum castra penetrare non tanquam trausffuga sed bonus explorator.“ Ręką XVII w. Ex Bibliotheca St. Crucis in Calv. Monte 1694. Na spodniej okładce notatki ręką XV w. „1473 Capistranus Crac. benedict.—1471. Cometes.—1470 Ruina scole Stae Anne.“

Rękopis pisany jest trzema rękami XV w. Część pierwsza: ręką A od k. 1 do k. 132, i ręką B k. 133—158. Część ta zawiera traktat o stworzeniu człowieka i o grzechach. Na k. 149 „hoc opus est fiutum XIII Marci Anno Domini Millesimo quadringentesimo LXII“ (1462). Poczem następuje dokładny registr k. 150—158. Na k. 158—162. Legenda o św. Aleksym i Euphaminie wierszem łacińskim.—Na k. 166 ręką trzecią C. zaczyna się w układzie alfabetycznym interpretacya nowego i starego testamentu, kończąca się na k. 266 słowami:

Finis est libri super distinctiones exemplorum Novi et Veteris Testamenti abbreviatus et eductas ad diversas materias secundum ordinem alphabeti per Fratrem Gvidum de Senis ordinis fratrum heremitarum Sancti Augustini. Et hoc opus est scriptum sub anno Domini millesimo quadricentesimo sexagesimo secundo... (1462)...

Na k. 267—275 inną, późniejszą zapewne ręką krótki traktacik: „De Cena Dni.“ Kilka kart w środku rękopisu wyszarpiętych.

Fr. Pułaski.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

CHODYNICKI HENRYK: Sejmiki ziem ruskich w wieku XV. (Studia nad historią prawa polskiego, wydawane pod redakcją Oswalda Balzera). Tom III, zeszyt I. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 119.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Człuchów. Obraz historyczno-statystyczny z przeszłości Pomorza. Skreślił... Odbitka z rocznika XIV Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Toruń, 1907. Kraków, Gebethner i Sp. 8-o, str. 166.

KOZŁOWSKI WŁ. M.: Autonomia Królestwa Polskiego (1815—1832). Warszawa, 1907. Skł. głów. E. Wende i Sp. 8-o, str. 277.

LESZCZYC KAZIMIERZ: Herby szlachty polskiej. Zeszyt 3. Poznań, 1907. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. St. 29—44 + tabl. X—XII.

RADLIŃSKI IGNACY: Na przełomie dziejowym. Początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. G. Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 158.

RĘCZYŃSKI JERZY: Moja wojaczka 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień... ułożył Władysław Chodźkiewicz. Lwów, 1908. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 134 + IV.

HISTORIA LITERATURY.

BAUMFELD ANDRZEJ: Andrzej Towiański i Towianizm. Zarys chwili i postaci. Kraków, 1908. Nakł. księg. D. E. Friedleina. 8-o, str. 73 + VI.

SZYJKOWSKI MARYAN, DR.: Génie du Christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej. Lwów, 1908. U Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. VIII + 222.

TRETIAK JÓZEF: Goethe i Hakata. Kraków, 1908. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 16.

POWIEŚĆ. — POEZYZA.

BAKOWSKI KLEMENS: Opowieść IMCI Pana Dymka, żaka i pisarza cechowego. Kraków, 1908. Nakł. autora. 8-o, str. 141.

BLIŻIŃSKI JÓZEF: Rozbitki. Komedya w czterech aktach. Lwów, 1908. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 62.

BRZÓZKA GRZEGORZ: Sara. Powieść współczesna. Płock, 1908. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 174.

CARŁO LEOPOLD: Nowe drogi. Z przedmową ks. arcybiskupa Teodorowicza. 8-o, str. VIII + 171.

FREDRO ALEKSANDER, HR.: Dożywocie. Komedya w trzech aktach wierszem. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 88.

— Zemsta. Komedya w 4-ch aktach, wierszem. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Jan Michalski. Warszawa, 1908. Książ. dla wszystkich № 389. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 122.

GAWALEWICZ MARYAN: Bez celu. Powieść na tle społecznem naszych czasów. Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. Fiszera. 8-o, t. I str. 226 + t. II str. 202.

GLADA JÓZEF: Sergiusz Wasilewicz Gardow. Powieść współczesna w dwóch tomach. Wyd. drugie. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 294.

IBSEN HENRYK: Hedda Gabler. Sztuka w 4-ch aktach. Przekład Karhal. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 99.

JEDNODNIÓWKA. Sanatorium Dłuskiego. Kraków, 1908. 4-o, str. 47.

KONOPNICKA MARYA: Prometeusz i Syzyf. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 62.

— Wybór poezyi. Wydanie III. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 16-o, str. 400.

KRASICKI IGNACY: Pan Podstoli. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 482.

KRZYŻANOWSKI ANATOL: Pasierby, powieść na tle współczesnem, poprzedzona słowem wstępem Henryka Sienkiewicza. Kraków, 1907. Spół. Wyd. Polska. 8-o, str. 308.

POL WINCENTY: Mohort. Rapsod rycerski. Ze wstępem i objaśnieniami Kazimierza Króla. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Wybór pis. pol. dla domu i szkoły, № 9. 8-o, str. 148.

SEWER (Ignacy Maciejowski): Łusia Burlak. Nowela na tle najprawdziwszych faktów osnuta. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Uniw. ludowych № 61. 8-o, str. 74.

SIENKIEWICZ HENRYK: Pisma t. XXXI/XXXVI. Krzyżacy. Wydanie trzecie. Warszawa, 1908. Nakład i własność Wydawców. Gebethner i Wolff. 8-o, t. I str. 338; t. II str. 268; t. III str. 339; t. IV str. 357.

SIENKIEWICZ HENRYK: Pod Zbarażem. Z powieści „Potop.” Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 80.

SIENKIEWICZ HEINRICH: Gesammelte Werke. 8 Bd. Die Familie Polaniecki. Roman. Deutsch von Klara Hillebrand. Mit Einleitung. Mit 8 Vollbildern v. B. Konrad. Graz. Styria, 1907. 8-o, str. VII+1069.

STRUG ANDRZEJ: Ludzie podziemni. Serya I. Lwów, 1908. Pol. Tow. nakł. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 313.

SZEKSPIR: Hamlet królewicz duński. Przekład Józefa Paszkowskiego. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 139.

WYSPIAŃSKI STANISŁAW: Lelewel. Dramat w 5 aktach. Wydanie drugie pozgonne. Kraków, 1908. Księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 89.

ZABŁOCKI FRANCISZEK: Fircyk w zalotach. Komedya w 3-ch aktach. Według tekstu Gröllowskiego, opracował Bronisław Kąsinowski. Brody, 1907. Nakł. księg. Feliksa Westa. 8-o, str. 120.

NAUKI PRZYRODNICZE. — MEDYCYNĄ.

GORCZYŃSKI LADISLAUS, Docteur ès Sciences: Sur la marche annuelle de l'intensité du rayonnement solaire à Varsovie et sur la théorie des appareils employés. D'après les mesures faites à la Station centrale Météorologique de Varsovie pendant les années 1901—1905. Edition française, traduite en polonais. 1906. Edition publique sous les auspices du Bureau Météorologique du réseau de Varsovie. Dépôt de Mm. E. Wende et. C-ie, librairies à Varsovie.

JORDAN HENRYK, DR.: Nauka o położnictwie dla użytku uczniów i lekarzy. Napisana przez... Prof. położnictwa i ginekologii w Uniw. Jag. i Dr. Stanisława Dobrowolskiego, pryw. doc. położnictwa i ginekologii w Uniw. Jag. i z. prof. c. k. Szkoły położnych w Krakowie. Z portretem ś. p. Prof. Edwarda Korczyńskiego. Kraków, 1908. Wyd. dzieł lekarskich polskich im. Edw. Korczyńskiego. 8-o, str. I nlb. + 914.

LEWIŃSKI JAN: Utwory jurajskie t. zw. „pasma Sulejowskiego.” Kraków, 1908. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 26.

ŁASKI WINCENTY, DR.: Podręcznik anatomii człowieka i zwierząt. Zestawienie w oświetleniu fizyologii i histologii. Opracował podług D-rów Vogla, Müllenhoffa i Büschera... Kurs V oraz dodatek. Ze 124 rysunkami w tekście i atlasikiem anatomicznym. Tablic 44. Warszawa, 1908. Nakł. księg. L. Fischera. 8-o, str. 153.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Książę Jan Tadeusz Lubomirski.

Przy tym nastroju duchowym, jaki zapanował w społeczeństwie naszym po wypadkach 1863 r., kiedy jedni po kątach załamywali ręce w rozpacz nad spustoszeniem, zalegającym kraj od Warty do Dniepru; drudzy, z utajonem zadowoleniem w filisterskiem sercu, że nareszcie przerwały się bezpośrednie powody nieustannych lęków i rozdrażnień, wracali z odetchnieniem do powszednich zajęć i rozrywek; a inni, stanowiskiem i zamożnością najwłaściwsi do podania ręki upadłym i bezradnym, zamknęli się jak żółwie w skorupach, lub w dogodnych ustroniach zagranicą, czekali spokojnie co tam z tego wszystkiego wyniknie; kiedy ostatecznie łatwo zrozumiała niepewność ogarnęła nawet chętnych i uczciwie myślących ludzi; — niepodobna było, zdaje się, nawet pomyśleć o jakimś działaniu publicznem, o jakimś czynie, zmierzającym do zorientowania i rozruszania martwiejącego ogółu.

Masy doskonałe są do zrobienia zamętu i nieporządku, ale wyjść z zamętu same nie potrafią; zawsze je ktoś wyprowadzić musi. Podczas rewolucyi francuskiej bile jakie *sans-culotte* w gruzy walił odwieczne budowy, ale do uprzątnięcia gruzów i odbudowy powołanym był człowiek jedyny. *Si parva licet componere magnis*, i u nas rok 1863 przygotowały i wywołały masy, z gwardyą niedoletnich na czele; ale gdy nastąpił upadek, pogrążający i jedynego człowieka, zdającego się dorównywać okolicznościom, które pomogły mu ująć chwilowo ster łodzi narodowej, wtedy masy te osłupiały. Nie od tych rozpędowców, którzy je pchnęli pierwotnie naprzód, oczekiwać one mogły otrzeźwienia i ratunku; bo ci poginęli, albo się pokryli, pozostawiając rozbity ogół własnemu przemysłowi, a tymczasem nowy, zwycięski porządek ręczno i niemilosiernie nową zapoczątkowywał destrukcyę, z uczuciami narodowemi już nie licząc się zgoła.

W tak ciężkiem położeniu nie mogło być nawet mowy o jakimś bohaterze-olbrzymie, któryby jedną ręką powstrzymał impet komitetu urządzającego a drugą zatkał usta Katkowom i Krajewskim, wydzwaniałym przy każdej sposobności swoje stałe: *delenda est Carthago*. Szczęściem, znaleźli się ludzie, rozumiejący, że ta prostracya ogółu, śmiertelna, gdyby była stałą, jest tylko chwilową, i że nie należy jej przeciągać, iżby się nie ustaliła. Nie stracili głowy i gruntu, zostającego jeszcze pod nogami. Tymi ludźmi, którzy, na właściwych sobie stanowiskach, przytomnością umysłu wielką na razie oddali przysługę krajowi, byli w pierwszym rzędzie Józef Mianowski i Leopold Kronenberg. Pierwszy, wbrew szturmowi, jaki przypuszczano do Szkoły Głównej, z wielkim wysiłkiem wpływami swymi zdołał ją jeszcze przez kilka lat utrzymać, i tym sposobem, przygarnawszy znaczną część młodzieży pod skrzydła narodowej nauki, od dróg ją niebezpiecznych i rozpaczliwych odprowadził; drugi sfinansowaniem kolei żelaznej warszawsko-terespolskiej rozproszył tę czarną mgłę stagnacyi w życiu materyalnym, jaka okryła kraj w ciągu kilku lat rozruchów, do nędzy doprowadzając miasta i wsie. Przy boku inicjatora kolei stanęło zaraz wielu wykolejonych, kapitały poruszyły się, przechodząc coraz dalej w opustoszałe kieszenie, życie pracy zawrzało. Tych przysług, z dwóch stron powołania ludzkiego wyświadczonych, kraj nie może, nie powinien owym ludziom zapomnieć.

W tym to właśnie czasie, wśród łamania się umysłów bohaterskich a przezornych z okolicznościami wielce niepomysłnemi, po kilku latach zesłania w głąb Rosyi, wrócił do Warszawy książę Jan Tadeusz Lubomirski. Nazwisko to, dotąd w granicach Królestwa prawie obce, ponieważ ród siedzibę miał głównie na Rusi, znanem poczęło być w Warszawie już od połowy minionego stulecia, kiedy książę brał udział w czynnościach komitetu, powołanego do walki ze straszną epidemią cholery w r. 1852, wybuchłej jeszcze następnie we trzy lata później, a jednocześnie obejmował opiekę nad Instytutem oftalmicznym, założonym przez Edw. Lubomirskiego. Urodził się on w r. 1826 z ojca Eugeniusza, dziedzica wielkiego majątku Dubrowna w ziemi Mohylewskiej i matki Maryi z hr. Czackich, córki niezapomnianego Tadeusza, jako czwarty i najmłodszy z pomiędzy braci, z których jeden już tylko, Eugeniusz, dotąd przy życiu pozostaje. Wszyscy oni wcześniej, w młodocianym bardzo wieku, osierocieli. Przypadkowo, w przejeździe przez majątek Lubomirskich, o tem wczesnem sieroctwie dowiedział się cesarz Mikołaj I i ofiarował opiekę swą sierotom. Skutkiem te-

go Tadeusz oddany był pierwotnie do korpusu paziów w Petersburgu, ale wkrótce przeniesiony do słynnego, arystokratycznego Liceum petersburskiego, gdzie ukończył edukację, kolegując z wielu młodzieńcami sfer wyższych, którzy później piastowali ważne urzędy w państwie, jak Tołstoj, Wałujew, Abaza i inni. Kilkoletni, po ukończeniu Liceum, pobyt za granicą, mianowicie zaś w Paryżu, gdzie bliższy stosunek ze znakomitym a zacnym hr. Montalambertem nie był bez wpływu na umysłowość młodzieńca, uczęszczanie na wykłady sławnych humanistów tamtoczesnych, częste przesiadywanie po bibliotekach i muzeach,—dopełniły miary ukształcenia, z którym młody książę powrócił do kraju i osiadł w Warszawie.

Ukształcenie więc jego było czysto francuskie (bo i Liceum petersburskie zasilało się wzorami francuskimi), tak iż języka ojczystego douczać się musiał w Warszawie, w czem dopomagał mu znany profesor Antoni Waga; ale dusza pozostała polską i to polską w tem najczystszej, najdodatniejsem znaczeniu słowa. Bo jakaż to odrazu uwydatnia się różnica pomiędzy nim a wielu z jego sfery młodzieńcami owej epoki, którzy, zaledwie dorwawszy się pełnoletności, czempredzej także biegli za granicę, ażeby tam strząsnąć na marne w błoto paryskie najpiękniejszy kwiat życia, nadwerżyć mienia i wrócić do kraju, ażeby w nim wędznąć, próżnować i gorszyć życiem hulaszczem. Nie za zasługęż to młodemu księciu poczytać należy, iż powrócił w pełni młodzieńczych sił, z głową pełną wiedzy, z silnie powziętem postanowieniem służenia krajowi, dla którego płonał miłością zapamiętałą? Było to wprawdzie tylko jego obowiązkiem,—i biada temu, kto zrzeczenia się sumienia obywatelskiego nie uważa za występki,—ale on ku zachowaniu tego drogiego depozytu przodków od dzieciństwa nie miał ani przykładu, ani zachęty, ani nawet wspomnień: bo i ktoż miał mu ich dostarczyć, urodzonemu na dalekich kresach, wychowanemu wśród obcych? I dlatego to słusznie jeden z przygodnych biografów nazywa go „rzadkim typem polskiego arystokraty.“ To pewna, że u nas, w Królestwie, stanowił osobliwość. Ale on się skrywał, co do swojej osoby, do tego stopnia, że nawet zostającemu z nim w najbliższych, codziennych stosunkach trudno było coś z niego pod tym względem wydobyć: o sobie świadczył on tylko czynem, opowieścią nigdy. Ja też, czterdziestoletni towarzysz jego prac, powiernik myśli i zamierzeń w sferze publicznej, nigdy nie mogłem dojść do wyrozumienia, jaki w człowieku tym odbył się proces psychologiczny, który z istoty oderwanej od pnia ojczystego, niedostatecznie nawet władanej mową ojczystą, uczynił najgorętszego syna ojczyzny. Byłże to

doraźnie zbudzony atawizm mistyczny, wpływ wiekopomnego dziada, Czackiego, i przesiedlenie się jego ducha w łono wnuka; w każdym razie, krystalizacja ta uczuć odbyć się mogła tylko na gruncie charakteru najszlachetniejszego, ponieważ pociągała za sobą wyrzeczenie się wszelkich korzyści osobistych i uporczywą walkę z przeciwnościami. Komuż łatwiej było, niż wysoce ustosunkowanemu nie tylko wśród swoich, ale z osobami najbardziej wpływowemi w Petersburgu, poszukać znaczenia, kariery, światowego blasku; cóżby mu szkodziło wreszcie bez trosk i kłopotów pędzić żywot zwyczajnego użytkownika i nieszkodliwego groszoroza, jak tylu innych? Nie! Wolał on zasunąć się w cień pracy cichej, ascetycznej, ażeby kamyk po kamyku odgrzebywać z pod ruin materiały do odbudowy gmachu społecznego, w jego najopłakaniejszym stanie.

Pojawienie się jego w Warszawie w r. 1852, czynny udział w komisjach sanitarnych, urzędowa opieka nad Instytutem oftalmicznym, tudzież objęcie w r. 1856 godności naczelnika ochron przy Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności, były niejako jego inauguracją wkroczenia w sferę spraw publicznych, ale jeszcze nie wróżyły, jak daleko sięgną jego zamysły. W Warszawie było wielu ludzi chętnych do tego rodzaju posług. Wkrótce jednak okazało się, że nie jedną tylko strunę filantropii miał on naciągniętą na swym patryotycznym łuku. Nowa zupełnie myśl oblekła się w ciało: zaczęły się pojawiać z jego inicjatywy i jego kosztem specjalne podręczniki dla rzemieślników. Pierwszym był, jeżeli się nie mylę, podręcznik taki dla zegarmistrzów, po którym otrzymali podobne: cieśle, stolarze, giserzy, garbarze, ślusarze. Wydawnictwo to ciągnęło się latami, przed i po r. 1863, co wskazuje, że ks. Tadeusz gorąco brał do serca podniesienie u nas umysłowości stanu rzemieślniczego, a raz uznawszy tego potrzebę, czynił ile pozwalały okoliczności, ażeby jej stało się zadość. I nie postępował on w tem po dyletancku, ale starał się myśli swe poddawać właściwej kompetencji. W tym celu pozyskał cenną pomoc zasłużonego obywatela Aleksandra Temlera, światłego znawcy stosunków rzemieślniczo-przemysłowych, i z jego to współdziałaniem, nie poprzestając na wydawaniu podręczników, przystąpił do zakładania spółek rzemieślniczych, czyli stowarzyszeń. Tak powstały spółki zjednoczonych stolarzy, krawców, szewców, z których nie wszystkie może na razie się udały i przetrwały, ale w umysłach dojrzałych przetrwała myśl podobnych ulepszeń, poruszyło się stojące u nas aż do owego czasu jezioro rzemieślnicze, znikło wprost dawniejsze upośledzenie rzemiosła. Pierwszy raz

to zapewne widziało ze zdumieniem nasze miasto księcia, zasiadającego brat za brat z panami majstrami przy jednym stole do narady nad sprawami cechu i delikatną dłoń podającego do uścisku w zgrubiałe od pracy ręce. To uznanie, ten szacunek dla ludzi pracy, to pierwsze osobiste zetknięcie z pracującymi nacechowane powagą i szczerą życzliwością męża, wysoko stojącego na skali społecznej, z logicznej konieczności musiały i w rzeszy pracującej obudzić uczucia godności własnej, a tem samem wpłynąć na podniesienie jej moralnego poziomu. Trudno to obliczyć i dotykać nie wyświecić ile dobrego tej sprawie przyczynił ks. Lubomirski; ale, zważywszy to wszystko, niepodobna nie dostrzedz pewnej jego zasługi w tej różnicy stanu umysłowego i społecznego, jaka zachodzi między rzemieślnikiem naszym dzisiejszym a z przed lat pięćdziesięciu; tyle przynajmniej pewnego jest, że w działaniu w tym kierunku u nas ks. Lubomirski niema poprzednika.

Ujawniły się więc dotąd dwa kierunki, po których szedł w nadziei przysłużenia się dobru publicznemu, i to kierunki nie przygodne, zachciankowe, ale wybrane według obmyślanego planu i trwałe, od których nie odstąpił nigdy: filantropijny i ekonomiczny; drugi tem ważniejszy, iż wyrażał, przez samą osobę, uderzający protest przeciw kastowemu, wiekowemu przesądowi, odsądzającemu od czci pracę materyalną. Ale że ręka pracuje tem lepiej i owocniej, gdy ją prowadzi głowa uświadomiona, przeto starał się on, gdziekolwiek wpływ jego sięgnął, rzucić jaknajwięcej światła w te rzesze dotąd ciemne, a jednak, jak się to zaraz okazało, gorąco nauki żądne. Istniało wprawdzie pod ten czas w Warszawie z dziesięć do dwunastu szkółek elementarnych miejskich, chrześcijańskich i żydowskich, męskich i żeńskich; ale cóż znaczyć mogła taka śmiesznie szczupła ilość względnie do ludności stolicy. Szkółki te wreszcie przysługiwały tylko dzieciom drobnego wieku, pozostającym jeszcze w domu na opiece u rodziców. Pozatem dwie szkółki rzemieślniczo-niedzielne, do których ani dziesiąta część młodzieży rzemieślniczej docisnąćby się nie mogła—oto i cały aparat edukacji ludowej. To też analfabetyzm wśród klas niższych w Warszawie był przerażający. Ażeby temu zapobiedz, zrazu choć w części, ks. Lubomirski, niezależnie od wydanych podręczników rzemiosł, wyzyskując swe stanowisko naczelnika wydziału ochron, a następnie prezesa administracji w Towarzystwie Dobroczynności, pomiędzy rokiem 1856 a 1860 urządza ogólne nauki wieczorne dla rzemieślników, nauki niedzielne dla służących, które miały wielkie powodzenie zwłaszcza w r. 1861 po 1864, tudzież zakłada przy Towarzystwie czytelnie bezpłatne, istnie-

jące do dzisiaj. Ochrony znajdowały się wówczas pod wyłącznem zawiadywaniem Towarzystwa Dobroczynności, tak jak pierwszą z nich urządził dostojny przewodnik i przyjaciel dziatwy, Stanisław Jachowicz. Nie istniał tam jeszcze późniejszy przepis Apuchtinowski, zabraniający w ochronach używania książki, papieru, pióra, ołówka i t. p.; ochrona zastępowała w zupełności dom rodzicielski. Ks. Lubomirski liczył wiele na te zakłady, których, niestety, wówczas było tylko dziesięć, powstałych częścią z ofiarności publicznej, częścią ze specjalnych funduszków Towarzystwa, to też ks. Lubomirski szczególną na nie zwracał uwagę, miały one stać się w jego ręku głównym rozsądnikiem kultury ludowej, co mu, jako członkowi Rady wychowania publicznego, powołanemu przez margr. Wielopolskiego, tem łatwiej było przeprowadzić. Już w znacznie późniejszych latach dostała mi się do rąk jego własnoręczna notatka, w której kreśli on (dla siebie) plan dalszego rozwoju ochron: w tych zamierzeniach podnosi ich liczbę do 20, szuka po mieście odpowiednich rozmieszczeń, zaznacza nawet cyfry ofiar przyobiecanych od różnych osób (zapewne już po porozumieniu się z niemi) na powiększenie liczby i polepszenie bytu ochronek, i byłby mógł szybko plan ten, przy pomocy takich ludzi, jak członkowie Towarzystwa, Popławski i pułkownik Fiszer, przeprowadzić, gdy wtem zamierzenia i czynności jego przerywa w r. 1863 nagły rozkaz wyjazdu z Warszawy.

We wrześniu więc 1863 r. wyjechał do Niżnego-Nowgorodu wraz z zaślubioną w tymże roku małżonką, Maryą, córką hr. Zdzisława Zamoyskiego. Był to bolesny cios dla człowieka, który przez dziesięć z górą lat nieprzerwanie z takim zapałem, trudem i miłością jał się działania około odbudowy fundamentów bytu społecznego. Przerwały się te wielorakie w tym kierunku czynności, razem z wielkimi nadziejami kraju, i niestrudzony robotnik zdaleka tylko mógł się przyglądać na powolne załamywanie tego mostu, który ręka Wielopolskiego z takim mozołem układała dla Polski nad przepaściami zaburzeń w świat lepszej przyszłości. Ale ks. Lubomirski, lubo ugodzony w samo serce, skazany na dotkliwą dla się beczynność, ani się zniechęcił, ani rąk nie opuścił. Świadcząc przysługi współtowarzyszom wygnania, czekał: czekał z gotowością powrotu do zajęć publicznych, jakie okażą się możliwemi w nowo narzuconych krajowi warunkach bytu.

Powrót jego do Warszawy nastąpił w r. 1865, wówczas, kiedy władze rządowe, istniejące podczas rządów Wielopolskiego, częścią przez niego do życia powołane, zaczęły się gotować do wiecznego spoczynku lub reformować według zasad nowego kur-

su; kiedy na miejscu Komisji wyznań i oświecenia publicznego, powrócił dawny Okrąg naukowy; kiedy ogłoszoną została nowa ustawa szkolna, a na czele wszystkich władz figurowały nazwiska rosyjskie, i jedna tylko Szkoła Główna do czasu pozostawała nie-
tkniętą. Już umysł narodu wychodził potrosze z ogólnego przygnębienia, otwały się podwoje teatrów i salonów—ano cóż! trzeba było żyć. Co większa, dzięki głównie popędowi, nadanemu przez Leopolda Kronenberga, rozpoczął się mocny ruch ekonomiczny,—najpewniejsza wskazówka powracającego życia, pod którego jednak zwierzchnią powłoką kryło się wiele niedoli. Oto, co po powrocie do kraju, zastał w Warszawie ks. Lubomirski.

Pod ten czas i ja, znając poprzednio z opinii, poznałem go osobiście. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, dystygnowanej postawy, z fizygnomią wcale nieruchliwą, tak, że trudno było coś z niej wyczytać, wzięcie nadzwyczaj poważne, ale nie sztywne, przeciwnie, bardzo sympatyczne, równie jak głos. Mieszkał na ulicy Wareckiej we własnym domu, gdzie i życia dokonał. Mały to pałacyk *entre cour et jardin*, z piętérkiem, nawet bez oficyn; mieszkanie wykwitnie usprzęcone, ale bez przepychu. Musiał mieć do mnie jakiś interes, gdyż raz zastałem w domu jego bilet wizytowy, i naturalnie, pospieszyłem się wywzajemnić. Po krótkich przemówieniach przystąpił odrazu do rzeczy.

— Znam pana—powiedział—już od lat kilkunastu; czy chciałbyś mi być użytecznym w pewnym projekcie?

— Jako sekretarz Szkoły Główniej, czy jako literat?

— Jako pan Kaszewski—odrzekł, patrząc mi w oczy z pewnym uśmiechem.

Było to powiedzenie dowcipne, i dla mnie, zdawało mi się, pochlebne.

— Więc na usługi. A czy wolno mi zapytać w czym mogę być użytecznym?

W duchu zaś pomyślałem sobie: Książę ledwie że wrócił, znowu coś zamierza na arenie publicznej. Potwierdziły mi to zaraz następne słowa, które tu niemal literalnie powtarzam, ponieważ one wraziły mi się w pamięć, a wyraziły niejako cały program jego przeszłego i przyszłego życia.

— Oto widzisz, kiedym pierwszy raz, jako młody człowiek, przybył do Paryża, uważałem za rzecz przyzwoitą złożyć wizytę Montalambertowi, który był niepospolitym myślicielem, człowiekiem zacnym i przyjacielem Polaków. Podziękowałem mu za gorącą mowę, wypowiedzianą w parlamencie z powodu niedawno odbytej rzezi galicyjskiej, a gdyśmy w dalszym ciągu rozmawiali

o stanie naszego kraju po roku 1848, zapytałem go: „Cóż my teraz mamy robić, hrabio?” „Instruisez-vous et enrichissez-vous; cela dans tous les cas vous donnera de l'aplomb, cela vous augmentera.” To powiedzenie mocno trafiło mi do przekonania, nie tylko dlatego, że pochodziło z ust mędrca, bo ja i wyrzeczenia nawet Platona nawykłem przyjmować krytycznie i pod własny sąd poddawać, ale że tak jasno i treściwie utrafiły w istotę rzeczy. Tak: kto gotuje się do walki, powinien naprzód wzrosnąć w potęgę, potęgą zaś jest z jednej strony wiedza, z drugiej pieniądze. A więc uczmy się i bogaćmy. Popelniliśmy omyłkę, poczynając walkę z przeciwnego końca: teraz tę omyłkę poprawmy.

— Będzie to trudniej, niż kiedykolwiek — zauważyłem nieśmiało.

— To tembardziej. Trudności spłoszą słabych. My bądźmy silni, panie; nie nadużywajmy marnie szlachetnej nazwy obywatela polskiego; z pola walki nie godzi się nam ustępować wobec trudności; spełnijmy obowiązek zaciągnięty od czasów Piasta i przyjęcia wiary chrześcijańskiej, choćby przyszło i poświęceniem okupić. Kacper Karliński poświęcił syna, a my mamyż cofać się przed poświęceniem wygod i spokoju. Nie, panie, do pracy i nie zabijaj pan ducha powątpiewaniem.

Nie! Tej ja pierwszej z nim rozmowy nie zapomniałem i nie zapomnę, póki życia mego. Była ona dla mnie jakąś rewelacją. Zdawało mi się na chwilę, że przeniesiony w inny świat, i serce biło mi jakimś dziwnym wzruszeniem. A przecież nie sama wzruszała mnie treść tego, co mówił książę, boć nie byłaby ona niczem zadziwiającem w ustach każdego uczciwego i rozumnego Polaka, ale to właśnie, że pochodziła z serca człowieka, należącego do tej klasy, która oddawna uchodziła za straconą dla kraju. I nie były to czcze słowa, jakie wychodziły z ust księcia; on streszczał w nich tylko swoje dziesięcioletnie czyny, za które już odpokutował wygnaniem, a przygotowywał się na nowe próby. Zaimponowała mi też ta jego stanowczość, ten niby nakaz kategoryczny, pędzący go wewnątrz na drogę trudu i ofiary, kiedy mógł pędzić życie spokojne i przyjemne, a nawet względnie pożyteczne.

— Wracając do naszej sprawy — mówił dalej książę — rzecz polega na tem. Usuwa się nam z rąk opieka nad szkołą publiczną, którą z ramienia rządu kieruje p. Wiłujew, i łatwo przewidzieć do czego ten kierunek zmierza. Trzeba nam pomyśleć o edukacji domowej, ażeby chociaż tu pierwiastek narodowy zaszczerpić, a w tym celu konieczne są podręczniki, których brak jeszcze za

moich czasów zauważyła rada wychowania. Rozmawiałem o tem z kilku moimi przyjaciółmi i ci jednogłośnie to przyznali (Tymi przyjaciółmi, jak później mogłem wymiarkować, byli: Edmund Stawiski, Jakób Natanson i Stanisław Przysański). Pomiedzy innymi wypada przygotować nowe „Wypisy polskie,” gdyż dawniejsze są bardzo niekompletne i przestarzałe. Ale tu okazała się trudność. Znający blisko te rzeczy oznajmili mi, że wobec dzisiejszej wielce zaostrojonej cenzury, w wypisach tych można zamieścić i systematycznie ułożyć wiele pięknych rzeczy w duchu dzisiejszego postępu i bardzo wzbogaconej literatury, ale o tematach obywatelskich i, jak się to streszcza, patriotycznych, ani myśleć; a o te przecież najbardziej nam chodzi. Wpadło mi więc na myśl, ażeby, obchodząc cenzurę, wydać osobno dodatkowy tomik, zawierający odpowiednie wyciągi z autorów starożytnych, nie kładąc, rozumie się, kropki nad *I*. Zgodzono się na ten projekt: a pan czy zechcesz się podjąć jego wykonania? Nie trzeba się spieszyć, mamy dosyć czasu. Cóż robić! Książki, są to na dobie nasze oręż: musimy je kuć, ażeby się bronić.

Oczywiście, uważałem sobie za chlubę udział w takiej robocie, i propozycję przyjąłem. Tak się zakończyła ta pierwsza moja wizyta, która dała mi sposobność zajrzeć w samą głąb umysłu i usposobień człowieka.

Odtąd, widując go częściej, przekonałem się, że jest to jakaś osobliwa organizacya. Nierzadko napotykają się ludzie z natury czynni, pracowici, niestrudzeni; ale ci zazwyczaj regulują sobie czas i kolej zajęć, spychają jedne za drugimi, odpoczywają między jednym a drugim przedsięwzięciem. Z księciem Lubomirskim rzecz się miała inaczej. Umysł jego był nie tylko niestrudzony, ale wprost nienasycony. Każda chwila spokoju zdawała się dlań być wrogą. Umysł jego musiał być w ciągłym ruchu, przerywanym jedynie przez sen. Na jego biurku leżało zawsze kilka grubych ksiąg poroztwieranych, foliantów pozakładanych, arkuszy papieru pozapisywanych, porozrzucanych na wszystkie strony po stołach i szufladach. Jakim sposobem on łań umiał znaleźć w tym chaosie, doprawdy, było dla mnie zawsze tajemnicą, tembardziej, że wszystkie te księgi, foliały, rękopisy własne i notaty odnosiły się do rzeczy bardzo różnorodnych. Poczynając jakieś przedsięwzięcie, nigdy on na niem jednym nie poprzestawał: w trakcie rozwoju wpadała jakaś nowa myśl wywołana potrzebą ogólną, — chwycił ją i zaraz wprowadzał na warsztat. A że, gdy się przypiął do jakiejś myśli, to jak to mówią, gotów był niebo i piekło poruszyć, ażeby ją przeprowadzić, więc pisał

mnóstwo listów do różnych osób, które mogły mu w tem dopomóc. Ta praca umysłu zastępowała wszystkie zadowolenia: to były jego teatry, koncerty, wycieczki. Nawet kiedy wyjeżdżał z rodziną za granicę, to czy on tam używał zwykłych wczasów turysty, uciech na łonie natury? Bynajmniej. Studiował rzeczy sobie nieznane, a nadewszystko urządzenia społeczne, które uważał za korzystne i godne przystosowania do naszego kraju, a powracał obarczony mnóstwem notatek.

W obecnym czasie, po powrocie z Niżnego-Nowgorodu, jak widzieliśmy, natychmiast zajął się wytworzeniem czynników oświaty, ciągnął dalej wydawnictwo podręczników rzemieślniczych i obmyślał nowe, ogólno-kształcące; ale jednocześnie nie zaniedbywał i drugiej części swojego programu: „bogaćmy się.“

Rozpatrzył się w położeniu obecnem, i widział, że lubo do wszystkich innych czynności obywatelskich drogi były szczerlnie pozamykane i tylko boczniemi ścieżkami można się było na nie przedostawać, to jednak droga ekonomiczna pozostała otworem, a rząd, właśnie jakby chcąc odwrócić od innych uwagę, pochodu na niej nie krępował. Tego właśnie potrzeba było naszemu krajowi, a na tej drodze, jako drogowskaz, stał u nas Leopold Kronenberg, umysł światły i hartowny. Do niego przedewszystkiem zbliżył się ks. Lubomirski.

Każdy, cokolwiek obyty z warunkami ekonomicznymi, rozumiał to dobrze, iż ażeby podźwignąć z ciężkiego upadku materialnego, w jaki w ciągu tych lat popadła własność ziemska i miejska, potrzeba było na gwałt wytworzyć tani kredyt, któryby z jednej strony powściągnął lichwę, rozpanoszoną do niesłychanego zuchwalstwa, z drugiej ułatwił rzemieślnikom i drobnym przemysłowcom powrót do normalnych zajęć, przerwanych podczas rozruchów i stąd wynikłej stagnacji. Utworzyło się więc koło ludzi z dobrą głową i dobrą wolą, którzy podjęli się tego zadania, a pośród nich zjawił się ks. Lubomirski, jako czynnik niezmiernie użyteczny, nie tylko dzięki dobrym chęciom i jasnym poglądom, ale i z powodu wysokich stosunków osobistych, jakich nikt inny w takim stopniu nie posiadał i posiadać nie mógł. Pozostawiając ratunek gospodarstw wiejskich Towarzystwu Kredytowemu Ziemi, zwrócono szczególną uwagę na miasta, które opieki nie miały żadnej, a przedewszystkiem na ognisko główne, Warszawę, i postanowiono założyć w niej Towarzystwo Kredytowe, na zasadach *caeteris paribus* Towarzystwa Ziemi, czyli mające udzielać na nieruchomości pożyczki długoterminowe w listach zastawnych hipotecznie zabezpieczonych, a umarzane w ratach pół-

rocznych odpowiedniej wysokości. Czas też był wielki na to dobrodziejstwo, bo domy warszawskie ulegały pod brzemieniem niesumiennej lichwy, komorne drożało z roku na rok, gdyż w braku kapitału nikt się nie kwapił do nowych budowli, a właściciel dawny, obdłużony, częstokroć nie miał za co nawet porządnego remontu zaprowadzić, przez co dom ulegał dezolacyi, niszczał i pustoszał, albo inny, świeżo zaczęty, dla braku funduszu, latami stał niedokończony.

Dawniejszymi czasy obywatele m. Warszawy dwukrotnie molestowali rząd o podobne towarzystwo i nawet komisya spraw wewnętrznych opiniowała przychylnie, ale namiestnik ówczesny, ks. Paskiewicz, który rad był wszędzie upatrywać spiski, a tem samem wstręt miał do wszelkich liczniejszych stowarzyszeń do tego stopnia, że w pewnym czasie zamknął oba gimnazya w Warszawie i zniósł zupełnie kursa dodatkowe i prawne — stanowczo założenia Towarzystwa Kredytowego Miejskiego odmówił. I teraz też, po takim prejudykacie, pomimo zmienionych zapatrywań rządu, wcale nie było pewności co do pozyskania sankcyi wyższej na powyższy zamiar, i trzeba było przedewszystkiem wyniarkować usposobienie władzy bezpośredniej i pozyskać jej przychylność. Misję tę przyjął na siebie ks. Lubomirski, a przyjął tem śmieiej, że namiestnik ówczesny, generał hr. Berg, zapewne z uwagi na dostojność rodową i osobistą księcia, tudzież świadom jego stosunków w Petersburgu, dawał mu dowody szacunku; nikt inny wreszcie z lepszym skutkiem zastąpićby go nie mógł. Słowem, książę tak umiał wziąć się do rzeczy, że przyrzeczenie poparcia zamierzeń obywatelskich pozyskał. O dobrych chęciach ówczesnego ministra skarbu, Reutera, swego dobrego znajomego, nie powątpiewał, porozumiewszy się z nim z góry.

Warunek więc niezłomny został załatwiony, chodziło tylko o to, ażeby żelazo kuć na gorąco i czemp prędzej przygotowywać projekt ustawy. W tym celu, gwoli narad otworzył swój dom ks. Lubomirski, i u niego to zbierało się koło pierwszych pionierów tej tak ważnej dla miasta instytucyi. Głównymi działaczami, oprócz gospodarza, byli Kronenberg i znakomici mecenasi ówczesni: Wincenty Majewski, Edward Grabowski, Dominik Zieliński oraz zawczasie zmarły młody ekonomista, hr. Józef Zamoyski, brat ówczesnego ordynata, bardzo ruchliwy i pożyteczny. Pomocy udzielał też członek Tow. Kred. Ziemskiego, finansista Bagniewski. Dzisiejsza Warszawa, która milionowej wartości budowlami pokryła rozległe pustki, a nędzne chałupy zamieniła na okazałe domy dochodowe, ani się domyśla, ani nigdy wiedzieć nie

będzie, ile w tym cichym pałacyku przy ulicy Wareckiej poświęcono bezinteresownie pracy, czasu i kombinacyi, ażeby dać trwały początek i podstawę jej rozkwitowi i ile miasto winno im za to wdzięczności. Praca przygotowawcza postępowała szybko, ale nie w miarę niecierpliwości obywateli zainteresowanych, którzy, dowiedziawszy się o przygotowaniach, tłumnie nawiedzali dom księcia, nagląc często ze łzami w oczach o pośpiech, przedstawiając swoje racye, a jeden z nich nawet okazywał dowód, iż opłaca 20% od pożyczki na jego nieruchomości hipotekowanej. To jedno mogło udowadniać, jakie było ekonomiczne położenie kraju, skoro potrzeba było aż taką ponosić ofiarę dla uratowania, i to częstokroć złudnego, własności, i jakim się stanie dobrodziejstwem instytucya, która oparta na poręczeniu wzajemnem, zamiast pożyczki 20-procentowej, przy zgoła nie zmniejszającym się wypożyczonym kapitale, udzieli inną, 7-procentową i umarzalną po latach niespełna trzydziestu.

Nareszcie ustawa, opracowana przez ludzi najbieglejszych w prawie krajowem i finansowości, złożoną została gdzie należy i kolejną stacyi przeszła do Petersburga. Urzędy tameczne jeły ją poprawiać, do miejscowych urzędów zastosowywać i zamierzyły wprowadzić kontrolę w osobie komisarza rządowego. Postrach padł na inicjatorów, gdyż środek ten, krępujący ręce bezpośredniemu zarządowi Towarzystwa, wybieranemu z pośród obywateli, a prawie niweczący władzę i powagę komitetu nadzorczego, który w projekcie ustawy właśnie powołanym był do kontroli nad zarządem (dyrekcyą),— środek ten niemal uniemożliwiał wprowadzenie takiej ustawy w życie, depopularyzował ją, czynił ułomną, wątpliwą, bo wreszcie któż garnąłby się do objęcia godności członka z wyborów w takiej instytucyi, gdzie nad obywatelami odpowiedzialnymi z majątku i honoru za prawidłowy bieg interesów, przewodniczyłyby de facto urzędnik nieodpowiedzialny? Ozwały się też w gronie inicjatorów głosy, że albo instytucya istnieć będzie bez tego warunku, albo istnieć nie będzie wcale. Potrzeba było jakiejś w tym dylemacie interwencyi, znowu wszystkich oczy zwróciły się na ks. Lubomirskiego, i niedaremnie. Pojechał on, zaopatrzony w odpowiednie instrukcye, do Petersburga, poruszył wszystkie sprężyny, zabiegał, przekonywał ustnie i piśmieniem, aż nareszcie skończyło się na tem, że w projekcie ustawy, oprócz niektórych zmian technicznych podrzędnego znaczenia, zamiast komisarza, wprowadzono raz na rok, przy niszczeniu wyszłych z obiegu listów zastawnych i kuponów, kontrolę tej jedynej czynności, dokonywaną przez miejscowego urzędnika skarbo-

wego: było to nic. I otóż tak ocalona ustawa zatwierdzoną została w końcu r. 1869, o czem hrabia Berg uprzejmie zawiadomił listem francuskim ks. Lubomirskiego.

Był to dzień jego wielkiego tryumfu i zarazem zapowiedź przyszłych obligacyj. Odtąd ci, co się na tem znają, powzięli przekonanie, że on dziś jest w Królestwie Polskiem jedynym człowiekiem, który w trudnościach, z jakimi spotkać się mogą usiłowania, dotyczące spraw obywatelskich, skutecznie pomocnym być może, a gdzie on zaradzić nie zdoła, to inny niema co i próbować.

Myśl ustanowienia taniego kredytu rozszerzała się coraz dalej. Prawie jednocześnie z Towarzystwem Kredytowem miasta Warszawy, które zorganizowało się ostatecznie w r. 1870, z ks. Lubomirskim, jako prezesem komitetu nadzorczego, powstał także i Bank Handlowy, był swój zawdzięczający głównie Kronenbergowi, założycielowi zarazem Szkoły Handlowej. Następnie czyniono starania o założenie innej instytucji kredytowej pod nazwą Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, mającej za cel udzielanie pożyczek krótkoterminowych nie tylko w Warszawie, lecz i na prowincyi, a głównie dla potrzeb gospodarstw rolnych i ułatwiania zbytu produkcji. Tu znowu ks. Lubomirski staje w gronie założycieli, udziela silnego poparcia dla wprowadzenia jej w życie i w r. 1871 do skutku doprowadza. Instytucja ta zrazu w ciągu lat kilku pod jego zwierzchnictwem, jako prezesa rady, przy znakomitem kierownictwie dyrektora Juliana Wieniawskiego, pozostaje dotąd w kwitującym stanie, ogromne wyświadczając przysługi.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki ruch wywołały takie trzy potężne, upragnione instytucje, wzniesione prawie jednocześnie i na jakie tory wprowadzały życie krajowe. Oprócz wpływu na ogólny pochod ruchu ekonomicznego, właściwie na wytworzenie samychże jego pierwiastków, wyświadczały one jeszcze i uboczną przysługę w szczególe niemałej wagi. Na odwrotnej stronie medalu owoczesnych stosunków zarysowywały się obrazy smutne i złowrogie. Dykasterie rządowe, jak komisya skarbu, spraw wewnętrznych i duchownych, izba obrachunkowa, ze wszystkimi rozgałęzieniami, padały jedna za drugą, albo przekształcały się do niepoznania podług wskazówek komitetu zarządzającego, a skutkiem tego całe legiony dotychczasowych pracowników biur ustępować musiały z miejsc i coraz więcej w obieg powszechny wchodził wyraz: urzędnik spadły z etatu. Znaczyło to: człowiek jeszcze w sile wieku, do niczego innego niezdatny, tylko do zajęć

biurowych i dobrze w nich wyszkolony, naraz, z drobną emeryturką, której niedozwolono mu zaokrąglić, albo i bez niej, znalazł się z rodziną na bruku. Groziło to nowym proletaryatem, najgorszym ze wszystkich, bo proletaryatem inteligencji. Owóż, instytucje obywatelskie, do których wkrótce przyłączył się i Bank dyskontowy, zapobiegły temu w znacznej części, przygarniając tych upadłych a pożytecznych. I nie dosyć na tem. Ośmielając tanim kredytem, dodawały one bodźca przedsiębiorczości i wytwórczości krajowej, mnożyły potrzebę nowych sił wykonawczych w kierunkach zawodowych, a więc ułatwiały nowym jednostkom wzgorywującym do życia, sposób zdobycia środków nieskończenie samodzielniejszych i pewniejszych niż aplikacja biurowa i urzędnictwo, jak było dotąd przez lat przeszło trzydzieści. Kto się nawet bliżej zastanawia, przyznać musi, że to straszne przesilenie z lat 1863-5 wyszło nam poniekąd na dobre, oczywiście, wbrew dobrym chęciom i przewidywaniu tych co niem kierowali. Naturalnie, gdybyśmy byli niedołęgami, wysiłki destrukcyjne przeszłyby po nas, jak koła zwycięskiego wozu Cezarowego po ciałach Celtów i pozostawiłyby tylko szczątki. Przesilenie to jednak natrafiło na opór organizmu przygnębionego, lecz w gruncie pełnego zdrowia; wytwarzając nowe potrzeby ratowania życia, poruszyło ono zdrzemaną sprężystość duchową i zbudziło oddziaływanie. Podczas gdy nam ze wschodu i zachodu wygłaszano podzwonne, my na dowód zbudzonego instynktu życia stawialiśmy własnymi siłami wielkie instytucje finansowe, budowali trzy wielkie drogi żelazne, wydawali świetną sztukę i literaturę, budząc podziw na dwóch półkulach ziemi. Młodzież, pozbawiona głównego celu dotychczasowych marzeń o etacie w jakim biurze, gdzie gnuśniała ubezpieczona regularną pensją miesięczną i na starość zapewnioną emeryturą, musiała w walce o byt zawierzać własnemu tylko przemysłowi i z martwych urzędników przeobraziła się w lekarzy, nauczycieli, techników, adwokatów, literatów, ludzi czynnych, bojowników społecznych. Rezultat ten mimowoli nasuwa na myśl tę słynną bajkę jakoby Góreckiego, którą powtórzył Mickiewicz, gdzie dyabeł chowa w ziemię rzucone przez Boga człowiekowi ziarno zboża, ażeby zmarniało, a ono tymczasem na wiosnę wyszło z ziemi kłosem. Przyszłe czasy, ażeby być sprawiedliwymi, zniewolone będą określić historyczną miarę zasług tych ludzi, którzy najwięcej się przyczynili do rozbudzenia instynktu życiowego w narodzie.

Jedno z najwybitniejszych miejsc znajdzie tu ks. Tad. Lubomirski, który obecnie przyczyniwszy się, wspólnie z innymi, do

postawienia dwóch wielkich instytucyj finansowych i prezydując w obu, nie poprzestał na tej przysłudze, ale niepowstrzymany w uprawianiu hasła „bogaćmy się,” prowadził dzieło na własną rękę. Oszczędność uważając za jeden z głównych warunków nie tylko dobrobytu, ale i moralności, usiłował potrzebę jej wszczepić w cały naród. W tej myśli, jeszcze przed wyjazdem do Nowgorodu, jako członek Towarzystwa Dobroczynności, założył tak zwane „kasy groszowe,” prowadzone przez delegowanych do różnych dzielnic obywateli, kasy, w którychby i najuboższa ludność składać mogła swoje drobne oszczędności, a tym sposobem wdrażała się do ładu w życiu i myśli o przyszłości. Teraz zamierzył środek ten powiększyć i zastosować do miast prowincjonalnych, z uwagą zwłaszcza na osoby trudniące się rzemiosłem i drobnym przemysłem. Własnym więc już trudem i osobistym kosztem, na zasadzie odpowiednio opracowanych ustaw, założył naprzód w roku 1872 kasę zaliczkowo-oszczędnościową w Grójcu, a następnie w Kutnie i Wiskitkach. Dany przez niego przykład podzielał, korzyści się ujawniły, inni poszli w jego ślady, i inicjator mógł z pociechą patrzeć, jak dzieło przezeń zapoczątkowane skutecznie przyjęło się i rozwinęło w całym kraju.

Już to ten okres siódmego i początku ósmego dziesiątka lat ubiegłego wieku dostarczył najobszerniejszego pola jego gorączkowej działalności, kiedy wiele rzeczy trzeba było albo z gruntu tworzyć, albo z gruntu udoskonalać. Nie wiem kiedy i jak poczęła się w społeczeństwie naszym myśl założenia dla nieletnich przestępców instytucyi karno-wychowawczej, na wzór istniejących w niektórych miejscach zagranicą: zdaje się, że na to kazanie dzwonił znany sędzia kryminalny, Moldenhawer. Nie była to myśl nowa, ponieważ oddawna istnieje u nas, w Mokotowie, zakład poprawczy p. n. instytutu moralnie zaniedbanych dzieci, ale nader ograniczony co do funduszków i co do kwalifikacyj. Niewiadomo też dla czego nie proponowano rozszerzyć i wzmocnić ten zakład, czyli przerobić go stosownie do nowych widoków, zamiast tworzyć inny, zgoła odrębny. Dość, że myśl utworzenia nowej instytucyi karno-wychowawczej ustaliła się i znalazła poparcie w poważnem kole obywatelskiem, a instytucya polegała na tem, ażeby do niej przyjmowano nieletnich nie na prośbę rodziców lub opiekunów, ale skazywanych przez sądy na więzienie za przestępstwa kryminalne. Był to cel nadzwyczaj humanitarny, gdyż młode te latorośle, ze zgubnemi skłonnościami przeciwspołecznymi, wydobywał on z zabójczej dla nich atmosfery więziennej, która zamiast tłumić, przez zetknięcie z dorosłymi wyobrazicielami występku,

utwierdzała tylko skłonności złe, gotowe wybuchnąć zaraz po odsiedzeniu kary. Owoż, instytucja proponowana, zamiast edukacji zbrodni, miała za zadanie, obok rygoru karnego, poprawę moralną całego duchowego ustroju przestępcy. Ażeby go zaś po opuszczeniu miejsca kary i poprawy nie pozostawić bezradnym i uchronić dla utrzymania życia od zboczenia na złe drogi, miała mu dać uczciwą, broń w rękę w postaci jakiegoś rzemiosła lub praktyki rolnej: słowem, jednostkę przeciwspółeczną przerobić na pożyteczną. Jestżeż piękniejszy cel na świecie? To też sympatyczny ten projekt, przyjęty przez najcelniejszych u nas obywateli, doznał gorącego poparcia ze strony ks. Lubomirskiego. Zatwierdzenie w r. 1871 ustawy, pod nazwą „Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych,” nie doznało trudności. Ale ustawa jest tylko duchem instytucji i trzeba ją było oblec w ciało, czyli poprostu wynaleźć środki urzeczywistnienia projektu takiej doniosłości. Fundusz powstać miał z sześciorublowych składek rocznych od członków, a lubo agitacja w tym kierunku szła do syć pomyślnie i członkowie-założyciele dostarczyli sum znacznie-szych, cóż to znaczy wobec wydatków, przewidywanych na urządzenie a następnie na utrzymanie zakładu. Sama nazwa wskazywała, że tu potrzeba pola na praktykę rolną i różnych warsztatów na naukę rzemiosł, szkółki, nauczyciela, kapelana, a rząd nie udzielił nic oprócz sankcyi. W takich okolicznościach zebranie funduszu odpowiedniego Bóg wie, jak długoby trwało, a tym sposobem urzeczywistnienie projektu poszłoby w bezterminową odwołkę. I w tem też położeniu, niecierpliwy w prowadzeniu do skutku zamierzeń ks. Lubomirski, jako pierwotny prezes instytucji, wyświadczył znowu znakomitą przysługę. Staraniem swoim i wpływami wyjednał on u rządu z dominium księstwa Łowickiego dla nowego zakładu 120 morgów gruntu, a dzięki temu zyskał podstawę do dalszego urządzenia. W ten to sposób powstała osada karna, w powiecie skierniewickim, zwana Studzieńcem, prosperująca dotychczas.

Ten siedmioletni (1865—1872) u nas okres nazwaćby można okresem twórczym obywatelskich ognisk pracy ekonomicznej, ciągnący się wreszcie tak daleko, jak tylko sięgnąć mogła ręka i moc obywatelska. Nie wystarczało to rozbudzonemu wówczas duchowi twórczości narodowej; usiłowania pomknęły w kierunku innym, zarówno ważnym, a może ważniejszym: owocem ich było założenie „kasy Mianowskiego” dla popierania prac naukowych, szkoły handlowej Kronenberga i dwóch gimnazyjów prywatnych. Poza tę granicę w tym kierunku posunąć się nie było można. Przy-

znać jednak potrzeba, iż, jak na ówczesny stan teroru i zwątpienia, było to wiele, nawet bardzo wiele.

Widzieliśmy, chociaż tylko à-vol-d'oiseau naszkicowany udział ks. Lubomirskiego w tych wszystkich usiłowaniach twórczych. Postawione przy jego pomocy instytucje należało już teraz tylko konserwować i administrować, jak gościńce, przeprowadzone przez pustynie i cierniste zarośla. Jemu też wszędzie, uznanemu za najgodniejszego, ofiarowano przewodnictwo, które przyjął na czas dopóki pozostawało jeszcze wiele do roboty przy pierwszym łamaniu lodów i puszczeniu maszyny w ruch. Ale kiedy nareszcie, przy doskonałej obsadzie posterunków, nastąpił bieg prawidłowy, książę uznał za stosowne przewodnictwo to swoje ograniczyć i został tylko, obok kuratorstwa w instytucie Oftalmicznym, przy prezesostwie dwóch instytucji: Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy oraz Towarzystwa Dobroczynności, które go na tę godność powołało w r. 1870. Do tego ograniczenia się skłoniła go bynajmniej nie chęć wypoczynku, którego, zdaje się, nie potrzebował nigdy przy swem żelaznem zdrowiu, ile to, że naprzód uważał za rzecz niedość właściwą dzierżenie w jednym ręku tylu tek prezydyalnych, dobre tylko dla prezesów malowanych, a czcze figurowanie zgoła nie leżało w dumnej i czynnej jego naturze; powtóre, że chciał też sobie zaoszczędzić czasu na zajęcia już porozpoczynane albo tkwiące dopiero w myśli, poza obrębem wystąpień publicznych; bo książę zawsze był jak ten automedon, który nie poprzestaje na jednym rumaku u swego woza, ale ich kilkanaście pędzi przed sobą; potrzebie, wiedział że w razie gwałtownej potrzeby w opuszczonych instytucjach, jemu przypadnie rola interwencji, którą każdej chwili spełnić był gotów.

W Towarzystwie Kredytowym m. Warszawy na stanowisku prezesa Komitetu postępował on z przedziwną dystynkcyą i taktem. Umocniony zaufaniem powszechnem, nie starał się przeforsowywać swojego zdania i woli, ale też nigdy ani ślepo nie przyłączał się do zdania innych, ani też żadnego ustępstwa czy to ze swego przekonania, czy z przywilejów do stanowiska przywiązanych nie uczynił. Ponieważ w instytucji każda uchwała zapadać musiała gremialnie, przeto jeżeli w sprawach ważniejszych miał większość przeciw sobie, ustępował, lub gdy czuł, że ustąpić nie może lub nie powinien, wstrzymywał decyzję ostateczną, odkładał, starał się członków przeciwnych swemu zdaniu poza urzędową naradą przekonywać, dopóki nie przekonał lub sam przekonany nie został. Jako sekretarz komitetu, prawie od założenia Towarzystwa, bo od r. 1870, miałem wszelką możność przez lat 36 obserwować

to postępowanie i zawsze widziałem to samo: wolę samodzielną i wyrozumowaną, względ najwyższy na dobro powszechne, połączone z godnością narodową, szacunek dla zdania innych, a moc przekonania własnego taką, że pomimo tego szacunku, w ciągu tych lat 36-iu zdarzyło się dwa lub trzy razy, iż prezes, przy uchwale zapadłej wbrew jego myśli, kazał zapisać do protokołu posiedzenia swoje *votum separatum*. Dla objaśnienia tych różnic pozwolę sobie przytoczyć jeden wypadek konkretny. W kilka lat po założeniu Towarzystwa warszawskiego zgłosiła się Łódź z propozycją przyłączenia się doń. Zawrzało w całym gremium dyrekcyi i komitetu od ważności faktu i różnicy zdań, a niepewność przeniosła się na wspólne posiedzenie obu władz. Książę przewodniczący gorąco popierał przyłączenie, jako środek związku obywatelskiego pomiędzy dwoma miastami najludniejszymi, jako wzajemne oddziaływanie duchowe; przedstawiał, że za Łodzią pójda i inne miasta ważniejsze, a tym sposobem poprzeciagają się po całym kraju nici, idące do serca i głowy jego, do Warszawy. Ten piękny obraz, w gruncie sympatyzujący także z nim, członek komitetu Leopold Kronenberg, obalił jednym wyrazem: Giełda. Jakto? Listy zastawne warszawskiego Towarzystwa jeszcze się nie ustaliły, nie doszły do rzeczywistej wartości, możnaż je więc narażać na spadek obniżeniem gwarancyi przez przyjęcie do instytucyi wspólnika o wiele słabszego? Byłby to błąd narażający na szwank byt Towarzystwa. Po takim *dictum acerbum*, wszczęła się żwawa i długa dyskusya, zakończona zwycięstwem Kronenberga, jako najwyższej powagi w rzeczach finansowych, i książę wobec ogromnej większości zmuszony był podpisać decyzję odmowną: nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za możliwe losy instytucyi, którą sam do życia powołał, ustąpił z boleścią, której dał wyraz przedemną zaraz po posiedzeniu. Starły się tu dwie opinie: trzeźwość człowieka pozytywnego z idealizmem narodowca, a obaj, jak czas pokazał, mieli słuszość. Łódź, samodzielnie wypuściwszy listy, musiała istotnie dać o 1% wyżej, ażeby im zapewnić jaki taki obieg; po latach, Towarzystwo warszawskie samo wystąpiło do władzy wyższej o przyłączenie miast powiatowych, nierównie słabszych od Łodzi, i nie lękało się spadku wartości swych listów.

Przewodnicząc Towarzystwu, książę nie wdawał się w rzeczy techniczne, mając po temu najbieglejszych współpracowników pod względem finansowym, prawnym i administracyjnym, ale żadnej decyzji czysto fachowej nie podpisał, póki jej do gruntu nie zbadał i głos dawał zawsze świadomie. Maszyna wreszcie,

tak ściśle określona, jak stowarzyszenie kredytowe, raz umiejętnie puszczona w bieg, mało pozostawia pola do inicjatywy. Znaczenie też ks. Lubomirskiego w Towarzystwie Kredytowym warszawskim, według mojego zdania, było zgoła inne niż nadzór nad fachowym spraw porządkiem, którego dopilnować mógł każdy zawodowy mistrz buchalteryi. Osobiste jego znaczenie miało w sobie coś tak specjalnie subtelnego, czego on nie domawiał, a co nawet i określić niełatwo, bo oznaczał swe dążności zamiarami tylko i czynami. Pragnął on, ażeby instytucja nie była prostym kantorem wymiany listów zastawnych na ubezpieczenie hipoteczne, ale żeby te martwe i ciasne ramy buchalteryjne rozszerzały ile być może i uszlachetniały duch obywatelski. Stąd dbałość o dobór osób tak do zarządu, czyli członków władz, jakoteż i urzędników, tak, iżby i wewnątrz instytucyi i w stosunku biura do stowarzyszonych zapanowała najwyższa kulturalność i dystynkcyja; stąd, kilkakrotnie powtarzane usiłowanie o założenie biblioteki złożonej z dzieł nie tylko fachowych, ale i ogólnie kształcących, oraz baczenie ażeby korespondencya piśmienna na tej szczupłej wyspie języka polskiego odbywała się w doborowej polszczyźnie; stąd nawet to pierwotne udekorowanie głównej komnaty przybytku freskami, odzwierciadlającymi historyczne szczegóły dawnej Warszawy. Zamknąłbym to wszystko w jednym wyrażeniu, że w reprezentowaną przez się instytucję, lubo tak małej wagi politycznej, ks. Lubomirski w tych nieskończenie ciężkich czasach chciał przelać własnego ducha i własne umiłowania. Dopieroż, ilekroć zawiązała burza, zwłaszcza grożąca tym jego umiłowaniom, wtedy to z całą gorliwością wiernego sternika zasłaniał statek, i nie spoczął póki istniała nadzieja poprawy. Ile razy przemierzył on tę mozolną drogę od biura Towarzystwa do zamku królewskiego w sprawach instytucyi, wiedzą tylko najbliżsi świadkowie, i pod tym względem nikt go zastąpić nie mógł. Oto na czem głównie polegało jego znaczenie w Towarzystwie Kredytowym miejskiem. Wreszcie, o sprawiedliwości i ściśłości w spełnianiu bezpośrednich obowiązków zwierzchnika biura, wynikających z ustawy, niema co i wspominać. Z wyjątkiem ważnych przeszkód, bywał na wszystkich posiedzeniach, w biurze komitetu nadzorczego przepędzał kilka godzin codziennie, interesantów przyjmował z całą uprzejmością bez względu na osoby, bogatych właścicieli kamienic, czy nieoszlifowanych chałcziarzy, sadzając ich obok siebie, jak wskazywała słuszność wobec równości prawa stowarzyszonych, cierpliwie wysłuchiwał żądań i skarg, czasami najniedorzeczniejszych, obeznawał się ze wszystkimi sprawami in-

stytucji aż do szczegółów biurowych, i gorąco dbał ażeby praca dla niej była odpowiednio wynagradzana, co mu też jednało serca pracowników. Sam atoli nietylko żadnego wynagrodzenia nie żądał, ale je ze wstrętem odpychał. Ażeby to nie wyglądało na rodzaj pańskiej impozycji wobec tego, że wszyscy członkowie władz mieli przez zgromadzenie ogólne stowarzyszonych przyznane pensye, ks. Lubomirski pozwolił wyznaczyć i sobie płacę roczną 1,500 rubli, to jest wynagrodzenie średnio płatnego urzędnika, i odtąd, pomimo częstych nagabań, do żadnej podwyżki nie dopuścił.

Takimi były jego rządy w Towarzystwie Kredytowem Miejskiem od r. 1870 do 1906, czyli przez lat 36. Porzucił je dopiero na półtora roku przed śmiercią.

Podobnież emanacje jego ducha, jego dążeń i akcje ratunkowe, jak w Towarzystwie Kredytowem, powtórzyły się, tylko z natury instytucji na większą skalę, w Towarzystwie Dobroczynności, z którem miał do czynienia od r. 1856, a przewodnictwo naczelne objął w r. 1870. Zastał on wprowadzić instytucję gotową, z tradycją piękną, instytucję podstawowo filantropijną, która niechcący, dzięki Jachowiczowi, założycielowi pierwszej ochrony, w pewnej części stała się i wychowawczą. Już na tem miejscu zaznaczyliśmy, że przed laty, wstąpiwszy zaledwie w jej progi, jako zwyczajny członek i zawiadowca ochron, których wówczas było dziesięć, zaraz wzbogacił ją dwoma własnymi pomysłami przez założenie kas groszowych i czytelnii bezpłatnych: pierwsze miały na celu wdrożenie ubogich do oszczędności, przyczyniającej się do dobrobytu; drugie, szerzenie oświaty, dwóch środków, któremi pragnął reformować społeczeństwo nasze, poczynając od sfer najuboższych i najciemniejszych. I teraz, stanawszy na czele, nie myślał środków tych zaniechać, przeciwnie, możliwie je udoskonalać. Ale wzrok jego niezdolny nigdy długo zatrzymywać się na jednym miejscu, zawsze wypatrywał strony, w którejby niepowstrzymana działalność mogła uderzyć. Jakoż, zaledwie objąwszy władzę zwierzchnią, dostrzegł on opustoszałą po zniesieniu klasztorów obszerną dzielnicę zakonu Dominikańskiego wraz z wielu budynkami przy ulicy Freta, idącymi wgląb' za kościołem, do ulic Starej i Mostowej. Instytucję podówczas zastał on bardzo ubogą względnie do potrzeb, których ostatnie czasy znacznie przymnożyły, tak, że nie była zdolną ani starczyć na nie, ani tembardziej myśleć o rozszerzeniu zakładów. Fundusze jej stałe zaledwie wynosiły rubli 241,000; prócz tego dom na Krakowskiem-Przedmieściu, zapełniony całym taborem starców, ka-

lek, sierot, które trzeba było karmić i odziewać, a przytem opłacać komorne i obsługę dla ochron na mieście, rozdawać posiłek, wsparcia i opał ubogim, według dawnych zobowiązań zakładów i potrzeb coraz bardziej rosnących.

Pomnożenie więc rozporządzalnych funduszków instytucji musiało stanąć na pierwszym względzie i potrzeba było człowieka wpływowego, z którymby liczyły się sfery wyższe i niższe, ażeby cel ten osiągnąć. Czyjeż imię mogłoby tu być przydatniejszem, niż to, które już naokół wzbudziło ogólny szacunek. Od tego też zaczął ks. Lubomirski, ażeby wpływów swych użyć dla zdobycia wspomnianej dzielnicy poddominikańskiej na rzecz Towarzystwa Dobroczynności i stosownie ją zużytkować, już w r. 1871. Otoczony ufnością i czią powszechną, sam ofiarny w najwyższy sposób, z nadzieją powodzenia kołatać mógł do serca ludzi ofiarnych: na jego wezwanie przybywało członków, mnożyły się składki stałe, urządzone zabawy, loterye, gwiazdki, bazy, przynosiły dochód przedtem niebywały, najlepsi ludzie w społeczeństwie, ażeby mieć zaszczyt z nim współpracownictwa, garnęli się do zajęć około instytucji i stawali się jej dobrodziejami, to ofiarując pieniądze w razach gwałtownej potrzeby, to przeznaczając je na założenie nowych przytułków z oddaniem ich pod opiekę Towarzystwa. Dość tu wspomnieć choćby takiego Szymona Krzeczковского, b. rektora szkół rządowych, który, zapisawszy się na członka Towarzystwa, złożył ks. Lubomirskiemu akt darowizny za życia dwóch domów dla instytucji, ocenionych na 124 tysiące rubli, z zarezerwowaniem dla siebie tylko 1800 rubli rocznego dożywocia; ks. Michała Radziwiłła, który, powołany na wiceprezesa Towarzystwa, zbudował dla sierot w dzielnicy poddominikańskiej piękny dom piętrowy na przytułek, zwany Nazaretem, i zapewnił mu utrzymanie stałe pod egidą Towarzystwa; nie licząc drobniejszych ofiar pieniężnych. Im więcej i bliżej przypatrywano się działalności księcia Tadeusza, tembardziej zwracała się w jego stronę ofiarność, ufna, że grosz złożony w jego ręce, rozumnie użytym będzie w imię Chrystusa i ojczyzny. Wzrost też majątku Towarzystwa przez ćwierćwiecze jego rządów naczelnych przybrał rozmiary pocieszające i wzniósł, jak nigdy jeszcze, środki działalności. Nietylko ofiary, czynione za życia, ale i krociowe zapisy testamentowe (ś. p. Daniłowicz, Rapacka, dr. Orzechowski, Władysław Kronenberg), kapitał instytucji z 241,000 rubli podniosły przeszło do miliona, nie licząc nieruchomości, jako to: wspomniane domy Krzeczковского, oraz dobra Gościeradowskie, ocenione na dwa miliony rubli, z których atoli dochód teraz dopiero zacz-

nie wpływać do kasy instytucji. Taki to był rezultat jego starań, zabiegów i tej niepokalanej czci, do jego osoby przywiązanej.

Z dochodem od tak spoteężniałego kapitału śmiejemy też poczynąć mogła instytucja i wkrótce się to okazało. Istniejące zakłady rozszerzyły się, poprzybywały nowe, do których zaliczyć trzeba w pierwszym rzędzie kasy rzemieślnicze. Książę Lubomirski, powtórzyć można, zastał instytucję drewnianą, po latach 25 zostawił ją murowaną: panią czterech nieruchomości w Warszawie, właścicielką wielkiego majątku ziemskiego oraz dwóch kolonij w pobliżu Warszawy (Drewnica i Ignacówek), które staraniem swem wyjednał, częścią na stałe pomieszczenie przytułku, częścią na letni wypoczynek dla małych sierot. Dodajmy, iż już po jego usunięciu się, Towarzystwo mogło uruchomić część kapitału i wystawić za rogatką Mokotowską, przy ulicy Rakowieckiej, ogromny dom z dużym ogrodem dla pomieszczenia zakładu sierot dziewcząt, duszących się dotąd w ciasnym obrębie piętrowego domu na Krakowskim-Przedmieściu. Zastał on dziesięć, a pozostawił przytułków, ochron, szwalni, chrześcijańskich i żydowskich czterdzieści z górą, utrzymywanych częścią przez samo Towarzystwo, częścią z funduszków osób prywatnych przy pomocy i nadzorze instytucji, oraz szkołę dwuklasową, urządzoną na wzór miejskich.

Też to właśnie przytułki i ochronki były jego największą troską i chlubą, ale zarazem bolączką, zatruwającą mu życie. On te schroniska nędzy i ciemnoty rozumiał tak, jak je rozumieją na całym świecie, jako zakłady, gdzie dzieci obojej płci, pozbawione opieki rodzicielskiej i u samego zawiazku życia narażone na zepsucie, gromadzą się, ażeby znajdować przykład, zachętę do dobrego i uczyć się rzeczy pożytecznych, a więc religii, czytania, pisania, robót ręcznych; i w tym też duchu zakłady te pierwotnie były prowadzone, stanowiąc niejako surogat domu rodzicielskiego. Ale innego zdania była ówczesna władza naukowa. Na powzięte od wywiadowców wieści, że gdzieś, w różnych punktach miasta, wchodzą z książeczkami i kajetami dzieci do domów, gdzie niema szkoły przez rząd upoważnionej, zgorszyła się niepomniernie i zrobiła alarm o to, że Towarzystwo dobroczynności utrzymuje szkoły potajemne. Poczęły się rewizye, raporty, żądania wyjaśnień, i cały ten kram zwał się na głowę biednego prezesa Towarzystwa. W ochronie — mówiono — mogą przebywać dzieci do pełnego wieku, mogą słuchać opowiadań ustnych i zajmować się jakimi robotami ręcznymi, ale nie może tam postać żadna książka, tablica, kreda, pióro, czy cokolwiek do aparatu szkolnego należy; chcecie uczyć, to załóżcie szkoły i oddajcie je pod nadzór

okręgu naukowego.—O szkołach, w znaczeniu, jakie do nich przywiązywała ówczesna władza naukowa, ze strony Towarzystwa nawet mowy być nie mogło; z drugiej strony, przeznaczenie ochron na to tylko, ażeby one zapobiegały włęsaniu się dzieci na ulicy i siedziały bez żadnego zajęcia kształcącego, nie miało właściwie celu. Słowem, przedstawił się fatalny dylemat: albo przemienić je na szkoły państwowe, albo zamknąć i dzieci wyrzucić na ulicę. Szczęściem ks. Lubomirski, mający zachowanie u ówczesnego naczelnika kraju, generała Hurki, z wielkim wysiłkiem zdołał zapobiedz temu dylematowi, odwlekał decyzję ostateczną, lawirował, tak, iż nieszczęsne te zakłady, kulejąc wprawdzie i pod ciągłym strachem zamknięcia, jeszcze czas jakiś trzymały się dawnego porządku, ale to tylko dzięki osobistym wpływom prezesa. Ks. Lubomirski jednak lawirowania nie lubił; dusza jego prosta i prawa wzdrgała się na wszelkiego rodzaju symulacye, powaga jego za nadto cierpiała wobec fałszywego położenia zakładów, opiece jego powierzonych i najbliżej serca jego leżących: wszystko to tak go zgnębiło, że nie czekając, aż pęknie sam przez się ten włos, na którym wiszą ochrony, mniej więcej w danej formie jego tylko wysiłkiem podtrzymywane, w r. 1895 r. złożył stanowczo godność prezesa Towarzystwa Dobroczynności. Zdaje się, że na to tylko czekano, ażeby z ochronami zrobić porządek *prawny*. Kilka lat za ledwie upłynęło od usunięcia się ks. Lubomirskiego, zarządzona rewizya wykryła w nich karygodne występki w postaci ksiązek i seksternów! W tej chwili nowy prezes Towarzystwa, profesor Brodowski, oraz główny opiekun ochron, profesor Jurkiewicz, otrzymali dynisyę, a ochrony, pod nowym zarządem, przekształcić się musiały na proste *sale zajęć*.

Co prawda, już też i nadszedł dla niego czas ulżenia sobie w dźwiganiu ciężarów publicznych. Był to już starzec siedmiesięcioletni, duchowo zawsze pełen energii, ale w każdym razie fizycznie zmęczony, gdyż nigdy o oszczędzaniu się nie myślał. Troska o dobro publiczne tak go podniecała, że bez względu, gdziekolwiek było ono narażonem, już on tam stawał z własnego popędu. Ni ztąd ni zowąd, na przykład, kolumna Zygmunta grozi zawaleniem; kasa miejska, której obowiązkiem jest podtrzymywanie starych zabytków, wyczerpana wydatkami na kanalizacyę, nieposiada funduszów na naprawę, pomnik ma być usunięty i złożony *tymczasowo* w lamusie Magistratu, gdzieby prawdopodobnie przeleżał ad calendas graecas, a w każdym razie jest to pamiątka historyczna. Kiedy wszyscy wdychają nad tem z gięstem wyrażającym: cóż robić, trudna rada!.., książę udaje się *proprio*

motu tam, skąd wychodzą decyzje i wyjednywa pozwolenie na restaurację pomnika ze składek prywatnych, byle bez ogłoszeń w pismach. Daje więc pierwszy znaczną składkę, cichaczem zbiera je od obywateli zamożniejszych, z myślą tą sympatyzujących, tworzy komitet budowlany z Ludwikiem Górskim na czele—i pomnik uratowany. Takich intermezzów pomiędzy czynnościami jego, jako bezpośredniego funkcyjnaryusza instytucyj publicznych i to w sprawach najróżnorodniejszych, ogólnych czy osobistych, nie spisaćby, jak to mówią, na wołowej skórze, ale na to potrzebnyby zgromadzić wszystkie jego listy prywatne, wszystkie notatki i memoryały, co chyba nie nastąpi nigdy, bo działacz ten, ten orędownik dobra, krył się, jak inny z występkiem, ze wszystkimi dobrymi uczynkami i skrzętnie ślady ich za sobą zacierał. Patrzyłem na to przez 36 lat, a raz na uczynioną mu uwagę odpowiedział mi: „Trzeba ukrywać swoje dobro przed światem, bo to należy tylko do Boga.“

Porzuciwszy zajęcia w towarzystwie Dobroczynności, które go najbardziej wyczerpywały, jako inicjatora i zarazem wykonawcę, pozostał w zakresie publicznym przy Towarzystwie Kredytowem miejskiem i instytucie Oftalmicznym, instytucjach względnie spokojniejszych i zamkniętych w sobie. Ale i tu duch inicjatorski nie dał mu spokoju. Powziąwszy wiadomość, że w Cesarstwie, skutkiem wielkich przestrzeni, ludność uboga mało korzystać może z rzadko rozrzuconych zakładów oftalmicznych, a przez to rząd rozsyła na odległe prowincje pogotowia okulistyczne, zaraz powziął myśl zaprowadzenia i u nas podobnego środka. Dziś powziął wiadomość i postanowienie, a nazajutrz wziął się już do wykonania. Rozumie się, że o pomocy z funduszków skarbowych na ten cel myśleć nie było można. Otworzył więc szkatułę własną, pociągnął ofiarność innych, zwołał specjalistów i tegoż samego roku (1898) urządził czasowe oddziały, wyprawiane do miast odległych od centrów lekarskich na jakie sześć tygodni co roku z pomocą dla chorych, nie mających środków na podróż i kurację w odpowiednich zakładach.

Przy tych dwóch instytucjach wytrwał on bez mała do końca życia, bo do r. 1907. Ale nie na działalności przecież ekonomiczno-społecznej i filantropijnej umysł jego mógł się ograniczyć: żywiołem jego ducha była nauka. Tej oddawał się on zamiędlu, tej wiernym pozostał do starości, dobra książka stanowiła jego delicyę; wierzył w niemylny owoc nauki, pragnął jej dla siebie i dla wszystkich, a ztąd i sam pisał i proponował innym do pisania książki naukowe. Działalność jego, jako pisarza, trwała również

całe życie, godził on ją jakoś z zajęciami społecznymi i o ile mu te pozwalały, chętnie zamykał się w swoim Tusculum, Małej-wsi powiatu Grójeckiego, ażeby piórem dopełniać życiowego programu. Piśmiennicza jego działalność, jak powiedzieliśmy, rozpada się na dwie części, występuje on w niej jako autor i jako wydawca. W tym kierunku już w pierwszej młodości rozpoczyna od wydania „Pamiętników Teodora Jewłaszewskiego“ białorusina, który żył i urzędował w powiecie Nowogródzkim, w końcu XVI i na początku XVII wieku. Wybór ten zapowiadał niejako kierunek umysłowy i zarazem mądrość wydawcy, albowiem ten Jewłaszewski, dobrze obeznany ze współczesnymi sprawami Rzeczypospolitej i uwijający się wśród magnatów, w pamiętnikach swych daje doskonałe wyobrażenie o kulturalnym wpływie myśli polskiej na społeczność litewsko-ruską i na jej powolne przeobrażanie się w duchu zachodnim. Przekład z białoruskiego, dokonany przez prof. Eug. Ciemniewskiego wyszedł w Warszawie 1860 roku. Niebawem też występuje jako samodzielny pisarz historyczny, z dziełami: „Jurydykcyja patrymonjalna w Polsce,“ „Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku,“ „Kodeks dyplomatyczny Księstwa Mazowieckiego.“ Dzieła te zostały w swoim czasie ocenione i za ważne przyczynki do poznania wewnętrznych dziejów narodu uznane. My tylko tu ze swej strony zaznaczyć możemy, że są to dzieła czysto archiwalne, dokonane metodą ściśle naukową, opartą na mozolnem przetrząsaniu i rozklasyfikowaniu źródeł, po największej części niedrukowanych. Wykazują dzieła te nietylko cierpliwość poszukiwacza, ale zarazem umiejętność w zestawianiu faktów żywotnych i spostrzegawczą badacza bystrość, tak iż rzeczą jest niezawodną, że gdyby autor tych źródłowych prac wyłącznie się oddał temu kierunkowi, mógłby być stanąć w rzędzie pierwszych historyków polskich. Potwierdzają to i dalsze jego rozprawy umieszczane w „Bibliotece Warszawskiej,“ a dotyczące skarbowości w Polsce, handlu, systematu podatkowego i inne w podobnym rodzaju. Wszędzie on unika powtarzań i kompilacyj, wyciągania rzeczy znanych; o ile potrzeba, potraça o nie zaledwie, doszukuje się nieznanego, stara się docierać do najpierwszych źródeł i dokumentów przez nikogo nietkniętych; z druków nie korzysta, albo je tylko dla sprawdzenia i uzasadnienia odkryć swoich przytacza. Ztąd też każda jego rozprawa, każdy nawet artykuł, wśród tej starzyzny, wśród której się grzebie, przynosi coś nowego. Taką jest i ostatnia jego rozprawa zamieszczona w „Bibliotece Warszawskiej“ z roku zeszłego, o ustroju rodziny w Polsce. Taką jest ostatniemi laty wydana broszurka, mieszcząca li-

sty gilotynowanej w Paryżu księżny Rozalii Lubomirskiej, do której to broszurki, ażeby napisać rozprawę wstępną, umyślnie jeździł do Paryża i z archiwum ministerium spraw zagranicznych powyciągał współczesne akty urzędowe, świadczące o przyczynach i okolicznościach katastrofy. Miałem w ręku jego rękopis dotyczący rodowodu Lubomirskich, który w starości już układać począł. Rzecz to dla badaczy życia wewnętrznego Polski bardzo ciekawa, bo połączona ze szczegółami, malującymi ustrój państwowy. Ale rękopis ten ani jednym ustępem nie odnosi się do epok historycznego rodu znaczenia, głoszonego przez kroniki: autor, przeciwnie, postępuje drogą wsteczną w czasy zamierzchłe, ażeby jednostka po jednostce, szczegół po szczególe, zagarniając coraz większy materiał, dojść do punktu, z którego ród bierze początek, i tym sposobem wypełnić łańcuch rodowy nieprzerwanymi ogniwami, ze znanymi łącząc nieznanne. Tu nie przychodzi mu z pomocą żadna kronika, żadna monografia drukowana; materiał dla jego pracy stanowią stare, nieczytelne pergaminy, zachowane w katakumbach różnych archiwów kraju, albo jeszcze mniej czytelne napisy na sarkofagach, ukryte w katakumbach kościelnych. Taką to cechą poszukiwawczą i badawczą noszą wszystkie prace historyczne ks. Lubomirskiego, jako autora. Nie mając czy usposobienia, czy dość wybitnego talentu artystycznego w sztuce pisania, nie dotyka on dziejów ze strony pragmatycznej, ale jest jako górnik, który znosi w rudzie klejnoty historyczne, oszlifowanie ich pozostawiając innym. Niema dotąd dzieł jego bibliografii, a warto iżby ktoś o tem pomyślał, jak niemniej o wydaniu wszystkich pism jego, nie w prostym przedruku, ale w komplecie systematycznie uporządkowanym i w naukowy komentarz opatrzonym. Mamy nawet niepłonną nadzieję, że dokona tego ktoś, do kogo to z prawa i obowiązku należy, iżby umysłowy dorobek pożytecznego pracownika na polu piśmiennictwa narodowego nie rozproszył się marnie.

Co do wydawnictw, te zmarły prowadził w zakresie wyłącznie wychowawczym, tak jak i cała dążność jego obywatelska w tym kierunku przeważała. Pedagogiem z powołania on nie był, rozumiał tylko dobrze, ile przyszłość narodu od tego warunku zależy. Rozumienie to objawiło się bardzo wcześnie, bo za najpierwszą pracę jego pióra prawie wszystkie dotychczasowe nekrologi podają książeczkę, której ja jednak nigdy nie widziałem: „Opowiadania dla dzieci.“ O przewodnikach dla rzemieślników kilkakrotnie już wspominałem. Wydawał nadto podręczniki dla edukacji domowej, jako to: Katechizm, przez ks. Gorzelańskiego;

Gramatykę polską, przez Boczylińskiego; Historię starożytną, przez Korzona; Wypisy, przez Bądzkiewicza i Kaszewskiego. Serja ta na tem się zakończyła, gdyż nie miała szczęścia u publiczności. Natomiast wielkiego powodzenia doznała Encyklopedia Rolnicza, wyczerpana tak, że drugie jej wydanie wyszło w nowem opracowaniu przed kilkunastu laty, ale już nie jego kosztem i nie pod jego kierunkiem. Pomnikowem wszakże pozostanie rozpoczęta przez ks. Lubomirskiego i niemal do połowy doprowadzona Encyklopedia Wychowawcza, do której i sam artykuły oryginalne, mianowicie życiorysy niektórych pedagogów swojskich i obcych podawał. Doprowadziwszy wydawnictwo do litery *H*, na uczynioną propozycję, zwłaszcza za staraniem prof. Pleniewiczza, odstąpił je bezpłatnie gronu pedagogów wraz z całym nakładem poprzedzających zeszytów, zostających na składzie, i odtąd wychodzi ono, pod kierunkiem rzeczzonego profesora, do którego też wyczerpującego artykułu w Encyklopedyi Wychowawczej p. t. *Lubomirski* odsyłamy czytelników, pragnących się dowiedzieć o charakterze, wartości i losach tego wydawnictwa. W przedsięwzięciach tych, na tak wielką skalę obmyślanych, mianowicie co do podręczników szkoły domowej i obu encyklopedyj, doznawał on zrazu pomocy materyjalnej ze strony Edmunda Stawiskiego i Leopolda Kronenberga, ale obaj oni niedługo pomarli, tak iż wydatki, połączone z tak kosztownem wydawnictwem, nigdy nie pokrywane, jego tylko samego obciążały.

Do wydawnictw historycznych zaliczylibyśmy tylko listy Klementyny Sobieskiej, małżonki elektora Bawarskiego, zamieszczone w „Bibliotece Warszawskiej,” tudzież w osobnej książce wydrukowany katalog biblioteki Sobieskich: dwie rzeczy, rzucające pewne światło na ekran ówczesnej doby.

Przedstawiliśmy w najogólniejszym zarysie stanowisko i udział zmarłego księcia w życiu krajowem przez ciąg lat 55-iu, pomijając wiele drobniejszych rysów i oderwanych szczegółów, nie nadających się do publicystyki, a bliżej jeszcze może świadczących o jego charakterze, jako człowieka i dobrego syna ojczyzny. Jaką zaś była zasługa, niech sobie czytelnik sam z tego przedstawienia wysnuje. Zasługę tę umiano jednak w pewnych sferach uznać i ocenić. W r. 1890 krakowska Akademia Umiejętności w dowód tego uznania obdarzyła go dyplomem doktora *honoris causa*. We dwa lata potem, t. j. w r. 1892, czyli w 50 rocznicę jego działalności publicznej, obywatele tutejsi uczcili go pamiątkowym medalem złotym ze wspaniałym adresem — i to stanowiło jedyną, ale najcenniejszą, bo z serca pochodzącą, nagrodę prac

jego i nieograniczonych poświęceń. Czy masy polskie odczuwały w podobny sposób zasługi tego człowieka — wątpię: masy potrzebują reklamy, rzucania się w oczy, tego właśnie, czego zmarły unikał najbardziej. Działał on przeważnie skrycie i jak ktoś z nekrologistów dobrze powiedział: bezimiennie. Często, wiem to z doświadczenia, człowiek uratowany z ciężkiej niedoli nie wiedział nawet, komu zmianę losu zawdzięcza; o uratowaniu jakiego zagrożonego interesu krajowego wiedzieli tylko najbliżsi i ci milczeli, bo były to czasy, w których demaskowanie cnoty nie było ani pożyteczne, ani bezpieczne. Ztąd brak popularności działacza, który w innych czasach nie potrzebowałby zachowywać środków ostrożności.

Gdyby chodziło o porównanie, to z kierunku, jaki on nadał swemu życiu, widzę, że miał w sobie coś Staszycowskiego. Ta sama czystość obyczajów, ta sama cześć dla wiedzy, to samo wnikanie w ekonomiczne potrzeby ogółu i dążność do czynienia im zadość. Prawda, że Staszyc, zawierając trwałości swych czasów, zostawił po sobie dotykalne pamiątki, dziś, niestety, po większej części zmarnowane. Książę Lubomirski nie dowierzając wiekuistości ofiar, a zbyt żywo odczuwając potrzeby współczesne, za życia część tego majątku oddał krajowi w postaci wydatków na cele wychowawcze i ekonomiczne, na różne publiczne posługi i zapomogi prywatne; oddał mianowicie w ten, coby przez 55 lat posług publicznych zyskał, gdyby tę działalność skierował ku pożytkowi własnemu. Ale ten kierunek kusobny nie był jego drogą; w wirze zajęć publicznych o sprawach własnych myślał on tyle tylko, ażeby nie doznać zarzutu, że dopuścił się zaniedbania, po za tem cała myśl była dla ogółu. Myśl ta wszakże nie ograniczała się tylko do celów abstrakcyjnych, ale rozciągała się z miłością i na indywidua. Bez różnicy stanu, powołania i wyznania cenił on zarówno każdego, kto dla kraju w jakim bądź zawodzie użytecznym pracował, a zwłaszcza, kto skutkiem tej pracy ucierpiał i doznał krzywdy. Wtedy to iście ewangeliczny ten człowiek sam wychodził przeciw rozbitekowi, ażeby się dowiedzieć, w jaki sposób ta krzywda powetowana być może i póty nie spoczął, póki jej w jakim bądź sposób nie naprawił. Świeże to dosyć wypadki i dzisiaj jeszcze żyją takie ofiary czasu, które moglibyśmy na świadectwo wskazać. Aristokrata w każdym calu dostojnością i poczuciem godności osobistej, w stosunkach z ludźmi miał za zasadę oddawać *suum cuique*, nigdy nikomu, nawet z najbardziej maluczkich, nie dał uczuć swojej wyższości i wszystkich równem prawem obdarzał. Z równymi sobie urodzeniem obchodził się bez wyróżnienia, a nawet nie-

co z wysoka, do niższych, a zwłaszcza zasłużonych, odnosił się z wyszukaną uprzejmością, jakby chciał im dać zapomnieć, że los pozwolił mu urodzić się inaczej.

Ten arystokratyzm, ta godność osobista i rodowa uchroniła go od przechodzenia przez jarzmo kaudyńskie, pod które podpadło tylu innych. Nieraz odzywały się koło niego głosy: Cóż dziwnego, że książę Lubomirski może tyle, co nikt inny, uczynić, jeśli jest tak dobrze postawiony tam, gdzie inni mają wstęp utrudniony albo małoznaczny?... Prawda, że miał on stosunki wyjątkowo korzystne, ale dlaczego korzystał z nich więcej niż inni? Dlatego, że nigdy niczego nie żądał dla siebie; dlatego, iż wiedziano, że go niczem przeciągnąć i przyciągnąć nie można. Jego bezinteresowność szła tak daleko, że nawet w sprawie najważniejszej, jaką jest uregulowanie serwitutów wiejskich, co do swego majątku żadnych wyjątkowych kroków nie uczynił. Włóscianie się długo upierali przy swoim, majątek na tem cierpiał, jedno skinienie z góry, zwłaszcza za rządów ks. Albedyńskiego, który był nawet jego osobistym przyjacielem, a krajowi życzliwym, mogło być rzecz natychmiast uregulować według jego życzenia, ale on nagabającym go odpowiadał, że spór obywateli polskich załatwiać się powinien między nimi układem polubownym, bez odwoływania się do obcego forum. Na takich ludzi, którzy chcąc być szanowanymi, szanują przede wszystkim siebie samych, i potężniejsi spoglądają inaczej: trzeba albo ich delikatnie usunąć, jeśli są niedogodni, albo z nimi się liczyć. Pomimo że nie lubił bezmyślnych rozpadów i z drogi legalnej nie zbaczał, ale nieprzyjaciel polityki pantoflowej, książę Lubomirski na pierwszą alternatywę, po pierwszym doświadczeniu, zawsze był gotów, z drugiej, w sposób jaki widzieliśmy korzystał, bez odpoczynku, aż do zamknięcia oczu w dniu 7 kwietnia 1908 roku. Zastanawiając się nad jego życiem, nie z utylitarnych tylko rezultatów sądzić o niem należy: bezpośrednia, aktualna jego działalność rozeszła się w społeczeństwie, jak prąd zdrowego powietrza po organiźmie, i pochłonięta znikła; na przyszłość, pozostał w pamięci przykład, w wyobraźni narodu utkwiała ręka wyciągnięta w stronę obowiązku, niedbała na pociski i bóle: to najcenniejszy dorobek ludzi wyższych.

Przedstawiłem tu, jakom zdołał naprędce, tego Horacyuszowego *justum ac tenacem propositi virum*. Był to istotnie mąż sprawiedliwy, „książę niezłomny,” jak go ktoś z piszących nazwał. Chrześcijanin bez bigoteryi, Polak bez zastrzeżeń, do ostatniego tchnienia sprawie polskiej służący, nigdy jednak z polskości swej parady nie czynił, powierzchownie jej nie demonstrował, chyba

gdy ją kto choćby słówkiem w obecności jego uraził: wtedy odzywało się w nim ogniste serce syna, patrzącego na zniewagę matczyną i niebezpiecznie było wchodzić mu w drogę. Raz jeden tylko zmanifestował zewnętrznie pochodzenie swoje i to po śmierci: kazał się pochować w kontuszu.

Czterdziestoletni przyjaciel i towarzysz pracy, rzucam tych słów kilka na świeżo zamkniętą trumnę, jak garść piasku rodzinnego na te zamierzchłe oczy, które za życia wpatrywały się tylko w warunki dobra ogólnego, na te ręce, które tyle ran zagoiły; rzucam je z westchnieniem wdzięczności za niepożytą dla ziomków miłość, z którą zstąpił w krainę wieczności po nagrodę sprawiedliwych i poświęconych.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

Siostra Felicya.

IDYLLA JESIENNA.

I.

„Co ja jej powiem?... Co ja jej powiem?...”

Pytanie to, niby minorowy leitmotiv, wplatało się co chwila w mgliste, zygzakowe przedze rojeń pana Andrzeja, które snuły się i snuły z najtajniejszych głębin serca, z odległej epoki jego życia, ciężkie, skłębione, załzawione, jak zwały chmur deszczowych, czołgających się po ołowianej kopule jesiennego nieba.

Podróżował sam jeden w przedziale pierwszej klasy pociągim z Berlina do Poznania. Nawpół leżąc na poduszkach, wyciągnął nogi na przeciwległe siedzenie, odrzucił w tył kształtną głowę Antinousa, przytulił policzek do popielatego wezgiłowia przy szybie i błędził zmrużonemi, mgłą zadumy zasnutemi oczyma gdzieś w oddali po nagich, szarawych ugorach, po bezlistnych, krępych wierzbach przydrożnych, grupach dalekich zabudowań folwarcznych, obramowanych topolami, które niby w kinematografie przesuwaly się przed oknami wagonu, zawoalowane trochę pajęczyną szaroty jesiennej, smutne, beznadziejne. Zdawać się mogło, że zasłuchał się w monotonny łoskot wagonów, przechodzący chwilami w gwałtowne łopotanie, a na mostach w ponure sklepowe dudnienie, w huk głuchy, który rozpogadzał się znowu w miarowy łomot.

Druty telegraficzne, rozwieszone na palach, jakby grzędy dla ptactwa, stróżującego nad torem, raz unosiły się na szybie, to

znowu opadały miękko, jak fala nadbrzeżna, tak iż pan Andrzej zastanowił się przez chwilę, czemu ten szereg równoległych, poziomych kresek czarnych, jak rozkołysane wody, wznosi się, ustępuje i bieży tak wiernie przy boku zadyszanego pociągu.

Czasem salwa iskier rozsypała się przed oknem, kłęby dymu długa, pierzasta szarą buchnęły i przysłoniły rozlewny krajobraz, czasem świst piskczalki u kotła parowego rozdarł powietrze i utonął w niemiłosiernem łopotaniu żelaznych kół po żelazie, dudniącym w uszach, padającym wraz z groźnym sapaniem maszyny na pola, które zdały się uciekać wstecz wyleknione.

„Co jej powiem?...“ westchnął pan Andrzej, gdy na tle kwiatnych wspomnień roztoczyły się tęcze wonnych tęsknot, szkarłatne zorze pragnień miłosnych i snów płomiennych. A potem uleciał znowu fioletowy tuman westchnień i melancholia przysłoniła żalobną gazą twarz jego niemłoda już, zniszczoną, o rozluźnionych muskułach licowych i śladach burzliwego życia,—lecz uduchowioną, ujmującą sympatycznym wyrazem. Z głębi oczodołów wyzierała w tej chwili, gdy wpatrywał się w obrazy przeszłości, po przez ciemne źrenice dusza marzycielska o strunach lirycznej słodyczy i bajronizmu; a na ustach młodych jeszcze i krasnych, jakby żądnych pocałunków, na to jedynie stworzonych i tak ładnie wykrojonych, osiadał niekiedy jak motyl chochlikowy uśmiech zmysłowy. Dzięki temu zapominało się o plamkach przedwczesnej siwizny powyżej uszu, o przerzedzonych włosach, siatce linii na czole i o dwóch głębokich brózdach, które od nozdrzy greckiego nosa szły do kątów ust i kryły się pod długi, wypielegnowany, czarny wąs.

Gdy niedbale usłany spoczywał w całej okazałości swej wytwornej postaci, ubrany ze starannością i gustem angielskiego dżentelmana, wydał się piękną, szlachetną ruiną, przeżytym wielkoświatowcem z zachodu.

I tak było w istocie. Pan Andrzej Kromicz mieszkał od lat ośmnastu w Paryżu. Próbował tam szczęścia, jako muzyk, pisał się po liście wawrzynowe, ale po kilku połowicznych sukcesach, nieśmiałych uśmiechach sławy, nadzieje zawiodły i ambicje przygasty. Obniżał lot i z biegiem lat z muzyka przekształcił się w okolicznościowego kompozytora drobnych utworów, w wielkiego znawcę starych sztychów i porcelany, a mianowicie w dżentelmana, który wraz ze swą bardzo majątną i inteligentną żoną, angielskiego rodu, był ozdobą kół artystycznych i poważnym fabrykantem opinii publicznej, dotyczącej młodych adeptów i rzeczy sztuki.

Pan Andrzej nie zazdrościł niczego nikomu, a cieszył się powodzeniem, chociażby najniklejszem, „swoich,” aczkolwiek trzymał się od nich trochę zdaleka. Rozsiewał uznanie dla portretów Boznańskiej i rzeźb Biegasa.

Niemniej fenomenalnym było, że nigdy nie kazał tytułować się hrabią, że przez całe życie nie wynalazł ani jednego nieomylnego systemu rozbijania banku w Monte-Carlo i nie chciał być tak dobrym, jak Francuz... Przeciwnie, pan Andrzej nosił swoją polskość tam, gdzie uznawał za stosowne, jakby order, a na Francuzów spozierał trochę z góry, lubiąc i ceniąc ich kulturę więcej, niż ich samych. Nie naśladował nikogo niewolniczo; stosował się do świata, o ile mu się to podobało. A ujmujące jego wzięcie, które mogłoby uchodzić w środowisku niewysubtelniomem za uprzejmość, obliczoną na jednanie i przyciąganie ludzi, miało odcień arystokratycznej ogłady, suggestywny, że łatwoby mu przyszło obyć się bez względów ludzkich całkiem.

Zresztą cierpiał na wątrobę, na przeczerzenie buntowniczych nerwów, na sybarytyzm estetyczny, na chroniczną niewierność małżeńską oraz na nieszkodliwe kaprysy, przybierające zwykły charakter mizantropijny, niwelujące wybujałości egotyzmu.

Jakoż właśnie w czasie, gdy znajomi jego po letnich wyjazdach zanurzali się po uszy w świeżym, szumiącym potoku „świetlanego miasta,” szukali nowych, ciekawych okazów ludzkich na arenie wielkiego świata, nowych kostyumów, podniet, uciech i sposobów eleganckiego wydawania pieniędzy, pan Andrzej czmychnął, wyjechał do Polski.

Gdy znikły mu z przed oczu śnieżne mury kościoła Montmartre i wierzchołek wieży Eiffla, szybko poczęły zacierać się kontury osób, z którymi przestawał, gasła pamięć światła wielkomiejskich, zamierało wczoraj bez cienia żalu, a powstawały inne, zupełnie inne obrazy, które snadź magiczny wpływ wywierając, wywiodły go z Paryża na smutne, niby wieczystą jesienią nakryte, pola wielkopolskie, z którymi nie wiele go łączyło.

Łączyło go jednak wspomnienie...

Tutaj, na tej ziemi, pozostawił coś bardzo drogiego ze swej przeszłości, część siebie — najczystszy, najpiękniejszy poemat swego życia, bogatego w romansowe karty — poemat, który w futerale wspomnień zajmował osobne, honorowe miejsce. Jedynie w chwilach elegijnego nastroju dotykał tej karty różowej i wtedy padał przed nią, jak przed relikwią, oblewał ją w ukryciu gorącymi łzami, jak grób, w którym złożyło się najdroższe kochanie. I w obliczu tej gwiazdy wspomnień, opromieniającej go

jeszcze po dwudziestu latach, milkło, tonęło w cieniu wszystko, co przeżył później na wielkim świecie.

Dwadzieścia lat!... Jak długo wydaje się to młodym, a jak małym skokiem starym. U wyjścia dwudziestolecie, to tajemniczy, kwietny kobierzec, a u końca drogi to cmentarzysko, poznaczone przeważnie ruinami i gruzami prac bezowocnych, grobami usiłowań bezpłodnych i wiankami marzeń powiędłych. Cały okres czasu, dzielący pana Andrzeja od niezapomnianego epizodu z młodości, zdał się przelotnym, rozwiewnym snem, który lubo pozornie świetny, mieniający się drogiemi klejnotami uciech, jakiś gorzki pozostawił osad na dnie duszy. A wobec tego tem miłszym i droższym był ten rozdział niczem na kanwie życia nie zaznaczonej, fijołkowej miłości młodzieńczej.

Miłości przy łożu umierającej ciotki!

Gdy sędziwa pani Sabina Kromiczowa zasłała, Andrzej bawił u rodziców na wsi w Kaliskiem i po walnej naradzie familijnej został wyprawiony do Poznania z paczką nauk i wskazówek praktycznych, jak sobie ma postępować względem „najdroższej” ciotki.

Stały epitet „najdroższej” zawdzięczała pani Sabina tej okoliczności, że nie miała dzieci, a natomiast znaczne kapitały, które podobno były zapisane faworytowi — panu Andrzejowi. Rodzice jego nie wiedzieli tego wprost od niej, — bo o testamencie i takich rzeczach wspominać nie lubiła, — lecz od osób trzecich. Matka przeto poleciła mu z naciskiem, aby nietylko ujął sobie najdroższą ciotkę pieczołowitością, ale delikatnie zbadał, jak stoi sprawa zapisu, a nadto chronił ciotkę przed innymi wpływami, jak przed zarazą, w danym wypadku kontrakcyę przeciw sobie wymierzoną sparaliżował strategiczno-dyplomatycznymi manewrami i ewentualnie namówił „najdroższą” do podyktowania ostatniej woli — oczywiście w tym duchu, aby ciotczyne ruchomości tego świata niepodzielnie jemu się dostały.

Na wyjeździe Andrzeja do Poznania zakupiono mszę, nie tyle na intencyę wyzdrowienia najdroższej ciotki (bo, jak mówiła matka młodego emisariusza, „co we wyrokach boskich zapisane *zresztą* wiekowej, zgrzybiałej osobie, z tem zgodzić się trzeba”), ale mianowicie na pomyślny wynik misyi familijno-finansowej młodego muzyka.

Liczył on lat dwadzieścia cztery, ale nie znał jeszcze wcale życia, należąc do późno, powoli rozwijających się osobników i był tak lekkomyślnym, że nie skorzystał wcale ze zabranego skarbcza nauk. W kwestyi zapisu nie zrobił zgoła żadnego kroku, nie pi-

snął słówka. Atoli w jednym punkcie zastosował się wiernie do wskazówek: całe dni spędzał przy łożu gasnącej ciotki, tak iż w podziw wprowadzał wszystkich.

Stara sługa, której dostała się po pani Sabinie mała renta dożywotnia, zakładając ręce na brzuchu, mówiła o nim w zachwycie:

— Panicz ma katolickie serce! Własnej matki nie pielegnowałby gorliwiej!... Niech mu Pan Jezus nagrodzi!...

Takie pochwały Andrzej przyjmował z iście dziewiczą skromnością, zbywając je kłopotliwem milczeniem.

Ostatecznie Pan Bóg nagrodził mu to; spadła na niego fortuna po ciotce i to daleko znaczniejsza, niż się spodziewano. Lecz Andrzej nie poczytywał jej za „nagrodę“.

Nikt nie był tak dowcipnym, by domysleć się, co istotnie trzymało młodego człowieka, przykutego do łoża chorej ciotki. I on sam nie zastanawiał się nad tem, co za magnetyczna siła działa na niego tak, iż pokój, gdzie wśród odorów aptecznych gasło życie ludzkie, wydał mu się miejscem najmiłszym pod słońcem, jedynem, nawet rajem. Nikt nie zauważył, że młody muzyk, doglądając najdroższej ciotki, dogląda coraz troskliwiej młodej zakonnicy, Elżbietanki, która spędzała przy chorej całe dni, a często nawet i noce.

Siostra Felicja nie była w jego oczach kobietą, jak inne. Stały między nimi jej śluby zakonne, ów możliwie najbrzydszy strój, który jak najusilniej starał się oszpecić ją, zamienić w nieodgadnioną istotę bezpłciową. Wszelako ta okoliczność właśnie, stawiająca ją poza światem uchwytnym, oddziaływała na kobieco-artystyczną, wrażliwą organizację młodego romantyka zaciekawiająco, budziła wyobraźnię, nęciła gryzącą wonią zakazanego owocu, porywała serce i rozpaliała pokryjomu zmysły.

Ohydny strój nie mógł zamaskować śmiałych linii ślicznej, bujnej figury, której siostrze Felicji pozazdrościć mogła każda wiochna. Kaptur nieprawdopodobnie brzydki, podobny do kapoty w kształcie altany, z tej samej co suknia materyi szarawej o ceglastym odcieniu, tworzył nad czołem istny dach od deszczu, przykrywał włosy, osłaniał z boku lica zazdrośnie, ale jednak nie przeszkodził Andrzejowi zaraz w pierwszej chwili poznania dostrzedz łagodny owal twarzy, trochę za pełnej, jędrnej, brzoskwińowej, pachnącej zdrowiem. A pod deszczochronem odnalazł dwoje ciemnych, gwiazdzistych oczu chabrowych, które miały w sercu jego zostawić niczem nie zatarty ślad, odkąd przejrzał się w niem takie duże, śliczne, takie pełne prostoty gołębiej, sło-

dyczy najtkliwszej i dobroci wielkiej. A gdy rozwiązała ciemno-granatową wstążkę pod brodą i zdjęła kapelusz, ujrzał obfite, kasztanowate włosy, pogodne białe czoło i rąbek alabastrowej szyi, pociągającej afrodytyjskim urokiem. Chciałoby się unaić tę śliczną głowę ślubnym wiankiem rozmarynu i ustroić te śliczności, tryskające młodem życiem, we wstęgi i korale. To nie była siostra Felicya, lecz poprostu córka leśniczego, Hania Dąbrowska.

I przy łożu chorej poczęły się stare jak świat dziwy.

Zahaczali o siebie oczyma co chwila, spojrzenia ich bratały się w przyjaznym promieniu. Nieświadomie siadali w pobliżu siebie, wyczuwali swą obecność słuchem, mówili z sobą innym tonem, niż z resztą ludzi i coraz to szukali się żrenicami, jakby mając sobie coś nieskończenie ważnego do powiedzenia, czego mową ludzką nie można wyrazić.

Gdy siostra Felicya krzątała się przy pani Kromiczowej, Andrzej chodził za nią wzrokiem, nie mogąc dość napaść oczu kształtami, dość nadziwić się liniom i ruchom, jakby regułą zakonną stłumionym i do ostatecznych granic pokory i skromności doprowadzonym. Nie chodziła, lecz płynęła, jak cienie zbawionych na polach elizejskich. Ruchy jej świadczyć się zdawały o doskonałym ustosunkowaniu i prostocie umysłu, o skończonej harmonii i pogodzie duchowej. Każdy jej gest aksamitny muskał mu czoło czarownym powiewem i, widząc ją taką cichą, Andrzej zachwycał się zaziemską jasnością, która biła od niej na dusze gasnące chorobą strawionych niby promień, zwiastujący zagrobowe szczęście. Wsłuchiwał się, wtapiał w muzykę jej głosu, który lał balsam ukojenia w serca, łaknące moralnej podpory.

Było to jakieś wyanielone, symboliczne zjawisko wierzeń transcendentalnych, ostatnia radość oczu, które zamykały się na zawsze.

Ona niemniej podziwiała pana Andrzeja. Bo jakżeż mogło być inaczej?! Wszyscy wokoło korzyli się przed nim, jak przed królewiczem, wszyscy sławili go, nosili na rękach i na wyścigi dogadziali ładnemu chłopcu o płonących oczach. Więc, gdy wchodził do pokoju, zakonnica witała go ślicznem spojrzeniem, niby gońca rajskiego, którego jej serce młode oczekiwało dotychczas z radosnem drżeniem. Gdy zbliżał się tuż do niej, nakrywała oczy powiekami, gdyż spływała na nią fala przedziwnego, rozprzęgającego omdlenia i tak z uległością uszczęśliwionej niewolnicy korzyła się przed czarem jego osoby blizkiej, przed jego męskością. Jego tylko pytała się o rady, do niego odnosiła się we

wszystkich sprawach, dotyczących chorej, jakby do pana domu najmędrszego, nieomylnego.

On był osią wszechświata; jasność tryumfatorska szła przed nim i życie tętniło w każdej kropli krwi purpurowe, ogniste, więc dziewczyna nurzała się w tem słońcu, przyjmując jego względy z tem większą wdzięcznością, że odkąd została zakonnicą nikt nie patrzył na nią tak... ładnie i dobrze.

Poza murami klasztoru była cieniem, snującym się po ziemi. Ludzie nie widzieli jej. W domach chorych lubili ją wprawdzie, nawet bardzo, i wiele więcej od innych siostr Elżbietanek, ale lubili w niej przeważnie szarytkę, pocieszycielkę, opiekunkę. Tymczasem on, ten piękny, sławiony młodzieniec wielkiego rodu lubił ją jakoś inaczej, cieplej, mocniej... Dla niego jednego była kobietą.

A jaki był piękny! To wcale nie da się wyrazić! Nie widziała jeszcze w życiu takiego człowieka, nie przypuszczała, aby taki mężczyzna istniał. I wszystko było na nim takie wytworne: luźny, granatowy ubiór, śnieżna cienka bielizna, złoty łańcuch do zegarka, eleganckie buty. Taki był pan wykwintny, swobodny, zdobywczy!

Ach! Boże! Jak czasem śmiały mu się oczy! Aż ją samą porywała nieznana wesołość i serce dygotało w piersi. To znowu tak słodko, przymilenie wnikały w duszę jej, że mdlała w czułym spowiciu spojrzeń. Przypominały jej się wtedy śliczne, duże oczy małej Kazi, którą poznała, pielęgnując jej ojca w ciężkiej chorobie — tego milutkiego dziecka, co garnęło się do niej, jak pisklę, obejmowało ją za szyję tak czule, podając usteczka do pocałowania.

O! szarytka niema wcale tak źle na świecie, jak ludzie zwykle sądzą. Nie potrzebuje troszczyć się o komorne i zarobek, zawsze się naje i to doskonałych rzeczy. Nie tak to bywało w ojcowskim domu. Wszędzie ją ludzie szanują, nawet wielcy państwo sadzają ją do stołu pospołu ze sobą. A podarków!... Niedawno pewna pani hrabina, której córkę pielęgnowała przy zapaleniu płuc, obdarzyła ją tak hojnie, że miała ochotę posłać połowę pieniędzy siostrze swej, Wikci. Bo to w domu dużo roźności... Tak, zakonnica to nie byle kto. Sam przewielebny ks. biskup niedawno rozmawiał z nią kilka minut łaskawie przy wizytacyi klasztoru. Pochodzi z tej samej wsi, co ona. Prawda, inne siostry zazdrościły jej, nieraz dogryzają jej, przełożona bywa bardzo przykra, ale trzeba to Panu Bogu ofiarować... Albo czy tu, przy pani Kromiczowej ma jaką krzywdę? Nigdzie nie

było jej tak dobrze. Tylko, mój Boże, że staruszka nie wyjdzie z tej słabości. Ale Pan Jezus miłosierny śmierć gotuje jej, jak sen, cichą.

Pewnego dnia pani Sabina nieco silniejsza poprosiła siostrzeńca, aby zagrał jej preludium Szopena „Marzenie.“

Fortepian stał w trzecim pokoju. Andrzej pootwierał drzwi i począł cicho, niewysłownie miętko grać boską melodyę tak, iż zdało się, że zefir niesie liliowe westchnienia wezbrane falą najszczytniejszych utęsknień miłosnych. W młodzieńczym egoizmie Andrzej nie przypuszczał, że może ciotka w tej muzyce żegna swe dawne marzenia zwodne i w nich żegna świat, który marzeń nie ziścił.

Gdy uniósł głowę, ujrzał dwoje ślicznych oczu dziewiczych, utkwionych w niego ekstatycznie, przez które całe rozkiełznane serce, cała istota wyzwolona wylatywała do niego i padała mu na piersi w oddaniu.

Miłość ich wykwitła żywiołowo, jak z wiosną kwiaty na łące. Więc nie przyglądali jej się, nie rozbierali, lecz żyli obok siebie, niby na zaklętym uroczysku, istnieniem roślinnem. I to było koroną ich szczęścia. Snuli się po pokojach literalnie, jakby w hypnozie, tak byli oszołomieni potężnym czarem, co promieniował z ich ciał młodych, wzajemnie na siebie oddziaływujących. Wszystkie czynności spełniali automatycznie, we śnie sonambulicznym, z głową w obłokach rozróżowionych. Geniusz życia ujął w swą władzę, zespolił dwie istoty wszystkimi włóknami dusz, zaklął w jednego skończonego człowieka i tak im było obok siebie dobrze, tak bardzo dobrze, jakby po raz pierwszy wiosna zastąpiła na świat i zagościła przy nich, w szpitalnem zaciszu jako uragowisko śmierci.

Na noc połowę lampy osłaniano tak, że część pokoju, gdzie spoczywała chora, pogrążona była w prawie nieprzeniknionej ciemnicy. Reszta zaś nurzała się w mdłych półtonach świetlanych.

Tam spędzała noce siostra Felicya w fotelu, nad którym stróżowały dwa oléandry, przy stoliku z robótką ręczną i książką do nabożeństwa.

Ile razy czuwać miała przez noc nad chorą, młody muzyk, zajmujący pokój gościnny, nie spieszył do siebie. Aby, jak mówił, nie zakłócać snu chorej, a nie być skazanym na milczenie, siadał na dywanie, przytulał się tuż do nóg zakonnicy i toczył z nią cichuteńką rozmowę. Nie ruszał się z miejsca dwie, czasem trzy godziny, nie odrywał wzroku od jej lic rozświetlonych, pił miłosny nektar z szafirów fosforycznie płonących, zapamiętywał

się. Podczas, gdy cały dom spał, oni oboje, niby para kochanków najczulszych na tajnej schadzce, przykryci woalem dyskretnej nocy, uwięzieni w gorącej atmosferze skrytych pożądań zmysłowych, zatopieni w swych oczach rozkochanych, szeptali...

Zwykle Andrzej opowiadał jaką wyczytaną historję treści miłosnej. Raz mówił o losach Barbary Radziwiłłówny, innym razem streszczał romans średniowieczny, często deklamował liryki sielankowe a ponieważ recytował szeptem i powoli, słowa nabierały dziwnego, egzotycznego uroku, wydawały się jego własnymi, do niej zwróconymi wyznaniem, płynącemi z serca do serca. Kupidyn z zefirem w zmowie niósł do jej uszu pachnące szmery rajskie.

A ona pochłaniała je całą duszą. Wielu rzeczy nie rozumiała, niejedno wszakże odgadywała i, jakby do ust kochanych, lgnęła do wszystkiego, co miało styczność z miłością, wyluskując to instynktownie i podkreślając. Odurzona narkotycznym ciepłem szep-tów, piła lube dźwięki liryczne i gorzała w ogniu rozegzaltowanych żrenic. Bezsilna i bezbronna, pod puklerzem nieskazitelnej dziewiczości, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zanikały granice jej indywidualnego bytowania; oddychała jego powietrzem, żyła tętnem jego serca.

Niekiedy zrywał się z wierzchnich pokładów duszy zgrzyt lęku, niosący z sobą głuchy huk wyrzutów i surowego upomnienia— i wtedy, targana niepokojem, przysłaniała oczy, zacichała, lecz wnet roztopiało się wszystko w upojeniu, nim weszło w granice świadomości, i z ufnością dziecka uściełała się na fali boskiej, która niosła ją w zaświaty gwiazdziste, w słońce szczęścia.

W toku szep-tów Andrzej, przywarty do kolan zakonnicy tak, że wyczuwał je, ogrzewał piersią, wspierał łokieć na poręczy fotelu i nawpół bezwiednie kładł rękę na spracowanej ręce dziewczyny. Dłonie spletały się i nie rozłączały więcej. I tak byli przy sobie niewinni, zakochani, wniebowzięci.

Powróciwszy zaś od książkowych rzeczy do rzeczywistości, prowadzili takie banalne rozmowy:

- Znów siostra nie wyśpi się!
- Jestem tego zwyczajna.
- Przecież siostra chyba niedługo zakonnica!
- O! Już rok minął na Wielkanoc.
- A ile siostra ma lat?
- Na św. Kazimierza skończyłam już dziewiętnasty rok.
- Co też siostra robi przez całą noc przy chorych? Drzemie?
- Zwykle ani oka nie zmrużę. Nie takie to ciche noce, jak tu.

— Ale jeśli chory śpi dobrze?

— Odmawiam pacierze, różaniec, szyję trochę, poczytam w „Przewodniku katolickim,” to i jak latem widno robi się na ulicy, wróble świergocą...

— Skoro odejdę, niech siostra położy się na szezlongu obok w pokoju.

— Ach, to nie idzie!—odpowiadała po poznańsku dziewczyna.—Piękne rzeczy! Rozespałabym się...

— Niepodobna, aby siostra niepotrzebnie...

— Jaki to pan dobry!...

— Więc niech mi siostra przyrzecze, że...

— Nie mogę, nie mogę. Niech się pan nie gniewa i nie kłopotuje o mnie. Jam mocna. Zresztą, skoro się rozwidni, pójdę do klasztoru i może po rannej mszy świętej, będę mogła przespać się godzinę.

— A kto siostrę zluzuje?

— Siostra Brygida.

— A kiedy siostra wróci?

— Około trzeciej.

— Dopiero? Nie może to siostra wrócić do nas wcześniej? Na obiad?

— Nie wiem... Zapytam się przełożonej. Jeśli będzie w dobrem usposobieniu, a nie zwali się robota...

— Niech siostra powie, że ciotka życzy sobie mieć ją przy boku i wyrażnie o to prosiła, bo nie lubi siostry Brygidy. I prawda, siostrę jedną wszyscy tu lubią...

— Lubią? Nie mieliby za co...

— Za co? Za wszystko. Siostra do tych innych, jak dzień do nocy. Trzeba siostrę lubić.

— To pan tylko tak mówi!—szepiała, wzruszona od radości wzbierającej w piersi.

A on sącył w nią krople lubczyku z maestryą wyrafinowanego wirtuoza erotycznego.

— Wie siostra, jak ją nazywam?

— Jak?

— Nie najmiłszą, lecz... najmilejszą...

Dziewczyna topniała, zamierała w upojeniu.

— Będę się starała przyjść już około jedenastej. Jak tylko się da najwcześniej. Dobrze?

— Dobrze, dobrze, o jedenastej. Napewno, moja siostr...—prosił głosem, który wkładał się w ostatnie szczeliny biednego serca.

A przytem sam zaprzepaszczał się w nastroju chwili, płonał i drżał w miłosnych łunach. Więc pewnego razu zrobiło mu się tak słabo, że zwiesił głowę, usnął policzek na jej kolanie, niby pies legawy i oddychał przez nozdrza gwałtownie.

Wargi zadrżały, jak listki:

— Czy siostra... lubi mnie... trochę?

A ona w oddechu odszepnęła szczerze:

— Bardzo...

Umilkli. Zbliżyła się do nich jakaś cudna, złota, z blasków słonecznych poczęta postać i dawała ślub młodym sercom. Jeden dreszcz skuł ich jestestwa mocą niepojętą, w jeden ton zakłęci wlecieli ponad góry, światy, ponad czas, przestrzeń.

Aż nagle Andrzej przycisnął jej rękę do warg rozpalonych, głodnych i jak szalony, począł wpijać się w nią pocałunkami bez pamięci, siejąc żar w jej ciele.

Wyrwał ją brutalnie z wstydlivej, słodkiej bezwładzy. Strach zatrzepotał się w niej i cofnęła rękę.

Nie odważył się na to więcej, chociaż nie byłby już bodaj napotkał oporu, a chwilami porywała go chęć gryźć ją do krwi pocałunkami. Wogóle nie śmiał rzucić się naprzód, ani nawet wymówić owego mistycznego słowa, które zawisło nad ich głowami, jakby aureola.

Zmysłowy młodzieniec przeobraził się w niewinne chłopię. Nie pożądał jej z pełną świadomością, nie rozbierał w myślach, tak przyrosła do niej szata zakonna. Jakby odgadywał, że wszelkie posiadanie materyalne nosi w sobie zarodek nieufności, dość mu było kochać i być kochanym i tak mdleć u nóg bogdanki w rozkosznym, purpurowym tumanie pragnień nienazwanych.

Raz tylko jeden...

Siostra Felicya zabierała się do odejścia w ubocznym gabinecie i właśnie brała w rękę szkaradny kapelusz, gdy Andrzej wszedł z korytarza z pękiem różowych róż i szybko nakrył jej rękę stosem luźnych kwiatów, miłym uśmiechem łobuza godząc w jej źrenice, z których padały na niego zorze wiośnianego szczęcia.

— Jeszcze dzisiaj nie dostała siostra ani jednego kwiatka odemnie. Proszę wziąć wszystkie.

— Ach, nie mogę!—broniła się niemal przerażona.—Niech mi pan wybierze jedną różę i zachowa do wieczora.

— Szkoda, że siostra nie może przypiąć sobie róży, przystroić się trochę.

To mówiąc, zapatrzony w nią, ujął kilka róż rozspanych na stole, aby usłać je na jej staniku i przekonać się, czy byłoby jej z tem do twarzy. Lecz schwycił je tak nieopatrnie, że kolec róży wpił się w palec i kropla krwi wyskoczyła.

— Ach, biedny palec!

Z gorączkowym pośpiechem siostra Felicya obwinęła palec w chusteczkę, mówiąc nieomal, jak do dziecka:

— Jak się pan ukłuł okropnie!...

Tkliwe spojrzenie przeczystych oczu otoczyło mu twarz, olśniło, woń dziewiczego, zdrowego ciała wykradła się z za kołnierzyka i owiała mu nozdrza.

Zerwała się w nim burza, pękły tamy powściągliwości i, jak opętany, pochwycił ją w ramiona, jednocześnie przycisnął usta do śnieżnego jej czoła i już miał zawisnąć na koralach warg rozchylonych, gdy raptem zaskrzypiały drzwi w głębi pomieszkania.

Odskoczyli od siebie.

Weszła siostra Brygida, niska niewiasta, ze zgryźliwym wyrazem twarzy.

— Co za piękne różę!—zawołała, rozpogadzając oblicze, jak zwykle w obecności Andrzeja i zbliżyła się do stołu.

Tymczasem oszołomiona siostra Felicya, odwróciwszy się od niej, kładła kapelusz na nisko pochyloną głowę.

— Jak pachną! Śliczne!—ciągnęła siostra Brygida.—Już to pan pamięta o swej ciotuni! Ani słowa!

O! te cudne, precudne kwiaty miłości młodej!...

Umarły tak dawno, tak szybko, ale woń ich rajską przeżyła lata w pokładach duszy! W ostatnich czasach pan Andrzej często powracał myślami w tę jasną epokę, gdy był królewiczem, uciekał do niej z codziennych upałów życia, a teraz, zdążając na miejsce pamiątek z symfonią najpiękniejszych swych tonów minorowych, zapłakał...

Potem?... Ostatnie dni, które przebył w Poznaniu, pozostały mu w pamięci wrażenie chaosu gwarliwego zalewu familijnego, jaki nastąpił na wieść o zgonie pani Sabiny Kromiczowej. Rozpoczęła się defilada jakichś szlagonów wąsatych, ciotek niekochanych, kuzynek nieciekawych, kuzynów tuzinkowych—nieprzebranej rzeszy krewnych i krewniaków, o których istnieniu na tym padole i w tak okazałej liczbie nie wiedział.

Zwalało się to wszystko ze wszystkich kątów, bo przecież „szanujący się człowiek“ poczytywał sobie za „miły sercu obowiązek“ zaznaczyć swe krewieństwo z tak godną familiantką. Niejeden też westchnął w cichości nad katafalkiem, gdyż nieboszcza

w ciągu długiego wdowieństwa temu i owemu wetknęła nieco grosza w kieszeń cichaczem.

Zwalało się to wszystko także na Andrzeja, jako na bohatera chwili, wyłoczonego aureolą spadku. Co chwila inne figury brały i zamykały młodego muzyka w ramiona, kawalerowie jacyś cmokali go z dubeltówki, wujowie nieutuleni w radości nad tem, że „tak pięknie wyrósł“, ocierali z nim łzy żałoby przy butelce węgryna, ciotki, obarczone błogosławieństwem boskiem w postaci córek, zachwycały się jego talentem, którego nie znały i po takich wstępach zapraszały czule do siebie. Wszyscy go sławili, stawiali na świeczniku, w pośrodku świata i głosili z góry sławę młodego muzyka, jakby miał ją już w kieszeni wraz ze spadkiem ciotki. Nawet rodzice spoglądali nań innem okiem. Przez noc stał się perłą ojcowskiego domu, chlubą rodziny i tyle mu nagle przybyło zalet, których nikt dotąd u niego nie podejrzewał, że aż poczynąło go to w końcu nudzić.

Z tego pogrzebowego okresu Andrzej nie wyszedł bez szwanku. Nabawił się bowiem pewnego zawrotu głowy, nasiąkł przeświadczeniem, że należy mu się od ludzi i życia daleko więcej, niż zwykłym śmiertelnikom.

Wśród rodzinnych zebrzań, w których rolę „pograżonego w żalu“ siostrzeńca nieboszczki grał poprawnie, struny sercowe umilkły i odbiegł myślami od cichej dziewczyny.

Z chwilą, gdy pani Sabina zamknęła oczy, siostra Felicya znikła z ram jego życia, poszła swoją, żółtkłemi liśćmi wystaną, drogą. Padł między nich strumień familijnego rozhoworu, rozdzieliły ich góry jakieś, z jakich rozciągały się przed nim tak dalekie i świetne perspektywy, że nie dostrzegał prawie stojącej tuż blisko, na uboczu, zakapturzonej szpetnie postaci klasztornej.

Dopiero po pewnym czasie poczęły nawiedzać go paroksyzmy tęsknoty i wtedy snuły się po głowie wyraźne kontury zamiarów... ale znów porywał go prąd światowy i budziła się chęć lekkiego używania życia.

Jednakże przed odjazdem cała przysypana śmieciami codziennego bytowania miłość uderzyła mu raz jeszcze do głowy, jak wino i zestrzeliła się w pragnienie: wykraść ją, porwać z sobą w świat i mieć przy sercu zawsze.

Ożenić się?... Albo raczej żyć z nią otwarcie, jak z żoną?... Małżeństwo z tak prostą dziewczyną wydało mu się czemś niemożliwem. Ale chciał żyć z nią zdaleka od świata, w zaciszu sielskim i kochać ją bardzo... No, może nie zupełnie wiernie (tyle

czarujących kobiet na świecie!) lecz kochać ją szczerze, uważać za swą żonę, za... przystań i ostoję życiową.

Fala marzeń wezbrała i uniosła go daleko, wysoko...

Sala Erarda... Grzmiały oklaski na cześć młodego, sławnego twórcy „Suity słowiańskiej” i „Koncertu A-mol,” który osobiście przedstawił Paryżowi swe dzieła symfoniczne. Imię jego na ustach wszystkich, zwłaszcza kobiet. Grad zaproszeń spada na niego, ściga go po mieście, lecz on ucieka, wymawia się. Ucieka do Fontaineblau, do swej Hani jedynej, której serce cudne dało mu tę ogromną moc twórczą, wiodącą na szczyty...

Tak, wykraść ją! Coś, jakby korsarz bajronowski! Lecz jak się z nią zobaczyć?!... Chyba czatować, gdy pójdzie do choroego... Ale czy to wypada zaczepiać ją na ulicy?... Zapewne potrwa kilka dni, nim uda mu się przydybać ją. Zresztą ona nie zgodzi się tak na krótkim toporzyску... Przerazi się trochę... Lecz pójdzie z nim z pewnością, chociażby do piekła... Świat jest tak szerokim, życie tak pięknem, miłość tak cudowną!... Nieba! Ileż szczęścia czeka ich razem!...

Najgorsze, że trzeba powracać na wieś. Matka, prowadząca domowy regiment, nagli do wyjazdu, bo ma przybyć do nich z wizytą „najdroższa” kuzynka, która, jak to wykombinowała pani matka swą bismarckowską głową, „będzie później, w Warszawie, bardzo pomocną młodemu muzykowi, dzięki wielkim swym wpływom towarzyskim.” Nadto z meternichowskim sprytem wyliczyła, że „najdroższa” kuzynka Emilia obok znacznego majątku ma córeczkę dziesięcioletnią, a więc właśnie w odpowiednim dla Andrzeja wieku... Ważniejszym od tego było w oczach Andrzeja, że sztykowna kuzynka z Warszawy patrzyła na niego tak ogromnie ładnie, jakby obiecywała dużo flirtowania.

Nim Andrzej wybrał się na czaty do klasztoru Elżbietanek, matka jego orzekła stanowczo:

— Jutro wyjeżdżamy, Andrusiu!

Klamka zapadła. O tem, aby nie miał bawić „najdroższej” kuzynki, która „później, w Warszawie” i t. d., nie mogło być mowy, chociaż żal dojmujący ścisnął mu serce w kleszczach i smutek dziwny chmurzył jego czoło tak, aż matka zauważyła na wyjeździe, że „śmierć ciotki Sabiny *jednakowoż* wielkie na nim zrobiła wrażenie...”

Odjechał.

Sztuka i życie uśmiechały się do niego tak czarownie i obiecująco!... Niebawem za pamięcią o „najdroższej” ciotce położyło się do grobu wspomnienie najmilejszej dziewczyny...

Dopiero po kilkunastu latach obraz zakonnic, nawiedzający go rzadko i migawkowo, stanął przed nim i spojrzał mu głęboko w duszę. Coraz częściej w szarych godzinach zadumy nawiedzał go, niosąc echa arkadyjskiej fujarki i gitary trubadura. W miarę, jak poznawał istotną wartość ludzi i wszechrzeczy, jak wzbogacona dusza wkraczała przez ciernie w wyższą fazę rozwoju, zapomniany epizod miłosny z zakonnicą, jakby gdzieś na innej planecie rozegrany, nabierał zawrotnego, nieprzepartego uroku. Na tle zamarłego zamętu rzeczy przeszłych, błyszczał jak Koh-i-nor, skupiający w sobie wszystkie prawdziwe blaski dui młodości...

Wtedy ogromna żalność rozdzierała mu duszę i szalała jak huragan, druzgocąc wszystko inne. „Czemu? Czemu się to tak stało?...“ wołał, tarzając się w łzawej żalobie.

Jakiś instynkt inądry zdradził mu naonczas, że dziewczyna ta, którą los stawiał głupiemu chłopakowi na drodze, to największy skarb ziemski. A on nie wyciągnął nawet po niego ręki!... Niech będzie przeklętem to życie, które trzeba dopiero wyczerpać, zmarnować, aby umieć ocenić, co w niem było istotnie godnego posiadania i uszanować skarby, których już więcej przed sobą nie mamy... Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait... Stara jak miłość historia, w której odzwierciadla się okrutna, szydercza ironia życia „et la tristesse de tout cela...”

Nałogowo analizując zjawiska życiowe, Andrzej starał się koniecznie rozwikłać to zagadnienie, to „czemu?...“ jakby miało to uśmierzyć cierpienie, albo jakby wszystko dało się jeszcze naprawić. Bezwiednie drgała w jego rozmyślaniach iskra nadziei, nieodłącznej od życia, że stanie się cud, instynkt sercowy kazał mu szukać ścieżyny do kobiety, będącej wcieleniem tego, czego mu życie nie dało, i tęsknota pędziła go w przeszłość, do młodości, która nie wraca. I na gruzach odgrzebanej miłości wykwitła w wiecznie młodem, marzycielskim sercu artysty miłość ostatnia, jesienna...

Czemu się to tak stało?... Nie był z rodu śmiałków, co idą na przebój, świętokradzką ręką sięgają po gwiazdy, lecz, jak mówił o sobie William Morris, „marzycielem marzeń“, usłanym na kontemplacjach i refleksjach. Był jednym z tych, których wiatr losu niemal naocznie pędzi gdzie chce, tak swobodnie, jak liście po lesie.

Już szkoła tłumiła w nim indywidualne pragnienia i młodzieńcze pragnienia i młodzieńcze porywy tak systematycznie, że zabijała w nim wolę. Wzięła sobie bodaj za główne zadanie względem niego okiełznać artystyczny temperament, przystrzydz

wrażliwą duszę, jak szpaler francuski, przystosować jednostkę o wyjątkowej organizacyi do uświęconego szablonu, wymodelować na wzór i podobieństwo przeciętnego filistra — jednym słowem pysznego żrebca arabskiego zmienić we wałacha, z workiem na łbie chodzącego w deptaku. Odebrał „wyższe“ wykształcenie!... A owocem tego było, że nie śmiał wychylać się z korca, niczego pragnąć mocno i lękał się samodzielnego czynu.

Powtórę w domu najtroskliwsza z matek dała mu tak „dobre“ wychowanie, że, jak panna w tańcu, obracał się według tradycyjnej pozytywki. Odgadywał, że można sobie pozwolić bardzo wiele pokryjomu, poza parawanem pozorów. Tylko Boże broń skandalu! Coby świat powiedział?! Chociaż przeto poza plecami owego świata, w zacisznym kącie u ciotki, doskonale umiał bałamucić zakonnicę, grać na strunach jej serca, śnić, szaleć w morzu czułości, chociaż kochał ją, taił się z tem, jakby z grzechem, nawet trochę przed samym sobą. Nie miał dość woli ani odwagi, aby być szczęśliwym na swoją modłę...

Jak serdecznie nienawidził teraz owego dobrego wychowania i tonu, które wówczas krępowały mu ręce!... Dlatego otaczający go świat, zaludniony gęsto przez pozerów, snobów i manekinów, wystruganych według uświęconego modelu, stawał się nieraz niewysłownie nieznośnym, wstrętnym. Dusił się w nim, jakby w braku powietrza. A śliczna Hania Dąbrowska, która nie była dobrze wychowaną, lecz dobrą, wyrastała do ideału, przed którym klękał jak przed bóstwem.

Zamilkłe, sieroce serce zapragnęło innych, szczytnych wrażeń, poczęła go trapić potrzeba uwielbienia czystego, poddańczego, więc olśniewał się boską prostotą wskrzeszonej siostry Felicy, zachwycał zaletami jej serca i — brakiem wadliwych właściwości, cechujących dzieci cywilizacyi zachodniej. Porównując ją z kobietami, które w jego życiu grały rolę, i swem środowiskiem wogóle, gubił się w adoracyi Hani, palił kadzidła fetysyzmu.

Oto była kobieta wykuta z jednej bryły śnieżnego marmuru, o liniach prostych, szlachetnych, westalskich, strzelających w bezkresy. Białość i czystość lilii kojarzyła się w niej z róż polnych szkarłatem i wonią. Szły od niej jędrne powiewy rżysk urodzajnych, wśród których przecywilizowany wielkoświatowiec mógłby odżyć jak na szczytach górskich.

Nie było w niej przygotowanych uśmiechów, wyuczonych w lustrze spojrzeń, ni ruchów, uwydatniających plastycznie kształty. Nie było fałszywej wstydlivości, ni zdawkowej obłudy, jak

nie było w oczach belladony, na licach crême Simon i karminu na wargach.

Każde proste zdanie, posłyszane ongi z jej ust, wydawało się teraz stokroć więcej interesującym a nawet głębszem, treściw-szem od świecidełek stylistycznych, jakie tryskały przy nim fa-
jerwerkowo w salonach. Bo, znając scenaryusz rozgrywającej się tam komedyi, z góry mógł być określić o jakich rzeczach na do-
bie toczyć się będzie rozmowa, przewidzieć, co pani X lub pan Y
będą mieli o tem do powiedzenia i w jaką szatę ubiorą dobrze
przygotowany sąd. Czasem odbijały mu się o uszy koncepty i bon-
mots, które czytał w felietonie lub sprawozdaniu krytycznem.
Czasem zdarzało się, że własny jego aforyzm, rzucony w cerclé'u,
powtarzano mu później, a on taką przybierał minę, jakby tego
nigdy nie był słyszał.

Tam ludzie nie umieli odczuwać bezpośrednio. Wszystko by-
ło celowem, sztucznem, przystosowaniem do kamertonu ogólnego
i nastroju chwili. Nawet oryginalność, naturalność i indywidual-
ny styl życiowy były szatą przywdzianą w celu zdobycia sobie
wzięcia w towarzystwie, wyrobienia marki. Odczuwając to, akto-
rzy tej komedyi nie brali się wzajemnie na seryo. Pustka, jaką
wnosili, zostawiała pustkę.

Naprzykład w mózgu żony pana Andrzeja panował taki stan
rzeczy, jak w magazynie Luwru: a więc straszny natłok najprze-
różniejszych, z nazewnątrż wniesionych, pięknie rozmieszczonych
i ugrupowanych rzeczy. Była to „a show“—nieustanna wystawa,
albo raczej „a vanity fair“—jarmark próżności. Kto na takim
jarmarku nie był, mógł z przyjemnością i pewnym pożytkiem
pójść tam raz i drugi, póki nie zatęsknił chociażby za laskiem
bulońskim.

Pan Andrzej stronił od tego magazynu, na at-home'ach żo-
ny nie bywał w domu. Nie miał zresztą czasu; chadzał własnym
dworem i polował na kozice. Ale nie szukał ani serca, ani duszy.
Zapomniał bowiem o istnieniu serca i mawiał z Heine'm: „hab'
selber Seele genug“—„na swe potrzeby mam sam wystarczający
zasób duszy.“

Dopiero obraz dawnej siostry Felicyi rozpętał tłumioną dłu-
go falę pragnień. A gdy powstały żywe wspomnienia ówczesnych
surowych odruchów, omdleń i snów, zrozumiał, że tam, przy tej
cichej, uroczej dziewczynie, niezależnie od tego, co z sobą mówili,
wchodził bezpośrednio w mistyczne obcowanie z nieskalaną duszą
ludzką. Zstał tam w atmosferę czystą, jędrną, zdrową, do ogro-
du, w którym nie stała jeszcze noga ludzka. A gdy stał, wy-

kwitał kwiat wonny i tak chodził w czarodziejskim ogrodzie, jak królewicz z bajki.

Czytał gdzieś, że wszystkie natury poetyckie lubią prostaków, wyczuwając, że w duszy prostaczek jest zawsze miejsce dla wielkiej idei. Czy w duszy siostry Felicyi było miejsce dla wielkiej idei, nie wiedział; ale był pewnym, że była świetlana przestrzeń, otwarta dla wielkiej miłości, która także jest wielką ideą. Jeżeli ona zdawała się mieć z góry absolucję za to kochanie, jeżeli nie rozumiała, że będąc tak szczęśliwą, ciężko grzeszy w pojęciu swego środowiska i wbrew regułom klasztornym, oplatając ją jak jej szata szara, szła ślepo, spokojnie w krainę jasności miłosnej, to była to miłość wielka, brylantowa, dozgonna. Pod zakonnem odzieniem biło serce kryształowe, w którym mógł odnaleźć potwierdzenie swej wewnętrznej wartości, w którym mógł przejrzeć się cały. Oto była kobieta, dla której można być dobrym bezkarnie, której można rzucić całe serce pod nogi...

Przez wszystkie lata szukał miłości i podziwu, a tam głupi chłopak miał jedno i drugie, skryształizowane w rzadką perłę, oprawioną w najdrogocenniejsze kamienie prostoty, czystości i dobroci. Przez lat dwadzieścia żył dla miłości i podziwu, a przy niej byłby żył przez miłość i podziw...

Był teraz skłonny walić głową o mur w bezsilnej rozpacz, pomstować niebu, wygrażać losowi, gdy zdał sobie sprawę, jak zupełnie innym szlakiem byłoby poszło jego życie z tą perłą na piersi, gdy uprzytomnił sobie, jak ta dziewczyna hoża i luba, czarowna w rozkwicie wiosennym, ani jednym zimowym podmuchem światowym niepokalana, szła do niego całą istotą, niby do słońca, i z ufnością szlachetnych dusz tuliła się każdym spojrzeniem do jego serca, jakby błagając szeptem: „kochaj!...”

Tam było szczęście! Całe ziemskie i boskie szczęście! Marzenie jego marzeń, pragnienie pragnień!...

A on, miasto wyrwać do życia bujnie kwitnącą kobietą, którą jakiś los okrutny, złośliwy, bezecna robiąc sobie igraszkę, zamknął w klasztornej więzieni — on odjechał!... Odjechał, bo matka powiedziała: „jutro wyjeżdżamy...“ Cha! cha! cha!...

O! raz jeden jeszcze — chociażby za cenę życia — zanurzyć biedne, stęsknione serce w źródle takiego szczęścia! Raz jeden spojrzeć w niebo jej oczu dobrych, wykraść jeden dreszcz cudnych, młodzieńczych radości!... Ukorzyć się przed nią, ucałować rąbek szaty smutnej i zamknąć grób pamiętek!...

Na początku listopada, po dwudziestu latach, pan Andrzej jechał do Poznania.

II.

Na skraju miasta, gdzie rozlewają się łąki nadwarteńskie, naonczas starodawnym wałem fortecznym od niego odcięte, wznosi się na uboczu kościół Bożego Ciała.

Skromny, sympatyczny staruszek, wsławiony legendą o hostyi przez Żydów wykradzonej, zda się, przywędrował ongi ze wsi i trzyma się zdala od miejskiego zgiełku. Jakby chcąc zejść ludziom z oczu i dać do poznania, że niema z nim nic wspólnego, odsunął się od steku krzywych uliczek, których wysokie, nowoczesne domy noszą piętno szablonu, niemieckiej tandety i małomieszczkańskiej pretensjonalności.

Kościół zamknął się w obrębie muru, osłonił konarami kasztanów, zadumał w ich cieniu i utulił, niby dla ogrzania, tuż pod wysoki nasyp, po którym biegnie żwirówka wzdłuż wału obronnego, czekającego rozrzucenia.

Do wrót kościelnych wiedzie niedługa, odrzewiona, wyboista droga, brukowana kragłemi bulwami, trawą poprzerastanemi. Z lewej strony leży zielony plac, częścią gruzami zarzucony, gdzie ugania się dziatwa i puszcza latawce, z drugiej zaś ciągnie się równolegle biało otynkowany mur, poza którym kryła się wówczas siedziba kilkudziesięciu sióstr Elżbietanek tak dobrze, jakby z obawy, by jaki prąd światowy nie zakradł się i nie zakłócił kościelnej ciszy. Niekiedy otwierała się furta, głęboko w murze osadzona, wynurzała się z niej zakapturzona postać, szaroceglasty cień przesuwiał się nieznacznie i nawet wiele w pobliżu mieszkających osób nie podejrzewało w tym zakątku zakonnic.

W dzień dżdżysty, ołowiany zbliżał się do tej furty pan Andrzej.

Przed wyjazdem z Paryża dowiedział się pod jakimś pozorem przez krewną, w Poznaniu mieszkającą, że siostra Felicya po kilkoletnim pobycie u Elżbietanek w Chełmnie w Prusach Zachodnich, powróciła znowu na dawne miejsce swej cichej działalności. Nic więcej. Cóż bowiem więcej powiedzieć o osobie za życia pogrzebanej?

Zanim zapukał do siedziby zakonnic, w których progach już z góry czuł się na nie swoim miejscu, skreślił do siostry Felicyi list tej treści:

„Szanowna i dobra siostro! (pisał niepewny, czy nie należy odezwać się do zakonnicy inaczej). Minęło lat dwadzieścia od czasu, gdy siostra z nieporównaną pieczołowitością doglądała mej

najdroższej (tu p. Andrzej uśmiechnął się) ciotki, pani Sabiny Kromiczowej w ostatniej chorobie.

„Być może, że zatarło się to dawno w jej pamięci, ale my nie zapomnieliśmy poświęcenia i oddania, z jakim siostra rozjaśniła przedzgonne chwile przezacnej matrony. Jakoż matka moja zalecała mi nieraz, abym dowiedział się osobiście, jak siostra się miewa i wyraził jej naszą niewygasłą wdzięczność.

„Teraz dopiero, będąc w Poznaniu, w przejeździe, mogę uczynić zadość życzeniu matki, które zarazem jest dla mnie prawdziwą przyjemnością (Ten zwrot zanadto pachnie Paryżem!—pomyślał p. Andrzej). Jutro popołudniu o 3-ej przyjdę do klasztoru, w nadziei, że zastanę siostrę i będę mógł z nią pomówić.“

Z prawdziwym poważaniem

Andrzej Kromicz.

Pan Andrzej nie uświadamiał sobie, dlaczego z subtelną chytrą zasiał się osobą matki, która zaledwie raz czy dwa razy widziała siostrę Felicyę i zresztą od kilku lat nie żyła. Kłamstewko to nasunęło się jakoś samo pod pióro wielkoświatowca. Dość, że wydało mu się tak „lepiej.“ Nie prosił o odpowiedź, ani o oznaczenie godziny przyjęcia w razie, gdyby naznaczonemu przez niego spotkaniu miało coś stanąć na przeszkodzie. Miał bowiem mglistą obawę, że skoro kwestyę, kiedy ma nastąpić wizyta, nie zostawi otwartą, przełożoną, oświeconą przez Ducha św., odgadując w nim wilka, czy gościa, mającego dyabła za skórą—gotowa zastanowić się, czy wogóle wypada go przyjąć, i ostatecznie zamknąć mu drzwi przed nosem.

Po wysłaniu listu obawy innego rodzaju obiegły mu głowę i mówił sobie:

„To szaleństwo!... Narażam się na najsromotniejsze rozczarowanie! Zamiast nienaruszać pogrzebanej przeszłości, biorę zupełnie dosłownie zdanie: „on revient toujours à ses premiers amours“ i cóż mądrego zamierzam?... Otóż w gruncie rzeczy pragnę dowiedzieć się, czy rzeczywistość, i to o lat dwadzieścia starsza, jest choć w przybliżeniu tak urocza, jak dawny obraz przemalowany farbami wyobraźni. To oczywiste szaleństwo!... Czyż nie okaże się, że w te wspomnienia wonne wpoetyzowałem niespełnione w życiu śnienia?... Okradam się z jedynej, ostatniej illuzji, która złociła i mała mi świat, wydzieram z serca, ugrzęzłego w trzęsawisku zwątpień, promień wiary w istnienie takiej przepięknej istoty. Przyjechałem bogaty w cenne złudzenie, w jeden czarowny sen bodaj na to, aby pogrzebać go na tej ziemi,

gdzieś przy dobrej ciotce Sabinie, i wrócić nędzarzem, z lodowatą pustką w piersi...”

„Niechaj jednak i tak będzie! Muszę, muszę ją zobaczyć!... Trzeba mi tego, jak manny. A jeśli pod obuchem nagiej, brutalnej rzeczywistości i prozy rozwieje się sen złoty... tem lepiej może. Wróć do Paryża wyziębły, jak lodownia, ale uleczony, z tem przekonaniem, że żyję w najlepszym ze światów... Ale ja nie jestem z tych suchotniczych duchów, co lękają się prawdy. Przeciwnie z tych, którzy, sięgając w trzewia rzeczy, wyssać mogą z nich nieco poetyckiego haszyszu dla swej duszy...”

Jeszcze w drodze do klasztoru, p. Andrzej walczył z wiatrakami swych myśli i zawahał się, gdy stanął przed furta. Lecz szarpnęła go pospolita ciekawość ujżenia kochanej kiedyś kobiety i z rozpędem młokosa przed schadzką pociągnął drewnianą rączkę dzwonka.

Upłynęła chwila, nim za furta dał się słyszeć chrzęst pantofli na żwirze i otworzyło się okienko, w którym ukazała się wpierw śpiczasta, świecąca broda i pałkowaty nos, a potem dwoje ciekawych, rodzynekowatych oczek.

Nim p. Andrzej wyrzekł słowo, odźwierna wyśpiewała żywo, z uprzejmą modulacją głosu:

— Zapewne p. Kromicz? Zaraz otworzę.

Z jej tonu p. Andrzej odgadł, że nietylko wizyta jego otrzymała najwyższą sankcję, ale że oczekiwano go niemal radośnie, jako dostojnego gościa. Kto wie, może jako dobrodzieja.

Furta rozwarła się na rozcież i otworzył się widok na dwupiętrowy dom wśród rozległych zagonów warzywnych.

Pan Andrzej uznał za stosowne pochwaleniem Pana Boga zaznaczyć, że nie jest wcale niegodnym tych progów, poczem zapytał się o siostrę Felicyę.

Siostra-odźwierna, skulona, wartołkowata osóbką, powitała go w pokornej postawie, w szerokiej u dołu sukni, robiąc wrażenie stożkowej maryonетки, i meła językiem żwawo:

— Jest siostra Felicya; jest. Jakby to było?... Miała wyjść do chorego, ale matka przełożona zatrzymała ją, że to pan dobrodziej pisał, że przyjdzie. Zdziwiła się bardzo, że pan dobrodziej przypomniał sobie po tylu latach, mój Boże, i sam się fatyguje... Proszę pana dobrodzieja prosto, do sieni, potem na lewo...

Obrzuciwszy przybysza badawczem spojrzeniem, stwierdziła w oka mgnieniu nadzwyczajną doskonałość sukna w jego palcie i wytworność obuwia. Nie sięgając wzrokiem wyżej, do lśniącego cylindra, podreptała naprzód do jasnej sieni. Poczem otwo-

rzyła drzwi do obszernego, dość pustego pokoju, w którym oczy Andrzeja najpierw padły na podłogę wywoskowaną jakby do tańca, potem na złotisty krzyż w pośrodku największej ściany zawieszony uroczyście, i na cienkie firanki z taniego kretonu w bladoniebieskawe desenie, osłaniające dwa okna.

Nie kazano mu czekać. We drzwiach, w drugim końcu pokoju ukazała się przełożona, jak było można domyślić się ze szczególnie wielkiego krzyża na piersi — siwiejąca, korpulentna osoba z twarzą nalaną, niemłą i złotymi okularami.

Przedstawiwszy się, p. Andrzej wygłosił z poważną miną kłamstewka, jakie złożył na papier w liście do siostry Felicy i ocukrzył je frazesem o poświęceniu świętobliwych sióstr.

— Niech pan siada — rzekła flegmatycznie przełożona akcentem, w którym na milę było można rozpoznać Zachodnio-Prusaczkę czy Warmiankę.

Ale p. Andrzej nie poruszył się, myśląc sobie: „jak ta ciężka baba pocznie mi się rozsiadać, gotowa jeszcze wpaść na koncept i asystować przy naszej rozmowie.“ Więc niedopuscił do siadania, trzepiąc coś żywo o wrzekomych poleceniach matki i zagadnął, czem mógłby przysłużyć się siostram. A gdy przełożona ze znaczącą miną westchnąwszy, zabierała się do dłuższej mowy, nie popasając, wydobył portmonetkę i wręczył jej trochę złota, jako „skromny datek na cele misyi sióstr.“

Właśnie na to uchyliły się cicho podwoje i wsunęła się bez szelestu — dzwoniąc tylko różańcem, przytwierdzonym do pasa — szarawa postać, na którą p. Andrzej nie śmiał zrazu podnieść oczu. Wszelka krew zbiegła mu do serca, dygocącego radosnym strachem, czarowne wspomnienia spadły na niego niby stado ptaków z oszołamiającym na moment trzepotaniem, i miał złudzenie, że weszła jego młodość, uświęcona marzeniami. W tej chwili przeżył rok boskiego szczęścia.

Ona zaś przystanęła na wpół drogi między drzwiami a rozmawiającymi, widocznie nie chcąc im przeszkadzać, i czekała, stojąc bez ruchu z grubą książką do nabożeństwa i kapeluszem w ręku, w postawie uosobionej cierpliwości, jaką tylko chłopka i zakonnica umieją przybierać.

— No, to ja teraz pójde — rzekła przełożona z niemiecka i zwróciła się ku drzwiom ociężałym krokiem.

Teraz dopiero p. Andrzej strzelił okiem na stojącą w głębi postać, którą odgadł sercem — na zgrabną, ciemno obramowaną głowę, wyrastającą ze słupa szaroceglastej materyi. I blask ra-

dosny otoczył mu twarz, upiększył ją, odmłodził niby efekt świetlany.

„Jak ja jednak dobrze zapamiętałem ją sobie!...“ zawołało w nim coś i wzruszony wyciągnął do niej rękę bez słowa.

Ona podała mu swoją niezgrabnym gestem, onieśmielona tak poufałym powitaniem z dostojnym mężczyzną. A gdy splotły się ich dłonie i poczuła ciepło jego ręki, pokraśniała i serce zabiło jej młotem, jakby powtarzając: „To on! to on!...“

Podwoje zderzyły się z cicha i byli sami, ale jeszcze ani słowo nie wyrwało się z dygocących od wzruszenia piersi. Echa dawnej miłości zagrały w nich, oplotły ich tęczową szarfą i w długim spojrzeniu odnowił się mistyczny związek dusz.

Wreszcie p. Andrzej miał odezwać się, lecz przypomniało mu skrzypienie drzwi, które bodaj pozostawiono niezamknięte, i zająknął się. Tymczasem siostra Felicya, wysunawszy rękę z długiego uścisku, wyrzekła:

— Byłabym pana zaraz poznała...

Wypowiedziała to z taką bezmierną prostotą, szczerością i słodyczą niewieścią, jakby chciała na wstępie ująć go i podbić największym swym wdziękiem. Był jej za to bardzo wdzięcznym, gdyż powiedzenie to, samo przez się miłe, niby komplement zawierające, wprowadzało odrazu między nich stan szczery i przyjacielski, na jaki paryski „causeur“ nie byłby może zdobył się w tej chwili. Nadto harmonizowało z pieszczonym w sercu obrazem siostry Felicyi; w tym samym tonie byłaby odezwała się do niego ongi, przed dwudziestu laty.

— Bardzo mnie cieszy, że siostrę znowu widzę — wyszeptał z wylaniem, oplatając ją ciepłymi promieniami uszczęśliwionych źrenic, i ciągnął dalej w tym sensie. A między jednym i drugim zdaniem przelatowały mu przez głowę spostrzeżenia: „Zawsze jeszcze młoda, świeża... Ni tchnienie namiętności nie splamiło jej ciała. Trochę przytyła, lica zciemniały o jeden ton. Zresztą ta sama... Brzydko uczesana, po chłopsku. Co fryzyer paryski zrobiłby z takich włosów!... Te zęby, te usta śliczne, dziewicze!... Czy podobna, że ona na św. Kazimierza skończyła trzydzieści dziewięć lat?!... Zdjęła kaptur przed wejściem! Dla mnie!... Pamięta, że go zcierpieć nie mogę. Kobieta!... Kobieta... moja!“

Fragmenty spostrzeżeń przemknęły i poddał się czarowi jej obecności, która wypełniła, wyróżziła szarą, zimną pustkę światową.

Zajął miejsce we framudze okna, gdzie stały dwa krzesła. Ona miękkiem ruchem, który nie uszedł jego uwadze, zsunęła się

nieśmiało, na siedzenie naprzeciw niego i tak byli do siebie zbliżeni, że mogli doskonale śledzić grę swych rysów i czytać uczucia w zwierciadle oczu.

— Niech mi siostra przedewszystkiem powie, czy czuje się szczęśliwą!...

— Tak! — odparła swobodnie, chociaż zawahała się chwilę, bo ze słowem „szczęśliwa“ nie spotykała się nigdy.

— Zupełnie szczęśliwą?

— Nie mogę się skarżyć — mówiła po poznańsku. Wszystko idzie dobrze, dziękować Panu Bogu.

Słuchał jej, jak kołysanki. Wstąpił w niego błogosławiony pokój, na włóknach wichrowatej duszy rozlały się wody upragnionej ciszy. Nie miał w tej chwili życzeń. Przy niej wypoczywał niby w przystani prawdziwego szczęścia. Po długiej, długiej podróży, bardzo męczącej, powrócił, by złożyć głowę na siostrzanem łonie i zaczerpnąć balsamu ukojenia. I teraz dopiero pojął, jak bardzo mu tego było trzeba.

Zakonnica, patrząc w twarz jego, widzianą w świetle wspomnień, zagadnęła:

— A panu jak się wiedzie?

Ukołysany, zacięły artysta, pod wpływem mistycznej psychoterapii, począł mówić zwolna, szeptem, może z obawy, aby kto nie podsłuchiwał u drzwi, a może dlatego, że tak mówił do niej w owe cudne wieczory ich miłości młodej.

— Widzi siostra... U mnie także wszystko „idzie“ dobrze, a jednak... Mniejsza, że cierpię na wątrobę, ale, co gorsza, mam chorą duszę, targaną wiecznym pragnieniem słońca, słońca... żądzami. Umysł mój unosi mnie ponad bruk uliczny, maluje mi obrazy takie, do których serce wylata, i uciekam daleko od wstrętnej prozy życia, tęsknię za mirażami. Ślepy na to, co jest, co mam przed sobą, szukam po świecie poezji... skończonej harmonii... najczystszonego akordu szczęścia. Gonię, jak Ahaswer za złudzeniami, za przebłyskami mych marzeń skrzydlatych... Odszedłem od przyrody, od prostych form życiowych, żyję zanadto duchem, nerwami... I źle mi na świecie, samotnie... Samotnie i smutno...

Wyznanie to wypłynęło mu z pod serca mimowoli. Nikt go jeszcze nie słyszał z ust jego. Jaknajmniej odsłaniać się przed nieprzyjaciołmi, a mianowicie... przyjaciółmi, ukrywać się z wadami, a głównie z niepopularnymi zaletami serca i wszystkim, co uchodzi za słabość, wreszcie panować nad głowami mocą granitowego egotyzmu, zimnego wyrachowania i woli dyktatorskiej—

oto były wytyczne zasady, jakie wpoili w niego instynkt samozachowawczy i dyplomacya światowa.

Zresztą któżby go zrozumiał? Ludzie nie wiedzieliby, co począć z takim wyznaniem. Gdyby żona jego posłyszała te słowa, nie biorąc ich na seryo, zawołałaby z pewnością: — *Turn it into a nocturno or an elegy, dear!* (Zrób z tego nokturn lub elegię!)

Kto żyje w świecie musi nie tylko umieć mówić, lecz przede wszystkim milczeć.

Tymczasem przed tą prostaczą kobietą z innej, niskiej sfery, która mogła robić wrażenie niegustownie ubranej gospodyni, otworzył na rozcież podwoje do królestwa swej duszy.

Zżymał się trochę na siebie, myśląc sobie: „po co ta spowiedź?... Czy po to przyjechałem, by żebrać pocieszenia?...“ Lecz miał to przeświadczenie, że to, co przez poufale obnażanie duszy stracić może w jej oczach z wielkopańskiego blasku, odzyska w dwójnasób w jej sercu wdzięcznem, że ona smutki jego, lubo niepojęte, przycisnie do piersi matczynej, ogrzeje go tkiwem współczuciem i może nawet trochę pokocha za to, iż wykrzesał z najtajniejszych kobiecego serca podwalin dreszcz dobroci matczynej, współczucia siostrzanego i miłości czystej, iż dał jej chwilę szczęśliwości wzniosłej.

W istocie, ton jego głosu, to smętne: „samotnie i smutno...“ rozprzęgło wszystkie jej włókna sercowe. Nie byłaby umiała nazwać dziwnego jego nieszczęścia; dość wszakże, że posłyszała minorowy, szczerzy dźwięk serca samotnego i poczuła, że ono tuli się do niej, jest tuż, blisko przy niej. Dość, że był jej bardzo drogim, więcej niż wszyscy ludzie na świecie, a smutek jego był jej smutkiem.

Łza brylantowa zakręciła się w jej oku.

Już od chwili, gdy spadł na nią jego list, opanowało ją nieznanne wzruszenie tak, że chociaż uśmiechy grały na licach, była by sama nie wiedząc czemu płakała gorącemi łzami.

Wszystkie tony, które on kiedyś odczarował na lutni dziewiczego serca, pozostały na niej pod grubą kanwą codziennych zajęć, pod powłoką pospolitego, monotonnego bytowania, głęboko przed nią samą, ukryte, jak całe to zapomniane, uwiecznione i głodzone serce, do którego nikt nie zajrzał nigdy prócz niego.

Przez długich lat dwadzieścia ani cień mężczyzny nie padł między nią a eteryczne wspomnienia miłości jedynej, beznadziejnej, utajonej w sanktuarium, gdzie tulił się wonny wirydarz osobistego kochania. Jak kwiatuszki, gdzieś w trawy wwikłane, kwieciły się różowe utęsknienia zakonnicy pod krzyżykiem kla-

sztornym, podtrzymywane ciepłem młodego ciała, odświeżane niekiedy rosą łez, których przyczyna zdawała się leżeć w żarliwej dewocyi. Zwłaszcza, gdy postać archanioła Michała w ubocznym ołtarzu wzięła na uwięź jej oczy, podnosiły się w jej piersi Bóg wie skąd mgławice liliowej tęsknicy za czemś, co kiedyś przeszło obok niej, jak brzask słońca nad słońcami, musnęło skronie czarodziejskiem tchnieniem, zapaliło w duszy wszystkie świece i świeczniki, niby w kościele na największe nabożeństwo, i gdzieś się rozwiało, znikło...

Łza zawisła na rzęsach i stoczyła się po licach wśród klasztornej ciszy. I w tej perle żałości i współczucia roztopiły się nagle jego smutki. Odstąpił od niego cień „weltschmerz'u“ i podniosła się w piersi moc mężka.

„To serce, w którym mogę przejrzeć się cały... To źródło siły i życia...” rzekł w duszy i, uchwyciwszy odruchowo jej rękę, szepnął z wylaniem:

— Moja droga...

Z tego szeptu wyrwała się wstęga upajającego ciepła, oskrzydliła ich, jakby tęcza, odcięła od świata. Mając przed sobą usta pałające, na jakich nie zawisł nigdy pocałunek miłosny, p. Andrzej chciał schylić się i uszczknąć z nich to, co bodaj należało mu się wówczas. Lecz ona, ochłonawszy, wyrwała go z wirów miłosnego zapachu, zagadnąwszy tkliwie:

— Czy pan niema nikogo na świecie?

— Mam... żonę, dziecko, przyjaciół... O! wielu przyjaciół! A jednak tak samotnym się czuję, jakbym był na pustyni zimnej. Może to moja wina. Nie świat jest złym, lecz ja...

— Pan nie jest złym. Dobrym!... — zaprzeczyła stanowczo tak, iż czuł, że ta kobieta stanęłaby przy jego boku nawet przeciw całemu światu.

— Siostra nigdy nie pomyślała o mnie z urazą?

— Z urazą? Nie!

— Nie myślała siostra o mnie wcale?

— Myślałam...

Zawahała się, przysłoniła oczy rzęsami, a on spozierał na krzyżyk, uwieszony na straży jej piersi, rozkołysany na ich fali i prąd donżuanoskich pragnień przeszył go, jak ogień.

— Nie zapomniałam nic z tych historyj, które mi pan opowiadał... Pamięta pan, jak wszyscy w domu nazywali pana królewiczem?

Pokiwał głową.

— Westchnęła siostra czasem za tym królewiczem?

-- Nieraz westchnęłam... do Pana Boga, a w każdy czwartek odmawiam litanie na pana intencję...

— W czwartek?

— W czwartek widzieliśmy się ostatni raz... Wtedy—pamięta pan?—włożył mi pan potajemnie czerwoną różę w książkę do nabożeństwa... Dopiero w domu spostrzegłam to...

Wzięła z parapetu książkę do nabożeństwa, wydobyła ją z futerału i, przerzuciwszy kilkadziesiąt stronic, rozwarła, ciągnąc z pochyloną głową:

— Miałam ją długo w starej, a potem w tej książce, ale z czasem rozkruszyła się w próchno...

Miedzy kartkami p. Andrzej ujrzał nikłe, żółtawe okruszyny listków i raptem przygniotła go straszna, rozpaczliwa żałość, zgasła weselne pochodnie. Padło na niego, jak kir, objawienie schyłku życia, szaroty dni pozostałych.

Przed chwilą doznawał złudzenia, że jest tak młodym, jak jego serce, szukał w piersi zakonniczy miłosnych dźwięków, aż w tem brutalna prawda bryznęła mu w oczy piaskiem umarłych listków. I taki ból ostry wpił się pazurami w jego duszę, taki żal za młodością słoneczną, z której pozostało próchno, że zламаł się, zawalił w siebie i jedno tylko miał pragnienie: wypłakać serce, umrzeć u nóg tej kobiety jedynej, która nędzne, spopielone szczątki jego młodości zwiędłej przechowywała, jak relikwie... Umrzeć! Nie być bezlistnem drzewem, dla którego niema wiosny! Nie być!...

Aby w omdleniu nie stoczyć się z krzesła, oparł głowę na rękę i tak siedział przybity, wygasły, zamarty.

Jeżeli nie było mu przeznaczonem unieść ją z sobą w świat szeroki, to dlatego, że nie był jej godnym... Może to lepiej dla niej, bo cóż byłby zgotował jej za przyszłość?... Takiej miłości niewart żaden człowiek. Uczucie takie istnieje nie dla ludzi, lecz siebie samego. Jak życie, jest samo sobie celem... Ślepym trafem napotka czasem szczęśliwiec taki kwiat paproci przy drodze i najczęściej przeoczy w pogoni za motylami!...

Aby przysłonić ból woalem banalności, zagadnął:

— Jak podobało się siostrze w Chełmnie?

Zaczęła mu opowiadać czemu powołano ją do Prus, jak tam przyczyniła się do naprawy finansów klasztoru Elżbietanek, jak chętnie powracała do starego Poznania po siedmiu latach, a potem pytała go o żonę, dom, rodzinę i czemu mieszka tak daleko od kraju. A gdy naprowadził rozmowę na jej rodzeństwo, rozgadała się o losach siostry swej Wikci, której „najmłodsze umarło

przed dwoma laty na szkarlatynę“ i o jednym z braci, który wyemigrował do Brazylii. Opowiadała tak, jakby był znał ich dobrze, widywał i zajmował się ich losem.

Pan Kromicz zaś przyjmował to z wdzięcznością, gdyż rozumiał, że ona wzięła go do grona swych blizkich.

Tymczasem z sieni doleciały ich głosy, potem kroki kilku sióstr zachrupały na żwirze i uprzytomnili sobie gdzie są.

Siostra Felicya urwała i posmutniała. Przyszła na nią, może po raz pierwszy, świadomość zimnego i twardego, jak lodowiec, istnienia klasztorного i wszystko, co kochała, wydało jej się tak nieuchwytnie dalekiem...

— Czy siostra musi niedługo odejść?— spytał p. Andrzej niemal z przestachem, bo cicho i błogo było w jego duszy przy muzyce jej głosu i w promieniach chabrowych źrenic.

— Może przełożona... Ale jeszcze nie...

— Niech mi siostra powie, czem mógłbym jej się przysłużyć, czem okazać moją głęboką życzliwość?...

Z głębi pomieszkania dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi. Pewien niepokój zdjął zakonnicę; rzuciła okiem w kierunku drzwi i podniosła się z krzesła, jakby przydybana na gorącym uczynku. Gdy jednak wzrok jej spoczął na twarzy dawnego „królewicza“, uśmiech pełen słodczy otoczył jej twarz.

A on, stanąwszy przed nią, nalegał jeszcze:

— Proszę powiedzieć, czem mogę siostrze zrobić przyjemność?

— Nie wiem... — odrzekła szczerze, cicho. Niczego nie potrzebuje...

Raptem jednak z gorączkowym niepokojem dziewczęcym, jakiego u niej nie zauważył nigdy, zawołała:

— A kiedy pan znowu przyjedzie?

Ręce jej bezwiednie spoczęły na jego ramieniu i wymownie mi oczyma pytanie to zamieniała w namiętną prośbę.

Przy tego rodzaju objawach tkliwego przywiązania sceptyk wielkomiejski, jakiego p. Kromicz nosił w piersi, zatruwał mu radość niewiarą w szczerość, bezinteresowność i trwałość uczuć. Jednakże teraz potok gorących słów cisnął mu się na usta.

Ale drzwi uchyliły się z cicha i zjawilo się w nich blade oblicze przełożonej, która, zaledwie przestąpiwszy próg, poczęła zaraz cofać się, przepraszając, że nie chciała przeszkadzać rozmowie. Manewrem tym pragnęła bodaj dać do zrozumienia, że wizyta trwa za długo. Paliła ją bowiem ciekawość o czem taki wielki pan z Paryża może tak długo rozmawiać z prostą zakonnicą. I coś jakby zazdrość.

Pan Andrzej zły, ze swej strony przeprosił ją tonem pańskim, trochę podniesionym, że jeszcze chwilę pragnie pomówić sam na sam ze siostrą Felicyą. Więc przełożona znikła, ale drzwi nie zamknęły się za nią całkowicie.

Zakonnica przeczuwała z góry, iż z powodu wizyty, przez którą wyrastała ponad inne siostry, przyjdzie jej znieść niejeden przytyk. Atoli ze słonecznem oczekiwaniem w piersi wydało to się ukąszeniem muchy. I teraz, lubo przeszył ją lęk przed staropanieńską uszczypliwością sióstr, patrzyła na p. Andrzeja, jak w tęczę, która za chwilę zatonie w falach obłocznych.

Zbliżywszy się do niej jeszcze więcej, aby nikt szeptów nie pochwycił uchem, p. Andrzej mówił, jak do kochanki:

— Przyjadę znowu za rok i co rok będę przyjeżdżał. Dobrze?

— Dobrze...

— I zawsze tak z sobą porozmawiamy.

— Tak, dobrze...

— A gdybym mógł siostrze być w czemkolwiek pomocnym, proszę pamiętać, że ma siostra we mnie najlepszego przyjaciela, że... całą duszą jestem przy niej, że...

Zawahał się, bo coś broniło mu wnosić niepokój w ciszę pogodnej duszy zakonnej, lecz wezbrał potok uczuć i pragnień samolubnych i wyrzekł cichuteńko:

— Ja siostrę ogromnie, ogromnie kochałem i teraz jeszcze... noszę jej portret w sercu... przystrojony w róże...

Szkarłat uderzył na twarz zakonnicy. Niemoc rozprzegająca, przedziwnie słodka ogarnęła ją, jak fala, i wyniosła w światy, gdzie mieszka szczęście. Omdlałym gestem uniosła drżące ręce do twarzy, jakby chcąc ją w nich pogrzebać na zawsze.

A paryżanin pożerał zadowolonym okiem donżuana cudny obrazek wstydu, szczęścia i upojenia, którego był twórcą, aż wzruszony porwał jej ręce i przycisnął do piersi. Tulił je do siebie w pożegnalnym, namiętym uścisku, upewniając ją niejako, że pozostawia jej wszystko, co dobrego ma w łonie, i wołając: „kocham... kocham!...”

A ona wyszeptała:

— Niech pana Pan Bóg prowadzi...

Wyszedł.

Szedł gdzieś przed siebie ze łzami na sercu, ale we śnie słonecznym, z jakimś przedziwnem, szczytnem uczuciem. Spotkało go coś niezmiernie dobrego, co godziło go z karykaturą życia. Czarodziejska dłoń spoczęła na sercu, stoczonym przez mrowisko pragnień i całą jego wyanieloną nagle istotą rozwinęła się, jak wstęgą w strumieniu zaświatowej jasności i skąpała. Nie był już

królewiczem z bajki, grywającym na gitarze trubadura w pomańcowym gaju, ale niby archaniołem, godnym, by stąpać po mozaice skarbów jej serca...

Nie był już tak samotnym, bo biło dla niego ocenione, ukochane, cudne serce kobiety. Nie był tak smutnym, bo napotkał wcielenie tego, co wydało mu się li tylko wytworem marzycielskiej wyobraźni i nie było mu już tak źle, gdyż zawarł przyjaźń z istotą świętą. Myśl o tem przyświecała mu, jak gwiazda i wygładzała powierzchnię duszy księżycowym blaskiem rezygnacji jesiennej...

Udał się na grób ciotki Sabiny, która żegnała go, jak siostra Felicya, słowami: niech cię Bóg prowadzi!..., zrosił bluszcze grobowe kilku serdecznymi łzami... nad sobą, a nazajutrz odjechał.

Podróżował znowu sam jeden, zadumanem okiem wodząc po płaszczyznach wielkopolskich, na których smutek słał się gęstymi smugami. Ciężkie chmury deszczowe zawisły nad niemi tak nisko, że, zdało się, legną na ziemi i przyduszą wszystką radość na zawsze.

A na jego duszy spoczęło poczucie, że idzie w zimne ramiona starości. Wszelako za przyczyną prostej zakonnicy wydzwignął się z morza łzawych smutków w sferę duchów wyższych i nawiązał ogniwo z wiecznym źródłem wielkiej twórczości. Wydało mu się, że ma u stóp glob cały i dyadem gwiazd na czole.

Wyciągnięty na poduszkach, przyglądał się musze, chodzącej po szybie, potem zapalił papierosa i myślał, czem mógłby zrobić przyjemność „najmilejszej“, jedynej przyjaciółce.

Przyśle jej z Paryża piękny jaki przedmiot dewocyjny i trochę pieniędzy dla siostrzeńców. I, jak Turczyn do grobu proroka, będzie pielgrzymować corocznie na taką spowiedź serca, po promień łaski, siły i szczęścia.

Gdy nadejdzie duch śmierci, napisze po nią lub pojedzie, aby raz jeszcze gasnącemi oczyma ujrzeć w jej źrenicach i postyszeć w dźwiękach jej głosu to coś nieokreślonego, bez nazwy, streszczającego wszystko, co kochał w życiu.

Lecz nie zatrzyma jej przy sobie do końca... Nie! Nie chce czekać śmierci usłany przykładnie na białym łożu wśród zapachu lekarstw, wśród ludzi i nikłego tętna codziennej prozy, której tak nienawidził. Umierać będzie zdala od tego wszystkiego, hen wysoko w obliczu szczytów górskich, lub na pokładzie okrętu w noc czarną, przy wagnerowskiej muzyce oceanu sam jeden... samotny, jak szedł przez życie.

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA NA LITWIE

w pierwszej ćwierci XIX stulecia.

I.

Reforma stosunków społecznych, jako nieodzowny warunek uzdrowienia państwowego organizmu Polski drugiej połowy XVIII stulecia, staje się powszechnem hasłem oświeconego i patryotycznego ogółu. Z całego splotu pierwszorzędnych zagadnień i domagających się rozwiązania kwestyj, na pierwszy plan wysuwa się sprawa włościańska. Od jej rozstrzygnięcia w sensie emancypacji stanu kmiecego zawisły bodaj losy Rzplitej. Powołanie do służby obywatelskiej tej najliczniejszej warstwy w narodzie i temsamem oparcie bytu politycznego na rodzimych, pełnych twórczej siły, pierwiastkach narodowej mocy—oto program odradzającej się Polski, program, będący wyrazem nie tylko nowożytnego ducha dziejów, lecz zarazem tej wielkiej, acz ówczesnie dopiero instynktowo odczuwanej prawdy, że jedynie cały naród, wszystkie jego stany, zdolne są ocalić zagrożony budynek Rzplitej i wzniesić zręby trwałej bezpiecznej przyszłości. Dzieła tego nie mogła dokonać jedna chwila, nie było w stanie ponieść nawet jedno pokolenie. Błędy stuleci chyba lat dziesiątki naprawiają.

Nie jest tu naszym zadaniem przedstawienie w historycznym całokształcie rozwoju polskiej idei demokratycznej oraz usiłowań, mających na celu wyniesienie i uobywatelenie włościanstwa. Dość zaznaczyć, że myśl ta tkwi w łonie społeczeństwa XVIII wieku, wije się złotą nicią w ponurym ciągu dziejów przed i porozbiorowych, nabierając kształtów coraz wyrazistszych, rysów coraz

czystszych i głębszych. Znajdzie wyraz w chwalebnych czynach jednostek, w donośnych i powszechnie niemal uznawanych głosach publicystyki ówczesnej, aż zamknie się w testamentowym akcie unierajającej Rzplitej — w Konstytucyi 3 Maja. Ustawa 1791 r., gotowana w pośpiechu, wobec spodziewanego wybuchu wojny Prus i Anglii przeciw Rosyi, i skutkiem tego nosząca pewne cechy czynności gorączkowej, nie obdarzała włościan wolnością, zdążyła ledwo dać im zapowiedź opieki; wszelako w tym arcyważnym akcie tkwiły już pierwsze ziarna głębszej reformy społecznej. Był to raczej zarys Ustawy, którą dopiero życie samo miało rozwinąć, ulepszyć, tchnąć ducha „dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic.“ I odtąd żyć będzie w sercu narodu hasło „naprawy“ Rzplitej. Zajaśnieje pięknym blaskiem w uniwersale połanieckim, przyświecać będzie każdej myśli reformatorskiej i odnowicielskiej w ciągu następnego ćwierćwiecza. Dotrze po przez puszcze litewskie aż hen, na Żmudź świętą, którą porwie przykładem Racławic i uzbroi przeciw armii Imperatorowej.

Literatura epoki Sejmu Wielkiego wychowała całe niemal pokolenie. Była ona „mlekiem i miodem i krwią duchową“ dla filareckiej młodzieży wileńskiej i dla całego zastępu światłego ziemiaństwa litewskiego, którego piękny czyn ludzkiej i patryotycznej ofiary wyraził wieszcz narodu w szlachetnych słowach Tadeusza:

Sami wolni, uczynimy i włościan wolnymi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą.

Akt rozbiorowy 1795 r. przerywał i unicestwiał w samym zarodku zbawienną reformę stosunków włościańskich. Rozporządzenia rządu petersburskiego cofały wszystkie dawniejsze uchwały, dotyczące poprawy losu polskiego chłopca, nakazując, aby włościanie wszelkie „posłuszeństwo podług dawnych zwyczajów, nie oglądając się na przeszłe uniwersały Kościuszki, pełnili.“¹⁾ Już poprzednie zresztą zarządzenia Katarzyny II w ziemiach polskich, oderwanych przy pierwszym podziale 1772 r., stwierdziły aż nadto dobitnie, jak nieprzychylnem dla wszelkiej reformy włościań-

¹⁾ Uniwersał Pawła ks. Cyncanow, datowany w Grodnie, dn. 11 października 1794 r., cyt. u Korzona, „Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta“ (1897), I, 503.

skiej było usposobienie nowej władczyni. „Wolność włościan, mogąca podrażnić rosyjskich wieśniaków,” podana przez kancle-rza, hr. Bezborodkę, w poufnych motywach rozbioru Polski,¹⁾ nie mogła być oczywiście cierpianą w nowych nabytkach podziało- wych. Corychlej więc, przed ustaleniem jeszcze linii demarkacyj- nej, wprowadzono na Litwie i Rusi t. zw. „krepostnicstwo,” z całą energią wzięto się do wzmocnienia poddaństwa ludu wiej- skiego, skwapliwie zarazem tłumiać wszelkie pomysły emancypa- cyjne. Olbrzymie dobra w pokonfiskowanych królewszczyznach i starostwach rozdawane zostały generałom i faworytom dwor- skim. Nowi właściciele poczęli wybierać pańszczyznę nie od cha- ty, jak to było we zwyczaju u przeważnej większości szlachty polskiej, ale przykładem rosyjskim, od duszy. Skutkiem tego li- czbę dni pańszczyźnianych znacznie powiększono. Jeden z dwor- aków, czyli t. zw. „wremieńszczyk,” Płaton Zubow, obdarowany 18 tysiącami „dusz” chłopskich na Żmudzi, podniósł pańszczyznę z dwóch dni do sześciu, inni poszli za tym przykładem. „Kata- rzyzna II — mówi historyk rosyjski — wprowadziła pańszczyznę dla całej niemal ludności majątków skarbowych i nic nie uczyniła dla poprawienia bytu włościan.”²⁾ Potrzebnego rekruta w tym ciężkim okresie bądź wojen: francuskich, szwedzkiej, tureckiej, bądź przygotowań wojennych, ściągać poczęto sposobem kantonowym i na przeciąg 25 lat ciężkiej służby, oblewanej łzami nieszczęśli- wych, straszliwszej nieraz od samej śmierci; połowa ich ginęła w drodze na miejsce przeznaczenia, resztę tępił głód i kij srożej jeszcze niż bój wojenny.

Nawiasowo zauważyć należy, iż w Polsce postanowiono od 1789 r. nadawać wolność od poddaństwa „z potomstwem” włościa- ninowi, który przesłuży w wojsku narodowym lat 12, czyli dwie t. zw. kapitulacye³⁾.

Na pogorszenie stanu ekonomicznego włościan polskich i po- większenie pańszczyzny wpływało obok rozdrobnienia większych własności ziemskich, także otwarcie rynków zbożowych na połu- dniu Rosyi i łatwy dostęp do portu odeskiego. Szlachta, odsu- nięta od życia politycznego, rzuciła się do robienia fortun. Wła-

¹⁾ Bezborodko do Repnina, 25 listopada 1794 roku, „Russkij Archiw“ z 1873 r., str. 478.

²⁾ Siemiewskij: „Krestianskij wopros w Rossii“ (Petersburg, 1888) t. I, str. 226 — 30.

³⁾ Korzon: „Wewnętrzne dzieje,” I, 318.

ściciele ziemscy „oddawali się stanowczo majątkowi, lud parli, pędzili do roboty, jak można największej i bezpłatnej. Nastąpił pomiar ziemi i obejrzenie się na rozmiary, których największą i najżyźniejszą część zajmował lud. Pola skarbowe zwiększano, a włościańskie zmniejszano; biednemu ludowi ubywało ziemi, która go żywiła, a przybywało pracy... Lud coraz więcej pracował, wszystkie wielkie obszary zaorywał, uprawiał. Nie szczędzono kar cielesnych, chłosta stała się nałogiem, zwyczajem, nakoniec środkiem do prowadzenia roboty bezpłatnej, pańszczyzną zwaną. Ukraina, owa włość humańska, zaraz po śmierci Potockiego zmieniła swój stan; oczynszowanie zostało zniszczonem, rozdzielni synowie trwonili fortunę, puszczała w dzierżawę, podnosząc do coraz większych cen. Stąd dzierżawcy zmuszeni byli coraz więcej zasiewać, coraz obficie zbierać, do czego także zachęcała Odesa, potrzebująca jak najwięcej pszenicy. Dukaty, dukaty pędziły szlachtę, a różga i batóg chłopka — do coraz większych zbiorów.“¹⁾

Jednocześnie z upośledzeniem stanu włościańskiego rozpoczęła się ze strony rządu masowa „redukcyja“ szlachty, polegająca na zapisywaniu do włościan uboższej szlachty, nie mogącej się należycie wylegitymować ze swego pochodzenia. System ten, uprawiany z niezwykłą energią i zaciętością, zwłaszcza po powstaniu listopadowem, zwiększył w pierwszych zaraz latach po rozbiorach stan pańszczyźniany o kilkanaście tysięcy ludzi²⁾.

Połowiczne próby poprawy stosunków włościańskich, podjęte przez Aleksandra I, nie przyniosły żadnych poważniejszych rezultatów. Prawo z 20 lutego 1803 r. o „wolnych rolnikach,“ dozwalające właścicielom uwalniać poddanych w drodze umownej wraz z gruntami, bądź pojedynczo, bądź całemi wsiami, miało tylko skutek: aż do końca panowania Aleksandra I, w ciągu niespełna ćwierćwiecza, skorzystało z tego prawa zaledwie 161 właścicieli, uwalniając 47,153 dusz poddanych. Zauważyć przytem należy, iż pod względem liczby uwolnionych włościan, drugie miejsce zajmuje gubernia Wileńska, w której jeden tylko właściciel Ignacy Karp³⁾, chorążyc upicki, uwolnił w swych dobrach wszystkich poddanych, razem 7 tysięcy dusz męskich, wprawdzie bez ziemi, lecz i bez żadnej indemnizacyi pieniężnej, co było zjawiskiem niemal wyjątkowem, gdyż w tymże okresie (1803—1825) za-

¹⁾ Helleniusz: „Wspomnienia narodowe“ (Paryż 1861), 248.

²⁾ Dzieje tej „redukcyi“ szlachty polskiej i szczegółowe dane statystyczne podaje Korzon: „Wewnętrzne dzieje,“ I, 125 sq.

ledwo jeszcze 415 dusz w państwie rosyjskiem przekształcono w „wolnych ludzi“ bez wynagrodzenia ¹⁾. Zresztą uwalnianie w ten sposób włościan na Litwie i przed wydaniem ukazu 1803 r. bynajmniej nie było rzadkością ²⁾.

Prawo z 1803 roku o „wolnych rolnikach“ obok wielu stron ujemnych (uwolnieni włościanie płacili znacznie wyższe podatki etc.), te miało dodatnie, że rozszerzyło możność skuteczniejszego działania jednostek dla dobra włościan, obudziło nadto nadzieję rychlejszego rozwiązania kwestyi włościańskiej, w sensie zupełnego uwłaszczenia stanu knieiego.

Opierając się na ukazie 1803 r., szlachta polska Obwodu Białostockiego, natychmiast po przyłączeniu tegoż do Rosyi w r. 1807, wystąpiła z zasadniczym wnioskiem zniesienia poddaństwa. Inicytorem powyższego projektu był Wiktor Grądzki, marszałek powiatu Białostockiego, człowiek światły, opiekun i dobroczyńca swych włościan, a nadto osobistość popularna wśród współpatriotów i ceniona dla zalet umysłu i serca. ³⁾ Na pierwszej

¹⁾ Siemiewskij: „Krestianskij wopros“ I, 266, 272.

Ignacy Karp' (ur. 1780 † 1809), syn Benedykta posła na sejmy 1764 i 1789 r. i Karoliny Puzynianki, był posiadaczem jednej z największych fortun na Litwie. Prawdopodobnie pod wpływem dzieła „O poddanych polskich,“ napisanego w 1788 r. przez Maurycego Franciszka Karpia, Ignacy spisał d. 29 lutego 1808 r. testament, który temi słowy rozpoczął: „Ja, Ignacy Karp', czując się być dużo chorym i spodziewając się lada moment śmierci, czynię dyspozycyą następującą, którą za nienaruszoną i w niczem nieodmienną mieć chcę. Chłopom moim wszystkim we wszystkich majątkach wszelkie remanenta tak zbożowe, jak i pieniężne i wszelkie inne daruję, i aby przez sukcesorów moich żadna z tej rzeczy pretensya do tychże chłopów roszczoną nie była, jaknajsołenniej zalecam; takż, tak ludzi wszystkich dworowych, jakoteż i włościan czyli chłopów wszystkich moich majątków, nie excypując żadnego z nich, *na wieczne czasy z poddaństwa uwalniam i na zawsze za wolnych mieć chcę*, pozwalając onym wszelkich przywilejów i swobód wolnym ludziom służącym używać i nie zostawiając do nich żadnego prawa sukcesorom moim.“ (Por. Aleksander Meysztowicz, Karpowie herbu własnego. Wilno, 1906, str. 40 sq.). Ten piękny akt ostatniej woli Karpia upamiętniony został przez Mickiewicza w XII-iej księdze *Pana Tadeusza*.

²⁾ Przykłady czynszowania i usamowolnienia włościan jeszcze w XVIII wieku i na początku XIX-go spotykamy w dobrach Chreptowicza podkanclerzego litewsk., ks. Stanisława Poniatowskiego, podskarbiego litewsk., Ignacego Massalskiego, Nagurskiego, i inn. por. Korzon l. c. Siemiewskij l. c. I, 264 sq.

³⁾ Sprawa włościańska w Obwodzie Białostockim przedstawiona została na podstawie akt z archiwum marszałka szlachty w Białymstoku. Bliższe

sesyi Rady szlacheckiej, niezwłocznie po „otwarciu gubernii (obwodu) Białostockiej“ w r. 1807, przedstawił on członkom Rady „pismo o uwolnieniu poddanych.“ W dłuższym wywodzie, rozpoczynającym się od wyrażenia radości, że „zgromadzenia... jakiego od lat 13 nie mieliśmy prawem dozwolonego“—albowiem kraj Białostocki, stanowiący od r. 1795 część Prus Nowo-Wschodnich, pozbawiony był prawa odbywania sejmików szlacheckich, przywróconego na Litwie przez Pawła I—i „dla świetniejszego obchodu tego dobrodziejstwa, nadanego nam od Najwspanialszego naszego Monarchy,“ przedstawił Grądzki „prawdziwe wyobrażenie poddaństwa i różnicę, jaka między poddaństwem a niewolą zachodzi, abyśmy rozważyli stan poddanych w naszym kraju i jakiej poprawy tegoż ich stanu sprawiedliwość wymaga.“ Sięgając czasów starożytnych, przechodzi autor dzieje niewolnictwa, wykazuje przytem poważną znajomość historii i literatury ekonomicznej. Piętnuje wprawdzie zdarzające się wypadki samowoli szlachty, tyranizującej swych włościan, z naciskiem jednak podnosi, iż „nie było nigdy systematem narodowym (w Polsce) uciśnienie losu poddanych, przy całej mocy prawodawczej nie napisała szlachta polska nic, coby ją w oczach ludzkości hańbić mogło... zasługiwało to na okrzyk, że jedna zbyt mała cząstka szlachty była tyranami swych poddanych, lecz zasługiwało na podziwienie, że niemi nie byli wszyscy, mając nietylko moc prawodawstwa w swem ręku, ale nawet pewność bezkarności, gdy władza królewska ścieśniona została.“ Wprawdzie szlachta białostocka sprawiedliwie postępuje ze swymi włościanami, czego najlepszym dowodem, zdaniem Grądzkiego, jest nader rzadkie zbiegostwo za granice Obwodu, do Księstwa Warszawskiego, gdzie powiedziano: *Niewola się znosi*—wszakże obowiązkiem sumienia właścicieli jest domagać się zabezpieczenia losu poddanych i „pewny jestem—mówi Grądzki—iż szlachta tutejsza zdolna jest ponieść niejake ofiary dla sprawiedliwości, ...kierując się rozsądkiem, szukając przewodnika we własnem sercu i w odwiecznem prawie natury, które nam mówi: nie czyn, co nie chcesz, aby tobie czyniono... Majątki, któreśmy sami lub przodkowie nasi zakupili, zakupione są i z ludźmi w nich że osiadłymi, pozwolić wyjścia z nich ludziom jest to część ma-

szczególne i dowody ogłoszone będą w większej pracy autora o „Rządach rosyjskich w Obwodzie Białostockim (1807—1842),“ która ukaże się jako T. X Monografii w zakresie dziejów nowożytnych, wyd. przez prof. Szymona Askenazego.

jątków naszych tracić, ale to jest zapewnić wieśniakowi większą sprawiedliwość, jak w wolności prawowania się z panem, jest zrobić potrzebę wzajemnego ochraniania się i przywiązania osobistemi zasługami... Prawda — zaznaczał Grądzki — iż wszelkie postęпки, na sprawiedliwości gruntujące się, częstokroć wymagają ofiar i cnotliwej dzielności do przewyciężenia poduszczeń miłości własnej, lecz bez tych ofiar nie byłoby żadnej zasługi. Prócz tego czyste sumienie, ukontentowanie z dopełnionej dobroczynności nie są dostatecznemi nagrodami? Prócz tego doświadczenie już nieraz okazało, że zniesienie poddaństwa nieraz przyniosło istotne pożytki, gdy roztropnie wprowadzonom było. Wreszcie coś się znosi? — nie znosi, jak wyraz nieprzyjemny, który opinia zrobiła obmierzłym. Lecz ze względu na moc opinii, zwłaszcza tak nieszkodliwych, jak rozumiem, że jest ta, o której tu rzecz idzie, jawnie okazaną, warto jest stosować się do niej dla osłodzenia losu klasy, która wszystkie inne żywi. Wyniknie stąd, że ta klasa, widząc własność swoją, przez pracę nabytą, lepiej zabezpieczoną, osoby swoje pewniej ochronione od nadużyciów (!), przez wolność wyjścia z gruntu, jak przez proces, używając zupełnej protekcyi rządu, stanie się pracowitszą, przemyślniejszą, oświećszą, a razem szczęśliwszą. Upředzenia i nienawiści jej przeciw klasom wyższym znikną, a na to miejsce powstanie w ich umysłach pamiątka wdzięczności za obejście się z niemi tak szlachetne. Obejście się szlachetne! to być powinno przeświadczeniem, żeśmy się nie odrodzili od tych przodków naszych, którzy pierwsi zasłużyli osobiście na prerogatywy naszego stanu.“

Nawołując do korzystania w całej rozciągłości z prawa 1803 r., kończy Grądzki swoje światłe i rozważne przemówienie propozycją powzięcia uchwały o zniesieniu poddaństwa, która, po zatwierdzeniu przez monarchę, stałaby się obowiązującym prawem dla szlachty Obwodu Białostockiego.

Wystąpienie Grądzkiego posiada wyjątkową doniosłość w dziejach porozbiorowych Litwy. Jest to pierwsze wyraźne sformułowanie zasadniczego wniosku w sprawie reformy włościańskiej, pierwsze na Litwie i pierwsze w państwie rosyjskiem. Szlachta polska Obwodu Białostockiego jednomyślną pochwałą inicjatywy Grądzkiego dała dowód swych światłych poglądów na kwestyę usamowolnienia włościan, pierwsza pod berłem Aleksandra I pospieszyła wyrazić gotowość poniesienia poważnej ofiary na rzecz dobra ogólnego. Czyn ten świeci niepożytym blaskiem patriotyzmu i kłam zadaje tendencyjnym oskarżeniom obywatelstwa polskiego o brak uczuć sprawiedliwości i o wrodzonej rzekomo skłon-

ności polskiego „pana“ do uciemiężania chłopą. W tym nad wyraz szlachetnym porywie, ujawnionym przy pierwszej zaraz sposobności, uczucie góruje nad wszystkim, Grądzki nie oblicza z ołówkiem w rękę, jaką stratę poniosą właściciele ziemscy, woła jedynie o sprawiedliwość, domaga się ulżenia losu kmiecia, tego istotnego żywiciela i obrońcy Ojczyzny. W słowach Grądzkiego widoczny jest wpływ z jednej strony nowożytnego ducha, przenikającego inicjatywę prawodawczą sąsiedniego Księstwa Warszawskiego, z drugiej oddziaływanie tych czynników cywilizacyjnych, które rozwinęła sprawna i bądź jak bądź kulturalna gospodarka pruska w departamencie Białostockim, w ciągu lat jedenastu. Tamte, zachodnie wpływy dodatnie, zestrzeliły się w polskiej duszy i ogrzane ciepłem miłości bratniej, wydały piękny, niepożyty czyn patryotyzmu.

W myśl powyżej przytoczonych zasad opracował Grądzki obszerny projekt prawa o uwolnieniu włościan. Z dorywczych jedynie wskazówek wnioskować można, iż projekt ten zawierał rozwinięcie aktu z 1803 r. o „wolnych rolnikach“ i miał obowiązywać wszystkich obywateli Obwodu Białostockiego do uwalniania poddanych w drodze umownej, zawarowanej wszakże pewnymi przepisami. Projekt Grądzkiego zakomunikowany został szlachcie przez marszałków powiatowych; w następstwie jednak projektodawca skierował go do „Komitetu do porównania praw koronnych z litewskimi“, powołanego na mocy przepisów z 18 lipca 1808 r. o urządzeniu Obwodu, w tem przekonaniu, że w opracowanym przez Komitet kodeksie przedmiot ten zostanie należycie uwzględniony. Jednakowoż „projekt prawa prowincjonalnego dla Obwodu Białostockiego“, wygotowany przez Komitet w 1811 r., przy współudziale zresztą Grądzkiego, sprawy uwolnienia włościan od poddaństwa nie rozstrzygał¹⁾; kwestya usamowolnienia stanu kmiecego pozostała nadal zależną od dobrej woli poszczególnych właścicieli. Niestrudzony Grądzki, w lutym 1812 r., ponownie przesyła swój referat o „polepszeniu losu wieśniaków“

¹⁾ Artykuł 153 rzonego prawa stanowił, iż „przywiązany do gruntu człowiek uwolnionym być może od tego obowiązku pismem dziedzica gruntu z podpisem i pieczęcią jego, lub testamentem, a tak uwolniony, ani od właściciela, ani od sukcesorów jego już nazad zwrócony być nie może do gruntu“. Naogół jednak projekt „prawa prowincjonalnego dla Obwodu Białostockiego“, stanowiąc pewne ulgi dla włościan w poszczególnych wypadkach, sprawy zniesienia poddaństwa nie przewidywał. (Bliższe wyjaśnienia w monografii o Obwodzie Białostockim).

marszałkom powiatowym i jednocześnie przedstawia go za pośrednictwem Rządu Obwodowego „do Najwyższego utwierdzenia.” „Świeżo nam objawiona ojcowska dobroć Jego Ces. Mości w porównaniu nas w podatkach z innemi guberniami ¹⁾ — pisze do gubernatora obwodowego dn. 28 lutego 1812 r. pod № 75 — tem mocniejszą jest pobudką do poprawy losu wieśniaków. Stosowanie się zaś nasze do tak dobrotliwych zamiarów Jego Ces. Mości, w ukazie 1803 r. zawartych, może choć w małej części przyjętem będzie za wywiązanie się z hołdu wdzięczności nigdy nie wygasłej. Znajomy obejścia się tutejszego szlachty z poddanyimi swoimi, przewiduję, iż im nie będzie trudna podobna do mojej ofiara, a może i większa, ku polepszeniu losu wieśniaków, gdy Najwyższa Jego Ces. Mości wola przez utwierdzenie, moje pewne prowadziła do kraju naszego stosowne, w tym celu ustanowić raczy.”

Zabiegi Grądzkiego stykały się z równoczesną akcją, podjętą między innemi i w sprawie włościańskiej, przez paru wybitnych przedstawicieli Litwy w Petersburgu, na czele z ks. Ogińskim Michałem i ks. Ksawerym Lubeckim ²⁾. Wyprzedzając zaledwo o kilka miesięcy inicjatywę marszałka białostockiego, opracowali oni przy współudziale Ludwika Platera „Ustawę rządową W. Ks. Litewskiego,” rodzaj konstytucyi litewskiej, której artykuł 24-ty głosił: „Chcąc dogodzić z iedney strony obowiązkom odwieczney sprawiedliwości, prawom Religii i ludzkości, a z drugiej zapobiedz szkodliwym nadużycia skutkom, spokojność publiczną zamieszać mogącym, postanawia się, że Lud Wieyski w Wielkiem Xięstwie Litewskiem zamieszkały, w przeciągu lat dziesięciu do używania Prawa wolności osobistej przypuszczony zostanie. Począwszy od r. 1812 do 1821, co rok w każdym majątku uwalniać się będzie dziesiąta część włościan przez dziedziców. Z uwolnionemi zawierać się będą umowy za wspólną zgodą, które to umowy pod opieką prawa y Rządu krajowego przyjmują się

¹⁾ Mowa o istotnie ważnym dla Litwy ukazie z 18 grudnia 1811 r., którym zrównano gubernie litewskie i Obwód Białostocki z innemi guberniami cesarstwa, kasując wszystkie dawne podatki polskie, dotychczas tam istniejące, wprowadzając natomiast podatek poduszny. Por. Połnoje sobranje zakonow Ros. imperii t. XXXI, № 24913 oraz Iwaszkiewicz, Litwa w przededniu wielkiej wojny 1812 r. w „Bibl. warsz.” 1906 r. t. IV, 455.

²⁾ O powyższej akcji Ogińskiego, Lubeckiego i inn., oraz o „Ustawie rządowej W. Ks. Litewskiego” u Smolki, Polityka Lubeckiego t. I, 70, 438. t. II, 132 sq. por. Iwaszkiewicz, Litwa w przededniu wielkiej wojny 1812 r. w „Bibl. warsz.” 1906. t. IV, 417 sq.

y wiecznie dziedzica y następców iego albo prawa nabywców iego iako y włościan tak wiązać będą, że ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mocni. W majątkach skarbowych, w possessyji zostających, uwolnienie powyższe dźać się będzie przez possessorów, a każde takie uwolnienie potwierdzone będzie przez ministra skarbu.“

Przeniknięty duchem Ustawy 3 Maja, będącej wciąż jeszcze wyrazem najlepszych zasad konstytucyjnych dla społeczeństwa litewskiego, projekt powyższej „Ustawy rządowej“ w sprawie włościańskiej szedł jednak nierównie dalej; stawiał ją bez porównania wyraźniej od niejasnego artykułu IV-go Konstytucyi Księstwa Warszawskiego, w stosunku zaś do Ustawy konstytucyjnej późniejszego Królestwa, przemilczającej tę tyle doniosłą kwestyę społeczną, jest chwalebny dowodem rozumnych, wnikających w najżywotniejsze sprawy narodu, zapatrywań jego twórców. Nie należy wszakże mniemać, aby rozstrzygnięcie sprawy włościańskiej, wyrażone w 24 artykule „Ustawy rządowej,“ było wyrazem jednomyślnej opinii litewskiego ziemiaństwa z 1811 r. Lubecki sam miał pewne co do tego wątpliwości, dowodem, że w innym projekcie Konstytucyi, przez niego zredagowanym, kwestya włościańska traktowana jest nierównie ostrożniej, bez podania bliżej określonego terminu dokonania reformy, obciążonej nadto wielu przygotowawczemi pracami ¹⁾.

Projekt „Ustawy rządowej“ życzliwie został przyjęty przez Aleksandra I, który obiecał powołać w najprędzszym czasie delegatów do Komitetu, mającego opracować plan organizacyi gubernij litewskich, szczególnie przytem zalecał Ogińskiemu mieć na uwadze sprawę włościańską: „Ta najbardziej pożyteczna klasa społeczeństwa—rzekł—była częstokroć traktowana przez Was (Polaków), jak Heloci.“ Słowa powyższe zrozumiano, jakby zapowiedź gorętszego zajęcia się monarchy losem wieśniaków, niestety, były one tylko frazesem. Niewola ludu wiejskiego pod berłem rosyjskiem jeszcze przez pół wieku miała pozostać bez zmiany ²⁾.

¹⁾ Smolka, „Polityka Lubeckiego“ II, 134.

²⁾ W tym samym czasie kiedy przełożony został Aleksandrowi I projekt „Ustawy rządowej W. Ks. Lit.,“ ze strony reakcyjnej opinii rosyjskiej w osobie Karamzina, odezwał się znamieny głos ostrzegawczy; w długim memoryale „O starożytnej i nowej Rosyi (z r. 1811)“ głośny historyk przemawiał za utrzymaniem dawnego *status quo* w państwie. Odwołując się do historycznej przeszłości Rosyi, do sumienia monarchy, jego odpowiedzialności przed Bogiem i potomnością (*sic!*), przemawiał Karamzin przeciwko zniesieniu

II.

Wojna 1812 r. odwróciła na razie uwagę społeczeństwa od wewnętrznych spraw krajowych; wszystkie oczy skierowały się na „wielkiego mocarza świata” — Napoleona, od niego oczekiwano ziszczenia marzeń, streszczających się w gorącym pragnieniu odzyskania niezawisłego bytu narodowego. Próby urabiania przychylną opinii dla Aleksandra, podejmowane przez pewną grupę, przychylną Rosyi, prawie żadnych nie dawały teraz rezultatów. Wierzono święcie, że „Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami.” Gorętsza młodzież już dawniej, w r. 1805 i 1809, wymykająca się do wojsk narodowych ¹⁾, obecnie, w przededniu walki tem skwapliwiej śpieszyła do formujących się nowych kadrów Księstwa. Niejeden młodzieniec

znikał nagle z domu,
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
 Ścigany skakał kryć się w Niemnie
 I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,
 Gdzie usłyszał głos miły: „Witaj nam kolego!”
 Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek z kamienia
 I przez Niemen rzekł: „Do zobaczenia!”

Ta krewkość młodzieży była drogo opłacana, gdyż opuszczali oni nie tylko „rodziców i ziemię kochaną,” ale i „dobra, które na skarb carski zabierano.” ²⁾

poddaństwa włościan. „Nie wiem — pisał między innemi w swym memoriale — czy Godunow dobrze zrobił, odejmując włościanom swobodę, lecz wiem, że obecnie im jej zwracać nie wypada. Wówczas mieli oni przyzwyczajenia ludzi wolnych, dziś mają przyzwyczajenia niewolników. Mnie się zdaje, że dla stałości państwowej jest lepiej ujarzmić ludzi, niżeli dać im wolność nie we właściwym czasie.” Por. Pypin, Obszczestwiennoje dwiżenje w Rossii pri Aleksandre I. (Petersburg 1900), 237 sq., 513. Siemiewskij l. c. I, 354 sq.

¹⁾ „O przekradaniu się uczniów szkoły mozyrskiej do legionów w 1805 r.” ms. Bibl. publ. wileń. W r. 1809 wielu wychowalców liceum krzemieckiego udało się do Galicyi, do szeregów wojsk polskich. O ułatwianie ucieczek uczniom podejrzewano między innymi Tadeusza Czackiego, gen. Kniaziewicza, hr. Chodkiewicza i ks. Radziwiłła. Sprawa powyższa była niejednokrotnie rozpatrywana w Komitecie ministrów, jednakże nie pociągnęła za sobą żadnych poważniejszych następstw. Por. interesujące o tem szczegóły w „Zurwałach Kom. ministrów” I, 326, 337, 344, 360.

²⁾ Na mocy ukazów z 24 sierpnia, 5 paźdz. i 17 grudnia 1809 r. konfiskowano majątki zbiegłych za granicę Litwy, ich samych zaś sądzono „po

Lud wiejski, wyczerpany wybieraniem rekruta, przytłoczony podatkami, wzdychał do wolności, choćby połowicznej, braci zaniemeńskich; w rozpoczęciu wojny, w wejściu Francuzów do Litwy, widział początek swego oswobodzenia. „Chłopi litewscy — mówi świadek współczesny — w niektórych miejscach przestali byli robić pańszczyznę, mniemając, że się już skończyły wszystkie ich dawne względem panów obowiązki. W jednej nawet włości (Trościance), w gubernii Mińskiej, właściciel (Hłasko), odznaczający się srogością i ciemięstwem, padł ofiarą wzburzenia włościan. Kilku naczelników zaburzenia, za dekretem sądu wojennego, rozstrzelanych zostało. Rząd litewski wydał stosowne dla uspokojenia włościan odezwy, zapowiadając, że wolność podobną, jak w Księstwie, otrzymają z końcem wojny, lecz teraz pod surową karą dawne mają szanować powinności.“¹⁾ Niezawodnie, że doraźna zmiana stosunków włościańskich mogłaby znacznie utrudnić żywienie olbrzymiej armii napoleońskiej oraz zaniepokoić szlachtę, naogół nie zdającą sobie jeszcze należycie sprawy z doniosłości takiej radykalnie pojętej reformy społecznej; wszakże odsunięcie na dalszy plan kwestyi włościańskiej przez litewską Konfederacyę generalną z 1812 r. było poważnym błędem. Zamknięto w ten sposób sprawę narodu polskiego w ciasnem kole interesów szlacheckich, zapominając o milionowej rzeszy ludu wiejskiego, oczekującego szczęśliwszego losu. Zniesienie zależności poddańczej w r. 1812 przez rząd polski, choćby krótkotrwałą, byłoby precedensem, z którym by się musiano liczyć przy wznawianiu rządów rosyjskich na Litwie.

Po upadku Napoleona, po roku „obfitym we zdarzenia, nadzieją brzemienным,“ jesteśmy świadkami powszechnego niemal wylewu uczuć dla „wspaniałego wskrzesiciela Polski,“ Aleksandra I. Jest to objaw zrozumiały, jeśli uwzględnić ówczesne położenie zrujnowanego, zbiedzonego licznymi przechodami wojsk, w samem swem istnieniu narodowem zagrożonego kraju. Jakiś los tragiczny wtrąca to pokolenie z jednych złudzeń w drugie; jakaś siła fatalna każe mu służyć różnym panom i przyszłość li tylko od nich uzależniać. Nie dziw, że w tej męce niewoli paczą się charaktery i myśl idzie szlakiem zawodnych omamień.

wsiej strogosti zakonow.“ Połn. sobr. zakon. Ross. Imp. t. XXXI №№ 23806, 23893, 24035. Por. Żurn. Kom. ministrow I, 180, 260, 277, 314, 340, 354, 399.

¹⁾ „Sybilla tułactwa polskiego“ (Paryż) zes. III, 43. Por. Krasnianskij, „Minskij diepartament w 1812 g.“ (Petersb. 1902), 48 sq.

Wszakże wiara w potęgę Napoleona nie odrazu wygasła, wciąż jeszcze szerzyły się pogłoski o powrocie Francuzów, istniało przekonanie, iż „drzewo posadzone przez Napoleona wkrótce przyniesie owoce.“¹⁾ Kult „Wielkiego Cesarza“ i wierność jego idei najdłużej, najgoręcej dochowa młodzież litewska. Ukochanie czynów „małego kaprała“ odezwie się w młodzieńczych utworach filomackiej i filareckiej drużyny, zapłonie ogniem patryotyzmu w sercach promienistej młodzi, przejdzie w poetyckiej wizji do *Pana Tadeusza*. Lecz po za tą uczuciową stroną uwielbienia idei napoleońskiej istniało głębsze, o wiele donieślejsze jej rozumienie. Pojęcia liberalne, zaniesione na Litwę w r. 1812, nie pozostały bez wpływu na kształtowanie wyobrażeń, szczególnie w zakresie spraw ekonomicznych i społecznych. Tyle potępiana cudzoziemczyzna, która rugowała „prawa i obyczaje, nawet suknie stare“ w wyższych warstwach społeczeństwa polskiego, obok niewątpliwie ujemnych stron, tę jedną miała dodatnią, że na stosunki poddańcze wywierała wpływ dobroczynny. Już dawniej zauważono, że szlachta kontuszowa odznaczała się „sarmacką“ dla chłopów swoich srogością, francuzkie zaś fraki i szpadki łączyły się zwykle z łagodniejszym usposobieniem.²⁾ Wielką moc miały nad umysłami, zwłaszcza młodzieży, ówczesne teorie socyalne Zachodu, które łącznie z dziełami zakwitającego romantyzmu znacznie pogłębiły zapatrywania na sprawę włościańską. Przygotowanie ludzi, odczuwających niedolę wieśniaczą i pracujących dla jej ulżenia, staje się jednym z najgłówniejszych zadań praktycznych młodego pokolenia inteligencji polskiej na Litwie.³⁾ Ta dążność znalazła gorące poparcie w ówczesnej publicystyce wileńskiej, nawołującej

¹⁾ Sieredonin, „Istoricz. obzor diejatielnosti Komitietu ministrow“ (Petersburg 1902) t. I, 558 sq.

²⁾ Korzon: „Wewnętrzne dzieje“ I, 378.

³⁾ Por. zeznanie prezesa Tow. Filomatów, Józefa Jeżowskiego z d. 19 kwietnia 1824 r. „Bibl. warsz.“ 1904. II, 509; „Opis jeograficzny“ wydany przez Filomatów, przedr. w H. Mościckiego, Wilno i Warszawa w „Dziadach“ Mickiewicza (Warszawa 1908), 151 sq. Młodzież uniwersytecka wileńska chętnie śpieszyła pod strzechy wieśniacze, niosąc tam nadzieję lepszej przyszłości. „Są świadkami liczni koledzy—pisze Andrzej Przyłgowski—ile mundur akademicki u naszego ludu (na Litwie) jednał zaufania nieograniczonego i bezwarunkowego. Każdy akademik o jakiejś porze mile przyjmowany był pod strzechą najbiedniejszego wieśniaka; rozmawianie z akademikiem miało dla ludu coś pocieszającego; wstąpienie jego do chaty było uważane za wróżbę szczęścia i błogiej przyszłości.“ Ksawery Bronikowski: „Pamiętniki polskie“ (Paryż 1844) t. I. 281.

śmiało i otwarcie do wielkiego dzieła zniesienia poddaństwa. Największą tu bodaj zasługę poniosło *Towarzystwo Szubrawców* i wydawane przez nich „Wiadomości Brukowe.“¹⁾

Obok tej akcji piśmienniczej, niepozbawionej z natury rzeczy pewnych jaskrawości i tonu polemicznego, szła równoległa działalność w duchu emacyacyjny takich wybitnych a wpływowych jednostek, jak ks. Adam Czartoryski, ks. Ksawery Lubecki, Seweryn Potocki, Ludwik, Kazimierz i Michał Platerowie i inni. Ks. Czartoryski, jako kierownik wileńskiego okręgu naukowego, usilnie dążył do przeprowadzenia reformy włościańskiej w dobrach, należących do uniwersytetu, jednakże z roztropnem powstrzymywaniem doraźnego wstrząśnienia stosunków ekonomicznych. Bywając w Wilnie, niejednokrotnie też przemawiał do szlachty z gorącym zaleceniem zajęcia się losem poddanych.²⁾ Michał Plater-Zyberg, ówczesny wice-gubernator wileński, miał podobno czynić sekretne przedstawienia marszałkom powiatowym, aby ci wnieśli sprawę usamowolnienia włościan na wokandę nadchodzących w r. 1817 sejmików szlacheckich³⁾. Pobudką, ożywiającą działalność w tym kierunku, były świeżo wydane ukazy (1816 i 1817 r.), znoszące poddaństwo w guberniach Estlandzkiej

¹⁾ O sprawie włościańskiej w ówczesnej publicystyce wileńskiej pisze Chmielowski: „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi“ („Ateneum“ 1883 r. i oddzielnie „Bibl. Dz. wyb.“ № 21). W „Dzienniku wileńskim“ z r. 1817 t. VI, 547 sq. umieszczone zostały „Ukazy najwyższe o uwolnianiu chłopów z poddaństwa“, oraz rozprawa p. t. „Badanie środków, tyle dla dobra kraju skutkujących co uwolnienie chłopów“, przy tej rozprawie podano projekt „Ustawy opieki rolniczej.“ Tak w samym projekcie, jak w rozprawie bezimienny autor miał na celu, aby, „nieoddalając się bynajmniej od zasad rządu i praw obowiązujących teraz: 1) chłopom zapewnić używanie tego, czego im właściciele nie zaprzeczają; 2) właścicielom z ich praw i własności nic nie ująć; 3) zwyczaje i praktyki tym dwom celom przeciwne znieść; 4) w doświadczeniu wyszukać, a przez najpilniejszą rozprawę wybrać zasady, na którychby w czasie przyszłym ustanowione być mogły prawidła ogólne, czyli kodeks rolniczy, obejmujący stosunki tak właścicieli z rolnikami, jakoteż i rolników pomiędzy sobą, z zabezpieczeniem w każdym przypadku uiszczenia obowiązków i powinności dla rządu; 5) wszelkie odmiany i polepszenia wprowadzać z taką przezornością i umiarkowaniem, ażeby one widniejsze były w dobrych skutkach, niż w samem zaprowadzaniu.“

²⁾ „Bibl. warsz.“ 1904 r. II, 513 sq. Czartoryski: „Pamiętniki“ (ed. pol. 1905) II, 217.

³⁾ Raport Rymskiego-Korsakowa do Aleksandra I z d. 27 lutego 1818 r. (Akta w sprawie sejmiku wileńskiego 1817 — 1818 r.).

i Kurlandzkiej, wprowadzie bez ziemi i z pozostawieniem stosunków włościan i właścicieli dobrowolnej umowie, bądź jak bądź jednak będące niewątpliwym postępowaniem na drodze rozwiązania tej palącej kwestyi ¹⁾. Michał Plater, niezwłocznie po ogłoszeniu rzeczonych ukazów cesarskich, rozpoczął wśród szlachty, mimo zakazu gubernatora wojennego, usilną agitację za uwolnieniem włościan, pragnąc „zwrócić na swych współziomków łaskawe spojrzenie Monarchy“ i pozyskać dla nich „świata szacunek.“ ²⁾

Jakie było wobec powyższego nastroju stanowisko szlachty? Życie wtenczas na Litwie w szarych warstwach szlacheckich skupiało się po dawnemu prawie całe w najbliższych powiatowych sprawach; przy jednakim niemal stopniu wykształcenia, wspólnych wyobrażeniach, prostych niewykwinionych potrzebach, częstych zjazdach sąsiedzkich i familijnych, kiedy przy każdym feście kościelnym po kilka razy w refektarzach zastawiano stoły dla coraz nowych gości i gwarzono przy kielichu o dawnych stanisławowskich czasach, o wielkim „Napolionie“, o „wspaniałym wskrzesicielu Polski“ Aleksandrze, co ma pono Litwę z Koroną złączyć i przywrócić pod swem dobroczynnem berłem dawnej Rzeczypospolitej splendor i znaczenie. Znali się wszyscy w swoim zakątku, a gospodarstwo powiatowe, mające w sobie złudzenie niezależnego prawie samorządu, obejmowało całe społeczne życie szlachty, pełnej dobrodusznym nadziei w szczęśliwą przyszłość narodu. W latach 1816 i 1817 przedmiotem powszechnych dyskusyj na zjazdach obywatelskich stała się sprawa włościańska. Nie była czemś nowem, jakąś „amerykańską nowinką“, którem to mianem częstokroć określano zbyt liberalne dla szlacheckich pojęć wystąpienie powracającego z „wojażu“ młodziana lub bardziej gorliwego zwolennika masoneryi; powracała na wokandę spraw palących, domagających się corychlejszego rozstrzygnięcia, pil-

¹⁾ Sprawa włościańska w gub. nadbałtyckich posiada obfitą literaturę; por. Siemiewskij, „Krestianskij wopros“ I, 485 oraz źródłowe przyczynki w „Sbornikie istoricz. matier., izwleczonnych iz sobstw. Jewo Imp. Wiel. Kancelaryi.“ (Petersb. 1891) t. IV, 313 sq.

²⁾ Michał Plater do Aleksandra I d. 13 stycznia 1818 r. (Akta w sprawie sejm. wil.): „... le désir de rendre mes concitoyens plus dignes des égards de Votre Majesté et de l'estime du monde, m'a engagé à profiter des toutes les occasions, qui se sont présenté à moi, et qui même je cherchais à amener pour parler aux citoyens d'ici en faveur de leurs paysans et pour prouver aux plus marquantes d'entre eux, les avantages que l'application de l'oukaze d'Estonie pourrait verser sur cette contrée...“

nych i nieodzownych. Opinia szlachecka, co do samej zasady niemal jednolita, zwłaszcza w teorii, różniła się wszakże znacznie co do sposobów przeprowadzenia reformy w praktyce. Byli również i tacy, co w usamowolnieniu włościan widzieli zupełną ruinę swoich majątności oraz podkopanie istniejącego porządku społecznego. Wielu uważało podniesienie kulturalnego poziomu chłopów za cel wystarczający na dziś, sprawę zaś zniesienia poddaństwa przekazywało następnym pokoleniom. Najwięcej zwolenników uwolnienia włościan liczyły powiaty: upicki, wilkomierski, brasławski, zawilejski, trocki i kowieński. Zamożna szlachta upicka oczekiwała od reformy zwiększenia liczby rąk roboczych i podniesienia skutkiem tego wydajności ziemi, dogodne zaś rynki zbożowe w pobliższej Libawie i Rydze dawały możliwość łatwego zbytu produktów rolnych; zabiegliwy chłop żmudzki, pomimo znacznie większych niż w innych okolicach kraju powinności podatkowych, nie był zbyt narażony na połączone z reformą wstrząśnienie ekonomiczne. Biedniejsze od upickiej ziemiaństwo brasławskie i zawilejskie widziało w projektowanej zmianie zwolnienie od uciążliwych obowiązków dawania włościanom zasiłków w naturze podczas nieurodzajów, od płacenia za nich podatków, wreszcie od kłopotliwej i będącej źródłem nieustannych zatargów sprawy rekrutacyjnej. Przeciwnicy reformy, nie bez pewnej zresztą słuszności, byli zdania, że uwolnieni włościanie łatwiej wpadną w zależność ekonomiczną od Żydów, i że wydani zostaną na łup sprzedajnej i nieuczciwej policyi, w szczególności t. zw. „strapczych“, którzy z jednej strony utworzą sobie doskonałe źródło dochodów, pogrążając włościaństwo w „morzu procesów i szykan“, z drugiej zaś strony nie będą w stanie zapobiedz możliwym nieporządkom i rozruchom.¹⁾

Takie i tym podobne zdania obiegały Litwę, poruszały umysły żywotną i niezmiernie pod wielu względami ważną sprawą włościańską. Miała się ona stać przedmiotem rozpraw na nadchodzących w 1817 r. sejmikach powiatowych, znaleźć się na porządku dziennym „gubernskiego“ sejmiku w Wilnie.

¹⁾ Michał Plater do Aleksandra I, dn. 13 stycznia 1818 r.

III

W guberniach litewsko-ruskich pozostawiono Polakom prawo odbywania co trzy lata sejmików szlacheckich dla obioru urzędników powiatowych i gubernialnych w zarządzie cywilnym. Zawrzało na Litwie ponownem tętnem życie sejmikowe, tembardziej, że wydane w początkach panowania Aleksandra I przepisy o porządku odbywania sejmików nie zmieniały jeszcze prawie tradycyi podobnych zjazdów szlacheckich za Rzplitej. Prawo wotowania i obieralności miał każdy szlachcic płacący podatek gruntowy, czyli dawną „ofiaraę,” wybrany urzędnik powiatowy musiał być jedynie zatwierdzany przez gubernatora, a gubernialny przez ministra. Szlachcic, jak to było w tradycyi jego rodowej, cisnął się do urzędu, zamożniejsi piastowali godności honorowe, dygnitarские o swoim sumpcie. Urzędy te otwierały naościę drogę przerw różnym ambicyom; w każdym powiecie znajdowali się prawdziwi gracze sejmikowi, pod ich kierunkiem tworzyły się partye, które szły ławą do urny wyborczej z ułożoną zawczasu listą kandydatów. Wybierano w powiecie marszałka, dwóch wice-marszałków, podkomorzego, chorążego, prezydenta sądu ziemskiego czyli powiatowego, przy nim czterech sędziów i pisarza; prezydenta i dwudziestu sędziów granicznych, sześciu asesorów sądu niższego czyli policyjnego, „sprawnika,” deputata wywodów szlacheckich, urzędującego przy marszałku gubernialnym, nadto nieograniczoną liczbę woźnych, byleby ze szlachty. Wybory kilkudziesięciu urzędników oraz obrady nad potrzebami powiatu przeciągały się czasem do sześciu tygodni, otwierając obszerne pole pieniectwu i intrygom; dochodziło nieraz do burzliwych walk sejmikowych. Zajścia, jakie zdarzyły się na sejmikach 1809 r. w gub. Podolskiej i Wileńskiej, pociągnęły za sobą surowe kary dla winowajców oraz wydanie (w marcu 1809 r.) dodatkowych przepisów o wyborach w guberniach polskich. Odtąd w sejmikach mogła uczestniczyć tylko szlachta, posiadająca 8 dymów, lub 25 dusz poddanych, albo posiadająca stopień naukowy, lub stopień oberoficerski w służbie wojskowej, albo rangę kolegiatnego registratora w służbie cywilnej. Urzędy gubernialne i marszałkowskie mogły piastować tylko osoby, posiadające ponad 20 dusz poddanych, ubożsi jedynie urzędy powiatowe. Dla obejścia tych przepisów wynajdywano najrozmaitsze sposoby, ułatwiające dostęp do upragnionych dygnitarstw powiatowych lub gubernialnych.

Sposób sejmikowania, nieuwarunkowany za Rzplitej żadnym formalnym regulaminem, i teraz nie był ujęty w żadne karby przepisów. Tak zwane sejmikowanie „podług praw polskich,” w rzeczywistości odbywało się na mocy specjalnych prawideł, układanych przed każdym sejmikiem przez marszałków gubernialnych i przedstawianych do zatwierdzenia gubernatorowi. Dopiero w r. 1810 zarządzone zostało, aby dla większego porządku zgromadzeń szlacheckich obierać powiatowych urzędników w powiatach, zaś na sejmiki gubernialne dokonywać specjalnych wyborów przez 10-ciu delegowanych z każdego powiatu, zamiast, jak dotychczas, przez całą szlachtę, mającą prawo głosu.¹⁾

Sejmiki powiatowe 1817 r. w gubernii Wileńskiej odbyły się pod znakiem usamowolnienia włościan. Prym wiodły w tej sprawie powiaty zawilejski, brasławski, upicki i wiłkomierski. Na sejmik wiłkomierski zjechało około 400 szlachty.²⁾ Zgromadzenie rozbiło się niebawem na dwa obozy; jeden bardziej konserwatywny, liczący w swem gronie Pietkiewiczów, Kołyszaków, Hopenów, Kościałkowskich ślepo szedł za wskazaniem podkomorzego Feliksa Siesickiego, potomka kniaziowskiej rodziny litewskiej, szczycącej się licznym poczetem zasłużonych ojczyźnie rycerzy i urzędników. Drugi odłam szlachty wiłkomierskiej, do którego między innymi należeli Pomarnaccy, Komorowscy, Mikulicze, Grodkowscy, Gruzewscy, Komarowie, Weyssenhoffowie, Kierbedziowie, Tyszkiewiczze, Platerowie, „nie miał nad sobą dyktatora” i zwarty był jedynie jednomyślnością poglądów, przeniknięty „duchem cywilizacyjnego liberalizmu i ojczystej narodowości.” Była jeszcze nieznaczna, około 30 osób licząca, grupa bezpartyjnych, kierowana energiczną ręką kniazia Adama Żagła, i „przechylająca się wedle swej potrzeby lub korzyści ze swemi wotami na jedną lub drugą stronę.” W zastępstwie zmarłego niedawno marszałka, Mikołaja Kościałkowskiego, przewodniczył obradom podkomorzy Downarowicz. Widoczną przewagę w zgromadzeniu mieli przeciwnicy Siesickiego i jego partyi. „Byliśmy górą,—pisze Jan Weyssenhoff w swoim pamiętniku—siła moralna i liczba wotujących była za nami.” Marszałkiem powiatowym obrano Adama Żagła, widzianego przychylnie przez obie grupy. Delegatem na sejmik gubernialny został

¹⁾ Iwaszkiewicz, Litwa w przededniu 1812 r., Bibl. warsz. 1906, tom IV, 425 sq.

²⁾ O sejmiku wiłkomierskim na podstawie rękopiśmiennego pamiętnika Jana Weyssenhoffa, łaskawie nam udzielonego przez prof. J. M. Giżyckiego.

b. starosta grodowy wiłkomierski, Ignacy Morykoni, który zwyciężył przy wyborach swego kontrkandydata, Siesickiego. Inne urzędy powiatowe zajęli ludzie „zdolni i dobrej wiary“ przeważnie z obozu liberalnego.

W czasie odbywania sejmiku nadeszła do Wiłkomierza żałobna wieść o śmierci Tadeusza Kościuszki. Wiadomość powyższa obiegła Litwę całą, budząc wszędzie szczery żal oraz chęć zmanifestowania czci dla zmarłego Naczelnika w sposób jaknajbardziej uroczysty. Obchody żałobne miały przybrać wspaniałe rozmiary i stać się wielką i poważną manifestacją narodową.

W Wiłkomierzu uroczystość pogrzebowa odbyła się dn. 29 listopada 1817 r.

Symboliczny katafalk w kościele ks. ks. Pijarów otaczało „sześciu dawnej polskiej służby w mundurach pospolitego ruszenia wojaków.“ Ks. Nosewicz, kaznodzieja katedralny wileński, umyślnie przybyły z Wilna, po uroczystej mszy „pobożnie, historycznie, wymownie, wdzięcznym głosem przedstawił obraz zgasłego rozrzewnionym słuchaczom.“ Przemówienie swoje, nacechowane głębokiem uczuciem patryotycznym, zakończył ks. Nosewicz wezwaniem do naśladowania cnót obywatelskich zmarłego wodza. Po nim zabierali głos: „od stanu obywatelskiego“ Franciszek Komorowski, wice-marszałek; od „rycerstwa“—towarzysz broni Kościuszki z pod Maciejowic, podkomorzy Józef Kozakowski, wreszcie „w imieniu obywateli miejskich i włościan,“ burmistrz wiłkomierski, Marcin Mackiewicz. Ten ostatni w mowie swej z naciskiem podnosił, że Kościuszkę nad włościanami, „tą najliczniejszą klasą mieszkańców tej ziemi, czułą rozciągnął opiekę, zabezpieczył prawa ich własności, umiarkował prace wedle sił i mocy, otarł pot z czoła spracowanych, a w domy licznych rodzin wprowadził spokojność, szczęście i dał uczuć słodyczne, z zachowania praw ludzkości pochodzące: on był ojcem ludu uznanego za ludzi.“

Obchód żałobny w Wiłkomierzu wywarł niezatarte wrażenie w sercach uczestników i żywsze wywołał w nich tętno. „Unosiły się nad nim wspomnienia walki narodu o byt i wolność, a razem i wspomnienia Ustawy 3 Maja, mającej polepszyć los i oswobodzić kmiotków.“ Bezpośrednio z tą manifestacją na cześć bohatera narodowego, który rozumiał znaczenie ludu i chciał je spżytkować, połączyły się usiłowania, zmierzające do urzeczywistnienia jego myśli pod tym względem; postanowiono utrwalić pamięć Kościuszki jakimś czynem chwalebnym. Na ostatniem posiedzeniu sejmiku wiłkomierskiego wniesiono projekt uwolnienia włościan od poddaństwa. Po pięknej, z wielką siłą przekonującej

wypowiedzianej mowie hr. Kazimierza Platera z Dusiat,¹⁾ projekt przeszedł znaczną większością głosów. Delegaci, udający się do Wilna, otrzymali szczegółową instrukcję, w której szlachta wiłkomierska wyraziła swoje w tej mierze dezyderata. Instrukcja wiłkomierska, opracowana najpewniej przez Kaz. Platera, zawiera, obok zasadniczego wniosku w sprawie włościańskiej, głębsze tegoż uzasadnienie i stwierdza zarazem z jak wielką rozważą przystępowano do tej reformy, którą chciano połączyć ze sprawą oświaty ludu, jego moralności i podniesienia bytu ekonomicznego.

Oto brzmienie najważniejszych artykułów „Instrukcyi:“

„§ 4. Dobroć najwyższa i nieporównana najlaskawiej nam panującego Monarchy te zaszczerpiła w sercach każdego z wiernych poddanych sentymenta, że Jego najlepsze chęci i intencje, szczęście narodu i dobro ludzkości na celu mające, uprzedzać i do ich spełnienia ubiegać się każdy nie może niepoczytywać za najświętszą powinność. Gdy ten najlepszy Monarcha uważać raczył, że praktykowane od wieków ujarzmienie szanownej, a nader licznej części ludu, która ręk pracą i krwi rozlewem byt, szczęście i wyniesienie się do najwyższego stopnia narodowi nadawała, nadaje i nadawać będzie,—warta jest pomyślniejszego niż dotąd losu, że głos oświaty i ludzkości, głos, można mówić, natury woła, iż przyszedł czas, aby oddać sprawiedliwość tym drogim istotom w ich współczesnych z nami szczątkach, które od naddziadów swoich na naszą zarabiały i zarabiają wdzięczność, że, наконец, póki blask wielkiego berła najlepszego Monarchy poddanego narodu doskonałej i pełnej nie nabierze świetności, póki jedna tylko drobniejsza klasa, korzystając z nadanych sobie swobód, drugą liczniejszą mieć w jarzmie i pogardzie będzie: gdy to dojrzała rozebrał rozważą w najświetniejszej epoce panowania swojego miliony ściągnął błogosławieństw, które rozrzewnione usta ustom do nieprzeżytej potomności podawać będą, — nadaniem w gub. Estońskiej, Kurlandzkiej i innych dla rolników wolności. Aby i nasza gubernia litewska tem najwyższem uwieńczona została dobrodziejstwem, abyśmy różniący się klasą od rolników w wierności i uprzejmości dla tronu jedną i równą z niemi składali częśćkę,—żądanie powiatu wiłkomierskiego delegowani wszędzie, gdzie należy, oświadczają, a ku dojściu do celu tego świętego zamiaru o wyznaczenie komisji z osób wiernych tronowi i gorliwych o dobro powszechne,

¹⁾ Były oficer wojsk napoleońskich, ojciec Władysława, założyciela muzeum w Rapperswilu.

w każdym *respective* powiecie dla ułożenia jednej ze wszystkich organizacyi starać się będą, na tych mianowicie zasadach: 1) iżby zapobiedz nagłemu rozejściu się rolników, a stąd zdezorganizowaniu każdego w szczególności gospodarstwa, 2) aby wpisy ludności, czyli „spiska rewizka,” zalegając od zwierzchnictwa ustanowionej na to władzy, doskonale obywatela czyniła spokojnym i od wszelkiej odpowiedzialności wolnym; 3) aby względnie czasu zatrzymania się rolników w obrębach powiatów, względnie zasad prawa i policyi stosowne do pozycyi kraju i potrzeb ekonomicznych przepisane były prawidła.

§ 6. Do dobra ogólnego kraju największy wpływ by miało oświecenie prostoty, przełożą więc delegaci powiatu w zgromadzeniu guberskim: naprzód po wszystkich plebaniach i zakonach w miasteczkach prywatnych fundowanych potrzebę utrzymywania szkółek, w którychby uczono czytać, pisać, rachunków, języka rosyjskiego. Powtóre, aby zwierzchność duchowna w miejscu częstokroć niezrozumianych przez prostotę kazań, zaleciła dawać nauki z wolnością robienia zapytania i przez nauczającego i przez słuchającego w materyach mianowicie prawdziwych i gruntownych zasad religii; o obowiązkach każdego poddanego dla swego monarchy, służącego dla pana, męża dla żony, ojca dla dzieci, sąsiada dla sąsiadów i nawzajem, o potrzebie starania i pracy; o obrzydzeniu opilstwa, kradzieży i t. p. To jedno prostych ludzi z dawnej wyprowadzić jest zdolne ciemnoty i czystość zaszczerpić obyczajów.“

Inne artykuły „Instrukcyi“ omawiały sprawę uregulowania i redukcji podatków ziemskich, zamykania potajemnych karczem, ograniczenia lichwy karczmarzy żydowskich i t. d.¹⁾

Opatrzeni takimi wskazówkami udali się delegaci wilkomierscy na sejmik gubernialny do Wilna.

¹⁾ „Instrukcyja dla delegatów pow. Wilkomierskiego“ druk. w Wilnie u Zawadzkiego pod datą 23 grudnia 1817 r. Podpisali ją: „Józef Łappa, Franciszek Komorowski, b. marsz. pow. Wil., Aloizy Kurmin, b. prezydent ziemski, Feliks Dowmont Siesicki, wyższej instancyi guber. wileń. sędzia, Onufry z Klimonta Klimowicz, sądu grodzk. p-tu Wil. prezydent, Józef Kozakowski, Kazimierz hr. Plater.“

IV.

Sejmik w Wilnie rozpoczął się dn. 1 grudnia 1817 r. pod przewodnictwem marszałka gubernialnego, Teodora Roppa, byłego oficera wojsk polskich i kawalera krzyża „Virtuti militari.” Na-samprzód odbyły się wybory urzędników gubernialnych. Na marszałka jednomyślnie powołany został powszechnie szanowany dla cnót obywatelskich Michał Römer, jeden z najużyteczniejszych działaczy społecznych i politycznych na Litwie, wielki mistrz łoży wolnomularskiej, członek Towarzystwa Patryotycznego, później-szy, w 1826 r., więzień stanu i wygnaniec.¹⁾

Zgromadzenie zajęło się sprawą rozkładu podatków ziem-skich, ugruntowaniem ewikcyi długów obywatelskich etc., dłużej zatrzymano się nad ważnym projektem, wniesionym przez delega-tów upickich, a dotyczącym zaprowadzenia na Litwie ksiąg hypo-tecznych dla majątków ziemskich.²⁾

W dniach 10, 11 i 13 grudnia nie było sesyi z powodu uro-czystości żałobnych na cześć Kościuszki. Wspaniały obchód w sto-licy Litwy i przypomnienie czynów wielkiego Naczelnika, stano-wił jedną jeszcze podniechę dla tych, co wolności dla włościan pra-gnęli. Poczęły krążyć pogłoski o rychłym wniesieniu na porzą-dek obrad sejmikowych sprawy zniesienia poddaństwa; instrukcja wiłkomierska, pośpiesznie drukowana w uniwersyteckiej „typogra-fii“ Józefa Zawadzkiego, miała niebawem dostać się do rąk dele-gatów i publiczności, skwapliwie teraz uczęszczającej na sesye sejmikowe. Szlachta tłumnie zjeżdżała do stolicy dla przysłucha-nia się debatom o uwolnieniu poddanych. Sejmik miał się ku końcowi; na ostatnich przedświątecznych posiedzeniach miano wre-szcie poruszyć sprawę włościańską. Dn. 22 grudnia zabrał głos w tej materyi marszałek powiatu upickiego, Szymon Zawisza. Przemówienie jego streszcza w sobie całokształt pojęć ziemian li-tewskich, ożywionych gorącym pragnieniem ulżenia losu podda-

¹⁾ Michał Römer (ur. 14 IX 1778 † 26 I 1850), prezydent m. Wilna w 1812 r., prezes Komisji Radziwiłłowskiej i komisji edukac. uniwersyteckiej w Wilnie. Był na-samprzód marszałkiem powiatowym trockim, następnie, do 1822, gubernialnym wileńskim.

²⁾ O sejmiku gubernialnym w Wilnie na podstawie akt w sprawie te-goż sejmiku, pamiętników Jana Weyssenhoffa, Listów J. Lelewela do ojca (Poznań, 1878) t. I, 293, 297. Bronisław Zaleski w art. „Zniesienie poddaństwa na Litwie“ (Roczn. Tow. hist.-lit. w Paryżu 1867) podaje informacje nieścisłe.

nych, choćby z uszczerbkiem przywilejów szlacheckich. Odwołując się do niejednokrotnie wyrażanych intencji cesarza Aleksandra I, przywoływał mówca na pamięć Ustawę Majową i szlachetne zamierzenia przodków. Mowa Zawiszy jest ważnym dokumentem historycznym. Oto jej dosłowne brzmienie:

„Duch czasu prawdziwym jest na myśl i działanie ludzkie przewodnikiem, on co stanowczym sposobem tworzy opinie, buduje lub zwala przesady, poddaje dusze nasze egoizmowi i ciemności, lub unosi nas do ludzkości i rzetelnego a użytecznego wszystkim światła. Rzućmy uwagę na obszerną dziejów ludzkich historię, patrzymy czem byli oni w swym pierwiastkowym stanie, dowiedzmy się co uczynili, gdy wyrzekając się cnót patryarchalnych, poddali się pod prawa pychy i namiętności pewnej liczby swoich współbraci, co nakoniec postanowili, gdy rozszerzone światło, prawdziwa filozofia i czysty promień religii, staraniem panujących lub mądrymi ustawami weszły w ich skamieniałe i długim przesądem uprzedzone umysły. Nie mam potrzeby przytaczaniem dziejów obcych narodów wspierać rzetelność mojej przedmowy. Członkowie szanownego zgromadzenia nie mogą nie mieć w pamięci szlachetnych czynów swych współobywateli, może jeszcze wielu tu będących. Pamiętny rok 1791 ze swoich Ustaw w tej rzeczy, w której tu mówić przedsięwziąłem, izaliż nie jest tem przejściem z niesłuszności do sprawiedliwości, jakimi się odznaczyły narody, przechodząc z ciemności do poznania prawdziwych praw i godności człowieka.

„Uśpione na moment te uczucia nie mogły się uważać za powrót nasz do czasów dzikości, krążyła w naszych żyłach krew ojców naszych i wspólne im uczucia. Aż też wstąpienie na tron Wielkiego Aleksandra ożywiły te nadzieje i zasady do ludzkości. Lecz niestety! okoliczności kazały mu stanąć w groźnej postaci oręża, nie mogły więc części urządzić się, gdy szło o zachowanie całości. Dziś ten wielki ze sławy i ludzkości monarcha, świetnie ukończywszy walkę, znalazł właśnie w swym narodzie już ten stopień światła, któren kolejno nabywał każdy naród, i któren we wszystkich państwach Europy też same wydał skutki. Śmiało to mówię, bo któż mnie zaprzeczy, że poddaństwo ludu było prawie powszechnem w Europie i że dziś prócz Rosyi nigdzie jego nie ma i że być nigdzie nie powinno. Bo któż nie widzi zamiarów ukochanego monarchy, kto nie słyszał, jak ten władca północnej Europy pierwszy przemówił na kongresie wiedeńskim za zniesieniem ogólnem handlu murzynami, kto nie czytał reskryptu, przychylającego się do woli szlachty estońskiej i kur-

landzkiej, uwalniającej z poddaństwa swoich ludzi. Szanowne Zgromadzenie! Za cóż to oni byli pierwszymi, za co nie my, co z geograficznego położenia i przykładu pogranicznego pierwsze mamy miejsce, za cóż to światło obiegło nas ze wszech stron, za co nie od nas, lecz do nas biją jego promienie, lecz to już się stało. Któż więc teraz nie widzi rychłej potrzeby do zrzeczenia się tego, co utrzymać nie możemy i nie powinniśmy. Samowładny monarcha mógłby skinieniem swoim pójść za chęcią swoją, którą w całej okazał rozciągłości, lecz gdy się to tycze szlachty, którą on szanuje, nie chce więc jej zmuszać, lecz czekać, jak od szlachty, szlachetnych czynów.

„Czyli pójdziem za przykładem praw dla ludu uwieńczonych skutkiem pomyślnym w obcych i naszych braci krajach, czyli pójdziem za pierwszym uczuciem duszy naszej, czyli obejrzymy się na tych, co bezinteresownie w tej sprawie sądzić nas będą; musimy dać wyrok nie większością głosów, lecz jednomyślnie, że zrzekamy się praw i przywilejów, jakie bez ograniczenia i samowładnie mieliśmy na osobach chłopów naszych. Cóż nas to wyrzeczenie się może kosztować i cóż więcej prócz niesprawiedliwości dajemy na ofiarę. Jeżeli chłopci nasi są tylko plemieniem brańców wojennych naszych prapradziadów, izaliż nie wysłużyli się w tysiącnych pracach na sam zysk szlachty obróconych, czyż nie im naszą wygodę, naszą świetność i zbytki winniemy. Nie oniż to z twardej ziemi dobywają plon niosący wszystkie dostatki; nie stawiałoż to ich mocne ramię w obronie ziemi, chociaż na niej nic swego nie mieli? Jest że sprawiedliwie, aby wszystko oni dla nas, a my im nic nie uczynili. Oddawszy to, co człowiek wedle praw boskich i przyrodzonych winien człowiekowi, małoż to jeszcze wyższości przy nas zostaje. My, szlachta, mamy ziemię, a chłopci zawsze oną na wyżywienie siebie i nas uprawiać muszą. My nakładać cenę jej będziemy, a oni płacić, my jego pracę oceniać, a on pracować musi. My w wygodnych i przepysznych budowlach mieszkać zawsze będziemy, a oni w chacie od ostatniej potrzeby spoczywać. Dajmyż mu tam prawdziwą swobodę. Niech umowa zobopólna, którą on spełnił, czyni go pewnym jego chudoby i potrzebnego po pracy spoczynku. Wnoszę zatem, ażeby szlachta, koleją sobie wiadomą, zaniósła do podnóżka Tronu prośbę, że powodowana uczuciami ludzkości, położeniem pogranicznym kraju, przykładem woli Najjaśniejszego Monarchy na inne gubernie rozciągniętej, chce lud swój uwolnić z poddaństwa, przestając na dobrowolnych z niemi umowach i dać im prawo obierania pana i miejsca. Że prosi, iżby łaskawy Monarcha

pozwolił utworzyć komisję dla napisania ustaw, przepisujących i czas i sposób, jakby to dzieło z dobrem kraju, wspólnemi wygodami klas wszystkich i z miejscowem położeniem załatwić się mogło, tak, aby mężowie światli, Monarchę sprawiedliwość kochającego i dobro ogólne znający, mogli te mądre napisać ustawy i do zatwierdzenia Tronowi przedstawić.

Mowę Zawiszy, wysłuchaną w skupieniu, przyjęto burzą oklasków. Następnie w tym samym duchu przemawiali jeszcze delegaci powiatu brasławskiego Józef i Tomasz Mirscy. Po nich wstąpił na mównicę b. pułkownik wojsk polskich, Michał Paszkowski, delegat oszmiański. Wyniosłej postawy, otyły, „głosem krzykliwej trąby“ zaprotestował przeciw natychmiastowemu uchwaleniu wniosku marszałka Zawiszy, twierdząc w swem przemówieniu, że ani on, ani wielu delegatów nie otrzymało w tej mierze instrukcyi od swych wyborców; wyrażał obawę co do następstw, które może przynieść nieopatrna i zbyt pośpieszna uchwała, „która wzrusza kardynalne zasady własności obywatelskich,“ lękał się „wszelkich z gwałtownego działania wypaść mogących nieszczęść, które pod hasłami wolności, równości, filantropii, liberalizmu, oświaty, ducha czasu, ledwie nie po całej Europie krwawe rozniosły pożogi. Nie życzę nagłości. Dość nam tytułu, że dobry nasz Monarcha chce widzieć wszystkie ludy kraju naszego szczęśliwymi, dość hasła, że rzecz idzie o dobro człowieka.“ W dalszym ciągu swego przemówienia wyraził wątpliwość co do rzetelnych korzyści, jakie może przynieść włościanom uwolnienie od poddaństwa, wobec „potrójnego prawie dla ludzi wolnych opodatkowania.“ Z tem istotnie należało się poważnie liczyć. Paszkowski nie występował narazie, jako przeciwnik samej zasady, potępiał „nieszlachetne postępowanie“ niektórych właścicieli względem poddanych, pragnął jedynie, aby reforma stosunków włościańskich była dziełem rozważy i głębszego namysłu. „Tak wielki przedmiot—mówił—nie może mieć piętna czynu doskonałego, jeżeli go nie oddamy pod rozbiór komitetu, złożyć się powinno z obywateli, mających prawdziwą dziedziczną posiadłość ziemską, obszerne znajomości praktyczne kraju, obyczajów, ludzi i mogących we względzie ekonomicznym, opartym na ludzkości, położyć słuszne i istotne granice powinności wzajemnych między właścicielem ziemi i posiadaczem rolnikiem.“

Wieść o mowach sejmikowych niebawem gruchnęła po mieście; słowa Zawiszy podawano z ust do ust, Paszkowskiego okrzyknięto „zdrajcą,“ zaprzędanym „sprawie arystokrackiej,“ wysadzonym dla opozycyi przez „bogaczy tracić pańszczyznę nie chcących.“

Następna sesja miała się odbyć 30 grudnia. Od rana zapelniała się sala sejmikowa w domu zwanym „gubernskim,” naprzeciw kościoła Ś-go Jana. Przeważała młodzież uniwersytecka; było też kilku włościan. Podawano sobie z rąk do rąk „Instrukcję wilkomierską” oraz mowę Paszkowskiego, odbitą w dwóch językach: rosyjskim i, obok, polskim.

Posiedzenie otwarto. Pierwszy głos ma Paszkowski. Powtarza argumenty w poprzednich mowach wyrażone, wreszcie składa następujące, zgoła nieoczekiwane oświadczenie: „Jako człowiek nieskazitelnego sumienia i nieodważający się mówić w oczy zebranym nieprawdy; jako wierny poddany Monarchy, nie chcący dotykać sprawy należącej do Tronu; jako spokojny obywatel, nie chcący być pociągniętym do jakiegokolwiek odpowiedzialności wobec rządu; jako delegat powiatu, który mi nie dał w tej sprawie mandatu; jako rzetelny miłośnik ludu rolniczego, którego zgubę w tem upatruję; jako członek ogromnego społeczeństwa cesarstwa rosyjskiego, obejmującego kraj, w którym zamieszkuję i którego zubożenie przewiduję; nie chcąc brać udziału w debatach nad tą tak niewłaściwą sprawą—oświadczam, że póki nie będzie ogłoszona wola Monarchy, wszelki krok poczytuję za wrogi i dla kraju szkodliwy. Powyższy mój protest przekładam zgromadzeniu pp. marszałków i proszę o dołączenie go do akt szlacheckich i potwierdzenie adnotacją.”

Przy ostatnich słowach mówcy rozległy się w sali głosy oburzenia. Paszkowski opuszcza mównicę wśród syków i oznak niezadowolenia, na plecach ktoś mu momentalnie przypina kartkę z napisem „Szubienica.” Wszczął się nieopisany tumult i zamieszanie. Rozjuszony Paszkowski biegnie do stołu prezydyalnego, wołając: „tu na moje życie czyhają!” Napróżno usiłują go uspokoić i przekonać o niemożliwości czegoś podobnego. Proszą o cofnięcie odczytanego oświadczenia. Napróżno. Wśród powszechnych sykań Paszkowski opuszcza salę. Pozostali, po krótkiej przerwie, podpisują protokół, zawierający jednomyślną uchwałę, by wysłać deputację do Tronu z prośbą o pozwolenie utworzenia w Wilnie Komitetu, złożonego z dwóch delegatów od każdego powiatu pod przewodnictwem marszałka gubernialnego, dla „obmyślenia sposobów polepszenia bytu włościan i uwolnienia ich od poddaństwa.”¹⁾ Do deputacyi, mającej przedstawić to życzenie cesarzo-

¹⁾ Na posiedzeniu dn. 30 grudnia byli obecni: z powiatu Wileńskiego: Mikołaj Abramowicz, marszałek, delegaci: ks. Jan Giedrojc, Antoni Łappa, Sta-

wi powołano między innemi ks. Adama Czartoryskiego, ks. Michała Ogińskiego, Wojciecha Pusłowskiego i hr. Kazimierza Platera.

Paszkowski wprost z sali obrad udał się do Michała Platera, pełniącego w zastępstwie ks. Ksawerego Lubeckiego obowiązki gubernatora cywilnego. Przedstawił mu przebieg obrad w barwach niezmiernie jaskrawych, prawił o rzekomo buntowniczym duchu szlachty, o zamierzonym jakoby przewrocie w kraju, prosił wreszcie o opiekę policyjną nad sobą, w przekonaniu, że życie jego jest w niebezpieczeństwie. Plater był dobrze poinformowany o rozprawach sejnikowych, zarówno z policyjnych raportów zawsze czujnego i nieustannie węszącego „kramolę“ prokuratora Botwinki, jakoteż z bezpośrednich zapewne informacji od swego kuzyna, Kazimierza Platera, jednego z twórców projektu uwolnienia włościan. Sam zresztą zamiary szlachty popierał i gorąco im sprzyjał. Obecnie jednak nastraszony przez Paszkowskiego i w obawie dalszych zbyt może krewkich wystąpień na sejmiku, polecił niezwłocznie, tego samego dnia, zamknąć salę zebrań, opieczetować drzwi i postawić straż. Delegata oszmiańskiego otoczono sekretną opieką policyi.¹⁾ Nazajutrz, 31 grudnia, powiadomił o zajściu w liście prywatnym wojennego gubernatora

nisław Szumski. Z pow. Zawilejskiego: hr. Edward Mostowski, marsz., delegaci: hr. Konstanty Plater, Benedykt Morykoni, Józef Polkowski, Konstanty Masłowski, Józef Zabłocki. Z pow. Upickiego: Szymon Zawisza, marsz., delegaci: Benedykt Wereszczyński, Michał Meysztowicz, Kazimierz Truskowski, Adam Jasiński, Józef Korzikowski, Antoni Erdman, Jan Olechnowicz, Józef Korzeniewski. Z pow. Wilkomierskiego: ks. Adam Żagiel, marsz., delegaci: Ignacy Morykoni, Bogusław Mikulicz, kapitan Michał Łappa. Z pow. Trockiego: Michał Römer, marsz., del.: Bolesław Römer, Stefan Kucewicz, Antoni Skarzyński, Józef Wrotnowski. Z pow. Brasławskiego: Michał Wawrzecki, marsz., del.: Józef Mirski, Józef Salmonowicz. Z pow. Kowieńskiego: hr. Józef Zabiełło, marsz., del. Franciszek Kozakowski. Z pow. Szawelskiego: Tadeusz Szemiot, marsz., del.: Krzysztof Olędzki, Józef Burba, Eligiusz Kownacki, Antoni Gorski, Michał Gorski, Konstanty Herubowicz, Kalikst Dowiatt, Ignacy Hryniewicz. Z pow. Oszmiańskiego: delegaci: pułkownik Michał Paszkowski i Aureli Dmochowski. Z pow. Telszewskiego: delegaci: Stanisław Piłsudski, Józef Szwykowski, Józef Gorski, baron Feliks Renno, Józef Switun, Jan Giełgud, Jan Kobecki, Józef Staniewicz, Benedykt Skrzetuski. Z pow. Rosieńskiego: Iwanowicz, marsz., del.: Ławrynowicz, porucznik Michał Chlewiński, Józef Białłozor, poruczn. Przeciszewski, Ignacy Mikucki i Konstanty Jucewicz. (Akta w sprawie sejmiku wil.).

¹⁾ Rozporządzenie sekretne Mich. Platera do policmajstra Szłykowa z dn. 30 grudnia 1817 r.

Korsakowa, a nadto w tydzień potem, 7 stycznia 1818 r., złożył mu szczegółowy raport.

Represyjne środki Platera, najzupełniej bezużyteczne i zgola niepotrzebne, wywołały w mieście zrozumiałe oburzenie;¹⁾ niektórzy delegaci, nie czekając końca sejmiku, opuścili Wilno. Pozostali zbierali się w domu Römera, gdzie też w styczniu 1818 r. odbyło się ostatnie posiedzenie pamiętnego sejmiku wileńskiego.

Dnia 13 stycznia 1818 r. wystosował Michał Plater obszerne pismo do cesarza. Powoływał się w niem na osobistą znajomość z Aleksandrem, zapewniał o swej niezachwianej wierności dla Tronu, nie tań jednak swych szczerych sympatyj dla sprawy reformy stosunków włościańskich na Litwie. Złożył dokładny raport o przebiegu obrad sejmikowych i o różnorodnych zapatrywaniach szlachty wileńskiej na kwestyę zniesienia poddaństwa. W zakończeniu wyraził powątpiewanie co do skuteczności działań komisji z 23 członków, (po dwóch delegatów z jedenastu powiatów, składających gub. Wileńską i marszałka gubernialnego), projektowanej przez sejmik dla ułożenia projektu reformy włościańskiej. Zdaniem Platera była ona zanadto liczna i jako złożona z różnorodnych elementów zbyt niejednolita w swym składzie; nie można było oczekiwać od niej spokojnej i rozważnej pracy; wyznaczenie nowych wyborów do komisji w powiatach otworzy pole do ponownych starć i niepożądanych „wpływów entuzjastów.“ Zdaniem Platera powołanie przez Monarchę specjalnej komisji i poruczenie jej zebrania od szlachty opinii w sprawie zniesienia poddaństwa będzie najwłaściwszem.

Niezależnie od powyższego pisma, pochodzącego od człowieka bliskiego szlachcie i przyjaznego reformie, otrzymał Aleksander I urzędowy raport²⁾ (datowany 27 lutego 1818 r.) od Rymskiego-Korsakowa, nieobecnego zresztą w Wilnie podczas sejmiku. Wojenny gubernator litewski w swej relacji, niebardzo może mądrej, lecz względnie bezstronnej, wyraźnie zaznaczył, że działaniami ziemian kierowała „szlachetna chęć poświęcenia przywilejów szlacheckich dla ulżenia uciążliwego stanu włościan.“

¹⁾ Winowajców „obrazy“ Paszkowskiego, pomimo usilnego śledztwa nie wykryto; miano w podejrzeniu studentów uniwersytetu, zwłaszcza braci Horain i Piotra Puciłowskiego, syna adwokata. (Akta w sprawie sejm. wil.) por. „Bibl. warsz.“ 1904 II, 511—12.

²⁾ Na podstawie sekretnych doniesień policmajstra wileńsk. Szłykowa z 24 grudnia 1817 r. № 1414 i Botwinki z 10 stycznia 1818 r. № 52.

Raporty Platara i Korsakowa nadeszły do Petersburga w czasie największego zainteresowania się Aleksandra sprawą włościańską. Wtedy właśnie, na początku 1818 r., polecił on Arekczejewowi, wprawdzie najniestosowniejшему zdałoby się człowiekowi do roboty reformatorskiej, wypracowanie projektu oswobodzenia włościan prywatnych ze stanu poddaństwa. Wyjazd na pierwszy sejm warszawski i ważne sprawy w stolicy Królestwa nie pozwoliły Aleksandrowi zająć się incydentem wileńskim. Długo też zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie d. 17 kwietnia podpisany został w Warszawie reskrypt cesarski do Korsakowa. ¹⁾ Zawierał silne wyrazy oburzenia dla szlachty, która, „może nawet i kierowana zacnemi i ludzkiemi intencyami,” przekroczyła jednak granice przepisane „umiarkowaniem, zimną krwią i prawem.” Polecał wyrazić Platerowi, „mającemu spaczony o samej rzeczy pojęcie,” i byłemu marszałkowi Roppowi najsurowszą nagana, ubolewanie zaś ks. Ksaweremu Lubeckiemu, „który nie objął był wprawdzie urzędowania (jako gubernator cywilny), ale znajdował się wówczas w Wilnie dla interesów Komisji Radziwiłłowskiej, a nie zdecydował się zająć swego stanowiska w takich, najmujejszego zaniedbania nie cierpiących okolicznościach.” ²⁾ W konkluzji wyrażał Aleksander „zadowolenie z chwalebnych zamiarów szlachty litewskiej ulżenia losu poddanych włościan” i poruczał Korsakowowi zebranie od obywateli, za pośrednictwem marszałków gubernialnych i powiatowych, opinii względem zniesienia poddaństwa. ³⁾

Rezolucya cesarska oddawała zatem sprawę włościańską na Litwie pod kontrolę administracyi, kierowała ją na biurokratyczną drogę roboty urzędowej z właściwą jej nieskończoną procedurą i ostatecznem utopieniem w morzu przewlekłych komisyj, raportów i korespondencyj.

¹⁾ „Sbornik istoricz. matier. izwl. iz sobstw. J. I. W. kancelaryi“ t. V, 270.

²⁾ Por. Smolka, „Polityka Lubeckiego“ I, 69—70.

³⁾ O rezultacie kwestyonaryusza, rozesłanego przez marszałków powiatowych do właścicieli ziemskich, nie posiadamy bliższych wiadomości. Ignacy Chodźko, z urzędu bardziej wtajemniczony w te sprawy, twierdzi (w „Nowych pamiętnikach kwestarza“ wyd. 1862 r. str. 151), że „za uwolnieniem było podpisów 1,469, przeciwnych zaś osób 80.“ Włodzimierz Gadon pisze w „Młodej Polsce“ (Paryż 1838 str. 173), iż po zliczeniu głosów szlachty całej gub. Wileńskiej, której ilość ogólna wynosi 2,200 osób, licząc na średnią proporcją po 200 wotujących w każdym z jedenastu powiatów, okazało się z pociechą dobrane myślących, że wogóle *negativ* było jeno 16, i tu figurowały po najwię-

V.

Za przykładem wileńskiej poszły niebawem inne gubernie litewskie. Na sejmiku grodzieńskim, w styczniu 1818 r., gorąco popierał sprawę usamowolnienia włościan delegat powiatu nowogrodzkiego, hr. Wawrzyniec Puttkamer.¹⁾ Pomimo opozycji pewnej grupy, nazywającej Puttkamera jakóbinem i anarchistą, postanowiono wysłać do Tronu prośbę o pozwolenie zajęcia się rozpatrzeniem „środków, zabezpieczających prawo właścicielom, a niepodległość oraz byt dobry włościanom.“

W tym samym duchu powzięto uchwałę na prywatnem zebraniu marszałków powiatowych w Mińsku, w grudniu 1818 r. Za zniesieniem poddaństwa przemawiał tam marszałek Hryniewicz. Zdaniem jego dla opracowania projektu reformy należałoby powołać specjalny komitet, który z rozwagą przystąpi do rozpatrzenia praw wydanych dla gub. Estlandzkiej i Kurlandzkiej i przyjmie je w całości lub z pewnemi zmianami dla gub. Mińskiej.²⁾

kszej części podpisy rosyjskich magnatów, jak to książęcia Platona Zubowa, mającego nadane sobie ogromne dobra na Litwie przez Katarzynę, tudzież innych donataryuszów rosyjskich.“

Dr. Stanisław Morawski opowiada w swoim pamiętniku („Kilka lat młodości mojej w Wilnie 1818—25“ rkps.) o następującem zdarzeniu w pow. Kowieńskim: „Antoni z Wolda Mejer, wice-marszałek kowieński, zacnej duszy człowiek, zastępując marszałka Zabiellę, w liberalnym zapale wysłał na powiat pismo w formie schemy. Na tej schemie było na jednej stronie: „Zgadzam się na wolność chłopów,“ a pod spodem dodał od siebie *Tytus*; na drugiej stronie: „Nie zgadzam się,“ a pod spodem dopisał *Neron*. Chciał i tym sposobem jeszcze od wzdragani się obywateli odstręczyć. Podpisywali się wszyscy, a nikomu nie chciało się być *Neronem*. Z kolei pismo to przyszło do Puń, do Kachowskiego, dymisyonowanego generała rosyjskiego. Ten, nie zgadzając się na wyzwolenie włościan i nie chcąc podpisać się pod *Neronem*, pojechał do Wilna, do gubernatora Rymskiego-Korsakowa. Sprowadzono żandarmami Mejera. Rozmowa jego z Korsakowem odbyła się w obecności jakiegoś pułkownika rosyjskiego. „Czy wiesz pan—zapytał Korsakow pułkownika—kim był *Neron*?—„Nie wiem—odpowiedział pułkownik—w armii lądowej nie służy, może we flocie.“ Korsakow parsknął śmiechem i uwolnił Mejera.“

¹⁾ Rkps. Bibl. Jagiellońskiej № 3094. Por. Estreicher, W. Puttkamer w „Przewodn. nauk. i liter.“ 1880 r., str. 965 sq.

²⁾ Plik p. t. „Włościanie“ w jednej z większych bibliotek prywatnych w Warszawie. Wniosek swój uzasadniał Hryniewicz w sposób następujący: „Polak oddawna przejęty jest tą prawdą, że bogactwo i dobry byt na pracy

Intencje liberalne, ujawnione dobitnie przez Aleksandra I w słynnej mowie tronowej warszawskiej (27 marca 1818 r.) były dla młodszego pokolenia tem żywszą podniecią do zajęcia się nagłą sprawą reformy włościańskiej, której nadawano zarazem głębsze znaczenie polityczne. Zaznaczyła to szlachta powiatu dynaburskiego (gub. Witebskiej), oświadczając na sejmiku powiatowym w Dynaburgu w r. 1818 a następnie w Krasławiu w r. 1819, iż „zrzeka się na wieczne czasy prawa mocą ustaw krajowych nad osobami poddanych włościan dotąd służącego.“ „Jak zaś ważne dla nas samych pod względem *politycznym* krok takowy może przynieść owoce nie jest już żadną tajemnicą“—mówił b. marszałek pow. rzeżyckiego, Kazimierz Bujnicki, na posiedzeniu publicznem powiatowem w Krasławiu dn. 3 marca 1819 r.—„Wielki nasz monarcha, Aleksander I, którego Opatrzność dla szczęścia narodów tak świetną potęgą, tak nieograniczoną obdarzyła władzą, powróciwszy zaburzoną społeczność świata, dźwignąwszy zwycięską ręką

ludzi wolnych, a siła i enoty narodu na wolności rolnika opierają się i że bezpieczeństwo wolności i korzyści, jako niewątpliwie zachęcające do pracy, tak jest (i być powinno) najgłówniejszym celem ustaw w Europie istniejących lub zawiązujących się. Że kunszt i handel znajdować w prawach opiekę, ale nie pierwszeństwo przed rolnictwem, powinny. Rolnictwo daje nam swoje płody, kunszt i rękodzieła pomnażają ich wartości, handel ułatwia onych konsumpcyą, — słowem rolnictwo daje materię, kunszt—kształt, handel ruch czyli życie; stąd wynika pierwszeństwo dla rolnika, bez kształtu i ruchu materia być może, przeciwnie bez materii ni kształtu, ni ruchu niema. Te zasady, te prawdy przez licznych autorów rozszerzone i upowszechnione, niewątpliwie, bez praw atoli nadających rozsądną wolność, wprowadzających one w praktykę, stanowić szczęścia nie mogą; prawa zaś te napisać, niech wolno komitetowi będzie upraszać. Gdyby przyszło nagle wolność ogłosić dla klasy rolniczej, czyby nie skutkowała ona podobnie, jak nagle światło na człowieka, który kilkanaście lat w lochu zamknięty, gdy niespodzianie jasności południowej użyje, ślepie. Każda nagłość szkodliwa. Tę uwagę podawano pamiętnemu Sejmowi 1791 r. Lata więc przygotowawcze podług konstytucyi kurlandzkiej i estońskiej są potrzebne. Po otrzymaniu pozwolenia komitetu, najchętniej wyszle gubernator miński deputata do Sionima, ale nie od rzeczy będzie, kiedy za pośrednictwem J.W. gubernskiego marszałka zbiorą się powiatowi wprzód marszałkowie dla porozumienia się, a może i podania zasad niektórych, zastanowią się zebrani, czy konstytucyę kurlandzką lub estońską w całości lub z pewnemi stosownemi do miejsca odmianami przyjąć wypada. Ważność przedmiotu takowego zebrania się wymaga, a pp. deputaci nie przyjmą to za krzywdę, kiedy instrukcyą opatrzeni będą. Lecz kiedy nam o wyższych stosunkach mówić jeszcze nie wypada, pozostaje wiele jeszcze ogniw, ogromny łańcuch praw składających,

ką Polskę, nadał ziomkom naszym najliberalniejszą ustawę i z tronu starożytnego Piastów te między innemi w wiekopomnej mowie do zgromadzonych stanów wyrzekł słowa: „Organizacya, trwająca w waszym kraju, dozwoliła niezwłocznego ustanowienia tej, jaką wam nadałem, wprowadzając w wykonanie prawidła ustaw liberalnych, które nie przestawały nigdy zajmować całej mojej troskliwości, a których spodziewam się przy pomocy boskiej rozciągnąć wpływ zbawienny na wszystkie krainy, jakie od Opatrzności mej pieczy są poruczone... podaliście przeto sposobność okazania mej ojczyźnie tego, co dla niej oddawna gotuję i co otrzyma, skoro zarody tak ważnego dzieła będą mogły osiągnąć potrzebnego rozwinięcia...” Owóż, zdejmując z włościan naszych jarzmo osobistego poddaństwa (słowa Bujnickiego), przyspieszamy rozwinięcie zarodków wielkiego dzieła, które dobroczynny monarcha dla szczęścia naszego nieodzownie dopełnić przedsięwziął; okazujemy, żeśmy godni dobrodziejstw, jakie dla nas gotuje, gdyż z własnego natchnienia krok ten stanowczy, ofiarę najprzyjemniejszą Bogu, ludzkości i cesarzowi czynimy.“ ¹⁾

O postanowieniach szlachty dynaburskiej powiadomił Aleksandra I wojenny gubernator białoruski, ks. Wirtemberski. Niebawem wydany został reskrypt cesarski, zezwalający na wybór delegatów

o których wypadnie coś powiedzieć a może i postanowić, tak np. wyjawsz nabór wojska, nakład podatków, jako materye naszej rozwadze niewłaściwe, gdy mówić będziemy o wolności rolnika, o bogactwach, jakie ona sprowadzić nam musi, nie możemy nie dotknąć bezpieczeństwa własności, a zatem i gałęzi rządu, którą policją zowiemy. Z kolei, gdy nad wzniesieniem kunsztów i rękodzieł (drugie miejsce bogactw krajowych zajmujących) zastanowimy się, da się uczuć potrzeba pośredniej klasy ludzi wolnych; tej brak, gdy nie pozwolił w naszym kraju dotąd odkryć tego źródła bogactwa krajowego, gdy tę klasę dziś składają prawie sami Żydzi, wypadnie zatem może powiedzieć o organizacyi pośredniej klasy z chrześcijan i ich przywilejach; wywiąże się nakoniec potrzeba zastosować do dobra ogólnego niechętnie plemię Izraela, zaczawszy od czynności fizycznych, aż do moralności; póki moralność w Żydach poprawioną nie będzie, póty wszystkie ustawy będą daremne, póty bogactwo krajowe u nich osiadać będzie... Owóż w takim celu komitetu upraszać, zdaje się, że rzeczą będzie nie naganną.“

¹⁾ „Dzieło nadania włościanom wolności r. 1818 i 1819;“ „Głos obywatela pow. dyneburskiego, b. marszałka rzeżyckiego, Kazimierza Buynickiego, po ogłoszeniu aktu, nadającego włościanom osobistą wolność, miany na posiedzeniu publicznem powiatowem d. 3 marca 1819 r. w Krasławiu.“ Cyt. w art. Wacława Studnickiego: „Przyczyna powstania listopadowego.“ „Dziennik wileński“ z 1906 r. № 74.

do komitetu, mającego się zająć opracowaniem projektu ustawy, na wzór praw dla gub. nadbałtyckich i przedstawienia tegoż, za zgodą zgromadzenia szlacheckiego, do zatwierdzenia monarchy. Komisya wygotowała projekt prawa, którego mocą szlachta, zachowując wieczyste władanie ziemią, zrzeka się swych przywilejów względem poddanych i pozostawia określenie wzajemnych stosunków dobrowolnej umowie właścicieli i włościan. Przejście chłopów ze stanu niewolnego do wolności ma być uskutecznione w ciągu 13 lat, z których pierwsze trzy będą użyte na prace przygotowawcze. W ogólnym zarysie powyższa ustawa zbliża się do przepisów, normujących stosunki poddańcze w guberniach nadbałtyckich.

Rzeczony projekt przedstawiony został zgromadzeniu szlachty dynaburskiej, tym razem jednak nie pozyskał większości; w przededniu reformy znaczna część szlachty kategorycznie oświadczyła się przeciw uszczupleniu praw właścicieli. Projekt dynaburski wędrował z jednej kancelaryi do drugiej, w r. 1824 znajdował się w nieprzychylnych rękach ówczesnego gen.-gubernatora, ks. Chowańskiego, w 1829 r. był w Radzie Państwa, stamtąd znów powrócił do Dynaburga, aż wreszcie utonął w zapomnieniu archiwów urzędowych. ¹⁾

Pobudki polityczne ujawniły się także w uchwałach o zniesieniu poddaństwa, powziętych w r. 1819 przez szlachtę Obwodu Białostockiego. W rzeczonych oświadczeniach, powodowanych „głosem ludzkości i wewnętrznego przekonania“ jednomyślnie postanawiano „zniesić na zawsze poddaństwo, jako przeciwne ustawom boskim i samej ludzkości,“ w tem przekonaniu, że takie postanowienie, „stawiać nas (Polaków) w rzędzie najucywilizowańszych narodów Europy, będzie świeżym jeszcze dowodem, że Polak w żadnej obywatelskiej cnocie upośledzić się nie da.“ Wszakże obok wyrażonego tu współczucia dla losu włościan oraz szczerzej chęci polepszenia ich bytu, przebijają się w rezolucjach sejmikowych białostockich gorące pragnienie cesyi Obwodu na rzecz Królestwa, „ościennego kraju, Królestwa Polskiego, konstytucya, gdyby nam nadaną z najwyższej woli monarszej być mogła, jest najszlachetniejszą,“ głosi szlachta powiatu bielskiego w akcie sejmikowym z 15 kwietnia 1819 r. Jest to jakby echo lat 1807 i 1815, echo zawiedzionych nadziei na wcielenie kraju Białostockiego do formującego się Księstwa Warszawskiego i późniejszego Królestwa.

¹⁾ Siemiewskij: „Krestianskij wopros,“ I, 465 sq.

Na mocy deklaracji sejmików czterech powiatów, składających Obwód Białostocki, marszałek obwodowy, Dominik Ciecierski, wystosował dn. 9 sierpnia 1819 r. prośbę do Tronu o uwolnienie włościan od poddaństwa, którą wręczył osobiście cesarzowi podczas bytności jego w Białymstoku. Aleksander, „ze zwykłą uprzejmością raczył... oświadczyć stanowi szlacheckiemu, że czyn jego (t. j. szlachty), mający na celu polepszenie bytu klasy ludu rolno go, przynosi mu niepospolity zaszczyt i najwyższym jego o dobro kraju zamiarom zupełnie jest odpowiednim.“¹⁾ Skończyło się wszakże na tych zapewnieniach. Wszystkie wnioski szlachty litewskiej zostały w następstwie unieważnione i cała sprawa umorzona. Jedynym ukazem w kwestyi włościańskiej na Litwie był ukaz z 23 marca 1818 r. „dla gubernii Mińskiej i innych od Polski przyłączonych,“ stanowiący pewne ulgi dla włościan, jak wolność sprzedaży produktów, ograniczenie robocizny do dni inwentarzowych i t. p. I ten ukaz jednak pozostał martwą literą.²⁾ Wszystkie projekty Aleksandra I o reformach włościańskich, a było ich kilka, umyślnie na zlecenie monarchy wypracowanych, pozostały, podobnie jak wiele innych liberalnych zamiarów, na papierze. Po r. 1819, który się stał zwrotnym punktem ku stanowczej reakcyi, osłabła też w społeczeństwie akcyja za zniesieniem poddaństwa, zamilkły głosy przytłoczonej przez cenzurę publicystyki, natomiast coraz odważniej poczęły się odzywać wsteczne żywioły.³⁾

¹⁾ Akta białostockiego marszałka szlachty; bliższe szczegóły podane będą w monografii o Obwodzie Białostockim.

²⁾ Siemiewskij: „Krestianskij wopros,“ I, 492.

³⁾ Akcyja za zniesieniem poddaństwa, podjęta na Litwie w latach 1817—1819 nie była dotąd należycie oceniona. Głucho o niej w literaturze zarówno polskiej, jak i rosyjskiej. O tym ważnym i zaszczytnym momencie porobiorowych dziejów Litwy wspominał incydentalnie w r. 1821 Franciszek Grzymała w wydawanej przez siebie „Sybilli nadwiślańskiej,“ (str. 312) z uznaniem podnosząc intencye szlachty litewskiej, „zrzekającej się smutnych zabytków gotyczizmu (!) i czasów feudalnych,“ i wyrażając życzenie jaknajrychlejszego unormowania stosunków poddańczych „w Litwie i w innych prowincjach obszernego państwa... i przyspieszenia i tak już bardzo opóźnionego wypłacenia się z długu obrażonej ludzkości.“ O sejmiku wileńskim 1817 r. pobieżnie pisał Lelewel w „Nowej Polsce“ z r. 1831 i później na Emigracyi. W społeczeństwie rosyjskiem uchwała wileńska, przyjęta w niektórych sferach z uznaniem dla szlachty polskiej (por. interesujące uwagi o stanie włościan pańszczyżnianych w Rosyi w r. 1819 przez Mikołaja Turgeniewa. „Sborn. istor. mat. izwl. iz sobstw. J. I. W. kancelaryi,“ t. IV, 441 sq.), w pewnych natomiast ko-

Za następnego panowania nietylko nie posunięto naprzód sprawy wyzwolenia włościan, lecz wprost tłumiono wszelkie ku temu dążenia. Dla przykładu przytoczymy cyrkularz ministra spraw wewnętrznych, rozesłany w maju 1830 r. do gubernatorów litewskich.¹⁾ Czytamy tam, co następuje:

„Doszło do wiadomości Najjaśniejszego Pana, że od pewnego czasu ludzie szkodliwie usposobieni lub wichrzyciele poczęli na wzór licznych dawniejszych przykładów szerzyć wieści o zamiarach Rządu dania wolności włościanom. Chociaż W. Pan otrzymał w manifestie z 12 maja 1826 r., ogłoszonym 18 t. m. przez Senat Rządzący, odpowiednie w tej mierze instrukcje,²⁾ jednakże Najjaśniejszy Pan ponownie rozkazał mi kategorycznie zobowiązać W. Pana do ścigania w sposób najsurowszy tych wszystkich, którzy podobne kłamliwe wieści rozpowszechniać będą i do przedsięwzięcia zarazem najenergiczniejszych środków w celu stłumienia najmniejszych bodaj objawów nieposłuszeństwa włościan względem właścicieli. Jego Ces. Mość, strzegąc niewzruszonych prawideł o zachowaniu istniejącego stosunku włościan do właścicieli, szczególnie obowiązuje W. Pana do obalania wszelkich niewłaściwych w tej kwestyi pogłosek i t. d.“

Akcya ziemian polskich na Litwie pozostała bez skutku...

VI.

Pozostaje nam rzucić okiem na istotną wartość omówionych powyżej zamiarów reformatorskich szlachty litewskiej. Czy były one li tylko odruchowym wybuchem uczuć sprawiedliwości i miłości bliźniego, czy też rezultatem głębszej rozważki i mądrości obywatelskiej? Były jednym i drugim. Wychodząc bezpośrednio z ducha Kościuszki, jako echo połanieckiego uniwersału, szlache-

lach obudziła złośliwe podejrzenie, aby projektowana „wolność włościan nie była podstępem panów na niewolę.“ Połnoje sobr. soczin. kn. Wiaziemskawo, t. IX, 14, 63 sq. Por. Siemiewskij: „Krestianskij wopros,“ I, 465.

¹⁾ Akta białostockiego marszałka szlachty.

²⁾ Rzeczony manifest głosił, że wszelkie pogłoski, szerzone przez ludzi szkodliwie usposobionych, o zniesieniu poddaństwa, są bezpodstawne; włościanie obowiązani są bezwzględnie wypełniać wszystkie powinności pańszczyźniane; osoby zaś, które podały do Tronu prośby o uwolnienie włościan, ulegną najsurowszej karze i t. p. „Wtoroje połnoje sobranje zakonow Ros. Imp.“ t. I, № 330.

tna inicjatywa litewskiego ziemiaństwa utrzymuje ciągłość między testamentowym aktem Rzplitej, Ustawą 3 Maja, a późniejszą do-
bą wewnętrznego odrodzenia narodu. Jest dowodem uświadomie-
nia przez społeczeństwo jednej z najcięższych win i jednego z najdo-
nioślejszych obowiązków narodowych.¹⁾ I choć można mieć pe-
wne wątpliwości co do istotnego pożytku z projektowanego przez
szlachtę litewską bezrolnego usamowolnienia chłopów, „niepodobna
wszakże nie schylić czoła przed tem samorzutnem pragnieniem
uczynienia z wieśniaka czegoś więcej, niż „duszy rewizyjnej,
przed tem gorącym potępieniem „przeciwne go ustawom boskim
i samej ludzkości“ poddaństwa wiejskiego ludu, które choć nie-
zmiernie uciążliwe na Litwie, nie może wszakże nigdy być poró-
wnane z bezprzykładnym wprost losem współczesnym tej samej
ludności rosyjskiej.“²⁾

Prócz humanitarnych względów, szlachta litewska powodo-
wała się jeszcze widokami politycznymi; połączenie z Królestwem
było jej gorącym pragnieniem, a w nadaniu wolności włościanom
i osłonięciu jej w pewnej bodaj mierze przez konstytucję i kodeks
cywilny upatrywała najpilniejsze zadosyćuczynienie ważnej po-
trzebie cywilizacyjnej i narodowej. Że nie danem było wówczas
dokonanie reformy stosunków włościańskich, nie szlachty polskiej
w tem вина i wyrok historii nie może być dla niej potępiającym.

W tej narazie bezpłodnej, lecz najzacniejszej inicjatywie,
ogarniającej wprost żywiołowo wszystką szlachtę polską na Litwie,
od Dynaburga po Mińsk, Wilno i Białystok, w tem dostojnem
wyznaniu, że „Polak w żadnej obywatelskiej cnocie upośledzić się
nie da“ błyska już jasny promień odradzającego się ducha narodu,
co przeboleał i przecierpiał wiele i tę wielką uświadomił sobie
prawdę:

Jeden tylko, jeden cud
Z szlachtą polską, polski Lud,
Jak dwa chóry—jedno pienie!
Wszystko inne, złudą złud!
Wszystko inne, plamą plam
I Ojczyzna tylko tam!

HENRYK MOŚCICKI.

¹⁾ Askenazy: „Trybun gminu.“ Bihl. Warsz., 1907 r., II, 1.

²⁾ O losie włościan rosyjskich w pierwszej połowie XIX w. pisano nie-
jednokrotnie. Interesujące zestawienie podaje Askenazy w cytowanym wyżej
artykule oraz w „Rosyi—Polsce“ (Lwów, 1907), 27 sq.

STRONNICTWA ROSYJSKIE

w Dumie Państwowej.

I.

Stronictwa polityczne istnieją w Rosji dopiero od r. 1904—1905. Ale i w tem ich krótkiem istnieniu są osobliwości, nieznanne życiu politycznemu na Zachodzie. Chociaż bowiem Rosya posiada od dwu lat parlament i chociaż do tego parlamentu już trzykrotnie przeprowadzane były wybory, jednak dotychczas wciąż jeszcze niewiele jest w państwie stronnictw, mogących działać jawnie, ogłaszać swe programy, występować ze swemi organizacyami, prowadzić otwarcie agitację partyjną. Większość stronnictw rosyjskich należy po dawnemu do t. zw. nielegalnych, co prowadzi do ukrywania szczegółów ich działalności, zacierania śladów agitacyi, przenoszenia głównej roboty po za obręb światła dziennego. Skutków takiego stanu rzeczy jest wiele. Stronictwa, nie mogąc poddawać swych programów działania szerokiej kontroli opinii publicznej, nie wyrabiają należycie swej myśli politycznej; z drugiej strony pozostają w ukryciu niektóre nurtujące w nich prądy i kierunki; tak samo wobec usunięcia szerokiej możliwości wolnego współzawodnictwa partyj trudno jest zorientować się, jaki kierunek pociągnąłby za sobą większość mniej lub więcej czynnych sił politycznych. W takich warunkach i historyk i publicysta nie mogą brać na siebie całkowitej odpowiedzialności za zupełnie wierną charakterystykę życia partyjnego w tych burzliwych i zapewne przełomowych dla Rosji czasach.

W jednym tylko zwierciadle działalność stronnictw rosyjskich odbiła się z tą jawnością, która nie pozostawia nic do życzenia,

mianowicie w parlamencie. Trzy dotychczasowe Dumy rosyjskie dają poważny materiał do sądzenia o siłach społecznych, które wystąpiły do walki o władzę. Jedynie tutaj nie tylko nic nie pozostało w ukryciu, ale przeciwnie, wyraziło się częstokroć w zgęszczonych, przejawaskrawionych barwach.

Dzień zebrania się pierwszej Dumy zastał w Rosyi mnóstwo zorganizowanych stronnictw politycznych. Było ich podówczas około dwudziestu. Lecz tylko mniejsza ich część przetrwała próbę czasu. Dzisiaj nikt już nawet nie pamięta o „radykalistach,” o „partyi postępowo-ekonomicznej,” o „Związku handlowo-przemysłowym.” Nawet „partya reform demokratycznych,” posiadająca w pierwszej Dumie kilkunastu swych przedstawicieli, a w drugiej już tylko jednego, obecnie, jak się zdaje, przestała żyć i działać. Ten sam los spotkał „partyę porządku prawnego,” lubo czasy obecne wydawałyby się dla niej korzystnymi.

I na tych stronnictwach, które pozostały, bieg czasu odbił swój ślad potężny. Jedne zostały mechanicznie wysunięte naprzód, inne tym samym sposobem cofnięte wstecz; jedne przystosowywały swój program i taktykę do zmienionych lub zmieniających się szybko warunków politycznych, inne traciły tylko zapał i wiarę młodości. Ani jedna z partyj rosyjskich nie pozostała w ciągu tych dwu lat na poprzedniej pozycji. W każdym razie, lubo dalsze przemiany i przystosowywania nie są wyłączone, należy przypuszczać, że prawie wszystkie dzisiejsze stronnictwa rosyjskie będą żyły i działały przez dłuższy jeszcze czas i tylko na skrajnej prawicy można oczekiwać nowych organizacji partyjnych, mających zresztą charakter raczej formalny.

Początek życia politycznego w Rosyi przyniósł przewagę stronnictw skrajnych. Dotychczas jeszcze, mimo ciężkie doświadczenia polityczne, na bieg spraw i nastrojów publicznych największy wpływ posiadają: z jednej strony Związek narodu rosyjskiego, z drugiej – radykalizm socjalistyczny. Sprawdza się to, co pisał w r. 1868 Karol Marks do Kugelmana. Ale już dzisiaj spostrzedz można także, że tworzy się środek umiarkowany, bliższy realizmowi politycznemu. Jedna część tego środka, większa i silniejsza, wpada zresztą w orbitę wpływów Związku narodu rosyjskiego, druga, wyszedłszy z orbity wpływów socjalistycznych, usiłuje znaleźć drogę samodzielną. Od tego, czy i w jakiej mierze uda się jednej i drugiej pogodzić wymagania historyczne z istniejącą rzeczywistością, zapewne zależeć będzie przyszłość pokojowego rozwoju Rosyi na nowych podstawach. Wspólnym dobytkiem tych środkowych stronnictw rosyjskich wydaje się być: pozbycie się

złudzeń. Jedni pozbywają się powoli złudzeń co do możliwości powrotu Rosyi do starych czasów, inni przestają wierzyć, że wszystko, co było, już niepowrotnie przepadło, oraz że, jak pisał Czaadajew w swej „apologii obłąkanego,” Rosya samodzielnymi metodami „rozwiąże większą część problemów, ciążyących na Europie.”

II.

Ze wszystkich stronnictw rosyjskich najcięższe dni przeżyła, najtwardszym uległa losom i może najsilniejsze przeszła zmiany wewnętrzne, partya wolności ludu, dawniej zwana konstytucyjno-demokratyczną, a przez skrócenie kadetami. Jej historia, to historia idealizmu politycznego, który w zetknięciu z rzeczywistością wykazał szereg błędów i złudzeń, często okrutnych, prawie zawsze nie dających się naprawić.

Największą troską kadetów było od początku ich jawnej działalności politycznej znaleźć dla siebie szerokie poparcie sfer demokratycznych. Troska ta przywiodła do poddania się pod wpływy, pod nastroje wzburzonych, niezadowolonych mas ludowych, które zaś, zamiast kierowników, otrzymały w kadetach jedynie wymownych i gorących wyrazicieli ogólnikowych potrzeb powszechnych. Wystarczało to do krytyki dawnego ustroju państwowego, nie wystarczało jednak do stworzenia nowych form państwowych, odpowiadających zaniedbanym potrzebom i wzrastającym siłom społecznym. Jednocześnie zbyt pilne wsłuchiwanie się w tętno wzburzonego życia ludowego doprowadziło do przecenienia tego czynnika politycznego, do złudzeń, „że moralne poparcie społeczeństwa decyduje o zmianie starych stosunków na nowe.” Cała historia pierwszej Dumy aż do smutnego jej finału: odezwy wyborskiej jest świadectwem z jednej strony złudzeń konstytucyjnych, z drugiej — ślepej wiary w dalszą moc żywiołowego niezadowolenia mas. Jest ona także obrazem działalności pełnej sprzeczności, od których właśnie najświatlejsza, najznakomiciej w siły intelektualne uposażona partya kadecka nie mogła się szczęśliwie uwolnić: będąc wyrazicielką żywiołowo-rewolucyjnych nastrojów mas ludowych i podkreślając tę okoliczność bardzo często, jednocześnie pierwsza Duma, kierowana przez kadetów, kładła ciągle nacisk na swoją misję *pokojujowej* pracy na drodze *ściśle konstytucyjnej*. Z tego, że pewne potrzeby społeczne już dojrzały,

że uświadomienie polityczne mas poszło znacznie naprzód, że niezadowolenie ogólne wywołało dzień 30-ty października, pierwsza Duma wywnioskowała, że dosyć jest „woli ludu,” „opinii powszechnej,” aby coś się stało według ich życzeń. Zdawało jej się, że rozporządzała dostateczną siłą realną, aby zmusić historię do pójścia na drogę przez nią wskazaną. Obawiając się jednak i nie pragnąc najszczerzej wmieszania się ponownego do walki politycznej mas ludowych, partya konstytucyjno-demokratyczna wahała się wciąż między temi dwiema alternatywami: ścisłego wyrażania „woli ludu” i kompromisu z biurokracją, stojącą jeszcze przy władzy. Biurokrację starano się nastraszyć ciąglem zwracaniem uwagi na jakoby stojącą za Dumą i gotową do interwencji „siłę gniewu ludowego,” opinię demokratyczną zaś uspokajano wmaanianiem, że na drodze parlamentarnej da się wszystko osiągnąć, aż do programu agrarnego, opartego na wywłaszczeniu. Skutkiem tego było, że pierwsza Duma nie obrała żadnej z dwu dróg, teoretycznie możliwych i usprawiedliwionych: nie formułowała żądań demokratycznych w całej ich kategoryczności, czego żądały partye skrajne, i nie zadowolili się dążeniem do zdobycia kompromisowego *minimum*, jak to zalecali politycy realistyczni. Obrano trzecią drogę, jak powiedziałem, pełną sprzeczności, która doprowadziła do — odezwy wyborskiej i wszystkich jej fatalnych skutków.

Zwróćmy się teraz do annałów pierwszej Dumy.

W sprawie amnestyi, wysuniętej na czoło działalności Dumy, poseł Rodiczew powiedział: „Amnestya i ułaskawienie jest prerogatywą Monarchy i nasze oznajmienie tutaj jest wyrażeniem potrzeby, wyrażeniem cierpień całego narodu, zwróconem do Monarchy. *My nie stanowimy tutaj praw*; przyszliśmy tutaj, aby wypowiedzieć to słowo, które nie jest tylko wyrazem naszych *życzeń*; jest ono wyrazem życzenia i *błagań* narodu; pragnąłbym, żeby ono nie stało się wyrazem *żądań* narodu rosyjskiego... Być może, *za kilka dni będzie za późno* i ono wyrazi się w formie *żądania*.“

Mowa ta jest typowym okazem taktyki na dwa fronty: z jednej strony przywódca partyi, opierającej się na podstawach „ściśle konstytucyjnych,” słusznie zastrzega się, że o amnestyę można tylko prosić, z drugiej, nie omija okazji, aby nastraszyć biurokrację, że „za kilka dni” może być za późno.

Na Dumę zapatrywali się kadeci, jako na instytut bezwarunkowo i trwale konstytucyjny. W swej pierwszej mowie, dnia 10 maja 1906 r., prezes Muromcew powiedział: „Spełnia się wiel-

kie dzieło; wola ludu otrzymuje swój wyraz w formie prawidłowego, stale działającego, na wieczystych prawach opartego instytutu prawodawczego. Niech się ta praca dokonywa na podstawach należnego szacunku dla prerogatyw konstytucyjnego Monarchy i na gruncie zupełnego urzeczywistnienia praw Dumy, wpływających z samej natury przedstawicielstwa narodowego.“ Inny poseł kadecki, prof. Szczepkin, tak mówił: „Prosimy o amnestyę zasadniczo; prosimy o amnestyę przedewszystkiem dlatego, że nie uważamy tak zwanych przestępców politycznych za przestępców. Ich oskarżano o to, że dążyli do obalenia istniejącego ustroju... Lecz panowie, *ten ustrój już nie istnieje*.“ Przy tych samych rozprawach kadet Gredeskuł powiedział: „Nie mamy gotowej armii, zorganizowanych sił fizycznych, które możnaby ruszyć w razie odnowy (amnestyi). *Lecz za nami stoi naród, cały naród*. Jest to jasne i zrozumiałe.“ A dalej: „Przedstawimy jedynie wskazówki, że amnestya powinna być udzielona natychmiast, *pod groźbą*, że ten proces ludowy zacznie się może *jutro*.“

Bardzo energiczne rozprawy rozwinęły się w pierwszej Dumie także z powodu Adresu do Tronu. Poglądy kadetów wyraziły się tutaj może najlepiej w mowie posła Safonowa, który między innemi mówił: „W adresie powinny być wskazane te drogi, po jakich powinniśmy wyprowadzić kraj z otchłani, do której wrzucił go stary rząd. Lecz nie dość na tem: w adresie powinien się wylać cały gniew ludowy, całe cierpienie ludowe, wszystkie smutki ludowe. *Nie możemy iść wbrew krajowi*. To groziłoby zerwaniem z ludem, byłaby to przegrana całej kampanii politycznej.“ Tak więc i tutaj ciągle płacze się myśl, że Duma nie może oderwać swego wzroku od twarzy ludowej, wyrzec się śledzenia wszystkich przebiegających po niej nastrojów, usposobień i uczuć, że musi być wciąż w niewoli u tłumu i zamiast nim kierować, od niego oczekiwać dyrektyw i wskazówek.

Teraz od pryncypiów zwróćmy się do twardej rzeczywistości. Jaki był stosunek kadetów do ministerjum? Do tej siły realnej, która istniała i po dawnemu decydowała? Sprawa ta najlepiej wyjaśniła się w rozprawach nad deklaracją ministeryalną, rozwinętych po dwu tygodniach istnienia Dumy. Poseł Szczepkin, zabierając głos w odpowiedzi na deklarację rządu, powiedział: „Po tem, jak wyłożyliśmy program naszej przyszłej działalności w adresie do Tronu, oczekiwaliśmy, że odpowiedzią na to oznajmienie będzie krótka wiadomość, iż *ministerjum podało się do dymisyi*.“ Złudzenie to poparł poseł Nabokow: „Kiedy kilka tygodni temu poprzedni gabinet hr. Wittego podał się do dymi-

syi, to taka dymisya całego ministerium w wigilię otwarcia Dumy *nie mogła* mieć *innego* objaśnienia, jak tylko to, że odtąd rząd zdecydował się wstąpić na nową drogę, że nowi ministrowie wyrzekną się swych poprzednich haseł i że zamierzają oni wejść na drogę konstytucyjną... Okazuje się, żeśmy się omylili, i razem z nami omyliła się opinia publiczna; nie posiadamy nawet początków ministerium konstytucyjnego.“ W odpowiedzi na ustęp deklaracji ministerium, zastrzegający, że niektóre kwestye, poruszone w adresie, nie mogą być absolutnie rozwiązane na wskazanych tam zasadach, Nabokow mówi: „Upatrujemy w tem dawny ton, od którego byłby już czas odzwyczaić się. Upatrujemy w tem *wyzwanie* i my to wyzwanie *przyjmujemy*.“ Głośnym się stał i można powiedzieć, że przeszedł do historyi ten ustęp mowy Nabokowa: „Sądzimy, że wyjście z tego położenia (niezgody z ministerium) może być tylko jedno: skoro nas wyzywają do *walki*, skoro nam mówią, że rząd nie jest wykonawcą żądań przedstawicielstwa narodowego, lecz ich krytykiem i oponentem, to z punktu widzenia zasady przedstawicielstwa narodowego możemy powiedzieć tylko jedno: *władza wykonawcza niech się podda władzy prawodawczej!*“

Dumny ten okrzyk nie ma żadnego odpowiednika w siłach realnych, bo ten, który go wydał, nie miałby nawet odwagi odwołać się do „poparcia gniewu ludowego,“ którym tylko groził. Duma nie posiada żadnego środka, aby zmusić władzę wykonawczą do „poddania się.“ To też w następnych mowach przywódców kadeckich już nie dźwięczą tak śmiałe nuty. Ale poseł Ogorodnikow znowu mówi: „Nie może być żadnej wątpliwości, że my to (ministerium odpowiedzialne) osiągniemy. Żądania nasze są żądaniami całego narodu i na wyśmiewanie się z nich przedstawicielstwo narodowe *nie pozwoli*.“

Taką była taktyka polityczna partyi wolności ludu w chwili, kiedy naród powołał ją do kierowania pierwszemi krokami pierwszego parlamentu rosyjskiego. Jak widzimy, nie było tu żadnego programu działania politycznego, nie było tu żadnej jasnej myśli o tem, jakimi środkami wzmacniać to, co zostało zdobyte i rozszerzać dalej zakres władzy przedstawicielstwa narodowego. Wstąpiwszy na drogę złudzeń, że w Rosyi jest „konstytucya,“ że „wola ludu“ jest jedynem źródłem prawa, że Duma coś „nie pozwoli,“ kadeci nie mogli trzymać się szlaków polityki realnej, nie umieli ocenić stosunku wzajemnego działających sił politycznych, nie potrafili wejść na jedną z dwu możliwych dróg: albo walki, albo kompromisu. Czem skończyłaby się pierwsza i na czem za-

trzymałby się drugi, tego przewidywać i rozważać nie zamierzamy i nie o to tu chodzi. Idzie bowiem zawsze i wszędzie o konsekwencję, o czystość i jasność myśli politycznej.

Polityka złudzeń i sprzeczności zakończyła się, jak wiadomo, odezwą wyborską. Smutny ten i wskrós błędny akt polityczny wypłynął z tych samych źródeł, co całe postępowanie kadetów w pierwszej Dumie: z braku równowagi politycznej. Tutaj także dominowała przede wszystkim złudna wiara w siłę opozycyjnej opinii publicznej i chęci zastraszenia nią rządów starego *regime'u*. Wcale nie będąc gotowymi do podjęcia nowej walki o wcielenie w życie obietnic konstytucyjnych i nawet nie pragnąc jej wcale, kadeci mimo to nie umieli ustrzedz się od tych form działania politycznego, które z ich zapewnieniami o pokojowym reformowaniu Rosyi, o ewolucyjnem ujmowaniu historyi nie miały nic wspólnego. Odezwa wyborcza skończyła się też fiaskiem zupełnem: lud na jej wezwanie odpowiedział milczeniem, a sfery rządowe nabrały wiary w zbyteczność kompromisu i przekonania o bezsilności politycznej Dumy. Wyborg osłabił jednych, a wzmocnił drugih.

Zobaczymy dalej, że i społeczny program kadetów stał się powodem ich nowych błędów politycznych i sprzyjał zwycięstwu żywiołów, niezdolnych, jak się zdaje, do przeprowadzenia szerokich reform w życiu państwowem Rosyi.

W jakich warunkach szli kadeci do drugiej Dumy?

Rząd wystąpił do stanowczej z nimi walki. Pewna część społeczeństwa przestraszyła się ich programu agrarnego i przesunęła się na prawo. Szerokie masy demokratyczne zaś, wobec zaniechania bojkotu Dumy przez partie skrajne, wołały głosy swe oddawać na przedstawicieli tych partyj, obiecujących im jeszcze większe korzyści socyalne, a przede wszystkim lepiej wyrażających ich usposobienie opozycyjne. Tylko więc $\frac{1}{5}$ krzesel poselskich dostała się tym razem reprezentantom partii wolności ludu. Dosyć, aby zająć centralną pozycję w Dumie i w pewnym stopniu kierować jej działalnością, za mało, aby decydować o jej kierunku.

Jaki był plan tej działalności?

Według urzędowego sprawozdania partyjnego, kadeci liczyli na to, że zdobędą większość drugiej Dumy dla usiłowań, aby: 1) zachować samo istnienie Dumy, dla wszystkich jednakowo niezbędne, i 2) urzeczywistnić te ogólnonarodowe zadania, do których z konieczności będą dążyły wszystkie frakcje opozycyjne. Opierając się na tych rachubach, frakcja kadecka w ten sposób określiła swoje przysze postępowanie w Dumie:

1) Ściśle podporządkować cele agitacyjne celom ustawodawczym i zupełnie wyrzec się współdziałania z taktyką, obrachowaną na bezpośrednie „podtrzymanie“ Dumy przez naród, albo na „organizację“ przez Dumę ludności na prowincyi, w celu rychłych „wystąpień czynnych;“

2) Opracować i wypełnić plan najbliższego szeregu prac prawodawczych, mających na widoku reorganizację ustroju państwowego;

3) Skorzystać w tym celu, oprócz parlamentarnej inicjatywy prawodawczej, prawie wyłącznie stosowanej w pierwszej Dumie, także z materiału projektów ministeryalnych, o ile one mogą być uzupełnieniem projektów Dumy, albo, nie sprzeciwiając się celom opozycji, okażą się praktycznie niezbędne dla ludności;

4) Wstrzymać się od bezpośredniego wyrażenia nieufności ministeryum; i

5) Dążyć do utworzenia możliwie silnej i stałej większości celem praktycznego urzeczywistnienia nakreślonego przez frakcję planu prawodawczego.

Łatwo spostrzedz, że powyższy plan taktyki kadetów w drugiej Dumie niewiele posiada wspólnego z działalnością tego stronnictwa w pierwszej Dumie. Odbija się na nim już zupełnie realistyczne traktowanie zjawisk i stosunków politycznych. Gdy jednak przejdziemy do szczegółów praktycznego jego urzeczywistnienia, to zobaczymy, że i teraz jeszcze kadeci nie umieli stanąć na własnej, silnej pozycji, lecz oglądali się trwożliwie i niespokojnie to na prawo, to na lewo. Dowiadujemy się o tem najlepiej z własnych ust Milukowa, który w publicznym odczycie, wygłoszonym dn. 10 kwietnia r. z. w Petersburgu, powiedział: „Już w pierwszym tygodniu istnienia drugiej Dumy uświadomieni posłowie zapoznali się z temi warunkami, w których wypadło w rzeczywistości pracować i walkę toczyć. Lecz zastosować się do okoliczności — to było nie to, czego żądali wyborcy. Dać zaś to, czego żądali wyborcy, znaczyłoby nie zastosować się do okoliczności i zginąć przedwcześnie. Innemi słowy, było do wyboru: albo dążyć do zachowania popularności wśród ludności, albo dążyć do skorzystania z praw Dumy, lecz z ryzykiem, że wśród ludności powstanie niezadowolenie, jako skutek naturalny ostrożnej taktyki. W takim razie pozostawało tylko liczyć na późniejsze usprawiedliwienie, kiedy taktyce tej, umiarkowanej i ostrożnej, danem będzie osiągnąć pewien rezultat. I powodzenie byłoby niewątpliwe, gdyby Duma rosyjska, na podobieństwo perskiego medżilisu, miała z góry zagwarantowane istnienie w ciągu jakie-

goś określonego terminu. Lecz w danych okolicznościach wypadało ryzykować. Obierając taktykę ostrożną, *ludzie ryzykowali z jednej strony utratą popularności*, z drugiej — nie osiągnięciem powodzenia.“ Do tych słów dodajmy, że kadeci nie „ryzykowaliby“ utraty popularności, gdyby nie to, że i partye lewicy skrajnej także jakiś czas postępowały „ostrożnie“, więc ryzyko podzieliło się na wszystkich. Inaczej mielibyśmy znów oglądanie się na „nastrój“, a może i na „gniew ludowy.“

Drugi punkt nakreślonego programu taktycznego działania, mianowicie stworzenie trwałej większości, nie udał się kadetom. Z pewnością czynili oni pod tym względem znaczne i energiczne wysiłki, z pewnością włożyli w to dużo inteligentnych starań i zabiegów, ale sprawa nie mogła się udać dopóty, dopóki orientacja kadetów odbywała się stale na lewo. Przez cały czas istnienia drugiej Dumy wszystkie wybitniejsze etapy jej działalności były pod ciężeniem stronnictw skrajnych, przyczem prawica częstokroć sprzymierzała się z lewicą, aby sparaliżować usiłowania centrowe. W tych warunkach, przy ogromnych zwłaszcza wahaniami t. zw. grupy pracy (trudowików), o stworzeniu stałej większości nie mogło być mowy bez zwrócenia się ku ławom po prawej stronie kadetów. O tem czytamy w urzędowym sprawozdaniu frakcyi kadetów: „Bardziej umiarkowana część prawicy szczerze podtrzymywała centrum konstytucyjne i tem bezwątpienia paraliżowała skutki nieostrożnych wystąpień lewicy. Na podstawie całego szeregu takich głosowań prawicy z centrum powstała nawet nadzieja, podtrzymywana przez niektóre organa prasy, na utworzeniu „centrum konstytucyjnego“ drogą związku kadetów z październikowcami i bezpartyjnymi na zasadzie ograniczonego programu bieżących, głównie *politycznych* reform. *Jednakże utworzenie takiego centrum równałoby się wyrzeczeniu się przeprowadzenia programu agrarnego partyi wolności ludu, o czem, rozumie się, nie mogło być mowy.*“

Tak więc i teraz jeszcze partya uznaje, że Duma jest konieczną i że jej istnienie zależy wyłącznie od kompromisu z bardziej zachowawczemi żywiołami społecznymi, że taktyka lewicy nie sprzyja tym podstawowym zasadom, że o wciągnięciu nawet trudowików do „centrum konstytucyjnego“ nie może być mowy; nie umiała jednak z tych założeń wyciągnąć konsekwencji należytych, nie chciała wyrzec się części programu społecznego (agrarnego) dla korzyści politycznych, lubo przeczuwała, a nawet wiedziała, że rozwiązanie Dumy jest blizkie, a reforma prawa wyborczego postanowiona. Zresztą w swym osławionym programie

agrarnym kadeci poczynili dosyć poważne zmiany kompromisowe, jak to widać z dwu projektów, wniesionych przez nich do drugiej Dumy; zmiany te nie były wszakże tak wystarczające, tak stanowcze, aby przeciwników wywłaszczenia przekonać, że na tym gruncie nie należy opierać ostrza różnic politycznych. Uchwalenie też przez komisję agrarną w końcu maja r. z. przymusowego wywłaszczenia (w zasadzie), wywołało popłoch we wszystkich kołach, nie sprzyjających tak gwałtownym i ekonomicznie wątpliwym sposobom reformowania ustroju społecznego, i stało się może najważniejszą przyczyną klęski kadetów przy wyborach do trzeciej Dumy.

Tak więc od pierwszej Dumy do drugiej partya wolności ludu przeszła ewolucję ogromną: od dumnych słów Nabokowa do głosowań z październikowcami i bezpartyjną prawicą w kwestyach politycznych. Zaraz zobaczymy, że na tem się przemiana partyi nie zatrzymała.

Pod wpływem prawa z d. 16 czerwca, tak grożącego stanowi posiadania kadetów w parlamencie, rozpoczęły się wśród nich—wobec wyborów do trzeciej Dumy—debaty nad możliwością kompromisów wyborczych z październikowcami. Kompromisy te nie doszły do skutku, ale tylko dlatego, że się na nie nie godzili październikowcy, dobrze rozumiejący korzyść nowego położenia rzeczy. W każdym razie na początku nowej kampanii wyborczej kadeci postanowili odgrodzić się od stronnictw socjalistycznych. Ustami Milukowa otwarcie oznajmiono o niewygodach zbliżania się do skrajnej demokracji. Dokonał się zupełny rozłam umiarkowanej i radykalnej opozycji. Zjazd partyjny, zwołany przed samem otwarciem 3-ej Dumy do Helsingforsu, zatwierdził tę pozycję partyi w stosunku do lewicy, jednocześnie *uznając możliwość wstępowania w kompromisy z partjami bardziej stojącymi na prawicy*. To więc, co wydawało się niemożliwem w drugiej Dumie, kiedy kadeci *kierowali* jej działalnością, uznane zostało za pożądane w trzeciej Dumie, gdzie partya zredukowana została do roli nieodpowiedzialnej mniejszości...

To też na początku sesyi obecnej zdawało się, że kadeci wejdą w porozumienie z październikowcami i razem z frakcją pokojowego odrodzenia, utworzą „centrum konstytucyjne.“ W każdym razie pragnęli oni tego bardzo. Czynili wszystko, aby ten pożądany skutek wywołać. Głosowali na Chomiakowa. Wotowali za adresem do Tronu, w którym nie było wzmianki o „konstytucyi.“ Lecz to wszystko nic nie pomogło. Październikowcy po krótkich wahaniach zwrócili się na prawo i utworzyli większość, nie „kon-

stytucyjną“ wprowadzie, ale też i obywającą się bez znienawidzonych przez rząd i żywioły zachowawcze kadetów. Kadeci odrzuceni zostali na bok i pozostali na ławach „opozycji,“ pozbawieni nowych złudzeń i nie wiedzący, co czynić.

Że nie wiedzą tego, najlepszym dowodem jest cała ich działalność w trzeciej Dumie. Tych kadetów, którzy tak zdumiewali swoją pracowitością, swem poświęceniem się pracy prawodawczej, swemi talentami, swym zapałem, dziś, jako frakcyi, wcale nie widać w Dumie. Nie są ani czynnikiem pracy pozytywnej, bo od tego są usunięci, ani opozycją we właściwym rozumieniu tego słowa. Prawda, wszędzie, gdzie jest poruszana jakaś ważniejsza kwestya, występują i mówią rzeczy ciekawe, najczęściej są przedstawicielami najszerzych poglądów państwowych, wnoszą poprawki i uzupełnienia, spierają się i polemizują—ale w tem wszystkim niema ani śladu samodzielnej pozycyi, jest raczej, jak ktoś powiedział, płatanie się w ognie pałdziernikowców. Ten stan rzeczy budzić też zaczyna wśród nich samych głębokie niezadowolenie. Niedawno jedno z pism petersburskich poinformowało, że w komitecie centralnym partyi kadetów rozważano „nadzwyczaj ważną“ kwestyę przyszłej taktyki opozycyi w Dumie. Dyskusya była wielce gorąca, o czem wnioskować można chociażby z tego, że trwała 7 godzin z rzędu. Niektórzy mówcy wysunęli pytanie kardynalne: czy opozycja ma nadal pozostać w Dumie, czy też lepiej z niej wystąpić? Paru członków komitetu centralnego dowodziło, że opozycja w Dumie właściwie nie istnieje, gdyż obecność jej zupełnie w niczem nie daje się zauważyć. „Zajmujemy—mówili oni—lewicę w Dumie tylko przez omyłkę, a właściwie nie znać nas wcale. Większość Dumy nie chce wogóle liczyć się z naszym zdaniem, ani też w szczególności z poprawkami, wnoszonymi przez nas w komisjach. Wskutek tego przy dotychczasowej taktyce dalsze nasze przebywanie w Dumie jest zupełnie bezcelowem. Powoływanie się na to, że jakoby nastał czas, kiedy opozycja powinna się ograniczyć jedynie do obrony pewnych wniosków w kwestiach konkretnych, nie wytrzymuje krytyki, gdyż nie mamy wcale wytkniętego planu w tym kierunku. Jaki jest plan wogóle opozycyi podczas obecnej sesyi Dumy? Gdzie jest cel, do którego nas prowadzą i w imię którego mamy walczyć? Nie pokazano nam dotychczas ani jednego ani drugiego. Idziemy z zawiązanemi oczyma po nieznanym nam ścieżkach. Odpowiadano na to nie mniej gorąco. Kwestya nie została ostatecznie rozstrzygnięta, bo żadnego głosowania nie dokonywano.“

Tak informowano w kwietniu r. b. o prądach, panujących w Komitecie centralnym.

Jest to już smutny stan rzeczy, jeżeli frakcja choćby tylko dyskutuje o usunięciu się od pracy parlamentarnej, do której niedawno jeszcze taką przywiązywała wagę, jest to świadectwo zupełnej dezorientacji politycznej. I co gorsza dla tej partii, że nie ma nadziei, aby się tam coś na lepsze zmieniło. Śmiałość, zuchwałość, energia, świetność, ujawniane z taką rozrzutnością wtedy, gdy partya działała pod wpływem iluzji, wyschły jakby zupełnie, a natomiast wystąpiły te właściwości, które, pożądane w roztropnej większości, w mniejszości są znamię pokory, upadku wiary w swe siły, zniechęcenia i apatyi: wystąpiło umiarkowanie, chęć zgody, skłonność do kompromisów. Do tego zesza partya, która nie umiała *przewidywać* wypadków politycznych.

III.

Zupełnie specjalne, jak się zdaje, stanowisko przypadło w udział party paździenikowców, oficjalnie zwanej „Związkiem 30 października.“ Utworzona na zasadzie manifestu październikowego, nie mająca poza sobą żadnej własnej przeszłości politycznej, choćby „ziemskiej“, jak np. większość kadetów, skupiająca około siebie stosunkowo drobną część ludzi i to głównie w stolicach, ludzi początkowo politycznie umiarkowanie postępowych, społecznie umiarkowanie zachowawczych, partya ta przepadła z kretesem w wyborach do pierwszej i drugiej Dumy. Dopiero prawo z 16 czerwca, a także czynne poparcie rządu i przesunięcie się „na prawo“ inteligencji ziemiańskiej oraz zamożnego mieszczaństwa zapewniło październikowcom przy wyborach do trzeciej Dumy tryumf i to tak wielki, że obecnie stronnictwo to jest pełnym gospodarzem w Dumie. Zapewne też w jego rękach spoczywają najbliższe losy „konstytucyi“ rosyjskiej.

Ścisłe porozumienie z rządem było oddawna podwaliną programu działalności parlamentarnej październikowców. W dzienniku *Strana* (dziś zamkniętym) w końcu r. 1906 zakomunikowano wiadomość o pewnem spotkaniu się prezesa rady ministrów, Stołypina, z Guczkowem, przywódcą październikowców, w sierpniu r. 1906 na wyspie Aptekarskiej. Głównym celem tego spotkania było porozumienie się co do utworzenia większości rządowej w drugiej Dumie. Nakreślono plan działania, polegający na tem, aby „czar-

na secinę“ przesunąć nieco na lewo, październikowców zaś nieco na prawo. Kitem wspólnym tych dwu tak bądź co bądź różnych żywiołów miał być „płomienny patryotyzm.“ Na tym gruncie miano zamiar zatknąć sztandar „narodowy“ przyszłej większości rządowej.

Plan ten, jak wiadomo, nie udał się w drugiej Dumie, lecz powiódł się w trzeciej. Październikowcy weszli do niej w sile 150 posłów, zaś „patryoci“ w sile około 120 posłów. W ten sposób większość rządowa stała się możliwą i w praktyce już się nie tylko utworzyła, ale i skonsolidowała.

Z jakim programem weszli październikowcy do trzeciej Dumy?

Ze względu na rolę, jaka widocznie przypadła w udziale temu stronnictwu, wypadnie nam zapoznać się bliżej z deklaracją, przedstawioną przez posła Guczkowa frakcyi październikowców, zebranej w Petersburgu na specjalne posiedzenie na parę dni przed otwarciem 3-ej Dumy. Deklaracja ta, uważana za polityczne *credo* stronnictwa, brzmi jak następuje:

I. Główne zadanie frakcyi parlamentarnej Związku 30 października polega na utworzeniu w Dumie centrum konstytucyjnego, nie dążącego do zagarnięcia władzy rządowej i jednocześnie zdecydowanego silnie bronić praw przedstawicielstwa narodowego w granicach, określonych przez prawa zasadnicze. Utworzenie takiego centrum jest, zdaniem frakcyi, koniecznym warunkiem spożytkowania przez Dumę pełni jej praw w zakresie prawodawstwa i kontroli nad działalnością ustanowionych przez Monarchę władz.

II. Celem pomyślnego spełnienia tego zadania (stworzenia centrum konstytucyjnego) frakcja poczytuje za niezbędne przede wszystkim wyosobnić z całego programu Związku 30 października te zasady przewodnie, które stanowią podwalinę całej działalności Związku, albo powinny być wysunięte naprzód ze względów praktycznych. Wyrównanie poglądów na te kwestye będzie miało ten prawdopodobny skutek, że utworzy się jednorodna większość parlamentarna, zdolna do osiągnięcia zakreślonego celu: przyścia z potężną pomocą rządowi w tych wypadkach, gdy wniesione przezeń projekty prawodawcze będą się godziły z wnioskami centrum, i spożytkowania w całkowitym rozmiarze praw Dumy. Dążąc do stopniowego zrównania w prawach wszystkich obywateli bez różnicy stanu, narodowości i wyznania, frakcja w warunkach obecnych w dziedzinie kwestyi żydowskiej nie uważa za możliwe urzeczywistnienie równouprawnienia Żydów. Jednocześnie wszakże frakcja uznaje za niezbędne przejrzenie obowiązującego prawo-

dawstwa o Żydach celem usunięcia niepotrzebnych i szkodliwych ograniczeń.

III. Podstawą całej działalności frakcyi w Dumie powinno być dążenie do przywrócenia wysokiego autorytetu i rzeczywistej potęgi władzy państwowej w Rosyi drogą zjednoczenia Monarchy z narodem na zasadach konstytucyjnych, proklamowanych w Najwyższym Manifeście z d. 30 października 1905 r. Stąd wypływa dla frakcyi obowiązek przeciwdziałania wszelkim zamachom na prawa Monarchy i przedstawicielstwa narodowego.

IV. Uznając przejrzenie praw zasadniczych za wychodzące w tej chwili poza granice polityki praktycznej, frakcja nie zaprzecza możliwości stopniowej ich zmiany według wskazówek doświadczenia i w porządku, ustanowionym przez prawa zasadnicze. W szczególności godnem życzenia jest rozszerzenie i pogłębienie praw budżetowych Dumy oraz jej prawa kontroli nad prawidłowością działalności ustanowionych przez Monarchę władz.

V. Tak samo frakcja uważa za będące nie na czasie przejrzenie praw, określających skład i sposób wybierania Izb prawodawczych, sądząc, że przedstawicielstwo narodowe powinno przede wszystkim uspokoić ferment w kraju i zdobyć sobie autorytet przez przeprowadzenie pilnych reform.

VI. Frakcja odpycha wszelkie próby ustanawiania autonomij miejscowych, decentralizujących władzę państwową, czyniąc wyjątek pod tym względem jedynie dla Wielkiego Księstwa Finlandzkiego. W dziedzinie potrzeb ekonomicznych i kulturalnych frakcja obstaje za rozszerzeniem na dzielnice obcoplemienne Państwa praw samorządu miejscowego, o ile te prawa godzą się z zachowaniem jedności i nierozdzielności Państwa i pod warunkiem zupełnego zagwarantowania interesów ludności rosyjskiej.

VII. Frakcja uznaje za konieczne przejrzenie praw o prasie, zebraniach i związkach i prawnem zabezpieczeniu nietykalności osobistej i majątkowej obywateli w celach wzmocnienia i rozwoju podstaw prawnie zabezpieczonej wolności obywatelskiej. Obrona tych praw przed możliwymi nadużyciami powinna być obowiązkiem sądu z usunięciem z tej dziedziny rozporządzeń administracyjnych.

VIII. Dopuszczając w wypadkach wyjątkowych, dokładnie prawem określonych, konieczność czasowego wstrzymania działania praw, zabezpieczających wolność obywatelską, frakcja uważa za pilne zadanie przejrzenie przepisów dotyczących „ochrony“ z tem, aby przysługujące administracyi na zasadzie tych przepisów

prawa były dokładnie regulowane przez prawo i nie stawały się dla społeczeństwa źródłem zbytecznych ograniczeń.

IX. Przypisując pierwszorzędne znaczenie tej szkole politycznego wychowania ludu, którą otrzymuje się przez udział w samorządzie miejscowym, frakcja zalicza do najpilniejszych reform przekształcenie miejscowego samorządu ziemskiego i miejskiego.

X. Dążąc do zaprowadzenia w Rosyi porządku prawnego i wyłączenia samowoli administracyjnej, frakcja uznaje za niezbędne: reformę najwyższego obrońcy praw—Senatu rządzącego—na podstawie zabezpieczenia jego samodzielności i niezależności od władzy wykonawczej; zabezpieczenia zupełnej niezależności władz sądowych na wszystkich ich stopniach; odpowiedzialność osób urzędowych za wykroczenie przeciw prawu.

XI. W dziedzinie kwestyi włościańskiej frakcja wysuwa na plan pierwszy: zniesienie wszystkich przywilejów stanowych, włościańskiego sądu stanowego, włościańskich podatków stanowych, uwolnienie włościan od ciężaru gminy i gromady oraz reorganizację miejscowych urzędów administracyjnych z usunięciem z pod ich kompetencji funkcji sądowych.

XII. Upatrując zasadniczą przyczynę ubóstwa narodu rosyjskiego w niskim poziomie i słabym rozwoju całego wogóle gospodarstwa narodowego, a w szczególności rolnictwa i przemysłu wiejskiego, frakcja widzi główne zadanie państwowe w usunięciu wszystkich tych powodów, które hamują w Rosyi postęp ekonomiczny (skrupowanie osobiste włościanina, ciężar gminy („obszcziny“), system władania ziemią i t. d.).

XIII. Stwierdzając fakt niedostatecznego posiadania ziemi przez włościan i wpływ jego na stan ekonomiczny włościan, frakcja uznaje za konieczną walkę z nim za pomocą planowego podziału, będącego w rozporządzeniu Państwa zapasu ziemi, ułatwienia i rozszerzenia kupna ziemi przez włościan oraz lepszej organizacji sprawy kolonizacyjnej. Wywłaszczenie przymusowe, jako ogólną zasadę rozstrzygania kwestyi agrarnej, frakcja, poza pojedynczymi wyjątkami, odrzuca.

XIV. Uznając za pilne polepszenie bytu robotników i ochronę ich od eksploatacji, frakcja wysuwa na porządek dzienny prawodawcze uregulowanie stosunków między robotnikami i przedsiębiorcami, skrócenie według warunków przemysłu dnia roboczego, urządzenie sądów polubownych i rządowych biur pośrednictwa w pracy, usunięcie ograniczeń w organizowaniu związków ekonomicznych robotniczych i bezroboci, o ile te ostatnie nie grożą in-

teresom państwowym i społecznym, oraz zaprowadzenie ubezpieczeń robotników od wypadków, chorób i starości.

XV. Frakcja wysuwa potrzeby oświaty ludowej na pierwszy plan, dąży do praktycznego wcielenia w życie w jaknajprędszym czasie powszechnego nauczania — pod tym warunkiem, aby ogólne kierownictwo tą sprawą należało do organów samorządu miejscowego — oraz uważa za niezbędne asygnowanie na ten cel największych sum ze skarbu państwa.

XVI. Frakcja dąży do ograniczenia wydatków nieprodukcyjnych skarbu i do możliwego ulżenia ciężarów podatkowych, obciążających uboższą ludność, drogą stopniowego obniżania podatków pośrednich, któremi są obłożone przedmioty szerokiego spożycia, i drogą podatku dochodowego.

Ustanowiwszy taki program swej działalności politycznej, październikowcy rozpoczęli swą pracę w Dumie od zawarcia bloku nie z żywiołami konstytucyjnymi na lewo, t. j. kadetami i postępowcami (w Dumie do nich zaliczają się i członkowie stronnictwa pokojowego odrodzenia Rosyi), do czego gorliwie ich namawiały dzienniki umiarkowane postępowe, lecz z frakcją t. zw. umiarkowanej prawicy. Blok na razie miał być zawarty tylko „na pewien czas,” głównie do przeprowadzenia wewnątrzno-organizacyjnych zadań Dumy, lecz stopniowo krzepł i wzmacniał się, aż dziś, po sześciu miesiącach istnienia Dumy, stał się podwaliną większości parlamentarnej. W ten sposób orientacja październikowców odbyła się nie ku środkowi, ku „centrum konstytucyjnemu,” jak to ustanawiał punkt I programu, lecz ku prawicy „patriotycznej.” Ta okoliczność położyła już piętno na dalszej działalności październikowców i zapewne zdecyduje o ich ostatecznej fizyognomii politycznej.

Dotychczas jeszcze nie pod każdym względem wypowiedzieli się październikowcy. W bardzo wielu wypadkach nie wiemy, jak ich program pisany będzie stosowany w życiu. Fakt, że jest to stronnictwo rządowe, trzymające się ściśle wskazówek gabinetu p. Stołypina i najuważniej usuwające wszelką możność konfliktu z rządem, nie określa jeszcze dostatecznie stanowiska jego w sprawach bieżących doniosłości żywotnej, w których jego własne interesy życiowe będą w grę wciągnięte. Natomiast, co się tyczy ogólnych zasad państwowych, kierujących działalnością partii, to pod tym względem istnieje już urzędowa jej deklaracja. Przedewszystkiem więc w sprawie zapatrywań na obecny, po-październikowy ustrój państwowy rosyjski, istnieje już deklaracja pośła Guczkowa, wygłoszona przy dyskusji nad adresem do Tronu

d. 26 listopada 1907 r. Przywódca frakcji powiedział wówczas między innymi: „Należę do tego stronnictwa politycznego; dla którego jest jasne, że manifest 30 października zawierał w sobie dobrowolny akt wyrzeczenia się przez Monarchę praw nieograniczonych. W prawach zasadniczych zobaczyliśmy ściśle wypełnienie tych obietnic, które były zawarte w manifestie. Dla nas jest niewątpliwe, że przewrót państwowy, dokonany przez samego Monarchę, jest ustanowieniem ustroju konstytucyjnego w naszej ojczyźnie, ale niemniej nie uważamy siebie upoważnionymi do narzucania komukolwiek naszego rozumowania... W tych warunkach historycznych i politycznych, w których się znajduje nasza ojczyzna, potrzeba nam silnej władzy cesarskiej. Dlatego my, październikowcy, walczyliśmy z hasłami, które były głoszone przez partie polityczne i przez pierwsze dwie Dumy. Pamiętacie to hasło: parlamentaryzm. Nie dlatego przecież Cesarz wyswobodził się od urzędników i dworaków, ażeby oddać swoją władzę, swoją świętą aureolę, tę siłę duchową, która jest związana z imieniem cesarskim, do rozporządzenia partyj politycznych i komitetów centralnych.“

Deklaracja powyższa była dotąd jedyną, wychodzącą od całej frakcji październikowców i nie osłabioną lub przeinaczoną następniemi przemówieniami mówców frakcyjnych. W innych sprawach, nawet najbardziej zasadniczych, październikowcy wystawiają w Dumie po kilku mówców, którzy wygłaszają sprzeczne poglądy. Tak np. przy rozprawach nad deklaracją rządu mówiło 6-iu październikowców i każdy co innego i dopiero teraz, po 5 miesiącach, możemy wywnioskować, że najwierniej oddawał poglądy frakcji poseł Szubinskij, mówiąc: „Kiedy słyszałem te mowy z centrum, ten apel, który niektórych z nas porywał, to okropnie się bałem, żeby centrum nie stało się znowu grupą opozycyjną. Duma mogłaby się stać Dumą opozycyjną, a wówczas nasze nadzieje, nasze marzenia o pracy konstytucyjnej runęłyby same przez się... Nie będziemy nigdy i pod żadnym pozorem w opozycji.“ Była to, jak widzimy, deklaracja o stosunku Dumy do rządu.

Jaki posiadają październikowcy plan reform państwowych, mających „odnowić i odrodzić“ Rosyę, o tem z dotychczasowej ich działalności nic wywnioskować nie możemy. Dyskusya budżetowa nie dała dotąd pod tym względem żadnego materiału oświetlającego. To tylko wydaje się pewnem, że hasłem, pod którym frakcja będzie pragnęła rozpocząć tę pracę reformatorską, będzie „płomienny patryotyzm“ z niedwuznacznemi dążnościami nacyonalistycznymi. Na tę okoliczność wskazują uwagi o poprawce adre-

sowej Koła Polskiego, interpelacje w sprawach finlandzkiej i kaukaskiej, głos posa von Anrepa, pochwalający ograniczenia prawem z 16 czerwca reprezentacji polskiej, uchwała w sprawie zasiedlania Kaukazu przez Rosyan, uchwały komisji sądowej w sprawie praw wyjątkowych na Litwie i Rusi i opinie komisji wyznaniowej o stanowisku prawosławia. Tak samo niedwuznacznym był charakter udziału październikowców w dyskusji nad językiem polskim w seminariach nauczycielskich. Zdaje się niewątpliwem, że w hasłach nacyonalistycznych październikowcy będą szukali *maximum* punktów styecznych z rządem, rękojmi trwałości bloku z prawicą i popularności w szerszych masach społecznych. Co się tyczy reform administracyjnych wewnętrznych, to na uwagę zasługuje przyjęta w początkach marca r. b. na wniosek październikowców formuła przejścia do porządku dziennego, brzmiąca: „Uznając, że tylko samorząd, z pociągnięciem do udziału w nim szerokich warstw społecznych, może uporządkować cały system gospodarki ziemskiej i wzmocnić dobrobyt ludności miejscowej na podstawach samodzielności ziemskiej, Duma przechodzi do porządku dziennego.“ W uchwale tej odbija się do pewnego stopnia charakter frakcji, w której przeważają żywioły społeczne z ziemstw, bardzo przywiązane do samorządu lokalnego i gotowe bezwątpienia walczyć o jego sprawę. Pod tym względem październikowcy niewątpliwie, co się tyczy Rosji centralnej, mogą okazać działalność dodatnią. Gdy natomiast przyjdzie kolej na kresy, to tutaj prawdopodobnie wystąpią względy „polityczne“ i zneutralizują dobre zasady i pożyteczne tradycje.

Dotychczasowa taktyka październikowców w Dumie polegała na wszechstronnych ustępstwach przed rządem, nawet wtedy, gdy one kłóciły się najwyraźniej z pisanim programem stronnictwa (np. odrzucenie wniosku kadetów co do rozszerzenia praw budżetowych Dumy, sprzeczne z art. IV programu). Czy taka droga prowadzi do „wzmocnienia autorytetu Dumy w oczach ludności,“ czy dalej istotnie sprzyja ona ugruntowywaniu się instytutu Dumy w życiu państwowem rosyjskiem, czy w rzeczy samej prowadzi do „uspokojenia fermentu w kraju,“ na te wszystkie pytania odpowiedź będzie mogła dać dopiero niedaleka zresztą przyszłość. Obawiać się tylko należy, że „płomienny patryotyzm“ mniej zrobi dobrego przez marzenie zjednoczenie obywateli, niż natworzy fermentów przez wzburzenie antagonizmów narodowych i religijnych. Wogóle trzeba zaznaczyć, że pojednawczości, jaka przysłałaby frakcji rządowej, jest w październikowcach nader mało. Ton bojujący, przybrany przez nią względem opozycji parlamentarnej,

a zwłaszcza względem kadetów, jaknajmniej sprzyja właśnie temu hasłu pokojowego reformowania Rosyi, które tak często widzimy na ustach przywódców Związku 30 października. I tutaj stronnictwo najwidoczniej uległe poddaje się wskazówkom ministeryum, silnie zaosttrzając stosunek żywiołów zachowawczych do liberalnych i postępowych.

*

*

*

Do stronnictw centrowych należy t. zw. partya pokojowego odrodzenia Rosyi, do której przyłączyli się w Dumie t. zw. bezpartyjni postępowcy, tworząc grupę o 29 posłach.

Partya ta jest produktem ewolucyi lewego skrzydła Związku 30 października i składa się ze szczerych i konsekwentnych konstytucjonalistów, którzy odrzucają radykalne koncepcye społeczne kadetów i ich dawną taktykę polityczną, ale także nie przystają na oportunizm październikowców nawet z lepszej doby działalności tych ostatnich. W pierwszej Dumie partya składała się z ni-kłej ilości ludzi, ale miała swą fizyognomię polityczną i wyraźny plan działania taktycznego. Plan ten polegał na przyjęciu tego *minimum* ustępstw ze strony rządu, jakie było proponowane, jakkolwiek było ono poniżej obietnic październikowych. Tę drogę „pojednania“ rozwijał wybitny przywódca stronnictwa, dziś zmarły hr. Heyden, w pierwszej Dumie na posiedzeniu z d. 16 maja. Pokojowo usposobiony poseł ten zaczął na wzór posłów z lewicy: „Kiedy szedłem do Dumy — mówił — to sądziłem, że będzie nam dana możność spokojnie i płodnie prowadzić robotę i że spotkamy w rządzie zupełne współczucie na tej pokojowej drodze. Niestety, dzisiejsza deklaracya rządu przekonała mię o czemś zupełnie przeciwnem.“ W dalszym ciągu hr. Heyden czynił zarzut rządowi, że, mając wypracować nowe prawa, tego nie uczynił. Będąc stanowczym przeciwnikiem przymusowego wywłaszczenia, mówca tak jednak ceni wolę ludu, że nie jest w stanie zrozumieć, jak rząd z góry uchwałą o wywłaszczeniu może określać za „nie do przyjęcia.“ W konkluzyi hr. Heyden powiedział: „W takim stanie rzeczy jestem głęboko przekonany, że dalsza praca, przy dzisiejszym składzie ministeryum jest niemożliwa, lecz nie mogę zgodzić się z tymi, którzy sądzą, że powinniśmy *zdać* dymisyi ministe-

ryum. Mniemam, że nie mamy *prawa* wychodzić poza granice praw, ostro i usilnie głosić żądań i występować z ram, określających granice działalności Dumy... Prócz tego, jeśli będziemy żądali, to znajdziemy się w tem samym błędnem kole, w jakim jest ministerium. Postawimy kwestyę ostro i wówczas—albo my będziemy musieli pójść precz, albo ministerium. Dymisyja ministerium nie jest w naszej władzy, ja więc nie pragnę, aby obecna Duma w tej chwili, nic nie zdziaławszy, przerwała swą pracę; mimo wszystko mam nadzieję, że *życzenie* Dumy, wyrażone w formie stanowczej, lecz *prawnej*, będzie usłyszane... Sądzę, że wszelkie ministerium, pragnące pracować z Dumą, powinno do tej Dumy wyciągnąć rękę i, *wymówiwszy sobie swoje prawa*, jednocześnie z szacunkiem traktować prawa Dumy.“

W mowie tej było niewątpliwie określone stanowisko ściśle konstytucyjne, jeśli o konstytucyi może być wogóle mowa, w każdym razie stanowisko ściśle prawne. Było to jednocześnie uznanie możliwości „wyciągnięcia ręki“ przy zachowaniu praw obu stron i wzajemnym szacunku.

Inny przywódca tej partii, M. Stachowicz, w rozprawach nad amnestyą w pierwszej Dumie, d. 17 maja, wniósł poprawkę, żądającą stanowczego potępienia teroru. I to stanowisko było ściśle konstytucyjne, wypływające wprost z uznania parlamentu, jako jedyne go odtąd terenu walk politycznych, sprzecznego z rewolucyjnym sposobem działania. Duma jednak, lubo zapewniała o swej lojalności konstytucyjnej, odrzuciła poprawkę Stachowicza, wskutek czego przy głosowaniu nad adresem do Tronu 11 członków stronnictwa „pokojowego odrodzenia“ wyszło z sali.

Do drugiej Dumy partya pokojowego odrodzenia weszła w nader drobnej sile i żadnej wybitniejszej roli nie odegrała. Natomiast w trzeciej Dumie frakcja wzrosła do liczby 29 członków i, jakkolwiek pozbawiona dwu wybitnych swych członków, hr. Heydena i M. Stachowicza, może odegrać obecnie pewną rolę, jeśliby przyszła chwila potrzeby pośrednika między centrum, a lewicą. Program-polityczny partii opiera się po dawnemu na przywiązaniu szczerem do manifestu październikowego, a taktyka przechyła się coraz bardziej ku normom, przyjętym przez t. zw. „opozycyę.“ Frakcja dużo pracowała nad tem, aby w trzeciej Dumie zbliżyć do siebie wszystkich prawdziwych konstytucjonalistów, lecz napotkała nieprzewidywane trudności z prawej strony. Najbardziej zbliżenie to nastąpiło w stosunku do kadetów, z którymi różnice taktyczne redukują się obecnie prawie do *minimum*.

Partya pokojowego odrodzenia pozbawiona jest doktrynerstwa społecznego, w kierunku politycznym zaś działalność jej cechuje realizm. Są to przymioty cenne i niepospolite, ale w dobie *Sturm und Drang* nie zapewniające szerszego powodzenia wśród mas ludowych. Dlatego też, w tej chwili przynajmniej, nie można partyi rokować rozwinięcia popularności w społeczeństwie, a nawet choćby tylko w kołach inteligencji. Za mało jest w niej dla jednych radykalizmu, dla drugich kompromisowości.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że w ostatnich czasach i ta partya przechodziła, a może i przechodzi jeszcze przesilenie wewnętrzne. Kiedy pod wpływem wypadków bieżących, jedna jej część (po za parlamentem) prawie że wyciągnęła rękę do październikowców (ks. Trubeckoj), to druga rozczarowała się ostatecznie do biurokracji i zaczyna przemawiać językiem prawie że radykalnym.

IV.

Do stronnictw radykalnych, dążących drogą przewrotu gwałtownego do zmiany ustroju państwowego, należą trzy partye socjalistyczne: socjalno-demokratyczna, socjalno-rewolucyjna i socjalno-ludowa. Światopogląd socjalistyczny panuje także w znacznym stopniu w organizacji luźnej, w Dumie reprezentowanej przez t. zw. grupę pracy, czyli trudowników. Wszystkie te partye gorliwie wychowywały w narodzie rosyjskim złudzenia rewolucyjne, jak kadeci wychowywali złudzenia konstytucyjne, a ponieważ rzeczywistość okazała się dla wszelkich illuzyj niezwykle srogą, więc socjalizm rosyjski przeżywa obecnie głęboki kryzys, który zakończyć się może głębszymi reformami wewnętrznymi. Śledzić wszakże zbliżka tego ciekawego procesu nie mamy możliwości, ponieważ obecnie wszelka działalność socjalistów poza Dumą jest, z natury rzeczy, zupełnie ukryta.

Najwięcej może przesilen wewnętrznych, rozczarowań i klęsk materyalnych poniosła socjalna demokracja. Po manifestie październikowym, ze szczególnym entuzjazmem wystąpiwszy w szranki walki z wiarą w opatrnościowe powołanie „proletaryatu“ i, z małemi lokalnemi wyjątkami, odrzucając pierwszą Dumę, jako „fałszywe przedstawicielstwo woli ludu,“ stopniowo stawała na „burżuazyjny“ punkt widzenia, uznając wiele z tych rzeczy, które tylko co zaprzeczała. Wszystkie jej kroki atoli kierowała zupełna nieznajomość rzeczywistości rosyjskiej, zupełny brak ja-

kiejkolwiek życiowej idei i zabójcze doktrynerstwo, cechujące zarówno przedstawicieli umiarkowanego jej odłamu t. zw. mniešzewików, jak nieprzejednanych ortodoksów „bolszewików.“

W pierwszej Dumie socjalna demokracja była reprezentowana prawie wyłącznie przez posłów kaukaskich, których działalność parlamentarna nie zasłużyła sobie na uwagę. W drugiej Dumie natomiast socjalna demokracja utworzyła poważną liczebnie frakcyę o 55 posłach i miała czas i sposobność rozwinąć tam zarówno swój program, jak taktykę polityczną. Taktyka ta poszła przeważnie według rezolucyi, zaproponowanej przez mniešzewików przed zwołaniem Dumy, a mającej zmienić znaną uchwałę Stockholmską z r. 1906, w której była mowa o „rozszerzaniu i zaostrzaniu konfliktów,“ o „wystawianiu przez Dumę żądań rewolucyjnych,“ o „doprowadzeniu szerokich mas do poczucia zupełnej bezwartościowości Dumy, jako instytucyi przedstawicielskiej.“ Teraz już demokraci socjalni gotowi są uznać, że Duma jest „potrzebna,“ i to potrzebna nie rządowi celem „osłabienia nastroju rewolucyjnego,“ lecz samej rewolucyi, „jako etap w walce ludowej.“ Zamiast rachuby na „zrobienie z Dumy punktu wyjścia szerokich ruchów masowych“ nowa uchwała liczy najwyżej na „stworzenie warunków, które dałyby Dumie możność wykraczania w swej działalności poza granice skurczających ją praw zasadniczych.“ Rezolucya przyznaje otwarcie, że „masy ludowe są steroryzowane“ i że dlatego „siedniomiesięczne panowanie (między I a II Dumą) najbardziej nieokiełznanej dyktatury nie spotkało przeciwdziałania zorganizowanego.“ Działalność Dumy powinna „obudzić uwagę mas w kierunku życia politycznego, współdziałać mobilizacyi i rozwojowi ich politycznej aktywności.“ Zadanie „rewolucyi rosyjskiej“ sprowadza rezolucya w ten sposób głównie „do kwestyi walki o przedstawicielstwo ludowe,“ jako kolejną formę „bezpośredniej walki o władzę.“ Z tych wszystkich przesłanek wychodząc, rezolucya proponowała socjalnej demokracji „wziąć udział w pracy prawodawczej Dumy.“

Co znaczyło „wzięcie udziału w pracy prawodawczej?“

I tu znajdujemy głupestwa pomieszane z drobną szczyptą ze stanowiska s. d. konsekwentnych wniosków. Tak więc, lubo rezolucya uznaje, że „obecny skład Dumy (II-ej) podnosi i wzmacnia zaufanie mas ludowych do tej instytucyi i ułatwia jej możność stania się rzeczywistym ośrodkiem ogólnie ludowej walki o wolność i władzę,“ mimo to proponuje „demaskować złudzenia co do Dumy,“ która „faktycznie jest instytucyą tylko doradczą.“

W praktyce parlamentarnej socjalni demokraci „będą podawali swej krytyce, z punktu widzenia interesów proletariatu miejskiego i wiejskiego i konsekwentnego demokratyzmu, wnioski i projekty wszystkich partij nie-proletaryackich i przeciwstawiali im swoje żądania i wnioski.“ Lecz „kiedy tego będą wymagały okoliczności,“ socjalna demokracja „podtrzyma, jako mniejsze zło, te z projektów prawodawczych innych partij, które, będąc wcielone w życie, mogą stać się w rękach mas ludowych narzędziem walki rewolucyjnej o osiągnięcie rzeczywistej wolności demokratycznej.“ Zresztą „bolszewiki“ i przed tą drogą ostrzegali. Jeden z wybitnych przedstawicieli tego kierunku tak zalecał postępować swym współwyznawcom: „Powinniśmy stawiać swoje, nie-liberalne i nie-drobnomieszczańskie, lecz demokratyczne projekty, pisane językiem nie kancelaryjnym, ale rewolucyjnym, i dawać je pod głosowanie. Niech je odrzucają i „czarni“ i kadeci. Wówczas przechodzimy do bezlitośnej krytyki projektu kadeckiego i do systematycznego wnoszenia poprawek. Skończone poprawki—wstrzymujemy się od głosowania nad projektem kadeckim, pozostawiając kadetom bicie „czarnych“ i nie biorąc na siebie odpowiedzialności przed ludem za ubóstwo i nędzę pseudo-demokracji kadeckiego.“

Nie trzeba sądzić, że socjalni demokraci tylko kadetów uważali za pseudo-demokratów. Taką samą nieufność, prawie graniczącą z pogardą, okazywali oni i swym towarzyszom z lewicy, zwłaszcza socyalistom ludowym i trudownikom. Chociaż frakcja s. d. w drugiej Dumie była reprezentowana przeważnie przez skrzydło umiarkowane („mniejszewików“) i „bolszewików“ liczyła tylko 12-tu, jednak, przynajmniej na początku swej działalności, starała się wszelkimi sposobami wyosobnić się i wyróżnić z pośród innych frakcyj socjalistycznych. Po pewnych wahaniach, odmówiono ostatecznie udziału w naradach „opozycji“ dumskiej, zorganizowanych celem ustanowienia wspólnego początkowego planu działania taktycznego. Następnie s. d. odrzucili propozycję soc.-rewolucjonistów, socyalistów ludowych i trudowników, aby zorganizować stały organ międzypartyjny, choćby tylko dla celów informacyjnych. Zdecydowano się także samodzielnie, bez poparcia innych grup pokrewnych, podnieść sprawę amnestyi, aby z tej popularnej kwestyi skorzystać dla podniesienia swojej wyłączenie popularności w masach ludowych. Ta „dumnie-proletaryacka“ pozycja zresztą stopniowo ustępowała trosce o istnienie Dumy, które uznawane zostało i przez tę frakcję coraz wyraźniej za niezbędne. Stało się to głównie za sprawą uchwał londyńskie-

go kongresu soc.-demokratów rosyjskich, na którym, bez względu na wypadkową przewagę „bolszewików,” między innemi wzbroniono ostatecznie wszelkiego rodzaju „ekspropriacyj,” „bojówek” i dążeń do „powstań zbrojnych.” Ten zdrowszy zwrot w partyi musiał się odbić i na jej frakcyi parlamentarnej. I ona musiała zrozumieć, że gdy nie mają być urządzone „ekspropriacye” i „powstania zbrojne,” to parlament staje się w pewnej mierze organem emancypacyi politycznej narodu czy „ludu.” Zrozumienie to, jak się zdaje, przyszło też, ale już wtedy, kiedy było zapóźno: frakcyi przedstawiono oskarżenie o spisek i, po rozwiązaniu z tego powodu parlamentu, zaaresztowano i skazano na ciężkie roboty głównych jej członków.

Obecnie, w trzeciej Dumie, frakcja socyalno-demokratyczna, licząca kilkunastu członków, wyrzekła się już specyficznie rosyjskich metod walki parlamentarnej, przyswoiwszy sobie taktykę socyalistyczną z parlamentów zachodnio-europejskich. Lecz brak sił intelektualnych i talentów politycznych czyni rolę tej frakcyi w trzeciej Dumie zgoła nikłą. Przyczynia się do tego i ogólny stan partyi w chwili obecnej. Kompetentny w tym przedmiocie organ, *Nasz Wiek*, tak przed paru miesiącami charakteryzował obecne położenie socyalnej demokracji rosyjskiej: „Wszystkie sprawozdania miejscowych organizacyj ros. s. d. rysują nam jedno ogólne zjawisko: zjawisko przesilenia. Wszędzie brak żywej roboty politycznej, odpływ sił inteligentnych, zniknięcie związków zawodowych, które stanowiły potężne oparcie dla organizacyi, zmniejszenie ilości członków, osłabienie więzów organizacyjnych i t. d. Jeżeli do tego dodamy upadek nastroju w naczelnych kołach robotniczych, obojętność nawet czynnych członków co do losu organizacyi, masowe usuwanie się robotników, to przekonamy się naocznie o fakcie przesilenia.” Wspomnijmy wreszcie o ciągłych wojnach, jakie, mimo wszystko, coby teraz powinno było jednoczyć, srożą się w łonie rosyjskiej s.-d.-cyi. „Bolszewiki” dowodzą, że ich towarzysze „zaciemnili poczucie klasowe proletariatu,” zaś „mniejszewiki” utrzymują, że tamci przestali być marksistami i raczej powinni się zwać anarcho-socyalistami. Walka ta sprawia, że od partyi, jak to już było wyżej stwierdzone, uciekają masowo i *Mitläufer’zy*. Słowem zdaje się, że kryzys w rosyjskiej demokracji socyalnej prowadzi raczej do upadku, niż do zdrowych przekształceń w kierunku utworzenia partyi robotniczej.

Druga partya socyalistyczna rosyjska, t. zw. socjaliści-rewo-lucyoniści, przedstawia to oryginalne zjawisko, że była reprezentowana i to dosyć licznie (około 50 posłów) w drugiej Dumie, lu-

bo z samej nazwy tej partii wynika, że nie uznaje ona walki politycznej drogą parlamentarną. Stało się to w następujący sposób. Partya s. r. wybory do pierwszej (i do trzeciej) Dumy bojkotowała. Lecz skoro okazało się, że metody walki politycznej terrorem i t. p. środkami rewolucyjnymi nie prowadzą do tych wolności, jakie obiecywała ludowi partya, wówczas zdecydowano się na wstąpienie do parlamentu. Odpowiednie postanowienie zjazdu soc.-rewolucjonistów dało dyrektywę przyszłym posłom tego kierunku. „Główne zadanie taktyki parlamentarnej—czytamy w tym dokumencie—powinno być dalekie zarówno od dążeń, za jakąkolwiek cenę do kompromisów, celem unikania rozpędzenia Dumy, jak od dążenia do stwarzania zewnętrznych, bezprzedmiotowych i mało dla szerokich mas zrozumiałych powodów konfliktu.“ Myśl tę rozwinęto dalej: „Posłowie s. r. powinni trzymać się takiej taktyki, przy której, w razie rozpędzenia Dumy, odpowiedzialność za to w poczuciu klasy pracującej spadłaby całym ciężarem na rząd.“ W § 4 postanowień zjazdu czytamy: „Zjazd uważa, że ostre partyjne grupowanie się wewnątrz Dumy, przy odosobnionem wystąpieniu każdej oddzielnej grupy i silnej walce międzyfrakcyjnej, mogłoby zupełnie sparaliżować działalność większości opozycyjnej i przez to dyskredytować w oczach klas pracujących samą ideę przedstawicielstwa narodowego.“

Wszystko to byłoby wcale dobrze, gdyby nie inne punkty uchwały. Zjazd np. „stanowczo wypowiedział się przeciw taktyce, określającej zadanie Dumy, jako pracy organicznej wespół z rządem, przy ograniczeniu się Dumy ramami praw zasadniczych.“ Więc cóż z tego może wynikać? § 8 mówi: „należy wyklądać w Dumie najistotniejsze punkty programu partyjnego *w całej ich szerokości*.“ Zjazd więc uchwalił „wyznaczać w Dumie komisye śledcze, śledztwa na miejscach, specjalne delegacye na prowincyę;“ „podrywać siłę materyalną rządu stanowczą taktyką w kwestyach finansowych i budżetowych;“ wreszcie „przyoblec w konkretną formę prawodawczą (??) takie zasadnicze żądania ludowe, które Duma, w chwili ostatecznego konfliktu, powinna proklamować, jako podlegające natychmiastowemu urzeczywistnieniu drogą jawną (np. powszechne prawo wyborcze, niezbędne dla utworzenia konstytuandy, i t. d.). Słowem s. r. „uznając, że nie potrzeba przyspieszać konfliktu, jednocześnie zalecali środki wyraźnie natury rewolucyjnej, z których każdy z osobna prowadził nietylko do „wyjścia po za ramy praw zasadniczych,“ lecz wprost do rozwiązania Dumy. Rozumie się, że takiej taktyki frakcyja parlamentarna, choćby jako tako rozsądna, trzymać się nie mogła,

to też dumscy soc.-rewolucyoniści odmówili przyznania dyrektywy zjazdu i postanowili kierować się własnymi poglądami, o czym ogłoszono *urbi et orbi*. Ten fakt sam najlepiej charakteryzuje sprzeczność, istniejącą w samem założeniu partyi, a więc i rozłam, jaki się w niej dokonywa.

Społeczny program partyi s. r. jest równie daleki od rzeczywistości, jak s. d., i równie naiwny wobec dokonywującego się przewrotu w układzie społecznym Rosyi. Jeżeli jeszcze socyalni demokraci mogą z pewnem powodzeniem mówić w swych kołach proletaryatu miejskiego o „municipalizacyi,” to s. r., opierający się głównie na ludzie wiejskim, prawiąc mu o „socyalizacyi” ziem i tym podobnych archaizmach ortodoksji socyalistycznej, przedstawiali rozbrajający wprost swą prostolinijnością światopogląd historyczny. Właśnie dzisiaj, kiedy kraj idzie ku indywidualizacyi własności ziemskiej, kiedy dokonywa się rozbijanie fatalnej „obszczyny,” kiedy chłop dąży coraz łakomiej do posiadania, opierać swój wpływ na lud na programach „socyalizacyi” — jest to beznadziejnie uragać rzeczywistości, faktom, potrzebom i dążnościom. To też ferment, odbywający się w łonie s. r. zarówno pod względem politycznym, jak społecznym, jest równie głęboki, jak u socyalnych demokratów, i partya przedstawia się dzisiaj w takim samem, jak tamta, rozbiciu. Ma ona teraz przed sobą taki dylemat: albo wyrzec się roboty kulturalnej i powrócić do działań spiskowych, albo gruntownie zmienić swoją dotychczasową taktykę, przyczem, jak przepowiadają, okazałaby się możliwość zlania się z t. zw. socyalistami ludowymi. Co do tego ostatniego zresztą można mieć pewne wątpliwości. Jeszcze kilka miesięcy temu (w końcu r. z) „trzeci zjazd rady partyjnej” uznał za niedopuszczalne jedynie istnienie organizacyj, „poświęcających się specjalnie działalności ekspropriacyjnej;” nie wyłączając jednak „możności dokonywania ekspropriacyj skarbowych za pomocą lotnych oddziałów terrorystycznych,” rada uznała jednocześnie za „bardziej celowe urządzenie w tym celu specjalnych czasowych oddziałów, każdorazowo dla przedsięwzięć ściśle określonych, złożonych wyłącznie z ludzi ściśle partyjnych, pod kierownictwem specjalnie upoważnionej osoby.” Z powyższego widać, że s. r. pójdą po dawnej drodze, o ile zresztą nie wstrzyma ich w tem rozłam w partyi, jaki już zaznaczył się np. w oddziale Woroneskim, który działalność ekspropriatorską i terrorystyczną potępił (jeszcze w lutym r. z.).

O działalności t. zw. socyalistów ludowych dotychczas niewiele można powiedzieć. W programie bliższa życiu od dwu po-

przednich, mająca lepsze zrozumienie potrzeb włościańskich, w taktyce swej w drugiej Dumie przejawiała radykalizm może najjaśkrawszy, sprzeczny z pisanemi dyrektywami. Skromna ta partya, obecnie zupełnie nie objawiająca żadnej działalności, zdaniem radykalistów rosyjskich, mogłaby się stać zaczątkiem poważnego stronnictwa włościańskiego, gdyby posiadała większą siłę werbującą i przyciągającą.

Na zakończenie tego przeglądu działalności stronnictw skrajnych należy się kilka słów poświęcić t. zw. trudownikom.

Grupa ta powstała jeszcze w pierwszej Dumie i stała się poniekąd głośną jaskrawemi wystąpieniami swych przywódców, Aładina, Anikina, Bondarewa i Żyłkina. O genezie jej zorganizowania się informuje nas publicysta radykalny, Semenjuta, w ten sposób: „Grupa składała się z żywiołów demokratycznych i była zjednoczona *wyłącznie swym nastrojem rewolucyjnym*, odzwierciedlając w sobie, jak w lustrze, poglądy i uczucia klas pracujących. „Grupa pracy“ *nie posiadała określonych i wyłącznych celów i zadań politycznych*, nie była spojona jednością taktyki. Zorganizowała się na kilka dni przed otwarciem Dumy. Część opozycyjnie usposobionych posłów włościańskich przybyła do Petersburga z mocnem postanowieniem zdobycia dla swych wyborców „ziemi i wolności.“ Kilku z nich przyszła do głowy myśl zjednoczyć przedstawicieli włościanstwa i zorganizować jednomyślną i silną grupę parlamentarną. W tym celu należało porozumieć się w najważniejszych kwestyach. Komitet organizacyjny grupy urządzał posiedzenia, na których były rozpatrywane pilne potrzeby włościanstwa i ludu roboczego, i przyciągał do udziału w pracy posłów wiejskich. Po kilku tygodniach grupa pracy zdołała wypracować projekt programu, w którym *główne miejsce zajmował program agrarny*, rozstrzygany w sensie *oddania całej ziemi w ręce ludu*. Wszystkie pozostałe kwestye „ziemi i wolności“ grupa decydowała daleko radykalniej, niż partya kadecka.“

Na tej samej pozycji pozostała „grupa pracy“, pomimo upływu blisko 2 lat, i do dzisiaj. Tak samo w dalszym ciągu nie ma ona ani programu, ani myśli politycznej, ani idei działania taktycznego. Jej ogólny światopogląd jest niewątpliwie zabarwiony socjalizmem, co się najwyraźniej odbiło w trudownicim programie agrarnym, jej nastrój jest napół rewolucyjny, ale fizyonomii własnej grupa zupełnie nie posiada. W drugiej Dumie trudownicy znaleźli się w ogromnej liczbie około 100 ludzi i w wielu razach stawali się czynnikiem decydującym i to tak dalece, że utworzenie na dłuższy czas większości parlamentarnej bez ich

udziału, albo bez ich rozbicia, stałoby się niemożliwem, co stwierdził w swoim czasie główny organ prasowy kadetów. Tymczasem rzecz ta była trudna, bo wobec chaotyczności partii, pozbawionej w dodatku zupełnie inteligentnych i wytrawnych przywódców, o żadnych stałszych kompromisach nie mogło być mowy. Zresztą w drugiej Dumie wpływ na trudowików frakcyi s.-rewolucjonistów był bardzo duży i w wielu razach decydował o stanowisku pierwszych. W zasadniczych głosowaniach i taktyce dumskiej trudowicy szli prawie zawsze—z wyjątkiem amnestyi—zgodnie z socyalistami. W trzeciej Dumie grupa pracy zredukowała się do kilkunastu posłów i straciła do reszty swą „formę“ polityczną. Ukrywa w sobie najróżnorodniejsze żywioły opozycyjne, od przyblakłych soc.-rewolucjonistów do włościan, nie pragnących niczego poza „ziemią.“ Podobno poza Dumą ci oświeceńsi członkowie grupy, którzy jeszcze ocaleli, biorą czynniejszy udział w bieżącej pracy kulturalnej na wsi.

Wogóle skrajne stronnictwa rosyjskie okazały zupełną niezdolność trzeźwego oceniania rzeczywistości, krańcową skłonność do złudzeń rewolucyjnych, nieumiejętność patrzenia na rzeczy pod innym kątem widzenia, jak tylko pod rewolucyjnym, a wreszcie bezradność wobec przeczących ich światopoglądowi faktów życiowych. Doświadczenie historyczne nie odbijało się na nich prawie w najmniejszym stopniu. Doktryneryzm ślepy w programach, demagogizm jaskrawy w sposobach działania, wydały też rezultaty fatalne: apatyę, rozczarowanie, dezoryentację mas ludowych.

I doszło do tego, że pisarz radykalny, M. Engelhardt, pisze takie rzeczy w *Swobodnych Myślach*: „Ślodycz pokojowego odrodzenia, przemądrzałość kadecka, nieprzejednanie esdeckie, zuchwalstwo es-er'owskie, szal maksymalistów—wszystko to w jednakowym stopniu było błędem: nie mylił się tylko związek narodu rosyjskiego. Wszystkie partie postępowe i rewolucyjne robiły błędy i nic, prócz błędów, nie robiły: wszystko, co jest w Rosyi mądrego, utalentowanego, zdolnego, poświęconego, bohaterskiego—wszystko to broiło głupstwa, 'wszystko zaś, co jest w niej głupiego, podłego, ludożerczo-niemilosierznego, bezwstydного i zbućwiałego—działało rozumnie. Ludzie okazali się głupcami, orangutangi zaś mędrkami.“ Gorycz ta, dochodząca aż do samobiczowania, jest niewątpliwie rezultatem głupstw, ale takich, których większości można było uniknąć. Stronnictwa radykalne rosyjskie były, jak p. Engelhardt, ofiarą złudzeń, że „naród jest bohaterem,“ i gdy się okazało inaczej, oskarżają go, że jest „manekinem.“ Fakt ten najlepsze daje świadectwo stopnia przygotowania rosyj-

skich żywiołów radykalnych do nowych warunków politycznych, które się przed nimi bądź co bądź po 30 października otwały. Niewiele mniej beznadziejnie narysowała obecne położenie rzeczy konferencya 3-go zjazdu Rady socjalistów-rewolucjonistów, rzucając takie „charakterystyczne rysy“ sytuacji obecnej: „1) wzmożenie pozycji samowładztwa wskutek zwrotu w stronę reakcji tych żywiołów społecznych, których *odstraszyła rozwinięta szerokość socjalnej treści rewolucyi*; 2) zmęczenie, rozczarowanie i chaos wśród znacznej części inteligencji; 3) sparaliżowanie energii rewolucyjnej mas pracujących wskutek niesłychanych represyj i 4) jako rezultat tego paraliżu, przy jednoczesnem zaostrzeniu się niezadowolenia pracowników partyjnych, zatomizowanie się walki i jej *zwyrodnienie w bezowocnych ekscesach indywidualnych*.“ Taka krytyka, będąca w gruncie rzeczy auto-krytyką, powinna by s. r.-ów czegoś nauczyć.

Wogóle biorąc, w Rosyi niema dotychczas szerokiej partyi demokratyczno-ludowej, nie wychodzącej z haseł antagonistycznych, lecz przeciwnie rozumiejącej współczesne zasady solidarystyczne, troszczącej się o lud nie ze stanowiska klasowego, lecz narodowego, realistycznej, pozytywnej, utopiom i złudzeniom wrogiej. Miejsce takiej partyi jest dotąd w Rosyi nie zajęte.

V.

W Rosyi stronnictw zachowawczych dotychczas nigdy nie było. Rząd nie szukał i nie potrzebował poparcia społeczeństwa. Dopiero zmienione stosunki polityczne ujawniły konieczność i dla rządu oparcia się na jakichś żywiołach społecznych przynajmniej na czas walki z niezadowoleniem mas demokratycznych. Tak powstał Związek narodu rosyjskiego, stanowiący jedyną organizację prawicy, której możnaby—lubo z wielkim trudem—nadać nazwę partyi. Pozatem zorganizowanych na zasadach partyjnych żywiołów zachowawczo-reakcyjnych w Rosyi dotąd niema. Wszystkie inne organizacje, nawet frakcje prawicowe w Dumie, wyraźnej i samodzielnej fizyonomii politycznej nie posiadają, a działania ich określane są głównie kierunkiem polityki rządowej. Poza Dumą jednak na uwagę zasługują dążenia szlachty, ujawniające się ze zmienną, to większą, to mniejszą siłą, ale znowu z pewnym planem wytycznym i dość wyraźną linią postępowania.

Przyjście do skutku w trzeciej Dumie stałego porozumienia się między paździenikowcami a prawicą spowodowało odszczepieństwo pewnej części skrajnej prawicy. Organy „prawdziwych Rosyan“ nie szczędziły wyrzutów, a nawet obelg zarówno paździenikowcom, jak tym wszystkim, którzy się „farbują“ na zwolenników absolutyzmu, ale w głębi duszy „pragną konstytucyi“ i w nią „wierzą.“ Przez tych rozumieć trzeba grupę t. zw. umiarkowanie-prawych, która wskutek swych układów z Guczkowem stała się podejrzaną w oczach „prawdziwych Rosyan.“ Do pewnego stopnia podejrzenia o „prawomyślność“ umiarkowanych są usprawiedliwione. Parlamentarzyści ze skrajnej prawicy nie chcą Dumy prawodawczej, na takim zaś stanowisku konserwatyści czystej wody i najlojalniejsi monarchiści stać nie chcą i zapewne nie staną. „Dopóki jest wola Monarsza, aby Duma istniała, będę stał przy niej murem“ — oznajmił przywódca „umiarkowanych“, Krupienskij, w dniu otwarcia trzeciej Dumy. Dla pp. Puriszkiewiczów od dn. 16 czerwca niema niewzruszalności praw zasadniczych, niema konstytucyi i Dumy prawodawczej. Ich zdaniem prawo czerwcowe kładzie kres wszelkim pod tym względem wątpliwościom. Trzeba się więc raz na zawsze wyrzec powoływania się na prawa zasadnicze, które nie istnieją. Prawica „umiarkowana“ odpowiada na to, że dowodzenie Puriszkiewiczów jest sprzeczne z wolą Monarchy, której aktem są prawa zasadnicze i Duma prawodawcza. Nie jest to jeszcze konstytucya, jak utrzymują kadeci i paździenikowcy, ale nie jest także ustrój samowładztwa biurokratycznego.

Na tem nie kończą się kontrowersye w łonie prawicy parlamentarnej.

Grupa Puriszkiewicza sądzi, że czyste poczucie nacyonalistyczne nakazuje, co parlament ma najpilniejszego do zrobienia. Po wytępieniu „buntu“ we wszystkich jego objawach: politycznego, szkolnego, urzędniczego i t. p. albo jeszcze lepiej: równoległe z tem tępieniem — należy się zabrać do „obcoplemieńców“, którzy gubią Rosyę. Zwłaszcza Polacy i Żydzi są żywiołem rozkładowym, prowadzącym państwo na skraj przepaści. Niech Duma zajmie się tem zagadnieniem, niech wypracuje normy i sposoby zniweczenia złowrogiej siły Polaków i Żydów, a o resztę niech się nie kłopotuje, rząd bowiem, o ile przejmie się należytym duchem, znajdzie środki przysparzania państwu dobrobytu i szczęścia. Prawica umiarkowana odpowiada na to, że wprowadzie program powyższy odznacza się prostotą, ale nie wyczerpuje całokształtu zagadnień politycznych bieżących. Dużo np. trzeba dokonać, aby

w administracji wewnętrznej zapewnić stałą, zagwarantowaną przewagę „dojrzałym żywiołom społecznym,” posiadającym za sobą „tradycję.” Na tę kwestyę program Puriszkiewiczza odpowiedzi nie daje. Trzeba ją jednak rozwiązać, w tym celu zaś musiał być zawarty układ z paździenikowcami. To wprawdzie zmniejsza widoki pełnego zrealizowania żądań, stawianych przez prawięcę, ale z drugiej strony ułatwia w niektórych dziedzinach przeprowadzanie postulatów zachowawczych i szlacheckich.

„Związek narodu rosyjskiego” był od początku przeciwny instytutowi Dumy prawodawczej. W czasie istnienia drugiej Dumy czytaliśmy w „Russkom Znamieni” okólniki głównego zarządu, żądające silnej agitacji członków przeciw Dumie. Tak np. okólnik z dn. 12 marca r. z. brzmiał: „Z chwilą, kiedy w „Russkom Znamieni” zjawi się znak krzyża †, niezwłocznie należy zwracać się z telegramami do Najjaśniejszego Pana i do prezesa rady ministrów, Stołypina, i usilnie prosić, a nawet żądać: a) natychmiastowego rozwiązania Dumy, rozkładającej masę ludową, a nie budującej dobrobytu ludowego i b) zmiany za jakąkolwiek cenę prawa wyborczego, bez czego Duma nie będzie zdolna do pracy, albowiem zawsze będzie składała się w większości z odpadków społecznych i przestępców.” Okólnik przewiduje zarazem działanie członków Związku na wypadek rozwiązania Dumy. „W dniu rozwiązania, lub najbliższym czasie, urządzać w najszerszych rozmiarach manifestację patryotyczną po mszy.” Organa partyjne Związku wyrażały się jeszcze daleko silniej i wprost żądały zniesienia raz na zawsze instytutu Dumy, nie dopuszczając nawet przekształceń jej w duchu „doradczym.” Już w kwietniu roku bieżącego, kiedy sposób działalności trzeciej Dumy, zdawałoby się, nie nastrocza obaw nawet skrajnym monarchistom, w „Russkom Znamieni” wydrukowano na czele numeru „list otwarty” do prezesa Dumy, Chomiakowa, gdzie, po szeregu obelg osobistych, komunikuje się postanowienie jednego z oddziałów Związku, aby Duma „przerwała swe istnienie w tym składzie, albowiem czyni zamach na zniszczenie najbardziej utalentowanego w świecie narodu rosyjskiego.”

Wogóle trudno byłoby zdać sobie sprawę, jakie środki zaleca Związek n. r. celem uporządkowania stosunków wewnętrznych Rosyi. Wszystko, co czyni rząd obecny, wydaje mu się za małym z jednej strony, liberalnem i „kadeckiem”—z drugiej. „Rozpędzić Dumę, paździenikowców ogłosić za zdrajców i na zasadzie art. 99 k. k. ukarać śmiercią, gabinet p. Stołypina „rozpędzić” za jego ukrytą i jawną protekcję okazywaną „rewolucjonistom,”

obcoplemieńców wytępić, na wsiach pozostawić tylko szkoły cerkiewno-parafialne, sądownictwo ześrodkować w rękach tylko sądów polowych, najdrobniejsze przestępstwo polityczne karać śmiercią, w uniwersytetach zaprowadzić porządki wojskowe i t. d.“ — w ten sposób próbuje scharakteryzować program Związku jedno z pism stołecznych, przyznając się zresztą zaraz, że zadanie to jest ponad jego siły.

W ostatnich czasach w Związku ujawnił się pewien ferment, ale nie na punkcie ideowym, lecz wyłącznie osobistym. Doprowadził on w końcu do utworzenia drugiej organizacyi tego samego typu, noszącej miano „Związku Archanioła Michała“ i obliczonej na główny w niej udział duchowieństwa prawosławnego. W ogłoszonym w kwietniu r. b. okólniku prezes nowego Związku, Purizskiewicz, demaskuje „podłe insynuacje,“ rozsiewane o jego organizacyi, jakoby była „zwolenniczką konstytucyi.“ Związek stoi i stać chce niezachwianie przy zasadzie samowładztwa.

Wpływ Związku w ostatnich kilkunastu miesiącach na wypadki polityczne był ogromny. Wyraził się on, między innemi, i w tem charakterystycznym zjawisku, że Związek, lubo posiada stosunkowo niewielu posłów w trzeciej Dumie, na swoją reprezentacyę w prezydium (vice-prezes Wołkonskij i „sympatyk“ Związku, sekretarz Sozonowicz) i to bardzo licznie poważną. Na prace ustawodawcze Dumy będzie jednak Związek oddziaływał widocznie i silnie dopiero w tych wypadkach, gdy w grę wejdą kwestye narodowościowe. Pod tym względem hasła Związku, choć może nie w całej ich rozciągłości, będą, jak się zdaje, przyjęte przez większość Dumy. Natomiast jest wątpliwem, czy ogólne zasady polityczne Związku kiedykolwiek zapanują na ławach prawicy parlamentarnej: jej skrzydło umiarkowane ciąży raczej w tej dziedzinie ku poglądom prawego skrzydła październikowców. Zresztą, jak powiedziałem wyżej, dużo tu zależy od postawy rządu, który jest dzisiaj prawdziwym przywódcą bloku większości parlamentarnej.

Szlachta w dniach „ruchu wolnościowego“ nie występowała naprzód, jako organizacya stanowa, posiadająca określone poglądy polityczne i aspiracye społeczne, ukrywając swoje dążenia, albo nawet tu i owdzie popierając sprawę emancypacyjną. Dopiero uwidocznienie się radykalizmu społecznego kadetów oraz postępy akcji kontr-rewolucyjnej, obudziły czujność szlachty i przyspieszyły ich zabiegi około utrzymania *status quo*, przyczem reakcyjne oblicze większości członków rosyjskiej organizacyi szlacheckiej ujawniło się w całej pełni. Odbyte w tym czasie dwa ostatnie

zjazdu szlacheckie dają pod tym względem niezaprzeczonej autentyczności materyał.

Drugi zjazd szlachty, zwołany w końcu listopada 1906 r., odbywał się jeszcze w atmosferze upadku ducha. Arsenjew rysował obraz „poniżenia“ szlachty na wyborach, kiedy stan ten „zatarty przez szynkarzy, subjektów sklepowych i t. d. przedstawiał smutny widok niewielkiej garści ludzi w sali wyborów, ludzi, którym z góry ogłoszono wyrok śmierci.“ W tonie rozdrażnienia żądał on, „aby rząd otwarcie powiedział,“ że „nie potrzebuje owego stanu, będącego oparciem dla Tronu.“ Hr. Olsufjew przyznawał, że „kiedy rozwiązano pierwszą Dumę i rozpoczęto grę *va banque*, to sądziliśmy, że rząd wstąpi na drogę stanowczą i że śmiało odwoła się do władzy samowładczej, podejmując kwestyę zmienienia prawa wyborczego.“ Lecz, według ostrożnego wyrażenia hrabiego, niestety, „rząd wybrał inną drogę — drogę wyjaśnień senatu.“ Ks. Kasatkin-Rostowskijski oznajmił, że jest „optymistą“ i że „wierzy, iż jeżeli będziemy jednomyślni i stanowczy, to rząd znajdzie możność poczynić te zmiany w prawie wyborczem, które mu wskazujemy.“ Prawda, niektórzy inni członkowie zjazdu liczyli na pomyślny dla siebie wynik wyborów w związku ze zmienionem usposobieniem społeczeństwa, i nakłaniali swych towarzyszy do zapisywania się do „partyi“ i wzięcia energicznego udziału w wyborach. Lecz panującą była opinia, że udział ten przy starem prawie wyborczem do Dumy będzie bezpłodny, i że dlatego należy się starać o natychmiastową zmianę prawa wyborczego. „Kwestya rozwiązania drugiej Dumy — mówił Zubin — jest wątpliwa, bo niewiadomo jeszcze, czy rząd znajdzie ku temu dostateczny powód. Możliwem jest, że Duma, nauczona przeszłym doświadczeniem, będzie postępowała poprawnie i przyzwoicie i *nie będzie się do czego przyczepić*; lecz jednocześnie, pod ochroną zdobytego przez zewnętrzną legalność swych działań autorytetu będzie ona przeprowadzała prawa zgubne dla państwa.“ Pesymizm ten wzmocnił Szilder-Szuldner: „Jeśli druga Duma będzie się prowadziła poprawnie, to będzie w zgodzie z rządem i nie będzie rozwiązana, a tymczasem *nasze interesy stanowe* mogą być w sprzeczności z interesami rządu.“ Wychodząc z tych pobudek wielu ze szlachty, według świadectwa Naryskina, przyszło do wniosku, że „in Duma będzie gorsza, tem będzie lepiej, bo, gdy się ona ostatecznie zdyskredytuje, to ją rozwiążą i wydadzą nowe prawo wyborcze.“ Należy się więc starać, aby Dumę uczynić o ile można gorszą. Tę myśl rozwijał szeroko członek zjazdu, Puriszkiewicz. „Panowie! — mówił — w tych gu-

berniach, gdzie jesteśmy przekonani, że zwyciężymy, będziemy popierali prawicę; tam zaś, gdzie jesteśmy bezsilni, niech nie przechodzą kadeci, najstraszniejsi wrogowie Rosyi, uiech raczej znajdzie się w większości krańcowa lewica, której przewaga doprowadzi do rozwiązania Dumy.“

Optymizm lepiej poinformowanych członków zjazdu nie został zawiedziony. Prawo wyborcze do Dumy zmieniono, a tem samem zjawiała się możliwość dla skrajnej prawicy wejścia do parlamentu i czynnego wpływania na wypadki. Okoliczność ta w związku ze świadomością, że dążenia szlachty znalazły silny oddźwięk w sferach rządowych, obudziły szlachtę z uśpienia i podniosły jej działalność na wszystkich polach społecznych i kulturalnych. Zaczęto od ziemstw, od usuwania ztamtąd i wprost przepędzania żywiołów „kadeckich.“ Jednych „liberałów“ usuwano od stanowisk wpływowych, przez długi czas przez nich zajmowanych, innych — a był to cały szereg wybitnych działaczy, jak Kokoшкин, Jakuszkin, von Rutzen i w. in.—prostu wyłączano z organizacyi stanowej. Jednocześnie ziemstwa, opanowywane coraz więcej przez szlachtę ultrasowską, zaczęły uchylać różne przedsięwzięcia, mające na celu popieranie reakcyi. Tak np. ziemstwo ekaterynosławskie przyjęło cały szereg postanowień polityczno-policyjnych: asygnowało 100,000 rubli na pomoc policyi, uchwaliło prosić o stworzenie powiatowej organizacyi „specyalnie policyi tajnej i wytrawnych agentów“ i t. p. Coś podobnego stało się także w Niżnym Nowogrodzie.

Jak silne jest napięcie dążeń politycznych szlachty, świadczy najlepiej to, że wbrew wieloletnim tradycjom i powszechnie aprobowanym zwyczajom większość moskiewskiego zgromadzenia szlacheckiego, odbytego w lutym r. b., zdecydowała się na taką redakcyę adresu do Tronu, która nie zjednoczyła *wszystkich* przedstawicieli szlachty, przez co zwyczajowa w takich razach jednomyślność została usunięta. Przypomnieć należy, że podobnie reakcyjny adres uchwaliła także parę miesięcy temu szlachta orłowska, zaś szlachta tulska powzięła tak wsteczną uchwałę w sprawie instytutu naczelników ziemskich, że aż wywołała silne zarzuty ze szpałt dzienników zdecydowanie zachowawczych.

Adres moskiewski nie spotkał się jednak z aprobatą sfer rządzących. Nastąpiła Najwyższa na nim notatka, która nie mogła dodać szlachcie wiele otuchy w jej dążeniach do cofnięcia Rosyi wstecz, aż do epoki Plewego i Pobiedonoscewa. Pod tem też wrażeniem odbył się w marcu r. b. trzeci kongres „wszechrosyjskiego zjazdu szlacheckiego,“ na którym przygnębienie wy-

raziło się zresztą tylko w „nastroju,” ale nie w wysuniętych i uchwalonych postulatach, po dawnemu mających pieczęć krajowego wstecznictwa. Dość powiedzieć, że rej na zjeździe wodził W. J. Hurko, zaledwie na poły ocalały z afery Lidwałowskiej. Zjazd dowiódł zupełnej niezdolności szlachty rosyjskiej, jako odrębnej organizacyi stanowej, do przystosowywania się do rozwijających się warunków życiowych. Całe obrady kręciły się jedynie około przywilejów szlacheckich i to, co im grozi, uznane zostało za rewolucyjne i antimonarchiczne. Sądu gromadzkiego nie można znieść, bo z nim związany jest los naczelników ziemskich; reforma ziemstw jest niedopuszczalna, bo grozi „rozpuszczeniem szlachty w masie pozostałej ludności,” urządzenia stanowe włościańskie muszą być utrzymane i t. d. Nie ujawniono natomiast ani jednej zdrowej, pozytywnej myśli politycznej. To też jeden z przedstawicieli szlachty nadbałtyckiej, w rozmowie ze współpracownikiem *St. Petersburger Zeitung*, wyraził ubolewanie, że wziął udział w zjeździe, albowiem „przy jego otwarciu wyraźnym charakterze reakcyjnym może on mieć szkodliwe następstwa. Zjazd bezwątpienia okaże swój wpływ na rząd. Gabinet bardzo uważnie śledził jego roboty. Godnem uwagi jest, że uchwała zjazdu co do zachowania sądów „wołosnych” niezwłocznie była zakomunikowana ministrowi sprawiedliwości.

Zresztą 3-ci zjazd szlachty był nieliczny i nie rwał się zbyt do pracy, tak, że połowę będących na porządku dziennym kwestyj przekazał, bez rozpatrzenia, stałej radzie zjazdów. Z tego powodu niektóre umiarkowane organy prasy wyrażały może zbyt optymistyczną nadzieję, że zjazd był „ostatnią pieśnią stu mohikanów” i że epopeja szlachty reakcyjnej zbliża się do końca.

Tak więc dotychczas niema w Rosyi partyi, któraby zjednoczyła *kulturalne siły konserwatywne* i pragnęła ulepszać stosunki obecne, w granicach panującego ustroju i w jego imię, drogą powolnej, ostrożnej ewolucyi. Obecna „prawica” jest albo „bezgłowa,” idąca tylko ślepo w ślady rządu, albo rewolucyjna, bo pragnąca przewrotu w duchu wstecznym. Pod tym względem w obozie zachowawczym znajdujemy taki sam chaos i taki sam brak twórczości pozytywnej politycznej, jak na lewicy. To tylko jest pewne, co dobrze wyraził w powitaniu Nowego Roku 1898 Pantelejew, że jeżeli „4 — 5 lat temu régime mógł oddawać się złudzeniom, że istnieją pewne klasy społeczne, dla których współczesny ustrój nie pozostawia nic do życzenia, i że między narodowościami nie rosyjskimi tylko jedni Polacy i Żydzi stanowią niebezpiecznych antagonistów biurokracyi, to obecnie ani duchowo-

wieństwo, ani burżuazya, ani włościanstwo, ani nawet klasy właścicieli ziemskich, wzięci *en masse*, takiej wiary już nie wzbudza-
ją.“ Wypływa stąd, że wszelkie organizacje partyjne, jeżeli mają okazać swą celowość i polityczną płodność, nie będą mogły i w Rosyi opierać się na ideałach i dążeniach klasowych, lecz muszą poszukać oparcia w zachowawczych lub postępowych, ale zawsze narodowych i solidarystycznych punktach wyjścia.

VI.

Na zakończenie niniejszego przeglądu programu i taktyki stronnictw rosyjskich należy powiedzieć kilka słów o ich stosunku do kwestyj narodowościowych, a zwłaszcza do kwestyi polskiej.

Ogółowi naszemu najbardziej znane są pod tym względem poglądy i uchwały kadetów. Zjazdy moskiewskie uznały zasadę „narodowej samodzielności“ (*nacionalnoje samoopredielenje*), dla Pol-
ski zaś zasadę autonomii. Późniejsze występy kadetów w tej materii w I-ej Dumie dowiodły, że to stronnictwo ujmuje kwestyę nie ze stanowiska historycznego i realistycznie-politycznego, lecz z humanitarnego i „liberalnego.“ W pierwszej Dumie wypowiedzieli się pod tym względem szczególnie przywódcy kadetów: Karejew, Rodiczew, I. Petrunkiewicz. Karejew powiedział: „Rosya powinna udzielić wszystkim narodom, ją zaludniającym, zupełną swobodę urządzenia się narodowego, i na tem, zapewniam panów, wygra, między innemi, i sama panująca obecnie narodowość.“ W drugiej Dumie kwestye narodowościowe nie były podejmowane, i tylko wniesiony przez Koło Polskie projekt autonomii Królestwa Polskiego wywołał na szpaltach *Rieczy*, urzędowego organu kadetów, uwagi, które zrobiły pewne wrażenie i stały się przedmiotem komentarzy. Atykuł ten pióra, jak się okazało później, głównego przywódcy stronnictwa, Pawła Milukowa, odzwierciadlił ówczesne poglądy kadetów na autonomię Królestwa.

Milukow zaczął od stwierdzenia, że autorowie projektu autonomicznego „zrobili znaczne ustępstwa duchowi realizmu politycznego.“ Niema już w nim powoływania się na „prawo historyczne,“ niema także mowy o państwowej samodzielności Królestwa Polskiego; przeciwnie § 2 podkreśla, że Królestwo stanowi „nierozdzielną część państwa rosyjskiego.“ Dalej następowały—omówienia i zastrzeżenia. „Musimy otwarcie powiedzieć — pisał Milukow—że, bez względu na rzeczony ustępstwa, wniesiony obe-

nie projekt polski w każdym razie stawia granice żądań narodowych tak szeroko, iż na urzeczywistnienie go w tych rozmianach nie można poważnie liczyć.“ Trzy punkty budzą wątpliwości: 1) sposób odgraniczenia spraw ogólnopañstwowych od miejscowych; projekt skłania się raczej do związku politycznego o charakterze federacyjnym, kiedy właściwiej byłoby trzymać się „autonomii prowincjonalnej;“ 2) i 3) są „jeszcze ważniejsze:“ projekt przewiduje „sejm zarządzający“ (konstytuantę) i pragnie większą część spraw ogólnopañstwowych oddać w ręce władz miejscowych. Autor powołuje się na broszurę p. Steckiego, dowodząc, że ona bliżej była realistycznego ujmowania rzeczy. „Zwyczajstwa polityczne, osiągnięte dotychczas, są rezultatem nie tyle siły opozycji, ile popłochu w sferach rządowych. W takiej chwili niezbędnem jest przełożyć program realny nad aspiracje odległe, i wysunąć na porządek dzienny tylko takie zadania, które najłatwiej zrealizować z góry i mogą być najprędzej poparte przez naród *przy jego obecnym rozwoju*.“ W końcu Milukow wyraża ubolewanie, że „projekt Koła nie był zredagowany w formie bardziej będącej do przyjęcia,“ i mniema, że „większość Dumy prawdopodobnie nie poprze projektu bez poczynienia w nim gruntownych zmian.“ A gdyby nawet zechciała ona pomódz Kołu, to „krok ten stałby się nowym ciężarem, *który pociągnąłby Dumę na dno, a może nawet wywołałby komplikacje międzynarodowe*.“

W trzeciej Dumie kwestya polska wypłynęła najsilniej przy rozprawach nad deklaracją rządu. Zabrał wówczas głos Rodiczew, żądając w długiej mowie, którą wielu Rosyan nazywa najlepszą ze wszystkich wygłoszonych przez tego posła, aby równouprawnienie narodowościowe i zaspokojenie słusznych żądań narodowych stało się wielką troską patryotyzmu rosyjskiego. Mowę tę, dopóki niema innych świadectw, należy uważać za dowód, że kadeci nie cofnęli się z pozycji, zajętej przez nich od r. 1905 w kwestyi polskiej.

Stronnictwa skrajne ujmuja kwestye narodowościowe ze stanowiska centralistycznego, przyczem pod tym względem wyróżnia się szczególnie socyalna demokracja. Uznaja one w zupełności prawo do „narodowej samodzielności,“ lecz granice i rozmiary jej pragną ustanawiać według z góry postanowionej koncepcji społecznej i politycznej. Soc.-Rewolucyoniści akcentuja bardziej „zasady federacyjne.“ Wszystkie te programy pisane niewiele miały sposobności do zdania egzaminu praktycznego, — zaznaczmy w nawiasie wrogie stanowisko s. d. względem dwu jedy-nych w Dumie grup *narodowych*, Koła Polskiego i muzulmanów—

i sądzić o ich szczerości można tylko chyba z historyi. Dlatego może na czasie będzie dowiedzieć się, co o kwestyi narodowościowej myśleli dwadzieścia kilka lat temu socjaliści rosyjscy, zgrupowani około „Narodnej Woli.” Niepodejrzanej prawomyślności socjalistycznej autor, p. A. Tun, tak pisze w swej *„Istorji rewolucyjnych dźwięn w Rossiji”* (str. 146, 147 i 148), opierając się na organie „Nar. W.,” programach partii N. W., proklamacjach i t. p.: *„Zasada centralizacyi powinna być zachowana i po zwycięstwie rewolucyi. Przedewszystkiem władza parlamentu powinna się rozszerzyć na całą Rosyę, i tylko po ostatecznem umocnieniu zdobyczy rewolucyjnych i silnem ugruntowaniu nowego porządku rzeczy różne narodowości mogą otrzymać prawo samodzielnie określać swe stosunki polityczne do całego państwa. Inaczej ciemne siły reakcyi znajdą w nich swoją Wandę i znowu poprowadzą ztamtąd walkę z rewolucyą. W ten sposób najzupełniejsza centralizacya jest zachowana na początku i w mechanizmie państwowym. Jeżeli zaś Żelabow mówi w listach do Dragomanowa o autonomii gmin i narodowości, to prawdopodobnie tylko dlatego, aby przyciągnąć do swej partii tego obrońcę niezależności małoruskiej. Rosya jest tak samo zcentralizowana, jak Francya, a tam od r. 1789 wszystkie rządy republikańskie, monarchiczne i rojalistyczne popierały tę formę organizacyi. Raz wzięwszy władzę nad państwem w swe ręce, nikt się jej nie wyrzeknie dobrowolnie. O autonomii zaś małoruskiej z pewnością ani jeden członek partii Narodnej Woli poważnie nie myślał.”*

Świadectwo powyższe powinno i na dobę dzisiejszą stać się pewnem oświeceniem pytania, ile socyalistom rosyjskim w popieraniu dążeń narodowościowych chodzi o sprawę samą w sobie, a ile o interesy rewolucyi.

Co się tyczy stosunku październikowców do kwestyi polskiej, to zdaje się, że to stronnictwo, prócz usposobień, nie ma w tym względzie żadnych określonych poglądów i będzie się, przynajmniej w najbliższej przyszłości, kierowało wyłącznie wskazówkami rządu. Usposobienia stronnictwa wyraziły się najwidoczniej w przyjęciu wspomnianej wyżej deklaracyi rządu w III Dumie, gdy wszystkie nacyonalistyczne ustępy przemówienia prezesa ministrów były najgoręcej oklaskiwane właśnie przez październikowców. To samo stało się w parę miesięcy później przy mowie posła Anrepa, wyrażającego radość, że prawo 16 czerwca postawiło Polaków w niemożności „decydowania o sprawach rosyjskich.”

Wyraźniejszym aktem poglądów październikowców na kwestyę narodowościową była, w grudniu r. z., dyskusya i głosowa-

nie nad poprawką posła Dmowskiego, który proponował w adresie do Tronu włączyć słowa: „i zadowolić sprawiedliwe dążenia narodowości, wchodzących w skład państwa.“ Że poprawka ta została odrzucona, przypisać to głównie należy październikowcom. Po ich zastrzeżeniach w komisji, w Dumie wystąpili w tej kwestyi prof. Kapustin i hr. Uwarow. Pierwszy wyraził wprawdzie ogólnikową i do niczego nie obowiązującą zasadę: „zaspokojenie potrzeb wszystkich obywateli rosyjskich bez różnicy narodowości,“ ale zaraz skwapliwie wyraził wątpliwość co do autonomii, czy ona „odpowiada zasadzie jednej nierozdzielnej Rosyi.“ Drugi dopatrywał w „sprawiedliwych dążeniach“ niebezpieczny dwuznacznik. Bez względu na to, że przedstawiciel Polski stanął na gruncie państwowym, mówca nie zawahał się wyrazić domniemania, że „sprawiedliwe dążenia“ ukrywają chęć rozczłonkowania Rosyi.

Po za tem o poglądach październikowców na kwestyę polską, prócz oznajmień pojedynczych mówców, energicznej akcji polskiej Guczkowa przeciw autonomii Królestwa i symptomatycznych, ale ubocznych uchwał w komisjach i w pełnej Dumie, nie posiadamy bezpośrednich materiałów do kategorycznych wniosków, i musimy się tymczasem oprzeć głównie na pisany program tego stronnictwa, który o kwestyi narodowościowej mówi w sposób, używany także dotąd i przez centralistyczną biurokracyę rosyjską. Tak więc od tego stronnictwa nie można żadną miarą oczekiwać głębszego zrozumienia interesu państwowego, tkwiącego w rozwiązaniu kwestyi polskiej.

Wogóle trzeba tu zaznaczyć, że sama sprawa decentralizacji administracyjnej jest, jak się zdaje, dotąd zgoła niedostępna myśli politycznej rosyjskiej, wychowywanej na wzorach centralizmu absolutystycznego i będącej owocem raczej wschodniego, niż zachodniego światopoglądu historycznego. Może najwięcej na tym gruncie trzeźwej myśli państwowej możnaby spotkać wśród członków stronnictw pokojowego odrodzenia, którzy z jednej strony unikają „humanitarnych“ i „pryncypialnych“ argumentów kadetów, oraz słowianofilskich racyj stanu Szarapowa, Nestora, Pogodina, z drugiej—strzegą się rutynicznej metody rozstrzygania tej dziedziny zagadnień państwowych, biorąc rzeczy z jednej strony, jaka jest tu decydująca, mianowicie ze strony pożytku i przyszłości państwowej. Ale jest tu ciągle jeszcze raczej trafne przeczucie, raczej wierny instynkt polityczny, niż silna, na dobrem, gruntownem poznaniu oparta świadomość polityczna. Takie głosy, jak

ks. Eug. Trubeckiego, pozostają wciąż dokumentami zdrowego, ale odosobnionego rozumu stanu:

Mówiąc o stosunku stronnictw rosyjskich do kwestyi polskiej nie można przemilczeć głośnego przed paru miesiącami artykułu w *Russ. Myśli* b. pośła, znanego publicysty, Piotra Struwego, w którym autor przystąpił do zagadnienia z nowej dla Rosyan strony. Centralna myśl tego artykułu była następująca: „Wszelkie zdrowe i silne państwo pragnie być potężnem. Być zaś potężnym, to znaczy posiadać siłę „zewnątrzną.“ Albowiem z dążenia państw do potęgi koniecznie wypływa to, że wszelkie państwo słabe, jeśli nie jest ochraniane przez współzawodnictwo interesów państw silnych, staje się możliwą (potencjalnie) i rzeczywistą (*de facto*) zdobyczą państwa silnego. Ztąd otrzymuje się tezę: miarą całej t. zw. wewnętrznej polityki zarówno rządu, jak partyi, powinna być odpowiedź na pytanie: w jakiej mierze ta polityka współdziała t. zw. zewnętrznego polityce państwa? To nie znaczy, że „potęga zewnętrzna“ wyczerpuje całą treść istnienia państwa; z tego nie wypływa nawet, że potęga zewnętrzna stanowi górującą wartość z państwowego punktu widzenia; być może, że jest to tak, ale nie jest ono niezbędne, aby nasza teza była słuszna.“

Innemi słowy mówiąc, p. Struwe pragnie przedewszystkiem dźwignąć te czynniki wewnętrznego życia politycznego Rosyi, które wpływają na jej potęgę zewnętrzną, bo ta ostatnia dopiero zabezpiecza normalny i bujny rozkwit społeczny, narodowy, kulturalny. Stojąc na takim stanowisku, autor nie jest jeszcze imperialistą, ale jest już promotorem idei państwowej, w której wcieleniu w życie widzi jedyną rękojmię rozwikłania sprzeczności wewnętrznych, w jakie wpadli najlepsi patryoci rosyjscy z obozu zachowawczego i radykalnego.

Przechodząc do kwestyi polskiej, p. Struwe tak ją ujmuje z tego ogólnego swego stanowiska, mającego na widoku „Wielką Rosyę:“ „Opierając się na ekonomicznym związku Polski z Rosyą, powinniśmy skorzystać z jej przynależności do państwa w ten sposób, ażeby za jej pośrednictwem wzmocnić nasz związek naturalny ze Słowiańszczyzną wogóle i zachodnią w szczególności. Polityka nasza w sprawie polskiej powinna przyczynić się do zbliżenia naszego z Austryą, która staje się mocarstwem słowiańskiem w stopniu coraz większym. Liberalna polityka polska w olbrzymim stopniu podniesie naszą powagę w świecie słowiańskim i w sposób zupełnie naturalny wytworzy związek moralny między nami a Austryą, jako państwem.“ Poglądy te autor wzmocnił jeszcze

i uzupełnił następnie w polemice z niemieckim profesorem Schie-
manem, który właśnie dla tego, że Struwe brał kwestyę z jej naj-
właściwszego stanowiska, zwrócił na artykuł uwagę i poświęcił
mu osobną rozprawę w *Kreuz-Ztg.* „Sądzę — pisał Struwe w tej
odpowiedzi — że interesy Niemiec i Rosyi są antagonistyczne. Lecz
z tego antagonizmu wypłynie konflikt wojenny tylko w tym wy-
padku, jeśli przed silnemi, potężnemi Niemcami będzie stała Ro-
sya słaba, wewnętrznemi rozterkami męczona, antagonizmami ple-
miennemi gnębiona, niepomna swej misyi słowiańskiej. Stworzyć
silną, istotnie wielką Rosyę, można tylko na drodze zupełnego
uzdrowienia narodu i władzy, w duchu prawdziwej państwowości.“

Polemika, jaką wywołał artykuł Struwego na szpaltach pism
rosyjskich, zwłaszcza radykalnych, i prawie powszechnie, lubo
z różnych pobudek, odżegnywanie się od idei w nim zawartych,
dowodzą, że poglądy na interesy państwowości dalekie są jeszcze
w Rosyi od faktycznego realizmu. A tymczasem tylko zwycięstwo
tego ostatniego może sprowadzić trafne ocenianie kwestyi polskiej.
W dzisiejszej zatem dobie, kiedy rząd obstaje przy rozstrzygnięciu
tego rodzaju zagadnień siłą fizyczną, a główne partye, posiadając
przewagę w Dumie, zbierają się pomagać mu w tej robocie, nie-
można oczekiwać rychłego odwrotu z fałszywej drogi.

BOLESŁAW KOSKOWSKI.

SŁOWACKIEGO LATA OSTATNIE

1843 — 1849.

IV.

Nowe próby filozofowania. Polityka czynu.

Do filozofii pchnął Słowackiego ogólny prąd, który kazał romantykom europejskim żyć, cierpieć, spodziewać się za ludzkość całą, a który miał charakter społeczny. Miał ten prąd uprzedmiotować poniekąd ich indywidualizm, miał wzruszeniami porządku bardziej ogólnego zastąpić wyraz zbyt podmiotowy poruszeń własnej ich jaźni. Vigny, Lamartine, Lamennais, Saint Simon pokazywali tu drogę poecie, który poszedł nią śmiało i rozsiewał po swej drodze piękno, gdy sądził, że rozsiewa myśli filozofa. Mógł powiedzieć o sobie, że nie odróżnia się od otoczenia, że jest wyobrazicielem ludzkości, a przynajmniej swego narodu, że jego uczucia mają, wedle myśli Hegla, coś ogólnego, trwałego, wiecznego w treści i kierunku. Metafizyczny charakter twórczości utrwalał się z każdym rokiem; w wybuchach uczucia, w obrazach barwnych kryły się zagadnienia bytu, symbole nieznanego i nieświadomego.

A choć były to tylko próby filozofowania, na które dziś patrzemy z uśmiechem, ale bez szyderstwa, poeta nie wątpił bynajmniej, że w tym wartkim strumieniu chromatycznym, którym była jego poezya, kryły się rozwiązania celów ostatecznych. Te rozwiązania uważał za siły swej poezyi, za jej nerw żywotny, za alfę i omegę natury i ludzkości, zamknięte w formach poetyckich i powstałe w chwilach obudzenia świadomości wewnętrznej. Uważał się za wolnego w duchu na sposób czysto schellingiański, który go prowadził do zdobycia warunków tej wolności ducha; gdy

je posiadał, sądził, że ma poznanie. Ducha uważał, zgodnie z poglądem Schellinga, za jedynie istniejącego; poznanie obejmuje wszystko i osiąga się, zdaniem poety, drogą moralnego oczyszczenia. Jeden jest świat duchowy, wszystko powstaje z twórczości ducha, a więc natura, materya, zewnętrznosc. Całą swą wiedzę zamykał w tej doktrynie, wyssanej z mistyków i filozofów tych lat; bez moralnego odrodzenia nie rozumiał poznania. Wtedy dość było wejrzeć w siebie, by wszystko zrozumieć; wszystko jest naszym duchem w nieskończonej twórczości, w stawaniu się, w czynności. By jednak wiedzieć cokolwiek, trzeba w duchu świętości pytać o to Boga, czego nie uczyniła na przykład matka poety, gdy po latach rozłąki wybierała się ujrzeć go wreszcie.

„Wszak zda mi się — pisał on wtedy 28 grudnia 1847 r. — że przyszedłem zdolny czuć i podzielić z tobą całą piękność czującej i wykształconej nieszczęściami duszy twojej, a nigdy ciebie nie zawstydziłem, ani upokorzyłem podłością jaką, w mojej będącą naturze, bom gdzieś ofiary czynił już przed światłem żywota — i teraz czynię — i jeszcze więcej chcę, abym czynił, coraz idąc wyżej w piękności i świętości ducha mojego, oczekując chwili, w której się znów z ducha narodzę — jeżeli upokorzony, to nie przez winę moją — bo wolą moją jest iść przez Boga — nie przez ziemię.“ Uśmiechał mu się, jak tyle razy, spoczynek na łonie wsi polskiej, ale o niego nie prosił, szczęście upatrywał w ruchu wewnętrznym ducha i w wylewaniu miłości na zewnątrz. Ten ruch wewnętrzny ducha objawił teraz w biblijnej szacie uczucia braterstwa dla świata, żądę ofiary dla świata, którego dzieje są przywróceniem porządku wiekuistego, uduchowieniem po zmateryalizowaniu. To uduchowanie dokona się przez obudzenie w sobie mądrości i wiedzy rzeczy ostatecznych, bo cielesny cel tylko do czasu trwa, nieśmiertelni tylko w celach ostatecznych cel znajdując. Celem tej pracy jest nowa Jeruzalem, o której marzył już Swedenborg, a której nadejście wieszczą piorunowe głosy poetów, błyskawiczne myśli filozofów. Sakramentalna siła Chrystusa ciągnie duchy do celu, którym jest rozświetlenie ziemi, poskromienie ciał i krwi naszej, obudzenie w ludziach uczucia nieśmiertelności, które odzywa się jakby szelestem myśli.

Wszystkie wiary łączą się w wierze, która jest pożądaniem ranka nowego żywota, która dokonywa się braterstwem, pracą, miłością, tak, że „będzie otwarta droga duchowi duchów, aby szedł na ziemię i przez ludzi zwyciężał.“¹⁾ Tym duchem jest Chry-

¹⁾ *Biblioteka Warszawska*. Czerwiec, 1904, T. II, Z. 3, str. 471.

stus, który nas duchem natchnął i przysposobił, jak objaśniała mistyczna modlitwa, na synów Bożych. Tak przedstawiałaby się treść posłania, które miało być zwrócone do Krasińskiego, a które powtarzało tylko dawne myśli mistyka. Niema wątpliwości, że formą zbliżało się ono do poematu, w którym, jak zawsze dotąd, zamykała się filozofia tych lat. Poeta sądził, że wytwarza filozofię, która była objawem głównie jego uczuciowości, w której czytało się tylko drżenia i zabarwienia duszy gorącej i czystej. Z całości posłania, które prof. Tretiak nazwał trafnie *Listem Apostolskim*, wynikała myśl, że człowiek spada i wznosi się tylko mocą własnej zasługi, że duch wstępuje w niebo tylko przez boleść dobrowolnie przyjętą. I jak lamartinowski Jocelyn, duch poety, w tej wierze oczyszczony, ofiarował swe usprawiedliwione pragnienie, swe przyrodzone namiętności i znalazł, jak mistycy, wśród ciągłej ofiary, spokój i ulgę rozkoszną. Nic nie raziło go teraz, nic nie bolało, optymizm przepętniał go do brzegów, gdyż wierzył, kochał i spodziewał się niezachwianie, a złe odtracał, złego nie przypuszczał, naturę i ludzkość nasycił tym samym duchem, którym sam płomieniał.

Nic dziwnego, że był wtedy demokratą i rewolucjonistą, skoro cały żył w złudzeniach i idealizmie krańcowym i dalekim od rzeczywistości. Czuł się szczęśliwy swą wieszczą mocą, którą uznawało kilku młodych ludzi otaczających go, jak Rembowski, Rogowski, Dzwonkowski, Fredro i inni. Był jakby głową tej gromadki, dla niej zapewne pisał swe dyalogi platońskie, w których przeciwstawił swą wiedzę opinii, w których wyobraził sobie, że jest mistrzem słowa genezyjskiego. Żył w swych pomyślach, które nie rażą, tak są owiane uczuciem, tak są samorodne i świeże, a może i przez tę świeżość i samorodność działające wtedy na młodych emigrantów. Mickiewicz był już wtedy jakby przeszłością, Słowacki poetą młodych i ich filozofem, który poruszał zagadnienia doniosłe i obchodzące ich duszę mistyków. Dla niego, jak dla nich, świat był harmonią, w której dusza ich czuła się swobodnie, w której nie miała znanego nam uczucia małości, na którą patrzyła, jak na szeroki dywan, tkany bajecznymi barwami. Ten idealizm odbijał się we wszystkim, co wychodziło z pod pióra poety, ten idealizm widoczny jest i w dyalogach, w których szedł za Platonem w czerpaniu swej wiedzy z siebie.

Były to jakby impresye, wyobrażające stan duszy z jej naturą zankniętą i dumną, z jej pragnieniem trwania wiecznie, z jej uczuciowością subtelną niezmiernie. Pod działaniem mistyki ówczesnej wyszlachetniała ona nie do poznania, mistyk nie przestał

być chrześcijaninem, ale w duchu panteistycznym, w duchu, pragnącym połączyć wszystkie wiary, wyjaśniającym wszystko, czującym Boga koło siebie, pragnącym mieszać Boga we wszystkie czynności życia. Ogromna epopeja śniła mu się już wyraźnie, miał jej już plan główny, jej filozofię, wedle której miała być zbudowana. Tej filozofii inny fragment przedstawił znów jego, wykładającego swe zasady gromadce otaczającej, która, jak on, gotowa była opuścić uciechy świata, walczyć z fałszem otaczającym, sprzeciwiać się materyalizmowi, potępiać religię urzędową i wiedzę urzędową.

Tłomacz słowa, wzorem Sokratesa, uczynił sługi tej religii i wiedzy sofistami, przeciwstawiał im ofiarności i poświęcenie, przeciwstawiał im rozwiązanie tajemnicy światów, które ze zwykłą biernością i obojętnością na sprawy duchowe nic nie mają wspólnego. Człowiek, wedle tłumacza słowa, czeka zachwycenia na wieczność, na ziemi zaś pełni dobre, wydaje swe ciało, męczy ducha dla myśli Bożej, z którą łączy się przez sakramenta. To są prawdziwi chrześcijanie, to są wyznawcy prawdy, która przewyższa wszystkie piękności i sama jest pięknością świętą i najwyższą. Nie da tej prawdy religia urzędowa, nie da jej wiedza, ale da ją nauka wewnętrzna ducha, której poddaje się uczeń tłumacza słowa, Helion, by szerzyć ją dalej, by głosić zwłaszcza możliwość i konieczność metempsychozy, która jest „jako gałązka wiedzy w krzyż Chrystusa wszczepiona, rozkwita na nowo... już nie straszna, bo za ręce, jak dziecię, przez Chrystusa prowadzona — ku celom ostatecznym idąca.“ ¹⁾

Metempsychoza jest środkiem udoskonalenia, stanowi pracę wieków, wiodących ku uduchowieniu, ku powrotowi na łono Chrystusowe. Był więc poeta jakby na wstępie do poematu ludzkości, który zwięził się wnet w epopeję narodowego bytu, gdy czas tworzenia nadszedł. Z niechęcią, jak Lamennais, odnosił się do urzędowej wiary, w której raziła go świetna zewnętrzność bez treści i tendencye wrogie demokracji. Uważał swą filozofię, jak Swedenborg, za uzupełnienie tekstu biblijnego, w czym był w zgodzie z ogółem mistyków ówczesnych, sądził za Platonem, że ilość dusz jest stałą i przechodzi ze stworzenia do stworzenia, jako istniejąca przed wiekami, jak to głosiła już mistyczna modlitwa. To go zadawałniało zupełnie, to wyjaśniało, zdaniem jego, tekst biblijny,

¹⁾ *Genesis z Ducha. List do J. N. Rembowskiego. Wykład nauki. Dziennik z r. 1847—1849. Wydanie D-ra H. Biegeleisena. Warszawa, b. r., str. 147.*

który komentował z powagą. Był tedy dla niego człowiek, jak dla Lamartine'a, istotą niebieską, która z miłości dla innych uczyniła się śmiertelną, by żyć między ludźmi, by cierpieć i ożywać przez wieki aż do ostatniej ekspiacy, aż do zdobycia wiedzy i duchowości pierwotnej.

Taki poemat mógł zacząć się przed wiekami, nie kończyć się aż po wiekach, więc wyobraźnia poety rada go była zamknąć w sferze bardziej blizkiej i znanej. Ludzkość miała skupić się niejako w dziejach narodowych, naród, jak ludzkość, miał chwiać się przez wieki między materią, która jest poddana duchowi, a duchem, który jest nad zwierzęcością i materią. Zmysłowość miała ciągnąć ducha w dół, duchowość w górę, jak ducha poety, który był aniołem, ale na chwilę dał się wciągnąć w ciemność, dał się opanować żądzom i rozpaczom, które sprowadziły śmierć Anhellego. Taką, jak sądzę, była geneza przyszłej epopei, a tymczasem snuł się dalszy wątek myśli tłumacza słowa, pod którym kryje się oczywiście sam poeta, słuchany przez gromadkę młodych ekstatyków i idealistów. Chciał on niejako uchrześcijanić filozofię, stworzyć, jak Lamennais, filozofię opartą na objawieniu, która sama była rodzajem objawienia i tłumaczyła dowolnie każdy dogmat.

Podstawą jej była modlitwa mistyczna, do której odwoływał się nieustannie, dalszym ciągiem i rozwinięciem listy i dyalogi następne. Jak w modlitwie, tak i teraz, zwalczał poeta żądze ciała, wyjaśniał moment śmierci, której boją się ludzie ciała, budził wiarę w moce i siły moralne ducha, chciał powiększyć hierarchię duchów, walczących z hierarchią ciał. Sam zaś tworzył już poezję, o której śnił już dawno, poezję, jak mniemał, pokorną, w płóciennym szacie, bez pereł na głowie, co było aluzją do dawnej byronicznej. Tworzył poezję, „wydobywającą z siebie ognie niespodziane, poezję, przy której dźwięku ogłuchłyby wszystkie harfy świata.“ ¹⁾ Tak nazywał w dyalogu Helois, która, jak niegdyś Ellenai, ową poezję wyobrażała. Ta poezya dokonała znacznego postępu w drugim żywocie, który zaczynał się ze śmiercią Anhellego, ta poezya zapaliła zorze nieśmiertelności i stała się królową z ducha, jak jej twórca królem z ducha, wchodzącym kolejno z ciał w ciała, ale już w dzieciństwie przypominającym poprzednie żywoty, owianym wizjami przeszłości, bitym niby przez jakieś zewnętrzne błyskawice.

¹⁾ Tamże, str. 159.

Żywot pierwszy poety, za którego granicę uważam podróż na Wschód, był tedy żywotem przed odrodzeniem, w którym, jak Heliona w dyalogu, bawiły poetę cacka, rojenia, kolory, w którym uległ prądowi niewiary, dał się opanować miłości, wyjechał wreszcie z ciekawości za granicę, gdzie nie zadowolił go, jak wiadomo, żaden system polityczny lub filozoficzny. Sam mówił teraz, że z głębi ducha coś mocniejszego wyrwać potrafi czyli „ojczyznę jakąś, któraby razem dla ludzkości mogła być węgielnym kamieniem nowo budujących się narodów... cel ten patryotyczny chciałem zgodzić z celem duszy mojej... a gotowy byłem nazwać prawdziwym rewelatorem tego, kto mi trumny zasłonę podniesie... i wiedzę moją z czuciem na jednej podstawie Bożej ugruntuje... Jedyna logika, która w tem wszystkim jest ta, żem zaczął gonić za motylami, a potem stałem się pogonią prawdy zatrudniony.“ ¹⁾ Oto i spowiedź poety, który nawet w dyalogu filozoficznym wyrażał tylko siebie, cud transfiguracyi własnego ducha, odezwanie się w nim wiedzy i odtworzenie świętych widzeń przeszłego męczeństwa.

Ale nie było ciągłości w tem, co pisał; system da się z trudnością wydobyć z porozrzucanych tu i owdzie fragmentów myśli. Jakkolwiek się one przedstawiają, ma ten system swoją oryginalność, ma głęboką symboliczność, którą czerpie we wspomnieniach religijnych dzieciństwa, nie jest pozbawionym znaczenia trwałego i godnego uwagi. Ten poeta, to ludzkość skupiona w jednym człowieku, idącym naprzód i oczyszczającym się stopniowo, idącym, jak ona, naprzód śmierciami i istnieniami kolejnymi, jakby fazami dziejowemi. Poeta pojmował je oczywiście w duchu mistycznym, nie był jednak zbyt dalekim od prawdy, jeżeli ludzkość uznamy w ogóle za jedność, która nieustannie dopełnia się i udoskonala. Pogarda małostek i zmysłowości nie jest bez wartości dla nas, którzy jesteśmy tylko ogniwem i pracujemy dla przyszłości; idea ofiary daje systemowi nie tylko oryginalność, której nie miała u Saint-Martina, ale i wartość moralną. Jak mistyk francuski, dawał poeta wspólną podstawę religiom; idąc za Swedenborgiem, tłumaczył tekst biblijny wewnętrznym a nie literalnie,²⁾ za Boehmem powtarzał, że jest życie boskie w nas, Plato dostarczał mu metapsychozy, choć żaden z wymienionych nie zataił

¹⁾ Tamże, str. 198.

²⁾ Em. Swedenborgii: *Arcana coelestia*. Brunsvigae 1736. Pars I, vol. II, str. 626.

jego własnej indywidualności, nie przeszkodził mu do szukania wiedzy w sobie czyli we własnych wspomnieniach, które były pamięcią o ofierze Chrystusa za drugich.

I gdy Mickiewicz oddał się praktycznej służbie słowa, Słowacki snuł dalszy wątek spekulacyi, pragnął objawieniem tajemnic uświadomić zupełnie cel życia. Obchodziły go, jak Lamennais'go, dogmaty, które starał się, jak tamten, wyjaśnić dokładnie, wyprowadzić z jednego pierwiastka, którym jest miłość. Jak Lamennais, twierdził i Słowacki, że trzy osoby boskie stanowią duch, miłość, wola. Pierwszy kładł tylko zamiast woli moc,¹⁾ podnosił jednak wraz z poetą wartość ofiary, a za realny pierwiastek bytu uważał jedynie ducha. Głosił, że materya jest więzieniem ducha, uznawał, że w świecie panuje stopniowość uduchowienia, co przejął zapewne od Schellinga. Pogarda dla materyalizmu, nie znającego dualizmu ciała i ducha, dążenie do odmateryalizowania świata, pragnienie świętości stanowiły wprawdzie, wraz z tezą o przypominaniu sobie tajemnic przedistnienia²⁾, wspólny zasób mistyków; oryginalność poety polegała jednak głównie na podniesieniu ducha ofiary, na ujęciu wątku złożonego z myśli najrozmaitszych w sposób głęboko poetycki. Jego własna osobowość, jego własne dzieje są tu momentem głównym, całość rozumowa przedstawia się jak obraz, którego główną figurą jest on.

Określiwszy jeszcze w modlitwie mistycznej istotę zasadniczego dogmatu chrześcijańskiego, spekulował dalej i wcielał się coraz bardziej w swą rolę króla ducha ojczyzny, który

Chodzi—uderza w błękit—w światów lirę,
Rozbudza

i objawia, rzucając od czasu do czasu wierszami, przy uśpionych, jak mówił, władzach rozumu a rozbudzonej świadomości wewnętrznej. Szukał teraz ukrytego znaczenia nie tylko w dogmatach, ale i mytach pogańskich o Saturnie i widział, śladem Lamennais'go, trzy osoby boskie nie tylko w duchu, ale i w materyi. Sądził tedy, jak tamten,³⁾ że trzy osoby boskie objawiają się i fizycznie, jako elektryczność, światło, ciepło. Znajdował w ten

¹⁾ Friedrich Ueberwegs: *Grundriss der Geschichte der Philosophie der Neuzeit*. III Theil, Berlin 1888, str. 510—511.

²⁾ *Tableau naturel des rapports qui existent entre Dieu, l'Homme et l'Univers*. Première et seconde partie. A Edinbourg, 1762, str. 70.

³⁾ U Ueberwega, str. 511.

sposób wytłómaczenie sił przyrody, świat materyalny nie był dla niego zagadką, każdy duch był zaś dla niego zespoleniem trzech pierwiastków boskich, z uronieniem których gasła moc ducha, następowała śmierć zupełna. Duch idzie do wyzwolenia zawsze drogą bolesną, dysonansem w wiekowej melodii przechodzi w formy nowe i osiąga cele, których zdobycie umożliwił Chrystus a sposób osiągnięcia objawił jednemu z uczniów, Rembowskiemu, Słowacki.

Odpowiednio do swego założenia, tłómaczył z kolei myt biblijny o Ewie, która usłuchała ducha ciemnego, skaziła czystą twórczość ducha, poddała ludzi prawom cielesnym, co odczuwa się dziś jeszcze w stosunku miłosnym, kiedy „melancholia kochanków i gniew niby przeciw ciału, które te duchy ciągle złać się i w jedności być chcące, rozdziela.“¹⁾ Małżeństwo jest tedy sprawą niższych sfer globowych, musi się obmyć w sakramentalnej Chrystusa potędze. Czystość jest siłą, która wykupia ducha globowego z niewoli, wielkość ducha objawia się twórczą myślą, co głosił poeta za innym mistykiem Pascalem. Trzy żywioły ducha odbudują ojczyznę, wszystko rozwiąże się w trójcy tych żywiołów i w związku z duchów kolumną. W ten sposób powstanie kościół z ducha, terażniejszość z przeszłości, świat przyszłości, którego losy opowiedział czytany wtedy żarliwie przez poetę twórcę wizji Apokalipsy. Przełom ku uduchowieniu dokona się w związku z Chrystusem, siłą ducha nie ciała, którą „odnieni się świat, bo zwyciężon jest świat w tych słowach, że wszystko przez ducha i dla ducha zostało stworzone, a nic dla widzialnego celu nie istnieje.“²⁾ W tym duchu rozjaśniał poeta powstanie świata, w tym duchu stawiał nad wszystkimi naukami teologię czyli naukę ducha.

Tak zamykała się filozofia poety, który pysznił się, że przemienił niewolnika instynktów w wolną i rozumną istotę, bo zaczerpnął swą wiedzę z ducha, z objawienia wewnętrznego. Wierzył święcie, że Bóg jest ze sprawą, że potęga ducha rozsądzone rzeczy czuje, uczute rozsądza. Był romantykiem, który czuł i czucie, jak wtedy wszyscy, utożsamiał z myślą, który, jak ogół romantyków od czasów Rousseau, nosił w sobie ideę odnowienia moralnego, jako postulat odrodzonego uczucia religijnego. Idee, które głosił, były tylko uzupełnieniem dążenia do doskonałości wewnętrznej, wyrazem niechęci do rozumu, które głosił Rousseau i całe pokolenie romantyczne z niego wyszłe. Na tych dwóch

¹⁾ Wydanie dr. H. Biegeleisena, str. 62.

²⁾ Tamże, str. 82.

dążeniach oparł całą religię, całą filozofię, całą politykę. I nie miał tych dążeń tylko dla siebie, pragnął je rozpowszechnić wśród uczniów, chciał ich udzielić całemu narodowi. Sądził w swym idealizmie, że niemi odrodzi naród, że tym dążeniom da odżyć nie tylko w sercu narodu, ale i ludzkości, że te dążenia przeciwstawi duchom ciemnym, siłom materyalnym, które zgniotły jasne, zgniotły siły duchowe czyli jego ojczyznę.

Z uczucia, jak romantycy, wydobył swą filozofię, z uczuciem objawiał ją, w uczuciu płodził najszczytniejsze dziecko swego ducha czyli ostatni poemat. Nie szukał w wiedzy ścisłej rozwiązań bytu, wydobył je z siebie, jak filozofowie i poeci czasu. Przenosił swe uczucia w argumenty, swe drżenia sercowe w system trudny do spojenia, ale istotny. Tematem jego poezyi będzie też odwieczna zagadka bytu, którą rozwiązał po swojemu. Jego mistyka nie straciła przecież charakteru chrześcijańskiego, napęłnił nią swą poezję i uczynił z niej potężny czynnik liryczny. I dlatego treść i forma jego poezyj są nieco trudne, myśl zamyka się w symbolach, porywa za sobą styl, pragnie pociągnąć, porwać, udoskonalić, w aniołów przerobić ludzi. W tem drugim życiu, którego kres zbliżał się już szybko, był Słowacki poetą istotnie filozoficznym, był poetą, którego marzenia przypominały marzenia anioła wygnanego i tęskniącego za promiennością, która zesłała z ziemi, która zesłała zwłaszcza z jego utrapionej ojczyzny. Do niej wracał jego duch, jak Anhellego, a gdy myślał o przyszłym żywocie, pytał,

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mnie w progu żywota?
Nie wiem — lecz radhym żył z polskiego chleba...

Mistycyzm i patryotyzm stanowiły tedy duszę jego poezyi, która od zagadnień ogólnych zwracała się coraz bardziej do przeszłości narodowej, by z niej wydobyć wątek, który się miał osnuć około zasadniczej, a zaczerpniętej ze studyów filozoficznych myśli, który miał odziać gotowe już rusztowanie mistyczne.

A tymczasem najbliższa jego sercu istota nie pojmowała go. Dręczyło go to niezmiernie, w tem udręczeniu znać zaś było, że pragnie wobec matki zrzucić z siebie wszelki zarzut, że dba o sławę, o którą mu kiedyś tak chodziło. Chciał być i był istotnie człowiekiem wolnym od słabości ludzkich. „Więc ty sądzisz — pytał matki 22 stycznia 1848 r. — że ludzie będą zawsze tacy jak dziś, nic niewiedzący, skąd przyszli i co robią na ziemi? Więc myślisz, że zebranie pewnej liczby talentów i pewnej ilości ludz-

kiego szacunku jest to wszystko to, do czego twój syn może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to, o czym jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili, powiedz, czy ty go sądzić możesz? A jeśli sądzisz a nie rozumiesz, powiedz, jak mu to boleśnie? Droga Matko moja, zmieniła się moja natura, jako ciało, ani z rozkoszy żadnej uciechy się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć.“ Znaczyło to, że żyje już poza życiem, że odbudowuje to, co ma boskiego w sobie, że wstępuje na wyżyny, na których przeciwieństwo między nim a matką musiało uwydatnić się jaskrawo. Miał ton, który usuwał wszelką wątpliwość w jego wyanielenie, który czynił z niego wizyonera, jednego z najgenialniejszych i najbardziej przekonanych o swem posłannictwie.

Był to rodzaj autosugestyi, którą wytworzyła wola poety na tryumf poezyi mistycznej. Wytworzyła ton, który zyskał na niespożytości tem więcej, że poeta był mistrzem słowa, które naginało się do najtajniejszych poruszeń duszy, oddawało wszystko, o czym tylko ona zamarzyła. W jego indywidualności twórczej tkwiły przyczyna, forma, prawo poezyi; jego poezya, to rozwój świadomości, wyraz idealizmu, ślad dążeń rzucających mosty nad przepaściami zagadek bytu. Te dążenia streszczały się ostatecznie w twierdzeniu o tożsamości praw ducha i materyi, które zapanało wszechwładnie od czasów Fichtego i Schellinga, streszczały się w twierdzeniu, że system natury jest systemem ducha.¹⁾ Całe filozofowanie było tylko, w pojęciu poety, doświadczeniem pierwiastku boskiego w sobie, w istocie najdalej posuniętym indywidualizmem, który okrywały pozory słowa objawionego z wewnętrznej świadomości, z wiedzy wszechbytu. Było to morze bezbrzeżne, którego ogrom nawet mistykom wydawał się wielkim. Dlatego poeta wracał do zagadnień chwili, od nieskończonego do skończonego, od boskiego do naturalnego pierwiastku bytu. Tym naturalnym pierwiastkiem była sprawa, co do której miał pogląd wyrobiony, w której rozwiązaniu stał, jak wiadomo, po stronie demokratów. Uznawał, że lud zawiódł jego oczekiwania, ale zawód był, jak zauważał, winą szlachty. Kazał działać sercem, bo miłością, uduchowił się świat, bo miłość zbuduje tylko budowę wielką, co twierdzili i inni działacze, którzy i dawniej, jak wskazywałem, zwracali jego uwagę.

¹⁾ Erwin Kircher: *Philosophie der Romantik*. Jena 1906, str. 240.

Miłość, mówił Lamennais, niesie wszystko do wspólnego środka ¹⁾; nią pragnął też Słowacki zapobiedz rozłamowi społecznemu, a podzielał też zdanie jego, że poezya powinna dźwigać człowieka ku Bogu, jako celowi jego bytu, wznosić w regiony duchowe, budzić poczucie nieskończoności, prawdy i piękna. Taka poezya łączy przeszłość z przyszłością, jest wreszcie kapłanką religii, która się dopiero urodzi ²⁾. Potwierdzał tę tezę Saint Simon, nazwany przez Słowackiego w dzienniku z tych lat bratnim duchem i jedynym z ducha filozofem we Francyi ³⁾. I on też głosił ważność miłości, jako czynnika społecznego ⁴⁾, a religii, jako prawa i powagi, wiążącej przeciwne żywioły, co poprowadzi do powszechnego uspołecznienia w duchu ewangelicznym, ciągle dopełniającym się i wiodącym do polepszenia doli ludu, zniesienia przywilejów, zrównania wszystkich, wyzwolenia kobiety. Miłość słabych i upośledzonych ujawniała się też wtedy w romansach George Sand, idącej z ruchem; ujawniała się w całej europejskiej twórczości, w którą wchodziła nawet rosyjska przez Gogola i Biełińskiego, gdzie pod zasłoną metafizyki rozprawiano nad zagadnieniami najbardziej doniosłymi ⁵⁾. Gdy jednak liberali rosyjscy doprowadzili w rewolucyjnym szale do nadmiaru i wyłączali się niejako moralnie swą oderwaną doktryną z tła narodowego, Słowacki tkwił w niem niewzruszenie, choć podzielał zapewne dewizę Bakunina, że namiętność zniszczenia jest namiętnością tworzenia.

Cała młoda Europa gorzała wtedy entuzjazmem dla przemiany społecznej, choć pojmowała ją rozmaicie; dążyła również do filozofii, którą każdy pojmował inaczej i której zasady były zwykle mało uchwytnie. Metafizyka odzywała się w programach społecznych, gdy przyszło do walk lutowych i czerwcowych w Paryżu, skąd ruch szedł błyskawicą po Europie, by zatrzymać się przed bramami mikołajowskiego absolutyzmu. Pociągał ten ruch poète, który na wieść o rewolucyi berlińskiej i zbrojeniach poznańskich zagorzał żądzą zmian i czynu. I dlatego zwrócił się do tego, którego uważał za jedynego szlachcica i wyrzucał mu,

¹⁾ *Esquisse d'une philosophie*. T. I., A Paris et à Leipzig, '840, str. 201.

²⁾ Tamże, str. 420.

³⁾ U D-ra Biegeleisena, str. 173.

⁴⁾ *Doctrine de Saint-Simon*. Exposition. 2-e Année 1829 — 1830. Paris, 1830, str. 124.

⁵⁾ V-te E. Melchior de Vogué: *Le roman russe*. Paris, 1836, str. 136—137 i następne.

że idzie z reakcją, że sprzeciwia się duchowi narodowemu, że traci pomoc duchów idących, jak poeta, drogą rewolucyjną. Dziś, gdy słowiańska rasa przychodzi do głosu, gdy stuletni polski dąb odmładza się z twardości rdzennej, by zakwitnąć najbujniej z słowiańskich, miłością należy rządzić, jeżeli polskiej idei ma się ułatwić zwycięstwo. Tą ideą jest wolność, którą na Rusi widzimy tylko w Nowogrodzie i Pskowie, która nie ma też nic wspólnego ze zmysłowością pomysłów doby obecnej. Nie starała się ona zrównać tego, co wyrosło duchem; tak pojmował poeta tę wolność w przyszłości, która byłaby rodzajem teokracji, czyli panowania duchów wyższych nad niższymi.

Ten program przeciwstawiał Słowacki zmysłowości pomysłów rewolucyjnej demokracji, program mało jednak określony i zbliżony do rojeń Saint-Simona. Czemu jednak apoteozował ideę złotej wolności szlachty, której przypisywał upadek sprawy? Odpowiedzi szukać trzeba w jego indywidualizmie romantyka, który kochał przeszłość dla jej świetności zewnętrznej, który w tę przeszłość cofał się chętnie, którego antagonizm partyjny nie wyłączał przecież szacunku dla wyższości ducha warstwy dotąd kierującej losami narodu. Jego związek ze sprawą ludową był raczej ideowy; idealista nie mógł nie zaznaczyć, że w rewolucyi nie chodzi o zaspokojenie zwierzęcych instynktów, ale o to, by stanęła „prawdziwa hierarchia na świecie, podług zasługi i mocy duchowej zbudowana.“ Uznawał tedy hierarchię ducha, mylił się jednak, jeżeli sądził, że taką wolnością duchową była zawsze Polska. Jeżeli ta dawna wolność broniła swobodnego objawiania się myśli politycznej i trzymała się praw kardynalnych ślepo i bezkrytycznie; jeżeli nie miała tolerancyi dla innych poglądów religijnych, jeżeli przekładała swobodę indywiduum nad całość i bezpieczeństwo ogółu, nie była chyba złotą. Wydawała się taką romantykowi, bo pochlebiała jego indywidualizmowi, jego dumie i poczuciu swej wielkości, która życie całe wołała: veto. Nie znał istotnej treści dawnej wolności Słowacki, jego jej umiłowanie tłumaczyła tylko jego psychologia romantyka, jego osobowość mistyka.

Stałą była tylko jego opozycja przeciw duchowi rosyjskiemu. Jest ta opozycja nie bez znaczenia, skoro przypomni się ówczesny rozwój słowianofilstwa, wielbiącego pod piórem Karamzina jedynowładztwo, po za Rosyą nie widzącego nic prawdziwego i dobrego. Tym razem, jak i w kwestyi stosunku szlachty do ludu, miał poeta słuszność zupełną. Polak, wedle niego, błądzi w arystokracji i demokracji, bo idzie za ideami francus-

kiemi, bo nie dba o cele ostateczne, bo nie myśli o idei, wiodącej wszystkich do jednego kraju. Tą ideą jest wolność ducha ludzkiego, która, zdaniem jego, była w Polsce, zgadzała się z wolnością religii Chrystusa, została porzuconą nieopatrzenie dla obcych. Nie jest wolnością ta, której, jak francuskiej, chodzi o zadowolenie materialne. Winna nią żyć Polska, będąca olbrzymiem veto z ducha, aniołem duchowym, bohaterem wiary „w rozbudzeniu się z wiary, w objawieniu się nagłym naszej wewnętrznej polskiej natury, która teraz oszukana jest i uśpioną brzękiem różnych opinij.“¹⁾ Indywidualista w filozofii i w poezyi stawał tedy w obronie indywiduizmu, który cechuje nas wszystkich, podnosił w emigracyi potrzebę idei polskiej, którą przeciwstawił, mimo zależności swej od wymienionych już myślicieli, obcym.

Wrażenie musiało być wielkie, gdy z wyżyn mistycyzmu odezwał się głos istotnie głęboki, zjawilo się jakby ostrzeżenie przed zalewem idei, które odbierały polskiemu charakterowi jego odrębność myślenia i czucie²⁾. Jak dawniej, tak i teraz, trwała w poecie wiara w boskie posłannictwo poezyi, nie ustawał protest przeciw materializmowi dążeń rewolucyjnych, które porównywał z rzymskimi, gdy w Grecyi widział zwycięstwo ducha. Duchy narodów obowiązane są wypełnić swe posłannictwo, więc poeta dawał swój sen czyli czucie, jak określał ideę, by podać rękę błądzącym, obudzić instynkt narodowy, pokazać, że jego naród ma syntezę duchową, którą „rozblysnął się nareszcie i pokazał prawdę prawd, na której wszelkie prawdy mają być wybudowane na nowo.“ Tej idei wyobrazicielką była profesorska katedra Mickiewicza, jej wyobrazicielem chciał poeta widzieć też księcia, któremu przyznawał, bądź co bądź, miano przewodnika emigracyi. „Bo hasło ojczyzny naszej to samo jest zawsze, co Boga — rozumował z przejęciem — jestem, bo jestem. Hasło, które nas od samobójstwa i od zabójstwa broniło. Nie chciej więc Mości Książę, abyśmy, tak wysoko w hierarchii Bożej stojący duchowie, szli w zwątpieniu... hazardów oczekiwali, od Francuzów uczyli się...“ Wolność polska nie zwalała się krwią, jest niewinną i daleką od knowań dyplomatycznych i robót emigracyjnych, którym nie przewodniczy żadna idea.

Z całego, a dziś tak znanego z pism poety, programu, wiała tylko życzliwość dla księcia i emigracyi. Oddzielał się on w wisto-

¹⁾ Józef Tretiak: *Juliusz Słowacki*, T. II, str. 334.

²⁾ *Pamiętnik literacki* z r. 1902, R. I, Z. IV, str. 643 — 652.

cie od obojga, choć nie było w nim żadnych osobistych niechęci i dawnych, zwłaszcza przeciw Mickiewiczowi, żalów. Program demokratyczny urzeczywistnił się wtedy poniekąd w powstaniu krakowskim, którego skrajne objawy potępiał Słowacki może pod wpływem jeszcze Krasińskiego. Uznawał teraz widocznie, że zabór dotąd wolnej części ziemi polskiej spowodowała robota klubu Dembowskiego, uznawał może słuszność zarzutu dawnego przyjaciela, że

Kiedy ziarno siane w śmieci
Od wersalskich dzieci
Zdradą miało zejść niemiecką,
Więc i ty jak dziecko,
W bańce własnych siedząc marzeń
Nie przeczułeś zdarzeń?

Przeraził się okrzyku, że przeszłość rozdeptał wiek nowy, skoro chciał połączenia jednej z drugim, rozczulił się zapowiedzią, że szlachta, której istnienia przeczył, wstanie, by wyzwąć trójolbrzyma. Uznał, że zaciekłość partyjna nie jest uduchowieniem, że królestwo da się odzierżyć tylko anielską duszą, że mongolskiemu despotyzmowi nie wypada przeciwstawiać terroru rewolucyjnego. I dlatego zaznaczył w pierwszym liście do wodza emigracji, idąc jakby za pogardą Krasińskiego dla czerwonego sztandaru i despotyzmu, że idei polskiej sprzeciwiły się system mongolski, a dziś cielesny komunizm i purpurowa demokracja. Szedł sam na czele gromadki, którąby nazwać można szlachecką demokracją, pragnącą pociągnąć lud miłością; szedł w przekonaniu, że nie szlachcie należy się władza, ale duchom wyższym, które nie wywiesiły sztandaru nienawiści społecznej.

Republikanin z ducha, bo, jako Polak, monarchistą być przecie nie mógł, zalecał zgodę w duchu miłości i prawdy, który jest przeciwny jedynowładztwu, nie liczy się z formami obcymi i „ma za hasło: jestem, bo jestem, jako duch, który się czyni żywym, nieśmiertelnym i od cielesnych potęg niezależącym.“¹⁾ Wszystkie obce formy zawiodły w ostatnim ruchu narodowym, podobnie nie zdziałały nic dobrego na emigracji, którą uratuje tylko konfederacja, czyli idea, potrzebująca dziś ucieleśnienia w człowieku. Temu ostatniemu doda się dwóch innych równych pierwszemu.

¹⁾ *Pisma pośmiertne J. Słowackiego*. T. I. Lwów, 1866, str. 311.

Symboliczna trójca, naśladowająca boską i dawną konfederacką, wiąże w duchu ogół, by zwalić cielesną potęgę trzech. W ten sposób poeta tworzył jakby trzecie stronnictwo emigracyjne, na które złożyła się gromadka mistyków go otaczających i marzących o odrodzeniu z ducha. Porwana wieścią o rewolucyi poznańskiej biegła gromadka nad Wartę, by zaciągnąć się w szeregi wraz z wodzem, który spodziewał się zwyciężyć duchem, gdy brakło armat, pułków, oficerów. I wtedy zakwitła w sercu poety, który wracał na ziemię wytęsknioną, radość niewymowna.

Odetchnął powietrzem, które mu dzieciństwo przypomniało, zobaczył też chłopki polskie na wozach i po kościołach. Czuł ważność chwili, która nie pozwalała jednak na rozrzewnienie, czuł, że dokonywa się braterstwo idei świętej, która połączyła emigracyę i ogół w kraju i rzucał na papier wiersze, widzące już zmartwychwstającą ojczyznę i wołające, by iść w błękity drogą duchów, po słoneczność bytu. Synowie Boży, wieścił z uniesieniem, wszystko zwyciężą, bo przecież

Duchy w nas idą
Z nieśmiertelności rozpędem.
Dlatego, żeśmy Jehowie
Przywołali na ołtarze,
Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze,
A gdy go wiatr odwinie, to tak jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego
Przestrachem Boga upióra...

Błękitny sztandar mistyczny powiał nad gromadką, której przewodniczył człowiek podobny do mistyka z Assyżu wyglądem zewnętrznym nawet. Czarował tę gromadkę swą treścią, zamkniętą w ogromnych, głębokich i wyrazistych oczach wizyonera, czarował swem słowem, które szło z ust genialnego poety.

Czyta się to, jak cudowną legendę, bo jasnem jest, że poeta duchem spodziewał się zwyciężyć wszystko. I wtedy nie uśmiech sceptyczny ciśnie się na usta, ale łza tego samego rozrzewnienia, które ogarnęło poetę w Poznaniu. Był to niewątpliwie najwyższy stopień jego idealizmu, który ogarnął zresztą i naród, ruchu instynktownego duszy, która osiągnęła najdoskonalszy szczybel duchowego piękna. Na takich wyżynach trudno myśleć o drobnostkach, poeta mistyk dosiagnął sfer, z których rzeczywistość wi-

działo się jakby przez promienną toń słoneczną, zalewającą doliny bytu. Życie stawalo się poematem, poeta indywidualista zdobywał się na ofiarę, której nie brak wielkości, gdy zważymy, że groziło mu uwięzienie każdego dnia.

W poezjach, które teraz tworzył, był oratorem, wstępującym na trybunę, oratorem uczuciowym tylko płomiennie i poetycznym nieskończeniem. Niezmierna odległość dzieli te wylewy patryotycznego uniesienia od urzędowych wierszy w dniach powstania listopadowego. A choć jego polityka czynu ograniczyła się na radach, udzielonych istotnym wodzom ruchu, czuć, że walka go rozpala, że ogarnia go ogień rewolucyjny, że wszystko drży i dygoce w tym człowieku wątłym ciałem, ale wyolbrzymiałym duchem. Płomienie liryczne wzniosły się wysoko, ich natężenie wskazywało, że rozwinęło się w nim bohaterstwo, którego dawniej, za dni młodości, znać nie było. Sam wydawał się bohaterem poematu, poezją samą. Płomienie zgasły, ale pozostał po nich w wierszach wiew gorący i podniecający, który jest pierwiastkiem tej poezji, który olśniewa mocą idealizmu niezbędnego w pewnej mierze w życiu jednostki i społeczeństwa, który, jak mówił poeta, zduszonych uzdrawia i do życia przywraca.

V.

Ostatni poemat. Synteza.

A legenda przedłużała się jeszcze czas jakiś. „Oczy moje łez pełne—opowiadał 14 maja 1848 r.—serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.“ Poeta stał widocznie u szczytu swych marzeń, widział w powstaniu poznańskim spełnienie cudu, o którym mówił w genezyjskiej modlitwie, uważał się za króla ducha ruchu, za istotę wyższą, która rozdaje życie i siłę, a działa z rozkazu Boga. Miał przy sobie Felińskiego, który wynagradzał mu życiową pustkę i mocny tą przyjaźnią, jak wogóle ludzie nerwowi, podnosił głowę wysoko, chciał być wodzem na prawdę, widzieć wokoło słuchających natchnienia i wichru Bożego na świecie.

A tymczasem ten wichler uciszał się, oddziały powstańcze złożyły broń, lub zostały rozbite. Ruch galicyjski tłumiał rząd, opierający się na chłopstwie i budzący stare nienawiści ludowe ruskie. Reakcja szła szybko i cud rozplynał się po chwilach uniesień, w których Mickiewicz wiódł swój legion po ziemi włoskiej, Słowacki prowadził swą gromadkę mistyków i uważał się za duszę ruchu. Pozostały rozgoryczenie i boleść cicha, którą miało osłodzić przybycie długo oczekiwanej matki. Przyszło i ono, ale nie przyniosło mu wielkiej ulgi, gdyż rozłam między nim, który uważał się za apostoła idei mistycznych, a kobietą prostą w swej wierze i z wieku bardziej, niż dawniej, skłonną do patrzenia realnie na życie, dał się teraz dopiero uczuć, gdy dawne żale listowe odżyły we wzajemnej rozmowie. Ostre kanty wystąpiły wyraźniej, a że drażliwość była wielka po stronie mistyka, więc rozeszli się w uczuciu rozłamu, choć bez przeczucia, że nie zobaczą się nigdy. Przynajmniej nie dowodzi tego nic, choć ów pot gorzki, którym oblewał się poeta w Ostendzie, świadczył, że oddalenie od matki i swoich ciążyło mu na sercu.

Wracał smutny i milczący, pragnął zdjąć z siebie zarzuty matki i uczuć się z nią jednością duchową. Pocieszała go miłość, którą go darzyła, nią uspokajał się w chwili, gdy wrócił nad Sekwanę i po wyładowaniu energii, doznawał uczucia zmęczenia i wyczerpania. Żał mu było cichego życia wiejskiego, które mógłby prowadzić z swoimi, wystawiał je sobie, jako kraj jakiś, słońcem bardzo złoty i świecący, a lipami nakryty. I we Francji czyniło się duszno, bo reakcja podnosiła znów głowę po dniach marzeń republikańskich. Ale nie chciał spowiadać się ze swych cierpień i obaw, choć niekiedy wylewał się ze swym bólem, gdy pisał, że „duchy narodu niezdolne są wielkich z ducha przedsięwziętych czynów, oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającami i cierpią; ja cierpię także, ale inaczej cierpię, że jeszcze się nic nie zaczęło, ale nie cierpię dlatego, że się napróżno był uradował.“

Cieszył się, że przynajmniej ci, którzy go wtedy znali, wyносили wspomnienie ducha jego. Nie cierpiał zniechęcenia i omdlenia, które działały zabójczo na ducha. W samotności odzyskiwał sam siebie i budził pozostałe siły duchowe. Wątpił jednak o powodzeniu wszelkich ruchów, chciał tylko ludzi silnych i pełnych wiedzy, a ostrożnie wybadywał matkę, czy istotnie jest o nim tego przekonania, z którym go pożegnała. Chciał w ludziach wielkich żądz duchowych, drażniły go oporność i materializm mieszkających w kraju, gdy w Paryżu, jak mniemał, żyli ludzie

duchem i w duchu. Im bliżej był końca, tem więcej pragnął rodzinnego ciepła, w którym nie byłaby przecież wykluczoną wspólność uczuć i myśli. A jednak twierdził upornie, że szczęście jest w nim i „tylko przez rozweselenie się ducha mego w miłości i w prawdach Bożych dopięte być może.“

Była tu sprzeczność, którą tłómaczyła wrodzona mu duma. Ta sprzeczność występowała rażąco, objawiała się przecież naiwnie, bez świadomości o sobie. Marzenie o życiu na wsi i w warunkach realnych wracało; to życie na wsi miało być naprawieniem wiekowych błędów szlachty. Miało zdobyć miłość ludu, którą szlachta utraciła przez wieki, tymczasem zaś jadła go tęsknota i nawiedzało strudzenie ducha, który podciął sny, widzenia, zachwyty tworzenia. Czuł, że słabnie, choć głowę podnosił wysoko, chciał wrócić niejako do dawnego życia i nie puszczać myśli na obszary żadne, aby ciała nie mordować, które wiedło, schło, konało. Żył ze swoimi listownie, jakby ich miał koło siebie, resztki życia uchodziły zaś gwałtownie. Gdy raz rzuciła mu się krew ustami, donosił, że „widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować.“ I umierał, bo, jak pisał na dni kilka przed zgonem, zagasta biała słoneczność dni dogasających, dla ducha wstawał zaś ranek owej nieśmiertelności, której pewność zachował na umierających ustach.

Zamknął się żywot, który on uważał tylko za ogniwo w łańcuchu żywotów i którego początek umieszczał przed wiekami. Tem tłómaczył się zapewne spokój, z jakim czekał śmierci, a może i w jej obliczu spodziewał się cudu genezyjskiego, przez który widomie przeniósłby się do nowego życia. Zamknęło się nietylko życie ale skończył się i poemat życia, na który ono wyglądało. Zamknęły się księgi, w których zapowiadał, że opowie swą pracę wiekową, a pracownik szedł w przyszłość, nie odwracając się nawet z tęsknotą za minionym żywotem. I gdy się myśli o tej śmierci mistyka wśród pisania poematu życia, można się dziwić, że nie nastąpiła ona wśród widzeń nadzwyczajnych, można żałować, że nie dokonała się, jak śmierć mistyka z Assyżu, na tle zmierzchu zachodniego, w wielkiem milczeniu pól, na które zleciałoby stadko skowronków, oplakujących świegotem śmierć świętego. Umarł spokojnie i zwyczajnie, by otoczyć się ciszą rzeczy wiecznych, unoszony do końca tą wyobraźnią, która dyktowała mu poemat życia wiekowego, poemat, będący jego troską nawet w chwilach przedzgonnych.

Dowodził on potęgę jego mistycyzmu, który w długim wysiłku myśli zdobył podstawę filozoficzną poematu, poczucie świadomości swego królowania w sferze ducha narodowego. Podstawa była gotową; na niej, jak na fundamencie, wznosił się gmach poetycznej wyobraźni i cudownego wczucia się w dawne wieki, gmach nieskończony, ale genialny w pomysle i w wykonaniu. Jak w całej poezji, opowiadał Słowacki tylko o sobie, o dawnych swych żywotach, jak ów platoński Her, o którym opowieść zamieścił na wstępie. Nic dziwnego, że podobala mu się ona tak niewymownie, skoro znajdował w niej potwierdzenie nieśmiertelności, o której marzył od swego przemienienia. Rozczytując się w Platonie, poczuł wstręt do artystów, którzy, jak wyjaśniał Sokrates, odtwarzają tylko pozory, naśladują tylko formy, nie mają związku z duszą rzeczy, z duszą człowieka, która jest pełną sprzeczności z powodu dualizmu ludzkiej natury.

Poezja, mówił Plato, nie powinna odtwarzać cielesnej strony życia, nie powinna psuć innych naśladowaniem życia, winna chwalić rzeczy wielkie, a więc bogów i ludzi, i nie zaniedbywać nigdy budzenia poczucia sprawiedliwości i nieśmiertelności. Duch nie zależy od ciała i ginie tylko z choroby wewnętrznej, a więc z własnej winy; duch winien szukać związków z tem, co jest boskie, nieśmiertelne i niezniszczalne, przez co wydobędzie się niby z morza, w którym obciążają go kamienie i muszle ziemskie. Platoński dyalog podniecił tylko w poecie jego dążenia, rozszerzył w nim żądę uduchowienia wewnętrznego, przez które, jak powiada Sokrates, dochodzi się do podobieństwa z Bogiem. I jego poemat miał opowiadać o tem uduchowieniu, którego nagrodą jest żywot przyszły, jak nagrodą za bohaterstwo i ofiarę Hera było odrodzenie do nowego życia. Człowiek, wedle Sokratesa, winien zaniedbać wszystko, a myśleć o rzeczach wiecznych, zachować stałość i niewzruszoność w tem uczuciu, by się nie dać olśnić niczemu, a będzie szczęśliwym na ziemi i na łonie wszechbytu. Metempsychoza, która go czeka, a którą poeta idący za Platonem godził, jak wiemy, z tekstem biblijnym, poprowadzi go tylko do coraz wyższych bytów w podróży wiekowej.

Dlatego poemat zaczynał się upoetyzowanym wątkiem platońskiego opowiadania o Herze, w którym dusze zmarłych wybierają byty nowe, a więc Orfeusz łabędzia, Ulisses oracza, a Her, obmywający swe rany w letejskiej wodzie, budzi się nie na stosie greckim, ale do bytu dalekiego, do łąk i puszczy, kędy wiodła go idea wieszcząca wskrzeszonemu, że otrzyma jedną smętną ranę, z której nie uleczy się nigdy. Jeden z komentatorów poró-

wnywa los Hera z Irydyonowym, co jest uwagą zupełnie trafną,¹⁾ gdyż obaj idą na ziemię naszą; ale Her wie, co go na niej czeka, wie, że uwieńczy ciało mękami, jak girlandą. Zabity na chwilę odradza się gdzieś w puszczy, by pomścić zabita ojczyznę Wenedów, staje do walki w towarzystwie ducha jasnego i ciemnego, by wyobrażać niejako trójkę ulubioną mistykowi, by karmiony zemstą i zdradą uragać cichości świata i powolnemu biegowi rzeczy ludzkich. Odrodzony w Popielu przypomina tedy zupełnie uczucia syna zabitej ojczyzny, żyje w kraju podbitym, gdzie służy Lechowi za pachotkę, jak przystoi skutemu w niewoli Wenedzie.

Stawszy się prawą ręką panującego, chce być wodzem i przypiąć skrzydła, jak duchy na czele wojsk latających. Spostrzegł tę zmianę Lech i kazał przykuć buntownika do ścian ciemnicy, gdzie Popiel posługiwał się pomocą ciemnych duchów gromady. To była pierwsza zbrodnia, choć uwięziony dał się przecież wyprowadzić duchowi jasnemu i, grożąc światu, błąkał się po puszczach. Germanów przerażał okrucieństwem i dał się nawet obwołać kejzarem, grozą strasznych czynów zbierał miliony duchów koło siebie, wywarł wreszcie zemstę na ludzie Lecha, który błagał go o pokój. Zaciął się jednak w gniewie, bo żądał, by córą Lecho-wa przyszła w ramionach jego błagać o łaskę, doczekał się tylko widma jej we śnie i śmierci ofiary w falach Wisły. Porwała go, rzecz nieoczekiwana, rozpacz i tęsknota za zmarłą, której chciał wyprawić pogrzeb niestychany, pochować na lodowiskach i przy blasku rubinowych wulkanów.

A sam z dzikimi rotą na urwiskach
Dzikszy niż burze! straszniejszy niż fale,
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć i ogniom pochłonać!

Obrano go królem.

Postanowił wtedy, jako opanowany ciałem i ulegającym ciemnym, niebiosą zatrwożyć zbrodniami, póki nie pokaże się Bóg blady, póki nie spadnie zemsta na zbrodniarza, który czuł swą nicłość i mordował dlatego najpierwszych w narodzie. A przecież w tym potworze, przypominającym Iwana Groźnego, o którym poeta naczytał się u Karamzina, były i inne instynkta, skoro po zbrodniach

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący!
Taki upadły! i taki zużyty!

1) *Biblioteka warszawska* z r. 1903. Tom III, zeszyt III, str. 534.

Czasem się czułem, jak Anioł gorący
 Gotów ukochać świat i nieść w błękity
 Tę ziemię, jako anioł wzlatujący
 Z pieśnią... co była, jako szklanne zgrzyty
 Harmonik... i szła w ton coraz boleśniej
 Aż upadała w śmiech—w szaleństwo pieśni...

To wynik platońskiego dualizmu ludzkiej natury, o którym nie wiedział odrodzony Her. Ukochano przecież Popiela za siłę, za strach, za mękę, choć pogardził nim Bóg. Więc uniesiony szaleństwem powziął myśl zamordowania Lechowego wodza Śwityna i jego rodziny. Nie oszczędzał nawet biednego rapsoda, któremu wbił mieczem nogę do ziemi.

Ale aniołowie złoci ostrzegli ofiarę, która katowi, jak książkę Kurbski Iwanowi Groźnemu, zapowiedziała spotkanie na straszonym sądzie. Pierwszy raz uczuł Popiel swą słabość; bohater-ska śmierć rapsoda rozjątrzyła go do reszty tak, że biegł wściekły i żądny krwi na zamek Świtynowy, bluźniąc Bogu, którego istnienia zaprzeczał. Gdy ucztował tedy przy ciałach pomordowanej rodziny Śwityna, ujrzał znak, przed którym przykląkł z duchem złamanym. Dokonało się bowiem odkupienie narodu krwią, spełniło się dzieło ducha Bożego, którego pamiątka zostanie w pieśniach i w kurhanach, gdy inny przyjdzie rządzić duchami, gdy pchnięcie skrwawionego wiosła poniesie dalej łódź dziejową błędzącego wielokrotnie jeszcze ciałem narodu. Błąd bowiem Popiela polegał na daniu przewagi namiętności cielesnych nad duchowymi, które zwyciężą. Ten błąd pomścił się na nim, choć duch odzywał się w okrutniku, który czuł, że źle czyni.

Nigdy jednak żadne dzieło poety nie spotkało się z tylu sprzecznymi sądami, co ten pierwszy rapsod poematu. Jedni szukali w nim osobistego żywiołu, drudzy dopatrywali w nim historyzofii, traktując go niestety oddzielnie od innych, gdy był on tylko początkiem nieskończonego szeregu. Wyobraźnia tak genialna umiałaby niewątpliwie tworzyć rapsody po rapsodach, odbudowywać epoki za epokami, otwierać światy o horyzontach nieokreślonych, stwarzać poprostu cykl poematów, nieprzerwany łańcuch wcieleń idei zasadniczej, która wystrzelała obrazami zawsze nowymi, rytmem nieskończenie suggestywnymi, postaciami, z których każda byłaby inną i zrodzoną w mózgu niewyczerpanym w odmiany. Ani żywioł osobisty, ani rozmyślanie nad dziejami nie wpłynęły tu decydująco na ukształtowanie bohatera, na pojęcie dziejów. Idea zasadnicza rapsodu da się wyprowadzić z usi-

łowania poety, które dążyło do odkrycia tajemniczego znaczenia mytów biblijnych.

On tego znaczenia szukał w podaniach i dziejach narodowych; tłumacząc wszystko z ducha, pragnął wyjaśnić każdy szczegół dziejów, bo z swym narodem spojony był najściślej. Popiel, choć szaleje, cierpi niewątpliwie, bo jest duchem, bo wybrał, celem zbawienia narodu środek, który jest przeciwny miłości i ofierze, który jest przeciwnym jego naturze ducha. Myśl Boża rodzi się jednak czasem we krwi, jak mówił do Krasińskiego poeta, wciela się nawet w mongolskiej dzikości chana Uzbeka, jak świadczy dawniejszy dramat. Jak Uzbek, nie ma tedy Popiel litości dla nikogo, bo idzie za siłą wewnętrzną, bo jest widocznie narzędziem kary za grzechy. Ta kara nie dosięga wprawdzie Lecha, który umarł, ale jego lud. Nie z osobistej żądzy zemsty, nie z zamiłowania w zdradzie ani ze smutku głębokiego, który porównywano niesłusznie z byrońskim, wypływały czyny Popiela. On był tylko wcieleniem zabitej ojczyzny, która legła niegdyś pod ciosami drużyny Lechowej, on był tylko sposobem objaśnienia mytu narodowego. Jego wzoru nie można szukać w Arabie, z którym nie ma nic wspólnego, wyszedł on z historyzofii poety, z jego mistyki, z jego odrodzonego nastroju ducha. Nie przez występki, okrucieństwa, potworności chciał on iść ku udoskonaleniu, gdyż zbyt był wierzącym i kochającym, by polecać podobną potworność.

Wszystko przypisywał jednak sile wyższej, która niegdyś dała kształty duchom i uczyniła je widzialnymi. Her, jak owe duchy w mistycznej modlitwie, ofiarował się na śmierć dla innych i obudził w formie doskonalszej, bo w ciele mściciela zabitego ludu północnego. I gdy miało dokonać się jego przemienienie w Popiela, ukazał mu się wid czyli Bogarodzica, która, jak cudowne widmo w obręczy z płomieni, objawiła się niegdyś nad gasnącym stołem Lelum i Polelum. Objawienie się widu wzmochniło mu duszę na nowe boje. Wchłonał w siebie niejako rozpaczny krzyk Polelum, który w obliczu śmierci rzucił Bogu gorzki wyrzut obojętności na mordy i tryumfy urągliwe tyranów. Jeżeli jest podobieństwo Popiela do której z figur poetyckich naszego romantyzmu, to do Wallenroda. Ale Popiel przerasta miarę zwykłego człowieka, streszcza Wallenroda, Uzbeka, Iwana Groźnego w swych poetycznych zarysach. Wedle Popiela, każdy wiek toczy się inną koleją, każdy wiek przynosi nowe środki, zmierzające do uduchowienia, a więc raz krew i gwałt, raz słowo i ducha, a

Miedzy glazami dawniej czerwonemi,
Miedzy miesiacem i polnemi glögi,

Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli, jak sny przelatują.

Popiel ma świadomość całej moralnej nizkości zemsty, ale słucha głosu nadludzkiego, głosu fatalnego dla ducha, który każe mu się sprzymierzyć z duchami ciemnymi.

Wygląda zaś tak strasznie w tej żądzy zemsty, że nawet Lech przeczuwa w nim wroga. Nie ucisza jej więzienie, nie ucisza czyn córki Lechowej, która przyszła go uwolnić z więzienia. Odpłacił złem, szedł zbrodniami, ale kupił naród krwią i podniósł ducha, który śmiercią gardzi. Ten naród pysznić się będzie, że miał Popiela za króla-ducha, który spełniał tylko wolę Bożą.

Co do mnie?... jam jest bicz okropny Boży,
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jedną otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłości... jak psy spuszczone z obroży!
Żądze... jak słońce ogniste rozploną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie—
Wszechmiłość zmyta w krwi—i wszechcierpienie.

Arab niszczy wszystko z zemsty osobistej, mści się za doznane zapewne zawody, niema żadnej idei. Popiel ją ma. Jest nią pogarda dla ciała, lekceważenie rzeczy ziemskich, potrzeba ofiary, gdy idzie o spełnienie myśli Bożej, gdy idzie o poddanie się Bożemu wyrokowi. Popiel jest z rzędu duchów, które ofiarowały się na śmierć w mistycznej modlitwie, jest królem-duchem, bo zahartował naród na ból tak, że dotychczas

Idzie Polska—na ból—skała...
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe... lecz com ja wycisnął
Pod krwią? tam zawsze zwyciężył, gdy błysnął.

Jej kształt pierwszy czyli Popiela opuścił duch, ale dzieło nie zginęło bynajmniej w krwawej wieków zawiei.

Popiel jest na miarę mitycznego bohatera, przewyższa Zawiszę uświadomieniem swej roli, potęgą indywidualizmu. Legenda spłotła się w nim pysznie z pojęciem historyzofa, z zapalanej wizjami wyobraźni wypłynęły płomienie, które stworzyły postać nadludzką. Geniusz wysilił się na twór pełen życia i charakteru, przewyższył nią wszystkie, które tworzył od czasów warszawskich. Wywarł tą postacią wrażenie grozy niezmiernej, dał nią dzieło, które jest w naszej poezji tem, czem są freski Michała

Anioła w malarstwie włoskiem. Bez przesady, deklamacyi, poży osiągnął efekt, który jest jedynym u nas, który dorównywa potęgą pomysłom największych poetów świata. A język i wiersz? Jest on cudem od początku do końca, jest jednym obrazem, jedną muzyką rytmów. Wre uczuciem, olśniewa nastrojem, jest na wysokości wewnętrznego natchnienia. Obrazy gromadzą się w takiej liczbie, że zmysły z trudnością mogą przyjmować wrażenia. Myśl kryje się pod masą obrazów, odziewa w szaty zbyt może nawet bogate i kosztowne; okresy przesuwają się tak szybko, zmiany frazowania przychodzą tak nagle, że budzą uczucie męki i niepokoju. Każde słowo mówi za siebie, każda litera niejako ma moc znaczenia. Nastrój stopniuje wrażenie grozy, rozpościera jakby mgłę, która przygnębia, wywiera wrażenie czegoś, co przechodzi miarę zwyczajną, a co jest samorodnem do dna pełnem namiętności, wielkości i piękna.

I wartość następnych rapsodów jest wielka, choć Popiel przeraża mistrzostwem charakterystyki znacznie Mieczysława i Bolesława Śmiałego. Nie sędzę, by żywioł osobisty był poprzednio taką podniecią w tworzeniu, że brak jego wpłynął na osłabienie natchnienia, na upadek zdolności charakteryzowania, na obniżenie piękności malarskiej rapsodów. Ten żywioł osobisty jest i w następnych rapsodach, choć postać Popiela pociągała poetę tak, że wracał do niej długo, błądził koło niej niejako wyobraźnią, uważał ją niewątpliwie za najszcześniejszy twór własnego ducha. Dowodem ustęp, który prof. Małecki nazwał drugim rapsodem, dowodem warianty, snujące się po rękopisach. Postać Popiela nie zniknęła, choć wypadało raczej szukać nowych. Wracał do niego nieznużony, Popiel odpowiadał niejako jego naturze dumnej i trudnej do ugięcia. Wracał do Popiela, za którego przykładem, jak opowiadał, poszło dwunastu wojewodów, choć nie miało ani jego wzniosłej duszy, ani wielkiego serca. I dawny król-duch cierpiał tak, że cały stał się prochem i rozpaczą, choć jutrzienka nowych lat pokazywała się za chmurą. Pragnął unicestwienia, które nie jest jednak udziałem duchów, gdy zjawili się dwaj posłańcy z ostatecznej krainy zachwyceń i zapowiedzieli mu, że wielką ma spełnić w swej ojczyźnie sprawę.

Ma pożegnać się z dawną naturą, ofiarować swą własną indywidualność, jak to uczynił niegdyś poeta przemieniony.

Ofiaruj Bogu w myśli Miecz i Sławę,

Ofiaruj miecza twego błysk ponury!

Nową żywota jutrznią się rozraduj

I błyszcz—a dawnych kształtów nie naśladow!

Sercem miał działać odtąd odrodzony Popiel, w ogień się rozpłomienić, by błądzić po kraju, straszyć wojewodów, być straszliwością i zbrodniom osłoną i groźbą jednocześnie. Aż ujrzał raz chatę na szmaragdowych łąkach przy Kruszwicy, z bocianiem gniazdem na strzesze, do której weszli cudowni goście, i począł składać na ofiarę dawne moce, bo ofiara była przecież warunkiem rozwoju. Pobłogosławił siedmkroć tej chaty prostocie, cichości, pokojowi, błękitnej pogodzie, wesołości, dostatkom, choć nie kończyła się jego pokuta, jak można nazwać ustęp, dzielący rapsod pierwszy od nazwanego przez prof. Małeckiego trzecim. Tymczasem nowy żywot królewski nie nadchodził, choć poeta tworzył dalej w nieustannem natchnieniu, które przychodziło z owej sfery zachwyceń.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro.
 Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
 I moją własną kwitnącą naturą
 Nieznane dotąd oceany porę;
 Wiersza się mego dawnego strukturą
 Ubrałem Panu memu przez pokorę—
 Tak od cielesnej uwolniony troski
 Cały się zdając na moc i duch boski.

I rapsod płynął, choć żywot królewski nie nadchodził.

Śpiewak ludowy przynosił księciu Ziemomysłowi pieśń o Piąście pełnym dobroci, o jego żonie Pysze, o ich synach ciemnym i silnym Wodanie i jasnym a miłującym Ziemowicie. Dowiadawano się z niej, jak anioł ominął Wodana i zlał na Ziemowita ducha, który go rozkwiecił i wyzłocił, jakby gwiazdę, tak, że z okolic zbierano się widzieć cud-dziecinę. Rósł Ziemowit i, jak Chrystus, w łaskę Bożą się pomnażał, aż Pycha odkradła mu ducha i uciekła z Wodanem na górę Zober, gdzie obwołana królową przez pustelników wezwała cesarza Ottona, by ujarzmił słowiańskie plemiona. Przybył najeźdnik na ziemię starą, ale nie dopiął celu, gdyż Pan przysłał ducha, który kazał Ziemowitowi uwiadomić księcia o niebezpieczeństwie. Szedł Ziemowit na dwór Popiela, którego obudził na bój, i

Przez Niemcy, jako przez łamane żyta,
 Poszła chorągiew złota Ziemowita.

Gdy dopadł jednak góry Zober, padł martwy przed potęgą ducha Pychy. Zdaje się tedy, że nie Piast, ale Ziemowit miał wypełnić ów nowy królewski żywot. Inaczej poeta nie zlałby ty-

le blasków na głowę bohatera, nie uczyniłby go duchem, który stanowi przeciwieństwo z Popielem, nie odróżniłby od Wodana treścią i powierzchownością.

Jakikolwiek miał zamiar poeta, niema wątpliwości, że rapsod, zwany trzecim, miał być walką sił pogańskich, które przedstawia Pycha i Wodan z duchowemi Ziemowita. Pycha napoiła się sama jego duchem, ale użyła go na złe. Więc Ziemowit, pozbawiony ducha, nie popada w występki, unie oprzeć się nawet czarom zmysłowym, które wyobraża dwanaście córek Popielowych. Tymczasem zaś kończy się stuletnia pokuta Popiela pierwszego rapsodu, rodzi się Mieczysław, który streszcza w sobie dolę króla i Homera. Wypadałoby tedy zapytać, czemu Ziemowit nie był królem naprawdę. Może odciągały od niego poetę ówczesne spekulacye filozoficzne, którym się oddawał na dwa lata przed zgonem, może myśli o czynie, które pochłaniały go przed wyjazdem do Poznania. Dość, że Ziemowit gościł mu w duszy, choć niewątpliwie wiele z jego własnej duszy było w tem cudownem dziecku.

Począł się rapsod o Mieczysławie, któremu śniły się dawne duchy, niepewne blaski, pożarne łuny, który miał spełnić proroczy sen ludu i być mężem w ojczyźnie. Marzył o niewidzialnych rzeczach, jakby poetą miał być, objęty nieznana tęsknotą, oświecony dziwnymi światłami, ciężki ciałem a ubogi w krew. Poszły swaty do Czech, ale jego smętność, która została wśród mogił po dawnych dziejach, opanowywała tak, że nie cieszyło go nic w poddanym mu kraju. Gdy nadjechała Dubrawna podobna palmie złotej wśród orszaku, który uświetniał apostoł Wojciech, poświęcił szczęście i spokój, by tylko apostołować na przekór radom kapłanki pogańskiej, by iść za tchnieniem Bożem, aż Jeruzalem nadejdzie słoneczna. Przeznaczony na walkę z ciałem, był Mieczysław mistykiem, jak Słowacki, który pogardził sławą. Opanowany tą ideą, rozbijał dawne bogi, zniszczył nawet gnieźnińską bożnicę, wytepiał święte węże, gdy nadciągnęły zewsząd wrogie ludy sąsiednie. A on nie miał w sobie mocnej i silnej natury Popiela, musiał się ukorzyć i wpadł w rozpacz. Wtedy Pan pokazał mu na jaką sprawę go przeznaczył, spełnił nawet tajne życzenie, bo z trójcy duchów, czyli jego, żony i nowego ducha, urodził się Bolesław, który boleścią miał być dzielny w przyszłości.

Mieczysława ogarniał tymczasem sen anhelliczny, w którym oglądał rzeczy cudowne, aż duch mu się rzucił w usta otwarte, by odejść w błękity.

A glob był niżej—jakoby pod chmurą,
Zakryty ze mnie lejącą purpurą.

Żelazny żywot jego potomka wypełnił treść ostatniego rapsodu, którego dokończył Słowacki. I Bolesław Śmiały zasłużył się Bogu, ale utracił zasługi marnie, by powrócić znów nad letejskie strugi i dać żywot innym. W młodym wieku przenikał już świat myślą, miał moc, świętość, cichość i prostotę, a zarazem dążenie do wielkości, którego nie znają mali. Złe duchy stały jednak na jego drodze, a pierwszym z nich była, jak u Ziemowita, matka Rusinka, która kazała mu przysięgać na rzeczy niepojęte. Pieśń ruska karmiła go ogniem, którym trawiony, biegł nad błyszczącą wodę ujrzyć słupce żelazne Chrobrego, badał mowę posagów, nie uszedł jednak namiętności ciała, którą odziedziczył z krwią ruską. Zapragnął posiadać ciało pięknej mieszczeni Krystyny i zerwawszy związek z duchami dobrymi, zamknął niebo nad sobą. Był zaś śmiały na wszystko, więc śladem dziada szedł do Kijowa, gdzie obszedł się brzydko ze starym kniazem, gdzie nie uszanował nawet niewinności Mécisławy.

Na wieść o buncie w kraju, wrócił z zemstą w oczach, uczłował rozwiązłe, srożył się nad ludem tem gorzej, że brakło mu łagodzącego wpływu siostry Swentyny. Kłatwie ze Skałki urągał, biskupowi kazał wywołać Piotrowinę z grobu, na czem urywał się rapsod piąty, a z nim i poemat. Dziwnym wypadkiem pominął poeta w szeregu duchów Bolesława Chrobrego, choć wspominał o nim dwukrotnie w rapsodzie ostatnim, jak

Tam gdzieś na górze, Chrobry w złotej zbroi
Z rycerstwem swoim skrzydlatem—pan świata...
Tu niżej, ruski lud pod chmurą stoi,
A błyskawica gniewu nad nim lata

i na przeprawie przez Bug. Czyżby potężna postać twórcy samodzielnego państwa, które zmierzyło się nawet z Niemcami, nie miała imponować jego poetyckiej wyobraźni? Może widział więcej malowniczych epizodów w życiu jego prawnuka i dokonał nieco rażącego przeskoku, który jest tem dotkliwszy, że samą postać króla owiała też legenda godna spożytkowania. Sądząc po rapsodzie ostatnim, nie można wątpić, że mógłby poemat snuć dalej, prowadzić przez wieki, które odczuwać umiał z intuicyą niezrównaną. Postacie bohaterów, jak Ziemowita, Miecysława, Bolesława Śmiałego rysowały się jednak z mniejszą siłą i plastyką, choć był to dopiero początek cyklu, który otwierał się w czasach bajecznych a zamknąłby się po szeregu wcieleń dziejowych synteza, której jądrem byłaby zapewne myśl, że wszystko przez ducha i dla ducha stworzonym jest a nic dla cielesnego celu nie istnieje.

Być może, że poeta byłby ostatnim z królów-duchów, bo już w piątym rapsodzie była wzmianka, że król-duch wciela się raz w homeryckiego harfiarza, raz w pogromcę Kijowian. Mistyk chciał tu zamknąć wiedzę przeszłości, świętą wiedzę narodu, jedność wiedzy i uczucia, widzenia ofiar, które, jak mówił, wiodą do ostatecznych celów przez ducha świętej ojczyzny. Czy jednak ta wiedza przeszłości byłaby w całości trafnem odgadnieniem, kto w dziejach był istotnie królem-duchem narodu? Jeżeli ta wiedza pominęła Bolesława Chrobrego, mogła zapomnieć i o żelaznej dłoni Łokietka, mogła wyłączyć Warneńczyka, Zygmunta Augusta, Batorego, Sobieskiego. Czy można twierdzić z pewnością, że poeta wybierałby zawsze Zawiszów a wyłączał Zborowskich? Mistyka miała czasem genialne pomysły poetyckie, nie ona jednak stała się czynnikiem postępu, nie ona stała się nauczycielką ludzkości, w której rozum wspierany uczuciem i wolą dokonał największych przełomów. Może i lepiej stało się, że poemat pozostał niedokończonym. Idea jego była jasną, wracał do niej poeta często, gdy mówił naprzykład w rapsodzie piątym, że wiara i czucie są dla nas mieczem w ciemności dziejowej, że polskie duchy mają być twarde i nie poddawać się naciskowi z zewnątrz, nie iść za cielesną pokusą, pod którą rozumieć trzeba wszystko, co ducha osłabia, co jedność rozprzega, co w tego ducha sący jad namiętności złych i zbrodniczych.

Przeniknięty tą ideą wyrzucał z siebie poezję taką, jaka godna była tej idei, choć ciało słabło i duch, jak wiemy, omdlewał często. A przecież panował nad nim zdumiewająco, skoro mógł do ostatnich chwil prowadzić dzieło, skoro pragnął zmieścić w niem jak najwięcej swej historyzofii dziejów, aż upuścił pióro, gdyż, jak mówił,

Anioły moje już przybiegły zgrają—
 Tłuką mi serce—targają mi włosy.
 I nazywają już wielką osobą
 I szepczą... i już zapraszają z sobą.

Ulatywał w przestwór, jak Mieczysław, w którego sam wcielił się poczęści, ulatywał nad glob pod chmurą leżący, zakryty lecącą z niego purpurą poezyi. Królewską była poezya, skoro taką ideę niosła; ta idea rozświecała też tajne głębie budowy godnej poematu Dantego, gdyby była skończoną. Mimo pewnych szczegółów zbyticznych, jak wędrówka Popiela za granice ojczyzny, jego pokuta ogniowa, sen Dubrawny, była ona szczytem natchnienia w pomysle i w wykonaniu. Poeta widział w niej obja-

wienie boskości swego ducha, my bardziej trzeźwo patrzący na rzeczy widzimy objawienie takiej siły uczucia, wyobraźni, kolorytu, jaką okazał u nas tylko Mickiewicz.

Poemat Słowackiego rozgrywa się między otwartem niebem a ziemią słowa piękniejszą nawet w śmierci i jakby zamyśloną, odznacza się tajemniczą głębią, nieprześcignioną fantastycznością, indywidualizmem czysto romantycznym i dążącym, jak wtedy często, do samoubóstwienia, do otwartej, jak wyraził się jego krytyk, apoteozy indywiduum.¹⁾ Natchnieniem bliżej jest poemat drezdeńskich natchnień Mickiewicza; jako całość osobna i niezależna jest tem, czem nazwał te ostatnie inny mistyk, Mochnacki: wytryskiem ognistego ducha, strumieniem najczystszej uniesienia, najwyższą liryczną inspiracją, płomieniem miłości, która rozpałała przed laty poetę. I wpływ jej na umysły musi być wielki, by odpowiedział jej wielkości. Że ta poezja jest ciemną, nic dziwnego; bo ciemną jest też dantejska, która przewodniczyła niegdyś poecie anhellizującemu, bo otwiera widok na bezmiary, które nie są jasne. Potrzebuje objaśnień, które w miarę lat przenikają do jej wnętrza, rozświetlają ten olbrzymi gmach, zawierający arcydzieła sztuki mistyka, gmach, który jest odbiciem jego pojęcia nieskończoności. Ten gmach to pojęcie urzeczywistnił; z myśli o niej wyrosło dzieło, które jest owocem moralnego wyanielenia poety, potem jego metafizycznych spekulacji, zgodnych z nastrojem epoki, potem jego patriotyzmu, który nie chciał i nie umiał wylecieć duchem poza granice własnych dziejów i kraju, jego genialnego indywidualizmu, którym dorównał Mickiewiczowi. Pokazał nam piekło polskie, pokazał nam ziemię i niebo, które stworzył najlepiej ze wszystkich, tworząc obrazy tak wspaniałe, siejąc rytмами tak dźwięcznymi, rzucając słowami tak kolorowymi, że stworzył korrelacje dziwnie bliskie, wykuł ekwiwalenty, przewyższające wszelkie wartości dawne, którym równych szukać trzeba tylko u jego genialnego rywala.

On czuje, że ma rewelatorskie słowo, wie, że idzie mu pieśń

taka w ogniach cała,

Kolor jawiąca w słowach doskonała,

w której pragnął zamknąć treść dziejów i ducha polskiego, by odpędzić zarzut egzotyzmu, by zakrótować w polskiej sferze du-

¹⁾ Pierre Lasserre: *Le romantisme français*. Paris, 1907, str. 193.

cha, której trzymał się całą istotą mistyka i artysty. Jego indywidualizm przenikł całe dzieło, objawił się bezpośrednimi wybuchami, w której trwały, namiętny, wyanielony stan duszy znalazł szczery i skończony artyzmem wyraz. Energia natchnienia wzrosła w chwilach tworzenia poematu do miary wyższej nad średnią, bo i człowiek stanął powyżej tej miary. Trzeba podziwiać tę energię, która wytrwała w tworzeniu do kresu bytu fizycznego, to uczucie, które wre rozgłosnie w nieprześcignionych mistrzostwem oktawach, tę wyobraźnię niezmożoną żadnym wysiłkiem, tę umysłowość romantyka, który dążył do filozofii, będącej pomnikiem historycznym, ale świadczającej o jego epoce i o nim.

On swą ojczyznę przybrał w kolory tak świetne, on wskazał jej drogę tak idealną, że trudno będzie nadążyć za nim kiedykolwiek. Ze we wzroku skupia się widzenie jego poezyi, nie wątpi nikt. Gdy jednak Słowacki wznosi się w dziedziny mistyki, niema wątpliwości, że czucie, że myśl doznają największej rozkoszy. To czucie notuje przedziwną zdolność wyrażania tajnych poruszeń duszy, oderwanej od życia; ta myśl śledzi z wysiłkiem filozofię mistyka; zmysły nie mogą wreszcie wyjść ze zdumienia, gdy olśniewa nas migotliwość barw, delikatność i rozwiewność stylu, który każe okrzyknąć go najwyższym, obok Mickiewicza, mistrzem polskiego słowa.

Słowacki tworzy żywiołowo, tworzy tak skończenie, że trudno pomyśleć, że po nim mógłby ktoś tworzyć u nas lepiej. Niedługo, gdy był pesymistą, kończył anheliczną wędrówkę pragnieniem śmierci, która nie przyszła istotnie. Teraz, bujając w podświetlonych bezmiarach zachwyceń i uniesień, korzył się przed wolą Boga, choć tworzyć pragnął niewątpliwie dalej, tworzyłby w nieskończoność. Choć wieczność go pociągała, choć wyzwolony z ciała dążył tam, gdzie spodziewał się znaleźć duchów jedynie, nie zeszedł przecież z ziemi przez ideę swego poematu, przez ideę najwyższego społecznego znaczenia dla narodu, do którego jako Polak, nieskażony żadnym obcym powiewem, należał.

Mimo mistycyzmu, jego program, którym jest dążenie do wewnętrznej doskonałości, pogarda zmysłowości, odrzucenie pokus zewnętrznych, jakiegokolwiekby one były, ma swą doniosłość aktualną. Tworzenie z trudnością było zaś rzeczą niemożliwą dla niego. Można o nim powtórzyć to, co Lemaitre wypowiedział o Lamarlinie: że jest więcej niż poeta, że jest poezią samą. Jest poezią czyli uczuciem najczystsze w treści i idealizmie, czyli wiarą najbardziej naiwną i wzniesioną ku niebu, czyli marzeniem o pięknie

najsubtelniejszym i tak doskonałym, jak doskonałymi są tylko największe twory sztuki.

Kochał swe powołanie do końca; kochał je po młodzieńczemu i może dlatego jest przyjacielem dusz młodych, które go kochają jak swe marzenia, które koło niego tworzą świątynię pobożnego zamyślenia, podziwu, uwielbienia. W tej świątyni będzie on stał zawsze, jako dający przez wieki wrażenie najwyższe polskiej sztuki. A z gwiazd, które mu świecą nad czołem, nie będzie zapewne najjaśniejszą anheliczna wizya, której tytuł rad był widzieć Krasiński na jego nagrobku, ale ostatni poemat, w którym skupiła się cała treść jego ducha. W tym poemacie trzeba z nim toczyć walkę, ale zachwycającą, ale uszlachetniającą, z której wychodzimy lepsi i rozpromienieni na wiekowy bój, w którym on był królem, ale w którym mniejszymi duchami jesteśmy wszyscy.

DR. T. GRABOWSKI.

SZTUKA WE FRANCYI.

(Malarstwo dekoracyjne. — Puvis de Chavannes).

Malarstwo dekoracyjne, czyli monumentalne, mając specjalne przeznaczenie przyozdobienia wnętrza gmachów — kościołów, pałaców, muzeów i t. p., i podlegając przeto wyłącznym prawom, stanowi do pewnego stopnia w sztuce malarskiej dział odrębny. Ma ono to samo zadanie, co dawniejsze freski i, jak one, liczyć się musi z charakterem architektury, z którą przedstawiać powinno harmonijną jedność, oraz stosować się do określonych z góry warunków oświetlenia, rozmiarów, odstępu i t. p., wreszcie i przeznaczenia gmachu, lub sali. Przy freskach, gdy malowidło wykonywano wprost na ścianie, na której miało pozostać, stosowanie się do tych otaczających warunków było wynikiem naturalnej konieczności, harmonia wypływała stąd sama przez się, zależąc już tylko od czucia artysty. Trudność jest bez porównania większa, gdy, jak się to czyni obecnie, obraz dekoracyjny wykonywa się na płótnie, w pracowni, zdala od miejsca, które ma zdobić. Malarz, związany temi warunkami, o których mu zapomnieć nie wolno, pod karą przedewszystkiem utraty efektu swego dzieła, musi naprzód te warunki dokładnie wystudyować, mieć je w pamięci i nagiąć do nich sztucznie swą pracę. Przyznać trzeba, iż większość artystów nowoczesnych zbyt łatwo zapominała o tej zasadniczej regule, bez której zachowania malarstwo ścienne mija się ze swym celem i traci znaczenie.

Ten rodzaj malarstwa rozwinął się we Francyi bardzo silnie, szczególnie od połowy XIX w., gdy wzrastające wskutek rozwoju przemysłu bogactwo wywołało i rozpowszechniło potrzebę zbytku, gdy zaczęły mnożyć się gmachy publiczne, wymagające przepychu dekoracyi, oraz niemniej ozdobne pałace i wille prywatne.

Zyskowych robót tych, których zamówienia udziela rząd, a za nim rady miejskie i inne publiczne lub prywatne instytucje, jako nagrodę i odznaczenie, podejmują się pierwszorzędni malarze bez względu na naturę swych zdolności i upodobań, które nie zawsze temu zadaniu odpowiadają. Widzimy więc też, że przy sposobności, zamieniają się na dekoratorów, bez różnicy, malarze scen historycznych, rodzajowych, kwiatów, zwierząt, portreciści, pejzażyści, a nawet karykaturzyści. Jednem słowem, dekoratorem może być dziś każdy malarz, który otrzyma odpowiednie zamówienie. Czy zyskuje na tem sztuka dekoracyjna i same ozdobione w ten sposób gmachy, to pytanie, nad którym zdają się nie wiele zastanawiać zarówno zamawiający, jak i wykonawcy.

Wymieniać tedy tutaj tych wszystkich, którzy od pół wieku malowali obrazy dekoracyjne, byłoby zbyt czułym i miałyoby się z celem niniejszego szkicu; poprzestaniemy więc jedynie na wzmiankowaniu lub charakterystyce tych tylko artystów, którzy w tym kierunku szczególnie się odznaczyli, lub oddali mu się wyłącznie.

W epoce największego rozwoju malarstwa dekoracyjnego, t. j. za drugiego cesarstwa, obok zimnego *Chenavard* i konwencyonalnego *Cabanela* (cykl z życia św. Ludwika w Panteonie, alegorye miesięcy w Ratuszu), spotykamy *Eliasa Delaunay* (1828—1891). Płótna jego, zdobiące foyer Opery, odznaczają się prawdziwymi zaletami dekoracyjnymi w układzie, kolorze i szarmonizowaniu z otoczeniem (*Apollon et les Muses*, *Le retour d'Eurydice*, *Amphirion bâtissant Thèbes*). Toż samo da się powiedzieć o kompozycjach jego, przeznaczonych do Panteonu, z których artysta, zaskoczony śmiercią, dwie tylko wykonał — „*La marche d'Attila*“ i „*Sainte Genevière exhortant les habitants à la résistance*.“ Dekoracje jego klasztoru Wizytek w Nantes mają dobrze pojęty charakter religijny, zbliżony w swem uczuciu naiwnem do prymitywów włoskich. *Teodor Maillot* zostawił w Panteonie zasługujące na uwagę swym układem i charakterem archaicznym malowidło, przedstawiające procesję relikwii św. Genowefy. Sąsiadujący z nim w Panteonie *Eugeniusz Leneveu* umieścił w tym gmachu rażące banalnością konwencji kompozycje z życia Joanny d'Arc. Jego plafon w Operze i dekoracje treści religijnej, choć również bardzo akademickie, mają jednak więcej charakteru i siły. *Wiktor Galland* należy do artystów, którzy dekoracji oddali się całkowicie; z pośród dzieł jego, rozproszonych przeważnie po domach prywatnych, znane są najwięcej malowidła ściennie, przedstawiające rzemiosła w ich historycznym rozwoju, nader szczęśliwie dostosowane do charakteru ornamentacyi architektonicznej

(w Ratuszu paryskim), oraz mniej udatna, w traktowaniu jakby akwarelowem, kompozytca, odtwarzająca scenę nauczania św. Dionizego (w Panteonie).

Św. Dionizy dostarczył również tematu artyście, znanemu obecnie więcej ze swych portretów, *Leonowi Bonnat*—obraz jego, pokrywający pierwsze z brzegu zagłębienie ściany przy wejściu do Panteonu, przedstawia chwilę, gdy ów święty podnosi swą uciętą głowę. W Ratuszu posiada on plafon „Le Génie des Arts.” Technika Bonnata ciężka, jego przesada plastyki, tony ciemne, brunatne, nieprzezroczyste zupełnie nie odpowiadają wymaganiom dekoracyi. Nie należą też do szczęśliwszych dzieła dekoracyjne innego, modnego portrecisty, dzisiejszego dyrektora Szkoły francuskiej w Rzymie, *Carolusa Duran* (plafon Maryi Medycejskiej w Luwrze, Andromeda, Tryumf Bachusa). Niedawno zmarły artysta, *William Bouguereau*, hołdujący wyłącznie konwencji akademickiej, naśladowca bezwzględny zwyrodniałego renesansu w tonach i kolorach słodkich, w pozach manierycznych, w wypieszczeniu linii i form aż do cikliwości, malował w tym stylu liczne kompozycje dekoracyjne na tematy religijne lub z mitologii (plafon teatru w Bordeaux, kościół św. Wincentego à Paulo w Paryżu, muzeum Luksemburskie).

Wśród tych artystów, należących całkowicie do kierunków tradycyjalnych, odznaczył się talentem prawdziwym, bez porównania głębszym, nieledwie geniuszem, gdyby to określenie zastosować można do sztuki imitacyjnej, *Paweł Baudry* (1828—1886). Przez studyowanie długie, sumienne, z prawdziwem ich zrozumieniem i zamiłowaniem wielkich mistrzów Odrodzenia—Michała-Anioła, Rafaela, Signorellego i z weneckich—Tycyana i Tiepolo, Baudry, zamalgamowawszy ich właściwości, przejął się nimi do tego stopnia i doszedł w tym kierunku do takiej doskonałości, że dzieła jego charakterem swym i rzeczywistą wartością stają na równi z dziełami tamtych i łatwo ujśćby mogły za twory jeżeli nie wprost jednego z wymienionych, to przynajmniej współczesnego im i nieledwie równego talentem i umiejętnością mistrza. Obrazy jego mają szlachetność linii i układu, jedrność rysunku w formach, równowagę kompozycji, świetność kolorytu, zupełnie odpowiadające zaletom tych mistrzów, z dodatkiem nawet pewnych akcentów osobistych, wybornie się z nimi kombinujących.

Pawłowi Baudry przypadło w udziale wielkie dzieło udekorowania Opery. By przygotować się do tego iście niepospolitego zadania, artysta udał się z powrotem do Włoch, gdzie przez lat kilka studyował nanowo już dobrze znane sobie arcydzieła wiel-

kiej epoki i po przeszło ośmioletniej pracy wykończył trzydzieści trzy kompozycy, składających się razem na wspólny temat apoteozy muzyki, której moc czarodziejską, objawiającą się już to w pobudzeniu do natchnienia wielkich czynów, bohaterskich porywów, już to w ukojeniu bólów, w uciszeniu namiętności, w religijnem zachwyceniu—jej działanie uszlachetniające i cywilizacyjne—wyrażają sceny, zapożyczone z mitologii, legendy i historii. Całość tej kompozycji, nad którą panuje Apollo na pegazie, pomiędzy postaciami Komedyi i Tragedyi, zdobiąca foyer Opery, uderza przepychem form i barw, rytmicznością linii, szlachetnością stylu, wybornie dostrojonego do charakteru architektury i bogactwa ornamentacyi, pociąga wreszcie i zachwyca oko prawdziwą pięknoscią, pomimo wdzięku w kolorze nieco wypieszczonego. Ten sam styl i charakter posiadają późniejsze jego prace dekoracyjne: w Izbie Kasacyjnej—„La glorification de la Loi,” w pałacu Chantilly—„L'Enlèvement de Psyche” (plafon) i „La Vision de Saint Hubert,” plafon willi Vanderbildta, oraz inne, wcześniejsze, znajdujące się w posiadaniu prywatnem, jak „Les Quatre Saisons,” „Les attributs des Dieux,” „Cybèle,” „Amphitrite,” „Les grandes cités d'Italie” i t. p., a także obrazy stylowe: „Léda rêveuse,” „Madeleine pénitente” (muzeum w Nantes), „La toilette de Vénus” (muzeum w Bordeaux), „La Perle et la vague,” w których artysta posługuje się tradycyjnymi sposobami wyrażenia legendy i alegoryi. Pod koniec, Baudry, zaniepokojony nowymi nabytkami w technice malarskiej, zwłaszcza japońszczyzną i impresjonizmem, starał się przystosować cokolwiek, a raczej pogodzić w swem traktowaniu technikę tradycyjną z zasadami nowych manier. Próby te, czynione bez prawdziwego przekonania, nie wyszły na korzyść ostatnich prac jego. Ślady ich uwidoczniają się szczególnie w portretach, malowanych w tym okresie jego twórczości, które wskutek modelacyi prawie bez kontrastów w cieniach rozświetlonych, straciły wiele na sile. Ślady te widać również i w niektórych obrazach mniejszych rozmiarów, jak „Diane surprise,” „Vérité sortant du puits” i innych, które wszakże ratuje zawsze wytworny wdzięk linii, subtelna przezroczystość tonów kolorytu i prawdziwe poczucie piękna w układzie kompozycji. Śmierć przeszkodziła mu wykonać, zamówiony do Panteonu cykl z życia Joanny d'Arc, do którego przedwstępnych studyów zabrał się był Baudry z wielkim zapałem.

Do wyżej wymienionych nawiązują się późniejsi nieco kontynuatorzy akademizmu w sztuce dekoracyjnej i w tak zwanem malarstwie stylowem, oraz zbliżonem doń—historycznem: Juliusz

Lefebvre, August Cot, Edward Blanchard, Juliusz Machard i najzdolniejsi w tej grupie—*Józef Blanc*, twórca „*Życia Klodoweusza*“ w Panteonie, obrazów: „*Persée*,” „*Enlèvement du Palladium*“ (muzeum w Angers), „*L’Invasion*“ (muzeum w Nancy) oraz *Henryk Lévy* „*Koronacja Karola W.*“ w Panteonie, „*Hérodiade*,” „*Jesus au tombeau*“ w kościele Saint-Merry, „*Sarpédon rapporté à Jupiter*“ w muzeum Luksemburskiem i *Tony-Robert Fleury* („*Dernier jour de Corinthe*“—muzeum Luksemburskie, „*Charlotte Corday à Caen*,” „*Vauban donnant les plans des fortifications de Belfort*“—muzeum w Belfort).

Pod wpływem najpierw realizmu, później impresjonizmu, a także poszukiwania przez niektórych, za przykładem angielskich prerafaelitów, inspiracji w epoce uprzedzającej Odrodzenie, styl akademicki ulega powolnemu przetworzeniu. Tendencje te znajdują naturalnie odbicie w malarstwie stylowym i dekoracyjnym. Skutki rozmaitych wpływów ujawniają się w dziełach wszystkich oddających się temu rodzajowi sztuki artystów, stosownie do ich wrodzonych lub nabytych skłonności i z dodatkiem u niektórych zupełnie specjalnego wpływu Puvisa de Chavannes.

Wpływy z poza Odrodzenia, w kombinacji z realizmem dzisiejszym, widzimy w obrazach treści religijnej i w archaicznie stylizowanych ilustracjach (*Notre Dame de Paris*, *L’Imagier*, *Saint-Julien l’hospitalier*, *Le Missel de Jeanne d’Arc*) *Mersona* (Luc-Olivier), oraz w dekoracjach jego: Izby kasacyjnej na temat z życia św. Ludwika i schodów Opery komicznej—„*Le chant au moyen âge*“ i „*La Poésie*.”

Prerafaelizm angielski znać w poetycznym i wyrafinowanym idealizmie kompozycji *Rafaela Collin*, opartych na podstawach realistycznych, w jego pełnych młodego wdzięku nagościach, lub strojnych w powiewne draperye muzach, na tle idyllicznych pejzażów. Obrazy dekoracyjne tego artysty zdobią Sorbonnę (*Fin d’Eté*), Operę komiczną (*L’Inspiration*, *L’Ode*, *La Romance*) i Ratusz paryski.

Wpływy realizmu przeważają u malarza scen historycznych *Jean-Paul Laurens’a*, którego Śmierć św. Genowefy w Panteonie jest kompozycją poważną, odpowiadającą swym nastrojem podniosłości i religijnemu skupieniu chwili, którą przedstawia i odznaczającą się jednocześnie wysokimi malarskimi zaletami. Wartość prawdziwych dzieł sztuki posiadają też w podobnym stylu wykonane dekoracje Ratusza—szereg sześciu obrazów na tle wypadków dziejowych z przeszłości Paryża, którą artysta w tych dramatycznych scenach wywołać potrafi. W kompozycjach swych do Kapitolu w Tuluzie stara się on rozszerzyć jeszcze koncepcję

swjej sztuki, dając jej więcej życia i prawdy. W plafonie swym, malowanym dla teatru Odeonu, poszukuje Laurens lekkości w tonach jasnych i w zręcznem ugrupowaniu nagich ciał, symbolizujących ludzkie namiętności.

W tonach przeważnie jasnych utrzymuje swe kompozycje dekoracyjne (Opera komiczna w Paryżu, giełda w Saint-Étienne i inne) *Albert Maignan*, twórca słynnej „Apoteozy Carpeaux“ w muzeum Luksemburskiem.

Realizm z poczuciem dekoracyjności w rozkładzie grup kompozycji, przepychem akcesoryj i barwnych efektów światłocienowych, przy pewnej emfazie, zastępującej podniosłość nastroju, łączy szczęśliwie *Benjamin Constant*. Cechy takie noszą zarówno jego obrazy historyczne w ścisłem znaczeniu, jak Wjazd Urbana II do Tuluzy (pałac Kapitolu w Tuluzie), lub Wjazd Mahometa II do Konstantynopola (muzeum w Tuluzie), jak i właściwie dekoracyjne, zdobiące Ratusz, Sorbonnę i Operę komiczną. *Franciszek Flameng*, batalista, malarz obrazów historycznych, pojętych anekdotycznie, lubujący się w tonach jasnych, czasem zimny i nadto szczegółowy, wyraził się najlepiej w swych pracach dekoracyjnych na temat, odnoszący się do historii rozwoju cywilizacji i nauki we Francyi (Sorbonna), oraz sztuk teatralnych (Opera komiczna).

Jerzy Rochegrosse w wielkich płótnach dekoracyjnych treści historycznej stara się dramatyzować sceny mordów lub orgij, lecz pewna sztuczność układu póz i ruchów, przy konwencyonalnem bogactwie akcesoryów, sprawia, iż zamiast charakteru barbarzyństwa i poszukiwanego wrażenia grozy, otrzymuje efekty teatralne. Skłonności jego są raczej romantyczne, niż realistyczne, czas jakiś hołdował on także impresyonizmowi, którego próbką jest jego symboliczny rycerz kwiecisty („Chevalier aux fleurs,“ muzeum Luksemburskie). Za to *Franciszek Tattegrain* jest realistą czystej wody, nie obawiającym się ukazać w swych obrazach historycznych scen okrutnych i wstrętnych w całej ich nagiej prawdzie, jak to czyni w słynnej z takiego charakteru kompozycji „Les Bouches inutiles au siège du Château-Gaillard,“ gdzie zgłodniałe rzesze, usunięte z miasta, pożerają trupy. Realistą również, ale w charakterze różnym, jest *Weerts*. Ciekawe piętno archaizmu umie nadać swym heraldycznie stylizowanym obrazom dekoracyjnym na temat historyczny *Edward Toudouze*.

Alfred Roll, Gervex, Edward Detaille traktują dekorację ze zbyt dokładnym, szczegółowym i suchym realizmem.

Urodzonym dekoratorem o koncepcyi bez porównania szlachetniejszej jest *Albert Besnard*. Realizm, który służy też za pod-

stawę główną jego kompozycji, umie on umiarkować pięknoscią swych alegorycznych postaci, wytwornością i siłą w liniach rysunku, harmonią tonów, nastrojową poezią w oddaniu całości, lub barwnym efektem impresyonizmu. Tą ostatnią właściwością odznaczają się przeważnie jego malowidła ściennie w westibulu Szkoły farmaceutycznej. W późniejszych swych dekoracjach artysta subtylizuje się, poszukując więcej uczucia w harmoniach i nastrojach spokojniejszych, w symbolicznych efektach światła i szlachetności linii i form dyskretnie stylizowanych figur. Taki charakter mają kompozycje jego „Le Matin,” „Le Midi,” „Le Soir” (Mairie du 1-r arrondissement), a szczególniej ostatnia—„L’Idée,” przeznaczona do kopuły małego pałacu sztuki (muzeum miasta Paryża). W innych, jak „Apollon, les Heures et les Muses” (płafon w Komedyi francuskiej), lub „Matière” (do kopuły małego pałacu sztuki) powraca do silnych i kontrastowych efektów kolorystycznych. Podobni w charakterze do poprzedniego są Jerzy Picard (Ratusz) i Victor Prouvé.

Nader wybitnem poczuciem dekoracyjności odznaczają się dalej *Eugeniusz Carrière* („Les Sciences” w Ratuszu), *René Ménard* w eurytmii linii („Terre Classique,” „Golfe” w Sorbonnie), *Henryk Martin* w swych impresyonistycznie traktowanych nastrojach pejzażowych i allegoryach (Kapitol w Tuluzie, Ratusz paryski), *Aman-Jean* w delikatnych harmoniach, *Gaston La Touche* w efektach nieco wyszukanych i w charakterze oryginalnie pojętego romantyzmu, panna *Dufau*, łącząca charakter romantyczny poprzedniego z impresyonizmem Besnarda, *Boutet de Monvel* i *Maurycy Denis*, poszukujący wrażenia archaizmu w formach naiwnych wedle wzorów średniowiecznych i w tonach uproszczonych o silnem natężeniu barwnem impresyonizmu. Wpływy Puvisa de Chavannes znać u *Franciszka Auburtin* i *Ferdynanda Humbert*, którego dekoracje Panteonu „Les Quatre cultes de l’homme,” pomimo cech zupełnie osobistych w traktowaniu kompozycji i kolorytu nieco impresyonistycznego, przypominają mistrza w wielkich uproszczeniach efektów natury. Coś epickiego mają w sobie przedhistoryczne sceny *Fernanda Cormon* (muzeum Historii naturalnej).

Wreszcie charakter i wpływy rozmaite przedstawiają prace dekoracyjne *Dagnan-Bouvereta*, *Dubufe’a*, *Quosta*, *Henryka Marret*, *Delacroix*, *Tardieux*, *Grau*, *Carré*, *Léveque’a*, *Hoffbauera* i innych.

Jako malarza stylu, choć nie jest on dekoratorem w zwykłym znaczeniu, wymienićby tu należało *Gustawa Moreau*, ale nie-

pospolita oryginalność twórczości tego artysty-czarodzieja wymaga raczej oddzielnej charakterystyki.

*

*

*

Z pośród tych wszystkich artystów o tak różnej wartości i charakterze, jeden tylko *Piotr Puvis de Chavannes* (1824—1898) wzniosł się do prawdziwej oryginalności w koncepcyi dekoracyjnego malarstwa. Przy pomocy iście genialnej intuicji tworzy on na podstawach tradycyjnych sztukę nową, lub, mówiąc ściślej, odtwarza dawno zaginioną, której zasady przestano rozumieć, a czyni to w sposób napozór bardzo łatwy i prosty, bo przez powrót do prostoty w pojmowaniu natury i życia. Ale taka prostota dostępną jest tylko jednostkom, obdarzonym wyjątkową potęgą twórczą, usuwa bowiem wszystkie wyszukane, nadto złożone i sztucznie skombinowane środki, któremi z powodzeniem posługuje się mierność. To jest też przyczyną względnie małego wpływu Puvisa na niedorostłych do podobnej koncepcyi malarzów współczesnych, którzy bez tych właśnie środków obejść się nie mogą. Można by sądzić, że już realiści poszukiwali prostoty, pozbywając się tradycyjnie uświęconych form i akcesoryów klasycyzmu, oraz sztucznej dramatyczności romantyków i ograniczając zadanie sztuki do wiernego naśladownictwa natury. W rzeczywistości jednak, oni ten charakter złożony przenieśli tylko ze strony zewnętrznej—układu, do wewnętrznej, t. j. do sposobu interpretowania tej natury, którą chcieli portretować z przesadną ścisłością. Tymczasem Puvis de Chavannes prostotę wprowadza wszędzie, zarówno do kompozycji, do pojęcia form, jak i do samej techniki, którą się posługuje dla ich wyrażenia. Otrzymuje zaś ją przez usunięcie wszystkiego, co w naturze stanowi szczegół, lub cechą osobistą, przypadkową, chwilową i przemijającą, zachowując i uwydatniając z wielką siłą i czuciem rysy zasadnicze, niezmiennie, wieczne, charakteryzujące przyrodę, człowieka i życie bez względu na czas i miejsce. Tak samo w kompozycji swych obrazów poświęca szczegół dla ogółu, wyraz indywidualny wyrazowi całości dzieła, nadając pojedynczym postaciom takie tylko gesty i ruchy, które składają się na ogólną harmonię tej całości. Dzieło jego jest jedną wielką syntezą, wyłączającą wszystko, co ma charakter epizodyczny. Technika jego szczerą, gardząca sztuczniemi

i wyszukanemi środkami tak zwanej kuchni malarskiej, jest naturalnym wynikiem jego temperamentu. Wszystko u niego jest wypowiedziane jasno, ściśle, logicznie; obrazy jego przemawiają same za siebie, nie potrzebują komentarzy, bo niema w nich żadnych myśli, lub intencji ukrytych.

W wyborze tematu swych kompozycji i ich wykonaniu nie kieruje się on nigdy myślą cudzą, niema w nich nic literackiego, myśl jego nietylko się wyraża, ale powstaje i formułuje się z brzegu w kształtach, barwach i obrazach. To też pomimo tematów, zapożyczonych u historii i legendy, kompozycje jego nie mają nic wskazującego erudycję w historycznej ściśłości czy to strojów, czy innych akcesoryów, któreby cechowały zbyt dokładnie jakąś epokę, nic, prócz ducha, ożywiającego daną scenę i wyrażającego bez porównania silniej, niżeliby to osiągnąć można przy pomocy tych drugorzędnej wartości szczegółów, jej znaczenie w tem, co stanowi jej treść prawdziwą i głęboką, dostępną dla wszystkich zawsze i wszędzie, t. j. w uczuciu ogólnoludzkim, które zawiera.

Jako dekorator dba on przedewszystkiem o bezwzględną łączność swego dzieła z architekturą, z którą ma stanowić harmonijną całość. W tym celu bierze naprzód pod uwagę charakter i przeznaczenie gmachu i kieruje się tem w wyborze idei, czy tematu sceny, którą zamierza malować; następnie bada sumiennie i szczegółowo wymiary wnętrza, warunki oświetlenia, ton lokalny ścian i charakter linii ornamentacji architektonicznej, do których to warunków stosować się muszą wielkie linie kompozycji, rozkład grup i ton ogólny obrazu. Malowidła jego są też zawsze wybornie szarmonizowane z otoczeniem, nie dominują nigdy nad architekturą, lecz jako ozdoba, nie będąca jej częścią konieczną, raczej jej podlegają. Nie wrywają się naprzód, ani robią dziury w ścianie, ale usuwają się spokojnie i nieznacznie w głąb, sprawiając wrażenie scen żywych, widzianych w oddali w swem lekkim niebieskawo-szarem zabarwieniu ogólnego tonu, pochodzącego jakoby od powietrza, które je oddziela od oka patrzącego.

Ten obraz życia i natury, w jej wyrazie najprostszym, streszczonym, ukazujący się we mgle oddalenia, ma w sobie skądiną, w swej niezmaconej powadze, coś z majestatu wieczności; idzie ku nam, jak senne marzenie, z odległych, przeczuwanych zaledwie w kryjówkach ducha jakichś błogich krain, gdzie zamieszkuje ludzkość wyższa, szlachetniejsza, piękniejsza, szczęśliwsza i nieśmiertelna; lub zjawia się, jak uduchowiona ewokacja wieków minionych, z niezwykłą siłą przemawiając nam wprost do uczucia

swym solennym nastrojem i tą jakąś dziwną melancholią, wzbudzoną jakoby półświadomemi wspomnieniami przedistnienia, którą wywołują w nas zwykle, świadczące o życiu dawnych pokoleń, szczątki przeszłości.

Puvis de Chavannes wprowadza do sztuki pierwiastki nowe w pojęciu allegoryi i symbolu przez odrzucenie nieuniknionych dotąd formułek konwencyonalnych, które zastępuje odpowiednią syntetyczną transpozycją w wyrazie czynności człowieka, a także w kierunkach wielkich linii kompozycyi i w wywołującym stosowny nastrój świetle obrazu.

Z powyższego widać, że Puvis de Chavannes jest artystą nawskroś oryginalnym, samoistnym i, pomimo wewnętrznej treści swego dzieła nieaktualnej, wyrażającym dążenia współczesne mimowolnie, i dla tego samego lepiej i silniej, aniżeli całe zastępy tych, którzy się o to umyślnie starali. Nie jest on bynajmniej nowatorem doktrynerem, występującym z zasady przeciw tradycyi, owszem sztuka jego ma swe podstawy i początek w sztuce wszystkich wielkich epok, ale jest on zawsze i w całym znaczeniu sobą samym i z tego względu, jak i wskutek wysokiej, wyjątkowej wartości nieporównanego dzieła, którego jest twórcą, staje na równi z największymi epok tych mistrzami. W malarstwie współczesnem stoi on samotnie, jak dąb olbrzymi pośród karłowatych krzewów, z którego zołędzi z czasem wyrośnie las nowy.

Piotr Puvis de Chavannes pochodzi ze starego burgundzkiego rodu. Urodził się w r. 1824 w Lyonie, gdzie ojciec jego był naczelnym inżynierem górnictwa. W pierwszej młodości nic nie wskazywało w nim skłonności artystycznych, których sam się nie domyślał, i przypadek tylko skierował go na drogę, która miała go doprowadzić do tak wyniosłych szczytów,—choroba przeszkadza mu w złożeniu egzaminu do szkoły politechnicznej; jako rekonwalescent, jedzie do Włoch i tu, choć wcale nieprzygotowany w tym kierunku, napatrzwszy się arcydzieł sztuki, zaczyna do niej nabierać zamiłowania. Po powrocie do kraju, wstępuje do pracowni Henryka Scheffera, którą wszakże zrażony, wkrótce opuszcza, aby odbyć powtórna podróż do Włoch, gdzie ostatecznie powołanie jego się utwierdza. Chcąc poważnie studyować sztukę malarską, udaje się do Delacroix, który, będąc już wówczas chorym, w dwa tygodnie po jego przybyciu pracownię zamknął. Wtedy Puvis rezygnuje się zostać uczniem Couture'a, ale i to trwa nie dłużej nad trzy miesiące, gdyż system rutyniczny, będący zasadą mistrza, a tak przeciwny temperamentowi ucznia, zmusza go do opuszczenia jego szkoły. Po tych niefortunnych pró-

bach, porzuca zupełnie studia akademickie i kształci się dalej samoistnie, studiując naturę bezpośrednio i bez niczych wskazówek. Wpływu też tych podrzędnych artystów (Couture'a i Henryka Scheffera), przedstawicieli ówczesnego akademizmu, którzy wychowali w rutynie całe pokolenia, próżnoby u niego szukać. Wzorem rzeczywistym, który bez naśladownictwa z jego strony natchnął go i wskazał mu właściwy kierunek, jest dzieło *Teodora Chassériau* (1819—1856), artysty niepospolitej miary, którego twórczość, pełną świetnych zapowiedzi, przerwała śmierć przedwczesna. W kompozycjach Puvisa daje się spostrzedz niejeden rys, przypominający przepiękne malowidła ściennie Chassériau ze spalonego podczas Komuny gmachu dawnej Izby Obrachunkowej (Cour des Comptes), z których część tylko ocalała. Za pośrednictwem tego malarza, który łączył w sobie sprzeczne właściwości Ingres'a i Delacroix, twórczość Puvisa de Chavannes nawiązuje się do tych dwu mistrzów nowożytnego malarstwa francuskiego.

Początkowe jego prace, zwłaszcza obrazy sztalugowe, nie mają jeszcze wszystkich tych cech charakterystycznych, które wyróżniają całość jego dekoracyjnego dzieła; ale znać już w nich poszukiwanie dróg nowych w skłonności do wyrażenia czystego sentymentu przy pomocy form uproszczonych. Po raz pierwszy daje się poznać publicznie Puvis de Chavannes w Salonie r. 1850, w którym wystawił obraz treści religijnej „Pietà,” ale już w latach następnych jury odmawia prawa wstępu jego obrazom. Dopiero w r. 1859 zjawia się znowu w Salonie dzieło jego „Retour de chasse” (obecnie w muzeum w Marsylii), a w r. 1861 za obraz „Concordia,” wystawiony wraz z „Bellum,” otrzymuje medal drugiej klasy. Rząd zakupuje pierwszy z tych obrazów; artysta, nie chcąc rozdzielać dwóch kompozycji, które stanowią całość dekoracyjną, ofiarowuje bezinteresownie drugi. Ale, mimo tego uznania, Puvis de Chavannes, mając prawie wszystkich przeciw sobie wśród artystów, krytyki i publiczności, pracuje dalej samotnie, nie zważając na ich opinię, w niezłomnem przeświadczeniu o słuszności swej sprawy, o prawdzie i wyższości swej sztuki. Materiałna niezależność pozwala mu pracować wyłącznie dla zaspokojenia potrzeby swego artystycznego temperamentu, a bezinteresowność absolutna — czynić prawdziwie królewskie dary z dzieł nieocenionej wartości, jak „Le Travail,” ofiarowane muzeum Pikkardyjskiemu w Amiens.

Pierwszą próbę dekoracji ściennej rozpoczął Puvis od wiejskiej rezydencji swego brata, do której wykonał kompozycję „les Quatre Saisons” z motywem centralnym „le Retour de l'en-

fant prodigue.“ Jeden z motywów, wchodzących w skład tej kompozycji, „Le Retour de chasse“, wystawiony w powiększeniu w Salonie r. 1859, ofiarowany został następnie przez artystę do muzeum w Marsylii. Niezmordowana wytrwałość jego, uderzająca oryginalność dzieł, które tworzył niezależnie, bez względu na panujące u współczesnych gusta i predylekcyje, ich urok dziwnej poezyi — wszystko to musiało z czasem, działając zwolna, ale nieustająco na opinię, zwyciężyć niechęci, wywołać reakcyę i zwrot taki, że najzawziętsi jego przeciwnicy stali się bezwarunkowymi wielbicielami jego talentu. Wtedy dopiero Puvis de Chavannes osiągnął szczyt swych marzeń, nie w zadowoleniu próżności,—która u natury absolutnie niezależnej, świadomej swej siły, nie zważającej przeto ani na nagane, ani na pochwałę, a przytem wyjątkowo szlachetnej, nie grała żadnej roli, — ale z powodu, że po tej zmianie, otrzymane zamówienia od rządu i miast na dekoracye gmachów publicznych dały mu możność całkowitego zużycowania swych zdolności właściwych i zupełnego zadowolenia naturalnych upodobań.

Odtąd twórczość jego rozwinęła się na szeroką skalę, przy iście nadludzkiej pracy; wszystkie bowiem kompozycye swoje wykonał sam jeden, we wszystkich szczegółach, bez najmniejszej pomocy. Dzieła Puvisa de Chavannes, wykonane w ciągu przeszło trzydziestoletniej jego karyery artystycznej, posiadają we Francyi, w muzeach i innych gmachach, miasta następujące: Paryż, Amiens, Lille, Lyon, Marsylia, Poitiers i Rouen, oraz zagranicą: Florencia — portret własny artysty, w galerii Uffizi, i Boston — dekoracyę biblioteki publicznej, prócz tych, które znajdują się w rękach prywatnych.

Pikardyjskie muzeum w Amiens zawiera pierwsze jego większe prace dekoracyjne: „Concordia“, „Bellum“, „Travail“, „Repos“, „L'Automne“, oraz dwie wielkie kompozycye „Ave, Picardia nutrix“ i „Ludus pro patria.“ Cztery pierwsze stanowią jednolitą całość dekoracyjną i mają wspólne cechy wysokich właściwości, które artystę, dążącego ciągle do udoskonalenia swej sztuki, szczególnie charakteryzują w następnych jego dziełach.

Technika jego jest już tu zupełnie zdecydowaną, oryginalną i osobistą, ujawnia się już owa synteza w formach piękna, ale znać jeszcze pewne staranie o wyraz indywidualny, o efekt estetyczny w subtelnej wytworności linii, ograniczających formy pojedynczych figur, przypominającej Odrodzenie. Śledząc dalej w jego rozwoju dzieło mistrza, zauważymy, że ta subtelna wytworność szczegółów przemienia się w szlachetność w wielkich liniach, że

ten wyraz indywidualny coraz bardziej ustępuje przed wyrazem całości. Obrazy jego śpiewają chórem, w którym pojedyncze głosy zlewają się w harmonię ogólną. W tych, które tu rozpatrujemy, widać też jeszcze większą dbałość o plastykę, o kontrastowy efekt grupy głównej przy pomocy głębokich tonów tła i dalszych planów — efekty, które w następstwie znikną w wielkich, spokojnych tonach ogólnych.

Ale jest już to samo pojęcie symbolu, wspaniała wizya ludzkości uszlachetnionej. Puvis de Chavannes w dziele swem daje harmonię nie tylko w znaczeniu zmysłowym, ale i w moralnem, usuwa bowiem wszystko, co razi brutalnością, co, ukazując życie zbyt blisko ze strony brzydkiej, lub smutnej, obniżyłoby mogło godność i powagę ludzkości. Pod tym względem jest on w przeciwieństwie nie tylko z realizmem ale i z romantyzmem, dzieło jego bowiem, tchnące nieokreśloną melancholią, jak wielkie widowiska natury w chwilach spokojnego ukojenia — niebo, morze, las nieruchomy — ma raczej charakter epicki i liryczny, aniżeli dramatyczny.

Do nielicznych wyjątków od tej reguły, należy ów motyw — „Bellum,” którego trzej wojownicy na wrytych w ziemię koniach, dmący w olbrzymie trąby fanfarę zwycięstwa po nad nagromadzonym u stóp ich wojennym łupem, złożonym ze zdobytych przedmiotów, nagich kobiet, powalonych wołów, z dwojgiem starców po środku, rozpaczających nad trupem syna — sprawiają, na tle łuny pożarów i wznoszących się słupami dymów, wrażenie wysoce dramatyczne. Ale efekt dramatyczny wyraża się tu inaczej, niż u romantyków i realistów: nie za pomocą akcji, której w tej nieruchomej, zarazem pełnej grozy i majestatu, a uderzającej, jak zjawisko, scenie niema, lecz za pośrednictwem symbolu, który ona przedstawia. Niema tu wojny w ścisłym znaczeniu, lecz jej idea; niema akcji dramatycznej — jest dramatyczne wrażenie. W takiej koncepcyi symbolu zbliża się Puvis de Chavannes do innego współczesnego mu wielkiego artysty, Arnolda Böcklina.

„Concordia“ i „Repos“ mają pewną analogię w swem założeniu — oba te obrazy wyrażają ideę wypoczynku. W pierwszym żołnierze, korzystając z pokoju-zgody, odrzuciwszy morderczą broń i ciężką zbroję, oddają się wczasowi w rozkosznej dolinie, otoczonej górami, gdzie wśród kwitnących laurów przyjmują ich przyjaźnie pasterze i kobiety, raczą owocami i koziem mlekiem.

Drugi — „Le Repos,” przedstawia starca, opowiadającego wspomnienia dawnych wydarzeń zgromadzonym około niego mło-

dym ludziom i kobietom, którzy słuchają go z zajęciem, przerwawszy pracę w chwili, gdy zstępujące słońce, ukryte już za górami, złoci niebo ostatnimi blaski. W „Le Travail” symbolizuje pracę grupa kowali, którzy na wyniosłości, pośród skał nadmorskich, wykuwają kotwicę, podczas gdy w pobliżu chłopi orzą rolę, a w zagłębieniu młoda kobieta w towarzystwie starszej piastuje dziecko.

Świetne te kompozycje, grupujące z nieporównaną prostotą i dziwnie subtelną harmonią nagie, lub lekko udrapowane figury ludzkie, bez żadnego lokalnego charakteru, na tle cudnych krajobrazów, które wywołują zastosowany do znaczenia sceny nastrój — to prawdziwe poematy i zarazem symfonie plastyczne i barwne, które dostarczają patrzącemu niezwykłej rozkoszy estetycznej.

„L’Automne,” „Jeunes filles au bord de la mer,” „Famille de pêcheurs,” „Doux Pays” (wykonany do willi L. Bonnata) i „Bois sacré cher aux Muses et aux arts” (Palais des Arts, Lyon) mają wspólny charakter w sposobie wyrażenia allegoryi i, pomimo różnic w układzie, pewne wzajemne podobieństwo. Każdy z tych obrazów przedstawia kobiety i dzieci nagie, lub pół-okryte, wśród drzew oliwnych i pomarańczowych, zbierające owoce i kwiaty, albo pełniące inne podobne czynności. Odznaczają się one szczególnie poetyczną pięknoscią pejzażu, który wyraża we wszystkich jakąś niewysłowioną arkadyjską błogość — doskonałą równowagę w ugrupowaniu figur i niezmierną czystością linii.

W „Doux Pays” np., śliczną kombinację linii dają dwaj mocujący się chłopcy, a wprost zachwycającą jest zarysowana na tle nieba sylweta dziecka, które usiadło na brzegu staczającej się ku morzu wyniosłości.

„Le Bois sacré” ma cudny nastrój zmierzchu, ze złotym sierpem księżyca, odbijającym się w wodach jeziora. Zebrane tu w oliwnym gaju kobiety, to muzy, z których dwie, Talia i Euterpe, unoszą się po nad jeziorem, śpiewając przy dźwiękach liry; Kalliope deklamuje, podczas gdy wkoło niej dzieci wiją wieńce.

Do tegoż rodzaju należy jeszcze i śliczna kompozycja na tle wymarzonego, pełnego słońca, pejzażu — „Vision Antique” (Palais des Arts, Lyon). Z wyniosłości, zstępującej stopniami ku szafirowej zatoce, muza wskazuje Fidiaszowi model do fryzu Partenonu — grupę spinających się nad morzem koni, które ich jeźdźcy prowadzą do wody. Na bliższym planie — pastuszek i kobieta, kozy skaczą po skałach. W innej kompozycji, którą też tutaj zaliczyć można, „Inter Artes et naturam” (muzeum w Rouen), sztuka w szczęśliwej harmonii łączy się z naturą. Z rodzaju wyniesionego, naturalnego tarasu otwiera się świetlany widok na obszer-

na dolinę, którą przecina wijąca się wstęga rzeki, przegrodzonej mostami; widnieją piętrzące się dachy i strzelające w niebo wieże miasta. Na tym tarasie, pod kierunkiem architekta, z ułamków architektury różnych epok robotnicy wznoszą idealny gmach archeologicznego muzeum; artyści obserwują grupę kobiet, z których jedna maluje kwiaty, inne rwą jabłka, a dzieci wloką ciężkie girlandy z liści.

Dwie kolosalne kompozycje, zdobiące muzeum w Amiens: „Ave, Picardia nutrix“ i „Ludus pro Patria“ mają w całej pełni wszystkie te cechy, w których tkwi przeważnie oryginalność Puvisa de Chavannes. Artysta osiągnął w nich całkowicie cel, do którego dążył od początku — zupełną syntezę w kompozycji.

„Ave, Picardia nutrix“ wyraża bogactwo naturalne tej prowincyi i pracowitość jej ludności. Trzydzieści trzy jej figury dzielią się na grupy ściśle ze sobą zestosunkowane i związane wspólnością wielkich kierunków linii dekoracyjnych. Każda z tych grup symbolizuje jakąś gałąź produkcji miejscowej przez odpowiednią czynność, wyrażoną w formach pierwotnych: chłopci młóli ziarno na młynie, obracającym siłą ludzką; kobiety i dzieci zbierają i znoszą jabłka do kufy, gdzie warzy się jabłecznik. Dalej mularze stawiają dom, cieśle trą deski i obrabiają drzewo, które rzeka spławia; kobiety kąpią się; na pastwisku pasą się owce i kozy. Jak w innych obrazach, tak i tutaj, postacie ludzkie nie mają żadnego charakteru lokalnego; za to pejzaż, pełen prawdy w swem streszczeniu, jest typowo pikardyjskim, przedstawia wszystkie właściwości kraju — jego wydajność, jego roślinność, jego widoki i ton powietrza. Jeżeli powyższa kompozycja wyraża pracę i produkcję, to odpowiadająca jej następna „Ludus pro Patria,“ w igrzyskach świątecznych, uosabia szlachetną zabawę w połączeniu z instynktem walecznym człowieka. Jedna i druga mają coś z homerycznej wielkości w swym charakterze epickim. Młodzież, zaprawna w rzemiośle wojennem dla obrony ojczyzny, współzawodniczy w ciskaniu włócznią do celu, którym jest stary pień drzewa. Wieś cała — kobiety, dzieci, starcy — wyległa ze swych lepierek, by podziwiać siłę i zręczność swych obrońców. W pobliżu pnia usiadł starzec i znaczy na kiju trafione razy, za nim dziecko, przerzuciwszy rękę przez jego ramię, zwiesza mu się na plecach. W pobliżu matka trzyma na ręku dziecko, które sięga rączką do brody pochylonego na włóczni ojca-wojaka, za nią łucznik myśliwy, z ustrzelonym kaczorem u boku, przypatruje się z ciekawością ćwiczeniom rycerskim. Cała ta scena odbywa się na tle obszernej panoramy pejzażu, ograniczo-

nego lasami, w pełni letniego dnia o przymgłonych nieco oddaleniach, gdzie błyszczą ruchome zwierciadła rzeki, kołyszą się łany dojrzewających zbóż, szeleszczą szeregi smukłych topol i ciemne kępy olch. Obraz ten przyniósł artyście w Salonie r. 1882 najwyższe odznaczenie — medal honorowy.

„L’Inspiration chrétienne“ (Palais des Arts, Lyon) wyraża, w przeciwstawieniu do „Vision Antique“ z tegoż muzeum, mistycyzm sztuki chrześcijańskiej średnich wieków, ukazując wnętrze klasztoru, gdzie mnich natchniony, zapewne Fra-Angelico, maluje wizerunek Madonny. Trzej braciszczkowie, pragnący pójść w jego ślady, śledzą uważnie jego pracę, zakonnik zapala lampkę przed obrazem, podczas, gdy w podwórzu, po za którego murem sterczą piramidalne cyprysy, inni, u furty, przyjmują podróżnych, obdarzają biednych, opatrują chorych. Tutaj, sztuka łączy się z cnotą.

Osobną grupę stanowią mniejszych rozmiarów allegorye i personifikacje, wyrażone przy pomocy krajobrazu o lokalnym charakterze francuskim — „Le Rhône“ i „La Saône“ (Lyon) i „Les Saisons“ (Ratusz paryski), z pośród których szczególnym wdziękiem i świeżością natchnienia wyróżniają się „La Saône“ i „L’Eté“ (Les Saisons).

Rozwój w ciągu wieków i znaczenie Marsylii znajduje wyraz w dwóch wielkich obrazach — „Marseille, colonie grecque“ i „Marseille, porte de l’Orient“ (Palais de Longchamp, Marsylia). Kompozycja pierwszego, bez względu na legendę o założeniu miasta przez kolonistów greckich, pojętą jest podobnie, jak w „Ave, Picardia nutrix,“ przez symbolizowanie różnych form działalności bogatego portu, zmieniających się stosownie do historycznych epok w jego rozwoju.

„Marseille, porte de l’Orient“ ukazuje pokład tureckiego okrętu, na którym Wschód ze swemi kobiercami, turbanami, makatami, jedwabiami, a nawet — haremem, przybywa do starożytnego portu śródziemnego, którego widok, skąpany w pałającym słońcu, roztacza się przed nim w wspaniałej panoramie.

Do szeregu allegoryj czysto ideowych należą wielkie kompozycje: w Sorbonnie — dekoracja wielkiego amfiteatru, w Ratuszu paryskim — „Victor Hugo offrant sa lyre à la Ville de Paris,“ oraz dwanaście mniejszych motywów „Les Vertus parisiennes,“ i w Bibliotece publicznej w Bostonie — „Les Muses inspiratrices acclament le Génie messenger de lumière,“ wraz z motywami dodatkowymi: „L’Astronomie,“ „La Physique,“ „L’Histoire,“ „Virgile,“ „Eschyle et les Océanides,“ „Homère couronné par l’Iliade et l’Odyssée.“

Dekoracya Sorbonny przedstawia apoteozę wiedzy w postaci dziewicy, która zasiadła na tronie pośrodku polanki, otoczonej oliwnym gajem. Wokoło grupują się uosobienia wszystkich nauk i sztuk.

Zdawałoby się mogło, że temat to zbyt niewdzięczny, aby na jego tle stworzyć coś więcej nad suchą, zbanalizowaną konwencję, jak się to zwykle widzi w tego rodzaju alegoriach. Tymczasem Puvis de Chavannes potrafił uczynić zeń nie tylko dzieło oryginalne, ale i pełne wdzięku i piękna; geniusz jego tchnął w nie ożywczego ducha, który przemawia z równą siłą do umysłu i do uczucia patrzącego. W allegoryi tej wszystko jest jasne, proste, naturalne, a nadewszystko — piękne. Całość tej olbrzymiej kompozycji, w której skład wchodzi kilkadziesiąt figur, czyni wrażenie imponujące i podniosłe, zupełnie zastosowane do powagi miejsca, które zdobi.

W „Victor Hugo offrant sa lyre à la Ville de Paris,” to znów majestatyczna, ale pełna młodzieńczego wdzięku postać kobiety, uosabiająca miasto Paryż. Siedząc w rodzaju logii, w otoczeniu kobiet, uosabiających literaturę, sztukę i naukę, które nad jej głową trzymają laurowy wieniec, przeznaczony dla poety, przyjmuje lirę, którą ten ofiarowuje jej za pośrednictwem unoszącej się w powietrzu muzy. Za nim również w powietrzu płyną na tle lazuru nieba Idylla, Dramat i Tragedya. Pisarz siedzący na stopniach loggii spisuje akt tego wydarzenia, w głębi młodzieńcy powiewają palmowymi gałęziami, a chorąży roztacza sztandar miasta.

Kompozycja ta odznacza się wielką ścisłością, jednością i siłą, wdziękiem idealnym figur w ich gestach i charakterze, jednocześnie klasycznym i nowożytnym, wyrazem myśli, pięknnością wielkich linii, świetlaną czystością barw.

„Les Muses inspiratrices” wraz z motywami otaczającymi, stanowią nieporównaną całość dekoracyjną, która niestety, wywędrowawszy za ocean, została straconą dla Europy. Należy ona do najświetniejszych dzieł mistrza, w którym wzniósł się on do wyższego stopnia uduchowienia. Kompozycja motywu głównego jest pokrewną tej, którą widzieliśmy w „Bois sacré,” ale jest o wiele większych rozmiarów i ma więcej jeszcze subtelności w wyrazie ogólnym.

Muzy, trzymając liry i gałązki oliwne, wznoszą się w górę, śpiewając hymn pochwalny na część zjawiającego się w blaskach promiennej aureoli geniusza światłości. Wszystko w tej kompozycji wskazuje i wyraża wzlot w kierunku punktu centralnego,

gdzie znajduje się geniusz—niepojęta lekkość tych figur, ich ruch, gesty, wzniesienie głowy. Puvis de Chavannes umie tutaj więcej jeszcze, niż w innych obrazach, zakłąć element fantastyczny w kształty naturalne—materyalizując ideę, idealizuje formę. Pejzaż ma także charakter podobny do „Bois sacré” z tą różnicą, że otwierają się w nim wielkie horyzonty oceanu. O tych rzadkich przymiotach tego dzieła sądzić można z reprodukcji, kolor tylko pozostaje dla nas niedostępnym. W szeregu obrazów tej kategorii, które wymieniliśmy, Puvis de Chavannes wykazuje wyjątkowe poczucie poezji w wyrazie plastycznym, głębokość myśli i olimpijską pogodę filozofa, heroiczną wielkość w koncepcji przyrody i człowieka.

Dzieła jego wszystkie, a te szczególnie, mają pewien charakter antyczny, klasyczny, ale jakże dalekim jest od klasyków epoki Davida, których obrazy, w porównaniu do pełnych życia i ducha utworów Puvisa, przypominają swą suchą i martwą poprawnością linii zadania geometryczne.

Z dekoracją ratusza w Poitiers, Puvis de Chavannes rozpoczyna szereg kompozycji historycznych, którym poświęcił ostatnie lata życia. Charakter tych prac jest nieco odmienny od poprzednich; tracą one już prawie zupełnie cechy klasyczne tamtych, natomiast ich sposób alegoryczny wyrażenia myśli, akcentuje się, wraz z coraz większem uproszczeniem, dążącym do naiwności prymitywów,—realizm form, który wszakże nie wyłącza bynajmniej symbolu, będącego zawsze duszą każdej sceny jego kompozycji. Taki też charakter mają dwie jego kompozycje w ratuszu w Poitiers — „Radegonde au couvent de Sainte-Croix de Poitiers donne asile aux poètes et protège les lettres contre la barbarie du temps,” i „Charles Martel sauve la Chrétienté par sa victoire sur les Sarrazins, près Poitiers.”

W tymże stylu wykonane są kompozycje na tle życia Św. Genowefy, które tworzą dwa cykle dekoracyjne Panteonu. Pierwszy „L'Enfance de Sainte Geneviève” składa się z dwóch kompozycji, z których główną pilastry architektury dzielią na trzy części. Przedstawia ona przybycie w r. 429 biskupów Św. Germana i Św. Loup do Nanterre, gdzie spotkawszy małą Genowefę, pierwszy kładzie rękę na jej głowę i przepowiada pochylonym w pobożnem uszanowaniu jej rodzicom wysokie przeznaczenie ich córek. Tę grupę środkową otacza ludność okolicy, klęcząc, lub stojąc z pochylonymi głowami w niemym podziwiew. Druga kompozycja przedstawia małą Genowefę, klęczącą w zachwycie modlitwy i budującą swą pobożnością pracujących w polu ludzi. W dru-

gim cyklu wielka kompozycja „Sainte Geneviève ravitaille Paris assiégé par Clovis,” również podzielona na trzy części architekturą, przedstawia przybywające z chlebem i żywnością łodzie, które święta patronka przeprowadziła po przez szeregi nieprzyjacielskiej flotylli. Szczupła, wysoka, wyszlachetniona sylweta starej i świętej kobiety widnieje w przybijającej do brzegu łodzi. Z brzozi miasta wylegają zgłodniałe rzesze, podczas gdy ludzie wyładowują worki z chlebem, który w obfitości rozsypuje się na ziemię. Dalej widać szereg przybywających ładownych łodzi, stada bydła, pędzone na rzeź, postępują zwolna ku miastu. W głębi zakręt rzeki, horyzont ograniczony wzgórzami, szmat nieba.

Ostatnią pracą Puvisa de Chavannes jest przyłączony do powyższej kompozycji obraz, przedstawiający Św. Genowefę, czuwającą nad uspionem miastem — prosta, wysoka postać świętej staruszki na kamiennym ganku, oblany światłem księżyca, patrzy okiem opiekunki na pogrążone w nocnej ciszy błyszczące w dole dachy domów miasta. Ogarek, pozostawiony w otwartej sieni drga żółtym matowym płomykiem. Scena ta w swej prostocie przy łudzającym efekcie bladego światła księżyca sprawia nadzwyczaj silne wrażenie spokoju, ciszy, powagi, uduchowienia i świętości. Pomimo, iż nie ma tu żadnych oznak, któreby określały bliżej epokę, ludzie bowiem są przeważnie przez pół okryci, lub nadzy, kobiety mają długie fałdziste nieokreślonego kroju suknie, a nawet szaty biskupów nie mają nic z archeologicznej ścisłości, obrazy te są prawdziwą ewokacją przeszłości. Odczuwa się to w ich solennym nastroju, w uogólnieniu kształtów, w barwach przygasłych, w matowym, przymglonym tonie, spowijającym całą scenę, która, jakoby wywołana czarem, zdaje się przybywać z bardzo daleka, ukazywać się jakoby przez rozerwana zasłonę, ukrywającą przed nami wieki minione, w podobny sposób, jak to bywa, gdy po przez rozstęp lasu, lub z po za załamu góry spostrzegamy nagle oddalony widok.

Nie jest to ściśle odtworzona scena historyczna, lecz jej wspomnienie, które stało się symbolem.

Prócz wielkiej dekoracji Puvis de Chavannes malował w różnym czasie obrazy mniejszych rozmiarów o charakterze dość rozmaitym, z których do najwięcej znanych należą: „Le pauvre pêcheur” (muzeum Luksemburskie) tego samego typu, co ostatnie jego dekoracje z cyklu historycznego „L'Agonie d'une mère,” „Les pompiers de village,” „Hérodiade,” „Julie,” „L'Enfant prodigue;” obrazy treści religijnej — „Ecce Homo” (w kościele w Champagnat, Saône et Loire), „Martyre de S-t Sébastien,” „La décollation de

S-t Jean Baptiste“ i „Madeleine“ (należące do zbioru Cheramy). „Le Sommeil“ (muzeum w Lille), „Le Rêve“ i „Orphée“ są wyrazem czystego sentymentu. „Le Pigeon voyageur,“ „Le Ballon“ i „L'Espérance,“ malowane w czasie oblężenia Paryża, mają nastroj patryotyczny. „Les jeunes filles et la mort,“ „La Désolation“ wyrażają tragizm nieuniknionego przeznaczenia. Wreszcie niezmierniej subtelności w charakterze portrety — pani Puvis de Chavannes i portret własny artysty, znajdują się — pierwszy w muzeum w Lyonie, drugi w galeryi Uffizi we Florencyi.

Całość dzieła Puvisa de Chavannes dowodzi, że nie ma takiej idei, ani takiego uczucia, ani też formy ich plastycznego wyrażenia, któreby geniuszowi jego były niedostępne.

Puvis de Chavannes należy do tych wyjątkowych jednostek w bogatym dorobku kulturalnym Francyi, które dają jej prawo do zaszczytnego przydomku „Nowożytnej Grecyi.“

KONRAD OSTROWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Pamiętniki Ignacego Domejki (1831—1838). Z autografów wydał Józef Tretiak. (Źródła do dziejów Polski porozbiorowych V). W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności, skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki. 1908. Str. X + 226.

Wydany z pozostałych po Ignacym Domejce notatek pamiętnik składa się z dwóch części. Pierwsza obejmuje wspomnienia mickiewiczowskiego druha z czasów powstania 1831 r. na Litwie, druga poświęcona jest opisom tułaczki emigracyjnej, od przejścia do Prus z oddziałem Chłapowskiego i Giełguda w lipcu 1831 r., aż do wyjazdu Domejki z Paryża do Ameryki, w lutym 1838 r. Reszta rękopisu (w zbiorach Krakowskiej Akademii Umiejętności), odnosząca się do pobytu Domejki na drugiej półkuli i jego tamże działalności naukowej, nie została uwzględniona, jako nie dotycząca bezpośrednio dziejów naszego narodu.

Domejko od chwili wstąpienia do szeregów powstańczych miał zwyczaj notować wszystko, „co mu się szczególniejszego zdarzało,” zamierzając z czasem spisać dokładny pamiętnik swego życia. Niestety, powyższe notatki zostały mu w Paryżu skradzione, zachował się jedynie fragment p. t. „Pierwsze dni kwietnia 1831 r. na Litwie,” darowany przez autora Franciszkowi Mickiewiczowi; rzeźbiony urywek był ogłoszony w „Kuryerze Poznańskim” 1880 r. (i w odblasku, Poznań, Leitgeber, 1880), w obecnej edycji przedrukowano go ponownie na podstawie autografu z rękopisów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Po stracie swych dawniejszych notatek Domejko postanowił odtworzyć je z pamięci, w ten sposób powstały wydane przez prof. Tretiaka pamiętniki.

W powtórnej relacji o powstaniu litewskim 1831 r. Domejko dorzuca niektóre szczegóły dawniej pominięte, zachowując

wszakże w ogólnym zarysie pierwotny plan swych opowiadań. Napotykamy tu interesujące przyczynki o czynnościach b. Filaretów, Stanisława Kozakiewicza, Konstantego Zaleskiego, Stawiarzskiego, znanego z „Dziadów“ Justyna Pola; o Kazimierzu Kontrymie, b. adjunkcie i bibliotekarzu uniwersytetu wileńskiego, podówczas zaś radcy wydziału skarbu przy Rządzie Centralnym Tymczasowym na Litwie; o Emilii Platerównie i t. d.

Po przejściu do Prus Domejko internowany został wraz z innymi w Ascheken, w pobliżu Memla, pod pozorem kwarantanny. Tu przebył około dwóch miesięcy, patrząc na niedolę polskiego żołnierza, wystawionego na poniewierkę pruską. Życie napoły obozowe, napoły więzienne obfitowało w ponure zgrzyty niedoli, wzajemne sarkania, swary i zawiści, które nietylko, że nie ustały wobec wspólnych klęsk i niepowodzeń, lecz przeciwnie wzmagaly się coraz bardziej, siejąc niezgodę wśród oficerów i żołnierzy, pozostających „pod strażą pruską.“

Uwolniony wreszcie w początkach r. 1832, udaje się Domejko do Dreżna, gdzie spotyka się z Mickiewiczem, Odyńcem, Garczyńskim i innymi emigrantami. Spędzano czas na długich rozmowach u Mickiewicza, snując wspomnienia czasów filareckich, gwarząc o żołnierce w rodzinnej Litwie, ku której tęskne zawsze zwracano myśli. W czerwcu, skutkiem nalegań policji saskiej, Domejko z Mickiewiczem i dziewięciu towarzyszami niedoli tułaczey wyjechali z Dreżna, kierując się na Strasburg i Nancy do Paryża, dokąd przybyli nad ranem dnia 1 sierpnia.

Opis życia w Paryżu zajmuje większą część pamiętników Domejki. Niepodobna w ramach krótkiego sprawozdania zawrzeć wszystkich interesujących szczegółów z życia kolonii polskiej w stolicy Francji z lat 1832 i następnych, wszystkich niezmiernie zajmujących spostrzeżeń Domejki o politycznem życiu Francji Ludwika Filipa. Żałować jedynie należy, że tak mało napotykamy szczegółów o Mickiewiczu, z którym, jak wiadomo, Domejko żył najściślej, należąc wraz z Bohdanem Zaleskim i Witwickim do najbliższego otoczenia poety. Przesuwają się natomiast przed oczami czytelnika, jak w barwnym kalejdoskopie, opisy ulic i gmachów, hałaśliwe, namiętne sceny uliczne Paryża, tego „ville de bruit“, pełne obrazów jaskrawych, dyszących ogniem Południa, pełnych isticie francuskiej werwy i temperamentu. Całe to życie dziś jeszcze monarchicznej, jutro republikańskiej Francji odczuł i w pięknem polskiem słowie odmalował Domejko, ten choć z krwi i kości Litwin, niegdy „pierwszy na Litwie ekonom“, lecz o umyśle trzeźwym z natury i ukształconym surową pracą

myśli, o duszy filareckiej, kryjącej w sobie pierwiastki prawdziwie poetyckiego odczucia. Karty pamiętnika Domejki odczytujemy z niesłabnącem zajęciem. Czy, kreśląc opis nabożeństwa w niezależnym „kościele francuskim,” czy szkicując sylwetki wybitniejszych przedstawicieli naszej emigracji lub profesorów z College de France i Sorbony, czy wreszcie malując smutne obchody patriotyczne wygnańców; opisując bądź bal republikański, bądź wizytę u „pierwszego grenadyera gwardyi narodowej warszawskiej” Lafayette’a — zawsze utrafia Domejko we właściwy ton, dobiera odpowiedni koloryt dla swych opisów i charakterystyk, kreślonych zamaszyście, śmiało, czasem z rzetelnym humorem, czasem ze łą prawdziwego wzruszenia. Zapewne, możnaby tu i owdzie nie zgodzić się z Domejką, sprostować sąd zbyt powierzchowny, polegający nieraz więcej na wrażeniu, niżli na ścisłej analizie, niepodobna wszakże uczynić mu zarzutu rozmyślnego fałszu lub złej woli, tak często ujawniającej się w naszej literaturze emigracyjnej. Szlachetność uczuć, poczciwość serca, a nadewszystko gorąca miłość kraju biją z każdej karty tych pięknych wspomnień. Do historyi emigracji polskiej Pamiętniki Domejki stanowią przyczynek poważny; do dziejów Francyi w r. 1832—37 jest to również materiał cenny i dlatego książka ta powinna być przetłómaczona na język francuski.

Wydanie bardzo staranne, opatrzone jest przypisami prof. Treliaka oraz podobizną autografu autora. Drobnie usterki w układzie pamiętników i niektóre pomniejsze błędy w objaśnieniach nie umniejszają zasługi wydawcy, któremu za ogłoszenie pięknych wspomnień Ignacego Domejki szczerza należy się wdzięczność.

H. M.

ARTUR GÓRSKI. *Monsieur, rzecz o Adamie Mickiewiczu*, nakładem autora, skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki, Kraków, 1908. 8-o, str. II + 230.

Znana jest powszechnie wzniosła legenda, jedna z najpiękniejszych, jakie wydało rycersko-mistyczne średniowiecze, legenda o św. Graalu. Nieznanego bliżej pochodzenia, zdaje się na gruncie celtyckim zrodzone, podanie to niejednokrotnie stawało się przedmiotem natchnień poetyckich. O św. Graalu, owem cudownem naczyniu, z którego jadł Chrystus podczas ostatniej wieczerzy, do którego spłynęła potem krew z przebitego boku Zba-

wiciela, o tym mistycznym kamieniu, wedle późniejszych wersji, symbolu łaski Bożej, widzialnym tylko wybranym z ducha, żadną ziemską plamą nie zmazanym rycerzom, składali poematy i Robert Boron, i Chrystyan z Troyes, natchniony śpiewak podań o królu Arthurze i o rycerzach Okrągłego Stołu, i wreszcie, w końcu wieku XII, ubogi rycerz frankoński czy bawarski, Wolfram z Eschenbachu. On to opowiada o cnotliwym rycerzu Parsiwalu, który, raz straciwszy sposobność oglądania św. Graala, długie potem lata strawił na poszukiwaniu Munsalvaesche (Mons Salvationis—Góra Zbawienia), gdzie przechowywała się ta drogocenna relikwia.

Taka jest geneza pomysłu i tytułu najnowszej pracy o Mickiewiczu, pióra p. Artura Górskiego. „Monsalwat“ — to ów mistyczny Gród Zbawienia, symbol wyższego życia duchowego, zdala od pyłków, małości ludzkich; Mickiewicz—to jakby ów bogobojny rycerz Parsiwal, w trudzie śmiertelnym szukający drogi do św. Graala.

„Monsalwat—mówi p. Górski w „Introdukcji“—takim był życia cel, taką drogą najgłębszej tęsknoty Mickiewicza. Na tej drodze rozegrał się dramat jego duszy — a ducha narodu rapsod nowy... Jedno to słowo pozostało po nim i położyło się fundamentem przyszłości, rzeczy fundamentalne powięzało w sobie, a teraz szuka dalszych budowniczych dzieła“...

„I to jest celem tej książki, tych słów; nie aby były jak ciernie i głóg czerwony, oplatający wielkie czaszki ruin—ale aby wiodły do wolności w duchu, by niosły oswobodzenie. To było im przeznaczono: zapalać sobótki na szczytach, skąd widać drugi horyzont... i gdzie już nie sięga ohyda, nienawiść, niemoc.“

Obaczymy, jak p. Górski wywiązuje się z tego zadania.

Dzieło swe dzieli na trzy części: „Korona geniuszu,“ „Improwizacya,“ „Monsalwat;“ część I — „szuka rytmu życia Mickiewicza;“ część II — „dochodzi budowy jednego momentu;“ część III — „dotyka granic.“ Tłómacząc te zawile nieco określenia na język prozy, powiemy, że w pierwszej części autor wytyka ogólną linię rozwoju duchowego poety, w drugiej — zajmuje się analizą „Improwizacyi“ i jej znaczenia w ewolucyi moralnej Mickiewicza, w trzeciej — wykreśla najszerszą i najgłębszą syntezę życia i trudów autora „Dziadów.“

Narazie pozostawmy na boku sprawę układu książki i zapoznajmy się choć w najogólniejszych zarysach z wynikami dociekań p. Górskiego, o ile się da, w jego własnych słowach.

W czym autor „Monsalwatu“ doszukuje się „rytmu życia Mickiewicza?“ W ustawicznym dążeniu do doskonałości, wbrew bu-

rzom życia, z których wychodzi niezłamany, wbrew upadkom, z których wnet podnosi się, z całą pełnią świadomości, że popełnił błąd, i ulatuje w niebo, ponad ziemski padół. I to jest jego „poemat żywota,” o którym mówi p. Górski, że jest jego „największym arcydziełem.” „Przyjdzie czas może, że „Dziady” nie będą czytane, że „Pana Tadeusza” pył pokryje, ale poemat jego żywota zawsze mieć będzie władzę nad sercami. Jest w nim bowiem radosny trud ekspiacyi.” „Zbudował z życia swego arkę przymierza między dawnymi a nowymi laty — mówi gdzieindziej — i zamknął w niej dzieła harmonii i tajemnicze słowa zmartwychwstania. Jest jednym z rasy ludzi wiecznych.”

Były wszakże w tem życiu wahania się, zboczenia i błędy; w Mickiewiczu walczyli na śmierć i życie dwaj ludzie: człowiek natchniony i człowiek przeciętny. Kiedyś, w zaraniu młodości, w radosnej, „niebaczonej może” chwili upojenia, poeta wylał z siebie wielką „Odeę do młodości” — i odtąd całe życie jego jest jednym dążeniem, by wcielić w czyn ogniste hasła, płonące w tej pieśni natchnionej, co ulatuje nad „poziomy;” dźwiga się wciąż, podnosi i znowu pada, krwią ociekający, męczeński, by wreszcie śmiercią swą, zdala od ojczyzny litewskiej, na obcej zgoła ziemi, przypieczętować trudy żywota.

W więzieniu bazylińskim czyni poeta „ofiara z ziemi,” „poślubia sprawę narodową, a ślubowi temu pozostaje wierny do grobu.” W Rosyi poczyną się w nim stan podwójnej niewiary: w moralny porządek rzeczy i w naród własny; obrazem jego rozterki duchowej z tego czasu jest „Konrad Wallenrod.”

W Rzymie „opiera się o mury tumów średniowiecznych, przyjmuje wiarę bierną, zakonną, hierarchiczną...” A potem — największy błąd całego życia: usunięcie się od udziału w powstaniu 1830—1 r. „Prosty żołnierz, co poczuł w sercu śmiertelną żądzę wolności i parł bagnetem w nieprzyjacielskie bataliony — mówi p. Górski — większym był wówczas od niego poeta. On sam wszedł pomiędzy wąpiących, bezideowych, którzy to wszyscy razem z Chłopickim, Skrzyneckim i innymi słabymi poprostu ludźmi niezdecydowaniem swoim i niewiarą w siły narodowe kierunek losów naszych na fatalną dla nas stronę zagięli.”

Rozpacz i zwątpienie po wzięciu Warszawy zrodziły „Improvizacyę.” Ale „Improvizacya,” choć jest najwyższem uniesieniem ducha, jest zarazem chwilą kuszenia Mickiewicza: pragnie on despotycznego rządu dusz, „świętego zaratu uczucia,” żąda cudu i — załamuje się na tej żądzy, spostrzega błąd i winę w swoim stosunku do narodu: w stosunku tym było dotąd „coś z przewodnictwa,

z ojcostwa, była także niewiara w jego siły;“ teraz poczuł, że „geniusz narodu przerósł go.“ Więc przemaga się i korzy. Czy ni teraz powtórna ofiarę, „ofiarę z ducha,“ on, Konrad, „dom pychy,“ idzie między cichych i pokornych. I oto „etyk pokonał artystę,“ i oto „rozpoczyna się długa, twarda, spracowana codzienność.“

Po latach — nowy zwrot: Mickiewicz poznał Towiańskiego, zgłębił się raz jeszcze i przekonał, że, czyniąc „ofiarę z ducha,“ uczynił za wiele, „przekreślił swoją indywidualność twórczą.“ I oto nanowo podejmuje walkę, której śmierć dopiero kres kładzie.

Tak przedstawia się p. Górskiemu „rytm życia“ Mickiewicza. Widzimy więc, że w tem życiu „Improwizacya“ odegrała rolę niezmiernie ważną, była chwilą przełomu, „chwilą przeznaczoną.“ Jej więc p. Górski poświęca drugą część swej książki.

Rozbiór „Improwizacyi“ to niewątpliwie najlepsza, najgłębiej przemyślana część „Monsalwatu.“ Wiele tu spostrzeżeń nowych i trafnych, wiele doskonałych zestawień z pokrewnymi arcydziełami literatury wszechświatowej, np. „Hiobem“ i „Prometeuszem w okowach“ Eschylosa.

A najważniejszą zdobyczą jest stwierdzenie faktu, że „Improwizacya“ nie była czemś wypadkowem, ale „przejściem koniecznem, przełomowem,“ „organicznym momentem życia poety, wnioskiem z całego szeregu przesłanek charakteru, rodzaju twórczości, przejść duchowych i życia poety.“

I nie tylko życia poety: bo od pieśni legionów, i dawniej jeszcze, od śpiewów konfederatów barskich, patriotyzm polski i poezya polska mają w sobie te dwa pierwiastki składowe, na których wspiera się cała budowa „Improwizacyi“—to *wiara* i *wolność*. „Wiara rycerska, Lohengrinowska, wiara obrońców św. Grala,“ wiara rycerzy Maryi—oto zasadnicza treść ducha Mickiewicza. Ale nie dość na tem. I racjonalizm XVIII w., chociaż przedstawicielami jego gardził, zwał ich „mędrkami przekłętymi,“ nie pozostał na nim bez wpływu. „W naturze Mickiewicza — mówi p. Górski — zlewały się oba prądy, rozdzielające społeczeństwo od pół wieku, i dążyły do stworzenia nowego typu w narodzie; istniała w nim tradycja i wiara staropolska w rodzaju Skargi i Sołtyka, obok intelektualizmu pokolenia, które reprezentował Trembecki, Śniadeccy.“

Na dnie „Improwizacyi“ leży pytanie, „dawne, jak myśl człowieka:“ dlaczego istnieje niezawinione cierpienie? i jak usunąć je? W Mickiewiczu, który nie był skłonny do „passywnego bohaterstwa Anhellich,“ który wołał: „Zemsta!... z Bogiem...“

a choćby mimo Boga!," pytanie to rozpalało żagwią buntu, a zarazem namiętne pragnienie „rozwiązania zagadnień narodu — bez narodu.“ A gdzieindziej p. Górski tak charakteryzuje moment Improwizacyi: „Improwizacya jest jego czynem artystycznym, w którym wyraża się moment najwyższego poszukiwania czynu wolnego, metafizycznego. Tym czynem jest dla Mickiewicza „rząd dusz.“ Nie w samej wprawdzie Improwizacyi, ale przez nią, przez jej konsekwencje dochodzi on do natury czynu odkupującego, mesyanicznego. „Rząd dusz“ jest ostatnim stopniem doń.“

Ale tu przychodzi „godzina *pokuszeń*.“ Na jakiej bowiem drodze pragnie poeta zdobyć ów „rząd dusz?“ Wybiera drogę „tajemniczego despotyzmu uczuć“, „upojony mocą twórczą... oddaje on serce swoje pod przewagę despotycznego porywu, gubi szacunek dla wolnej woli człowieka, sięga po tajny rząd dusz przez masową hypnozę woli;“ jest to w swoim rodzaju „uzurpacya tronu duchowej władzy nad narodem“, jest to zarazem „prawdziwa tragedia Króla-Ducha rasy.“

Ale wnet przemówiła samowiedza w poecie; w Mickiewiczu zwycięża mesyanizm, Konrad—zostaje odrzucony, jako pełen grzechu i winy. „Mickiewicz potępia w sobie Konradyzm.“ Geniusz to narodu oczyścił go, zjawił mu się w grozie swej mocy i bólu, rozegrał wszystkie struny jego serca. Przemówiły uczucia najgłębsze, najofiarniejsze. Improwizacya jest przejściem od idei bohaterstwa w poecie do mesyanizmu. Po napisaniu Improwizacyi, tego utworu, w którym „całe chóry dziejów podnoszą się i płyną przez obszar jego wzburzonego ducha, od Chrobrego piorunów do sejmu grodzieńskiego milczenia i przez chwilę obecną, jeremiaszową, aż po krańce widnokregu czasów“, po wysnuciu z głębin ducha „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego“, po wyśpiewaniu łabędziej pieśni zapadającej w grób przeszłości, „Pana Tadeusza“, Mickiewicz ukorzył się, „zawarł kompromis z dobrym, biernym, polowicznym, zrezygnowanym człowiekiem historycznym.“

Ponowne powołanie go do misyi mesyanicznej z tej szarej drogi do Damaszk, przedstawia trzecia część: „Monsalwat.“

Rozpada się ona na kilka rozdziałów. W pierwszym z nich, p. t. „Wyswobodzenie“, p. Górski przedstawia Mickiewicza, jak, zdeptawszy wszelką zależność i wszelkie systemy i wszelkie dogmaty, z podniesionem czołem przystąpił do pracy zbudowania w swoim narodzie „człowieka wolnego, prosto rosnącego, człowieka nie dogmatycznego, przystępnego najszerszym ideom.“

Czy jednak Mickiewicz osiąga w sobie zupełne poczucie wolności? Na to pytanie, w rozdziale p. t. „Grzech“, p. Górski od-

powiada przecząco. Niema w nim wolności, jest tylko walka o nią. Mickiewicz ma poczucie zła, poczucie grzechu i zмага się z nim. Ale jakże to zło, ten grzech przezwyciężyć, by wejść na drogę do Monsalwatu, drogę rycerza św. Graala? „Trzeba w całym narodzie obudzić wolę doskonalszą, pogrążyć go w głąb, pługiem przeorać jego glebę, na silnych i wysokich uczuciach oprzeć życie w rodzinie, w pracy publicznej, w kościele, w sztuce, w nauce, we wszystkich dziedzinach. Na tem polega jego idea odrodzenia. W kim wstaje duch wyzwolony, w tym wstaje z martwych ojczyzna.“

I to jest ów „Czyn,“ czyn metafizyczny, o którym mówi w następnym rozdziale p. Górski, ten czyn twórczy, „kamień węgielny nowej budowy życia, zakreślonej przez Mickiewicza.“ „Duch i praca — mówi w dalszym ciągu — to los istoty, zwanej człowiekiem — los, z którego wyłamywać się nie wolno pod obciążeniem sumienia.“

Wreszcie, jest jeszcze rozdział p. t. „Błędy.“ Do błędów Mickiewicza p. Górski zalicza to przede wszystkim, że „odzywa się w nim czasem pewna średniowieczność ducha, przywiązanie do cudowności, wyczekiwanie stanów łaski za pomocą *zgłupienia dla Boga*.“ Z tym błędem związany drugi — stosunek do Słowackiego, a trzeci, najcięższy, to jego „bezwład woli w roku 1831-ym.“

Ostatni rozdział: „Epilog—prolog,“ nawiązuje wysnutą z rozważań poprzednich nić do dni obecnych, porównywa ludzi czasów Mickiewicza z ludźmi dzisiejszymi: tamci mieli właściwy sobie styl i mieli kulturę, my — nie mamy ani stylu, ani kultury; tamci — mieli chwałę, mieli wspólny rytm, coś orlego w sobie, my — jesteśmy pokoleniem, wychowaniem i wyrośnięciem bez chwały; tamtych cechę stanowi ból niewoli, a my...

Takim bolesnym akordem zamyka swą książkę p. Górski. Niewątpliwie, książka to niepospolita: odkrywa rozległe, nowe, nieznane zgoła przymioty „ducha i pracy,“ jest jedną z najwybitniejszych ilustracyj tej *doniosłości etycznej* naszego romantyzmu, która, obok wysokiego artyzmu, stanowi jego cechę najwydatniejszą. Ale dziś nie umiemy jeszcze odpowiedzieć na pytanie: co bardziej podziwiać w naszej literaturze drugiej ćwierci XIX stulecia: wysoki poziom moralny, czy też doskonałość artystyczną? W zastosowaniu do Mickiewicza: co w nim bardziej godne czci i umiłowania: poeta czy etyk, autor „Sonetów krymskich“ i „Pana Tadeusza,“ czy rycerz Monsalwatu? P. Górski zdaje się przechylać ku etycznej stronie ducha mickiewiczowskiego, chociaż tego wyraźnie nie powiada; przecież „Pana Tadeusza“ zbywa kilku

ogólnikowemi wzmiankami—a może leżało to poza obrębem jego dociekań?

W każdym razie nie można nigdy być nadto ostrożnym w zbyt pochopnem rozwiązywaniu tych tak zasadniczych pytań. Dotychczas patrzyliśmy na Mickiewicza tylko jako na artystę, p. Górski poszedł w przeciwnym wręcz kierunku i wskazał współczesnym krainę ideałów, ku której w męczeńskim pochodzie dążyły najlepsze duchy naszej przeszłości.

„Monsalwat“ więc, pomimo jednostronności, jest książką szlachetną i pożyteczną. A byłby książką jeszcze pożyteczniejszą, gdyby był autor bardziej pamiętał o tem, co Mickiewicz powiedział w jednym ze swoich listów: „Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego a mocnego uczucia, tam, mimo słów, figur, nic nikt nie znajdzie.“ Inaczej mówiąc, każdego pisarza obowiązuje *prostota i jasność*. Tymczasem styl p. Górskiego jest nieco zawiły, układ jego książki—nieco sztuczny, skąd płynie potrzeba nawrotów, przeskoków, powtarzań, co wszystko razem mąci bezpośredniość oddziaływania jego dzieła. Czemuż, jak chciał Słowacki, nie mówił „prosto a z krzykiem?“

HENRYK GALLE.

IGNACY GRABOWSKI. *Król Stanisław August*, tragedia w 10-ciu obrazach, rzecz osnuta na tle kroniki historycznej 1764 — 1768 roku. Warszawa, skład główny w Księgarni Naukowej, Krucza 44, 1908, 8-o, str. 159.

Rzecz niniejszą autor nazwał „tragedyą“ i dodał, że osnuł ją na tle „kroniki historycznej.“

P. Grabowski wczytał się pilnie w dzieje ostatniego panowania, ze smutkiem przyszedł do wniosku, że nasz upadek polityczny był, w znacznej mierze, naszą własną winą, wyprowadził analogię owoczesnych obyczajów do dzisiejszych stosunków i—postanowił pouczyć naród, z przeżytej przeszłości narodowej wyprowadzić przestrogi i rady dla czasów obecnych. Utwór więc jego możnaby nazwać dydaktycznym, w tem znaczeniu, w jakim starożytni mawiali: *historia—magistra vitae*.

Oczywiście, że wobec tego artyzm ustąpił miejsca zadaniom i dążeniom publicysty. Dramat daje nam, co prawda, obraz pierwszych czterech lat panowania Stanisława Augusta, ale w takim

nieleldwie stopniu, jak żywo pisana kronika, mniej nierównie, niż z talentem wykonana monografia historyczna.

Dramat składa się z dziesięciu luźnych, wspólnością idei za-
ledwie spojonych obrazów. Mamy więc karczmę podwarszawską,
gdzie zbierają się ciągnący na obiór króla *electores regum et ipsi
electores*; dalej — przedelekcyjne narady senatorów u prymasa Łu-
bieńskiego, knowania Repnina i Benoit'a; jesteśmy świadkami
pierwszych chwil samotności królewskiej Stanisława Augusta po
koronacyi. Widzimy sceny z sejmu 1766 r. pod łaską Czaplica,
potem—pierwsze zawiązki konfederacyi radomskiej, szybko zakwi-
tającej pod czarodziejskiem tchnieniem fakira-Repnina. I znowu
intrygi, podlenie się, przekupstwo, prostytutcy żon i córek sena-
torów i dostojników państwa polskiego, zdrada... Staje konfede-
racya w Radomiu pod łaską Radziwiłła „Panie Kochanku.“ Jesz-
cze jeden, najcieńszy policzek: sejm 1767 r., uwięzienie i depor-
tacya senatorów, Sołtyka, Rzewuskich, Załuskiego, bez cienia
sprzeciwienia się, oporu ze strony polskiej. Szlachetni (jak kan-
clerz Zamoyski) usuwają się, nikczemni i przekupni (jak referen-
darz Podoski) tryumfuja. Hańba Polski dochodzi do zenitu.

Jeszcze chwila, a zacznie się odrodzenie. A pierwszym jego
objawem, pierwszym okrzykiem samowiedzy narodowej jest pro-
test pośła pomorskiego, Józefa Wybickiego, na tymże sejmie
(dn. 26 lutego 1768 r.), czego nam wszakże p. Grabowski w ni-
niejszym dramacie, może świadomie, nie przedstawił.

Przewijają się przez te dziesięć obrazów liczne postacie, hi-
storyczne i zmyślone. Wypadki mkną szybko, rozwija się szeroka
wstęga akcji politycznej. Ale gdzież, wobec rozbieżności scen
i epizodów, synteza artystyczna? Niema jej ani w osobach, które
mówią wszystkie dość jednostajnym językiem, ani w całokształ-
cie pomysłu.

A że utwór p. Grabowskiego jest przeważnie tendencyjny,
tego dowodem charakterystyczna postać—rezonera. Jest nim ów
osławiony awanturnik węgierski, słynny ze swych przygód w trzech
częściach świata, Maurycy Beniowski, który od czasów Słowac-
kiego uchodzi... za wcielenie patryotyzmu, sumienia i cnoty oby-
watelskiej w Polsce. Ukazuje się on przeważnie w pierwszej
i ostatniej scenie. Tu wypowiada mowę do zgromadzonych „ele-
ktorów,“ podniecając ich do zbrojnego oporu:

O duchu Chrobrych, Batorych, Sobieskich!
z ognistym mieczem aniołów niebieskich
zejdź! uderz szczerbcem w rozpękany dzwon,
może śpiżowy serce wyda ton!...

Panowie bracia! wracajcie do domu!
 Srebro, dukaty, żon, córek klejnoty
 zamieńcie w oręż!
 Klasztorów krzyże, opatrunek złoty,
 zamieńcie w oręż!
 ... i pszenicę z łąnów
 zamieńcie w oręż!
 Idźcie do hetmanów,
 niechaj w szyk sprawią kroćtysięczne roty
 i odprowadzą wroga aż do granic,
 wręczając grzecznie traktatów pargamin.
 A wtedy—zdawszy wolności egzamin,
 jako lud wolny, staniecie na Woli
 i wybierzecie króla z tych, co boli.

W zakończeniu mowy woła zrozpaczony:

Miejsca mi, miejsca! Chcę płacić grabarzom,
 co grzebią jakąś świętą, nim umarła,
 i się przypatrzeć tym kamiennym twarzom,
 czy róża wstydu już w trupiość rozbladła.
 To król—to sąsiad—a to senatory!
 Świetny orszaku! grześć i mnie zaproście! i t. d.

Prawdę mówiąc, spodziewaliśmy się czegoś większego po Beniowskim, jako symbolu.

Co do języka, to stylu niema w nim, pomimo wyraźnych usiłowań autora. Owszem: usiłowań jest za wiele, a intuicji (czy może erudycji?) za mało. Czyż malują epokę takie zwroty, jak: „przebacz nędzarstwu jaźni,“ „jaźń męska,“ „umiętną nosić szatę purpurową,“ „od dyabłów, anżów (!) et tout le monde osób,“ „prowadzą na mores?“ takie wyrazy, jak „brońca“ (zam. obrońca), „spierka“ (zam. spór), „błakaniec“ (zam. tułacz), „potężyć“ (zam. potęgować) i t. d. Przytem p. Grabowski ma nieznośną manierę przenoszenia części wyrazów do drugiego wiersza, np.:

... samego dyabła wy-
 prowadziłubys z cierpliwości...

lub:

... mogą się zda-
 rzyć des circonstances speciales...

a w innem miejscu:

Ach! zrozpaczony, biedny, ja płaka-
 łam. Ce Repnin, ce barbare!...

jeszcze gdzieindziej:

... Gdy-
byś waszmość słuchiwał kazań katolickich...

Wszystko to przekonywa nas, że utwór p. Grabowskiego jest właściwie kroniką udramatyzowaną, albo może artykułem publicystycznym w dyalogu, w którym powołane do przemawiania postacie historyczne (i nie-historyczne) z XVIII w. wygłaszają poglądy autora.

Poglądy są zdrowe, trzeźwe, zacne, ale — to nie rozstrzyga jeszcze o wartości artystycznej utworu.

HENRYK GALLE.

Kronika miesięczna.

Apel wszechsłowiański. — Dziesięciolecie „Przeglądu filozoficznego.” — Organizacja osadnictwa niemieckiego w Król. Polskiem. — Macierz małorolnych.

Jednym ze środków, jakimi zwykła posiłkować się polityka w dojściu do zamierzonego celu, jest umiejętne urabianie opinii publicznej w żądanym kierunku. Czyni się to zazwyczaj przy pomocy prasy, która, bądź jest z góry uprzedzona o danej sprawie i działa zgodnie z otrzymaną od sfer kierujących dyrektywą, bądź też jest tak umiejętnie zasuggestyjonowana, że w zupełnie dobrej wierze współdziała planom, których istotnej treści ani może, ani usiłuje przeniknąć. To zasuggestyjonowanie bywa czasem tak silne, że rodzi entuzjazm w swoim rodzaju, przenoszący nieopatrznie zwyczajną „robotę polityczną” na grunt ideowy.

Entuzyazmowi temu ulega od pewnego czasu w stopniu znaczącym prasa rosyjska, przepełniona artykułami o proponowanym zjeździe słowiańskim i o jutrzni nowych czasów, jakie ku całej zbliżają się słowiańszczyźnie.

Czy zjazd słowiański dojdzie do skutku, jaki będzie jego charakter i jakie rozmiary—tego jeszcze w tej chwili przewidzieć nie można. Trudno jednak, czytając uważnie to wszystko, co na ten temat zostało już wypowiedziane, a co przepłynęło, niby ogromna rzeka pięknych, choć częstokroć naiwnych frazesów, przez łamy prasy rosyjskiej, powstrzymać się od kilku uwag.

Ruch w kierunku idei wszechsłowiańskiej nie jest w Rosji ruchem nowym. Ma on swoje stare, wyłożone łożyska, w które go umiejętnie wprowadziła polityka z czasów Mikołaja I i Aleksandra II. Ma on też swoją historię, która odsłania prawdziwe a podwójne jego oblicze.

Dla nikogo, kto kiedykolwiek dotykał tej sprawy, nie jest tajemnicą, że są w Rosyi dwie idee słowiańskie. Jedną, którą należy szanować, jako ideę prawdziwą, budzącą zapal w szlachetnych umysłach, przejętych zasadami braterstwa, równości i wolności — i druga, którą publicystyka posiada zawsze na składzie i wydobywa w chwilach, gdy na szachownicy politycznej okaże się potrzeba postawienia tej figury posilkowej dla wzmocnienia swoich sił i zaimponowania przeciwnikowi.

W rosyjskiej polityce wschodniej — oczywiście tej, która dotyczy wschodu blizkiego — figura, wyobrażająca potęgę zjednoczonej słowiańszczyzny, była już niejednokrotnie posuwana w kierunku Austrii i Turcji. Odgrywała ona zawsze rolę pomocniczą w odwiecznej partyi o wpływy na półwyspie bałkańskim.

Nadto ta druga idea słowiańska różni się zasadniczo od pierwszej pojmowaniem równości słowiańskiej i wcale nie dwuznacznie wysuwa na plan pierwszy interesy państwa rosyjskiego, choćby te interesy miały stać w sprzeczności z prawami innych narodów słowiańskich.

Prasa rosyjska, która, zdaje się, nie bardzo pojmuje, albo pojmować nie chce, różnic, zachodzących pomiędzy temi dwiema ideami, przemawia obecnie gorąco w duchu wszechsłowiańskim, wyrażając jednocześnie zdziwienie pod adresem społeczeństwa polskiego, które dotąd trzyma się w rezerwie i nie wypowiada swojej sympatii ani dla projektowanego zjazdu, ani dla sięgających w odległą przyszłość fantazji panslawistycznych.

Czy jednak naprawdę można się temu dziwić?

Spółczesność polska niewątpliwie postawę, jaką zachowuje dotąd, zachowa aż do chwili, w której przekona się, z czem właściwie ma do czynienia: czy z ruchem ideowym, który rzeczywiście porywa naród rosyjski i rozpoczyna erę wielkiej polityki słowiańskiej, czy też tylko ze znanym już manewrem publicystycznym, nie mającym nic wspólnego z przyszłością słowiańszczyzny w Europie?

Naród polski nigdy nie był usposobiony nieżyczliwie dla sprawy słowiańskiej, ale do tej chwili nie ma on jeszcze żadnych danych, na których podstawie mógłby sądzić, że obecny apel wszechsłowiański wybijany jest na zupełnie innych bębnach, niż te, jakich używali w Rosyi poprzednicy obecnego ruchu wszechsłowiańskiego, a zwłaszcza tak znakomici dobosze, jak Aksakow i jego przyjaciele polityczni. Przeciwnie, niejeden z odgłosów, jakie nas dolatują za pośrednictwem prasy rosyjskiej, przypomina zbyt żywo dawne, dobrze znane w Polsce tony, które ją swoje-

go czasu skłoniły do wstrzemięźliwości w dziedzinie projektów wszechsłowiańskich.

To też dopóki tony te nie ulegną zasadniczej zmianie, dopóty nie może być mowy o przejściu się społeczeństwa polskiego hasłami, głoszonymi w Petersburgu i w Moskwie. Mogą one znaleźć odgłos w Pradze Czeskiej i wśród słowian południowych, nie znajdują go jednak ani w Królestwie Polskiem, ani w Galicyi, ani w W. Księstwie Poznańskiem.

*

*

*

W związku z ogólnem obudzeniem się i odnowieniem ruchu filozoficznego w całej Europie na schyłku wieku XIX-go, pozostaje także założenie w Warszawie pierwszego i jedynego czasopisma, poświęconego filozofii.

W r. b. minęło właśnie dziesięć lat od chwili, kiedy inicjatywa, powzięta w tym kierunku przez d-ra Wład. Weryhę, przyoblekła się w czyn.

Dziesięć lat istnienia—to dla pisma naukowego, jakim jest *Przegląd filozoficzny*, okres, świadczący o tem, że potrafiło ono zdobyć dla siebie miejsce w społeczeństwie, zajmując placówkę, istotnie potrzebną.

Przekonywa o tem wymownie zarówno względnie pomyślny stan materyalny wydawnictwa, jak poważna ilość i wartość zamieszczonych w niem prac, świadczących o rosnącym ciągle zainteresowaniu się polskiego świata naukowego dziedziną myśli filozoficznej, do niedawna leżącej u nas zupełnym odłogiem.

Dość powiedzieć, że w ciągu dziesięciu lat *Przegląd filozoficzny* zamieścił prace 152 autorów, z których 58 drukowało po jednej pracy, reszta zaś po kilka i kilkanaście.

Pomimo jednak licznych pracowników, oddających się studjom filozoficznym, pomimo, że prawie wszystkie działy filozofii posiadają już u nas swoich specjalistów, redakcja *Przeglądu* stwierdza, że w ciągu ubiegłego dziesięciolecia dawał się niejednokrotnie odczuwać brak tematów, interesujących ogół naszych filozofów, brak węzła, łączącego filozofię polską w jedność i nadającego rozwojowi umysłowości polskiej pewną ciągłość, jak to się działo i dzieje z filozofią francuską, niemiecką i angielską,

które nieraz całe wieki poświęcały jednemu zagadnieniu. W celu wzniesienia takich ognisk, dookoła których gromadziliby się filozofowie polscy, redakcja poświęciła niektóre zeszyty jednemu zagadnieniu, albo jednemu systematowi filozoficznemu. W ten sposób powstały zeszyty pod ogólnymi tytułami: „Co to jest filozofia?“, „Energietyka“, „Herbert Spencer“, „Em. Kant.“

Ażeby inicjatywa ta stała się silniejszym bodźcem, zachęcającym do skierowania umysłów ku pewnym zagadnieniom, powstał projekt systematycznego ogłaszania przy *Przeglądzie filozoficznym* konkursów na wybrane tematy. Na pierwszym konkursie nagrodzono prace: J Łukasiewicza „O przyczynowości“ i J. Ochorowicza „O metodzie w etyce.“ Temat drugiego konkursu brzmi: „Opis i wyjaśnienie.“

Także ważną przeszkodą do powstania u nas na polu filozoficznem pracy ciągłej i organicznej na gruncie swojskim była ta okoliczność, że młode pokolenie, wykształcone przeważnie na literaturze zagranicznej, nie dość zna i nie dość uwzględnia dorobek polski poprzednich pokoleń na tem polu, lecz rozpoczyna pracę na nowo. W celu więc ułatwienia zaznajomienia się z odpowiednią literaturą polską, redakcja powzięła zamiar wydania wyczerpującej „Polskiej bibliografii filozoficznej“ w układzie dziesiętnym Deweya. Bibliografia, wydana według tego systemu, wprowadzi bezpośrednio filozofię polską do wszechświatowej literatury naukowej.

Rozpatrując się w danych, dotyczących ilości prenumeratorów *Przeglądu filozoficznego*, widzimy, że ilość ta wynosiła w pierwszym roku około 1000, już jednak w roku następnym spadła do 750. Liczba ta pozostawała przez cały okres prawie bez zmiany. Małe wahania polegały na tem, że rocznie od 30 do 40 ubywało i tyluż mniej więcej przybywało nowych czytelników.

Znamienną jest rzeczą, że prenumerata, która w Warszawie w pierwszym roku istnienia *Przeglądu* dała mu 357 odbiorców, w dziesiątym — już tylko 211, natomiast Galicya, dając w pierwszym roku 59 — w dziesiątym dostarczyła ich aż 143. W Poznaniu liczba ta wzrosła z 2 do 10.

Pozatem zwraca na siebie uwagę znaczna stosunkowo ilość egzemplarzy, wysyłanych do Cesarstwa, nie wyłączając najdalejszych jego krańców, jak gub. Tomska, Irkucka i Jakucka na Syberyi.

Od pierwszej chwili powstania *Przeglądu* redakcja bolała nad ubóstwem naszym w tłumaczenia dzieł wybitniejszych filozofów współczesnych i starała się złemu zaradzić. Nie mając je-

dnak środków na wydawanie dzieł większych rozmiarów, rozpoczęła swą pracę na razie od mniejszych utworów, których wydała cały szereg. Nadto wyszło jej staraniem, a nakładem własnym autorów lub z zasiłku Kasy Mianowskiego 10 dzieł oryginalnych polskich.

W ten sposób powstała złożona z kilkudziesięciu numerów bibliograficznych polska biblioteka filozoficzna.

Oto mniej więcej cały dotychczasowy plon pracy, rozpoczętej przed dziesięć laty przez *Przegląd filozoficzny* w Warszawie, która może najmniej ze wszystkich miast polskich sprzyja w obecnych swoich warunkach rozwojowi myśli naukowej. A przecież pomimo tych warunków dobra wola i energia twórców naszego czasopisma filozoficznego potrafiły pokonać wszystkie przeszkody, skupić dokoła siebie liczne i rozszerzające się nieustannie grono współpracowników, natchnąć ich wiarą w przyszłość i zachęcić do badań samodzielnych.

Rozproszone do niedawna, nieznane nikomu, ani też często o sobie wzajem nie wiedzące siły naukowe polskie zjednoczyły się do wspólnej pracy w umiłowanej dziedzinie. Nadto rozpalone w szczęśliwej chwili ognisko nadspodziewanie szybko zaczęło promieniować. Zastęp pracowników polskich na niwie filozofii wzrasta ciągle i jest nadzieja, że ta najszczytniejsza gałąź wiedzy ludzkiej rychło zazieleni się u nas tym samym liściem, jaki ją tak bujnie pokrywa gdzieindziej.

Będzie to w znacznej części zasługą *Przeglądu*, a przede wszystkim—jego wytrwałego i oddanego całą duszą podjętej sprawy, redaktora Wł. Weryhy.

*

*

*

Omawiana przez nas w miesiącu ubiegłym sprawa kolonizacji Królestwa Polskiego, znalazła oświetlenie szersze w artykule p. Stefana Gorskiego, zamieszczonym w ostatnim numerze *Świata Słowiańskiego*.

Wprawdzie i tu niema rzeczy najważniejszej, a mianowicie obszaru ziemi, jaki już znajduje się w rękach niemieckich, ale zebrane przez p. Gorskiego dane rzucają nieco nowego światła na interesujący nas przedmiot i pozwalają na wysnucie pozytywnych

wniosków co do planowości niemieckiej polityki kolonizacyjnej na ziemiach polskich.

P. Gorski oparł się przede wszystkim na znanej publikacji p. t. „Handbuch des Deutschtums im Auslande.“

Książka ta podaje szczegółową statystykę Niemców, osiadłych w Król. Polskiem, na Litwie, Podolu, Inflantach i w Rosyi.

Wedle tej statystyki Niemców jest

w Król. Polskiem	500,000,	to	znaczy	5%	ogółu	mieszkańców
w g. kowieńskiej, gro-						
dzieńskiej i wileńskiej	40,000,	"	1 "	"	"	"
w gub. wołyńskiej	60,000,	"	2 "	"	"	"
w gub. podolskiej	15,000,	"	0.5 "	"	"	"

Ogółem zaś Niemców na ziemiach pod berłem rosyjskiem mieszka 2,000,000, czyli 2% całej ludności państwa. Z miast najwięcej Niemców liczą Łódź i Ryga — po 110,000, znacznie mniej Petersburg, bo tylko 65,000, czyli 5% ogółu ludności, lubo uchodzi za miasto przepełnione Niemcami. Wogóle cały ciężar gęstości zaludnienia przez Niemców przypada na Król. Polskie, które liczy „o 200,000 mieszkańców niemieckich więcej od Kurlandyi, Inflant, Estonii i Ingermanlandyi razem wziętych.“ Prowincye nadbałtyckie liczą łącznie zaledwie 300,000 Niemców, Król. Polskie aż pół miliona.

Tak wygląda stan rzeczy w wykazach źródła statystycznego berlińskiego. W ciągu czterdziestolecia zastęp ludności niemieckiej podwoił się więc prawie, w roku bowiem 1863, podług obliczeń polskich, Król. Polskie liczyło 278,973 Niemców, w r. zaś 1867, według obliczeń rosyjskich—290,000 Niemców.

W dniu dokonywania spisu jednodniowego w r. 1897 Królestwo liczyło 407,274 Niemców. Wtedy stosunkowo najwięcej Niemców mieszkało w powiecie łódzkim (22,66%) i lipnoskim (18,81%). Na północy wyróżnia się powiat wołkowyski (15,91%) w gub. suwalskiej. Na wschodzie najwięcej Niemców widzimy w gub. lubelskiej, w pow. chełmskim (12,75%. W miastach zamieszkiwało 113,724 Niemców (w tem 54,081 mężczyzn) czyli 27,9% ogółu ludności niemieckiej. Pozostała reszta przypadała zatem na wieś polską.

Jak się przedstawia bliżej to osadnictwo, o tem, niestety, wiemy mało. Ścisłejsze dane posiadamy jedynie co do gub. lubelskiej, dzięki p. Henrykowi Wiercieńskiemu.

Zdaniem jego osadnictwo niemieckie odbywa się obecnie w ten sposób. Niemcy osiadają całemi wsiami, całemi okolicami

mi—w zwartej masie. Różnica wyznania oddziela ich od ludności miejscowej. Główną ich siedzibą w gub. lubelskiej jest pas północny, ciągnący się od Wieprza do Buga, w sąsiedztwie i wzdłuż drogi żelaznej. W cyfrach ogólnych ludności gubernii liczba ich nie imponuje, wynosi bowiem zaledwie 8%. Jeżeli jednak rozpatrzyć ją powiatami, to okażą się między nimi takie, gdzie Niemcy-protestanci stanowią już 17% ludności (pow. chełmski). Jeszcze wybitniej okaże się siła i przewaga tego żywiołu, skoro zwrócimy uwagę na poszczególne okolice tych powiatów, gdzie Niemcy siedzą zwartą masą. Są tu już takie gminy, w których ludność niemiecka wynosi 41% (!) zaludnienia.

W pow. lubelskim w gminie Ludwin Niemców jest 24,8%, w gm. Luszawa 17,3%, w gm. Firlej 16%.

W pow. chełmskim posiadają gminy: Cyców 41,1% Niemców, Turka 34,4%, Bukowa 29,1%, Staw 20%, Krywiczki 19,4%, Rejowiec 17,2%, Olchowice 17,1%, Żmudź 15,6%, Brzeziny 15,3%.

Zestawienie powyższe—kończy p. Wiercieński—tem większej nabiera wagi, jeżeli sobie uprzytomnimy, że „gminy, wyliczone powyżej, tworzą jeden pas nieprzerwany i że stosunek procentowy ludności niemieckiej corocznie w nich wzrasta.

Najazd Niemców na wschodnią część Europy nie kończy się zresztą wcale na Królestwie Polskiem. Koloniści niemieccy, jak podaje p. Gorski, zajęli już najważniejsze drogi i punkty strategiczne na Litwie, Podolu i w Cesarstwie. Wzdłuż szosy Kijów-Brześć, wzdłuż kolei poleskich i południowo-zachodnich ciągną się kolonie niemieckie. Dookoła Dubna, fortecy z 4 tysiącami załogi, leży jakgdyby całe województwo niemieckie. Dookoła twierdzy kowieńskiej, w pow. kowieńskim i sąsiednich mieszka do 15 tysięcy Niemców-kolonistów. Między fortami, obozem i mostem kolejowym przez Niemen leży z dziesięć fabryk, należących do Niemców, którzy są nawet poddanymi państwa niemieckiego. Ziemie dookoła Kowna i fortecy wykupione są przez Niemców. Tego niepodobna chyba uważać za czysty przypadek!

Są to najwidoczniejsze placówki, torujące dalszą drogę odwiecznemu pochodowi na wschód.

W ten sposób przygotowuje się teren pod przyszłe rozszerzenie granic państwa niemieckiego.

Autor cytowanego przez nas artykułu mówi o tem otwarciu, bez żadnych obstron. Powołuje się on na to, że jednym z paragrafów hakatyzmu jest przekonanie, że „gdzie przeszedł pług niemiecki, tam jest ojczyzna niemiecka“ i sądzi, że rząd berliński,

stale i konsekwentnie dążąc do morza Czarnego, a stamtąd do Azyi, w szczególniejszy sposób upodobał sobie placówki kolonistów niemieckich w Królestwie Polskiem. Czyni też on wszystko, aby osadników odgradzić od wpływów kultury polskiej, aby cechy niemieckie w nich ocalić, uczynić ich pewnem narzędziem w ręku Prus, a w razie potrzeby użyteczność ich należycie wyzyskać. Rządowi pruskiemu na tem polu cichej akcji można bez zastrzeżeń powinszować już dzisiaj jaknajwiększych sukcesów. Swe go dokonał. Koloniści w Królestwie stanowią żywioł zwarty, kar-ny, wyodrębniony, do przysług zawsze gotowy.

Od chłopów polskich różnią się oni literalnie wszystkim, stanowiąc prawdziwą krainę niemiecką w kraju rdzennie polskim. Kraj w kraju! Mimo stuletniego między nami pobytu, mimo dobrodziejstw, zaznawanych od rządów Księstwa Warszawskiego, a później Królestwa Kongresowego, aż do chwili obecnej pozostali żywiołem dla nas niechętnym, jaskrawo manifestującym swoje antypatye polskie.

Że nas ignorują, że nie chcą uznawać nawet nazwy Królestwa Polskiego, o tem wszystkiem wiemy dobrze, że w ostateczności wolą popierać język rosyjski, niż polski, tego również mieliśmy przykłady. Ale jak się przedstawia ich prawdziwa lojalność wobec państwa?

Na to drastyczne pytanie odpowiada p. Gorski przytoczeniem całego szeregu faktów, o których autentyczności wątpić nie można.

Między innemi przytacza, że przed paru laty pisma petersburskie drukowały liczne artykuły z powodu zdemaskowania istniejącego tajnego związku wywiadowczego wśród Niemców-kolonistów w razie wojny z Rosyą. Istnieją między nimi ludzie znakomicie z topografią okolic obznajomieni. Mieli oni oddać ważne usługi w razie rozpoczętej akcji. Zdarzyło się jednak, że pewien z kolonistów (śnać więcej tchórzliwego usposobienia) złożył władzom gubernialnym tajne papiery, otrzymane z Prus wraz z instrukcjami w razie wojny zaczepnej. To spowodowało burzę. Były jednak i inne fakty. W klubie wojskowym w Płocku opowiadają, że kiedy przed kilku laty gen. Kaulbars dyrygował manewrami wojsk nad Narwią w okolicach Modlina, zwrócił jego uwagę niezwykle młyn nadbrzeżny. Jak się okazało, należał on do kolonisty-Niemca. Gen. Kaulbars, zwabiony niezwykłą konstrukcją młyna, polecił zbadać go inżynierzy polowej—i oto okazało się, że ów dziwny młyn posiadał części mostu, mającego na względzie cele strategiczne.

Jeden z posłów do parlamentu berlińskiego opowiadał nadto p. Gorskiemu, że ma kolegów wojskowych pruskich i eks-kolegów, którzy co roku udają się w objazd po koloniach niemieckich w Królestwie Polskiem, ale w jakich celach—o tem już dyskretnie zamilczał. Informacye te łączą się jednak z posiadanemi przez p. G. danemi, że w gub. płockiej co czas jakiś wśród kolonistów zjawiają się emisaryusze pod pozorem handlarzy obrazami, książkami i t. d., którzy miewają długie narady z Niemcami, a później giną bez śladu. Po paru dniach na miejsce takie zjeżdża zazwyczaj żandarmerya rosyjska, ale już zapóźno, kiedy „wędrownik“ znalazł się w innych, niesledzonych zakątkach kraju. Ta gotowość do posług i karność względem Rzeszy kolonistów niemieckich pozornie wydałby się mogła wprost zadziwiającą, gdyby nie pamiętać jednocześnie o niezwykle zabiegliwej pracy odnośnych instytucyj w Berlinie.

P. Gorski sądzi, że na potrzeby pielęgnowania ducha wszech-niemieckiego wśród współrodaków w Królestwie Polskiem, w Berlinie nie brakuje nigdy marek pruskich. Kolonistom rozdają się rocznie dziesiątki tysięcy broszur agitacyjnych, ułatwia się im przyjazdy do Prus, przysyła gazety pruskie, udziela subsydyów z *Schulverein*'u nauczycielom niemieckim, w razach nieurodzaju, jaki np. miał miejsce przed paru laty, posyła się subsydia i zapomogi. To wszystko podnosi, pokrzepia i umacnia ducha. Tu rozwiązanie pytania, dlaczego wśród kolonistów tak często spotkać można polityczne dzienniki i pisma niemieckie.

Pomiędzy kolonistami istnieje nadto wielka ilość niejawnych związków i stowarzyszeń o charakterze nietylko politycznym, ale i ekonomicznym. Istnieją np. zrzeszenia, mające na celu gromadzenie funduszków w celu przychodzenia z pomocą współbraciom w nabywaniu nowych gruntów w Królestwie Polskiem. W tym wypadku rolę pomocniczą odgrywają często więksi posiadacze ziemscy Niemcy. Z dobrze powiadomionych źródeł czerpie wreszcie p. G. informację, że banki pruskie na zakupy tej ziemi przez Niemców-kolonistów udzielają pożyczki na 2%.

Warto jednocześnie wspomnieć, że oprócz długu patriotyzmu, koloniści niemieccy poczuwają się jeszcze nadto do obowiązku popierania przemysłu pruskiego. Wszystkie sprawunki, nawet sprzęty domowe, nabywają wprost z Niemiec, a właściciele berlinek pruskich na Wiśle w imporcie tym niemałoważną odgrywają rolę. Nadto koloniści są głównymi agentami werbowania robotnika polskiego do Prus.

Tak oto wygląda w przybliżeniu organizacja polityczna i ekonomiczna osadnictwa niemieckiego na ziemiach polskich.

Nie jesteśmy zwolennikami przedwczesnych alarmów. Nie taimy też, że przedstawienie rzeczy przez p. Gorskiego tu i owdzie wydaje nam się zbyt przesadnem, jakby przepojonem obawą przed rychłym a zupełnym zalewem Królestwa przez Niemców. Z drugiej jednak strony niebezpieczeństwo, aczkolwiek może nie tak wielkie, jak je w ostatnich czasach, poczynając od znanej broszury p. B. Koskowskiego, a kończąc na rewelacjach *Świata Słowiańskiego*, niejednokrotnie odmalowano—istnieje bezwarunkowo. Tem pilniejszą też okazuje się potrzeba gruntownego i wszechstronnego zbadania kwestyi, którą, jak to widać z pracy p. Gorskiego, znamy jeszcze zbyt powierzchownie, abyśmy mogli wysnuwać wnioski bez zastrzeżeń.

Organizacja, której rąbki odsłonił nam p. Gorski, powinna jednak przekonać nas o jednym—o tem mianowicie, że dopóki nie przeciwstawimy jej równie sprawnej organizacji, nietylko wiedzącej o wszystkim, ale jednocześnie przewidującej to, co daje się przewidzieć, dopóty Niemcy bez naszej wiedzy i poza naszymi oczami będą posuwali się nieustannie naprzód.

Organizacyi takiej w obecnych warunkach stworzyć nie możemy. Wolno nam jednak badać kwestyę i gromadzić materiały do jej poznania — i to powinniśmy uczynić jak najprędzej. Przedewszystkiem musimy przekonać się, ile ziemi przeszło już w ręce niemieckie i jaki jej obszar zajmują kolonie niemieckie? Na pytanie to publicystyka polska powinna odpowiedzieć bez zwłoki, i o ile można najściślej.

*

*

*

Dnia 15 kwietnia 1907 r. zalegalizowana została w Płocku ustawa Towarzystwa „Polska Macierz małorolnych.“

Głównym celem Towarzystwa jest zaopatrywanie w ziemię bezrolnych, oraz dopomaganie małorolnym wieśniakom do powiększania swych osad, lecz tylko tym, którzy mają mniej ziemi, niż 10 morgów i do fortun nie większych, jak włóka na jedną rodzinę, a najwyżej — w wyjątkowych okolicznościach — do osad nie większych nad 10 morgów na każdego członka rodziny.

Towarzystwo może również dążyć do polepszenia bytu małorolnych przez podniesienie kultury i wiedzy rolniczej i ulepszenie i poprawę istniejących gospodarstw małorolnych.

Dla wypełnienia tych celów Towarzystwo, zgodnie z istniejącymi przepisami prawa, może zakładać szkoły rolnicze dla dzieci małorolnych, oraz dla starszych osób płci obojga, zakładać banki parcelacyjne i kasy dla komasacyi gruntów i regulowania serwitutów leśnych, polnych i pastwiskowych; zakładać muzea rolnicze, biblioteki, wydawać pisma i książki, urządzać odczyty i zebrania dla oświecania ludności rolniczej; urządzać kasy pożyczkowe i samopomocy wzajemnej, asekuracje od ognia, gradu, chorób inwentarzy i ludzi, a także śmierci członków; urządzać i budować fabryki, melioracje, stowarzyszenia i spółki melioracyjne i fabryczne pośród małorolnych; urządzać pola doświadczalne, laboratoria i dopomagać do rozwoju drobnego przemysłu; urządzać ekskursye członków po kraju i zagranicą w celu poznania lepszych gospodarstw, utrzymywać instruktorów rolniczych, hodowlanych i t. d., projektować prawa i przepisy, pożyteczne dla rozwoju drobnych gospodarstw i przedstawiać takowe do zatwierdzenia władzom miejscowym i wyższym; otwierać biura pomocy prawnej i biura rachunkowe dla członków, urządzać wystawy i konkursy; urządzać szkoły we wsiach swych członków; kupować lasy i ziemię i obsiewać je dla użytku drobnych rolników; utrzymywać statystyków, agronomów, rachmistrzów, ogrodników i t. d. dla wspólnego pożytku członków.

Olbrzymi zakres działania! To wszystko, razem wzięte, wygląda też raczej na jakąś szlachetną utopię, niż na program pracy realnej, możliwej do wykonania w warunkach obecnych. I niewątpliwie jest w tem dużo fantazyi, wybiegającej w przyszłość. Niezależnie jednak od pierwiastków fantastycznych, zawartych w ustawie Towarzystwa, sama idea stworzenia w naszym kraju instytucji pod nazwą „Polskiej Macierzy małorolnych“ jest bardzo piękna i zasługuje na poparcie.

Podobno też w ostatnich czasach tu i owdzie zaczęto myśleć o zawiązaniu próbnych kół Macierzy.

Przyczyniła się do tego niewątpliwie gorąco napisana odezwa, z jaką w specjalnie wydanej broszurze zwrócił się do włościan polskich inicjator tej instytucji, p. Bolesław Zdziarski.

— Kochani bracia!—pisze on między innemi. Ludzie wszystkich profesyj posiadają już swoje stowarzyszenia samopomocy, pomagają swoim biednym kolegom w celu zakupywania im warsztatów, maszyn i t. d. Bogaci rolnicy mają swe stowarzyszenia

samopomocy do kupna ziemi—t. j. Towarzystwo kredytowe ziemskie. Jeno bezrolni i drobni rolnicy tych stowarzyszeń samopomocy dotąd nie mieli. Otóż właśnie „Polska Macierz małorolnych“ będzie takim stowarzyszeniem samopomocy w zakupywaniu ziemi dla tych, co mają niewiele pieniędzy, lub ich wcale nie mają. Rozszerzywszy się, może ona być tak użyteczną dla małych rolników, jak użytecznem jest dla większych rolników Towarzystwo kredytowe ziemskie i tak, jak tamto, oparte będzie na kredycie, lokowanym na hipotekach włościańskich pod postacią 50 rublowych certyfikatów Macierzy małorolnych. Kilkadziesiąt milionów chłopskich pieniędzy z kas oszczędnościowych na pocztach i t. d. jest lokowane nie w Polsce, lecz na obcych ziemiach, tymczasem te pieniądze mogą dopomagać biedniejszym braciom naszym do kupna ziemi, do ułatwiania w dzieleniu się ojcowizną po śmierci ojca, do usuwania szachownic i bogacenia się. A i biedniejsi więksi właściciele folwarków, obdłużeni i nie mający inwentarzy, skorzystają na tem, bo gdy rady dać sobie nie będą mogli w gospodarstwie dla biedy i braku pieniędzy, odprzedadzą połowę majątku, by móżdź lepiej i uczciwiej gospodarować na reszcie, a gdy i cały majątek będą zmuszeni sprzedać, to i tak lepiej, że tym zyskiem, tym zarobkiem lichwiarskim, jaki biorą prywatni spekulanci, handlarze ziemią lub spółki i towarzystwa, które chcą lichwić się parcelacją—podzielią się za pośrednictwem Macierzy ubogi dziedzic i nabywcy włościanie.

W Galicyi—mówi dalej p. Zdziarski—gdzie Macierzy małorolnych niema, piąta część folwarków jest własnością Żydów, a z reszty pozostałej folwarków, z tych, które są w dzierżawy wypuszczone, tylko co czwarty dzierżawca jest katolikiem-Polakiem, a trzech jest Żydów. Czy nie lepiej więc, aby Macierz takie folwarki parcelowała pomiędzy polskich katolickich chłopów, którzyby za to tak tłumnie nie byli zmuszeni w poszukiwaniu zarobków wzbogacać krwawą pracą, niemieckich panów w Prusach na robotach. Parcelacja zmniejsza emigrację, a uczy pracować tych ludzi, którzy zdobędą własny kawałek ziemi, przeto Macierz małorolnych będzie dobrodziejstwem dla kraju, bo uczyć będzie ludzi wszystkich stanów, aby łączyli się wspólnie w krajowem gospodarstwie, w zarządzie wspólnem krajowem mieniem.

Przy pomocy podobnych argumentów stara się ideowy twórca Macierzy przemówić do milionowych rzesz włościaństwa polskiego i zachęcić je do samopomocy ekonomicznej. Pęd ku tej samopomocy w niektórych okolicach kraju już się obudził, można więc mieć nadzieję, że instytucja Macierzy nie będzie tylko fan-

tazą, pomyślaną przy biurku, w chęci służenia społeczeństwu, ale zwolna, stopniowo zacznie zdobywać sobie grunt rzeczywisty do istnienia. Aby to przyspieszyć, należałoby może uprościć nieco ustawę, tak, aby nie przestraszała ona chętnych ogromem zakresu działania przyszłych kół. Niech te koła działalność swoją ograniczą na razie tylko sprawami gromadzenia oszczędności i ułatwiania włościanom kupna ziemi, odkładając resztę prac kulturalnych na dalszą przyszłość.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Władysław Ochenkowski.

Dnia 8 maja r. b. zmarł we Lwowie jeden z wybitniejszych ekonomistów polskich, profesor uniwersytetu tamtejszego, D-r Władysław Ochenkowski.

Zmarły pochodził z Królestwa Polskiego. Urodził się w roku 1840 we wsi Skrzyszewie, na Podlasiu. Ukończywszy w roku 1857 w Warszawie gimnazjum gubernialne, wyjechał na studia za granicę, gdzie poświęcił się prawu, filozofii i nauce gospodarstwa. Doktoryzował się w Jenie w r. 1868. W dziewięć lat potem, nie przerywając studiów naukowych, habilitował się w tym samym uniwersytecie i na podstawie rozprawy na temat: „*Englandsgesetzgebung im Bezug auf die Preise*“ otrzymał *veniam legendi*. W r. 1880 Uniwersytet Jenajski ofiarował mu katedrę nadzwyczajną ekonomii politycznej, a w kilka miesięcy potem otrzymał taką samą katedrę w Akademii Monasterskiej (Münster).

W r. 1892 powołał go na profesora zwyczajnego uniwersytet lwowski, gdzie Ochenkowski zajął ważne stanowisko po profesorze Bilińskim, oderwanym wówczas od pracy naukowej przez politykę; i wspólnie z prof. Głębińskim, obecnym prezesem Koła polskiego w Wiedniu, prowadził wykłady umiłowanego przez siebie przedmiotu aż do chwili ostatniej.

Ś p. prof. Ochenkowski był od r. 1888 członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, od r. 1890 członkiem *American Academy of political and social Science* w Filadelfii, a od r. 1893 członkiem słynnej *British Economic Association* w Londynie.

Z licznych i cennych prac zmarłego ekonomisty wyróżniają się: „Sprawa gruntowa w Irlandyi,“ „Wychowanie elementar-

ne w Anglii i bil P. Forstera, „Ziemska własność gminna w Galicyi, jej kapitały pieniężne i stan bierny,“ „O podatku zbytłowym,“ „Angielskie kasy oszczędności,“ „Listy cudzoziemca o Wilnie.“ Nadto szereg rozpraw w języku niemieckim.

Z. D.

ś. p. Mścislław Godlewski.

W Nałęczowie zmarł w dn. 20 maja r. b. wytrawny publicysta obozu zachowawczego, b. redaktor *Niwy*, a następnie *Słowa*, ś. p. Mścislław Godlewski.

Urodzony w r. 1846 w Krasnocinie, w ziemi kieleckiej, ś. p. Godlewski, po ukończeniu szkół średnich, wstąpił w r. 1863 na wydział prawny b. Szkoły Głównej, którą ukończył w r. 1867 ze stopniem magistra prawa i administracyi po złożeniu i obronie rozprawy na temat „O przyczynach niepoczytania przestępstwa.“ Dla uzupełnienia studyów wyjechał następnie za granicę, słuchając wykładów ówczesnych znakomitości naukowych w Berlinie, Heidelbergu i Paryżu.

Po powrocie do kraju ś. p. Mścislław Godlewski, idąc w kierunku swoich upodobań, zamierzył poświęcić się sádownictwu i w tym celu rozpoczął aplikacyę. Reforma sądowa zastała go na stanowisku podsekretarza Izby sądowej warszawskiej. Wskutek tej reformy musiał też Godlewski niebawem opuścić obroną drogę i powrócić na zagon ziemi ojczystej. Od tej chwili zaczyna się jego działalność obywatelska na szerszem polu. Powołany w r. 1880 na stanowisko radcy Dyrekcyi Głównej T. K. Ziemskiego, a następnie zaszczycony mandatem radcy Komitetu tegoż Towarzystwa, pełnił te obowiązki gorliwie i z pożytkiem dla instytucyi aż do czasów ostatnich.

Nie przeszkadzało mu to jednak pracować jednocześnie na polu piśmienniczym, gdzie mógł w odpowiedni sposób zużytkować rozległą swoją wiedzę i wybitny talent publicystyczny.

Już w r. 1872 redagował Godlewski *Bibliotekę Umiejętności Prawnych*, kierując wydawnictwem przekładu słynnego dzieła Delsola p. t. „Zasady Kodeksu Napoleona.“ W r. 1876 ogłosił na podstawie źródeł archiwalnych „Zbiór prac przygotowawczych do ustaw hipotecznych, w Królestwie Polskiem obowiązujących.“ W tymże czasie nabył *Niwę*, łącznie z Henrykiem Sienkiewiczem

i Julianem Ochorowiczem, a stanąwszy na czele redakcyi, włożył wiele pracy w rozwój i podniesienie poziomu tego czasopisma, służącego od tej chwili interesom ziemiaństwa. W r. 1887 objął Godlewski redakcyę dziennika *Słowo*, którego do ostatnich momentów życia był głównym kierownikiem ideowym.

Zmarł przedwcześnie, strawiony pracą i chorobą. Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu parafialnym historycznych Racławic.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 16 b. m. odbyło się doroczne posiedzenie publiczne Akademii umiejętności w Krakowie, przeniesione z b. pałacu kasztelana Wężyka przy ulicy Sławkowskiej po raz pierwszy do pięknej auli *Colegii novi*.

W gronie przybyłych na doroczne święto Akademii dostojników i gości zasiedli: kardynał Puzyna, namiestnik dr. Bobrzyński, marszałek kraju Stanisław hr. Badeni, biskup Nowak, prezydent apelacji Hausner, delegat namiestnictwa Federowicz, prezydent miasta dr. Leo, dyr. policyi dr. Flatau, przedstawiciele różnych urzędów i t. d. Po obu stronach trybuny, krzesła „nieśmiertelnych“ zajęli członkowie Akademii miejscowi i zamiejscowi. W liczbie tych ostatnich przybył także autor dzieła o Syrenie i Ferrarze b. minister dr. Kazimierz Chłędowski, dalej ze Lwowa prof. dr. Kallenbach, dr. Kętrzyński, dr. Abraham, rektor dr. B. Dembiński i inni.

Posiedzenie zagał prezes Stanisław hr. Tarnowski, w imieniu protektora Akademii, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este, poczem w dłuższym przemówieniu poświęcił gorące słowa wspomnienia zmarłemu wieloletniemu wiceprotektorowi ś. p. Julianowi Dunajewskiemu. Życzliwą i pełną ciepła apostrofą powitał następnie prezes Akademii namiestnika dr. Bobrzyńskiego, podnosząc, że po raz pierwszy zdarza się, że czynny członek Akademii staje na stanowisku naczelnika władzy rządowej w kraju. Apostrofę tę zakończył hr. Tarnowski złożeniem namiestnikowi życzeń w imieniu Akademii. Ostatnie słowa przemówienia poświęcił prezes napiętnowaniu wyrazami grozy i oburzenia zbrodni, popełnionej na ś. p. namiestniku, Andrzeju Potockim.

Przechodząc do spraw bieżących Akademii, zaznaczył hr. Tarnowski, że podobnie jak w latach ubiegłych,* tak i w tym roku, zbierała Akademia dowody życzliwości i zainteresowania się kraju jej działalnością w postaci zapisów i fundacji.

Dochody Akademii wzrosły znacznie, a kilka zrealizowanych zapisów pomnożyło dochody poszczególnych wydziałów. Podniósł wreszcie mówca

wielkie potrzeby wydziału matematyczno-przyrodniczego, skrzępowanego w swej rozległej działalności brakiem środków.

Z kolei zabrał głos sekretarz generalny prof. dr. Bolesław Ulanowski i odczytał sprawozdanie z czynności administracyjnych i stanu funduszków Akademii, poprzedzone słowami czci i pamięci dla zmarłych w ciągu ostatniego roku członków Akademii ś. p. Dunajewskiego, Potkańskiego, H. Hoyera i Thomsona.

Następnie sekretarz odczytał nominację nowych członków Akademii. Mianowani zostali na wydziale filologicznym: członkami czynnymi krajowymi: ks. arcybiskup Józef Bilczewski, Leonard Lepszy, radca górniczy Jan Rozwadowski, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław Tomkowicz, konserwator.

Na wydziale historyczno-filozoficznym: członkiem czynnym zakrajowym Ludwik Pastor, dyrektor instytutu histor.-austr. w Rzymie i prof. uniwers. w Insbruku: korespondentami: Franciszek Ksawery Fierich, prof. uniw. Jagiell., ks. Władysław Chotkowski, prof. uniw. Jagiell.

Na wydziale matem.-przyrodniczym: korespondentem: Maryan Smoluchowski, prof. uniw. we Lwowie.

Nagrody akademickie z fundacyi ś. p. Probusa Barczewskiego komitet przyznał w sposób następujący: Nagrodę za dzieło naukowe: Stanisławowi Tarnowskiemu za 6-tomową „Historię literatury polskiej.“

Ponieważ jednak w myśl przyjętego zwyczaju prezes i sekretarz Akademii nie biorą udziału w konkursach, przeto prof. Tarnowski zrzekł się nagrody, którą komitet przysądził prof. dr. Stanisławowi Smolce za dzieło „Polityka Lubeckiego.“

Nagrodę malarską otrzymała artystka malarka Olga Boznańska.

Ogłoszone drukiem sprawozdanie generalnego sekretarza Akademii z czynności naukowych i rachy wydawniczego Akademii zaznacza znaczny wzrost agend naukowych Akademii na wszystkich trzech wydziałach.

Na zakończenie uroczystości rektor uniwersytetu lwowskiego, prof. dr. Dembiński, wygłosił odczyt p. t. „Szujski i jego synteza dziejów.“ Prelegent nakreślił na wstępie obraz rozwoju talentu dziejopisarskiego Józefa Szujskiego i podniósł, iż pracę jego, jako historyka, cechowała w badaniach dążność dotarcia do źródła prawdy. Następnie przedstawił rozwój literatury historycznej i nakreślił charakterystykę wybitnych dziejopisarzy, którzy na pracę Szujskiego jakiegokolwiek wpływu wywarli.

— JUBILEUSZ ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO. Dnia 12 maja b. r. obchodzono w Warszawie jubileusz Aleksandra Jabłonowskiego, którego prace historyczne, dotyczące przeszłości ziem ruskich Rzeczypospolitej, cieszą się uznaniem nie tylko wśród uczonych polskich, ale także rosyjskich i ruskich. Dobrym wyrazem tego uznania, był obchód jubileuszowy, na którym reprezentowane były niemal wszystkie naukowe instytucje polskie już to przez wysłanych specjalnych reprezentantów, już to przez nadesłanie odezw i zaszczytnych odznaczeń.

Uroczystość, odbytą w salach Bristolu, rozpoczął ks. Włodzimierz Czerwtyński pięknym przemówieniem, po którym p. I. K. Kochanowski odczytał adres zaopatrzony licznymi podpisami z różnych stron kraju nadesłanemi, następnie przedstawiciele różnych Towarzystw głos zabierali. Pierwszy przemówił p. Władysław Smoleński w imieniu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, z kolei: Prof. Ign. Baranowski w imieniu koła Dorpatczyków, p. Wł. Bogusławski od kasy Literackiej, p. Zygmunt Gloger od Towarzystwa Krajoznawczego, D-r Stanisław Kętrzyński od T-rzystw Historycznego Lwowskiego i Miłośników Historii w Warszawie, Adam hr. Krasieński od Towarzystwa opieki nad Zabytkami, p. Męczkowski od T-wa Kultury Polskiej, p. Mościcki od T-wa Naukowego Wileńskiego. Przy tych mowach złożono jubilatowi dyplomy na członkostwo honorowe: od Towarzystwa Historycznego we Lwowie. T-wa Miłośników Historii w Warszawie, T-wa Naukowego Wileńskiego, T-wa Nestora w Kijowie. Pozatem odczytano odezwy od Akademii Umiejętności, Uniwersytetów: Krakowskiego, Lwowskiego i Pragskiego, Klubu historycznego w Pradze, T-wa Heraldycznego we Lwowie, T-wa Miłośników Krakowa, T-wa Miłośników Lwowa, T-wa Historycznego w Rydze, T-wa Szewczenki we Lwowie oraz od wszystkich Archiwów i Bibliotek na ziemiach polskich, a także piękny list od prof. Tadeusza Korzona. Ponadto nadeszła wielka ilość depešz od wielbicieli jubilata z jego stron rodzinnych z Podola i Ukrainy.— Mieszkańcy tamtych stron umyślili uczcić jubilata przez złożenie funduszu jego imienia dla popierania prac naukowych o Rusi. Składki zaczęto już zbierać, jak to „Dziennik Kijowski“ ogłasza.

— BIBLIOTEKA ORDYNACJI HR. KRASIŃSKICH. Z całego szeregu rzadkich druków i rękopisów, nabytych do zbiorów biblioteki w ciągu ostatniego miesiąca, wymienić należy:

1) Rękopis XIV w. pergaminowy (8-o, k. 322 w dwie kolumny po 39, 40 wierszy) pisany kilku rękami, z których dwie wybitnie się wyróżnia (1-sza k. 1—84, 2-ga 85—312). Rękopis zachowany nieźle, brak mu tylko paru kart na początku i w końcu. Zawiera od k. 1—312, *Jakóba de Voragine Legenda aurea*, dzieło wielokrotnie przedrukowane w XV i XVI w., obejmujące żywoty świętych, ułożone w porządku kalendarza. Przy żywocie św. Pelagiusza znajduje się kronika Longobardska (k. 289 v. 298) doprowadzona do r. 1247, kończąca się słowami: *Innocentius IV natione Januensis concilium apud Lugdunum convocans ipsum imperatorem deposuit, quo deposito et defuncto sedes imperii usque hodie vacat.* Po tej kronice następuje traktat „de dedicatione ecclesiae“, w którym brak jednego arkusza, następują potem żywoty opuszczone w Legendzie, a na k. 312-ej kończy się całość słowami: „*Exlicit liber Passionalis novus*“, poczem na tejże karcie zaczyna się legenda o św. Wojciechu, od słów: *De Sancto Adalberto*. In partibus Germanie locus est opibus locuples... Tak samo rozpoczyna znany żywot Kanaparyusza, przy porównaniu jednak bliższym okazuje się, że podana tu legenda jest komplikacją z żywotów Kanaparyusza i Brunona, ułożona na początku XIV w. i zawierająca całe ustępy żywcem z Brunona wzięte. W końcu legendy dołączone są „*Miracula S-ti*

Adalberti," które przy porównaniu z wydaniem D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego „Monumenta Pol.“ IV, 221, wykazują najbliższe pokrewieństwo z dwoma najdawniejszymi rękopisami tychże cudów, znajdującymi się w Monachium i w Gdańsku, z tą jednak różnicą, że rękopis nasz niema tych błędów, jakie posiadają oba te rękopisy zagraniczne. Jest więc tekst w niniejszym rękopisie zawarty najdawniejszym, jaki jest w Polsce i najbardziej poprawnym. Po żywocie i cudach św. Wojciecha następuje fragment z *Vita Maior S-ti Stanislai*, napisanego w latach 1260—1264 przez dominikanina, Wincentego z Kielc, a wydane krytycznie przez D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego w „Mon. Pol.“ T. IV, str. 362—438. Fragment ten zawiera z części I-ej rozdziały 5 do 14 i z części II-ej rozdziały 1 i 2. D. c. brak przez wydarcie ostatnich kart rękopisu. Porównanie z wariantami, uwzględnionemi w wydaniu powyższem, wskazuje, że tekst nasz należy do pierwszej najdawniejszej familii rękopisów tego żywota.

2) Rps. XVI w. pergaminowy, k. 12 in 8-o, zawiera: „Statuta ecclesiae collegiatae Sanctae Mariae Kielcensis," wydane przez biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego, w 1523 r. 30/VIII. W końcu znajdują się dopiski kronikarskie z 1531 r.

3) Rps. XVI w. papierowy. Księga t. zw. „języczek," zawierająca akta ławnicze kieleckie od 9/III 1551 r. do 1608 14/III (k. 136).

4) Rps. XVII w. Fol. str. 424. „Acta et Statuta Capituli ecclesiae Collegiatae Pilecensis" 1642—1815, w oprawie XVII w.

5) Rps. „Jura et privilegia ecclesiae Kozłowiensis," 1754. Fol. k. 60.

6) Rps. „Erectio ecclesiae Kozłowiensis," 1616—1687. Fol. k. 55.

7) Rps. „Traité du Cérémonial de la cour de France" z początku XVIII w., k. 90, 4-to.

Z książek wymienimy tylko sztychowaną książeczkę do nabożeństwa, należącą niegdyś do króla Stanisława Leszczyńskiego i dzieło Jana Stobnicy „Introductio in Ptolomei Cosmographiam" wydanie 1519 r., stanowiące dziś wielką rzadkość i zawierające jeden z najdawniejszych opisów Ameryki.

Fr. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— EKONOMISTA. Tom I, zesz. I. Dr. Z. Daszyńska-Golińska: Z badań nad zagadnieniem ludności;—J. Gościcki: Rolnictwo, polityka agrarna i samorząd w Anglii;—J. Kaczkowski: Tow. akc. w państwie rosyjskiem, studjum prawnno-ekonomiczne;—H. Radziszewski: Projekt podatku od dochodu w Rosyi;—C. Łagiewski: Rozwój banków akcyjnych w Królestwie Polskiem;—Kronika ekonomiczna;—Kronika finansowa;—Kronika współdzielcza;—Rozbiory i sprawozdania;—Polemika;—Przegląd czasopism;—Bibliografia.

— KOSMOS. Zesz. 1—3. Dr. Jan Tur: Studya nad teratogenią ptaków, z 10 rys. w tekście;—Dr. W. Rogala: Sprawozdanie z badań geologicznych wzdłuż kolei Lwów-Podhajce, z 6 rys.;—Prof. A. Łomnicki: Wykrycie mamuta (*Elephas primigenius* Blumb) i nosorożca dyluwialnego (*Rhinoceros antiquitatis* Blumb) w Staruni;—Tenże: Mięczaki ilu pleistocenińskiego, wydobyte ze sztybu mamutowego w Staruni;—Dr. E. Romer: Próba statystyki literatury fizyograficznej ziem polskich za lata 1891—1905;—Prof. A. Łomnicki: Chrząszcze nowe

dla fauny galicyjskiej;—Józef Dziedzielewicz: Zapiski faunistyczne ze wschodnich Karpat;—Tenże: Notatka naukowa;—Protokół XXXVII walnego zgromadzenia Tow. imienia Kopernika;—Sprawozdania i oceny przez A. Rehmana, E. Romera, S. Kreutza, W. Rogalę, W. Schreibera, W. Hubera, J. Rychlickiego, B. Duchowicza, K. Klinga;—IX międzynarodowy kongres geografów;—Z Tow. Przyjaciół Nauk;—Akt fundacyjny nagrody konkursowej im. Prof. Dr. B. Dybowskiego;—Uchwała wydz. mat.-przyrodniczego Ak. Um. w Krakowie;—Od redakcyi Dziennika X zjazdu lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie.

— KRYTYKA. Kwiecień, 1908. (f): Błogosławieni... pokój czy niepokój czyniący?—Jadwiga Marcinowska: Wzgórze Kronosa;—Dr. Bol. Limanowski: Naród, państwo i międzynarodowość;—Manfred Kridl: „Mickiewicz“ Artura Górskiego;—Antoni Szech: Z „zabaw“ warszawskich;—M. Zabojecka: Posłubienicy buntu;—Feliks Gwiżdż: Ucieczka. Droga tęsknoty;—Dr. H. Biegeleisen: Aryanie polscy;—Iza Moszczeńska: W kwestyi miłości;—St. Lack: Budowa tragedyi;—Przegląd prasy polskiej i obcej;—Lux: Ruch wolnej myśli;—H. Orsza: Ze spraw wychowawczych;—M. Szukiewicz: Jeszcze kilka uwag o sztuce krakowskiej;—Argus: Z myśli heretyckich o polityce galicyjskiej;—Geniusz a społeczeństwo;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— LUD, organ Tow. ludoznawczego, zeszyt IV. Tadeusz Smoleński: Lud górno-egipski;—Józef Sulisz: Tyrawa Solna; przyczynek do historii prawa niemieckiego w Polsce;—Stanisław Wasylewski: W sprawie wampiryzmu;—Helena Windakiewiczowa: Wiersze Olbrychta Karmanowskiego, Jerzego Schlichtinga i inne z „Wirydarza Poetyckiego“, zachowane w tradycyi ustnej; materiały i poszukiwania;—Józef Stokłosa: Zabawy młodzieży męskiej w Jurgowie na Spiżu (z 2 ilustracyami);—Franciszek Gawętek: Wesele „staroświeckie“ w Radłowie (powiat brzeski);—Stanisław Czyżewicz: Wiązanka wierzeń i przesądów ludu z okolic Buczkowa i Okulic; tudzież Mokrzyski-Bucza;—Kazimierz Kaczmarczyk: Przyczynki do wiary w czary;—M. R. Witanowski: Ze starego manuskryptu;—Józef Schnaider: Jeszcze o Huculach tatarowskich;—Krytyka i sprawozdania przez Mieczysława Tretera, D-ra Michała Janika;—Nekrologia;—Sprawy Towarzystwa.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, pod redakcyą Tadeusza Piniego. (We Lwowie. Nakładem Tow. literackiego im. A. Mickiewicza.) 1907. Rocznic VI, zeszyt IV. I. Rozprawy. Jan Gwałbert Pawlikowski: Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego;—Ludwik Bernacki: Źródła niektórych komedyi Fr. Zabłockiego;—Maryan Zdziechowski: Filozofia Krasińskiego;—Władysław Źwik: Miłojaj Sęp Szarzyński. Żywot i dzieła. — II. Notatki. Aleksander Brückner: Uwagi i dodatki;—Stanisław Dobrzycki: „Zwrocenie Matyasza z Podola“ w literaturze ludowej;—Leszek Marya Dziama: Dwie „Fortuny“;—Ludwik Bernacki: Urywek dziennika Ignacego Kasickiego;—Feliks Przyjemski: Kilka nieznanych dokumentów, odnoszących się do Mickiewicza;—Zdzisław Jachimecki: Karol Loewe, jako twórca muzyki do ballad A. Mickiewicza;—Władysław Janowski: Do genezy „Pana Tadeusza“;—Tadeusz Dąbrowski: „Samuel Zborow-

ski" a „Beniowski;" — Konstanty Wojciechowski: Towiańczycy między sobą; — Ks. Kazimierz Miaskowski: Z teki bibliograficznej; Kazimierz Jarecki: Motyw „Miłości i śmierci" w poezji polskiej; — Wiktor Hahn: Karol Libelt, jako krytyk literacki; — Ludwik Bernacki: Nieznana praca Jana z Koszyczek; — Aleksander Brückner: Kto jest autorem „Proteusa albo Odmienca;" — Ks. Ludwik Zalewski: Kto jest autorem artykułu o poezji, zawartym w „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości" r. 1781; — A. M. Kurpiel: Prawa ręka Ks. Biskupa warmińskiego; — Konstanty Wojciechowski: Utopia i satyra w ks. Krajewskiego „Wojciechu Zdarzyńskim" a Swifta „Podróże Guliwera." — III. Materyały. Feliks Przyjemski: Nieznany wiersz T. Zana; — Józef Zaleski: Niedrukowany wiersz Teofila Lenartowicza; Tadeusz Pini: Z pośmiertnych utworów C. Norwida I. Duch Adama i skandal. II. Obyczaje. III. Fragment przekładu „Hamleta;" — Karol Badecki: Pierwsze wydanie „Pamiętki Jana z Tęczyna" J. Kochanowskiego; — Jan Gwalbert Pawlikowski: Nieznany rękopis Słowackiego; — Kazimierz Woźnicki: Z niewydanych pism S. Goszczyńskiego; — Tadeusz Pini: Autobiografia Karola Brzozowskiego; — Roman Pleniewicz: Dwa dyalogi pułtuskie; — Ks. Kazimierz Miaskowski: Dyplom promocji Klemensa Janickiego na doktora filozofii i poetę uwiecznionego. — IV. Recenzje i sprawozdania. (Alfabetyczny spis omówionych książek i rozpraw poniżej). — V. Polemika. T. Wiśniowiecki przeciw M. Mannowi. Odpowiedź M. Manna. — VI. Nekrologia. Stanisław Wyspiański (dodatek do zeszytu IV). — VII. Bibliografia. Bibliografia krytyczna czasopism polskich za rok 1905 zestawił Stefan Vrtel (w dodatkach z osobną paginacją 1—80).

— PRZEGLĄD BIBLIOTECZNY. Czasopismo ilustrowane, poświęcone bibliotekoznawstwu, bibliotekarstwu i bibliografii. Wydawane przez Towarzystwo biblioteki publicznej w Warszawie pod redakcją Stefana Dembego. Tom I. 1908. Zeszyt I (z 6 rysunkami). St. Leszczyński: Towarzystwo biblioteki publicznej w Warszawie; — Ustawa Towarzystwa biblioteki publicznej w Warszawie; — St. Krzemiński: Książka i księgozbiór; — Zebranie organizacyjne Towarzystwa biblioteki publicznej w Warszawie; — Czytelnia naukowa (wspomnienie); — Dr. J. Bieliński: Biblioteka królewskiego Uniwersytetu warszawskiego (1817—1831); — L. Krzywicki: Biblioteki w klasztorach; — Krytyka; — Kronika; — Bibliografia; — Z archiwum Towarzystwa biblioteki publicznej w Warszawie; — Lista członków Towarzystwa biblioteki publicznej w Warszawie; — Dary na rzecz Biblioteki publicznej w Warszawie.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Towarzystwo miłośników historii w Warszawie pod redakcją J. K. Kochanowskiego, przy udziale komitetu, do którego należą: Br. Chlebowski, Ign. Chrzanowski, Al. Jabłonowski, St. Kętrzyński, Al. Kraushar, Fr. Pułaski, Wł. Smoleński. Tom VI. Zeszyt I (styczeń—luty). 1908. L. Gumplowicz: Istota rozwoju dziejowego ludzkości; — Roman Pleniewicz: Opactwo cysterskie w Wąchocku; — Antoni Prohaska: Z dziejów samorządu ziemi chełmskiej; — Ludwik Boratyński: Stefan Batory, Hanza i powstanie Niderlandów; — M. Sokolnicki: Józef i Tadeusz Mostowscy i działalność polityczna Polski w r. 1792—1797; — Ks. Michał Godlewski: Ostatnie pragnienie Stanisława Sierstrzeńciewicza

Bohusza;—Witold Kamieniecki: Przegląd literatury historycznej węgierskiej;—Edward Bogusławski: Słowiańskie starożytności Niederlego w świetle teorii autochtonistycznej;—Sprawozdanie: 1. M. Handelsman: J. K. Kochanowski. Księgi sądowe brzesko-kujawskie 1418–1424. Teki A. Pawińskiego t. VII, 1905;—Kazimierz Marcinkowski: Inwentarz zamku warszawskiego, sporządzony w r. 1769 (d. c.);—Fr. Giedroyc: Wodociągi i kanalizacje miejskie (z dziejów higieny w dawnej Polsce—c. d.);—Kronika zarządu Tow. mił. hist. w Warszawie. Rok 1907.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Rocznik IV. Tom I. Marzec, 1908. K. J. K.: Program Wielkopolanina;—Henryk Wielowieyski: Społeczeństwo polskie na Rusi Halickiej i jego położenie polityczne w obecnej chwili;—Dr. Zygmunt Stefański: Ze spraw Bułgarii współczesnej;—Franciszek Rawita Gawroński: Droga do niewoli. Ustęp z dziejów kozacko-polskich zatargów, II (dok.);—Sergiusz Szarapow o zjeździe słowiańskim i sprawie polskiej;—Przegląd prasy słowiańskiej: Z prądu rosyjskiego w Galicyi: „Równi z równymi,” z prasy ruskiej, rosyjskiej, czeskiej, słowackiej, słowieńskiej, chorwackiej, serbskiej, Bośni i Hercegowiny, Czarnogóry, bułgarskiej, ze Starej Serbii i Macedonii;—Kronika.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BOUGAND, KS. BISKUP: Chryścianizm i czasy obecne. Księga czwarta. Kościół. Tłomaczenie z francuskiego J. Bitnerowej. Warszawa, 1906. Wydawnictwo księgarni Nakładowej M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 308.

DZIESIĘCIOLECIE PRZEGLĄDU FILOZOFICZNEGO. Spis autorów i szczegółowy indeks treści, zawartej w 10 rocznikach. Warszawa, 1908. 8-o, str. XCIV.

MAJEWSKI ERAZM: Nauka o cywilizacyi. Prolegomena i podstawy do filozofii dziejów i socyologii. Warszawa, 1908. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. VII + 332.

MANZONI ROBERT, D-R: Kapłan w dziejach ludzkości. Przetłóm. Jerwicz. Warszawa, 1908. Wyd. „Pol. Ligi Wolnej Myśli” Sekcyi Parysk. Skł. gł. przy wyd. St. Kucharskiego. Firma T. Paprocki i S-ka. Bibl. Wolnej Myśli № 3. 8-o, str. 77.

MARKIEWICZ BR., KS.: Najcięższe przestępstwa kościelne i kara za nie. Miejsce Piastowe. Krosno, 1908. Nakł. Tow. „Powściągliwość i Praca.” Odbitka z № 12 „Powściągliwość i Praca,” 1906 r. 8-o, form. mały, str. 24.

PACIORKIEWICZ M.: Kościół a cywilizacya. Odczyt, wygłoszony na uroczystym wieczorze ku uczczeniu jubileuszu Ojca św. Piusa X w Tarnowie d. 31 marca 1908. Tarnów, 1908. Nakład autora. Księg. Z. Jelenia. 8-o, str. 22.

TEODOROWICZ, ARCYBISKUP Ks. J. E.: Dwie mowy do robotników, ogłoszone przez... dnia 22 czerwca 1907 r. i 24 marca 1908 w kościele Matki Boskiej Pocieszenia w Warszawie (podane w streszczeniu). Warszawa, 1908. Nakładem „Kroniki Rodzinnej.” 8-o, str. 31.

TRZCIŃSKI TADEUSZ, Ks. D-R: Praca społeczna częścią duszpasterstwa. Wykład, mianw na kursie społecznym w Poznaniu d 25 listopada 1907. Poznań, 1908. Nakład księgarni św. Wojciecha. 8-o, str. 19.

WILDE OSKAR: Dusza człowieka w epoce socjalizmu. Tłum. Z angielskiego L. B. Lwów, 1908. Pol. Tow. nakładowe, księg. Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, form. mały, str. 85.

H I S T O R Y A.

DĄBROWSKI JÓZEF: Dzieje Polski w streszczeniu, z 12 mapami. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o, str. VIII i 468.

FALKOWSKI JULIUSZ: Wspomnienia z roku 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Gruźewskiego. Część III. Warszawa, 1908. Bibl. Dz. Wyb. № 533. 8-o, str. 141.

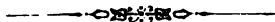
GOLLENHOFER JÓZEF: Rewolucja krakowska 1848 roku. Z ilustracjami. Kraków, 1908. Nakład Tow. Miłośników historii i zabytków Krakowa. „Biblioteka krakowska.” № 38. 8-o, str. 108.

MIELŻYŃSKI MACIEJ, Hr.: Wyprawa na Litwę, opowiedziana według zapisków... Kraków, 1908. Księg. Spółki Wyd. Pol. 8-o str. 68.

OFFMAŃSKI MIECZYŚLAW: Królestwo Polskie (1815 — 1830). Rys historyczny z tablicami statystycznymi. Skreślił... Warszawa, 1907. Wydawn. M. Arcta. 8-o, str. 156.

ORSZA HELENA: Z dziejów narodu. Wypisy ze źródeł i streszczenia z opracowań historycznych. Tom I. Z 36 rysunkami w tekście. Warszawa, 1908. Wydawnictwo M. Arcta. Str. XVIII i 474.

PULASKI FRANCISZEK: Źródła do poselstwa Jana Gnińskiego, wojewody chełmińskiego do Turcyi w latach 1677—1678. Wydał i przedmową poprzedził... 12 reprodukcji w tekście. Warszawa, 1907. Skł gł w antykw. Wildera. 8-o, form. duży, str. XXXIV + 509.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Pan Balcer w Brazylii.

VII.

Słyszałem ja raz, jako zbój niektóry
Do piekła patrzeć szedł, co go też czeka,
Iż stanął sobą wprzeczną całej natury,
I obliczności prawie zbył człowieka.
Ten ujrzał w piekle okrutne tortury,
I słyszał, jak czart imię jego szczeka
Na cztery wichry, i jak walał młoty,
Na ściel mu kując noże i brzeszczoty.

Alić mam za to, że nie sroższe męki
Mógł ów oglądać w piekielnej otchłani,
I że ten powrzask czartowskiej paszczęki
Ani bluźnierczy tak być nie mógł, ani
Tak rozpaczliwy, jak krzyki i jęki,
Które tam były z tej strasznej przystani,
Gdzie morze prawie krwią i łzami ściekło.
I—wiera—tam to było żywe piekło!

.

Szerokie ujście obsiadując rzeki,
Obozowały ludów różnych kupy.
Dzieci we wrzodach całe i kaleki,
Niewiasty, jako bożej męki słupy,
Łazarze, którym jedna śmierć ma leki,
Grobem ziejące, nawpół zgniłe trupy,
Zapowietrzzone z nędzy i z choroby,
Których psi nawet nie chcą lizać Hioby.

Ledwo ujrzeni nas, już każdy woła:
Jeść. Sterczą ku nam ręce, jak piszczele,
Rwą się piskliwe głosy dookoła,
Huczą klątwami zachrypłe gardziele.
W największy odpust, pod progiem kościoła,
Nie ujrysz dziadów takich, ni tak wiele,
Zwierz nawet dziki nie węszy za padłem
Z takim skowytom strasznym. Zaraz zgadłem,

Że tam nie było naszych w onej kupie.
Jakoż, nie było. Słowaki, Wołochy,
Żydy, Cygany, takie-ta przekupie,
Taki-ta naród powłóczny i płochy,
Co od jak żywa nie siedzi w chałupie,
Tylko światami roztrząsa patrochy.
A gdzie dom temu, osiadłość i droga,
Nie zapisane zostało u Boga.

Więc tak to poniósł wiatr, jak letkie plewy,
I w stertę zsypał nad tym oceanem.
I przylatały ku nim chmura mewy,
Krzyżąc nad onem jadłem wyżebranem,
I długo słysząc było one gniewy
Morskiego ptactwa, na powietrzu szklanem,
I powrzask dzieci, co nagie i sine
Brodzą w pas, łowiąc wszelką szkarłupinę.

Tuż zaraz wrzały muzyką gospody.
Przez drzwi wywarte widać ławy, stoły,
Kręcą się w tańcu te morskie narody,
Stracone dziewczki, pijane pachyły.
Huczą niechlujne śpiewy, cieką miody,
Ci za łby idą, ci chwycą się w poły,
Krzyk, klątwy, śmiechy, pisk—jakby kłut wieprza,
I prawda! Cała ta gawiedź nie lepsza.

Na mały czas tu przybija do brzegu
Okręt z dróg morskich. Tak wnet ta załoga,
Upragła życia, z pokładów wybiega,
A do gospody najprostsza jej droga.

Wnet ją muzyka, wnet flasza podżęga,
Pije to, hula, i z proga do proga
Wali się kupą rozpustną, gdzie wiecha,
Iż morze—długie, a krótka—uciecha.

Nierządko huknie strzał z tego mrowiska,
Nierządko trupa wyniosą cichaczem
I strącą w one przybrzeżne skaliska,
Gdzie morze wiecznym zanosi się płaczem.
Zapluśnie fala, pian buchną kłębiska,
I—kamień w wodę—nie wróci się! Zaczem
One ugaśe w rozchmieleniu dusze
Jęczą po nocach w morskiej zawierusze.

Idziem tak, aż tu wylata z za węgła
Dziewczyca, wrzeszcząc: O reta! O reta!...
Pojrzę ja—może lat piętnastu sięgła,
Może nie. Ledwo podnosi gorseta
Pierś, jak turkawka, co dziś się wylęgła.
— Stój!—wołam. Czeka! Co ci? Ale gdzie!
Leci a wrzeszczy: Tatuńcio przedali!
A za nią kupa hultajstwa się wali.

Więc, iż nie było do utraty chwili,
Tak krzyknę naszym: Zastąpić od wody!
Nie dać do morza! Tak zaraz skoczyli
Młodzi z hultajstwem owem na wyprzody,
Jużci macnęli się tam i pobili...
A ja z Bugajem dalej do gospody:
— Jak? Co?... I prawda!... Ociec ją rodzony
Na rozpust sprzedał dziś za trzy korony.

Tak my dobyli grosza: Na tu! Naści
Judaszu swoją przeklętą zapłatę!
Zryj, pij, i niech cię dyabeł smołą maści...
A na dokładkę i na pierwszą ratę—
Masz! — Tum go gruchnął w pysk, z onej napaści
Gniewu, nie wiedząc sobie rady. A tę
Dziewczycę bierzem! Tak się zwinął,
Pieniądze zgarnął i w alkierz wychynął.

A my też wyszli. Wrzała jeszcze kupa
Związana bitką z owemi krzeczoty.
Już jeden zadem na mieliznę chlupa,
Już drugi leci, jak kamień, pod płoty,
A choć nie było między nimi trupa,
Popuchły naszym pięście od roboty,
Iż guzów, sińców nabili niemało,
Póki się toto na nogach trzymało.

Lecz baby między się już wzięły dziewczkę,
Iż się to trzęsło całe, by ptak w kłeci.
Ponarzadzały na niej przyodziewkę
Zszarpaną, że to nagie ciało świeci...
Już i zgadały się, że starszą, Jewkę,
Ociec żołnierzom sprzedał, będzie trzeci
Dzień, a ją tutaj, dzisiaj, przed godziną...
Tak sama gęba nabrała mi śliną.

Tfu, Polsko moja! Shańbiłaś się!—splunę.
A takim żalem i wstydem mnie sparło,
Jakby mi z serca kto żyłę, jak strunę
Jęczącą we krwi wyciągał przez garło.
Jakże nie zwrócę łba. Jakże nie runę
W to bydło, co się za nami wywarło...
Jezu ty Chryste! Waliłem, jak młotem,
Aż się to w piachu zaryło pokotem.

Takem odsapnął, i oną prawicę,
Com ją w młot zwinął, otarłem na sucho,
Iżem miał, jakby krwawą rękawicę,
Tak to plugastwo popuściło juchą.
A że mnie jeszcze gniew trzymał za grdycę,
I żał wył we mnie srogą zawieruchą,
Tak zdjąłem czapę, i ofiarę z owych
Czyniłem do nóg Pana Jezusowych.

A niebo pełne przestronności było,
Jak gołębiowe piersia, tak mieniące
Modrością tłało i blaskiem się skrzyżyło,
Iż w złotobarwne pióra wiało słońce,

Tak we mnie ustał gwałt, pod oną siłą
Cichości bożej, i tętna kipiące,
A chciałem jeszcze, jak żbik sapał srodze,
Reszta się gniewu rozeszła po drodze.

Tak szlimy prędkim i burzliwym krokiem,
Iż fukał jeszcze parą, jaki taki.
Jeszcze Zatrata krwawem toczy okiem,
Jeszcze Kos garście zaciska w kułaki,
Kiedy nad morzem cichem i szerokim
Krażyć zaczęły wielgoskrzydłe ptaki,
Które się w słońcu zachodowem nurzą,
Wrzaskliwe wiece trzymając przed burzą.

Wtem pojrzę znagła. Czy w oczach się dwoi?...
Na progu, białym opasan fartuchem,
W białej szlafmicy na łbie—Opacz stoi
I pobrzękuje złocistym łańcuchem.
Poznał. Tak krzyknie z impetu: — A moi!...
Ale wnet urwał i wydał się brzuchem
Widząc odartość naszą. A iż mnie się
Chwycił śmiech, rzekę: — Cóż słyszać w Odesie?

Trząchliśmy ręce. A wtem Bugaj trzosa
Obrócił. Dźwiękło od srebra i złota.
Tak zaraz Opacz zmalal, spuścił nosa,
I sterczącego przywściągnął żywota.
Nuż ścisnąć Rocha, obłapiać nuż Kosa,
Nuż kłaniać, prosić za sobą we wrota,
Gdzie znak gospodni świecił: „Pod Matrozem“
I Miś tańczący, u szyi z powrozem.

Nuż rozpowiadać, jak szpital ów cały
Wymarł, jak o to sam nawet był w śledztwie,
Jak komisary po kotłach wachały
I nie znalazły nic, (co ma w świadectwie).
Jako dwie panny za męża go chciały,
Co szynk tu właśnie otwarły w sąsiedztwie,
I jak—choć mu się wiedzie w interesie,
Zawsze to nie to, co było w Odesie.

Mówił, przez zęby pluł, trząchał ramiony
Z przywyczki, bowiem nie miał już szynela.
— Tak coś mi panny? Tak na coś mnie żony,
Jak ja swojego pilnuję artiola...
Wracać? Tak po co, brat moj, gdy zniesiony
Wojenny Flot nasz, od nieprzyjaciela
Japonca, co się—taki syn—zbuntował
Przeciw naczalstwu i wsio eksplodował.

A w tem rozrzewnił się: — Mnie żałko, braty,
Że w taką drogę ot, wy się puścili!
Tak ja wam zaraz stakańczyk arbaty
Z rumem... Gotowo stanie w jednej chwili...
U mnie za jedno—ubogi, bogaty...
A toż ziemiaki wy! My razem żyli
W korablu! A i pośle takóž—w lesie...
A żał, co ze mną nie byli w Odesie!

Nagle się zwrócił do mnie: — Wy widzieli
Magiera? Onże popadł tu w pisarze.
Tak i zachodzi do mnie przy niedzieli,
A pisze listy, prośby, co kto każe...
Tak Żdżara przeciw. Czort, to ich rozdzieli,
To znowu zetknie ich rogami. Taże
Dawnoby który wisiał na powrozie,
Tyle, że jeden zawsze siedzi w kozie,

To się nie mogą sięgnąć! — Buchnął wrzawą,
Śmiech, aż pod pułap, gdzie para szła z szklanek.
A my, jak siedli u stołów, tak ławą,
Gwarząc, przetrwali noc. Już szarzał ranek,
Sinej modrości bijący kurzawą
W okna gospody, gdy wyszli my w ganek,
Gdzie Opacz pilno wyliczał rachunek:
Osobno nocleg, osobno częstunek.

A rozświt złotniał coraz. Już na wschodzie
Zakwitły zorze różanością bladą,
Na morskich wyżach chybały się łodzie,
Z których rybacy nocą obierz kładą,

A mały wiaterek chodził se po wodzie
I poruchiwał fal drobnych gromad,
Iż ono morze, w dwie strony wahane,
Raz złote widzi się, a raz—rumiane.

Nagle przyrosło wiatru. Machnął pióry,
Jękała przeciągle fala ciemniejąca,
Ugasły one złotobrzeżne chmury,
Co wyszły świecić sobą przeciw słońca.
Wrzały rybitwy, chlusnęły się nury,
I wpięrowo niż słowo przerzeczysz do końca,
Różany rozblask i zorze na wschodzie
Zażeleźniały i skryły się w wodzie.

Gruchnęło gdzieś raz, gruchnęło drugi,
Zawarczał tętent rozciągły, daleki,
A morzem, jakby przeoranem w pługi,
Jęły się walić rozburzone ciekły.
Zawrzało w chmurach, zasrebrniały strugi
Dżdżu, z głośnym szumem, jak wezbrane rzeki,
A choć nawałność burzy poszła stroną,
Dzień nastał słotny i z twarzą zgaszoną.

Ale za nami, od samej gospody
Szedł człek z szlachecka odzian. Spuścił głowę,
A nie znać było czy stary, czy młody,
Tak miał zniszczone lico i surowe.
Co przyfolgujem kroku, on też chodź
Zawściaga. Widzę, chce z nami w rozmowę.
Takem przyzostał nieco za gromadą,
A on wzrok na mnie podniósł i twarz bladą.

— Pochwalon!—rzekę. — Na wieki, na wieki!
Podszedł skwapliwie. — A ja już waćpana
I z tą kompanią widziałem u rzeki,
A potem znowu u tego kapcana
Pod Materozem. Ja jestem daleki...
(Tu głos mu zatrzęsł się, jak szyba szklana).
— Daleki jestem człowiek... Nie wiem prawie,
Skąd idę, dokąd, po co, w jakiej sprawie,

Ot, tak się tułam. — My ta nie bogaci —
Rzekę—bom myślał, że chce zapomogi.
Lecz on czempredzej: — Nie, nie! Niech Bóg płaci!
Nie chcę! Nietrzeba nic... Mam dość na drogi.
Tak oto ciągnie do swoich, do braci!
— To czegoż—przerwę—aż tu waść, za progi
Szedłeś nas szukać? Toć my tam noc całą
Siedzieli. A ów: — Boby się wydało.

A co mam gadać, że jestem Polakiem,
Kiedy mnie karczmarz zna, jak pijanicę...
Czy ja tu żołnierz pod ojczyzny znakiem?
Czy ja tę polską ziemię tu zaszczycę?
Z szynku do szynku chodzę, ładajakiem
Wińskim się truję i brząkam w szklenicę,
Tak co ma Polska świecić tu oczami
Za syna, co się takim życiem plami?

Czy dasz Waść wiarę—ja nawet sam sobie
Żem Polak—rzadko mówić się ośmielę...
Chyba że z flaszą—na dzień—rozwód zrobię,
Albo koszulę przewlokę w niedzielę,
A wicher morski gardziel mi wyskrobie,
Ale do tego niewiele... niewiele...
Co waść chcesz? Nałóg! Niezawsze się uda.
A to wiedz o mnie, że zwę się Zabuda.

Co, tego? Bo to inszy ma nazwisko,
Co mu pasuje, jak garbus do ściany.
A zaś Zabuda, widzisz waść, tak blisko
Stoi mnie, że czym trzeźwy, czy pijany,
Czyli się śmieję, czy w oczach mrowisko
Mam łez—my jedno! Ten bezojczyźniany
Zabuda—„zabuł“, zapomniął wszystkiego...
I sam jest niczyj, i nikt nie jest—jego.

Przymilknał. Tak chcę ja przerzec co nieco,
Kiedy mi mowę znowu przebił nagle.
— Widzisz waść ptaki te, co chmurą lecą?
Widzisz waść łodzie pędzone i żagle?.

(A tu mu oczy srebrzyście zaświecą,
A słowa prą się żarliwie, upragle).
— One coś swego mają... Jakiś biały
Dom życia. One go nie zapomniały!

Słuchaj waść! Może ujrzysz gdzie zdaleka
Włóczęgę, co tam kiedyś w dniach młodości,
Tak samo, jak wy, miał serce człowieka,
A teraz—wszystkim obcy—psu zazdrości,
Bo pies, gdy swoje rzemiosło odszczeka
I poobgryza rzucone mu kości,
To wie, że psem jest, i wie, gdzie mu buda...
Jak spotkasz go waść, to będzie—Zabuda.

A jeśli młodość jemu poszła krzywo,
Marnie—że tylko na tę żerdź do płota,
Jeśli pod gwiazdą wzrosłszy nieszczęśliwą,
Porwał się rozbić ją zamachem młota,
Jeśli się rzucił w jakowe rzeziwo,
Jeżeli sięgnął czyjego żywota,
Gdy go serdeczna skusiła ułuda,
To, widzisz wasze, też będzie—Zabuda.

A potem zniknie ci na długie lata...
Aż kiedyś ujrzysz go w inszej postaci,
Gdzieś pod Uralem... Wiesz waść? Koniec świata.
Wielki pan. Bogacz! Długi swoje płaci.
Łeb ogolony wpół, przez pleco łąta—
A tak do taczki przyrośł, jak do maci...
Nad nim nahajki świst, a pod nim ruda
Ołowiu srebrzy... To także Zabuda!

A gdybyś, wasze, znów spotkał człowieka...
Nie! Gdybyś spotkał zwierza w ciemnym lesie,
Jako się kryje, czai, jak ucieka,
Jako przez tajgę zaroszczoną drze się,
Jak go nakrywa sobą wielka rzeka,
Jak go pień cedru na ocean niesie,
Na ląd, i jak go odtąd truje nuda
Z gorzałką razem, to będzie—Zabuda.

Ha... ha... ha... Zabuł! Zapomniał! — Milczałem.
 Co miałem gadać, gdym wszystko już wiedział.
 A on też przycichł, pod onym nawalem
 Spowiedzi, co ja—chcąc nie chcąc—spowiedział.
 Tak szliśmy razem. A śpieszyć musiałem,
 Iż mi od swoich urosnął już przedział,
 Co oni widząc, też w drodze przystali,
 I tak my doszli ich, i tak szli dalej.

Spojrzał w obcego Kos, spojrzał Zatrata,
 Iż z brzegu byli—nic. Ot, człek podróźny
 Chce iść, niech idzie, a chce, niech się brata.
 Niczem tu przecie nikomu nie dłużny.
 Tutejszy widać, bywalec ze świata,
 A to i radą być może przysłużny.
 Świat-ci nie Wólka, gdzie chłopci na płoty
 Włazą, najrzawszy nieznanej kapoty.

On też, ani się zegnał, ani witał
 Z kim. Jakby do nas należał od rodu,
 A choć go z naszych nikt o to nie pytał,
 Rzekł: — O robotę trudno będzie. Z głodu
 Widziałem ludzi ginących.—Zazgrzytał—
 — Bo tu różnego jest przepaść narodu,
 Ale najwięcej wszelakiej hołoty,
 Co żebrze, a łga, że szuka roboty.

— My ta na długie nie staniem terminy
 Do żadnej—rzecze Bandys—aby tyle,
 Co tego grosza przyrobić, choć krztyny,
 Na szyf, na drogę. A to przyjmieć mile,
 Co dadzą. Abych się tej chwycić liny,
 Abych na morze! Bo samym nie w sile...
 Abych do tego korabia—okręta!
 A baby: — Hale! O Matko ty święta!

A w tem Zabuda: — Zaś to, co w gospodzie
 Było o onem dziewczęciu mówione,
 To tu są zwykłe rzeczy w tym narodzie,
 Tu ojciec córkę małą, a mąż żonę

Sam doprowadza murzyńskiej tej trzodzie,
Aby zarobić... Aby tę mamonę...
A jak na wódkę niema, a napije,
Zastawia babę. Nie chce? To ją bije.

— Była tu jedna, dwojgo dzieciąt miała
(Wdowa, czort ją wie...) w piątem, szóstem lecie,
A tak ją tęskność sparta, tak ją rwała,
Że niepodobne rzeczy na tym świecie!
To wyła z brzęga, jak pies. A czcerniała,
Jak te w pszenicy jarej czarne śniecie,
To ziemię gryzła, drapała pazury,
Jak z portu okręt wypływał niektóry.

A wreszcie całkiem ścichła, z sił opadła,
I tak siadując tu, patrzyła w morze
Całemi dniami. I sama niejadła,
I dzieciom co dać nie miała, niebożę,
Iż podobniejsza była do widziadła,
Niż do człowieka. Aż jakoś w tej porze
Odchodził statek. Tak zbyła kłopotu,
Przedawszy dzieci za bilet powrotu.

Murzyn je kupił, ot, w jednej koszuli,
I stał na brzegu ze śmiechem w paszczęce,
To ludzie, co kto przeszedł, na nią pluli,
Ta nic, gorzała tylko w swojej męce.
Już hukli z działa, już w trąbę zaduli,
Już... Tu Bandyska wzniosła obie ręce:
— Święta Sodom! O święta Gomoro!
A skąd się też ta takie matki biorą!

Przeczekał, aż się przyciszyła sama,
Zaś rzekł: — Tak stoi ona na pokładzie,
A tutaj dzieci w krzyk uderzą: — Mama!
Mama! — Już okręt chyba się w posadzie,
Już płynie, już mu się namknęła tama,
Już pachół sznury zwinął, już je kładzie,
W tem wrzask. Wyciąga ramiona do dzieci,
Na burt i w morze. Powiadam waszeci,

(Tu zwrócił do mnie twarz i ściszył mowę),
Że niema jadu, nad serce człowiecze.
Żebyś waść w piersiach miał gniazdo węzowe,
Żeby ci w mózgu wierciły trzy miecze,
Lżejby ci było. Jedno znam morowe
Lekarstwo, co ci wewnątrz tak wypieczę,
Wypali, że już i własnej macierzy
Nie pomnisz! Wódka. Niechaj mi waść wierzy!

Lecz tu się wszczęły pospólne pogwary,
Co nam króciły czas w onej szarudze.
Iż dzień od nieba do ziemi był szary,
A struga deszczu lała się przy strudze.
Aż ów, najrzawszy dalekie galary,
Rzekł: — Gdzieby robotę znalazł? Przy ładunku
Węgla do portu. Ale tam już pono
Wre... Pono płachtę szykują czerwoną.

Jakoż coraz to gęściej ciągnął drogą
Naród roboczy. Tragarze, węglarze
Szli śpiesznie z taką zawziętością srogą,
Że poczerniały aż kurczą się twarze,
Wzrok mroczny ledwo że zwróca na kogo.
Idą, w tem bęben. A deszcz ustał nieco,
I już się modre błamy niebem świecą.

Nad morzem tumult jakiś. Ludu kupa
Zwarła się w tęgą na wybrzeżu ścianę,
Gdzie na kotwicy stanęła szalupa.
Z szalupy worki szły pieczętowane
Z nieboszczykowem mieniem. Imię trupa
Czarno na każdym worku wypisane.
Licytacya była po załodze,
Co na szpitalnym statku zmarła w drodze,

Jak nam to Żydek powiadał niektóry.
Furyer na beczce stał, rozcinał wory,
I pęki szmatów podnosił do góry,
Wołając cenę na owe ubiory.

Krzyk: poraz pierwszy! I wnet: poraz wtóry!
A iż tam pośpiech bywa każdej pory,
Ledwo żeś pojrzał—już i poraz trzeci.
A kłęb zwinięty przez powietrze leci.

Każdy chciał kupić, pchał się. Setne ręce
Sterczały z tłumu wysoko nad głową,
Nikt nie dbał, w jakiej człek ten skonał męce,
Po którym trzęsą puścizną grobową.
Wtem, gdy się onym widokiem zasmęczę,
Dobyli worek, pieczęcią lakową
Jakoby kroplą krwi naznaczon właśnie,
Tak spojrzy furyer na miano i wrzaśnie:

— Dżon Gruda! Tknęło mnie. Poprzedzie stanę,
Pchnąwszy w bok Żydka. Wór prawie był pusty.
Zaczem rozcięli na nim wielką ranę
I wydobyli zawiązanej chusty.
W chuście koszula była i pisane
Karty, w śmiertelnie blade inkausty.
Tak krzykną cenę. Dałem tyła w dwoje,
A że nie podbił nikt, ostało moje.

Tak zaraz szlimy na bok czytać karty.
List był, trzęsącą już pisany ręką,
Z jakiejś serdecznej czeluści wydarty
Ostatnią mocą i ostatnią męką.
— Gdzie go śłać miałeś i przez jakie warty,
Nie wiem. A ty, już nakryty jutrzrenką
Tej wiekuistej światłości w zaświacie,
Nie powiesz tego mi, umarły bracie!

Gdziekolwiek jesteś, coćkolwiek potyka,
Nie będzie ci się, nieboraku, cniło,
Że tę chudobę nędzną najemnika,
Szmąt, co go nasze słońce gdzieś bielilo,
Oną koszulę lnianą, cudzy tyka.
Krzyż nią przewiążę, nad pierwszą mogiłą
Polską. A coś go pisał ledwie żywy,
W księgi te włożyć dam, twój list żarliwy.

Może się najdzie ociec i przeczyta,
 I pozna, jako są synaczka słowa.
 Może się w matce zatrzęsą jelita,
 Kiedy ją wieść ta doleci grobowa.
 Może się wichrów zachodnich dopyta,
 Gdzie świeci trumna twoja kryształowa.
 I pójdzie bosa nad morza krawędzie,
 I w huku jego, słów twych słuchać będzie.

.

... „Piszę ja do was, Rodziciele moi,
 Z struchlałem sercem, z mokremi oczyma,
 A między nami morze wielkie stoi,
 Nie daje do was i przez moc mnie trzyma,
 Iż srogie puszcze są i góry straszą
 Między mną tutaj, a hań, chatą waszą.

... Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
 Ranie i wieczór patrzący w tę stronę,
 Gdzie jest kłosami nasz zagon nakryty,
 Gdzie łąki nasze o rosie koszone...
 I radbym ptakiem przelecieć tę drogę,
 I wiatrem radbym przez nią—a nie mogę.

I tak mi w oczach stoi tu, jak żywa,
 Ta nasza strzecha snopami poszyta,
 I kalenica wysoka, a krzywa,
 I dusza o niej zamyśla i pyta...
 Ale jej słówka nikt stamtąd nie poda,
 Taki świat ziemi je, i taka woda.

I widzę prawie chruściane te płoty,
 Studnię, żórawia widzę, cembrowinę...
 I rady sobie nie wiem od żoroty,
 A od tęskności—o kęs że nie ginę..
 Przez góry czuję, i przez wielkie morze,
 Jak mięta pachnie tam i drzewko boże...

.

... Chorość mnie tutaj przygniotła, jak brzemię,
 Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły.
 I prędko pewnie iść przyjdzie mi w ziemię,
 Na oceanśkie dno i bez mogiły.
 Bo tu moc ludu ginie z tej choroby,
 Których rzucają w morze, a nie w groby.

... Tak z onych bogactw wielkich, z majątności
 Obiecowanych przez cudze te kraje,
 Dla moich, w ogniu trzęsących się kości,
 Trzech łokci piasku siwego nie staje,
 Co u nas żebrak ma... I nie porośnie
 Brzoza nadeimną baškami o wiośnie.

... Więcbym tu wpisał te smutki, te żale,
 I tę śmierć czarną, co na mnie już kracze,
 I tę gorącość, co w piersiach mam, ale
 Szkoda mi ato matusi, że płacze,
 Łzami sypiąca na papier ten biały,
 Co go jej morza dalekie oddały.

... Bogdajżeś pierwszej stradała mnie płodem,
 Matko, niż na świat, na dolę tę padłem...
 Bom jest chorobą ściśniony i głodem,
 I jak zwierz węższą po ziemi za jadłem.
 Jak ptak bez gniazda skrzydłami tu biję,
 I nocą zrywam się i—jak pies—wyję!

.

... Prosiłbym ja was, byście mi za morze
 Odkazowali, jaka była zima?
 Czy tatuś pod siew nowiznę już orze?
 I czy tam wiosna już, czyli mróz trzyma?
 Ale że dusza we mnie nie doczeka,
 Niż pismo przyjdzie z takiego daleka.

... Oj, leciałbych ja, by gołąb ten siwy,
 Alibo żuraw kruczący o wschodzie...

Bo mi się zdaje, że znów byłbym żywy,
Po naszym chlebie i po naszej wodzie,
Ale że srodze struchlałe mam kości
Od wielkich żarów tych i od żalości...

... Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się stąd dostać przemógł za żywota.
Ale jak pomrę, to przez bory ciemne,
Przez morze pójde, co się wichrem miota.
Pójde i trafię pod chaty okienko...
Tak mi dopomóż Bóg i święta Męko!

.

... A teraz żegnam i kłaniam się pięknie
Ojczy i Matko, do samych wam kolan,
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie
I z niedogasłych skry rzuca się polan,
Albo jak dzwierze kto nocą zarusza,
To będę, matuś, ja i moja dusza.

... Żegnam już wszystkie życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę, i pole,
Żegnam i grusze na miedzy, i sady,
I żytnie brogi, i zasięki w stodole,
I całą wioskę od płota do płota,
I kosę moją żegnam już i wrota.

... Teraz mi dajcie bić z wieży we dzwony,
Od wschodu słońca, do zachodu słońca.
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
I ostaj z Bogiem, moja kochająca
Matuchno droga! I ty, Ojczy miły!
I kłaniam wam się od mojej mogiły."

MARYA KONOPNICKA.

Ostatnie chwile Jana III.

Bonum amissum dum perdidimus plus
amabimus...

(Biskup Załuski do kardynała Radzie-
jowskiego, dn. 17 czerwca 1696 r. Epist.
hist. famil. t. II, str. 9—10.

Wolno, cicho, gości sławny król. Życie przyniosło mu zawody, bole i bezkresne męki, więc rozstawał się z niem bez żalu i przywiązania. Wszystkie nadzieje rozpadły się w tych silnych, zwycięskich dłoniach, jak owoce morza Martwego, zostawiając po sobie popiół i nielitościwą nicość. Rzeczpospolita w odmęcie, zawichrzona i, mimo pozorów świetności, ondląła w nierządzie; starania o ustalenie dynastyi zmarniały; najbliżsi: żona, dzieci, zagrożeni w swarach i nienawiści; ogół niosący zamiast uznania i wdzięczności—obojętność i niechęć!') Na każdym kroku krzyżowano jego najlepsze chęci i w twarz rzucano garścią zniewag. Opór dla oporu kładł się na poprzek pragnieniom monarszym i stał czujnie na progach ojczystej niedoli. Określił ten bunt, tę walkę wszystkich z wszystkimi, a z nim najbardziej, Jan III, wspominając o pewnym magnacie,—że zostałby nadal katolikiem, gdyby król przyjął mozaizm i odwrotnie.²⁾ Doszło wreszcie do zgorzienia, do wyładowania się możnowładczej buty w sposób nieznanym i niesłychanym. Padły w izbie sejmowej z powodu roztrząsania sprawy małżeńskiej Karoliny Radziwiłłówny z elektorowiczem

¹⁾ Salvandy: Histoire de Pologne avant et sous Jean Sobieski. T. II, str. 95.

²⁾ Jabłonowski: Skrupuł bez skrupułu w Polsce.

brandenburskim słowa z ust Pieniążka, wojewody sieradzkiego, posadzające monarchę o popieranie niekorzystnego dla kraju związku za wzięcie... milczkowego...¹⁾ Udzielano mu też nauk o konieczności zachowania równowagi *inter libertatem et maiestatem*, jak gdyby zwichnął podstawy wolności szlacheckiej i podeptał zasady starego porządku, zawarte w księgach statysty-mądrały, Maksymiliana Fredry. Wówczas wydobył się z piersi oburzonego krzyk: małe troski mówią, ogromne niemieją... Potem, wspomniawszy, jak najlichsze zwierzę ma środki obrony, radził na pastnikom szukać szlaków, które go zawiodły do nieśmiertelności, a znajdując zroszone krwią pola tatarskie, wołoskie, ukraińskie, usłyszają przedostające się z pod ziemi głosy zmarłych za ojczyznę, wyczytają na marmurach napis: niech wstanie z kości naszych mściciel!²⁾ Sponiewierany ciąglą rozterką, ciągle wołaniem w próżnię, wzniósł się na wyżyny przepowiedni i za prorokiem powtórzył ostrzeżenie: „jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa upadnie...“ Ostatni raz, niedaleki progu wieczności, stanął przed senatorami, ostrzegał, przewidywał nieszczęścia, wytykał ustawiczną chwiejność polityki polskiej i krótko przedstawił obrachunek swej działalności: „Oświadczamy się przed Bogiem i Rzeczpospolitą całą, żeśmy po żadnych nie błądzili labiryntach, po żadnych nie chodzili szkodliwych ścieżkach...“³⁾ To miał przekonanie, a z niem sumienie spokojne i czyste, świadome dobrze spędzonego życia i trudu oracza, który kosy z dłoni nie puszczał. Cokolwiekby o widnokręgach jego myśli politycznej powiedzieć można, widział ogromną otchłań między sobą a swoimi, widział podarte w strzępy wielkie zabiegi, falę bezrządu gorszą i bardziej wzdętą, niż na początku panowania, poniżenie dostojeństwa królewskiego i widmo zażęganego 1688 r. spisku detronizacyjnego. Jan ulegał ciosom, choć się dźwigał z pod ich brzemienia i szedł dalej po drodze przeznaczeń. Ale każdy z nich potężny na nim zostawiał odcisk.

Dziwny był wpływ składników duchowych na siły fizyczne Sobieskiego.

We wczesnej młodości należał do bractwa maryjańskiego, pielegnował w sercu wiarę prostaczka, nie wątpił, że w pewnym

¹⁾ Szczegóły w rozprawie Helcla: „O dwukrotnem małżeństwie Karoliny Radziwiłłówny.“

²⁾ Ostrowski-Danekowicz: Swada polska i łacińska. Wyd. 1745 r., t. I. „Mowa Jana III, którą konkludował senatus consilium postcomitale, w Grodnie 1688 r.“

³⁾ Ostrowski-Danekowicz l. c. Mowa na radzie senatu 1695 r.

domu w Lublinie, Chrystus na obrazie pocić się począł, poczem otworzyła się jedna rana na ręce Syna Bożego, druga zaś w piersiach, jakby kto nożem przerznął ciało i krew z obu kapłała.¹⁾ Usposobienie posiadał porywcze, wybuchowe, dlatego w poufnej korespondencji ochrzczono go mianem *la poudre*. Prędko wracał do równowagi i słodczy. W stosunku do żony był cikliwym kochankiem, błędnym rycerzem, noszącym barwy swej pani, gotowym pogrozić po to, aby pójść do Kanossy i deptać w zużytych pantoflu. Pozostała zawsze dla niego „najśliczniejszą“ „duszy i myśli“ wszystkich „pociechą“—„królową serca“—„najwdzięczniejszą“ Marysienką. A kobieta ta, jako pani Sobieska, czy monarchini, okazała się tak samo samolubną, ubóstwiającą się, stawiającą sobie ołtarze, jak piętnastoletnia panna de la Grange d'Arquien, która w powrocie, po latach potopu, z Maryą Ludwiką ze Śląska, usunęła sędziwą przeoryszkę klasztoru św. Benoniego, w Poznaniu, z jej celi, aby się wygodnie wyspać, lub po nocach zakłócała porządek zakonny, przyjmując wizyty polskiej magnateryi.²⁾ Żalił się na nią niejednokrotnie Jan i liczne niedomagania uważał za wynik obojętności uwielbianej kobiety. Pochłaniało go i trawiło uczucie dla żony i na polach chwały, i w sejmie, i w domu, i na dzikich stepach, nigdy i nigdzie nie umiał przed niem uciec. Często w cierpieniach myśl o Marysienke spędzała mu do reszty sen ze żrenic. „Pan Bóg tedy wie — pisał do niej — co się dalej ze mną dziać będzie, bo *naturelement* wytrzymać dłużej niepodobna. Cóż człowieka bardziej zabijać może, jako tęskność, gryzienie się, a melankolia? Jaką tedy okrutną i niesłychaną męką schodzić z tego muszę świata racz Waszmość uważać i jaką krzywdę cierpię od miłości.“ Często powtarzały się sarkania: „zdrowie moje zjadła i zabiła, a głowę najbardziej—melankolia, tęskność i gryzienie się.“ Innym razem, narzekając na gorączkę i bole w skroniach i zębach, uderzył w skargę: „Mnie to najżałośniejsze, że od tych rąk ginę, którymem był wszystko, com miał w świecie, poświęcił i zdrowie, i wolność, i wszystkie fortuny.“ Po oddaleniu się od swego ideału czuł pustkę i taki smutek, że „już się mój nigdy z przyrodzenia wesoły nie przywróci humor.“ Na wiadomość o szczęśliwym obrocie wojny, Marysienka zamiast cie-

¹⁾ Korzon: Dola i niedola Jana Sobieskiego. Kraków 1898 r., t. I, str. 64.

²⁾ Waliszewski: Marysienka. Marie de la Grange d'Arquien. Paris, 1898, str. 41—42.

szyc się, podkreśliła z niewiadomych przyczyn niezadowolenie. Na to Sobieski: „Ja zaś jeśliś tem Pana Boga obraził, a niedotrzymał wiary Waszmości, niech tej nocy nagle skonom i niech twarzy Boga mego na wieki nie oglądam.“ Zmarszczki jednak wyrównywały się rychło i utrapienia pierzchały, gdy popatrzał na twarz ukochaną: „skorom się zjechał z Waszmością, zaraz to wszystko jako ręką odjął...“¹⁾

Nie była to zatem natura zbyt hartowna, spiżowa, wiele w niej tkwiło wrażliwości, rozstroju, nadmiernej czułości. Kontuszcowa zamaszystość kojarzyła się w duszy nawskroś rycerskiej z poezją, trzeźwość i geniusz żołnierski z egzaltacją, twardość życia obozowego z uczniowskim niepokojem serca, jowialność z prorocstwem—a całość skupiała się w głębokiej wierze, podniesionej do wyżyn mistycyzmu. Dwoistość jego, żołnierza-hetmana a króla, jest ogromnie rozległą. Tamten, mąż o żelaznej ręce, talent pierwszorzędny—ten, o glinianej, w rozpaczę załamywanej; sprzeczności owe mieszały się bez przerwy, wiązały nierozzerwalnym splotem, szeregowały przy szyszaku i krwią ociekającej karabeli,... papiloty Maryi Kazimiery. Obok wielkich spraw świata zaprzętały go drobiazgi, nie utonął nigdy zupełnie w głębiach ogromnych kwestyj, a jeżeli się w nich zanurzył, znalazł jeszcze czas na prośbę do żony, aby zmierzyła i policzyła, czy trzechkrotna objętość głowy Jakóbka, pieszczotliwego „fanfanika“, dorównuje wysokości malca... Takim był zawsze i wtenczas, gdy się troszczył o pieski swej królowej i gdy wydawał instrukcje Sapieżynie, wojewodzinie wileńskiej, jak ma czuwać nad córką, Teresą Kunegundą, w podróży poślubnej do męża, elektora bawarskiego.²⁾

Z podobnemi składnikami psychicznymi nie był Jan zbyt odpornym na moralne i łączące się z niemi fizyczne utrapienia, które go nie opuszczały od włożenia cierniowej korony na skronie. Chorzał zresztą dawno. Jeszcze przed i po Chocimie, owym granicznym słupie jego chwały, skarżył się na brak zdrowia. Nie było miesiąca w 1670 i 1671 r. bez ciężkich bólów karku i głowy, aż mu „straszenie i ustawicznie“ do niej „biły dymy.“ Raz po raz występowały to wrzody w gardle, to cierpienie w palcu u prawej nogi, gorączka i zabójcza bezsenność, niekiedy w dłuższych

¹⁾ Bandtkie-Helcel: Listy Jana Sobieskiego. Biblioteka ordynacji Myszkowskiej. Rok 1860. Listy z 1671 r. Nr. 55, 57, 60, 67, 71.

²⁾ Tygodnik Ilustrowany, r. 1907. Grudzień. Artykuł: „Córce—na drogę.“

okresach. Chwilami mdlał z wyczerpania. Do niedostatków, pętających ciało, przyłączyła się złośliwa choroba oczu, którą flukusą nazywał i niemniej natrętna a już nieodstępna—nerek. Lekarze Braun, Policiani, Lasiosi, cyrulik Bauval, robili, co mogli, aby przynieść ulgę cierpiącemu. Stosowano gołębie ziele (werbenę), zakazano wszelkich napojów, przykładano pijawki i puszczano krew, która była spiekłą i „czarniejszą od smoły.“ Ratowano go także dekoktem i wysyłano do wód egierskich, dzisiejszych warmbrunskich. Naogół lekcewazył uczone wskazówki i raczej wierzył, że cud Najświętszej Panny ochraniał go przed marami. Do wszelkich zawodowych znawców miał niechęć i uprzedzenia zagrodowego szlachcica, ufającego domowej apteczce. Doktorów lwowskich przezywał „wisielcami“ i nie mógł darować im urojonych czy rzeczywistych afrontów. Wiedza była zresztą bezwładną wobec jego temperamentu, wobec wysokiego poczucia obowiązku, ofiarności i żądzy służenia krajowi. Wśród potrzeb bractwaskiej, mohylowskiej, kalnickiej, wśród Chocimia,—on jeden stał z szeroko otwartymi ramionami, niby nieprzewyciężona zawora kresowa i podpierał walący się budynek. Ani myślał o sobie, ani chciał szukać pokrzepienia w zagranicznych zdrojach, gdy łuna wojenna rozpięła się nad Rzeczpospolitą. Zwlekał się tedy z łóżka, dosiadał bachmata i pędził do obozu bić Turków i Tatarów. Umacniała go w wysiłkach asceza i pragnienie oddania zdrowia za „wiarę świętą, za którą umrzeć każdy pocciwy ma mieć sobie za największe szczęście.“¹⁾ Pękał, rysował się rosochaty dąb przez długie lata. Wzrastająca po wyprawie wiedeńskiej nadmier-na tusza nie przyczyniała się do poprawy stanu rzeczy. Najbardziej rasowe araby ugiwały się pod ciężarem królewskiego ciała, a posiadał najlepsze w swojej stadninie. Pod koniec 1693 r. choroba takie przybrała rozmiary, że Jan nie mógł wybrać się z Żółtkwi do Warszawy na sejm. Ciężka niemoc płuc połączona z paroksyzmami, kaszlem, zaflegmieniem i wyrzucaniem płwociny, powaliła go na łożo. Piętnastego grudnia dźwignął się, przeszedł do pokoju żony i oglądał osiem żrebców neapolitańskich, przy-

¹⁾ Bandtkie-Helcel, l. c. R. 1670, nr. 17, 56, 72, 75. R. 1671, nr. 17, 20, 33, 43, 51, 52, 53, 55, 57, 59, 60, 70, 71. Na ćwierć wieku przed śmiercią pisał Jan 6 lutego 1671 r. do żony (nr. 37). „Mnie zaś doktorowie moi kazali mi się strzedz apopleksyi à cause de la rétention dedans les reins.“—Kluczycki: Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego. T. I, cz. I, nr. 297.

prowadzonych przez księdza Votę.¹⁾ Ostatniego kwietnia 1696 r. czuł się tak osłabionym, że wypowiadał się i zgodził na przyzwanie chłopka, który z odwaru rocznych ziół sporządziwszy mokry, zimny plaster, przyłożył go na całe nogi. Ustąpiły nieco obrzęki skórne, głównie na kończynach dolnych, ulga widocznie zaznaczyła się. Pił też dwa razy dziennie po pół filiżanki bardzo przykrego napoju z korzonków, lecz ze skutkiem, gdyż mu ściągał puchlinę z pod bioder ku dołowi. Jakoż wzniósł się, odzyskał humor, a pocziwy wieśniak zaręczał, że jeżeli przykładnie odbędzie kurację—wstanie na św. Jana. Żadnego środka król nie zażywał ani nie przyjmował, zanim reformat-egzorcysta, stale odsiadujący przy chorym, nie pobłogosławił go i nie wypędził szatana....²⁾ Przepowiednie znachora nie ziściły się. Po wyczerpaniu wszelkich sposobów z zakresu medycyny umiętnej i kuglarskiej zdano się na łaskę dewocyi, odprawiano w czasie świąt wielkanocnych liczne błagalne procesye. Nie wiedzieć skąd krążyły pogłoski, zawleczone do Francyi i Holandyi, jakoby koadjutor opata klasztoru oliwskiego, Michał Antoni Hacke, chciał zatruć Jana pigułkami. Musiał zaprzeczyć publicznie tym niedorzecznościom i prostować je przed polskim rezydentem w Hadze.³⁾ Piętnastego maja kazał przenieść się do Wilanowa w nadziei polepszenia przez zmianę powietrza. Niestety — nic nie pomogło. Coraz silniej i niebezpieczniej występowała puchlina nóg i jamy brzusznej, dziwnie twarda, bo nie ugiwała się pod dotknięciem palca, zwartością przypominała żelazo, ciężkością ołów. Gdy ją ciepło nacierano rozsuwała się nieco i niebawem w całej wracała pełni. Kolor jej czerwony przechodził niemal w purpurę.⁴⁾ Drugiego czerwca zezwoliła Rada senatu na wyjazd króla do wód hirszbergskich.⁵⁾ O podróży nie mogło być już mowy. Jeden z senatorów, Załuski, biskup płocki, przybył do Wilanowa, aby pożegnać się przed powrotem do rezydencji swej dyecezyalnej w Puławsku. Marya Kazimiera uprosiła go, aby skłonił męża do sporządzenia aktu ostatniej woli. Jan powitał biskupa oświadczeniem, że mer-

¹⁾ Archiwum hr. Potockich w Krzeszowicach. Teki Szczuki. T. 24. Warumberger do referendarza koronnego Szczuki. Żółkiew, 16 grudzień, 1693.

²⁾ Bandtkie-Helcel, l. c. List niewiadomej osoby z maja 1696 r. Nr. 229.

³⁾ Theatrum Europaeum. T. XV, str. 69.

⁴⁾ Niemcewicz: Zbiór pamiętników o dawnej Polsce. T. IV. Wyjątek z pamiętników O'Connora. Str. 302—303.

⁵⁾ Załuski: Epistolae historico-familiares. T. II. Amico confidenti 17 Junii 1696 r.

kuryusz wygna mu pewnie duszę z ciała i żałośnie pytał: „Czyż nikt nie zechce pomścić mojej śmierci?“ Biskup odwołał się do miłosierdzia Przedwiecznego i wspomniął, jak codziennie tysiące „gore ofiar u ołtarzów Pańskich“ na intencję ocalenia królewskiego życia. Z rezygnacją przyjął wiadomość i odmieniając temat, pytał, co Załuski porabia w Pułtusk. Zmyślny książę kościoła wyliczył szereg czynności, jako to: czuwanie nad owieczkami, troskliwe dozorowanie dyecezyi, czytowanie ksiąg świętych, rozmowa ze światłymi ludźmi. Najbardziej jednak—tak zapewniał—pochłaniało go ułożenie inwentarza i testamentu na jego podstawie, albowiem spełnienie powinności wlewa ukojenie w duszę. Sobieski począł natrząsać się i dziwić, juk biskup przeciążony pracą, znajdował czas na zbyteczne drobiazgi. Z goryczą, w której dzwięczała nuta nieszczęsnej przeszłości, przytoczył ruskie przysłowie: „Niech ogień spali ziemię, niech wół wszystkie wyżre łąki, po śmierci nie o to nie dbam.“ I wykrzykując za Juwenalem: *o medici, medici, mediam pertundite venam!*¹⁾ — pozostał w niezłomnym uporze, ogień mu szedł na twarz, oczy zapłoneły wspomnieniami katuszy, tych widm, które zagarnęły znojne i plenne dorobki żywota. Z białej pościeli wychyliła się postać owego proroka, co przepowiadał zagładę Niniwie. Nic nie zabierał światła i przywiązania do tego padołu, widział czołgającą naokół podłość, rozkład wstydu i obyczajów, Sodomę i Gomore, zasługującą na bicze i gromy i wiekuiste potępienie. Czegoż mógł się spodziewać po nikczemnych ludziach, czegoż po upadku cnoty? Kto uszanował zarządzenia jego królewskich poprzedników? Napomknął, jakto egzekutorowie przez zatrzymanie w swych rękach pieniędzy udaremniłi legat biskupa kujawskiego, Madalińskiego, z którego odsetki miały być obracane na korzyść posłów, broniących własności duchownej. Zauważył: „widzisz, za życia nie chcą mię słuchać, będąż po śmierci?“ Zakończył przykre zwierzania: „Niema się prawdziwie komu powierzyć, nikt z nas zepsutych ludzi nie przetworzy w dobrych. I cóż na to mój lubowniku testamentów?“²⁾ Gest pogardy, strętwienia, obrzydzenia, dla nicości doczesnej, głośne *après moi le déluge* i nic więcej... Przypatrzwszy się zamętowi we własnem gnieździe, sam mawiał:

1) Aluzya do wywodów Załuskiego. Wiersz odnośny brzmi w całości: „Lekarze przetnijcie mu żyłę na czole i przywróćcie rozum.“

2) Załuski, l. c. Amico confidenti. 17 Junii 1696. Str. 1—9. Niemcewicz, l. c. Str. 332—344.

„łatwiej mi bić nieprzyjaciół, niż zgodę utrzymać w moim domu...“¹⁾ Zważył też o losie potomstwa, wołał w uczuciu wielkiej nabożności i religijności oddać sprawę na łaskę Opatrzności, niż wbrew przekonaniu, krzyżować jej wyroki.²⁾ W opieczowanym liście zostawił jedynie „*ostatnie vale*“ synom i ojczyźnie z wyrażeniem utęsknienia za odpoczynkiem w „grobie po pracach.“³⁾

„Przez lat dwadzieścia y dwa królowałem,
Te wszystkie wojnie y Marsowi dałem.
Mało do wytchnienia sobie zostawiwszy
Kilka lata, drugie w obozie strawiwszy,
Przez to y życiu memu się dostało.
Lecz nie żał, gdy się dla Ojczyzny działał,
Dla której zawsze zdrowie me łożyłem:
Więcey Ojczyznę, jak zdrowie ważyłem.
Wszak w oczach waszych to się wszystko stało,
Już, już, gdym ginął, niebo salwowało;
Zarówno z wami w potrzebie stawałem,
Swemi piersiami Polskę zastawiałem
Już nie iako król, ale żołnierz z wami,
Gdy Budziackimi chodziłem lasami,
W tey biedzie, co wy, w teyże byłem słocie,
W burce żołnierskiej, nie w królewskim złocie...“

W końcu tylekroć z rozmaitych ust wygłaszana prawda:

„Dlatego Polska, ach, dawno choruje,
Że zgody nie masz, tym się samym truie,
Wszak to całemu światu w podziwieniu,
Że nie masz rządu w koronnym rządzeniu...“

Filozoficznie znosił kres utrapień i powiedział, że skoro zmarł Plato i Isokrates, więc i on może iść w ich ślady. Był to ten sam spokój i fatalizm, co z powodu sprawy o ateizm Łyszczyńskiego przemówił przez jego usta: „co w niebie przed wielki przejrano, — to się na ziemi koniecznie stać musi.“

Chwilami opuszczał łóżko i podpierany, przechadzał się po komnacie. Piętnastego czerwca wyjechał na przechadzkę i wró-

¹⁾ Hofman Karol: Upadek dynastji Sobieskich. Gazeta Polska, r. 1862, Nr. 251, 254.

²⁾ Tamże, Nr. 258.

³⁾ Rubinkowski: Janina zwycięskich tryumfów i t. d. Poznań 1744.

cił z tak ciężką gorączką, że nie poznał sypialni. W dwa dni potem wstał po ósmej, kazał się nosić w krześle po parku wilanowskim, upajał świeżą, bujną zielenią. Marya Kazimiera przybiegła natychmiast mimo wyczerpania i zajęcia ćwiczeniami religijnymi. Czując przykry, chłodny wiatr, poleciła usadowić męża w miejscu, chronionem od wpływów powietrznych i prosiła go o przyjęcie pokarmu. Posilił się polewką i jajami. W pałacyku wysłuchiwał codziennym zwyczajem mszy, pomodlił się i zabawił z otoczeniem. Po południu, koło czwartej, podał mu króliewicz Aleksander wino. Gawędził z Maryą Kazimierą, z posłem francuskim, opatem Beauportu, księdzem Polignac'iem, siedząc ubrany na łóżku. Nagle opadł nieruchomy na posadzkę, robił ciężko pierściami, wyrzucał z ust pianę. Przytomny w izbie Załuski starał się dźwignąć króla, lecz omal ciałem jego przywalony nie został. Udzielił mu zatem błogosławieństwa i rozgrzeszenia *in articulo mortis*, a Polignac przyzywał lekarzy i dworzan, z których prawie wszyscy znajdowali się w stanie nietrzeźwym... Godzinę leżał omdlały Sobieski na podłodze, godzinę wił się w agonii wśród szepców modlitewnych obecnych, godzinę przetrwał na twardych deskach, zanim ledwie na nogach trzymająca się tłuszcza zdołała rozpostrzeć pana swego na pościeli!... Zanoszącą się od płaczu królową odprowadzono do jej pokojów. Zawodziła tam gorzkimi skargami i ślubowała zbudować kaplicę, byle Opatrzność dozwoliła mężowi odzyskać zmysły, aby mógł uczynić obrachunek sumienia. Doręczyła Załuskiemu kawałek *Agnus Dei*, poświęconego przez papieża Inocentego XI. Zamaczano go w winie, włożono w usta Jana i cud wyczekiwany nastąpił. Szeroko rozwarły się oczy ocuczonego. „Cóż się ze mną stało?” — zapytał. Biskup płocki objaśnił, że za wolą Bożą otrzymał możność spełnienia powinności dobrego syna kościoła. Wszyscy wydalili się. Dominikanin, ksiądz Skopowski, ongi kapelan pod Wiedniem i Parkanami, co naganianiem zbrodni i piorunującymi egzortami tak wzruszał, że żołnierze ochotnie rzucali się w odmet walki, odstąpił groźne położenie, napomknął o zbliżającym się „terminie życia” i konieczności spojrzenia śmierci w oczy, jak na wiernego katolika przystało. Cytował psalmy Dawida, nie wątpił, że król wesóło za prorokiem wyrzeknie: „ucieszyłem się tem, co mi powiedziano; do domu Pańskiego pójdzienny” i prosił, aby jak całą przeszłością dawał Chrześcijaństwu godny naśladowania przykład, tak i na ostatek pamiętał o świętych przykazaniach. Jakoż z ogromną skruchą spowiadał się półtora kwadransa, a następnie prosił kapłana o błogosławieństwo dla dzieci i upomnienie ich, aby ko-

chały i szanowały matkę, lgnęły do religii ojców i przestrzegały sprawiedliwości. Posłano po najświętszy sakrament ochmistrza królewiczów, Suszyckiego, do parafialnego kościołka. Tynczasem powtarzał Sobieski za dominikaninem modlitwy, a gdy zdążyli do czwartej, odmawianej w mszach świętych podczas wielkiego postu, gdy zabrzmiał werset: „Panie, nie według przestępstw sądz nas,“ wznosił oczy i dłonie w górę i donośnym, pełnym natchnienia głosem dokończył: „i nie według niegodziwości wymierz sprawiedliwość, lecz według miłosierdzia zbaw mię miłościwy Boże...” Nieruchomy, z wbitemi jakby w niebo żrenicami, z wyciągniętymi przez kilka dobrych pacierzy rękami w powietrzu, tonął w nabożeństwie, w skupieniu myśli, w przestworzach ginącego żywota, czy w zagłębiach świata, do którego odlatiał. Zaraz opadł na pościel w nowym paroksyzmie. Weszli biskupi Załuski, Popławski, Witwicki, udzielili konającemu ostatniego pomazania, gdyż w Wilanowie nie znaleziono hostyi ani cymboryum, a z Warszawy po niewczasie przyszły. Lekko, cicho wyzionął ducha między ósmą a dziewiątą wieczorem, przeżywszy siedemdziesiąt dwa lat i dni piętnaście, w trzydziestą drugą rocznicę wyboru na tron Jagiellonów i Wazów.¹⁾ Ciekawym zbiegiem okoliczności urodził się w wigilię Św. Trójcy, w nią hetmanem został, w samą zaś Św. Tróję zgromił Turków pod Chocimem, pod Żwańcem Tatarów i oczy zawarł na wieki. Z nim zgasło nad polskim widnokręgiem jasne słońce i rozwidniło swoim zachodem wyłaniające się już morze upadku, zatracenia moralnego i politycznego sumienia. Kto wie, czy przejaskrawił rzecz Załuski, uderzając w ton żałosnej rozpacz. „Wraz z tym Atlasem—pisał—runęła w moich oczach (obym był fałszywym prorokiem!) sama rzeczpospolita. Zdaje mi się, mniej stracilibyśmy, schodząc równocześnie do grobu. Nosił koronę tak, że powadze królewskiej dodał więcej świetności, niż jej wziął z nią. Ojczyzna i jej chwała z nim zamarły. Obawiam się, że nastąpił koniec naszej potęgi.“²⁾

Jeszcze nie zastygło ciało Sobieskiego, a Jakób co tchu pędził do Warszawy, odebrał przysięgę na wierność od wojewody ruskiego, Marka Matczyńskiego, naczelnika gwardyi zamkowej, obłożył skarb ojcowski pieczęciami marszałka i wielkiego pod-

¹⁾ Opis zgonu opowiedziany według źródeł: Relacya ks. Skopowskiego. Rękop. bibl. ordyn. Krasieńskich w Warszawie. — Załuski. l. c. Do kard. Radziejowskiego, 17 czerwiec 1696 r. str. 9 — 10. Str. 12 — 16 sq. — Niemcewicz. l. c. 335—339.—Theatrum Europaeum. T. XV. Str. 69.

²⁾ Załuski. l. c. Str. 95.

skarbiego koronnego, Stanisława i Hieronima Lubomirskich, aby go zabezpieczyć przed chciwością matki. Poprzednio wydał pełnomocnictwo łowczemu koronnemu, Stefanowi Potockiemu, do zaskwestrowania wszelkich kosztowności w Żółkwi i innych miejscowościach; następnie posłał do królowej biskupów poznańskiego i inflanckiego z wyrażeniem współczucia i oświadczeniem, że jej do Zamku nie wpuści. Marya Kazimiera, ocierając jedną dłońią łzy, przenosiła drugą szkatuły i drogie sprzęty z komnat nieboszczyka do swoich i redagowała listy do dygnitarzy z prośbą o obronę wdowich interesów.¹⁾ Na wiadomość o postępku syna zamknęła wartościowe przedmioty, zaufała je pieczy wypróbowanej służby i faworyt, pań Letrou i Dupont, kazała złożyć ciało na ozdobnym wozie i w towarzystwie kilku chorągwi husarskich i pancernych, tudzież dwudziestu karet dostojników, podążyła do bliskiej stolicy, postanowiwszy na przebój wprowadzić trupa do zatrzaśniętej siedziby monarszej. Wierzeje rezydencji nie rozwarły się przed żałobnym orszakiem. Królowa usunęła się z Aleksandrem i Konstantym do pałacu siostry, Wielopolskiej, czekając końca gorszącego widowiska. Dopiero Załuski, dostawszy się na dziedziniec, spostrzegł Jakóba i jął mu tłumaczyć: „Co powie Polska cała, gdy się dowie, że ciała zmarłego króla nie wpuszczono do Zamku, nie wpuszczono matki królewskiej, by przy niem płakać mogła, wzgardzono braćmi, jakby równego prawa z nim nie mieli.“ Zmógł niegodziwy syn i uległ. Trumnę wniesiono do górnych pokojów i zawezwano wdowę. Jedyne wobec świadków zgodziła się na rozmowę z Jakóbem. Za powód postępowania podał obawę, że go matka wydziedziczy, że chciała mu strącić wydatki weselne i kilka tysięcy czerwonych złotych, które żona, księżna neoburska, Elżbieta Jadwiga, otrzymała na karty... Smagały się wzajemnie i najgminniej pospolite namiętności, nieodstraszane majestatem śmierci. Na moment nastąpiło zawieszenie broni i po niem nowe piekło kłótni. Każda ze stron wojujących wyprawiała na własną rękę zaufanych do dóbr nieboszczyka, aby pilnowali praw swoich patronów.²⁾

1) Glatman L.: „Opowieści i wspominki historyczne“ Kraków, 1895 r. Szkic: Skon Jana III (niekrytyczny). Podanych kilka takich listów z arch. Czartoryskich w Krakowie. Ręk. zakł. narod. Ossolińskich we Lwowie nr. 257 zawiera korespondencję królowej w tej samej sprawie. — „Atheneum“ (Kraśzewskiego). T. IV. R. 1841. Str. 69.

2) Załuski. l. c. Str. 19 — 25 — Niemcewicz. l. c. — Za Załuskim poszli Hofman l. c. (№ 259) i Jarochoński: Dzieje panowania Augusta II. Poznań, 1856. Str. 3, 6, sq.

Wśród tych zajęć przystąpiono rano, ósmnastego, do sekcji ciała. Nie wiadomo, kto jej dokonał, czy lekarze Franciszek von Falderen, florentyjczyk Piotr Buini, lajbmedyk Mahien, warszawski fizyk Minaszewicz, czy w ich obecności balwierze, podobnie jak obdukcję zwłok Batorego.¹⁾ W protokole obdukcji zauważono: „Chociaż ledwie który organ był bez wady, bądź z służących sprawie odżywiania, bądź z przeznaczonych do oddechania, sądzimy jednak, że przedewszystkiem zmiany w nerkach wywołały katastrofę. Gdy nerki zwyrodniały, przestała surowica wydzielać się z ogólnej masy krwi w czasie i miejscu przez naturę ustanowionem, skąd powstała dyskrazja krwi, nadmierne wezbranie surowicy, obrzęki skóry i następca puchlina wodna brzucha.“²⁾ Na podstawie zmian w narządach, stwierdzonych sekcją i innych objawów chorobowych, cierpiał Sobieski długie lata na przewlekłe zapalenie nerek. W następstwie ich „zwyrodnienia“ rozwinęła się dyskrazja krwi, surowica z niej, czyli ciecz przesączynowa, nie wydzielała się więcej przez nerki, przez co znowu wystąpiła wspomniana dyskrazja, a w dzisiejszem rozumieniu rozwodnienie, hydraemia, która doprowadziła do ogólnych obrzęków. Zapaleniu nerek towarzyszył, jak zwykle, przerost serca. Kilka miesięcy przed zgonem przyszło do obrzęków (na tle zapalenia), najpierw kończyn dolnych, potem do ogólnej puchliny. Król chorował także na skazę moczaniową (diathesis uratica). Zapatrywania Załuskiego, który nagły upadek Jana na posadzkę uważał za apopleksję i dawniejsze zdania lekarzy o skłonnościach apoplektycznych nieboszczyka, opierały się na błędach. Przeciwnym przypuszczeniom przemawiał brak widocznych zmian w komórkach i nerwach mózgowych i następstw, występujących zwykle na tle apopleksyi. Kilka godzin przed katastrofą objawił się atak mocznicowy (uraemia), po godzinie ustąpił i przytomność umysłu w pełnej wróciła sile. Tego rodzaju napady mogą wybuchnąć niespodzianie, trwać niedługo i nie zostawiać żadnych porażen. Wkrót-

¹⁾ Oceny i rozbioru dokumentu sekcji zwłok dokonał na moją prośbę dr. Witold Nowicki, asystent przy katedrze anatomii patologicznej prof. Obrzuta we Lwowie. Powołujemy się na jego wytrawne i fachowe zdanie. Za gorliwość i uczynność sprawie nauki okazaną, składamy na tem miejscu podziękowanie.

²⁾ Protokół sekcji pochodzi ze zbiorów p. Mathiasa Bersona w Warszawie. Nader trudny przekład z lichej łaciny oryginału wyszedł, dzięki naszym zabiegom, z pod pióra znanego warszawskiego lekarza d-ra Tadeusza Trzcńskiego.

ce ponowił się drugi i w nim wydał monarcha ostatnie tchnienie¹⁾. Naiwną była uwaga biskupa płockiego, dochowana w zbiorze jego listów, jakoby Jan padł ofiarą nadużycia rtęci z porady Żyda, lekarza Jonasa i w ten sposób „zginął z rąk, którym najwięcej dobrodziejstw świadczył za życia.“²⁾ Podczas obdukcji rozpoczął się już proces rozkładowy. Świadczyły o nim zanotowane w protokole wiotkość, kruchość i rozłożenie się narządów, istnienie złowonnych, brudnych płynów w jamie brzusznej i klatce piersiowej, atramentowe zabarwienie śledziony, pochodzące prawdopodobnie od siarczku żelaza, rozdęcie gazami grubego jelita, plamy czerwone w okolicy pach od przodu i na przednich powierzchniach goleni³⁾. Po zabalsamowaniu ciała twarz była „tak srodze od merkuryusza zmienioną,“ iż ją musiano przykryć sztuczną, malowaną⁴⁾.

Doczesne szczątki bohatera umieszczono w dębowej trumnie, okrytej kunsztownie tkaną materią, obciągniętej na brzegach szeroką na dłoń frędzlą i złotymi galonami. Wnętrze wybito srebrną lamą. Spoczywała na dużych, snycersko rzeźbionych orłach. Przybrano nieboszczyka w żupan z białego atłasu, przesłonięto kapą i dalmatyką, bramowaną wspaniałą koronką. Ich podszycie, trzewiki i pończochy sporządzono z bogatej lamy. Na poduszce, w nogach, widniały insygnia królewskie. Czterdzieści jarzących się świec rzucało blaski na katafalk i cztery, po bokach ustawione ołtarze, przy których odprawiano msze święte⁵⁾. Miasto korony pogrzebowej włożono na martwe skronie czapkę; królowa bowiem w obawie, że Jakób zechce ją zabrać, nie wydała drogiego przedmiotu, sadzonego przepyszными rubinami i diamentami. Po złożeniu uroczystego przyrzeczenia przez syna, ustąpiło czasowe nakrycie symbolowi monarszej władzy⁶⁾.

Zatargi rodzinne nie ustały. Szarpano się i wzajemnie wydzierano złote kości. Jan pozostawił okazałą fortunę w nieruchomościach, pożyczkach zwykłych i hipotecznych. Rzeczypospolitej

¹⁾ Uwaga dr. Nowickiego — jak w ogóle cały wywód przyczyn śmierci na podstawie sekcji.

²⁾ Załuski. l. c. Ze wzmiankowanego listu do kard. Radziejowskiego.

³⁾ Zdanie dr. Nowickiego.

⁴⁾ Załuski. Jak wyżej.

⁵⁾ Theatrum Europaeum l. c. — Baliński Michał: „Pisma historyczne.“

T. IV. Warszawa, 1843. Str. 81—96.

⁶⁾ Koronę włożył na głowę króla kard. Radziejowski 25 czerwca. Załuski. l. c. Str. 24.

udzielił na różne potrzeby 120,000 zł. p. w zastaw na klejnoty koronne, które już nigdy do skarbu wawelskiego nie wróciły ¹⁾. Znaczniejsze sumy miał u marszałka nadwornego, Józefa Lubomirskiego, u wojewody wileńskiego, Kazimierza Sapiehy, u podkanclerzego wielkiego księstwa litewskiego, Radziwiłła. Rozległe klucze przedstawiały wartość 5,843,000 zł. p.; dochody z nich i tak zwane „summy fructificantes“ z innych włości wynosiły 2,508,503 zł. pol. ²⁾. Oprócz tego ogromna gotówka i klejnoty. Na ogół przeceniano rozmiary spadku. Książd Polignac zaświadczył, że przy podziale Żółkiewszczyzny rozczarowano się, „gdyż scheda nie była tak znaczna, jak mniemano ³⁾. Całą spuściznę obliczono na mniej więcej siedemdziesiąt milionów ⁴⁾. W każdym razie walka opłacała się. Za wdaniem się postronnych osób stała się zgoda co do rewizji i podziału skarbcza warszawskiego, a za nim innych. Na tle inwentaryzacji wyłoniła się postać Marka Matczyńskiego, *alter ego* Jakóba, porywającego kilka worków złota lub kardynała Radziejowskiego, przywłaszczającego sobie pierścionki!... ⁵⁾ Cała myśl małych dziedziców wielkiego spadkodawcy wyteżoną była w kierunku łamania i nakładania pieczęci, zajazdów, skandalów, w których, jak w Żółkwi, uczestniczyła ludność, chwyciwszy za broń przeciw wysłanym z ramienia rządu wykonawcom prawa ⁶⁾. Opinia odwdzięczyła się marnym spadkobiercom. Jakób, o którym własny wuj, markiz de Béthune, mawiał: „ten człowiek wyrznięty ma ekskluzyję na twarzy,“ ⁷⁾ nie wstąpił na tron sławnego ojca...

Trzeciego lipca kazał zdjąć prymas dyamentową koronę i zastąpił ją srebrną, pozłacaną. W prawą rękę nieboszczyka wetknęto berło, w lewą jabłko, skropiono trumnę i zabito wieko. Stary zwyczaj wymagał, aby przed koronacją elekta odbył się pogrzeb

¹⁾ Kopera: „Dzieje skarbcza koronnego.“ Kraków, 1904 r. Str. 101—103.

²⁾ Koźmian E. A.: „Wyciągi Piotrowickie.“ Wrocław, 1842 r. Str. 89—93. Sumaryusz tu podany obejmuje tylko część majątku Jana.

³⁾ Depesze księdza de Polignac. Poznań, 1855. Dep. z 10 lipca 1696 r. Str. 10. Cz. I.

⁴⁾ Hofman l. c. № 258. Niewiadomo, czy cyfra jest ścisłą.

⁵⁾ Niemcewicz l. c. 335—339. Matczyński działał w imieniu Jakóba. Niebawem umarł i cały swój majątek przekazał najstarszemu Sobieskiemu i Maryi Kazimierze.

⁶⁾ Depesze Polignaca. — Dokładny przebieg walki o spadek u Hofmana, Jarochońskiego, także u Chomętowskiego: „Synowie hetmańscy.“ Bibl. Warszaw. T. III.

⁷⁾ Hofman. l. c. Gaz. Polska № 258.

poprzednika. Zwolennicy francuskiej kandydatury księcia Conti opanowali Zamek i trzymali zwłoki Sobieskiego w zastawie, chcąc przeszkodzić namaszczeniu Augusta II. Nic nie pomogły nawoływania do wydania ciała ¹⁾. Chwycono się zatem podstępui odprawiono pozorną uroczystość żałobną 13 września 1697 r. w katedrze wawelskiej, uświetnioną mową ks. Franciszka Kurdwanowskiego, sufragana warmińskiego, biskupa Murocco. Elektor otoczył z polskimi i saskimi kawalerami *castra doloris*. Po mszach i litaniach za zmarłych dokonano symbolicznego aktu złamania laski marszałkowskiej, pieczęci, chorągwi i wrzucenia ich do zainscenizowanego grobu ²⁾. Dopiero 23 grudnia przeniesiono szczątki Sobieskiego do kościoła O.O. Kapucynów przy ulicy Miodowej, ufundowanego kosztem nieboszczyka. Rano ustawili Franciszkanie wraz z dworzanami trumnę na wozie w dziedzińcu zamkowym, odśpiewali pieśni, a Augustyanie wigilie. Biskup inflancki, Popławski, wypowiedział egzortę na temat: „Wejdźcie, a zobaczycie króla waszego w koronie, którą go ukoronowała matka jego.“ Kondukt posuwał się rynkiem przez nowomiejską bramę, koło szkoły Pijarów. Szły cechy ze zwiniętymi chorągiewami, pochylonemi ku dołowi i przewieszonymi krepą; każdy z nich dźwigał mary, owinięte czarnem suknem. Tuż postępowały mieniące się różnobarwnymi habitami zakony, Franciszkanie, Dominikanie, Augustyanie, Bernardyni *in corpore*, inne zaś zgromadzenia zastąpione przez delegacje. Długi łańcuch duchowieństwa, falującego malowniczo wśród gromnic, kończyły fary od Św. Krzyża, Panny Maryi, z Nowego miasta i kolegiaty Św. Jana. Zaczem widać było w żałobnych szatach pontyfikalnych biskupów płockiego, inflanckiego i sufragana przemyskiego. Kapela nieboszczyka, wyśpiewując przejmujące treny, wyprzedzała senatorów, niosących oznaki władzy na złotogłowych poduszkach. Kasztelan inowrocławski, Grzybowski, dzierżył koronę, kasztelan czerski, Sienicki — berło, referendarz, Stanisław Szczuka — jabłko. Teraz ciągnęło rydwan, przesłonięty aksamitnym całunem koloru karmazynowego, osiem rumaków. Otaczali go dworzanie z jarzącymi pochodniami, w pasowych kapach, jazda rzeczypospolitej i halabardnicy królowej. Kitajkowe białe brzegi całunu trzymali najprzedniejsi urzędnicy. Dalej niósł w złotej puszcze serce zmarłego sekretarz wielki koronny, Wyżycki, a za nim kroczyli mar-

¹⁾ Dupont: Mémoires. Bibl. ord. Krasieńskich. T. VIII, str. 215.

²⁾ Theatrum Europeum. T. XV, str. 314.

szalkowie obu połów państwa z bogatemi laskami, królewicze Aleksander i Konstanty ubrani z francuska, dygnitarze, cudzoziemcy, rezydenci, fraucymer dworski, marszałkowska rajtarya i ogromne tłumy. Nie było w orszaku Maryi Kazimiery, złożonej naonczas ciężką niemocą. Zaledwie O.O. Kapucyni wzięli ciało dobrodzieja swego na barki, rzucił się lud na kapy koni od karawanu i rozdarł je na pamiątkę w strzępy. Całun ocalał i dostał się kolegiacie Świętojańskiej. Trumnę ustawiono na katafalku, pośrodku kościoła. Wisiała nad nim herbowa tarcza Sobieskich „Jani-na,” podpierana przez aniołki. Podczas mszy, odprawionej przez Załuskiego, rozdawał Pijar, Zawadzki, żałobny panegiryk konwentu swego „Cienie ukoronowanego“ (Manes coronati). Nastąpiło kazanie członka towarzystwa Jezusowego, ks. Hrynkiewicza, kondukt kościelny pod przewodnictwem biskupów i złożenie szczątków w górnem oratoryum ¹⁾.

Niedługo pozostał Jan w zacisznem osamotnieniu.

W 1700 r. wysłał Jakób skarbnika owruckiego, Szczepana Wyhowskiego, z ciałkiem synka swego, zgasłego w Olawie, na Śląsku, z poleceniem, aby je umieścił obok dziadka. Niepocieszony w żalu za zmarniałą płonką pisał do przeora konwentu: „Gdy ja nieszczęsny ojciec dla synaczka mego, którego śmierć tak wcześniej porwała, grób obierać muszę, pragnę tę zwiędłą latorośl złożyć przy popiołach najjaśniejszego dziada a rodzica mego. Połącz je, proszę, wielebny ojcze, a pamięć moja ku waszemu zakonowi tem trwalszym umocni się węzłem.“ ²⁾ W okresie wojny szwedzkiej i domowej zawieruchy czuwał duch Jana III nad całością klasztoru. U trumny rycerza Chrześcijaństwa modlił się w ciężkich utrapieniach August II, zginał przed nią kolana jego przeciwnik, Karol XII. Ten, kazał odchylić wieko, wpatrywał się przeszło pół godziny w skostniałą, tak niegdyś wyrazistą twarz i roniąc rzewne łzy, rzekł do świty i mnichów: „podobnie wielki król nie powinien nigdy umrzeć...“ ³⁾ Wspomniani panujący i Stanisław Leszczyński wydali O.O. Kapucynom listy ochronne, a cesarz Piotr Aleksiejewicz zabronił dowódcom wojsk swoich domagać się od konwentu żywności, opłat, postojów, podwód

¹⁾ Relacya pogrzebowa deponowanego ciała ś. p. króla J. M. Jana III do Oyców Kapucynów w Warszawie z Zamku 23 Decembris 1697. Rzadki druk spółczesny na jednej karcie.

²⁾ Baliński: Pisma. T. IV, str. 34, 35.

³⁾ Dupont l. c. Str. 216.

i zalecił im poszanowanie zbożnych murów ¹⁾. Z czasem wróciła martwym prochem do przybranej Ojczyzny Marya Kazimiera, zmarła w Blois, we Francyi. Pewnego wieczora 1716 r. — jak głosi podanie — furtyan klasztoru Kapucynów, roztworzywszy skutkiem dzwonienia bramę, spostrzegł u progu trumnę. Zbadano ją i po berle, koronie, medalu w ustach ze szczegółowymi datami, poznano, czyje zwłoki kryje. Znalazła miejsce koło męża i wnuka. Z polecenia Jakóba przeniesiono w 1733 r. trumny królewskiej rodziny z oratorium do chóru, wspaniale na ten cel urządzonego, podług szkiców Eperyesza, starosty skirstymońskiego i wystawiono 15-go maja na widok publiczny. Tłumy ludzi, dygnitarze, posłowie zagraniczni, spieszyli oglądać nowe schronienie Sobieskich, odznaczające się pięknem *al fresco* malowaniem sufitu. Honory zwiedzającym czynili sam pan starosta Eperyesz i wojewoda bełzki, Potocki ²⁾. Wieczorem, 9-go sierpnia 1733 r., przewieziono trumny Sobieskich na dziedziniec zamku królewskiego, gdzie już czekały zwłoki Augusta II, zmarłego w dniu 1 lutego. Nazajutrz rano, żegnał Andrzej Zaluski po raz drugi, po trzydziestu sześciu latach, władcę swego pięknem kazaniem w kolegiacie. I znowu, jak ongi, sunął Krakowskiem Przedmieściem kondukt, tylko z trzema rydwanami, wśród bicia dzwonów, grzmotu armat i dźwięków muzyki. Na czele duchowieństwa postępował kardynał Lipski. Krótką mowę na Grzybowie wypowiedział sufragan kujawski, Kobielski. Konduktowi wytknięto drogę na Raszyn, Tarczyn, Łętoszyce, Mogilnicę, Nowe Miasto, Radoszyce, Jędrzejów, Słownik. Towarzyszyło mu sześciu Kapucynów i trzech Dominikanów, tudzież czuwający nad porządkiem ksiądz Kobielski. Milicya regimentarza koronnego, Potockiego, złuzowała za Raszynem muszkietierów. Za zbliżeniem się pochodu do osady, wsi, miasteczka, pędził konny posłaniec naprzód, aby w dzwony uderzano i wyprawiano procesyę na gościniec. Na nocleg umieszczano ciała na cmentarzu, lub obok niego a w razie deszczu rozpinano namiot. Rankiem, zrywano się na dźwięk trąby, odprawiano mszę i ruszano dalej. Przed południem stawano na popas z powodu upałów i dopiero między trzecią a czwartą rozpoczyznał się pochód. Dziennie odbywano pięć, najwyżej sześć mil, więc koło 20-go sierpnia dotarto do Krakowa. Kapituła, magistrat, akademia, powitały prochy królów za obrębem starej stolicy. Zło-

¹⁾ Baliński l. c. Str. 36.

²⁾ Tamże. Str. 40, 417.

zono je czasowo w kościele Św. Floryana, na Kleparzu.¹⁾ Uroczystości pogrzebowe odbyły się 15 stycznia 1734 r., przyczem w okolicznościowej *laus funebris* sławił sufragan kujawski pamięć nieboszczyków.²⁾ Trumnę Jana III spuszczone do podziemia pod kaplicą Zygmuntowską. Stanisław August kazał ją w 1782 r. złożyć w sarkofagu z czarnego marmuru w kaplicy niegdyś Św. Leonarda.³⁾ Tak śmiertelna powłoka pogromcy Turków znalazła wieczny spoczynek w królewskim otoczeniu, ale serce nie zakończyło doczesnej wędrówki. Zostało ono w rękach kapucynów, którzy dla szanownej relikwii wyszukali przytułek w zagłębieniu framugi archiwum klasztornego... Wskutek starań przeora O. Benjamina Szymańskiego i poparcia ministra oświaty, Stanisława Grabowskiego, przeznaczył cesarz Mikołaj I z własnej szkatuły sumę na restaurację kaplicy królewskiej, w której znajdowała się urna z wnętrznościami Augusta II. Tam też 26 marca 1830 r. wmurowano w pomnik, na ten cel wzniesiony, puszkę z sercem Jana III.⁴⁾

Ciekawe dochowały się wiadomości o konserwacji ciała Sobieskiego.

Gdy Dupont, kapitan artylerii, zaufany nieboszczyka oglądał w 1717 r. zwłoki króla, zdumiał się ich wybornym wyglądem. „Dzięki dobremu zabalsamowaniu—wspomina—można było jeszcze zrobić jego portret, bo rysy pozostały zupełnie niezmienione. Po odchyleniu rękawiczki ucałowałem go w rękę i podniosłem ramię, które poruszało się złatwością.“⁵⁾ Zapiski kapucyńskiego konwentu zanotowały podobne wrażenie. W czasie zdjęcia wieka z powodu przeniesienia szczątków z oratorium do chóru ujrzano postać jakby śpiącą, pogrążoną w chwilowym bezwładzie. Ciało było tak „czerstwem i twardem,“ że postawione na nogach, stać-

¹⁾ Rubinkowski: Promienie cnót królewskich po śmiertelnym zachodzie najjaśniejszego słońca Augusta II. Poznań, 1742. Dokładny opis pogrzebu. Zakład narod. im. Ossolińskich posiada w kodeksie № 254, karta 72, odpowiedź kapituły krakowskiej z d. 2 stycznia 1733 r. na list Jakóba. Wynika z niej, że najstarszy Sobieski starał się o sprowadzenie zwłok ojca na Wawel.

²⁾ Kobielski: Mowa na pogrzebie Najjaśniejszych monarchów Augusta II, Jana III, Maryi Kazimiery y infanta-wnuka, miano w Krakowie 1734, 15 Januarii. Druk społeczny.

³⁾ Mączyński Józef: Pamiątka z Krakowa. Część 2. Kraków, 1845. str. 107—109.

⁴⁾ Baliński. I. c. Str. 54—57.

⁵⁾ Dupont. I. c. Str. 216.

by mogło. Rozpoznano niezwykle podobieństwo w obliczu, a „nawet same wąsy i czupryna bardzo małej podległy korupcyi.“ Pobożna asceza klasztorna składała wyjątkowe zjawisko na karb wyższego zrządzenia *Supremi Numinis*.¹⁾ Jeszcze w epoce złożenia trumny w sarkofagu „widocznem było niejake podobieństwo w twarzy.“²⁾ Czemże są te szczegóły wobec wzmianki Załuskiego o zupełnem zeszpeceniu oblicza? Niewątpliwie doskonale podrobiona i umocowana maska wywołała złudę... Zaiste, pielgrzymka pośmiertna Sobieskiego stanowiła tragiczne dopełnienie bolesnego życia. Trupem czekał przed podwojami monarszej siedziby, nurzał się w bezwstydnym swarach rodziny, służył za zakład partyzantom francuskim, za mumię oglądaną i żalowaną, przenosił się z oratorium do chóru, wracał na Zamek, włókł na Wawelu z jednej kaplicy do drugiej i w marmurze poszedł szukać odpoczynku. Czy go znalazł? Podanie a może prawdziwa tradycja opowiadają, że w czasie powszechnego zaniedbania grobów w katedrze, sięgnęła ręka kobieca po włos pamiątkowy z wąsa królewskiego i zniszczyła szczękę... Bóg zna rzeczywistość! Mimowoli jednak, po osobliwszych przygodach nieżywego, dziwnie przypomina się powiedzenie żywego: „niech ogień spali ziemię, niech wół wszystkie wyżre łąki, po śmierci nic o to nie dbam...“

ERNEST ŁUNIŃSKI.

SEKCYA ZWŁOK JANA III.³⁾

(dosłowny przekład d-ra Trzcíńskiego z oryg. łacińskiego).

Skoro położono przed nami—lekarzami—nagiego trupa Najjaśniejszego Króla, zauważyliśmy brzuch, uderzający olbrzymiemi rozmiarami, dostrzegliśmy skórę około pach tu i owdzie zabarwioną na kolor czerwony, dostrzegliśmy również, że przednie powierzchnie goleni były pokryte wielką ilością pustułów i ciemno-czerwonemi plamami.

¹⁾ Baliński. l. c. Dodatek. Str. 81—96.

²⁾ Mączyński l. c. Wąsy były zupełnie niezsute. Mączyński zaczerpnął wiadomość od naocznego świadka, który widział zwłoki.

³⁾ Sekcyę zwłok Sobieskiego ogłosił poraz pierwszy z kodeksu papierowego archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie, Nr. 441, str. 19—21, p. Glatman w „Opowieściach i wspominkach historycznych.“ Kopia ta zawiera mnó-

Po otwarciu klatki piersiowej i brzucha była widoczna warstwa, obciążona wystającym prawie sześciostopowym pokładem tłuszczu. Sieć pokrywały liczne wypukłe i duże gruczoły.

Kolor jelita cienkiego i grubego wydał się nam nienormalnym, barwa zaś jelita zwanego czczem—sina. Objętość kiszek grubej była zaiste zdumiewającą, zgoła ponad zwykłe wymiary. Sieć nie była dotknięta żadną wadą widoczną dla wzroku, również w żołądku i pęcherzu żadnej skazy godnej za-notowania.

W trzustce, dookoła przewodu, przez który sok trzustkowy spływa do dwunastnicy, znaleźliśmy grudki prawie kamiennej twardości, świeżo powstałe i starsze.

W jamie brzusznej znaleziono trzy do czterech funtów czarniawego i złowonnego płynu. Barwa wątroby zmieniona, zwłaszcza na powierzchni wypukłej, substancja jej rozmiękczona. Przy słabem naciśnięciu wydzielal się z wątroby jakiś ropiasty płyn. Pęcherzyk żółciowy zgoła nie zawierał żółci i był wypełniony ośmiu kamykami, z których jeden większy, inne zaś nieco mniejsze. Śledziona zwykłej wielkości i grubości, zewnątrz i wewnątrz jakby poplamiona atramentem. Miękka substancja śledziony łatwo dawała się rozrywać, zupełnie jak tkanka obumarła i stąd należy mniemać, że owa część śledziony była zupełnie zwyrodniała.

Nerka prawa, na objętość mniejsza, zawierała kamień większy, który, co dziwne, przypominał poniekąd swym kształtem tarczę, na której jest korona królewska. Nerka lewa dotyla obrosła tłuszczem, że prawie nie była widzialna i co najgorsza nacieczona ropą. W klatce piersiowej płuca koloru czarniawego, substancja ich z przodu flaczasta; wytryska z nich ciecz brudna, ropiasta. Osierdzie, wbrew temu co zwykle bywa, zwilżone zaledwie kilku kropelkami płynu.

Serce można było nazwać dużem i pojemnem; ani w jego przedsionkach, ani w komorach nic niezwykłego nie znaleziono. Zaznaczamy, że tkanka serca wydała nam się mniej kruchą i mocną, niż to zwykle bywa, co mogło za-leżeć od podeszłego już wieku króla. Klatka piersiowa zawierała wielką ilość płynu brudnego z bardzo wstrętnym zapachem. W jamie czaszkowej żadnej skazy lub zmiany nie było. Niektórzy z chirurgów twierdzili, że mózg był nieco suchy, co jeśli tak było przez naturę urządzone, któż dziwić się będzie, że król takim blaskiem umysłu się odznaczał, że cokolwiek mówił, mówił rozumnie, że wreszcie głowa jego mieściła ducha wyższego rzędu (tak!). W substan-

stwo błędów i niezrozumiałości. Rękopis p. Bersona, znacznie pełniejszy i lepszy, ma całe zdania nieumieszczone w kopii Czartoryskich. Charakterystycznym jest, że na ostatniej znajduje się obok Minaszewicza, jedynie podpis von Falderena, a dwaj inni lekarze, Buini i Mahien są opuszczeni. W Bersonowskim rękopisie niema znowu Falderena. Nadmienić wypada, że dr. Giedroyc w książce swej „Ekspertyza lekarska w dawnych sądach polskich“ (Warszawa 1896) powtórzył *in extenso* dokument, ogłoszony przez p. Glatmana.

cyi mózgu, jak również w jego komorach i w początkach nerwów, nic nienormalnego nie dostrzeżono.

Porobiono głębokie nacięcia na stopach, goleniach i udach, z których to nacięcie surowica wypłynęła bujnie i obficie, przynajmniej do 20 funtów na wagę. Z ogólnego pokładu tłuszczowego można było wyciskać surowicę zupełnie, jak wodę z napęczniałych gąbek.

Z tej krótkiej relacyi można wywnioskować, ile i jakich przyczyn chorobowych, jakby zbiorowo napadających, skojarzyło się na zgubę króla godnego nieśmiertelności, skoro śmierć zarówno uderza w królewskie wieże, jako i lepianki nędzarzy. I chociaż ledwie który organ był bez wady, bądź ze służących sprawie odżywiania, bądź z przeznaczonych do oddychania, sądzimy jednak, że przedewszystkiem zmiany w nerkach wywołały katastrofę. Gdy nerki zwyrodniały, surowica przestała się wydzielać z ogólnej masy krwi w czasie i miejscu przez naturę ustanowionem, skąd powstała dyskrasya krwi — nadmierne wezbranie surowicy, obrzęki skóry i następca puchlina wodna brzucha.

W Warszawie, d. 18 czerwca 1696 r.

H. Mahien

królewski lekarz przyboczny.

Jakób Minaszewicz

fizyk warszawski.

Piotr Buini

lekarz florentyjski.

ŁUNA.

XX.

Ani łzy teściowej, ani żałosna trwoga słów pana Kamienieckiego, ani patetyczne skargi Malinowskiej nie wzruszyły Pawła, ale godzina, spędzona w towarzystwie Hanksi, wytrąciła mu duszę z równowagi. W szeroko otwartych, złęknionych, chwilami złych oczach dziewczyny, w steranej twarzy matki, ze ścian pokoju, w fałdach „salopy“ wyczytał i poznał przeraźliwe dzieje i poraz pierwszy w życiu ogarnął sercem cudzą niedolę, odczuł miazdzące okrucieństwo losu, smutek wiecznej samotni, w której cierpią, skrzywdzeni. A słuchając bezładnej mowy, która polała się z milczących niegdyś ust Hanksi, usiłując nadażyć za niespodzianymi zwrotami jej myśli, zgubił wątek i myśl własną, zabłądził w jakimś labiryncie wątpienia, doznał niepokoju i strachu. Zdawało mu się, że coś w nim pryska i zapada się, że Hanka popycha go ku jakiejś krawędzi, za którą jest zguba, że myśl jego, jego własna myśl zabłąkała się wśród myśli Hanksi, niby owca w obcym stadzie i nie może znaleźć zwykłej ścieżki, która wiodła do bezpiecznej zagrody, że uwikłał się w jakiejś sieci, że trzeba uchodzić póki czas... Nie wiedział sam, co mu było, nie umiał określić dziwnego stanu. Gdy w ciszy u okna rozległo się beznadziejne płakanie—uciekł... Ale i na korytarzu, i na schodach, którymi zbiegł pospiesznie, i długo jeszcze na ulicy słyszał bolesną skargę owego szlochania — i gdzieś tam, w głębiach serca, jakgdyby łkało w nim coś do wtóru...

Szedł prosto przed siebie, bez celu, z udręczeniem, z rozterką, gnany niepokojem, uciekał, a nie miał dokąd wrócić. W domu, wśród pustki, leżały zwłoki dawnego życia, które umarło

śmiercią nagłą i niespodziewaną, w duszy mieszkały żal i trwoga... Piekły mu pamięć urągliwe, nabrzmiałe złością, wyrazy Hanka.

„Pan przywykł traktować życie w sposób niezmiernie wygodny... Wy wszyscy tacy... Ciężar niedoli, z którym trudno jest iść, zrzuca się na barki partyi, stronnictwa, społeczeństwa — i jazda! Niech partye i stronnictwa troszczą się o to, by lepiej było na ziemi. To jest Piłatowe umycie rąk... Niektórzy dają jałmużnę za pośrednictwem redakcyi „Kuryerów,” albo na ulicy u wejścia do kościołów... Tacy, jak pan, wyobrażają sobie, że złe życie zawiera się w tem, że gdzieś tam, na przedmieściach, są ludzie, którzy nie mają chleba i opału, że wystarcza trochę polukrować nędzę... Proszę pana, ani dobroczynność, ani skrajne partye nie przekształcą świata — i chyba tylko ta krew, która się poleje... Niezmierną jest nędza istnienia...” mówiła bólem oblicza, męką i przerażeniem oczu świadcząc o prawdzie tych słów. Potem zjadliwie wyśmiewała pogodny optymizm czcieli postępu, łaskawość owych dobroczyńców, którzy to przyszłym stuleciom i pokoleniom obiecują pomyślność, lepsze bruki, zadrzewione ulice, mniejszą śmiertelność, bezpłatną pomoc lekarską, podwójną ilość szpitali i t. p. skarby szczęścia... Potakiwał jej w milczeniu i nawet z niecierpliwością oczekiwał wniosku w tej nadziei, że wniosek ów będzie odpowiedzią na dręczące go zagadnienie. Tymczasem Hanka rozpoczęła zawiłą i nużącą spowiedź, której słowa sączyły się, jak krople żrącego jadu, i wreszcie niespodzianie zwróciła się do niego z prośbą, jak gdyby zaprawioną szyderstwem:

„Niech mi pan wskaże drogę. Nie chcę mądrego traktatu. Pan powie mi poprostu: zrób to albo tamto, idź tam...” Powołała się na jakąś chwilę w przeszłości, gdy on wykładał i nauczał. Tym razem nie dał jej żądanej wskazówki, milczał do końca. Miał przecież u niej zapożyczyć wiary... I śmiała się z niego...

Teraz to przypomnienie stawało się coraz bardziej dotkliwym, ale nie dlatego, żeby tu wchodziła w grę miłość własna. Rzecz była większej wagi. Jad przeczącej rozmowy zatruił duszę, która zaczynała już widzieć, a wątpienie stanowiło najgorszą męczarnię dla nieskomplikowanej natury Pawła. On rzeczywiście przywykł był brać życie ze strony prostej i łatwej. Obecnie nie poznawał siebie. Przed rokiem, przed tygodniem, w każdym okresie życia dusza jego była, niby biuro doskonale zorganizowane i czynne. Zmieniały się w nim sprawy, gospodarowali różni szefowie, przychodziły epoki niepowodzeń i zniechęcenia, zdarzały się

walki wewnętrzne, bywały przewroty w rodzaju niekrwawych „rewolucyj pałacowych“ — ale praca nie ustawała ani na chwilę. Paweł przenosił się z obozu do obozu, błądził i przyznawał się do błędu, potępiał własną działalność w przeszłości, nie tracił jednak nigdy gruntu pod nogami, owego punktu oparcia, którym jest normalna, wynikająca ze zdrowego instynktu życiowego, wiara w życie. Niecierpliwiał otaczających pewnością siebie, poczuciem doniosłości własnej, pedantyczną powagą, z którą spełniał najdrobniejsze czynności, przekonany o ich celowości, zadowoleniem z losu i wyznaczonej sobie roli, optymizmem; zarzucano mu ciasnotę, filisterstwo, oportunizm, wyśmiewano jego biurokratyczną naturę, lecz jemu z tem było dobrze na świecie. I naraz w pracowni biurze uczyniła się próżnia, a przez drzwi, które otwierała tajemnica, powiał wicher i zgasił wszystkie światła... W mroku ukazała się moc, wobec której igraszką były i potęga człowieka i wszelkie jego plany, i „wytknięte“ cele, i rozumne dążenia, i społeczne atrybuty, i wszystkie uroszczenia. Pawła ogarnęły odwieczne, pospolite w tym wypadku uczucia zgrozy i niepokoju, nasunęły mu się nienowe, najzwyklejsze myśli o znikomości człowieka i nicości życia i jakkolwiek w poematach i w powieściach, w rozprawach naukowych i psalmach wiele razy spotykał się z zagadnieniem śmierci, wydało mu się, że dokonał odkrycia, że on pierwszy zajrzał prawdzie w oczy. Z naiwnem przerażeniem, z rozbrajającą naiwnością mówił o swoim „wynałazku“ Obrońskiemu, pisał w dzienniku, opowiadał sobie samemu i nie przestawał rozważać. Nie chciał i nie mógł, gdyż nie leżało to w jego usposobieniu duchowem, otrząsnąć się lekkomyślnie, za przykładem większości ludzi, z „przykrego wrażenia“ i przejść nad nim do porządku, ale szukał rozwiązania, odpowiedzi, nowej wiary. Był pewny, że znajdzie. Nie mieściło mu się w głowie, żeby ludzkość, od wieków świadoma śmierci, mogła straszliwe zagadnienie pominąć obojętnem milczeniem, wykreślić prawdę, najbardziej niezawodną, z księgi dociekań. Z obcowania ze śmiercią wyniósł przeświadczenie, że skoro człowiek umiera, początkiem wszelkiej wiedzy winna być odpowiedź na pytanie, które wciąż powtarzał, które zamknął w następujących słowach: Skąd i dla jakiego celu ja, Paweł Naborowski, przyszedłem na ziemię, dokąd odejdę za dziesięć, za dwadzieścia lat? Mijały stulecia, nie było mnie tu, jestem przez chwilę, za chwilę zniknę na wieki... Jednocześnie wysnuł jeszcze wniosek, że życie musi zawierać w sobie cel, który nie przerasta ani sił, ani czasu istnienia jednostki.

„Ludzie stawiają sobie cele ogólne—rozumował—usiłują zatracić siebie w jakiejś abstrakcyjnej całości: w narodzie, w ludzkości, w socjalizmie, i życie jednostki traci wszelki sens. Nie może być wszakże, żeby istnienie moje, Pawła Naborowskiego, który obdarzony jest świadomością, który umrze w październiku roku 1920-go, nie miało jakiegoś ukrytego a doniosłego dla mnie znaczenia i zadania. Jestem, więc chcę czegoś dokonać i zaznać, urodziłem się i, zanim odejdę na zawsze, mam coś wypełnić dla siebie samego. Wyzbywanie się prawa do życia na korzyść abstrakcyjnych zbiorowości przypomina ów pogański zwyczaj ustawiania mis z jadłem u stóp posągów martwego bożka. W salach publicznych odbywają się zebrania i zabawy, każdy chce i musi mieć dom własny...”

Przez mgnienie myśl Pawła zatrzymała się na szczęście, ale porzuciła natychmiast wątki i mało znany kwiat... Gdzież było szczęście? W dzieciństwie, które minęło, na szlaku młodości, w rojeniach narzeczeńskich, w objęciach Malinowskiej, w pracy, która wydawała się doniosłą a nie wydała owoców?... Jakież urwane chwile, niektóre złudzenia, kilka przelotnych smug... Z przeszłości zostają popioły wspomnień, przyszłość jest jak dzień, który się nie zaczął, może pogodny, może słotny... Teraźniejszość—szereg krajobrazów, widzianych z pędzącego pociągu... I wśród najpiękniejszych dolin podróżny nie przestaje myśleć o celu wędrówki, spodziewać się i niecierpliwieć się... Gdzież szczęście?

Więc szukał dalej. Obroński oblał go zinną wodą. Mówił mu o lekkomyślności i bezmyślności ludzi, zamykających oczy na śmierć, o „wrodzonej” potrzebie i rozmaitych sposobach zadurzania się, praktykowanych przez człowieka śmiertelnego, który przede wszystkim pragnie zapomnieć o śmierci, o wielości systematów filozoficznych, kłócących się w wieży Babel wiedzy człowieka, o mroku, który panuje w owej wieży, o wiekuistej tajemnicy... I rzucił jeszcze poważnie czy żartem zwięzłe słowo o katechizmie i zawartej w nim podobno odpowiedzi wyraźnej, stanowczej i prostej, o katechizmie, z którego uczą się dzieci, który ludzie dojrzały oddawna zaliczyli do rzędu dziecinnych zabawek... Trudno było tam sięgnąć... Potem podczas cudownej godziny, w radości, której doznały na widok księżniczki oczy jego, wpatrzone w obraz szczęścia, wydało mu się, że promień wiadomości rozjaśnia mu duszę, że nie potrzebuje pytać. Ale widzenie trwało krótko...

I znowu, otoczony ciemnością, pełen niepokoju, męczył się nad rozwiązywaniem zagadki.

W izdebce Hanki na pospolitej, zdawało się, wizycie, którą złożył dla zabicia czasu, dla zagłuszenia trapiących go dumań, spotkał się oko w oko z niedolą, a dziwna mowa złamanej dziewczyny, mowa bólu, wątpienia, rozpacz i nienawiści porwała, jak potok, zachwianą myśl jego i zaniósła ją w dal nieznana ku jakimś ładom pustym i jałowym. I zabłąkana myśl jego tułała się po beznadziejnym labiryncie przeczenia... Wraził mu się w serce okrzyk, który spłynął z ust Hanki, niby krew z rany: „niezmierzna jest nędza istnienia“ — i sam milczeniem potwierdził prawdę bólu, sam uznał... Przed miesiacem, w epoce „biurokratycznej“, byłby potępił przesadę, patos i małoduszność i miałby wykład o obowiązkach, rozumnem dążeniu do celu, o doskonałości organizmu społecznego; dziś nieszczęście, na które patrzył, zdało mu się symbolem powszechnej niedoli. Tracił coraz bardziej grunt pod nogami.

Tak. Rodzą się ludzie, dźwigają nędzę, hańbę, choroby, smutki, pracę ponad siły, umierają. Leżą po mogiłach zbielałe kości tych, którzy byli, którzy zmagali się z boleścią i minęli. Pola bitew, lochy więzień, spalone miasta — kroniki, pełne okropności... srożyły się straszliwe klęski wojen, głodów, powietrza, ognia... Całe pokolenia szły na ofiarę, wsiąkała w ziemię krew. Uspokoili się czasy, ale cierpienie trwa. Zdarza się nieraz, że człowiek zdobędzie bogactwa, sławę, miłość i nie dozna w wieku swoim smutku... i zazdroszcza mu sąsiedzi szczęścia i otacza go wielka chwała aż do dnia, w którym ów człowiek najszczęśliwszy przekona się, odchodząc, o marności... Wyjątek szczęścia potwierdza regułę ogólnej niedoli... Dzieje się człowiekowi podwójna krzywda. Ślepy przypadek, a może siła jakaś wydobywa go z niebytu, obdarza świadomością, ażeby poznał mękę istnienia i zgrozę śmierci, żeby, pełen żalu i przerażenia, wrócił niebawem do nicości. I każde pokolenie można porównać do grona żebraków, którychby bogacz okrutnego serca zaprosił na ucztę, a pokazawszy zdaleka stoły, obficie zastawione, wypchnął za drzwi. Trawią serce ludzkie żądze szczęścia nienasycone i sen życia jest snem o szczęściu. W tem właśnie zawiera się druga i najsrozsza krzywda. Istnienie radosne, złożone z dni, mijających w blasku słońca szczęścia, nie nasuwałoby wątpliwości, byłoby sprawą zrozumiałą i prostą dla tych, którzyby zdołali zapomnieć o mogile; ale zabłąkany wśród odwiecznej nocy cierpienia, w chaosie sprzeczności człowiek szuka idei przewodniej, ukrytego znaczenia swojej znikomej a zaprawionej boleścią doli... Oto dożywotni więzień, wygnaniec, Łazarz, pokryty strupami nieuleczalnej choroby, uznojonny

wyrobnik, nędzarz, jakiś Antoni czy Dominik, zapisany w metrykach kościoła Wszystkich Świętych, zamieszkały przy ulicy Ciemnej, ogarnia spojrzeniem przeszłość, patrzy przed siebie, ogarnia całość — i zapytuje. Nie obchodzą go zdobycze nauki, rozkwit sztuki, podboje socjalizmu, przyszła daleka pomyślność pokoleń, które żyć i cieszyć się będą, gdy jego nie będzie. Chce wiedzieć jedynie jaki jest cel jego krótkiej wędrówki i jego cierpień...

Myśl Pawła wzbiła się na pewną przeciętną wysokość. Był to wierchołek, niby owe znane, dostępne w łańcuchach górskich szczyty, które zwiedza każdy podróżny, na które się wchodzi szeroką, utartą, pospolitą ścieżką; ale oczy niezwyčajne nie mogły sprostać i struchlały. Ukazała się przepaść śmierci i należało nad nią przerzucić most... Wrodzona i instynktowa wiara w życie szeptała Pawłowi, że most istnieje, że jest wyjście z błędnego koła, z labiryntu przeczenia, do którego zawiodła go Hanka, że tam, gdzie stanął, można pozostać, rozpocząć nowe życie, zbudować sobie dom własny, tak jak czynili to inni — chodziło tedy o odgadnięcie, o zdobycie prawdy, o przeniknięcie sekretu. W oczach, w uśmiechu, w nieśmiałych zdaniach księżniczki były napomknienia, niejasne obietnice, niedomówienia. Obroński krył coś pod maską szyderstwa i pogardy... Niegdyś, kiedy nie znał jeszcze wątpienia, kiedy nie potrzebował nauki, kiedy wydawało mu się, że posiada kompletną wiedzę, niektórzy ludzie próbowali go nauczać, a każdy nauczał inaczej... On sam błdził tyle razy... Obecnie dwudniowe, nużące, bezładne rozstrząsania nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Przybyło tylko spostrzeżeń i doświadczeń, porównań, przenośni i dowodów, zaostrzyła się świadomość błędu, wzmógł się niepokój. Była to praca burzycielska i ujemna. Potępił dogmaty przeszłości — nowych nie znalazł, zdawał sobie dokładnie i wszechstronnie sprawę z fałszywości dawnego założenia — prawda wymykała mu się z rąk. Powtarzał nieustannie, że on, Paweł Naborowski, który zagłębiał się w studia antropometryczne, który następnie usiłował podźwignąć stan ziemiański i lud, który jeszcze tydzień temu dążył do odrodzenia ludzkości przez socjalizm, który służył nauce, postępowi, idei, partyi, że Paweł Naborowski pominął rzecz najważniejszą, bo stracił z oczu własne krótkie życie, że przyszła pora porzucenia „społecznego hotelu,” „sali publicznej,” w której marnował lata, krainy martwych abstrakcyj, że należy zamieszkać we własnym domu, ale nie wiedział, na czym ma polegać reforma. Te same przed bezradnym rozumem wyrastały pytania... Porzucić pracę społeczną było łatwo, lecz znaczyło to zamknąć się w egoizmie. Sam oburzał się niegdyś na

samolubstwo tych, których spojrzenia nie sięgały poza granice majątku, poza ściany banku, sklepu spożywczego albo biura, którym wystarczało małe szczęście dobrobytu i gniazda rodzinnego. A z drugiej strony zdawało mu się teraz, że czemkolwiek zapełni nowy przybytek życia, zawsze wéliznie się tam widmo śmierci i dokona zniszczenia...

Przebiegając ciemne i puste ulice miasta, rozważał, zastanawiał się, badał, wspominał, czynił coś w rodzaju spowiedzi, wydobywał z głębin zmęczonej duszy żarliwą prośbę o pomoc. Miał na ustach słowa pokorne i proste. Gdyby mu wskazano mieszkanie człowieka, obdarzonego wiedzą, udałby się tam natychmiast i wyznawszy rozterkę, poddałby się bez zastrzeżeń nauczaniu... Któryż z ludzi, nauczających rozmaicie, mówił prawdę? Śniałowski czy hrabia Tobiasz, Ryszard czy Obroński?... A może pełna smutku, wątpienia i szyderstwa opowieść Hanki ukazywała rzeczywisty obraz życia? Obraz niedoli, która jest udziałem wszystkich, beznadziejnego i bezcelowego cierpienia... Człowiek wesoły twierdzi lekkomyślnie, że na ziemi jest dobrze, w smutku otwierają się oczy... I zadurzają się ludzie, jak opowiadał Obroński, żeby zapomnieć, żeby nie widzieć... Być może... Tylko, że on nie znajdzie środka usypiającego... Próbował wielu... Nauka i praca społeczna przestały działać, szczęście mijało szybko... Łódź, którą niosły wartkie nurty, poszła na dno, gdzie panuje ciemność...

Ogarniało go, jak gdyby zniechęcenie... Tułał się bez celu, tak samo tułała się myśl jego... Zaglądał w czarne okna śpiących domów, w ogrodzie pod drzewem słuchał szumu gałęzi, był nad rzeką, w głuchych zaułkach, parę razy przechodził koło pałacu Mirskich, patrzył, jak przed laty, w niebo, w świecące pomiędzy chmurami gwiazdy... Nie umiał znaleźć odpowiedzi, nie spotkał człowieka, obdarzonego wiedzą... Ci, których mijał, szli kędyś szybko, zajęci czem innym...

W jakiejś chwili śpieszący przechodzień rzucił mu kilka gorączkowych słów i pomknął dalej, potem już koło domu znowu ktoś, nieznajomy pan, zatrzymał go i chciał uciešzyć czy zatrwożyć niezwykłą wiešcią. Nie dosłyszał, nie chciał wiedzieć. Ze świata, który go nie obchodził, były te nowiny.

Wolno i niechętnie Paweł szedł po schodach, otworzył za-trzask, jak cień przesunął się przez salony, machinalnie zapalił świece, usiadł przy biurku. Rozwarty dziennik leżał tak, jak go zostawił... Zatrzymał się był w połowie zdania...

„Poczynałem sobie—stało tam—tak, jak gdybym miał trwać wiecznie. Tymczasem dowiedziałem się, że umrę, a ponieważ

wiem, nie mogę już żyć, jak dawniej. Trzeba wszystko przerobić. Przypuszczam, że ludzie...”

Pisał rano, z upodobaniem rozwijał nowe poglądy, z zacięciem zagłębiał się w nieznaną krainę, przekonany, że u kresu roztrząsań i podróży, niby na końcu nowej książki, zajaśnieje mu nowa prawda. Teraz zgasła w nim owa dobroczynna wiara... Obszedł dokoła wyspę śmierci, na której znalazł się niespodzianie, którą odkrył i nie dostrzegł nigdzie bezpiecznego portu. Odcięty był kompletnie od lądu... Znużyło go bezowocne obcowanie z sobą samym, bezowocne szukanie...

Odsunawszy dziennik, myślał o tem, że dobrzeby było zasnąć. Świece dopalały się w lichtarzach, była późna godzina... W ciszy, która panowała, Paweł słyszał cykanie zegarka kieszonkowego, echowy szmer wielkiego ściennego zegara w jadalnym. Nie żałował już uciekających godzin, jak przedtem w salonie księżnej, gdy z naiwnym smutkiem wywnętrzał się przed księżniczką. Uczyniła się w duszy spokojna obojętność, przemawiało fizyczne zmęczenie, kleiły się oczy...

Obroński wskazał katechizm, z którego w szkołach uczą się dzieci. Mała książeczka, złożona z zapytań i odpowiedzi... Matka wymagała niegdyś, żeby umiał na pamięć... koledzy w gimnazjum wyszydzała... Wolno płynęły sennie wspomnienia. Widział dalekie dnie dzieciństwa, sypialny pokój matki, jej fotel, kolor sukni i falbanę, rękę z pierścionkiem, która przewracała stronicę, serwetę na stole, zarys drzewa, które rosło za oknem. Wynurzały się w umyśle wyrazy i okresy, które z cierpliwem znudzeniem powtarzał za matką.

— Obroński doradzał... Ale jakaż dla człowieka, przerażonego śmiercią i marnością życia, zawiera się pociecha w dogmatach o Trójcy i Odkupieniu, w opowieściach o raju i stworzeniu, w suchych kategoriach grzechu?—próbował rozważać.

Nie był już zdolny do pracy. Ospałe myśli wikłały się i urywały się—wreszcie usnął...

Ocknął się w popłochu, strwożony i zawstydzony, niby złapanym na gorącym uczynku, jak gdyby komus uchybił... Rozglądał się chwilę. Świece pogasły, lecz w pokoju czynił się brzask. Instynktownie poszedł ku oknu, od nocy do światła. Krótki sen pokrzepił go i orzeźwił. Patrząc na ciemne wieże kościoła, wytężał pamięć, żeby odgrzebać tę jakąś rzecz doniosłą, tę najważniejszą sprawę, którą opuścił, której uchybił, zasypiając... A jednocześnie oczy z uciechą witały dzień. Niebiosa, czarne i groźne w nocy, pobielały i, łagodnie zachmurzone, zdawały się przema-

wiać cichym świtem. Była to dobra i prosta mowa o życiu. W nadziei poranku rozplynał się postrach śmierci. Paweł przypomniał sobie owo zagadnienie, którego nie rozstrzygnął, najpilniejszą sprawę wczorajszego dnia i ze spokojem przez mgnienie zatrzymał na niej myśl... Nie chciał podejmować na nowo zawitych dociekań... Umysł nie powziął wiadomości, ale męka ustąpiła z serca, jak noc i było w duszy jakieś nieuchwytnie poczucie, była ufność, zbudziła się siła, której nie potrafiłby określić, niezawodna, wynikająca z radosnego przeświadczenia.

XXI.

Wiadomość, która kilka razy w przeciągu nocy obita się o obojętne uszy Pawła, była prawdziwą. Na początku szeptana tajemniczo i powtarzana z ust do ust z pewnem niedowierzaniem, o południu następnego dnia brzmiała już w mieście całym, jak dzwon. Usłyszał ją zamknięty w swojej odludnej i odległej samotni Śniałowski i przyjął chłodnem sercem. Na bohaterski chępliwy patos Żyda-sąsiada odpowiedział wzruszeniem ramion, gestem zniechęcenia, krótką i niejasną uwagą, że to jest krok w tył, przerwał rozmowę i stanął swoim zwyczajem pod oknem, żeby patrzeć ku rzece. Gość, który spodziewał się innego przyjęcia, wyszedł wielce niezadowolony. A Śniałowski myślał o syzyfowym trudzie pokoleń, o złudzeniu i wiekuistej ślepotie tłumów, o złym demonie dziejowym, który naigrawa się z ociemniałego cyklopa... Potem coś wypchnęło go na ulicę. Ujrzał radość, gwarne życie, spotykał gadatliwych znajomych, którzy opowiadali, szczęśliwych proroków... Zgnębione, posępne, milczące od szeregu dni miasto urządziło sobie uroczyste święto... Stało się to, co przewidywał. Naród ugiął się pod ciężarem przeznaczenia, nie udźwignął wielkiej idei, nie dorósł do czynu. W chwili twórczej, gdy niezmierna miłość, odwaga i poświęcenie mogły dokonać cudu, gdy z woli ducha miało wyrosnąć dzieło zbawienia — przemogli małoduszni, umiarkowani, synowie ziemi i ciała... Chodziło o zwycięstwo, zadowolono się wygraną. Ezaw zrzekał się praw swoich i posłannictwa za miskę soczewicy i wygodę wytchnienia, skarb przyszłości przehandlowano na zysk jednego dnia... I głos wołającego przebrzmiał wśród zgietku bojaźliwych, w pustyni obumarłych dusz...

Pogrążony w gorzkim dumaniu, ze zgryzotą na czole, z niechęcią w spojrzeniu Śniałowski szedł przez radosne ulice. Kiero-

wał się do t. zw. punktu zborowego, tam, gdzie było jądro jego własnej organizacyi, owych nielicznych siódemek, które w snach wyobraźni, podczas okresów zapału, stawały się nieprzeliczoną rzeszą, wojskiem niezwyciężonem, pospolitem ruszeniem. Chciał podzielić się z nimi wieścią, oświecić, ostrzedz przed złudzeniem, zamierzał dać miastu lekcję pogładową i urządzić coś w rodzaju żałobnego pochodu, żeby opamiętać tłumy i ślepych jego wodzów... To też zebrawszy tyle, ile się dało, towarzyszków, rozkazał wziąć czarny sztandar i ruszył do miasta. Nikt ich nie zaczepił, nikt nie przeszkadzał. Przechodnie przyglądali się zapewne ze zdumieniem, nie rozumiejąc przyczyny żałoby, ale trudno było każdemu tłómaczyć... Nie o przeciętnych gapiów szło zresztą Śniałowskiemu. Przypuszczał, że spotka dawnych sprzymierzeńców, przedstawicieli partyi, która, zdaniem jego, zdradziła sprawę, spodziewał się, iż przyjdzie do wymiany zdań, do sporu i walki, że zwycięży i przekona, że tłumy usłuchają nauk jego, marzyła mu się ogromna manifestacya... Przedsięwzięcie spełzło na niczem. Zwyczajny spacer kilkunastu ludzi, skupionych dokoła czarnej szmaty, zakrawał na niesmaczną farsę... Śniałowski, w którym wobec opozycyi budził się zaciekle upór fanatyka, zostawiony sobie samemu, nie rozdrażniony przyznawał się łatwo do błędu i zmieniał zdanie. Przewrót dokonywał się w nim i teraz. Idąc wolno za towarzyszami, rozważał. Doniosła wiadomość przedstawiała mu się w innem oświeceniu, zaczynał wysnuwać odmienne wnioski. To, co w pierwszej chwili zawodu, w rozjątrzeniu, wobec płytkich zachwytów wielomównego Żyda, nazwał „krokiem w tył“, gotów był już uważać za początek, za pierwszą zapowiedź, za brzask nowego dnia. Krótkie komentarze, niektóre szczegóły i objaśnienia, zasłyszane tu i owdzie od znajomych, nadzieje, które unosiły się w powietrzu, podniecały wyobraźnię, karmiły marzenie—i zapaliła się w nim dusza. Przerzucił się, jak zwykle, od skrajnego wątpienia do namiętnej wiary. Sprzykrzyła mu się nieodpowiednia jego usposobieniu rola bezczynnego, sceptycznego widza—wolał zagrzewać i działać. Chłodne zniechęcenie, które sztucznie podtrzymywał w sobie od kilku dni, stopniało na ulicy niby bryła lodu w słońcu, uniósł go zapał powszechny, porwała radość... Jak strzała, puszczona z dalekiego łuku, padło tu słowo wolności, a wolność jest wiosną—myślał—i czas jest pracy. Będzie tedy hojną ręką rozsiewał ziarno mocy i zazielenią się łany, i zbliży się dzień żniwa. Tym, którzy cieszą się dziś, krótkowidzom, ukaże dalekie drogi, dalekie szczęście odrodzenia, i pójdą za nim pełni nadziei... w synach ziemi i ciała obudzi ducha,

a w duchach wiekuiste pragnienie... usłuchają go... Większa jest siła w ludziach radosnych, niż w znękanych więźniach, i szybciej posuwa się praca w blasku słońca, niż w mroku nocy...

Dojrzał w nim nowy plan. W pewnej chwili zatrzymał się. Zerwawszy żałobny sztandar, przemówił do zdziwionych towarzyszków.

— Myliłem się—wyznał—nie jest to godzina smutku. Mylą się także ci, którzy głoszą zwycięstwo. Dzień nasz daleki, ale tembardziej należy działać...

I rozwijał przed nimi długo, uniesiony zapałem, myśli swoje, które wybuchały, rodziły się niespodzianie, płynęły nieokiełzane, myśli marzyciela... Zebrała się spora garstka ciekawych...

Potem ruszyli dalej. Na jednej z ulic otoczyli żołnierzy; Śniałowski ścisnął im ręce na znak braterstwa, obejmował, zawierał przymierze, darowywał winy... Nie zrozumieli mowy jego, ale uśmiechały się ich proste muzyckie twarze — i poszli razem. Gdzieindziej Śniałowski kazał otworzyć sklep z kwiatami, obstawił wieniec i złożył go u stóp posagu wieszczka... Spotkanego księdza prosił, ażeby po kościołach uderzono w dzwony... Przebiegał zaułki ubogich dzielnic i zapowiadał odpoczynek dla spracowanych, chleb dla nędzarzy, schronienie dla bezdomnych, nastanie nowych czasów... Wpadł po drodze do domu, gdzie onegdaj zmierzzył się być z pokusą, i spłoszone kobiety, które kryły się w negliżach, nawoływał do poprawy. Nazywał je siostrami... Dostrzegł na ustach owej rudowłosej bachantki uśmiech szyderczy, wziął ją za rękę, zajrzał jej w oczy, szepnął jakieś słowo... Wszędzie, gdzie tylko więcej tłoczyło się przechodniów, zatrzymywał się i przemawiał... Gorący okrzyk o miłości i czynie poświęcenia płonął mu na wargach... Miał moc w głosie i akcenty niewymownej wiary i zwracał na siebie uwagę, ale wpadał, jak zwykle, w ton kaznodzieja. Ludzie stawali, przyglądali się mówcy i zapytywali o nazwisko, które było poniekąd znanem w mieście, niektórzy odchodzili, inni szli za nim, żeby jeszcze posłuchać.

Mówców było już wielu. Ze stopni świątyni starzec-patriarcha trzęsącym ze wzruszenia głosem przed nielicznem audytorjum powtarzał zapomniane słowa dawnego pielgrzyma polskiego:

„Zasługa dla ojczyzny jest jako proch. Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy, huku i stuku. Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wyróci ziemię i mur z hukiem i stukiem, ale ludzie mówić będą: zaiste było tam wiele prochu, chociaż było niewiele, ale w zakopaniu głębokiem.“

— Głośniej!—wołano.

„Przetoż i zasługa schowana głęboko pokaże się sławnie— wysilał się starzec—a kto ją tak schowa, że na tym świecie nigdy nie pokaże, ten ukaże się w wieczności, i huk jej będzie nieskończony, i blask jej nigdy nie gasnący, i skutek jej na wieki...”

— Na tamtym świecie!

— Po naszej śmierci...

— My jeszcze żyć chcemy!

— Wszystko głupstwo w porównaniu z wiecznością!...

Żartowano... Ktoś śniał się... Zawiedzeni i zniechęceni słuchacze rozeszli się.

„Zasługa dla ojczyzny jest jako ziarno...” — gasły na ustach starca słowa.

Dalej wśród tłumu rozległo się donośne wołanie Rzyźniewskiego. Śniałowski zatrzymał się, wyteżył uwagę.

— Ludu, odniosłeś zwycięstwo! — unosił się poeta. — Ludu bohaterski, twoje to jest dzieło! Ludu męczeński, biję przed tobą czołem! Po wiekach niewoli zbudziłeś się, wyrzekłeś słowo mocy i stargałeś pęty... Nie usłuchałeś nauk fałszywych proroków, którzy wepchnąć chcieli naród na drogę upodlenia — w krzepkiej duszy swojej znalazłeś prawdę i żywot... Ty jesteś odrodzeniem... W ręce twoje składamy buławę i berło, i arkę przymierza...

— Wodzu i poeto! prowadź nas... pójdziemy za tobą! — odezwał się nagle Śniałowski.

Powieściopisarz urwał i, nie poznając głosu, szukał oczami tego, który się zwracał do niego.

— Pójdziemy za tobą, wodzu! — powtórzył Śniałowski.

Rzyźniewski znalazł go w tłumie i odwrócił spojrzenie. Przez chwilę stał zmieszany, milczał. Zdumieni słuchacze czekali. Należało mówić...

— Prowadzić nie mogę, sam pójde za wami — ciągnął dalej. — My wszyscy zbłąkali... Obcych szukałem bogów, pełniłem służbę w cudzej krainie... Wróciłem, żeby zostać, żeby dzielić dolę i niedolę... Chlebem waszym żyć będę... Niech zaświeci na ziemi naszej blask świętej w dziejach człowieka trójcy: wolności, równości i braterstwa... — kończył cicho, bez patosu i jakgdyby bez przekonania.

Zeskoczył szybko z podwyższenia, chciał skryć się. Ale złapał go Śniałowski i klepiąc lekko po ramieniu, rzekł dziwnie:

— Nie zgodziliście się być wodzem, to my was poprowadzimy...

A gdy powieściopisarz uśmiechem spróbował zaznaczyć, że rozumie żarty, Śniałowski pociągnął go bez ceremonii.

— Chodźcie... to nie łódka! załatwimy rachunek—dodał zupełnie poważnie.

Ruszyli. Rzyźniewski otoczony przez ludzi nieznanych i posłusznych „temu nieobliczalnemu fanatykowi,” zbladł trochę, ale nadrabiał. Mówił coś po drodze o wypadkach, wydobył z siebie parę ogólnikowych frazesów, starał się wybadać grunt, zadawał pytania...

— Nie wiem, na co potrzebną wam jest moja osoba... zapewne jakiś fantastyczny projekt... mam być zakładnikiem... porwaliście mnie i uwięziliście niby króla, a ja prosty śmiertelnik—gadał, siłąc się na wesołość.

Śniałowski nie odpowiadał mu. Tak doszli ulicą odludną do rzeki. Pisarz z trwogą obejrzał pustkę miejsca. Ostatnie domy zostały dosyć daleko, przechodniów nie było zupełnie. Z twarzy towarzyszków, którzy rozmawiali między sobą półgłosem i wodza tej niezwykłej wyprawy nie mógł poznać, na co się zanosili. Brał go strach. Sytuacja była niepewna, a może i niebezpieczna. Nie chcąc narażać się na śmiech i wywołać skandalu, nie opierał się był dziwnemu rozkazowi Śniałowskiego, teraz gorzko żałował, że nie bronił się, że nie krzyczał o pomoc, jak człowiek napadnięty przez zbójów. O ucieczce nie mogło być mowy, był całkowicie we władzy szalonego młodzieńca i jego współników. Oto poraz drugi ten sam człowiek zachodził mu drogę i gnębił... Jakiś fatalizm zetknął ich ze sobą... Po owym epizodzie na łódce należało przewidywać, że obłąkany fanatyk będzie się mścić i należało uciekać... Obecnie zapóźno... Cokolwiek postanowił ten szalowiec, wykona... Zechce go zastrzelić, albo utopić...—przelatywały w głowie pisarza niedobre myśli... Zaszło mu w gardle, odczuł chłodne mrowie... Poszukał oczami wzroku Śniałowskiego. Zawzięty młodzieniec miał na wargach uśmiech, który nie rokował nic pomyślnego... Tak na obliczu człowieka śmieje się zemsta...

— Ostatecznie pragnąłbym wiedzieć... nie rozumiem... tego już za wiele... — odezwał się Rzyźniewski, jak mógł, najbardziej obojętnie.

Drżały mu usta, gdy mówił, głos był zduszony.

— Dowiedcie się zaraz... pośpiech zawsze zawadza...

Zatrzymali się. Śniałowski kazał przynieść sobie kamień i worek, potem usiadł na jakiejś belce i popadł w zadumę. Było milczenie, upływały długie chwile. Wśród ciszy pluskały u brzegów na piasku fale... Powieściopisarz pomimowoli słuchał posępnej mowy zimnych nurtów, patrzył w chłodną twarz wody... Biegła kędyś ku szarej dali niebios rzeka... Na tamtej stronie

po spłowiełej łączce chodziła obojętna krowa... Wzrokiem autora, przyzwyczajonym do badania, chwycił spostrzeżenia i nie myślał w tej chwili o niczem. Cekał... Zdawało mu się, że niema żadnej nadziei. Gwar nurtów potwierdzał grozę przeczucia... Spojrzał jakgdyby z pożegnaniem ku miastu, na drogę, którą przyszli tutaj. Zamajaczyła sylwetka ludzka—krótka radość złudzenia, że to jest ratunek... Nikt nie zbliżał się... Owa postać zatrzymała się w oddaleniu i czekała. Zgasło dobre mgnienie. I przychodziły wolno minuty... Fale rzeki mijały szybko, ale Rzyźniewski miał wrażenie, że czas nie upływa, że stoi i trwa... Śniałowski zagwizdał coś skocznego, tamci rozmawiali. Pisarzowi, na którego nikł nie zwracał uwagi, przyszło na myśl, iż rola jego jest przedewszystkiem śmieszną...

Na ulicy wśród białego dnia w tłumie garstka podejrzanych indywiduów dokonała gwałtu nad znanym autorem... Jakiś pierwszy lepszy narwaniec kazał mu iść—poszedł... Szedł przez całe miasto... kazano stać — stoi posłusznie... I drwią z niego, zapewne, że taki pokorny, że poddał się i uznał ich władzę. Uległość była tchórzostwem, a zamiast trwogi...

— Wyznaję, iż dosyć mam tej niedorzecznej farsy—odezwał się niedbale — znudziło mi się... możecie zostać tu i gapić się na wodę, ile wam się podoba — ja pójdę...

— Ani kroku — krzyknął Śniałowski.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Nic...

— Ja nie pozwolę żartować z siebie... Nie chciałem robić skandalu i nie opierałem się, ale teraz...

— Spróbujcie krzyczeć... to ulży wam... nikt nie usłyszy... — spokojnie mówił Śniałowski.

I dziwnie śmiały się jego oczy.

Pisarz zrozumiał, że go nie puszczą i zamilkł. Słomiany ogień gniewu zgasł w powiewie strachu... Patrzył w posępne nurty rzeki. Cicho na piasku pluskały fale... Wody mknęły — czas zatrzymał się i trwał. Wśród pustki tego wybrzeża, pod rozległym obszarem zachmurzonych niebios Rzyźniewski odczuwał małość i bezsilność własną. Miasto, ulice, któremi się spaceruje bezpiecznie, dom, wielbiciele i przyjaciele, życie, spokojne i łatwe—to wszystko daleko, i jest tu sam oko w oko z tem, co ma przyjść... Nikt nie wybawi go z ręki szaleńca... Spełnią nad nim wyrok... Bywały już podobne wypadki... I oto on, sławny pisarz, mimo że pozyskał sympatye partyi, zginie naraz bez wieści... Pogadają ludzie i zapomną...

Odsunął straszne przypuszczenie, nie chciał wierzyć, nie mógł tego pomyśleć... Zwiesiwszy głowę, zaczął przechadzać się, żeby rozgrzać się, żeby zabić niepokój. Tamci strzegli go, ale nie przeszkadzali.

— Czyż wczoraj... co to było wczoraj? posiedzenie komitetu — wspominał Rzyżniewski — czyż wczoraj przeczuwał choć przez chwilę, że znajdzie się na brzegu rzeki za miastem, otoczony przez ludzi, knujących niedobry zamiar?... A za godzinę, kto wie, kto wie?... Jeśli Śniałowski jest tak fanatycznie zaciętrzewiony, jak opowiadają w partyi ci, którzy znali go dobrze, wszystko jest możliwem... Nie zatrzyma się przed niczem — i wówczas...

Znowu myśl dotarła do strasznego kresu — więc cofnął ją z pośpiechem.

— Nie może to być! Nie będzie tego! — pocieszał siebie — Ostatecznie on nie zawinił, nie zdradził... I nawet Śniałowski żywi zapewne szacunek dla talentu...

Ale ów talent, przed którym czołem bili młodzi, na którym budował nadzieje życia, wydawał mu się w tej chwili wątpliwym puklerzem... Tu, pod niebem niezmiernym, wśród pustki, odczuwał tylko małość własną i bezsilność...

— Pisarzu i wodzu! — odezwał się Śniałowski — porozmawiajmy trochę. Skróci się nam czas...

Rzyżniewski nie przerwał swego spaceru.

— Byłeś siewcą, byłeś nauczycielem — mówił tamten. — Uczyłeś młodych, że życie winno być uciechą, pisałeś o jakimś szczycie radosnym i płasaniu, wyszydzałeś wszelkie omamienia, najgłębsze kłamstwo idei, katechizmy niewolniczych dusz... Czytałem pilnie wszystkie dzieła wasze... Opowiadaliście, że trzeba brać śmiałą ręką, brać kobietę i puhar, że słaby pragnie i tęskni, a silny jest nasycony, twierdziliście jeszcze, że w rozkoszy osiąga się prawdę, nieśmiertelność... Otóż zapytuję, czy i teraz, tu, w tej chwili gotowi jesteście powtórzyć... Jakoś zimno wam jest i straszno...

Była chwila milczenia.

— Nie znaliśmy się przedtem — ciągnął dalej fanatyk — ale oddawna chciałem przy spotkaniu naplwać wam w twarz i wyznać, że ucieszyło się we mnie zwierzę, gdy dostojny pisarz zaśpiewał glorię... Gdybyśmy wszyscy wyciągnęli śmiałe ręce po puhar i kobietę i wszyscy zechcieli nasycenia...

— Nie pora teraz na dysputy — zauważył powieściopisarz, rad, że rzecz bierze obrót sporu doktrynerskiego, że w Śniałowskim obudził się gaduła.

— Nie pora, zwłaszcza dla was. Uczynmy lepiej wspólnie rachunek sumienia. Pisma były podłe, a życie? Nie wertowałem waszej biografii, domyślam się... I znowu zapytam, jakim sposobem znaleźliście się naraz wśród niewolników, wśród tych, co nigdy nie zaznali nasycenia?

Śniałowski zaczął się śmiać.

— Jakim sposobem i jakim prawem wy z ludem? z ludem męczeńskim i bohaterskim? Nie wierzyłem uszom własnym!... Nauka o trudzie, o walce i poświęceniu, miłości i męstwie zakwitła w poezjach waszych i na ustach... Porwaliście mnie — i pragnąłem wypróbować... Pamiętacie na posiedzeniu?... Wśród chłodnych, bezdusznych, ślepych, w was jedynie znalazłem płomień i siłę... Poszliśmy razem...

Śmiał się znowu. Od słów poważnych, wypowiedzianych jakgdyby z namaszczeniem, przechodził do wesołości.

— I przekonałem się, czym był ów płomień i jaką siłą... Ale, że wyznałem przed wami zbyt wiele, nie mogę puścić płazem... Wolę pozbyć się niebezpiecznego rywala...

Uśmiech nie schodził z twarzy Śniałowskiego. Autor badał go podejrzliwie i to nabierał otuchy, to tracił nadzieję. Trudno było wyrozumieć... W każdym razie bezpieczniej byłoby siedzieć przy biurku w tej chwili i tworzyć... Od czasu do czasu spotykały się ich spojrzenia.

— Obmyśliłem karę... Lud potwierdzi mój wyrok. Zechciełście stać się wodzem i ruszyłyby za wami tłumy, ale droga jest zła. Było już nieszczęście niemało z powodu fałszywych proroków... Słowa nie potrafiliście uszanować — i za to spada kara... Oto jest rzeka, z którą zawarłście już raz znajomość...

Rzyżniewski pomimowoli spuścił oczy. U stóp jego pluskały fale.

— Widzę, że niosą worek. Za chwilę przekonacie się, że radość nie trwa długo, że człowiekowi, który idzie na dno, nie wypada zbyt wiele rozprawiać o szczęściu...

— Zwiążcie go! — zwrócił się Śniałowski do towarzyszków.

Pisarz nie stawiał oporu. Skrępowano mu ręce. Zauważył przygotowany worek, błysk uciechy na twarzach chłopców, spróchniałe zęby u jednego z nich... Drobnie, przelotne spostrzeżenia stanowiły całą treść myśli. Ostatniem spojrzeniem ogarnął powierzchnię płynących nurtów, dał zachmurzonych niebios... Narzucono mu wór na głowę, powalono na ziemię. Słyszał, że Śniałowski zanosi się od śmiechu — czekał. Nie odczuwał już strachu... Doznał tylko zdziwienia, że to się stało tak prędko, że

on pogodził się tak łatwo... Wsłuchiwał się w ciszę, w oddech własny i łomotanie serca. Raz-dwa, raz-dwa — przeliczył. Potem naraz, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zaczął krzyczeć... Gdy zamilkł, wydało mu się, że nikogo niema. Cisza trwała... Wówczas pomyślał, iż zostawili go tu na pustyni i odludnem wybrzeżu, żeby umarł z głodu... Uczynił rozpaczliwy ruch, szamotał się, trzepał nogami, aż przysły więzy niemocne na nogach i rękach. Wstał... Był sam, kapelusz leżał na piasku...

Rzyżniewski ruszył do miasta. Nie oglądał się za siebie, szedł ze spuszczonej oczami, jakgdyby wstydził się rzeki, niebios i owego parkanu, który ciągnął się wzdłuż drogi... Dopełdził kobietę, idącą wolno, a wymijając poznał, że to była Hanka, uczuł na sobie jej wzrok...

*

*

*

Śniałowski na czele swojej siódemki w dalszym ciągu przebiegał miasto. Chciał być wszędzie, żeby w każdym miejscu cisnąć gorejącą żagiew. Od czasu do czasu zatrzymywał się i słuchał mówców. Jeśli to byli ludzie odmiennego zdania, zmuszał ich do milczenia i sam zabierał głos, zagrzewał, budził, rozpałał. W słowach jego nie było treści praktycznej, wskazań, żądania, przelewało się tylko płomienne uczucie. Mówił o wolności i braterstwie, o jakimś dziele, które musi być dokonaniem, o zwycięstwie ducha nad ciałem, o nowej epoce i pierwszym dniu... Hymn uniesienia wrzał mu w duszy i wynagał, ażeby tak samo i to samo odczuwali wszyscy. Stoczył walkę z mecenasem Różyckim, który zatrutymi strzałami godził w narodowców i, zwyciężywszy go, porwał za sobą słuchaczy; nie uszanował powagi Jana Żabskiego, który wydał mu się chłodnym i martwym; zdeptał Klemensa Piusa Drzazgę, który w swojej granatowej czamarze gadał na wszystkich rogach ulic... Jak człowiek, który śpiewa, nie słyszy nic prócz własnej melodyi, a im większą jest wrzawa dokoła, tembardziej podnosi głos, tak samo Śniałowski, przejęty ideą, przestawał widzieć, odróżniać, zastanawiać się i posuwał się coraz dalej w swoim zapale... Spotkawszy obojętnego i zasepionego Pawła, wziął go w objęcia, ścisnął i powitał dobrem słowem, jakgdyby nie było między nimi niezgody.

— Dążyliśmy, druhu—rzekł—i zeszedliśmy się u celu. Pójdziemy znowu razem. Spieraliśmy się niegdyś, a widzisz, moc ducha zwycięża. Runęły mury więzienia — teraz do dzieła...

A zauważywszy zimne spojrzenie przyjaciela, dodał:

— Mówiłeś wczoraj o śmierci... Duch narodu jest nieśmiertelny i droga prowadzi w nieskończoność, istnieje moc odwieczna. Krótkie lata człowieka martwego jak kałuża. Spłyn żywym strumieniem do morza i trwaj w morzu...

Paweł nie odpowiadał.

— Wystąpiłeś z partyi, wyrwałeś się z niewoli.— Idź i działaj, ty w jedną stronę, ja w drugą... potem spotkamy się...

Rozstali się. Paweł patrzył chwilę za nim...

Koło kościoła, przed posągiem Zbawiciela, dzwigającego krzyż, Śniałowski ukląkł i improwizował modlitwę w zdaniach zawitych i niejasnych... Upojony mocą i szczęściem Temu, który niegdyś błogosławił prostym, cichym i uciśnionym, opowiadał, że zwycięża sprawiedliwość, zmartwychwstaje prawda Jego, że nastaje Królestwo dobra na ziemi...

„Błogosławieni, którzy łaknęli i pragnęli sprawiedliwości, albowiem oni są już nasyceni... Błogosławieni, którzy płakali, albowiem zakwitła im radość... Błogosławiony niech będzie Ten, który miłował, bo spełniło się proroctwo Jego, a ziarna Jego wzeszły... Tratowały stulecia niwę Twoją, ale przyszedł dzień pokoju...”

Powtarzał Śniałowski, nie zważając na to, iż w tłumie niektórzy drwili z niego... A ruszywszy dalej, znowu próbował rozbrajać żołnierzy, bratał się z przedstawicielami władzy, nawoływał do miłości, zgody i radości... Na placu, najbardziej ludnym, z balkonu ogłosił zebranym, iż w dniu następnym odbędzie się wiec przedstawicieli wszystkich warstw, na którym utworzy się rząd „miłujący, opiekuńczy i braterski...”

Był w jakiejś drukarni i, napisawszy naprędce odezwę, kazał ją drukować. Zwracał się w niej do bogatych i żądał, żeby natychmiast złożyli część swoich funduszów, bo nie powinno być głodnych i ubogich w ziemi odkupienia, bo skończyło się trwanie zła... Działał i przemawiał w stylu proroka biblijnego, i budził zdumienie, i szczupłała dokoła niego garstka sprzymierzeńców... Zaczynano już szeptać, że to jest obłąkanie... Ale Śniałowski nie dbał o uznanie, zresztą, pogrążony jak gdyby we śnie, nie widział rzeczywistości, obcował z własnem marzeniem — i nawiedzały go coraz dziwniejsze pomysły...

Przechodząc koło pałacu o zasłoniętych oknach, który wyglądał jak dom żałoby, stanął naraz, otworzył bramę, potem dzwonił, kołatał, dobijał się do drzwi. Czekał. Stali z nim towarzysze, napłynęli zaciekawieni gapie, tłum wzrastał... Wreszcie w jakimś oknie ukazała się twarz wystraszonego lokaja, który cofnął się pośpiesznie. Śniałowski czekał jeszcze chwilę, potem rozpoczął szturm. Rozbawiony tłum dopomagał mu. Posypały się kamienie, rozbito kilka szyb, próbowano wyważyć odporne drzwi. Ale otwały się po niejakiś czasie same i stanął na progu Obroński. Nie okazywał zupełnie trwogi. Przebiegł spojrzeniem po ciżbie, przyglądał się chwilę Śniałowskiemu i spokojnie zapytał:

— Czego chce ta hołota?

Zdawało się, że właściciel pałacu tłumy śmiech.

— Przyszedłem rozkazać, ażeby ten dom, który wygląda jak upiór przeszłości, ozdobić chorągwiami radości — apatycznie wytłumaczył wódz, patrząc w ziemię.

— Nie usłucham... — Obroński uśmiechał się.

— Głodni są ci, którzy przyszli ze mną... zasiądą do stołu, nasyceni pójda — bez mocy rozkazującej, jednostajnym głosem dodał Śniałowski — w tym dniu...

Obroński napróżno rozweselonym spojrzeniem szukał jego oczu.

— Pan zna mnie chyba... nie tak łatwo ze mną... Jeśli nie rozejdą się zaraz, poradzę sobie... mam dużo służby i broń... a pana, panie Janku, przyjmę najchętniej... urządzimy sobie dyskusję — żartobliwie, jak do dziecka, a zarazem przyjaźnie, przemawiał Obroński.

W Śniałowskim zaszła zmiana. Nie uniósł się, nie rzucił się na właściciela pałacu... Ważył coś w sobie, patrzył w ziemię. Zawiedzeni towarzysze oczekiwali rozkazu.

— Rozchodźcie się! — krzyknął Obroński.

Tłum poruszył się i cofał się chwiejnie, powoli posuwał się ku bramie. Ustępowali niechętnie... A gdy poszli wszyscy, wówczas Obroński pociągnął wodza, ogarniętego zadumą i zatrzasnął drzwi.

— Teraz — rzekł — niema już hołoty i gotów jestem słuchać — w głosie jego był wciąż śmiech.

Ruszyli na górę. Śniałowski ze zdumieniem obejrzał przepych schodów i sali, wiódł wzrokiem po rzeźbach i obrazach, wyglądał oniesmielony.

— Nie widzieliśmy się oddawna... — zaczął gospodarz.

— Oddawna...

Zapadło milczenie. Śniałowski przypatrywał się wciąż z zajęciem. Niektóre twarze na portretach, niektóre posągi przypominały mu czasy dalekie, gdy dzieckiem bawił się w komnatach wiejskiego pałacu Obrońskich.

— Czy nic się tam nie zmieniło? — spytał cicho.

— Nic... Pan chyba otrzymuje listy?...

Zaległa cisza. Młodego fanatyka obezwładniła zaduma... Widok Obrońskiego, dźwięk jego głosu, owo poufale „panie Janku,” gobelin salonu—to wszystko obudziło w nim ukryte uczucia. I płynął mu przez duszę powiew ze stron rodzinnych, zmartwychwstawał obraz serdeczny domu, który porzucił w dniu burzy, w twardej godzinie życia, ukazywała się droga postać tej, którą nazywał siostrą duszy... Zdawało mu się, że śni... Majaczyła w oddali dolina przeszłości—szedł ku niej stęskniony... Obrońscy, tak zwany stary pan, potem syn, byli jaśnie oświeconymi dziedzicami, ojciec zarządzał ich ordynacją. Cienisty park oddzielał białą oficynę administracyi od pałacu... pamiętał ciemne aleje, znał wszystkie drzewa... Były tam pewne najdroższe zakątki... W pałacu, albo w cieniu jesionów spędzali nieraz całe popołudnia, młody ordynat, ona i on, wrzały gorące rozmowy... Młody ordynat był rozumny, chłodny i szydlerczy... nie wierzył, zaprzeczał... jej oczy słuchały i dusza-siostra szła za nim... Świecące i drogie, słoneczne i błękitne dnie młodości... I przysło naraż to szczęście... Idea, niby strumień, nurtujący w głębiach, wyrwała przepaść... Pewnego wieczora zapowiedział ojcu, iż uważa pracę jego, wspierającą wielką własność, za nieuczciwą, że nie chce korzystać z pieniędzy, zarobionych w sposób nieszlachetny, że nie może zostawać pod jego dachem... i odjechał na zawsze... Nie widział ich więcej, chyba wspomnieniem, chyba w gorzkich nocach tęsknoty człowieka samotnego... Tymczasem w chwili, kiedy najmniej się spodziewał, otoczyli go wszyscy kołem i zawołali nań po imieniu, owym drogim „Janku” wzywali do powrotu...

— Czy pan wiedział, przypuszczając szturm, który nie będzie zaliczon między zaszczytne dzieła pana, że to jest mój dom? — zwrócił się Obroński.

— Nie.

— Mieszkając od tylu lat w tym mieście, pan nie poznał?!

I znowu zapadło milczenie.

— Byłem dziś na ulicach, chodziłem. słuchałem pańskich przemówień. . Pan wie, że nie potrafiłem pokochać tłumów... Nie odzywałem się tedy tam, ale tu zapytam, do czego pan dąży?...

Śniałowski podniósł zamyślane oczy.

— Jakiem ma być to radosne dzieło, do którego pan nawołuje — ciągnął dalej Obroński — ów czyn odkupienia, owe odrodzenie?... Podział dóbr? republika demokratyczna? Nie zadawałbym podobnych pytań przeciętnemu demagogowi, bo wiem, że takim chodzi jedynie o łaskę motłochu; ale pan szczerzy jest i szczerze wierzy...

— Słuchałem uważnie, nie znalazłem wszakże idei przewodniej. W jakim stosunku jest konstytucya, którą dziś dali, jutro mogą cofnąć, t. j. pewna suma najpospolitszych praw, przysługujących rozmaitym głupcom we Francyi, w Belgii, w Norwegii, do królestwa Bożego, które pan zapowiadał?

— Jesteśmy wolni, a wolni stworzymy sobie życie podług praw ducha — niechętnie wstawił Śniałowski.

Ordynat popatrzał na niego uważnie. Po chwili mówił dalej, ale nie w tonie zaczepnie pogardliwym, w którym zwracał się zwykle do przeciwników. Obroński miał utajoną sympatyę dla rozczochranego zawadyckiego fanatyka... Wiązały ich wspomnienia.

— Czy długo potrwa ta wolność, to się pokaże... Wezmą nas, panie, jeszcze w kluby... Ale przypuśćmy nawet, że rząd runął, że rządu niema, jak wykrzykiwał na rogach ulic najgłupszy Klemens Pius Drzazga, że możemy sami o sobie stanowić... Do raju jest jeszcze daleko...

— Proletaryat, którego pan byłeś adwokatem czy apostołem, obejmie rządy... Zgoda... Od stu lat wmawiano w niego, że ma prawo do władzy, podburzano go przeciw reszcie społeczeństwa, rozwijano egoizm klasowy... Jak Żydzi w starym testamencie, tak w czasach dzisiejszych proletaryat miał być narodem wybranym... Prowadziliście do ziemi obiecanej i, jakkolwiek żaden nie zjawił się wśród was Mojżesz, jakkolwiek nie przyświecał w tym pochodzie słup ognisty, doprowadziliście... Oto jest ziemia obiecana... — spokojnie, bez gniewu, przychylnie tłómaczył Obroński.

Zadumane oczy fanatyka błędziły po sali. Zdawało się, że nie słucha... Znękanie osiadało mu na twarzy...

— Proletaryat, doskonale zorganizowany, solidarny w walce z innemi warstwami, odważny, bo prześladowany, uszlachetniony w ucisku, zagarnął władzę... Nie chciałbym doczekać tego dnia, ale mniejsza o to... Stało się... Okres męczeński i bojujący — to są wasze własne epitety — skończył się, nastaje epoka tryumfu, i tu dopiero takim, jak pan, szczerym wyznawcom otworzą się oczy... Czytałem dużo pism waszych i broszur... Nazywaliście

walkę klasową, t. j. walkę egoizmów, bojem o ideały, twierdziliście, że wielkie idee świata żyją jedynie w zdrowych i bohater-skich duszach towarzyszków, że zgnilizna stoczyła resztę świata... I były pewne pozory. Używaliście najpiękniejszych szyldów, a okoliczności sprzyjały wam... Niektórzy wśród was sięgnęli po niepodległość, byli i tacy, którzy zaciekali się do porównania z chrześcijaństwem...

— Pan chce mnie oświecić i nawrócić?—oschle spytał Śniałowski.

— Ani jedno, ani drugie... Roztrząsam... Pan działał przez dzień cały, należy się panu odpoczynek. Mamy tedy czas... Wy-powiadam opinie, pan będzie je zbijał i może panu uda się udowodnić, że błędę — pojednawczo odparł Obroński, z pobłażliwością dla przeciwnika, którego miał pokonać, a nie chciał zniechęcać.

— Mówiłem o idei... Otóż wydawało mi się zawsze, że właśnie idei, mimo że popisywano się nią szumnie w obozie pana, brakowało, że nie było jej wcale. Przekonamy się jutro z panem... Czy pan myśli, że armia robotnicza usłucha mistycznych nawoływań i wyrzeknie się zdobyczy dla podniosłych fikcyj; że motłoch będzie szukał praw ducha, o których pan śnił, które zakwitły w poezyi naszej?... Rozbudzano apetyty, żądzę użycia, rozpowszechniano wśród nich naukę o szczęściu na ziemi... Głodni i spragnieni są oddawna, zazdrościli przez tyle czasu, oddychali zatrutem powietrzem, widzieli zresztą przykłady... Więc zasiądą do stołów z sutą zastawą i nikt ich nie oderwie... I pryśnie, panie, nawet solidarność klasowa... Każdy zechce zagarnąć więcej, rozpocznie się walka... W imię czego wodzowie, proszę pana, zabronią im używania? Doktryna materialistyczna wyda owoc, a po owocach poznane będzie drzewo...

— Zwalczałem ciało...

W głosie Śniałowskiego były chłód i zniechęcenie... Inaczej przemawiał przed laty, w cieniu prastarych drzew parku... Świeciły mu wówczas pilne, zasłuchane, pełne wiary, drogie oczy, w które patrzył, z których czerpał... Teraz z podziemia wspomnień wytrysło źródło tęsknoty i smutek, jak mgła, wznosił się nad sercem... Ognisty wóz zapału, na który wsiadł był z rana, złamał się, przeminęły porywy i sen upojenia... Pusto i posepnie było w ogromnym falonie magnata... Zapadał zmierzch...

— Pan zwalczał ciało?! — podchwycił ordynat — a dużo pan znalazł zwolenników? Mieszkam tu stale, śledzę, dowiaduję się, i jakoś nie słyszałem nic o powstaniu nowej partyi... Włóczyli

się za panem dziś gapie, przyszli na moje podwórze, żądni skandalu... Ale znudzą się rychło i poszukają miłszych mówców... Dzień ducha, o którym pan opowiadał im, nie obchodzi nikogo... Człowiek chce żyć wygodnie i wesoło i teoretyczne, zawarte w programach, dążenie do szczęścia ludzkości kończy się zwykle tak, iż ci, którzy mają możność, iż jakaś klasa używa przez czas dłuższy lub krótszy...

Obojętność słuchacza gasiła w Obrońskim ochotę mówienia. Zamilkł, nastąpiła cisza. Ku ścianom, na których majaczyły obrazy, spoglądali obaj.

— Pan potępia i wyszydza, ale nic pan nie daje—pochmurnie zauważył Śniałowski — wynika więc, iż należy stać w miejscu, gnuśnieć, patrzeć, jak do upadku idzie ludzkość...

Obroński nie lubił występować w roli nauczyciela i tylko w rzadkich okolicznościach, przyparty do muru, sięgał do głębi po ukryte myśli, po słowa wiary.

— Niech pan wykreśli na zawsze—rzekł wymijająco — najgłępszy, najbardziej pozbawiony treści i sensu plebejuszowski wyraz: ludzkość. Odziedziczyliśmy go po wieku XVIII-ym.

— Czy to ma być odpowiedź? Cóż dalej, panie?—obojętnie spytał młodzieniec.

— A reszta sama się znajdzie... Człowiek, dusza, jeśli pan chce, to początek i koniec... Są, panie, wytknięte odwieczne drogi...

Rozmowa urywała się. Dotarli do linii granicznej, którą przekracza jedynie poufna otwartość. Obaj woleli milczeć. Czar wspomnień, który połączył ich na krótko, prysł i ukazała się dzieląca ich przepaść. Śniałowski odczuwał teraz niechęć do magnata, który zabrał go do siebie, żeby deptać po jego wierzeniach i poić wielkopańskim wątpieniem, a z uczuciem niechęci mieszał się żal... Nie dla rozprawy politycznej zgodził się wejść, nie chodziło mu przecież o wymianę zdań, o wykład historyozofii... Zbudziła się była w sercu nadzieja, chciał odetchnąć tamtem powietrzem... Ta chwila słabości mijała — pokonał siebie... I wstał, żeby odejść.

— Jadwisia pamięta i często zapytuje — cicho powiedział Obroński. — Matka pana prosiła mnie i dlatego poruszam... Czy pan nie wróci?...

Śniałowski usiadł pośpiesznie i zwiesił głowę, jak człowiek, który przygotowuje się do słuchania długiej mowy o sprawach bliskich, a bolesnych, i zacisnął wargi, bo jakiś dreszcz przeleciał mu po twarzy... Czekał słów, które otwierałyby ranę i spływa-

ły tam niby krople trucizny, wyciśniętej z wonnych ziół... Ale Obroński nie dodał nic więcej.

— Pan dawno był tam... na wsi?

— Pół roku temu...

W tej chwili spotkały się ich spojrzenia. Śniałowski odwrócił wzrok. Upływały chwile milczenia — on czekał ciągle. Tłumił pytania, jęk serca, niecierpliwość ust, na które wybiegały wyrazy niepokoju, zmagał się z tęsknotą... Było mgnienie, że chciał przemówić z prostotą, wyznać prawdę uczuć, wyrzucić z siebie utajoną skargę... wahał się... Obroński nie umiał mu dopomódz...

— Niech pan powraca — powiedział tylko — jedno jest życie dla pana i dla nich... raz się tylko żyje...

I szukał oczu młodego wodza, żeby wyczytać z nich odpowiedź. Ale tamten nisko pochylił głowę. Potem naraz zaczął rozglądać się po pokoju, niby znudzony gość, wstał, postąpił ku oknu, wrócił.

— Z wykładu pana — rzekł cierpko — wyniosłem tę naukę, że beatus qui tenet... chyba tak... — zaśmiał się zjadliwie. — Wolno panu, jako panu... Zabawianie się pięknem, należy do rozrywek najmilszych... i rozmyślanie jest rzeczą przyjemną... Z wątpień wielkopańskich, z szyderstw próżniaczych nic jeszcze nigdy się nie urodziło... Było już mędrców takich niemało...

Słowa i ton były grubijańskie, Obrońskiego zdziwiła nagła zmiana w zachowaniu się gościa i przypisywał ją zemście za niedyskretne odezwanie się. Nie odpowiadał.

— O jednym pan wszakże napewno nie wątpi, że pałac i zbiory i ordynacya należą do pana, i że nikt nie ma prawa tego panu odbierać... Własność jest najświętszym z dogmatów...

Śniałowski śmiał się sztucznie.

— Zaprosił mnie pan — wstąpiłem. I dowiedziałem się, że wszelki mistycyzm nie prowadzi do niczego, że człowiek jest bydlęciem, że beatus qui tenet... Szkoda że pan się fatygował... Żegnam pana...

*

*

*

Zgryźliwe obelgi, któremi zegnał Obrońskiego, mszcząc się na nim za chwilę własnej słabości, nie zagłuszyły tamtych rzeczywistości, nurtujących potajemnie uczuć, a sceptyczne nauki magnata, mimo, że przeszedł nad nimi pogardliwie do porządku, odniosły poniekąd skutek. Gdy Śniałowski znalazł się na ulicy, gdzie tak samo odbywały się pochody i rozlegały się mowy, wśród wrzawy i walki, nie rzucił się w wir agitacyi, nie zabrał się do dzieła. Ci, których nazywał fałszywymi prorokami, bałamucili tłumy, kaleczyli dzieło i zdobywali za to oklaski — nie przeszkadzało im i wracał powoli do domu. Szał upojenia przeminął, ostygły porwy — i nastąpiło otrzeźwienie. Strącona z wyżyn marzenia myśl czyniła rachunek dnia. Wspominając niektóre epizody, pewne chwile: szturm do pałacu Obrońskich, szumną odezwę, wspaniałe obietnice, Śniałowski odczuwał niesmak i zapytywał siebie z goryczą: cóż dalej? Z zapowiedzi jego nie spełniła się żadna, nadzieje rozprysły się, tłumy wyrzekły się skarbu, zdobytego w krwawym trudzie i wołały wziąć jałmużnę... Jeszcze raz przebrzmiało wołanie jego... Sam jest na swoim statku admirałskim, flotyła zawinęła do portu, załoga ucztuje... Płynąć będą dni jałowego wesela, trwać będzie złe... Zostanie krzywda, wzmoże się potęga złotego cielca...

Śniałowski ze wzgardą, z nienawiścią patrzył w stłoczone na chodnikach ciżby. Dochodziły od czasu do czasu urywki mów politycznych, błahe, nadęte, krzykliwe frazesy... Kłamstwa były na ustach, urągano świętości i prawdzie słowa... Niby dzieci, które w ogrodach puszczają różowe baloniki, zabawiali się mężowie narodu. Tacy Rzyżniewscy nauczali...

— Nie wiercie im! — chciałby zawołać — nie odnieśliśmy żadnego zwycięstwa... Zmieniła się nazwa, rzecz została ta sama... Łudzą was pozorem... Wzięliście się na lep... Stara to i dobrze znana gra... Gdy lud, wyczerpany męczeństwem, próbuje zrzucić jarzmo, podsuwają mu dziurawy orzech, obiecującą łupinę... Panem na ziemi jest złoty cielec... zniszczcie wprzód władzę jego...

Tak, trwa okres złotego cielca... Nieliczni przejeździ.. Ale czegoż można dokonać z garstką posłusznych szeregowców, z owemi kilku siódmkami? Czasu szkoda i życia...

— Jedno jest życie dla pana i dla nich — przypomniała mu się uwaga ordynata.

I odezwiała się w zniechęconem sercu tęsknota za szczęściem, za spokojem gniazda rodzinnego, za pieszczotą rąk macierzyńskich, za szczebiotliwą radością sióstr. Pokonane niegdyś uczu-

cia odżyły i kruszyły wolę. Znużony był, uśmiechał mu się dzień powrotu, dzień, w którym zdejmie zbroję, zamieszka w małym domku powszedniego życia, stanie się przeciętnym, spokojnym, zadowolonym człowiekiem... Rozumiał, iż nie uczyni tego, ale słodkiem mu było marzenie o spoczynku, kojąca pewność, że kędyś daleko są serca, które kochają, tęsknią, czekają...

Zatrzymał się u mostu i puścił wodze pragnieniom, spoglądał w obrazy szczęścia, które przesuwają się zawsze te same, w tym samym porządku, niby pieśni poematu, wyuczonego na pamięć... Cicho i pusto było dokoła. Spokojne wody rzeki mknęły w daleką stronę... Zdawało mu się, że wrócił, że szumią stare drzewa parku, że idzie aleją do pałacu i szuka spojrzeniem okna w prawym skrzydle, że spotkały się ich oczy, że za chwilę zbiegnie ku niemu ona, że pójdą razem tam, kędy na skraju siwy kamień i potem polem, wąską, ulubioną ścieżką... Bywało, kołysały się łany zboża... Bywały godziny przedzachodnie, i chyłące się do snu włosy płonęły złotem, i unosiła się nad niwą wieczorna, chłodna, rośna woń żyta, która krzepi serca nadzieją... Bywały rozmowy pełne wiary i mocy... Bywały południa upalne, gdy w słońcu brzęczą pszczoły i milkną usta leniwe, spragnione rozkoszy... Zdawało mu się, że czeka na ławie przed gankiem, żeby otwały się drzwi i ukazała się na progu matka, że zasiedli wszyscy dokoła stołu i gwarzą, że mija dobra i prosta godzina, że słyszy świergot jaskółek...

Marzył jak człowiek, pochylony nad książką, nad opowieścią o cudzem szczęściu, które koi smutek złudzeniem. A jednocześnie zgorzkniałe myśli układały się w zgrzytliwe pytanie: jaką on da im odpowiedź?... że jedno jest życie, że pożałował siebie i ich, że złamał mu się oręż, że upadł...

Wracam do ciebie bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę...
Ty się nie lękaj, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze...

Przykryje szpetną prawdę najcudniejszą strofą, ucieknie w łodzi poezji od ziemi, od życia, od trudów...

Udręczony na nowo, patrzył z zazdrością w mknące nurty, które nie mają innego zadania, prócz tego, żeby płynąć... Ogarniała go zaduma, której bał się...

W pewnej chwili usłyszał kroki i szelest sukni... Ktoś zatrzymał się... Nie podnosząc oczu, Śniałowski czekał, żeby od-

szedł ten przechodzień. Kobieta stanęła przy nim, oparła się o żelazne przesło mostu... Wówczas on chciał cofnąć się.

— Przepraszam pana — cicho odezwała się Hanka — od rana chodziłam za panem...

— Pani chodziła za mną? — ze zdziwieniem powtórzył.

— Słuchałam przemówień... niektóre słowa pana zapadły głęboko...

Mówiła prawie szeptem, z niezmierną nieśmiałością. Zaleknienie malowało się w ogromnych oczach, wpatrzonych w niego natarczywie. Śniałowski odgadł, że kobieta nie była z kategorii tych, które zaczepiają na ulicy, że inne miała zamiary, ale z ubioru nie mógł domysleć się, do jakiej należy klasy społecznej. Połączenie olbrzymiego, ozdobionego olbrzymimi piórami, kapelusza ze starym, niezwyklego kroju futrem nasuwało wątpliwości...

— Towarzyszka? — spytał.

— Nie — odparła, jakgdyby nie bardzo rozumiejąc pytania.

— Niech pana to nie dziwi — dodała po chwili — że zwracam się tak bez ceremonii... pan nawoływał, otóż gotowa jestem...

Śniałowski utopił wzrok w rzece, obojętnie słuchał.

— Gotowa jestem iść z panem... pan wskaże mi pracę... poświęcę wszystkie siły... Człowieka, któryby wierzył, szukałam oddawna... i nie zdarzyło mi się spotkać w tych czasach... Apostołowie, których znałam, zadawali kłam życiem swoim, zaprzeczali czynem... Słów jest wiele, panie, słowa brzmią głośno, ale nie takiej potrzeba mi było nauki... Wyszłam dziś rankiem na ulicę... Niby przekupnie przy straganach z obleżałym towarem, nawoływali rozmaici wodzowie, powieściopisarz Rzyżniewski bił w bęben, odbywała się jakaś maskarada... marne dusze chowały się za maskę uroczego słowa... Potem pan zjawił się... — opowiadała szybko, jakgdyby zdawała przełożonemu sprawę.

Śniałowski ciągle spoglądał w spokojne, w szczęśliwe wody, które nietroskliwie, łatwym płynięciem spełniały swoje zadanie, i milczał.

— Odczułam, zrozumiałam pana i uwierzyłam panu... Wydało mi się, że znalazłam w panu ową prawdę, która daje moc słowom i życiu, z której rodzą się czyny... Dlatego przyszedłam tu...

— I źle pani trafiła — odparł nie patrząc. — Jakaż we mnie moc?! Słyszała pani, com mówił... Gdzie owoce? Miasto... — urwał ze zniechęceniem.

— To i pan wątpi? — szepnęła.

Nie odpowiedział i była chwila milczenia.

— Muszę panu wyznać — odezwała się Hanka — przyszłam tu, uwierzyłam panu, gotowa jestem iść i spełniać i służyć, ale wiary w życie, w ideę, którą pan kocha, niema we mnie... Możem niezdolna, może wygasła mi dusza przez lata cierpienia... To zapewne słabość... Z własnej niedoli poznałam niedolę powszechną, nędza moja, złe, które rośnie we mnie, nauczyło mnie o nędzy człowieka. Ludzie cierpią i są źli, może dla tego źli, że nie-szczęśliwi, może naodwrot... nie wiem, nie twierdzą, ale tak jest... Myślę także, że to nie da się zmienić... Jedni dążą do szczęścia i piszą o tem książki radosne, inni szukają dobra... życie zaprzecza i tym i tamtym...

Głos jej drżał ze wzruszenia, nękała gorejącym wzrokiem obojętną, zamysłoną twarz Śniałowskiego, w mowie były pośpiech i niepokój. Nie żądając odpowiedzi, ciągnęła dalej:

— Przypuśćmy, panie, że istnieje jakiś postęp, że kiedyś, u kresu stuleci, lepiej będzie na ziemi. Jaka stąd pociecha dla mnie, dla pana, dla tych, którzy przed wiekami płakali? A zresztą, czy owe prawa polityczne, o które tak chodzi rozmaitym partyom, skrócenie dnia pracy, higiena, sytość żołądka, odwrócić niedolę? Są bóle, które nie przemina i szczęście nie może być osiągnięte przez masy... Mówię: szczęście, chociaż ten wyraz pozbawiony jest treści. Niema, panie, szczęścia, tak jak niema i dobra... nazwano tak pewne marzenia... Słowa unoszą się nad życiem, świecą, jak błędne ognie i kłamia... Lepiej jest tym, którzy nie przejrżeli... Stworzono kodeksy i przepisy, opłątano życie siecią złudzeń—dziś prysło to wszystko. Człowiek wyzwolił się, zapanował chaos. Potrzeba nam chyba nowych złudzeń, bardziej przebiegłych, niż te, które się zużyły, bajek, lepiej ułożonych... Gdy dzieci rosną, wychowawcy zastosowują książki do wieku... Stargaliśmy dawne więzy, dojrzeliliśmy, wypróżniliśmy czarę, z której pili ojcowie...

— Czego pani żąda odemnie? — opryskliwie przerwał Śniałowski.

— Wiary...

— Pani zaprzecza, zbija i szydzi...

Milczała, zrażona może szorstkim jego tonem. Patrzali oboje w wody. Cicho płynęły nurty w dalekie kraje. Niezmierna tęsknota napęliła duszę Hanki, tęsknota, która ogarnia człowieka zmęczonego życiem, gdy дума nad rzeką. A ona była znużona i zazdrościła... Chciałaby być falą, chłodną, spokojną, obojętną falą, która umyka, przechodzi, biegnie do morza, która nie wie, nie czuje, nie pamięta, i chciałaby leżeć na dnie... Trwałby

jej sen i mijałyby nad nią nurty bez końca, bez końca... Przypomniała się jej noc, najczarniejsza ze wszystkich, gdy nad tą rzeką zmagala się z pokusą śmierci... Czemuż nie uczyniła tego? Czemu nie zmyła z siebie hańby i życia... Nie byłoby tych dni... spałaby na żółtym piasku pod wodą oddawna...

— Przybyłam tu ze wsi — zaczęła szeptem — pełna marzeń i wiary. Pragnęłam, nie pamiętam już czego, zapewne szczęścia dla siebie i innych. Byłam czysta i silna...

Długo monotonnym głosem, zapatrzona w fale, opowiadała dzieje ostatnich lat. Śniałowski słuchał uważnie. Były w tej opowieści wyrazy, wyjęte rzekłbyś z jego własnego serca, ale duszy, która otwierała się przed nim, nie rozumiał. Gdy mówiła mu o swoim upadku, podniósł na nią na mgnienie oczy mężczyzny, który w twarzy kobiecej szuka śladu pocałunków — i zmieszał się. Zdawało się, iż te oczy ogromne, płonące, przerażone, wypalały się, że chcą uciec z twarzy, skryć się, zgasnąć...

— I widzi pan — kończyła — widzi pan... ani szczęścia, ani dobra. Rozprawiają ludzie na różne tematy, a życie, jak zmora... Toczy się walka, są zwierzęta wesole i silne, słabe i smutne, jest chaos słów... Słyszałam spory, wiem, że istnieją systemata filozoficzne, że już w zaraniu szukano prawdy i dobra... i widzi pan, widzi pan — powtarzała, pogrążając się w zadumie.

Nagle zły uśmiech zamajaczył na jej obliczu.

— Miałam nauczyciela. Nazywał się Stanisław Kazimierz Rzyżniewski, ten sam, którego pan topił. Prowadził mnie na szczyt słoneczny. Powtarzałam za nim, że życie jest ucztą silnych, świętem wyzwolonych, że sam sobie winien, kto nie bierze pułara radości, że należy przekroczyć granicę bojaźni... I oto, panie... pan rozumie, czemu ja przeczę... Wiara żyje w duszy, jak kwiat w wazonie, a we mnie nie zostało już nic... — złamał się beznadziejnie jej głos.

— Tam, gdzie szumiały wysokie drzewa marzeń, gdzie źródło wiary — opowiadała dalej — używam poetyckich porównań... spalona pasieka, pustka, śmierć... uciechy wypalają się niby świece... nie było ich zresztą... nie potrafiłam stać się wesolą i silną... I cóż mam uczynić z siebie i dla siebie?... Od grzechu do pokuty pobożnej... kiedy ja, panie, nie czuję skruchy i owej miłości, która podobno jest łaską... Wyzwolona jestem... Na brudnym i starganym łachmanie nie wymaluje żaden inalarz anioła... Chciałabym skoczyć z tego mostu... ale nie uczynię tego przez jakiś wstyd... Wstydę się, gdy myślę o przeszłości, o tem, czem byłam, czem jestem dziś... дума nie pozwala... Jakże wy-

jeźdźać z hotelu, nie opłaciwszy rachunku!? Gdy spełnię coś, wówczas wolno mi będzie...—lały się bezładne słowa z jej wzburzonych ust.

Nie patrzała zupełnie na Śniałowskiego, zdawało się, że spowiada się samej sobie.

— I szukam drogi, przewoźnika, któryby mnie zabrał do swojej łodzi... Chciałabym, żeby w życiu mojem były dnie mocy, dnie zbrojne, tętniące... Nie myślę o postępie, o pomyślności przyszłych pokoleń, poznałam niedolę i złe, gotowa jestem walczyć... Chodziłam za panem, słuchałam... Pan mówił o czynie ogromnym, o dziele... Tak, tylko nie pora jeszcze budować... Pierwej należy spalić to, co jest... trzeba niezmiernego pożaru, krwi i burzy...

Tak panie... niezmierne pożary, krew i burza — powtórzyła, jakgdyby lubując się w okrutnych wyrazach. — Zemsta tu jest potrzebną... Oszukiwani przez tyle stuleci podniosą bunt, mścić się będą za nieskończony ból, za fałsz złudzeń, za kłamstwo życia, wybuchnie nienawiść... Niech piętrzy się złe, niech szamocą się wyzwolone zwierzęta. A gdy ziemia stanie się piekłem, gdy rozlegnie się jeden krzyk przekleństwa, wówczas może, może urodzi się nowy dzień...

Znużona umilkła. Czekala teraz odpowiedzi.

— Różne są nasze myśli, pani, różne drogi—spokojnie odezwał się Śniałowski. — Jakże pani chce bez wiary?! Sama pani wyznała...

— Pan gardzi mną? — przerwała mu gwałtownie.

Przysunęła się blisko, z trwogą zajrzała mu w oczy.

— Pan gardzi... pan nie wierzy i dla tego pan odrzuca...

— Nie, pani, nie—uspakajał.

— Mówiłam długo, mówiłam zbyt wiele... przeczytałam... panu mogło się zdawać, że jak duch wątpienia, pragnę zachwiał, a ja, panie, nie wiem nic i szukam... ulegnę, pójdę posłusznie... niech pan nie odpycha...—prosiła jak dziecko, które się napiera.

— Zmęczona jestem, błądziłam... miały dnie okropne... patrzałam w siebie, w próżnię, zmierzyłam złe i nieszczęście i wydało mi się, że przyszła pora walki, że dłużej tak trwać nie może, że wyczerpała się cierpliwość tych, którzy cierpieli... usłyszałam łoskot burzy, która nadciąga, zapowiedź śmiertelnych zapasów ze złem... chciałam stanąć w szeregu... na ulicach brzmiały słowa kłamstwa... i tylko pan... w panu tylko odczułam wiarę i moc... — opowiadała znowu.

— Jeżeli pan mnie odtrąci, nie wiem, co zrobię... nie wrócę, wrócić nie mogę... obcowałam z sobą samą do przesytu, zawiśłam w jakiejś próżni, obracałam się jak w karuzeli dokoła jednego punktu... chcę uciec i siebie zatracić w tem dziele, które pan zamierza dokonać...

Śniałowski słuchał z roztargnieniem, zbierał własne, rozproszone, znękanie myśli. Wypadało dać odpowiedź. Jak człowiek wśród grzęzowiska szukał kamienia, twardej kępy, na której mógłby stanąć mocną stopą...

— Piekło, które pani chciałaby uczynić na ziemi—zaczął pozwoli, gdy zamilkła — już jest... krew się leje, złe spiętrzyło się, przebrała się miara, i dlatego nastanie, musi nastać nowy dzień... Epoka złotego cielca dobiega do końca... Spodziewałem się, że dziś, i nawoływałem... nastąpi nareszcie godzina, gdy obudzą się duchy i zdepcą gnijące ciało... Budzić trzeba, oczyszczać, zwiastować... Opamiętają się ludzie... Od wieków żyje na ziemi wysokie, gorące pragnienie i trwa odwieczny bój... Nie w partyach, pani, ale w duchu jest moc, która odrodzi — wykladał bez zapału.

Hanka odczuła ton zniechęcenia.

— Niech pan nie wątpi!—zawołała—panu nie wolno... Cóż będzie, jeżeli i pan... Gdzież ludzie mocy i dobra? Pan zwycięży!... Pan zwycięży!...

Śniałowski nie odpowiedział na okrzyk wiary. Ogarnęła go zaduma. Odwrócił się ku miastu, patrzył długo, niby wódz wyprawy wojennej w obóz wroga... Ciemne chmury wisiały nad stłoczoną gromadą domów... Dochodziły odgłosy wrzawy... Kędyś tam był pałac magnata, tajemniczego gościa, który odwiedził go, żeby zmierzyć uragliwym spojrzeniem, żeby ukazać mu małość jego i jakąś prawdę niedostępną... Gniew zakipiał w Śniałowskim na wspomnienie rozmowy z hrabią Tobiaszem i owej nocy męki i wątpienia... Poprzysiągł był wówczas, gdy błakał się po mieście, u bramy pałacu, że da odpowiedź czynem... Nie dokonał dziś — spełni jutro...

— Długo czekali ludzie — zaklinała go tymczasem Hanka — czekały czasy, żeby zjawił się mąż mocny... żyło w duszach pragnienie... w chaosie słów zatracono wszystko, runęły wierzenia, złamały się zbroje ojców... Panu nie wolno wątpić... w ręku pana rozkaz.

— Zwycięzę! — cicho odparł Śniałowski.

— A jeśli nie pojmą, nie usłuchają, nie pójda za panem ludzie, jeśli przebrzmi głos pana, wówczas wypowie pan wojnę...

i stanie się pan zniszczeniem, pożarem, burzą... Tak, panie, tak... przebrała się miara...

Była chwila milczenia. Zaczął padać deszcz, i szelest kropeł, siekących wodę, nappełnił ciszę. Śniatowski spoglądał ku miastu, w obóz wroga. Sam był, moc nieprzyjaciela wydawała się niezmierną.

— Wówczas stanę się zniszczeniem — powtórzył zamyślony.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

PRZED PÓŁWIEKIEM.

(Wspomnienia z przeszłości gimnazyalnej).

...W październiku roku zeszłego otrzymałem wezwanie, abym w Tow. „Oświaty“ mińskiej wygłosił odczyt na dochód tej instytucji...

Wyprawę moją do grodu stołecznego byłego województwa mińskiego nazwać można pewnego rodzaju Odysseą nowoczesną; zaiste bohater homerowej pieśni o tyle bywał w swoim czasie narażony na niebezpieczeństwa, nieprzyjemności i mitręgi, o ile ich dzisiaj miewają podróżni, odbywający przejazd w porze wiosennej, jesiennej lub zimowej po drogach tutejszych, a to tem gorzej dla nich, że już żadna „*Hera* złototronna,“ ani „*modrooka Pallas Athene*,“ nie otaczają dzisiaj śmiertelników swoją boską opieką.

Drogi nasze litewskie zostały usunięte z pod opieki i ludzkiej i boskiej. Borba, która się toczy tutaj na nizinach ziemskich, musiała znaleźć odgłos i na parnacie Bogów nowoczesnych; stąd ten nieład wszędzie wraz z zamętem pojąć najkompletniejszym, więc gdzie tu myśleć o drogach i mostach? To też dosyć powiedzieć, że na t. zw. trakcie pocztowym od Nowogródka do Horodzieja, dzisiaj przezwanego najzupełniej niestosownie Zamirzem, nie było przez rok cały ani jednego mostu całego.

Przybywszy wreszcie do Mińska, zjechałem do „Hôtel garni“ p. Michała Leńskiego, ziemianina, którego rodzice sąsiadowali niegdyś z moimi rodzicami; hotel jest położony przy najdłuższej ulicy miasta, przy której buduje się nowy kościół katoli-

cki, z ofiary p. Wojniłowicza. Ma on zastąpić kościoły, zabrane przez rząd.

Mając czas wolny, wyruszyłem pieszo na zwiedzenie miejsc pamiątkowych dla mnie. Ponieważ ulica Policyjna, gdzie ma dom własny D-r Janowski, leży w pobliżu ogrodu, zwanego Gubernatorskim, poszedłem, by go zdaleka obejrzeć. Tu była kiedyś drewniana willa gubernatorska, gdzie raz jeden byłem za czasu gubernatorstwa Siemionowa na majówkowym zebraniu dzieciennem. Przypominam sobie trzy panienki Siemionówny: Wierka, Nad'ka i Lubka, z którymi tańcowaliśmy i bawiliśmy się w kotka i myszkę; byłem wtedy w trzeciej klasie pensjonatu szlacheckiego. Tu dalej w ogrodzie ku stronie mostu stała altanka studzienna, z wyborną wodą źródlaną, zwaną gubernatorską, dokąd posyłano służbę po wodę do picia.

W obecnej chwili, gdym przechodził mimo ogrodu spacerowego, znalazłem go zasypany śniegiem, z drzewami, pokrytymi obfitym szronem, więc robił wrażenie krajobrazu kameczackiego. Od ogrodu szedłem ulicą Zacharzewską (którą dawniej nazywaliśmy Ogrodową, albo Sznejderowej), pod górę dosyć stromą; po prawej stronie był wtedy pensjonat pani Sznejderowej, gdzie się wychowywało dużo panien nam znajomych, jak p.p. Chrzczonowiczówny, Kisielewskie, p. Wierzbicka Halutka etc.; po lewej stronie był dom D-ra Porcyanki, z którego synem kolegowałem lat parę. Urządzał on przedstawienia teatralne, amatorskie, parę razy i mnie do nich zniewolił; tak np. występowałem w roli Maryi w dramacie „Dymitr i Marya,” pamiętam jeszcze do dziś dnia moją rolę, rozpoczynającą się od słów: „Chciałbyś mieć syna z tak błękitnem okiem.” Wyszedłszy na górę, znalazłem zmiany wielkie. Tu dawniej przed cerkwią archirejską rozciągał się plac pusty, nazywany „Nowym Rynkiem,” gdzie w czasie t. zw. „kontraktów” wznoszono budy drewniane dla kupców, przywożących z Warszawy, Kijowa i Wilna swoje towary do sprzedaży; tutaj także odbywały się mustry wojskowe. Dokoła placu pustego, obsadzonego drzewkami nikłemi we dwa rzędy, biegła dosyć wązka dróżka spacerowa, ogrodzona po obu stronach niską balustradą. Tutaj we dnie szabasowe spacerowała wolnym krokiem arystokracja żydowska. Obecnie ta cała przestrzeń zasadzona jest drzewami, które rozrosły się dosyć okazale. Na jednym z rogów tego placu wznosi się teraz niewielki teatr, bez wszelkich pretensyj do jakiegokolwiek stylu architektonicznego. Naprzeciw placu od ulicy Zacharzewskiej ocalała kamienica jednopiętrowa, należąca niegdyś do Żyda Bendeta. Tu mieszkała moja rodzina w tym

czasie, kiedym był już na uniwersytecie w Dorpacie. Nic się w tym domu nie zmieniło, od frontu przynajmniej. Ten sam balkon, te same okna były uprzednio. Gdym patrzył na nie, zdawało mi się, jakbym tu jeszcze mieszkał nie dawno. Okoliwszy ogród spacerowy przez ulicę Dominikańską, noszącą obecnie nazwę Piotropawłowskiej, stanąłem na rogu Dominikańskiej i dzisiejszej Podgórnej, przed tem właśnie miejscem, gdzie się dawniej znajdował gmach główny pocztowy, wraz z tak zwaną pocztą listową. Tu mieszkał niegdyś naczelnik poczt Kisielewski; zajmował on obszerny i piękny lokal, żył wystawnie, urządzano tu przyjęcia uroczyste dla ówczesnej wyższej biurokracji. Syn jego, jednak „Misza“ był moim kolegą w gimnazyum; dwie jego siostry, starsze od nas, należały do rzędu piękniejszych panien, wyjeżdżały konno na spacer, figurowały na balach gubernatorskich, marszałkowskich i na „reduktach“, jako zręczne tancerki. Z Miszą żyliśmy w przyjaznych stosunkach, rozmawialiśmy ze sobą po polsku; był to dobry, koleżeński chłopak, ale lekkomyślny, marzący o pięknym mundurze huzarskim i o karierze wojskowej; po skończeniu gimnazyum wstąpił do wojska, przejechał cały swój majątek, nagromadzony przez ojca, dostał się do wojska sybirskiego, tam w kraju Usuryjskim spotykałem się z nim kilkakrotnie, skończył obłąkaniem. Ile to razy z „Miszą“ urządzaliśmy zimowe szlichtady za miasto na koniach kuryerskich! Jeździliśmy do Slepianki po trakcie Boryrowskim, do Łoszyca Pruszyńskiego, po trakcie Ihumeńskim, do Łoszyca Niemorszańskich, po trakcie Kojdanowskim.

Wprost naprzeciw dawnej poczty głównej stoi i do dziś dnia niezmieniony dom parterowy drewniany, dawniej należący do Pelermana. Tu w tym domu mieszkaliśmy lat parę. Dzisiaj ulica przy tym domu nosi nazwę „Podgórnej;“ dawniej, podzieliwszy ją na kilka części, dawaliśmy każdej z nich osobną nazwę, i tak: część prawie pustą podówczas, przy której był dom Sławniewiczów, z obszernym sadem, nazywaliśmy ulicą „Dziesiątuchy,“ albowiem na placu obszernym, pustym, przed żydowskim „kirku-tem,“ odbywał się doroczny jarmark konny na „dziesiątuchę.“ Dalszą część ulicy, wzdłuż placu Nowego rynku, mieniliśmy ulicą Hausmana, gdyż tu była kamienica Hausmana, sławnego fabrykanta dyplomów szlacheckich. Poprzeczną uliczkę od ulicy Hausmana nazywaliśmy ulicą Chrzczonowiczów (dziś ul. Skobielowa), gdyż przy niej stały dwa domy parterowe Chrzczonowiczów, które i w obecnej chwili wcale nie są zmienione. W narożnym domu mieściła się generalicya wojskowa, w drugim mieszkali sami właściciele. Po za tymi domami w dół po ulicy rozciągał się obszer-

ny ogród warzywny, następnie sad i ogród spacerowy, dzisiaj już rozparcelowany i zabudowany. W tym dawnym ogrodzie bawiliśmy się z kolegami, a latem wieczorami, przy śpiewie słowików, przepędzaliśmy wiosenne wczasy wypoczynkowe, bawiąc się deklamacją całych ustępów z dzieł poetów polskich. Najrzewniej z nas wszystkich deklamował Teofil Jakóbowski.

Idąc ulicą Podgórną, czyli dawniejszą ulicą Dziesiątuchy, mijam zabudowanie, gdzie mieszkał sławny policmajster miasta Mińska, pułkownik *Budzko*, z jeszcze sławniejszą od niego samego żoną, cudnej piękności kobietą, z domu Montegrandich. Matka jej, przełożona pensyi, była, jak opowiadano, jeszcze piękniejszą niż córka, a zaś śliczną pierwszą żonę Montegrandiego miał pocałować w rękę na balu cesarz Aleksander I, w ową porę, gdy zawitał do Mińska.

Na rogu ulicy Franciszkańskiej i Dziesiątuchy, czyli dzisiejszych Podgórnej i Gubernatorskiej, z lewej strony stoi, dotąd niezmienny, dom Montegrandich, gdzie w obszernych ubikacjach, do niego przylegających, mieścił się najdawniejszy i najsławniejszy pensjonat żeński pod nazwą „pensjonu Montegrandiego.“ Na wprost wyżej wspomnianego domu Montegrandich, na przeciwnym rogu wznosi się w tychże prawie szczegółach budowlanych, co i dawniej, gmach pensjonatu szlacheckiego koszarowej struktury, a przy nim nierozłącznie związane gimnazjum klasyczne. Mińsk, dawniej przeważnie żydowskie miasto, dzisiaj przeważnie żydowsko-rosyjskie, nie odznaczał się nigdy i dziś się nie odznacza żadnymi, godnymi widzenia gmachami. W dawniejszych czasach kościoły stanowiły upiększenie miasta, dzisiaj i tę ozdobę zniszczono.

W gmachu instytutu szlacheckiego przebyłem cały pierwszy rok gimnazjalnego życia. Dopiero po roku mojego tam pobytu postanowiła matka nasza przenieść się na mieszkanie do miasta dla wychowania liczного rodzeństwa i zamieszkała w domu parterowym drewnianym wprost naprzeciw internatu szlacheckiego, gdzie uprzednio mieszkał dyrektor gimnazjum, Fiszer, znajomy i przyjaciel mego ojca. Dom ten należał do p. Nowickiej i dotąd pozostał niezmienny, wchód tylko, czyli klatka u wejścia przebudowaną została. Wejścia też do gmachu gimnazjalnego zostały pozbawione ganeczków ozdobnych. Obok domu Nowickiej mieściła się dawniej obszerna realność, należąca do Stefanowiczów; ogromny dziedziniec oddzielał wielką kamienicę od ulicy, w tej kamienicy był pensjonat żeński, trzeci z rzędu w Mińsku, zwany

„pensyonem Stefanowiczowej.“ Dzisiaj posesya ta zmienioną została do niepoznania: ponure trzyrzędowe koszarowe gmachy stały jeden przed drugim; dalekie są one od tego, ażeby mogły rościć pretensyę, że stanowią jakąś ozdobę miasta. Minawszy poprzeczną ulicę Zacharzewską, szedłem Franciszkańską, dzisiaj Gubernatorską, w kierunku na plac Katedralny, ażeby spojrzeć na dom Muszczyńskiego, sławnego lekarza, przyjaciela mego ojca. Poznałem ten dom, jakkolwiek dzisiaj jest nieco przekształcony i znajduje się w otoczeniu zupełnie prawie nowem. W tym domu mieszkali czas jakiś moi rodzice. Dziwnym zbiegiem okoliczności domy te wszystkie ocalały i widzę je dzisiaj w tych kształtach, w jakich je znałem przed laty.

Zwróciwszy na ulicę Zborową, chciałem rzucić okiem na były kościół Benedyktynek i na gmach wysoki, koszarowaty, gdzie był internat męzki, tak zwane „obszczyje kwartiry.“ Tu rządna kobieta, znana pod nazwą „Cioci *Koperskiej*,“ była główną ekonomką. Uczniowie mieli stół, mieszkanie, korepetycyę i nadzór nauczycielski, płacono 30, albo 50, lub też 100 rb. na rok. Tu wychowywali się Jelscy, z których Konstanty Jelski, studiując później w Kijowie, zasłynął jako sławny podróżnik po Ameryce Południowej (Kayenna, Peru i Chili). Dopiero po przyjeździe nowego Dyrektora Dieńnickiego nastały dla tego internatu złe czasy, ale też przeszedł ów internat wtedy pod inny zarząd ekonomiczny.

Minawszy ten gmach, tyle pamiętny dla mnie, gdzie miałem dużo kolegów i przyjaciół tu mieszkających w owe czasy, zwróciłem się drogą wzdłuż ulicy Dobroczyńności, dziś „Bagadielną“ nazwanej, a z niej poszedłem na Zacharzewską do hotelu, gdzie zamieszkał. Obszedłem tedy całą tę część miasta, w której koncentrowały się głównie moje wspomnienia; zimny dzień dzisiejszy nie sprzyjał dalszym wędrówkom po mieście, musiałem się zadowolnić i tem, com widział. Wróciwszy do mieszkania, puściłem wodze pamięci, ona mię wiodła w dal czasów przeszłych, widziałem wszystko tak jasno, tak świeżo, jak gdybym jeszcze wczoraj opuścił gmach gimnazjalny, postanowiłem skorzystać z takiego nastroju myśli i spisać wspomnienia dotyczące pobytu mego w gimnazjum mińskim. Praca taka, zdaje mi się, nie będzie zbyt ciężką, odzwierciedli ona różnice, jakie zachodziły pomiędzy wychowaniem gimnazjalnem dawniejszem, a dzisiejszem. My mieliśmy tradycyę jeszcze świeże przeszłości, ona nas wiodła ku ideałom służenia ojczyźnie i ludzkości pracą umysłową; dzisiaj czy taka myśl świta wśród młodzieży krajów zabranych, nie uniem dać na

to odpowiedzi. Celem niniejszej krótkiej relacji o życiu naszym gimnazyalnem jest przedstawić to życie takim, jakim ono było, bez żadnych upiększeń.

*

*

*

Rok wstąpienia mego do gimnazjum był rokiem otwarcia internatu szlacheckiego („Dworanskij pansion“); miał on wedle programu rządowego przygotowywać młodzież szlachecką na biurokratów cywilnych i wojskowych. Na modłę wojskową były ustanowione nasze mundury—mieliśmy czapki, kroju rosyjskiego, z lampasem czerwonym i białą obwódką u góry, kurtki „kadeckie“ ze stojącym kołnierzem czerwonym, jako ubiór codzienny; następnie fraki oficerskiego kroju z czerwonym kołnierzem i o złotych galonach, służyły nam w dniu świąteczne i galowe. Za płaszcz i paletot mieliśmy szynel wojskowy niebieskawego koloru z czerwonym kołnierzem stojącym. Zamierzano wprowadzić tresurę wojenną, którą zarzucono jednak z powodu braku odpowiednich sił do jej przeprowadzenia.

Urządzenie internatu było porządne: mieliśmy wielką salę do wspólnej nauki z ogromnym stołem politurowanym, obstawionym taburetami. Każdy z uczniów miał swoją szafkę, zamykaną na klucz, gdzie chował książki i kajety; ponad rzędem szafek umieszczono poręcze, ażeby nie siadano na szafkach. Obok sali była sypialnia z łózkami drewnianymi, politurowanymi na złoty, stojącymi w szeregu, a przy każdym łóżku szafka. Po środku z jednego boku sypialni była duża „nyża“, gdzieśmy urządzali scenę dla amatorskich przedstawień. Widzami mogli być tylko najbliżsi krewni uczniów, występujących w roli aktorów. W parterze mieściła się sala jadalna, bufet, infirmarya i mieszkanie dozującego nauczyciela p. *Jacot*, Francuza. Całe utrzymanie, odzież, bieliz: a, pościel, książki, kajety, korepetycja, nauka języków, muzyki, tańców i wpisowe do gimnazjum opłacało się 200 rb. rocznie.

Z przybyciem naszym do internatu odbyło się jego poświęcenie uroczyste. Wyznaczono dzień poświęcenia, ubrano nas w mundury i czekaliśmy z jakimś dziwnym uczuciem trwogi na akt ten solenny. Około godziny 11 zrana zajechała karetą czterokonna z forysiem, w niej przybył archirej Zubko i tuż za nim słu-

zba cerkiewna, zaraz potem prawie jednocześnie pojawili się inni zaproszeni goście, mianowicie kurator, nauczyciele gimnazjalni, marszałkowie gubernialny i powiatowy, gubernator, vice-gubernator, policmajster, prokurator, półkownik żandarmski, kilka dam i rodzice uczniów.

My wszyscy młodzi wiekiem, wychowywani na wsi, nie widzieliśmy takiej parady, tych mundurów. Gdy nas wyprowadzono z ubocznej sali i ustawiono w półkole za towarzystwem dygnitarzy byliśmy olśnieni wspaniałością otoczenia. Rozpoczęły się „malebiny“ i śpiewy chóru archirejskiego. Po ukończeniu aktu poświęcenia, archirej zwrócił się z mową polską do obecnych obywateli ziemskich, a następnie do nas, nakazując słuchać „zwierchności“, uczyć się pilnie. Gdy archirej ze swiatą opuścił salę, by poświęcić dalsze pokoje, podeszła do nas śliczna i elegancka dama, trzymająca za rękę chłopczyka, młodszego od nas, zapytując w języku francuskim: „Kto z was kochane dzieci mówi po francusku?“ Na to pytanie odpowiedziałem, że ja właśnie mówię; mając bowiem przez lat kilka nauczyciela Jean Renet de Cholet, Francuza i żonę jego Niemkę—mówiłem obu językami dosyć biegle. Otrzymawszy tę odpowiedź zbliżyła się do mnie owa dama i zapytała: „Czy ci nie smutno, kochane dziecko, bez matki?“ To zapytanie tak mnie zmieszalo, że łzy mi pociekły z oczu, wtedy ona objawszy rękami głowę moją, ucałowała mnie po macierzyńsku i zwracając się do swego synka powiedziała: „Pocałujcie się dzieci, to twój przyszły kolega.“ Na ten rozkaz pocałowaliśmy się po bratersku i staliśmy obok siebie, trzymając się za ręce. Ona nam mówiła o potrzebie życia w zgodzie z kolegami, o pożytku nauki etc. Ta rozmowa zajęła cały czas aż do powrotu archireja. Gdy go odprowadzono do pojazdu, zawezwano nas do sali jadalnej, do której weszli i goście. Zastaliśmy stół przybrany kwiatami i całym szeregiem waz z owocami, cukrami i ciastkami. Usadowiono nas za stołem, poczem starszy pomiędzy nami, uczeń czwartej klasy Kajetan Koziełło ośmówił głośno pacierz po polsku i rozpoczęliśmy obiad wspaniały. Dowiedzieliśmy się później, że całą zastawę: kwiaty, owoce i cukry nadesłał marszałek Osztorp, zaś ta pani, która z nami rozmawiała, była to pani Giżylińska, Rosyanka, jedna z najpiękniejszych kobiet w Mińsku, a może i na świecie, przynajmniej tak utrzymywali znawcy. Ta życzliwość jej względem nas Polaków, świadczy, że w owych czasach fanatyzm i szowinizm rosyjski nie panował jeszcze tak wszechwładnie, jak to bywa dzisiaj.

Rozpocząwszy od uroczystości pierwszy nasz rok szkolny, powoli przyzwyczajaliśmy się do zajęć naukowych. Nasza klasa trzecia była najliczniejszą w internacie, było nas dziewięciu, mianowicie dwóch Bułhaków, dwóch Wierzbickich, Palczewski, Kołkowski, Homolicki, Mikulski i ja, z czwartej klasy mieliśmy dwóch: Witold Jodko i Kajetan Kozięłło. Z wyższych klas pamiętam tylko Szumborskiego. Ogółem było przy otwarciu internatu 15 uczniów.

Nas malców pieścizono i prawdę powiedziawszy psuto. I tak kolejną zapraszano na zabawy dziecinne i na tańce w mieście. W internacie rozpoczęto naukę tańców, pod kierownictwem Jordana i jego synka małego, który stał się dla nas wzorem do naśladowania. Uczyliśmy się tańców solowych, celowali w nich Bronisław Wierzbicki i młodszy jego brat Roman. Na tańce przyjeżdżała pani Giżylińska z synkiem. Oprócz tańców uczono gimnastyki i maszerowania wraz ze zwrotami taktycznymi. Obowiązani byliśmy mówić kolejno po niemiecku i po francusku.

Korepetytorem w naszej klasie był uczeń 7 klasy Konstanty Iżykowicz. Zaraz na wstępie zawarłem z nim stosunek najserdeczniejszy, polubiłem go tak szczerze, że go słuchałem we wszystkim i korzystałem z jego nauk, jak mogłem najskrupulatniej. Był on wiekiem o wiele starszy od nas, był poważny, łagodny, poprawnie mówił po polsku i przestrzegał nas przed prowincjonalizmami, wyładał i objaśniał lekcje po polsku, a dopiero później po rosyjsku.

Niedługo jednak cieszyłem się zdrowiem, zaniemogłem silnie. Dr. Muszczyński, przyjaciel mego ojca, który mnie leczył od dziecka, zaopiniował, że mi jadło dawane w pensjonacie nie służy. Przeniesiono mnie na dół do infirmaryi, lecz i to mało skutkowało, dopiero wyjazd na święta Bożego Narodzenia na wieś do stryja Tomasza w Kawerlanach, przyniósł ulgę znaczną, wróciłem po świętach zdrowszy, lecz pozostawałem i nadal w infirmaryi na stole dyetetycznym, do którego ciotka moja, mieszkająca w Mińsku, dostarczała potrzebne zapasy żywnościowe. Zwykle przepędzałem wieczory w sali szpitalowej; gdym się nudził sam jeden pozwalano mi odwiedzać krewnym moim i znajomym z miasta. Przychodził pomiędzy innymi przyjaciel brata stryjecznego Stanisława, Adam Sikorski, architekt miastowy. W chwilach gdym był zdrowszy, zabierał on mnie do siebie, czytywał i recytował na pamięć poezye Puszkina i co niedziela brał mnie do teatru, gdzie miał krzesło bezpłatne; stałem zwykle przed nim, owinięty połami jego płaszcza i zachwycałem się występa-

mi p. Drozdowskiej i jej małej córeczki, grającej role dzieci; śmiałość i rezolucność tej ostatniej wprawiały mnie w podziw prawdziwy. Wyszła ona następnie za mąż za pułkownika żandarmskiego barona Klucknera i spotkałem się z nią daleko później w Dorpacie.

Co wieczora przychodził do mnie Konstanty Iżykowicz, prze-rabiał ze mną lekcye (na których wykłady nieraz uczęszczać nie mogłem); tak, że chociaż byłem niezdrów, siedłem jednak ciągle na równi z innymi kolegami i przy egzaminie do czwartej klasy dostałem, t. zw. „list pochwalny.“ Gdyśiny kończyli naukowe nasze zajęcia, Iżykowicz czytał mi powieści polskie, brane z biblioteki Bardskich albo też poezye. Często przychodził z nim jego kolega Korejwa. Ci dwaj wywarli na mnie wpływ wielce dodatni, im zawdzięczam całą zmianę mego usposobienia, im winienem także, że się zapoznałem i zbliżyłem do dwóch kolegów z mojej klasy: Łukasza Fiodorowicza i Juliana Szuszkiewicza. Obadwaj byli jakiś czas uczniami Korejwy, on mi ich przedstawił, jako kolegów, z którymi żyć mam w przyjaźni; usłuchałem tej rady i jeszcze tego roku, jakkolwiek nam w internacie nie pozwalano mieć stosunków z uczniami mieszkającymi po za zakładem, zawiązałem z wymienionymi uczniami węzły serdecznej przyjaźni. Pewnego razu zagadnął mnie Iżykowicz, czy słyszałem co o towarzystwie filaretów w Wilnie; odpowiedziałem mu na to, że matka nasza opowiadała o filaretach, a nauczyciel nasz Wincenty Henkiel czytał nam z jakiejś książki o Mickiewiczu, Zanie i Czeczocie, którzy byli filaretami. Na to powiedział Iżykowicz, że i dzisiaj są filareci, lecz że nie każdy może być do ich towarzystwa przyjęty; trzeba się uczyć dobrze, być moralnym, nie kłamać nigdy, nie pić, nie palić, a nadto trzeba umieć milczeć i nikomu ani słowa nie mówić o istnieniu towarzystwa; przytem żądał odemnie, ażebym nikomu nie wspominał o naszej rozmowie obecnej. Myśl mi wtedy zabłysła, że Szuszkiewicz, Fiodorowicz, Iżykowicz i Korejwa są filaretami, milczałem jednak, bo chcąc być filaretem, trzeba umieć milczeć. Przy tej okoliczności wspomnieć muszę, że często mówiono przy mnie o stosunku Polaków do Rosyan. Otóż wraziło mi się w pamięć, że uczucie nienawiści i zemsty pokonywać trzeba, że Polacy powinni szlachetnością, moralnością oraz wszelkimi cnotami górować nad Rosyanami, i tą wyższością swoją dać wyraz różnicy, jaka istnieje pomiędzy kulturą polską, a rosyjską. Oprócz wyżej wymienionych osób, przychodzili do infirmaryi Szostowski, Lipnicki, Bardski. Rozmowy miały zawsze charakter poważny, słuchałem ich z największą uwagą.

Z kolegami mymi w internacie: Bronisławem Wierzbickim i Kajetanem Kozięłło zawarłem przyjaźń serdeczną. Kozięłło brał mnie zawsze pod swoją opiekę, gdy ktokolwiek chciał mnie skrzywdzić lub dokuczać mi; był on silny i starszy od nas, malce bali się go, a mszcząc się za to, że stawał zawsze w mojej obronie nazywali go kozłem, a mnie kozą, albo jego samcem, a mnie samica; zresztą żyłem przeważnie ze wszystkimi w zgodzie.

Z nadejściem świąt wielkanocnych przybył ojciec po mnie i po roztopach, przy częstych załamywaniach się na lodzie dojechaliśmy jednak szczęśliwie na miejsce. Tu rekonwalescencya nastąpiła zupełna, znikła bladość twarzy, siły wróciły, czułem się zdrów zupełnie. Dopiero około świąt zielonych odwieziono mnie do Mińska. Ażeby uniknąć recydywy, karmiono mnie osobno. Tak przeszła ciężka choroba, która groziła śmiercią, jak mi później opowiadał Dr. Muszczyński. W czasie choroby mojej poznałem był Dr. Spasowicza, który był urzędowym lekarzem naszego instytutu, wszakże nie miał renomy dobrego praktyka. Mnie specjalnie leczył Dr. Muszczyński.

Przysłowie powiada, że nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło. Co do mnie, to przysłowie rzeczzone okazało się najzupełniej słuszne. Byłem z natury nadzwyczaj żywy, swawole dziecinne mnie bawiły; otóż obcowanie ciągłe podczas mojej choroby z Iżykowiczem zmieniły moje usposobienie; chęć zaszczytu na zaszczyt, aby być przyjętym do tow. filaretów, stała się mojem pragnieniem najgorętszem. Więc zasłużyć miałem na ten zaszczyt pracą, moralnością, milczeniem. Dziwne były stosunki nasze koleżeńskie; żyliśmy klasami, wspólnego życia nie było, odgródzone klasy, jedna od drugiej, występowały wrogo względem siebie, staczano bitwy, bawiono się podejściami rozmaitemi. Ja miałem przyjaciół w klasach wyższych, lecz wyjątkowo tylko utrzymywałem stosunki z uczniami klasy drugiej albo pierwszej. Na tę złą stronę naszych stosunków zwrócił był uwagę moją Iżykowicz i doradzał, ażebyśmy się starali wpływać na młodszych przykładem swoim i uczyć ich we wszystkim. Usłuchałem jego rady i zacząłem powtarzać lekcye z francuskiego i niemieckiego z niektórymi uczniami z dwóch klas niższych.

Nauczyciele nasi mało mieli wpływu na nas. Dyżurni nauczyciele: Jacot Francuz i Schmell Niemiec odbywali czynność swoją pańszczyźnianym sposobem, nauki języków nie miały najmniejszego znaczenia; kto nie znał tych języków z domu, ten w szkołach niczego nauczyć się nie mógł. Nie lepiej było z łaciną i greką. Język rosyjski w niższych klasach wykładał Boho-

jawlenski, lubiany powszechnie, lecz nie umiejący, ani zachęcić do nauki, ani utrzymać malców w rygorze. Niemieckiego uczył w klasach niższych niejaki Schumann, podobno piekarz z profesyi. Biedny był to człowiek; co z nim dokazywali uczniowie, to przechodzi już wszelkie granice tortur moralnych; a jednak nigdy nie skarżył się przed władzą. Pewnego razu my uczniowie z internatu, którzy mieliśmy przywilej siedzenia w pierwszej ławce w klasie, ujęliśmy się za Schumannem, lecz zostaliśmy srogo poturbowani przez kolegów z ławek tylnych; to nas nie zraziło jednak i gdym opowiadał Iżykowiczowi o tym wypadku, pochwalił nas za to i zachęcał do wytrwania przy powziętem postanowieniu obrony Schumanna. Arytmetykę wykładał Czyżyk, bardzo dobry nauczyciel; jego wykład interesował wszystkich i każdy z nas starał się zasłużyć na pochwałę nauczyciela; na nie-szczęście wszakże nasze, porzucił gimnazyum już po roku; zastąpił go Hrynkiewicz, który nam popsuł całe studia matematyczne, swoją nieudolnością i nietaktem wobec uczniów. Geografię wykładał Szablowski — trzymał się ściśle szablonu programowego, wymagał umiejętności kreślenia z pamięci map geograficznych, ale zachęcić do przedmiotu nie umiał. Korejwa, który był korepetytorem dla uczniów czwartej klasy, wykładając pewnego razu o południowej Rosyi przed swymi słuchaczami, wplótł do opowiadania osobę Mickiewicza, mówił o jego pobycie w Odesie, o jego podróży po Krymie i tak nas wszystkich zaciekaWił, żeśmy lepiej zapamiętali jego wykład niż nudne wyliczania na pamięć rzek, miast etc. podług podręczników. Pomimo braku zainteresowania się przedmiotem uczyliśmy się jednak pilnie zadawanych lekcyj z geografii i dotąd mi są jeszcze pamiętne owe łańcuchy nazw, jak np. Ob, Far, Jeniesiej, Chatanga, Lena, Jana, Indygirka i Kołyma.

Nauczyciel historyi, Katanski, którego opisano akrostychem, skomponowanym przez któregoś z uczniów klas wyższych, jako był on „Kastromskich chiżyn abitatiel, aułow dikij fenomen, Tablic istoryi maratiel, a wrag łatinskich on plemion,“—nie był to zły człowiek, pijak wprawdzie, a do tego fanatyk prawosławija i „Pietrowszczyzny;“ nie prześladował jednak młodzieży. Po za podręcznikiem nic nie widział i kazał klepać historię na pamięć. Riazański łacinnik, ożeniony z Polką Żołnarkiewiczówną był pocziwiną, bez wszelkich pretensyj do kształcenia uczniów na lingwistów. Grebieńszczykow, przysłany z Połocka, gdzie był be-delem, na nauczyciela języka rosyjskiego i literatury rosyjskiej, był biczem Bożym, zesłanym na gimnazyum Mińskie; on to rozpo-

czał erę „abrusjenja“ młodzieży, prześladował wszystkich i wszystko. Chcąc go zjednać, zrobiono go głównym dozorcą w internacie zwanym „obszczyje kwartiry,“ tam powprowadzał porządki takie, jak w korpusie kadetów w Połocku. Sami nie znając ani literatury, ani języka rosyjskiego, dęczył uczniów wymaganiami wprost dziwaczniemi, a tem właśnie odstręczał od nauki; pijak w całym znaczeniu tego wyrazu, został dopiero ugłaskany przez „ciocię Koperską,“ która karmiła jego rodzinę i przysyłała mu po buteleczce rumu trzy razy na dzień. Żona jego, Niemka z Rygi, lubiła podarki i tą drogą uzyskiwano względy małżonka. Dla dopełnienia obrazu personelu nauczycielskiego wspomnę i o drugim łacinniku, wykładającym w niższych klasach: był to Andrejewski, pijaczyna, gbur, brutal i łapownik. Katechetami nie mogliśmy się pochwalić; byli nimi ks. Bejnarowicz, o którym powiadano, że „gdyby nie jego bas, toby świnię past“ i kanonik Nowicki, libertyn, cynik i amator szampana. W klasach wyższych bawił uczniów opowiadaniem wcale nieprzyzwoitemi.

Osobistością wyróżniającą się z całego grona naszych nauczycieli był Rodziewicz. Słuchacz moskiewskiego uniwersytetu, człowiek wykształcony, moralny, trzeźwy, biegły matematyk, doskonały fizyk, były asystent przy katedrze fizyki w Moskwie, imponował wszystkim swoją wiedzą wszechstronną, swoim taktem i pięknymi wykładami. Zaraz po przybyciu do Mińska urządził w gimnazyum stacyę meteorologiczną, uczył nas zapisywać obserwacje; w gabinecie fizycznym robiliśmy sami różne doświadczenia. Nawet z przedmiotami nieobowiązującymi obznajmiał nas potrochu, tak np. z początkami chemii. Niestety bardzo prędko musiał porzucić gimnazyum, z racyi przeobrażeń, które zaszły z chwilą usunięcia dyrektora Fischer'a, a zastąpieniem jego przez Dieśnickiego.

O nauczycielach rysunków wspomnę tylko parą słowami. Ja zastałem jeszcze malarza Muszczyńskiego jako nauczyciela rysunków i bylibyśmy szli stopniowo w nauce, gdyby on nie opuścił gimnazyum. Na jego miejsce wyznaczono Jotejkę, który nie umiał sobie poradzić z uczniami; to też lekcye rysunków były raczej nauką swawoli, nikt też z tych lekcyj nie korzystał, tak samo jak z lekcyj Schumanna i Hrynkiewicza.

Wyjeżdżając na letnie wakacje po pierwszym roku pobytu w Mińsku zegnalem ze łzami w oku moich znajomych z klasy 7, z którymi już się nigdy nie zobaczyłem więcej, lecz o których pamięć wdzięczną zachowałem po dziś dzień. Z kolegami z pensjonatu rozstawałem się na krótko. Gdy przyjechał ojciec po

mnie, uprosiłem go, ażeby mi pozwolił zaczekać na odjazd Wierzbickich; było ich czterech braci i trzy siostry; bracia Władysław, Bronisław, Karol i Roman umieszczeni byli w pensyonacie szlacheckim, trzy siostry ulokowano na pensyi u Stefanowiczów. Ojciec ich miał posiadłość w Radomyskiem i w sposób wielce oryginalny przywoził do Mińska i odwoził stamtąd dzieci swoje na wakacye letnie. Przysyłano po nie olbrzymią, długą brykę krakowską, w którą wprzęgano 6 koni mierzynów. Powoził z kozła, siedzący pod przykryciem, stary stangret, przy nim jechał zasłużony i zaufany majordom, jemu była poruczona opieka nad dziećmi, z których najstarszy Władysław miał wówczas lat 15. Nigdzie po drodze nie zajeżdżano do karczem, obozowano pod gołym niebem. Dziewczynki miały posłanie w tylnej połowie budy, chłopcy w przedniej; jeżeli noc była pogodna, stano chłopcom na ziemi około wozu. Na 15 czerwca st. st. przybywała punktualnie bryka do Mińska; nie pamiętam dzisiaj ile dni trwała podróż do domu. Tego roku, o którym mowa, wyjechaliśmy konno z Bronisławem do Łaszczy Pruszyńskiego na spotkanie bryki, doczekawszy się jej przybycia pędziliśmy cwałem do Mińska z radośną nowiną, że konie już przybywają. Zazdrościłem im wtedy takiej długiej podróży.

Pięć lat spędzonych wspólnie w gimnazyum z Bronisławem zacieśniły węzły przyjaźni najserdeczniejszej; żadne, nawet najdrobniejsze, nieporozumienie nie zamąciło naszych wzajemnych stosunków; po skończeniu gimnazyum nie spotkaliśmy się już ze sobą nigdy.

Wakacye letnie wróciły mi zdrowie; odtąd opuściłem pensyonat i nie chorowałem już ani razu. Mieszkając nie w pensyonacie, lecz na tak zwanych „wolnych kwaterach“ przy rodzicach miałem swobodę ruchów najzupełniejszą. Pewnego dnia po lekcjach zaprosił mnie Fiodorowicz do siebie. W małym pokoiku, w domu gdzie mieszkała jego matka, zastałem Szuszkiewicza Juliana, Ganeckiego i Wojnicza. Łukasz z pewną miną uroczystą zapytał mnie, czy wiem co o filaretach; odpowiedziałem, że nic nie wiem — natenczas oświadczył mi, że pełniąc polecenie dane ze strony Iżykowicza i Korejwy, przyjmuje mnie do grona filaretów czwartej klasy i żąda odemnie słowa honoru, że nie będę pił, palił i grał w karty, że nie będę kłamał i „romansował“, a nadto, że nikomu, nigdy słowa o tem czego się dzisiaj dowiedziałem nie powiem. Na te warunki przystałem i dałem solenne słowo dotrzymania przyrzeczenia; wtedy obecni przywitani mnie jako członka towarzystwa. Naszym obowiązkiem, powiedziano, będzie uczyć

się mówić poprawnie po polsku, unikać prowincjonalizmów, kłaść akcent na sylabie przedostatniej, mocno zaznaczać w wymowie litery *ę* i *ą*. Na zebraniach czytać będziemy dzieła polskie, naukowe i beletrystyczne, uczyć się historii polskiej, pisać opowiadania, albo nowelki, deklamować wiersze. Mamy żyć w serdecznej zgodzie ze sobą i być przykładem dla innych. Po dłuższej rozmowie zapytałem czy mógłbym zaproponować na członka do naszego tow. kolegę Bronisława Wierzbickiego. Fiodorowicz zaproponował, oświadczając, że Broniś gra w karty. Rzeczywiście Wierzbicki mieli dziwny popęd do gier rozmaitych i już w klasie trzeciej uprawiali grę w karty potajemnie; do karciarzy należało bardzo wielu z kolegów tak np. Witold Jodko, Edmund Bułhak, Palczewski, Kołkowski; zamykali się oni co wieczora w którejkolwiek z klas, biorąc klucz od stróża Łukasza i tam pod pozorem uczenia się wspólnie zadanych lekcyj, grali w preferansa. Kilka razy robiłem wymówki Bronisiowi, lecz one nie skutkowały, a to głównie z racji, że rodzice wszystkich owych graczy uprawiali u siebie w domu grę w karty. Jodko i Bułhak opowiadali, że nauczyciel ich, światły i wysoko ceniony pedagog, niejaki Wierzbicki zachęcał ich do grania w karty pod pretekstem, że w ten sposób rozwija się umysł i kształci zmysł kombinacji, a także pamięć.

Nakoniec pragnieniom moim stało się zadość. Zostałem filaretem. Powoli wtajemniczono mnie w skład naszego kółka; oprócz mężczyzn, należały i dziewczęta. Te ostatnie nie mogły być pięknymi, albo przynajmniej nie powinny były dbać o piękność. Piękność psuje dziewczęta, powinniśmy uczyć się cenić kobietę za jej zalety duszy, a nie ciała. Jak surowy był wybór, świadczyć może fakt, że Fiodorowicz swej rodzonej siostry nie dopuścił do kółka, gdyż był zdania, że jest za piękną. Do członków kółka płci żeńskiej mówiliśmy „kolego.“ Poznałem cztery dziewczynki, należące do kółka: Anetkę, Felisję, Klaudynkę i Witoldkę. O nazwiska ich nie pytałem. Anetka była wojowniczego usposobienia, marzyła o partyzantce. Felisia pisała dobrze, opracowywała biografie naszych znakomitych pisarzy. Klaudynka była nauczycielką prywatną. Witoldka bardzo rzadko zjawiała się na zebraniach. Wogóle nasze kółko było bardzo szczupłe, ale też i kandydatów brakło; wymagania były bardzo ciężkie. Fiodorowicz, który był prezesem, nie zgadzał się nigdy na przyjęcie osoby, niewypróbowanej. W piątej, szóstej i siódmej klasie istniały kółka filaretów, lecz my z nimi nie mieliśmy bezpośrednich stosunków—jedynie Fiodorowicz wiedział o nich; natomiast w kla-

sach niższych już za moich czasów kółek nie było, my ostatni dowiekleliśmy istnienie koła naszego we trzech tylko, mianowicie Fiodorowicz, Szuszkiewicz i ja. Słyszałem, że dawniej należało wielu w gimnazjum do filaretów, uczniowie byli starsi wiekiem i widocznie moralniejsi. Gra w karty zrazu nie była cierpianą, dopiero później coraz więcej szerzyła się wśród gimnazystów. Wpływ demoralizacyjny rusyfikacyi znieprawiał młodzież. Karty uważaliśmy jako modę rosyjską.

Oprócz koła filaretów, pokrywanego głęboką tajemnicą, mieliśmy w klasie naszej koła inne, publicznie znane. I tak koło historyków. Inicytorem jego był Michał Łapicki, braliśmy z nim lekcye prywatne historyi u Katańskiego, nauczyciela historyi i wykładaliśmy następnie owe lekcye z dopełnieniami z Rogalskiego, naszym kolegom klasowym. Kółko matematyków i fizyków utworzył Henryk Mikulski. Sportowem kołem zarządzał Ludwik Bardski, zbieraliśmy się w ogrodzie u Podolińskich (ogród archirejski), albo u Chrzczonowiczów w ogrodzie lub też za miastem pod lasem Niemorszańskich — graliśmy w piłkę, biegaliśmy do mety, mieliśmy też huśtawkę w posesyi Rybałtowskiego. Pływać uczyliśmy się pod kierownictwem Hrehorowicza, eks-filareta z klasy przed nami, którego jednak Fiodorowicz nie chciał przyjąć do naszego koła; braliśmy lekcye pływania u młynów Plebańskich, albo też u młynów na Lachówce. Konną jazdę uprawialiśmy w kółku, do którego należeli: Kister, Rewkiewicz, Kisielewski, Misza i ja.

W dniu świąteczne letnią porą, po obiedzie, urządzaliśmy większe piesze wycieczki za miasto do łośnicy Niemorszańskich, tam pod młynem kąpaliśmy się, następnie przekątnią po polach szliśmy do łośnicy Pruszyńskiego, a stamtąd traktem wracaliśmy do miasta. Na zielone święta szliśmy do Siemkowa Chmarów. Okolice miasta znaleźmy doskonale; marzyliśmy o podróżach pieszych dalszych, lecz do tego ani razu nie było sposobności podczas naszego pobytu w szkole.

Do nauk przyrodniczych mieliśmy pociąg wielki, ale nie znajdowaliśmy ani kierowników, ani podręczników. Hodowaliśmy różne zwierzęta ssące, ptaki i ryby, założyliśmy małe akwaryum w ogrodzie Podolińskich. Okazów nam dostarczał rybak, mieszkający nad Nimizą, Filip Kunciewicz, albo też sami łowiliśmy je w owej rzeczce. Razu pewnego o mało co że nie byłem odkrywcą niezmiernie ciekawego i ważnego faktu, mianowicie przeobrażenia, czyli metamorfozy u ryb. Było to latem, przechodząc przez most na Nimizie z kolegą Rybałtowskim, spostrzegłem ja-

kieś nieznane mi rybki, czepiające się kamieni i poruszające się jak pijawki, gdy te pływają; udałem się natychmiast do Kuncewicza z zapytaniem co to za rybki i z prośbą o pomoc przy łowieniu. Ten oświadczył nam, że to nie są ryby, lecz „Wiereciennice“, te zaś rodzą się, powiadał, z robaków, żyjących w ile, owe robaki nazywają „Robaczycami.“ Ja, Rybałtowski i syn Kuncewicza zrzuciwszy dolne ubranie i obuwie wleźliśmy do rzeczki i złowiliśmy kilka „Wiereciennic“ do małego naczynka glinianego; z tą zdobyczą wróciłem do domu i tu dowiedziałem się, „że to są młode minogi“ i że to co plótł Kuncewicz o Robaczycach jest fantazją rybacką. Niestety, zadowolilem się tą wiadomością, nie starając się zbadać prawdy opowiadania Kuncewicza. Dopiero w dziesięć lat potem bawiąc w Berlinie, dowiedziałem się z ust samego odkrywcy prof. Augusta Müllera, że Robaczycy (*Ammo-coetes branchialis*) jest stanem młodocianym *Minoga* strumieniowego (*Petromyzon Planeri*).

Drugi wypadek, dotyczący historyi naturalnej, odnosił się do Świerszczów (*Gryllus domesticus*). Pewnego wieczora słotnego, w mieszkaniu ubogiem nauczyciela historyi Katańskiego, przy świetle jednej łożówki odrywaliśmy lekcję prywatną z historyi, przy czem mieliśmy stały akompaniament do monotonnego czytania z podręcznika przez Katańskiego; akompaniamentem tym było donośne świerszczenie paru okazów tych, wówczas pospolitych zwierzątek po wilgotnych mieszkaniach miasta. Ja i Michał Łapicki notowaliśmy podczas lekcji fakty z historyi średniowiecznej, które zalecał nam zapamiętać Katański. Ten ostatni spostrzegłszy, że Łapicki drzemać zaczyna, zawołał raptownie: „będziemy łowili świerszcze.“ Z propozycji skorzystaliśmy natychmiast i zabraliśmy się na seryo do polowania, które się nam jednak nie udawało. Wtedy Katański przywołał chłopaka służącego i kazał nam pomagać, wszakże na razie i pomoc okazała się bez wszelkiego skutku. Bawiliśmy się jednak dobrą chwilę, zapomniawszy o bohaterach średniowiecza. Dowiedzieliśmy się tylko przy tej okazji, że „majster“ od łowu świerszczów, ów chłopak Katańskiego, łowi je na przynętę. Poprosiliśmy go, ażeby nam złowił parę okazów, przyczem Katański opowiedział nam, że Chińczycy urządzają wielce ciekawe walki świerszczów, które mają być tyle interesujące i budzące taki sam zapał wśród widzów, jak walki byków w Hiszpanii. Chłopak dotrzymał słowa i nauczył nas sposobu łowienia świerszczów; bawiliśmy się ich hodowlą i trenowaniem, jednak do walki na seryo nie dopuszczaliśmy, żałując naszych pupilów. Odtąd zacząłem hodować i zwierzęta bezkręgo-

we. Do pomocy w hodowli miałem w domu siostry moje, następnie babkę Franciszkę z Leńkiewiczów Przysiecką i krewną naszą sierotę, wychowującą się razem z nami, Izabelę Szwerynowną; w ich rękach każde ze zwierząt hodowanych stawiało się tak łaskawem, jakby pochodziło od rodziców dawno już udomowionych w ciągu całych pokoleń. Ileż to gatunków zwierząt mieliśmy po kolei! Jeże, zające, króliki, susły, żórawie, kaczki, kanarki, synogarlice, żółwie, ryby, osy, koniki polne, świerszcze etc. Pamięć moja tak żywo maluje mi postać babki naszej, otoczonej pierzastymi jej wychowankami, jakbym ją widział jeszcze żyjącą; to samo i odnośnie do siostry mojej Anny, spoczywającej już dawno w mogile, a także i Izabeli, która do końca życia swego z zainicjowaniem oddawała się hodowli zwierząt, a miłość do nich posuwała aż do granic, rzadko spotykanych wśród ludzi. Dopiero później w życiu poznałem, jakim to ważnym środkiem wychowawczym dla pielęgnowania altruizmu jest rozbudzenie w dzieciach miłości do zwierząt.

W czasie pobytu mojego w gimnazjum byliśmy świadkami paru bolesnych wypadków; oba one miały dla losów samego gimnazjum fatalne następstwa. Pierwszy wydarzył się podczas kampanii węgierskiej. Do gimnazjum naszego przybył z Wilna Wejsztor, mający rozporządzenie zawiązania wśród starszych uczniów koła rewolucyjnego. Zdradzony w Wilnie, był aresztowany i uwięziony, a wraz z nim uwięziono i pewną ilość uczniów naszego gimnazjum. Nas, młodszych, nie wtajemniczano i nie wciągano do spisku. Czy Fiodorowicz, Ganecki i Wojnicz wiedzieli coś o tem, pozostało tajemnicą, milczenie było bowiem dewizą naszą. Sprawa Wejsztora była sądzona w Wilnie. Przed samymi wakacjami letnimi przywieziono wyroki i obwinionych. Egzekucje odbywały się na korytarzu gimnazjalnym wobec wyższych władz. Choroba moja symulowana, na mocy której uzyskał ojciec pozwolenie wywieżenia mnie z miasta, ochroniła mnie od widoku kaźni, słyszałem tylko opowiadania po powrocie z wakacji. Prawdopodobnie wszyscy filareci starsi wiekiem opuścili gimnazjum. Odtąd już nie widziałem i naszych koleżanek, zebrania nasze odbywały się rzadko i to pod wielkim sekretem. W gimnazjum zapanowało przygnębienie, a ze strony władz wszelkie możebne represye były czynne. Równoległe z tem szła i demoralizacja, jak tego dowodem historia z Józefem Jelskim i jego współpracownikami. Drugi wypadek, lekkomyślny i dziecinny w wykonaniu, stał się powodem osądzenia kilku uczniów i całkowitego przeobrażenia stosunków w łonie młodzieży, a zarazem i zmiany personelu w za-

razdzie gimnazyalnym. Nasza klasa przystępowała owego roku i właśnie w tym czasie do egzaminu maturalnego, gdy gruchnęła wieść, że w internacie szlacheckim porżnięto portret cesarza Mikołaja, zawieszony w sali. Zrazu nie chcieliśmy temu wierzyć, aliści dowiedzieliśmy się wkrótce, pomimo straży, którą otoczono pensyonat, że wieść ta nie jest zmyśloną. Z tej głupiej, dziecinnej psoty zrobiono straszną historię; zjechała komisya z Wilna, na której czele stał ów sławny Batiuszkow, prawa ręka Bibikowa; indagowano osobno każdego ucznia internatu, kazano podawać imiona tych, na których ma się podejrzenie, malce płatali się w swoich zeznaniach, powstawały nieporozumienia, podejrzenia, waśnie, etc.—słowem rozprzęgło się życie koleżeńskie całkowicie. Nikt się do czynu nie przyznał, sprawca pozostał niewykryty, a jednak Batiuszkow wydał sąd „Salomonowy:“ oto uznał winnymi dwóch uczniów, którzy mieli najwięcej głosów podejrzenia za sobą. W taki sposób został ukarany Konrad Leńkiewicz, skazany „w proste sołdaty“ na Kaukaz i Jan Palczewski. Usunięto nauczycieli dozorców w pensyonacie, mianowicie: Jacot'a, Schmella i Rodziewiczza, przysłano nowego dyrektora z Wilna, niejakiego Dieśnickiego, nauczyciela literatury rosyjskiej w wileńskim Instytucie szlacheckim. On to rozpoczął gospodarę „obrusitielną,“ według nowych zasad i nowej metody. Nasza klasa przy egzaminie stała się pierwszą ofiarą nienawiści nowego dyrektora do imienia i „ducha“ polskiego. Przyjazd nowego dyrektora rzucił popłoch ogromny pomiędzy kolegami, wielu rzekło się egzaminu. My, niedobitki filaretów, wraz z kilkoma innymi kolegami, postanowiliśmy iść na ogień, zbieraliśmy się dla wspólnego powtarzania przedmiotów w mieszkaniu Teofila Jakubowskiego, nauczyciela w domu Chrzczonowiczów. Ów Jakubowski, o wiele starszy od nas, był pracowity i zdolny człowiek; to też przedstawiałem go parę razy na członka do naszego towarzystwa, lecz Fiodorowicz stanowczo zakładał veto, a to z racyi, że Teofil był niezmiernie kochliwy; kochał wprawdzie platonicznie tylko, niemniej jednak trwonił czas na pisanie czułych wierszy do swoich bohdanek, a jakkolwiek już duży chłop, wzdychał i jęczał, jak baba jaka, gdy która z uwielbianych przez niego, docięła go ironicznie. W ostatnich czasach zwrócił był swoje platoniczne afekta do ślicznej panienki, siostry rodzonej ucznia jego Chrzczonowicza, mianowicie do Ludki. Malec Chrzczonowicz wykraść był pewnego razu kajet z wierszami swego nauczyciela i dał mi do przeczytania. Do tego kajetu wpisaaliśmy, udając charakter kobiecy, wierszyk trawestowany z jakiejś książeczki. Teofil po przeczytaniu był w rozpaczy, wzdychał gło-

boko i łzy ronił. Wierszyk ten pozostał mi w całości w pamięci, cytuję go poniżej:

Ludku! moja Ludku!

W zielonym ogródku

Jest róża miesięczna

I piękna, i wdzięczna.

Tę różę serdeczną

U stóp Twoich składam,

Niech będzie zakładem,

Że miłość jest wieczną.

Drogi mi Teofilku,

W moim zaś ogródku

Jest groszek pachnący,

Cudnie woniejący.

Wianek zeń urobie,

Misternie ozdobię

I Twą skroń młodzieńczą

Tym grochem uwieńczę.

Pomimo tej swojej kochliwości dziecinnej, Jakubowski był dobrym kolegą, żał nam go było, że stawał się często przedmiotem żartów ze strony panienek i śmiesznym platonicznym don Juanem w oczach naszych. Ale na to rady nie było. Ludzie przynoszą ze sobą na świat atawistycznie właściwości swoich przodków, Teofil odziedziczył był swoją kochliwość widocznie po jakimś pradziadku trubadurze, siły woli brak mu było dla pokonania tej słabości. O losach jego późniejszych nie wiem, przyjeżdżał do Dorpatu, lecz gdy egzaminu wstępnego zdać nie mógł, do Moskwy odjechał. W owej chwili, gdyśmy dnie i noce spędzali nad książkami, chodziło i Teofilowi już nie o Ludkę, lecz o maturę.

Pierwszy egzamin był z religii i rozpoczął się, ku zgorszeniu Dieśnickiego, od katolików, bo żadnego prawosławnego nie mieliśmy w klasie. Przybrano aulę uroczyste, postawiono stół olbrzymi, czerwonym suknem zasłany, dokoła niego fotele dla dygnitarzy świeckich i duchownych, a tylko dwie ławki dla niewielu uczniów, zgłaszających się do egzaminu. Wyciągaliśmy bilety, odpowiadaliśmy po polsku na pytania, zapisywali zdanie katecheta, biskup, nominat, egzamin wypadł dobrze. Dyrektor nowy siedział milczący, odsunął się demonstracyjnie na bok, założył nogę na nogę i kiwał głową z wyrazem jakiegoś lekceważenia, wogóle przybrał postawę, wcale nie licującą ani z powagą miejsca, ani z winnem uszanowaniem dla osób obecnych. Po skończeniu egzaminu i odmówieniu modlitwy po polsku, dostojnicy pożegnali nas i wyszli z auli. Przeprowadzając ich, dyrektor zwrócił się do nas z rozkazem, ażebyśmy nie wychodzili, lecz poczekali aż wróci. Przyszedłszy, zamknął drzwi do auli, kazał wystąpić nam z ławek, uszykować się w szeregu, stanawszy przed nami, jak oficer przed frontem żołnierzy, rozpoczął perorę długą, oświadczając, że nie umiemy „dierżat’ siebia pryliczno piered naczalstwom.“ Każdy odpowiadający bowiem powinien „dierżat’ ruki po szwam,“ tę pozycję macie zachowywać przy dalszych egzaminach. Widocznie

nikt was nie przestrzegał, stąd te ruchy „nieprylicznyje.“ „Wy nie aktorzy, wam się zabrania ruszać rękami.“ Po perorze, wypowiedzianej głosem podniesionym, zapytał mnie o nazwisko, gdym mu wymieniał, oświadczył, że ja jeden tylko miałem postawę „pryliczną.“ To szczególniejsze odznaczenie było dla mnie ciosem bolesnym, przykrą mi była bowiem pochwała, tembardziej, że sam nie pamiętałem, jak trzymałem ręce, gdym stał przed egzaminatorami; uważałem głównie na pytania, a nie na ręce.

Po odejściu dyrektora, Broniś Wierzbicki wziął mnie na stronę i zapytał szeptem, czy ojciec mój nie był u dyrektora, odpowiedziałem, że ojca niema w mieście. „Ale skąd ci to pytanie przyszło do głowy?“ zagadnąłem go z mojej strony. „Bo skąd on ciebie wyróżnił, nie stałeś inaczej od nas.“

Widząc z tej odpowiedzi, że mogą podejrzewać ojca o przekupstwo, zwróciłem się do kolegów, mówiąc, że niektórzy podejrzewają, iż jakieś zaszły starania ze strony ojca mego, mające na celu pozyskać łaski u dyrektora. Otóż oświadczam, że ojca mego niema i niebyło w mieście, że dla mnie łaski dyrektora nie mają żadnego znaczenia, jadę po wakacyi do Dorpatu, tam zdawać będę egzamin wstępny, więc chodzi mi tylko o świadectwo, a nie o rangę, albo atestat, otóż gdybym zdał egzamin najgorzej, nie sobie z tego robić nie będę. Ojciec mój nie poniży się nigdy, ażeby miał wypraszać łaskę dla mnie u władzy gimnazyalnej.

W parę dni potem rozpoczął się egzamin z języka rosyjskiego, a więc ze specjalności nowego dyrektora. Przynieśliśmy ze sobą skrypta; czyli wszystkie nasze kajety z ćwiczeniami, etc. Były one ozdobione winietkami, portretami pisarzy rosyjskich, ilustracyami, dotyczącami przedmiotów traktowanych w ćwiczeniach, etc. U mnie były wypisane zdania różnych poetów rosyjskich, szeregi obcych wyrazów, zapożyczonych z języków narodów ościennych, etc. Te dodatki stanowiły w oczach nauczyciela Grebieńszczykowa pewną wartość, z tej racyi ozdabialiśmy nasze kajety bardzo starannie. Na ten egzamin szliśmy w pełnem przekonaniu, że spotkamy się z piekłem prawdziwem. Spuścił też z tonu swej arogancji i buty nasz nauczyciel, zmienił się do niepoznania, ogromna jego figura zgięła się, siedł za dyrektorem do sali skromniutki, uniżony, milczący; za nim postępowało dwóch asystentów do egzaminu, nauczyciel Bohojawleński i Andrejewski. Bohojawleński przechodząc mimo nas, stojących w ławkach, palcem dotknął nosa swego i smutnie pokiwał głową. Kuratora nie było, a myśmy go wyglądali w tej nadziei, że obecność jego ułagodzić byłaby potrafiła oczekiwaną zawziętość dyrektora.

Gdy nauczyciele i dyrektor stanęli u stołu, zagrział głos dyrektora rozkazem „malitwu.“ Fiodorowicz wygłosił modlitwę po rosyjsku, po niej nie usiadł dyrektor, lecz rozpoczął perorę, w której oświadczył, że nie umiemy nawet odmawiać modlitwy „kak sledujet,“ że za prędko „czytano malitwu.“ Nikt widocznie nie zwraca uwagi na uczniów dodał, robią co chcą i jak chcą. Po tej perorze kazał usiąść. Następnie przysunął do siebie bilety, ułożone w paczki, według przedmiotów i wziawszy paczkę pytań z gramatyki, kazał wywoływać uczniów według spisu. Uczniowie internatu szlacheckiego mieli pierwszeństwo; poszli więc na pierwszy ogień Edmund Bułhak i Bronisław Wierzbicki. Biedny Edmund był tak blady, jakby blizki omdlenia, zapomniał o rozkazie trzymania rąk „po szwam, szedł chwiejnym krokiem, oglądając się za siebie. Wogóle był on niezgrabny w ruchach i z tej racji dyżurny nauczyciel w pensyonacie Francuz Jacot nazywał go „le gros Murlier,“ co oznaczać miało „gruby niedźwiadek,“ ale teraz zastraszony stracił zupełnie przytomność umysłu, za co był skarcony przez dyrektora, co go do reszty dobiło, tak mu drżała ręka, że sam biletu wyciągnąć nie mógł, podał mu sam dyrektor bilet i kazał mu wrócić do ławki, ażeby się zebrał z myślami. Bronisł był mniej strwożony, ale oni obaj byli dalecy od tego, ażeby mogli zachować zimną krew, niezbędną przy egzaminach, to też dostali 2 czyli cenzurę niedostateczną. Piękny początek myśleliśny. Edmund był zrozpaczony, napróżno pocieszałem go mówiąc, że ponieważ zamyśla wstąpić na uniwersytet dorpaccki więc niepotrzebnie się smuci, wszak Niemcy nawet i tego nie umieją co my, a przecie wybierani bywają nawet na generał-gubernatorów, dosługują się rangi generałów jak np. J. Rene, krewny Jodków i Bułhaków.

Na dalsze egzamina nie zwracałem wcale uwagi, dyrektor krytykował każdą odpowiedź, znalazł zawsze przyczepkę, to go wysłownienie się ucznia raziło, to nieznajomość przedmiotu; sypał dwójki, słowem był w swoim żywiole; egzaminowano do drugiej lecz do mnie kolej nie doszła. Fiodorowicz odmówił modlitwę według przepisu „s razstanowkoj, s tołkom i czuwstwom.“ Następował dzień świąteczny, mieliśmy więc przed sobą półtora dnia do przygotowania się czyli do odświeżenia w pamięci prawideł gramatycznych, bo te dla nas były z całego chaosu przedmiotowego najtrudniejsze do objęcia, nazywaliśmy je „czepuchą.“ Zresztą tak się byłem ohył z myślą, że nie mam dbać o dyrektora, iż w rzeczy samej drwiłem sobie z niego. To też bawiliśny się raczej przy powtarzaniu, aniżeliśmy się uczyli, lecz w każdym

razie powtórzyliśmy wszystko o ile się dało i wieczór przed egzaminem przepędziliśmy w ogrodzie zasłuchani w śpiewie słowików.

Już zaraz z początku gdyśmy stanęli do egzaminu przysła kolej na innie, wyszedłem, mogę to najuroczyściej zaświadczyć, zupełnie swobodnie, nawet z pewną dozą molisy, pragnąłem szczerze napsuć krwi dyrektorowi. Wyciągnąłem bilet z gramatyki, dotyczący prawideł używania liter e, je, jat', a także znaku twardego i miękkiego. Są to prawidła nielogiczne, bezsensowe, prawidła te jednak umialem na pamięć, według skryptu dyktowanego nam przez nauczyciela, wyrecytowawszy je rzekłem, że gramatyka rosyjska czeka jeszcze na człowieka, któryby ją opracował należyście, któryby zaczął od tego, ażeby wprowadzić alfabet łaciński i uwolnić od hieroglifów greckich. Dzisiejsza gramatyka, mówiłem, dzisiejszy alfabet są w stanie przejściowym, wiele jest liter niepotrzebnych, a znowu niema litery koniecznej, jak *ы*. „Udarenja“ powinno być ujęte harmonijnie, a nie przeszkadzać, jak obecnie do harmonii wiersza, dzisiejszy akcent jest kaprysem, żadną logiką nie krępowanym. Wypowiedziawszy to wszystko jednym tchem, ażeby mi nie przerwał dyrektor, powiedziałem: „skończyłem.“ Byłem przygotowany na jakąś groźną burę, której pragnąłem szczerze, lecz wbrew oczekiwaniu nastąpiło milczenie, a następnie dyrektor podał mi paczkę biletów z pytaniami z retoryki. Prosiłem go, ażeby mi pozwolił zdawać w jednym ciągu bez odpoczynku, bo taki zwyczaj wypoczynku wprowadził był dyrektor, pytając kolejno to jednego, to drugiego z dwóch wzywanych do ciągnięcia biletów. Na moją prośbę przystał, wyciągnąłem bilet o sylogizmach, odrecytowałem z pamięci słowo w słowo to, co miałem zapisane w kajecie i znów wyrzekłem sakramentalny wyraz: „skończyłem.“ Dyrektor podał mi bilety z poetyki, wyciągnąłem pytanie o „zwukopadrażanii.“ Znowu klepałem wyuczone na pamięć całe ustępy o tego rodzaju twórczości poetycznej, aż dociągawszy do końca, oddeklamowałem, jako przykład, utwór cały pod tytułem: „Zamek Morweny.“ „Władyka Marwieny żył w diedowskom zamku maguczyj Ałdał.“

Oddeklamowawszy ten wiersz, zrobiłem uwagę, że każdy język jest w gruncie rzeczy imitacją głosów przyrody. Lingwistyka kiedyś dojdzie do tego, że wypowie z całą ścisłością, na jakich głosach natury kształcił się każdy pojedynczy język. Mongolski język np. kształcił się prawdopodobnie na skrzypieniu niesmarowanych wozów, na ryku bydła, rzeniu koni, beczeniu owiec, na barbarzyńskich wołaniach pasterzy, na wyciu wilków, ryku stepowych wiatrów. Niemiecki natomiast na kwakaniu żab,

szumie morza, krzyku mew, etc. I na te uwagi nic mi nie odpowiedział, tylko przeciągnął rękę z paczką biletów z literatury; wyciągnąłem pytanie „o wpływie języków obcych na słownictwo języka rosyjskiego.“ Rozpocząłem opowiadaniem, jak np. młody naród, zetknąwszy się z sąsiednimi, wyżej kulturalnymi, albo potężniejszymi od niego, łatwo przyswaja sobie wyrazy obce, przekształcając je, jak to czynią dzieci, tak np. z wyrazu „Magazyn“ tworzy się „Mangaziej;“ z „Port-epée,“ „Portupiej;“ z „Chapeau,“ „Szlapa“ etc. Otóż rozpatrując język rosyjski z tego punktu, widzimy, że z racyi, iż na dworze panującym mówiono stale po francusku, albo po niemiecku, nazwy wszystkich urzędników państwa, jak np.: Kammerherr, Kamerjunkier, Paź, Frejlina, Generaładjutant, Sztatnejster, Minister, aż do Unteroficera, Feldfebla, Kależskawo-sekretara, są wzięte z niemieckiego albo francuskiego. Również wiele miast, jak np. sama stolica Petersburg, Peterhof, albo Schlisselburg, Kronsztad, Ekaterynenhof, są nazwane po niemiecku, części miast noszą nazwy obce, np.: Prospekt, Kwartal, Bulwar. Dalej wszystkie nazwy posad uczonych po akademiach, uniwersytetach, korpusach, gimnazyach są zapożyczone od Niemców, toż samo większa część nazw naukowych, technicznych, rzemieślniczych. Z francuskiego wzięte są wyrazy dla oznaczenia elegancyi, grzeczności, następnie tańców, śpiewów, ubikacyj po dworach, pałacach. Z greckiego imiona mężczyzn i kobiet, nazwy w obrębie dostojęństw kościelnych i w zakresie obrządków religijnych. Od Holendrów nazwy dla marynarki. Od Mongołów zapożyczono nazwy barw, wieku, bydła i koni, uprzęży, wozów, jak Tarantas, Tielega, nazwy różnych budowli, jak np. Jurta, Szatra, Ambar, następnie nazwę dla rangi „Czyn“ i dla urzędników „Czynownik.“ Od Chińczyków nazwę herbaty „Czaj“ i przyrządów do herbaty „Czajnik.“ Od Finów wyrazy dla rybołówstwa i wiele nazw ryb. Od Rusinów nazwa „Ataman.“

Gdym tak pięknie wykladał wszystkie źródła, skąd czerpał język rosyjski swoje wyrazy, a nareszcie, gdym je zakończył, dyrektor zapytał z gniewem: „A coście pozostawili dla języka „karennowo ruskawo?“ -- „Wsio proczeje“ — odrzekłem. — „Skądże macie takie piękne wiadomości lingwistyczne?“ — dał nowe zapytanie. — „Z zapisek p. nauczyciela“ — odpowiedziałem. — „A macie te zapiski tutaj?“ — „Kanieczno mam.“ — „Pakażytie.“ Wróciłem do ławki, wyjąłem gruby kajet literatury rosyjskiej, odszukałem rozdział, o którym mowa, i podałem, zaznaczając miejsce, gdzie było wypisane lakoniczne: „Wsio proczeje.“ Dyrektor zaczął czytać kajet, następnie zapytał, czy nie ma kto jeszcze „za-

pisiek“ z literatury; podano mu jeden egzemplarz. Położył oba egzemplarze przed sobą na stole, wsparł się na łokciach i porównywał je długo, nareszcie podniósł się raptownie, przybliżył się do obok siedzącego Grebieńszczykowa i, uderzając trzymanym w rękę ołówkiem rytmicznie po jego nosie, zaczął mu syczącym od gniewu głosem czynić zarzuty, które były, ze względu na ich treść i na ich formę, najzupełniej niewłaściwe, zaś czynione wobec nas uczniów zebranych, były też w najwyższym stopniu nieaktowne.

Gdyby Grebieńszczykow miał choć szczyptę poczucia godności człowieka, to byłby się najniezawodniej obraził i skarcił p. dyrektora, ale on siedział w fotelu niemy, apatyczny, pozwalając uderzać się ołówkiem po nosie. Miał on jeden jedyny, ale olbrzymi, „heroizm-niewoli.“ Obserwowaliśmy tę scenę w całej swej barbarzyńskiej nagości, odbywającej się przed naszymi oczami, ze wstrętem najwyższym. Jak zwyrodniałą była istota pijaka, pozwalającego bez protestu na poniewieranie sobą, tak też zwyrodniałą być musiała i istota poniewierającego, znajdującego satysfakcję w takiej czynności.

Po wyładowaniu całego zapasu złości, dyrektor rozpoczął egzamina dalsze, trwały one do drugiej, po modlitwie szliśmy do domu smutni, zgnębieni. Egzamina z języka rosyjskiego przeciągały się niezmiennie długo, po ich ukończeniu zostałem zawezwany przed dyrektora. Gdym przybył do jego mieszkania, które znajdował w gmachu gimnazjalnym, zapytał mnie co myślę ze sobą uczynić po ukończeniu egzaminu; odpowiedziałem, że myślę wstąpić na uniwersytet dorpcki. „Więc wam ranga nie potrzebna?“ zagadnął. „Wcale nie“ odrzekłem i dodałem, „że ranga jest nagrodą za znajomość języka rosyjskiego, a ja rościć pretensyi do znajomości tego języka nie mogę.“ „A szkoda“ wyrzekł i dodał: „więc wam atestat wystarczy?“ „Najzupełniej“—i na tem konferencya nasza zakończoną została. Inne egzamina szły pomyślniej. Dyrektor był często nieobecny, zastępował go wtedy inspektor Hołowiński, figura urzędowa, ale w gruncie rzeczy niezły człowiek. Na egzamin historii rosyjskiej zjawił się dyrektor i tu, gdzie mógł, „wścibiał swoje trzy grosze.“

Szybszym coraz krokiem zbliżaliśmy się do końca tortur egzaminacyjnych. Nakoniec stanęliśmy u kresu. Przemówienie pożegnane dyrektora było typowe. Zarzucał nam, że nasza wymowa rosyjska jest zła, bo widać, „że język rosyjski jest dla nas obcy i tego on na przyszłość nie zniesie.“ Cieszyliśmy się, żeśmy sami uniknęli nowych „abrusitielnych eksperymentów,“ lecz smutno nam

było, że pozostali po nas będą im poddani. Przekonani byliśmy, że w miarę jak będzie postępowało „abrusienije“ w gimnazjum, zwiększać się będzie niemoralność wśród młodzieży. Bo jakkolwiek szerzenie moralności i jej pielegnowanie, leży w mocy samej młodzieży, a nie po za nią, lecz warunki ku temu powinny być inne, niż były ówczesne. Żegnając się z Fiodorowiczem musieliśmy przyznać, żeśmy nie zdołali pozostawić po sobie następców, byliśmy ostatnimi Mohikanami. Groza represyj mroziła wszelką chęć propagandy, nawet propagandy dobra i cnoty. Dowiedziałem się później, że dyrektor wziął następnie w swoje ręce oba internaty, że dorobił się majątku na swej posiadzie i że pił porządnie.

O Grebieńszczykowym mieliśmy wiadomości z Rygi, widziało go, walającego się po ziemi, w domu rozpusty sławnej „Żeni“ w Rydze. Opowiadano także, że za czasów Murawjewa znalazł posadę w komisji śledczej w Mińsku. Czy to prawda? — przekonać się nie mogłem.

Doświadczenia lat późniejszych, które pozwoliły poznać mi lud rosyjski i biurokracyę na wielkich obszarach państwa, dały możność ocenienia obu kategorii społecznych. Znam zalety ludu, znam jego wady, pierwsze cenię, nad drugimi boleję, ale odnośnie do biurokracyi, to rzadko miałem sposobność poznać jej zalety...

DR. B. DYBOWSKI.

PROBLEMAT SPOŁECZNY

w powieści polskiej

(SZKIC PORÓWNAWCZY).

Dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień, chciałbym od razu jasno postawić kwestyę: mam jedynie na względzie rdzeń zagadnień społecznych, poruszanych w naszej powieści czasów ostatnich.

Cały szereg bowiem utworów powieściowych nie należy wyłącznie do literatury pięknej: są to w istocie swej dokumenty społeczne, na równi z traktatami socyologicznymi lub politycznymi mieszczą nader cenny materiał faktyczny.

W stosunkach zachodnio-europejskich badacz społeczny posługuje się nader często temi źródłami: „Germinal“ Zoli niejednokrotnie służy jako ważny materiał w dziedzinie kwestyi robotniczej, „Sybilla“ Disraelego daje cenne wskazówki historykom ruchu charytystów, a fantastyczna sielanka Morrusa „Utopia“ wcieloną jest wprost do literatury ekonomicznej.

Widzimy tutaj jakby obrazowe dopełnienie życia codziennego, czego pisarz ekonomiczny nie może poprostu pomijać.

Nauki ekonomiczne mają szeroki zakres badań, — nie zamykają się tylko w analizie pewnych zjawisk czy kategorii ekonomicznych. Patrzymy na sprawę głębiej i szerzej. Fakty społeczne nie przedstawiają się jak coś oderwanego, czy abstrakcyjnego — należy je przede wszystkim rozpatrzeć na tle i w zależności od warunków społeczno-kulturalnych.

Słusznie zwracają uwagę ekonomiczni, że określanie zadań ekonomii społecznej, jako badania działalności gospodarczej ludzi, nie dość ściśle zaznacza jej treść.

Same funkcyje gospodarcze są mechanizmem złożonym.

Ekonomia—nauka mająca największy kontakt z życiem, musi uwzględniać wszelkie objawy natury społecznej.

Chcemy—dajmy na to—z badać życie robotnika.

Wchodzimy do fabryki. Przy warsztacie czy maszynie porzrucane grupy pracowników. Poznajemy jakie funkcyje spełniają poszczególne jednostki. Ta strona techniczna, sama przez się nader złożona—nie wyczerpuje jednakże całej sprawy.

Staramy się następnie dowiedzieć, jak długo pracują na dobę—jak wysoką jest pobierana płaca. O tem wszystkim jednakże informują nas mniej więcej dostatecznie wyciągi z ksiąg buchalteryjnych.

Idziemy zatem dalej. Zbliżamy się do robotników, aby dowiedzieć się szczegółów o życiu pozafabrycznem—o warunkach bytu fizycznego i społecznego, staramy się zrozumieć i wyjaśnić sobie ich ideały i dążenia. Dowiadujemy się o stosunku między pracodawcą a pracującymi; czy posiadają jakie społeczne urządzenia, jak wysoko stoi uświadomienie intelektualne etc. Jednem słowem uważniejsze przyjrzenie się owej gromadzie w podanym przykładzie, unaocznia nam istnienie pewnych stosunków społecznych, związanych z wykonywanymi przez nich technicznymi czynnościami i zabarwianymi w osobliwy sposób życie tego zbiorowiska ludzkiego. Ważne są nie tylko narzędzia i metody, przy których pomocy osiągnąć zostają cele gospodarcze, lecz również społeczne stosunki w dziedzinie życia gospodarczego.

I dopiero po poznaniu wszystkich powyższych warunków, będziemy w stanie zdać sobie dokładnie sprawę z istotnego położenia robotnika.

Jednocześnie, nie polegając li tylko na materyale zebranym samodzielnie, sięgamy do gotowych prac w tym kierunku.

Nie gardząc przeto żadnym, najniklejszym nawet, przyczynkiem do rozświecenia sprawy, musimy wziąć pod uwagę i powieści społeczne.

Czerpiemy dane, które poza pewną fantazją autorską są w ścisłym związku z codziennem życiem.

Pomijamy już ideowe znaczenie utworów, odtwarzających prądy społeczne—poprostu dla wszechstronnego oświetlenia kwestyi, dla wykończenia i zaokrąglenia naszych naukowych spostrzeżeń winniśmy baczną uwagę zwrócić na powieść społeczną. I bardzo często w pracach ekonomicznych spotykamy powoływanie się na pewne najcelniejsze utwory, specjalnie literackie.

I niektórzy autorowie uciekają się wprost do formy powieściowej w celu szerzenia swych idei społeczno-gospodarczych.

Wspomnę chociażby Tołstoja, który w „Annie Kareninie“ i „Zmartwychwstaniu“ kreśli szeroki plan reform agrarnych.

Mylnem przeto byłoby twierdzenie, że powyższa metoda w czemkolwiek sprzeciwia się naukowemu traktowaniu sprawy.

Przeciwnie. Wpływa na rozszerzenie horyzontów ideowych. Traktat nabiera życia bez zmniejszenia powagi naukowej. Nie możemy zamykać się w czterech ścianach gabinetu. Mamy do czynienia z życiem. Należy wsłuchiwać się hacznie we wszelkie odgłosy świata zewnętrznego — niosą nam materyał, oparty na realnej prawdzie.

Utwory powieściowe społeczne — to synteza współczesnych prądów socyalnych. I dlatego też sądzić można, że do poznania treści kwestyi społecznej na naszym gruncie, przyczyni się poznanie w tym względzie stanowiska powieści polskiej.

*

*

*

Ograniczone ramy niniejszego szkicu nie pozwalają objąć całokształtu zapatrywań poszczególnych—najwybitniejszych nawet pisarzy.

W ostatnim bowiem trzydziestoleciu powieść polska potrafiła cały szereg najważniejszych podstaw kwestyi socyalnej. Zajmować się zatem wszystkimi utworami, jest to wpaść w ogólniki i powierzchowne traktowanie sprawy.

Wybrałem poniekąd drogę pośrednią. Zatrzymuję się na zbadaniu, już dokładniejszym, podstaw kwestyi socyalnej w dziełach najbardziej typowych przedstawicieli powieści polskiej lat ostatnich. Typowych, a więc autorów, którzy starali się dać analizę życia społecznego i odtworzyli najwybitniejsze momenty sprawy socyalnej. I na zasadzie poznania dopiero ich wywodów i stanowiska, będziemy w stanie wytłómaczyć sobie pewne ogólne zapatrywania.

Wybieram dwóch autorów, stojących może na bezwzględnie różnych punktach ideowych, jak różnemi są epoki, których są w swych utworach przedstawicielami.

Mam na myśli Prusa i Żeromskiego.

Powyżsi autorowie zdołali przedstawić całokształt zagadnień społecznych, nurtujących nasze życie narodowe doby ostatniej; przedstawili ośnowę owych zagadnień w sposób, jeżeli można tak się wyrazić, historyczny—w jaki formowały się w Polsce. Posiadamy zatem ujęcie sprawy i analizę zjawisk.

Odczuwam już pytanie, zawierające i zarzuty. Dlaczego właśnie ci pisarze? Czy literatura nasza nie posiada więcej równej wartości dokumentów społecznych? Prus i Żeromski — zestawienie conajmniej może sztuczne i przygodne. Bezwątpienia. Jesteśmy w stanie przytoczyć cały szereg autorów, którzy przyczynili się do określenia zasadniczych podstaw problemu społecznego. Postąpiliśmy jednak z całą świadomością, wybierając i stawiając obok siebie tych dwóch pisarzy.

I Prus i Żeromski z dziwną intuicją zdołali się wcielić w dużą współczesnych im pokoleń. Stworzyli typ, kondensujący ideę społeczną. Są charakterystycznymi wyrazicielami dwóch następujących po sobie okresów rozwoju narodowego.

Wokulski—nie jest przecież jedynie sentymentalnym kochankiem bezdusznej lalki.

W nim widzimy ów ból i tragizm epoki popowstaniowej, gdy społeczeństwo odsunięte od najżywotniejszych spraw swego bytu, siłą rzeczy skierowało swą energię na placówki pracy wewnętrznej gospodarczej.

Przy warsztatach fabrycznych wykuwaliśmy sobie lepszą przyszłość—stwarzaliśmy niezależność gospodarczą, jako pierwszy szlup na drodze samodzielności politycznej. I wierzyliśmy silnie, że w ten sposób dojdziemy do celu.

Zerwaliśmy z romantyzmem. A jednak stworzyliśmy nowy romantyzm, który każe Rzeckim—bojownikom na polach węgierskich stanąć za ladą sklepową i w duszy być wiernym dawnym ideałom—romantyzm, który bezwiednie zupełnie łączy najprostsze zagadnienia gospodarcze z kwestyami politycznymi—romantyzm, który prowadzi Wokulskiego—trzeźwego biznesmana polskiego—do pracowni Geista, aby udoskonalać wynalazek dla uszczęśliwiania ludzkości.

W bohaterze Prusa w subtelny sposób skojarzyły się owe dwa pierwiastki, charakterystyczne dla tamtejszych pokoleń: trzeźwość poglądów, trzeźwość czynów, poplątana z tem uczuciem idealizmu dawnych lat.

Owa romantyczna trzeźwość wyraża się w twórczości gospodarczej takich pionierów przemysłu polskiego, jak Piotr Steinkeller i w pismach takich ekonomistów polskich, jak Józef Su-

piński. I z powodu może romantyzmu, niestartego z duszy pioniera samopomocy Wokulskiego, pozwoliliśmy, pomimo głoszonych hasel pracy u podstaw, innym, obcym, napływowym elementom stwarzać Łódź i dźwigać polski przemysł.

Prus dokumentuje naszą bezsilność. „Oni walczyli za interesy Węgrów lub czekali, jak świat napoleonidzi przebudują.“ Prus przedstawia początek przemysłowego życia w naszym kraju, rozpatruje pierwsze próby na tym polu. I jednocześnie w tej epoce formują się pierwsze zastępy proletariatu przemysłowego.

Wyłania się ów Judymów brat, którego Judym doktor (z powieści Żeromskiego) widzi po raz pierwszy w świetle wielkiego ogniska fabrycznego.

Zmieniają się warunki. Przemysł na wielką skalę wytwarza kwestyę robotniczą, która dzisiaj stanowi podstawę zagadnień społecznych. Wywiązują się pierwsze starcia. Armia robocza rośnie, wzrasta w pewność i siłę. Miejsce Wokulskiego, widzącego w solidarności społecznej przyszłość narodu, *chce* zająć Judym, poświęcający się dla szczęścia jednej tylko klasy — proletariatu.

I ten proces ewolucyi społecznej z całą ścisłością odtwarzają po kolei obaj pisarze.

W „Lalce“, „Emancypantkach“, „Powracającej fali“, „Kronikach tygodniowych“ widzimy pierwsze objawy ruchów społecznych. Prus maluje budzenie się narodowego poczucia po klęskach 63 roku. Widzimy kipiącą pracę w dziedzinie kulturalno-gospodarczej.

Uderza następnie w struny muzyki przeszłości.

W „Lalce“ spotykamy pierwsze odruchy idei, która później zawładnęła umysłami naszej młodzieży.

Nieznana jeszcze potęga. Nieodczuwana przez dawnych demokratów, którzy wierzyli w hasła wolności wszystkich przy wspólnych celach.

I Rzecki słucha z niepokojem i niedowierzaniem tych tajemniczych głosów, mówiących, że socjalizm jest większą potęgą od Bonapartyzmu, republikanizmu—od Gambetty i Bismarcka.

Trzeźwy umysł starego subiekta widzi jedynie chaos: „od pewnego czasu między pracującymi zaczynają kwitnąć nieznane dotąd zwyczaje: mało robić i głośno narzekać, a pocichu coś snuć.“

Na zebraniach studenckich Prusa uczą się kanonów nowej wiary bohaterzy Żeromskiego.

Prus otwiera pierwsze rozdziały okresu popowstaniowego.

Żeromski bezpośrednio kreśli następne etapy rozwojowe kwestyi socyalnej. Nie jest jednakże wyrazicielem ostatnich chwil życia narodowego.

Obecnie społeczeństwo przeżywa reakcyę, zaczynają już nurtować inne prądy. I dlatego pisma Żeromskiego należeć będą wkrótce do dorobku pokolenia *przedostatniego*. Odzywają się bowiem odgłosy już różne od poprzednich... Pomimo więc rozbieżności duchowej dopełniają się wzajemnie, rozpatrując osnowy *kwestyi socyalnej*.

Pojęcie *kwestyi społecznej* jest nadzwyczaj elastyczne, może obejmować wszystkie zagadnienia, wypływające ze stosunku człowieka do otaczającego społeczeństwa.

Jednostka żyje w gromadzie, każdy czyn indywidualny jest już poniekąd kwestyą społeczną. Należy postawić jednak określenie ściślejsze: problemat społeczny jest to kompleks zadań państwa i społeczeństwa dla poprawy istniejących stosunków społecznych.

Problemat zaś powstaje wtedy, gdy realne warunki, wpadają w pewną sprzeczność z wyrozumowanym ideałem i gdy społeczeństwo przychodzi do przekonania, że organy państwowo-społeczne mają możność i obowiązek przeciwdziałać tej anomalii.

Problematy więc społeczne mogą być podwójnej natury: z powodu pogorszenia się faktycznego stanu rzeczy, a dalej z powodu postawienia przez naród szerszych niż dotychczas wymagań.

I ta właśnie ostatnia przyczyna stanowi punkt wyjścia dla ważniejszych zagadnień XIX wieku.

Przy stosowaniu najsurowszej nawet miary konstatujemy, że na wszystkich polach życia cywilizowanego widzimy pewien postęp. Równocześnie wyłaniają się nowe kwestye społeczne, co dowodzi jasno, że w większym stopniu zmieniły się ogólne zapętrywania. Instytucye, uznane jeszcze przed niedawnym czasem za zupełnie wystarczające, obecnie nie odpowiadają zadaniom.

Można z całą chyba pewnością twierdzić, że gdyby jakaś wróżka czarodziejska przez dobroczynne tchnienie zniemiła nagle postać ziemi i usunęła wszystkie bóle i zgryzoty, nękające rodzaj ludzki, kwestya społeczna nie zesłaby z porządku dziennego. Ewolucya społecznego ducha stoi temu na przeszkodzie. Każda godzina przynosi nowe zagadnienia, wobec których stoimy najczęściej bezradni. Słowem kwestya socyalna, dążenie do zmiany pewnych anormalnych warunków dzisiejszego ustroju, ogarniając coraz szersze kregi, idzie równolegle z rozbudzeniem świadomości społecznej. Kwestya socyalna znajduje swój wyraz w ruchu tych wszystkich

warstw społecznych, które przyszły do przekonania, że im obecnie źle i pragną częściowej lub zupełnej zmiany stosunków.

Wobec tego pod ogólne miano kwestyj społecznych daje się podciągnąć sprawa kobieca, sprawa robotnicza, sprawa wychowania oraz sprawa upośledzenia polityczno-kulturalnego pewnych klas społeczeństwa.

Ruchowi emancypacyjnemu kobiet obydwaj autorzy poświęcili dość dużo miejsca. Już w tytule powieści Prusa jedni widzieli słowa uznania dla całego ruchu kobiecego, inni potępienie lub co najmniej ironię.

St. Simon, uważany nie bez słuszności za jednego z pierwszych i najgorętszych zwolenników wyzwolenia kobiety, pisał, że chrześcijaństwo uwolniło kobiety z jarzma niewoli, ale zepchnęło je, pomimo to, na stanowisko podrzędne; w chrześcijańskiej Europie widzimy kobiety obłożone klątwą polityczną i obywatelską. I St. Simonieści obwieszczają zupełną wolność kobiety, domagając się bezwzględного równouprawnienia.

Od powyższego doktrynerskiego stanowiska Prus jest dalekim. Przedewszystkiem pragnie zanalizować z jednej strony istotę duchową kobiet, następnie zaś przedstawia podstawy dążeń „nowych“ kobiet. Na tej mocnej zasadzie chce oprzeć swe poglądy... Bada i wyprowadza wnioski. I dlatego na pierwszy rzut oka stanowisko Prusa w tym względzie nie jest odrazu zrozumiałe i jak zaznaczyłem wyżej, dwuznaczne...

Dla Prusa kobiety nie stanowią jednolitej gromady upośledzonych przez siłę brutalną istot. Umie nader subtelnie gatunkować rozmaite rodzaje. Z jednej strony mamy do czynienia z jednostkami, pozbawionymi nie tylko jakichkolwiek aspiracji duchowych, ale wogóle ludzkich uczuć. Egoizm i chęć chwilowego panowania, stanowi wybitne cechy ich charakteru.

Są zdolne do ujeżdżania i gromienia męskiego rodu, owe automaty, gdzie pod pozorami człowieczeństwa nie ma nic ludzkiego, jak pisze z goryczą w swym pamiętniku stary subjekt.

Na czele kroczy Iza Łęcka, do której tak bardzo zbliżoną jest Helena Norska z „Emancypantek“, lub piękna baronowa Weiss z „Przekłętego szczęścia“, za nimi całe zastępy mniej lub więcej bezdusznych lalek. Nie są może złe, ale w duszy nie mają żadnej siły intelektualnej.

Nie mogą być nawet demonami.

Przechodzą przez życie, papląc zdawkowe komunały. Czasami poczynają prawić piękne tyrady dla skokietowania jakiego bogatego epuzera. Sieją zniszczenie przez swą bezduszość, po-

grążają w otchłań szeregi najdzielniejszych ludzi. Nie zdają sobie sprawy nawet z tego wszystkiego. Wobec takich kobiet Prus jest bezwzględnie surowym sędzią. Nie próbuje nawet tłumaczyć istnienia podobnych „gatunków ludzkich“ przez wpływ wychowania, czy kultury... Nawet wobec radykalnej zmiany warunków pozostałyby jednakowemi. W tym względzie stosunki otoczenia tylko mogły odgrywać pewną pośrednią, jakby drugorzędną rolę. Już z brakiem duszy przyszły na świat. I to stanowi ich tragizm.

Miejsce trochę wyższe pod względem rozwinięcia umysłowego, zajmuje typ inny. Nie robią w życiu swem nic złego. Nie niszczą egzystencji, ale nie zostawia po sobie żadnego śladu działalności, nie zdołały zapalić w duszy twórczej idei. Zaprzęły się w służbę frazesu; coś myślą, ale słowa pokrywają wszelką zdolność do czynu. Zdobędą się najwyżej na kazania o owej Alicyi Walter, dowodzącej armią w Stanach Zjednoczonych.

Nad tymi historycznymi wykrzykami Prus przechodzi poprostu do porządku dziennego. Na domagania się o wolność i równouprawnienie stawia ironiczną odpowiedź w postaci p. Mydęłki, uszczęśliwiającego związkiem małżeńskim p. Howard, „bojowniczkę wiecową o prawa kobiece.“

Naprzeciw owych gromad, z których jedno w swej bezduśności tłumia wszelki objaw życia, a inne w frazesie szukają wyjścia z położenia... widzimy kobiety zupełnie odrębne.

Są to kobiety-ludzie, mające mniej więcej skryształizowany cel przed sobą. I tutaj można skonstatować pewne zróżniczkowanie typów. Podłoże jednak charakterów podobne: myśl o innych, życie nie dla siebie, samodzielność energiczna, aby stworzyć znośną formę bytu. W tym łańcuchu krańcowym ogniwem z jednej strony jest Latterowa, przełożona pensyi, a z drugiej... Madzia, najmłodsza nauczycielka na tej pensyi.

Latterowa nie upadła na duchu po śmierci męża. Zdołała w sposób samodzielny zapanować nad położeniem. W postępowaniu przełożonej możemy niejednokrotnie skonstatować pewnego rodzaju łamanie i brak energii. Przyczyny czysto zewnętrzne wpływały na to. Czyn pozostaje czynem... Latterowa pada, ale nie dla tego, że kobieta niezdolna prowadzić wzorowej pod każdym względem instytucji; pada w walce ze słabymi uczuciami matczynymi, które ślepo, wbrew rozsądkowi każą działać. Dopiero na parę godzin przed śmiercią nawiedza Latterową pewnego rodzaju jasnowiedzenie: przychodzi jej na myśl, że katastrofie winny dzieci, a pośrednio ona sama przez złe pojętą miłość matczyną. I z tego powodu na pierwszy rzut oka chcielibyśmy się może do-

myślać, że autor, skrzywiwszy linię życiową Latterowej, pragnie wykazać, jak kruchą jest działalność kobiet, podległych przedewszystkiem uczuciu.

Pogląd taki byłby może uprawnionym, gdyby nie wyrosła obok Latterowej postać Madzi, owego łagodnego dziewczęcia, które dzięki wielkim zasobom uczucia w swej duszy, umie pełnić twórczą służbę społeczną.

Madzia nie może słabemi rękami „osiemnastoletniej działaczki“ przeprowadzać ani wielkich reform, ani być czynną bojowniczką o prawa kobiece. Jednakże „w promieniu światła lampy życia codziennego“ — niech mi wolno będzie użyć wyrażenia Zapolskiej — postać ta umie wywierać łagodny wpływ, umie roztoczyć czynną działalność, która z jednej strony zdobywa dla niej serca... a z drugiej — stwarza całą sieć plotek zawistnych...

„Dwa razy poruszyłaś Iksinów: urządziwszy koncert i pobudziwszy ludzi ażeby tutaj utworzyli szkołę. Cóż z tego masz? nic, trochę zawiści. Ale wędrowni aktorzy mieli dochód, panna Cecylia będzie miała trochę uczennic, a nauczyciel dostanie lepszą pensję, bo zwróciłaś uwagę miasta na jego niedostatek...“

Jest to może bardzo mało i działalność taka nie zadowolniłaby działaczki w rodzaju p. Howard — nie o to jednakże chodzi. Skierowana na szersze pola czynu przy swym charakterze Madzia potrafiłaby pracować i na większą skalę... Uczucie bowiem subtelnej kobiecej duszy jest onym cementem społecznego gmachu... Uczucie — przynosi niekiedy szkodę i staje się przyczyną tragicznych zawikłań. Nie działa jednakże w tym względzie jako przyczyna, lecz jedynie jako skutek wypaczenia drogi rozwojowej naszych uczuć.

W postaci Madzi autor poniekąd skondensował swoje ogólne zapatrywania na sprawę kobiecą.

Wspomnieliśmy powyżej, że nie wszyscy uświadamiają sobie w sposób dostateczny stanowisko Prusa. Różnorodność typów kobiecych objaśnia w pewnej mierze to nieporozumienie. Pogląd jednak jest jasnym i tylko przy powierzchownym sądzeniu sprawy dwuznaczny.

Nie możemy przecież wnioskować o wrogim stanowisku Prusa względem ruchu kobiecego, na zasadzie takiej np. ironiczno-gawędziarskiej wzmianki w jednej z kronik tygodniowych: „trzy są czynności, dla których kobiety po wszystkie czasy gotowe są wyrzec się patentów doktorskich, dowództwa nad wojskami i zasiadania w parlamencie, a mianowicie: pranie bielizny, mycie po-

dług i pieczenie ciast na święta...” Tak powierzchownie Prus nie patrzy na życie.

Staraliśmy się zgrupować trzy zasadnicze typy kobiet, które chce rozróżniać autor. Stosownie do tego przeprowadza swe myśli, widzi w kobiecie siłę twórczą, siłę zupełnie samodzielną, która w społeczeństwie ma zupełnie jasno określony teren działalności.

Kobieta — powinna cieszyć się zupełną wolnością i swobodą.

Więzy, które krępują rozwój duchowy dzisiejszego pokolenia kobiet winny być rozplątane.

Równocześnie jednak stawia kwestyę w nader określony sposób:

Kobieta powinna być wyzwolona, powinna być dopuszczana do uniwersytetów, do katedr profesorskich etc. Równocześnie wymagania stawiane mężczyznom niech się tyczą i kobiet.

Jeżeli żądamy od kandydatów na uniwersytet ośmioletniego pobytu w szkole średniej — te same żądania winny być stawiane i kandydatkom.

Zrównanie w prawach i w obowiązkach, które owe prawa wywalczają... jest to zasadnicza myśl Prusa.

Są jednakże pewne działy pracy społecznej niedostępne prosto dla sił przeciętnej kobiety. Już z samego ustroju swej fizycznej postaci kobieta nie może zajmować się całym szeregiem prac, dostępnych znów dla mężczyzn. Na tym punkcie zachodzi zasadnicza różnica w poglądach Prusa, a teoryami daleko idących emancypantek.

Prus, z zupełnie zrozumiałych pobudek wypowiada się np. przeciw pracy kobiet w fabrykach. Niejednokrotnie w swych społecznych kronikach zwraca uwagę na to anormalne i nieodpowiednie zjawisko. Podobne zresztą stanowisko zajmują nie tylko ewolucyoniści społeczni, ale i socjaliści.

Tymczasem kongres feministek w Paryżu w r. 1900, wychodząc z założenia zupełnego równouprawnienia, żądał dla obu płci 8 godzinnego dnia roboczego. Pod tymi samymi wpływami znajduje się pismo kobiece w Paryżu „La Fronde,” które żądało, aby wbrew zakazowi pracy nocnej kobiet w fabrykach móżdż zatrudniać zecerki w nocy.

Wszak jedną z ważniejszych zasług wieku dziewiętnastego jest stworzenie instytucji ochrony kobiet podczas pracy fabrycznej. Do wieku XX należy wyrwać kobietę od warsztatu i skierować ją do bardziej odpowiednich celów i zadań. Podział pracy stanowi przecież nie tyle skonstruowaną przez Adama Smitha kategorię ekonomiczną, ile zasadnicze prawo normalnego rozwoju gospodarczego. Podział pracy ma zastosowanie nie tylko w dzie-

dzinie poszczególnych gałęzi wytwórczości, ale również i pod względem społecznym. Na tej podstawie w społeczeństwie każdemu niech zostawionym będzie stosowny do jego zdolności, sił i upodobań dział pracy... Jest to pewnego rodzaju ideał, do którego rozwój kulturalny dążyć powinien.

Z tego też względu dla Prusa, dla którego ludzkość jest siecią wyławiającą ducha z natury, a kobiety w tej sieci węzłami, rola kobiety przedewszystkiem polega na wychowaniu przyszłych obywateli narodu.

Bardziej subtelnej duszy kobiecej zupełnie odpowiada zadanie prowadzenia i urabiania młodych pokoleń.

„Kiedy trzeba wkopywać się o tysiąc metrów pod ziemię—żeglować o tysiące mil od lądu, kuć żelazne belki, pod deszczem kul wydzierać zwycięstwo, błąkać się jak sęp ponad zawrotnymi przepaściami natury i ducha dla schwytania jakiejś prawdy—mężczyzna jest w swoim żywiole. Ale tam gdzie chodzi o rodzenie, karmienie i wychowanie wojowników i myślicieli, tam jednej delikatnej kobiety nie zastąpi legion pracowników, bohaterów i mędrców, tej dusza potężniejsza od całego świata.“

W zdaniu powyższem nie kryje się chyba zaśniedziały pogląd, który „chce widzieć w kobiecie tylko kapłankę domowego ogniska,“ jak mówią stare wypisy.

Nie w macierzyństwie przyszłość jedynie kobiety, ale w zdolności wychowania młodych obywateli.

Kobieta, „będąc nie dopełnieniem mężczyzny, ale odrębną całością, samodzielną potęgą, łączącą się z nim dla odległych przeznaczeń,“ ma znaczenie przedewszystkiem jako wychowawczyni... I dlatego najbardziej umiłowaną dla Prusa postacią jest typ kobiety-nauczycielki, kobiety-cywilizatora. Od macierzyństwa ciała jest wyższem macierzyństwo ducha.

I dla Prusa wyrażenie: „będziesz cudze dzieci uczył,“ to nie przekleństwo, ale błogosławieństwo dla wielkiej cywilizacyjnej misji.

Społeczeństwo dzisiejsze nie umie ocenić tych wielkich zasług poświęcenia, nie umieją ocenić przedewszystkiem ci, których dusze owe nauczycielki urabiały. I kobiety-nauczycielki zostają wydziedziczone z coraz większą pustką naokoło siebie.

„Wy, apostołowie emancypacyi, którzy rozczulacie się nad żeńskim kapitanem okrętu, stwórzcie instytucję, aby nauczycielki nie zostawały same, aby mogły znaleźć opiekę... pomóżcie nauczycielkom w ich dążeniu do poprawy losu... nauczcie społeczeństwo, co to jest nauczycielka. Stwórzcie dobry czyn, przysłużycie się

idei, której jesteście wyznawcami“ — czytamy w jednej z kronik Prusa przed trzydziestu laty.

Jednem więc słowem w zapatrywaniach swych na sprawę kobiecą Prus stara się przeprowadzić ideę równouprawnienia kobiety. Stojąc na stanowisku, że człowiek przychodzi już na świat z pewnymi duchowymi zadatkami, Prus nie stara się zwalić owych niedomagań na barki jedynie społeczeństwa i warunków, w jakich się znajdujemy.

Możność poprawy nosimy przedewszystkiem w swych duszach. Położenie kobiet się wzmocni, zdołają zająć lepsze stanowiska, otrzymają równouprawnienie, jeżeli miejsce kobiet-lalek poczną zajmować kobiety-ludzie...

Inne zupełnie stanowisko w sprawie kobiecej zajmuje Żeromski.

Prus zadziwił nas mnogością typów kobiecych o różnorodnym pokładzie duchowym. Żeromski—zdobywa się zaledwie na kilka postaci, z których lepsze typy muszą zginąć.

Podług Prusa dusza ludzka jest materyałem twardym. Życie trudno urabia dusze, najwyżej ryje w nich pewne wyżłobienia. Dla Żeromskiego duch ludzki jest czystą, białą kartą.

Człowiek pierwotny w formacyi duchowej zbliżony jest do małego dziecka. Dopiero otoczenie, kultura, stosunki społeczne, wpływy zewnętrzne tak lub inaczej kształtują nasze charaktery. Jesteśmy więc zupełnie zależni od układu warunków życiowych.

Joasia z „Ludzi bezdomnych“ przechodzi biedę, która dopiero otwiera jej oczy, że należy wyjechać z Kielc i szukać lepszego losu. Stosunki społeczne wyrabiają w jej duszy hart i odporność. Staje się istotą nie tylko samodzielną, ale dzięki takiemu wynikowi warunków, potrafi się zdobyć na cały szereg czynów. Dopiero gdy losy kierują ją w inny sposób, gdy spotyka na swej drodze Judyma, samodzielność topnieje jak śnieg wiosenny. Joasia tuli się w poczuciu swej niemocy do silnego ramienia mężczyzny.

Ta sama kobieta pod wpływem nowych warunków przeistacza się zupełnie. Ewa z „Dziejów Grzechu“ jest istotą dobrą, dopóki stosunki na to pozwalały. Mistyczne kontemplacje, praca biurowa, troska o byt codzienny, wypełniają treść jej życia szarego i bezbarwnego. Spotyka na drodze Niepołomskiego. Pierwszy grzech jest początkiem upadku... I Ewa grzęźnie w błocie, nie zdając sobie sprawy z całej potworności swych postępków. Gdyby została żoną Niepołomskiego, przesłaby przez życie, jak tysiące innych kobiet... Gdyby później nie Pochroń, Ewa nie popełniłaby nowych zbrodni... Jechała do Wiednia, pragnąc resztę

życia poświęcić pielęgnowaniu chorego Jaśniacha. Otoczenie rzuca nią jak piłką. Dusza Ewy może nawet poniekąd pozostać nietkniętą, gdy stosunki społeczne pogrążają ją coraz bardziej w błoto moralne.

Jest jedno miejsce w „Dziejach Grzechu,” gdzie jasno to podkreśla autor: Ewa płynie z Monte Carlo do Ajaccio w towarzystwie owego filozofa-społecznika Jaśniacha. Pod wpływem pięknej przyrody, a może i rozmów z Jaśniachem, do duszy Ewy przychodzi jakiś dziwny spokój, i poczucie rzewności. I wiedzioną jakimś nieznanym uczuciem podchodzi do niego i szepcze: „Panie, ja własne dziecko zabiłam...” I Jaśniach, w którego postaci autor zamknął swoje poglądy, nie zdobywa się na najmniejszy gest potępienia... W milczeniu zaczyna gładzić rękę Ewy... i w oczach jego wyczytała przebaczenie...

Otoczenie jest brutalnem i złem. Dzisiejsze stosunki społeczne są nieodpowiednie. Należy zmienić zupełnie ustrój, a bóle i niedomagania społeczne usuną się siłą rzeczy. Wszelkie rozterki duchowe teraźniejszego pokolenia tylko na tem tle ogólnego rozstroju społecznego są zrozumiałe. Gdy zapanuje nowy porządek, ustanie wszystko. Nowy byt społeczny uzdrowi chorą duchowo ludzkość.

Dlatego też problemat kobiecy, jak wogóle wszelkie kwestye społeczne, przedstawia się dla Żeromskiego w sposób zupełnie prosty: kobietę uwolni z więzów twórcy przyszłego porządku rzeczy. W rozpatrywaniu więc sprawy kobiecej Żeromski jest nader jednolitym—nie stara się podobnie, jak Prus, drogą analizy dojść do pewnych rezultatów. Stawia sobie założenie, na którego tle widoczne są dopiero jego postaci. W kwestyi kobiecej Żeromski zwraca uwagę przedewszystkiem na kobietę proletaryusza.

Siłaczka, pisząca w zabitej deskami wiosce „Fizykę dla ludu;” Joasia, która musi biegać dnie całe za lekcyami; owe biedne szwaczki naciągające jakiegoś grzecznego kawalera na kupno paru serdelków; Judymowa, rzucona aż do Szwajcaryi wprost z Krochmalnej ulicy — są to ofiary dzisiejszego porządku społecznego.

Żadne plasterki społeczne nie zaradzą złemu—mówi Żeromski. Judymowa musi pracować w fabryce, dopóki Judym-mąż nie stanie się samodzielnym wytwórcą. Siłaczka zginie z tyfusu głodowego, dopóki społeczeństwa nie zdobędą się na inne warunki pracy dla nauczycielek. I prowadzi nas autor do fabryki, gdzie maszyna trzyma w swych trybach żelaznych kobietę, oderwaną od domu.

Słusznie, bo z krwawą ironią już Marks zauważył, że maszyna wprowadziła rozluźnienie węzłów domowych.

Przyszła bieda i Judymowa musiała iść do warsztatu, rozchodzili się z mężem na cały dzień; dzieci pozostawały na Bożej opiece... tylko raz w południe wpadała do domu, aby przygotować strawę.

Widzimy wewnątrz fabryki, gdzie w dusznym powietrzu, w niskim miejscu i ciasnym, przeładowanym zda się pyłem startego tytoniu, pracowało setki kobiet:

„Na spalonych, brzydkich wargach co pewien czas łka milczący uśmiech, w którym skupiło się ciche westchnienie zakłęślej, wiecznie łaknącej powietrza suchotniczej piersi.“

Nie może być inaczej. Godzina wyzwolenia musi nadejść, i widzi Żeromski w owych głębokich a pięknych oczach robotnika, który późną nocą przynosi kontrabandę broszur zakazanych, zapowiedź lepszych dni. Śni mu się sen o szpadzie rycerskiej, co wyzwoli kobietę-proletaryusza. Tragizm pracy kobiet sprawia, że trzynastoletnie dziecko patrzy na Judyma oczami dojrzalej kokietki. Kwestya upadku kobiet znajduje się przeto w organicznym nierozzerwalnie związku ze sprawą ogólnego położenia społecznego.

Prus tylko mimochodem potrąca kwestyę prostytutcy, przedstawiając ową wyzwoloną przez Wokulskiego Magdalenkę.

Nie można, zdaniem jego, usunąć tego społecznego wrzodu drogą jakichś specjalnych reform. Będą to paliatywy—i nie osiągnie się poważnych rezultatów. Dopiero wewnętrzne doskonalenie się sprowadzi rzeczywistą czystość etyczną. W tym względzie poprawa winna przedewszystkiem wyjść od mężczyzn.

Żeromski poświęca temu problematowi całe swe ostatnie dzieło. Ewa—upada dzięki przypadkowi. Dalsze koleje jej krwawego losu — zależne zupełnie od społeczeństwa, które odpycha od siebie podobne kobiety, nie dając ręki pomocy.

Poniekąd możemy się zgodzić z poglądem, że dzisiejsze stosunki kulturalno-obyczajowe przyczyniają się do powiększenia rozmiarów grzechu. Dużo już o tem mówiono na różny ład. Szczególniej u nas, na tych smutnej pamięci wiecach uświadamiających, staraliśmy się już wszechstronnie zbadać kwestyę. Niestety. Nie zwrócono uwagi na moment najważniejszy: dopóki ludzka natura nie zostanie zmieniona, dopóki człowiek iść będzie jedynie za porywem swego bujnego temperamentu—nie może być mowy o usunięciu owej wielkiej niewątpliwie plagi społecznej.

Ankiety w tej mierze dużo dają materyału. Nie zawsze ekonomiczne przyczyny wywołują prostytutkę. Zresztą i Żeromski wyprowadza upadek Ewy z innych, odrębnych zupełnie okoliczności.

Składanie przeto wszystkiego na dzisiejsze anormalne stosunki, nie jest metodą prowadzącą do celu. Warunki, jak wspomniałem, działają li tylko w pewnej mierze pośrednio. Odbudowanie gmachu społecznego nie zmieni położenia rzeczy. Jest to złudzenie szkodliwe, gdyż odwraca czyn od pracy teraźniejszej. Przychodzą na myśl rzucone kiedyś przez Prusa słowa: w swej duszy nosimy możność poprawy naszego bytu. Warto niekiedy o tem zdaniu pamiętać.

Sprawa kobieca u Żeromskiego, pragnącego rozwiązać ten problemat w związku z zasadniczą przemianą stosunków, płacze się nierozzerwalnie z kwestyą robotniczą. Dzieła Żeromskiego to jeden protest przeciw nienormalnym warunkom bytu robotniczego.

Przesuwa się przed nami cały bezimienny tłum proletaryacki.

Żeromski nie patrzy sentymentalnem okiem ideologa na krzywdzoną stale, według jego pojęcia, gromadę. Twórcza paleta tego pisarza nie zna ani barw litości, ani miłosierdzia. Podobny w tej mierze do Lassala, który będąc rzecznikiem praw proletaryatu, był zarazem surowym sędzią; zdawał sobie jasno sprawę, że dzisiejsi robotnicy nie są przygotowani do wzięcia w swe ręce steru wytwórczości. Dla Żeromskiego robotnicy są przede wszystkim ludźmi głodnymi. Tacy nie mogą się zdobyć na subtelność uczuć. Judym robotnik spogląda na brata inteligenta z jakąś krwawą ironią. Nie chodzi mu zupełnie o wyższość umysłową. Brat zdobędzie lepszy byt materyalny. I nie może odczuć w jak straszny i ciężki sposób Judym doktor szedł po drabinie wiedzy. I nawet otoczenie Judyma robotnika i on sam z pewną tajoną złością wspomina o uświadomieniu, które nabył dzięki bratu. Rozszerzenie horyzontów myślowych nie przyniosło podwyżki płacy. Pędzi Judym z fabryki do fabryki, jedzie do Szwajcaryi, gdzie nie rozumie zupełnie tamtejszych warunków i marzy następnie o Ameryce.

Natura pierwotnego człowieka, nieumiejącego odczuć potęgi kultury. Typ Żyda wiecznego tułacza. Tacy ludzie, którzy w pierwszych odruchach samopoczucia społecznego—wydają walkę najbliższemu otoczeniu i nie umieją objąć szerszych idei—mają li tylko znaczenie nawozu. Dopiero epoka późniejsza może przynieść zmianę w tym kierunku. Żeromski nie łądzi się przeto co do poziomu intelektualnego klasy przyszłości. Nie porywa go jednak zniechęcenie. Wskazuje li tylko przyczyny. Poznajemy byt fizyczny i moralny rodziny robotniczej.

Owa dantejska wędrówka po fabrycznych dzielnicach Warszawy jest już dostatecznym dowodem, że warunki gwałtownie domagają się reformy.

Przeciętna rodzina robotnicza gnieździ się w jednym pokoju. W lecie dzieci mogą spędzać czas na małym, zaciśniętym między kamienicę podwórku; w zimie zaś — tulą się w tej jednej izbie, bardzo często nieopalonej zupełnie. Nie mogą wyjść na ulicę z powodu braku ciepłych ubrań. W przeciętnym mieszkaniu robotniczym rzadko kiedy znajdzie się potrzebna ilość sprzętów. Często bardzo cała rodzina spać musi na jednym łóżku. I to dzieje się nawet wtedy, gdy i żona i mąż razem idą pracować do fabryki.

Przedstawiony przez Żeromskiego stan rzeczy nie jest fantazją wysaną z intuicji artystycznej.

Jest to tylko życie.

W swej pracy: „Kwestya mieszkań“ pisze Adolf Suligowski między innemi: „Nieodzownym warunkiem zdrowia jest światło, bez którego niepodobna spodziewać się normalnego rozwoju organizmu. Podobnież doniosłe znaczenie, zwłaszcza u nas w sferze północnej, mają piece i kuchnie.

„Istnieją w Warszawie mieszkania bez okien. Naliczono takich mieszkań blisko 2% ogólnej cyfry. Istnieją mieszkania bez żadnego ogniska i takich naliczono 4%. Przypada na te mieszkania około 16,000 osób.

„Niemniej ważne znaczenie dla zdrowia i życia przedstawiają wymiary izb i ich wartość wewnętrzna. Nie mamy w tej mierze pod ręką materiału statystycznego, jednakże opierając się na codziennem doświadczeniu, możemy bez wątpienia powiedzieć, że im biedniejsze mieszkania, tem gorzej urządzone. Rozmiary izb bywają zwykle mniejsze; jeżeli te biedne izby nie zawsze są węższe i krótsze, to zazwyczaj są niższe, a przynajmniej w suterynach i na poddaszach zawsze tak bywa.

„Odmalowanie nagiej rzeczywistości obudzić powinno w każdym sercu uczucie przerażenia. Obrazy to ponure, zaciągnięte ciemnymi barwami, po za którymi bledną ludzkie usterki i przekroczenia. A jednak na wydziedziczonych lokatorach tych schronisk, podobnie jak na innych, w imię zasady równości, ciężą obowiązki społeczne. I od nich wymagamy pożytecznej pracy i moralnego działania. I oni muszą narówni z innymi ponosić obowiązek utrzymania rodziny i wychowania dzieci.“

W podobny sposób kreśli stosunki nie artysta, lecz autor broszury naukowej, opartej na suchym materiale statystycznym. Obserwacye Żeromskiego potwierdzone tu są najzupełniej.

Pocieszymy się tem najwyżej, że w podobny, nie wiele lepszy sposób przedstawiają się stosunki w Zachodniej Europie. Dość przejrzyć odnośne ankiety i badania w tym kierunku. Prof. Herkner w znanem dziele: „Kwestya robotnicza w Zachodniej Europie“ podkreśla, że po większej części przeciętna robotnica zmuszona jest zadawałać się kanapą w ciasnej, wyziewami mydlin i gotowanych potraw napełnionej izbie, lub też miejscem w łóżku gospodyni; o 7 zrana izbę tę znowu opuścić trzeba.

„O pewnej rodzinie robotniczej w Lipsku, mającej 1,150 marek rocznego dochodu, czytamy w sprawozdaniu, że już od samego początku założenia gospodarstwa, miała noże, talerze z brunatnej glinki i meble używane, nie posiadała nawet zwyczajnej sofy, bo starą stoczyły robaki do tego stopnia, że rozpadła się w kawałki. Przysunięto tedy skrzynię do stołu, na jej wypukłym wieku siada teraz matka, albo też dzieci do jedzenia lub roboty przy stole.“ Opisy Zoli nędzy mieszkaniowej w Paryżu, malują dobitnie niedomagania w tym kierunku.

I owe złe, niehygieniczne mieszkania w brudnych domach na Krochmalnej ulicy, lub w małych domach Zagłębia Dąbrowskiego—nie mogą zatrzymać robotnika przy „domowym ognisku“ po powrocie z fabryki. Czasami znajduje możność przepędzenia kilku chwil w towarzystwie ludzi, którzy uczą go i uświadamiają. Wędruje na przysłowiowy czwartak,—ten punkt, do którego zmierzał wieczorem każdy społecznik w zabłoconych sandałach, aby nagađać się do ochrypnięcia. Częściej jednakże spotyka na drodze szynkownię.

W „Ludziach bezdomnych“ autor przedstawia li tylko byt robotników przemysłowych. Stosunków wiejskich nie dotyka prawie zupełnie i w innych swych dziełach. Mimochodem tylko rysuje postać tego bezrolnego Obali, który musi kraść drzewo na trumnę dla dziecka... Ma dwie morgi gruntu i nie może zapłacić czterorublowej kary za popełnioną kradzież... Dopóki jednakże stosunki nie zmieniają się zasadniczo, los Obali pozostanie bez zmiany.

Dopiero jeden z numerów „Witezia“ przynosi urywek nowej powieści: Los bandosów będzie tłem, na którym Żeromski tka swe opowiadanie. Fatalność, która prześladowuje Judyków-robotników sprawia, że beznadziejnem jest położenie parobka-proletaryusza. O ile możemy więc sądzić, autor mechanicznie, w sposób analogiczny do bytu robotników miejskich, kreślić będzie los pracujących na roli. Wpadnie zatem z punktu widzenia społecznego w pewnego rodzaju sprzeczność z istniejącymi sto-

sunkami: niepodobna pod jeden strychulec podciągnąć obydwóch kategorii robotników. Inne jest przecież położenie włościan robotników a pracowników w przemyśle.

Żeromski utrwalając duszę robotnika, przedstawiając robotnika w różnych momentach życia, wyprowadzając cały kompleks warunków społecznych, wśród których rozwijają się owe tłumy robotnicze, ma jedną li tylko odpowiedź na męczące, pełne niepokoju pytania: Czy los Judymów nie ulegnie zmianie? Czyje ręce wywalczą polepszenie bytu?

W dzisiejszym stanie rzeczy nie możemy nawet myśleć o poprawieniu losu. W ironiczny sposób Żeromski mówi o tych „quasi-staraniach“ klas posiadających dla wydziedziczonych.

Przypomina nam się miejsce w „Ludziach bezdomnych“, gdy fabrykant opowiada o swych „rzekomych“ społecznych zasługach. Sfery pracujące brzydzą się inicjatywą z tej strony. Robotnicy są pewni, że po za tem kryje się zamach na ich wolność.

U Żeromskiego burżuazja bez wyjątku jest wrogo usposobioną dla robotników. Nie rozumie ich potrzeb dyrektor, śmieje się z żądy kupowania świecidełek i mydeł pachnących syn dyrektora, młody inżynier, człowiek na swój sposób wolnoindyferenty.

Liberalizm ten jest żywcem eksportowany z Berlina lub Wiednia.

Chcemy widzieć pewnego rodzaju skonstatowanie przez Żeromskiego obcości całego obozu burżuazyjnego u nas w Polsce... Może owa fatalność dziejowa, że nie zdołaliśmy wyrobić na swym gruncie silnego mieszczaństwa, obraca się obecnie na naszą korzyść... Posiadamy tylko napływowe elementy z giełdy berlińskiej, gdzie jeszcze wierzą w dobre interesa w polskim Hinterlandzie. Spotykamy coprawda typ „burżuja wyzyskiwacza“ — że użyję judymowskiego określenia — krew z krwi polskiej.

A jednakże Żeromski postać tę otula gazą idealizmu.

Mała nowela D-r Piotr. Ojciec, aby dać możność synowi kształcić się za granicą, strąca pewną część z zarobków robotniczych. Biedacy nie czują tego nawet. Syn dowiaduje się o przestępstwie ojca i nie przyjmuje „nadwartości“. Musi odejść od ojca — idzie pracować dla zwrotu zarobków, nieprawnie odjętych.

Jean Valjean z „Nędzników“ nie jest złodziejem, gdy kradnie bochenek chleba. Czy stary Cedzyna, wyrzekając się wszystkiego dla syna, a równocześnie obcinając zarobki chłopskie, popełnia kradzież?

Syn odpowiada potakująco. Jesteśmy tego samego zdania. A pomimo to przyznajemy okoliczności łagodzące. Autor lituje

się nad starcem, z którego piersi, po odejściu syna, wydiera się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żałosnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza.

W każdym razie burżuazja, podług Żeromskiego, gnana jest jakąś fatalnością. Już Marks powiedział, że kapitalista nie może postępować inaczej, igra z ogniem, który może zniszczyć jego radosne bytowanie. Śmieje się z idealistów, nie wiedząc, że wyrasta wróg silny, a odważny...

W dziełach Żeromskiego, jakby nic czerwona snuje się melodia:

„Sędziami wtedy będziemy my...”

I z tą silną wiarą każe bohaterom rzucać osobiste szczęście i pracować dla przyszłości... Trzeba zniszczyć dzisiejszy porządek rzeczy. Po tem dopiero zacznie się okres pracy twórczej. Proletaryat sam kuć pocźnie byt swój. A tymczasem fantasci w rodzaju Bodzanty z „Dziejów grzechu“ zakładają fourierowskie falanstery. Oazy pełne powietrza i jasnego słońca w dusznej atmosferze dzisiejszej.

Biegunowo przeciwnie patrzy się na ten pałac problemat—Prus. Jego dusza, socyologa miłosiernego, pełną jest litosnego współczucia dla całej gromady robotniczej. Treść — pozostaje ta sama. Kierunek ideowy inny.

Właściwie i bezpośrednio kwestyi robotniczej Prus dotyka w „Powracającej fali.”

Stary tkacz, germanin o surowej duszy, nie umie odczuć potrzeb swych robotników.

Ma w sercu jeden ideał: pieniądze i miłość do swego zwyrodniałego syna. Wychodzi zawsze jeszcze z tego przestarzałego stanowiska, że im robotnik tańszy, tem przemysł opłaca się lepiej. I zapomina, że krzywda ludzka jest ową powracającą falą, która może znieść jego byt... Tłum robotniczy nie jest świadomy jeszcze swych praw. Nie umie się bronić.

Dzieje się to w epoce, gdy rozprawiano o uprzemysłowieniu kraju i Adlerzy budowali fabryki. Robotnicy wtedy dopiero organizowali się i praca szła z oporem. W większości wypadków bronili się żywiołowo. Nie umieli jednak sformułować swych żądań... Odgrzali się przeważnie...

A walka już się zaczęła.

Pod wpływem owych walk w umysłach bardziej inteligentnych jednostek zaczyna się zarysowywać pewien cel. Najprzód pracujący obliczają swoje zarobki: można zdobywać utrzymanie

dla całej rodziny, można część sił poświęcić dla oszczędzania; ale równocześnie żywić rodzinę, oszczędzać, odzyskiwać poniesione wydatki i w końcu płacić za przyjemności pracodawcy — przechodzi siły pojedynczego człowieka. I dla tego pragnie wyswobodzić się. O ile możliwości pracować samodzielnie.

Prus pojmuje, że „Niedziela ludzkości“ daleko, a zresztą bądźmy szczerzy: nie wierzy w przewrót społeczny. Pragnie przedewszystkiem pracować dla teraźniejszości.

W dzisiejszych warunkach można zdobyć odpowiednią egzystencję.

Nie chce zapominać, że pomimo antagonizmów, o których trudno milczeć, pomimo walk, które bynajmniej nie są tragedią, ale objawem życia, można kwestyę robotniczą rozwiązać na drodze pokojowego układu.

Trzeba naturalnie szukać punktów styecznych.

Słowa Wokulskiego nie są tylko czczym frazesem:

„Każdy otwarty człowiek wydał mi się istotą wołającą o ratunek, tem głośniejszą, że nie mówił, tylko rzucał trwożne spojrzenia; każda uboga kobieta wydawała mi się wyrobnicą, która wytartymi od pracy rękami powstrzymuje rodzinę nad brzegiem przepaści. I widział cały ocean cierpień powszechnych, które wedle sił, należało zmniejszać, a przynajmniej powściągnąć od dalszego rozlewu.“

Czy to więc majaczenia filantropa, który chce rozdać jałmużnę i uspokoić sumienie?...

Czy ustami Wokulskiego przemawia reformator-ideolog?...

Autorowi chodzi zupełnie o coś innego: podstawą moralności jest solidarność społeczna. Jednostka, pozostająca na pewnym stopniu etycznym, odczuwa cierpienia socyalne. Jeżeli jest w stanie, daje pomoc wyzwolenia, a nie jałmużny... I to poczucie solidarności społecznej jest czynnikiem, rozstrzygającym w odwiecznym konflikcie interesu osobistego i ogólnego.

Zastosujmy powyższe twierdzenie do kwestyi robotniczej:

Najbardziej krańcowy nawet przedstawiciel idei socyalistycznych nie może chyba zaprzeczyć, że miliardy francuskie, przyczyniające się do wzrostu gospodarczego Niemiec, sprawiły *stosunkowy* dobrobyt klasy pracującej. Wszak rewizjonizm socyalnej demokracji — nazywajmy rzeczy po imieniu — jest właśnie próbą ostatecznego pogodzenia interesów proletaryatu z działalnością gospodarczą i polityczną państwa niemieckiego. Pomimo więc wszystkich argumentów contra, robotnik jest nader silnie zainteresowany w danem przedsiębiorstwie.

Istnieje i istnieć będzie pewna wspólna platforma.

I tutaj działać poczyna owa solidarność społeczna: robotnikom chodzi o byt instytucji, fabrykantowi o zdolnego i odpowiedzialnego robotnika. Dla solidarności nie mogą się jednak robotnicy pozbywać swych praw, winni starać się o polepszenie swego bytu i nie pozwolić się wyzyskiwać. Koniecznymi są przeto zawodowe organizacje robotników, dopuszczalnym jest strejk, prowadzony z pewnym wytycznym planem.

Solidarność nie wyłącza walki, wynikającej z istniejących sprzeczności.

Solidarność walkę czyni mniej ostrą i brutalną.

Związki zawodowe powinny, podobnie jak w Anglii, wypracować stosowne minimum, nie w lassalowskim rozumieniu słowa, ale minimum, uwzględniające zaspokojenie fizycznych i kulturalnych potrzeb pracowników. Minimum nie jest wielkością stałą; zmienia się stosownie do okoliczności i ewolucji przemysłowej.

Wychodząc z tego założenia, Prus propaguje stwarzanie silnych placówek ekonomicznej samopomocy. Agituje za zakładaniem kas robotniczych, o ile to dawniej było możliwem.

W swych kronikach daje projekty najróżnorodniejszych instytucji oświatowo-kulturalnych. Akcja zapoczątkowana dla robotników bez ich współudziału nie przyniesie żadnej pozytywnej korzyści. Dlatego też, zdaniem Prusa, we wszystkich instytucjach, specjalnie robotniczych, kierownikami powinni być sami pracujący. Patronaty nie mają żadnego znaczenia wobec rosnących sił intelektualnych i kulturalnych proletariatu. Klasy posiadające powinny jedynie dawać inicjatywę, zapominają bowiem nader często, że „kapitał, to nawóz, na którym wyrasta sztuka, moralność i inne szlachetne kwiaty natury ludzkiej.“ Jednem słowem, Prus jest ewolucjonistą, pragnie przeprowadzać reformy ciągłe, a stopniowe.

Względem teorii socjalistycznych w dziedzinie stosunków robotniczych chce zająć stanowisko obiektywnego krytyka.

Poglądy jego w tej mierze zbliżają się do zapatrywań prof. Sombarta, autora dzieła głębokiej wartości: „Socjalizm i ruch społeczny w XIX stuleciu.“

W stosunku więc do Żeromskiego wygłasza idee nawskroś mieszczańskie. Jest rzecznikiem harmonii, wyśmianej w paradoksach Lassalowskich... Obniża ideały, stanowiące pewnego rodzaju nową wiarę, nie pozwalające ginącemu w nędzy proletariatowi upadać pod brzemieniem losu.

Zarzuty na pozór słuszne: nie ulega wątpliwości, że Prusa nie porywają hasła, rzucane przez socjalizm. Jego praktyczny, nawskroś realny umysł zdaje sobie dokładnie sprawę, że przy zetknięciu z życiem codziennem, a rzeczywistym — choćby uroczyste zakończenie manifestu komunistycznego okaże się bańką mydlaną. Czy znajdzie się na całej przestrzeni Niemiec choćby jeden socjalista, któryby świadomie, wbrew interesom przemysłu niemieckiego, występował w imię międzynarodowej solidarności na korzyść dajmy na to towarzyszy francuskich?..

A jednocześnie Prus rozumie doskonale, że socjalim pobudził drżące siły proletariatu do czynu, skierował żywiołowy ruch na tory świadomej działalności.

Z idei podnosi dodatnie strony.

Budzenie zaś ducha samopomocy i powoływanie się na realne codzienne fakty, nie ma nic wspólnego z obniżaniem ideałów do poziomu dążeń burżuazyjnych... Powtarzamy ten zarzut bezwiednie, nie badając, co właśnie oznacza.

Odrzućmy wszelkie frazeologiczne osłonki i postawmy jasno rdzeń doktryny:

Proletariat zajmie miejsce wyzyskiwaczy. Warsztaty pracy gotowe, należy tylko zmienić kierowników. Dzisiejsza więc burżuazja ustąpi miejsca nowej — burżuazji przyszłości. Stawianie, jako jedyny cel, owładnięcia narzędziami produkcji, nie wyzwala jeszcze myśli i nie wznosi szczytnego ideału. I dla tego ludzkość idzie dalej. I dla tego Prus — ewolucjonista w dziedzinie społecznej — sięga głębiej... Opiera reformy na podstawie solidarności międzyspołecznej.

I dla tego różni się od Żeromskiego.

Bohaterowie Prusa w swych pozytywnych pracach trzymają się ściśle granic możliwości, budują nie niszcząc.

Żeromski każe Judymom iść między lud roboczy dla burzenia dzisiejszego ustroju socjalnego.

Na tle tych zagadnień dzisiejszej doby rysują się dość wyraźnie zapatrywania pomienionych pisarzy.

Obraz nie byłby zakończonym, gdybyśmy choć w kilku słowach nie dotknęli innych jeszcze problemów, które życie wysuwa codziennie, a które zaznaczają i Prus i Żeromski...

Ostatnie czasy zaznaczyły się u nas przez świadomy ruch do zupełnego politycznego wyzwolenia warstw ludowych. Co do tych ruchów emancykacyjnych obydwaj pisarze w swej zasadniczej treści występują w sposób podobny.

Demokraci pragną zupełnego wyzwolenia ludu. Uczmy ludu jego praw—mówi Prus—starajmy się wyrobić w nim samodzielność. Nie mówmy jednak tylko o prawach.

Przypominajmy ślimakom o obowiązkach i ciężarach społecznych. Stwarzajmy szkoły, instytucje samopomocy, kółka rolnicze, banki melioracyjne; niech gotuje się lud do zajęcia równorzędnego stanowiska w pracy społecznej.

Dla Żeromskiego—lud nie jest jednolitą masą. Występuje społeczne zróżniczkowanie i sprzeczność interesów.

Chłop-obszarnik i chłop-proletaryusz staną naprzeciw, jako dwa wrogie poniekąd obozy. Praca Jędymów wyzwoli bezrolnych.

Dzisiaj jednak, pomimo coraz silniej rysujących się antagonizmów klasowych, obydwie warstwy chłopskie są upośledzone w swych prawach społecznych. W pewnych więc momentach mogą występować jeszcze razem.

Zostawiliśmy na sam koniec jedno z ważniejszych zagadnień naszego bytu społecznego, kwestyę narodowościową, która również i w dziełach rozpatrywanych pisarzy zajmuje poczesne miejsce.

Pierwsza połowa wieku XIX-go, to epoka walk o wolność polityczną. Idea samodzielności zwycięża. Najsilniejsze potęgi są zmuszone nachylić hardych karków przed rozbudzonem samopoczuciem narodów. I w literaturze wszechświatowej, jak również i naszej, przewija się owa nić złota poczucia narodowościowego.

W naszej może silniej jeszcze.

Epoka po 63 roku odznacza się pewnym zastygnięciem żywiołowych idei narodowych. Dzisiaj spotykamy się z surową i ostrą krytyką ówczesnych czasów, przede wszystkim z powodu odsunięcia na plan dalszy dążeń wolnościowych.

Sąd ten grzeszy w pewnej mierze jednostronnością.

Nie wyrzekaliśmy się niczego. Najtrzeźwiejsze nawet myśli, które padały z trybun publicystycznych Warszawy czy Krakowa, nie śmiały głosić bezpośredniej abdykacji z idei narodowej. Bardzo być może, że znakomita część organiczników—w praktyce wcielała jedynie hasło *enrichissez vous*. Nie należy jednakże kłaść tego na karb przewodców opinii publicznej. Nie zapominajmy, że po kilkoletniej przerwie, spowodowanej klęską 63-go roku, zaczyna się znów działalność podziemna.

Koledzy Wokulskiego, który z winnej piwnicy poszedł do Szkoły głównej, zbierali się nader często i marzyli o odrodzeniu ludu, aby na przyszłość unikać podobnych pomyłek. Utarty i powtarzany aż do znudzenia frazes, że pierwszy socyzalizm na na-

szym gruncie poruszył umysły i zwrócił uwagę na sprawę upośledzenia politycznego — niema żadnej racji bytu.

Pierwsi polscy socjaliści, wychowani na niemieckich ideach, transportowanych *via* Moskwa do Królestwa, byli lepszymi i więcej ortodoksyjnymi Marksistami, niż sam Karol Marks. Waryński niejednokrotnie powtarzał, że nie ma nic wspólnego z ruchem narodowościowym. Pamiętnym jest odzew socyalistów genewskich do Marksa, gdy ten ośmielił się przesłać na uroczystość narodową polską pozdrowienie do zebranych demokratów...

Przytaczam może fakty znane, nieodzowne jednak dla oświeślenia stanu rzeczy...

Prus skondesował ideę narodową w dwóch swych bohaterach Rzeckim i Wokulskim. Może silniejszym nawet płomieniem paliło się owo uczucie w duszy starego subiekta. Rzecki nawiązuje nic tradycyi do walki za wolność; już Marks zauważył, że polscy demokraci uczą Europę kanonów wolnościowych. Idzie ze sklepu starego Mincla wprost na pole węgierskie. W owych czasach nie było to zupełnie rzadkością i powyższy fakt odpowiada rzeczywistości.

I nie jeden osłupiałym wprost wzrokiem przyglądał się czynowi subiekta. I wielu nie rozumiało idei, która Katza, skromnego dysponenta w branży galanteryjnej, oraz Rzeckiego, pcha do dalekich krajów... bić się za coś, w imię czegoś.

I ci ludzie zrozumieć nie byli w stanie, że subiekci poszli bić się pod Bemem, gdyż dusze ich pełne największego uczucia narodowego.

„Nie przyniósł pan dukatów z Węgier, ani wina węgierskiego, po co pan tam jeździł?” — pyta Rzeckiego na granicy żydek-kontrabandzista.

„Warum hat er es gethan? D. Kaffee war immer so gut? und zum Mittag hat er voll gegessen“ — z naiwnością rozpytuje się stara matka Minclów.

I nie odpowiada nawet Rzecki. Pojmuje wybornie przecież, że argumentów nie może przytoczyć żadnych. A poszedł, bo mu ojciec o Napoleonie prawił, bo widział w tych bojach walkę o własny swój byt. I odbyta kampania węgierska stała się dla skromnego subiekta najdroższym klejnotem duszy.

Oburza się Rzecki na niepotrzebne marzenia i na sny niepokojące... Opiera rachuby na trzeźwych obliczeniach. Pragnie za pomocą układów zewnętrznych dyplomatycznych rozwiązać tę palącą, nurtującą sprawę... A gdy zamknie się w swym pokoju, otwiera kajet z notatkami. I przed oczyma duszy kłębią się owe

sterty ciał, ginących dla odrodzenia kraju... i czuje zapach prochu... i prowadzi bitwy, rozstawia wojsko... I odżywa przed nim ten stary kamrat Katz, którego nie opuścił w ostatniej godzinie... I Katz jest droższym może dla niego, niż umiłowany przyjaciel, Staś Wokulski.

W postaci Rzeckiego zamyka Prus ideały narodowe pokoleń, wychowanego wśród gromu wielkich czynów, patrzącego na żywiołowy bój o istnienie.

I gdy przyszło zdruzgotanie, gdy realne życie powiedziało, że to wszystko było mrzonką, że nie mieliście ani racji, ani możliwości... wtedy zwycięża trzeźwy realizm. I wtedy Rzeccy pilnie czytać poczynają przeglądy polityczne pism zagranicznych; zwracają się jedynie do gabinetów, wierząc w akcję dyplomatyczną. Program Czartoryskiego wchodzi w modę... hasła Lelewela, że nie trony, ale ludy sprzymierzeńcami naszymi, zawiodły.

Nie jest to, jak zaznaczyłem, abdykacja z ideałów. Jest to stawianie trzeźwe kwestyi, odpowiednie zupełnie do poglądów z tamtej epoki. Rzeccy usuwają się w cień... dopełnienie ich postaci stanowi Wokulski, uzbrojony w odpowiedni kapitał.

Nie zdobyliśmy nic, bośmy ubodzy; idźmy na nowe boje niekrwawe: niech wryje się pług oracza w nietknięte pola. Wokulski jedzie do Paryża. Autor okrywa pewnym płaszczem tajemniczości podróż, dając jedynie do zrozumienia, że na dnie spółki z Suzinem leżą konszachty polityczne.

I znów tutaj Prus w subtelny sposób maluje owe wysiłki nie gromad, ale pojedynczych ludzi...

Podróże Wokulskich — to epoka polityki, prowadzonej na prywatną rękę... Przeżywalismy już nie jedne takie negocjacje, które mają tę złą stronę, że nie mogą stawiać jasno kwestyi.

I dla tego jedni widzieli w Wokulskim działacza, który pragnął wejść do środka państwa i ograniczyć program do pilnowania spraw majątkowych posiadających sfer społeczeństwa — inni widzieli w nim orła, który chce łamać pręty zbyt ciasnej klatki. W trakcie bowiem owej zmiany wytycznych linii naszych dążeń, ogólny problemat narodowościowy na zewnątrz i wewnątrz komplikuje się w sposób dość zawity.

Po ukonstytuowaniu się silnych mocarstw europejskich, dawni rewolucyoniści zajmują przodujące miejsca i przede wszystkim zapominają o niepraktycznych sprzymierzeńcach. Wojna 70-go roku kładzie kres wszelkim wzlotom idealnym. Europa pada plackiem przed nową potęgą i czuje święte dreszcze reakcyi. Wschodzące słońce na niebie pruskim — Bismarck, dyktuje pra-

wa i chce wymazać ze słownika dyplomatycznego kwestyę t. zw. narodów ujarzmionych.

Są to sprawy wewnętrzne danego mocarstwa i nie wolno się wtrącać do domowych sporów. I Niemcy przewagą w sferze myśli zastępują przewagą siły brutalnej. „Duszą kulturę, gdziekolwiek ją znajdą“ — jak mówi Nietzsche.

Naród nasz przeto nie może liczyć na rychłe zwycięstwo swej sprawy. Trybunał międzynarodowy sprawiedliwości zawieszając czynności, togi wyzwoleńców przeszły do muzeum, które przed swym gmachem stawia Bismarkdenkmal! Nic więc dziwnego, że pragniemy dążyć za Europą i chcemy oprzeć byt na własnych podstawach.

Równocześnie wewnątrz naszego organizmu społecznego nurtować poczynają nowe kwestye narodowościowe. Wysuwa się najprzód sprawa żydowska, następnie sprawa rusińska i litewska.

W epoce, którą przedstawiają dzieła Prusa, aktualnym jest jedynie stosunek do współobywateli Żydów. Prus zajmuje się tą sprawą przedewszystkiem w „Lalce“. Stawia problemat jasno: asymilacya dotyka typy pojedyncze — rdzeń społeczeństwa żydowskiego pozostaje obojętny najwyżej sprawie narodowościowej. Należy walczyć z przesadami żydowskimi, należy zmienić cały układ stosunków żydowskich, należy wyrwać ducha żydowskiego z przemocy ideologii talmudystycznej... dopiero wtedy może być mowa o zbliżeniu dwóch warstw społecznych.

Nie chodzi zupełnie o chrzest kościelny. Młody Szlangbaum obserwuje wszelkie święta katolickie—żeni się z chrześcijanką... a jednakże, o ileż lepszym typem społecznym jest jego ojciec—zaśniedziały w swych wierzeniach religijnych konserwatysta.!

Prus stawia sprawę głębiej: przedstawia walkę ekonomiczną między dwoma odłamami, gdzie Rzeccy są subjektami, a Wokulscy pozwalają Szlangbaumom zająć swe stanowisko... W walce tej po stronie Żydów panuje bezwzględna solidarność. Doktorowi Szumanowi, który niegdyś zakochał się w szlacheckiej córce, obcym i niechętnym jest świat Rzeckich i Wokulskich... a przedewszystkiem imponuje mu genialna rasa Heinego.

Typy Prusa ze świata żydowskiego, w swych najlepszych przedstawicielach, są wychowane na innych wierzeniach, w innej atmosferze duchowej i dlatego na każdym kroku chcą widzieć niechęć ku sobie. Zasklepiają się w ciasnych granicach swych wyrozumowanych idei. W tem wielkiem, wzajemnem nieporozumieniu tkwi cały tragizm kwestyi żydowskiej.

Niebezpieczeństwo leży nie w przewadze ekonomicznej, gdyż przeciw temu naród silny i żyjący może zaradzić, ale właśnie w onej odległości duchowej. Nie jest mocen Prus rozstrzygania, po czyjej stronie winą. Pragnie li tylko rozwiązać mgły, otaczające tak ważne problemy współżycia wzajemnego. Nieufność, odsuwanie się od dążeń narodowych — nie załatwi bolączki społecznej. W swych twierdzeniach zbliża się do tego bohatera z najnowszej sztuki „Ghetto,” który rzuca w twarz Żydom: „Chrześcijaństwo znieśli Ghetto, ale wyście je zachowali — i później dziwicie się, że odsuwają się od was“...

I Ghetto nie religii, ale Ghetto tradycji talmudystycznych...

Podobne myśli, jak w pisanej przed dwudziestu kilku latami „Lalce,” wypowiadają obecnie obozy, rozgrzeszające zawsze tamtą li tylko stronę.

Jest to wielki tryumf ducha polskiego myśliciela.

Dla Prusa więc wyzwolenie narodowe jest sprawą odrodzenia społecznego, wyrobienia w sobie sprawności i odporności kulturalno-ekonomicznej... stworzenia przede wszystkim niezależności wewnętrznej. Wypreżmy się, a liczyć się z nami będą. Nie apatia i abdykacja, lecz jasne zdawanie sobie sprawy z najgorszego nawet położenia.

Żeromski, który również jednokrotnie dotyka tych pierwszorzędnej wagi zagadnień, patrzy, stosownie do swych ogólnych poglądów społecznych, z innego poniekąd punktu widzenia. Wytoczna jednak linia jego wierzeń nie jest należycie ustaloną... i możemy skonstatować pewne wahania.

„Syzyfowe prace,” „Popioły” i „Echa leśne,” „Ludzie bezdomni” i „Dzieje grzechu”—to dwa odrębne poniekąd światy idei.

W tej kronice martyrologii dzieci polskich problemów narodowościowy bije najsilniejszym tętnem. Autor uderzył w struny największego bólu społecznego... jakim jest obca zła szkoła...

I wychowany w nienawiści do wszystkiego, co polskie, nauczony przez domorosłego liberała pluć na przekłątą szlachecką i klerykalizm, który podług pewnego rodzaju socjologów, jest jedynie wytworem polskiej ciemnoty, odsuniętej od wpływów z niebezpiecznymi żywiołami „nacyonalnymi”... młody Borowicz wyrósłby na typ najszkodliwszy w naszym społeczeństwie: typ liberała podług wschodniego autoramentu...

Przyszła jednak chwila. Opowiada stary chłop o powstaniu... w szkole słyszy raz—Redutę Ordona... i odżył... I drzemiące, ukryte siły duszy jego poczęły czuć owe radosne, a nieznane upojenie... Stał się Polakiem...

Zaznaczone więc dobitnie stanowisko:...

Ideał narodowościowy tkwi zagłęboko w istocie naszej, abyśmy mogli wyrwać go z korzeniem... Liberalizm kosmopolityczny najdalej idący—nie zastąpi tego twórczego pierwiastka naszej duszy. Najgorsze nawet fakty z historii nie zdołają zaćmić uczucia miłości... Podstawą idei jest nawiązanie tradycji do epok minionych...

W następnych powieściach myśli te krzywią się, nie występują w tak silny sposób. Sprawa narodowościowa znajduje się w rękach pokrzywdzonego proletariatu, który jedynie może ją rozwiązać.

Poznaliśmy mniej więcej zasadnicze tony społeczne w dziełach Prusa i Żeromskiego.

Cierpienie—jest wspólną ideową cechą ich bohaterów.

Cierpienie — jest siłą twórczą, przynoszącą bezwzględną korzyść.

Wokulski, kiedy los zdruzgotał mu ideał doczesny, pamiętał o tem, że pozostały mu: ziemia prosta, człowiek i Bóg — to jest obowiązki społeczne i ideał nieznikomy, wieczny, niedościgniony.

U Żeromskiego cierpienie jest onym życiodajnym czynnikiem, które każe Judymowi wcielić się w życie innych i nie rozróżniać płaczu Joasi od jęku lochów kopalni, czy rozdartej sosny.

W cierpieniu dojrzewają ludzkie dusze... Bohaterowie obydwóch autorów pełnią służbę społeczną... Innemi drogami kroczą do tego samego celu.

Ideałem społecznym Prusa jest *solidarność*, wypływająca z samego ustroju świata, który, jak żywy i czuły organizm, cierpi cierpieniami, cieszy się rozkoszami i żyje życiem swych członków.

Wszystkie antagonizmy, zabiegi i prądy społeczne roztopiają się tam i toną w olbrzymiej rzece życia kosmicznego, rzece, która przepływa przez świat fenomenów, której źródło i ujście leżą gdzieś daleko, po za granicami dostrzegania zmysłowego. (Matuszewski — „Swoi i obcy.“) I wobec solidarności milkną pewne niedomagania społeczne...

Solidarność powinna zapewnić jednostce swobodny rozwój. Solidarność nie powinna pozwolić, aby była nędza i głód na świecie...

Prus tworzy całe społeczeństwa, które rozwijając się, kształtują ludzi. Posiada zmysł społeczny dla tego wszystkiego, w czym wyraża się energia człowieka, jego władza nad przyrodą.

Solidarność *społeczna* nie egzystuje dla Żeromskiego. Dziśjsze społeczeństwo jest tak zróżniczkowane, że leży nieprzeby-

ta przepaść między poszczególnymi klasami... Walka na śmierć i życie — walka nieubłagana... Skończyć się musi zwycięstwem klasy upośledzonej... Ręce pokrzywdzonych, zgrubiałe w pracy, brutalne może w dotknięciu, zbudują wielki gmach przyszłości.

I pójdą między ową gromadą i Judymy, i Siłaczki, i Korzeczy, i Bodzantowie, i Doktor Piotr. I Judym opuścić musi ukochaną kobietę, Bodzanta rozda majątności, Doktor Piotr opuści swego ojca i wszyscy poświęcą swe życie dla ideału jasnych dni ogólnego szczęścia.

Podkreśliliśmy, że dla Żeromskiego wszelkie kwestye społeczne rozwiązują się nader prosto. Zda się, że z każdego wiersza czy „Ludzi bezdomnych,” czy „Dziejów Grzechu” przebija zasadnicza myśl: niech ginie zgniły gmach teraźniejszości — budujcie nowy gmach rękami wydziedziczonych. W przyszłym ustroju społecznym nie będzie miejsca dla innych. Ci, którzy przez tyle lat dobijali się o sprawiedliwość, sami teraz dobijają się losów lepszych i panować będą.

Przychodzą jednakże w tym względzie refleksye i to poważne.

Dusza Żeromskiego łamie się w pytaniu, które skądciś wypływa — może z tych samych lochów kopalni... Nie zdaje sobie z tego dokładnie sprawy. Ale czuje, że pytanie niepokoi duszę, domaga się odpowiedzi.

Pamiętamy ową nowelę „Mogiła,” w której bohater, stojąc na ortodoksyjnym markсовskim stanowisku, w sposób mechaniczny, nie dopuszczający żadnej krytyki, sądzi wszelkie zjawiska życiowe. Znajduje się raz na polu, gdzie przed dawnymi czasami stoczono jakąś bitwę... O co się zastępy owe biły? Jaka idea poruszała umysłami? Czy tylko żądza krwi?... I naraz umysł przebiega myśl: może są sprawy jeszcze większej wagi? może nie tylko wyzwolenie proletaryatu jest ową ideą, która potrafi rozpaść dusze?... A może do odbudowania gmachów społecznych powołani są wszyscy? Może panowanie nie powinno należeć do jednych — nawet wydziedziczonych?...

Może... i pytanie to drga w powietrzu...

I pomimo „Snu o rycerskiej szpadzie,” duszę Żeromskiego nawiedza czasem zwątpienie, czy ręce, w które chce złożyć ster, są jedynie do tego uprawnione... czy nie należałoby dopuścić *wszystkich* dla pracy wspólnej?...

W ostatnich rozdziałach „Dziejów Grzechu” daje Żeromski obraz swych ideałów społecznych.

Przenosi nas do jakiegoś zaczarowanego raju w Majdanie, gdzie Bodzanta na zasadach wspólnoty gminnej prowadzi gospodarstwo.

Nie ma właściciela ziemi. Są tylko użytkownicy. Coś więc w rodzaju gminy Tołstojowskiej? Czy socjalizm agrarny George'a? Czy „mir“ lub starosłowiańska „zadruga“?

W tym względzie Żeromski sięgnął do tradycji polskich. Jest wyznawcą ideałów onych żołnierzy, którzy po roku 31-ym, uwolniwszy się z niewoli pruskiej, wylądowali na brzeg angielski. Było ich około 200, samych wiarusów, którzy mieli ze sobą dwóch tylko oficerów. W Portsmouth przyjęto ich dobrze, dano duży budynek dawnego szpitala na koszary, gdzie się dość wygodnie ulokowali. Z początku wszystko szło normalną drogą. Wiera ustanowiła sobie Radę gospodarczą, kodeks karny i trybunał honorowy. Salutowała dziarsko oficerów angielskich, spotykanych na ulicy, a w niedzielę w porządku plutonowym szła do kościoła.

Pod wpływem przybyłych z Francji rozproszonych członków węglarstwa w r. 1885, gmina przyjmuje zasady komunizmu Babeufa, odrzuca prawo własności i występuje wrogo przeciw centralizacji oraz Tow. demokratycznemu, któremu zarzuca schlebianie demagogicznym niskim instynktom i bezreligijność. Gmina utworzyła stowarzyszenie „Lud polski,“ dzielące się na „Gromadę Grudziądz“ w Portsmouth i „Gromadę Humań“ na wyspie Jersey. Gmina wydaje pisma, gdzie pisze, że Tow. demokr., „uleknawszy się szczeremu rozwiązaniu kwestyi religijnej, nie dopuszcza wpływu myśli Bożej na społeczność i wchodzi na drogę ministrów pruskich, którzy też o równości praw i zwalczaniu przywilejów mówią.“ W dzisiejszym ustroju nie może być równości, tylko społeczność, będąca nie martwym pasowaniem się indywidualnych widoków, ale która rozdawa instrumenty do pracy, przede wszystkim ziemię, może stać się kolebką ogólnego szczęścia. Następstwem tego jest rozdział między członków społeczności pracy, będącej warunkiem prawa istnienia.

Po kilkudziesięciu latach, gdy zapomnienie pokryło ślady owych gmin socjalistycznych, a foliały na półkach archiwum raperswilskiego są jedynym wspomnieniem owych żołnierzy-komunistów... dawne idee odżywają w Majdanie pod Kielcami.

Komunistyczna gmina. Wielki pan Bodzanta, mający w swej duszy pierwiastki idei Worcelowskich... wyzybywa się majętności swoich...

W folwarkach osiedlają się kobiety publiczne, które po zmarnowanym życiu znajdują „cichą przystań.“ Stosowane są jakieś wspólne warsztaty pracy. Dochody idą na użytek ogólny.

Dzieło jednakże pada po śmierci założyciela. Tkwi w tem pewna ironia autora... W dzisiejszym ustroju kapitalistycznym,

gdy klasy „nie-proletaryackie grzeszą w upadku...” nawet czyny Bodzantowskie nie przyniosą korzyści...

Zniszczyć wszystko. Dom się wali. Po co przedłużać konanie niepotrzebnie? Ponuro dźwięczą słowa Manifestu komunistycznego: proletaryat nic nie ma do stracenia okrom kajdan, nie ma przeto obowiązku podtrzymywać dzisiejszego stanu rzeczy.

Zasadnicze więc podstawy pojęć społecznych autorów stanowią owo tło, na którym rozwijała się na naszym gruncie kwestya społeczna...

Zapatrywania te różne.

W epoce popowstaniowej nie ma jeszcze mowy o całym szeregu problemów, które dopiero teraz występują na porządek dzienny.

Różne więc drogi ducha tych dwóch historyków społecznych.

Prus—wyobraziciel pokolenia przeszłego, przeżył epokę bezwzględnego panowania jednostronnej doktryny społecznej, patrzy daleko i w głębinie swego ducha odkrywa nowe tory bytu.

Żeroński—stoi przy sztandarze lat ostatnich: tylko w formie przeobrażenia zupełnego stosunków ekonomicznych, dokona się udoskonalenie ducha ludzkiego.

Życie jednakże idzie dalej. Występują nowe współczynniki w układzie sił społecznych.

I w ogniu przeżytych doświadczeń budzi się reakcja. Dawne ideały zaczynają na nowo wywalczać sobie prawo istnienia...

Postęp staje się postępem ewolucyjnym bez zmian gwałtownych i zupełnych w ustroju społecznym.

DR. ŻEL. GROTOWSKI.

*Weselna tragedia.*¹⁾

Tymoszko, starszy syn Bohdana Chmielnickiego, krótką chwilę tylko zajaśniał sławą kozacką. Kiedy się rozpoczęły awantury czehryńskie z Czaplińskim o Subotów był już wyrostkiem, którego swawola nie znała granic. Pierwsze tryumfy ojcowskie przesiedział w Czehrynie, a dał się poznać dopiero w chwili powrotu Kozaków z pod Zamościa do Kijowa. Wówczas zgotowano Chmielnickiemu niebывałe przyjęcie. Duchowieństwo witało go z obrazami i chorągwiami, czerń całowała jego szaty, wychowankowie akademii składali na jego cześć wiersze panegiryczne, a pseudopatryarcha wschodni, który przypadkowo znalazł się w tej uroczystej chwili w Kijowie w podróży swojej za jałmużną do Moskwy, w mowie powitalnej dał mu tytuł księcia. Z prawdziwie wschodnim pochlebstwem, pełnem pokornej admiracyi, otoczył on nowego wybrańca fortuny i oddał mu na usługi wymowę swoją,

¹⁾ Opowiadanie niniejsze obejmuje jeden moment z dziejów kozaczyzny—wesele Tymoszka Chmielnickiego z córką hospodara wołoskiego, Rozandą. Jest ono równocześnie przyczynkiem do poznania kultury obyczajowego ówczesnego ruskiego społeczeństwa. Za osnovę szkicu niniejszego posłużył mi *Rps. w Bibliotece Ossolińskich* № 231, w którym znajduje się szczegółowy opis wesela p. t. *Opisanie wesela Tymoszka, syna Chmielnickiego, z Rozandą, córką Wasila Lupula, hospodara Mołdawskiego, 1652.* № 223. Do uzupełnienia zaś obrazu posługiwałem się następującym materyałem:

W. I. Rudawski: *Historja p. lśka*, t. I; *Latopis Samoila Wieliczka*, t. I; *Pamiętniki do wojny Chmielnickiego*; Jakóba Michałowskiego: *Księga pamiętnicza*; Albrecht Radziwił: *Pamiętniki*, t. II; *Latopisiec* Joachima Jerlicza, t. I; *O tom, czto słucziloś na Ukrainie*, Moskwa, 1847; Kochowski: *Pamiętniki do panow. Zyg. III, Władysława IV i Jana Kazimierza*.

siebie, a nawet religię, której prawa, ustawy i przepisy gotów był łamać. Ów patriarcha, aż do bitwy beresteckiej, gdzie poległ, nie opuszczał Chmielnickiego ze swojej duchowej opieki. On to Chmielnickiemu, który przyszedł do cerkwi pijany — pozwolił pijanemu przystąpić do komunii bez spowiedzi, udzielił abszolucyi z grzechów—raz na zawsze—i zaocznie dał ślub z „cudzołożnicą“ Czaplińską, bez rozerwania pierwszego związku. Za to wszystko Chmielnicki wcale nie drogo zapłacił, bo podarował mu tylko sześć koni i tysiąc złotych—i konie, i pieniądze zdobyte szablą na obozach polskich. Grzeczny patriarcha odwdzieczył się za dar. Wyśłał do Chmielnickiej, a właściwie Czaplińskiej, czerńca z Kijowa do Czehrynia, który wioził niezwykle dary: trzy świece samopalające się, mleko Najświętszej Maryi Panny i misę cytryn. Gdy na dworze subotowskim z takimi osobliwościami stanął, wywołały one oczywiście największy zachwyt. Czaplińska dała posłańcowi pięćdziesiąt talarów, a Tymoszko, „wierutny łotrzyk“ — jak pisał Miaskowski, kazał przytrzymać mnicha i brodę mu osmalił. Był to jego pierwszy występ.

Nastąpiły nowe wojny, nowe klęski Rzptej. Hetman zaporowski był daleko. Imci pani Czaplińska lubiła towarzystwo i amory. Wszystkiego było dosyć, przelewało się przez wierzch. Kręcił się tam jakiś „zegarmistrz ze Lwowa“, człowiek młody, wrażeń chętny, ale goły. A piwnice zamkowe były pełne skarbów pod strażą „wiernego“ klucznika. Starego Chmielnickiego nie było w domu. Zbliżał się właśnie wtenczas pod Tarnopol, w przededniu prawie beresteckiego pogromu. Czaplińska zdołała przekupić klucznika i wraz z zegarmistrzem jedną czy dwie beczki ze złotem zdobyła. Zanim do tego doszło, musiał ów stosunek z zegarmistrzem nie jednemu rzucić się w oczy. Spostrzegł go i Tymoszko. Wyśledził kradzież. Zakochana para nie po to kradła pieniądze, aby je w Czehrynie lub Subotowie trzymać. W piwnicach zamkowych było pełno złota. Zamierzali umknąć w świat. Czaplińska może już miała dosyć subotowskiego więzienia.

Czy Tymoszko uwięził winnych, czy też ich tylko miał na oku—nie wiemy. Dość, że ojca zawiadomił o tem, co się działo. Otrzymał rozkaz krótki: Powiesić wszystkich. Tymoszko wykonał polecenie. A tak mu było spieszo rozprawić się z macochą, że nawet szubienicy nie stawiał, ale na szerokich wrotach ojcowskiego domu powiesił Imci panią Czaplińską samosiedm — razem ze wszystkimi towarzyszami miłości i kradzieży. Może nawet zbyt rychło Tymoszko wyrok wykonał. Chmielnicki nieraz takie rozkazy wydawał, a opamiętawszy się—cofał. A tę kobietę, któ-

rej trup wisiał na subotowskich wrotach zameczku, musiał bardzo kochać. Mamy prawo wnosić stąd, że przy wszystkich traktatach upominał się o wydanie Czaplińskiego. Zazdrość go żarła, obawa, że mu ją jeszcze odebrać może. Chciał się rozprawić z Czaplińskim po swojemu. Wówczas byłby spokojny. A tu jakiś lichy „zegarmistrz ze Lwowa,” którego nawet nazwiska dzieje nie zapisały, bez trudów zdobył serce pani hetmanowej. Wprawdzie kazał powiesić wszystkich, ale strasznie go dotknął ten cios. Gdy się dowiedział, że Czaplińska już nie żyje—pić zaczął. Pił strasznie. Ani słówkiem nie poskarżył się przed nikim. Wojska gromadziły się, robiono przygotowania do bitwy, a on—pił. Przybył wreszcie Islam-Girej z Tatarami. Radość wielka. Strzały armatnie, muzyka, krzyki. Ale hetman na spotkanie nie pojechał—pił. Przybył wreszcie sam han z liczną asystencją pułkowników i murzów do namiotu — i zastał hetmana pijanym do nieprzytomności. Leżał nieruchomy. Tak przeboleł stratę Czaplińskiej. Ale niedługo bolał — w kilka tygodni załedwie po subotowskiej katastrofie już miał inną żonę.

Po tym występie „plugawego,” jak mówią ludzie współcześni, Tymoszka, nastąpił drugi.

Stary Chmielnicki marzył o założeniu własnej dynastyi, o własnem księstwie. W księstwo ukraińskie nie bardzo wierzył. Zwrócił swoje marzenia ku Wołoszczyźnie. Na tem „przepiórczem polu” niejeden już się wzbogacił. I Wasyl Lupul zbierał obfite żniwo. Ażeby się utrzymać na gospodarstwie, musiał częste i duże opłacać bakczysza wszystkim wezyrom i faworytom sułtańskim. Ale miał on skarb większy od złota—piękną córkę. Już się był spowinowacił z najmożniejszym domem w Rzptej — z Radziwiłłem. Wiśniowieccy, Kalinowscy nastawiali sidła. I Rozandę byłby wydał rychło—gdyby nie smutny los tej pięknej dziewczyny. Zwrócił na nią uwagę stary Chmielnicki, nie dlatego, że była piękną i bogatą, lecz że mogła się stać pramacierzą nowej dynastyi—nie wiadomo dla kogo przeznaczonej. Z nią zamyslił Chmielnicki ożenić Tymoszka. Rozpoczął tedy intrygi na dworze padyszacha przeciw Lupulowi, wreszcie znalazł pretekst, wpadł na Wołoszczyznę razem z hanem, cały kraj zrabował, spalił, Lupula zwyciężył, do okupu zmusił, a co gorsza, zmusił go do przyrzeczenia oddania Rozandy Tymoszkowi. Z sercem zboleiał musiał się na to zgodzić Lupul. Bronił się, jak mógł, od tego związku, jakby prze-czuwał nieszczęście dla całego domu swego. W końcu uległ losowi i sile. Byłoby się może owe smutne wesele odbyło wcześniej, gdyby nie klęska berestecka, po której nie rychło podniósł

się Chmielnicki. Ale, uczuwszy się na siłach, znowu o Rozandę upomniął się dla „plugawca Tymoszka.“ Napisał do Lupuła kozacki list: „Zeswataj, gospodarzu, córkę swoją z synem moim, Tymoszką, a dobrze ci będzie; a jeśli nie zaswatasz i nie wydasz za niego, w proch cię zetnę, zmiażdżę i śladu po tobie nie zostanie.“ Cóż miał robić na takie zaprosiny? Zgodził się. Ale, zgrodziwszy się, jeszcze robił zabiegi u Rzptej, ażeby przeszkodzić temu związkowi. Niedaremnie w liście do króla zaklinał Rzpę „na szczęście Polaków,“ aby zabezpieczyć drogę Tymoszkowi i na Wołoszczyznę niedopuszczyć. Wiedział dobrze, że usadowienie się Chmielnickich na Wołoszczyźnie lub Multanach będzie nowym źródłem niepokojów dla Rzptej. Nic dziwnego, że starał się przeszkodzić — przedewszystkiem we własnym interesie. Tymczasem sprawa inny obrót miała i ułatwiła się młodemu Chmielnicznence droga tryumfalna do Jass.

Na początku czerwca 1652 r. stanął hetman polny Kalinowski pod Batohem, nad Bohem, niedaleko Ładyżyna, bezpiecznie, nie spodziewając się napadu. Tą drogą właśnie w asystencyi wesełnego orszaku z 16,000 Tatarów i Kozakami podążał na wesele Tymoszko, napadł nieoczekiwanie na obóz polski i zadał klęskę równą Korsuńskiej, o tyle gorszą, że Kalinowski przepłacił ją nie jasyrem lecz życiem. Był to pierwszy wojenny występ Tymoszka. Niechcę w to wdawać się, co było powodem klęski naszej: lekko-myślność wodza, czy też szczęście Kozaków—dość, że zwycięstwo przeobraziło się w straszną i dziką rzeź. „Nie wiązano jeńców, nie sprzedawano ich, jako zwykli Tatary, lecz czekały na nich szubienice, ognie i noże.“ Gdy już Tatarzy mordować nie chcieli, żałując poprostu bądź wykupu za jassyr, bądź pieniędzy za sprzedaż niewolników, Tymoszko zobowiązał się zapłacić za każdą głowę polską i kazał w pień wycinać wszystkich. Prowadzono tedy więźniów na majdan i ścinano jak bydłeta lub baranów. Spostrzegłszy, że nieszczęśliwi konając wołali: Jezus, po gardłach siekali, ażeby przeszkodzić wołaniu. A pułkownicy kozaccy, jeżdżąc na koniach, zachęcali Tatarów do rzezi. Wreszcie murzowie kazali zaprzestać mordowania, aby nie robić wstydu tatarskiemu imieniu.

Takie odniósł zwycięstwo Tymoszko prawie w przededniu swego wesela.

Zanim do Jass podążył, próbował zdobyć Kamieniec. Po rzezi batohskiej nabrał takiej fantazyi, że zdawało mu się, iż cały świat powinien do nóg jego pochylić się. Ale mocniejsze były mury Kamieńca, niż fantazyja rycerska Tymoszka. Widząc, że się

tam Kozacy daremnie tylko kręcą, stary Chmiel odwołał syna i na wesele jechać kazał. Gdy się syn pod Kamieńcem bawił, Chmielnicki wysłał był jeszcze raz posłów do Lupuła z przypomnieniem obietnicy wydania za Tymoszka Rozandy „in sociam vitae et thori.“ Trudno było niezgodzić się wobec wojska, stojącego prawie nad granicą Wołoszczyzny. Musiał uleść przemocy—non tam libenter quam reverenter. Nie dość tego—musiał jeszcze synowca swego pro obside do Czehrynia posłać! Takie było wzajemne zaufanie dwóch rodzin, które wkrótce połączyć się miały ze sobą.

16 sierpnia Tymoszko z kilkotysięcznym orszakiem Kozaków i Tatarów w Jampolu nad Dniestrem stanął. Gospodar spodziewał się, że Tymoszko na Sorokę jechać będzie, wysłał więc tam na spotkanie jego Tomę, dwornika wielkiego, z sześciu tysiącem wojska, a pod przyszłego zięcia wyprawił karocę w sześć koni, a także duży zapas wiktuałów, win, miodów, aby godnie przyjąć oczekiwanego, lecz nie pożądanego zięcia. Imć pan Toma miał odprowadzić Tymoszka z Soroki do Jass. Ale Tymoszko do Soroki nie pojechał. Może lękał się jakiejś zasadzki. Nie z własnej zapewne porady to uczynił, ale Wyhowskiego, którego, jako człowieka otartego w świecie, posłał był Chmielnicki na owe wesele. Po naradzie posłano do Imć pana Tomy do Soroki gońca, zapraszając go do siebie, do Jampola. Nie chciał się sprzeciwiać dwornik życzeniu Chmielniczenka, przeprawił się na drugą stronę Dniestru i do Jampola się udał. Ale tu Wołoszyna spotkała nowa niespodzianka: Tymoszko zatrzymał go przy sobie, jako zakładnika, a kazał napisać do hospodara, aby mu brata swego rodzonego w zakład przysłał. Takie to były czasy. Ciężka atmosfera obłudy i zdrady wisiała nad wszystkimi. Musiał gospodar temu miłemu życzeniu uczynić zadość i brata Tymoszkowi posłał.

Skoro zakładnik w Jampolu stanął, zaraz Tymoszko z całym wojskiem swoim na drugą stronę Dniestru przeprawiać się począł. Ale dziesięć dni zbiegło, zanim się te wszystkie podróże z Soroki i Jass zakończyły, tak że dopiero przeprawa rozpoczęła się 26 sierpnia we wtorek. Nazajutrz we środę orszak Tymoszki nocował w Belcach, we czwartek w Prutach, w piątek w Kejchanach. Tegoż dnia dano znać, że gospodar się zbliża. Czekał na niego Tymoszko. Jakoż istotnie nadjechał w południe na powitanie, mając w asystencyi swojej ośm tysięcy wojska. Miał przy sobie sześciu pajuków po turecku ubranych przystojnie i dość duży orszak konny na dzielnych koniach, strojnych w bogate rzędy. Orszak hospodarski wyglądał okazale, dostatnio, bogato, niby mo-

narchy jakiego. Naprzeciw niemu wyjechał Tymoszko w trzy tysiące Kozaków — bardzo kuso i bardzo niepokaznie. Chociaż to było wojsko niby przebrane, ale było „srodze ladaco.“ Na ćwierć mili, niedojeżdżając Jass, w dolinie, przybyły teść i zięć zbliżyli się ku sobie. Wojsko hospodara z obu stron drogi w porządnym szyku stanęło, a hetmanic, ujrzawszy je, nie bez pewnego poruszenia, ławą po kozacku zleciał w dolinę, jakby miał atakować nieprzyjaciela. A cała ta ceremonia odbyła się przy biciu bębnow, strzelaniu wiwatowem i wojskowej muzyce. Zbliżywszy się ku sobie, obaj z koni zsiadli. Tymoszko hospodara, jako przyszłego teścia, w pół obłapił, hospodar oddał mu pocałunkiem i wnet rozpoczął panegiryczną przemowę okolicznościową. Mówił krótko, wyrażając tylko radość z przyjazdu. Tymoszko ani słówka nie odpowiedział, stał, gryząc wargi i na Wyhowskiego spoglądał. To też równie krótką przemową Imć pan pisarz wojska zaporoskiego podziękował za powitanie. Orszak Tymoszka składał się z 9-ciu koni „ladajakich i chudych.“ Siedzenia dwoje były kosztowne: jedno perłami suto sadzone, a drugie złotem haftowane. Sam hetmanic miał na sobie atłasowy karmazynowy żupan „nie na niego krajany“ i aksamitny sobolowy szłyk. Wzrostu małego, ospowaty i—dodaje uczestnik tej ceremonii—„dureń wielki.“ Rydwanów miał ze sobą dwa—strojnych, wóz skarbný jeden, a 400 małych, prostych wózków. Powiadano sobie na ucho, że w wózkach tych wioził sól na sprzedaż. Pułkownicy siedzieli na dobrych koniach, w szaty polskie przybrani, od srebra, od rządów. Ale takich niewiele było, reszta „hołota.“

Po przywitaniach i przemowach wsiedli znowu na konie i jechali obok siebie do miasta. Gdy się już zbliżyli do stolicy tak, że orszak był widzialny z zamku, z dział bić poczęto, a cyganie i Turcy—muzykanci—podnieśli hałas, raczej do piekielnego krzyku, niż do muzyki podobny. I z taką paradą do Jass wjechali, a potem na zamek. Imci hospodarowa na pokojach nie pokazała się, tylko sam hospodar robił honory domu. Najprzód mu tedy przedstawił syna swego, hospodarczyka Stefana, a potem wszelkiemi sposobami towarzyskiego pożycia starał się być uprzejmym i grzecznym dla gościa, okazując ciągle radość z jego przyjazdu. Tymoszko wytrwale milczał, tylko Wyhowski za niego odpowiadał. Na pokojach Imci pani hospodarowej zgromadziła się żeńska część towarzystwa, bojarki i towarzyszki Rozandy, a nie tracąc dużo czasu, rozpoczęły tańce. Przygrywali im cyganie, którzy „w swoje serby rznęli.“

Tymczasem gospodar zaprowadził Tymoszka do gościnnych pokojów i prosił, ażeby po trudach podróży okurzył się, umył się i wypoczął. Do usługi mu wyznaczył swoich pokojowych. Niektórzy wołoscy bojarowie z asystencyą mu towarzyszyli, a on, pojrzawszy na nich, jak wilk, z podełba, dobył noża i obróciwszy się tyłem do wszystkich, począł sobie paznokcie obcinać. Dla asystencyi Tymoszka — Wyhowskiego, jakiegoś nieznanego wcale Petery i innych—wyznaczono osobne pokoje. Pułkowników, asawułów, setników rozlokowano w mieście. Obóz kozacki stanął pod Winogradami i stał się odrazu prawdziwą plagą mieszkańców. Szczególnie, kozackim zwyczajem, uniłowano Żydów. Ludność ukryła się w domach, a gdy jakiego Żyda złapano, musiał się biedak dobrze okupić, zanim go wolno puszczono. Wkrótce po przybyciu Tymoszka, nadjechały swaszki kozackie, które także otoczone były przez gościnnego gospodarza dostatkiem i wygodą.

Nagotowano do wieczery, ale Tymoszko nie rychło się wybrał. Gospodar czekał na jego przybycie i widać było, że się niecierpliwił. Wszedł wreszcie w polskie szaty przybrany. Gospodar przy sobie go posadził. Rozpoczęła się uczta wesoła. Grała muzyka wołoska i turecka, a „Turcy wszelkie kunszty wyprawowali do samej nocy.“ Wiwaty następowały gęsto. Pito zdrowie gospodarza, gości, przyszłego szczęścia młodej pary, a wystrzały armatnie towarzyszyły tej wesołości. Tymoszko milczał. „Po staremu ani be, ani me.“ Drażniło to hospodara, ale nie dał się z tem poznać. Uczta zakończył się pierwszy dzień przybycia do Jass Tymoszka.

Nazajutrz, w sobotę, pan młody nie pokazał się u stołu. Widocznie żenowało go liczniejsze towarzystwo. Ale wesoły nastrój trwał dalej. W zamku bojarki i panny młodsze, bogato ubrane, tańczyły. Tymoszko w zabawie tej udziału nie brał; stojąc w oknie, przypatrywał się jeno tańcowi, lulkę, ku zgorszeniu innych, palił i dym przed siebie puszczał. Nazajutrz rano, w niedzielę, znowu były tańce na zamku bez udziału państwa młodych, a potem rozpoczął się obrzęd weselny. Gospodar nadrabiał miną, wesołość udając, ale nie do radości mu było, gdy widział na własne oczy komu ukochane i piękne swoje dziecko oddaje — „niezgrabnemu, ładajakiemu, niememu chłopu“—powiada świadek.

Pan młody jechał do cerkwi na kosztownym koniu, w piękne szaty przybrany, świeżo otrzymany dar od hospodara, a w asystencyi jego dwóch pajuków. Bojarowie prowadzili go przed ołtarz, „jako co dobrego,“ gdzie na kobiercu ukląkł wraz z Rozandą—i odbyła się ta uroczystość, która jej i jemu przyniosła nie-

szczęście. Ale wówczas nikt nie przewidywał końca tego smutnego wesela. Tymoszko z kobierca ślubnego powstał rozradowany i zaraz po drodze, przy wszystkich, zaczął „pannę“ całować. Zbiegowisko ludzi w cerkwi i przed cerkwią było ogromne. Kozacy i Tymoszko byli przedmiotem podziwienia. Pamiętano dobrze pierwszą wyprawę starego Chmiela na Wołoszczyznę, niedawną dziką rzeź pod Batohem. Przypatrywano się tedy z pewną ciekawością i lękiem orszakowi weselnemu, a tymczasem z dział bito, muzyka odzywała się na alegrezę, śpiewy i wrzaski kozackie napełniały powietrze. Rozanda gorąco płakała. Do dnia ślubu nie widziała go pono, inklinacyi do niego nie miała żadnej. Tylko ciekawość dziewczica napełniała jej serce trwogą przecucia przed nieznanem jutrem. Pragnąc poznać ten świat, do którego miała niezadługo wstąpić, odgadnąć duszę tego świata, do którego miał ją niezadługo wprowadzić Tymoszko, dzień przed ślubem kazała sobie dumy kozackie śpiewać. Ów śpiew posepny, dzikie obrazy poezyi kozackiej, dawały jej może przedsmak nowego życia. Nic dziwnego, że płakała. Widziała przed sobą brzydkiego, nieokrzesanego gburą.

Wreszcie grono weselne zasiadło do uczty. Brakło tylko swaszek kozackich, które, wyszedłszy z cerkwi, znikły nagle. Myślano, że poszły do domu. Posłano po nie karety z dworu hospodarskiego, ale ich niezastano. Pokazało się, że „przy gorzałce w karczmie, zabawiały się.“ Wprost z przed karczmy przywieziono je do zamku, „jako jakie straszdyła, a to wszystkie były krewnie Chmielnickiego.“ „Szpetne bardzo—powiada świadek—w jermakach żydowskiej roboty, sobolami jednak podszytych, z sobolemi kołnierzami wielkimi. Chociaż to było lato prawie i upał, prezentowały jednak swoje sobole.“ „Siłaby o nich pisać trzeba—mówi uczestnik—ale wstyd niedopuszcza.“ Hospodarowa jejmość całą tę hałastę płci pięknej przyjmowała w swoich apartamentach, hospodar zaś podejmował Tymoszka i jego kozacką asystę u siebie. Znając zwyczaje kozackie, zachęcał zięcia, aby jadł i pił i był wesoły. Nareszcie, po licznych kielichach, odezwał się Tymoszko, nie do hospodara wszakże, lecz do swego sąsiada przy stole, Kutnarskiego, sekretarza a właściwie kanclerza Lupuła: „Dziękuję wielce hospodarowi JMości, jest wszystkiego dostatek. Czohoż biłsze treba.“ „Dał Pan Bóg dobre słowo usłyszeć“—zapisuje złośliwie świadek. Gęsto spełniano toasty na pomyślność i połączenie dwóch domów, muzyka im wtórowała, armaty odzywały się głucho. Ale muzyka cygańska i turecka nie w smak była Tymoszkowi. Posłał po swoją. Przyprawiono trzech skrzyp-

ków, wiolistę, puzonistę i „organistę”—niewiadomo, co on w tem towarzystwie robił, — ci mu od ucha zagrali po polsku. Dopiero się Tymoszko rozweselił. Sam w taniec poszedł i Kozakom pójść kazał, „którzy, jak bydło, do pokojów się cisnęli.“ Pijatyka i tańce trwały późno w noc. Swaszki tylko kozackie zawczasu do gospody odprowadzono. Przyszły one na ucztę już dobrze cięte, przy uczcie podpily sobie i rozpoczęły kłótnie z bojarkami. Domagały się dla siebie jakiejś osobliwej atencji, a gdy na te pretensye nie zwracano uwagi, przyszło do kłótni. Jedna Kozaczka, Halszka Karpiośka, „bardzo licha“ (łycha—zła), nie kępując się obecnością gospodarowej, wykrzykiwać do bojarek poczęła: „Czy na błżeństwa my tu do was przyjechały? Kiedy są przyjemniejsze od nas, a czemuż doczkę swoją za Kozaka dajecie?“

Rozfukawszy się, opuściła pokoje, a idąc po schodach, obaliła się, „bo tłusta była i pijana“—zapisuje rubaszenie świadek. Ledwie ją do karocy doprowadzono, wsadzono i odesłano do domu dla przespania się. Inne jeszcze na nogach trzymały się. Hojnością względem służby nie odznaczały się: ile razy woźnice i łęgoszowi odwozili swaszki kozackie do gospod, tyle razy otrzymywali po garści orzechów „dla contentacyej.“

Dobrze już podpity, pan młody, porwawszy się od stołu, poszedł do pokojów swoich, a stamtąd do łożnicy, gdzie „actum est de fortuna et integritate panny młodej.“ Przez dwa dni Tymoszko z pokojów nie wychodził, dopiero we środę wyjechał w pole na przejażdżkę. Nazajutrz, w czwartek, był na zamku wspólny rodzinny obiad. Zasiadli do niego oboje gospodarstwo, donna Rozanda, Tymosz, bojarowie i bojarki, jakoteż najbliższe otoczenie hetmanica. Kozaków nie puszczono, gdyż panny „fracimerne“ same do stołu usługiwały. Po obiedzie—tańce. Poszedł Tymoszko z żoną swoją w taniec, a Wyhowski i Petera towarzyszyli mu. Za tę „pracę“—pisze świadek—hospodar podarował Tymoszkowi sztukę złotogłowi, ale zięć za prezent „nawet ukłonić się nie umiał.“ Następnego dnia hetmanic rozdawał upominki: gospodarowi sorok soboli darował, żonie swojej szubkę adamaszkową sobolą, bojarom po sto talarów lewkowych, o które „oni mało dbali.“ Gospodar zaś zięciowi swemu dał cztery konie „z wsiądzeniem“ i dwa rumaki wołoskie. Z dworów sąsiednich na tem weselu nie było nikogo, tylko od hospodara multańskiego zjechał poseł z powinszowaniem i gospodarowi ofiarował konia tureckiego „z wsiądzeniem“, a hetmanicowi—kobierzec i sztukę złotogłowi. Gospodar obsypywał wszystkich podarunkami. Córce swojej ukochanej, której związek z Tymoszkim przeboleł i opłakał, dał 2,000 tala-

rów, „osobno“ dwa tysiące złotych, karete, wozy skarbane i bogatą wyprawę. Wyhowski otrzymał aksamitu 10 łokci, 20 łokci atłasu, białą futra rysiego i 300 talarów lewkowych. Pułkownicy dostali sukna i bławatu na parę sukien i po 150 lewkowych. Asawułowie i setnicy pieniądze tylko dostawali, a jeśli którego pominięto, „bez wstydu, jako dłużgu jakiego, upominali się.“

W piątek 6 września orszak weselny wyruszył z Jass do Czehrynia. Gospodar z całą rodziną odprawdzali młodą parę do tego samego miejsca, gdzie się spotkano z Tymoszkim. Mężczyźni konno, niewiasty w karecie. Zatrzymał się wreszcie orszak i rozpoczęło się pożegnanie. Gospodar z zięciem rozmawiał, a przez ten cały czas Rozanda leżała u nóg gospodarowej i rzewnie płakała. Potem poszła do ojca. Stary Lupul wesolą twarz pokazywał, ale serce krwawiło mu się, gdy widział leżącą u nóg swoich córkę, która, trzymając go obiema rękami, puścić nie chciała. Potem nastąpiło równie żałośnie pożegnanie z bojarami i bojarkami. Chwila była niezmiernie dramatyczna: było odrywanie przemocą od rodziców ukochanego dziecka na smutną dolę i prostacze otoczenie na poły dzikiego męża. Gdy tedy gospodar i wszyscy asystujący tej scenie pożegnania Wołosi, stali z odkrytymi głowami, Tymoszka widocznie drażniły zbyt długie ceremonie rozstania. On, który patrzył na drgające na szubienicy ciało macochy, nie lubił czułości. Wsiadł na koń, czapkę nasunął na ucho i przodem ruszył. Za nim powoli cały orszak w drogę się udał.

„I tak się ta cała weselna tragedia—mówi pisarz współczesny—zakończyła.“

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

SPÓR O BALTyk.

Wrodzony „ludziom północy“ instynkt podboju i łupiestwa pchał skandynawskich witeziów na wątych łodziach na spienione fale oceanu po nowe siedziby w Islandyi, Sycylii czy Normandyi, wiódł ich wzdłuż Dniepru do Carogrodu lub tworzył pod wodzą Wilhelma Zdobywcy nowe państwo wyspiarskie. Po wielu latach ten sam instynkt zaborczy, to samo berserkerstwo skandynawskie wiedzie hufce szwedzkie na podbój Niemiec, Polski i Rosyi, odradza się w podróżach Drake'a, Raleigh'a i Cook'a, w zdobyczach terytoryalnych kompanii Indyj Wschodnich, a później w raidzie Jameson'a, w polityce kolonialnej Większej Brytanii, w dzisiejszym imperyalizmie angielskim. Ale w samej Skandynawii idea *podboju* ustępuje miejsca idei *pokoju*. Dawna sława wojenna Szwecyi śpi dziś spokojnie pod kamiennymi nagrobkami w Riddarholm-Kyrke w Stockholmie wśród wieńców polskich, niemieckich i rosyjskich sztandarów zdobycznych; dumny Christianborg-Slot, wspaniały zamek królewski na Slotsholmen w Kopenhadze, dotychczas w znacznej swej części nie podniósł się z gruzów po pamiętnym pożarze 1884 r., a o drapieżnych wykingach norweskich świadczą tylko wykute w granicie napisy runiczne na skałach wysepek, tworzących łańcuch t. zw. Bohuslansk Skaergaerd na drodze morskiej z Goteborga do Chrystianii lub w dawnych siedliskach druidów na celtyckich Hebrydach, północnem wybrzeżu Irlandyi i wyspach Shetlandzkich.

Trzy państwa skandynawskie, związane wspólnością pochodzenia, kultury, poniekąd temperamentu narodowego i podobieństwem języka, a także przez pewien czas przynajmniej wspólnością historyi za czasów unii kalmarskiej, po burzliwym okresie dalekich wypraw morskich, podbojów i wojen zdobywczych z początkiem

ubiegłego stulecia cofnęły się prawie jednocześnie z szerszej widowni politycznej, skupiając wszystkie swe siły przeważnie w dziedzinie pracy kulturalnej. Wzmoczenie się potęgi Rosyi i oderwanie Finlandyi wstrzymało historyczne parcie Szwecyi w kierunku zdobycia hinterlandu na jedynej granicy lądowej półwyspu Skandynawskiego; zdobycie Pomorza przez Prusy i aneksya Szlezwiku i Holsztynii wyparły Szwecyę i Danię z Europy środkowej, a ubóstwo kraju w Norwegii, przy zmienionych warunkach walki o byt w dziedzinie stosunków międzynarodowych, zmusza potomków dawnych wykingów do emigracyi za ocean w poszukiwaniu już nie zdobyczy terytoryalnych, ale zwykłego chleba powszedniego. Jednocześnie rywalizacya sąsiednich mocarstw, współzawodniczących ze sobą, opłatała wszystkie trzy państwa skandynawskie siecią konwencyj i umów międzynarodowych, zapewniających im dzisiejszy stan posiadania, a więc pozwalających skierować wszystkie swoje siły w kierunku pracy nad podniesieniem kultury wewnętrznej, ale odsunęła je jednocześnie od szerszego udziału nawet w tych sprawach, w których, jak np. w kwestyi morza Bałtyckiego, dwa z nich, t. j. Dania i Szwecya, dzięki swemu położeniu geograficznemu, powinnyby właściwie posiadać głos stanowczy, jeśli już nie wprost decydujący.

Po nieszczęśliwej kampanii 1809 roku na mocy traktatu pokojowego w Frederiksham Szwecya była zmuszoną rzec się na rzecz Rosyi Finlandyi, z której cesarz Aleksander I, jak wiadomo, utworzył samodzielny organizm polityczny—Wielkie Księstwo Finlandzkie, połączone unią realną z Cesarstwem Rosyjskiem. Nieszczęśliwy wynik kampanii 1809 r. pociągnął dla Szwecyi nie tylko utratę dużej prowincyi i zahamowanie dalszej ekspansyi na Wschód, lecz i poważne niebezpieczeństwo geograficznego położenia pomiędzy Rosyą i Danią, do której podówczas należała Norwegia, z jednoczesnem osłabieniem własnej potęgi morskiej na Bałtyku. Zapobiedz temu niebezpieczeństwu można było przez połączenie się z Norwegią i utworzenie jednego wielkiego państwa na całym półwyspie Skandynawskim, co wobec ówczesnego osłabienia Danii było wykonalnem. Dzięki porozumieniu się w Abo następcy tronu szwedzkiego, Karola Jana Bernadotte, z cesarzem Aleksandrem I król duński, Fryderyk VI, przy zawarciu traktatu pokojowego w Kilonii (1814), zgodził się na ustąpienie królowi szwedzkiemu Norwegii wzamian za szwedzkie Pomorze z tem jednak zastrzeżeniem, że Norwegia, która dotychczas stanowiła prowincyę duńską, zostanie połączoną ze Szwecyą unią realną, jako samodzielne królestwo, i że król szwedzki ma nosić również tytuł króla nor-

weskiego. Przy rewizji karty Europy na Kongresie wiedeńskim w 1815 r. warunki traktatu w Kilonii zostały o tyle zmienione, że Szwecya ustąpiła Pomorze nie Danii, ale Prusom, które wzamian za to, tytułem kompensaty, oddały królowi duńskiemu księstwo Lauenburskie (odebrane następnie w r. 1864). W styczniu 1814 r. król Fryderyk VI odręcznem pismem uwolnił norweczczków od przysięgi na wierność, zalecając spokojne poddanie się pod władzę króla szwedzkiego i norweskiego, ale już w lutym tegoż roku ówczesny gubernator Norwegii, książę Chrystian-Fryderyk (późniejszy król duński, Fryderyk VII), ogłosił się na sejmie w Eids-wold najpierw księciem-regentem, a później królem norweskim. Armia szwedzka pod dowództwem Bernadotte'a wkroczyła na terytorjum norweskie, a flota szwedzka zagroziła Chrystianii. Na skutek tego w sierpniu 1814 r. zawartą została konwencja w Moss na pograniczu Szwecyi i Norwegii, zatwierdzona przez storthing norweski, a później przez stany szwedzkie i 4 listopada 1814 r. król szwedzki, Karol XIII, został ogłoszony królem norweskim. Umowa w Moss wraz z późniejszymi jej uzupełnieniami stworzyła podstawę t. zw. unii Szwecyi z Norwegią (Riks akt), zerwanej, jak wiadomo, w czerwcu 1905 roku przez storthing norweski.

Od daty zawarcia unii w szwedzkim języku politycznym pa-smo gór *Koelen*, stanowiące granicę pomiędzy dwoma państwami, stało się rzeczywistym „kilem“ skandynawskiej łodzi państwowej (słowo koelen oznacza dosłownie kil łódki), której burty stanowiły z jednej strony Szwecya, z drugiej zaś Norwegia. Straciwszy punkt oparcia na kontynencie, Szwecya została odcięta od spraw europejskich, a wzrost potęgi Prus nie pozwolił jej na odegranie poważniejszej roli politycznej w stosunkach międzynarodowych. Od tego czasu datuje w Szwecyi zaniedbanie spraw politycznych i wojskowych z poświęceniem się wyłącznie pracy kulturalnej, i nie da się zaprzeczyć, że pod tym względem kraj ten może stanowić przedmiot zazdrości wszystkich narodów cywilizowanych: powszechnie znane są rezultaty, jakie Szwecya zdołała osiągnąć w dziedzinie oświaty ludowej lub walki z alkoholizmem (system goteborski). Położenie międzynarodowe Szwecyi i Norwegii stało się tem wygodniejszym, że na mocy umowy 21 listopada 1855 r., skierowanej przeciw Rosyi, Anglia, Francya i Prusy poręczyły całość i nietykalność półwyspu Skandynawskiego, obowiązując się w razie potrzeby dostarczyć na obronę Szwecyi i Norwegii „do-statecznych sił zbrojnych morskich i lądowych,” a na mocy specjalnej konwencji, dołączonej do traktatu paryskiego 1856 r., Rosya zobowiązała się wobec Anglii i Francyi do niewznoszenia

fortyfikacyj na wyspach Alandzkich, ustąpionych jej przez Szwecyę w r. 1809, a odległych zaledwie o sześć godzin drogi morskiej od Stockholmu (dawne fortyfikacye na tych wyspach zostały zburzone przez flotę angielską podczas wojny krymskiej).

Zbombardowanie Kopenhagi i zniszczenie całej floty duńskiej przez flotę angielską w sierpniu 1807 r., ustąpienie Norwegii na rzecz Szwecyi w r. 1814, a w pół wieku później znaczne uszczuplenie terytorium państwowego wskutek nieszczęśliwej wojny 1864 r. i ostateczne wcielenie Szlezwiku i Holsztynii do Prus na mocy traktatu praskiego 1866 roku, poprzedzonego konferencyą w Gastein, stanowiąc dotkliwy cios dla dumy narodowej Duńczyków, osłabiło jednocześnie znaczenie międzynarodowe Danii w Europie. Ale, pomimo utraty dwóch prowincyj, Dania bądź co bądź zatrzymała w swoim ręku klucze od Bałtyku i panowanie nad cieśninami, łączącemi Skagerrak i Kategat z morzem Bałtyckiem. Mały Belt, dzielący półwysep Jutlandski od wyspy Fyen, liczy w najwęższem miejscu (pomiędzy Middelfart i Fredericią) zaledwie 600 metrów szerokości; Wielki Belt jest znacznie szerszy (15—16 kilometrów), ale usiany skałami podwodnemi nadaje się do łatwej obrony za pomocą torpedowców i min podwodnych; wreszcie Zund jest niedostępny dla większych pancerników. W 1857 r. dzięki inicjatywie Stanów Zjednoczonych Dania rzekła się prawa pobierania ceł i opłat od statków, przepływających cieśniny, wzamian za indemnizacyę pieniężną, z obowiązkiem utrzymywania latarni morskich, pilotów i stacyj ratunkowych, ale to nie przeszkadza jej bynajmniej zamknąć morze Bałtyckie w razie wojny. W roku 1870 ostrożna Dania nie pozwoliła Napoleonowi III wciągnąć się w wojnę francusko-niemiecką: trzeźwość i rozwaga polityczna wzięły górę nad pragnieniem odwetu za upokorzenie z przed lat sześciu. Przychylna postawa, którą zajęła Rosya wobec Prus podczas kampanii 1870 r., nie zachęcała bynajmniej do wystąpienia z akcyą zaczepną względem tego państwa, tembardziej, że Szwecya, bez której pomocy akcyą taką ze strony Danii nie mogła liczyć na powodzenie, zbyt późno powiadomiona o zamiarach Francyi, również nie spieszyła z decyzyą w tej kwestyi.

Od tego też czasu zaczyna się w Danii zwrot do polityki par excellence pokojowej, z obawy utracenia tego, co jej jeszcze zostało. Dania przestaje myśleć o odegraniu roli politycznej na widowni europejskiej i zadawalniam się dążeniem do jaknajwiększego rozwoju kraju pod względem ekonomicznym i kulturalnym, wyrzeka się nawet idei odwetu, myśli o odzyskaniu utraconych prowincyj, i godzi się milcząco z coraz to w szybszem tempie postę-

pującą germanizacją Szlezewiku i Holsztynii. Praca kulturalna, praca u podstaw pochłania coraz bardziej uwagę narodu z pewnem nawet zaniedbaniem obrony państwowej, w tem przekonaniu, że czas, pokój i oświata odrobiają zło, które sprawiły klęski wojenne. Usiłowania króla i rządu w celu zwrócenia uwagi na konieczność zorganizowania silnej obrony krajowej w zastosowaniu do zmienionych warunków uzbrojenia i taktyki, rozbijają się przez dłuższy czas o zupełną obojętność opinii publicznej, i do dziś dnia jeszcze Kopenhaga stanowi jedyną fortecę duńską. Żądania kredytów na ufortyfikowanie stolicy spotykają się z dwukrotną odmową parlamentu, aż wreszcie król Chrystian IX przy poparciu Izby wyższej (landthing), lecz wbrew gwałtownym protestom Izby niższej (folkething), uzyskuje w drodze antykonstytucyjnej potrzebne kredyty, i ministeryum wojny rozpoczyna roboty nad budową fortów, zarówno lądowych jak i morskich, zakończone w roku 1894.

Geograficzne położenie Kopenhagi po obu brzegach Kalvebodstrandu, wąskiej lecz głębokiej cieśniny Zundu, oddzielającej Zelandyę od wysepki Amager, nadaje się doskonale do stworzenia silnej pozycji obronnej. Stworzenie z Kopenhagi pierwszorzędnej fortecy lądowo-morskiej stało się dla Danii nieodzowną koniecznością państwową ze względu na rozpoczęcie przez Niemcy budowy kanału Kilońskiego (1887), łączącego Bałtyk z morzem Niemieckiem, pozbawiającego Danię w stosunku do Niemiec jej uprzywilejowanego położenia względem cieśnin, a więc i panowania nad wejściem do Bałtyku. Do jakiego jednak stopnia opinia publiczna w Danii przechylała się na stronę bezwzględnego nienarazania się na jakiegokolwiek bądź komplikacje i zatargi międzynarodowe, świadczy fakt, że uzyskanie przez rząd kredytów na ufortyfikowanie stolicy musiało się odbyć z pogwałceniem praw konstytucyjnych narodu i wbrew olbrzymiej większości folkethingu, uważającej, że Prusy po uzyskaniu swobody ruchu dla swojej floty, będą mniej skłonne do polityki zaczepnej względem swego północnego sąsiada, a więc upatrującej w przekopaniu kanału Dwóch Mórz zabezpieczenie i gwarancję nietykalności państwowej Danii.

W 1894 roku folkething duński po dziesięcioletnim przeszło oporze uznał wreszcie fakt dokonany i zatwierdził kredyty na ufortyfikowanie Kopenhagi, kładąc tym sposobem koniec antykonstytucyjnemu zajściu pomiędzy królem i narodem, a w czerwcu 1895 r. nastąpiła uroczystość otwarcia kanału Kilońskiego, łączącego Bałtyk z morzem Północnem. Jednocześnie Niemcy, pragnąc wyzyskać na swoją korzyść pokojowe usposobienie państw skan-

dynawskich i ich niechęć do uzbrojeń wojennych, podniosły kwestyę neutralizacyi cieśnin duńskich na wzór Bosforu i Dardanelów. Zamknięcie Zundu i obu Beltów dla statków wojennych na wypadek wojny, tworząc z Bałtyku morze zamknięte, zabezpieczyłoby od najazdu nieprzyjacielskiego całe północne wybrzeże niemieckie od Lubeki aż po ujście Niemna i pozwoliłoby Niemcom przeńsieć podstawę operacyjną swojej floty z Kilonii do Wilhelmshafen i skoncentrować w tem miejscu całą obronę morską na wypadek wojny. „Dania — twierdziła prasa niemiecka — przestała od 1857 r. wykonywać prawo zwierzchnictwa nad cieśninami, zrzekając się przysługującej jej od niepamiętnych czasów możności zatrzymywania statków cudzoziemskich na swoich wodach wewnętrznych, i neutralizacya cieśnin byłaby właściwie tylko dalszem rozwinięciem tego zrzeczenia się nieograniczonego panowania nad cieśninami.“

Projekt neutralizacyi cieśnin, zwrócony zwłaszcza przeciw Rosyi, spotkał się z żywym uznaniem zarówno w Danii, jak i w Szwecyi i Norwegii: we wszystkich trzech krajach skandynawskich odbyły się liczne wiece polityczne, poświęcone rozpatrzeniu tej kwestyi z punktu widzenia interesów narodowych. Opinia publiczna w Szwecyi skłonna była upatrywać w ewentualnem wykonaniu tego projektu nową formę gwarancyi całości i nietykalności terytorjum państwowego, i gotową była wzamian za tę nową gwarancję pogodzić się z myślą unieruchomienia całej floty na morzu Bałtyckiem na wypadek wojny, widząc w tem nowy powód do zinnieszenia budżetu ministeryum marynarki, a więc możność zyskania oszczędności budżetowych i obrócenia ich na cele kulturalne. Norwegia, niezainteresowana bezpośrednio, dzięki swemu położeniu geograficznemu, w sprawie neutralizacyi cieśnin, lecz gotująca się już podówczas do zerwania unii ze Szwecyą, nie mogła nie zdawać sobie sprawy z korzyści zamknięcia całej floty szwedzkiej (przewyższającej liczebnie wojenną flotę norweską w dwójnasób) na morzu Bałtyckiem w razie konfliktu zbrojnego. Wreszcie w Danii rozumiano bardzo dobrze całe niebezpieczeństwo, jakim jej grozi każdy zatarg międzynarodowy, w którym kraj ten musiałby wziąć udział w charakterze stróża kluczków morza Bałtyckiego, i starano się zapobiedz temu niebezpieczeństwu przez uzyskanie gwarancyi neutralności wód duńskich na wypadek wojny, zapominając o tem, że neutralizacya cieśnin stanowiłaby właściwie doszczętne pozbawienie Danii jakiegokolwiek udziału w międzynarodowym koncercie europejskim. To też rząd duński, wbrew przeważającej opinii całego

kraju, ujrzał się zmuszonym do zaznaczenia, że Dania niema bynajmniej zamiaru zrzekać się dobrowolnie swojej historycznej roli „klucznika Bałtyku“ i nie dopuści do neutralizacji cieśnin w drodze umowy międzynarodowej z pominięciem jej decydującego głosu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak pożądana z niemieckiego punktu widzenia neutralizacja cieśnin duńskich pociągnęłaby za sobą wcześniej czy później ogłoszenie neutralności Danii i Szwecyi w drodze umowy międzynarodowej, a tego rodzaju projekt, zapewniający Niemcom uprzywilejowane stanowisko na wypadek wybuchu wojny europejskiej, musiał spotkać się z opozycją przedewszystkiem Rosyi, następnie zaś Anglii, która coraz bardziej niechętnem okiem patrzy na wzrastającą potęgę morską Niemiec.

Zapewne, od czasu ukończenia kanału Kilońskiego możliwość zawarcia przymierza zaczepno-odpornego pomiędzy Rosyą i Danią nie przedstawia już poważnego niebezpieczeństwa dla Niemiec; ale dopóki Bałtyk pozostaje morzem otwartem, Niemcy bądź co bądź są zmuszone dzielić na niem swe panowanie z Rosyą i po części ze Szwecyą. Rosya, zamknięta na morzu Czarnem przez ogłoszenie neutralności Bosforu i Dardanelów na mocy traktatu paryskiego 1856 r., londyńskiego 1871 r. i berlińskiego 1878 r. odcięta od niezamarzających brzegów oceanu Spokojnego przez traktat portsmouthski 1905 r. i pozbawiona możliwości uzyskania portu na Atlantyku przez zagwarantowanie nietykalności Norwegii (2 listopada 1907 r.), nie może się zgodzić na zamknięcie Zundu i obu Beltów dla statków wojennych, gdyż równałoby się to dla niej doszczętnemu zniesieniu jej znaczenia, jako potęgi morskiej, i Bałtyk, jako *mare clausum*, nie przedstawiałby dla Rosyi większego znaczenia, niż dziś posiada dla niej morze Kaspijskie. Na usiłowania zamknięcia morza Bałtyckiego nie może również patrzeć obojętnie Szwecya, zmuszona utrzymywać silną flotę wojenną dla obrony swych interesów handlowych przy wywozie, równającym się przeszło dziewięciu milionom tonn, wartości prawie pół miliarda koron (w 1904 r.).

Zdaniem przeważającej większości opinii publicznej w Anglii „granice Wielkiej Brytanii stanowi brzeg morski jej nieprzyjaciół, niezależnie od tego, kim są ci nieprzyjaciele“ (*our frontier is our foe's shore whoever he may be*), co w tłumaczeniu na język uzbrojeń morskich oznacza stałe pogotowie zaczepne na podstawie t. zw. „zasady dwóch potęg“ (*two power standard*). Treść tej zasady polega na tem, że siła floty angielskiej powinna zawsze równać się połączonym siłom dwóch najsilniejszych flot na całym

świecie. I rzeczywiście od lat 150 zasada ta w polityce angielskiej była zawsze ściśle zachowywana: w ostatnich latach dwiema najsilniejszymi flotami po angielskiej były flota francuska i rosyjska, od roku 1902 miejsce ich zajęły floty niemiecka i amerykańska, które razem wzięte ustępowały co do siły flocie Wielkiej Brytanii. Dopiero w ubiegłym 1907 roku dawny stosunek zmienił się na niekorzyść Anglii, gdyż uzbrojenia morskie Niemiec i Stanów Zjednoczonych przeniosły uzbrojenia Anglii o przeszło trzy miliony funtów sterlingów (około 30 milionów rubli).

Wzrost uzbrojeń morskich w Ameryce skłonił Anglię do odwołania z oceanu Indyjskiego pięciu pancerników, a więc do pozostawienia Dalekiego Wschodu w rękach Japonii i Stanów Zjednoczonych, a nieprzyjazna postawa Niemiec zmusiła angielski urząd admiralicyi do zredukowania kadrów floty atlantyckiej przez wzmocnienie floty kanału i floty rezerwowej, czyli t. zw. *Home Fleet*, a także do stworzenia nowej podstawy operacyjnej na wypadek wojny morskiej przez ufortyfikowanie Rossyi na wybrzeżach zatoki Firth of Forth na morzu Niemieckiem.

Te wszystkie zmiany w dyzlokacyi floty angielskiej mają na widoku ewentualność zbrojnego najazdu terytorium zjednoczonego królestwa. Z możliwością wylądowania nieprzyjaciela w samej Anglii liczy się tam zawsze opinia publiczna, pamiętając dobrze, że na początku ubiegłego stulecia jedynie tylko brak doświadczenia admirałów francuskich i zwycięstwo Nelsona pod Trafalgarem stanęły na przeszkodzie Napoleonowi w wykonaniu tego planu. „*Soyons maîtres du détroit six heures seulement* — pisał Napoleon do Latouche-Tréville'a w 1805 r. — *et nous sommes maîtres du monde!*“

W dniu 9 maja 1900 r. na bankiecie, urządzonym przez ligę Pierwiosnka ówczesny premier angielski lord Salisbury zwrócił uwagę na niewątpliwy fakt historyczny, że największe potęgi morskie świata starożytnego lub wieków średnich zginęły nie z powodu utraty bogatych kolonij, nie dzięki klęskom, poniesionym daleko od metropolij, lecz wskutek bezpośredniego najazdu nieprzyjacielskiego. O tej lekcji nie powinni nigdy zapominać Anglicy. „Dopóki jesteśmy bezpieczni u siebie — zakończył swoją mowę premier angielski—możemy z pewnego rodzaju obojętnością spoglądać na wyniki każdej wojny morskiej, gdyż nawet gdybyśmy zostali zmuszeni ustąpić innym państwom część naszych posiadłości zamorskich, pozostałaby nam zawsze nadzieja ich odzyskania z bronią w ręku. Ale wylądowanie wroga w samej Anglii—to cios, wymierzony wprost w serce, to koniec na-

szej historii!“ A pierwszy lord admiralicyi dodał: „Gdyby naszemu nieprzyjacielowi powiodło się zatopić w kanale kilka naszych pancerników, cała flota angielska nie byłaby w stanie przeszkodzić jego wylądowaniu na terytorium Wielkiej Brytanii.“

Od czasu wypowiedzenia przez cesarza Wilhelma pamiętnych słów „*unsere Zukunft liegt auf dem Wasser*,“ Niemcy z zadziwiającym pośpiechem wysunęły się na czoło najgroźniejszych rywali Anglii na morzu, i jeśli dwanaście lat temu jeszcze budżet marynarki niemieckiej wynosił niecałe 85 milionów marek, to w roku bieżącym wynosi już 280 milionów, za cztery zaś lata — o ile będzie wykonany w rzeczywistości plan reorganizacyi marynarki niemieckiej, przewidziany w prawach, uchwalonych przez parlament w czerwcu 1900 r., marcu 1906 r. i lutym 1908 r. — budżet ten wynosić będzie przeszło 480 milionów marek. W roku 1920 Niemcy będą miały w swem rozporządzeniu potężną flotę, złożoną z 38 pancerników, 20 krążowców opancerzonych, 38 krążowców do służby wywiadowczej, 144 torpedowców i kontrtorpedowców tudzież 60 łodzi podwodnych. A że zbrojenia się Francyi, Stanów Zjednoczonych i Japonii idą również w bardzo pośpiesznem tempie, przeto utrzymanie dotychczasowej „zasady dwóch potęg“ staje się dla Anglii coraz trudniejszym, tembardziej, że rząd JKM. musi się liczyć ze wzmagającym się w kraju prądem opinii publicznej, żądającym ograniczenia budżetu marynarki na rzecz t. zw. *old age pensions*, to jest wprowadzenia obowiązkowych emerytur robotniczych dla skutecznego przeciwdziałania budzącym się w społeczeństwie angielskiem hasłom socjalistycznym. Pragnąc utrzymać dzisiejszą przewagę na morzu nad Niemcami (43 pancerniki angielskie wobec 20 pancerników niemieckich), Anglia w przeciągu lat czterech powinna zbudować co najmniej 17 pancerników po 18,000 tonn pojemności każdy, typu *Bellerophon* (1906), nie licząc krążowców opancerzonych, typu *Saint-Vincent* (1907), mających zastąpić dotychczasowe krążowce obronne (*scouts*), a chociaż angielskie warsztaty są w stanie budować okręty wojenne znacznie prędzej od niemieckich, to jednak wykonanie wskazanej roboty w przeciągu tak krótkiego terminu zdaje się być ze względów technicznych prawie niemożliwem. Zachodzi przeto pytanie, czy wobec takiego stanu rzeczy nie będzie dla Anglii z większą korzyścią zarówno ze względów politycznych, jak i ze względów ekonomicznych, zamiast przeciągać zbrojenie się w nieskończoność na podstawie dotychczasowej, dziś z najwyższym zaledwie wysiłkiem dającej się utrzymać „zasady

dwóch potęg,“ wywołać w najbliższej przyszłości nieunikniony konflikt zbrojny z Niemcami i zniszczyć flotę niemiecką, zanim ją cesarz Wilhelm zdąży doprowadzić do należytego rozwoju, jednym z tych mistrzowskich uderzeń, w jakich celują od wieków admirałowie angielscy.

Wycofanie się Anglii z Dalekiego Wschodu i pozostawienie oceanu Spokojnego rywalizacji Japonii i Stanów Zjednoczonych nie tylko ułatwia jej skoncentrowanie całej swej potęgi morskiej na morzu niemieckim, lecz jednocześnie też przyspiesza wybuch groźnego nieporozumienia pomiędzy wielką republiką transatlantycką i królestwem wschodzącego słońca, a osłabienie obu tych najpoważniejszych przeciwników potęgi Anglii na morzu zapewniłoby Wielkiej Brytanii, w razie zwycięstwa nad Niemcami, spokojne panowanie nad pięcioma oceanami co najmniej na pół wieku.

Nic więc dziwnego, że w niemieckich kołach politycznych muszą się liczyć z możliwością wybuchu zbrojnego zatargu z Anglią, zanim jeszcze zakończonym zostanie dziś już obmyślany we wszystkich szczegółach plan reorganizacji marynarki niemieckiej, i że uwaga tego państwa skierowaną jest głównie na obmyślenie sposobów zabezpieczenia zarówno wybrzeży jak i floty handlowej od grożącego ze strony Anglii niebezpieczeństwa. Nie ulega też wątpliwości, że neutralizacja cieśnin duńskich, to jest zamknięcie Zundu i obu Beltów dla statków wojennych wszelkich narodowości na wypadek wojny, byłoby dla Niemiec bardzo pożądanem, nie tylko zapewniając zupełne bezpieczeństwo portom niemieckim na morzu Bałtyckim i ukrywającej się w niej flocie handlowej, lecz i pozwalając jednocześnie na skoncentrowanie wszystkich sił morskich na morzu Niemieckim, z przeniesieniem podstawy operacyjnej z Kilonii do Wilhelmshafen.

Dość przejrzeć marszruty podróżnicze cesarza Wilhelma za kilka lat ostatnich, aby dojść do przekonania, że polityka niemiecka musiała usilnie i gorliwie pracować w tym kierunku, pragnąc wyzyskać na swoją korzyść pokojowe usposobienie narodów skandynawskich, ich dzisiejszą dążność do pracy kulturalnej z pominięciem polityki w szerszym zakresie i instynkty prawodawstwa społecznego.

Pertraktacje w sprawie tak pożądanej dla Niemiec neutralizacji cieśnin duńskich, prowadzone z inicjatywy cesarza Wilhelma, a prawdopodobnie nawet osobiście przez niego podczas częstych wizyt na dworach skandynawskich, rozbiły się chwilowo wskutek wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, kiedy rząd duński, licząc się z możliwością konfliktu na morzach europejskich, ogło-

sił częściową mobilizację armii lądowej i przystąpił do wzmożenia fortyfikacyj Kopenhagi dla obrony własnego terytorium od grożącego nieprzyjaciela. Na zjeździe w Bjoerke i podczas wizyty cesarza Mikołaja II na ćwiczeniach floty niemieckiej w Swinemünde został poruszony z inicjatywy Niemiec projekt zniesienia konwencji 1856 r., zabraniającej Rosyi fortyfikowania wysp Alandzkich. Zniesienie tego zakazu, stanowiąc dla Rosyi zaspokojenie łatwo zrozumiałej miłości własnej, zwróciłoby się przede wszystkim przeciw Szwecyi, tworząc rosyjską podstawę operacyjną o 20 kilometrów od wybrzeży szwedzkich, a o 45 kilometrów od samego Stockholmu, coś w rodzaju japońskich wysp Elliota wobec rosyjskiego Portu Arthura.

Plan dyplomacji niemieckiej da się w tym wypadku wytłómaczyć chęcią zastraszenia Szwecyi niebezpieczeństwem ze strony Rosyi dla łatwiejszego wprzęgnięcia tego kraju do rydwanu swojej polityki, i wymuszenia od Szwecyi akcesu do zamierzonej neutralizacji cieśnin duńskich wzamian za zagwarantowanie neutralności terytorium szwedzkiego. Ale długi szereg bolesnych dla szwedzkiej dumy narodowej upokorzeń w stosunku do Norwegii, zakończony jednostronnem zerwaniem unii państwowej przez Stortling w Chrystianii (17 czerwca 1905 r.) i konieczność zgodzenia się na rozwiązanie unii wskutek nieprzygotowania do wojny z Norwegią, ochłodziły w znacznym stopniu dawne pokojowe usposobienie narodu szwedzkiego. Rząd szwedzki oświadczył, że nie będzie stawiał żadnych przeszkód zniesieniu traktatu międzynarodowego z 21 listopada 1855 r., poręczającego nietykalność Szwecyi i Norwegii; jakoż w d. 2 listopada 1907 r. traktat ten utracił moc swoją w stosunku do *Szwecyi i Norwegii* i został zastąpiony umową międzynarodową, gwarantującą jedynie neutralność *Norwegii*. Co więcej rząd szwedzki podkreślił wyraźnie, że nie życzy sobie wcale zagwarantowania nietykalności terytorium szwedzkiego i że na przyszłość sam będzie się starał własnymi siłami o zabezpieczenie tej nietykalności. W związku z tem oświadczeniem stoi opracowany plan pogłębienia i ufortyfikowania niektórych cieśnin archipelagu stockholmskiego, stworzenia nowej stacyi morskiej dla floty wojennej na wybrzeżu Nowlandzkim, przeniesienia podstawy operacyjnej na morzu z Karlskrony do Stockholmu i powiększenia lat służby wojskowej zarówno w armii lądowej, jak i w marynarce. Tym sposobem próba zastraszenia Szwecyi nie powiodła się, a przedwczesne prawdopodobnie ogłoszenie projektu zniesienia zakazu fortyfikowania wysp Alandzkich zwróciło sympatyje szwedzkie w kierunku najpowa-

źniejszego rywala Niemiec i stanowi podstawę, na której z biegiem czasu może oprzeć się porozumienie angielsko-szwedzkie, zwrócone przeciw Berlinowi.

Że i w drugim państwie skandynawskim, zainteresowanem bezpośrednio w sprawie cieśnin, wzmożyły się nieprzyjazne Niemcom wpływy, świadczą głośnie oklaski, któremi parlament duński przyjął miesiąc temu oświadczenie swego ministra spraw zagranicznych, że Dania po dawnemu trwa niezłomnie w zamiarze utrzymania dotychczasowego *status quo* co do Zundu i obu Beltów.

Wogóle zaznaczyć należy, iż w ostatnich czasach Dania, zarówno jak i Szwecya, budzi się z długoletniego pokojowego letargu i uśpienia, w jakie ją pogrążyły dzieje polityczne ubiegłego stulecia; ale jeśli w Szwecyi przyczyny tego rozbudzenia należy szukać w poczuciu upokorzenia z powodu odłączenia się Norwegii, to wzmożenie się prądów militarnych w Danii przypisać należy większemu uświadomieniu się całego narodu o niebezpieczeństwie, płynącym dlań z bezpośredniego stosunku z Niemcami.

W każdym zaś razie dążenie polityki niemieckiej do zapewnienia sobie uprzywilejowanego położenia na morzu Bałtyckiem na wypadek wojny z Anglią, rozbiło się o podtrzymywany w nader zręczny sposób przez dyplomacyę angielską opór ze strony Danii i Szwecyi, które, aczkolwiek wysoce pokojowo usposobione i pochłonięte prawie całkowicie pracą kulturalną i prawodawstwem społecznem, nie dały się uwieść złudną pokusą *dolce far niente* na szerszej widowni polityki europejskiej, nawet pod warunkiem zagwarantowania ich neutralności na wypadek wojny. Ale nie na tem jedynie polega porażka dyplomatyczna Niemiec w tej sprawie. Usiłowanie zmiany dzisiejszego stanu rzeczy na morzu Bałtyckiem pociągnęło za sobą rewizyę w drodze międzynarodowej wzajemnego ustosunkowania sił i interesów po drugiej stronie półwyspu jutlandzkiego, to jest na morzu Niemieckiem. W końcu kwietnia, jak doniosły dzienniki, zawarty został układ pomiędzy zainteresowanemi państwami, dotyczący utrzymania dzisiejszego stanu rzeczy zarówno na morzu Niemieckiem, jak i na Bałtyku, a chociaż treść tej umowy nie została jeszcze ogłoszona, to jednakże nie ulega wątpliwości, że usiłowania Niemiec przeprowadzenia jakichkolwiek zmian w dzisiejszem *status quo* nie zostały uwieńczone powodzeniem, i że naodwrot, konieczność utrzymania dotychczasowego stanu rzeczy została przez wysokie strony umawiające się szczególnież zaznaczoną i podkreśloną.

BRONISŁAW BOUFFAŁL.

Współczesna grafika polska.

Fotografia i niezmiernie szerokie zastosowania jej w chemigrafii wyrugowały dawne sposoby reprodukcji artystycznych, a przynajmniej ze względów praktycznych usunęły je na plan dal-szy ogólnej wytwórczości w tym zakresie. Używam tu wyrażenia *względy praktyczne*, gdyż w braku lepszego, uważam je za naj-słuszniejsze, przeciwstawić to bowiem można *względom idealnym*, które sprawiają, że, bądź co bądź, niby protest przeciw pewnemu stanowi rzeczy, zjawiają się dążenia nic zgoła z celami prakty-cznego rachunku kupieckiego nie mające wspólnego.

Istotnie, pomimo niesłychanych ułatwień, jakie technika ostat-nich czasów w sprawie przenoszenia dzieł sztuki na nieskończoną ilość egzemplarzy zdobyła i ciągle nowe, zdumiewające czyni na tem polu zdobycze, coraz częściej artyści sami mozolą się nad blachą miedzianą lub bukszpanową, czy też gruszkową deską, ażeby wydobyć z niej wyraz myśli artystycznej w sposób naj-bardziej prosty i bezpośredni. Bez przesady tedy, zdaje się, względami idealnemi tłómaczyć trzeba to, że z jednej strony ar-tyści ci podejmują sprawę wymagającą długiego i mozolnego wy-siłku, choć fotografia i chemia ofiarowują im sposoby nieskończe-nie bardziej uproszczone, z drugiej strony, że ludzie smaku prze-kładają owoc tego wysiłku nad płody wytwórczości mechanicznej, choć są one o wiele tańsze i dostępniejsze.

Niemniej przecież wobec cynkotypii upadło całkowicie drze-worytnictwo, stosowane na szeroką skalę, stalo- i miedziorytni-ctwo ustąpiło miejsca heliograviurze, pozostaje jednak grafika artystyczna.

Jest ona wynikiem najbardziej wysubtelnionych potrzeb este-tycznych, rozwijających się tem bujniej i bezwzględniej, im dalej

sięga uznanie w sztuce bezinteresowności. Na przeciwnym biegunie stoi stosowanie jej do celów praktycznych i do pewnego stopnia stwierdzić można wszędzie niemal ścieranie się wzajemne pierwiastków, że tak powiem, arystokratycznego i demokratycznego. Chwilami walka występuje w przejawach ostrych i jaskrawych, to znowu przyjmuje formy łagodniejsze, aż wreszcie przechodzi na drogę ewolucyj—na drogę, gdzie kształtują się pojęcia wyższe, walką uszlachetnione.

Trudno doprawdy nie zgodzić się, że ilekroć sztuka zaprzęgnięta do służby dla mas najszerszych chce im w pewnych określonych celach przypodobać się i dogodzić, natychmiast pospolituje się i obniża swe loty, ale natychmiast też znajdzie się garść dbałych o godność jej jednostek, które, występując przeciw temu w bojowej furii z całą pasją i namietnością, starają się zamknąć twórczość artystyczną na wysokościach dostojnego odosobnienia.

W gruncie rzeczy harmonia, jako estetyczne prawo wszechświata, jest również ideałem dążeń ludzkich. Wszystko dąży do harmonii przez walkę, przez wzajemne ścieranie się form. Dążenie do równowagi społecznej jest koniecznością historyczną i znaczy się to w dziejach sztuki, która w rezultacie jest niczem więcej tylko jedną z funkcij społecznych. I najdostojniejsza twórczość artystyczna zejdzie do tłumu, jeżeli zostanie go odpowiednio przygotowanym. Jest to sprawą uświadomienia estetycznego.

Grafika pierwotnie była najdzielniejszym środkiem propagandy artystycznej. Gdzie nie sięgały oryginalne dzieła mistrzów, tam docierała jeszcze ich myśl twórcza, wyrażona w odbitym wielokrotnie sztychu. Zwłaszcza wiek XV w Niemczech; epoka i miejsce początków, a zarazem najświetniejszego rozkwitu rytownictwa w pierwszej jego fazie rozwojowej może stanowić świadectwo, jak ważną ono odegrało rolę w ideologicznym procesie estetycznego doskonalenia się ludzkości. Była to demokratyzacja sztuki w najszlachetniejszym, dodatniem słowa tego znaczeniu. Marzenia artystyczne Dürera, Holbeina, Wohlgemutha przenikały do umysłowości mieszczaństwa niemieckiego, które, pomimo znacznego dobrobytu i wysokiej stosunkowo kultury, nie zawsze mogło zdobyć się na posiadanie arcydzieł w oryginale. Nabywano tedy ich drzewo i miedzioryty i tą drogą wchłaniano w siebie głębokie mistrzów myśli o życiu i śmierci.

Jak wiadomo, drzeworytnictwo poprzedziło wynalazek druku, a właściwie ono stało się punktem wyjścia dla rozwoju całej tak potężnej dziś z rotacyjnymi maszynami pośpiesznymi, z lejniami czcionek i maszynami do składania, typografii. Istotnie, pierw-

sze ślady rytownictwa na drzewie spotyka się w Niemczech na początku wieku XV, a używano go do odbijania kart i obrazów świętych. Wypukło wycięty rysunek pociągano farbą i pod ciśnieniem prasy szrubowej przenoszono na papier. Pod obrazkami, zwłaszcza świętych, bywał zazwyczaj podpis również wycięty wypukło. Odbijanie się podpisu dało impuls do wycinania na deskach całych stronik tekstu, co ostatecznie, jak wieść niesie, Jan Gutenberg z Moguncyi zamienił na czcionki ruchome i stworzył nową sztukę—zecerstwo..

Drzeworyt tedy pozostaje wyłącznie na usługach produkcji artystycznych—odtwarza w sposób mniej lub bardziej doskonały, ale zawsze niezmiennie charakterystyczny pomysły malarskie mistrzów epoki. W wieku siedemnastym jednak upada prawie zupełnie, zaniechany dla innych sposobów reprodukcyjnych i odżywa dopiero w drugiej połowie osiemnastego stulecia w Anglii, gdzie za sprawą Bewicka, artyści niepospolitego w swym zawodzie, zdobywa nanowo prawo obywatelstwa i szacunku. Chwila ta stanowi niejako drugą fazę w rozwoju ksylografii. Trzecia faza przypada na pierwszą połowę wieku dziewiętnastego. W tym czasie powstają wielkie pisma ilustrowane i wzrasta niesłychanie popyt na płyty, nadające się do drukowania w olbrzymiej ilości egzemplarzy. Drzeworyt z natury swej warunkom tym odpowiada najdoskonalej. Walce maszyny drukarskiej mechanicznie uregulowane przechodzą gładko po sterczących wypukło kreskach i zostawiają na nich dostateczną, potrzebną dla odbitki ilość naczernienia. Niema tu tego opóźnienia w robocie, jakie pociągnąćby musiało drukowanie z miedzio- lub stalorytów, gdzie płyta w głąb wycięta przy każdorazowym odbiciu wymaga ręcznego, a bardzo zmudnego naczerniania i oczyszczania.

Ale i sam drzeworyt ulega teraz znacznym przeobrażeniom. Zapewne pod wpływem stalorytnictwa angielskiego, które, dzięki wynalazkowi Karola Heath'a, od roku 1820 dochodzi niesłychanej perfekcyi w oddaniu najsztudniejszych tonacyj światłocienia, drzeworytnicy za pomocą linii modulowanej starają się osiągnąć efekty, jakie siderografia otrzymywała przez przecinanie kresiek w różnych kierunkach, czyli, jak się to technicznie nazywało, przez szrafirowanie. Do nadzwyczajnych rezultatów w tym zakresie dochodzą w Paryżu słynni rytownicy Pannemackerowie, ojciec i syn, a znawcy niesłychanie subtelną ciągnącą się przez całą szerokość drzewka linię ich nazywają z zachwytem atlasową, brylantową, perłową. Zdobywają oni nieznana dotąd w sztuce tej przejrzystość, siłę i bogactwo tonu. Autograficzny drzeworyt Bewi-

cka—drzeworyt, który był właściwie tylko dokładnem wyrzeźbieniem w drzewie kresek, narytowanych na niem przez malarza, zamienia się na indywidualną interpretację tonową utworu artysty-rysownika przez artystę-rytownika w jego charakterystycznych, właściwych jemu środkach.

W tej formie ksylografia sięga ostatecznych granic swego rozwoju i nabiera najwyższych wartości artystycznych, jako samodzielna, zupełnie niezależna sztuka graficzna. Niestety, dzieje tej trzeciej, najświetniejszej epoki drzeworytnictwa są nader krótkie, gdyż wcześniej bardzo ustąpić ono musiało miejsca rozpowszechnionym nad miarę, łatwym, tanim, a nieprawdopodobnie szybko doskonalącym się technicznie trawionkom.

U nas dzieje te są krótsze, niż gdzieindziej. Jan Münchheimer, medalier Banku Polskiego, zakłada drzeworytnię, a następnie sprowadza z Belgii na instruktora głośnego tam rytownika De la Haye'a. Ze szkoły tej wyszli Styfi i Regulski. Później „Tygodnik Ilustrowany“ i „Kłosa“ otwierają własne zakłady, sprowadzając do robót Niemców i Czechów, jak Küblera, Pokornego, Waltera i innych. Dalej powstaje cały zastęp polskich rytowników: Gorazdowski, Choromański, Krzyżanowski, Machowski, Przykowski, Puc, Szymborski, Zabłocki, Chełmicki, Bojarski, Zajkowski, Klein. Najwyżej wzniosł się w tej dziedzinie Józef Holewiński, który artyzmem wykończenia, indywidualnością interpretacji tonu zajmuje niewątpliwie wybitne miejsce w historii drzeworytu europejskiego.

*

*

*

Niejako polem doświadczalnem, na któremby można było obserwować ścieranie się czynników, o których wyżej mówiłem, i stwierdzić kategorycznie, jak interes praktyczny fatalnie odbija się na wymaganiach sztuki, są roczniki wielkich ilustracji europejskich. Niewątpliwie pisma te w założeniu swoim posiadały cele artystyczne, z czasem jednak, pod naporem warunków zewnętrznych, stawały się coraz wyraźniej i bezwzględniej zwyczajną reporterką ilustrowaną.

Nie chcę bynajmniej utrzymywać, że jakieś zdarzenie dnia, narysowane przez doskonałego rysownika, przez to jedynie, że jest ilustracją chwili bieżącej, nie może już tem samem być rze-

czywistem dziełem sztuki; że następnie rysunek taki, wycięty pięknie na drzewie, nie jest naprawdę ozdobą artystyczną każdego pisma, ale że na istotnej jego wartości poznaje się zaledwie nieznaczna część odbiorców, większość zaś rysunkowi okolicznościowemu przypisuje li tylko znaczenie informacyjne i nie ceni go wyżej od dobrej fotografii, wytrawionej na cynku lub miedzi. Nadto fotografia, jako bezwzględnie wiarygodna, zyskuje większe uznanie i ufność, to też fotograf coraz częściej zastępuje rysownika, a trawionka drzeworyt.

Tak tedy upada jednocześnie artystyczne rytownictwo i artystyczne ilustratorstwo. U nas, niestety, sprawa ta przedstawia się w świetle jeszcze bardziej ponurem, gdyż panuje opłakany zwyczaj posiłkowania się kliszami obcemi. Przeważnie kupuje się gotowe cynkotypy za granicą, albo poprostu wycięty obrazek z ilustracyi przetrawia się na miejscu, nie bacząc, że krzyżujące się linie siatki, wytwarzają zgoła niepożądane efekty i że całość brudna, płaska i bez najmniejszej wartości artystycznej jest tylko na szpaltach pisma ciemnym plackiem wywołującym odruch obrzydzenia.

A jednak przyznać trzeba, że niektóre pisma obrazkowe europejskie, jak na przykład wielka „Illustration“ paryska, pomimo swego charakteru wybitnie publicystycznego, przez wzgląd na odpowiedzialność swoją wobec sztuki narodowej długo liczyła się z wymaganiami mniejszości bardziej uświadomionej estetycznie i starała się o rysunki oryginalne, tudzież o możliwie największą ilość drzeworytów w numerze. Obecnie coprawda i ona rezygnuje potrochu z ambicij artystycznych i coraz częściej spotyka się tam cynkotypy przeniesione przez siatkę wprost z fotogramów.

Ze fotogramy te są w swoim rodzaju zadziwiająco doskonałe, wprost wyjątkowo piękne i zajmujące, że wytrawiono je i wydrukowano w sposób, przynoszący zaszczyt odnośnym zakładom przemysłowym, że wreszcie z tego powodu wydawnictwo całe sprawia wrażenie nader dodatnie i sympatyczne, to znowu sprawa całkiem odmiennej natury. Obrazki tam umieszczone, pomimo wszystko, nie przedstawiają tego interesu artystycznego, jaki daje dzieło oryginalnie poczęte; nie sprawiają tego mianowicie zadowolenia estetycznego, jakie odczuwamy wobec bezpośredniego przejawienia się znamienych rysów indywidualności twórczej.

Zapewne nie wszyscy odczuwają potrzebę tych zadowoleń i na tem właśnie wydawcy pism obrazkowych opierają swój rachunek, niemniej przecież w pewnych sferach nietylko nie wystarczają ordynarne cynkotypy z fotografii, ale najwytworniejsze he-

liograwiury i przedziwne w swej dokładności druki kolorowe z arcydzieł oryginalnych nie zadowolą górnych upodobań znawców, gdyż wobec pospolitości podobnych reprodukcji, rodzi się tęsknota do czegoś, coby nie tylko było maszynowem powtórzeniem tej samej identycznie płamy światłocieniowej lub wielobarwnej, ale coby w każdej odbitce nosiło na sobie znamiona osobistych, a świadomych swego celu starań artysty.

Tak więc dla tęsknot tych, dla tych upodobań wyrafinowanych, dla wybujających w rozwoju kulturalnym potrzeb estetycznych powołano do życia dawne, zaniedbane chwilowo sposoby uwielokrotniania rysunku oryginalnego w odbitkach artystycznych. Obok postępującej z zawrotną szybkością w dziedzinie ułatwień technicznych chemigrafii, powstaje, jak za dawnych, dobrych czasów, grafika prosta i nieskomplikowana w swych środkach.

Istotnie, najpierwszorzędniejsi malarze i rysownicy zajmują się dziś z upodobaniem akwafortą, akwatintą, fluofortą, litografią, wycinają własnoręcznie płyty drewniane do odbić kolorowych na sposób japoński; starają się za wszelką cenę wskrzesić dawną bezpośredniość w reprodukcji artystycznej.

U nas w zakresie grafiki pracują nader owocnie Łopieński, Pankiewicz, Kamieński, Wyczółkowski, Rapacki, Krasnodębski, Brandel, Siedlecki, Jabłczyński i wielu innych.

Ruch ten w obecnej chwili jest niezmiernie pożądanym, gdyż nadmierna łatwość chemigrafii, a stąd nadużycie jej do wszelkich godziwych i mniej godziwych celów — to straszliwe, do obrzydliwości niechlujne spospolitowanie obrazka, te świstki brukowe ilustrowane nędzną tandetą pokątnej twórczości, te pocztówki uprzykrzone, „ozdabiane“ najbezczelniej poronionymi płodami pretensjonalnego dyletantyzmu, ten ogrom fotografii odbijanych w setkach tysięcy egzemplarzy — wszystko to znieprawiało smak publiczności w stopniu zatrważającym i czas najpilniejszy, ażeby garść artystów produkcją swoją wytwórczą otworzyła oczy ogółu na rzeczywiste wartości estetyczne, tkwiące w dziełach sztuki prawdziwej. Może wtedy ogół ten wydawcom tak zwanych pism artystycznych narzuci wyższe wymagania, może wreszcie przemysłowcy zrozumieją u kogo mają zamawiać plakaty reklamowe, ażeby niemi nie szpecić ulic miasta i nieobrażać delikatniejszych uczuć przechodniów, może wreszcie znikną ohydne pocztówki i w najwyższym stopniu niepedagogiczne, nieestetyczne, niemoralne i nielogiczne książki obrazkowe dla dzieci, gdzie polski poeta układa sentymentalnie swojskie wierszyki do ordynarnych niemieckich malowanek.

Stanie się w końcu, że wykwintniejsza sztuka graficzna, uprawiana dziś wyłącznie przez kilku artystów dla kilku amatorów, demokratyzując się nieco, przeniknie do mas szerszych i zanim sama obniży swoje loty, posunie o krok jeden estetyczne wyrobienie ogółu.

*

*

*

Grafika polska ma w historii sztuki kilka kart pięknie wypełnionych. Zapisali się na nich nazwiska artystów rozgłoszonej europejskiej sławy, jak Falk, Chodowiecki, Hundius, Płoński, Oleszczyński, Kisling, Podoliński, Redlich i wielu innych. Zresztą sztycharzem również był wielki Wit Stwosch, który nietylko w rzeźbie i snycerstwie, ale także i w tej dziedzinie w odległej przeszłości przewodniczy zastępowi plastyków naszych. Poza-tem, jak wiadomo, drzeworyt w pierwotnej swej fazie, wprowadzony tu snadź razem z drukarstwem, zjawia się bardzo wcześnie w Polsce i szerokie znajduje zastosowanie. Używany mianowicie był w „kołtryniarstwie,” to jest przy wyrobie obić i zasłon wzorzystych. Niewątpliwie kołtryniarze, zdobywszy technikę wycinania na drzewie rysunków skomplikowanych, musieli umiejętność swoją rozszerzyć na wyrób obrazków świętych, na które po wsze czasy znajdowano popyt na rynku krakowskim i gdzieindziej.

Istotnie w niesłychanej ilości rozchodziły się zawsze między ludem te naiwne, twardo wycięte wizerunki świątków—najczęściej mniej lub bardziej nieudolne kopie czczonych w danej okolicy obrazów ołtarzowych.

Charakter tych obrazków, sięgający pochodzeniem swoim zamierzchłej doby XV i XVI wieków, zarówno pod względem wyobrażeń ikonograficznych, jakoteż w sposobie technicznego wykonania przetrwał niezmiennie niemal do ostatnich czasów w ludowym drzeworytnictwie.

Przed kilku laty profesor Maryan Sokołowski na jednym z zebrań komisji do badania historii sztuki w Polsce przedstawił takie odbitki z drzeworytów ludowych, nadesłane przez Stanisława Witkiewicza. Były to roboty chłopca z Płazowa w powiecie cieszanowskim, Macieja Kostrzyckiego, urodzonego w r. 1815. Kiedy zmarł ten drzeworytnik chłopski, niewiadomo. Syn jego,

również Maciej, zmarły w r. 1899, z płyt, pozostałych po ojcu, odbijał obrazy na papierze i sprzedawał je na targach. Po śmierci jego drukarnia przestała istnieć, ale odbitek takich, jak zapewnia prof. Sokołowski, spotykało się wiele w różnych stronach naszego kraju.

Były to nieudolne rysunki wycięte nożem na desce z drzewa najczęściej lipowego, które smarowano farbą i odbijano ręcznie na papierze. Oczywiście, rzeczy te niezmiernie ciekawe ze stanowiska krajoznawczego, nie mogą mieć zbyt doniosłego znaczenia dla sztuki, wspominam jednak o nich, gdyż prosta ta technika wycinania nożem nie rylcem, na desce zciętej pionowo nie zaś poziomo, jak się to dzieje w rzeczywistej ksylografii, powraca na porządek dzienny i staje się bardzo ceniona w grafice współczesnej.

W tym charakterze przygotowywane są ozdoby drukarskie, które zastąpić winny, jak słusznie pisze wychodzący w Krakowie *Poradnik graficzny*, „akcydensowe cudactwa poskładane z niemieckich winiet podejrzanej wartości.“

Z prawdziwą przyjemnością wyczytałem w miesięczniku poświęconym „drukarsztwu, litografii i gałęziom pokrewnym“ wyraz niechęci do łącania ornamentyki drukarskiej z gotowych szablonów. Istotnie, nic bardziej przykrego i nieestetycznego, jak owe właśnie pseudoestetyczne druki upstrzone muszkami, ptaszkami, figielkami bez sensu i stylu, porozrywane niekonsekwentnie owymi akcydensowymi czcionkami odlanymi w Niemczech na eksport dla niewybrednych odbiorców.

Jeżeli tekst ma być ozdobiony inicjałem lub winietą, to niech one będą związane z treścią, dostosowane do niej organicznie, stylowo. Niech będą specjalnie przez artystę narysowane, albo niech ich nie będzie wcale.

Drukarz—pisze „Poradnik“—ma być przede wszystkim drukarzem, zatem jedynym środkiem jakim wypowiadać się może i powinna jego sztuka, a zarazem wyłącznym materiałem zdobniczym, jakim rozporządza, jest czcionka i pismo—powinien umieć *składać* i *układać*, nie wkraczając w wyłączny zakres artysty.

„Wszakże w najświetniejszych czasach średniowiecznego drukarstwa — czytamy tam dalej — w czasach, które przekazały nam bezcenne „stare druki,“ drukarz składał dzieło pismem ozdobnego kroju, a artysta wypełniał miejsca niezadrukowane ozdobą i kunsztownym inicjałem. Z rozwojem sztuki drzeworytniczej dzieło artysty odtwarzano na płycie drewnianej, czyli, mówiąc językiem współczesnym, na kliszy drewnianej, którą drukarz odpowiednio ustawiał.“

Wskazania te znalazły już wielokroć praktyczne zastosowanie. Na urządzonej niedawno wystawie „Polskiej sztuki stosowanej” w dziale księgarskim spotkaliśmy sporo wydawnictw wydrukowanych według zasad powyższych, to jest z oryginalnemi ozdobami pierwszorzędných artystów, jak Stanisław Dębicki, Bukowski, Dąbrowa Dąbrowski, Trojanowski, Czajkowski i inni.

Główną rolę grał tu taki prosty, pierwotny drzeworyt, a przy najmniej dokładne jego naśladowanie, gdyż istotnie gruba, dobrze wystylizowana w tym charakterze linia rysunku, najlepiej harmonizuje się z ozdobnem a więc zazwyczaj grubszem pismem. Poza tem podobnie archaizowany drzeworyt szczególnie nadaje się do odbić na luksusowym papierze czerpanym, na którym z powodu jego chropowatości wszelkie inne klisze o subtelniejszym kreskowaniu, traciłyby na właściwym wyrazie.

Tak tedy wszystko to razem wzięte tworzyło całość ze wszech miar estetyczną i świadczyło o znacznym postępie w tej dziedzinie; świadczyło o zrozumieniu przez drukarzy zadań i celów każdej sztuki i wzajemnego ich do siebie stosunku.

Niestety, nie rozumieją jeszcze tego ci drukarze i wydawcy, którzy nietylko sprowadzają z zagranicy akcydensowe muszki, ptaszki i kleksiki do polskich tekstów, ale zupełnie gotowe obrazki niemieckie, do których polscy poeci dorabiają polskie wiersze dla polskich dzieci.

Przed kilku dniami u jednego z uznanych wieszczów widziałem stos bohomazów świeżych, jeszcze pachnących pokostem, przybyłych wprost z Hamburga.

— Co to?

— To książeczki dziecinne, wydawane przez pana X. Mam do tego dorobić wierszyki.

Proszę sobie wyobrazić ohydłą tandetę hamburską, napuchłą od bezmyślnego punktowania, jaskrawą i ordynarną! Proszę sobie wyobrazić na obrazku tłustego Niemca z pod Hanoweru z fajką w ustach, w szlafmocy, w cynamonowych pludrach i niebieskich pończochach, którego nasz wieszcz w rozrzewnieniu dla polskich dzieci polskim kmiotkiem nazywa!

Doprawdy, należy z tem zerwać stanowczo. Jeżeli nie mogą tu nic racje estetyczne, których wogóle u nas nikt nigdy, nigdzie nie słucha i nie liczy się z niemi w najmniejszej mierze, to niechże panowie wychowawcy wystąpią, przeciw temu jak najenergiczniej, jak najgwałtowniej, w imię zasad pedagogicznych, gdyż w skaradzieństwie tem jest przedewszystkiem fałsz, kłamstwo wierutne, a wiadomo przecież, że wobec dzieci kłamać nie wolno.

Skoro to się stanie, skoro za sprawą propagandy fachowej ukróci się import malowanek niemieckich, wtedy mógłbym okazać osobom interesowanym, że rozwija się obecnie drzeworyt kolorowy, który najbardziej z wielu względów nadaje się do ilustracji książek dzieciennych i że drzeworyt ten ma u nas wcale niepospolitych przedstawicieli.

Ba, właśnie to może być szkopułem, o który się cała sprawa rozbija. „Niepospolity przedstawiciel“ zechce poprostu zapłaty za swoją pracę, a jak utrzymywał pewien wydawca, gdyby artyści rozumieli swój interes, powinni by takie rzeczy robić bodaj darmo, gdyż znajdą rekompensatę w reklamie, jaka przez uwielokrotnienie w druku ich utworów (oczywiście z podpisem) sama przez się wypadnie. Ale artyści to ludzie niepraktyczni, interesu swego nie zrozumieją nigdy, tysiące rubli powędruje znów do Hamburga, za liche i zgoła szkodliwe litografie, a oni w dalszym ciągu ciążą będą na drzewkach śliczne obrazki dla własnej przyjemności.

Oglądając, ostatnio na wystawie „Odłamu“ i dawniej jeszcze, ukazujące się od czasu do czasu w salonach naszych przepyszne drzeworyty kolorowe Piotra Krasnodębskiego, myślałem przede wszystkim o tem, jakby tego rodzaju grafika doskonale odpowiadała celom, jakie mają właśnie ilustracje dla dzieci, ilustracje, którym nietylko niewolno kłamać, ale które także powinny być estetyczne, ażeby kształcić, a nie znieprawiać smak młodych pokoleń.

Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić coś bardziej odpowiadającego powyższym zadaniom. Nadzwyczajna prostota w zestawieniu plam barwnych i ogromna dokładność ekspresji przez ściśle odszukanie syntetycznego tych plam kształtu, poprostu narzuca się, jako środek pedagogiczny w sprawie wychowania estetycznego. Poczucie harmonii koloru i formy, wyrażone tu w sposób najmniej skomplikowany, w sposób jasny i przejrzysty udzieli się z łatwością wrażliwej wyobraźni dziecka i pozostanie we wspomnieniu, jako sprawdzian przy odbieraniu wrażeń innych, bardziej złożonych, bardziej zmaconych wielością szczegółów drugorzędnych. Jeżeli sztuka w życiu dziecka, o czem się dziś tak wiele pisze i mówi w sferach pedagogicznych, ma odegrać rolę wychowawczą, trzeba mu ją podać w formach najumiejętniej w tym celu usyntetyzowanych.

Tak właśnie te rzeczy rozumieją Francuzi i wszystkie, jakie znam, nowe obrazy, przeznaczone dla szkół i szkółek, traktowane są ogólnikowo. Na dyametralnie przeciwnym krańcu stoją właśnie litografie niemieckie, które panowie wydawcy do uprzykrzenia

raczyli ongi nas w dzieciństwie, a obecnie w dalszym ciągu raczą nasze dzieci. Nic się tu dotąd nie zmieniło.

Grube rzemieślnicze punktowanie i nakładanie nieskończonej ilości kolorów jeden na drugi, daje modelację ciężką, wylizaną raczej, — okrągłą, niż plastyczną raczej, jak powiedziałem wyżej, opuchłą, niż wypukłą. Czuć w tem fałsz i brak smaku.

Takie są przeważnie obrazki wykonywane w zakładach litograficznych niemieckich, jak również i w naszych miejscowych, co szczerze wyznać należy, gdzie pracują rzemieślnicy, może nawet wyrobieni w swoim fachu, ale nie posiadający subtelniejszego poczucia harmonii barw, a zresztą z natury rzeczy, jako kopiści cudzych wzorów, pozbawieni możliwości dowolnego wyboru zestawień barwnych. Robotnik, rozkładający na kolory akwarelę artysty-malarza, póty wali jeden kamień na drugi, póki pozostanie do przeniesienia jakaś jedna, przypadkowa, najdzikszej barwy plamka. Ale plamka ta, po mozolnej nad nią pracy chromisty, przestaje być przypadkową, staje się ciężką i nudną, jak ciężką i nudną jest cała odbitka po wyjściu z pod kilkudziesięciu płyt kamiennych.

Oprócz przepysznych, wyjątkowych, rzeczywiście doprowadzonych do niesłychanej wytworności litografij angielskich, większość tego rodzaju reprodukcji, wykonywanych w zakładach specjalnych, nosi na sobie niemiłe dla oka cechy przemęczenia i przymusu. Dlatego też nieskończenie estetyczniejsze wrażenie sprawiają autolitografie, to jest odbicia, do których artysta sam osobiście kolory na płytach przygotował. Pochodzi to stąd przede wszystkim, że artysta, wyrażając wprost na kamieniach litograficznych swoją własną myśl malarską, ma pełną swobodę kombinowania efektów, komponowania samorzutnego do końca, czynienia najdalej idących uproszczeń i uogólnień, przez co w ostatecznej odbitce zatrzymuje jeszcze świeżość i bezpośredniość pierwotnego natchnienia. Pozatem jest w tem piętno tego czegoś, czegoś nieuchwytnego, a jednak tak niezaprzeczenie istotnego, czegoś, co zawsze i wszędzie różni artystę-twórcę od wyrobniakopisty.

Z tych względów autolitografia przedstawia dla znawców bardzo wysoki interes estetyczny, wielu też znakomitych artystów oddaje się jej z ogromnem zamięłowaniem.

W Paryżu, poczynając od Cheret'a, który zrobił sobie rozgłos wszechświatowy swymi niezrównanymi afiszami, ciągnie się długi szereg nazwisk najpierwszorzędnějších malarzy i rysowników, zdobiących swemi autolitografowanemi plakatami mury miasta.

U nas sztuka ta nie poszła jeszcze tak szeroko na usługi reklamy, choć, nawiasem mówiąc, byłoby to ze wszech miar pożądane, ale za to nadzwyczaj udatne jej próby spotykaliśmy na wystawach.

W Krakowie, pod przewodem prof. Wyczółkowskiego, kilku artystów pracuje w tym kierunku nader gorliwie. On sam, w wydanej przez grono tamtejszych grafików „Tece,” umieścił prześliczną „Orkę” i wiele innych kompozycji. W ostatnich czasach Józef Rapacki na zbiorowej swojej wystawie, urządzonej w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, miał też kilka doskonałych, całkowicie na wysokości zadania stojących odbitek kolorowych.

Autolitografie Wyczółkowskiego, Szczyglińskiego, Rapackiego i innych, tudzież drzeworyty kolorowe Krasnodębskiego i Brandta, który świeżo zjechał z Paryża do kraju, to już naprawdę wcale poważna podstawa grafiki polskiej, — grafiki, nie ustępującej pod względem artystycznym temu, co się w tej dziedzinie dzieje na Zachodzie, a co poznaliśmy prawie dokładnie z szeregu wystaw, urządzanych w Towarzystwie Zachęty, a dawniej jeszcze w Salonie pana Krywulta.

*

*

*

Zupełnie specjalne miejsce w rodzinie sztuk graficznych zajmuje akwaforta. Należy ona do najbardziej artystycznych sposobów reprodukcji, przyczem trudność osiągnięcia większej ilości odbitek nadaje im wartość, że tak powiem, amatorską, nieraz bardzo wysoką. Istotnie, siła tonu i subtelność rysunku, jakie tu można osiągnąć, sprawiają, że dobre odbicia akwafortowe cieszą się wśród znawców i miłośników nie mniejszym nieraz szacunkiem, niż rysunki oryginalne.

Sposób sam nie jest również nowy; używany był z powodzeniem przez mistrzów szkoły holenderskiej, jak Rembrandt i Van Dyck. W ostatnich czasach, dla przyczyn wyżej wyłuszczonych, jako jeszcze jeden wyraz protestu przeciw zbyt uławnionej produkcji mechanicznej, wzmożło się ogromnie zamiłowanie do tego rodzaju rytownictwa, które w całej pełni zachowuje cechy indywidualności artystycznej twórcy. Artysta i tu nie oddaje dzieła swego innemu, któryby miał rysy i tony przez niego położone interpretować w sobie właściwy sposób, jak się to dzieje w drzewo-

rytnictwie; a poczęści w stalo- i miedziorytnictwie, ale sam własnoręcznie na blasze miedzianej znaczy myśli swoje, a najczęściej osobiście staje przy prasie.

Jak rzeczywiście potrzebna jest obecność artysty przy tłoczeniu łatwo zrozumieć, jeżeli się pozna szereg czynności, składających się na utworzenie ostatecznego odbicia akwafortowego.

Przedewszystkiem na blasze miedzianej, pokrytej specjalnym werniksem, artysta rysuje obraz, znacząc igłą siatkę kresek. Pociągnięcia igły obnażają metal z pokrywającej go powłoki i czynią w tych miejscach wrażliwym na działanie kwasów, to też po włożeniu płyty do roztworu królewskiej wódki (aqua fortæ) miejsca te, pod wpływem gryzącego płynu, zagłębiają się i tworzą brzozy, w które się następnie wciera farbę. Farba wyciągnięta na papier ze swoich zagłębień przez silne tłoczenie daje te niezmiernie delikatne kreski rysunku, jakich niepodobna otrzymać przy drukowaniu z drzeworytów lub klisz chemigraficznych. Kreski mianowicie i punkty stoją tam wysoko, wypukłe. Okoliczność ta przyspiesza, jak już mówiłem poprzednio, drukowanie, ale za to natura materiału nie pozwala na wzniesienie w górę niepodpartej niczem kreski tak delikatnie, jak to może być w głąb wycięte, przez co oczywiście technika ta zyskuje na subtelności. Konieczność każdorazowego wcierania farby i oczyszczania blachy jest nie tylko sprawą długą i zawiłą, ale wymaga ręki artysty, gdyż przy oczyszczaniu tem (*tamponage*) otrzymuje się nadzwyczaj delikatne półtony, stanowiące o miękkości i szczególniejszym uroku akwaforty.

Nadto akwaforta kojarzy się z akwatintą, która polega na tem, że płaszczyzny między kreskami czyni się przez odpowiednie zabiegi chropowatymi. Od stopnia chropowatości zależy natężenie tonu. Zwiększając je tedy przez trawienie, otrzymujemy plamy silniejsze i słabsze, nihy pędzlem na papierze położone tony mniej lub bardziej rozcieńczonego tuszu.

Często też akwatinta używana bywa, jako technika samoistna.

Na wystawie „Odłamu“ doskonałą akwafortę wystawił p. Ignacy Łopieński, artysta, który sztuce tej poświęca się wyłącznie, a który w dorobku swoim ma już kilka prac bardzo poważnych, jak kopie z obrazów Matejki: „Wyrok“ i „Portret własny.“

T. JAROSZYŃSKI.

PIŚMIENNICTWO.

IGNACY CHRZANOWSKI. *Historja literatury niepodległej Polski (z wypisami).*
Wydanie drugie, 1908 rok.

Drugie wydanie książki wyłącznie naukowej, o sześciuset prawie stronicach, to przecież o czemś świadczy, zwłaszcza względnie do naszej publiczności, która na książki grube i poważne nie jest bardzo łakomą: wskazuje to przynajmniej, że autor w gust, i daj Boże, potrzebę kupujących utrafił. Czem jednak?... Zaroiło się ostatnimi czasy od dzieł, traktujących historję literatury polskiej: jest w czem wybierać, a oczywiście, o wyborze (usunąwszy na bok wysokość kosztu) stanowić może tylko cecha, jaką się które z tych dzieł odznacza. Z najświeższych, historia literatury Chmielowskiego jest jedynym dotąd zbiorem wiadomości archiwalnym o biegu piśmiennictwa i pisarzach, opatrzona w mnóstwo dat i szczegółów bio- i bibliograficznych, z wielką sumiennością sprawdzonych, a cennych dla każdego, kto się tym przedmiotem zajmuje w kierunku mniej więcej specjalnym; tylko nie żądamy od niej jakiejś syntezy historyczno-społecznej, do której pracowity szperacz i znakomity monograf wybitnego uzdolnienia nie posiadał. Odwrotnie, St. Tarnowski na ogólne tło idei społecznych rzuca zjawiska literackie, niby rośliny, przy danych warunkach z konieczności naturalnej z danego gruntu wyrastające, mniej lub więcej świetne, mniej lub więcej pożyteczne: zawsze tam atoli autor więcej zajmuje się warunkami niż wartością płodów, a stąd wytworne dzieło sędziwego profesora wszechnicy Jagiellońskiej, jako kwintesencya jego długoletnich wykładów, dzieło pod względem artystycznym nieporównane, stanowi więcej dopełnienie historii politycznej narodu, w zakresie jego umysłowości, niż właściwy, że tak powiem, fachowy, poradnik do nauki

dziejów literatury, odrębnie wziętej. Dzieło prof. Brücknera spełnia rozumnie i z godnością krytyczną to ostatnie zadanie; ale z powodu swej wielkiej treściwości, przeznaczonem jest ono raczej dla tych, że ich tak nazwę, dyletantów, ludzi światowych, którzy, znając już poniekąd dzieje literatury narodowej, w niem znajdują albo stwierdzenie, albo uzupełnienie lub zmodyfikowanie swych wiadomości i sądów, dzięki oryginalności wynurzeń i krytyce zawsze uzasadnionej.

Pomiędzy trzema temi działami prof. Ignacy Chrzanowski znalazł widać jeszcze jedno miejsce niezajęte. Pomimo powtórnej edycji, nie uważał on za właściwe ani słówkiem zwierzyć się poufnie czytelnikowi ze swym zamiarem, tak, iż dopiero z rozpoznania całości możemy się zamiaru tego domyslać. Owóż, cały układ, a zwłaszcza ton wykładu, wskazuje, że dzieło swe przeznaczył on dla tych, co stoją na niższych szczeblach drabiny naukowej, a pragną wspinać się coraz wyżej; dla tych, co o charakterze literatury i jej dziejach mają pojęcie słabe albo żadne — przeważnie dla samouków. Stąd ton nadzwyczaj popularny, unikanie wszelkich wyrażen i zwrotów takich, któreby swą metafizycznością utrudniały dostęp treści do umysłów nieprzygotowanych; słowem, prostota, wyłączająca wszelką kwiecistość krasomówczą, wszelki liryzm uniesień lub oburzeń, obiektywna, a jednak nie sucha. Cały wykład wygląda tak, jakby go wobec uczniów trzeciej lub czwartej klasy gimnazyalnej prowadził pedagog z powołania, wysoko panujący nad przedmiotem, który wie, do kogo mówi i stosownie się nastraja, ażeby trafić nietylko do umysłu, ale i do serca słuchaczów, mówi, jak Polak do Polaków, zainteresowując ich narodowy instynkt bez żadnej sztucznej apologietyki, zachowując owszem należyłą miarę w ocenie dobrego i złego, czyli nieznacznie wprowadzając w umyły świeże zdrowy zmysł krytyczny, bez niewczesnego pesymizmu. To ukochanie przedmiotu, zarówno jak słuchaczów, odbijające się w wykładzie, ożywia jego prostotę pewnym duchem sympatyczności: i oto, zdaje mi się, tajemnica wyczerpania się dzieła i potrzeba powtórzenia.

Cel jego dydaktyczny objawia się nietylko w tonie, ale i w układzie. Autor, znając wartość metody pogładowej w nauczaniu, przy określaniu poszczególnych pisarzy, a zwłaszcza celniejszych, podaje z ich prac wyjątki: wzmogło to wprowadzić rozmiar książki, ale nader korzystnie urozmaiciło wykład. Prócz tego, dla większego zwrócenia uwagi i wbicia w pamięć treści najważniejszych, mianowicie ogólnej oceny pisarzy, podaje on je odmiennym drukiem: środek mechaniczny, ale w celu dydaktycznym

pożyteczny, którego zwykle używają podręczniki obce. Jednej rzeczy, która by się w tym rodzaju opracowania przydała, nie zauważyliśmy — to skorowidza, którego prosty spis rozdziałów nie zastąpi w zupełności.

Dzieło swe autor, od pierwszych zaczątków piśmiennictwa, doprowadza do politycznego upadku Rzeczypospolitej, a więc prawie do końca ośmnastego stulecia, przy podziale, w którym powołując się wprawdzie konwencyonalnie na ten lub ów wiek, za istotną zasadę przyjmuje pewne, upatrzone przez się punkty zwrotne, przełomowe. Ze zdziwieniem i ubolewaniem zwykliśmy zwracać uwagę na to, że *państwo* Polskie, istniejące historycznie już od drugiej połowy X wieku, na właściwą literaturę narodową, t. j. szczerze i bezwarunkowo polską, zdobywa się dopiero w połowie szesnastego, czyli, że, pomimo wzrostu potęgi politycznej, w ciągu pięciu wieków niezdolnem jest myśli swojej, nieraz bardzo wysokiej, w mowie własnej wyrażać. Ale zdziwienie nasze powinno się zmniejszyć, gdy się zastanowimy, że takież sam fenomen objawia się i u innych społeczeństw, które nas i w bycie politycznym i w kulturze umysłowej znacznie wyprzedziły i przewyższyły, np. we Włoszech i Francji. Polska jest, zapewne, za swe opóźnienie bardziej odpowiedzialną, gdyż kształtując się w państwo regularne, z własnym królem na czele, miała i własny język gotowy, kiedy ludności romańskie, nim się zdołały skryształizować, w samoistne grupy, musiały się porozumiewać Bóg wie jaką gwara, z kilku narzeczy łataną. Ale z drugiej strony, Polska, za Mieczysława I, wyszedłszy z pieluch politycznych odrazu na poziom cywilizacyjny, w sferę tych wysokich pojęć, jakie pociągała za sobą nowa religia i stosunki prawno-państwowe, nie mogła wyrażeniu ich swymi niemowlęcymi zasobami językowymi wystarczyć: na dokonanie tak wielkiego dzieła potrzeba było wielkich myślicieli i wielkich poetów, a ci się jakoś opóźniali. O ile więc kategorie myślenia przewyższały kategorie mowy, ci, co mieli coś do powiedzenia, zmuszeni byli uciekać się do powszechnego w średniowieczu języka cywilizacji, do łaciny. Usprawiedliwia się to w początkach wzrostu państwowego, ale po za pewnym kresem niczem już innem wytłómaczyć się nie da, tylko złą wolą, opieszałością i lekceważeniem ogółu. Takie wrażenie pozostawia nam opis tych pierwszych pięciu wieków niemowlęctwa literatury narodowej w książce prof. Chrzanowskiego.

Nie można całej tego faktu winy składać na duchowieństwo, po większej części pochodzenia cudzoziemskiego, które, objawwszy kierunek oświaty, urządziło szkoły łacińskie na wzór średniowiecz-

nego *trivium* i *quadrivium*, i z zupełnem wyłączeniem języka ojczystego, wmuszało w młodzież łacinę, jak w chorego jajko: duchowieństwo nie stanowiło przecież autorytetu najwyższego; gdzież się podziła szlachta, panowie — przecież Polacy? I ci nawet, za wkroczeniem humanizmu, przeszli na stronę łaciny, i ją tylko protegowali. Zatem ogół polski winien pięciowiekowemu zlekceważeniu języka polskiego. Ciekawy i pouczający jest pod tym względem dokument przytoczony przez prof. Chrzanowskiego. Kiedy nareszcie, w połowie XVI w., zaczynają się drukować książki polskie, jeden z księgarzy, Hieronim Wietor, z pochodzenia Niemiec, daje taką w przedmowie nauczkę Polakom: „Będąc ja winieszkany, a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój miłuje, szarzy, krasi i polezuje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać; ile ja rozumieć mogę z ludzi, z którymi czasem o tem mawiam, nie jest inna przyczyna tego, jedno przyrodzenie polskie, które ku obcym a postronnym obyczajom, sprawom, ludziom i językom skłonniejsze jest, niżli ku swym własnym.“ Oto, co o nas pisano w wieku XVI; niech z tego każdy, jakie chce, wyciąga wnioski; ale skutek tego zachowania się był taki, żeśmy do owego czasu nietylko ustalonych form gramatycznych, ale nawet ustalonego alfabetu nie mieli.

Jednakże język dopraszał się gwałtem udoskonalenia, bo przy całym jego upośledzeniu, ciągle wzmagala się myśl polska i przechodziła w łacinę. Tym sposobem przez ciąg tych pięciu wieków idą u nas równolegle dwa strumienie literackie: jeden skromny, szczupły, przerywany, i ten szemrze, kwili zaledwie na religijną nutę mową ojczystą; drugi, łaciński, płynie szerokimi falami historii, polityki, poezji (Kadłubek, Długosz, Ostrobróg, Janicki). I tę to równoległość przedstawił p. Chrzanowski w dwóch pierwszych rozdziałach książki i znacznej części trzeciego.

Wykład w tych rozdziałach, nie ujmując wartości i następującym, sprawił nam najżywsze zadowolenie, a to dzięki metodzie przyjętej przez autora, a zastosowanej do całej książki. Każdy tam rozdział, obejmujący pewien okres czasu, poprzedzony jest charakterystyką stanu polityczno-społecznego kraju oraz pokoleń, z wyniesieniem zwłaszcza tych momentów i usposobień, które mogły najbardziej oddziaływać na bieg i formę piśmiennictwa. Po takim przygotowaniu gruntu, wyszczególnia on dopiero pisarzy, i z utworów ich podaje, niekiedy nawet dość obszernie i najcharakterystyczniejsze wyjątki, nie wzięte na wrywki

byle z którego miejsca, ale dobrane tak, jakby przewidywał, że w tem miejscu na taki właśnie wyjątek oczekuje ciekawość czytelnika — odnośnie ucznia; a tym sposobem trzyma on nas ciągle w atmosferze opisywanej epoki, i nad nią rozumowania własne, z których tworzy się ostatecznie skarbczyk sądów literackich, każe nam przyjmować nie na słowo, ale na mocy świadectw. To też kiedy gdzieindziej te nasze pierwotne czasy literackie, ubogie i monotonne, przedstawiają się blado i sucho, tu opisowi ich przysłuchujemy się z najwyższem zajęciem. Mniejsza, że w strumieniu literatury czysto-polskiej nie możemy wyłowić jakiejś myśli głębszej, godnej zastanowienia, ale za to mamy przykłady ówczesnego języka, któregośmy bez pomocy autora zgoła nie zrozumieli. I mimowoli nasuwa się żal: gdybyż to, choć z takim językiem, u nas obchodzili po dworach i zamkach swojscy trubadurowie, ileżby to pieśni rodzimych rozbiegło się po kraju, jakby oni przyspieszyli i rozwój samego języka, stosując go nie tylko do potrzeb domowych, ale do rzeczy subtelniejszych, idealnych, tak jak to daleko później uczynił Kochanowski. Ale takie popularyzowanie pieśni nie leżało widać w ustroju społecznym, czy w usposobieniu narodu: nie tylko nie stworzyliśmy jakiegoś nowego cyklu, ale zatracili i te pieśni, jakie były, a doszły do nas tylko posłuchem lub okruczem. Co robić! Tyle złego stało się w Polsce, że i to trzeba przeboleć. Tem to smutniej jednak za ówczesną polszczyzną, gdy autor daje nam w tłumaczeniu z łaciny rzeczy tak podniosłe, tak wysokiej wartości literackiej, jak aforyzmy słynne Kadłubka, opisy historyczne Długosza, apostrofy z „Monumentum“ Ostrogora lub elegię Janickiego. Są to rzeczy w całym znaczeniu znakomite, a Ostrogora wyimki o „Dochodzeniu sprawiedliwości w Magdeburgu,“ tudzież „O kazaniach w języku niemieckim“ wprost zdumiewają trafnością poglądu i siłą wyrazu. Szkoda jednak, że autor nie powiada, czy te tłumaczenia są jego własne, czy skądinąd czerpane.

Naturalnie, pierwszym jego słupem granicznym na polu literackim jest Akademia Krakowska, jako ognisko i narzędzie oświaty. Wpływ i zasługi tej instytucji zanadto są znane, ażebyśmy potrzebowali nad tem się rozszerzać. Wydała ona Kopernika oraz kilku znakomych lekarzy i przyrodników, ale zanadto utonęła w łacińskim humanizmie, w teologii, a dla oświaty w duchu narodowym nie uczyniła prawie nic, coby godnem było podniesienia. Nie godzimy się też z autorem na ten aplauz, jaki daje Akademii za wprowadzenie wykładów scholastyki, która jakoby miała być „u nas w XIV wieku pożyteczną gimnastyką umysłową.“

Akademia wprowadziła tę naukę wówczas, kiedy już ją usunięto ze wszystkich uniwersytetów europejskich, mianowicie z paryskiego, na którym przecie wzorowała się uczelnia nasza. Podjęta scholastykę już jako powszechnie uznany nieużytek. Jest ona wprawdzie gimnastyką, ale tą fałszywą, jednostronną, która ćwiczy jeden organ z krzywdą innych w ustroju, aż do ich atrofii. Akademii potrzebną była scholastyka, współpracownicza teologii, o którą jej głównie chodziło, to też wydała głośnych w swoim czasie teologów, których po przejściu czasu nikt nie czytał, nie czyta i czytać nie będzie. Jakie to szczęście, że do tej grabarni nie dostał się Długosz: zamiast wiekopomnego historyka, mielibyśmy jednego więcej martwego teologa. Autor nasz, określając Akademię Krakowską, pomija obciążającą ją okoliczność, że ona, jako najstarsza *alma mater*, pociągnęła za sobą wszystkie inne, a sama, niedbając o charakter narodowy, narzuciła im owo piętno eklezyastyczne, tamujące należyty postęp. Przecież i mąż tak wielowładny i niezależny, jak Jan Zamoyski, wielkim nakładem fundując szkołę wyższą, oddał ją niejako pod zwierzchnictwo Kolegiaty w Zamościu, i tym sposobem ją unieruchomił tak, iż instytucja ta przez dwa z górą wieki istnienia, na rzecz narodu nie wydała nic.

I wogóle prof. Chrzanowski dość obojętnie przechodzi około szkół, napomykając zaledwie o nich ogólnikowo, tak jakby nie chciał korzystać z tych dostojnych prac, jakie na rzecz najwyższych zakładów naukowych w Polsce, pojawiły się u nas ostatnimi laty: a lubo dzieje szkół nie należą bezpośrednio do dziejów literatury, każdy jednak dobrze rozumie pośredni a żywotny między niemi związek; nie wymienił nawet, z wyjątkiem jednej Akademii Krakowskiej, dat i okoliczności powstawania innych instytucyj naukowych, katolickich lub dysydenckich, chociaż na czele każdej epoki literackiej grupuje starannie i umiejętnie szczegóły, mogące objaśnić kierunek epoki literackiej, w odmienności np. epoki Zygmunto-wskiej od Saskiej. Co większa, autor, wymieniwszy jednego tylko Kopernika, pominął milczeniem wszystkich uczonych specjalistów w Polsce, nawet takiego Ciołka, twórcę nauki optyki; lekarzy, jak Wojciech Oczko; nawet znakomitego Seb. Petrycego, pierwszego u nas filozofa w pełnem znaczeniu tego wyrazu, który nie tylko, że pisał po polsku, ale stworzył nam język filozoficzny, dotychczas prace nasze zasilający. Wygląda to tak, jakby autor z dziejów literatury właściwej z zasady wyłączyć chciał udział czysto naukowy piśmiennictwa, czego uczynić się nie da, raz dla trudności wynalezienia granicy, powtóre, że w takim razie

na rzecz literatury właściwej pozostałaby tylko poezya, belletrystyka i jakieś *silva rerum*. Skoro zaś w omawianem dziele znalazło się miejsce dla historyków, moralistów i kaznodziejów, to z jakiegoż tytułu wyłączeni być mają filozofowie, zwłaszcza mistrze języka? Mnie się zdaje, że przy nowem wydaniu tego skądinąd szacownego dzieła, rzecz tę należałoby wziąć pod rozwagę, tembardziej, iż opuszczenia, wprowadzie tylko w zakresie literatury łacińskiej, znajdują się i między adoptowanymi (Dantyszek, Kallimach, Petrycy Jan). Pocóż mamy chodzić dowiadywać się o nich gdzieindziej, mając przed sobą taką bogatą skarbnicę dziejów naszej myśli, jak dzieło prof. Chrzanowskiego?

Im dalej w las, tem więcej drzew—tem więcej literatura narodowa w Polsce rozrasta się, urozmaica, męźnieje, i złotemi głóskami wcina się w wielki nasz gmach polityczny szesnastego wieku: w miarę też tego rozrostu wydatnieje i jej odzwierciedlenie w dziele prof. Chrzanowskiego, a serce polskie przejmują się radością i pewną dumą pod wrażeniem ustępów przezeń przytaczanych. Te prace ówczesnego ducha polskiego, iście mistrzowsko zestawione i zaprezentowane, równają nas z najoświecześniejszymi społeczeństwami; ale niebawem na tem słonecznie ozłoconem niebie literatury zaczynają się pojawiać chmurki, głos dziejopisa z tryumfalnego przechodzi w jakieś utyskiwanie, i w takim on nastroju wita wiek siedemnasty, który, według autora, zatracą „mądrość i piękność“ literacką swego poprzednika...

Czyżby to nie był przesąd, utrwalający się w opinii naszej od doby do doby, któremu i nowy dziejopis ulega? Czy ten wiek siedemnasty istotnie jest tak mało, czy tak lichy produkcyjnym względnie do poprzedniego, że można go uważać za upadek literatury?... Czy go nie uratują w opinii tacy nawet przedstawiciele jak: Szymonowicz, Zimorowicz, Opalińscy, Morsztyn, Wacław Potocki, Chryz. Pasek—no! i bądź co bądź Sarbiewski?...

Rzeczywiście, gdyby wartość doby literackiej mierzyła się jedynie i wyłącznie wartością pojedynczych utworów, to sąd o wieku XVII musiałby wypaść nader przychylnie, ze względu zwłaszcza na takich mistrzów pióra, jak Potocki i Pasek, autorzy bardzo utalentowani i nawskroś oryginalni. Ale synteza historyczna nie polega na rozważaniu pojedynczych dzieł literackiego natchnienia, na ich recenzji, bez związku z umysłem życiem powszechnem narodu: w syntezie wykazać należy ich wpływ na ogół, ich działalność, rolę zasilającą. A jakiż mógł być wpływ tych pisarzy, których najlepsze dzieła spoczywały pod kluczem w rękopisach? Cóż stąd, że oni kwitnęli w wieku XVII, jeżeli ogół

tego wieku prawie o nich nie wiedział (o autorstwo „Wojny Chocimskiej“ spieraliśmy się jeszcze w połowie XIX wieku, kiedy ją z pyłu bibliotecznego wyciągnięto). Mógłby sobie być pomiędzy nimi i drugi Dante, ale w jakiżby on sposób uświetnić mógł swoją epokę, ukryty w kantorku magnata, dostępny kilku osobom? Wprawdzie do wieku XV literatura wszędzie była tylko rękopiśmienna, ale istnieli wtedy fachowi przepisywacze, którzy ją upowszechniali, i to w bardzo szczupłym zakresie; każdy zaś wiek ma swoje potrzeby i swoje środki, i nie może cofać się z niemi o kilka stuleci wstecz... Owoż, nie autorzy nasi wywołali ten zmierzch literacki wieku XVII, nie pisarze, których dziełami i dziś szczerze się jeszcze zachwycamy, ale wywołała go apatya ogółu, obojętność dla książki polskiej, a stąd upadek drukarstwa, świadectwo nieomyślne stanu umysłowego narodu. Ogół odepchnął swoich wieszczów, którzy nieśli mu światło i prawdę: szkoła jezuicka, z Alwarem na czele, zrobiła swoje. „Obmazywała ona gębę łaciną“—jak powiada Krz. Opaliński—i na tem kończyła się edukacja: nie dała młodzieży poznać i ukochać myśli narodowej, znieczuliła na okrzyki serc bratnich. Oto, co się objawiło w XVII wieku, co unieruchomiło literacki polot talentów i w końcu do ostatniej poniewierki makaronicznej i panegirycznej przywiodło piśmiennictwo polskie za czasów Saskich.

Nie będziemy powtarzać rzeczy powszechnie znanych, a dotyczących ocknienia się myśli narodowej już w pierwszej połowie XVIII stulecia. Wiadomo jaki w tym nowym zwrocie miał udział St. Konarski, komisya edukacyjna, a przede wszystkim, przyznać trzeba, i sam król. Literatura, popierana przez takich zwłaszcza dwóch olbrzymów, jak Krasicki i Niemcewicz, odrodziła się i zakwitła nanowo, przykrojona nieco z francuska, jako i stroje ówczesne, ale pod tym przykrojem biło w niej serce szczerze polskie. Smutna tylko, że odrodzenie to literackie przychodzi jednocześnie z zamieraniem politycznem kraju, ułatwiając mu atoli możliwość życia pozagrobowego. Żywość i barwność przedstawienia nie opuściła autora aż do ostatniej chwili; ostatnia ta epoka przedstawia się u niego z niemniejszym animuszem jak poprzednie, powiedziałbym tylko, że pilnie zajęty rozbiorem arcydzieł literackich, zamało tu zwrócił on uwagi na to piśmiennictwo broszurowe, tak podówczas rozpowszechnione, nie roszczące wprawdzie pretensyi do wartości artystycznej, ale z pewną namiętnością rozbiegające fakty społeczne ze strony politycznej, a zatem stanowiące *signum temporis*.

Ostatniem słowem autora, wyrzeczonym jakby na pożegnanie do czytelnika, jest jego krótki, synoptyczny rzut oka na cały ten 8-wiekowy ruch literacki, który nam przed oczyma odsłonił. Niczego on tu, w porównaniu z dziejami innych literatur zachodnich, nie przecenia, ale i nie niedocenia. Słusznie urzeczywotnia, że literatura polska po koniec XVIII wieku nie zdobyła się na dzieło znaczenia europejskiego, że nie może się pochwalić żadnym Dantem, Miltonem, Szekspirem, Kalderonem lub Getem,—że była raczej uczennicą szkół obcych niż mistrzynią samodzielną, lecz wywyższa ją w oczach jego nad inne ów duch patryotyczny, który z najpiękniejszych jej kart zawiewa. Uznanie słuszne, ale nie objaśnione. Im więcej skłaniamy głowę przed ludźmi, jak Ostroróg, Modrzewski, Skarga i inni, którzy nawoływali do miłości ojczyzny, tem smutniej przedstawia się nam nawoływanie tego potrzeba. Bodajby go u nas nie było, tak jak nie było gdzieindziej, lubo i tam w danej chwili zjawiała się i „Dziewica Orleańska,” i „Marsylianka,” i pieśni akademickie po pogromie pod Jeną i Friedlandem. Niema atoli kraju, w którymby z usprawiedliwieniem mógł wołać prorok do przedstawicieli narodu (3 kaz. sejm.): „Wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą. Język swój i naród pogubicie, i ostatki tego narodu, po świecie szeroko rozkwitnionego, potracicie, i w obcy naród się obrócicie. Będziecie wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy i włóczęgowie, które popychać nogami będą tam, gdzie was pierwaj wazono.” Cześć literaturze, która, jakby z natchnienia Bożego, zapatrzona w przyszłość, takie daje społecznym przestrogi, ale co się należy tym, którzy te przestrogi, niestety! tak literalnie sprawdzone, wywołują? Owoż, ta, zacna sama w sobie patryotyczność naszej literatury, wcale na korzyść naszą nie przemawia; świadczy tylko o wyższości swych piastunów nad uczuciem powszechnem.

Z niezwykłym w tych czasach literackim zadowoleniem zamknęliśmy książkę prof. Chrzanowskiego. Mamy jakieś przecucie, że po tym tomie, który takiego doznał powodzenia, nastąpi drugi, obejmujący w ten sam sposób opracowaną literaturę wieku XIX—a wtedy pracę tę można będzie śmiało nazwać dziełem klasycznym; z pewnością przy drobnych uzupełnieniach przetrwa ono długie lata, jako nieporównany dotąd podręcznik szkolny i domowy. Jestem przekonany, że każdy czytelnik, który obeznał się dobrze z tym tomem, życzy sobie tego, i nie żegna się z autorem, ale z wdzięcznością mówi mu: „do widzenia!”

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

Kronika miesięczna.

Dzień słowiański w Warszawie. — Stulecie Kodeksu Napoleona. — Trzy wystawy. — Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w r. 1907 i projekt wielkiej loterii artystycznej. — W sprawie „Muzeum Chopina.“

Rychlej, niż się tego można było spodziewać, Warszawa miała swój *dzień słowiański*. Był to wprawdzie tylko jeden dzień, ale dzień pożyteczny o tyle, że przyczynił się do wyjaśnienia ruchu neo-słowiańskiego i rzucił pewne światło na kierunek i podstawy głównych, zasadniczych jego prądów.

Dalecy wprawdzie jesteśmy od tego, aby czy to pobytowi gości słowiańskich w osobach posłów Kramarza, Hribara i Hlibowickiego w Petersburgu, czy też jednodniowemu zatrzymaniu się ich w Warszawie, mającemu zresztą charakter czysto prywatny, przypisywać jakieś głębsze i donioślejsze znaczenie, ale nie możemy pominąć tu milczeniem doniosłego i znamienego faktu, który zwrócił na siebie powszechną uwagę społeczeństwa polskiego.

Oto po wizycie słowiańskiej, po odbytych bankietach, po wygłoszonych toastach i po wymianie frazesów, jakie z rozmaitych, więcej i mniej powołanych ust padły w Petersburgu i doleciały echem do Warszawy, nagle nastrój opinii rosyjskiej zmienił się do niepoznania. Jakaż jest przyczyna tego zjawiska? Kto je wywołał? Czy stało się to za sprawą gości słowiańskich, czy bez ich współudziału?

Oczywiście, nie mamy ani prawa, ani powodu kwestyonowania dobrych intencji wiedeńskiego słowiańskiego klubu parlamentarnego. Chcemy wierzyć, że wszystko, co mówili w Petersburgu jego przedstawiciele, było szczere i nacechowane gorącą chęcią posunięcia naprzód sprawy słowiańskiej. Nie podajemy też w wątpliwość tego, co mówił w Petersburgu d-r Kramarz, zaznaczając, że

wraz z towarzyszami swymi przybył nad Nową „*przedewszystkiem* po to, aby założyć protest przeciw uciskowi Polaków, uważając taki protest za interes całej Słowiańszczyzny, która nie może patrzeć obojętnie na to, ażeby dwa największe narody słowiańskie żyły w niezgodzie.“ Ta niezgoda jest wielką dla całej Słowiańszczyzny—zdaniem polityka czeskiego—stratą, a wobec ekspansji niemieckiej może być dla niej prawdziwie groźną, nie dziw więc, że przedstawiciel narodu czeskiego, prowadzącego odwieczną walkę z naporem germańskim i nie wolnego od obaw o swoją przyszłość, sytuację zrozumiał i określił jasno. Jasno też wskazał na grunt wzajemnego porozumienia się, na zasady *równości i wolności* wszystkich kontrahujących narodów słowiańskich.

O te jednak *zasady* rozbiły się widocznie dobre chęci polityków rosyjskich, propagujących, może nawet szczerze, hasła zgody polsko-rosyjskiej i starających się obudzić ruch neo-słowiański.

Z artykułów, które ogłosiła prasa rosyjska po wizycie p.p. Kramarza & Co. w Petersburgu, wyszło na jaw, że dla tych zasad naczelnych niema jeszcze w Rosyi gruntu odpowiedniego, że nawet w tej części społeczeństwa, która wyrabia sobie poglądy polityczne niezależnie od wskazań, pisanych na zielonem suknie, zasady te nie mają trwałych podstaw, ale są sypkie, jak piasek, z którego żadna budowla wznieść się nie da, a wzniesiona, rozsypie się od poddmuchu pierwszego wiatru.

Artykuły te stwierdziły jeszcze raz to, co ze strony polskiej było już podkreślane niejednokrotnie, a co ostatnio starał się wypowiedzieć w petersburskiej mowie swojej prezes Koła Polskiego, dając gościom słowiańskim do zrozumienia, że Polacy nie są przeciwnikami zgody, ale że przeszkody do jej urzeczywistnienia leżą po stronie rosyjskiej i tkwią w dotychczasowym systemie rządzenia Królestwem Polskiem, jako krajem podbitym.

Istotnie, w Polsce, wszyscy ludzie trzeźwo myślący uznają potrzebę *zgody*, od niej bowiem zależy zbliżenie się tego momentu przełomowego w rozwoju obydwu narodów, który im zapewni lepszą przyszłość i wprowadzi na nowe tory ich politykę „słowiańską“, tę właśnie politykę, ku której nawoływali p.p. delegaci wiedeńskiego klubu słowiańskiego, a która stanie się niezadługo dla Rosyi *koniecznością dziejową*, tak, jak od wieków jest nią dla Polski.

Zapewne, są już w społeczeństwie rosyjskiem elementy, które zdają sobie z tego sprawę, widzą rzeczy jasno i umieją nazywać je po imieniu, ale elementy te są jeszcze w znacznej mniejszości. Ogół społeczeństwa rosyjskiego, wychowany na surogatach

myślenia politycznego, nie jest dotychczas zdolny ani do zrozumienia istoty sprawy słowiańskiej, ani do oceny faktycznych przyczyn *niezgody* rosyjsko-polskiej.

I tu jest punkt, na którym oba społeczeństwa rozchodzą się w pojmowaniu swoich zadań na dziś i najbliższe jutro.

Spółeczeństwo polskie w warunkach obecnych nie może, jak to już zaznaczyliśmy dawniej, zdobyć się na bezwzględną ufność i wiarę w intencje społeczeństwa rosyjskiego i nie zdobędzie się, dopóki nie spotka się z niem na jednej platformie, t. j. dopóki pojmowanie *równości i wolności*, jako zasad, bez których zgoda rosyjsko-polska nie może być osiągnięta, nie będzie takie samo w Petersburgu, jak w Warszawie.

Doświadczenia zaś dotychczasowe, nie wyłączając najświeższych, uczą, że chwila ta jeszcze nie nadeszła.

Przedstawiciele społeczeństwa rosyjskiego, biorący udział w niedawnych biesiadach słowiańskich w Petersburgu, może przez gościnność, może przez rozlewność swojej natury, może wreszcie pod wpływem przemówień swoich gości z zachodu, wypowiedzieli się wprawdzie tym razem tak, jakby już owe zasady rozumieli, rychło jednak spostrzeżono, że słowa, rzucone w chwili zapału, mogą mieć wagę większą, niżby tego pragnęły sfery, kierujące współczesną polityką rosyjską, a zwłaszcza jej odłamek słowiański.

To też wnet po wyjeździe gości rozpoczęło się cofanie na całej linii. Cugle fantazyi, marzącej słodko o *braterstwie, wolności i równości*, zostały ściągnięte przez brutalną rękę rzeczywistości i w chwili, kiedy piszemy te słowa, prasa rosyjska—z małemi wyjątkami—rozpoczęła wcale niedwuznaczną kampanię, zmierzającą do ostatecznego rozwiania wszelkich złudzeń.

I stało się dobrze. Do istotnej zgody doprowadzić bowiem może jedynie polityka realna, bezpośrednio na życiu rzeczywistem i jego wymaganiach oparta, a wolna od marzycielskich wycieczek w dziedzinę przyszłości, nie dającej się jeszcze ani ująć, ani określić.

*

+

*

Prawniczy świat polski, a żałować należy, że *tylko* prawnicy—święcił w dn. 28 maja r. b. uroczyście, choć skromnie, setną rocznicę Kodeksu Napoleona.

Kodeks ten, jak wiadomo, stał się prawem krajowem z mocy konstytucyi, nadanej Księstwu Warszawskiemu. Wszedłszy w życie z d. 1 maja 1808 r. w ówczesnem Księstwie, a w r. 1815 w departamentach do niego przyłączonych po traktacie wiedeńskim, utrzymał się aż do tej chwili.

Oryginał francuski był obowiązującym, tłumaczenie zaś polskie, dokonane przez ks. Ksawerego Szaniawskiego, profesora Szkoły prawa, miało powagę w sądach, „ile nie okazywało się w sprzeczności z oryginałem.“

Przekład ten wychodził pojedynczemi księgami u Pijarów, pod napisem „Kodeks cywilny francuski“ (Księga I r. 1807, księga II tegoż roku i księga III 1808 r.). Drugie tłumaczenie kodeksu cywilnego wyszło z pod pióra Ksawerego Michała Bohusza, prałata wileńskiego, które pięknym drukiem wytłoczono w Warszawie, nakładem tłumacza, w drukarni Wiktora Dąbrowskiego w r. 1810.

Inwentarz kodeksu wydał w r. 1811 Ignacy Stawiański, zaś kodeks postępowania cywilnego przełożył „ze zlecenia j.w. ministra sprawiedliwości“ Antoni Łabęcki, mecenas przy Sądzie kasacyjnym Księstwa Warszawskiego (1807 r.).

Drugim tłumaczem kodeksu postępowania cywilnego był D. Dziesięć (1829 r.).

Kodeks handlowy francuski przyjęty został także za prawo w Ks. Warszawskiem. Przełożył go na polski popularny w Warszawie Wincenty Skorochód Majewski, pisarz aktowy Księstwa Warszawskiego i wydał w roku 1808, a następnie poraz drugi w r. 1811. Tenże sam kodeks przetłumaczył powtórnie, przypisanymi opatrzył i wydał w r. 1847 A. Heylmann.

W r. 1845 ogłosił J. H. S. Rzeziński w Krakowie „Trzy kodeksa francuskie: cywilny, postępowania sądowego i handlowy, w przekładzie poprawnym, z dołączeniem związkowych między niemi artykułów.“

Ostatnie wreszcie wydanie kodeksu cywilnego opracował Stanisław Zawadzki i ogłosił w r. 1860—61 w Warszawie p. t. „Prawo cywilne, obowiązujące w Królestwie Polskiem.“

Jakie znaczenie miało dla Królestwa wprowadzenie prawa francuskiego, czy i w jakim stopniu przyczyniło się ono do zatarcia lub zatamowania rozwoju cywilnych norm prawnych polskich, czyli też uchroniło nas raczej przez wytworzenie odmiennych stosunków od wprowadzenia prawa cywilnego rosyjskiego — o tem może tylko orzec historia prawa, opierając się na wszechstronnych badaniach.

Badania te miały być podjęte z chwilą, gdy tylko powstała myśl uczczenia w odpowiedni sposób zbliżającej się rocznicy. Myśl ta wyłoniła się jeszcze w r. 1902 w ówczesnej delegacji ekonomiczno-prawnej przy sekcji handlowej Tow. popierania przemysłu i handlu. Zamierzono wówczas opracować i wydać obszerną *Historję Kodeksu Napoleona w Polsce*. Wypadki jednak lat ostatnich wpłynęły na zaniechanie tej pracy. Natomiast powstałe niedawno Towarzystwo prawnicze, przejąwszy od delegacji ekonomiczno-prawnej myśl uczczenia rocznicy, wcieliło ją na razie w skromny obchód, ograniczając się pozatem wydaniem numeru jubileuszowego *Gazety Sądowej*.

Zapewne, jako przypomnienie chwili, jest to wystarczające. Nie możemy jednak zapominać, że chwila ta łączy się z ważnym momentem dziejowym Polski, że wtedy właśnie Polska po ciężkich przejściach katastrofy rozbiorowej weszła na drogę wewnętrznego przerodzenia się i odrodzenia i że jednym z czynników, towarzyszących temu procesowi, było także wprowadzenie Kodeksu Napoleona, wnoszącego z sobą nowe pojęcia, do których życie zwolna musiało się przystosowywać.

Z tego względu byłoby rzeczą wielce pożądaną, aby Towarzystwo prawnicze, nie poprzestając na urządzonym już obchodzie, powróciło do myśli pierwotnej i podjęło opracowanie *Historji kodeksu cywilnego francuskiego w Polsce*, przedstawiając jego dzieje na szerszem tle całego życia naszego w ubiegłym wieku.

Praca ta jest potrzebna nie tylko dla prawników, ale i dla historyków, którym w wielu wypadkach mało jest znana ta dziedzina, w tym zaś wypadku szczególnie musi budzić ich ciekawość, gdyż o ile zwykle prawo bywa wytworem życia, o tyle tu—odwrotnie—wedle prawa kształtowało się i urabiało życie.

*

*

*

Jednocześnie prawie otwarte zostały w kraju naszym trzy skromne, ale pouczające wystawy — w Ciechocinku (zdrojowa), w Łowiczu (pedagogiczno-rękodzielnicza) i w Warszawie (przemysłu ludowego w „Świątlicy ziemianek“), w chwili zaś, kiedy ukaże się niniejszy zeszyt, odbywać się będzie jeszcze czwarta wystawa (rolniczo-przemysłowa) w Lipnie.

O żadnej z tych wystaw nie piszemy specjalnego sprawozdania, nie do nas bowiem to należy. Uczyniły to już dzienniki i poinformowały wszystkich dostatecznie o tem, co na tych wystawach jest do zobaczenia.

Korzystając jednak ze sposobności, pragniemy tu wypowiedzieć kilka uwag charakteru ogólniejszego o znaczeniu tych wystaw.

Przedewszystkiem — przenoszą nas one, nie wyłączając warszawskiej, na prowincję — i w „Świetlicy“ bowiem mamy do czynienia z wsią polską, z jej wyrobami, ze skromnemi początkami jej przemysłu.

To zbliżenie Warszawy do prowincyi samo przez się ma już duże znaczenie pedagogiczne dla inteligencji miejskiej, tak mało znającej kraj, jak nasza. Nie mamy jeszcze sprawozdań szczegółowych pod ręką, nie możemy też określić ściśle, jaka była frekwencya wymienionych wystaw. Niewątpliwie jednak była dość liczna. Warszawa jeździła i do Ciechocinka i do Łowicza. Pojedzie też z pewnością i do Lipna, które, wysunięte ku granicy pruskiej, tem większą budzi ciekawość, że stanowi już dzisiaj teren, na którym włościanin polski ściera się z forpocztami wielkiej kolonizacyi niemieckiej.

Te wycieczki w głąb kraju, przedsiębrane bądź przez jednostki, bądź przez całe grupy (jak wycieczka Towarzystwa krajoznawczego), czynią wyłom w przysłowiowej naszej „zasiedziałości“, której hołdujemy podobnie, jak Paryżanie.

Od czasu, kiedy wskutek kryzysu, jaki przeszło nasze rolnictwo po r. 1863, wywołując ożywione przechodzenie ziemi z rąk do rąk, stosunki wielu rodzin z wsią zerwały się przez utratę gniazda rodzinnego i przeniesienie się na stały pobyt do miasta, — od tego czasu z każdym niemal rokiem zwiększa się wśród nas zastęp ludzi, którzy po za Warszawą nie widzą wcale i widzieć nie chcą kraju. Łączność nasza z prowincją jest bardzo słaba. Zajęcia zawodowe przykuwają nas do miast większych, a czas, przeznaczony na odpoczynek, wolimy najczęściej spędzić za granicą, niż na szczerzej wsi polskiej. Stąd w pokoleniu obecnem znajomość tej wsi, a co za tem idzie, znajomość ludu, jego potrzeb i aspiracyj, jest niewystarczająca w stosunku do chwili, jaką przeżywa cała nasza zbiorowość.

Z uwagi na to, każdy wyjazd na prowincję, choćby tylko do Ciechocinka, Łowicza lub Lipna, jeżeli spojrzymy nań, jako na krok w kierunku wytworzenia tyle pożądanej łączności między stolicą kraju, a jego mieszkańcami na dalszych obszarach, nie jest pozbawiony znaczenia.

Poza tym jednak pożytkiem ogólnym, każda z wymienionych wystaw posiadała jeszcze swoje atrakcje specjalne.

Zacznijmy od Ciechocinka.

Tantejsza wystawa zdrojowa odbyła się w chwili, kiedy bojkot zdrojowisk niemieckich narzucił się całemu społeczeństwu polskiemu z siłą dotąd niebywałą. Po uchwaleniu prawa o wywłaszczeniu, po przyjęciu przez parlament Rzeszy słynnego § 7 — wyjazd do Niemiec połączony jest z taką ujmą dla naszej godności narodowej, że tylko wyjątkowa potrzeba może kogoś zmusić do szukania zdrowia w obrębie państwa, które wypowiedziało walkę na śmierć wszystkiemu, co polskie. Czyniąc też wyjątek dla ludzi ciężko chorych, dla których nie będzie innego ratunku ponad ten, jaki znaleźć mogą w specjalnych zakładach niemieckich, społeczeństwo polskie niewątpliwie powstrzyma się od wyjazdów do Niemiec, zwróci się natomiast ku zdrojowiskom krajowym, które w wielu wypadkach mogą bądź całkowicie zastąpić wody obce, bądź też przy pomocy sprowadzonych na miejsce wód zagranicznych, dać te same dla zdrowia wyniki.

Wystawa w Ciechocinku miała właśnie za swój cel główny zapoznanie ogółu z tem, czego może on oczekiwać od zakładów leczniczych w kraju i wykazanie, jak skutecznie mogą te zakłady współzawodniczyć z obcemi.

Cel ten został w znacznej mierze osiągnięty i dlatego inicjatorom wystawy należy się całkowite uznanie za to, że w tej właśnie chwili ważnej, a poniekąd może i przełomowej, rozpoczęli zbawienną akcję uświadomienia społeczeństwa w kierunku bezwarunkowego obowiązku popierania na przyszłość, jeśli nie wyłączenie, to w każdym razie przedewszystkiem, zdrojowisk krajowych.

Dotychczas akcja ta ograniczała się nawoływaniem. Od lat kilku, co wiosnę niemal, zjawiało się na łamach prasy polskiej hasło bojkotu wód niemieckich. Gorące słowa jednak szybko mikały, chwilowy zapal chłodził, a liczne rzesze pacjentów spieszyły, jak dawniej, utartymi szlakami za granicę.

Dzisiaj — obok tych hasel stanęły fakty realne. Wystawa ciechocińska zapoznała nas bowiem poglądowo z istotnym stanem lecznictwa w kraju i nauczyła krytyczniej patrzeć na przereklamowane w niejednym wypadku uzdrowiska obce.

Co do wystawy w Łowiczu — to miała ona cel podwójny. Z jednej strony, jako wystawa pedagogiczna, przeznaczona była dla ludu, z drugiej, jako wystawa rękodzielnicza, zapoznać miała inne warstwy narodu z przemysłem ludowym.

W jednym i w drugim kierunku wystawa dała wyniki pomysłne.

Również przemysłowi ludowemu poświęcona była wystawa w „Świetlicy“ warszawskiej, urządzona staraniem ziemianek polskich, przy współudziale Towarzystwa popierania przemysłu ludowego.

Przemysł ludowy—to niewątpliwie rzecz wielka, to dźwignia dobrobytu szerokich warstw ludowych, to droga do ich podniesienia na wyższy poziom życia kulturalnego.

Niestety, daleko mu jeszcze u nas do tego, aby w życiu ekonomicznem wsi polskiej mógł odegrać tę rolę, do jakiej, wbrew wszystkiemu, co mówią jego przeciwnicy, stanowczo jest powołany. Nienormalne warunki całego naszego życia, i politycznego i gospodarczego, nie tylko przeszkadzały mu dotąd w rozwoju, ale gasiły nawet dawne jego ogniska.

Kiedy się przegląda stare akty, dotyczące życia przemysłowego dawnej Rzeczypospolitej polskiej, widać, że w wielu miejscowościach, gdzie dawniej kwitła wytwórczość, obecnie żadnego śladu z niej nie zostało. Niemal wszystko zostało starte z oblicza ziemi, a czego nie dokonały nieszczęścia, przez jakie kraj przechodził, to musiało ulec w końcu w walce z wielkim przemysłem fabrycznym.

Postawione jednak przez ekonomistów szkoły socjalistycznej twierdzenia o pożeraniu małych przedsiębiorstw przez wielkie, ma swoje granice. Proces ten w naszych właśnie czasach zbliżył się ku tym granicom i — dziś można to już śmiało powiedzieć — nie przekroczy ich. Przeciwnie. Rozpoczął się ruch w kierunku podtrzymywania przemysłu drobnego i ruch ten ma duże widoki powodzenia.

Nie możemy w tej chwili szerzej i szczegółowiej rozpatrywać przyczyn tego zjawiska. Wróćmy do tego kiedyindziej i na innym miejscu. Tu należy tylko stwierdzić, że obie wystawy — łowicka i warszawska — poświęcone przemysłowi ludowemu, złożyły świadectwo, że praca, podjęta z jednej strony przez Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, z drugiej przez duchem obywatelskim ożywione jednostki, które rozumieją znaczenie wytwórczości ludowej dla kraju, wydaje dobre owoce.

Pokazy, zgromadzone na tych wystawach, dotyczyły wprawdzie kilku zaledwie gałęzi przemysłu drobnego, ale udowodniły, że te najważniejsze gałęzie mają już jaki taki grunt pod sobą i mogą rozwinąć się w przyszłości w sposób wybitny. Należą tu tkactwo, hafciarstwo, zabawkarstwo, koszykarstwo i guzikarstwo. Wyroby w tym zakresie nie tylko, że zdolne są zaspokoić potrzeby

życia codziennego, ale mogą nawet zadowolić smak wybredniejszy, niejednokrotnie bowiem wkraczają w dziedzinę arcyzmu, jak np. kilimki i wełniaki łowickie, mogące znakomicie służyć do zdobienia wykwinnie nawet urządzonych mieszkań.

Społeczeństwo polskie, którego większość może po raz pierwszy dopiero spotkała się z wyrobami tego rodzaju, powinno zwrócić odtąd baczniejszą uwagę na sztukę i przemysł ludowy i przez odpowiednie ich poparcie przyczynić się do dalszego, a pomyślnego ich rozwoju.

Obie wystawy to właśnie miały na celu i prawdopodobnie cel ten osiągną. W tem leży też główny ich pożytek i pedagogiczne znaczenie.

Niewątpliwie, sklep Towarzystwa popierania przemysłu ludowego przy ul. Brackiej będzie miał odtąd liczniejszą klientelę, a barwne wyroby ludowe znajdą w Warszawie i w kraju całym zbyt pewniejszy i szerszy.

*

*

*

Pozornie zdawać się mogło, że lata ostatnie, lata zamętu i wielkich wypadków, wstrząsających życiem aż do samych jego głębin, odwróciły całkowicie uwagę społeczeństwa od sztuki, a zwróciły ją wyłącznie w kierunku zagadnień politycznych i ekonomicznych.

Pozory jednak zazwyczaj mylą. Tak się stało i tym razem. Ani bowiem zmienne nastroje chwili, przerzucające się od wybuchów długo tajonych nadziei do ponownego odrętwienia i apatii, ani upadek zamożności ogólnej, wywołany kryzysem, przez jaki przeszły handel i przemysł krajowy, nie wpłynęły na stosunek nasz do rozwijającej się w niezbyt pomyślnych warunkach sztuki polskiej. Przeciwnie nawet, są dane, na których podstawie można twierdzić, że sztuka ta doznała w ostatnich latach zyczliwszego, niż dawniej, poparcia ze strony ogółu.

Tych danych dostarcza między innymi sprawozdanie z działalności Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim za r. 1907.

Trudno nie zatrzymać się nad niektórymi cyframi tego sprawozdania. Oto dowiadujemy się zaraz na wstępie, że w r. 1907

przybyło Towarzystwu 745 członków, frekwencja zaś wzrosła o 20,790 osób. W porównaniu z latami poprzednimi jest to ogromny i — można to powiedzieć bez zastrzeżeń — niespodziewany krok naprzód. Niespodziewany zaś dla tego, że właśnie przed rewolucją Towarzystwo najbardziej skarżyło się na obojętność społeczeństwa i chcąc tę obojętność przełamać, odwoływać się musiało niejednokrotnie do pomocy prasy. Rok 1906, jako rok największych zamieszek w kraju, nie mógł oczywiście dać doraźnie wyników pomyślnych. Już jednak rok następny otwiera przed Towarzystwem perspektywę normalniejszego rozwoju. Rozwój ten wyraża się najkonkretniej w cyfrze obrotu sprzedażnego. Cyfra ta doszła mianowicie do rb. 34,392, co, jak na skromne nasze stosunki, jest sumą bardzo poważną. Te pieniądze, wydane przez społeczeństwo na sztukę, świadczą o podnoszeniu się poziomu estetycznego coraz szerszych warstw.

Idźmy jednak dalej.

Dochód ze składek członkowskich, osiągnięty w r. 1907, wynosił ogółem 25,580 rb., czyli w porównaniu z r. 1906 dał o 3,725 rb. więcej. Wystawę dzieł sztuki w ciągu roku sprawozdawczego zwiedziło 107,085 osób. W tej liczbie za biletami ulgowymi, ustanowionymi dla rzemieślników i robotników (po 5 kop.) — osób 2313, dla uczącej się młodzieży (po 10 kop.) — osób 5803, za biletami zwyczajnymi w niedziele osób 15943, w dni powszednie 9491, razem 33,550. Wystawy specjalne za oddzielnymi biletami osób 2327. Muzeum Chojnowskiego osób 3641 i za biletami członkowskimi osób 67,517.

Dochód za bilety wejścia na wystawy w ogólnej sumie 6009 rb. 95 kop. przewyższył dochód z r. 1906 o rb. 2723 kop. 75.

Pomijamy tu dalsze szczegóły sprawozdania, bądź znane już z dzienników, bądź nie zawierające nic ponad zarys działalności gospodarczej Towarzystwa.

Pozwolimy sobie jedynie podkreślić projekt loteryi jubileuszowej, a to ze względu, iż powinien on zainteresować szersze koła.

Pragnąc ułatwić i uprzystępnąć nabywanie dzieł sztuki, Komitet, jak wiadomo, już w roku ubiegłym czynił starania o pozwolenie sprzedaży ich przez licytację. Starania te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem i zezwolenie na urządzenie dwóch licytacji rocznie wyjednano. Wpłynie to na podniesienie obrotów sprzedażnych, a z drugiej strony zapobiegnie gromadzeniu się w składach Towarzystwa dzieł, które z różnych powodów przez dłuższy czas w przechowaniu T-wa pozostawać musiały.

Niezależnie od tego, z uwagi, że w r. 1910 przypada rocznica 50-ta istnienia Towarzystwa, powzięto projekt urządzenia specjalnej wielkiej loteryi artystycznej, któraby dała możność dokonania znacznego zakupu pierwszorzędnych dzieł sztuki z wystawy jubileuszowej, zaprojektowanej na r. 1910.

Część funduszu, jakiby z tego tytułu wpłynął, użyta będzie na dokończenie budowy gmachu „Zachęty,” już dzisiaj bowiem odczuwać się daje dotkliwy brak pomieszczeń wystawowych i brak ten z każdym rokiem potęgować się będzie.

Odpowiednie kroki w celu otrzymania zezwolenia na wspomnianą loteryę jubileuszową, zostały już poczynione.

Myśl tej loteryi zasługuje na poparcie już choćby z tego względu, iż tą drogą przejdzie do rąk prywatnych znaczna ilość obrazów o wartości artystycznej. W ten sposób przełamane zostaną pierwsze lody, które dziś jeszcze w wielu wypadkach odgradzają publiczność od artystów. Doświadczenie uczy, że najtrudniej jest rozwiązać kieszeń na kupno pierwszego obrazu. Ten pierwszy jednak obraz, umieszczony we własnem mieszkaniu, w sąsiedztwie oleodruków i szablonowych reprodukcji, wypowiada im odrazu stanowczą walkę i otwiera na ścianach wolne miejsce dla następnych dzieł sztuki, budząc powoli smak i pragnienie otoczenia się tem, do czego oko i dusza rzeczywiście przywiązać się mogą.

Obok tego nie można pomijać znaczenia, jakie większy jednorazowy zakup obrazów będzie miał dla rozszerzającego się ciągle grona naszych artystów, skazanych w większości wypadków na twardą dolę. Brak odpowiednich środków materialnych, brak stypendyów na wyjazdy za granicę nie pozwala im na życie w większych środowiskach artystycznych i na szukanie wrażeń, podniecających twórczość. Chwilowe więc tylko polepszenie ich bytu może już dodatnio wpłynąć na niejednego z nich i wprowadzić go na właściwszą drogę, budząc w nim szersze aspiracye i dążenia ku dziedzinom wyższej sztuki, wolnej od codziennego borykania się z przeciwnościami losu.

Niejednokrotnie i przy rozmaitych sposobnościach pisaliśmy na tem miejscu o niepomyślnych warunkach, w jakich rozwija się u nas wszelka sztuka, zarówno literatura, poezya i muzyka, jak malarstwo i rzeźba. Ile traci na tem nasza kultura duchowa, ile marnuje się wskutek tego talentów przedwcześnie z wielką szkodą dla narodu—o tem wiemy wszyscy. Znamy również przyczyny, które to wywołują. Nie mogąc ich jednak usunąć i nie mogąc stworzyć dla rozwoju sztuki polskiej takich podstaw mate-

ryalnych, jakie dzięki współdziałaniu odpowiednich czynników państwowych i społecznych ma, dajmy na to, sztuka francuska lub niemiecka, powinniśmy się tem więcej poczuwać do obowiązku podtrzymywania jej własnymi siłami, własną ofiarnością i własną inicjatywą w kierunku torowania jej dróg ku przyszłości.

Omówione wyżej sprawozdanie z działalności Towarzystwa zachęty sztuk pięknych świadczy, że społeczeństwo zaczyna coraz realniej popierać jego zadania i cele, ale wobec wielostronnych a pilnych i niezaspokojonych dotąd potrzeb sztuki naszej jest to zaledwie skromny początek tego, co uczynić należy. Nie wątpimy jednak, że w miarę lepszego układania się ogólnych stosunków w naszym życiu i ta dziedzina, dotąd traktowana po macoszemu, potrafi stworzyć w społeczeństwie liczny zastęp gorliwych i oddanych sprawom sztuki opiekunów i miłośników, współdziałających rozwojowi plastyki polskiej.

*

*

*

Istniejąca od lat dziewięciu przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznym „Sekcja imienia Chopina“ przypomniła się świeżo ogłowski gorąco napisaną odezwą w sprawie przyszłego Muzeum Chopina.

Z odezwy tej dowiadujemy się między innemi, że w czasach ostatnich na własność Sekcyi przeszły bogate zbiory chopinowskie p. Zygmunta Słupskiego, które przed kilku laty, wystawione na widok publiczny w Poznaniu, powszechnie obudziły zajęcie. Nabytki te wraz z dotychczasowymi zbiorami Sekcyi mieszczą się obecnie przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznym i stanowią już dziś zbiór bardzo piękny, wkrótce zaś może znajdą godne dla siebie schronienie i opiekę w instytucyi, mającej nosić nazwę *Muzeum Chopina*.

Zadanie to może być tem rychlej spełnione, o ile do jego urzeczywistnienia przyczynić się zechcą posiadacze pamiątek po Chopinie. Wszelkie bowiem pamiątki, w prywatnych znajdujące się rękach, giną zwykle ze śmiercią właściciela, a rozproszone po świecie, nie mają tego znaczenia, co zebrane razem w jednym miejscu i oddane pod opiekę instytucyi, stanowiącej własność ogółu.

W ten sposób powstało słynne *Mozarteum* w Salzburgu, Muzeum Shakespeare'a w Straffordzie, Muzeum Goethego w Weimarze i Frankfurcie nad Menem, Wiktora Hugo w Paryżu, Verdiego w Medyolanie, Dom Matejki w Krakowie i wiele innych. W ostatnich zaś czasach powstały w Niemczech i w Austrii Towarzystwa, założone wyłącznie w celu gromadzenia i ochrony autografów uczonych, literatów i artystów niemieckich.

Jeżeli więc cały świat ucywilizowany oddaje cześć swym geniuszom, zbiera najdrobniejsze nawet po nich okruchy, aby tym sposobem przechować po wszystkie czasy pamięć o swych natchnionych synach, to i my winniśmy wszelkich dołożyć starań, ażeby uchronić od zagłady i zebrać razem pamiątki po jednym z najgenialniejszych muzyków świata, który pierwszy pieśnią polską przemówił do wszystkich ludów ziemi.

Wszystko więc, co ma jakikolwiek związek z osobą, z życiem lub działalnością Chopina, powinno wejść do Muzeum jego imienia, a więc autografy jego listów i nut, listy jego rodziny i przyjaciół do niego lub o nim pisane, wszelkiego rodzaju wizerunki, oryginały i kopie, jakoteż portrety jego rodziny i przyjaciół, wszystkie wydania jego dzieł, czasopisma we wszystkich językach z każdą o nim wzmianką, przedmioty, stanowiące niegdyś własność jego lub najbliższego otoczenia, dzieła w różnych językach o nim traktujące, słowem wszystko, co z Chopinem może mieć jakąkolwiek łączność w najszerszym słowa tego znaczeniu.

Inną sferę działań Sekcyi stanowią wydawnictwa, dotyczące osobistości Chopina, ogłaszane w miarę napływających materiałów. Wstępem do tych prac jest wydana staraniem i kosztem Sekcyi, opracowana przez p. Mieczysława Karłowicza, ozdobiona licznymi rysunkami książka „Niewydane dotąd pamiątki po Chopinie,” zawierająca szereg nieznanych a ciekawych listów artysty do rodziny, oraz listy rodziny, przyjaciół i uczenic do niego pisane. Cenna ta książka wyszła też w przekładzie francuskim i zasłużyła na pochlebną bardzo ocenę krytyki zagranicznej. Służyła ona nieraz za podstawę do studyów nad życiem Chopina, które w ostatnich latach zjawily się w literaturach niemieckiej i francuskiej.

Wkrótce też nakładem Sekcyi wyjdzie przekład z oryginału angielskiego dwutomowego, znakomitego, jak dotychczas najlepszego dzieła o Chopinie, opracowanego przez Fryderyka Niecksa.

Wreszcie zaznaczyć należy, że od samego zawiązku swego istnienia Sekcyja działała i działa celem uczczenia pamięci Chopina w sposób, w jaki narody kulturalne składają hołd swoim ge-

nieszom. Z zapoczątkowania Sekcyi powstał projekt wzniesienia pomnika Chopina w Warszawie, a do jego urzeczywistnienia Sekcyja czynną przykładą rękę.

Oddawna również Sekcyja nosi się z myślą sprowadzenia do Warszawy śmiertelnych szczątek Chopina i pewne ku temu poczyniła kroki.

Dla wykonania jednak tego niezmiernie doniosłego zadania, jako też innych zadań swoich, Sekcyja potrzebuje poparcia ogółu.

Dotychczas ogół nasz zachowuje się wobec wszystkich tych usiłowań obojętnie. Nie popierają zadań Sekcyi, szerzącej kult Chopina, nawet te sfery, które ze względu na swe stanowisko społeczne lub majątkowe z łatwością uczynićby to mogły.

I smutno wyznać, że jedyna w świecie instytucya, czci Chopina poświęcona, w stolicy kraju, w którym on przyszedł na świat, liczy *zaledwie 130 członków*, gdy inne stowarzyszenia sportowe lub karciane liczą ich po kilkaset lub nawet po kilka tysięcy.

Sądzimy jednak—wypowiada się Sekcyja w końcu swej odezwy—że wśród pracy nad odrodzeniem kraju, społeczeństwo polskie uzna szerzenie czci dla tego, który jest wielką chlubą i zaszczytem naszym, za jedno z kulturalnych swych zadań.

Z otuchą też i nadzieją na lepszą przyszłość zwraca się Sekcyja z prośbą do wszystkich o poparcie swych usiłowań.

Nie trzeba dodawać, że napływ większej ilości członków powiększy zasoby materyjalne Sekcyi i ułatwi spełnienie jej zadań. Dodać natomiast należy, że członkiem Sekcyi może być każdy, kto wniesie 8 ruble tytułem składki rocznej do kasy Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Ludwik hr. Dębicki.

Dnia 25 maja r. b. zmarł w Krakowie długoletni współredaktor *Czasu*, wybitny publicysta obozu zachowawczego, ś. p. Ludwik hr. Dębicki.

Urodzony w r. 1848, ś. p. Dębicki wcześniej rozpoczął działalność pisarską, której owoc stanowi długi szereg prac, wyszłych z pod jego pióra. Nie utonęły one bynajmniej na łamach dziennika, ale wydane rozmaitemi czasami oddzielnie, znalazły chętnych i licznych czytelników.

Popularność swoją zawdzięczał Dębicki nie tyle talentowi, z jakim umiał przedstawić każdą rzecz, ile, przede wszystkim, masie ciekawych szczegółów, które czerpał bądź z pierwszej ręki, bądź z tradycji i umiejętnie wplatał w swoje opowiadania o ludziach i czasach minionych.

Do najcenniejszych prac jego należą wyczerpujące życiorysy: Zygmunta Helcla (1870), Leona hr. Rzewuskiego (1870), Adama Potockiego (1872), Jerzego ks. Lubomirskiego (1872), ks. biskupa Łętowskiego (1873), Andrzeja Zamoyskiego (1874), Maurycego Manna (1877), Lucyana Siemieńskiego (1878), Piotra Nałęcz-Moszyńskiego (1879), Aleksandra Wielopolskiego (1879) i Bronisława Zaleskiego (1880).

Nadto hr. Ludwik Dębicki był autorem cennej, czterotomowej monografii Puław. W dziele tem z prawdziwym pietyzmem zgromadził wszystko, co w jakikolwiek sposób przyczynić się mogło do zobrazowania życia na dworze puławskim w epoce, kiedy to życie promieniowało światłem swoim na całą Polskę i zdawało się być zarzewiem jej odrodzenia. Monografia obejmuje czas

od r. 1762 do r. 1830, t. j. do chwili wybuchu powstania listopadowego, po którego upadku rodzina ks. Czartoryskich znalazła się na emigracyi, a Puławy przeszły drogą konfiskaty na własność rządu rosyjskiego.

Jako dziennikarz, wybitniejsze swoje artykuły zebrał hr. Dębicki w jedną całość i pod koniec życia ogłosił je oddzielnie p. t. „Z teki dziennikarskiej“ i „Wspomnienia dziennikarza.“

Zmarł w 65-ym roku życia, pozostawiając po sobie pamięć czystą i piękną.

ś. p. Aleksander Smaczniński.

Dn. 14 czerwca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Aleksander Smaczniński, literat i publicysta.

Urodzony w r. 1845 w Piotrkowie, jako syn Wincentego, znanego zaszczytnie pedagoga, długoletniego dyrektora gimnazjum tamtejszego, a później wizytatora szkół za kuratoryi Muchanowa, Aleksander Smaczniński kształcił się w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum, poczem wyjechał za granicę na studia rolnicze. Rychło jednak powrócił do kraju, aby wziąć udział w powstaniu 1863 r. Po upadku powstania znalazł się na emigracyi. Tęsknota jednak i poczucie obowiązków narodowych zmusiły go do powrotu. Dwukrotnie aresztowany i więziony za uczestnictwo w wypadkach 1863 r., odzyskawszy wreszcie wolność i prawo mieszkania w kraju, osiadł na własnym kawałku ziemi, w Sacinie, w pow. rawskim. Niepowodzenia jednak zmusiły go do szukania pracy na innem polu.

Przeniósłszy się do Warszawy w r. 1889, rozpoczął tu pracę publicystyczną i literacką.

Artykuły jego, zamieszczane niemal wyłącznie w *Tygodniku mód i powieści*, którego przez lat 16 był redaktorem, odznaczały się zawsze szlachetnością myśli, głębokością i niezależnością sądu, ale szerszemu ogółowi, ze względu, że drukowane były w piśmie niezbyt poczytnem, mało były znane.

Nie ograniczał się jednak Smaczniński wyczerpującą pracą publicystyczną. Tworzył także powieści, nowele i opowiadania, pisane żywo i zajmująco.

Ogłoszone oddzielnie jego utwory: „Zbłąkani,“ „W wieku,“ „Na dnie otchłani,“ „Samodzielna,“ „Nowele“ i dwa tomy „Wspom-

nień“ zostały dobrze przyjęte przez krytykę. Ostatnią jego pracą są opowiadania więzienne p. t. „Z za kraty.“ Oparte na obserwacji bezpośredniej, wzięte wprost z życia, z tego, co autor sam przeszedł podczas dwukrotnej utraty wolności, mają one charakter dokumentów, tem cenniejszych, iż dotyczą przeszłości, którą wypadki lat ostatnich odsunęły już od nas ostatecznie, przynosząc nowe wrażenia, zacierające tradycję pokolenia poprzedniego.

Smaczniński był tego pokolenia przedstawicielem typowym. W pogromie nie stracił swoich idei, ale niósł je do końca, pielęgnując we własnej duszy i starając się najgłębsze ukochania swojego czystego i szlachetnego serca szczepić wśród młodszych, których był przyjacielem, mimo znacznej różnicy wieku.

Cześć jego pamięci!

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE ogłasza następujący konkurs: W celu uczczenia 60-letniego Jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza, Franciszka Józefa, Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie Historii Galicyi w okresie lat 1848 do 1908.

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1910 r.

Nagroda wynosi 1,200 koron; objętość dzieła co najmniej 20 arkuszy druku.

Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma, jako honorarium—oprócz nagrody—dalsze 1,200 koron.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

Uczni, zamierzający pracy tej podjąć się, mogą po bliższe informacje zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii.

Prace należy nadsyłać bezimiennie, pod obranem godłem, z dołączeniem koperty opieczętowanej i tem samem godłem opatrzonej, a zawierającej wewnątrz nazwisko i dokładny adres autora.

W Krakowie, dnia 31 maja 1908 roku.

B. Ulanowski, m. p., Sekretarz Generalny.

— BIBLIOTEKA PUBLICZNA W WARSZAWIE otrzymała w darze od senatora, Bolesława Małeszewskiego, magistra nauk matematyczno-fizycznych b. Szkoły Głównej, piękny zbiór książek przeważnie treści matematycznej, zawierający wiele cennych i rzadkich wydawnictw. Zbiór ten obejmuje około 2,000 tomów.

KONKURS TOWARZYSTWA FILOLOGICZNEGO WE LWOWIE na rozprawę p. t. „Juliusz Słowacki w stosunku do starożytności klasycznej.“

Towarzystwo Filologiczne we Lwowie, pragnąc się przyczynić do uczczenia setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego ogłasza konkurs na rozprawę p. t. „Juliusz Słowacki w stosunku do starożytności klasycznej.“ Autorowie, ubiegający się o nagrodę konkursową, mają wykazać przede wszystkim wpływ pisarzy klasycznych na twórczość poety i rozstrzygnąć, czy Słowacki zostawał pod ich wpływem bezpośrednim lub pośrednim. Ponadto należy zbadać, o ile wpłynęły na Słowackiego mitologia, sztuka, dzieje Greków i Rzymian, wreszcie poznanie ziemi, którą zamieszkiwały oba te narody. Podstawą studyum ma być zupełne wydanie dzieł poety lwowskie z r. 1908 (dziesięciotomowe). Jako nagrodę dla pracy, uznanej za najlepszą wyznacza Towarzystwo Filologiczne dwieście (200) koron. Termin nadsyłania prac upływa z d. 30 kwietnia 1909 r.

Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem prezesa Towarzystwa, profesora Uniwersytetu lwowskiego, d-ra Bronisława Kruczkiewicza (we Lwowie, Kampiana 9) bezimiennie, pod godłem obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samem godłem. Wyplata nagrody nastąpi dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą, przyczem Towarzystwo Filologiczne zastrzega sobie prawo pierwszeństwa ogłoszenia nagrodzonej pracy w organie swym: „Eos.“

Sąd konkursowy stanowią: 1) Dr. Bronisław Kruczkiewicz, profesor Uniwersytetu lwowskiego. 2) Dr. Stanisław Witkowski, profesor Uniwersytetu lwowskiego. 3) Dr. Wiktor Hahn, docent Uniwersytetu lwowskiego.

Wymienionej komisji konkursowej przysługuje w razie potrzeby prawo kooptacyi.

Wszelkich wyjaśnień udziela sekretarz Towarzystwa, profesor Stanisław Homme (we Lwowie, ul. Mikołaja 1. 8).

We Lwowie, dnia 16 kwietnia 1908 r.

Imieniem Wydziału Towarzystwa Filologicznego we Lwowie:

Dr. Bronisław Kruczkiewicz, przewodniczący.

Stanisław Homme, sekretarz.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W WILNIE wydało pierwszy tom swoich publikacyj p. t. „Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.“ Rocznik ten zawiera: na pierwszym miejscu reprodukcję nieznanego portretu Jana Śniadeckiego (bez objaśnienia jednakże, gdzie portret ten się znajduje i przez kogo był malowany); — następnie przedruk pamiętnika Michała Czarnockiego, p. t.: „Krótka wiadomość o tajnych towarzystwach uczniów Uniwersytetu wileńskiego aż do ich rozwiązania w r. 1824,“ dokonany przez Henryka Mościckiego. Pamiętnik ten zawiera sporo szczegółów o początkach towarzystw tajnych w Uniwersytecie wileńskim. Za wydanie tego materiału należy się wielka wdzięczność p. Mościckiemu, tembardziej, że rękopis, z którego korzystał, (jako brulion wielce nieczytelny i pogmatwany w układzie), przedstawiał znaczne trudności techniczne dla wydania. Szkoda jednak, że

w przedmowie swej, wspominając o innych materyałach do historii stowarzyszeń uczniów wileńskich, i mówiąc o materyałach w archiwach urzędowych, nie wspomniał o znajdującym się do niedawna w Wilnie, a dziś do Krakowa przewiezionem, archiwum Filomatów, które zupełnie nowe i jasne rzuca światło na tę właśnie sprawę. Następnie z obowiązku wydawniczego należało wspomnieć o notowanym już bibliograficznie drugim egzemplarzu „Pamiętnika” Czarnockiego, znajdującym się w oryginale w Bibliotece Czerwonodworskiej hr. Tyszkiewiczów i w odpisie nowym w Bibl. ord. Krasieńskich (ob. „Bibl. Warsz.,” grudzień 1907). Rękopis ten był przez Czarnockiego przepisany z własnych kartek i ułożony na prośbę Tyszkiewicza.

Druga praca w Roczniku pomieszczona, dotyczy Folkloru. Jest to szkic ludoznawczy Ludwika Czarkowskiego p. t. „Powiat Bielski.” Rozprawa sumienna, oparta na skrzętnie uzbieranym i obfitym materyale statystycznym, ekonomicznym i folklorystycznym. Uzupełniona jest mapą i słowniczkiem gwary miejscowej.

Drugą pracą z zakresu ludoznawstwa są Brensteina Przyczynki do etnografii Litwy (Narzędzia muzyczne i maski ludowe).

W dziale Miscellaneów wydrukowano kilka ciekawych fragmentów archiwalnych, poczem znajdujemy bibliograficzny wykaz druków polskich, wydanych w Wilnie od 1900 r.

W końcu sprawozdanie z pierwszego roku istnienia T-wa.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— KRONIKA DYECEZYI SANDOMIERSKIEJ. Maj. D-r A. Szymański: O modernizmie;—Ks. J. Rokoszyński: Z listu pasterskiego bisk. Bonomellego;—Ś. p. ks. St. Ruciński;—Kb.: Z praktyki parafialnej;—Głos świecki w sprawach kościelnych;—Nowiny z Polonii amerykańskiej, przez Daryana;—Z kancelaryi konsystorza dyecezyalnego;—Bibliografia (Synopsis Theologiae Moralis et Pastoralis auctore Tanquerey), przez Kb.

— KRYTYKA. Maj (f), Do p. d-ra Cyryla Trylowskiego, posła do Rady państwa. prezesa „Siczy;”—Cypryan Norwid: Pieśń do ziemi naszej. Wzroki (Przypowieść);—K. Stefański: Trzy okresy w życiu demokracji polskiej;—Roman Zrębowski: Nowe poezye (Kasprowicz-Kakuszyński-Rundbaken);—dr. W. Miklaszewski: Jeszcze w sprawie miłości (odpowiedź p. Turzymie i Moszczeńskiej);—St. Lack: Budowa tragedyi;—Mich. Muttermilch: Muzeum społeczne w Paryżu.—Jan Grabowski: Kiedy noc zapada. Nowela;—Przegląd prasy polskiej i obcej;—(X): Teatr krakowski;—M. Szukiewicz: Ze sztuki plastycznej;—Bol. Wallek-Walewski: Nasz ruch muzyczny w dobie obecnej;—Junius: Z trzech zaborów;—Argus: Myśli heretyckie o polityce galicyjskiej;—Pamięci Kazimierza Krauza;—Sprawozdania naukowe i literackie;—Wykaz składek na uczczenie pamięci St. Wyspiańskiego;—Uwagi od redakcyi.

— MUZEUM. Kwiecień. Pożegnanie ustępującego i powitanie nowomianowanego wiceprezydenta R. S. K. przez T. N. S. W.;—Wynik klasyfikacyi

z końcem I-go półrocza 1907/8;—Bostel F.: Reforma egzaminu dojrzałości;—Lewicki J.: Geneza i organizacja szkół nowego typu (c. d.);—Klimaszewski A.: Stanowisko szkoły w walce z alkoholizmem;—Kopczyński St. dr.: Znaczenie higieniczno-wychowawcze peryodycznych ogłędzin lekarskich młodzieży szkolnej;—Oceny i sprawozdania, przez J. Łosia, W. Jankowskiego, d-ra Fr. Kręka, d-ra B. Janowskiego, L. Janowskiego, S. Matzkego, A. Makowskiego;—Kronika szkolna i pedagogiczna;—Wiadomości bibliograficzne;—Bibliografia kom. ed. nar.;—Sprawy Tow. nauczycieli szkół wyższych.

— PANTEON. Marzec. Czy wolna myśl może być apolityczną?—W. Nałkowski: O duszę młodzieży;—J. Huzarski: Pięcioksiąg w świetle racjonalistycznej krytyki. III (dokończenie);—L. St. Liciński: W cyrku: L. Gorecki: Dyalogi polityczne. II;—J. Waserzug: Apostolstwa w dziejach ludzkości, Zoroaster (ciąg dalszy);—St. Brzozowski, Stanisław Wyspiański, B. Winawer: O ewenementie literackim pocieszającym;—P. Brodzic: O nowym dramacie;—Projekt klubu wolnomysłścieli;—Bibliografia Wolnej Myśli;—Książki nadesłane.

— PRZEGLĄD BIBLIOTECZNY. Tom I, zesz. I. St. Leszczyński: Towarzystwo Bibl. Publicznej w Warszawie;—Ustawa Tow. Bibl. Publicznej w Warszawie;—St. Krzemiński: Książki i księgozbiór;—Zebranie organizacyjne Towarzystwa Bibl. Publicznej w Warszawie;—Czytelnia Naukowa (wspomnienie);—dr. J. Bieliński: Bibl. Królewskiego Uniw. Warszawskiego (1817—1831);—L. Krzywicki: Bibl. w klasztorach;—Krytyka;—Kronika;—Bibliografia;—Z Archiwum Tow. Bibl. Publ. w Warszawie, Lista członków Tow. Bibl. Publ. w Warszawie;—Dary na rzecz Bibl. Publ. w Warszawie.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Zesz. I i II. Dziesięciolecie „Przeglądu Filozoficznego”;—Spis współpracowników;—Spis rzeczy, zawartych w pierwszych dziesięciu rocznikach;—dr. W. Witwicki: Karol Libelt;—R. Minkiewicz: Próba analizy instynktu metodą obiektywną;—Polemika;—Krytyka i sprawozdania;—Z posiedzeń naukowych;—Z czasopism;—Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Marzec—Kwiecień. J. F. Gajsler: Stosunek podania Gallusowego o Piaście do legendy o św. Giermanie;—A. Prochaska: Z dziejów samorządu ziemi chełmskiej (c. d.);—L. Boratyński: Stefan Batory, Hanza i powstanie Niderlandów (c. d.);—M. Sokolnicki: Józef i Tadeusz Mostowscy i działalność polityczna Polski w r. 1792—1797 (c. d.);—Wł. Smoleński: Szlachta Wołyńska wobec konstytucji 3 maja;—Al. Kraushar: Trzy epizody z działalności publicznej margrabiego Aleks. Wielopolskiego w r. 1831;—E. Bogusławski: Słowiańskie starożytności Niederlego w świetle teorii autochtonicznej (dok.);—M. Goyski: Przegląd literatury hist. pol. do dziejów XIV i XV w. z ostatnich lat siedmiu (1901—07);—Fr. Giedroyc: Wodociągi i kanalizacja miejskie (z dziejów higieny w dawnej Polsce) (c. d.);—K. Marcinkowski: Inwentarz zamku Warszawskiego, sporządzony w r. 1769 (c. d.);—Kronika zarządu Tow. Mił. Hist. w Warszawie.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Maj. B. O.: Z psychologii ostrych środków;—K. Bartoszewicz: Przed insurekcją Kościuszkowską (dok.);—B. Lutomski: Rozmyślanie i wskazówki;—J. Purwin: Ostatnia fala ruchu gospodarczego w Niem-

czech; — A. Szelągowski: Narodowość i cywilizacja; — J. Makowski: Bałtyk i sprawa polska; — A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich; — B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej; — Z prasy; — Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI. Maj. Andrzej Potocki: Wspomnienie pośmiertne przez Stanisława Tarnowskiego; — dr. Ludwik Boratyński: Don Livio Odescalchi kandydatem do korony polskiej; — dr. Józef Tretiak: Ostatni tom „Historii literatury polskiej“ prof. Stanisława Tarnowskiego (dok.); — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (c. d.); — Listy z Francji, X. przez Konrada Ostrowskiego; — Kronika literacka; — Teatr krakowski przez A. E. Balickiego; — Przegląd polityczny przez *; — Paweł Popiel: Po zbrodni we Lwowie.

— LA REVUE SLAVE. T. V. № 1. Janvier—Fevrier 1908. Ivan Koriak: Une nouvelle Etape du Drang nach Osten; — H. Poltoratzky: Une Princesse russe à Rome; — V. Korableff: A. S. Khomiakoff; — A. Yovitchévitch: Le Périanik; — Général R.: A Propos d'Essais d'artillerie; — A. Ponsignon: Bibliographie.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACJI. Kwiecień. Prof. dr. Rosenblatt: Rehabilitacja młodocianych przestępców w najnowszym projekcie rządowym; — dr. Jan Spyra: Sukcesywne świadczenia w prawie cywilnem i handlowem austriackiem (dok.); — dr. M. Allerhand: Podstęp w procesie (c. d.); — Zapiski literackie przez E. Tilla, R...; — Praktyka cywilno-sądowa przez d-ra W. Cichockiego i Wincentego Łobosa; — Praktyka karno-sądowa przez d-ra W. Sokalskiego; — Dodatek; — Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych.

— SFINKS. Miesięcznik literacko-naukowy. Zeszyt majowy, jak i poprzednie, w treść obfity. Składają się na niego następujące prace: Wł. B.: W ćwierć wieku (1883—1908—23/V); — Władysław Jankowski: Zaleski i Norwid (w dwudziestą piątą rocznicę śmierci Norwida); — Deotyma: Noc przedbitewna w Wiedniu z 11 na 12 września 1683 r. (Śpiew XV-sty z poematu „Sobieski pod Wiedniem“) II; — Ignacy Matuszewski: Żeromski i Dzieje Grzechu (studium, dokończ.); — Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr (c. d.); — Wacław Nałkowski: Zestawienia; — Poezya: Cypryan Norwid: „Z Vade Mecum;“ — Wiktor Gomulicki: Może kiedyś...; — Jan Kasprówicz: Z cyklu „Chwile“ (8 sonetów); — Zdzisław Dębicki: Oglądam się za siebie..., Na przyzbie; — Marya Markowska: Mroki; — Władysław Bukowiński: Fragment, Kwiat szczęścia; — Marnert Wikszemski: Urywki (Kamieniarz, Fala, Iwa, Niewiasta); — Roman Kreczmar: Z wiośnianych technień; — Zofia Dębicka: Sonety (Tęsknota, Życie, Cygan-ka); — Jadwiga Marcinowska: Marzenie; — Savitri: Sosna, Dzień pogody; — I. Rłakowicz: Gorączka; — Kazimierz Gliński: Dwie perły; — Jadwiga Lipińska: Judyth, Topola, Preludium wiosenne; — Władysław Nawrocki: Messalina; — Kazimierz Gronkiewicz: Willa Silvia, Sfinks; — F. Mirandola: Bez tytułu; — Józef Jankowski: Rzeczywistość ideału; — Jan Iwański: Kłamstwo piękne, Przed sądem życia, Wierzy; — Kazimierz Woyczyński: W krainie snów; — Kazimierz Błęszyński: Nokturn sentymentalny; — Michał Maryan Poznański: Z tryoletów; — Walenty Zieliński: Rycerska krew; — Wacław Wolski: Z cyklu „Arcana“ (Spisek, W Colosseum, Rybak); — Zofia Rygier-Nałkowska: Pamięci Jadwigi Rygierowej; — Edward Abramowski: Symbolizm wspomnień (dokończenie); — Zofia Rygier-Nałkowska: Równieśnice (powieść, c. d.); — Stefan Popowski: Wystawa „Odlamu;“ —

John Ruskin: Paweł Weronese przed inkwizytorami (tłóm. St. Masłowski);—Oceny i sprawozdania: Literatura polska: Wł. Bukowiński: Deotyma „Polska w pieśni. Sobieski pod Wiedniem;”—Henryk Galle: Władysław Łoziński „Życie polskie w dawnych wiekach;”—Literatura francuska przez Wacławę Kislańską;—Muzyka: Juliusz Frankowski „Okręt-Widmo;”—Teatr: Wł. Bukowiński: Anarchia w dramacie i komedyi;—Wspomnienie pozgonne (Mamert Wikszemski) przez Wł. B.;—Książki nadcślane;—Z działu ilustracyjnego wymieniamy: Portret C. Norwida (według akwaforty Fr. Siedleckiego);—rysunek St. Masłowskiego;—rysunek J. Rembowskiego;—oraz winiety: T. Jankowskiego, S. J. Kozłowskiego, St. Masłowskiego, H. Minkiewicza, Edwarda Okunia, Z. Plewińskiej i St. Popowskiego.

— WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE. № 70 i 71. Dr. Feliks Kopera: Materiały do inwentaryzacji zabytków sztuki i kultury w Polsce (c. d.);—K. Bolsunowski: Wiadomość dokładna o skarbie kijowskiej peczerskiej Ławry, odkrytym w 1899 r.;—dr. Bolesław Demel: Przyczynek do dziejów Mennicy warszawskiej (1820 — 1855) (c. d.);—K. Bolsunowski: Minusińsk, jako centrum epoki brązu (c. d.);—Inwentarz wielkorządców krakowskich, wydał M. Marcinkowski (c. d.);—Korespondencya;—Bibliografia.

— ZARANIE ŚLĄSKIE. Kwiecień. Dr. Ernest Farnik i dr. K. Nitsch: Olza;—Jan Sznurowski: Bz, Bz..., Murzyn, Wierzę;—Stanisław Fischer: Kilka słów o Wyspiańskim (c. d.);—A. Jędrzkoński: Ludzka dola i niewola, Naród żyw, oddychał;—ks. Antoni Macoszek: Klasztor Benedyktynów w Orłowej;—Józef Mucha: Zaśpiewałbym... Śląskie dziewczę;—Władysław Górnikiewicz: Teatr amatorski na Śląsku (dok.);—Jan Neruda: Ballada górską, tłóm. L. Koszarzyński;—J. Lebiecznik: Nitra;—Karol Kuźniany: „Kto za prawdę hori,” przeł. E. Grim;—A. Jędrzkoński: O modernizmie w najnowszej literaturze polskiej (dok.);—Wł. Górnikiewicz: Wywłaszczeni;—Ludwik Koszarzyński: Ciężka dola;—Jan Lebiecznik: Prolog do dramatu „Dyabelski syn;”—Leon Wolf: Jak się Jurek Gąsiorów chciał ożenić, obrazek z pod Bogumina;—Pieśni ludowe;—E. Grim: Widzenie, Pod Lignicą;—E. Farnik: Iste roki;—Arjos: I. Jesień. II. Wiosna. Cienie;—Rudolf Z.: Gdybym był...;—J. Lutosław: W rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego;—A. Fischer: Najpoczytniejsze książki polskie;—Leon Wolf: Stróż nocny;—Emil Niebrój: „Zaranie śląskie” wobec krytyki;—Materiały.

— ZNICZ, numer nadzwyczajny, poświęcony pamięci Janusza i Tadeusza Bednarskich. Marzec. Stanisław Stwora: Janusz Bednarski, Miałem ja ciszę;—Tenże: Trzy struny;—Tenże: Lecące liście;—Tenże: Largo Haendla;—Tenże: Pieśń nieznaną;—Tenże: Krucyfiks;—Tenże: Fragment poematu p. t. „Wawel;”—Tenże: Chciałem sobie;—Tenże: Z dzienniczka;—Tenże: List;—Tenże: Czemu odemnie?;—Tenże: Co później będzie?;—Tenże: Koniec tym pieśniom...;—Ze wspomnień o ś. p. Tadeuszu i Januszu Bednarskich;—Janusz Bednarski: Parę słów o zabytkach.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

CZECZOTT WITOLD, Ks.: Wiara, Konferencye apologetyczne. Warszawa, 1907. Wydawnictwo księgarni Nakładowej M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 103.

MANGASARIAN M. M.: Nowy katechizm. Warszawa, 1907. Nakł. księg. Naukowej. 8-o, str. 84.

PODWIN ADAM, Ks.: Drogowskazy. Listy do młodego przyjaciela. Kraków, 1907. Wydawnictwo Spółki Polskiej. 8-o, str. 203.

O. ROMUALD OD ŚW. ELIASZA. Karmelita bosy. Wspomnienie pośmiertne o ś. p. O. Rafale Kalinowskim, karmelicie bosym, uczestniku powstania z r. 1863, długoletnim sybiraku i wygnańcu. Na podstawie źródeł wiarogodnych i za zezwoleniem W. O. Prowincyała. Kraków, 1908. Nakład O.O. Karmelitów bosych w Wadowicach, księg. Fr. Foltina. Dodatek: Listy kondolencyjne i przemówienie M. Gołamba, dyrektora Pow. Kasy Oszczędności w Wadowicach, ogłoszone na pogrzebie ś. p. O. Rafała Kalinowskiego w Czerny dnia 20 listopada 1907. 8-o, str. 54.

BIBLIOGRAFIA.

LEWICKI JÓZEF: Bibliografia druków, odnoszących się do Komisji edukacji narodowej. Zestawił i skorowidzami zaopatrzył ... Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego, Odbitka z „Muzeum.“ 8-o, str. 172.

HISTORIA.

BOBRZYŃSKI MICHAŁ: Julian Dunajewski. Charakterystyka historyczna. Kraków, 1908. Nakł. wydawnictwa „Czasu.“ Odczyt wygłoszony na uroczystym zebraniu Uniw. Jag. w d. 8 stycznia 1908 r. Osobna odbitka z „Czasu.“ 8-o, str. 27.

GĄTKIEWICZ FELIKS, PROF.: Archiwum Drohobycza. Zbiór przywilejów, aktów, dekretów granicznych, lustracji, memoryałów i t. p. Wydał ... Drohobycz, 1907. Nakładem gminy m. Drohobycza. 8-o, str. 407.

ROSTAFIŃSKI JÓZEF: O pierwotnych siedzibach i gospodarstwie Słowian w przedhistorycznych czasach. (Odb. ze Spr. Akad. Um. Wydz. hist.-filozoficznego). Kraków, 1908. Skł. gł. w Warszawie E. Wende i Sp. 8-o, str. 22 i mapka.

TRAMPczyński WŁODZIMIERZ: Historia Polski od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Warszawa, 1907. Nakładem „Księgarni Warszawskiej“ Wodzyńskiego. 8-o, str. 163 + 44.

HISTORIA LITERATURY.

KUBIK WINCENTY: Jak powstał „Farys” A. Mickiewicza? Sprawozdanie dyrekcyi Szkoły realnej we Lwowie za rok szkolny 1907. Lwów, 1907. 8-o, str. 24.

MERCZYNG HENRYK: Podręcznik matematyczny szkół polskich za Zygmunta III. Kraków, 1908. Odbitka z tomu XLVII Rozpraw wyd. mat.-przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie (str. 199—217). 8-o, str. 19.

SCHLINGLER ERWIN: O sonetach Asnyka p. t. „Nad głębiami” na tle jego twórczości. (Wyjątek z pracy p. t. „Adam Asnyk,” szkic krytyczno-literacki). Napisał ... Warszawa, 1908. 8-o.

ZAKRZEWSKI JAN: Czasopiśmiennictwo polskie na emigracyi. Wydawnictwa awiniońskie (1832—1833 r.) Warszawa, 1907. Odb. z „Przeglądu Historycznego.” Skł. gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 43.

PRAWO. — EKONOMIA.

LANGE JÓZEF: O prawach kobiety, jako żony i matki. (Według przepisów, obowiązujących w Królestwie Polskiem). Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. 16-o, str. 16.

LEŻAŃSKI RYSZARD, DR.: O projekcie ustawy o wynagradzaniu szkody z powodu bezzasadnego przytrzymania w areszcie śledczym. Lwów, 1908. Przedruk z „Przeglądu prawa i administracyi.” 8-o, str. 101.

PARVUS: Kryzys handlowy, a związki zawodowe. Przełożył z niemieckiego Ł. K. Z dodatkiem „Projektu prawa ośmiogodzinnego dnia roboczego.” Warszawa, 1907. Nakład Wincentego Raabego 8-o, str. 94.

RUNDSTEIN SZYMON: Umowa pracy w cywilistyce współczesnej. Zagadnienia syntezy i klasyfikacyi. Warszawa, 1907. 8-o, str. 37.

NAUKI SPOŁECZNE.

BAUER OTTO: Zagadnienie narodowości, opracował Maryan Aleksandrowicz. Warszawa, 1908. Wydawnictwo „Społeczeństwa.” 8-o, str. 94.

BÜCHNER LUDWIK: Walka o byt i społeczeństwo obce. (Darwinizm i socjalizm). Z niemieckiego tłómaczył W. P. Łódź, 1907. Nowa biblioteka samokształcenia. 8-o.

DOLIŃSKI ALEKSANDER, NADZW. PROF. UNIW. LWOWSKIEGO: Austriackie prawo Spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Lwów, 1908. 8-o, str. 499.

DYSZKIEWICZ TADEUSZ: Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. Zebrał i opracował ... zast. referenta m. biura statystycznego, XI. Cz. I. Lwów, 1907. Nakł. gminy król. stoł. m. Lwowa. 4-o, form. duży, str. 198.

EGER F.: Żydzi i masoni we wspólnej pracy. Warszawa, 1908. Księgarnia M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 256.

KANTAK K. J., Ks.: Obowiązki społeczne i narodowe. Poznań, 1908. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 63.

KRZYSZTOFOWICZ BOGDAN (PRAWDZIC): Podstawy narodu w rodzinie. Szkic społeczno-obyczajowy. Lwów, 1908. Księg. Maniszewskiego. i Meinhartha. 8-o, str. 48.

NAUKI PRZYRODNICZE. — MATEMATYKA.

GROCHMALICKI JAN, DR.: Badania nad regeneracją soczewki ocznej u ryb. Lwów, 1908. Nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków, księg. Spółki Wyd. Pol. Warszawa, E Wende i Sp. Poznań, J. Leitgeber i Sp. Archiwum naukowe, dział II, tom I, zetz. IV. Z tablicą 8-o form. duży, str. 28.

KRANZ IGNACY: Geometrya pogładowa. Podręcznik dla niższych klas szkół średnich. Część II, na klasę 3 i 4. Kraków, 1908. Nakł. autora, S. A. Krzyżanowski. 8-o, str. 117.

MICZYŃSKI KAZIMIERZ, DR.: Gleby pogórza oleszycko-lubaczowskiego. Z mapą. Odbitka ze Sprawozdania Komisji fizyogr., t. XL, cz. IV, str. 63.

SPRAWOZDANIE Komisji fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności, dokonane w ciągu roku 1906, oraz materiały do fizyografii krajowej. T. XLI (z dwiema tablicami). Kraków, 1908. Nakł. Akad. Um., Spółka Wyd. Polska. Treść. Sprawozdania. Przegląd czynności Komisji fizyograficznej akademickiej w ciągu r. 1906/7;—Spis członków Komisji fizyograficznej akademickiej;—Obrót funduszków komisji fizyograficznej w r. 1906;—Materiały do fizyografii krajowej: Cz. I. Materiały zebrane przez Sekcję meteorologiczną: Wypadki spostrzeżeń meteorologicznych w Galicyi w 1906 r., zestawione w c. k. Obserwatorium astronomicznem w Krakowie;—Gradobicia w r. 1906;—Spostrzeżenia pojawów w świecie roślinnym i zwierzęcym, wykonane w r. 1906 w Ożydowie przez Juliana Hawrysiwicza;—Cz. II. Materiały zebrane przez Sekcję botaniczną i zoologiczną: F. Schieller: Przyczynek do fauny Szczeciogonek (Apterygogenea) Galicyi (z tabl.);—H. Lgocki: Chrząszcze (Coleoptera) zebrane w okolicy Częstochowy w Król. Pol. w latach 1899—1903;—Cz. III. Materiały zebrane przez Sekcję geologiczną: Dr. W. Friedberg: Młodszy miocen Galicyi zachodniej i jego fauna, II (z tabl.);—Cz. IV. Materiały, zebrane przez Sekcję rolniczą: Dr. W. Klecki: Studya nad bydłem nadbużańskim, cz. II. 8-o, format duży, str. XXVI + 71 + 151 + 60 + 78.

POWIEŚĆ.—POEZJA.

BERNSTAJNOWA EMILIA TOPAS: Z cichych dramatów. Łódź-Warszawa, 1906. Nakład Ludwika Fiszersa. 8-o, str. 112.

BOEGLI LINA: *Avanti. Listy z podróży naokoło świata*. Przekład M. Świderskiej. Lwów, 1908. Nakładem B. Połonieckiego. 8-o, str. 286.

BRODOWSKI FELIKS: *Drzewa*. Nakład Jakóba Morkowicza. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. G. Centnerszwer i S-ka. 8-o, str. 138.

FINKELSTEIN MIECZYSLAW: *Poezye. Serya druga*. Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. 8-o, str. 47.

FLAUBERT GUSTAW: *Kuszenie świętego Antoniego*, przełożył z francuskiego A. Lange. Lwów, 1907. Polskie Towarzystwo Nakładowe. Warszawa, E. Wende. 8-o, str. 156.

IRZYKOWSKI KAROL: *Nowele*. Wyd. drugie. Stanisławów, 1908. Nakład księg. Albin Staudacher i Sp. Warszawa, E. Wende. 8-o, str. 182.

JABŁCZYŃSKI FELIKS: *Półromans*. Warszawa, 1907. Nakł. i dr. S. Orgelbranda Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 221.

JĘDRZEJEWICZ JANUSZ: *Poezye*. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 79.

KONOPNICKA MARYA (JAN WAREŻ): *Przez głębinę*. Lwów, 1907. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 45.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: *Sławny człowiek. Powieść*. Warszawa, 1907. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. gł. w księgarni E. Wende i S-ka. 8-o, str. 328.

— *To, co nie przemija*. Warszawa, 1906. Nakład księg. Jana Fiszer. 8-o, str. 227.

ROJAN KAZIMIERZ: *Jutrzeńka. Powieść*. Lwów, 1907. Nakł. „Słowa Polskiego.” Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 285.

STANISŁAWSKA WANDA: *Szare kartki. Poezye*. Kraków, 1907. Księgarnia G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 137.

ZBIERZCHOWSKI HENRYK: *Malarze. Powieść*. Warszawa, 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka. 8-o, str. 339.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1908.

H I S T O R Y A.

	Str.
SEJM W EMIGRACYI,—przez <i>Stanisława Szpotkańskiego</i>	97
SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA NA LITWIE,—przez <i>H. Mościckiego</i>	277
OSTATNIE CHWILE JANA III-go,—przez <i>E. Łunińskiego</i>	457
WESELNA TRAGEDYA,—przez <i>Fr. Rawitę Gawrońskiego</i>	566

SZKICE POLITYCZNE.

STRONNICTWA ROSYJSKIE W DUMIE PAŃSTWOWEJ,—przez <i>B.</i>	
<i>Koskowskiego</i>	813
SPÓR O BAŁTYK,—przez <i>Br. Bouffałła</i>	576

W I Z E R U N K I.

KSIAŻE JAN TADEUSZ LUBOMIRSKI,—przez <i>Kasimierza Kaszewskiego</i> .	217
---	-----

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

WYWŁASZCZENIE,—przez <i>Jana Zółtowskiego</i>	1
UWAGI Z POWODU USTAWY O WYWŁASZCZENIU,—przez <i>Kape</i> . .	10
OSTATNIE DWUDZIESTOLECIE EWOLUCYI SPOŁECZNEJ W AN-	
GLII,—przez <i>M. Lempickiego</i>	34

II

L I T E R A T U R A.

	Str.
ŁUNA (powieść), — przez <i>Kasimierza Zdziechowskiego</i>	23 i 478
SIOSTRA FELICYA (Idylla jesienna), — przez <i>Macieja Wiersbińskiego</i> . . .	247
PAN BALCER W BRAZYLIJ, — przez <i>Maryę Konopnicką</i>	441
PRZED PÓŁWIEKIEM, — przez <i>d-ra B. Dybowskiego</i>	510

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SŁOWACKIEGO LATA OSTATNIE, — przez <i>d-ra T. Grabowskiego</i> . .	73 i 354
RUCH LITERACKI WE FRANCYI, — przez <i>Orwida</i>	117
POD OSŁONĄ LITERATURY, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	136
FANTIN-LATOUR (malarz i litograf), — przez <i>Jana Topassa</i>	158
SZTUKA WE FRANCYI, — przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	384
PROBLEMAT SPOŁECZNY W POWIEŚCI POLSKIEJ, — przez <i>Z. Gro-</i> <i>towskiego</i>	535
WSPÓŁCZESNA GRAFIKA POLSKA, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	588

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Jan Tadeusz ks. Lubomirski i ś. p. Ludwik Górski, — przez <i>Z. D.</i> . .	203
Ś. p. Władysław Ochenkowski i ś. p. Mścisław Godlewski, — przez <i>Z. D.</i> . .	430
Ś. p. Ludwik hr. Dębicki i ś. p. Aleksander Smaczniński, — przez <i>Z. D.</i> . .	624

K R Y T Y K A.

„Moja wojaczka,” 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień Jerze- go Ręczyńskiego, ułożył Władysław Chodźkiewicz, — przez <i>H. Mościckiego</i>	170
WALTER RALEIGH: „Shakespeare,” — przez <i>Andrzeja Tretiaka</i>	172
A. NOWACZYŃSKI: „Car Dymitr Joannowicz.” Kronika dramatyczna, — przez <i>Z. D.</i>	178
„Pamiętniki Ignacego Domejki” (1831—1838). Z autografów wydał Jó- zef Tretiak, — przez <i>H. Mościckiego</i>	405
ARTUR GÓRSKI: „Monsalvat,” rzecz o Adamie Mickiewiczu, — przez <i>Hen-</i> <i>ryka Gallego</i>	407
IGNACY GRABOWSKI: „Król Stanisław August,” tragedia w 10-ciu obra- zach, — przez <i>Henryka Gallego</i>	413
IGNACY CHRZANOWSKI: „Historia literatury niepodległej Polski” (z wypi- sami), — przez <i>Kasimierza Kassewskiego</i>	601

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Str.

KWIECIEŃ:

Zamordowanie Andrzeja hr. Potockiego. — Zakaz językowy w Prusach.—Kolonizacja niemiecka w Król. Polskiem.—Sprawa Uniwersytetu warszawskiego.—Instytut bibliograficzny.—Urzędowe szkolnictwo początkowe w r. 1903/4 . 184

MAJ:

Apel wszechsłowiański.—Dziesięciolecie „Przeglądu filozoficznego.”—Organizacja osadnictwa niemieckiego w Królestwie Polskiem.—Macierz małorolnych 417

CZERWIEC:

Dzień słowiański w Warszawie. — Stulecie Kodeksu Napoleona. — Trzy wystawy.—Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w r. 1907 i projekt wielkiej loteryi artystycznej.—W sprawie „Muzeum Chopina” 610

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

KWIECIEŃ	209
MAJ	433
CZERWIEC	627

DODATEK „PRACA.”

PRZY ZESZYCIE KWIEŹNIOWYM (№ 4): „Ubezpieczenia wzajemne od ognia budowli m. Warszawy,”—przez *Bolesława Chomicza*.

PRZY ZESZYCIE CZERWCOWYM (№ 5): „Wydatki na oświatę w budżecie m. Warszawy w roku 1908,”—przez *d-ra Wiktoryna Kosmowskiego*.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TRZĘŚĆ: Ubezpieczenia wzajemne od ognia budowli miasta Warszawy, przez Bolesława Chomicza.

UBEZPIECZENIA WZAJEMNE OD OGNI

budowli m. Warszawy.

Przez Ukaz Najwyższy, wydany 31 grudnia 1866 r., wyrzeczona została decentralizacja Głównej Dyrekcyi Ubezpieczeń. Zagłada ostateczna tej świetnej w dziejach kraju naszego instytucji została zdecydowana przez Ukaz z dnia 25 września 1869 r.

Ustawa wydana 5 (17) kwietnia 1844 r. o zabezpieczeniach nieruchomości od strat z pożaru wynikających,¹⁾ przestała eo ipso istnieć, wszakże nieruchomości m. Warszawy do chwili obecnej ubezpieczane są na mocy tej Ustawy, nie bacząc na to, że od chwili jej wydania upłynęło przeszło 60 lat.

Nic więc dziwnego, że Ustawa r. 1844, jako nie dostosowana do potrzeb chwili dzisiejszej i oparta na materiale rzeczowym, zgromadzonym przed 70 laty, nie jest w zgodzie z wymaganiami stanu obecnego.

Przedewszystkiem winniśmy zaznaczyć, że najdotkliwszym brakiem tej Ustawy jest usunięcie ogółu zrzeszonych od udziału w sprawach, bezpośrednio go dotyczących.

¹⁾ Bliższe wiadomości o ustawie z dnia 5 (17) kwietnia 1844 znajdzie czytelnik w listopadowym zeszycie „Bibl. Warszaw.” w dodatku „Praca.”

Co prawda, dotąd, odpowiednio do zasad, jakimi kierowała się dawna Dyrekcyja, utrzymali się radcowie ubezpieczeniowi w liczbie 6, mianowani przez Prezydenta miasta Warszawy spośród obywateli miejskich, lecz obecna rola ich jest nie tylko podrzędna, lecz zgoła bierna.

Asystowanie przy likwidowaniu strat pogorzelowych i sprawdzanie od czasu do czasu dowodów szacunkowych jest nazbyt skromnym zakresem działalności tych radców.

Z chwilą skasowania Dyrekcyi Głównej czynności jej, dotyczące m. Warszawy i obejmujące wyłącznie ubezpieczanie nieruchomości od ognia, oraz znajdujących się w nich maszyn, wcielono w ogólny aparat administracyjny m. Warszawy, w którym utworzono osobny wydział do spraw ubezpieczeniowych.

Na mocy instrukcyi, wydanej przez b. Dyrekcyę w dniu 10 (22) maja 1844 r., ustalono sposób obliczania wynagrodzenia dla budowniczych, inżynierów oraz osób specjalnie delegowanych do sporządzania szacunków ubezpieczeniowych i sposób obliczenia tego wynagrodzenia oparto na zasadach następujących:

Ze względu na wartość, budowle dzielią się na dwie kategorie. Pierwszą stanowią budynki, których wartość przenosi sumę 450 rb. i które winny być szacowane szczegółowo (z dołączeniem planów konstrukcyjnych i obliczeń wartości szczegółów, z których składa się budynek ubezpieczany), a drugą tworzą budynki, których wartość nie przenosi 450 rb. i których szacunki mają być sporządzane ogółowo.

Art. 5 instrukcyi omawianej głosi, że kościoły i domy modlitwy, oraz wszelkie zabudowania rządowe, szacowane będą bezpłatnie przez budowniczych lub inżynierów rządowych, przez właściwe władze delegowanych.

Dalszych przepisów tej instrukcyi nie omawiamy, ponieważ 26 lutego (st. st.) r. 1897 dla uzupełnienia tych przepisów wydano przez Komitet Ubezpieczeniowy ¹⁾ nowe prawo o wynagradzaniu architektów i inżynierów za sporządzanie dowodów ubezpieczeniowych.

Zgodnie z nową instrukcją, za sporządzenie szacunku ubezpieczeniowego wraz z planami ustala się wynagrodzenie:

¹⁾ Komitet Ubezpieczeniowy w postaci wydziału ubezpieczeń przy ministerjum Spr. Wewn. powstał w r. 1894. W zakres jego czynności wchodzi nadzór nad Zarządem Ubezpieczeń Wzajemnych (rządowych) w Królest. Pol., oraz kontrola nad działalnością Tow. asekuracyjnych prywatnych w całym państwie.

1-o. Za szacunek ogółowy po 7 $\frac{1}{2}$ kop. od budynku poszczególnego; 2-o. Za szacunek szczegółowy: a) wszystkich budynków mieszkalnych i przemysłowych, ze znajdującymi się w nich maszynami, lub bez nich, po $\frac{1}{4}$ kop. w stosunku do stopy kwadratowej powierzchni budynku, licząc każde piętro osobno; b) od reszty budynków mieszkalnych i gospodarczych po $\frac{1}{8}$ kop. w stosunku wskazanym wyżej.

Dachy i piwnice wszystkich budynków, ubezpieczanych szczegółowo, nie powinny być rachowane, jako piętra osobne, wyłączając atoli te wypadki, kiedy pod dachem lub w piwnicy znajdują się na całej ich przestrzeni lokale, maszyny, lub aparaty i t. p. narzędzia, włączane do szacunku budowli.

Za sporządzania przewidzianych przez art. 72 i 76 ustawy r. 1844 świadectw o odbudowie budynku spalonego nic się nie płaci, jeżeli dla uzasadnienia swych żądań właściciel przedstawia dowody ubezpieczeniowe, sporządzone przez tę samą osobę, co sporządzała świadectwo.

Gdy świadectwo podobne jest żądane bez okazania nowych szacunków, to sporządzający świadectwo ma prawo żądać od właściciela następującego wynagrodzenia: a) po 50 kop. od budynku, ubezpieczonego ogółowo i b) po rublu od budynku, szacowanego szczegółowo.

Z mocy § 17 instrukcyi, wydanej 17 (29) stycznia r. 1845 za termin rozpoczynającego moc prawną ubezpieczenia, poczytuje się data „kwitu sznurowego,” na przyjęte dowody ubezpieczeniowe do zatwierdzenia, wszakże z tem zastrzeżeniem, że wysokość tego ubezpieczenia i jego warunki zależne będą od ostatecznego rozpoznania.

Art. 18 Ustawy r. 1844 głosi, że właściciele budowli, w których stale są umieszczone maszyny, sprzęty i zakłady fabryczne, wchodzące do taksy nieruchomości, mogą je wyłączać z szacunku szczegółowego tych budowli i ubezpieczać oddzielnie, jako ruchomości podług zasad, dla tego ubezpieczenia przewidzianych. Z tego wynika, że ubezpieczanie ruchomości nie jest obowiązujące dla właścicieli budowli.

W sprawie likwidacyi strat pogorzeliowych art. 54 głosi, że w Warszawie protokół sprawozdania pogorzeli sporządzać będzie komisarz cyrkułu właściwego wraz z delegowanym i złoży ten protokół z likwidacyami i wszelkimi dowodami Magistratowi miasta. Obecnie sporządzaniem likwidacyi zajmuje się inspektor wydziału asekuracyjnego w Magistracie w obecności radcy oraz delegata policyi miejskiej.

Przy przyjmowaniu budowli do ubezpieczenia, Ustawa r. 1844 rozróżniała cztery ich kategorie, stosownie do materiału, użytego do budowli.

Do klasy I były włączone budowle, których ściany, jakoteż pokrycia stanowiły materiały niepalne (cegła, kamień, blacha, dachówka i t. p.).

Do klasy II należały budowle z materiałów wyżej wskazanych, lecz ze szczytami z materiałów palnych, lub z takim pokryciem, albo też budowle o ścianach drewnianych, o pokryciu ogniotrwałem.

Klasę III stanowiły budowle o ścianach z drzewa lub mieszanych pod pokryciem z drzewa, lub też o ścianach z kamienia, albo cegły, lecz krytych słomą lub trzciną.

Do klasy IV były włączone wszelkie budowle, oprócz murywanych, kryte słomą lub trzciną.

Ze względu na przeznaczenie i użycie budowli w każdej klasie były ustanowione trzy stopnie niebezpieczeństwa od ognia: 1) budowle niemieszkalne bez ognisk, jakoteż budowle mieszkalne zwykłe; 2) budowle, grożące większym stopniem niebezpieczeństwa i 3) budowle, grożące szczególnem niebezpieczeństwem od ognia.

Do budowli I stopnia należały także mosty, szluzы i upusty, ubezpieczane li tylko na żądanie właścicieli.

Drugi stopień niebezpieczeństwa stanowiły budowle: browary, kuźnie, wszelkie fabryki i zakłady, w których pod kotłami utrzymuje się stale ogień, fabryki chemiczne, składy hurtowe spirytusu, oleju i t. p., przędzalnie i zakłady handlowe bawełny, składy węgla, wełny, łoju i t. p.

Budowle III stopnia tworzyły teatry, walcownie, huty szklane, suszarnie z ogniskami, szopy cegielniane, kryte słomą i t. p., jakoteż wszelkie budowle z kominami sztangowemi lub lepionemi, huty zaś szklane, wielkie piece, pudlingarnie, o ile były umieszczone w budowlach drewnianych, były uważane za dwa razy niebezpieczniejsze od budowli stopnia trzeciego.

Tak się przedstawia obecnie, stosowany przez b. Dyrekcyę, podział na kategorie ryzyka pod względem niebezpieczeństwa od ognia. Za znaczną wadę takiego ugrupowania budowli należy poczytać wogóle brak podziału ryzyka na fabryczne i zwykłe, jakoteż niedostateczne stopniowanie pod względem palności.

W stosunku do powyższych ugrupowań składki ogniowe były ustalone podług niżej załączonej tabeli:

Klasa	Stopnie		
	I	II	III
I	1	1½	2
II	2	8	5
III	3	5	8
IV	4	8	12

By ułatwić obrachowanie składki z zastosowaniem jej do większego lub mniejszego stopnia niebezpieczeństwa zabudowań, była ustalona jednostka składki obok ubezpieczonej wartości zabudowania.

Jednostkę składki stanowiła ta suma, jaką wypadało płacić od 10 rb. wartości ubezpieczonej w zabudowaniu klasy I i stopnia I. Stąd wynika, że od takiegoż zabudowania wartości rb. 20 opłata wynosiła dwie jednostki składkowe, od wartości 40 rb. 4 jednostki składkowe i t. d.

Od zabudowania, dajmy na to, klasy II stopnia III, dla którego, zgodnie z załączoną wyżej tablicą, stopa składki odpowiada 5-u, opłata stanowić będzie 5 jedności składkowych przy sumie ubezpieczonej 10 rb., a przy wartości, zabezpieczonej w 20 rb., wypadnie 10 jedności składkowych.

Kierując się zasadami wyłuszczone, Dyrekcyja Ubezpieczeń ustaliła na r. 1847 jednostkę składkową w ilości $1\frac{1}{3}$ kop. i odpowiednio do tego na ów rok została zatwierdzona następująca taryfa składek:

Klasa I, Stopień I, składka od 10 rb.	$1\frac{1}{3}$ kop.
" " " II	2 "
" " " III	$2\frac{2}{3}$ "
Klasa II, Stopień I	$2\frac{2}{3}$ "
" " " II	4 "
" " " III	$6\frac{2}{3}$ "
Klasa III, Stopień I	4 "
" " " II	$6\frac{2}{3}$ "
" " " III	$10\frac{2}{3}$ "
Klasa IV, Stopień I	$5\frac{1}{3}$ "
" " " II	$10\frac{2}{3}$ "
" " " III	16 "

Na tych zasadach, z drobnymi w latach poszczególnych zmianami wysokości jednostki składkowej, spoczywała taryfa składek za ubezpieczenie nieruchomości przez czas działalności Dyrekcyi Głównej Ubezpieczeń.

Z chwilą jej skasowania i utrzymania Ustawy roku 1844 jedynie dla nieruchomości m. Warszawy, stopa składek na mocy Ukazu Nr wyższego z dnia 11 grudnia 1870 r. została w stosunku do poprzedniej zwiększona o 50% z pobieraniem jej w kwietniu, a dodatkowej, w razie potrzeby, w październiku. Jednocześnie nakazano, żeby wszelkie pozostałości, jakie mogą być osiągnięte ze składek od Ubezpieczenia budowli m. Warszawy, przelewać do kapitału zapasowego tegoż ubezpieczenia (Dz. praw LXXI).

Po takim pobieżnym przeglądzie zasad ubezpieczenia i podstaw, na jakich spoczywała stopa opłat podczas istnienia Dyrekcyi, przejdźmy do cyfr, które przynajmniej do pewnego stopnia wyświetlą stan Ubezpieczeń m. Warszawy za ten okres czasu i stopniowy wzrost sumy ubezpieczenia. Co zaś do strat od pogorzeli i ich ilości, to braknie odnośnych cyfr, gdyż dział statystyczny nie był prowadzony przez Dyrekcyę, a straty, spowodowane przez pożary w m. Warszawie, wykazywano w rubryce ogólnej dla wszystkich miast Królestwa.

Lata	Suma ubezpiecze- nia	Składka roczna
	R u b l e	
1845	16,437,548	40,975
1846	16,778,441	37,201
1847	16,896,345	41,849
1848	16,445,880	40,841
1849	19,155,480	36,263
1850	19,343,090	36,263
1851	19,596,790	36,951
1852	20,258,440	47,578
1853	20,842,840	50,270
1854	21,111,080	60,392
1855	21,507,200	58,873

Widzimy z powyższego, że w przeciągu 11 lat suma ubezpieczenia podniosła się o 5,069,652 rb., a składki o 17,898 rb. Wysokość składki od 100 rb. sumy ubezpieczonej wynosiła 23 kop. biorąc w stosunku roku jednego przeciętnie za okres powyższy.

Cyfry zaś, jakie czytelnik znajdzie w wykazie poniżej załączonym, tworzą dostateczny obraz stanu ubezpieczeń za okres czasu 21 lat (1876—1896 r.).

L a t a	Suma ubezpieczenia w rublach	Składka roczna		Straty ogniowe		Liczba nieruchomości
		RUBLE	KOP.	RUBLE	KOP.	
1876	57,375,750	120,762	21	76,564	34	3608
1877	61,540,970	128,390	36	50,373	34	3695
1878	65,297,940	136,250	20	72,867	66	3705
1879	70,669,520	146,682	28	137,100	34	3769
1880	78,997,840	161,623	18	64,472	50	4050
1881	86,402,770	175,235	03	156,865	97	4193
1882	91,513,050	185,138	20	179,454	65	4265
1883	96,483,470	258,937 ¹⁾	52	224,802	60	4287
1884	99,995,010	200,522	95	132,511	25	4383
1885	103,478,940	207,275	47	53,390	10	4424
1886	105,630,560	210,756	65	41,366	46	4457
1887	106,378,910	211,983	29	89,524	20	4467
1888	107,995,960	214,479	70	68,763	15	4487
1889	109,731,820	217,056	47	52,236	50	4507
1890	111,533,540	219,749	45	73,714	—	4981
1891	115,050,220	229,280	87	83,960	—	4990
1892	117,766,760	231,560	22	92,870	—	5062
1893	121,103,830	238,420	19	136,391	—	5096
1894	127,013,650	246,940	24	30,583	90	5153
1895	132,001,270	254,991	23	37,934	—	5209
1896	137,800,950	265,376	77	89,168	50	5296
		4,261,412	48	1,944,934	16	

Wykaz poniższy jest uzupełnieniem poprzedniego i wskazuje koszty utrzymania Zarządu, zapomogi dla straży ogniowej miejskiej, ogólną sumę wydatków, oraz różnicę pomiędzy sumą składki, a ogólną sumą wydatków.

L a t a	Koszty utrzymania Zarządu	Zapomogi dla straży ogniowej miejskiej	Ogólna suma wydatków łącznie ze stratami ogniow.	Różnica między składką a wydatkami + syzk — deficyt
	R u b l e			
1876	6,281	24,000	106,845	+ 13,917
1877	6,281	41,604	98,258	+ 30,132
1878	6,281	41,604	120,752	+ 15,498
1879	6,281	41,604	184,985	— 38,303
1880	6,281	41,604	112,357	+ 49,266
1881	6,281	41,604	204,750	— 29,515
1882	6,281	41,604	227,339	— 42,201
1883	6,281	41,604	272,687	— 78,484
1884	6,281	41,604	180,396	+ 20,126
1885	6,281	41,604	101,275	+ 106,000
1888	6,281	41,604	89,251	+ 121,505
1887	6,281	41,604	137,509	+ 74,474
1888	6,281	61,100	136,144	+ 78,335
1889	7,781	61,100	121,117	+ 95,939
1890	6,281	61,100	141,095	+ 78,654
1891	9,981	63,100	157,041	+ 72,239
1892	8,981	63,100	164,951	+ 66,609
1893	11,689	63,100	211,180	+ 27,240
1894	9,689	63,100	103,372	+ 143,567
1895	9,814	63,100	110,848	+ 144,143
1896	9,948	63,100	162,236	+ 103,140
155,817		1,043,544		

¹⁾ W tej sumie znajduje się składka dodatkowa, stanowiąca 64,734 rb. 38 k., czyli $\frac{1}{3}$ część składki normalnej i w okresie tych 21 lat pobrana była jedynie w 1893 roku.

Zastawienie dwu wykazów powyższych, przekona, że na jeden rok operacyjny przypada przeciętnie:

Sumy ubezpieczenia	Składki rocznej	Straty ogniowe	Koszty utrzymania Zarządu	Zapomogi straży ogniowej	Ogólna suma wydatków łącznie ze stratami ogniowymi	Różnica między składką a wydatk.
100,179,170	202,924	92,615	7,420	49,692	149,727	+53,197
57,112						

Cyfry i wnioski, zawarte w trzech wykazach powyższych, stwierdzają dość pomyślny stan ubezpieczeń budowli m. Warszawy za okres od 1876—1896, gdyż, jak widzimy, zysk przeciętny osiągnął w każdym roku operacyjnym znacznej sumy 53,197 rb., nie bacząc na to, że ogólna suma zapomóg, udzielonych przez ten czas straży ogniowej miejskiej, wyniosła 1,043,544 rb.

Taki zadawalający wynik, oparty przeważnie na tem, że stopa opłat nie była dostosowana do normalnego stanu rzeczy t. j. do stopnia palności budowli w poszczególnych dzielnicach, oraz na podwyższeniu taryfy, poczynwszy od 1871 r., o 50%, wywołał konieczność obniżenia takowej.

Za zmianą stopy opłat przemawiała jeszcze i ta okoliczność, że budowle klasy III, stopnia I i II, oraz budowle klasy I stopnia II, czyli budowle z większem niebezpieczeństwem palności (fabryki i zakłady przemysłowe) dały, w przeciętnym obrachunku, straty dość znaczne, jak o tem świadczy wykaz poniższy, dotyczący wyszczególnienia sumy wydatków i dochodów *w stosunku do 1000 rb. sumy ubezpieczonej*.

	KLASA I			KLASA II			KLASA III			KLASA IV ¹⁾		
	Stopnie niebezpieczeństwa											
	I	II	III	I	II	III	I	II	III			
Dochody	1.50	2.25	3.00	3.00	4.50	7.50	4.60	7.50	12.00			
Wydatki	0.83	2.64	2.27	1.89	2.92	5.69	4.80	8.93	7.59			
Zysk . .	0.67	—	0.73	1.11	1.58	1.81	—	—	4.41			
Strata. .	—	0.39	—	—	—	—	0.30	1.43	—			

¹⁾ Budowli tej klasy, czyli niemurowanych pod słomą lub trzcina, Warszawa w tym okresie czasu nie posiadała.

Wskazówki powyższe, wysnute z całego szeregu lat, zmusiły Komitet Ubezpieczeniowy do dokładnego rozważenia stosowanej poprzednio taryfy i do zmian w niej dostosowanych do stopnia palności.

Niżej podajemy motywy, któremi rządził się Komitet Ubezpieczeniowy, rozstrzygając sprawę omawianą 13 stycznia 1899 r.

Ubezpieczenia budowli miasta Warszawy, tworząc sumę 146,991,270 rb. (w dniu 1 maja 1898 r.), posiadają w kapitale zapasowym 1,927,921 rb. 58 k., które przynoszą prawie 70,000 rb. procentu.

Składka Ubezpieczeniowa w okresie 1876—1897 r. stanowiła przeciętnie przeszło 200,000 rb., wydatki zaś za ten przeciąg czasu równały się 149,000 rb., czyli że corocznie dochody przewyższały sumę 50,000 rb., nie licząc procentu od kapitału zapasowego. Wobec takiego zadowalniającego stanu kasy ubezpieczeniowej, Komitet uznał za właściwe obniżyć obowiązującą skalę opłat.

Wszakże Komitet uwzględnił, że ogólne, równomierne zniżenie skali opłat dla budowli wszystkich klas byłoby niesłusznem, ponieważ operacye ubezpieczeniowe nie dały jednostajnych rezultatów we wszystkich grupach budowli podług klas.

W sześciu kategoriach klasyfikacyi obowiązującej otrzymano zysk, wahający się pomiędzy 67 kop., a 4 rb. 41 kop. w stosunku do 1000 rb. sumy ubezpieczonej, w pozostałych trzech kategoriach kasa ubezpieczeniowa poniosła straty w wysokości od 30 kop. do 1 rb. 43 kop. na 1000 rb. sumy ubezpieczenia. Dla zażegnania takich ujemnych następstw błędów w klasyfikacyi budowli, nieodzownem się stało wyłączenie przedewszystkiem fabryk i zakładów przemysłowych do osobnego działu, a wszystkie budynki podzielono na dwa rodzaje: 1) budynki zwykłe, mieszkalne i gospodarcze, 2) fabryki i zakłady przemysłowe.

W każdym z omawianych rodzajów należy, zdaniem Komitetu, ustalić trzy stopnie niebezpieczeństwa ogniowego, a ze względu na materiały budowlane podzielić budowle na murowane, mieszane i drewniane z podziałem na budynki o pokryciach niepalnych i palnych.

Rozważając sprawę zasad ogólnych co do ustalenia wysokości skali opłat, Komitet uznał za przedwczesne wstrzymywać dalszy wzrost kapitału zapasowego. ¹⁾

Wszakże biorąc pod uwagę znaczne nagromadzenie się kapitału zapasowego, Komitet uznał za możliwe ograniczyć wzrost

¹⁾ Władze Magistratu m. Warszawy przedstawiły ze swej strony projekt nowej stopy opłat, zmierzający właśnie ku temu celowi.

tego kapitału do przyrostu drogą oprocentowania, co, jak widzieliśmy, stanowi 70,000 rb. rocznie, a w takich warunkach należało obarczyć ubezpieczonych składką, wyrównywającą przeciętnej sumie jednorocznych strat ogniowych od pogorzeli, oraz rocznej sumie wydatków na utrzymanie Zarządu.

W ten sposób taryfa, projektowana przez Komitet, winna była stanowić ulgę znaczną w opłacie składek ogniowych.

Naprzykład, dla budowli murowanych o pokryciach ogniotrwałych, oraz dla budowli mniej niebezpiecznych pod względem pożaru, których Warszawa posiada 75% ogólnej ilości domów, składka obniża się o 50 %, zamiast 1 rb. 50 kop.—75 kop. od 1000 rb. sumy ubezpieczonej.

Oprócz tego w porównaniu ze stopą opłat, stosowaną przez Tow. akcyjne, projektowana taryfa jest znacznie tańszą od stosowanej we wszystkich klasach budynków, z wyjątkiem pierwszej (murowanych, krytych materiałami ogniotrwałymi, I stopnia niebezpieczeństwa ogniowego).

Data wprowadzenia nowo ułożonej stopy opłat została przez Komitet wyznaczona na 1 stycznia r. 1900, a na wydatki, połączone z nową taryfikacją, przeznaczono 13,000 rb.

Przytaczamy poniżej nowo opracowaną skalę opłat i nadmieniamy, że rachuba i wnioski, jakimi powodował się Komitet Ubezpieczeniowy, w dziale ryzyk fabrycznych, były w rażącej sprzeczności ze stopniem palności tego rodzaju budowli w pierwszych latach po opracowaniu nowej stopy opłat.

Mianowicie lata 1900, 1901, 1902, 1903 wykazały, że składka roczna, pobierana z ryzyk fabrycznych, nie wystarcza na pokrycie strat pogorzelowych w tym dziale budowli. W takich warunkach, by uchronić kasę ogniową od deficytów, z początkiem r. 1904 stopę opłat dla ryzyk fabrycznych podwyższono w stopniu znacznym.

Stopa opłat, obowiązująca od r. 1900.

Dział I. Budowle zwykłe.

Klasy budowli według materiałów, użytych na budowę	Stopnie niebezpieczeństwa ogniowego					
	I		II		III	
	Składka od 1000 rb. sumy ubezpieczonej					
	RUB.	K.	RUB.	K.	RUB.	K.
I. Budynki murowane o pokryciach niepalnych	—	75	—	85	1	—
II. „ „ „ „ „ palnych.	1	50	1	70	2	—
III. Budynki mieszane o pokryciach niepalnych	2	—	2	30	2	50
IV. „ „ „ „ „ palnych.	3	50	4	—	4	20
V. Budynki drewniane o pokryciach niepalnych	3	—	3	20	3	50
VI. „ „ „ „ „ palnych.	4	—	4	50	5	—

Dział II. Fabryki i zakłady przemysłowe. ¹⁾

Klasy budowli według materiałów, użytych na budowę	Stopnie niebezpieczeństwa ogniowego					
	I		II		III	
	Składka od 1000 rb. sumy ubezpieczonej					
	RUB.	K.	RUB.	K.	RUB.	K.
I. Budynki murowane o pokryciach niepalnych	2	50	3	—	3	50
II. " " " " palnych.	3	60	4	50	5	—
III. Budynki mieszane o pokryciach niepalnych	4	50	5	40	6	—
IV. " " " " palnych.	6	85	7	80	8	65
V. Budynki drewniane o pokryciach niepalnych	5	65	6	60	7	30
VI. " " " " palnych.	8	—	9	—	10	—

Świątynie wyznań chrześcijańskich opłacają składkę zniżoną o 20% od ustalonej dla budowli zwykłych i gospodarczych, a ulga wzmiankowana dotyczy także i budynków, znajdujących się przy świątyniach.

Zarządowi Ubezpieczeń pozostawiono prawo obniżania opłaty: 1) dla budynków, krytych papą czarną, smołowcowaną i posypaną piaskiem, 2) dla budowli drewnianych, których ściany są pokryte gliną, lub też szczelnie otynkowane. Wysokość zniżki określa Zarząd w zależności od gorszego lub lepszego stanu budynku i pokrycia, wszakże pod warunkiem, że zniżka powyższa nie będzie przekraczała 20% składki, należnej od tego budynku na mocy taryfy.

¹⁾ Stopa opłat dla budowli działu II z upływem r. 1903 została opracowana ponownie i skala, obowiązująca od r. 1904, przedstawia się w cyfrach następujących:

Klasy budowli według materiałów, użytych na budowę	Stopnie niebezpieczeństwa ogniowego					
	I		II		III	
	Składka od 1000 rb. sumy ubezpieczonej					
	RUB.	K.	RUB.	K.	RUB.	K.
I. Budynki murowane o pokryciach niepalnych	3	50	4	50	5	—
II. " " " " palnych.	5	—	6	50	7	—
III. Budynki mieszane o pokryciach niepalnych	6	50	7	60	8	50
IV. " " " " palnych.	9	60	11	—	12	50
V. Budynki drewniane o pokryciach niepalnych	8	—	9	50	10	50
VI. " " " " palnych.	11	50	12	60	14	—

Od budynków mieszanych, w których jedynie szczyty są z drzewa, dachy z materiału niepalnego, a inne składowe części budynku z kamienia lub cegły, składka pobiera się o 10% większa, niż od budynków murowanych.

Od budynków, krytych słomą, trzciną lub sitowiem, składka pobiera się o 25% wyższa, niż od budynków, krytych miękką.

Budowle, ze względu na materiały, użyte na budowę, dzielą się na: a) murowane, b) mieszane, c) drewniane; — ze względu na pokrycia na a) budynki o pokryciach niepalnych (metal, dachówka, szkło i t. p.) oraz b) na budynki o pokryciach palnych.

W stosunku do swego przeznaczenia budowle dzielą się na dwa zasadnicze działy; do pierwszego należą budynki zwykłe, do drugiego fabryki i zakłady przemysłowe.

Do działu fabryk i zakładów przemysłowych zaliczone są wszystkie zakłady, posługujące się parą, a do innych, nie posługujących się siłą pary, dołączone są: a) te zakłady, w których liczba pracujących przewyższa 15 osób przy pracy ręcznej i 10 osób przy użyciu siły mechanicznej i b) zakłady, w których ogólna wartość maszyn, aparatów i innych narzędzi produkcji przewyższa sumę 10,000 rb.

Oprócz tego i niezależnie od rodzaju używanej siły, liczby pracujących i wartości maszyn — do kategorii fabryczno-przemysłowych budynków dołączają się: młyny, gorzelnie, browary, cegielnie, piece wapienne, huty szklane, tartaki, fabryki zapalek, oraz rozmaitego rodzaju fabryczne suszarnie z ogrzewaniem.

Podział budynków (zwykłych i fabrycznych) pod względem niebezpieczeństwa ogniowego został w nowej taryfie przeprowadzony szczegółowo, z różniczkowaniem i stopniową gradacją stopy opłat dla ryzyk, przedstawiających znaczny stopień niebezpieczeństwa, czy to z powodu materiałów łatwo palnych, zawartych w budynku, czy też z powodu samych cech produkcji w zakładzie fabrycznym.

Z braku miejsca nie podajemy całego szeregu podziału ryzyk pod względem omawianym, przejdziemy natomiast do rozważenia zakresu operacji ubezpieczeniowych po wprowadzeniu w życie taryfy nowej.

To też stan kasy ogniowej, w rok po zastosowaniu nowej taryfy opłat, przedstawiał się w świetle cyfr z dniem 1 kwietnia 1901 r., jak następuje:

Dział I. Budynki zwykłe

Ogólna licz- ba ubezpie- czonych budynków	Wysokość ubezpieczenia																		Ogólna suma ubezpiecz.	Wysokość roczn. skład.	Straty po- gorzelowe
	Klasa I			Klasa II			Klasa III			Klasa IV			Klasa V			Klasa VI					
	Stopnie niebezpieczeństwa ogniowego																				
	I	II	III	I	II	III	I	II	III	I	II	III	I	II	III	I	II	III			
27,739	93,557,440	26,231,470	20,944,810	2,026,750	495,640	734,380	703,090	377,710	436,760	290,800	61,510	67,110	2,100,060	340,950	273,570	4,859,510	592,890	1,194,690	155,289,090	157,049	42,417

Ponieważ, jak widzimy, składka roczna stanowiła sumę 157,049 rb., a straty, w tym dziale poniesione, sięgają zaledwie 42,417 rb., przeto składka roczna pokryła straty parokrotnie i dała w zysku sumę 114,632 rb.

W innem zgoła świetle przedstawia się wynik operacyj ubezpieczeniowych za ten sam rok w stosunku do działu budowli fabrycznych i zakładów przemysłowych. Rezultat ten wskazuje wyraźnie, że wzajemność w ubezpieczaniu nie powinna polegać bynajmniej na tem, aby w jednej kasie łączono ryzyka natury pewnej (budowle zwykłe) z ryzykami natury wątpliwej (zakłady przemysłowe) bez podziału funduszków, z tych źródeł płynących, ponieważ stopień palności i skala niebezpieczeństwa ogniowego zakładów przemysłowych i fabryk, oraz znacznie wyższa przeciętna wartość ryzyka poszczególnego w tym dziale, spowodują zawsze ten niepomysłny i niepożądany rezultat, że straty w tym dziale, przewyższające składkę roczną, będą pokrywane zyskiem osiągniętym w dziale pierwszym, czyli w rachunku budynków zwykłych.

Wykaz następny zawiera cyfry, wyświetlające stan i operacye ubezpieczeniowe w dziale drugim (fabryk) w pierwszym roku po zastosowaniu nowej taryfy opłat.

Dział II. Fabryki i zakłady przemysłowe.

Ogólna licz- ba ubezpie- czonych budynków	Wysokość ubezpieczenia																		Ogólna suma ubezpiecz.	Wysokość roczn. skład	Straty po- gorzelowe
	Klasa I			Klasa II			Klasa III			Klasa IV			Klasa V			Klasa VI					
	Stopnie niebezpieczeństwa ogniowego																				
	I	II	III	I	II	III	I	II	III	I	II	III	I	II	III	I	II	III			
1,553	5,823,810	1,626,130	2,343,320	2,548,190	1,836,450	4,296,600	85,140	173,990	118,590	124,290	142,570	226,320	43,470	740	5,810	106,040	174,840	206,500	19,882,800	68,329	195,282

Z dwóch wykazów powyższych układamy jeden dla zestawienia skali palności i otrzymujemy tabelę następującą:

	Liczba budynków	Suma ubezpieczenia	Składka roczna	Straty ogniowe	Przeciętna wartość ubezpiecz. jednego budyn.	Na 100 rb. sumy ubezpiecz. przypada		Zysk + deficyt
						składki	strat	
Dział I	27,739	155,289,090	157,049	42,417	5,560 ¹⁾	10 k.	2 k.	+ 8 k.
Dział II	1,853	19,882,800	68,329	237,700	10,740 ¹⁾	34 k.	120 k.	— 86 k.

Chociaż wnioski powyższe wysnute są z operacyj ubezpieczeniowych tylko za rok jeden, to jednak, ponieważ znajdują potwierdzenie w rezultatach, osiągniętych w całym szeregu lat (1876—1896), dają dostateczne świadectwo, jak wielkim ciężarem są ryzyka fabryczne dla budowli zwykłych, czyli przeważnie domów mieszkalnych obywateli m. Warszawy.

Nic więc dziwnego, że lwia część zysków z działu pierwszego staje się, że tak powiemy, „przymusowo wywłaszczoną“ na korzyść budowli działu drugiego, co nie jest wcale zgodne z zasadą wzajemności w ubezpieczaniu, podług której to zasady gwarancya wzajemna zachowania wartości mienia powinna dotyczyć wyłącznie ryzyk równoważnych, ryzyk, mających wspólne cechy bezpieczeństwa ogniowego.

Z tego względu taki stan ubezpieczeń wzajemnych, przy którym ryzyka kategorii odmiennej pokrywają swoją stratę z operacji ubezpieczeniowej składką z ryzyk natury odrębnej, powinien być uważany za nienormalny, a przeto winien być usunięty z pożytkiem dla zrzeszonych.

O środkach, mogących skutecznie temu zapobiedz, będzie mowa w końcu artykułu.

Obecnie przystąpimy do rozważenia operacyj ubezpieczeniowych w latach następnych. Musimy wszakże uprzedzić, że chociaż cyfry, jakimi posługujemy się, są miarodajne, bo zaczerpnięte ze sprawozdań urzędowych, to jednak nie są w stanie odtworzyć szczegółowego stanu rzeczy, a to z tej przyczyny, że dział statystyczny

¹⁾ Stosunkowo mała wysokość przeciętna ubezpieczenia jednej budowli polega na tem, że na mocy Ustawy r. 1844 ściany murowane (stanowiące pod względem wartości najgłówniejszą część budynku) są ubezpieczane w pewnej części ich wartości ($\frac{1}{4}$, $\frac{1}{3}$, $\frac{2}{4}$) zależnie od piętra, czyli od ewentualności mniejszego lub większego uszkodzenia przez pożar.

przy wydziale ubezpieczeniowym nie jest uwzględniony, a w sprawozdaniach rocznych z działalności ubezpieczeń wzajemnych znajdujemy wyłącznie cyfry ogólne o stanie funduszków, bez poparcia tego obrazu materiałami, które w stopniu należytych mogłyby wykazać braki taryfy.

Nie potrzebujemy chyba nadmieniać, że taryfa opłat reguluje się przez jeden lecz zasadniczy, a niezmiernie ważny czynnik: mianowicie przez obserwację nad stopniem palności różnego rodzaju i różnych kategorii budynków za pewien przeciąg czasu.

Jedynie te wskazówki mogą postawić taryfę opłat na gruncie nie tyle ścisłym, ile bliskim od istotnego stanu rzeczy.

Za dotkliwy brak, który powoduje niemożność zestawienia stopnia palności budynków działu pierwszego (zwykłych) ze stopniem palności budowli działu drugiego (fabryk), należy uważać tę okoliczność, że w sprawozdaniach rocznych z działalności Ubezpieczeń Wzajemnych m. Warszawy, nie znajdujemy podziału sumy ubezpieczonej i odszkodowania strat w stosunku do kategorii ryzyk różnej natury, a cyfry te podane są łącznie t. j. bez uwzględnienia rodzaju ryzyk.

Lata	Liczba pożarów	Wysokość ubezpieczenia	Składka roczna	Odszkodowanie	Na 100 rb. sumy ubezp. przypada		+ Zysk — deficyt
					Składki	Odszkodowania	
1902	118	214,756,040	280,014	183,454	1.38	0.85	+ 53
1903	108	224,838,950	282,949	49,138	1.28	0.22	+1.06
1904	119	236,119,670	323,109	98,886	1.37	0.42	+0.95
1905	115	248,459,170	338,901	55,007	1.38	0.23	+1.15
1906	130	257,580,250	352,792	80,204	1.37	0.31	+1.06

Koszt utrzymania administracji łącznie z zapomogą, przeznaczaną corocznie na utrzymanie straży ogniowej miejskiej, stanowi dość pokąźną rubrykę, jak o tem świadczą cyfry roku 1906, niżej przytoczone:

- 1) Pensye urzędników 13,200 rb. — k.
- 2) Wydatki na artykuły piśmienne 1,000 rb. — k.
- 3) Fundusz, przeznaczony na zasiłek
skarbowy na utrzymanie kontroli 599 rb. 90 k.
- 4) Zasiłek kasie miejskiej na utrzymanie
straży ogniowej 90,500 rb. 33 k. ¹⁾

Razem 105,800 rb. 23 k.

¹⁾ Zapomoga ta stanowi 36% ogólnej sumy kosztów utrzymania straży miejskiej.

Rubryki wydatków pozostają prawie bez zmiany w ostatnich latach paru. Nadmienimy tylko, że na straż ogniową przeznaczono w r. 1905 78,366 rb. 67 kop.

1904 60,100 „ — „

1903 60,100 „ — „

Co zaś do przyczyn, które wywoływały pogorzele, to odpowiednie wskazówki zawiera wykaz poniższy:

	Liczba pożarów	Z przyczyn nie- wiadom.	Nieuważ. obchodz. się z o- gniem	Wadliwa kon- strukcja	Z sady w komi- nie	Wybuch gazu	Z pod- palenia	Lata
	108	39	32	34	1	2	—	1903
	119	36	42	37	—	3	1	1904
	115	32	41	35	1	2	4	1905
	130	64	38	26	—	1	1	1906
Razem. .	472	171	153	132	2	8	6	
W stosunku do	100	36.5%	32.5%	28%	0.4%	1.7%	1.2%	

Widzimy więc, że najliczniejszą rubrykę stanowią pożary z „przyczyn niewiadomych.“ Niezawodnie w większości wypadków nie podobna ustalić przyczyny pożaru, a przeto w rubryce tej mieści się niewątpliwie część wypadków należących do innych rubryk zwłaszcza zaś do takich jak: „wadliwa konstrukcja,“ „nieostrożne obchodzenie się z ogniem.“

Z tego, cośmy dotąd przytoczyli, można dojść do wniosku, że dla nieruchomości m. Warszawy obcem jest zjawisko pożarów zbiorowych, to widmo klęski ogniowej, trapiące cały obszar kraju naszego.

Pomyślna dla Ubezpieczenia skala palności budowli m. Warszawy, uwarunkowana jest zadowalającym stanem budynków pod względem budowlano-technicznym, bowiem materiały ogniotrwałe przeważają nad innymi, a nadto pomoc straży ogniowej jest natychmiastowa i nader skuteczna i sprawna.

Ze względów powyższych kapitał zapasowy Wzajemnych Ubezpieczeń m. Warszawy wzrósł bardzo znacznie, o czem świadczą dane następujące:

Rok 1893	1,253,025 rb. 45 $\frac{1}{2}$ kop.
„ 1894	1,451,878 „ 66 $\frac{1}{2}$ „
„ 1898	1,927,921 „ 58 „
„ 1903	2,895,555 „ 51 $\frac{1}{2}$ „
„ 1904	2,965,925 „ 89 $\frac{1}{2}$ „
„ 1905	3,078,175 „ 57 $\frac{1}{2}$ „
„ 1906	3,478,732 „ 66 $\frac{1}{2}$ „

Taki stan kapitału ubezpieczeniowego ułatwił kasie miejskiej zaciąganie z niego pożyczek zwrotnych i oprocentowanych na różne potrzeby, w których załatwieniu fundusze kasy miejskiej potrzebowały pomocy. Podajemy niżej wykaz tych pożyczek.

Lata	Wysokość pożyczki		PRZEZNACZENIE POŻYCZKI
	RUB.	K.	
1867	337,270	36	Bez % dla gub. Królestwa Pol., jako zasiłek Instytucyom Wzajemn. Ubezp. na prowincyi ¹⁾ .
1903	195,000	—	Na spłatę długów Teatrów Warszaw., %-owa zwrotna.
1905	500,000	—	Na lombardy miejskie, %-owa zwrotna.
1906	1,000,000	—	Minist. Spraw Wewn. (w formie kaucyi) na zabezpieczenie rachunku Banku Państwa na pomoc ziemstwow, %-owa.
Razem .	2,032,270	36	

W chwili, kiedy to piszemy, zamierzoną jest pożyczka w sumie 1,500,000 rb. na potrzeby szpitali m. Warszawy.

Co jest do powiedzenia o faktach powyższych?

Niewątpliwą jest rzeczą, że w kraju i po za jego obrębem znajdzie się sporo Instytucyj, potrzebujących zasiłków stałych, lub też zapomóg zwrotnych; ale czy po to tworzył się kapitał zapasowy Ubezpieczeń Wzajemnych m. Warszawy by miał służyć za źródło dla pożyczek na cele, nie mające nic wspólnego z ubezpieczaniem?

Sądzę, że nie popełnię błędu, gdy powiem, że każda Instytucja musi mieć przedewszystkiem na względzie swoje zadania najbliższe, zaś instytucja Ubezpieczeń Wzajemnych winna spożytkować swe zasoby pieniężne na dobro zrzeszonych, dostarczając im największą sumę korzyści realnych.

Tym sposobem, zadaniem najbliższem, bezpośrednio wchodzącem w zakres czynności, winno być zredukowanie stopy opłat do minimum przy ustaleniu nietykalnej sumy kapitału zapasowego. Natomiast wszelkie fundusze, przekraczające tę sumę, oraz fundusze, powstające z odsetków od kapitału zapasowego, winny

¹⁾ Pożyczka ta podlega zwrotowi jedynie w razie potrzeby pokrycia strat nadzwyczajnych w ubezpieczeniach m. Warszawy, eo ipso — pożyczka ta staje się bezzwrotną.

być użyte na stopniowe zmniejszenie składek ubezpieczeniowych, czyli na obniżenie taryfy.

Ten warunek zasadniczy i ten cel wyłączny musi być myślą przewodnią wszystkich towarzystw, opartych na wzajemności i w których interesie nie leży wcale dążenie do gromadzenia kapitałów i spekulacji pieniężnych, lecz zabezpieczenie się od wypadków losowych w sposób najtańszy.

Z tych względów jedynie zakrzepłą rutyną można wytłómaczyć fakt, że wzajemność w ubezpieczeniach m. Warszawy stała się częczą formą, wyrazem bez treści.

Ryzyka fabryczne, przedstawiające zupełnie odrębną kategorię budynków bądź ze względu na grożące im niebezpieczeństwo od ognia, bądź też na cechy zgoła odmienne od cech budynków zwykłych, chociaż stanowią zaledwie 6% ogólnej liczby budynków, są wszakże pasorzytem w stosunku do budowl i działu pierwszego (domów zwykłych). Nie tylko pochłaniają całkowitą składkę własną, lecz nadomiar złego korzystają w stopniu znacznym ze składki, pobieranej z budowl i zwykłych.

Że tego nie przewidziała Ustawa r. 1844, zrozumieć łatwo, gdy się uwzględni 1-o że teren działalności dawnej Dyrekcyi głównej obejmował ogromny obszar, jako też różnolitą łączność ryzyk i 2-o że 60 lat temu przemysł większy zaledwie powstawał w kraju i w Warszawie, a wobec tego nie było potrzeby wyodrębnienia funduszków ubezpieczeniowych, płynących z ryzyk zwykłych i fabrycznych.

W dobie obecnej ten warunek staje się nieodzownym, jeżeli pragniemy kierować się zasadami słuszności przy ubezpieczeniu wzajemnem.

Weźmy dla przykładu świeży w pamięci wypadek pożaru w zakładach przemysłowych Michlera, które spłonęły w początku sierpnia r. 1907.

Jeden pożar jednej nieruchomości, ubezpieczonej w sumie 364,890 rb., pochłoniął jednorazowo 226,185 rb. Jest to prawie 70% całkowitej składki rocznej z obu działów budowl i, zaś parokrotna wysokość składki rocznej z budowl i działu fabrycznego.

Być może, że powstając przeciwko wzajemności, pojmowanej w tak prymitywny sposób w dziale ubezpieczeń m. Warszawy, spotkam się z zarzutem, że wzajemność nie tylko polega na pokrywaniu strat ogniowych, lecz i na opłacaniu składki, która dla budowl i działu fabrycznego przedstawia się znacznie wyższą, i że w ten sposób staje się zadość podstawom wzajemności.

Lecz zarzut taki miałby tylko pozory słuszności. Zakłady przemysłowe ze względu na rodzaj produkcji i ze względu na swoją konstrukcję i obfitość materiałów palnych w przeważnej ilości wypadków bywają niszczone przez ogień całkowicie, i przynoszą już w każdym pożarze straty kilkuset tysięcy rb. Wobec tego w praktyce zupełnie słusznie zasłużyły one na miano „ryzyka natury wątpliwej,” co nie da się powiedzieć o budowlach zwykłych (domów mieszkalnych), gdyż ogień bywa w tych budynkach umiejscowiony na początku pożaru i nie przyjmuje zazwyczaj rozmiarów groźniejszych.

Temi względami, przestrzegającami zasadę wzajemności, kieruje się Instytucya Ub. wzajemnych na prowincyi, ustalając 30,000, jako wartość maksymalną, w jakiej mogą być przyjęte zakłady przemysłowe i fabryki do ubezpieczenia wzajemnego.

To też z chwilą wprowadzenia samorządu miejskiego, jednym z pierwszych zadań w zakresie ubezpieczeń wzajemnych m. Warszawy, powinno być ustalenie dla ryzyk fabrycznych maksymalnej sumy, w jakiej mogłyby być przyjmowane do ubezpieczenia, zaś w razie przyjmowania w wartości całkowitej, różnica między tą wartością, a maksymalną, przyjętą dla ubezpieczenia winna stanowczo podlegać reasekuracyi, a to dla obrony funduszków płynących z budowli działu pierwszego od strat poważnych.

Takie rozwiązanie sprawy będzie miało doniosłe znaczenie dla budowli działu pierwszego. Najprzód zwolni je od pokrywania strat ogniowych z działu nieruchomości fabrycznych, a następnie da możność zredukowania do minimum składki rocznej i kapitału zapasowego.

Pozatem przymus administracyjny w ubezpieczaniu swego mienia, stosowany dotychczas względem obywateli miasta, musi samo przez się być usunięty, jako przeżytek z czasów, kiedy Warszawa, ze względu na marny stan budownictwa, znajdowała się pod groźbą pożarów zbiorowych.¹⁾

W chwili obecnej, obawy znikły całkowicie i przystępowanie do ubezpieczenia powinno być pozostawione dobrej woli każdego.

¹⁾ Za taki przeżytek należy również uważać obowiązujący dotychczas art. 72 Ustawy r. 1844, podług którego za spalony drewniany budynek wynagrodzenie wydaje się pod warunkiem odbudowy takowego. Przepis ten, mający rację bytu w czasie, kiedy Warszawa składała się z dużej ilości budowli drewnianych i zamierzający ku podniesieniu stanu budownictwa, stał się obecnie warunkiem jedynie krepującym.

Czy przy takim postawieniu sprawy stan funduszów i obroty Instytucji zmniejszą się i czy większość obywateli nie uzna za stosowne wcale nie ubezpieczać swych nieruchomości?

Na to pytanie, które mogłoby powstać w umyśle czytelnika, śpieszymy odpowiedzieć, że przymus administracyjny, stosowany dotychczas przybierze jedynie formę konieczności, uznanej przez samego właściciela budynku, ponieważ 1) prawo, na którym opiera się hipoteka, wymaga, by budynek, obciążony sumą hipoteczną, był ubezpieczony, 2) zrozumienie korzyści własnych będzie bodźcem do przystąpienia do ubezpieczenia wzajemnego dla zagwarantowania sobie wartości mienia nieruchomego i 3) zakres operacyj ubezpieczeniowych nie zmaleje, lecz zwiększy się przez prawdopodobne zorganizowanie obok działu ubezpieczeń maszyn, jak to miało miejsce dotychczas, działu ubezpieczenia wszelkiego rodzaju ruchomości.

Dla należytego kierowania i pomyślnego rozwijania się takiej Instytucji jest niezbędny przede wszystkim udział samych stowarzyszonych w sprawach ubezpieczenia wzajemnego i nie w charakterze funkcjonariuszów biernych, lecz czynnych jednostek, zrzeszonych i wybieranych ze swego grona przez obywateli miasta.

Miejmy nadzieję, że w przyszłości, zapewne nie tak odległej, sam ogół stanie do kierowania sprawami, dotyczącymi go tak zbliżka.

BOLESŁAW CHOMICZ.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Głusa.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Wydatki na oświatę w budżecie miasta Warszawy w r. 1908, przez D-ra Wiktoryna Kosmowskiego. — Od redakcyi „Pracy.”

WYDATKI NA OŚWIATĘ w budżecie miasta Warszawy w r. 1908.

Wiadomo powszechnie, iż budżety miast naszych wogóle, a Warszawy w szczególności, nie stoją na wysokości potrzeb materialnych i kulturalnych ich mieszkańców.

Od lat przeszło czterdziestu pięciu, po ostatecznem zniesieniu wszelkich śladów poprzedniej organizacyi samorządnej miejskiej, społeczeństwo straciło bezpośredni wpływ i kontrolę w zarządzie i gospodarce miasta. Tym sposobem rola czynnika, najwięcej zainteresowanego w rozwoju miasta, w rozszerzaniu i udoskonalaniu jego urządzeń i instytucyj, sprowadzoną jest do zera — i ogranicza się do obowiązku napełniania kas miejskich i dostarczania coraz większych funduszków. Od r. 1863 wskrzeszono system gospodarki biurokratycznej i od tego czasu gospodarstwem miasta i jego potrzebami zarządza magistrat, złożony z urzędników państwowych, o bardzo ograniczonych atrybucjach, podwładny w porządku ogólnym władzy Ministerjum Spraw Wewnętrznych, a co do spraw miejscowych — Głównemu Naczelnikowi kraju.

O ile system ten wpłynął hamująco na rozwój miasta i jak opłakane sprowadził skutki, przekonywają prace autorów, badających rozmaite kierunki gospodarki miejskiej u nas w ostatnich kilkudziesięciu latach (A. Suligowski, St. Gorski, Br. Bouffał, znawca finansów miasta podpisujący się literami A. P., W. Załęski i inni). Autorowie ci wykazują ogromne lekceważenie potrzeb mieszkańców na wielu polach, ale najdotkliwiej odczuwać się dają rezultaty zaniedbania na polu potrzeb kulturalnych i oświatowych naszego miasta, co zresztą stało w ścisłym związku z wymaganiem i kierunkami politycznymi władz rządzących.

W całym świecie cywilizowanym wielkie gminy miejskie znaczną część swoich wydatków przeznaczają na cele oświaty. W doskonale zrozumianym interesie, za przykładem tym podążają też zarządy miast rosyjskich, obdarzonych samorządem.

W budżecie miasta Warszawy na rok bieżący, w dziale wydatków, paragraf 18-ty obejmuje wykaz wszystkich rozchodów miejskich, związanych z nauką i oświatą. Pragniemy bliżej zapoznać się z tą stroną działalności naszej municypalności i z rozpatrzenia danych cyfrowych i faktycznych wyprowadzić pewne uwagi i wnioski.

*

*

*

Według projektu, ułożonego przez Magistrat, *budżet Warszawy na rok 1908 przekracza sumę dziesięciu i pół milionów rubli i przedstawia się w sposób następujący:*

D o c h o d y:

1. Zwyczajne:

a) stałe . . .	7,384,509 rb. — k.
b) czasowe . . .	31,695 " — "
razem . . .	7,416,204 rb. — k.

2. Zwrotne:

a) stałe . . .	184,015 rb. — k.
b) czasowe . . .	148,808 " — "
razem . . .	332,818 rb. — k.

3. Nadzwyczajne:

a) stałe . . .	—	rb.	—	k.
b) czasowe . . .	2,822,755	„	42	„
razem . . .	2,822,755	rb.	42	k.
Ogółem . . .	10,571,777	rb.	42	k.

Wydatki:

1. Zwyczajne:

a) stałe . . .	3,677,874	rb.	69	k.
b) czasowe . . .	3,934,549	„	31	„
razem . . .	7,612,424	rb.	—	k.

2. Zwrotne 332,818 rb. — k.

3. Nadzwyczajne:

a) stałe . . .	—	rb.	—	k.
b) czasowe . . .	2,626,535	„	42	„
razem . . .	2,626,535	rb.	42	k.
Ogółem . . .	10,571,777	rb.	42	k.

W roku bieżącym cyfra ogólna dochodów i wydatków w budżecie jest wyższa od takichże cyfr w latach poprzednich. Wyjatek tylko stanowi r. 1904, w którym budżet zamykał się sumą przeszło 18 mil. rb., w czym na pozycje dochodowe i wydatkowe nadzwyczajne przypadało przeszło 10 i pół mil. rb.

W niniejszej pracy, z natury rzeczy, interesuje nas dział pozycji wydatkowych. W dziale tym wielką zwykle odgrywają rolę wydatki nadzwyczajne, które w roku bieżącym stanowią prawie czwartą część ogółu wydatków. Są to zwykle pozycje czasowe, związane z wielkimi robotami i przedsięwzięciami miejskimi, jak budowa trzeciego mostu na Wiśle, hal targowych i t. p. — i częściowo lub w całości znikają w budżetach lat następnych. Wydatki na oświatę należeć muszą do działu wydatków miejskich „zwyczajnych,” które są głównym pniem budżetu i zarazem wskaźnikiem sposobu administracji i polityki finansowej miasta. Jak widzimy z powyżej podanej tabliczki wydatki zwyczajne przewidziane są przez Magistrat w budżecie na rok bieżący w sumie rb. 7,612,424. Suma ta rozdziela się na 23 główne pozycje, których wyszczególnienie, jakoteż wzajemny ich stosunek procentowy znajdujemy w tablicy następującej:

Wydatki zwyczajne:

§	RODZAJ WYDATKÓW	RUBLE	%
1	Splata długów i procenty	2,322,030.31	30.39
2	Utrzymanie personelu zarządu miejskiego i potrzeby kancelaryjne	465,611	6.26
3	Pomieszczenie dla zarządu miejskiego	5,918	
4	Utrzymanie starego wodociągu i starych kanałów	20,711	0.31
5	Utrzymanie i eksploatacja nowych wodociągów i kanałów	696,749	9.19
6	Utrzymanie rzeźni miejskich, targów dla świń, bydła i koni	86,464	1.20
7	Utrzymanie policji warszawskiej	714,446.81	11.27
8	Pomieszczenie dla policji	175,690	
9	Utrzymanie straży ogniowej	241,079	3.45
10	Utrzymanie pomieszczeń dla straży	12,000	
11	Pensye emerytalne	14,195	0.14
12	Sądy pokoju	192,084	2.50
13	Podatki i ciężary z nieruchomości miejskich	28,750	0.34
14	Zewnętrzny porządek miasta	947,205	12.42
15	Oświetlenie miasta	368,593	4.92
16	Różne i czasowe wydatki gospodarcze	77,564	1.10
17	Potrzeby wojskowe	14,370	0.19
18	<i>Utrzymanie zakładów naukowych</i>	469,793	6.17
19	Utrzymanie zakładów dobroczynnych, zasiłki szpitalom, zakładom dobroczynnym i towarzystwom	488,677	6.42
20	Nabycie na własność miasta budynków i nieruchomości	138,680	1.90
21	Zasiłki dla skarbu	85,218.41	1.21
22	Zasiłki dla osób, służących w zarządzie miejskim i policji	31,596	0.42
23	Wydatki nieprzewidziane i drobne	15,000	0.20
Ogółem		7,612,424	100

Z tablicy tej wypada, iż lwia część wydatków pochłania splata i procenty od długów miejskich, co wynosi prawie trzecią część sumy ogólnej. Następne większe wydatki idą na: zewnętrzny porządek miejski (12.42%); policję (11.27%) i utrzymanie i eksploatację nowych wodociągów i kanałów (9.19%); dalej na szpitale (6.42%); utrzymanie personelu zarządu miejskiego (6.26%) i utrzymanie zakładów naukowych (6.17%); wreszcie niższe od poprze-

dnich są wydatki na oświetlenie miasta (4.92‰); straż ogniową (3.45‰); sądy pokoju (2.5‰) i t. d.

Nadmienić trzeba, iż suma, przeznaczona w budżecie na utrzymanie zakładów naukowych (§ 18) została przez Komitet budżetowy podniesiona do rb. 479,093 — i obejmuje 31 pozycyj. W roku zeszłym (1907) na cele oświatowe budżet miejski przeznaczał rb. 457,056, a więc różnica na korzyść roku bieżącego wynosi rb. 22,037.

Obraz wydatków na szkoły, ponoszonych przez miasto w ciągu kilkunastu lat ostatnich, jakoteż stosunku ich do ogólnych wydatków miejskich i stosunku do jednego mieszkańca — podaje następująca tablica:

Wydatki na szkoły:

Rok	Wydatki zwy- czajne		Wydatki na szkoły		‰	Na jednego mieszkańca
	RUBLE	KOP.	RUBLE	KOP.		KOPIEJKI
1893	3,331,213	—	142,605	—	4.2	28
1894	3,389,496	—	144,421	—	4.2	28
1895	3,746,670	—	144,240	—	3.6	26
1896	4,243,832	—	149,025	—	3.5	26
1897	4,119,461	—	156,279	—	3.7	25
1898	4,287,695	—	205,532	—	4.7	32
1899	6,167,527	—	266,091	—	4.3	41
1900	5,831,946	—	344,463	—	5.8	50
1901	6,291,369	—	340,265	—	5.4	47
1902	6,268,685	57	336,202	13	5.3	45
1903	6,019,252	36	340,238	85	5.6	45
1904	7,130,844	07	356,960	13	5.0	46
1908	7,612,424	—	479,093	—	6.2	59

Tablica ta wskazuje, iż z biegiem lat bezwzględne i względne cyfry kosztów oświaty wzrastają; dalekie jednak są one od przykładów, jakie zaczerpnąć możemy ze statystyki miast innych i od istotnych potrzeb mieszkańców naszego miasta. Opierając się na danych *Körös'ego* (Bulletin annuel des finances des grandes villes), podać możemy fakt, iż jeszcze w r. 1882/3 wydatki na oświatę, na jednego mieszkańca, wynosiły:

w Waszyngtonie	franków	13,72
„ Frankfurcie	„	13,54
„ Dreźnie	„	10,26
„ Wiedniu	„	9,79

w Berlinie	franków	9,05
„ Pradze	„	8,40
„ Paryżu	„	7,94
„ Sztokholmie	„	5,24

Wobec tych danych z przed laty dwudziestu pięciu, wydatków w Warszawie niecałych 2 franków na mieszkańca na cele kulturalne i oświatowe, wygląda nader charakterystycznie. Dwa razy mniejsza od Warszawy Kopenhaga, wydała w roku ze złym przeszło milion rubli na szkoły, a i miasta rosyjskie przeznaczają za tym przykładem coraz wyższe sumy na potrzeby oświaty.

We wszystkich krajach, do czynników, starających się o szerzenie oświaty i pokrywających potrzebne na nią wydatki, należą: 1-o skarb państwa, który zwykle nie ponosi całości tych wydatków; 2-o gminy, municypalności i zarządy prowincjonalne, które zwykle biorą na siebie znaczną część kosztów oświaty ludowej, utrzymują szkoły niższe i początkowe; wreszcie 3-o stowarzyszenia i instytucje społeczne i inicjatywa prywatna.

U nas, wysiłki i zabiegi trzeciego czynnika w ciągu długiego szeregu lat rozbiły się o opór władzy i dotąd spotykają się z systematycznymi przeszkodami, o których tu mówić nie mam zamiaru. — Kultura ogólna, zamiast się zwiększyć, obniżyła się znacznie w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. Warszawa, przy 120,000 mieszkańców, jakich liczyła w r. 1826, posiadała, w porównaniu z dobą obecną, stosunkowo większą liczbę zakładów naukowych tak wyższych, jak i niższych, i większą ilość młodzieży szkolnej. Podczas gdy za granicami kraju, o kilkanaście godzin drogi od Warszawy, widzimy miasta, które, będąc zupełnie nasycone pod względem potrzeb oświaty początkowej, pozwalają sobie na zakładanie z funduszków miejskich nie tylko szkół wzorowych średnich, ale zdobywają się nawet na uczelnie wyższe: my nie możemy zrzucić z siebie smutnej nazwy „miasta analfabetów,” uregulować palącej kwestyi szkół elementarnych. Trudno czekać z poprawą opłakanych tych stosunków aż do wprowadzenia władz samorządnych. Wobec braku oświaty w szerokich warstwach ludności, odbijającego się fatalnie na ogólnej pomyślności i tamującego rozkwit miasta, mamy prawo dopominać się od obecnej municypalności większego uwzględnienia tych potrzeb i spotęgowania działalności na polu bezpłatnego szkolnictwa początkowego.

W budżecie miasta Warszawy na rok 1908 wszystkie kategorie wydatków na oświatę, a jest ich, jak wspomniałem wyżej, 31—figuruje w kolei dość przypadkowej, może chronologicznej lub

buchalteryjnej. Wszystkie objęte są tytułem: „Utrzymanie zakładów naukowych,” jakkolwiek wiele z nich bardzo luźny ma związek z tą nazwą. Celem dokładniejszego zorientowania się w naturze tych wydatków, musimy je zszeregować w trzy wyraźne grupy, a mianowicie:

I. Wydatki na utrzymanie szkół miejskich:

a) stałe . . .	386,839 rb.
b) czasowe . .	15,739 „
razem . .	402,578 rb.

II. Zasiłki, udzielone różnym instytucjom naukowym, przeważnie rządowym:

a) stałe . . .	58,615 rb.
b) czasowe . .	11,060 „
razem . .	69,675 rb.

III. Stypendya:

a) stałe . . .	6,070 rb.
b) czasowe . .	770 „
razem . .	6,840 rb.
Ogółem . .	479,093 rb.

Nadmienić trzeba, iż prawie cała ta suma wydatkowana jest z ogólnych dochodów miasta, albowiem w dochodach t. zw. pomocniczych na cele szkolnictwa figuruje w budżecie tylko niewielki wpływ ze skarbu państwa, w ilości rb. 6,937 i z gminy żydowskiej rb. 32,625, przeznaczone specjalnie i wyłącznie na szkoły początkowe żydowskie.

Przed rozpatrzeniem trzech powyższych grup wydatków, zatrzymamy uwagę czytelnika nad tabliczką, wykazującą, co wydaje Ministerium Oświaty na szkoły niższe i elementarne w Warszawie ze skarbu państwa. Dane te zaczerpnięte są ze źródłowej pracy, napisanej przez A. P. pod tytułem „Koszta oświaty w Królestwie Polskiem,” a odnoszą się do roku 1904.

Koszta łożone ze skarbu państwa.

1. Warszawska VI-klasowa szkoła miejska . 7,875 rb.
2. Rosyjska szkoła początkowa dla dzieci obu płci w Warszawie 3,090 „

3. Utrzymanie szkół poklasztornych . . .	4,722 rb.
4. Zasiłki udzielane 4 szkołom początkowym w Warszawie	8,097 "
5. Wynagrodzenie osobom duchownym za naukę religii w 2-ch szkołach elementarnych miejskich w Warszawie . . .	320 "
6. Utrzymanie szkoły cerkiewno-prawosławnej na Pradze	400 "
Razem . . .	24,504 rb.

Dodać należy, iż pod zarządem ministerium oświaty pozostają opłaty za naukę w szkołach miejskich, a mianowicie:

1. Z 6-ioklasowej warszawskiej od 300 uczniów po 30 rb.	9,000 rb.
2. " 4 " " " 280 " " 20 "	5,600 "
3. " 3 " " " 250 " " 20 "	5,000 "
4. " 3 " " " 245 " " 20 "	4,900 "
Razem . . .	24,500 rb.

Suma ta, stanowiąca część t. zw. funduszków specjalnych ministerium oświaty, obracana jest na specjalne potrzeby wspomnianych szkół, jako to: na mieszkania dla nauczycieli, na stypendya i nagrody dla uczniów, na zasiłki dla nauczycieli, na dodatkowe opłaty za zastępstwa, na gabinety, laboratoria lub biblioteki, na wydatki gospodarcze, wreszcie 4% strąca się z nich na kapitał budowlany dla szkół miejskich i powiatowych.

*

*

*

Przechodząc do przeglądu wydatków grupy pierwszej, wynoszącej rb. 402,578, musimy odpowiedzieć na pytanie, ile szkół i jakie są przez miasto utrzymane za tę sumę? Za odpowiedź posłuży następująca tablica:

Szkoly początkowe i niższe miejskie:

1. Szkoły jednoklasowe	168
a) męzkie . . 117	b) żeńskie . . 51

2. Szkoły dwuklasowe	15
a) męskie	11
b) żeńskie	4
3. Szkoły trzyklasowe	2
4. Szkoły czteroklasowe	2
5. Szkoły rzemieślniczo-niedzielne.	44
a) jednoklasowe	20
b) dwuklasowe	15
c) czteroklasowe	9
6. Szkoły początkowe żydowskie	20

Wszystkich więc szkół jest 251, liczących razem klas 319. Zostają one pod władzą Inspekcji szkół m. Warszawy, utrzymywanej kosztem Ministerium Oświaty i pod względem programu i metod stosują się do ogólnych przepisów ministerjalnych.

Własnych budynków szkolnych posiada miasto dwa, to jest jeden na ulicy Drewnianej, drugi zaś na Pradze, za kościołem św. Floryana. W każdym z nich mieści się po 18 szkół początkowych jednoklasowych. Reszta szkół jest rozrzucona w różnych dzielnicach miasta, w lokalach wynajmowanych w domach prywatnych.

Wszystkie szkoły jedno- i dwuklasowe są tego samego typu, co także szkoły, utrzymywane przez skarb państwa. Różnią się tylko numerem porządkowym, jaki w nazwie swej posiadają. Szkoły dwuklasowe: męska № 3 i żeńska № 1, jakoteż szkoły jednoklasowe męskie, oznaczone №№ 8 i 9, utrzymywane są ze środków państwowych, wszystkie inne tego typu w Warszawie pozostają na koszcie miasta.

Tak kosztuje najmu lokali, jak i wydatki, połączone z administracją i remontem budynków własnych, mieszczą się w sumach, przeznaczonych w budżecie na utrzymanie szkół. Nie jest tu tylko wliczona amortyzacja i procent od długów, zaciągniętych na budowę gmachów.

Koszt utrzymania wszystkich tych szkół przedstawia się w sposób następujący:

1. Pierwsza szkoła 4-klasowa z klasą rzemiosł . . .	8,350 rb.
2. Druga " " " " . . .	10,280 "
3. Pierwsza szkoła 3-klasowa " " . . .	7,035 "
4. Druga " " " " . . .	6,775 "
5. 44 szkoły rzemieślniczo-niedzielne.	32,299 "
6. 20 szkół początkowych żydowskich	32,625 "
7. 183 szkół początkowych jedno- i dwuklasowych. . .	305,284 "
Ogółem	402,578 rb.

Wszystkie wydatki, wyszczególnione w powyższej tablicy, uważać musimy za nader pożyteczne i, jako odpowiadające potrzebom ludności, produkcyjnie rozporządzone. Najważniejszymi są między nimi wydatki, przeznaczone na szkoły początkowe dwu- i jednoklasowe. Posiadają one razem klas 199. Licząc na klasę przecięciowo po 50 uczniów, klasy te mogą pomieścić razem około 10,000 dzieci ¹⁾. Chcąc dojść do wyobrażenia, co kosztuje jedna klasa i respective nauka jednego dziecka, musimy przede wszystkim od ogólnej sumy kosztów, rb. 305,284, odjąć pewne wydatki czasowe, które w następnych latach i następnych budżetach tych szkół zapewne powtarzać się nie będą, a które wynoszą rb. 15,739. Do takich czasowych wydatków należą w roku bieżącym:

- | | |
|--|------------|
| a) dodatki za r. 1907 i 1908 dwom starszym nauczycielom, Janowi Adamskiemu i Karolowi Perkowskiemu, po rb. 300 | 1,200 rb. |
| b) zapłata magazynowi Karbasnikowa za książki dostarczone w r. 1906. | 3,369 „ |
| c) różne należności z r. 1907 | 1,425 „ |
| d) wydatki związane z urządzeniem gmachu szkolnego na ulicy Drewnianej | 3,565 „ |
| e) wydatki na urządzenie 8-iu nowych szkół w budynkach na Pradze i na ul. Drewnianej | 4,000 „ |
| f) koszt urządzenia sposobem próby na jeden rok nauki wieczornej w kilku szkołach elementarnych miejskich | 2,180 „ |
| Razem | 15,739 rb. |

Po odjęciu tej sumy od ogólnych wydatków, wpisanych do budżetu, wypadnie, iż 199 klas kosztuje rub. 289.445, czyli jedna klasa kosztuje rocznie około 1,454 rb., a nauka jednego dziecka około 29 rubli. W rzeczywistości zaś w roku bieżącym przecięciowy koszt ogólny jednej klasy wynosi około 1,534 rb., a nauka jednego dziecka około rb. 30½.

Dla porównania kosztów nauki jednego dziecka w szkołach elementarnych, pozwalamy sobie przytoczyć tu dane ze sprawo-

¹⁾ Zastrzegamy się, że podana tu liczba dzieci odpowiada postulatowi higieny i pedagogii, w zastosowaniu do wyliczanych szkół miejskich. Osobna praca, poświęcona statystyce szkół miejskich pod względem personelu nauczycielskiego i uczniowskiego wykaże cyfry ścisłe, odpowiadające rzeczywistości.

zdania za r. 1906 z zarządu parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Warszawie, utrzymującej 10 szkół elementarnych jedno- i dwuklasowych, do których uczęszczają dzieci wszystkich wyznań. Ogólny koszt utrzymania tych szkół wynosił 22,670 rb. 50 k., dzieci zaś uczęszczało w 2-iem półroczu 1,278, a więc koszt nauki jednego dziecka wynosił rb. 19.

Normalny etat *szkoły dwuklasowej miejskiej* przedstawia się w sposób następujący:

	a) <i>męskiej</i>	b) <i>żeńskiej</i>
1. Nauczyciel religii rzymsko-katolickiej.	180 rb.	180 rb.
2. Starszy nauczyciel vel nauczycielka (oprócz lokalu)	600 "	450 "
3. Młodszy nauczyciel vel nauczycielka (bez lokalu)	600 "	600 "
4. Nauczyciel rysunków v. nauczycielka robót ręcznych	60 "	100 "
5. Książki, pomoce naukowe	30 "	30 "
6. Materiały piśmienne	20 "	20 "
7. Utrzymanie czystości	54 "	54 "
8. Opał	90 "	90 "
Razem	1,634 rb.	1,524 rb.

Normalny etat *szkoły jednoklasowej miejskiej* przedstawia się jak następuje:

	a) <i>męskiej</i>	b) <i>żeńskiej</i>
1. Nauczyciel religii rz.-katolickiej . . .	90 rb.	90 rb.
2. Nauczyciel v. nauczycielka (oprócz lo- kalu).	500 "	410 "
3. Nauczyciel rysunków v. nauczycielka robót ręcznych	30 "	50 "
4. Książki, pomoce naukowe	15 "	15 "
5. Materiały piśmienne	10 "	10 "
6. Utrzymanie czystości	30 "	30 "
7. Opał	60 "	60 "
Razem.	735 rb.	665 rb.

Etat szkół jednoklasowych, pomieszczonych w budynkach szkolnych na Pradze i na ulicy Drewnianej, jest nieco niższy od wyżej podanych.

Tym sposobem, według powyższych etatów, *utrzymanie personelu nauczycielskiego i wydatki naukowe i gospodarcze* wynoszą:

1.	W 11 szkołach dwuklasowych męskich	17,974 rb.
2.	" 4 " " żeńskich	6,096 "
3.	" 98 " jednoklasowych męskich.	68,355 "
4.	" 11 " " " (w budyn- ku szkolnym na Pradze).	7,365 "
5.	W 13 szkołach jednoklasowych męskich (w budyn- ku szkolnym przy ulicy Drewnianej)	8,715 "
6.	W 39 szkołach jednoklasowych żeńskich	25,935 "
7.	" 7 " " " (w budyn- ku szkolnym na Pradze).	4,235 "
8.	W 5 szkołach jednoklasowych żeńskich (w budyn- ku szkolnym przy ulicy Drewnianej)	3,025 "
9.	Nadto komitet budżetowy wpisał w roku bieżącym na powiększenie etatów nauczycieli i nau- czycielek w szkołach początkowych 1-o i 2-u klasowych	2,100 "
Razem		143,800 rb.

Wielką pozycję w koszcie szkół miejskich stanowią lokale, w jakich one znajdują pomieszczenie, a także lokale, oddawane nauczycielom w naturze lub w gotowiźnie.

W roku bieżącym 36 szkół jednoklasowych znajduje pomieszczenie w dwóch własnych budynkach szkolnych. Wydatki gospodarcze przy utrzymaniu budynku szkolnego na Pradze, a mianowicie: remont, ogrzewanie, oświetlenie, personel administracyjny, stróżę, usługa, telefon i t. p., wynoszą rb. 8,705. Takież wydatki gospodarcze w budynku szkolnym przy ulicy Drewnianej wynoszą rb. 8,849. Do tego dołączyć trzeba wpisane do budżetu przez komitet budżetowy pozycje, na koszt powiększenia służby w tych dwóch gmachach miejskich i na wynagrodzenie dla dwóch lekarzy za stały dozór higieniczno-sanitarny nad tymi domami—co wynosi razem rb. 1,680. Wreszcie na wynajęcie pomieszczeń szkolnych w domach prywatnych i na opłatę mieszkań dla nauczycieli i nauczycielek przeznaczono w budżecie rb. 118,451 (wliczając w tę sumę i wpisany w roku bieżącym świeży wydatek na mieszkania dla 22 nauczycieli i nauczycielek dwuklasowych szkół miejskich, a wynoszący rb. 3,300). Wszystkie więc wydatki lokalowe wynoszą razem rb. 132,685.

Nakoniec przytoczyć musimy t. zw. wydatki ogólne, odnoszące się do wszystkich szkół, utrzymywanych przez miasto, a dochodzące w roku bieżącym do rb. 12,460. Do nich należą: wynagrodzenie nauczycielowi religii prawosławnej dla szkół dwuklaso-

wych męzkich (rb. 180), wynagrodzenie czterem nauczycielom zapasowym (2,400) i dwóm nauczycielkom zapasowym (1,200), najęcie lokalu dla biblioteki centralnej (450), wynagrodzenie osobie zajmującej się biblioteką i muzeum pomocy naukowych (300), służący przy bibliotece i muzeum (210), oświetlenie czytelní, utrzymanie w niej czystości i drobne wydatki (110), dodatki do pensyi dwóm woźnym (120), wydatki na przenoszenie szkół (500), odnawianie mebli szkolnych i wydatki nieprzewidziane (2,500), wynagrodzenie lekarza szkolnego (600), kosztą drugiej klasy równoległej przy 4-ej szkole dwuklasowej męskiej (740), wreszcie zasiłki i nagrody dla nauczycieli i nauczycielek (3,150).

Zwracamy uwagę, iż do tej kategorii wydatków, wliczoną także w budżecie miejskim mało usprawiedliwioną pozycyę, mia nowicie: na wzmocnienie etatu dwóch szkół dwuklasowych t. j. 3-ej męskiej i 1-ej żeńskiej (b. poklasztornych) w ilości rb. 600.

Tym sposobem, w podanej powyżej ogólnej cyfrze kosztów utrzymania 183 szkół początkowych jedno- i dwuklasowych mieszczą się:

a) wydatki na personel nauczycielski, naukowe i gospodarcze	148,800 rb.
b) lokale i gmachy szkolne.	132,685 „
c) wydatki ogólne	12,450 „
d) wydatki czasowe	15,739 „
e) dodatki do etatu szkół rządowych	600 „
Ogółem	305,284 rb.

*

*

*

Przechodzimy do rozpatrzenia drugiej kategorii wydatków na oświatę, to jest do t. zw. zasiłków, wypłacanych przez kasę miejską różnym instytucjom. Dają się one zebrać w trzy grupy:

1. Zasiłki, wypłacane zakładom państwowym.
2. Zasiłki, wypłacane instytucjom społecznym kulturalnym.
3. Zasiłki różne.

Zestawimy je w następującej tablicy:

Zasiłki udzielane z kasy miejskiej:

Grupa I-sza.

1. Warszawska szkoła realna	25,000 rb.
2. Gimnazjum na Pradze	12,930 "
3. Szkoła im. Konarskiego	10,500 "
4. Szkoła 6-ioklasowa miejska.	2,600 "
5. Instytut Głuchoniemych i Ociem.	3,240 "
6. Dla szkoły początkowej Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych	1,000 "
7. 4-ej klasie progimnazjum żeńskiego na Nowem Mieście.	900 "
8. Szkołom dwuklasowym 3-ej męzkiej i 1-ej żeńskiej ¹⁾	645 "
9. Szkole jednoklasowej na Pradze dla chłopców prawosławnych	600 "
Razem	57,415 rb.

Grupa II-ga.

1. Muzeum Sztuk pięknych.	5,000 rb.
2. Towarzystwo ogrodnicze na bezpłatne kursy ogrodnictwa.	1,500 "
3. Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej.	1,500 "
4. Kąpiele dla uczniów w szkołach miejskich	1,160 "
5. Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze	500 "
Razem	9,660 rb.

Grupa III-a.

1. Buchalterowi i najęcie pokoju przy Inspekcji Szkół m. Warszawy	900 rb.
2. Kursy kreślenia i rysunków przy III gimnazjum.	700 "
3. Towarzystwo wzajemnej pomocy nauczycieli.	500 "
4. Szkoła początkowa sądowników	500 "
Razem	2,600 rb.
Ogółem zasiłki	69,675 rb.

*

*

*

¹⁾ Zwraca się uwagę, iż na te same szkoły figuruje już dodatek do etatu w ilości rb. 600, wykazany wyżej w budżecie szkół początkowych miejskich.

Na ostatku najmniejszą kategorię wydatków na oświatę stanowią *stypendya*, które przedstawiamy w następującej tablicy:

1.	5 stypendyów w Instytucie Maryjskim.	1,750 rb.
2.	10 stypendyów w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych	2,160 „
3.	10 nowych stypendyów w tymże Instytucie	2,160 „
4.	3 stypendya w Instytucie Weterynaryjnym	450 „
5.	Stypendystkom: Balukiewicz, Rudzińskiej i Zofii Sztekiel na naukę muzyki	320 „
	Ogółem	6,840 rb.

Ostatnie dwie pozycje są czasowe, inne wpisane do budżetu, jako stałe.

*

*

*

Szczegółowe rozpatrzenie przytoczonych tu danych, pozwala na wyprowadzenie pewnych uwag i wniosków.

W ciągu ostatnich lat trzydziestu ludność naszego miasta powiększyła się w trójnásób. Razem z tem wzrosły potrzeby kulturalne szerokich warstw społecznych, nigdy u nas niezaspakajane, szczególnie w dziedzinie oświaty elementarnej. Z budżetów, w jakich odbija się energia, kierunek i planowość działań zarządu miejskiego, przekonaliśmy się, iż wielka ta sprawa nigdy nie była przez municypalność traktowana w sposób odpowiedni do jej ważności.

Widzieliśmy wyżej, iż Ministerjum oświaty przeznacza na cele oświaty elementarnej i niższej w Warszawie sumy niesłychanie skromne. Nadto przy podziale tych małych sum, władze naukowe kierują się przeważnie specjalnemi wskazaniemipolitycznemi i ściśle określonymi ograniczeniami wyznaniowemi, nie mającemi nic wspólnego z pożytkiem miejscowej ludności. Stąd kilka tych szkół niższych, utrzymywanych z funduszków skarbu państwa, stoi po za potrzebami miejscowych mieszkańców. Jednakże pomimo wyłączności ich zadań, od szeregu lat kasa miejska zniewolona jest dopełniać braki w funduszach, na szkoły te przez rząd wyznaczonych. Odnosi się to do dodatków

i zasiłków, przyznawanych 3-ej męskiej i 1-ej żeńskiej szkole dwuklasowej, a nadto szkole jednoklasowej na Pradze dla chłopców prawosławnych.

W ogólnej sumie wydatków na oświatę w budżecie miasta Warszawy w roku bieżącym, to jest w sumie rb. 479,093, na zasiłki różnym instytucjom, przeważnie rządowym i na stypendya przypada suma, dochodząca do 16%, właściwe zaś utrzymanie szkół miejskich pochłania 84%. Wobec ogromu niezaspokojonych dotąd potrzeb w dziedzinie bezpłatnej oświaty elementarnej, a z drugiej strony ubóstwa kasy miejskiej, stosunek ten uważać musimy za nieusprawiedliwiony. Instytucje naukowe średnie, utrzymywane przez państwo kosztem skarbu i przeznaczone dla zamożniejszych warstw ludności miasta, nie powinny tak znacznych sum zabierać z kasy miejskiej kosztem ograniczenia rozwoju bezpłatnych szkół ludowych. Odnosi się to do zasiłków, wypłacanych warszawskiej szkole realnej, gimnazjum na Pradze, szkole 6-iodklasowej miejskiej, progimnazjum żeńskiemu na Nowem Mieście, wreszcie do całej grupy III-ej zasiłków, a po części i do stypendyów. Opancerzenie tych wydatków nie jest zapewne tak silne, aby nie pozwoliło, przy odpowiedniem uwzględnieniu potrzeb ogólnych, na wykreślenie zupełne lub częściowe pozycji, najmniej właściwych i najmniej produkcyjnych.

W ciągu lat paru ludność Warszawy dosięgnie zapewne 800,000. Na podstawie różnych porównań i spisów ludnościowych twierdzić można przez analogię, iż i u nas ilość dzieci w wieku szkolnym t. j. od lat 7 do 14, stanowi 12.5% ogólnej liczby ludności, czyli wyniesie wkrótce 100,000. Ponieważ od tej ostatniej liczby dzieci, możemy odjąć przynajmniej $\frac{1}{4}$ część dzieci, należących do sfer zamożniejszych, które nie posyłają ich do szkół elementarnych miejskich, pozostaje przeto 75,000 takich, które winny znaleźć w szkołach tych pomieszczenie. Nie przeczymy, że obliczanie to, oparte tylko na rachunku prawdopodobieństwa, może dużo odbiegać od rzeczywistości; w każdym jednak razie faktem zdaje się być niewątpliwym, iż obecnie utrzymywane przez miasto szkoły elementarne zadość czynią potrzebom zaledwie czwartej części ogólnej ilości dzieci.

Rzeczywiste w tej dziedzinie potrzeby naszego miasta mógłby dopiero z zupełną wyrazistością i bezwzględną prawdą wykazać spis jednodniowy dzieci w wieku szkolnym w Warszawie. O spis taki, jako wstęp do dalszej działalności naszej municypalności w dziedzinie szkolnictwa, gorąco upominać się musimy.

Wreszcie, pozwalamy sobie przytoczyć kilka słów o ekonomicznej metodzie prowadzenia szkół elementarnych, stosowanej w gminach miejskich finlandzkich, nie rozporządzających zbyt wielkimi funduszami. Dla zmniejszenia kosztów lokalu, jakoteż korzystania z mniejszego personelu nauczycielskiego i gospodarczego, wszystkie szkoły elementarne podzielone są na przedpołudniowe i popołudniowe. Stosując ten system u nas, mielibyśmy jedne szkoły, w których nauka prowadzonaby była od godziny 8-ej rano do 12 $\frac{1}{2}$, popołudniu i drugie szkoły, w których nauka odbywałaby się w godzinach od 2 $\frac{1}{2}$, do 7 wieczorem. Nauczyciele elementarni, poszukujący zwykle po za swemi zajęciami urzędowemi, innych sposobów zarobkowania dla zwiększenia swoich skromnych budżetów, w znacznej liczbie przyjęliby zajęcia w szkołach wieczornych. Szkoły wieczorne byłyby tańsze dla kasy miejskiej o cenę lokalu dla szkoły i lokalu dla nauczyciela, czyli koszt ich zbliżyłby się do kosztu klas równoległych, otwieranych obecnie w niektórych szkołach. Wymagania higieny szkolnej i pedagogii nie byłyby obrażone przy racjonalnem stosowaniu tej metody, a miasto daleko prędzej dojśćby mogło do większej liczby nowych ognisk oświaty ludowej.

D-R WIKTORYN KOSMOWSKI.

*

Od redakcyi „**PRACY.**“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materiałów, informacji i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacji.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Głusa.

